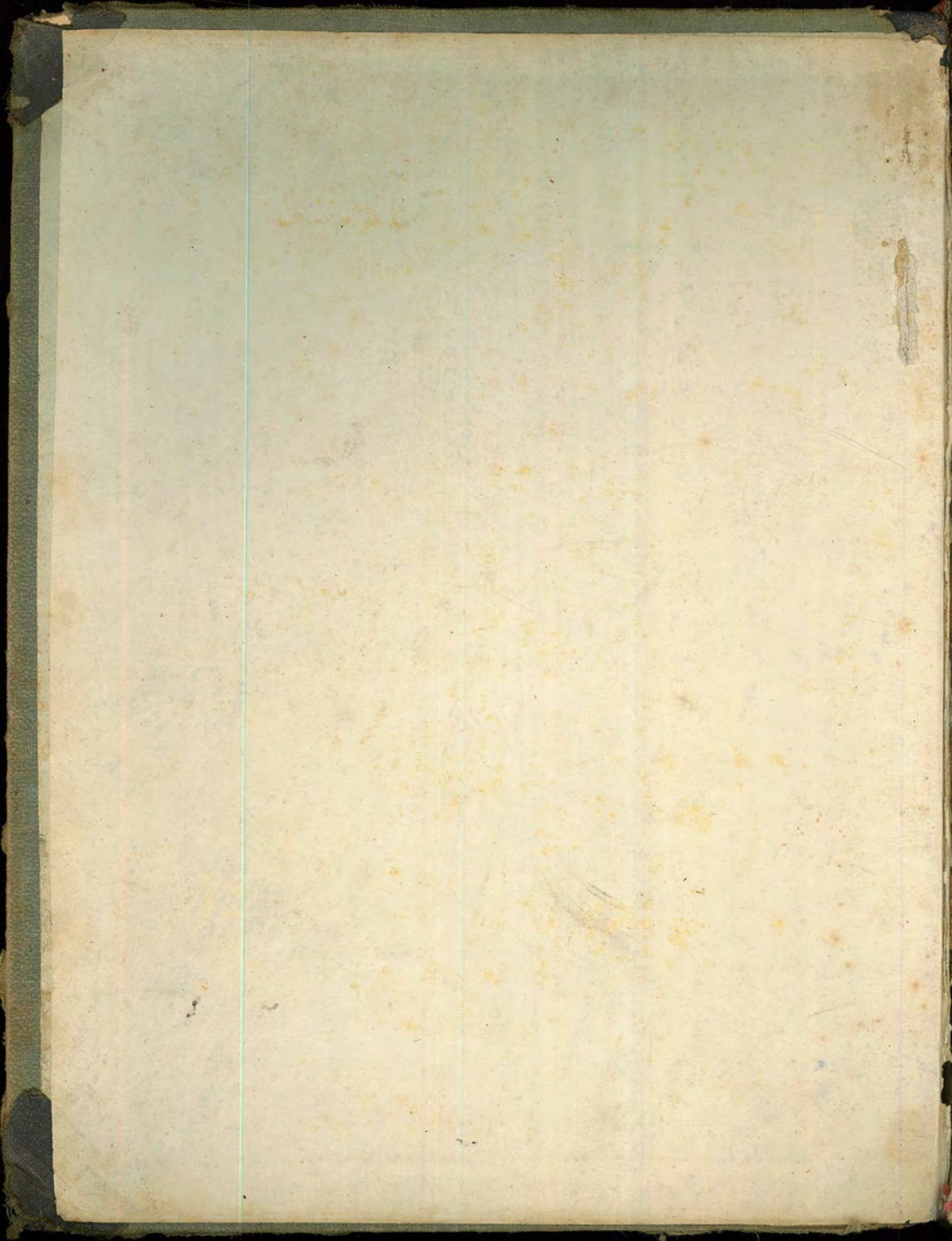


Пол.

91

К88



207

PERSONE
MICROFICHE

LIBRERIA SWIATA

KSIĘGA ŚWIATA.

KSIEGA SWIATA.



Zamboni nel Aegei e ne Euxino



Prejices do morza cras negro

2



Pol.
91
K88

KSIĘGA ŚWIATA.

WIADOMOŚCI

Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH, HISTORII KRAJÓW I LUDÓW,
ŻYWOТЫ ZNAKOMITYCH LUDZI,

PODRÓŻE, OPISY CIEKAWYCH MIEJSCOWOŚCI, WÓD SLYNNIEJSZYCH, ODKRYCIA I WYNAZAKI,

WAŻNIEJSZE ZAJĘCIA PRZEMYSŁOWE,

OBRAZY TOWARZYSKIE, STATYSTYCZNE, EKONOMICZNE

I T. P.

Z RYCINAMI NA STALI, CZARNEMI I KOŁOROWANEMI, ORAZ DRZEWORYTAMI.

CZĘŚĆ PIĘRWSZA.

1-2



310807.



WARSZAWA,

NAKŁADEM S. H. MERZBACHA, KSIĘGARZA

przy ulicy Miodowej, Nr. 486.

1851.



Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

W Warszawie, dnia 14 (26) Maja 1851 r.

Starszy Cenzor,

L. T. Tripplin.

W Drukarni St. Strąbskiego.

БИБЛИОТЕКА АРС.
Депозитная

PRZEDMOWA.

Śród dającego się spostrzegać obecnie u nas ruchu, ożywienia, szczerzego zajęcia w obrębie piśmiennictwa, ze wszystkiego uderza i zasługuje najwięcej na uwagę to, że i liczba czytających i wymagania w wzrastającym ciągle idą stosunku. Jakkolwiek i z drugiej strony usiłowań nie brak, jakkolwiek liczne utwory, dzieła i pisma rozmaitego rodzaju zdążają dość żywo na zaspokojenie łaknącej potrzeby, zawsze jednakże nie wystarczają jej dotąd, nie we wszystkich względach oczekiwaniom odpowiadają;—zawsze stosunkowa przewaga życia, rozbudzenia i gotowości, na stronie czytających zostaje. Fakt ten uważamy za niezawodny, jawny, a radosny i pomyślny zarazem. Kronika czasu zaznacza go, krytyka dziejowa wyrzecze o zasłudze i winie, o nieczujności czy niesprostaniu umysłów, powołanych lub powołujących się do literatury.

Dość,—to pewna,—że własne siły nam nie wystarczają, musimy uciekać się do obcych; tłumaczenia nawałem syją się w ziejącą paszczę ciekawości i żądania ogólnego, przywilejowo monopolizują prawie cały wydatek powszedniego czytania. Bo czytać, czytać, kto tylko umie, żąda teraz każdy; a czytanie takie, musi być przyjemne, musi zajmować umysł i dawać mu tyle, żeby zostawiały ślady widoczne, jawne dla otaczających, o tém, że książki się nie boi i korzystać z niej ma. Nie wchodźmy w rozbiór, o ile wybór tłumaczeń francuzkich, zalewających nas powodzią wokoło, szczęśliwą karmi daje spragnionym czytelnikom, o ile zgubny lub zbawienny wywiera wpływ na smak i pojęcie, a poprzestańmy tylko na uwadze, że widocznie, nieomylnie, okazuje się niewystarczającym dla wyższych i coraz słuszniejszych wymagań ogółu.

Taki stan rzeczy w przekonaniu naszém, dał pochop myśli wydania nowego dzieła, które odpowiadając obecnemu usposobieniu, nastęrczyłoby przyjemną i pożyteczną rozrywkę, w godzinach poświęconych umysłowemu zajęciu śród domowego zacisza. Obszerny świat otaczający nas, mieści tysiące rzeczy, wypadków i zaprzątnień ludzkich, o których bliższa wiadomość, zbogacając zasoby wiedzy, miłą zapewnia zabawę i daje myśli nowe zajęcie.

Nieznane kraje, obyczaje ich mieszkańców, różnorodne kierunki przemysłu ludzkiego, ciągle rozszerzające się odkrycia i wynalazki, opisy miejsc ciekawych jakas szczegółnością, wizerunki ludzi i wypadków tak z przeszłości jak i z obecnej chwili, niewyczerpnięta dzie-

dzina krajowych przedmiotów, we względzie pobieżnej historii, zajęć, zwyczajów, miejscowości rozmaitych, stosunków obyczajowych, ekonomicznych, przemysłowych, przedstawia obszerne pole, po którym przewodnik oprowadzać może wędrowców, bawiąc ich ciągle świeżemi wrażeniami i nęcąc bezprzerwanie powabem bogatej różnorodności.

Księga Świata—tytuł wybrany dla tego dzieła—najstosowniej odpowiada niewyczerpanej mnogości przedmiotów, stanowiących treść jego i zadanie; cokolwiek bowiem w świecie godne uwagi myślącego człowieka, cokolwiek przedstawia jaką ważność w płataninie urozmaiconych jego losów, nie powinno mu być obcym, i stanowi dlań prawdziwą księgę świata, której szerokie karty leżą przed nim rozrzucone w nieładzie, zawierając w sobie skarby jego mądrości, postępu i udoskonalenia.

Mało u nas rozprzestrzeniona znajomość przyrody, w jej licznych postaciach i względach, dziś już do tej doszła ważności, że nikt, w najogólniejszym nawet ukształceniu, bez niej obyc się nie może. Wyłącznie zajmować się tym przedmiotem, nie każdemu pozwalają okoliczności; pożądaną zatem dla wielu będzie zapewne rzeczka, znaleźć łatwe oznajomienie się z głównymi wypadkami zgłębiających go nauk, i zżądać mniej więcej za ich postępek. Królestwo zwierzęce, roślinne i nieorganiczne, coraz jawniej i bliżej rozwiera dla człowieka skarbów swoich ogromy; wtajemniczonych w nie ściśle i twardą usilnością zdobywających ich tajemnice zasługa w tym, że zdołali, po długich znojach, przebić zasłony co je okrywają. Ale zdobywcze ich nie mogą pozostać bez użytku dla ogółu, nie powinni uchylać się od oka jego; rozpowszechnienie i rozrzućcenie ich łupu musi być zadaniem dzieł tego rodzaju jak nasze. My też nie uchylimy się od tego zadania, o ile przyjęty zakres na to dozwoli.

Chaotyczną na pozór treść dzieła, odbijającą w sobie obraz świata odmetu, w składną całość powiązać musi myśl rozumowego następstwa i uporządkowania. Dla żywszego zajęcia, dla podniecenia dokładniejszej uwagi, uznano już wszędzie za najwłaściwsze, w podobnych dziełach, łączyć powab treści z zrozumiałemi dla oka rysunkami, wzywać sztukę malarską na pomoc pisarskiej. Nie powinniśmy zostawać w tyle za innymi; staraniem też naszym było zapewnić czytelnikom, oprócz zajmującego przedmiotu czytania, ożywienie go i objaśnienie rycinami, których wykonanie odpowiadałoby najzupełniej obecnym warunkom udoskonalonej sztuki.

Ile słusznem było zrozumienie przez nas stanu i potrzeby obecnej doby piśmiennictwa naszego, okaże nam sąd przyszły czytelników; usiłowania zaś nasze, aby łączyć z przyjemnością pożytek, podać drogę oznajomienia się z przedmiotami najbliższymi dotyczącymi każdego myślącego człowieka i wyczerpnąć wszystko, co tylko najlepszego i najdokładniejszego w tym względzie u nas i u obcych znaleźć się da, choćby tylko usiłowaniami pozostawły, zyskują zapewne właściwe ocenienie.

KSIEGA ŚWIATA.

DARDANELLE.

Wąski kanał, ręką natury rzucony na wschodnio-południowym brzegu Europy, między archipelagiem a morzem Marmora, znany nam dzisiaj pod pamiętną nazwą miasta Dardanu, od wiekopomnych czasów ważne w dziejach świata wypełniał powołanie. Smug wody cztery mile szeroki, rozrywa Azyę, kolebkę człowieka, od Europy, pysznej stolicy jego cywilizacji. Dziejowe dążenie ostatniej ku zagarnięciu w uprawnione ręce kierunku nad ruchem całego świata, ku przewodowi nad wszystkimi jego częściami, nadaje ogromną ważność i znaczenie pośredniemu położeniu cieśniny Dardanelskiej; w niej bowiem spoczywa klucz, otwierający najpiękniejszą drogę na cały Wschód, kanał obszernego handlu, źródło bogactw niezliczonych.

Oko podróżnika, przebywającego dziś cieśninę, wśród myśli i wspomnień świetnych czynów, których w starożytności jeszcze była widownią, uderza piękny widok na przeciwległe brzegi dwóch części świata, na szerokiemi tle okolicie dumnie przemawiający ciemnymi szczytami obronnych zamków, wznośzących się ponturo po obu stronach obrazu.

Pamiętni o swą zdobycz Turcy, wcześniej pomyśleli o silnej obronie jej, na wypadek wydzierzej napasici; zaraz po owdładnięciu Konstantynopola, Mohamed II wybudował tu dwa silne zamki, w miejscu gdzie wyskakujące ku sobie przeciwległe cypłe ziemi, rozdziela przestrzeń wód, 370 sążni zaledwie wynosząca. Rozmaici władcy Turcy w późniejszych czasach wzmacniali i uzbrajali te twierdze, zaopatrując je w działa i moździerze niesłychanego kalibru. Mała jednak znajomość sztuki przewodniczyła kolosalnym tym przedsięwzięciom; gorsza jeszcze służba, nieumiejętne wykonaniem i obchodzeniem się z armatami, zniweczyła znaczenie i przerażającą groźność straszliwych przy-

borów wojennych—i zrzeczni Wenecyanie snuła nieraz puszczali się, przy pomyślnym wietrze, na przebycie ziejącej ogniem paszczy i mimo gradu olbrzymich kul, rozwijali swe flagi na wodach Marmora. Sultan Mohamed IV chciał im nową postawić zaporę i zabezpieczyć się lepiej od ich nawiedzin; kazał wznieść dwa inne zamki, przy samem ujściu cieśniny do archipelagu, tworząc tym sposobem pierwszy rząd utwierdzeń, których główna siła w Dardanellach spoczywała. Niedbałość jednak Turków, ufająca za nadto olbrzymiemu uzbrojeniu zamków, których obronę za nieprzepartą uważali, w niedługim czasie zupełny prawie upadek ich sprawiła. W końcu dopiero XVIII wieku, za przyczynieniem barona de Todt, Porta zajęła się odbudowaniem i uzbrojeniem na nowo tych fortyfikacji. Z opisu jednak Etona, konsula angielskiego w Konstantynopolu, podanego w r. 1798, okazuje się, że zwykła opieszałość Turków wkrótce do dawnego zaniedbania powróciła owe zamki. Powiada on w dziele swoim, opisując Dardanelle, że nie łatwiejszego, jak wywiczconej w służbie morskiej flocie przebyć ową cieśninę, do której dostęp uważają powszechnie za niepodobny i straszliwą zabezpieczony obroną. Po obu stronach, mówi dalej, brzegi opatrzone w 14 ogromnych dział, z których Turcy kamiennymi strzelają kulami; leżą one prawie równo z powierzchnią wody, w murowanych klatkach, zamkniętych żelaznymi drzwiami, które tylko w chwili strzału otwierają; kule sięgają z jednego brzegu na drugi. Działa nie spoczywają na lawetach, a nieruchomo utwierdzone są na podmurowaniach; z tego powodu strzelać z nich tylko można wtedy, kiedy okręt na prost nich przyjdzie; nabijanie każdego zabiera przeszło pół godziny czasu. Prawdziwość opisu tego stwierdziło w r. 1807 przejście floty angielskiej.

skiej przez Dardanelle i podsuniecie się jej aż pod same mury stolicy tureckiej.

Zamki stojące na samym wstępie do cieśniny od morza Egejskiego, i stanowiące, jakęśmy to wspomnieli, przedszaniec tylko głównej obrony w Dardanellach, leżą w punkcie, gdzie wybrzeża dzieli przestrzeń 2,000 sążni szeroka, na wysokości wioski *Kukale*. Wspominamy je tu umyślnie, dla ostrzeżenia czytelnika, aby odróżnił je od zamków w Dardanellach, których widok górna rycina przedstawia. Położony od strony Azji zamek, nazywa się *Dzalak-Kalessy*, a od niego przyległa wioska to samo nosi miano, które dosłownie znaczy *Zamek garnków*, z tego zapewne powodu, że w pobliżu znajduje się wielka fabryka wyrobów garncarskich.

Na europejskiem wybrzeżu wznoszący się zamek, nazwano *Seddul-Bachr-Kalessy* (Grobla morza). Główną część jego stanowi wysoka baszta, otoczona w kwadrat grubym murem, w którego otworach od strony morza spoczywa rząd owych olbrzymich armat.

I z starożytnych dziejów pozostały nam pamiątki, uświetniające zdawną kanał Dardaneli, Hellespontem w owym czasie zwany. Na nim to niegdyś zaslepiony dumą mocarz perskiej dziczy, Xerxes, zbudował ogromny most, wieczny pomnik próżności, potęgi i szaleństwa, po którym,

oplakując gorzko zawiedzione nadzieje, zdołał zaledwie uprowadzić szczątki niezliczonej tuszcy. Nad jego brzegami dzielni Spartanie i Ateńczycy, jakby mszcząc krzywdę zgniecionych Persów, straszne między sobą staczali boje, prześcigając się wzajemną zaciekleścią w bratobójczych walkach.

Hellespont był również świadkiem olbrzymich czynów i przedsięwzięć Alexandra Wielkiego, Rzymian i Mityrydata. Na każdym kroku, wybrzeża jego przypominają nieśmiertelne pomniki sztuki i poezji. Sława Homera i jego bohaterów dźwięczy tu wspomnieniem, i zdala widać szczyty *Idy*; w pobliżu masz grobowce Achillesa, Patrokla, tam znów mogiła Ajaksa, owdzie lasek Hektora.

W nurtach Hellespontu śmierć zagrzebała poetyczną parę nie dzisiejszych kochanków, Hero i Leandra, których tak pięknie opisał Szyller; a Byron w poetycznem uniesieniu, chcąc dowieść zgnuśniałemu pokoleniu, co wątpić tylko umiało o prawdziwe wiekowe podanie, że są i dziś jeszcze ogniste serca, i że zamało wód Hellespontu, żeby płomienną ich ugasić potęgę, rzucił się w wodę z wybrzeża Europy i nie zatrzymał się aż na ziemiach Azji (3 maja 1810 r.)

Dolny obrazek przedstawia szyję kanału w samem przejściu do morza Czarnego.

KILKA SŁÓW O DZIEJOPISACH POLSKI.

Pierwotne dzieje każdego narodu zakrywa gruba ubiegłych wieków pomroka. Zamgloną pamięć tej dziejów epoki przechowuje podanie, z pokolenia na pokolenie święta przekazywane spuścizną, którą twórcza wyobraźnia, strojąc urokiem poezji, z czasem tak przekształca, że zaciemnia prawdę początkowej treści z trudem wynajdować musi później surowa krytyka historyczna. Prócz podań, zebranych i zachowanych w pismach, wielorakie pomniki minionego czasu są ważną wskazówką momentów przebrzmiałego życia. Historia zaś, jako nauka, dopiero w pisanych źródłach znajduje pewniejsze dla poszukiwań swych oparcie, a epoka, w której źródła te się zjawiają, rozpoczyna ciąg

dziejów właściwych, jasniejszych, i staje się niejako zawiązkiem całego toku wiadomości historycznych.

U nas, dzieje pisane nie poprzedziły światła chrześcijańskiej wiary; pierwsi nasi nauczyciele wielkich prawd Zbawiciela, są też pierwszymi dla nas skarbnikami wiadomości o życiu przodków, ich losach i przygodach. Niewyrobione pojęcia o nauce historii, nie dozwalały im opowiedzieć tego co widzieli lub od starszych słyszeli, w taki sposób, żebyśmy mieli pełny obraz tamtoczesnej doby; brakło im bowiem ogólniejszego poglądu na stan rzeczy, i własnego ich w tym względzie widzenia. Ograniczają się oni na spisywaniu, porządkiem lat, wypadków i przygód, których sami po większej

części byli świadkami, a przynajmniej społecznie, a czynią to językiem poświęconym dla nauki i obrzędów, w mowie dawnych Rzymian, u których czerpią pierwsze wiadomości świeckich rzeczy.

Najdawniejszym, znanym nam dziś kronikarzem polskim, był duchowny, *Marcin Gallus*, który pisał między rokiem 1110 a 1130, tojest za Bolesława Krzywoustego. Mimo długich już poszukiwań uczonych, z pewnością wiedzieć dotąd nie można, jakiego był pochodzenia; zdaje się jednak najbliższemu prawdy, że należał do liczby mnichów przybyłych do Polski z zagranicy; sam bowiem wspomina na początku swęj kroniki, że daleki od rodziny, zamieszkał między Polakami. Wreszcie, przydomek *Gallus*, który sobie nadał, naprowadza między innemi na tę myśl, że był rodem z Francji.

Drugim po nim kronikarzem był *Mateusz* herbu *Cholewa*, biskup Krakowski, zmarły r. 1166. Pracy jego użył na podstawę do swojej, i całkowicie nawet wcielił ją w swą kronikę, trzeci z porządku nasz latopis, *Wincenty Kadłubek*, również biskup Krakowski, dopełniając jej i opis swój doprowadzając aż do r. 1203. Odbył on nauki teologiczne w akademii paryzkiej, wedle rozszerzonego już zwyczajnui kształcenia się młodzi polskiej za granicą. W wielkiej zostawał wziętości u książąt Mało-polskich, czyli krakowskich, Kazimierza Sprawiedliwego i Leszka Białego. Wielokrotnie zwany przez nich do rady, przyłożył się wielce do zaprowadzenia ulepszeń w rolnictwie i ogólnem zagospodarowaniu kraju. Sprzykrywszy sobie zgiełk życia publicznego, mimo oporu Leszka i kapituły, której przewodził, wstąpił do klasztoru Cystersów, w Jędrzejowie, gdzie przez pięć lat pilnując surowo ścisłej reguły, w r. 1223 bogobojne zakończył życie. Cały lud okoliczny uważał go po śmierci za świętego, a r. 1764 Papież Klemens XII policył go w poczet błogosławionych, i pozwolił na oddawanie mu czci w diecezji krakowskiej.

Pamiętkę szanownego męża, którego uważać można za pierwszego ważnego naszego kronikarza, uświetił pięknym obrazem znany nasz malarz Lesser (Alexander), wyobrażając *Kadłubka* w naturalnej postawie, w suknię zakonną odzianego, z księgą w rękę, twarzą pełną świętości, wznoszącą korną myśl do Niebios, których jasna korona

błogosławioną głowę otacza. Obraz ten znajduje się w kościele parafialnym pod Kaliszem.

Znacznie później po wyliczonych poprzednio trzech kronikarzach, opisał historię polską *Jan Długosz*, arcybiskup Lwowski, który znając rękopisma poprzedników swoich, złączył je w jedno, ułożył i uzupełnił, doprowadzając swój opis do r. 1480, za Kazimierza Jagiellończyka. Dzieło jego wielkie w dziejopistwie polskiem ma zasługi, i pierwsze niejako może być historią nazwane. Krytyczny bowiem pogląd autora odbija się w porównywaniu dawnych kronik, a bezstronna sumienność odznacza sądy jego o społecznesny; staranie jego o dokładność opisu bliższych siebie czasów tak wielkie, że możliwie zbierał materyały po archiwach publicznych i domach prywatnych, częstokroć najdrobniejsze spisując szczegóły; w tój też części bardzo dostatecznym jest dziejopisem.

Dzieło jego długo nie wyszło na jaw; zdaje się, że główną tego przyczyną były surowe jego sądy o wielu żyjących jeszcze ludziach, a mianowicie duchownych, którym również nie pobił. Wydał je dopiero r. 1615 *Herbert* w Dobromilu, i to w piérwszej tylko części, dochodzącej do roku 1240. Całkowite zaś dzieło wyszło piérwszy raz w Lipsku 1711. Wspomnieć tu należy, że król Kazimierz Jagiellończyk, ceniąc wysoko przymioty duszy i umysłu Długosza, kierunkowi jego porucił wychowanie synów swoich: Władysława, Kazimierza, Alberta, Alexandra i Zygmunta.

Wszyscy ci dotąd wymienieni pisarze, nie byli jeszcze znani ogółowi, a jedynie małej liczbie uczonych dostępni, z powodu, że dzieła ich w rękopismach się znajdowały, kiedy *Marcin Kromer*, biskup Warmiński, ogłosił już nową historię polską, za części z dwóch rękopismów czerpaną i posuniętą do r. 1506, tojest do początku panowania Zygmunta Jagiellończyka. Żalować bardzo należy, że Kromer nie pisał dalej swojej historii, jakkolwiek czterech jeszcze królów przeżył i osobiście wpływał do wielu czynności, wiele poselsztw odbył i niejednokrotnie do rady monarchów był wzywany. Wstrzymało go od tego widać ciagle, nieustanne zaprzątnienie w sprawach publicznych, nie zostawiając nie wolnego czasu, albo też może wzgląd na współczesnych, o których, w wielu okolicznościach, nie chciał znanych mu rzeczy do wiadomości powszechniej podawać.

Pochodził Krómer ze stanu mieszczańskiego i pod opieką biskupów krakowskich, Chojeńskich i Gamrata, odbywszy nauki i podróże za granicą, tak się odznaczył i wslawił powszechnie, że Zygmunt Jagiellończyk do dworu go wezwał, a później, wysyłając młodego królewicza Augusta, za sekretarza mu go przydał. Zaszczycony przez tegoż króla klejnotem szlachectwa, wysyłany był wielokrotnie w ważnych poselstwach, do papieża Pawła V, do cesarza Karola V i Ferdynanda I, do Frankfortu nad Menem, z drażliwym poleceniem od Augusta, w sprawie odśłania do ojca żony jego, Katarzyny Austriaczki. Za Stefana Batorego, objął po przyjacielu swoim, *Hozjuszu*, biskupstwo Warmińskie.

Oprócz historyi, zostawił Krómer i inne dzieła, tak w polskim jak i łacińskim języku; najwięcej mu jednak sławy zjednała historia, która pierwszy raz ogłoszona była drukiem w Bazylei, r. 1553.

Miechowita pisał kronikę swoją jeszcze po łacinie; jest ona prostą tylko skróceniem Długosza, w rękopisie wówczas jedynie znanego, z krótkim dopełnieniem od r. 1480 do 1506. Żył on za Zygmunta Augusta.

Silniejsze rozwinięcie ogólnego życia i nowy kierunek ducha w połowie szesnastego wieku, stały się zapewne powodem, że od tego czasu nasi zaczynają pisać historyę swoim już językiem, więcej dbając o własną sprawę, jak o sławę zagraniczną. Pomijając *Janczara*, który skreślił więcej dzieje tureckie niżeli polskie, pisał już kronikę polską *Chwalczewski* r. 1548, i doprowadził ją tylko do Bolesława Wstydliwego. Wyszła ona na widok publiczny w naszych dopiero czasach.

Na większą uwagę zasługuje kronika *Strykowski* *Macieja*, wydana w Krakowie r. 1682; tak z powodu czystszej daleko języka, jak i ztąd, że prócz koronnych i litewskich dzieje opisuje; szkoda tylko, że autor, dając się powodować zepsutemu smakowi wieku, wśród opowiadań umieszcza częstokroć niezgrabne i mało udatne wiersze, jakby na popis poetyckich zdolności.

Spółczesnym Strykowskiemu był *Gwagnin*, który kronikę swoją wydał po łacinie, w Frankfurcie r. 1584. O drugie jego dzieło *Descriptio Sarmatiae Europaeae* zaszedł spór między nim a Strykowskim, który mu kradzież literacką zarzucał; pokazało się jednak, po wydaniu dziełka Strykowski-

go, że jakkolwiek w treści bardzo się obadwa zbliżali, to jednak wkładzie i formie *Gwagnin* niezaprzeczoną miał wyższość.

Z dzieł pisanych o historyi w ojczystym języku, najwięcej się czystością odznacza kronika *Bielskich*; wydał ją Joachim Bielski, w Krakowie roku 1597, tojest za panowania Zygmunta III Wazy, dopełniając i doprowadzając aż do swoich czasów, dzieło ojca, Marcina, żyjącego za Stefana Batorego. Po dziś dzień służy ona za Zygmunto-wską polszczyznę.

Od czasu kroniki Bielskich, długo nie mamy żadnego ważnego dziełopisa; dopiero za Stanisława Augusta występuje *Adam Naruszewicz* z dziełem o historyi polskiej, napisanem z polecenia królewskiego. Wielką ma to dzieło zasługę, z powodu pracowitego i starannego korzystania z materiałów bardzo licznych, i szkoda nieodżałowana, że wczesna śmierć nie dozwoliła pracowitemu i zdolnemu autorowi dociągnąć dalej opowiadania, jak do czasów Jagielly. Jestto jedyna dokładniejsza i nieco krytyczniej obrobiona historia nasza. Dotąd nie mamy nic lepszego w tym rodzaju, jakkolwiek wymagania krytyki i ogólnego poglądu historycznego w nowszych czasach wiele postąpiły.

Na niewiele lat przed Naruszewiczem, pisał historyę polską po francuzku *Solignac*, przebywający przy dworze Stanisława Leszczyńskiego, za zachętą tego króla, i mając dostarczone sobie przezeń materiały do tej pracy, którą doprowadza do elekcyi Stefana Batorego. Jako cudzoziemiec, nie mógł on dokładnie pojąć ducha obcego mu narodu, ani ocenić istotnych momentów rozwijającego się samoistnego życia. Tłumaczenie polskie wyszło u XX. Pijarów w Warszawie.

Oprócz *Solignac'a*, wielu innych Francuzów zajmowało się tymże przedmiotem, opisując szczególne panowania niektórych królów, w bliższych nam czasach, do czego daly im pochop w części ściślejsze stosunki Francyi z Polską, zasługę z powodu małżeństw Maryi Kazimiery i Maryi Ludwiki. Między tych liczą się Coyer, Salvandy, Parthenay, Rhulieres i Ferrand, dający nam niedokładne obrazki z panowania Jana Sobieskiego, Augusta III, Stanisława Leszczyńskiego i Stanisława Augusta. Od ukazania się *Historyi Narodu Polskiego* Naruszewicza, długi przeciąg czasu pole historycznych prac leży odłogiem. *Czacki Tadeusz*,



Wynios'lik.

którego historykiem zwać nie można, w oddzielnych badaniach wyjaśnia wiele ważnych punktów z życia przeszłości, i budzi żywszy ruch i zamięszanie do poszukiwań w dziedzinie historyi.

Byłe Towarzystwo Przyjaciół Nauk postanowiło dopełnić historyi Naruszwicza, rozdziałając między członków pojedyncze panowania; wielu zaledwie rozpoczęło tę pracę, inni wcale jej nie zaczęli, i pierwsze na jaw wyszły: *Dzieje panowania Zygmunta III*, obszernie i gorliwie wypracowane, które jeśli nie odpowiadają w zupełności surowym wymaganiom dziejopisarstwa, z powodu braku głębszego poglądu na czas który opisują, na literaturę, obyczaje, stosunki handlowe i religijne, to jednak urokiem dramatycznego przedstawienia wypadków wojen, sejmów i ludzi, tak pociągają ku sobie czytelnika, że z tego względu pierwsze u nas między dziełami historycznemi trzymają miejsce. Później nieco, *Kwiatkowski* ogłosił drukiem *Panowanie Władysława IV*, syna Zygmunta III, a z pozostałych rękopisów *Albertrandego*, wydane zostały *Panowania Henryka Walezego i Stefana Batorego*. Autor panowania Zygmunta II, wielkie położył zasługi, zebraniem w jedno, w dzieło noszącym tytuł *Pamiętników o Polsce*, wszystkiego co dotyczyć mogło dawnego stanu lub obyczajów.

Zbiór taki wynagradza nam choć w drobnej części dotkliwy brak pamiętników społecznych wypadków, których jakkolwiek mało pisano, znaczna ich wszelako część zatraceniu uległa musiała. W ostatnich dopiero czasach zajmują się pilnie ich odszukiwaniem i niejedem bogaty plon znalazł się już odgrzebany. Na wzmiankę zasługują także *Starożytności Polskie*, Ambrożego Grabowskiego, wydane w Krakowie, to samo na celu mające co *Pamiętniki*.

Co się tycze krótkich wyciągów historyi polskiej, właściwych dla pobieżnej nauki, jest ich немало i wielorakiego rodzaju: najrozszerzniejszy jednak i najdokładniejszy jest rys *Bandtkiego*. Waga, *Miklaszewski*, *Gołębiowski* i autor *Historii dla Siostrzeńców*, pierwsze po nim miejsce trzymają. Przypisy do *Śpiewów Historycznych*, składają także krótki ciąg historyi, podobnie i najpopularniejszy, najprościej napisany *Pielgrzym z Dobromila*. *Brońkowski* napisał po niemiecku krótki i dość dokładny wykład dziejów potoczny. Do ułatwienia poszukiwań i dat historycznych, najdokładniejsze jest dzieło francuzkie *Smita*, tłumaczone i dopelnione przez *Albertrandego*. Dzieło *Moraczewskiego* dotąd nieukończone, obiecuje całość, użytecznie posłużyć mogącą do ogólnego poznania dziejów.

WYNIOSLIK.

Wynioslik (*Nymphalis* Latr.) z pomiędzy rodzajów dziennych motyli obejmuje najpiękniejsze gatunki. Cecha jego podług *Latrailla*, jest taka: Rozki zakończone szczyptami podłużnemi maczugami; długość dolnych macek, zaledwie przewyższa długość głowy; macki te gęsto włosiste mają ostatni staw o połowę krótszy od nasadowego. Gąsienice uzbrojone zaledwie kilkoma cierniami lub gródkami, ogon mają rozdwojony. Skrzydła tych motyli w ogólności są tęgie, lot mają bystry, i wznoszą się w lasach zwykle ponad wierzchołki drzew. Głowę posiadają małą, oczy duże, bardzo wydłate, eliipsoidalne, między którymi umieszczone ich rozki; przednia para nóg bardzo słaba, niezdolna do chodzenia, ani nawet do utrzy-

mania ciała podczas spoczynku; zresztą, budowa ich taka sama, jak dwóch następnych par, lecz stopy ich pozbawione pazurków; nózki te zgigte w kolankach, trzymają zawsze przytulone do piersi i głowy. Następne dwie pary nóg są trzy razy większe; uda mają nieco krótsze od gołeni, stopy 5stawowe, zakończone dwoma zagiętymi pazurkami. Tnłów wynioslików średni, nie otoczony przedłużeniem dolnych skrzydeł.

Gatunki ich żyją we wszystkich częściach świata. W ogólności, są ubarwione świetnymi kolorami, najpyszniej urozmaiconemi. Motyle te bardzo lubią mierzwy, urny i w ogólności ciała podległe fermentacji. Entomologowie umieją korzystać z tej okoliczności, dla ujęcia tych nadpowietrzowych

brylantów w swoje zbiory. Gdy który z nich sypie ponad szczyty drzew, i nie chce zejść do siatki miłośnika Fauny, dość jest rozrzucić na drożynie leśnej nieco konskiej mierzwy, gnijące jabłka lub też skropić uryną, a wnet ujrzy się siedzącego na tych ciałach wynioslika. Ten szczególny pociąg do ciał fermentujących jest im wspólny z bardzo wielką liczbą owadów. Rodzaj wynioslików jest bardzo liczny: Godard w dziele „*Encyclopédie Methodique*” opisał ich 267 gatunków, dzieląc na liczne sekeye. My tu przytaczamy dwa najświeńsze, z naszych krajowych, wyobrażone na tablicy 2, które w zbiorach bywają wysoko cenione.

W. Osiniak (Nymphalis populi. Latr.) (fig. 1 i 2) przy rozpostartych skrzydłach mięwa od 3 do 3½ cali szerokości; skrzydła z wierzchu zielono-błękitno-szarawe, prawie na środku przepasane białą wstęgą, na górnych skrzydłach nieforemnie rozszerzaną. Szlak dokoła zewnętrznych brzegów szafirowych, pomarańczowy, z półksiężyców utworzony. Spodem też skrzydła brązowo-rdzawe, prawie z takim samym ubarwieniem. Wierzch ciała czarniawy, spód jasno popielaty. Samica bardzo podobna do samca.

Piękny ten i okazały, u nas dość rzadki motyl, widzieć się daje w czerwcu, latający ponad lasami, łąkami, szczególnie w godzinach przedpołudniowych. Znosi podługowate, ostrokończyste jaja, zwykle na pninach i gałęziach osiny (*Populus Tremula*); z takiego jaja w sierpniu wyłęgą się gąsienica (fig. 3) do dwóch cali dorastająca; żyje pojedynczo, siedząc zwykle na osinowym liściu, którym się żywi. Na tym samym drzewie, które dostarczało jej pożywienia przez lato, zasypia na zimę, pod korą ukryta, aż do następnego maja. Osobliwyszy jest kształt tej gąsienicy: pełno na niej białych ziarek i szyszkowatych cierni; jakby ucięta z przodu i rozdwojona, głowa jej rdzawo-brunatna, czarno obwiedziona; stawy sztywne zielonawo-żółte, następne wierzchem zielone. Na pierwszym stawie szyi stoją dwa tuż jeden przy drugim szczotkami najeżone sęczki, na drugim jeden sęczek mniejszy, dalej na każdym jeden na wierzchu i po jednym na bokach, wszystkie szczotkowate, barwy żółtawej. Ogon kończy się dwoma czerwonymi cierniami. Gąsienica ta porusza się

bardzo wolno, leniwie, chwytając się, i wprzód opręda każde miejsce nim na nie wejdzie. Przy końcu wiosny przemienia się w złocisto-żółtą, z przodu czarną, dalej całą rzędami czarno ukropkowaną poczwarkę (fig. 4), która z przodu jest grubo tępa, od tyłu cieniszko kończąca; na grzbiecie ma dwa garby; wisi zawsze na liściu, raczej poziomo niż pionowo. Motyl wychodzi z niej w czerwcu. Trudno jest wychować gąsienicę, gdyż przez zimę zwykle niszczeje.

W. Oczkowiec (Nymphalis Iris. Latr.) (fig. 5 i 6) w rozpostartych skrzydłach od 2 do 2½ cali szeroki; główny kolor skrzydeł brązowy, u samców odbija przesłeczne kolory fioletowo-lazurowe; z wierzchu na górnych, prawie na środku nieforemnie białe plamki, na dolnych też same plamki, tworząc esowate pocięte przepaski; szlaczek na tylnych brzegach zielonawy, a wycięcie pomiędzy ząbkami białe. Na dolnych rogach obydwóch par skrzydeł, w równiej odległości od zielonego szlaczka, znajdują się czerwono-pomarańczowe oczka z niebieskimi żrenicami, a przy nich umieszczone są podobnie czerwono-pomarańczowe plamki. Spodnia strona skrzydeł rozmaicie bywa ubarwiona, lecz rysunek mniej więcej ten sam co i górnej. Oczka wszakże na spodniej stronie górnych skrzydeł bywają znacznie większe. Rożki ich czarne, a maczugowate wierzchołki tychże ciemno żółte. Prześliczny ten motyl zjawia się u nas w czerwcu i sierpniu; przebywa zwykle w lasach, unosząc się nad wierzchołkami drzew; na ziemię zstępuje zwykle pomiędzy 11 i 2 godziną, i siada, jak wyżej powiedzieliśmy na gnoju, na butwiejących pninach i t. p. Gąsienica jego (fig. 7) żyje na wierzbie, na osinie, jesionie, buku; późno z wiosny wyłęgą się z jaja, przebywa zimę, i w następnym maju lub czerwcu, na liściu z drzewa lub na żdzble trawy uwiesiwszy się, przemienia w mocno zgiętą, żółtawo-zieloną poczwarkę, z garbem na szyi (fig. 8); z tej po dwóch tygodniach wychodzi doskonały motyl. Gąsienica połyskownie zielona, ma po bokach żółte, ukośnie się ciągnące prążki, kształt prawie wrzecionkowaty, na głowie dwa wysokie, nieco rozdwojone rożki, a na końcu tylnym dwa ostre końce. Jest ospała, leniwa, i łażąc rozpościera zawsze przed sobą pajęczynową siatkę.

JASKINIA WIATRÓW POD WODOSPADEM NIAGARY.

Każdy zwiedzający Niagarę, ma sobie za obowiązek odbyć awanturczą wyprawę pod nurty tej rzeki, spadające na skały Table-rock; każdy wraca z tych miejsc tajemniczych, zamglonych, przejęty zdumieniem i uwielbieniem kolosalnej natury Niagary i klasycznych tamecznych okolic. Ale kto chce poznać całą okropność, całe piekło tej natury, musi widzieć jaskinię Ingrahan, inaczej zwaną *Jaskinią Wiatrów*. Odkrył ją przed czterema laty podróżny, którego nazwisko nosi, a który przezwiał ją sam *Jaskinią Wiatrów*.

Mало kto przedemną zwiedzał to dziwowisko natury pisze ów podróżnik; wątpię zatem, żeby dokładniejsze opisanie tego miejsca było już znane.

Puściliśmy się we dwóch na tę niebezpieczną wyprawę, wzięwszy z sobą dzielnego młodego przewodnika. Dzień był przesłizny. Pod cieniem olbrzymich dębów dostaliśmy się do kamiennych schodów, po których szedłszy przeszło 100 stopni, stanęliśmy pod ścianą ogromnej skały, gdzie przewodnik, zdjąwszy z ramienia zawiniątko, oznajmił nam, że tu mamy się przebrać i że cieni skały służyć nam ma za gotownię, gdyż właściciel tych gruntów nie pozwala na wystawienie szalasu, nawet dla wygody podróżnych.

Rozebrawszy się więc zupełnie, ustroiliśmy się w grube, fanelowe kaptany, spodnie ewilichowe, ogromne trzewiki i ceratowe czapki, i podobniejsi w tym ubiorze do bandytów, jak do spokojnych wędrowników, ruszyliśmy ku środkowej katarakcie. Za przybyciem do spodu rzeki, przewodnik nasz uroczył u skały grubo powróż, po którym spuściliśmy się na płaską posadę, gdzie przełożywszy go przez utwierdzone w skałe kółko żelazne, koniec spuściliśmy w przepaść. Posada skalista, na której znajdowaliśmy się, leżała już niżej poziomu wodospadu, i drobny jak para deszczyk zmoczył nas tak, że nie było suchej nitki w naszym bandyckim stroju.

Po kolei spuszczaaliśmy się po sznurze, czepiając się załomów nogami, na 20 stóp w głębie, i szczęśliwie stanęliśmy na dnie. Zaledwem oparł się na nogach, piekielny orkan, hucząc i miotając się na wszystkie strony, zaparł mi gwałtownie

oddech; rozhułkane strumienie wody chłostały mnie boleśnie po ciele i byłyby mnie powaliły o ziemię, gdybym się nie przytulił do ściany. Straszny, przerażający widok rozciągał się dookoła; najwybitniejsza wyobraznia nie jest w stanie zdać sobie z niego sprawy.

Waląc z góry olbrzymia masa wód, na 120 stóp szeroka a 20 gruba, rozpryskuje się tu z łoskotem, spadając ze 165 stóp wysokości, i siłą pędu wysadza ku tej stronie powietrze z wydrążonej szeroko jaskini; próżnia ztąd powstała, wciąga z wściekłą gwałtownością zewnętrzne z drugiej strony powietrze, które w szalonym wirze, wgniatając się w szczelinę między wód warstwą a skałą, masy ich porwya i rozpryskuje za sobą. Tym sposobem tworzy się tu piekielny taniec wiatrów, wśród huku, trzasku i jęków, tak, że w porównaniu z niemi, grzmiąca trąba morska igraszką się wydaje.

Ogłoszony i odurzony zrazu, kiedym przyszedł nieco do siebie, obejrzałem się za towarzyszami których straciłem z oczu, bo chłoszcząca woda nie dozwoliła mi ich ani na chwilę otworzyć, a otworzywszy nawet, a trzy kroki nie dojrzeczenie było można. Obrócony tyłem do zamieci fal i wiatrów, sunąłem się dalej przy ścianie skały, i w głębi lochu spotkałem się z towarzyszem i przewodnikiem. Pierwszy z nich, zatknąwszy usta chustką, odurzony, ledwie stał na nogach, opierając się o skałę.

Najgłębsze wydrążenie jaskini, gdzieśmy się w tej chwili znajdowali, na 40 stóp szeroko odstaje od spadającej masy wód; parę kroków dalej, w głębi ściany, rozdziawia się niska jama, 12 stóp w tył wsunięta. Powlekliśmy się za przewodnikiem w tę norę i znaleźliśmy kawałek miejsca dość wysokiego, żeby usiąść na chwilę, — wśród licznego towarzystwa minogów i węgorzy, których tu ulubiona siedziba. I trzeba przyznać, że te minogi, węgorze i t. d. wielki mają rozum, bośmy przepędzili tu parę chwil, zupełnie spokojni i ochronieni od duszących ucisków wiatru i bolesnych dotknięć pryskających kropel, które mimo wehniałych kaffanów, dotkliwie nam się dawały we znaki. Z tego

dotpięro zasłoniętego ustronia, można z należytą uwagą przypatrzeć się strasznej i pięknej zarazem scenie, i ocenić dokładnie całą jej wzniosłość i okropność.

Dreszcz przejmując człowieka na widok tego pędu i łamania się fal, kiedy, rozbijając się o skały z wściekłością, prą się w przeciwną stronę, rozpryskują w parę, zbijają w pianę, wśród strasznego huków piorunów, podniesionego wtórem świstu, wycia i łomotu wiatrów. Słychać tu tony i wiązania tonów, które się z niczem znanym w życiu porównać nie dadzą. Od najpiskliwszego świstu, przechodząc całą skalę, aż do huku 64 funtowych dział, tworzą one prawdziwie djabełską, piekielną muzykę. Przez grubą zasłonę wodospadu, słabe zaledwie światło przedrzeć się tu może, i tajemniczy jakiś, bladawy zmrok panuje w tej czarodziej-skiej pieczarze, oświecając wydatnie dziwaczne z alomy na czarnych skal zębach. Po wilgotnych i śliskich bryłach odpadłego granitu, które tu od wieków leżą strącone, chwycając krokami poszliśmy dalej, i bez przeszkody dostaliśmy się na drugi koniec jaskini, gdzieśmy radośnie jasne powitali słońce.

Wyszedłszy z lochu, ujrzelśmy się na wielkiej, samotnej jak wyspa skałe, pomiędzy dwoma kataraktami, wielką i środkową, z dwóch stron otoczeni waląciami się z góry massami wód, od których pędu skała pod naszymi nogami jak liść drżała. Cóżto za wspaniały był widok! rozprysnięte i ulatające w powietrzu kropelki, ślniały od słońca jak rozchukana brylantów lawalna. Z uniesieniem wynurzyliśmy sobie wzajemnie przejmujące nas uczucia, kiedy niemilosierny przewodnik przerwał nam oświadczeniem, że wydstać się ztąd jedną tylko możemy drogą, a to przez nieszczęsną pie-

czarę, którąśmy weszli. Zebrawszy siły i odwagę, przestąpiłszy otwór, wypoczęli chwilę na owem miejscu spokojnem, dla odżywienia piersi, i utykając, powlekliśmy się dalej ku wyjściu. Tu dopiero najokropniejsza czekała nas przeprawa; trzeba było przerywać się przez szaloną trąbę wiatru, syjącą wściekle olbrzymimi kroplami; mimo wszelkiej usilności, musiałem zmużyć oczy, i tyłem się naprzód posuwać. Kiedym się odwrócił, nie znalazłem około siebie ani przewodnika, ani towarzysza. Z przerażenia i odurzenia, zapomniałem w którą stronę się odwróciłem i w tej chwili ogarnął mnie niewypowiedziany strach, dziwne uczucie opuszczenia i sieroctwa wśród piekielnej walki żywiołów;—tyle tylko byłem przytomny, że nie wołałem napróżno, bo najgłośniejszego krzyku o trzy kroki nikłoby nie dosłyszał. Rzuciłem się jednak na oślep przed siebie, byle uciec od przerażającego widoku, a po kilku krokach, spostrzegłem nagle tuż około siebie wiszący sznur; chwyciłem zań konwulsyjnie, i w trzech susach stanąłem na górze, naprzeciw towarzysza.

Przewodnik zbliżył się ku nam ze śmiechem; ale myśmy śmiać się nie mogli, bo straszne i wzniosłe dziwowisko natury przejęło nas do żywego; przebraliśmy się w milczenie, i po chwili zadumy, wynurzyliśmy sobie nasze wrażenia.

Siostra naszego przewodnika odważyła się raz zwiedzić piekielną jaskinię; nie mogła jednak znieść wrażenia i wyniesiono ją bez zmysłów; żadna przed nią kobieta nie śmiała się puścić na straszną tę wyprawę. Kto tylko czuje w sobie dość siły nerwów, nie powinien mieć sposobności zwiedzenia tej wielkiej skrytości wodospadu Niagary; niebezpieczeństwa istotnego niema się co obawiać, potrzeba tylko wytrwały przytomności umysłu.

GUTTA PERCHA.

Są w naturze ciała wyłącznie przeznaczone na pewien użytek, i tych nie zastąpić nie potrafi. Kauczuk był jednym z takich ciał; drugie takie ciało stanowi niedawno odkryta *gutta percha*, od kilku lat dopiero znana i używana w Europie. Do-

ktor Montgomerie, w jednym z dzienników angielskich, o odkryciu tego ciała następną daje wiadomość: „W czasie mego pobytu w Singaporze, w 1812 r., razu pewnego spostrzegłem w rękę malajskiego drwala siekiere, której rękojeść zro-

bioną była z ciała zupełnie mi nieznanego. Na zapytanie odpowiadał mi, że to jest *gutta percha*, która w wrzącej wodzie tak mięknie, że daje się jak wosk przerabiać, a po przestygnięciu, staje się twardą i kształtu nie zmienia. Odkupiłem zaraz od niego ciekawy dla mnie przedmiot, i prosiłem, żeby mi dostawił jak będzie mógł najwięcej tego ciała. Po licznych próbach, przekonałem się, że najwyborniej da się zastosować do wielu użytków, byleby go mieć podostatkim. Wiadomość o tym odkryciu udzieloną zaraz została towarzystwu lekarskiemu w Kalkucie, a później towarzystwu sztuk (*Society of Arts*) w Londynie, gdzie z wielkim poklaskiem ją przyjęto, i natychmiast znaczną ilość gutty perchi zamówiono. Tym sposobem przybył do handlu nowy przedmiot, który dziś już ważne miejsce zajmuje."

Drzewo z którego się otrzymuje *gutta percha*, należy, podług Hookera, do rodzaju *sapotaków*; rośnie go bardzo wiele w okolicach Singapore i w gęstych lasach, na jednym z wybrzeży półwyspu Malajskiego. Montgomerie udał się z prośbą do Brooke, Radeszaha Sarawaku, żeby mu doniósł, czy tam i na zachodnim wybrzeżu Borneo, nie rośnie przypadkiem drzewo tak ważne; odpowiedź otrzymał następują: „Mieszkańcy Sarawaku nazywają to drzewo *Niato*, ale nie znają własności jego soków; jest go bardzo wiele w Sarawaku i na całym Borneo; zwykle osiąga znacznej wielkości; pień mawa często 6 stóp średnicy."

Z późniejszych poszukiwań okazało się, że w lasach pełno bywa tego drzewa, że zwykłe grubości pnia dochodzi 3 stóp średnicy; na budowie nie daje się użyć z powodu małej miąższości, a owoc jego wydaje tłusty bardzo olej, używany przez mieszkańców na pokarm. Gutę perchę właściwie stanowi stwardniały sok jego, który się dobywa w następujący sposób: Stare, 50 lub 100 letnie drzewo ścina się, obdiera się zeń kora, i białą jak mleko sok, wyciekający z nagiętej powierzchni, zbiera się starannie.

Sok ten zléwa się w koryta, w których wystawiony na powietrze, bardzo prędko krzepnie. W przecięciu, z jednego drzewa dobywa się 20 do 30 funtów *gutty perchi*. Ten sposób dobywania jej, przy ogromnych *massach*, jakie się w bezczach do Europy sprowadzają, może niedługo stać się zgubnym i w krótkim bardzo czasie w gabinetach

przypatrywać się będziemy *gutty perce*, jako osobliwości, jeśli tak dalej potrwą. Zdaje się, że właściwiej byłoby nacinać korę drzewa, jak to z kauczukiem robią, lub też świdrować dziury w nim, jak w brzożach, a później zalepiać; toby zapewne w wydatku wystarczyło na potrzebę, a zarazem wstrzymało tak szybkie wyniszczenie źródła przedmiotu, coraz więcej ważności nabierającego.

Gutta percha przychodzi do nas pod dwoma postaciami: albo w cienkich listkach, podobnych do obrzynków białej skóry, albo też w zwitkach spiralnych. Doprowadzona do czystego stanu, ma kolor między jasno-żółtym a czerwonym; rzadko jednak wolną bywa od nieczystości z liści lub trocin pochodzących; przy użyciu dopiero na piękniejsze wyroby, oczyszcza się starannie. Oczyszczenie takie odbywa się za pomocą gorącej wody, w której obce ciała albo się rozpuszczają, albo oddzielają, a czysta *gutta percha* pozostaje w miękki, ciągliwy masie, szarawego koloru. Chcąc ją dokładniej oczyścić, należy wprzód w drobne kawałki pokrajać i powoli wygotowywać.

Tak przygotowana *gutta percha* posiada bardzo dziwne własności; w temperaturze niższej 80° Reaumur, jest twarda jak drzewo; znaki jednak od paznogcia zachowuje, w bardzo cienkich tylko platkach da się wtedy giąć; w masie zaś z wejrzenia i dotknięcia podobna bardzo do rogu, co zapewne było powodem, że naprzód zaczęto jej używać na oprawy do nożów, sztyletów i szabel. W wyższej temperaturze staje się coraz giętsza i rozciągliwsza, a w wrzącej wodzie topi się zupełnie i staje jak woda płynna. Wtedy można ją dobierać z wodą jak się podoba, i w odlewach nadawać różne formy. W tej temperaturze można spajać rozdwojone kawałki bez najmniejszego śladu, tak, że z mnóstwa drobnych, można po zastęgnięciu otrzymać dużą sztukę, najdoskonalej jednolitą. Po kilku nawet powtórzeniach takiego processu, nie traci nie z dawnych własności, zupełnie przeciwnie kauczukowi, i staje się zadziwiająco rozciągliwa: cienutki oboinek 1/8 cala grubości mający, wytrzymuje ciężar przeszło 50 funtów; przy 56 dopiero pęka. Przy rozciąganiu siłę oporu przedstawia wielką; po rozciągnięciu zaś zachowuje nadaną jej długość i nie wraca do dawnego stanu. W stanie stałym, bardzo trudno

daje się ciąć ostrzem lub piłą; jest złym przewodnikiem ciepła i nie topnieje ani w wodzie, ani w spirytusie, ani w eterze. W terpentynie zaś rozplywa się bardzo prędko. Pali się równie łatwo jak kauczuk i ten sam przy paleniu wydaje zapach.

W zastosowaniu, gutta percha jak najdoskonalej zastępować może kauczuk, używany dotąd jedynie do zabezpieczenia ciał od przesiąkania wodą. W stanie stałym, Malajczycy używają jej na rękojeści do wszelkich narzędzi, tak domowych jak i wojennych, przenosząc ją nad drzewo i róg, którego im nie brakuje; zastępują nią również skórę, od której ma daleko więcej trwałości, i wilgoci nie przepuszcza. Europejscy też przemysłowcy zaraz poznali wysoką jej wartość w tym względzie, i w Anglii krąży obecnie w handlu mnóstwo wyrobów z niej, pod opieką kilkunastu patentów swobody. Używają jej do pokostów, cementów, na przewiazki do papieru, na buty i trzewiki wo-

dotrwałe, na rury, flaszki i tysiączne przedmioty do zabawy i kunsztu.

Jakis Hanock robił z nią niezliczone próby, i doszedł, że zmieszana w topieniu z kauczukiem i ciałem znanem pod nazwą *tsindewan*, daje masę elastyczną, wybornie służącą na wysięłkę mebli, poduszek, materacy i t. p. na sprężyny do zegarków, pasy, podwiązki i t. d. Robią z niej także alfabety wypukłe i mappy dla niewidomych; inni używają jej do plombowania zębów spruchniałych, jako bardzo doskonały a przynajmniej wcale nieszkodliwy środek.

Matryce do medali i monet z tego względu doskonale z niej, że długo bardzo zachowują czystość i wybitność rysunku, i nie łamią się. Prócz wylicznych przez nas zastosowań, tysiące innych nadaje temu ciału niepoślednią wartość w handlu, którego monopol uchwycili już w ręce Anglicy. Ludzkość zaś przez długie lata zachowa wdzięczność pierwszemu jej wynalazcy.

KALIFORNIA.

Kalifornia, obszerny kraj, na zachodnim brzegu północnej Ameryki położony, przed niewiele jeszcze laty, była dla większej części Europejczyków ziemią prawie nieznaną, rzadko kiedy wspominaną; w ostatnich dopiero czasach, czarodziejska siła uroku złota, tego potężnego żywiołu dzisiejszego życia, zwróciła na nią uwagę całej Europy.

Od dawnych lat, od nieszczonego Waltera Raleigh, zaciekłe marzenia o pięknym raju ziemskim, o świetnym Eldorado, pędały po świecie mnóstwo awanturników, których ani straszne przygody, ani próżne mozoły, odstręczyły nie były zdolne od upartej myśli, szaloną żądzą kruszców żywioną i podsyconą. Dziś mamy to Eldorado! i lepsze, prawdziwsze zapewne, jak owo kiedyś marzone: bo nie zawiedzie wybujałych nadziei; bo nikt już na jego skarbach, choćby do końca świata niewyczerpanych, nie zakłada, jak dawniej, podstawy bytu, szczęścia, jedynych dążeń ludzkości. Ciekawość jednak wszystkich wyteżona, oczy w tę stronę zwrócone; wszyscy przewidują, oczekują

wplywu, działań, skutków jakie w ogólnym ruchu życia i jego stosunków sprowadzi nowe odkrycie, potężną dźwignią mające wstrząsć z posad niejedną sferę ustalonych do dziś silnie interesów i powikłań. Nieobojętną zatem dla naszych czytelników zapewne będzie rzeczą, dowiedzieć się pokrótce niektórych szczegółów o tój tak ważnej, wszystkich zajmującej obecnie krainie, której pobieżne opisanie, na najświeższych i najdokładniejszych źródłach oparte, dać tu zamysłamy.

Kalifornia leży w północnej Ameryce, od strony oceanu Spokojnego i tworząc w południowej swej części długi półwysp, ciągnie się szeroko wybrzeżem oceanu ku północy i wschodowi; zajmuje w obudwu tych częściach przestrzeń między 255° i 268° szerokości, a 22° i 38° długości. Graniczy na północ z kolonią rosyjską Bodega i krajem Oregonu, na wschód z Meksykiem i zatoką Kalifornijską, na południe i zachód z oceanem Spokojnym. Powierzchnią jej obrachował A. Humboldt na 4,000 mil kwadratowych, z których 2,600

przypada na półwysep i wyspy. Szerokość półwyspu między zatoką i oceanem wynosi rozmaicie, od 6 do 25 mil, ludność zaś miejscową podają na 15,000 głów. W środkowej części półwyspu ciągnie się łańcuch gór, którego główny wierzchołek stanowi Cerro de Gigante 4200 stóp wysoki. Rzek tu nie masz prawie wcale, ziemia jest naga, lasów i roślinności niemal śladów nie widać.

Przestrzeń wyższej czyli Nowej Kalifornii obejmuje 18,000 mil kwadratowych powierzchni; ludność w ostatnich czasach panowania Meksykańskiego wynosiła 5,000 białych i 30,000 Indian; teraz jednakże powiększyła się do dwóchkroć sto tysięcy przybyszami ze Stanów Zjednoczonych. Ziemię czarną, nadzwyczaj żyzną, zwilża kilka rzek i przerzyna 3 łańcuchy gór, zarosłych sosnowemi lasami, w których drzewa niesłychanego dochodzą ogromu.

W szesnastym wieku, Hiszpanie (F. Korte) pierwsi dostali się do Kalifornii; nie zwiadili jej jednak dokładnie, i mało dla siebie znajdując powabu, z powodu jałowego gruntu, nie wiedzieli nawet czy stanowi wyspę, czy półwysep. W końcu siedemnastego wieku, czynne Jezuitów zabiegi dokładniejszych o niej dostarczyły wiadomości; skutkiem usiłowań ich misyj, osada tutejsza w połowie XVIII wieku liczyła już 16 wsi w środkowej części półwyspu. Zdaje się, że mieli oni zamiar założyć tu państwo, podobne do tego, któremu w Paragway dali początek; zniesienie jednak zakonu niezadługo oddało sprawę nawracania pogan w ręce Dominikanów, którym nie tak się szczęśliwie jak im powodziło. Po wydaleniu Jezuitów, rząd hiszpański chciał załudnić osadami wybrzeża ciągnące się od półwyspu ku północy, aż do portu San-Francisco, i pracę tę powierzył Franciszkanom, którzy powoli założyli na tej przestrzeni 18 misyj. Od owego czasu część tę nazwano Wyższą czyli Nową Kalifornią, a półwysep Niższą lub Starą Kalifornią. W roku 1832 zmieniła się postać rzeczy: kongres Meksykański kazał wydzierżawić posiadłości pobożnych zakładów na korzyść skarbu. Skutkiem wojny Stanów Zjednoczonych z Meksykiem r. 1847, Kalifornia przeszła do ostatnich, gotując sobie na przyszłość znaczenie i miejsce w rządzie państw cywilizowanych, do czego przy hiszpańsko-ro-

mański gnuśności dostąpić nigdyby nie była w stanie.

Kraj ten przedstawia jak najkorzystniejsze warunki kolonizacyi; w porozrzucaanych bowiem już po całej jego przestrzeni misyjach i pueblach, leżą początki i zasady do świetnych osad, a w wielu znaleźćby można wyborne żywy do założenia miast, przemysłem i pracą łatwo do znakomitej pomyślności dojść mogących. Ziemia sprzyja jak najdoskonalej rolnictwu, uprawie wina i hodowaniu bydła; a ludność przeszło 20 milionowa na przestrzeni kraju wygodnie pomieścić się może. Porty nigdzie tak dogodnych nie mają położen i przy powiększonej ludności, przy pracy i zabiegach ludzkiej inteligencji, łatwo stać się mogą głównemi składami oceanu Spokojnego, z których cała środkowa Ameryka, kraje równikowe aż do Peru, północne wybrzeża Azji, wyspy Sandwich, Marquizes, O'Taheiti i t. d. zboże kalifornijskie dla siebie brały. Koleje żelazne z największą łatwością poprowadzić się dadzą; powierzchnia gdziekolwiek zaledwie drobne przedstawia trudności. Na obu krańcach Kalifornii znajdują się porty: na południu *San Diego*, na północy *San Francisco*, stanowiący niejako klucz do zachodniego wybrzeża północnej Ameryki i do północnych części oceanu Spokojnego. Anglia i Stany Zjednoczone od wielu lat nie szczędziły w zawody usiłowań na owdzielenie tego ważnego punktu, wiedząc dobrze, że Kalifornia stanowi klejnot najświetniejszy wśród wyborowych, choćby nawet w łonie swém nie miała bogatych skarbów złota.

Obyczaje mieszkańców Kalifornii zbliżają się w wielu względach do obyczajów dawnych osadników hiszpańskich w Ameryce; zatrzymali oni wszystkie cnoty i wady przodków swoich. Do zepsucia większego ich obyczajów przyczyniło się niemало w ostatnich czasach częste przybywanie do nich cudzoziemców, od których część się zbytku i namiętnie za nim gonia, jako też zupełne rozstrojenie władz rządowych, nadużycia misyj i wrodzony niemal popęd do gry i trunku. Każdy Kalifornińczyk co chwila prawie powtarza ulubione tam wszystkim przysłowie: *butelka dla przyjaciela, broń dla nieprzyjaciela*, i trzymając się ściśle tej zasady, wozi zawsze z sobą w jednym ostrze nabitą pistolet, a w drugim butelkę z arakiem, winem, lub wódką. Prócz tego, nieodmienną cechę

Kalifornieńczyka stanowi ociężałość i lenistwo. Za nie w świecie dziesięciu kroków nie pójdzie on piechotą; wszędzie jeździ konno, choćby jak najbliżej. Dlatego przed każdym domem widzieć zawsze można osiadanego konia, który stoi w pogotowiu na pierwsze zawołanie. Zastrawczy do wnętrza domu, niezawodnie znajdziesz o każdej porze mężczyzn zajętych grą, pić i paleniem tytoniu, a kobiety zatrudnione nadzorem nad pracującymi Indianami.

Kobiety, w ogóle dobrego wzrostu i silnie zbudowane, zachowały dotąd typ piękności chłopiek hiszpańskich. Płodność ich zadziwiająca; nie tu rzadkiego jeśli która ma dwadzieścioro lub piętnaścioro dzieci; ta okoliczność, jako też znacznie większa ilość mężczyzn niż kobiet, przyczynia się niemało do prędkiego wzrostu ludności w tym kraju. Kobiety tutejsze wolą łączyć się z cudzoziemcami niż z miejscowymi; tancerzy bowiem mniej więcę pracowitszymi się od tych okazują, lepij się z nimi obchodzą i dają więcę baczenia na dzieci. Życie kobiet w Kalifornii przedstawia długie pasmo trudów i ciężkich mozolów; wszystko co gdzieindziej stanowi zwykle zatrudnienie mężczyzn, tu do nich należy; z tego powodu jeżdżą one dzielnie na koniach, nie ustępując w tym ani na jotę mężom, rzucając doskonale arkanem, a prócz tego, pod względem obyczajów i umysłowości nieporównanie wyżej od nich stoją.

Klimat Kalifornii jest bardzo zdrowy; skutkiem starań misjonarzy zaprowadzone szczepienie ospy, złagodziło zgubne skutki tej choroby; febrę zmniejszają się co dnia, i ludzie dochodzą zwykle do bardzo późnego wieku, co przy tak nielicznej ludności, zasługuje istotnie na uwagę badaczy natury. Lekarzy dotąd nadzwyczaj mało znajduje się w Kalifornii; szczególniej dotkliwie czuć się daje brak chirurgów i felcerów, których pomoc bardzo często byłaby potrzebna przy codziennych wypadkach z końmi i gestych bijatykach, które tu na byle cém się nie kończą.

Kalifornieńczycy rodzą się, rzec można na koniach, i na całym świecie niema może dzielniejszych od nich jeźdźców; szczególniej namiętnie zapalają się do zakładów wyścigowych, na które nieraz tracą całe majątki, bo stawka 200 sztuk byłą to nie wielkiego jeszcze u nich. Za zwykłą rozrywkę codzienną służą im: gra w karty, walki

kogutów, walki byków, lub też walka byka z niedźwiedziem, w której zręczny niedźwiedź przebiegłością pokonywa najczęściej silniejszego przeciwnika.

Kalifornieńczycy obchodzą mnóstwo świąt a za najważniejsze uważają święta misyjskiej miejscowości. Znika wtedy powszednia otrętwiałość i gnuśność mężczyzny i rozpoczynają się wesole tany, przez kilka dni bez przerwy ooczco trwające. Jeśli w okolicy gdzie obchodzą weselne gody, to wszystko co tylko żyje w pobliżu musi być na nich. Mężczyźni zdążają na koniach, kobiety, starcy i dzieci spieszą na wózkach wołami zaprzężonych. Młodzież obojg płci przybywa zwykle z muzycznymi instrumentami i ciągłym przygrywaniem śród płaśw ożywia zabawę.

Podróżny, wstąpiwszy do domu Kalifornieńczyka, dozna zawsze gościnnego przyjęcia; przyjmuje on go zaraz podaniem ręki i flaszki z rumem, którą uczciwszy wzajemnie, wypytuje się go dopiero o imię, nazwisko, stan i trzygody; poczem zaprasza go natychmiast niezawodnie na jaką walkę, odbyć się mającą w tych czasach u jego wuja, stryja, i t. d., albo też na blizkie wesele krewniackie, siostry lub siostrzenicy. Na takich godach podróżny przyjmowany bywa z jak największą uprzejmością, i musi przyjąć znów niejedne zaprosiny do innych krewnych, mieszkających gdzieś o 100 lub 150 godzin drogi; bo dla każdego potomka Hiszpanów, spokrewnionego tu z całym światem, przebycie 300 godzin w drodze, żeby kilka chwil nacieszyć się tańcem, znaczy to samo, co dla nas, zniewieściących mieszczuchów, przejechać z ulicy na ulicę.

Zwykły ubiór Kalifornieńczyka składa się ze sukiennych do kolan spodni, zpod których u dołu widać drugie lbianie, z koszuli białej płócienną, obwiązaną niedbale około szyi białą chustką, z kamizelki i spenceru sukiennego, sufo wyszywaniami przystrojonego. Trzewiki zwykle robią się ze skór dzikich zwierząt; kapelusze bywa czarny, okrągły, ze złotym galonem, lub też srebrnymi ozdobami. Za płaszcz służą im ogromna plachta lbiania, którą wdziewają na siebie przez głowę, otworem we środku niej zrobionym. Do konia używają skórzanych, wielkich butów; za cholewę prawego wsuwają zawsze ogromny nóż, bez którego się nigdy na żadne wyprawy lub wycieczki nie puszczają; przy butach brzęczą olbrzymie

ostrogi. Bogatsi noszą ubiór z cienkiego sukna i jedwabiu, ubożsi obywają się płótnem i bawełną.

Ubiór kobiet daleko jest prostszy: składa się zwykle z wierzchniej, bawełnianej lub jedwabnej sukni, wlecie krótszej, a w zimie dość długiej; głowę i piersi okrywa szal również jedwabny lub bawełniany, który na wystąpienie stanowi główną ozdobę całego stroju, i bywa wtedy bardzo bogaty; pończochy jedwabne i trzewiki naczają także do wykwintego tylko stroju. Włosy przykrywają zwykle kobiety siatkami, podobnymi do używanych u nas dla dzieci, ale to na wyjście tylko, w domu rozpuszczają je swobodnie; do konia biorą zawsze kapelusz. Jeżdżą na koniach doskonałe, jakęś to już wspomnieli, i siedzą po męzku; jeśli kobieta jedzie na jednym koniu z mężem, to siedzi zawsze na przodzie, a on z tyłu.

Kalifornińczycy odznaczają się w ogóle bardzo znakomitemi zdolnościami męzycznymi; najulubieńszym instrumentem ich jest hiszpańska gitara; na zabawach i zebraniach wesółych, zwanych *fandangos*, zawsze znajdzie się kilku improwizatorów, którzy śpiewają i wtórą sobie na gitarze.

Karczmy i domy zajazdne zupełnie tu nieznane, gdyż gościnność mieszkańców, posunięta do najwyższego stopnia, potrzeby ich uczuć nie daje. Podróżny wchodzi śmiało do pierwszego domu po drodze i pewny jest serdecznego, otwartego przyjęcia, za które wynagrodzenia ofiarować nawet nie może, gdyżby uraził do żywego gospodarza. Osady jednak i missye, niebardzo gęste w tym kraju, nieraz zmuszają wędrowca do przepędzenia nocy pod gołym niebem.

Poprzedzamy na tym krótkim obrazku położenia, dziejów, obyczajów, bogactw i przyszłości Kalifornii, posażną obficie we wszystkie dary natury, we wszystkie warunki świetnej pomyślności, a przejdźmy do tego, co zdołało dopiero blaskiem silniejszej pomyślności zwrócić na kraj ten oczu ludzkie, do złota, którego nieocenione pokłady zalegają łono błogosławionej ziemi, — i poświęćmy mu słów kilka.

Złoto, najkosztowniejszy ze wszystkich szlachetnych kruszców, dochodzi rąk ludzi dwójakim sposobem: dobywa się bowiem albo z piasku złotego, za pomocą płukania, lub też z pokładów kruszczowych w stanie kopalnym. Przyroda nie daje go nigdy w stanie chemicznie czystym i w ka-

żdym razie oddzielać go potrzeba od części srebra zmieszanych z nim; stosunek tej mieszaniny rozmaity, stanowi względną wartość dobywanego złota. Najwięcej mieliśmy dotąd złota piaskowego; dziś Europa nietylko już obfita w skarby tego piasku, jak inne części świata. Za czasów państwa Rzymskiego słynęły z bogactw takich Portugalja, Hiszpania i Francja; w średnich wiekach Irlandja i Szkocja dostarczała płukanego złota; Szwajcarya, Piemont, Baden, Czechy, Szląsk i Lombardja po dziś dzień jeszcze dobywają z rzek swoich drobną ilość tego kruszcza. Węgry, szczególnież zaś Siedmiogrod, jako też Bukowina, Kroacya i Banat nie ustępują w tym względzie wyliczonemu wyżej krajom. W Turcyi zapewne także znalazłyby się utajone składy tego skarbu.

Afryka, przez długi czas zaopatrywała w złoto chciwe ręce Europejczyków; dziś nietylko wschodnie, ale i zachodnie wybrzeże dostarcza go tam, i jakkolwiek nie pewnego wiedeź nie można, jaką w przecięciu wydaje produkcję, przyjąć jednak za niezawodne należy iż roczny dobytek wynosi tam najmniej 78 milionów złp. wartości, kiedy w całej Europie dochodzi on zaledwie 8 milionów złp.

Azja, oddawna bogata w skarby szacownego kruszcza, od r. 1831 stała się najważniejszą skarbnicą świata, skutkiem odkrytych w Syberyi obszernych pokładów złotonośnego piasku, którego bogactwo tak się okazało w ostatnich poszukiwaniach wielkie i znakomite, że dotąd żaden kraj świata równać się z nią nie mógł tak świetnym zapasem. Co do środkowej Azji, nie mamy wcale pewnych wiadomości w jakiej ilości i stosunku złoto się tam dobywa; wiadomo tylko, że w Tartaryi, Turkestanie, Mongolii, Tybecie, Bucharji, Chinach, Japonii, Indjach i na wyspach indyjskich znajdują się kopalnie złota, których produkcja musi być znaczna. Na Borneo, Anglięc dobywają przeszło na 1,000 funtów szterlingów rocznie złota i w przyszłości spodziewają się jeszcze bogatszego plonu.

W Ameryce, złoto w bardzo wielu miejscach znajduje się: wyspy zachodnio-Indyjskie, Chili, Nowa Grenada, a mianowicie też Brazylja, dostarczają znaczne zapasy. W Meksyku, w Stanach Zjednoczonych środkowej Ameryki, w Peru i Boliwii, dobywano złoto od czasu odkrycia tych krajów i dotąd skarby te znaczne przynoszą zyski.

Co się tyczy północnej Ameryki, dwa po dziś dzień kraje znane tu były, jako uposażone od natury w złoto: Wirginia i Kalifornia, gdzie dobywano je z piaszków napływowych. Z wielu opisów bogatych w złoto okolic Kalifornii, najwięcej zasługujących na uwagę wiadomości o nich podana przez pułkownika Mason, dowodzącego garnizonem amerykańskim w Monte-Rey, sekretarza wojny ministerstwa wojny w Washingtonie. Pominąwszy bowiem nawet, że pismo to nosi na sobie cechę raportu urzędowego, znać w nim, że autor zwojskową dokładnością traktuje rzecz znaną sobie dobrze i uzupełnia trafniemi uwagami.

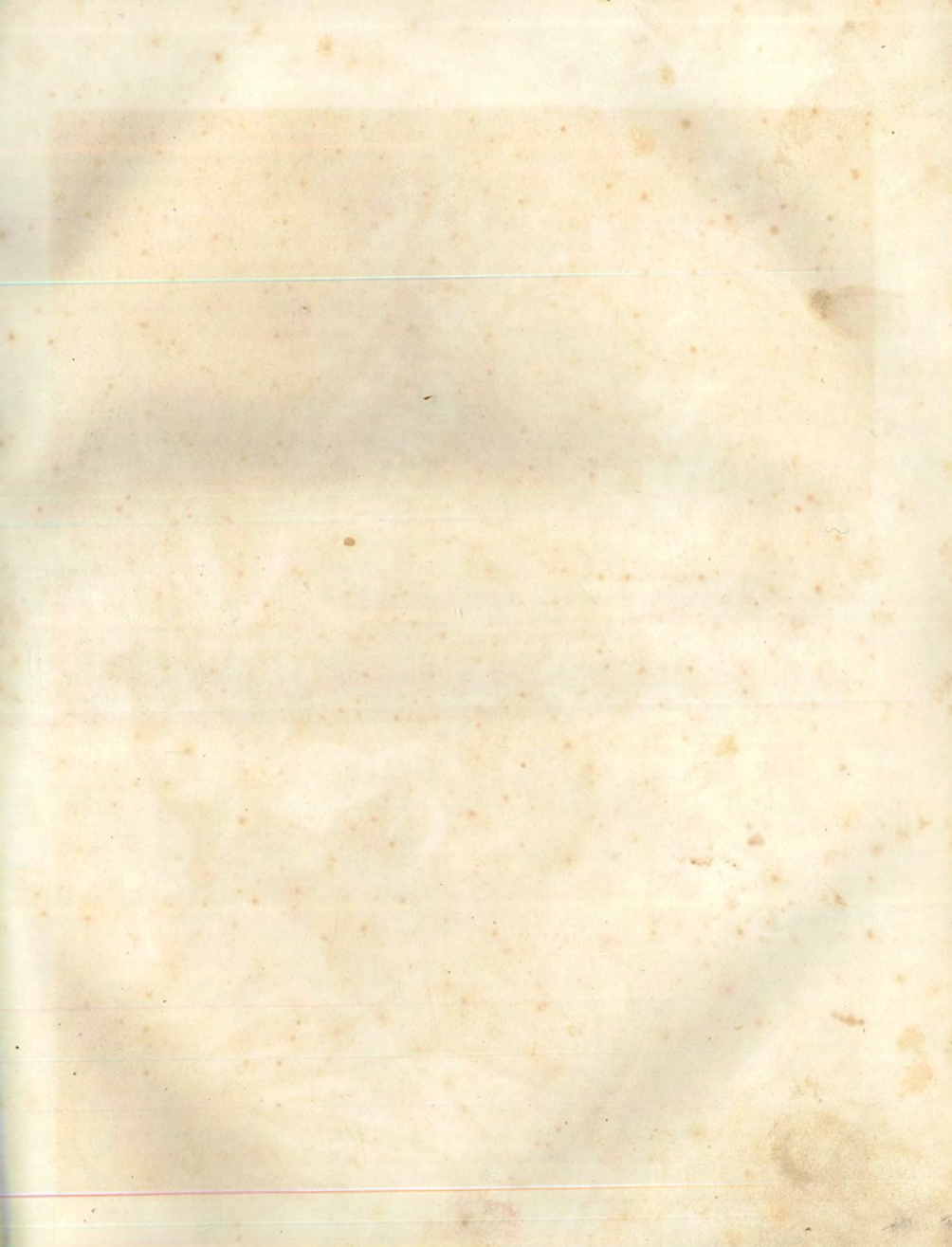
Pułkownik Mason, słysząc niejednokrotnie o niezmiernych bogactwach nowego Paktołu, o rzecze San-Sacramento w północnej części Kalifornii, postanowił sam nacośnie przekonać się o dziwach tego Eldorado. Wyruszywszy zatem z Monte-Rey, przybył do portu San-Francisco 20 czerwca 1848 r. Miasto przed kilku miesiącami ożywione czynnym ruchem, kwitnące wzrastającą pomyślnością, znalazł w tej chwili zupełnie puste, bezлюдne; wszyscy mężczyźni opuścili je tłumnie i pociągnęli do min złota, a raczej do miejsc gdzie się znajdowały napływowe jego pokłady. Do miejsc tych droga prowadziła przez Sansolito, Rodęga i Sonoma, aż do Fortu Sutter, dokąd nasz podróżny przybył 2 lipca. Wszędzie gdzie tylko przejeżdżał, wszystko było puste, zarzucone; młyny próżnowały, na polach w zbożu pasło się bydło i konie, domy i osady walały się zaniedbane. W Fortcie Sutter zaś przeciwnie, wszystko kipiało nadmiarem życia, ruchu i czynności. Okręta wyladowywały towary, mnóstwo wozów z ciężarami wjeżdżało i wyjeżdżało, sklepy się jakby cudem zjawiały, dom zajezdny nawet stanął ni ztąd ni zowąd. Za najecie pokoju płacono miesięcznie 100 dolarów, za najęcie zaś domku bez piętra 500 dolarów miesięcznie; stelmach i kowal zostający w usługach kapitana Sutter, brali 10 dolarów dziennej płacy. Pięć mil mniej więcej ku górze rzeki leży miejsce zwane dziś *Dolną Miną* (Lower Mines); przybывая tam podróżny nasz ujrzał na pagórkach tysiące namiotów, baraków i szałasów, nad brzegiem rzeki, pomimo najokropniejszego skwaru, kilkuset ludzi ekwapiłwie pracowało nad płukaniem złota, odbywając to w sposób jak najprostszy, za pomocą koszyków, kobialek

i przetaków zwyczajnych. W r. 1847 o 10 mil od Fortu Sutter założono tartak; woda sprowadzona na koło, poza tartakiem zostawiała po sobie mul, w którym właściciel tartaku przypadkowo odkrył ziarka złota, z czego okazało się, że rzeka nosi w łonie swém złoto. Wiadomość o odkryciu tak się prędko między ludźmi rozeszła, że we trzy miesiące później 4,000 ludzi zajmowało się wyszukiwaniem złota w piasku rzeczynym.

W parowach gór tej okolicy i w łożyskach strumieni wyschłych latem bardzo często znajdują kawałki złota, ważące od 4 do 5 uncji, połączonych mechanicznie z kwarcem, co daje dowód, że woda niosła je niedaleko od pierwotnych pokładów. Małe strumyki, wpadające do *San-Sacramento*, i doliny obok tej rzeki zadziwiają bogactwem szlachetnego kruszcu; pokazują tam wówz na 300 stóp długi, 4 szeroki, 2 głęboki. z którego dwaj znani w okolicy ludzie, wydobyli w przeciągu kilku dni przeszło za 17,000 dolarów wartości złota. Zdaje się niezawodnem, że tysiące takich miejsc znajduje się jeszcze nieznanych i niekniętych. Dzienny dobytek złota płukanego w miesiącu lipcu, podaje Mason na 40 do 50,000 dolarów.

Cała prawie okolica znana z pokładów złota, z małemi wyjątkami, jest własnością rządową Stanów Zjednoczonych; rząd jednakże nie ma tu dziś jeszcze dostatecznej siły materialnej na utrzymanie swej powagi, jako właściciel, i kto tylko chce, bez żadnej opłaty i kontroli, łupi bogactwo wspólne na swoje korzyść. Sprawozdawca radzi rychle przedsięwziąć środków zaradczych w tym względzie, gdyż po upływie dłuższego czasu obawiać się należy, silnego oporu ze strony nieprawych przywłaszczycieli, i smutnych rząd następców.

Uroczę wiadomości z błogosławionej krainy złota, stały się bodźcem szalonych przedsięwzięć, których trawiąca gorączka ogarnęła wszystkie prawie z razu umysły w Stanach Zjednoczonych. Podług ostatnich doniesień, z samego Nowego Jorku i Bostonu wyprawiło się do Kalifornii przeszło 10,000 ludzi, a codziennie szła awanturnicy, podsyłany żądza złota, zwiększa się i wzmagą. We wszystkich prawie miastach zawiązują się towarzystwa, pod nazwą górniczo-handlowych kompanij kalifornijskich (*California-mining and-trading-Companies*) zapewniające spółnikom coraz większe korzyści. Do takich spółek zapisują się synowie





Ратончик на джиргиты.

najznakomitszych rodzin, i nikt już sam nie puszcza się na niepewną wyprawę, znajdując w wspólnym usiłowaniu większą rękojmię zysku i bezpieczeństwa. W Nowym Jorku utworzyło się 65 tego rodzaju towarzystw, a niektóre liczą po 1000 przeszło członków, zobowiązujących się po większej części uroczyście do życia skromnego i oszczędnego, przez cały czas trwania wyprawy. Wszystkie te towarzystwa zaopatrują się w żywność, narzędzia, maszyny, — biorą z sobą młyny, tartaki, żelazne i drewniane domy gotowe, hotele zupełnie urządzone, statki parowe rzeczne, drukarnie, i wszystko co służyć może do rybołówstwa, uprawy roli, polowania i t. p., a jedno drugie przewyższa codzien dokładnością i przezornością tych przygotowań.

Widząc te tłumy zapaleńców, wybierających się do Kalifornii, zdaje się, jak gdyby Opatrzność chciała dziś nagrodzić tę krainę za tak długie zaniedbanie, i zapewnić jej odrazu wszystkie korzyści liczną i cywilizowaną ludność. Teksas i Arkanas zaludniały się wprawdzie dość prędko, ale wyrzutkami tylko, odrzniętymi zbiegami z innych społeczeństw; tu, rzecz się ma zupełnie przeciwnie: znaczne bowiem kosztą dalekiej podróży nie każdemu pozwalają osiedlać się w tej stronie. — Dziś, wszyscy w Stanach Zjednoczonych mówią już tylko, jak o najważniejszej kwestyi obecnej chwili, o kolei żelaznej do Kalifornii! Tak olbrzymie, niesłychane, nieobliczone przedsięwzięcie, mogło istotnie przypaść w udziale jednym tylko Angli-Saksonom, których Opatrzność zdaje się powołała do dziejowego posłannictwa w Ameryce. Znana ich wytrwałość w zamiarach i silny bodziec ponęty, niedługo zapewne dadzą czekać na wykoń-

czenie planu tego, gorączkowo zajmującego umysły. Sprowadziłoby to niesłychany przełom, szalony przewrót w handlu, nie tylko samych Stanów Zjednoczonych, ale w handlu całego świata.

Dzienniki amerykańskie obliczają i przewidują wszelkie następstwa, jakie ogromne to dzieło za sobą pociągnęły musiało. Obecnie handel całego wschodu Azji Anglia trzyma w rękę, zamieniając złoto i srebro na herbatę i jedwabie. W przyszłości, Anglia w żaden sposób nie mogłaby wytrzymać konkurencyi z Amerykanami, bo jeśli ma złoto, to w pocie czoła pracować na nie musi, a oni mieliby go bez wielkiego znoju, daleko więcej od niej pod ręką, byłoby tylko kwestye odległości załatwili. W tej chwili, Nowy Jork dzieli ta sama odległość od San-Francisco, co i od Liverpoolu; jeśli poprowadzą koleją żelazną do Kalifornii, droga do San-Francisco z 17,000 mil angielskich, zmniejszy się na 2,500. Stany Zjednoczone posiadając tę drogę i skarby złota Kalifornii, muszą się stać środkowym punktem handlu między Azją a Europą, i wszystkie narody ziemi hołdować im będą. Rząd więc powinien chwili czasu nie tracić, i wziąć się do dzieła, póki spółka prywatna go nie uprzedzi. Kosztą tej kolei obrachowano na 70 milionów dolarów. „Jak kolej stanie, Kanton na 30 dni drogi tylko od nas daleki!” woła w zapale jeden z dzienników Nowego Jorku. Z tej strony zapatrując się na rzeczy, i sięgając dalej wzrokiem, istotnie spodziewać się należy, że odkrycie min złota w Kalifornii, większe w dziejach świata sprowadzić może zmiany, ważniejszą stanowić będzie epokę, niżeli wnoszą z samych wynalazków znaczącego dowodu złota na europejskie targowiska.

— POLOWANIE NA TYGRYSY W INDYACH WSCHODNIICH.

Indyanie mają bardzo wiele sposobów wytopiania tygrysów, najniebezpieczniejszych i najstraszliwszych nieprzyjaciół u siebie. Wiele ich bardzo łapia w sieci, mniej w zastawki, bo są bardzo ostrożne i zmyślne. Szekarowie, biedna kasta indyjska, trudniąca się wyłącznie polowaniem na drapieżne zwierzęta, używają na nich strzał zatrue-

tych lub też strzelają z domków i dołów na to urządzonych, tak samo jak i wszyscy wieśniacy; bogaci zaś lubownicy myślistwa strzelają je zwykłe ze słoniów. Zastawki na tygrysy robią się z drzewa, zupełnie na sposób zwyczajnych u nas łapek na szczury, z tą różnicą, że są długie od 13 do 14 stóp, i po obu stronach mają potrzaski,



310807.

które zapadają, jak tylko tygrys dotknie kozy lub innego zwierzęcia, założonego na przynętę.

W miejscach wypatrzonych, gdzie tygrysy zwykle przechodzą, zastawiają na nie luki umocowane na palach 24 cali mniej więcej wysokich, i tak urządzonych, że jak tylko tygrys poruszy sznur, na którym się trzyma przynęta, strzała wypada natychmiast z napiętej cięciwy prosto w niego. Najwięcej tu zależy na tém, żeby strzała miała pęd ile możności poziomy, i Szekarowie tak są zreżni w tém, że prawie zawsze tygrys dostaje w piersi a bardzo często w sam środek serca i pada o sto kroków najdalej od nieszczęsnego dla siebie miejsca. Często używa się do tego strzał zatrutych, i w takim razie mało o to chodzi gdzie cios ugodzi zwierza; byle tylko miał dość siły żelazcem do krwi się dostać, tygrys dłużej godzin żyć nie może. Psy, wprowadzone na trop, bez trudu dochodzą do miejsca gdzie leży zdechła ofiara.

Przy zastawianiu luków, psów się z sobą nie bierze, bo tygrysy mają tak czule powonienie i taki wstręt do psów, że mimo przynęty, omijałyby to miejsce. Zwykle zastawiają się luki koło zachodu słońca, a rano zdejmują się, dla zapobieżenia wypadkom nastąpić mogącym, gdyby tamtędy człowiek lub bydlę domowe przechodziło. Jeśli zaś na dzień się zastawiają, to dla ostrożności urządzają się przed niemi kozy, połączone z cięciwą, pod któremi tygrys może przejść wygodnie, a człowiek i bydlę musi je albo ominąć, albo odsuwając z drogi, poruszyć luk i cios od siebie uchylić. Trucizna, używana do takich strzał, dobywa się z korzeni wielkiego, szerokolistnego drzewa, którego kora bardzo podobna do naszej osiczyzny, zwanego przez Indyan *boglear* (co znaczy trucizna na tygrysy). Gorzelnicy indyjscy używają tej samej substancji do smarowania naczyń, w których wódkę robią, i nie zdaje się, żeby miała wpływać szkodliwie na zdrowie pijących; w bezpośrednim tylko zetknięciu z krwią działa zabijająco.

Tego sposobu tępienia tygrysów zatrutemi strzałami, używa prawie wyłącznie kasta Szekarów, zamieszkująca okręg Dangope i wyprawiająca się ztamtąd na łowy we wszystkie strony, a mianowicie do Bengalu, gdzie najwięcej drapieżnego zwierza. Łowy takie stanowią jedyny ich sposób do życia, gdyż rząd za każdą głowę płaci

10 rupij (44 złote polskie); mieszkańcy zaś okolice trapionych przez krwiożerczych wrogów, oddają ich prócz tego podarkami od siebie; a zęby i szpony tygrysi, używane na talizmany i czarno-księskie gusła, płacą dość drogo. Zyskują też nieraz podwójnie na jednej sztuce, składając w innym okręgu leń, a w innym skórę zabitego zwierza. Zarobiwszy sobie nieco na takich wycieczkach, wracają z wyprawy do domu, i żyją na łonie rodziny, dopóki stanie prawdziwie krwawo zapracowanych środków. Szekarowie w ogóle, prowadzą nędzne, dzikie prawie życie; lubią zapamiętałe gorące trunki i palą z rozkoszą odurzające liście; wynagradzają sobie tym sposobem trudy i niebezpieczeństwa, na jakie się ciągle narażają, spotykając się nieraz oko w oko z wrogiem, na którego zgubę chcą.

Mieszkańcy wioski, w okolicy której znaleziono ciało zaduszonego przez tygrysa wołu lub bawołu, zaraz po odszukaniu, biegną co prędzej na to miejsce i urządzają na drzewach lub palach *machauny*, czyli budki strzeleckie, albo też kopią doły, z którychby mogli bezpiecznie czatować na drapieżne zwierzę, bo w nocy niezawodnie wróci ono uraczyć się niedokończoną ucztą. Jeżeli we wsi nie znajdzie się nikogo, co by miał dość odwagi puścić się na tę niebezpieczną wyprawę, posyła się do drugiej wsi, a najczęściej po Szekara, bo ten nie zleknie się nigdy sam siedzieć całą noc w machaunie lub w dole, kiedy wieśniacy wyprawiają się zawsze w kilku, dla bezpieczeństwa. Szekar bierze z sobą strzelbę z lontem, dziryt i kordelas; siedzi cierpliwie, nie ważąc się ruszyć, ani mocniej odetchnąć, bo nasycony świeżym łupem tygrys, dosłyszys najmniejszy szczełot i nie da się schwylić na uczynku; jeśli zaś nie dostrzeże zasadzki, strzał go pewno nie minie. Na miejscu nigdy prawie tygrys nie padnie, bo życie w nim tak twarde, że mając dwadzieścia nawet kul w sobie, srogo jeszcze nieraz mści się, przed śmiercią, na napastnikach i niejednego trupem położy. Rannego zatem w nocy nie goni się, bo niepodobna byłoby ująć niezawodnej śmierci od rozjuszonego bólem, tém więcej, że przy jasnym nawet księżycu, gęstwa lasu nie widzieć nie pozwala; kiedy tymczasem tygrys, jak cały rodzaj koci, w nocy lepiej widzi niżeli we dnie. Nazajutrz dopiero myśliwiec złazi z machaunu, i puszcza się

z innymi w pogoń, bardzo jeszcze niebezpieczną i ryzykowną.

Mimo tak niesłychanej odwagi i dzielności, nigdy jednak Szekar za żadną cenę nie podejmie się przepędzić w machaunie nocy, jeżeli tygrys zagryzł człowieka, bo jedna tylko rzecz na świecie śmiertelnym strachem go ogarnia—trup ludzki. Johnson opowiada, że nieraz dawał znaczną nagrodę, chcąc sobie znaleźć w takim wypadku towarzysza do machaunu, ale nie nigdy nie wskórał, mimo najusilniejszych starań. A nieraz mu się zdarzyło widzieć, jak w czasie nieznosnego skwaru, kilku ludzi dźwigało na barkach nosze, nałożone zepsutym już ciałem tygrysa, którego woń o kilkanaście kroków zmysłów pozbawiała, dla nędżnej nagrody 10 rupij, której połowę urzędnik dla siebie niezawodnie zachowa. Jaki sobie tryumf myśliwy robią ze swęj zdobyczy, łatwo zrozumieć, kiedy woł narażać się na okropność zabijającego wyziewu pod samym nosem, jak przynieść samą skórę lub łeb, na świadectwo należnego wynagrodzenia. Zwycięzki wódz po wygranej bitwie, nie tyle okaże się dumnym, nie tyle doznaje rozkoszy, ile biedny Indianin, kiedy się może poszczycić uroczyscie, że uwolnił sąsiadów od zażartego wroga. Najmniejsza pochwała jego odwagi, choćby tylko uwaga, że zwierzę było ogromne, rozpromienia twarz dzikiego myśliwca niewypowiedzianą radością, i stanie mu za największą nagrodę.

Indianie wierzą silnie w przechodzenie dusz, czyli metempsychozę, i z tego powodu, po zabiciu tygrysa, opalają mu zaraz wąsy z pyska, w przekonaniu, że tym sposobem odejmą duszy ochotę wcielenia się na tamtym świecie powtórnie w tygrysa. Następných kilka opowieści da nam dowód, do jakiego stopnia zabobonność wkorzeniona jest jeszcze w Indyach.

Razu pewnego, kiedy mieszkańcy miasta Chittah robili wyprawę na tygrysa, kryjącego się w plantacyach cukrowych, poszedł z nimi, ciekaw poznać to polowanie, krawiec jakiś z miasta. Szczęście chciało, żeby on trafił i na miejsce powalił zwierza; dumny ze swego czynu i odurzony tak łatwym zwycięstwem, jał się przechwalać, że od tej chwili gotów jest sam jeden iść na tygrysa i wyjść zawsze z chwałą. Urzędnik miejscowy przybieżał mu, skutkiem tych przechwałek, że przy zdarzonej

okoliczności nieomieszka mu dać znać, jak tylko się tygrys pokaże. Niezadługo, istotnie znaleziono ściervo nawpół pożartego wołu, niedaleko od miasta; dano o tém znać krawcowi, i jakkolwiek widocznie już pierwszy zapal nieco w nim ostygł, podjął się jednak czatować przez noc w machaunie, uzbrojony w broń potrzebną. Uduje się na stanowisko w towarzystwie małego chłopca; noc była ciemna, tygrys nie długo dał na siebie czekać. Spostrzegłszy wśród ogólnej ciemności iskrzące jego ślępie, bohater nasz tak niepomysłnego doznał wrażenia, że nie mogąc wymówić ani słowa, padł bez zmysłów. Zestraszony powstałym ztąd hałasem zwierz, porwawszy zdobycz, uniósł ją dalej w gęstwinę; chłopiec widząc, że się oddala, i kiedy go już stracił z oczu, przywiał do machaunu martwego myśliwna i pobiegł do wsi dać znać, że umarł ze strachu. Nad ranem przybyli wieśniacy dopiero ocalili zemdlalego, który przyrzekł uroczyscie w obec wszystkich, że nigdy już w nocy niepójdzie do machauna, bo widział dziś diabła w własnej osobie.

Podczas pobytu mego w Chittah, powiada Johnson, doniesiono mi raz, że niedaleko od mego domu zbiera się co noc stado łai i jeleni na żerowanie w zbożu, tuż pod lasem zasianém; kazałem wystawić machaun, i wziąwszy z sobą Dildara, wiernego Indianina, który zawsze mi towarzyszył na polowanie, udałem się w nocy na stanowisko. Machaun zawieszony był dość wysoko na drzewie; weszliśmy doń po drabinie, którą wciągnęliśmy za sobą. Ledwieśmy się rozgościli, nad samemi głowami naszymi rozległ się ponury huk sowy, a po nim niedługo ryk szakała, oznajmującego zwykłe, że tygrys w pobliżu się znajduje. Dildar, jak tylko usłyszał sowę, już był bardzo niespokojny, ale kiedy ryk szakała go doszedł, zadrzał i uderzając mnie po ramieniu (śmiałość, której śludzy indyjscy w razach tylko najwyższego niebezpieczeństwa sobie pozwalają), błagał mnie na imię Boże, żebym nie strzelał jak się tygrys ukaże, bo inaczej po nas. Ciemność straszna i grobowa cisza w całej okolicy, przerywana tylko kiedyniekiedy przerażającym rykiem szakała lub hukiem sowy, przejęły mnie także do żywego, muszę to przyznać. Postanowiłem jednak śmiało dać ognia do tygrysa, jeśli tylko blisko podejdzie, licząc na to, że mamy dwie strzelby i podostatkiem innej broni. Niedługo, ty-

grys istotnie przeszedł niedaleko, cośmy poznali po ciągłym jego mruku dochodzącym nas, bo widzieli go nie mogliśmy, z powodu ciemności i gęstwy; w parę minut za nim, odezwał się znów szakał, tuż koło nas, lecz zwierzyńny wyglądanej nie doczekaliśmy się już tej noy.

W parę tygodni może po tym wypadku, robiliśmy z p. Smith, urzędnikiem z Chittah, wycieczkę myśliwską na kilka dni, w okolicie. Cztery woły i kilku ludzi pod dowództwem Dildara, stanowiło nasz orszak, wiozący za nami namiot i inne pakunki. Wyprawiliśmy ich nieco przodem, a sami, zjadłszy śniadanie, siedliśmy na konie i pospieszyliśmy, żeby ich dogonić. Kiedyśmy już prawie mieli się z nimi połączyć, nagle rozległ się okropny krzyk, a za nim przeraźliwe jęki rozpacz i przestrachu; dawszy ostrogi koniom, dopadliśmy do nich właśnie w chwili, kiedy tygrys ciągnął za udo Dildara przez krzaki i zarosłe w głąb lasu; woły, pozrzucawszy juki, rozbiegły się na wszystkie strony; ludzie osłupieli stali jak wryci, nie dając najmniejszego ratunku nieszczęśliwemu. Po chwili dopiero, przyszedłszy do siebie, opowiedzieli nam, że jechali wąską ścieżką między dwoma urwiskami, jeden za drugim, a Dildar na samym końcu; że tygrys wyskoczył z za krzaka i porwał nieszczęśliwego, nie dając mu nawet czasu zawołać o ratunek. I on i wszyscy byli uzbrojeni w kordełasy i oszczepy, ale nie zdążyli zebrać przytomności, żeby ich użyć.

Cwałem popędziliśmy do pobliskiej wsi i zebrawszy czempredżę, ile można było, ludzi z trąbami i innemi instrumentami, puściliśmy się w pogoń, śladem znaczonej krwią biednej ofiary. Po niedługiej jeździe, ujrzałem za krzakiem coś podobnego do leżącego tygrysa; bez najmniejszej rozważy, z zajądłością rzuciłem się w krzaki, odwiódłszy kurek u strzelby, ale byłoby już tylko szczałki pożartego Dildara. Tygrys, nasyciwszy się do woli, skrył się w nadbrzeżne skały, na odgłos naszego zbliżania się. Wnętrznosci i ciało z jednej nogi i uda były już całkiem pożarte. Okropnego wrażenia, jakimem doznał na straszny ten widok, opisać niepodobna; kilkanaście już lat ubiegło od tego czasu, a jednak wszystkie szczegóły tak mi się głęboko w pamięć wryły, że wszystko widzę jakby się to wczoraj dopiero stało. Wszyscy mieszkający okoliczni, wszyscy moi służący, gotowi

byli przysiąc, że sowa wtedy jeszcze, w machaunie, przepowiedziała śmierć Dildarowi.

Dziwilo mnie niezmiernie, że przez trzy pierwsze lata mego pobytu w Chittah, nie widziałem nigdy tygrysa, choć codzień prawie chodziłem pieszo na polowanie, i w najgłębsze zarosła się puszczałem. Później, w ciągu jednego miesiąca, trafiło mi się spotkać pięć czy sześć razy tego zwierza, w tych samych miejscach, w których od tak dawna co dzień się kręciłem. Spotkanie z nim niespodziane może być nader niebezpieczne; sam tego na sobie najlepiej doświadczyłem.

Polując razu pewnego na zające z p. Borret, nie dalej jak o kwadrans drogi od mego mieszkania, zapędziłem się za zającem, żeby mu zająć drogę od lasku, i przebiegając koło krzaka, spostrzegłem tygrysa, który właśnie w tej chwili budził się na odgłos moich kroków. Spojrzał on na mnie straszny wzrokiem. Co się we mnie działo, wypowiedzieć nie jestem w stanie; gdyby się był rzucił na mnie, pewniebym mu nie stawiał żadnego oporu. Po chwili jednak przyszedłem do siebie, i zacząłem się cofać tyłem, trzymając zawsze strzelbę w pogotowiu; długo patrzył na mnie, nie wstając; ruszył się nareszcie ociężałe, i kiedy już stanął na nogi i miał ruszyć, spostrzegłem p. Borret, mierzącego doń z flinty szrutem nabitęj; krzyknąłem żeby na imię Boże nie strzelał; spuścił flintę na szczęście. Wyraźnie nie widział za krzakiem zwierza i przez myśl mu nie przeszło, żeby to był tygrys; pobiegłem do niego, i kiedy na każdy nabój szrutu wbił kulę, tygrys tymczasem powoli szedł sobie dalej; otarł się prawie o służącego p. Borret, który natychmiast zemdlł; przeszedł spokojnie około moich ludzi, juczących konie w tej chwili, najmniejszej krzywdy im nie uczyniwszy. Uważając, że już musi być dość daleko, dałem ognia w powietrze, chcąc go tym sposobem odstraszyć od zasadzenia się gdzie w pobliżu; na wystrzał odpowiedział przeraźliwym rykiem, który kilka razy jeszcze powtórzył, spuszczając się w dolinę. O trzydziestu kroków może od krzaku, pod którym spoczywał tygrys, znaleźliśmy nawpół pożarte ściervo młodego bawołu, i téjto zapewne okoliczności, że czuł się dostatecznie nasyconym, winien byłem życie.

Drugiego raz, taki sam wypadek spotkał mnie w kilka dni później, i od tego czasu do samego odjazdu,

nigdy już nie puszczałem się inaczej na polowanie jak na słoniu.

Kiedyś także polowałem na dziki oblawa. Stałem poza gęstym lasem, z dwoma ludźmi, z których jeden trzymał konia a drugi miał w ręku długą pikę, używaną tu na dziki; wtém ze wszech stron rozlegać się zaczęły straszne krzyki oblawników: dzik! dzik!

Zwróciłem baczność na las, i niedługo dostrzegłem jak coś mknie poza krzakami; ledwiem

odjął fuzyę, a tu sadowi prosto na nas tygrys; śmierć prawie gotowa. Nie tracąc jednak przytomności, przesunąłem się żwawo pod brzuchem konia i stanąłem z drugiej strony; tygrys stanął na kilka kroków przed nami, popatrzał się, nagle zawrócił i znikł w gęstwie. Oblawnicy znaleźli w lesie świeżo zaduszonego i napoczętego dzika. Obadwa te przykłady mogą stanowić dowód na to, że tygrysy z natury są bardzo ciężkie i leniwe, i że tylko głód czyni je strasznymi.

WYOBRAŻENIA TURKÓW O CYWILIZACYI.

Europejczykowi, bawiącemu nawet długo wśród Turków, bardzo trudno zrozumieć i zdać sobie sprawę z pojęć jakie oni mają o postępie i cywilizacyi. W rozmowie z Frankami, jeśli zdarzy się szczęśliwie, że mogą jakim językiem z nimi mówić, mają zwyczaj tak szeroko rozprawiać o swoich wysokich uczuciach, tak wielokrotnie powtarzać, jak gorąco życzyliby sobie korzystać z ich światła, że zwykle słuchający nabierają bardzo pochlebne przekonanie o ich rozsądku i dobrych chęciach. Przytém, żyjąc ciągle między ludźmi i mając z natury dar ogromnej pamięci, doskonale prowadzą rozmowę, którą przeplatają tysiącem anegdot, przypowieści i maksym, bardzo powszednich zapewne na Wschodzie, ale dla nas mających wielki powab naiwnej oryginalności, co sprawia, że nie jeden musi ich uważać za ludzi wcale nieograniczonych i zdolnych. W istocie jednak rzecz się ma inaczej, i daleko jeszcze do tego, żeby byli na tak pięknej drodze jak się zrazu zdaje. Najprzewrotniejsza obłuda jest główną cechą wychodzenia ich z Europejczykami; zabobonna i głęboko wkorzeniona pogarda ich dla Franków, jakkolwiek musiła nieco uchylić głowy przed żelazną wolą Mehmeda-Alego, tak jednak jest wielka, że stawiła nie raz zacięty opór egipskiemu władcy.

Uważają to za jakieś niezrozumiałe zrzęczenie fatalności, którego wytłumaczyć sobie nie umieją, że giaurowie Frankestanu w wielu kunsztach,

sztukach i naukach wyżej stoją od wiernych; nie zaprzeczają temu jednakże. Od dość dawna już wielu rządców, w których ambicya przytłumiła wstręt do obczyzny i nowości, Franków wskazuje Turkom za wzór do naśladowania, nie we wszystkim jednakże, a w tém tylko, co uważają za korzystne dla nich i niegrożące karą Gehenny (piekła) w przejmowaniu od niewiernych i Johood'ów (żydów). Po długim rozmyślaniu, doszli do tego wypadku, że zwycięztwa nasze w wojnach i pomyślność w pokoju, muszą być nieodzownie w jakimś stosunku z siedzeniem nie na ziemi, a na krzesłkach, i z zapijaniem szampana. Podług nich, niebłahą przyczyną znakomości marynarki angielskiej jest to, że Angliey piją dużo herbaty i rumu i jedzą kartofle; nie czemu innemu winni i zdobycie Indyj Wschodnich. Dawniej, jeździć konno, rzucać dzirytem, celować zręcznością i zwinnością ciała, należało do najważniejszych przymiotów dzielnego i ukształconego męża; teraz zwyczaj ten nie mogą stanowić chluby, bo Frankowie mający tyle wyższości nad Muzułmanami, nie rzucają dzirytami i wolą jeździć w powozach, niż na najpiękniejszych arabskich dokazywać po ulicach Kairu i Alexandryi, ku wielkiej trwodze i niebezpieczeństwu tłumiących się tam Arabów, Koptów, Jahoodów.

Te i tym podobne myśli płaczą się i gmatwają po głowach wiernych poddanych Jego Wielkości

Pady-Szacha. Niema najmniejszej wątpliwości, że większa ich część tajemnie bardzo złem okiem patrzy na wszelkie zbliżenie z Europejczykami; u dworu jednak uważa sobie za dyplomatyczny obowiązek, zupełnie przeciwne wyjawiać uczucia. Mają oni przekonanie, że Sultan brzydzi się chrześcianami, i nienawidzi ich (co może jest i niemyślne), i jakkolwiek z konieczności musi czasami stosować się do ich zwyczajów, jak na przykład: pijąc wino dla podniesienia sił umysłu, tyle mającego do dźwignia; to jednak nie w świetle nie zdoła go nakłonić do włożenia na siebie ciężkich spodni lub użycia na pokarm kartofli, co uważają za kary herezykom zadawane w piekle.

Jakiś szlachcic turecki, znany powszechnie ze swęj prawowierności i pierwotnej czystości obyczajów, będąc kiedyś w Alexandryi, za bytności Kapudana-Baszy, przyslanego z misją od Sultana do Jego Wysokości Mehmeda, poszedł do pałacu vice-króla, umyślnie, żeby nasycić prawowierność oczu pożądany widokiem prawdziwego Osmanlina. Siedząc sobie na niskiej sofce, w kącie sali, pilnie przypatrywał się wszystkim wchodzącym i zbliżającym się do Baszy. Nie znając wcale Halilla, wielkiego admirała tureckiego, wyobrażał go sobie jako Moslemina stariej daty, z poważną twarzą, w ogromnym turbanie, z brodą długą i szeroką jak ogon komety. Nie spostrzegając nikogo podobnego w sali, i widząc, że Mehmed-Ali z wielkiem zajęciem długo już rozmawia z jakimś jegomością w niebieskim fraku, w białej kamizelce, białych spodniach i dużym fezie z sutym kutasem, — zgorzszony takim widokiem, mruczał sobie pod nosem zwykłe słowa wezwania wiary Muzułmanów: *da Allah ul Allah!* Niema Boga jak Bóg, a Mahomet jego prorok.

Ciekawy do najwyższego stopnia, nie zapytał jednak nikogo z otaczających go blisko Turków, kto-by był ten człowiek, z którym Basza tak długo rozmawia, bo oburzała go sama myśl rozmowy z odszczepieństwem; wszystkich zaś należących do orszaku Baszy uważał, jak i jego samego, za odszczepieństwów. Ciekawość nareszcie przemogła za-bobon; zwracając się więc do podłygego Turka, smutnie jakiś przypatrującego się scenie, zapytał go: — „Powiedźcie mi Ago, coto za obrzydliwa istota, z którą z takim zajęciem rozmawia Mohamed-Basza, namiestnik Kalifa?”

— Na duszę wielkiego proroka! odrzekł Turek, czyś się chował dotąd w jaskini Siedmiu Braci śpiących? Kto słońcu złorzeczy, własną brodę kała! Proś Boga żeby ci twój język odjął. Toć to Halli, wielki admirał niezwycięzonej floty Pady-Szacha, a ty się o nim tak wyrażasz!

— *Kłópe ci!* Za kogo mnie masz, czy za psa, zawołał Kairoczyk, że chcesz mnie tak ohydnie zwodzić, nazywając tego nawpół nagiego giaura wielkim admirałem Pady-Szacha.

— Mądrość i starość, powiada przysłowie, na jednym osle jeżdżą. Tyś już stary, przyjacielu, a język masz głupi.

— Prawdę mówisz, odrzekł Kairoczyk, jeśli to nie sen co widzę. Któżby mógł przypuścić, że prawdziwy Osmanlin przebierze się kiedy jak niewierny Frank. Ale kiedy tak mówisz, oczy muszą wie-rzyć. Ja myślałem, że Pady-Szach Mohamedowi-Baszy tylko pozwala przemieniać Osmanlinów w lalki z golemi brodami.

— Co ty wygadujesz! na to Turek; zapomniałeś, że jesteś w pałacu Baszy? Człowiek rozsądny nie powinien puszczać na wiatr myśli swoich, jak Beduin wielbłądy. Jeśli masz ochotę porozmawiać swobodnie o tém wszystkiém, to proszę cię do siebie.

Na drodze z pałacu spotkali się dwaj nasi starzy z Osmanem Agą, ulubieńcem Jego Wysokości, najzaciętszym obrońcą nowych zwyczajów, i koryfeuszem tak zwanego postępu. Był on obecnym na radzie Baszy z admirałem, i wracał teraz do swęj willi za miastem. Po przywitaniu uprzejmóm z Hassanem Effendi, zaprosił go wraz z towarzyszem, którego uważał za jego przyjaciela, na biesiadę do siebie; polityka nie pozwoliła odmówić ulubieńcowi, choć niebardzo w porę się wybrał, bo nasi prawowierni palali chęcią wynurzenia sobie wspólnych uczuć.

— Na zbawienie duszy mej!

— Niech dusza moja będzie zbawioną! wykrzyknął Hassan Effendi, szczęśliwa gwiazda zaświeciła memu domowi. Osman Aga, brylant dworaków, me-cenas giaurów, łaską mię swą zaszczyca; ja, roba-czek w uchu słońca, dalej pod jego opieką znajdę, jakby sam potrafił, choćbym jeszcze cztery nogi miał.

— Daj pokój tym tureckim komplementom, i chodź prędzej. Czas już porzucić ten język. Pośpieszajcie, nie żałujcie koni; muszę wam pokazać moje krzesła angielskie, zastawę do herbaty, siódła, urny i birmingamskie noże, widelce i łyżki.

Hassan i jego towarzysz przygryźli sobie usta, i pierwszy uroczyście wyrzekł słowa:

— Bóg jest miłosierny! spodziewam się, że nie porzucisz dawnych obyczajów wielkiego proroka, dla potępionych giurów i jahoodów.

— I nasz prorok, odrzekł Osman, nie siadałby na ziemi, gdyby znalazł krzesła.

— Nasz prorok! Wielki Boże! zawołał Turek, przekleństwo tym, którzy się sądzą równymi mu w mądrości.

— Potem o tém, odpowiedział Osman wesoło, a teraz spieszyń, karetka czeka na nas. Pospieszyliz tam do dzielnicy Franków, gdzie Osman napróżno ich namawiał, żeby z nim wsiedli; uważali to bowiem za nieodpowiednie powadze Islamizmu.

Po przybyciu na wille, wprowadził ich gospodarz do pięknego pokoju, urządzonego ile możności na angielski sposób; zdobiły go bogate sprzęty z drzewa różanego, bruxelskie kobierce, sofy, zwierciadła i kosztowne obrazy. Osman podał im krzesła, a kiedy zasiedli, zaczął rozmowę zachwycając się nad pięknościami ogrodu i widoków. Goście długi dość czas znosili z wysiłkiem całej cierpliwości i rozmowę i nieznośną dla siebie pozykę na stolikach. Nie stało im nareszcie obudowem cierpliwości, zerwali się razem na równe nogi, i wrzasnęli zgodnie:— A, na imię Allah! czemuś pasiesz nasze uszy? zachwycaasz się nad kilku nędznymi palmami; tyle lat żyjesz w Egipcie, i dopieroś teraz się dowiedział, że daktyl to nie ogórek? Na brody nasze przysięgamy, jeśli nie porzucisz natychmiast tej mowy i obyczajów, dusza twoja próżno dręcząc się będzie w piekle dowodzeniem, że Nil piaskiem a nie wodą płynie.

Na taki wybryk niegrzeczności, Osman, uważając sobie za wysoki stopień ukształcenia zachwycał się naturą, i wszelkimi siłami chcąc dowieść swęj wyższości nad nimi, z zimną krwią odpowiedział:

— Nie wszystkie palce równe u rąk naszych. Para nowych pantofli, albo para szczypcyków do wyrywania niepotrzebnych włosów z brody, więcej-

by może wzbudziły w was zająęcia, niż najpiękniejszy widok natury! Muł, z domu nieruszający się, zawsze za mądrzejszego się ma, od wielbłąda, wędrującego po pustyniach. W Frankestanie zienieniejące lany, wzniosła góra, jezioro lub rzeka zdolne są zachwycić mądre umysły. Ich muftowe nawet, których obowiązkiem jest tylko myśleć o niebie i raju, piszą księgi o pięknościach rzek i gór.

Cała ta mowa widocznie była skierowana do Hassana Effendego i porównanie z mulem, tak go ubodło, że nie mogąc wstrzymać gniewu, zawołał:

— Allah! jakież mnie przezwiał Osmanie! broda twego ojca nie bielsza od mojęj! a ja mam być mulem? potomkiem brudnego osła, którym i giury nawet gardzą, choć ciało swe wieprzowiną żywią.

— Ależ, Hassanie, złeś mnie zrozumiał; ja chciałem tylko oddać ci pod sąd rozum Franków. Kiedy ci się to nie podoba, dajmy pokój temu przedmiotowi.

— Hej! Kafoar! zawołał kleszcząc w dłonie, gdyż dzwonka jeszcze u siebie nie zaprowadził, przynieść tu dla panów kobierce i poduszek podostatkiem.

Rozmowa zwróciła się szczęśliwie inną drogą, i dobroczynny wpływ tytoniu Gebeli i kilka finianów (fliżanek) mokki, wprowadziły wszystkich w dobry humor. Niedługo podano wieszczkę, do której Osman zasiadł po europejsku, dwaj zaś jego goście, gardząc nowością, pozostali na ziemi, i po dawnemu palcami jeść zaczęli. Po wieszczce podano szampana; z początku, Hassan i jego towarzysz z zgrozą patrzyli na wino, tę *matkę wstyłskiego złego*. Ale Osman, wiedząc dobrze, że sumieniomu ich byle jaki pozór wystarcza, zaręczył im, że szampań nie jest wino.

— Wino wyrabia się tylko w Portugalii, i do niego wchodzi mieszanina rozmaitych rzeczy. Ale ten napój, to jest najczystszy sok z owoców. A któż kiedy powiedział, że grzech jest pożywać owoce? Prorok nasz je jadł, a przecież nikomu nie przyjdzie do głowy mierzyc się z nim w świętości. Widziałem sam tysiąc razy, jak się szampań robi. Widzicie zatem, że każdy Muzułmanin nie tylko może go pić, ale powinien, bo inaczej widocznie chciałby się wywyższać nad proroka. Ale jest jeszcze druga i głównie ważna przyczyna, dla której Muzułmanie powinni pić ten napój, to jest, że on daje Francu-

zom tę wyższość w sztukach i naukach, jaką niezaprzeczenie posiadają. U nich żaden człowiek, dopóty nie jest w stanie nic wielkiego i sławnego zrobić, dopóki nie wychyli kilka szklanek szampana; wtedy oczy mu się roziskrzają, policzki rozpalają, i wyższy duch w ciało jego wstępuje, a przed oczy zstępuje raj ze wszystkimi huryskami. W takim natchnieniu przychodzą mu najwyższe pomysły, wynalazki i idee, stanowiące postęp nauk i sztuk. Wymyśla najzawilsze maszyny; puszcza okręty bez żagli na morze; wynajduje misterne domki, w których wygodniej jak na najwyborniejszym koniu odbywa w mgnieniu oka ogromne podróże; i to bez koni, bez niczego.

Tak jasne dowodzenie musiało przekonać naszych gości; widząc, że wino chce uciekać z szklanek, przestraszeni z początku, potem co najprędzej wychylali jedne po drugich, i czując w sobie rozkoszne jakieś ożywienie, zgodzili się obadwaj, że ten napój musi być chyba dziełem jakiegoś Dżina (gieniusza, wyższego ducha).

— To nie jeszcze ten napój, nie, odrzekł im Osman, ale ja mam inny, który Anglicy nazwali nawet *gin*, na pamiątkę tego, że dżiny ich nauczyły jak on się robi i używa.

— Allah! dajże nam pokosztować tego cudownego napoju! zawołał Kairezyk. Jeśli on lepszy od szimpina (szampana), to musi być chyba napój samego Haruta i Maruta (dwaj aniołowie w hierarchii zakonu muzułmańskiego).

Kazał więc Osman niewolnikowi przynieść kilka butelek tego cudownego płynu, boskiego pomysłu, i nalał kielichy. Za pierwszym gości znajdowali, że szampan smaczniejszy; dalsze jednak pogodziły ich prędko z ostrym smakiem *dżinu*, który na końcu zachwycającym znajdowali. Daktyle, figi, pomarańcze i inne owoce były zastawiane na stole; zajądają je Hassan Effendi, przypominał sobie o kartofflach, o których wiele słyszał, i zapytał gospodarza czy nie ma przypadkiem z jednej sztuki tego owocu, boby go bardzo pragnął pokosztować. Napróżno Osman przekładał mu, że kartofle muszą się gotować, że surowych jeść niepodobna.

Zagrzany winem i wódką, w żaden żywy sposób nie dał się o tém przekonać.

— Co? gotować owoce? zawoła, Kaffry to czemuż daktylów nie gotują? Nie, ja będę tak jadł jak je Allah stworzył. Niewierni tylko mogą ważyć się poprawiać dzieła i dary boskie.

Osman Aga myślał sobie, czemu się nie ma zabawić, kazał niewolnikowi przynieść na talerz surowych kartoffli.

Turek porwał natychmiast jeden, i zaczął jeść. Za pierwszym kęsem wodnisty a przytém zimny smak tak mu był nieznośny, że musiał co tchu umykać z pokoju, jakby ipekakuany połknął; gospodarz zaś i Kairezyk, na widok jego kontorsyj tak się serdecznie śmiać zaczęli, że nie mogli się ukość, aż do jego powrotu.

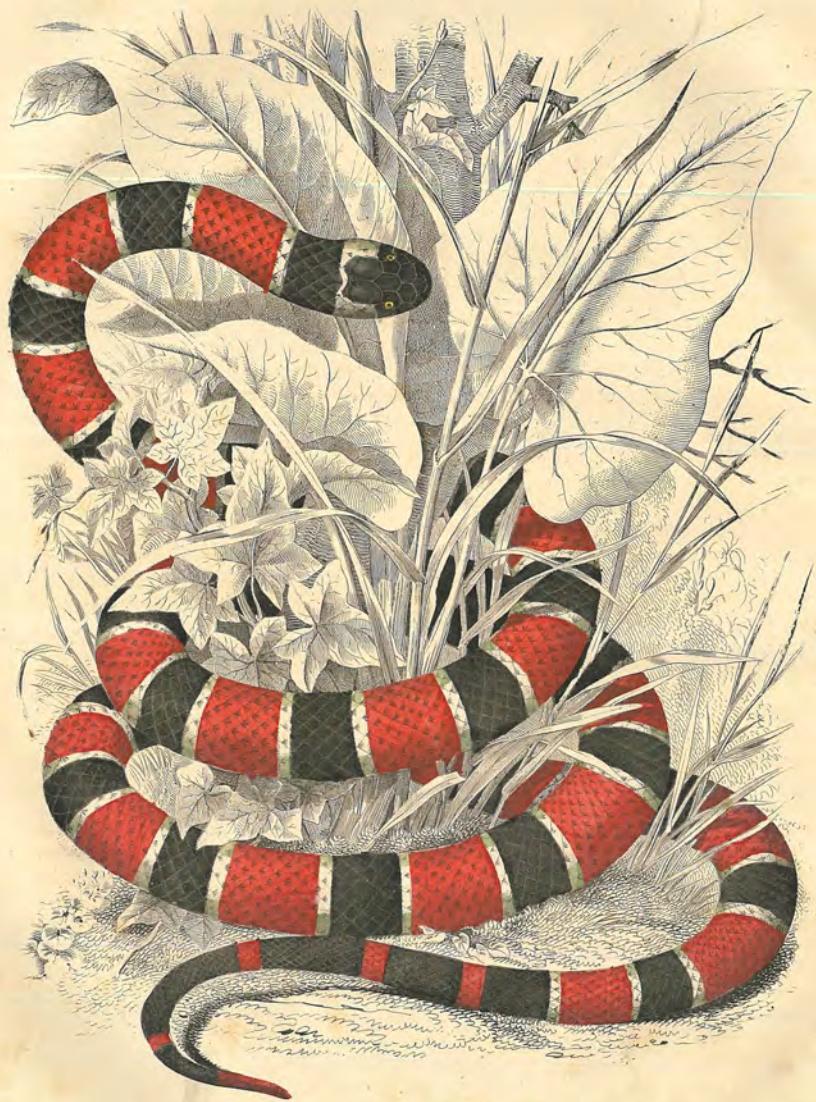
— Przekleństwo wszystkim Kaffrom! z dziećmi, z matkami wszystkichbym popalił, wszystkich! Co to za truciznę dałeś mi Osmanie? To ten owoc ma wznosić i zbogacać umysły Franków? W piekle gorszego nie niema! Jeżeli oni tém się żywią, to przebaczam im, że biją nasze wojska i floty; idą na śmierć z chęcią, bo co za przyjemność w życiu skazanem na takie pożywienie!

— A przecieżem ci powiedział, odrzekł Aga, że ten owoc trzeba koniecznie gotować.

— Gotowany czy niegotowany, na to Effendi, wszystko jedno. Żaden prawowitny jeść go nie może, bo djabełby nim sam pogardził. Ciągłe mnie męczy jeszcze ten przebrzydły smak! Daj mi kieliszek dżinu, może go zatrze; i wierzę mi Osmanie, nie jédz nigdy kartoffli. Może Frankowie mają inne jak my żołądki. Wielbłąd tuczy się ziołami, od których koń zdechłby natychmiast. I bardzo być może, że giauzy, na karę za swoje pogaństwo, skazani są na jedzenie obrzydliwości takić.

— A przecież mają szampana i dżin? zaga-dnął Aga.

— Allah jest wielki! może w nieograniczonym swém miłosierdziu zlitował się nad nimi i dał im szampana i dżin, żeby mogli przelknąć kartofle i popijać po nich.



Ophichthus koralensis

— OBRĄCZKOWIEC KORALOWY.

Rodzaj *obraczkowca* (Elaps) znakomitsi zoologowie, z budowy jego zębów, liczą do węży jadowitych. Cechują go wielkie tarcze na głowie, słabo od reszty ciała odznaczonéj, i niemożność rozwierania obszernie paszczy, z powodu, że kosteczki bębinkowe, a szczególniej piersiokształtne ma bardzo krótkie. Żebra jego także bardzo słaborożnawalne. Łatwo więc daje się odróżnić od Żmij (Vipera), gdyż te mają głowę w tyle rozszerzoną i pokrytą drobnymi tarczami; od okularnika (Naja), którego pierwsze żebra bardzo rożnawalne; od pławicy (Platurus) mającéj ogon spłaszczony, i innych pobliskich rodzajów. Ubarwienie u wszystkich gatunków mniej więcej podobne, obrączkowate, z kąd słusznie, w mowie naszej, nazwisko obrączkowca otrzymał. Żyje on tylko w krajach gorących, podzwrotnikowych, obydwóch lądów.

Do najpiękniejszych pod względem ubarwienia gatunków, bez wątpienia, liczyć się może *obraczkowiec koralowy* (Elaps coralinus) [ob. ryc.] żyjący w południowej Brazylii. Według opisu księcia Maksymiliana Wied, wąż ten miewa od 24 do 30 cali długości; napotykaną bywa w lasach i zaroślach, poczynając od Rio-Janeiro, aż do Paraibo; przebywa niekiedy nawet w bliskości mieszkań ludzkich, w miejscach suchych, szczególniej piaszczystych, pod opadłym z drzew liściem, gdzie jak się zdaje, żywi się mrówkami i termitami. Czy rzeczywiście i ten gatunek obrączkowca jest jadowity, dostatecznie jeszcze się nie przekonano. Wiadomo jednakże, że murzyni i Indianie mało go się lękają, i zabitego noszą dla ozdoby na szyi. Jestto u nich moda, która podobno trudno znalazłaby u nas naśladowców, nawet gdyby przyszło nosić samą tylko skórę, choć ta nieprędko traci blask swych pięknych czerwonych pierścieni. Książę

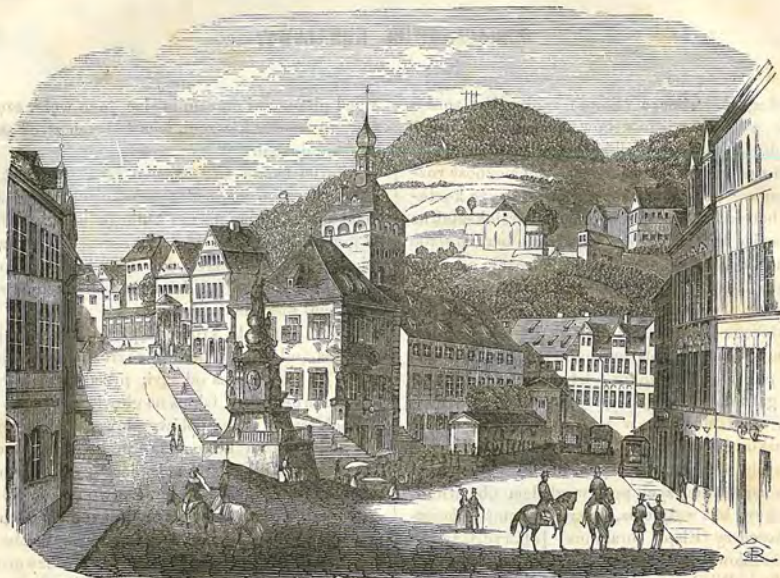
Wied pisze, że i on sam łowiąc tego węża, często żywego nosił w kieszeni, lecz żadnych złych skutków nie doznał.

Główna barwa *Obrączkowca koralowego* jest cynobrowo-czerwona, nader polyskowna, z wyłączeniem spodu, który nie ma żadnego blasku; barwa ta poprzedzielana od 16 do 19 czarnymi obrączkami, szerokimi na cztery lub sześć linii; nadto jeszcze te ostatnie obwiedzione są białozielonawymi wążkami pierścieniami.

Głowa jest mała, krótka, tępa, owalna, przypłaszczona, od tułowa ledwo rozróżnić się dająca, nieco jednak szersza od szyi; przednia jej połowa błękitnawo-czarna, takież na głowie tarcze; po obu bokach tarczy tylnej połowy głowy, idzie zielonawo-biała prążka ku oczom, przez całą spodnią szczękę, a za nią zaczyna się pierwszy czarny pierścień; po nim idzie większy czerwony, i tak dalej, naprzemian czarny i czerwony po sobie następują. Tułów pokrywa wierzchem czternaście rzędów równéj wielkości, gładkich, podługowato-czworobocznych łusek; tarczy brzusznych naliczyć się daje od 194 do 211. Ogon czarny, z ośmiu węższemi, białawymi pierścieniami; wierzchnie łuski na nim są nieco szersze niż na tułowiu; kończy się stożkowato; tarczy ogonowych naliczono 31 do 45 par.

Po obu bokach, w górnej szczękę, ma po jednym zębie, które u innych gatunków bywają rzeczywiście jadowite; u tego zaś wspomniany książę Wied, badając nawet przez szkło osmnaście razy powiększające, nie mógł dostrzedz śladu wydrążenia, i dlatego wniósł, że wąż ten nie jest jadowity. *Bojé* wszakże utrzymuje, że u tegoż samego obrączkowca widział zęby wydrążone. Zęby dolnej szczęki są małe i ostre jak śpilki. Gardziel mała, podobnie jak u innych gatunków tego rodzaju.

A.



KARLSBAD.

W wąskiej lecz nadobnej, z dwóch stron zarosłemi górami otoczonej, a na zachód otwierającej się dolinie, leży nad brzegami rzeki Tepel miasto Karlsbad, odległe od Eger o 6, od Pragi o 15, od Cieplic o 15 mil geogr.; a wyniesione na 1170 stóp paryzkich nad powierzchnię morza. Znane to miasto z swych wyrobów cynkowych i żelaznych, a sławne na świat cały z swych wód mineralnych, tak skutecznych. Obraz całej okolicy jest nadzwyczajnie romantycznym: oko tu sięga szczytów gór okrytych bujną vegetacją; tam odpoczywa na twardych opokach, na których samotne wierzchołki pobożność krzyże wniosła, — tam znów błąka swobodnie po zielonych łąkach i murawach, umajonych woniami kwiaty, aż w najodleglejszej przestrzeni ujrzy niebieskawe szczyty gór olbrzymich, odbijających się jak fantastyczne cienie na

dalekim widokregru; ale nigdy nie znieka się wzrok, gdziekolwiek sięgnie: tyle tu jest piękna, wspaniałą i świeżą przyroda.

Miasto leży w części doliny prawie najciśniejszej; domy jego oparte są po części o blizkie ściany gór.

Historja, a raczej podanie, przypisuje cesarzowi Karolowi IV początek miasta. Dawnemi czasy stał w lesie karlsbadzkim, ku zachodowi, kościół Ś^{go} Leonarda, przy nim wioska i zwierzyńiec. Tutaj polował cesarz r. 1358 i ścigał jelenia, który przez psów szczuty, szybki bieg swój zmierzzył ku wierzchołkowi skały, z niego zeskokczył i uszedł. Pies cesarza, biegąc w trop, nie lękał się zeskokczyć za zwierzyną; pada w dolinę i zaczyna najokropniej skowyczeć, co spowodowało strzelców do szukania go. Znalezione nareszcie

biédnego psa zanurzonego prawie całkiem w gorącym źródle, o którym dotąd nikt nie wiedział. Miejsce to dotąd jest zwane *Hirschberg*, to jest górą jelenią; — znajduje się tuż pod Karlsbadem.

Piotr Beyer, lekarz w mieście *Ellenbogen*, doświadczywszy własności odkrytego źródła, przepisał używanie jego cesarzowi, który oddawna cierpiał na artretyczny ból nogi. Kuracja powiodła się nadzwyczajnie dobrze, i niedługo trwała. — Z wdzięczności dla miejsca dobroczynnego, cesarz wystawił tu zamek, około którego mieszkańcy pobliskich wsi osiedli, a tych obdarzył wielkimi przywilejami. — Kolonia ta otrzymała nazwisko *Karlsbad*, od swego założyciela, i została w r. 1370 zaszczyconą miejskimi prawami. — Roku 1447, cesarz darował nowemu miastu wsie przyległe, *Zwierzyńiec* i *Troniecz*, a roku 1511, rycerz niemiecki *Stempach*, dał mu wieś *Fiszern*. — Mieszczanie nabyli jeszcze inne dobra, i w ten sposób wzrastało bogactwo miasta, aż je nareszcie cesarz *Józef I* w poczet królewskich umieścił.

Przez liczbe ciągle wzmagającą się gości, których sprowadzała z najodleglejszych krajów sława tutejszych wód mineralnych, powiększała się także liczba domów i mieszkańców stałych, tak, że miasto liczy teraz przeszło 500 domów i 3,000 mieszkańców. — Domy są po największej części małe, ale dobrze i wygodnie zbudowane, częściowo nawet wikwatnie urządzone.

Pomiędzy placami publicznymi odznacza się rynek (ob. ryc.), gdzie stoi ratusz, a koło niego statua *Karola IV*. Naprzeciw niego poczta, kancelarya cyrkulu, dwie apteki i mnóstwo innych znacznych domów.

W miejscu najwydatniejszym wznosi się wieża miejska, wybudowana r. 1694. — Miejsce wolne, najwięcej ożywionem jest bez wątpienia tak nazwana *Stara łąka*, która również jak i naprzeciwległa *Nowa łąka*, jest ograniczoną szeregiem domów położonych wzdłuż brzegów rzeki, i odłączoną od ulicy zwanej *Halb-strasse*, tarasem mурowanym z kamiennymi poręczami. Gęsta alea kasztanów i lip ciągnie się wzdłuż muru, zamykającego brzegi rzeki, i cieniem swych liści chłodzi drogę i piękne sklepy, urządzone z wielką wykwintnością, a zawierające wszystkie artykuły mód i przepychu. Nic więcej ożywionego jak owa *Stara łąka* podczas pory kąpielnej: wszystkie narody wysyłają tu co-

rocznie liczny poczet zdrowych, scigających za zabawami, i chorych znajdujących ulgę na widok wszystkiego, co natura wydała pięknem a cywilizacya wydoskonaliła.

Budynki publiczne, przeznaczone dla wygody i rozrywki gości, są tutaj dość liczne. Pomiędzy najprzedniejszymi liczą: salę *Czeską* i *Saską*. Poza pierwszą zaczyna się alea, prowadząca do przechadzek leżących poza miastem.

Jeszcze głośniejszą, jeszcze więcej ożywioną jest tak nazwana *Nowa łąka*, naprzeciwległa *Stariej*. Tu jeźdźcy konni popisują się śmiałością i zręcznością, bogaci panowie pysznymi ekwipażami, modne damy wykwintnością i gustem strojów.

Klimat *Karlsbadu* i jego okolic liczy się wprawdzie do umiarkowanych, jednakże temperatura tutejsza jest chłodniejszą, jak ta, która na płaszczynach panuje; zmiany są częstsze i szybsze, co dokuca nieraz gościom niezabezpieczonym stosownymi sukniemi. Wiatry najczęściej tu wiejące są: północny i zachodni. Na pierwszy miasto jest wystawione najwięcej.

Źródła mineralne Karlsbadu. Starożytność ich użytku, doświadczeniem pięcio-wiekowym nabyta sława, niezmienna młodość ich siła, zapewniają źródłom karlsbadzkim miejsce w rzędzie najpiękniejszych i najważniejszych w Europie. Są one dość liczne; ograniczymy się jednakże na wymienieniu znakomitszych, a temi są:

1. *Sprudel*. Źródło najdawniejsze, najgorętsze i najsilniejsze, temperatury od 59—60° R. Cieplik jest w niem tak mocno do wody przywiązanym, że odpływy źródła wystarczają na oparzanie kur i gotowanie jaj. — Ciało stałe, włożone do wody, pokrywa się warstwą brunatno-żółtą, w ten sposób formują się kamienie grochowe czyli *pisolity*. — Woda *Sprudla* wyrzucana jest ciagliem popychaniami z wewnątrz, na kilka stóp wysokości w powietrze, przyczem rozwija się kwas węglowy i dym wodnisty. Wychodzi jęj z głębi ziemi 26 wiader na minutę.
2. *Źródło Hygiei*, leżące o kilkanaście kroków od pierwszego, jest w użytku od r. 1809, ochronione dachem, spoczywającym na słupach granitowych. Posiada te same własności; wytryska z niego 9 wiader na minutę.

3. *Źródło Bernarda* na lewym brzegu rzeki Toppel; zjawilo się r. 1783. Temp. 55—57° R.
4. *Neubrunnen*. Pił jego wody nieśmiertelny Krasicki; uwiecznił tego pamiątkę poeta nasz T. K. Węgierski następującym epigrammatem:

Ten co kastalskie zdroje czerpał gdy był młody,
Czerpał dziś z tego źródła karlsbadzkie wody.
O wy! bądźcie mu jak tamte skuteczne,
Dajcie mu długie życie, gdy z tamtych ma wieczne.

5. *Mühlbrunnen*.
6. *Spitalbrunnen*.
7. *Theresienbrunnen*.
8. *Schlossbrunnen* czyli źródło zamkowe, w użyciu od r. 1795; znikło nagle w r. 1809, mając 40° R. temperatury; — wróciło jednakże r. 1823 z temperaturą zaledwie do 27° dochodzącą; wzmagą się ona przecież ciągle, i zdaje się, że do dawniej wróci wysokości.
9. *Spitalbrunnen*.
10. *Źródło na rynku*. Zjawilo się dopiero w roku 1838 i nazwane z miejsca w którym wytryskuje.

Prócz tego, znajduje się jeszcze kilka zimnych źródeł kwasowatych, w mieście i okolicy, np. na górze Wawrzyńca, pod pagórkiem kościelnym, na górze Jakoba i t. p.

Pod względem geologicznym okolica zasługuje na największą uwagę. Góry, otaczające Karlsbad, składają się z granitu grubo-ziarnistego — dalej znajduje się bazalt, dzwicznik, migdałnik i inne niezaprzeczenie wulkaniczne utwory, nawet pokład węgla kamiennego brunatnego. — Granit tutejszy obfituje w feldspat.

Wody karlsbadzkie gorące, nie różnią się wcale od siebie pod względem ilościści substancji stałych w nich zawartych; z wspólnego bowiem kotła wszystkie swój początek biorą, i wszystkie dobywają się zpod łoża kamiennego, bardzo twardego, znanego tu pod nazwiskiem *Sprudelstein*, z którego odłamów wyrabiają w Karlsbadzie niezliczoną ilość najrozmaitszych przedmiotów, ktorými goście powracający swych obdarzają przyjaciół. Kamień ten, niejednako kolorowany, ani też w jednostajnych warstwach położony, niczem jest innem jak substancją stałą, straconą z wody mineralnej, zsiadłą i stwardniałą w niezmierny pokład. — To samo dzieje się i w innych miejscach,

np. w sławnych termach Hammam-Muskadin, leżących blisko Konstantyny, w kraju algierskim. Źródło to wytryska z płaszczyzny wapiennej, znajdującej się w środku zielonej łąki, otoczonej gaiściami pagórkami. Na tej płaszczyźnie wapiennej wznosi się wielka ilość olbrzymich głów cukru, z których wierzchołka wytryska woda. Głowy te cukru, doszedłszy do pewnej a zawsze téjże samej wielkości, przestają rość, woda przestaje z nich bić, i inne sobie utwarza wyście, dla zbudowania nowej głowy cukru, a jest ich niezliczona moc.

Pokład kamienny karlsbadzki tém się od innych różni, że jest niezmiernie twardy i obszerny, że się rozciąga pod całą prawie doliną, na której wybudowane jest miasto, że rzeka przebiega po nim na długości 400 sążni, i że gdziekolwiek w nim świadrem dziurę wywierczysz, zaraz zpod niego z ogromną siłą wytryska gorąca woda. — Parcie zgromadzonych pod tą pokrywą gazów jest tak silne, że się nieraz zdarzają wybuchy raptowne, w miejscach niedogodnych, i że natomiast już bijące wysychają źródła. To się stało w r. 1809 w którym źródło Hygiei powstało, a źródło zamkowe wyschło. Dla zapobieżenia tym wybuchom, czyszczą się źródła kilka razy do roku, i wypuszczają nagromadzone gazy za pomocą rur opatrzonych kruczkami; czynią to szczególniej wtenczas, kiedy nagły przypływ wód grozi wybuchem.

Temperatura wody jest w stosunku odwrotnym wysokości z której wytryska; chłodniejszą w miejscach wyniosłych, gorętszą w niskich bliższych swego ogniska. Ilość gazu kwasu węglowego zawartego w wodzie, znów jest w stosunku odwrotnym temperatury: im ta wyższa, tém tamtego mniej, co łatwo pojąć z ułatniania się jego pod wpływem ciepła. Osad zaś miał być tém obfitszy im większe jest ułotnienie kwasu węglowego, trzymającego w rozpuszczeniu części stałe — dlatego téż widzimy jego więcej przy źródłach gorących jak przy chłodniejszych.

Rozbór chemiczny wykazał, że termy karlsbadzkie należą do rodzaju wód alkaliczno-słonych, to jest, że zawierają w sobie znaczną część węgla sody i soli glauberskiej. Berzeliusz znalazł w 16 uncjach (t. j. 32 łyżkach stołowych) wody pochodzącej z głównego źródła, następujące części:

Węgla sody 9,69 granów
Solanu sody 7,97 „

Siarczanu sody	19,86	granów
Węglanu wapna	10, 05	„
Fluoranu wapna	0, 02	„
Węglanu magnezji	1, 36	„
Krzemianu	6, 57	„
Węglanu żelaza	0, 02	„

przyciem kwasu węglowego 11, 85 cali kubicz.

Woda ta jest przezroczystą i bezkolorową, smaku słonego, ługowego, zwierzęco-ndłego, wiele podobnego do rosolu z gołębia lub kurczęcia, dobrze słonego. — Zapach wody także jest zwierzęco-ndły i to w miarę jej temperatury, i w tym stopniu, że się w bliskości źródła zdaje jak gdybyśmy byli w bliskości kuchni, w której się gotuje mięso. — Woda, wystawiona przez czas niejaki na działanie powietrza atmosferycznego, staje się mętną, jakby mleczną; jej powierzchnia pokrywa się skórka biaława, a na spód naczyńa opada osad żółto-brunatny. W samej wodzie pozostawionej na powietrzu, tworzą się z wielką szybkością myrady drobniotekich istot zielonkowych, które tylko za pomocą bardzo czułego mikroskopu dojrzeć można.

Woda z chłodniejszych źródeł czerpnięta szklanką, rozwija kwas węglowy w kształcie perełek czyli baniek powietrznych.

Wątpliwości nie podpada żadnej, że wody karlsbadzkie są jedyne w swoim rodzaju, i że wieleby cierpiała ludzkość, gdyby one miały zagać przez jaką nieprzewidzianą rewolucję ziemi; — zastąpiły ich nie mogły ani wody maryenbadzkie, dość do nich zbliżone kompozycją, ale nie temperaturą — ani też wody z Vichy w Auverni, które temperaturą nie wyrównują karlsbadzkim, a kompozycją ich o wiele różną.

Skuteczność wód karlsbadzkich jest tak oczywista, że sławy ich od pięciu wieków nabytą, żadne inne wody nowszej wziętości i mody przyjąć nie zdołają. — Uczony i sumienny Hufeland przytacza jeden przypadek, który i największemu niedowiarkowi nie pozwoli wątpić o nadzwyczajnej sile rozpuszczającej wód Karlsbadu. Jeden pan, złamawszy sobie nogę i wyleczywszy się doskonale z tego złamania, pojechał do Karlsbadu dla pozbycia się zastarzałego reumatyzmu; pil tutejsze wody, ale pod ich wpływem substancja nowęj formacyi, łącząca końce złamanej kości tak zmiękła, że się ruchomą stała. Musiał tedy przestać używać wód

karlsbadzkich aż do zupełnego stwardnienia miejsca złamanego.

Sposób używania wody karlsbadzkiej jest dwójaki: wewnętrzny i zewnętrzny, lubo ostatni jest daleko mniej powszechnym. — Przy picu tej wody, pierwszy skutek daje się czuć w żołądku i кишczach, w których rozpuszcza nieczystości, i które pobudza do czynności, bez osłabienia ich, jak to czynią inne środki rozwalniające. — Również silnie działa ona na wątrobę, nerki i na skórę; zmienia soki w swych stosunkach mieszalnych, ścięcza je, oczyszcza i zobojętnia kwasy; rozpuszcza przez wzbudzanie wysysywania (resorbeyi) napływy, opuchnienia i stwardnienia wszystkich organów brzucha i jego naczyń, przez co staje się nadzwyczajnie dobroczynną w hemoroidach i podagrze. — Czyści przyciem masę krwi, oswoobodzając ją z substancji ostrych, różnymi drogami; również skutecznie działa na skamieniałości znajdujące się w żółci, nerkach, pęcherzu — na żwir i piasek w urynie, na stwardniałości artrytyczne. — Osoby mające usposobienie flegmatyczne, zmuszone prowadzić przy wielkiej pracy umysłowej życie siedzące, przez co nabywają niestrawności, zatwardzenia i zaślamowania, odnoszą wielką korzyść z używania wód karlsbadzkich. — Leczy ona wszystkie chroniczne cierpienia organów do strawności służących, pochodzące z słabości i nieczystości tychże, a wyjawiające się nieczystościami, zaślamowaniem, zgęszczeniem żółci, brakiem apetytu, odbijaniem, ścisaniem żołądka, chronicznymi wymiotami wody lub pokarmów, zgagą, puchnięciem lub poczynajacim się twardnieniem organów brzusznych. — Wody tej z dobrym skutkiem używają także osoby cierpiące na skutki nieregularności, zaszlach z przyczyny zatrzymania się biegu krwi w jakim organie, jakoto: na wezbranie krwi do głowy, na zawroty, na tętnienie w uszach, na bicie serca i ciężkość oddechu; — nakoniec, służą także przeciw nabrzmiałościom gruczołów, chorobom chronicznym skóry, wrzodom żrącym i t. d. Na szczególną wzmiankę zasługują pewne choroby nerwowe, spowodowane zatwardzeniami w organach brzusznych jak np. Hypochondrya, Hysteria, choroby duszy i umysłu, kureze i t. d., a nakoniec i porażenia poczynające się ślepotą amaurotyczną, podwójne widzenie, głuchota i omyłki zmysłów, jeżeli teje samej przyczynie winne swój początek.

Szkodliwymi mogą się stać wody karlsbadzkie: 1^{mo}, przez za długie użycie tychże. Pite w wielkiej ilości, są one w stanie rozciągnąć skutek rozpuszczający na cały organizm, i sprowadzić stan do skorbutowego bardzo podobny. 2^{do}, Jeśli używane są przez osoby krwiste, skłonne do zapaleń i krwotoków; lub też przez osoby z nadto osłabione na nerwach i mięśniach, przez utratę soków, przez wypięcenie się szlachetnych organów. Osoby do suchot skłonne, lub na serce i wodną puchlinę chorujące, powinny unikać tych wód.

Ostrożność wymaga aby woda karlsbadzka która tak jest *heroiczną* i szybko działającą, że w krótkim czasie pomódz, a zatem i zaszkodzić może — nie była nigdy używaną, jak za radą świadomego rzeczy lekarza, umiającego poznać usposobienie pacjenta, i znajomego w najdelikatniejszych odcieniach działalność wszystkich źródeł Karlsbadu.

Kuracja rozpoczyna się zwykle używaniem wód chłodniejszych, więcej rozwalniających, których się pije codziennie po 4 do 6 kubków — potem przechodzi się do gorętszych, do Neubrunnen, a nakoniec do Sprudla. — Powoli i ostrożnie pomnaża się liczbą kubków, których można pić do 12, w odstępach kwadransowych i w ciągłym pozostając ruchu; przy końcu kuracji schodzi się znów na początkową dosis. — Najczęściej pije się rano, wyjątkowo tylko wieczorem. Słabsi mogą pić pierwszą szklankę w łóżku. W razie zatwardzeń, które się często w pierwszych dniach zdarzają, dobrze jest zażyć kilka łyżeczek soli karlsbadzkiej, którą otrzymuje się przez wyparowanie wody mineralnej. Osoby słabowite, dzieci i damy delikatniejsze, osobliwie kiedy płuca nie są w zupełnie dobrym stanie, powinny ile możliwości poprzestawać na użyciu źródła Theresyi i zamkowego, i pić wodę pół napół z mlekiem. — Bezzasadną zupełnie jest obawa, że woda Karlsbadu nadwęża zęby.

Dyeta bardzo ściśle musi być zachowaną podczas całego ciągu kuracji — wszystkie potrawy tłuste, kwaśne, wzdymające i niestrawne, powinny być zaniechane. Wstrzemięźliwość zaleca się we wszystkim; — nieraz trudno przychodzić poddać się tym prawdom, gdyż woda bardzo pobudza apetyt. — Wieczorem trzeba poprzestawać na kilkunastu łyżkach zupy, zwaną sprudlową. Kto jest przyzwyczajonym do lekkiego wina, może go pić kilka kieliszków najwięcej; każde bowiem zagrzanie przy

drażnieniu które wzbudza woda, stać się musi szkodliwem. — Największej liczbie chorych nie służy sen po obiedzie. — Osobom łatwo się zrażającym, radzę walczyć przeciwko wstrętości który pierwsze kubki wody mineralnej zwykły wzbudzać; wstręt ten, gdyby nawet był połączonym z wymiotami, wkrótce znika gdy się mu nie poddamy bezsilnie. Często nawet chorzy doznają znużenia i omdlenia w ciągu kuracji, lecz i to nie powinno ich upoważniać do zawieszenia samowolnego tej kuracji; niech nieczem nie przeszkadzają pojawieniu się przesiłen krytycznych, które rzadko wychodzą na jaw przez skórę, w kształcie swędzącej wysypki, ale częściej przez stolce szczególniej siły i natury. Złe jest przyspieszać te przesiłenia środkami gwałtownymi, złe także jest rozpaczając gdy nie nadchodzą dość śpiesznie; niejedyn chory opuszcza Karlsbad pełen rozpacz, że kryzys nie nastąpiła, gdy, powróciwszy do domu, ona się nareszcie wyjawia, i kuracja o której już zwątpiono, szybkim następuje krokiem.

Czas potrzebny do kuracji nie może być ograniczonym. Cztery do sześciu tygodni, przy zakreśleniu chorobach jeszcze dłużej. Czasem wypada przerwać na tydzień używanie wody, aby dać organizmowi sposobność zdobycia sił dostatecznych do uzupełnienia kuracji.

Kąpiele nie można wszystkim zalecać, z nadto bowiem silnie działają. Osoby cierpiące w skutku przerwaną artryzys, na sztywności, narosła, ściągnięcia, nabrzmiałości, stwardnienia artrytyczne, odnoszą z użycia kąpiele wielkie dobrodziejstwa. Temperatura ich nie powinna przechodzić 20° R., chorzy mogą w nich zostawać stopniowo od kwadransu do dwóch godzin. — W domu zwanym Sprudelhaus, znajduje się doskonały zakład łazieny z aparatem do brania *douszy*; podobne mniej wykwinne zakłady zawiera Szpital, dom zwany Mühlbadhaus, i inne domy prywatne. — Łażnia parowa umieszczona jest w kolumnadzie źródła Hygiei. — Woda źródła Bernarda używana jest w postaci *dousz* i *szprycowań* do wielu chorób miejscowych, mianowicie chorób *ócz*. — Kąpiele szlamowe zaś w innych jeszcze wyjątkowych przypadkach.

Kuracja uzupełniająca skutek wód karlsbadzkich może być potrzebną artrytykom, którym radzę jechać do Cieplice; w innych przypadłościach wody

maryenbadzkie lub francensbadzkie służą lepiej. — Wód jednakże wzmacniających, żelaznych, należy się ile możności wystrzegać.

Mieszkań można dostać we wszystkich cenach i rodzajach w hotelach i domach prywatnych. Część wielka mieszkańców żyje prawie wyłącznie z przyjmowania gości, którzy od końca maja aż do końca sierpnia, podczas kiedy łagodniejszy klimat w dolinie panuje, zewsząd się tu zjeżdżają, aby sobie wyblagać zdrowie od dobroczynnych ninf źródłanych.

Życie towarzyskie uprzyjemnia pobyt w Karlsbadzie. Znajomości kojarzą się tu łatwo. Leży to w naturze chorego, że znajdzie ulgę i pociechę tam, gdzie widzi że nie sam jeden cierpi, i że polubi swego bliźniego dlatego, że razem z nim cierpienia znosi. Przy źródle, które stało się przyczyną znajomości, tworzy się często grono przyjaciół które używa razem wszystkich zabaw i przyjemności. —

Zabaw nie brakuje w Karlsbadzie, choćby ktoś mógł mniemać, że te nie mogą mieć wiele uroku dla wielu gości, którzy przybywają tutaj w stanie zdrowia bardzo nadwreżonym; jednakże, sława pięćcio-wiekowa wód, coroczne, codzienne prawie kuracje tu wykonywane, ożywiają chorych takim zaufaniem, że nie zważając na długoletnie cierpienia, żyją jedynie nadzieją wyzdrowienia, i odwiedzają w gronie towarzyszków niedoli teatr, koncerty, akademie muzyczne i te liczne widowiska, które się tutaj podczas pory kąpielnej skupiają. — Inni przepędzają wieczory na balu, i jeżeli sami nie tańczą, cieszą się przynajmniej widokiem pięknych tanecznic.

Spacery i wycieczki. Zdaje się istotnie, że natura, która wycisnęła na okolicach Karlsbadu piętno wielkości i szczytności, która ozdobiła w labiryntowych zgięciach wijącą się dolinę tyloma pięknymi punktami oparcia dla zdumiałego oka, — zdaje się, że natura chciała wskazać ile jest potrzebnym ruch użytkowi tych źródeł, i jak dobroczynnie on

wpływa na skuteczność wody. — Wszystko tu jest w ciągłym ruchu i biegu — jedni konno, drudzy w pojazdach, inni nawet w lektykach. Mineralog znajduje tu wszędzie szerokie pole do zbogacenia swych wiadomości i swych zbiorów; botanik spotyka nieprzebrane skarby w obfitę i pięknej Florze.

Wszystkie, góry otaczające dolinę, kryją w swych ścianach, wąwozach i przepaściach niezliczoną moc najpiękniejszych rajów, które nie sposób tu opisać, trudno nawet wymienić bez znudzenia czytelnika. Wszystkie drogi, jakie tylko tu istnieją, prowadzą do jakiegoś niespodziewanego siedliska szczęścia i rozkoszy.

Odleglejszych wycieczek celem jest wieś Hammer, fabryka porcelany, wieś Aicha, sławna zamkiem i smaczniemi pstrągami. Nie można opuścić okolicy bez zwiedzenia skał zwanych Hanns-Heiligs-felsen, leżących w najdzikszej okolicy a sławnych z legend. Każdy z bloków skalistych ma swe nazwisko; tu kościół, tam mnich, goście weselni, kaplica, zamek i t. d., bawią one swem podobieństwem i dziwacznością kształtu. Ztąd można z łatwością dojść pieszo do miasta cyrkularnego Ellenbogen, leżącego w bardzo romantycznym miejscu; warto zwiedzić zamek tutejszy. — O milę ztąd leży w dzikiej, górzystej, przepaściami zdradliwej okolicy, miasteczko słynne z kopalni ołowiu i cynku Schlackenwald. — Dwie mil od Karlsbadu, w bok traktu pragskiego, leżą na szczycie spadzistej skały ruiny potężnego zamku, wzniesionego niegdyś, jak podanie zaręcza, przez dwie księżniczki angielskie buntem poddanych zmuszone do ucieczki. — Szwedzi spustoszyli zamek w r. 1635, i odtąd leży w gruzach, tylko widok pyszny jest w stanie wynagrodzić gościom trudy poniesione w odwiedzaniu tego miejsca.

Odsloniwszy czytelnikom nieprzebrane bogactwa Karlsbadu, opuszczamy miejsce to cudowne i dobroczynne, z szczerem życzeniem, aby błogosławione jego źródła nigdy nie przestawały płynąć dla cierpiących.

D. T.

SOBÓTKI.

W Krakowskim do téj pory utrzymuje się zwyczaj palenia ogni po polach, na Zielone Świątki, a ognie te wieśniacy nazywają *sobótkami*. Jestto zabytek z czasów pogańskich; trudno przecież doćcie dzisiaj, czy tym sposobem Sławianie oddawali cześć jakiemu bóstwu, czy, jak utrzymuje *Bandke*, za przykładem uczonego *Józefa Dobrowskiego*, znaczyło to oczyszczenie grzechów przez ogień. Nie znając znaczenia i początku tego zwyczaju, lud w Krakowskim zachowuje go ściśle, a zaboboni przypisują sobótkom moc odwracania zarazy i chorób od bydła. Przypuszczając należy, że zwyczaj ten za czasem odstąpił od pierwiastkowego znaczenia; być wszakże i to może, iż dzisiejsze mniemania wieśniaków, lubo tylu wiekami od czasów pogaństwa oddalone, zostają z niemi w jakimś związku. Może Sławianie czynili cześć i ofiarę jakiemu bóstwu, opiekującemu się trzodami. Wprawdzie krytyka historyczna wyświecać winna podania gminne, gdy jednakże niema nic pewnego w tym względzie, domysły i przypuszczenia muszą wystarczyć za rzeczywistość. Za wprowadzeniem chrześcijaństwa, wzięto się zapewne do zagładzenia najmniejszych nawet pamiątek dawnéj wiary, aby lud tém rychléj i snadnieć nakłonić do przyjęcia Chrystusowéj nauki. Najbieglejszego nawet badacza oko nie dopatrzy przeszłości dziewięciu wiekami przywalonéj. Podajemy tu jednak krótki opis tego obrządku z dawnych czasów. (*)

(*) Według dawniejszych pisarzy, odbywać się to miało w wilią Ś. Jana: *Marcin a Urzędowa* pisze: W wilią Ś. Jana, niewiasty ognie palily, tańcowaly, śpiewaly, diabłu cześć i modły czynily; tego obyczaju pogańskiego dotychczas w Polsce nie chcą opuszczać, odharowanie z bytley czyniąc, wieszając po domach i opasując się nią, czynią sobótki.

Kochanowski zaś mówi:

Gdy słońce raka zagrzewa,
A słowik wiewiór nie śpiewa,
Sobótkę, jako czas niesie,
Zapalono w Czarnymlesie....

Tak to matki nam podaly,
Same także z drugich miały,
Że na dzień Świętego Jana,
Zawždy Sobótką palana.

W dzień Zielonych Świątek, pod wieczór, gdy się już zmierzchać zaczyna, na nieprzejrzanéj okiem przestrzeni, zapalają ogni tysiące. Bliższe odbijają się w siwych falach Wisły, dalsze ścigają się pod Karpaty, tak, że cała ta przestrzeń, ku górze się podnosząca, wydaje się jakby zasiana gwiazdami. Miejscami jedno ognisko, to znów dwa, trzy razem, nadzwyczaj miły widok przedstawiają. Przecudne panorama przedstawia na kilka mil rozległa okolica, zasiana sobótkami, zwłaszcza przy świetle księżyca. Ognie te przez parę godzin palą. Zazwyczaj pęk słomy zapalonéj zatykają na żerdzie, i na tém się kończy cały obrzęd; ale trzeba widzieć sobótki, żeby uwierzyć, jak wspaniały widok sprawiają. Powtarza się to przez kilka wieczorów. Gdzieindziej znów palą ognie ze słomy, i co zławsze parobki skaczą przez nie.

Dodajemy tu jeszcze krótki opis sobótki, wyjęty z *Dziennika Wileńskiego*: „Uroczystość ludów sławiańskich, znana w różnych plemionach pod różnemi nazwiskami, sięga najdawniejszych czasów, a w niektórych stronach trwa dotąd. Przypada 24 czerwca. Mieszkańcy jednéj lub kilku osad, gromadzili się w pewne miejsce, nakładali wielki ogień, i tańczyli koło niego; śpiewali, czynili rozmaite wróżby, to skacząc przez płomień, to wianki na wodę puszczając. Byłyto istne sławiańskie igrzyska, lub święto ognia, odziane tajemniczą uroczystością religij, i całym urokiem poezyi. Opisał je Kochanowski: Zdaje się, że sobótką, w czasach przynajmniej dawniejszych, znaczyła to samo; co późniejszy wyraz obcy: wigilia. Sobota była dniem poprzedzającym największe święto, jakim jest niedziela; logicznie zatem nazwano dzień pod mniejszemi świętami sobótką, czyli małą sobotą mniejszych uroczystości.”

Inni wprowadzają to nazwisko od *Sabot*, bożka Słazaków, czczonego na górze *Sobota* (Zobtenberg). Kolląty sobotę nie z hebrajskiego *sabat*, ani od bożka wywodzą, ale od wyrazów *sobie robotę*, tojest, że w tym dniu lud wiejski już nie paniu, ale sobie, dla siebie pracował.



Salon chinois.



Scène Fochue, en Chine.

CHINY.

Chiny właściwe, przez mieszkańców tamecznych zwane krajem środkowym, leżą między 20 a 42° północnej szerokości, a 116 i 139° wschodniej długości; graniczą z niemi: na północ Mongolia, na wschód zatoka Pe-tsche-li, morze Żółte i morze Chińskie; na południe morze Chińskie, ciążyna Tonkin i Indya zagangesowa; na zachód Tybet wschodni. Obejmując zaś pod nazwą *Chiny*, wszystkie kraje, zostające pod panowaniem Chińczyków, z wyjątkiem wszelako pokoleń holdownicznych, granicami tego olbrzymiego państwa będą: od północy Syberja, od wschodu morze Japońskie i Chińskie, od południa Indye, od wschodu górzysta kraina Turanu. Następująca tabelka da nam wyobrażenie o częściach z jakich się to państwo składa, i o jego ludności.

KRAJE	Mile kwadratowe	Ludność	Na jedno mile kwadratową wypada ludności
1. Właściwe Chiny	60,100	358,000,000	5,460
2. Kraje pod panowaniem Chin zostające, tojest:			
a) Mandżurya	34,300	4,500,000	130
b) Mongolia	91,400	3,000,000	32
c) Tybet	30,200	4,500,000	150
d) Si-jn, kraj zachodni ..	27,300	2,000,000	70
Razem	243,300	372,000,000	

Właściwe Chiny, o których mówić będziemy w tych kilku słowach, dzieli się na 18 prowincyj (*Fu*). Główniejsze rzeki w Chinach są: *Hoang-ho* czyli rzeka Żółta, której długość w prostej linii od ujścia do źródła, wynosi 280 mil, przy ujściu szerokości ma 4000 stóp; *Yan-the-Kiang* czyli rzeka Niebieska, takiejże długości ma 390 mil, i nareszcie *Si-Kiang*, wpadająca w morze pod miastem Kanton.

Prócz tych wielkich rzek i mnóstwa mniejszych, wpadających do nich, 350 kanałów przerzyna kraj w najrozmaitszych kierunkach; z tych największy, 250 mil ciągnący się, kanał Cezarski, na 1000 stóp szeroki, łączy rzekę Żółtą z Niebieską, przerzyna cztery prowincje, i niezliczoną liczbę mniejszych kanałów w siebie przyjmując.

Właściwe Chiny, ze względu na różnicę gruntu, klimatu i produktów, dadzą się na trzy części podzielić:

1) *Chiny północne*; kraj górzysty, rozciągający się od *Hoang-ho* do północnej granicy właściwych Chin, gdzie się łączy z pasmem gór *King-Khan-Oola*, prostopadle ku północy spadającym. Wiele wierzchołków dochodzi linii śnieżnej i w czasie zimy, która bywa tu dość twarda, ciągle mgły i zorez północne, rzadko kiedy śnieg. Zima trwa zwykle od listopada do marca; wiosna i jesień krótkie bardzo, lato bardzo gorące i dość dżdżyste. Średnia temperatura Pekingu (39°54' połud. szer.) wypada 12,7° tojest prawie tak samo jak średnia temperatura Medolanu. Wznoszą się tu wśród pięknych łąnów bujnej trawy, lasy jodłowe, sosnowe i brzoźowe; rosną rozmaite rodzaje zbóż, jarzyn i drzew owocowych; najpysznieszją jednak ozdobą tych okolic, są przesliczne winorośle okrywające spady gór.

2) *Chiny środkowe*; kraj w dolinie leżący, najbogatszy i najurodzajniejszy może na całej ziemi. Dwie pory roku ma dżdżyste i dwie zimne; średnia jego temperatura 20°. Rosną tu wszelkie drzewa i krzewy, zachwycające oko ciąglą zielonością. Palmy, cyprysy, cedry, rozmaite gatunki lauru, drzewa oliwne, kamelie i t. d. W okolicach górzystych widać wszelkie rodzaje drzew europejskich; na najwyższych szczytach rozwija się alpejska natura, z całym powabem woni ziół i barwności kwiatów. Uprawiają tu ryż, pszenicę, żyto, jęczmień i t. p. Z drzew rosną: japońska sa-gopalna, najpiękniejsze wiśnie, gruszki, jabłonie, śliwki, brzoskwinie, morele, morwy, pigwy, najszlachetniejsze drzewa owocowe; rodzą się melony, ogórki, rozmaite rodzaje kapusty, tytuń, najpiękniejsze krzewy bawelniane, z których najszlachetniejsza bawełna czerwona, służąca na wyrób nankinu; herbata, mnóstwo roślin farbiarskich, z których najznakomitsze indygo, rzodkiew oleista, z której sadzy po spaleniu wyrabia się sławny tusz chiński.

3) *Chiny południowe*; kraina górzysta, poprzerynana tysiącem pasm gór, których wierzchołki wznoszą się wysoko ponad linię śnieżną, zaczynając się tu na 12,000 stóp od poziomu morza, i iść mogą w porównaniu z najznakomitszymi szczytami

łańcucha Himalajskiego. Na górach widać rośliny alpejskie, niżej drzewa, zboża i krzewy europejskie; wybrzeże południowe ma klimat i roślinność tropikową; średnia temperatura Kantonu wypada na 23°. Panują tu dwie pory roku: dżdżysta i sucha; pierwsza od kwietnia do października, druga od października do kwietnia. Na wybrzeżu panują straszne wiatry *mousson*, sprowadzające na morzu najokropniejszą burzę, a na lądzie zniszczenie; najgwałtowniej dokuczają przez czerwiec i lipiec. W państwie roślinnym odznaczają się tu drzewa hebanowe, różane, sandałowce, cynamonowe, palmy kokosowe, banany, bambusy, trzcina cukrowa, pieprz czarny, imbiér i t. d.

Państwo zwierzęce nie ustępuje w niczem roślinnemu; w Chinach ze zwierząt ssących znane są: jelenie, dziki, kozy, antylopy, lisy, ostrowidze, wiewiórki zwyczajne i skrzydlate, sobole, lasice, kuny, borsuki, zibety, jeże, jeżowce, świszczce, szeszury (które się tam za przysmak dają na stołach), zające, króliki, słonie, nosorożce, bawoły, tygrysy, małpy i t. p. Ptaki, ryby i owady w niezliczonym mnóstwie i w najpiękniejszych gatunkach. Minerale wszelkie znane, kamienie najszlachetniejsze, doskonała porcelana, kryształy, ciała kopalne rozliczne, tojest: wityrol, ołów, salmiak, saletra, sól gorzka, glauberska i kamienna i t. d.

Na uwagę zasługują także zjawiska wulkaniczne tego kraju; właściwie niema tu gór ogniem zięjących, ale wiele podziemnych wulkanów. Trzęsienia ziemi bywają dość często, szczególnie w okolicach górzyszych. Źródła gorących bardzo wiele.

Wielka ilość rzek spławnych i kanałów przerzynających Chiny, ułatwia niesłychanie handel ich wewnętrzny, o którego rozległości i kolosalnych rozmiarach, my nawet wyobrażenia mieć nie możemy. Dwa tylko pierwsze dni roku poświęcone są zabawom i wzajemnym odwiedzinom; reszta ani na chwilę nie ustaje wir czynności i ruchu szalonego, przy którym najslawniejsze jarmarki naszych miast handlowych niczem, ze względu na ilość sprzedawanych i kupowanych towarów, i tłum kupców, przemysłowców, napelniającego codziennie najgustniej miasta chińskie. Flizy i szypry stanowią wyłączną zupełnie klasę ludności, która prawie ciągle żyje na wodzie; statek dla niej kółką, domem i grobem; na nim całe jej bogactwa. Kanały niezliczone łączą się z doskonale budowa-

nemi drogami lądowymi, po których ludzie sami przewożą wszelkiej natury sprzęty i plody; dla dokładniejszego urządzenia porządku w przewozie towarów, ustanowione są osobne kasty przewoźników, ludzi najmujących się do dźwigania ciężarów; składają się z naczelników i towarzyszy.

Do roku 1842, a raczej do traktatu z Anglią, handel zagraniczny Chin był mało znany; głównie jego artykułami były wtedy: herbata i jedwab'.

Dwojaką herbatę wyprowadzają: zieloną albo czarną; pierwszy raz przywieziono ją do Europy w siedmnaśmym wieku; od tego czasu coraz bardziej wchodziła w użycie, i dziś stanowi przedmiot bardzo rozległego handlu. Żeby mieć wyobrażenie o wielkości handlu tego, dość jest przypomnieć sobie, że w 1669 r. wyprowadzono do Anglii wszystkiego herbaty 143 funty, w 1700 wyprowadzono jej 91,083 funtów; w 1799 roku 24,077,422 funtów, a w r. 1836, 50,477,466 funtów i coraz więcej. Berkhaus oznacza produkcję herbaty w Chinach na 500 milionów funtów, cooby odpowiadało 350 milionom guldenów. Jedwab', którego uprawa znaną tu była na 2600 lat przed Chrystusem, zaczął się rozchodzić ztąd na wszystkie strony Azji i Europy w V wieku po Chrystusie.

Pierwsi ojcowie dzisiejszych Chińczyków, przyszli jak się zdaje z północno-zachodu, i osiedlili się na brzegach *Hoang-ho*, dokąd zwabić ich mogła bogata przyroda, bujna roślinność i najpiękniejszy klimat. Wdzięczna ziemia stokrotnie wynagradza mieszkańcowi pracę; góry dostarczają mu bogactw ze swego łona i żywność w obfitości zwierzyń; dlatego też znajdujem tu najwspanialsze ślady dzieł tego narodu; dlatego wznoszą się wspaniale przez wiele wieków sławione miasta: Thaiyuan, Phingiang, Singanfu, Honau, i t. d.; dlatego rzeki tych okolic, toczące wody swe śród rozkosznych łąk, opiewa w religijnych hymnach wielki Konfucyusz; dlatego wreszcie tu widownia krwawych walk, sławy i zaguby tylu znakomych pokoleń panujących; tu później wznosi się olbrzymia stolica cesarzów, Pekin, mieszcząca w murach swych przeszło dwa miliony ludności.

Cała ludność Chin rozpada się na 3 oddziały: 1) *Liang* czyli szlachetnych, którzy stanowią właściwe plemię Chińskie i dzielą się znów na cztery części: *Zu* (szlachetną), *Nung* (rolników), *Zang*

(kupeców) i *Kung* (rzemieślników). 2) *Zin* czyli półpółstwo, obejmuje niewolników, służących i t. d. i 3) *Mau* czyli ludzie niemający stałej siedziby i włączający się z miejsca na miejsce. Urodzenie nadaje dziedziczne prerogatywy jedynie księżętom domu panującego i potomkom Konfucjusza; zresztą znaczenie i szlachectwo nabywa się za osobiste zasługi i wypróbowaną uczoność.

Trzy wyznania religijne panują w Chinach: nauka *Konfucjusza*, której się trzyma i dom panujący i wszyscy najznakomitsi urzędnicy; nauka *Laotsee*, społecznego Konfucjuszowi, która mało bardzo ma wyznawców; i nareszcie *budaizm* (*Fo*), do którego należy cała ludność niższa.

Nie ma niezawodnie na świecie mieszkań czystszych i widniejszych, jak mieszkania Chińczyków. Lubią bowiem na wszystkich bokach, gdzie się tylko da, robić otwory dla przeciągu powietrza. Bogaci domy swe otaczają pysznemi ogrodami, w niczem nieustępującami najpiękniejszym parkom lordów angielskich (ob. ryc.). Tamto gorące godziny dnia przepędza opływający w dostatki kupiec, uczony mandaryn, lub wysoki urzędnik, chroniąc się przed skwarem słońca pod osłoną fantastycznych altan, zapija w szerokiej filiżance herbatę, lub napawa się rozkoszami opium, tej strasznej, ciało i duszę zabijającej trucizny, którą mu usługni Anglicy tak ekwapiłwie dostawiają; w dali najcudowniejsze widoki bawią oko czarowną panoramą. Wspaniałe wodotryski lub ciche strumienie, nadają całosci wyraz wysoko romantyczny i czarujący. W wyższych stopach, przy tak rozkoszującym, opasłym szczęśliwcu, obyczaj i żonie pozwala używać milego czasu, pod tym jednak nieodwołalnym warunkiem, żeby zasłużyła sobie na ten zaszczyt wydaniem mu syna. W ogóle bowiem, kobiety uważane są bardzo nisko u nich; kupują je sobie mężczyźni jak prosty towar, i po śmierci męża, rodzina jego ma prawo odprzedać pozostałą po nim wdowę; z czego nigdy nie omieszkują korzystać, jeśli ta ma jeszcze jaką wartość. Kupioną na żonę dziewczynę, dostawiają kupującemu do mieszkania w zamkniętej lektyce, oddają jako własność nigdy niewiedzanemu przez nią kochankowi, nauczycy, że obowiązkiem jej dziećle wszystkich jego losy, słuchać najmniejszego skinienia; jeżeli zaś przyjdzie mu kiedy fantazja wypędzić ją z domu, niewolno jej nawet pamiętać, że była matką

jego dzieci, a dzieciom żałować jej: bo od chwili kiedy przestała być żoną, a matką być przestaje.

Najpierwszym, nieodzownym obowiązkiem dzieci, jest nieograniczone posłuszeństwo i uszanowanie dla ojca; synom, którzy mają wieść daleko wolności jak córki, na krok z domu oddalić się niewolno, bez poprzedniego opowiedzenia się. Syn, zostawszy nawet wysokim urzędnikiem cesarskim, nie przestaje winnym być tego samego uszanowania i posłuszeństwa ojcu, jak dawniej; jeśli go spotka gdzie, musi wysiąść z lektyki, i przed całym orszakiem oddawać mu hołdy poszanowania. — Względem matki, dzieciom również prawo nakazuje obowiązki, od których nigdy wylać się nie mogą; co rano i wieczór mają one odwiedzać matkę, gdyż „wzajemna miłość między dziećmi i rodzicami” brzmią słowa ustawy cesarza Kanghi, „jest najszacowniejszym darem nieba, którym gardzić jest przestępstwem.”

Tak nieograniczona władza rodziców nad dziećmi, sprowadza niemało złego; często widzieć można na targach dzieci, dzieci dorosłe już nawet, wystawione na sprzedaż jak prosty towar. Ubodzy rodzice, którym przybycie niemowlęcia nową sprowadza trudność w domowym porządku, wyrzucają je na pole, gdzie według zdania najgodniejszych wiary podróżnych, mnóstwo ich corocznie pożerają psy i świnie.

Zadziwiającem z drugiej strony jest zamiłowanie w pracy i trudach u Chińczyków; przechodzi wszelkie wyobrażenie Europejczyka, ile mozolów, ile żelaznej wytrwałości w robotach ich codziennych! Po dziś dzień jeszcze cesarz co rok odprawia uroczystość, na której przebrany za prostego rolnika, oddaje część pracowitości wieśniaków, zajmujących się jedwabnictwem i uprawą roli. Od trzech tysięcy lat w rolnictwie, przemyśle i kunsztach, stoją Chińczycy na tym samym stopniu, nie postępując, choć może wyżej są w wielu względach od europejskiego postępu dzisiejszego.

Cały kraj dzieli się na miliony małych własności, z których każdy wyżyć i utrzymać się na należytej stopie, trzeba w pocie czoła dzień i noc pracować. Najmniejsza cząstka gruntu w miastach nie leży bezużytecznie; na nagich skalach wznoszą się mieszkania otoczone ogrodami, których samo utrzymanie dowodzi niepojętej zaciekłości i sily

w ujarzmianiu niewdzięcznej natury. Na przyłaczoną tu rycinie widzimy najlepszy tego przykład; przedstawia on wizerunek góry Fochue, należącej do grupy Ta-ju-ling, złożonej z nieurodzajnych urwisk i skał. Na szczycie jej rozciąga się dość obszerna równina, do której dochodzi się po wykutych w kamieniu schodach; na niej niezmordowane trudy mieszkanców wywołały piękne urodzaje, zlewając rolę codzienne wodą, czerpaną ze strumienia na 1200 stóp niżej płynącego. Czegożby nie należało się spodziewać po takim narodzie, gdyby nim mądra ręka zbawiennie kierować umiała!

Cesarza od niepamiętnych wieków lud nazywa: „*synem Boga*,” i istotnie występuje on jako namiestnik Bozki, jako najwyższa z całego ludu istota, którą czcić i uwielbiać należy wszystkiemi co tylko w sile ludzkiej być może. Przed tronem jego, na którym jasniejsze znak niepokonanego smoka, palą się ustawicznie wonne ofiary w spiżowych naczyniach. Pałac, w którym mieszka, wielki jak miasto (1½ godziny obwodu), wspaniałością nakazuje pokorę nędznemu ludowi: tysiące brań doń prowadzi, a przestąpić niebożyczne, olbrzymie mury okalające go, i ujrzyć choć jedną cząsteczkę przepychów tego przybytku, należy do snów szczęścia i najwyższego zaszczytu Chińczyka.

Jakkolwiek niecne i nieludzkie postępowanie Anglików względem Chin, oburzać tylko może umysł szlachetnego człowieka, to jednak spodziewać się należy, że skutkiem wymuszonego przez nich na cesarzu Chin pokoju, będzie wydobycie tego państwa z zatwardziałej stagnacji i zamknięcia, w jakim od tylu tysięcy lat gnuśnieje. Naród tak pracowity, tak biegły w wielu kunsztach, tak pojętny, mimo chwilowych nieszczęść, na jakie go wystawia ludożerca chciwość kupieckiego ducha, musi z czasem wynieść błogie korzyści ze stosunków związanych z postronnymi i dojść do znaczenia i powagi, jakie mu kiedyś jego przyniosły wśród wielkiej rodziny ludów zapewnił po winny. Dziwny fakt historyczny, uderzający w życie tego narodu, stanowi bez wątpienia także skryształizowanie wszystkich pojęć i zdolności na jednym stopniu; takie przecięcie, zاتمowanie wszelkiego życia i postępu, od tylu tysięcy lat wysoko już posuniętego. Czują to i sami Chińczycy, i fantastyczni ich uczeni; siląc się

na dojście przyczyn tego zjawiska, ciekawie je tłumaczą.

Przez długie wieki, powiadają oni, w odległej starożytności, władali Chinami Bogowie, których ród zwał się Triu-Hoan-Schi; mądrość ich nieskończona sprawiała, że nie było na świecie ludu, posiadającego więcej wiadomości, udoskonalenia i wysokich przymiotów ludzkich; długie jednak przez tyle milionów lat panowanie Bogów, zundziło się niewdzięcznym poddanym; podnieśli rokosz i niegodnie wygnali dobroczyńców swych z kraju, obrawszy sobie innego władcę. Oburzeni tak niegodnym postępowaniem, strąceni z wysokości Bogowie, na pomstę nad niewdzięcznikami, wychodząc zabrali z sobą wszystkie wygotowane już przez nich w głębokiej mądrości, projekta ulepszeń, instytucyj i rozwinięcia wpojonych w lud ten początków i zasad, i przeciwwszy tym sposobem nic wyższego życia umysłowego, zostawili nieszczęśliwych własnym siłom, które; nie mogąc podołać tak wysokiemu zadaniu, Bogom jedynie właściwemu, zastrygły na stopniu rozwinięcia, na którym wówczas były. Takie podanie krąży między plemieniem właściwych Chińczyków; inne pokolenia inne mają podania o tym samym przedmiocie.

Jedno z najbardziej rozpowszechnionych opiewa, że kiedyś, w niepamiętnych czasach, było plemię żyjące wśród pięknych gór i żyznych pól, na które Bóg, zlewając wszystkie swe łaski, obdarzył je wysoką mądrością. Kiedy plemię tak się rozplodziło, że dawna siedziba za ciasną mu była, i kiedy otaczające je przedmioty nie przedstawiały już nic nowego do nauki, wszyscy członkowie rozeszli się po świecie, szukając świeżej karmy dla swych zdolności; najstarsi tylko i najmądrsi, idąc za popędem szczerzego przywiązania do rodzinnej ziemi, pozostali na miejscu. Co się stało z tymi, którzy w świat poszli, nie wiadomo; starzy zaś i mądrzy, opuszczeni od swoich, stali się mistrzami i nauczycielami obcego, sąsiedniego plemienia chińskiego, które tłumnie się do nich po naukę zbiegało, wynosząc od nich wiele pięknych wiadomości, wynalazków i kunsztów. Starzy długo żyć nie mogli, a po ich śmierci nie było już komu dalej posuwać mądrości, i Chińczycy pozostać musieli przy tym tylko, czego się nauczyli.

Historia musi odrzucać podobne podania; sama jednak nie daje nam innego tłumaczenia postę-

pów, do jakich w wielu względach przed tysiącami lat doszli Chińczycy; wiemy z niej tylko, że tysiąc jest rzeczy, które oni daleko pierwsi znali od nas, chociaż wyższego, dokładniejszego ich zastosowania od Europejskiego dopiero się nauczyli. Jeszcze na 2600 lat przed Chrystusem, cesarz miał żółty powóz, w tyle którego stała figurka, wskazująca zawsze ręką na południe, w którą bądź stronę powóz się obrócił; a mimo to, ciężkie statki Chińczyków musiały się pilnie trzymać brzegów, nie śmiejąc puszczać się na otwarte morze, żeby nie stracić kierunku, dopóki Europejczycy nie nauczyli ich zastosowania odkrycia Fla-

wiusza Gioja, które oni widocznie znali na 4000 lat przed nim. Proch znali również przed Chrystusem, a użycie broni palnej od nas wzięli dopiero; druk mieli przed nami przeszło na 500 lat, a do dziś dnia drukują za pomocą drewnianych tablic, na których mozolnie wyrzynają pismo; to samo da się powiedzieć o astronomii, medycynie i wielu kunsztach, w których jakkolwiek wysoko oddawna posunęci, milion razy więcej ponoszą trudu jak my, najstaranniejszych nawet używając środków.

Chiny pokrywa gruba zasłona,—pod nią leży zachowany trup; podnieś ją, niech go owionie świeże powietrze, a w proch się rozsypie.

JAN DŁUGOSZ.

Długosz należy do nieszczupłej liczby sławnych mężów, którymi słusznie szczyć się i przed obcymi możemy, którego nazwisko często nam się obija o uszy, a mimo to, żywot jego i istotne zasługi, prócz uczonym, mało bardzo ogółowi są znane.

Niewiele wprawdzie, mimo tak wielkiego znaczenia jego dla dziejów naszych, da się o nim powiedzieć, bo z krzywdą własną, że wstydem wyznać musimy, że nie znalazł się nikt dotąd, coby dokładniejsze o życiu jego zebrał wiadomości; nikt coby naukowo ocenił dzieła jego, zajął się ich objaśnieniem, wykładem, chociaż wszyscy prawie badacze dziejów muszą korzystać z bogatych płoń, w pracach jego zawartych. Jedyny też to pomnik sławy tego dziejopisa, że znajdować się musi w ręku każdego, dbającego o znajomość przeszłości.

Jan Długosz urodził się r. 1415, w dwadzieścia lat po napisaniu kroniki przez Wincentego Kadłubka, biskupa krakowskiego; był synem Jana, starosty Nowomiejskiego; początkowe nauki pobierał w Korczyniu, a od szóstego roku życia tyle okazywał usilności, wytrwania i zapалу do pracy książkowej, że zdaje się jakby już przeczuwał siłę wyższych zdolności, które go później tak wynieść miały. Wkrótce też szczerpiał zakres korczyńskiej szkoły nie wystarczają młodzieńcowi, zadziwiającemu postępami skromnych przewodników; wysłał go

więc ojciec do Krakowa, gdzie się przez trzy lata w dyalektyce i filozofii ćwiczył. Niedługo domowe, przysyłane mu od ojca zasiłki, dozwoliły mu oddawać się swobodnie nauce, niewielki bowiem był majątek Długoszów, a po śmierci matki młodego Jana, kiedy się ojciec powtórnie ożenił, ujrzał się przymuszonym sam myśleć o sobie i o dalszym utrzymaniu na akademii. Słynął podówczas Zbigniew Oleśnicki, biskup tamtejszy, z wysokiego nauki, nieskażonych obyczajów, wzniosłości obywatelskiej i orędownictwa odznaczającej się na akademii młodzi. Idąc za powszechnym obyczajem dobijających się w służbie dostojnych panów przysługę losu i położenia, użył 17letni Długosz wszelkich sposobów, żeby dostać się w poczet dworzan biskupa krakowskiego, tusząc sobie, że przy utrzymaniu przystojnym, będzie mógł w tym celu znaleźć sposobność i swobodę do dalszego kształcenia umysłu. I nie omylił się w wyrachowaniu: dowcipem bowiem i bystrością pojęcia zwrócił na siebie uwagę biskupa, i potrafił zjednać sobie taką jego przychylność, że wkrótce zaczął go do pióra używać, później oddał mu kierunek kancelaryi, a nareszcie 20letniego zaledwie, nad całym dworem przelożył. Pod jego opieką łatwo już było młodzianowi pierwsze kroki stawiać. Całe życie czcigodny biskup — względami go swemi ob-

darzał i tak ukochał, że przy zgonie nawet o nim nie zapomniał. Wyświęciwszy się na kapłana w 25 roku życia, prędko Długosz postępował w duchownych godnościach, i niedługo został kanonikiem krakowskim; wysokie jego przymioty nie uszły uwagi króla Kazimierza Jagiellończyka, i w stopniu kanonika użytym był do ważnych poselstw, jakoto: do papieża, do cesarza i sejmu Rzeszy, w których okazał wiele zręczności i głębokiej wiedzy krajowych znajomości, oddawna najulubieńszy przedmiot badań jego stanowiących. Ta sama szlachetność duszy i tegość charakteru, które mu nie dawno łaskę królewską zyskały, stały się wkrótce przyczyną utraty względów monarszych; w r. 1461 bowiem, kiedy po śmierci Tomasza Strzemińskiego biskupa krakowskiego, król ofiarował to biskupstwo Gruszyńskiemu, biskupowi kujawskiemu, kapituła i akademія krakowska obrały na przedstawienie Długosza, Siemińskiego. Tak dalece tym postępkiem obraził sobie Kazimierza, że ten nie tylko łaskę swą odwrócił od niego, ale za poduszczaniem korzystających z chwili oszczerców, majątek mu nawet odebrał, i za wywołanego z kraju ogłosił.

Prędko gniew króla nie trwał jednak długo; pomny dawnych jego zasług, przywołał go wkrótce do swego boku, nie poczynając odtąd w żadnej sprawie nic stanowczego, bez rady i zdania Długosza, zawsze gorliwego i żarliwego na posługi krajowe. W r. 1465 polecił mu król układ pokoju z Krzyżakami, których ziemię pod swoją opiekę przyjął; w rok potem poruczył mu pięciu synów swoich, tojest książąt: Władysława, Kazimierza, Albrechta, Alexandra i Zygmunta, i kiedy 15^{to} letniego Władysława Czesi królem swoim obrali, on go do Pragi odprowadził. W owym to czasie przejeżdżał przez Polskę *Kontaryni*, szlachcic Wenneki, wysłany od Rzeczypospolitej do Persyi i Rossyi, dla pobudzenia obu tych państw przeciw Turkom, i w pamiętnikach swoich o tój podróży, opisując wiele ciekawych szczegółów o Polakach, temi słowy wspomina o Długoszu:

„... Tak mnie łaskawie przyjął, że mi się utwierdził w powszechnym mniemaniu, że niema mędrszego i sprawiedliwszego króla, jak Kazimierz. Dnia 19 kwietnia przybyłem do Lublina, grodu wygodnego z zamkiem, gdzie się znajdowało 4 królewiczów polskich, z których najstarszy mógł mieć lat 15, a następnie jeden od drugiego rokiem młod-

si. Mieszkali w zamku, z arcy uczonym mistrzem swoim Długoszem. Życzylł (zapewne z woli ojca) abym ich odwiedził. Przyszedłem więc do nich, jeden z nich rozmawiał ze mną tak rozsądnie, jak tylko być może. Uważałem, że królewicze wielce szanują nauczyciela swego. Przy pożegnaniu odprowadzili mnie do drzwi.”

Jeździł jeszcze Długosz do Węgier, do Prus z ważnymi poleceniami; odbywszy nakoniec podróż do Ziemi Świętej, skolatany trudami, pragnął spokojne na ustroniu pędzić życie, i dlatego nie przyjął ofiarowanego sobie podkanclerstwa koronnego, ani arcy-biskupstwa pragskiego, i po silnych naleganiach, zaledwie się skłonił do przyjęcia arcybiskupstwa lwowskiego, niedługo przed śmiercią, która w r. 1480 nastąpiła. Ciało jego złożono na Skalce, gdzie własnym kosztem kościół z klasztorem XX. Paulinów ufundował i w dochody opatrzył.

Cale życie zajmując się gorliwie nauką, celując wielu wysokimi przymiotami duszy, nieugiętością charakteru i skromnością wrodzoną, wiele po sobie Długosz nie tylko w literaturze ale i w posługach krajowych pamiątek zostawił; prócz tego bowiem, że niemal kościołów uposażył, staraniem i kosztem swoim wznosił dom przy akademii krakowskiej, *Bursa jurisperitorum* zwany; bursę zaś Jerozolimską przez protektora swego Oleśnickiego założoną, po spaleniu z gruzów na nowo podniósł. Dbały o rozszerzenie znajomości starego świata i dobrego smaku, pierwszy do kraju wprowadził klasyków łacińskich, Cicerona, Liwiusza, Salustiusza, Pliniusza i wielu innych, czyniąc ich znajomszymi ogółowi. Testamentem cały swój księgozbiór akademii krakowskiej ofiarował. Wydanien napisanego przez siebie dzieła: *Liber Beneficiorum*, niemal się przyczynił do dobra duchowieństwa, skrócenia szerszącego się powszechnie pieniactwa i zatargów prawnych, ułatwiając trybunałom sądy położeniem stałych i gruntownych zasad. Największą jednak sławę i wdzięczność jedna mu napisanie *Dzieła Narodu Polskiego*, dzieła które go w rzędzie pierwszych społecznych historyków stawia. Śród najważniejszych trudów i spraw publicznych, przez 25 lat zbierał Długosz bogaty ten plon dla historyi naszej; próżny zarozumiałby dumy i pewności, dzieło swoje przed zgonem pod roztrząsanie akademii krakowskiej oddał, zostawiając je, aby podług swego uznania z niem

postąpiła. Mimo zaprowadzonego już druku, dziejopis ten długo zostawał w ukryciu, i Kromer, późniejszy od niego żyjący, dzieło swoje wprzód na widok publiczny wydał. Dopiero r. 1615 Felix Herburt ośmielił się wydać pierwsze 6 ksiąg w Dobromilu, a roku 1711 księgarze lipscy, Weideman i Gleditsch, powtórzyli je i następne 6 ksiąg wydali. Pozostawała jeszcze księga 13, w której dzieje społeczne do śmierci autora doprowadzone, którą Huyssen z biblioteki krakowskiej wydobywszy, w téjże edycji na początku drugiego tomu wydrukować kazał. Tak długo dzieło to zostawało w ukryciu, zapewne dlatego, powiada Starowolski, iż ogrom jego znacznych wymagał kosztów, a księgarze nasi nie byli nigdy bardzo majętni; kiedy nie jeden z możnych naganną okazywał obojętność, woląc ponosić wydatki na psy, konie, szaty kosztowne, sługi, zapachy, wina, jak na uwiecznienie siebie i swego narodu, rozsądną hojnością. Do przyczyn tak długiego niewyjścia na widok publiczny dzieła Długosza, należało bez wątpienia i to, że prawda i szczerość powodująca nim wszędzie i zawsze, kazała mu nieraz w ostrych wyrazach dotykać wielu społeczeństwach mu osób, a mianowicie téż duchownych. Trudne i mozolne było powołanie naszego dziejopisza; za jedyne bowiem źródła do opisu dawnych czasów służyć mu tylko mogli: Gallus, Bogufał, Mateusz Cholewa i Kadłubek, których podania ostrożnie i z rozwagą przyjmując, sam starannie zając się musiał zbieraniem materiałów, po archiwach publicznych i domach prywatnych, co mu nie mniejszą chwałę jedna jak i sama praca nad wykonaniem zamierzonego dzieła. On więc pierwszy zasługiwać może na miano naszego historyka, obzerniej i głębiej na rzecz się zapatrującego i nieprzyjmującego bez rozważa, bez

krytyki, wszyskiego, co mu pod rękę podpadło. Często może grzeszy w układzie, niedość dobitnie i wyraziście przedstawiając główne w działaniu osoby i ich charaktery; zapuszcza się nieraz szeroko w drobniejsze i mniej ważne okoliczności, i zapewnia może rozległemi rozumowaniami treści religijnej. Mimo to jednak, głęboka jego przenikliwość i bystre oko w pobieżnych rysach, dozwalała mu kreslić cechy wypadków, ludzi i całych narodów, z dziwną zaletą i doskonałością wytrawnego znawcy serc ludzkich i sprężyn czynności. Styl jakkolwiek niekiedy zaniedbany, ma w sobie coś oryginalnego, własnego i choć nieraz utożsamionego z wyćwiczonym łacinnikiem, dowodzi, że autor kiedy chciał sobie zadać nieco przyłożenia, w niczym nie ustępuje najpiérwszym pisarzom w klasycznym Rzymian języku.

Oprócz tego wspaniałego dzieła, Długosz jest autorem wielu jeszcze innych, które dziś są rzadkie, aczkolwiek nader ważne; pomiędzy innych wspominamy Liber Beneficiorum, już wzmiankowany, i Vitaebeati Stanislai Crac. Episc. w Krakowie 1511, druk gocki. Zakonczamy krótką tę wiadomością, że dziejopis powszechniej znany był i jest w Europie pod nazwiskiem „Longinusa”, przyjmując to miano z właściwego, wytłumaczone na łaciniście, stosownie do panującego podówczas powszechnie zwyczaju przerabiania nazwisk po łacinie; czasem pisze się on „Joannes Senior” dla odróżnienia od młodszych swych braci.

Ostatnie wydanie historyi Długosza, a trzecie z porządku urządził Mitzler w Warszawie, 1761 r. w zbiorze historyków polskich. Tłumaczenia, mimo wielokrotnych już przyrzeczeń i zapowiadania, dotąd nie ujrzeliśmy, i zawsze z pożądaniem i niecierpliwością wyglądać go musimy.

O TWORZENIU KOLOROWYCH OBRAZÓW

ZA POŚREDNICTWEM CIEMNI OPTYCZNEJ.

Oddawna życzeniem jest powszechném, ażeby za pomocą dagerotypu otrzymać można, działaniem światła słonecznego, obrazy utwierdzone na blaszkach, posiadające kolory takie same, jakie

właściwe są przedmiotom z których zdjętymi zostały.

Sprawienie tego skutku zdawało się dotąd zależé od tak wielu i tak zawiśniętych warunków, iż

nadzieja dojścia do upragnionego celu, spoczywała raczej na przypuszczeniach wyobraźni, aniżeli na rzeczywistości przyrodzonej.

Tymczasem, rzecz godna uwagi i podziwienia, Becquerel, sławny uczony francuzki, ogłasza w *Roznikach paryskich fizyki i chemii* sposób, przez który udało się mu wydobyć na blaszkach miedzianych, srebrnem platerowanych, obrazy kolorowe, przedmiotowym farbam dostatecznie równe. Szkoda tylko, iż trwałość tych kolorów jest zbyt przemijająca, i w świetle dziennem łatwo znikliwa. Mimo to przecież, znakomity ten i śmiały krok postępu *fotografii*, mogący do jej udoskonalenia przyczynić się wielce, zasługuje w niniejszem dziele na treściwe przynajmniej opisanie; umieszczamy je przeto jak następuje:

Chcąc blaszkę srebrną platerowaną przygotować w sposób najlepszy z dotąd próbowanych, do przyjęcia kolorowych obrazów, należy, podług przepisu Becquerela, wyczyścić ją, jak zwykle, trypłą, ostatecznie zaś kolkotarem mialkim, wypolerować starannie. Następnie zawieszają się ją na dwóch drutach miedzianych, przechodzących przez tyleż szczupłych otworów, przewierconych poprzednio w bliskości jednego z boków, przy dwóch jej kątach czyli rogach. Druty powyższe łączą się potem w jeden, i temu daje się związek z biegunem dodatnim stosu galwanicznego Bunsena. Dwa stoiki tego stosu wystarczają dla blaszki kwadratowej, mającej 25 centymetrów boku.

Z kolei, blaszka nurza się pionowo w mieszaninę 125 centymetrów sześciennych zwykłego kwasu solnego (acide chlor-hydrique), i jednego litra wody dystylowanej. Jednocześnie z blaszką, zapuszcza się w ciecz kwasną powyższą, sztabka platynowa, połączona drutem z biegunem ujemnym stosu, pamiętając takową trzymać równoodlegle, i w bliskości blaszki; strzegąc się wszakże wzajemnego ich zetknięcia.

Przez działanie strumieni elektrycznych, ciecz przebiegających, kwas doznaje rozkładu; wodoród jego zbiera się przy platynie, na powierzchni której czepia się on pod postacią peroklawatych baniek, ulatujących w końcu na powierzchnię płynu; chlor zaś pędzony w stronę przeciwną, osiada na blaszce, a łącząc się ze srebrną jej powłoką, i tworząc stopniowo coraz grubsza warstwę związku chemicznego, staje się powodem powstawania na

niej tęczyowych kolorów, następujących po sobie w porządku znajomym przy napełnianiu (das Anlaufen) stali; a mianowicie powierzchnia srebrna staje się najprzód szarą, później żółtawą, fioletową, niebieskawą i zieloną; pokrótce powtórnie szarą, różową, fioletową, a nakoniec niebieską. W chwili powstania fioletowego drugorzędного koloru, przerywa się działanie galwaniczne, wyjmując blaszkę z cieczy, odczepia ją od drutów, płucze wodą dystylowaną, nachyla ku jednemu z boków jej obwodu, ażeby tamże spłynęła łatwiej ciecz oplukująca. W końcu suszy się ją od strony spodniej płomieniem lampki spirytusowej. Blaszka powinna wtedy otrzymać ciemno-fioletowy odcień, który jest najczulszym i najlepszym do celów tego rodzaju.

Galwanizując do przygotowania blaszki powinno trwać najwięcej jedną minutę, i odbywać się wpośród przytłumionego światła. Jeżeli teraz na tak przysposobioną powierzchnię metalową, rzucenem będzie widmo słoneczne, czyli mały pasek tęczyowy światła rozczepionego na kolory pryzmatem szklanym, i skoncentrowany soczewką wypukłą; wtedy, rzecz szczególna, pozostawia on na blaszce obraz fotochromatyczny, zupełnie prawie podobny postaci i kolorystem do tegoż widma tęczyowego, które go sprawiło. Podobieństwo to w kolorach, chociaż bladych, największe wypada w chwilach pierwszych działania widma tęczyowego. W następnych zaś, żółty i pomarańczowy stają się ledwie widzialne, czerwony jednakże, zielony, niebieski i fioletowy, bardzo pięknie i żywo wychodzą.

Z dalszych doświadczeń Becquerela okazało się jeszcze, iż blaszka napuszczona galwanicznie na powierzchni chlorkiem srebra, nasładowie wiernie pojedyncze kolory tęcowe, jeśli po zaprawieniu jej chemiczno-galwanicznym, ogrzewaną będzie od strony miedzianej płomieniem spirytusowym w dość ciemnym pokoju, dopóki kolor jej fioletowy stosem nadany, nie poczyni przemianę się w różowy. W tym przypadku jednakże, białe światło nie pozostawia na niej takichże śladów, lecz nieco szarawe.

Biorąc pod uwagę wypadki doświadczenia powyżej opisane, można było wnioskować z podobieństwem do prawdy, iż skoro każdy pojedynczy kolor widma tęczyowego pozostawia na blaszce przygotowanej stosownie, ślad jednakowej z nim farby,





Scaphiocratus

idzie za t $\acute{e}$ m, i $\acute{z}$ ka $\acute{z}$ dy kolor przedmiotowy, zło $\acute{z}$ ony zwykłe z pojedynczych, powinien o $\acute{d}$ bici si $\acute{e}$ równie $\acute{z}$ wiernie na taki $\acute{e}$ ż blaszce. Jako $\acute{z}$ do $\acute{z$ wiadczanie potwierdziło domysł ten zupełnie. I tak po $\acute{z$ łożono na blaszce przygotowanej rysunek odrobiony kolorami na papierze, stron $\acute{a}$ malowaną obrócon $\acute{a}$ ku blaszce; okryto go tafelką ze szkła białego, i wystawiono w takow $\acute{e}$ m po $\acute{z$ łożeniu, na działanie światła słonecznego, przechodzącego t $\acute{e}$ m sam $\acute{e}$ m przez szkło i papier. Przekonano si $\acute{e}$ wtedy, i $\acute{z}$ po pewnym czasie, rysunek ze wszystkimi kolorami o $\acute{d}$ bici si $\acute{e}$ wyraźnie.

Jeżeli przy brzegach tafelki szklan $\acute{e}$ j, pokrywającej i natłaczającej rysunek, dan $\acute{a}$ b $\acute{e}$ dzie obwódka wystająca z wosku, i wtedy na szkło tak otoczone wleje si $\acute{e}$ roztwór wodny siarkanu chiny, natenczas białe miejsca rysunku wychodzą czystsze; albowiem sól powyższa ma własność strawiania promieni niebieskawych, zewn $\acute{a}$ trz niebieskiego pierwiastkowego paska tęczy przypadających, które pozostawiają po sobie na blaszce ślad brunatny. Ten $\acute{z}$ e sam skutek zrz $\acute{a}$ dzić można, ogrzewając blaszkę galwaniczno-chemicznie przygotowaną, do + 100° R.; wtedy białe miejsca rysunku wyjdą równie czyste i światłe.

W dalszym ciągu wyprowadzania wniosków, możnaby domyslać si $\acute{e}$, i $\acute{z}$ rysunki na szkle malowane, powinnyby t $\acute{e}$ m łatwiej i żywiej o $\acute{d}$ bici si $\acute{e}$ na

blaszce; $\acute{z}$ e jednak Becquerel nie posiadał ich w t $\acute{e}$ j chwili, nie mógł wi $\acute{e}$ c skutecznie ciekaw $\acute{e}$ j z nimi próby.

Powyższe dane, naprowadziły z kolei na sposób uzyskiwania obrazów kolorowych, tworzących si $\acute{e}$ od naturalnych przedmiotów w ciemni optycznej. I w sam $\acute{e}$ j rzeczy, przekonał si $\acute{e}$ Becquerel, i $\acute{z}$ obrazy takowe, rzucone na blaszkę zaprawioną, pozostawiły ślad z kolorami rzeczywistym równie; ślad ten jednakowo $\acute{z}$ powstawał zwolna, i wymagał kilkanaście godzin czasu do nale $\acute{z$ ytego rozwinięcia. Wszystkie prawie kolory wychodziły dobrze, jeden tylko zielony, pochodzący od drzew, łąk i pól wegetacy $\acute{a}$ pokrytych, wypadł zbyt blade.

W zakończoniu niniejszego artykułu wyznać z otwartością wypada, i $\acute{z}$ to piękne odkrycie Becquerela, a $\acute{z}$ eby użyteczn $\acute{e}$ m stać si $\acute{e}$ mogło, wymaga jednego jeszcze najw $\acute{a}$ żniejszego warunku, to jest: a $\acute{z}$ eby o $\acute{d}$ bity na blaszce kolorowy obraz pozostać mógł na ni $\acute{e}$ j trwałe; dotychczasowa albowiem praktyka przekonywa, i $\acute{z}$ światło dzienne niszczy kolory wydobyte i zacier $\acute{a}$ cały obraz; brak tylko promieni, czyli ciemność zupełna może go przechować dość długo. $\acute{Z}$ aden z próbowanych srodków chemicznych utwierdzających, nie okazał si $\acute{e}$ korzystnym, zawo $\acute{d}$ ząc niestety wszelkie usiłowania i nadzieje wynalazcy.

Pr. T. R.

SZARAŃCZA.

Szarańcza (*Acridium, Lam.*) nale $\acute{z}$ y do rz $\acute{e}$ du owadów zwanych *prostoskrzydł $\acute{e}$* (*orthoptera*), które w czasie spoczynku składają swe skrzydła na kształt wachlarza, podłużnie, nie zaś poprzecznie, jak to ma miejsce u chrząszczy.

J $\acute{e}$ j cecha rodzajowa jest nast $\acute{e}$ pna: różki nitkowate, czasami nieco spłaszczone, a niekiedy na ko $\acute{n$ cach zgrubiałe, złożone z 20 lub 25 zstawów; $\acute{z}$ waczki silne, licznie $\acute{z}$ ąbkowane. Oprócz dwóch elipsoidalnych oczu, na czole ma trzy małe oki $\acute{e}$, gładkie, w nierównych odstępach osadzone oczka.

KSIĘGA ŚWIATA.

Nogi tylne pot $\acute{e}$ żne, do skakania zdolne. Skrzydła szerokie, kształtnie pofalowane, rozmaicie ubarwione.

Szarańcza ma tak wielkie podobieństwo do pasikonika (*Locusta, Lam.*) pospolicie *Konikiem polnym* zwanego, $\acute{z}$ e ją znakomity Linneusz, do jednego z nim rodzaju odnosił. Różni si $\acute{e}$ wszak $\acute{z}$ e 1° t $\acute{e}$ m, $\acute{z}$ e j $\acute{e}$ j łapki złożone tylko z trzech zstawów (*).

(*) Różnica ta jednak jest wzgl $\acute{e}$ dna, bo j $\acute{e}$ dynie patrząc z góry na łapki szarańczy, widzimy trzy staw $\acute{y}$; obserwując zaś od spodu, dostrzegamy podobnie jak u pasikonika cztery staw $\acute{y}$, tylko $\acute{z}$ e dwa pierwsze mocno si $\acute{e}$ z sobą zrosły.

gdy tymczasem u pasikonika, z czterech; 2° tém, że różki ma znacznie krótsze, nawet połowie ciała niewyrównyujące, jednostajnie cienkie, lub pod koniec grubsze; pasikonik zaś ma różki od ciała dłuższe, włosieniowate, z bardzo licznych, drobnych zestawów złożone; 3° nakoniec, samica szarańczy nie posiada na końcu tułowia, długiej, pałaszowato zakrzywionej rynienki, do spuszczenia po niej w ziemię jaj swoich, czém dobrze się cechuje samica pasikonika. Zresztą w ogólnej postaci i obyczajach, wiele te dwa rodzaje przedstawiają podobieństwa. Trąc tylnymi nogami o pokrywy skrzydeł, i szarańcza wydaje szelest podobny jak pasikonik. Brzękiem tym samey ich, przywołują swoje towarzyszek.

W czasie spoczynku, szarańcza chowa swe skrzydła pod wietkie długie pokrywy, dachowato ku sobie nachylone, a w locie rozpościera je bardzo szeroko, i mienią częstokroć jaskrawemi kolorami, postać okazujących motyli przypominają.

Szarańcza skacze równie dobrze jak pasikonik, lecz lot ma bystrzejszy i nierównie wytrzymalszy od niego. Niektóre, szczególnie większe gatunki, rozmnożywszy się, przy dogodnych im okolicznościach, w wielkiej liczbie, zbierają się w niezliczone gromady, i częstokroć odbywają nakształt ptaków, dalekie wędrówki. Chmury szarańczy niekiedy bywają tak wielkie, że w swym przelocie blask słońca zaciemniają, i biada okolicy w której na spoczynek usiadą. Będąc bowiem roślinożerne i niezmiernie żarłoczne, w mgnieniu oka niweczą cały plon rolnika, zostawiając mu tylko łany nagie i od ich wyrzutów czerniałej ziemi. A gdy nieszczęściem dłużej nad noc jednę pogoszczą, zostawiają mu zarody i nadal swego złowrogoego plewienia.

Ta prawdziwa plaga niebios, szczęściem kraj nasz dotyka zbyt rzadko. Od ostatniego jej przelotu przez kraj nasz w 1811 r., dzięki Bogu, nie dotąd o nią nie słychać. Lecz kraje południowej Europy, a szczególnie południowo-wschodniej, mniej są pod tym względem szczęśliwe, bo i częściej są przez nie nawiedzane, i trudniej, z powodu łagodnej zimy, mogą się pozbyć ich zarodków. Najniebezpieczniejsze zaś kraje co do tej plagi, są wszystkie podzwrotnikowe. Tam to właściwe siedlisko największych i najszkodliwszych gatunków, które tylko czasami, jakby dla igraszki a naszego postrachu, do Europy czynią wycieczki. Zresztą, gro-

źny dla Europy gatunek, najczęściej z Azji przez Bosfor przybywający, zwany *szarańczą wędrówką* (*Acrydium migratorium*, Auct.) nie zdaje się być podzwrotnikowym, skoro się w małej wprawdzie liczbie, w zimnym kraju naszym utrzymać potrafił.

Do największych i zarazem najszkodliwszych w gorących krajach gatunków, należy *szarańcza indyjska* (*Acrydium indicum*, A. carinatum, Oliv.), które w naturalnej wielkości przedstawia przyłączona tablica.

Barwy jej, jak widać, są bardzo żywe: ciało i nogi cynobrowo-czerwone, pierwsze ciemniejsze z poprzedzającymi ciemnymi pierścieniami; pokrywy o żółkach brunatno-żółtawych, zielonemi plamkami upstrzone; skrzydła szafirowo-zielone, a tylne ich brzegi ciemno-brunatne, z ciemnymi na końcach żyłek, mniej więcej sercowatemi plamkami. Właściwą jej ojczyzną jest południowa Azja i wyspy wschodnio-indyjskie, gdzie w swoich wędrówkach często straszne czyni спустoszenia. Lecz w Indyanie, pozbawieni przez nią plonów swoich, mniej bywają w stosunku do nas pokrzywdzeni, bo bez najmniejszego skrupułu zbierają samą szarańczę, zabijają, suszą, trą na proszek, a następnie domieszkawszy doń nieco mąki, pieką placki, które zamiast chleba pożywają.

Z krajowych u nas gatunków szarańczy, znaczniejsze są:

Szarańcza wędrówka (*Acrydium migratorium*, Auct.) o której wyżej nadmieniliśmy. Długa bywa przeszło na dwa cale; ciało ma błękitnawo-zielone, szczerki czarne; pokrywy blade-brunatne, upstrzone ciemno-brunatnemi, po większej części czworobocznemi plamkami; skrzydła bez plam, blade-zielonawe, gorset gładki, ostro daszkowaty. W różnych miejscach kraju, ku jesieni, szczególnie na rżyskach napotykać się daje. W roku zesłaliśmy, w okolicach Warszawy dość często ją znajdowaliśmy. Lecz bodajby zawsze ten nieproszony do nas gość, znajdował się tylko jako osobliwość dla gabinetów zoologicznych, i bodaj nigdy nie przyzywał chmur azyatyckich przodków swoich.

Drugi, z większych gatunków, właściwie krajowych, jest *szarańcza czerwona* (*Acrydium stridulum*, Oliv.). Długa bywa od 15 do 20 linii; skrzydła ma cynobrowo-czerwone, z ciemno-brunatną lub czarną pręgą na końcach. Bywały w południowej Europie i u nas nawet przykłady, że rozmnożona

w wielkiej liczbie, znaczne klęski w zbożach sprawiała, tak, że musiano czynić, podobnie jak na szarańczę wędrowną, formalne na nią oblawy. Na gruntach piaszczystych, podleśnych dość częsta.

Nieco od poprzedzającej mniejsza jest *szarańcza modrawa* (*Acridium coerulea*, Lam.), gdyż miewa tylko od 10 do 14 linii długości. Odnacza się ten dość ozdobny gatunek modreimi skrzydłami, z ciemno-brunatną przepaską na końcach. Żyje na suchych, płonnych pagórkach; w całym kraju bardzo pospolity.

Inne gatunki mniej zasługują na uwagę: są po większej części drobne i wspólnie z pasikonikami zaludniają nasze łąki i pola. A z powodu, że są małe i mniej plenne, niewielką sprawiają w rolnictwie szkodę.

Do wytipienia szkodliwych gatunków szarańczy, a szczególnie wędrowniej, różne podają środki.

W południowo-wschodniej Europie, gdzie często w miejsu, z jaj, wylega się ogromna masa szarańczy, niszczą ją zaraz za młodu, walcząc pole ciężkimi wałami, do równania drózek w ogrodach używanymi. Nim bowiem skrzydła dorosła, miryady szarańczy tuż w rodzinnym miejsu plądrują piechotę, zdzbla trawy nie zostawia; gdyż równie są żarłoczne jak w stanie doskonałego owadu. Zbierają także i niszczą ich jaja, które przy bryłach ziemi, przy kamieniach, lub na łodygach roślin, ukryte w żółtawych kłębkach dość łatwo dostrzedz się dają.

W czasie wielkiego napadu na zboża przelotnej szarańczy, niekiedy poświęcają płomieniem całe jego łąny, byle tylko zgładzić skutecznie tego strasznego nieprzyjaciela.

J. A.

CESARSTWO MAROKAŃSKIE.

USTĘP Z CZĘŚCI JESZCZE NIEWYDANEJ

Wspomnień z podróży Dra Triplina.

Jadąc z Kadyxu do Malagi, zatrzymałem się dni kilka w Gibraltarze, gdzie przypadkowo zupełnie nieprzewidzianemu byłem winien zboczenie z drogi, i wycieczkę mą do Afryki, którą tutaj opisać zamierzam.

W Gibraltarze zszedłem się u komendanta placu z doktorem Hamilton, z którym znajomość zabrałem w Londynie, a odnowilem w Lisbonie. Dr. Hamilton był człowiekiem bardzo przedsiębiorczym; po stracie młodej żony, którą kochał nadzwyczajnie, oddał dwie pozostałe córki siostrze swęj w opiekę, a pędzony potrzebą silnych wrażeń, zdolnych zwalczyć ogarniający go spleen, potrzebą zdobycia majątku, udał się do Alexandryi w Egipcie. W krótkim czasie wslawił się jako chirurg, a mianowicie jako okulista; powołany do służby wicekróla, użyty był do założenia szpitali i szkół lekarskich w Alexandryi i Kairze. — Walczył przez lat dziesięć z wszystkimi trudno-

ściami, które niedbałość wschodnia, przesady i zabobony przedstawiają, ale walczył z niesłychaną odwagą, i pokonał. W dziesięć lat dosłużył się godności beya, wyrównywającej stopniowi pułkownika, i dorobił się pięknego majątku. Tymczasem, córeczki pozostałe w Anglii dorosły — trzeba było myśleć o wyposażeniu ich. — Pan H. . . uzyskał od wicekróla Egiptu pozwolenie oddalenia się na lat dwa, i udał się do swęj ojczyzny, gdzie go miałem szczęście poznać. Wydawszy córki za mąż wracał teraz do Egiptu; w Lisbonie zatrzymał się czas niejaki, na wezwanie dworu, a potem przybył do Gibraltaru, statkiem parowym. I tu go zatrzymały zatrudnienia lekarskie już od dziesięciu dni.

Uszczęśliwieni z zejścia się zupełnie niespodziewanego, obznajmiliśmy się nawzajem z położeniem naszym. — „Najszczęśliwszy przypadek zysła mi pana” zawoła jedną razą H. . . z wielką radością. „Cesarz Marokański, a raczej syn pa-

nijący w jego imieniu, uwiadomiony o mém przybyciu do Gibraltaru, przysłał mi santurona jakiegos z zaproszeniem do Maroko, dla nauczzenia lekarzy tamecznych, sposobów leczenia owego okropnego zapalenia egipskiego ócz, które mu corocznie znaczną część wojska do służby i pracy niezdoła czyni. Odwiedziłbym chętnie ten kraj, ale nie sam, tylko w towarzystwie kolegi, którego mam upoważnienie przywieźć z sobą. Wzywam pana do uczestnictwa w tej wycieczce, która nie potrwa nad sześć tygodni." Nie będąc więzany żadną jeszcze umową z rządem hiszpańskim, znając prztem Dr H. . . . jako człowieka zacnego i w poźyciu przyjemnego, poszedłem za popędem ciągle we mnie palącej żądzzy zwiedzenia tej Afryki, której brzegi przed oczyma miałem, a do której wstęp, za przyczyny przesładowań przeciw chrześcianom wymierzanych, tak trudny. Nie wahałem się korzystać z jedynej może w mém życiu sposobności podróžowania pod protekcyą rządu angielskiego, zwłaszcza, że korzyści ztąd zostały mi uroczyście zabezpieczone. Opatrzywszy się w lekarstwa mogące nam być użyteczne dla chorych; w wino, buliony z żółwi, cygara i broń dla własnej potrzeby, wypłynęliśmy z przystani gibraltarskiej na fregacie angielskiej „The Mercury” dążąc do Tangeru, z bronią i amunicyą dla Abdel-Kadera.

Na kilka minut przed wyciągnięciem kotwicy przybiła do okrętu wielka łódź, napełniona samemi Maurami. Było ich do dwunastu, a największa część składała się oczywiście z osób wyższej klasy, gdyż była ubrana z całym przepychem i świetnością orientálną, w turbany białe jak śnieg, w kاستاني (dziabader) z zielonego atlasu lub karmazynowego sukna, bogato srebrem i złotem wyszywane, i w niezmiernie szerokie, do kolan tylko dochodzące spodnie (bodeyas) galonami złotemi ozdobione.

Niektórzy z nich bardzo byli przystojni, ale uderzającą piękności było dwóch młodzieńców, około 18 lat mających, cery tak białej i delikatnej, rumieńca tak czystego różowego, jaki się tylko na licach pięknej pld Albionu zwykł jawić.

Osobą najważniejszą, której reszta wielkie oddawała hołdy, był Maur wysoki, atletycznej budowy, około 40 lat liczący. Kamizolę miał z białego każmirku, zielonemi arabeskami sztucznie lecz skromnie haftowaną, spodnie z zielonego atla-

su w niezliczone fałdy; głowę miał otuloną w bieleńki szal kaszmirowy, niezmiernie długi, który spadał na barki, otaczał pas i spływał w draperyach aż na ziemię — rodzaj to burnusa zwany *haek*, będący w wielkiem poszanowaniu od niepamiętnych czasów u Maurów. Ramionajego muskularne wychodziły nago zpod wylotów kamizoli, nogi od kolan także nagie, stopy tylko w żółtych papuciach, wyszywanych wielkimi perłami. Prócz tych perel, których wartość mogła dochodzić do stu tysięcy, nie miał i najmniejszego klejnotu na sobie. Jestto kokietera arystokracji marokańskiej. Poważna czarna broda, na pół łokcia długa, spływała po obnażonej piersi. Rysy tego Maura były klasycznój regularności, lecz w ich wyrazie leżało coś nieublaganie srogiego: oczy czarne, za małe na rozmiary twarzy, błyskały dumą i nienawiścią. Nigdy tam nie zabłądził uśmiech, tak była zawsze ponurą ta twarz, to zmarszczone czoło, którego żadna radość nigdy nie rozjaśniała.

Osoba, nad której opisaniem tyle się rozwodziłismy, była właśnie tym santuronem czyli świętym, którego syn cesarski wysłał na zaproszenie doktora Hamilton do Maroko. Losy nasze poruczone były w ręce zakamieniałego mahometana, marzącego tylko o wytępieniu chrześcian i o tryumfie islamizmu. Każdy inny byłby się lękał o swe życie, ale nie Anglik, wiedzący, że rząd Wielkiej Brytanii czuwa nad nim jak Opatrzność, i że go pomści za każdą odniesioną krzywdę.

Patrząc ze wstrętem na naszego protektora, cieszyłem się, że trykolor Francji nie powiewa na naszym maszcie.

Wypłynęliśmy z przystani — już nas kołyszawały oceanu!

Maurowie, którzy odprowadzili santurona, pożegnali się z nim z pokorą — z nami, z grzecznością prawdziwie kawalerską, z pewną nawet serdecznością, mówiąc: *Allah ebbady charud al Marok*, co znaczy: Bóg niech czuwa nad wami w kraju marokańskim.

Wiatr szwische w liny i miota flagą — ta złata przy odgłosie dział, przesyłając ostatnie pożegnanie Europy. — Bądźże zdrowa, najmniejsza z części świata, lecz głowo jego! Opuszczam cię, i w chwili pożegnania wiem, że cię jeszcze więcej kochać będę skoro wrócę.

Dla lepszego schwywania wiatru w żagle, płynęliśmy przez czas niejaki ku zachodowi, aż pod samą twierdzę hiszpańską Tarifa, tak często wspomnianą w balladach rycerskich. Kto nie słyszał o wiernym jej komendancie, Don-Alonzo-Guzman, który wolał znieść widok konającego syna swego, ukrzyżowanego przez Maurów tuż pod wałami twierdzy, niż poddać się haniebnie Kalifowi, co z chmarą do pół miliona dochodzącą wyładował w Andaluzji, i powtórnie Hiszpanii groził jarzmem?

Na wysokości latarni morskiej zwróciliśmy się na południe, i wkrótce Tangier ukazał nam się na krańcu widokregu, biały, jak gołąb' siedzący na śwem gniaździe.

Słońce już się chyliło ku zachodowi, kiedyśmy wplynęli do przystani, rzucili kotwicę pośród kilkunastu statków genueńskich, francuzkich, duńskich i feluk maurytańskich. Tu rozwijał się przed nami Tangier w położeniu bardzo malowniczym, wznosząc się na bokach i szczytach dwóch sporych pagórków, z których jeden śmiały i spadzisty nurzał się w huczącym odmiecie oceanu, a drugi w lekkich pochyłościach zstępował wolniej na piaszczyste wybrzeże przystani.

Miasto było zabezpieczone wałami wysokimi (*) od strony lądu, przegradzającego górę od morza, a dość niskimi od stron niedostępnych z natury. Ponad stopami obu pagórków umieszczono kilka baterij z ciężkimi działami, skierowanemi na przystań, a nad baterjami piętrzyło się miasto po tarasach jak po stopniach olbrzymich schodów. Skala, domy i wały, słowem wszystko było białe, ale tak rażąco białe, jak gdyby z ogromnej skały wapiennej wykute. Tu i ówdzie tylko, kilka wysokich drzew wyskakiwało z pośrodku tych widm śnieżnych, wysokie jak nasze najwyższe sosny, gęsto u wierzchołka pokryte liściem, długim na pięć stóp a grubym i mocnym jak palona skóra. Palmy te rosły w ogrodach haremów; około ich stóp igrały niezawodnie w tej chwili owe czarnookie huryski, które Mauroi, na tym świecie jeszcze, dają przeczuć raju tureckiego.

Tuż przed nami wspina się wysoka dość wieża, czyli Minaret — nie białą lecz pstro malowaną. Należy do głównego meczetu tangierskiego; czar-

na długa chorągiew powiewa nad nim, z powodu święta żalobnego zwanego Aszor.

Piękna ława bielutkiego piasku, odgranicza morze od miasta i ciągnie się daleko, daleko, aż do przylądka Alimuinaru, gdzie wznosi się latarnia morska, migająca w nocy światłem czerwonym i zielonym. Od południa, na odległym, bystremu oku czasem tylko doścignę widokregu, połyskują w promieniach zachodzącego słońca, jak niebotyczne kryształowe wierzchołki starego niezmodernowanego Atlasu, który na barkach swych dźwiga niebo; ze wschodu sterczy pasmo wysokich gór Gibil-Muza, i wzbija się w obłoki, jak Tytan odwieczny, wysocki pik Tetuański. Takim jest Tangier, takimi jego okolice.

Przystań zabezpieczoną jest od fali morskich kamienną tamą, wchodzącą na 2,000 kroków w odnógę. Dziś sato tylko szczątki pysznej tamy, którą Anglicy lat temu czterdzięci i kilka, opuszczając Tangier, zniszczyli. Maurowie nigdy nie śmieli wziąć się do odbudowania kosztownego tego dzieła; dziś w wielu miejscach wściekle bałwany morskie przełamują kamienną zapórę i stracają w otchłań niezmiernie glazy, niegdyś z wielkim kosztem i trudem tu napiętrzone.

Nareszcie kół dobiega do brzegu, stajemy na gruncie Afryki. Witaj Afryko! ty nieodgadnięty sfinxie, który kryjesz w sobie nieznanne nam jeszcze ludy i państwa, i przechowujesz zdaleka od oczu naszych cywilizację jakąś, na odrębnych od znanych nam wykształconą podstawach!

Czekaliśmy na nas pod bramami miasta trzy osoby: kapitan portu, ogromny stary barbarzyńiec, z siwą nieczesaną brodą, w brudnym turbanie, haiku i dziabadorze, z gołemi nogami, których niezgrabne stopy zaledwie tkwiły w dziurawych pantoflach. Cały był uzbrojony w broń najpiękniejszej roboty, suto złotem nabijaną, drogiemi kamieniami wysadzaną. Przyjął nas z godnością, mówiąc: *Sba alkehr a Sidi*, co znaczy. Dobry wieczór panie.

Dwaj inni, daleko młodszy Maurowie, ubrani byli czysto i pięknie, w kaftany i spodnie czerwone, podobnie turban z zawojem białym muslinowym, i w burnusy różnokolorowe. Byli to janczary konsultatu angielskiego, dodani mu przez baszę dla bezpieczeństwa. Mieli rozkaz zaproszenia nas do konsultatu. Poza bramą pieliśmy się spadzistą i krętą ulicą; na lewo groziła bateria pełna cięż-

(*) Te największe ucierpiał podczas bombardowania Tangieru przez Francuzów w r. 1845.

kich żelaznych armat, wymierzonych na przystań; obdarci kanonierowie siedzieli przy nich na piętach z zapalonemi lontami.

Na prawo, ściana skalista zastaniała wszelki widok. Od miejsca do miejsca były w niej wykute dość głębokie framugi, a służyły na ochronę żebrakom i biednym przekupniom. Tą drogą doszliśmy na obszerny, w skale wykuty taras, gdzie stał już wspomniany meczet. — Blżej przypatrzwszy się Minaretowi, poznałem w nim wielkie podobieństwo do Giraldy Sewilińskiej, nie co do koloru, Minaret bowiem z kamieni różnokolorowych zbudowany, przedstawiał pstrą, mozaikę, a Giralda z kamieni różnych wzniesiona; co do wielkości odpowiadał Giraldzie, jak świerk polski cedrowi libańskiemu; ale co do kształtu budowy i niepojętych myśli zawartych w owych mistycznych arabeskach, w owych dziwnych znakach, które się snują po obu budowlach jak tkanka jaka czarodziejska. Obie budowle są, że tak powiem, istnemi godłami wielkości tych, którzy je wzniesli. Giralda, cud świata, przedstawia dumnego i pysznego Maura, zwycięzcę ziemi; Minaret tangierski zaś, Maura słabego i zniewiesiałego, zaledwie znanego światu, ale strojnego w ubiór malowniczy, pełnego jeszcze uroku w swych poetycznych uczuciach i myślach, w gustach miłosnych.

Przechodząc zatrzymałem się u bramy meczetu, i ciekawe rzuciłem spojrzenie wewnątrz. Nie spostrzegłem nic prócz czworobocznego dziedzińca, brukowanego tafiłami kamiennymi, w mozaikę różnofarbną ułożonemi; w środku była marmurowa fontanna, przy której kilku Maurów *odbywało obmywanie*; wzdłuż boków ciągnęły się pod arkadami przedzielone kapliczki, podobne do stacyj w dziedzińcach klasztorów naszych. Ale nie widziałem tu żadnego malowidła rażącego oczy, gust i serce niezgrabnemi przedstawieniami męki Tego, którego obrazowi dusza nasza jedynie za godne siebie tło służyć może.

Przyznam, że było coś uroczystego w tej nagości przybytku mahometańskiego. W chwili, kiedy sobie to pomyślał, słyszę głos donośny, straszliwy jak ryk lwa, spadający z szczytu Minaretu jak z trąby archaniola: „*Kapul ud bag?*” (niemasz Boga prócz jednego). Wskrósł przejęty echem tém silnemi mych własnych myśli, dodałem: „ale tym Bogiem jest Bóg łaski i przebaczenia, naka-

zujący nas kochać bliźniego, nawet w nieprzyjaciela. To Bóg nie wasz.”

Teraz zwracamy się na lewo, w przejścia prowadzące pod Minaretem, i zaledwie kilka uszliśmy kroków, kiedy nas doszedł gwar głosów dziecinnych. Byłato szkoła, w której dzieci uczyły się na pamięć wierszy Alkoranu. Znów inna nauka dla nas chrześcian. Maur uczy swych dzieci ustępów najważniejszych tej księgi prawa, która mu służy za podstawę wiary, kiedy chrześcianin nie wie, ani chce wiedzieć, jakie skarby w sobie zawiera księga jego własnych praw i prawd odwiecznych.

Jeszcze kilka krętych ulic, i stajemy nareszcie w konsulacie angielskim. Mieszkanie obszerne, zupełnie europejskiej budowy, z wielkim dziedzińcem, w środku którego pluska ciągle i żwawo fontanna przezroczyściej wody.

Wprowadzono nas do szerokiego i chłodnego przedsionka, na którego ścianach zawieszone były skóry z zwierząt drapieżnych, przez konsula upolowanych; od lwa królewskiego aż do podłego szakala, cała rodzina niszczycieli była tu swą siercią reprezentowana.

Weszliśmy do pomieszkania konsula. Podagrą dręczony, siedział w swej bibliotece i oczekiwał doktora Hamiltona. Można sobie wystawić, że nas uprzejmie przyjął. Konsul, dawny oficer marynarki, bardzo ocytany, choć namiętnie lubił polowanie, i choć do żadnego towarzystwa, żadnych wstrzeмиéżliwości angielskich nie należał. Był kawalerem, już nie pierwszej młodości, około 50 lat.

Santuron towarzyszący nam z widoczną niechęcią, pożegnał nas tutaj zimno, i prawie z pogardą, oznajmiając, że nas wiadomości kiedy karawana będzie mogła wyruszyć do Maroko.

— Jakim sposobem panowie przyszli do towarzystwa tego chytrego tygrysa Atlasu?—pytał nas się konsul. Odpowiedzieliśmy, że santuron, powracając z Mekki i bawiąc w Gibraltarze, otrzymał od cesarskiego syna firman, rozkazujący mu nakłonić doktora Hamilton do przyjazdu do Maroko.

— Dziwi mnie bardzo — rzekł dalej konsul — że człowiekowi tak znanemu z fanatyzmu wściekłego, z niepohamowanej nienawiści ku chrześcianom, poruczono takie posłannictwo. Wejrzę ja w tę rzecz, ale jutro zaraz uwiadomię przez sygnały gubernatora w Gibraltarze, żeby nie

wypuszczał z przystani żadnego Maura. Zdradzieckie to plemię; poznaćcie ich panowie!

Pozostaliśmy w konsulacie gościć podczas całego pobytu w Tangierze. Przy obiedzie, poznaliśmy wszystkich tu bawiących angielskich gentlemanów, dwóch sekretarzy konsultatu, dwóch kupców bogatych, jednego jegomości bardzo obznajmionego z stosunkami Abd-el-Kadera (byłto niezawodnie pośrednik pomiędzy nim a rządem angielskim), i młodego oficera inżynierii, czekającego na sposobność udania się do Emira, którego wielce ubóstwiał. Obiad dano godny konsula Wielkiej Brytanii. Dziwił bawół marokański, koza z gór Gibeł-Muza, pstrągi rzeki Tiszar spadającej z Atlasu i sławne owe jarząbki Mogadorskie, nabrały bardzo wiele cywilizacyi pod ręką kucharza, choć dopiero po śmierci.

Podczas obiadu rozmowa toczyła się o polityce, tak jak w salonach stołecznego jakiego miasta w Europie, tylko prawdziwie z większą jeszcze znajomością rzeczy.

Przepowiadano, że Abd-el-Kader straciwszy Konstantynę i Maskarę, będzie się cofał ku państwu Marokańskiemu, i że wpływem wywieranym na umysły fanatycznych islamizmu obrońców, zmusi cesarza Marokańskiego do wzięcia udziału w świętej wojnie przeciw Francuzom. Wypadki okazały gruntowność tego rozumowania.

Nie tajono także bynajmniej, że rząd angielski wspiera Emira prywatną drogą, nie zabraniając fabrykantom broni i amunicyi, sprzedawać swe wyroby Abd-el-Kaderowi, dobrze płacącemu, i protegując kontrabandzystów, wysyłających mnóstwo towarów do Algierii francuzkiej.

To wszystko działało się w Afryce, podczas, kiedy pan Guizot cieszył się w Paryżu odkryciem naiwnego wyrażenia „entente cordiale” jako najlepiej cechującego czułą przyjaźń, istniejącą pomiędzy Anglią i Francją.

Poznał się pan Guizot, dość późno wprawdzie, na rzeczywistej wartości mniemanej *zgody serdecznej*, i zemścił się za Abd-el-Kadera Infantką hiszpańską. Jak mu się udało, o tém wiemy....

II.

Porterze, madeiro, oporto, xeresie, alicante, bordo, johannisbergerze, szampanie! i ty rumu

z Jamaiki, araku z Goa, dżinie angielski i irlandzki wiski! i jak się nazywacie wy wszystkie „nice wines and good spirits” (ładne wina i dobre wódeczki, które Wielka Brytania przyjmuje w swych gości, gdy chce być prawdziwie serdeczną; dlategożem przybył znad brzegów Nidy, przez Bałtyk, morze Północne i ocean Atlantycki, aż pod stopy wielkiego Atlasu, abym w kraju klasycznym pięknej Didony i pobożnego Eneasza, wielkiego Scypiona, Annibala i Jugurty, przepędzał noc jak w Tawernie jakiejś londyńskiej! Wszystko to wyrażało jedno me westchnienie, które mi się wydobyło z piersi, skoram się nazajutrz, po obiedzie u angielskiego konsula, ujrzał leżącego w stroju niedbałym na lwiej skórze, rozciągniętej na ziemi, a uczcowników innych obok mnie na tygrysiach, leopardzich, wilczych i niedźwiedziach. Oficer inżynierii leżał po prostu pod stołem; zdawało mu się najpewniej, że to gościny namiot Abd-el-Kadera. Murzyn konsula siedział pomiędzy nami z zasepioną twarzą; wyglądał jak Maryusz na ruinach Kartaginy, i widząc mnie przebudzonego, rzekł po angielsku:

— Już konie czekają na panów.

— Jakto konie? jedziemy już do Maroko? — krzyknę zdziwiony, prawie przeleknięty, i krzykiem swym przebudzam wszystkich gentlemanów.

Uspokojono mnie: nie do Maroko mieliśmy jechać, tylko na brzeg morski, dla wzięcia kąpieli. Taki był zwyczaj tradycyjalny w konsulacie: woda morska następowała po porterze, madeirze i całęj litanii wysokich win i dobrych likworów.

Janezary i drugi dragoman konsultatu przyprowadzili z dziesięć kuców berberyjskich, stworzeń szczególniej rasy, udających się najlepiej w górach Barbaryi. Konie te małe, ale nadzwyczaj szerokie w piersiach i krzyżu, krępe, rączne i ogniste, bardzo są zręczne i silne: pędząc z najnierówniejszej góry nigdy się nie potykają; biegnąc zaś pod górę nie przedko się zmczają. Suwają przez rowy i przepaście jak dzikie kozy; zły jeździec nie usiedzi na nich. Są nadzwyczaj zuchwałe; trzymać je trzeba silnie, nigdy jednakże nie targać wędzidłem, bo ich to bardzo niecierpliwi. Ogień jakiś dziki pryska z ich oczu; głowy mają małe, zgięte, a nozdrza szerokie zawsze rozdęte. Szczególniej zastanawia pamięć kuców berberyjskiego: zanie pominają nigdy urazy doznanej, i przy zdarzonej sposobności, mszczą się srodze kopytem i zębami. Żywią się łatwo, liśmi

kukurydzy, siewczką, słomą ryżową, jęczmieniem — owsa tu nie znają; najbardziej lubią aromatyczną trawę gór Barbaryi, w których się dziko rozmnażają. Koniki te, choć małe, użyte są pod kawalerję. Nie trzeba sobie wystawiać, że każdy Arab posiada konia z czystej rasy arabskiej. Konie, jeśli są dobre, zdrowe i niezmarowione, nie potrzebują być bardzo piękne, aby dojść w własnym kraju do wartości tysiąca dukatów. Ale też rozum i wytrwałość, siła, szybkość i zrzeczność konia arabskiego, stawia go wyżej nad wszelką rasę, nad wszelkie rodzaje koni.

Trudno sobie wyobrazić do jakiego stopnia człowiek jest w stanie cenić, pokochać konia. Arab kocha go jak własne swe życie, i każdemu powie w przytomności swej rodziny, że przedźwiby zniósł jej stratę niż śmierć swego konia. Wiemy, że Heligabal mianował swego konia 1^{ym} konsulem dożywotnim. Trudnoby było pojąć to bałwochwalstwo, gdybyśmy nie wiedzieli, że ów bohater świętyn i obrońca chrześcijaństwa, który bił Maurów z taką walecznością, zwykł był zaręczać, że konia swego Babieka, więcej kocha jak żonę i córki. Mówił to Rodryg Cyd, nie ów dowcipny sentymentalny pana Delavigne, ani też ów pompatyczny salonowiec Kornela, ale prawdziwy Rodryg Cyd, „el Campeador y honra d'España” jakim go wystawia Calderon w swych nieśmiertelnych wierszach, z których najpiękniejsze myśli posłużyły Kornelowi i panu Delavigne, do zrobienia na własne kopyto, owych znanych nam imitacyj Cyda.

Wsiadamy nareszcie wszyscy na koń, i dążymy, poprzedzeni przez janczarów, do tej części morza, gdzie z przyczyny parcia bałwanów kąpiel najprzyjemniejsza choć dość niebezpieczna.

Zrazu wjeżdżamy na górną część miasta, w której był rynek. Dziwny widok przedstawiało to niezbyt wielkie, czworoboczne, nędznymi na pozór domami otoczone miejsce. Z frontu były sklepy bławatne, korzenne, żelazne i inne, w których sprzedawano rzędy na konie, haftowane ubiory, turbany, kobierce, szale, aromaty i inne podobne towary. Przed każdym prawie sklepem siedział poważnie, na nędznym dywaniku, ze złożonemi jak szczyzoryk nogami Maur, dość brudno ubrany z fajką w ustach; siedział nieporuszony jak automat, tylko ścigał oczyma kupujących. Powiedziałby każdy, że to nędzny jaki kramarz. Ale nie sądzimy

z pozoru; w niejednym z tych ciemnych sklepów większe są skarby jak w błyskotliwych, ozłoconych, w świetle gazu migających się magazynach paryżkich; a ów dom, którego małe zakurzone okna żelaznemi kratkami zasłonięte, to tylko skorupa która perły zawiera w sobie. W środku tego domu, są pokoje najdroższymi perskiemi dywanami obite, sale na jaspisowych filarach wsparte, łaźnie z alabastrowemi wannami. Za domem, ogród rzadkimi kwiatami i krzewami woniejący, ścięzki srebrnym i niebieskim piaskiem w desenie wysypane, kioski złożone, kryształem błyszczące. Dalej harem, a w tym haremie przebrzydły Maur, który wywraca oczyma przed swym sklepem, więzi kilka, a czasem i więcej nadobnych córek Wschodu, z których jedna uszczesliwiłaby Europejczyka, gdyby zbyt rychło nie przekwitwała.

A ów brudny Maur czychający tak chciwie na kupujących i ich szekiele (pieniądze), smażący się w nieznosnym skwarze słońca, udający biedaka z bojaźni, żeby nie wzbudził chciwości swego rządu... znieśie on to wszystko, i więcej jeszcze w potrzebie, dla tego co go czeka jak sklep swój zamknięcie i pacierze żmłowi. Czeką go kąpiel ambrą i benzoeseem zaprawiona, czekają go tańce i śpiewy swych żon i niewolnic, czekają go urzeczywistnienia najpiękniejszych snów młodości.

Alé coto za zgilek i wrzawa na rynku? krzyki dzikie i nieharmonijne; ledwo uszy nie pękna. To są przekupnicy i przekupki, siedzący w kłatkach podobnych do wielkich tabakierek z boku się otwierających, z wiekiem podniesionem i drążkiem podpartem. Sprzedają winogrona, daktyle, barylki cukru, mydło, masło, melony, arbuzy i placki z kukurydzy. Zalecają swój towar nieznosnym sposobem, wrzeszcząc w niebogłosy: „szrit hinaí, szrit hinaí” (kupuj tutaj), i machają bezustannie kijem, na którym osadzone są liście palmowe dla spędzenia much cisnących się chmarami. Są i beduinki pod kapelusząmi słomianemi, objętości dobrego familijnego deszczochronu; skrzydła zwieszane na twarz, dojrzące ich nie pozwalają. Czasem jednakże jedna lub druga uchyli skrzydła dla przypatrzenia się naszej kalwakadzie. Boże! w życiu mojem nie widziałem nic tak brzydkiego jak owe stworzenia. Paszece mają z długimi jak migdały zębami, których ściągająca się jak żywy kapiuich skóra brunatna, ani w stanie pokryć. Ale już spo-

strzegły wrażenie jakie na nas sprawiły, i nie robiąc sobie żadnej iluzji o swój piękności, zaczynając nas przeklinać jak najserdeczniej. W okamgnieniu zapaleczność udzieliła się wszystkim jedzom, wszystkie uchyliły skrzydeł, i miotają na nas najbezpieczniejsze przekleństwa. Co do kłatw i wymyślań, przekupki tangierskie nie ustępują żadnym, ani berlińskim, ani krakowskim, ani nawet paryżkim.

Nasycony widokiem harpij i ich grzesznością, opuściliśmy rynek i wstąpili na główną ulicę Tangieru, zwaną Siarrin. Dość szeroka i nieźle brukowana, zamieszkała jest przez urzędników cesarskich wyższego stopnia, wojskowych i ulemów czyli prawników, którzy korzystając z wpływu swego i z czasu, trudnią się zarazem kupiectwem. Ci panowie, nie obawiając się Baszów i ich zdzierstwa, tyle ile inni zwyczajni kupcy, siedzieli czysto i ozdobnie przybrani przed domami, i witali nas przyłożeniem ręki do serca i głowy. Tu poznaliśmy drugiego Baszę tangierskiego; pierwszy znajdował się w Maroko.

Hamed Sin Samani, drugi Basza Tangieru, starsze sędziwy, z przyjemną twarzą i śnieżną brodą, siedział przed swym domem, wymiarł sprawiedliwość i zarazem sprzedawał essencję różaną, arabskie kadzidla, pastylki serańskie i koszenille, na swych rachunek, a proch strzelecki i kwiat siarczany na rachunek cesarza; na te dwa bowiem przedmioty rozciągnięty jest monopol cesarski. Tak więc, śmierć i życie, proch i olejki trzymał Sin Samani jednocześnie w swych rękach. Ale niktogo tu nie raziło to połączenie handlu i urzędów. Nie zdarzyło się nigdy, żeby Basza sprzedał strzyżek zamiast cukierków serańskich, lub żeby kogo namaszczył olejkami zamiast uduścić go. Sprawiedliwości był nieugięty, jak zaręczał nam dragoman. Przed kilku tygodniami kazał własnemu pięćdziesięcioletniemu synowi publiczną dać bastonade, za to, że wnuk ostatniego źle mówił wiersze alkoranu w meczecie. Przy tej sposobności dostało się i wnukowi i prawnukowi, tak, że trzy generacje w jednej chwili były bite za alkoran... rzecz miła sereu Mahometa.

Nie oparliśmy się chęci nabycia czegoś od tak dostojnej osoby, i kupiliśmy od negocyanta generaliskiej rangi, każdy za kilka złotych, olejków i pastylków.

Księga Świata.

Tuż blisko bazar, to jest dziedziniec bardzo obszerny, pokryty jak namiot rzadkimi ale mocnym płótnem; po czterech bokach do stu małych budek z najrozmaitszymi towarami Wschodu i Europy. Wszystkie wyroby ze skóry i surowego jedwabiu były przedziwne. Część bazaru, w której sprzedają niewolników, stoi otworem dla wszystkich, ale na targownię niewolnic nie każdy ma prawo wejść. My nie doznaliśmy żadnej trudności; dragoman i janczary wszystko ułatwiają. Białych kobiet zabrakło właśnie na targu tangierskim; na większych trzeba ich szukać targach, w Konstantynopolu, Kairze, Alexandrii, Tripolis i w Maroku, ale nie w Tunis. Bey tunetański, choć nie chrześcijanin, poznał, że handel życiem ludzkim jest krzywdzącym godność człowieczeństwa, i zniósł go w swém państwie.

W bazarze niewieściem było kilkanaście murzynek, po największej części z Senegambii, kilka z Kongo, dwie czy trzy z Angoli i Bengeli. Skromnie były przybrane, bardzo nawet skromnie; prócz kulezyków bowiem i sznurka paciorków na szyi, miały tylko ten już z mody wyszły artykuł stroju, który dumna Juno pożyczyc musiała raz od pięknej Afrodyty dla skłonienia sobie Jowisza. Skromnie tedy były przybrane, ale pomimo tego nie zachwyciły nas wcale swą urodą, o której łatwiej mogliśmy sądzić jak ślepy o kolorach, proszę temu wierzyć. Dla lubowników jednakże atletycznej budowy, włosów w kędziory welniane zwijanych, ócz żółtaczkowych, warg mięsistych funtowych, i innych kolosalnych wdzięków, było tu obszerne pole do szukania zachwyceń, szczególniej dla tych, którzy się nie gniewają, że lis pachnie jak lis, dudek jak dudek, a murzynka jak lis i dudek razem.

Jeden był wyjątek jednakże: murzynka z etyopskiego plemienia, które różni się jedynie kolorem ciała od najpiękniejszych kobiet plemienia kaukazkiego. W jednej z klatek siedziała na ziemi, samotna i w głębokim smutku pogrążona, młoda murzynka z Nubii, ciała cudnie lekkiego i kształtnego, rysów bardzo miłych i szlachetnych, podniesionych tęsknotą i smutkiem. Trzymała przy piersiach niemowlę prawie zupełnie białe. Na plecach obnażonych blizny białawe, szerokie, słady chłost doznanych, ręce i nogi nadzwyczaj zgrabne były głęboko poprzecinane powrozami, ale także

już oddawna zagojone. Trzeba wiedzieć, że bliźny najmniejsze łatwiej rozeznają na ciele murzynów jak na ciele białych, pochodzi to z braku pierwiastku kolorowego w substancji nowiej zagajającej rany i zastępującej ruytek przeciętej skóry.

Młoda córka Nubii, leżyła lat dopiero trzy-nasie kiedy ją upolowano. Wiadomo, że Mehemet-Ali, wice-król Egiptu, który także przez całe życie był pod pewnym względem kupcem, wysłał corocznie najlepszych jeźdźców na upolowanie potrzebnej mu do handlu liczby Nubijczyków, Etyopów i Abissiniczyków.

Młoda Nubijka bawiła się w kraju swym szczęśliwym nad brzegami rzeki Niebieskiej, (która łącząc się z Białą, tworzy Nil), kiedy ją obskoczyli zaczajeni myśliwi. Usiłowała utratą życia uniknąć niewoli, i wskoczyła do rzeki, spodziewając się znaleźć śmierć w jej nurtach lub w paszczy krokodyla. Lecz ją schwytano, skrupowano, i zastłoniwszy oczy umyślnie na to przygotowanymi plastrami, aby nie wiedziała w którą idzie stronę, uprowadzono. Potem razem z innymi ofiarami przytwierdzono ją do długiej żerdzi, której dawał kierunek jeden z łowczych wice-króla, i pędzono ku Alexandryi. Stawiając ciągi swym oprawcom opór, i korzystając z każdej sposobności ratowania się ucieczką lub samobójstwem, ściągnęła na siebie owe neliłociwe chłosty, których ślady niezatarte na całe życie pozostaną.

W Alexandryi zachorowała tak mocno, w skutek dręczącej ją tęsknoty, że kupiec Mehemet-Ali, pomimo piękności, za tanie ją musiał sprzedać pieniądze, lękając się żeby mu towar nie zmarł.

Takim sposobem dostała się w ręce i w objęcia Maura tangierskiego, kapitana feluki kupieckiej. Przywiózł ją z sobą do Tangieru. Dobre obchodzenie się, młodość, instynkt macierzyński, rozwijający się z zarodkiem życia nowego w jej łonie, cokolwiek pogodził biedną Aily z losem. Ale nie tu koniec jej cierpień. Urodziła panu swemu syna; wkrótce potem w burzy, pan traci felukę, najątek i życie, pozostały długi. Wierzyście zabrali co było jeszcze w domu, a nawet i niewolnicę z dzieckiem. Smutna ta historia, opowiedziana nam przez Kapudi-Iwa, to jest sekwestratora publicznego, obudziła w nas największą litość. Chcielibyśmy się złożyć, nabyć biedną Aily i udarować ją

wolnością, ale nas ubiegł Dr. H., który znając język arabski, nie potrzebował tłumacza dragomana do zrozumienia historii opowiadanej przez sekwestratora. Kupił matkę i dziecko za 120 piastrow hiszpańskich, to jest za 960 złp., pod warunkiem, że jęj da wolność. Chrześcianinowi bowiem niewolno posiadać w państwie Marokańskim niewolnika mahometanckiego, a Aily była mahometanką. Co się dalej stało z piękną Nubijką, opowiem po powrocie z Maroko do Tangieru.

Wychodząc z bazaru, spotkaliśmy karawanę idącą z Maroko. Dwadzieścia kilka wielbłądów, ciężko obładowanych, postępowało długą linią, jedne za drugimi, wolno i poważnie, ale tak posuwistym krokiem, że koń, dobry stępak, zaledwieby im dotrzymał. Dwa wielbłądy nosiły na sobie dziwne jakieś wysokie budowle, nakształt sztylerhausu czyli budki strażniczej. Budki te ozdobnie malowane, obwieszone były pięknymi draperiami, spadającymi aż na ziemię; z przodu zasłony miały z zielonej kitajki. W pierwszej budce siedziały dwie kobiety, otulone i zakafłone. Jedna z nich ubrana w najdroższe jedwabie i musliny, błyszczała perłami i dyamentami. W drugiej budce siedział murzynka z całym rojem dzieci różnokolorowych. Byłoby zapewne żony, niewolnice i dzieci którego z tych brudnych kupców, co tam siedzą przed domami wywracając oczy.

Wał bardzo wysoki przegradza nam drogę; przebywamy go pod długim sklepieniem, zwanym Bab del Faz czyli Brama Fecka, i stajemy w miejscu obszernem ale nierównym, zwanem Sok de Barra, czyli targ zewnętrzny, na którym każdej niedzieli i czwartku sprzedają zboże. Blisko rowu fortecznego, znajduje się mnóstwo podziemnych składów zboża, z malemi otworami na zewnątrz, które zamykają kamieniami lub zatykają słomą, tak jak u nas doły na ziemniaki. Tu i owdzie, kilka bud słomą okrytych dla strzegących te składy podziemne. Po zamknięciu bram miasta rozpuszczają tu psy tak dzikie i srogie, że nie radziłbym nikomu obecnemu zbliżać się do nich; rozszarpałyby go na kawałki.

U spodu pagórka jest miejsce ogrodzone czterema białymi ścianami. Tu spoczywają zwłoki sławnego Marabu, czyli sławego nazwiskiem Sidi Mokfid, który cztery razy był w Medynie i Mekce, i umarł w religijnym zachwyceniu, w meczecie tan-

gierskim, lat temu dwadzieścia. Ten sobie koniec sam przepowiedział: pytanie, czy nie umarł umyślnie, aby dotrzymać słowa.

Dalej schodzimy na El Kawar, czyli cmentarz. Groby są oznaczone kamieniami, ułożonemi w podługne koło; inne są przykryte podobnegoż kształtu głazami, inne jeszcze mają wzniesione nad głowami kamienne turbany różnego kształtu, podług stopnia nieboszczyka.

W środku pola umarłych, na dość wysokim kopcu, pochowany jest pierwszy i najwięcej czczony święty tangierski, zeszedł z tego świata pięćdziesiąt lat temu. Nazywał się Mahomed el Hadżi; z powołania był lekarzem, ale więcej się zajmował pacierzami i przepowiedniami, niż praktyką lekarską. Mnóstwo jego przepowiedni już się ziściło, reszta ma się ziszczyć niebawem. Przepowiedział zjawienie się Abd-el-Kadera, świetność jego przyszłą, i tryumf islamizmu w Afryce i Grenadzie. Przepowiednia byłaby się może ziściła, gdyby kupecy paryżcy chcieli byli dotrzymać słowa, danego Abd-el-Kaderowi przez młodego generała. Lecz aby przewidzieć, że losy niegdyś ryckiego narodu, dostaną się w ręce spekulantów i milionowych wydrwigroszów, na to trzeba było być nie Hadżim, nie Mahometem, nie Habakukiem i Eliaaszem, ale samym Thiersem.

Wracając się do naszego proroka, doktora medycyny, dodamy jeszcze, że mu obywateli Tangieru i okolic wystawili bardzo ładny meczet, z czystego białego marmuru i z świątelną sklepieniem, wspartem na ośmiu kolumnach koryntkich. Przybytek ten ozdabiają wierni Mahometa, nie kolorowemi chorągiewkami. Najszatańniejszy to budynek ze wszystkich, które widziałem w tej stronie Afryki.

Cmentarz odgraniczonym jest od brzegów morza wysokim murem, stanowiącym część zewnętrznego wału miasta od strony zachodniej. Dostawszy się za bramę, ujrzelismy nareszcie część zatoki, którą oddzieli od przystani tama wyżej opisana. Bałwany morskie biegy ku nam od strony Europy, ale się rozbijały o kamienną zapórę, i ryczały jak gdyby z gniewu, że nas dosięgnąć nie zdołają. Nieraz cała ława skalista zajaśniała białą pianą, tak jak mleczna droga na niebie. Pęd fali bardzo był gwałtownym. Podczas kąpieli, byliśmy zniewoleni trzymać się łańcuchem sil-

nie za ręce; inaczej bałwany byłyby nas uniosły i zgruchotały na głazach. Temperatura piasku na wybrzeżu dochodziła 38° R., o tém przekonałismy się termometrem; ustać nie można było na brzegu golemi nogami.

Przypomnę nam jeszcze groziło niebezpieczeństwo. Pod powierzchnią gorącą piasku, siedzieli zaczajone w chłodniejszej warstwie owe najjadowitsze białe afrykańskie niedźwiadki, znane już Pliniuszowi pod nazwiskiem: Scorpio arenarius albus (Grillus Africanus, Buffon). Żądło cienkie, zdradzieckie wystawiają szkaradne te stworzenia nad samą powierzchnię, tak, że łatwo nam nie nadeptać, i co gorsza być śmiertelnie rannym, nie wiedząc nawet o tém. Skóra bowiem podeszwy nogi choć jest tak drażliwa, że jej laskotanie trudno wytrzymać, nie jest bardzo czułą na zranienia. Że drażliwość nie jest czułością, o tem wié niejednen mąż, choć nie lekarz, z doświadczenia w własnym domu nabytego, i nie potrzebuje po nie schodzić aż na piaski afrykańskie. Wracając się do owych zagranicznych niedźwiadków, dodamy, że wypalenie natychmiastowe rany ammoniakami i zażyście kilku kropli tegoż lekarstwa w szklance wody, zabezpiecza od złych skutków. Przykładanie na ranę oliwy, w której moky te owady, także jest dobrém. I tak człowiek klin wybija klinem, niedźwiadka uczyni nieszkodliwym innym niedźwiadkiem, dlatego téż idąc tym samym systematem można kobiety nauczyć rozumu inną kobietą; i nie raz to się uda.

Najlepszym atoli lekarstwem przeciw ukąszeniu, nie kobiety lecz niedźwiadka, jest mlecz rośliny rosnącej tu obficie na całym wybrzeżu, niezawodnie z przykazu Boga, który łagodzi wiatr dla nowostrzyżonych owiec, i nie mniej dba o skórę ludzką jak o zwierzęcą. Roślina ta należy do rodziny Euphorbiaceów czyli Wilczego ziela. Mlecz tej przyłożony na ranę od żądła niedźwiadków, uobojętni jad i zapobiega zapaleniu. Przyłożony zaś na każdą inną ranę, rozogni ją w bardzo widoczny i bolesny sposób. Pierwiastek ostry, zawarty w całej roślinie, a który rozkłada jad niedźwiadka, zabezpiecza ją znów od żarłocstwa szarańczy. Plaga ta ziemi, trapiła w tej chwili część północną państwa Marokańskiego, i ogolaczała z reszty tej świeżości, którą pałące słońce jeszcze nie zwarzyło. Wszystkie drzewa, prócz palm, nie-

których gatunków Ilex i Rhododendron Euphorb, mających liście twarde lub ostre, ogolcone były z zieloności, i wyciągały gałęzie obnażone jak w późnej jesieni. Nic nie pozostało z pysznej vegetacji, prócz owoców, mianowicie winogron; szarańcza bowiem nie tyka owocu, dopóki ostatniego listka nie pożrze. Miarydy tych przebrzydłych stworzeń, załęgały miejsca pokryte resztkami trawy, podlatywały chmarami przeciw nam z wszystkich kierunków, i ginęły milionami podkopytem naszych koni.

„Mirad las ayanas” (patrz pan na szarańczę) mówił do mnie po hiszpańsku renegat żydowski, służący konsulowi angielskiemu za dragomana; „Patrz pan na szarańczę, i słuchaj jak jedzą! Potężna jest szarańcza, potężniejszą jak sułtan albo konsul. Niech sułtan wyśle wszystkich swych Mahasniah (rodziny arabskie najbitniejsze) przeciwko szarańczę, ona ich się nie lęka.— Szarańcza się nie boi konsula. Kilka tygodni temu, konsul powiedział: „Ja jestem mocniejszym jak szarańcza i chcę ją wyniszczyć.” Kazał więc obwieścić w mieście: „O Tangierczyki! spieszcie walczyć z szarańczę, zniszczcie ją w swym zarodzie, i wiedźcie, że ktokolwiek z was przyniesie mi funt jaj szarańczy, temu zapłacę pięć realów hiszpańskich (półtrzecia złotego polskiego); nie będzie tego roku szarańczy.” Tak cały Tangier wyruszył na wojnę przeciw szarańczy, i zbierał jaja, które szarańcza złożyła do wyklucia pod piaskiem na krańcach pagórków, na brzegach dróg i na płaszczynach. I mój własny syn, który ma 7 lat, poszedł walczyć z szarańczę, i ubierał sześć funtów jaj, za które mu konsul zapłacił. Stu innych zanosiło jaja konsulowi, jeden mniej drugi więcej, i konsul płacił im ich cenę, i kazał palić je na popiół. I w tydzień kassa konsula była wyczerpaną, bo zapłacił do 18,000 pesetów (30,000 złot. pol.). I wtenczas rzekł: „Prześcąńcie, o Tangierczyki! możemy już zniszczyć szarańczę.” Ha! ha! patrz około siebie, patrz pod sobą i nad sobą, i powiedź czy konsul zniszczył szarańczę.

Dodajmy tutaj zaraz, że w tydzień po tym czasie, szarańcza znikła z widoków tangierskiego, nikt nie wiedział gdzie i jak; domniemywano się jednakże, że gwałtowny wiatr południowy, wiejący z śnieżnych wierzchołków Atlasu, a którego srogości doświadczyliśmy w Maroko, porwał ją i wtrącił do oceanu. Owady te były dość duże, koloru

brudno-zielonawo-żółtego, wyglądały bardzo obrzydliwie.

Powracaliśmy do miasta drogą prowadzącą około cmentarza żydowskiego. Każdy prosty żydek miał glaz na grobie, a każdy mormorainy tablicę kamienną z napisem hebrajskim, zupełnie jak u nas. Ten zaś cmentarz Izraelitów tangierskich, podobnym był zupełnie do pinczowskiego, z tej przyczyny, że jak w tym tak w tamtym żydki sobie założyli spekulacyjkę, i połowę jego obsiewają, tylko w każdej strefie innym owocem: nad Nidą sadząc ziemniaki, a w Afryce figi kolczaste. Owoc ten tak jest szczególnym i mało znanym w Polsce, że warto go bliżej opisać.

Figa kolczasta, zwana Kermous del Inde po maurytańsku, rośnie na krzewie kaktusowym dziwnego a nawet śmiesznego kształtu. Pień jego choć częstokroć grubości człowieka, nie ma korony lecz się dzieli, w małej odległości od ziemi, na wielką ilość dziwnie w te i ową stronę łamanych gałęzi, które mają liście niezgrabne, mięsiste, na pół całą grube. Owoc z kształtu podobny do gruski, okryty jest twardą skórą, obsadzoną cienkimi kolcami, które głęboko wchodzą w dotykającą je nawet najlżejszą rękę, i niełatwo dadzą się wyciągnąć. A trudno bardzo obrać ten owoc, ale przyjemnie go jeść; jest bowiem wybornego smaku, daleko lepszego niż zwyczajna figa, niemająca nic z nią wspólnego prócz kształtu.

Dragoman, patrząc się na cmentarz, rzekł: „O Sidi! mało oni się nacieszają swemi owocami, te głupie żydy; dzieci maurytańskie z całego Tangieru schodzą się tutaj każdego poranku i obrywają owoce dojrzale podczas nocy, i to pod nosem stróżów, którzy nie śmią im się sprzeciwić. Nie nie ma trwożliwszego jak żyd. Dwudziestu ich uciekinie przed jednym ulicznikiem arabskim” dodał ze wzgardą renegat Izraelicki.

Ja mu na to odpowiedziałem: „Oh dragomanie konsulat Wielkiej Brytanii, tchórzostwo żydów nie leży w ich naturze, lecz pochodzi z ucisku pod którym żyją.”

Dragoman mi odpowiedział: „Oh Sidi! choć jesteś mądrym jak wąż, ale mylisz się tą razą! Żyd jest tchórzem z natury, bo w sobie samym ma czarta co go ustawicznie straszy.”

— „A ty jesteś tchórzem, dragomanie?”



London.



Kleston.

Dragoman. „Ja jestem zapaleczywym jak tygrys z Bengalu, a mężnym jak lew z Atlasu, krwi chciwym jak hyena!”

Ja. „A przecież jesteś żyd z urodzenia.”

Dragoman. „Kto powiedział że ja żyd? Byłem żydem, prawda, ale już niema ani kropli krwi żydowskiej, ani kosteczki nieczystej w mém cielesie, bo przeszedłem przez czyściciel i pozbyłem się tam całego mego ciała, i mam teraz świeże i nowe.”

Ja. „Oh dragomaniel co nazywasz czyszcem?”

Dragoman. „Czyszciciel jestto klasztor muzulmański, w którym odnawiają ciało i duszę tych, którzy z żydowskich błędów przechodzą do uznania prawdziwego Allaha. Tam pokutowałem przez całe trzy miesiące. Tam mi nie pozwalano nic jeść, tylko dawano ciągle mleko z kozy świętej, zaprawione mleczem białym z świętego ziela, które wszelki jad niszczy. (*) To mleko okropnie mnie przeczyszczało. Przytém, kąpano mnie codziennie dwa razy i myto siarką i pumeksem tak mocno, że mi całą skórę zdarto. Dawano mi na poty, ogolono wszystkie włosy, poobcinano paznokcie. Dla wystraszenia diabła, cały zakon, fakiry i bonzy bastonowali mnie co piątek. Przeczyszczenia, poty, głód i bastonada tak mnie osłabiły w miesiącu, że m się prawie ruszyć nie mógł, ale diabeł jeszcze tkwił we mnie, gdyż włosy czerwonawe ciągle odrastały na głowie i brodzie. Już mi mało zostawało życia, i mało brakło do śmierci, kiedy święty Maraba Sidi Leim przyszedł do mnie i rzekł: „Dziś diabeł z ciebie wypędzę, ale daj sto czekielów srebrnych.” Powiedziałem: dam trzydziści. I maraba odwrócił się i poszedł. Na drugi dzień przyszedł

znów i rzekł: „Djabła wypędzę, ale daj 120 czekielów.” Odpowiedziałem: dam co chcesz. — Maraba się wykręcał, obracał, kłaniał i modlił, a potem nasaścił mi głowę i brodę jakimś olejkiem i poszedł. I tak robił codziennie. I włosy urosły czarne jak u Mahometa. I wtenczas przestano mnie bić i przeczyszczać, zabito świętą kozę i dawano jeść jój mięso. Za sześć tygodni broda czarna urosła, i krew moja, która była przedtém czarno-żółta, stała się czerwoną, i znikły strupy z méj głowy i krosty z mych rąk. Nabierałem siły i piękności wielkiej, i sam siebie nie poznałem. Wtenczas mnie przyjęto z wielką okazalnością do meczetu, ubrawszy w nowe z igły zdjęte suknie. I zostałem nowym człowiekiem, a stare ciało pozostało w czyscu, i niech będzie przeklęte na wieki. I powróciłem do domu, i wypędziłem z niego starą mą żonę Sure Libehe, bo żydówka gardziłem, i ożeniłem się z dwoma młodemi, z jedną renegatką chrześcijańską i z murzynką etyopską. Teraz handel mój lepiej idzie, a konsul angielski wziął mnie za swego dragomana, bom wielki Talib (uczony) w językach. Teraz mam wszystkie enoty synów Mahometa, brodę czarną jak on i brwi i rzęsy, i odważny jestem jak lew i jak tygrys zapalczywy.

— A ja ci powiadam, oh dragomaniel żeś nie jest ani lwem, ani tygrysem, tylko farbowanym lisem, i powiem ci, jeśli chcesz, dla czego; odrzekłem głupiemu i chępliwemu renegatowi tłumiąc głos aby inni nie słyszeli.

Zasepił się dragoman i zbliżył palece do ust na znak milczenia. Na tém się skończyła nasza długa rozmowa.

(*) Bez wątpienia, mlecz wilczego ziela o którym wspomnieliśmy, mówiąco o niedziadkach.

LONDYN.

Wędrowcowi przybywającemu ze stałego lądu do Londynu Tamizą, przedstawia się naprzód gęsty las masztów okrętowych, zakrywający nieprzebraną zasłoną leżące za nim miasto, którego z razu śladów nawet dojrzyć nie może, przy cią-

głym dymie statków parowych. Olbrzymia stolica Wielkiej Brytanii stoi na obszernej równinie, lekko gdzieniedzie pagórkowatej, i ciągnie się wzdłuż krętego brzegu Tamizy, który tak szczerlnie z obu stron budynkami przyparty, że przy wzniesieniu

się morza, woda stopy ich obmywa. W Paryżu, w Rzymie, w Brukseli wyniosłości jakieś ziemi, lub wspaniałe pomniki sztuki, skupiając około siebie tysiącami mniejsze siedziby, stanowią główne węzły całego miasta, którego są zaszczytem; Londynu ani przyrodzenie, ani ręka ludzka nie obdarzyły niczem, co by nad ogół wynosić się i oko na siebie ściągać miało, i prócz jednej katedry Ś^{te} Pawła, panującej dumnie nad całym miastem, nic nie zapowiada z daleka przepychów i wspaniałości, jakie najbogatsza i największa ze stolic świata w łonie swém zawiera. Sądząc z pozoru, myślicyby należało, że Londyn jest miastem najdemokratyczniejszym; wszystkie bowiem domy jednakoowe, ulice jedno od drugich się nie odznaczają, wyniosłe szczyty nigdzie się nie wznoszą, pałaców niema prawie wcale; wszędzie jednaka skromność i regularność, jak u Chińczyków. Dodać do tego należy, że dzielnice Londynu nie łączą się ściśle w jedną całość; stanowią osobne niejako miasta, opodal leżące i związane drogami żelaznymi lub wodnemi, na których para bezustannie dniem i nocą ruch utrzymuje. Ale dostawszy się do głębi Londynu, i badając główne arterie cyrkulacji, łatwo poznać, że rozrzucone dzielnice podzieliły między siebie społeczną pracę, i że porządek panuje śród pozorowego zamętu. Cały ruch Londynu w jednym się tylko kierunku odbywa: z północy na południe, z jednego brzegu na drugi cisza prawie zupełna; główny prąd ludzi, powozów i transportów pędzi równolegle od rzeki i z zachodu na wschód. Nauka ma sposoby wyrachowania ilości wody wpływającej z rzeki do morza; gdyby można było obliczyć ilość ludzi dążących konno, pieszo lub w powozach, z jednego końca miasta na drugi, z Piccadilly do Banku, niezawadnie wypadłoby na godzinę 50 tysięcy przynajmniej, a na dzień przeszło 500,000 snujących się przez Strand, Cheapside, i Ladgate-Hill.

Na brzegach Tamizy uderzają przedewszystkiem wielkie doki, ogromne magazyny i wieża (Tower); tu gromadzą się wyroby i przedmioty handlu z całego świata, i ztąd się znów na cały świat rozchodzą; tu mieszczą się wszystkie składy wojskowe, handlowe i przemysłowe. W przeciagu godziny, nie jeden okręt składa tu ładunek i z nowym puszcza się w podróż. Ztąd wychodzą miliony certyfikatów, przedstawiających wartość to-

waru, i obiegających z rąk do rąk jak zwykły pieniądz. Około tych bogactw cisną się w nędżnych mieszkaniach tłumy majtków, robotników, najemników i tragarzy.—Nieco wyżej leży City, serce Londynu, kantor całej Anglii, środkowy punkt wszystkich czynności, stolica kredytu. Tam to wszyscy przemysłowcy co dzień się schodzą, tam mają pod ręką wszystkie instytucje najbliż ich obchodzące: bank, giełdę, pocztę, mennicę, komorę, urząd miejski, więzienia i sądy; jak przypływ i odpływ morza, regularnie co dzień rano tu przybywają, wieczór odjeżdżają do mieszkań w innej stronie położonych. Dalej, ciągną się ulice jaśniejsze przepychem bogatych sklepów, jakoto: Strand, Piccadilly, Pall-Mall, Regents-Street, a za niemi dzielnice teatrów, muzeów, hotelów, nierządnic, i ostatniego steku miejskiej ludności, które zamyka oaza parlamentowa, złożona z klubów, z pałacu izb, administracji w White-Hall i pałacu Saint-James, dawniejszej królów rezydencji.

Z drugiej strony, wznosi się arystokratyczna część miasta, w której zamieszkuje sam kwiat angielskiego świata, jedyna dzielnica w której mieszkać się godzi.

West-End, kilka lat temu siedlisko angielskiego fashionu, daleko szczuplejsze miało granice: zamykał je bowiem od północy Regent-Park, od zachodu Saint-James-Park, a od południa Hyde-Park. Dziś co godzina olbrzymio się rozszerza; błota i piaski czarodziejsko przemieniają się w ulice i place; domy wyskakują zpod ziemi, a zaledwie stanęły, pełno już w nich mieszkańców. Gdzieindziej uderza szybki stosunek w jakim klasa nędzy i ubóstwa mnoży się i rośnie; tu przeciwnie, w bogatej ten postęp zadziwia. Jeżeli się uda śmiało przedsięwziąć p. Cubitt, który rozpoczął budowę 4,000 domów przy moście Wauxhall, arystokratyczna część miasta zajmie niedługo całą zachodnią stronę Londynu, od Tamizy do kanału Rejenta, dwie mile francuskie wzdłuż.

Tak więc, na ogrom tego mamuta dziewiętnastego wieku, składa się kilka miast, samych przez się już niemalych: miasto doków i magazynów, miasto interesów i czynności handlowych, miasto życia i ruchu politycznego, miasto mody i arystokracji. Na krańcach jego rozciągają się liczne i wspaniałe przyległości, jakoto: Greenwich, Southwark, Chelsea i przedmieścia północno-wschodnie. Wszyst-

kie te odrosłe jednak czerpią życie z głównego pnia. Potęgą kierująca Anglia, mieści się na jednym końcu Londynu, a na drugim gromadzą się wypadki jej działań, stanowiące wielkość tego mocarstwa, którego wszystkie siły żywotne krążą między West-End i East-End.

Nie można się więc dziwić, że najważniejszych ulepszeń w stolicy Brytanii, doznały naprzód dwa te jej bieguny. Trudno sobie wyobrazić wspaniałość i doskonałość kanałów, bitych wzdłuż brzegów Tamizy, przeznaczonych na przystanie dla okrętów, które inaczej zawadzałyby ruchowi na rzece. Doki Ś^{ci} Katarzyny, Londyński, Indyj Wschodnich i Zachodnich kosztowały przeszło 400 milionów złotych, ale też handel zyskuje na nich najmniej 100 milionów rocznej oszczędności. Leżą tam na składowe najposledniejsze jako i najdroższe towary, zabezpieczone ze wszelkich miar od uronienia lub zepsucia. Jeżeli czasem bogatemu kupcowi z City przyjdzie chęć przyjrzenia się ogromnym ładunkom cukru lub kawy, złożonym tam pod jego nazwiskiem, siada na kolęj żelazną, zawieszoną na arkadach, i w mgnieniu oka przenosi się z Banku do Blackwall.

Dla połączenia dwóch brzegów rzeki, most nie odpowiadałby wygodzie i potrzebom żeglugs; trzeba go było zastąpić czem inném, i znalazła się spółka przedsiębiorców na wybiecie spodem koryta podziemnej drogi, której budowę podziwiała dziś wszyscy. I podług usiłowań słynnego, wytrwałego Brunela, stanął Tunel, łączący podziemnym przejściem dwa brzegi rzeki. Jestto bezkwaśne sklepienie z ciosowego kamienia, ogromnym kosztem od wszelkich wypadków zabezpieczone, wszystkimi środkami, jakie nauka i sztuka za najdzielniejszych podaje, ciągnące się przeszło 1,300 stóp angielskich. Prócz Tunelu, sześć mostów łączy oddzielone Tamizą części miasta: Westminster, Londyński, Blackfrias, Bankshall, Southwark, Waterloo. Mimo tak ułatwień jednak, jakby się zdawać mogło, komunikacyi, wszystko to jeszcze nie wystarcza i nowy pomysł zapowiada połączenie brzegów, sposobem dotąd zupełnie nieznanym, za pomocą olbrzymiej rury żelaznej pod korytem rzeki przeprowadzonej.

Najwięcej jednak postępu w ulepszeniach i wygodach daje się widzieć w zachodniej części Londynu, gdzie wyższe stany zamieszkują. Zdade

się, że niema na świecie miasta, w którémby więcej dbano o wygodę bogatych, i w którémby więcejłożono starań na zadowolenie ich najdrobniejszych przywidzeń. W wielkich zbiorowiskach ludzi, wyradzają się zwykle zaraziliwe wyziewy, szkodliwie działające na organizm i życie człowieka. Zapobiegli temu w West-End, łącząc w jedno wieś z miastem; cztery ogromne parki, przy każdym domu zielone ogrody, bieżące wody, tworzą rozkoszne tło tego miasta przywilejów i zbytku, i dobrze ktoś powiedział, że ono stanowi płuca Londynu.

W okolo parków kupia się domy, ulice i place, dążące ku świeżemu powietrzu, jak kwiaty ku słońcu. Ulice kolosalnej szerokości, przecinają się prawie wszędzie pod kątami prostemi. Domy niebardzo wysokie, pozwalają wszędzie dochodzić promieniom słońca i wiatrom, odświeżać powietrze; klomby drzew i krzewów przedzielają je od chodników, wabiąc oko zielonością, i nadając im pozór rozkosznych włóści. Place publiczne nie razą niemile oka, jak w innych miastach, nagosią rozpalonego latem bruku, lub topielą błota w zimie; w środku zawsze widać ogród otoczony siateczkami, gdzie na zielonych trawnikach, wśród ciemnych drzew bawią się dzieci z sąsiedztwa. I ztąd bez wątpienia pochodzi sielankowe usposobienie, cechujące ogólnie wyobraźnię dzievic Albionu.

W tych mieszkaniach zbytek stanowią nie złociste meble, nie wytworne błyskotki, ale liczna służba i do najwyższego stopnia posunięta wygoda (comfort); wszystko wyrachowano w ten sposób, żeby najmniejsza drobnostka nie zawadzała bogaczom Anglii, żeby żaden zmysł przykrego nie doznał wrażenia, żeby listek róży w łożu sybaryty dokułczywie nie drażnił spieszczonego uczucia. Turkot powozów nie razi im uszu, bo przesuwają się one lekko i cicho pod oknami, po makademizowanych drogach. Wszystko co niemilej sprawiaćby mogło widok, usunięte z wspaniałej ulicy; stajnie daleko wypchnięte za domy, w ciasne zakątki, gdzie przy pańskich koniach czepiają się ubodzy mieszkańcy tej części miasta. Widząc tylko West-End i nie znając reszty Londynu, śmiałyby o nim rzec można, że to najczystsze i najzdrowsze miasto na całym świecie. Drogi rzymskie, prowadzące ze stolicy Cesarów do krajów podbitych, nie mogły być wspanialsze, od drogi między alejami Green-Parku i Hyde-Parku, wio-

dając; tu przez Piccadilly na Portland-Place, na której o każdej porze dnia, snuje się tysiące lśniących powozów i jeźdźców na wytwornych koniach. Forma ich wspaniałości bez wątpienia nie jednako-
wa. W Rzymie, droga Appiańska jaśniała przepychem luków tryumfalnych i okazałością przybytków bogom poświęconych; lud, przypisując odniesione zwycięstwa sprawie niebian, część łupu i sławy przynosi im z chlubą w ofierze. W Anglii, człowiek uważa siebie samego za cel i zasadę życia; pokonawszy zatem spółzawodników lub zwyciężywszy naturę, więcęć się troszczy o szczodre użycie szczęścia swego, jak o oznaki wdzięczności niebu. Uspokobienie takie, ugruntowane na szeroko rozwiniętym samolubstwie, zrodziło naukę komfortu, zupełnie różną od nauki o piękności; ale i komfort staje się czemś wyższem, godniejszem, kiedy tak ogromne przybiera rozmiary.

Dla chcącego powziąć dokładne wyobrażenie o cudach cywilizacji naszej, uważanej z materyjalnej jedynie strony, dwa miejsca na świecie do takich badań najbogatsze przedstawiają pole: Boulevard des Italiens w Paryżu i Hyde-Park w Londynie. Pierwszy trzeba widzieć w maju, pięknym wieczorem, kiedy tylko co zapalane rzęsiście lampy gazowe, potokami lśniącego światła, podnoszą urok powabnych ubiorów tysiąca kobiet, i przepych bogactw przemysłu, w oknach promieniących sklepów; kiedy złota młodzież stolicy mody, z zwyczajnym wyrazem na twarzy, pyszni się układnemi przemytami, a powozy pieniężnych władców Paryża z loskotem pędzą ku teatrom Opery. W Hyde-Parku trzeba się znajdować w piękny dzień czerwcowy, w poobiedniej godzinie, kiedy czynności już w mieście ustaly, a piękny świat niedługo ma zasiąść do stołu; kiedy damy porzucają wytworne powozy, żeby wśród cienia drzew przysłuchać się utworom Rossiniego lub Meyerbeera, wykonywanym przez doskonałą muzykę gwardyjską; kiedy młodzież kilku rzędami ustawiona, chciwemi oczyma sledzi za niemi; wtedy przejrzeć możesz co tylko jest w Anglii najpiękniejszych i najdumniejszych lady, najznakomitszych mężów stanu, najbogatszych dziedziców, i najwspanialszych koni czystej krwi. Żaden widok na świecie nie może sprawić Anglikowi więcęć zadowolenia i dumy. Ale jakż cios straszny dla tej dumy, kiedy z wyżyn oligarchii brytańskiej oczy swe zniży na poziom. Lon-

dyn jest istotnie miastem sprzeczności w najwyższym stopniu. Obok najświetniejszych bogactw, mieści się tu najstraszniejsza nędza, i miasto szczytujące się wzorowemi budynkami, pysznemi ulicami i pięknymi palacami West-Endu, daje w głębiach swych przytułek walącym się chatom, tonącym w błocie ulicom, bez bruku i światła, mieszkaniom zatrutym zjadliwemi wyziewami.

Trzy cyrkuly: Spitalfields, Bethnal-Green i White-Chapel, położone na północno-wschodniej stronie Londynu, zamykają w murach swych kolonię, składającą się z 150,000 ludzi, z których znaczna część przybyła z Francji, po odwołaniu edyktu Nanteńskiego, i z Irlandji, corocznie większym głodem trapionej. Do tych dołączyć nareszcie należy żydów, zbiegających się ze wszystkich kątów Europy, i wybierających zawsze w wielkich miastach najnędzniejsze i najszybsze miejsca. Cała ta dzielnica, nazywa się East-End. Na White-Chapel, 8,000 domów dusi się wśród krętych i wilgotnych uliczek i ciemnych podwórz. Z wysokości arkad, na których wisi kolę żelazna z Blackwall, przechodząca wzdłuż całej tej siedziby nędzy i okropności, oko nieraz spostrzeżga w oknach domostw wybladłe twarze kobiet, dzieci nędzne i sine, walające się na podwórzach z prosiętami w błocie, tu i owdzie w przerwach murów kupy gruzów i nieczystości, wszędzie zgnile kałuże świadczące o zupełnym zaniedbaniu ścieków. Tak się przedstawia White-Chapel widziane po wierzchu; straszniejszyby zapewne przedstawiało widok, gdybyśmy cudem jakim mogli na chwilę podnieść te dachy, zajrzeć do wnętrza domów, i zliczyć przekleństwa i jęki, dobywające się ztamtąd ku niebu. Są wprawdzie w Londynie cyrkuly uboższe jeszcze od White-Chapel, gdyż sąsiedztwo City daje się tu mieszkańcom pożywić nieco okruszynami z uczt wybranych; ale w żadnym powietrzu nie jest tak niezdrowe i śmiertelność tak wielka.

Londyn ma 22 teatry; najpiękniejsze i najznaczniejsze są: Opera Włoska, Drurylane, Covent-Garden, Heymarket i Opera Angielska. Kościołów liczbą przechodzi 500, z których 246 angikańskich, 32 kwakrów, 5 katolickich, synagog zaś 6. Najważniejszy jest kościół Westminsterski, bo stanowi znakomity pomnik gotyckiej sztuki; tu oprócz grobów wielu królów, znajdują się pomniki sławnych mężów, jak: Szekspira, Szeridena, Milтона, Graya,

Thomsona, Addisona, Garrika, Foxa, Pitta, Caninga i t. d. Niemniej na uwagę zasługuje kościół Śśo Pawła, największy w całej Anglii. Tu znów znajdują się grobowce sławnych wojowników; tam leży Nelson i t. d. Kościół ten budował, na wzór Śśo Piotra i Pawła w Rzymie, znakomity architekt Krysztof Wren.

Miedzy wielu zakładami naukowemi, najpierwsze miejsce trzyma uniwersytet Londyński; prócz niego są: Kings-Collegium, Charleshouse-School, Westminster-school, Royal-Institution of Great Britain, Mechanics-Institution. Mnóstwo towarzystw ku rozwinieciu i postępowi nauk i sztuk, zbawiennie wpływa na rozwiniecie światła i podniesienie cywilizacyi, tak materyalnemi jak i moralnemi środkami. Muzeum Londyńskie liczy się do najznakomitszych w Europie; posiada bogaty gabinet historii naturalnej, zbiór monet, wyborną galeryę obrazów, zbiór starożytności i ogromną bibliotekę,

w której się znajduje oryginał sławnej ustawy, Magna Charta, z 1215 r. Przeszło 1,000 księgarń znajduje się w Londynie, z tych jedna, należąca do PP. Langman i spół., wydaje rocznie 2 miliony Złp. na same ogłoszenia.

Podług ostatnich obliczeń, ludność tego miasta wynosi 2 miliony głów.

Miedzy źródłami mineralnemi w samej Anglii, do których jeżdża się arystokracja, najwięcej uczęszczane są Clifton i Hotwells. W pierwszym, godnym widzenia jest most wiszący między dwoma skalami, o którym wyobrażenie powziąć można z dołączonej rycin. Podczas trzęsienia ziemi w Lizbonie, dziwne okazało się zjawisko w okolicach Bristolu, gdzie leżą te kąpiele, a nawet i w samych źródłach mineralnych: wody rzeki wstecz się cofnęły; woda w studniach wioski Kingswood jak atrament zczerniała, a źródło Cliftonu zmąciło się i czerwona przybrało barwę.

CESARSTWO HAJTI.

W czasie, kiedy wstrząśnienia społeczne poruszają z posad dawny bieg rzeczy, zwalają potężne niegdyś zasady, i nowy w życie wprowadzają porządek, rzeczpospolita Hajti przechodzi na cesarstwo, dając nam nowy przykład odwiecznej prawdy, że obyczajowe i umysłowe udoskonalenie najpierwszemu i niezbędny dla szczęścia narodów stanowi warunek. Inaczej, stawiać one zawsze będą niepewne tylko kroki, na ślepo błąkać się będą po krętych manowcach, i co chwila tracić najpiękniejsze owoce, najszacowniejsze skarby, bo ani wartości ich uczuć i poznać nie są zdolne, ani ich użyć nie umieją.

Okazwą zapewne będzie rzeczą przejrzyć pokrótce dzieje tego nowego cesarstwa murzyńskiego. W r. 1492, Krzysztof Kolumb odkrył wyspę dziś zwaną Hajti, i nadał jej miano Espaniola; użycie Indian do plantacyi wydłubiło tak dalece tę wyspę z pierwotnych mieszkańców, że po 25 latach, z miliona pozostało ich tam zaledwie 14,000,

a po 50 latach ani jednego już nie było. Od tej pory, Espaniola, zwana także od stolicy swojej San-Domingo, leżała pusta, niezamieszkała, dopóki myśliwcy (bukaniery) angielscy i francuscy nie osiedlili zachodniego jej wybrzeża i wysepki Tortugii, i nie urządzili z czasem znacznej kolonii, którą Francya w r. 1697 przyjęła pod swoje opiekę. Traktatem Ryświckim (1697), Hiszpania rzekła się uroczyście rozseceń swoich do zachodniej połowy kraju, a czynne zabiegi Francuzów, którzy zaprowadzili tam niewolników czarnych, od r. 1722 mianowicie, wzniosły osadę do stanu powodzenia i za możności, stawiającego ją na równi z najważniejszymi koloniami świata. Z wybuchem rewolucyi francuskiej, czarnym na Hajti przyszło też do głowy upomnieć się o swobodę i prawa uównania. Zgromadzenie narodowe francuskie nie odpowiedziało na prośbę czarnych, jak sobie obiecywali, a kiedy późniejsi mulaci zostali uównani z białymi, Hajti podniosło w r. 1791 bunt ogólny i zerwało

stosunki kolonialnej zawisłości. Z początku, wojsko czarnych powstańców połączyło się z Hiszpanami przeciw rzeczywolności francuskiej; w r. 1794 jednakże, porzuciło ten związek i przystało do Francuzów pod dowództwem Generała Laveaux zostających. Generał ten w czasie powstania w Cap-François, wziętym został z całym wojskiem swoim do niewoli przez czarnych, których dowódzca, murzyn Toussaint Louverture, wolność mu powrócił.

Na zawdzięczenie tego czynu, po powrocie generała Laveaux do Francji, Louverture został generałem głównodowodzącym wszystkimi wojskami na Haiti, do której Hiszpania w r. 1795 rzekła się już wszelkich roszczeń. Anglicy tymczasem zajęli niektóre punkta na wyspie, a Toussaint, nie zważając na zalecenia kommissarza francuskiego Hedonville i zawarł przezeń z Anglikami kapitulacyą, zażartą przeciw nim wojnę prowadził, i samego nawet kommissarza w r. 1799 do opuszczenia wyspy zmusił. W r. 1801, admirał Vilaires Joyeuse stanął z flotą pod Cap-François i wysadził na brzeg wojska francuskie, pod dowództwem generała Leclerc, który Toussaint'a, niezamysłającego bynajmniej o zupełnem oderwaniu się od Francji, tak ścisnął, że kapitulować musiał. Od tej chwili żył on sobie spokojnie w swoim zaciszu, aż ni ztąd ni zowąd w r. 1802, na skutek jakiegoś denuncyacyi, został aresztowany i do Francji przewieziony.

Groźne powstanie wybuchło na nowo, i w 1803 roku Francuzi byli przymuszani opuścić zupełnie Haiti. W roku 1804, generał czarnych, Dessalines, okrzyknięty przez nich został cesarzem, pod imieniem Jakóba I, sławny z okrucieństw i z tego, że 20 maja 1805 r. poddanym swoim dał ustawę. Wkrótce potem zamordowany został w czasie powstania; po śmierci jego weszły się zatargi i kłótnie o najwyższą władzę, między mulatą Pethion'em a murzynem Christofem, które sprowadziły w końcu zupełne oddzielenie się kolorowych od czarnych. Pierwsi założyli rzeczywolność w zachodnio-południowej stronie wyspy, i rządy państwa powierzyli prezydentowi Pethionowi; drudzy zaś ustanowili cesarstwo, którego pierwszym cesarzem był Christof pod imieniem Henryka I. Pierwszym jego zajęciem i troską było urządzenie sobie dworu, na wzór francuskiego: mianował wielkich książąt, baronów, hrabiów i t. d.; wszystkich na dworze przystroił po europejsku, zajmo-

wał się jednak pilnie i sprawami państwa: zostawił księgi praw, podniósł handel i przemysł, zaprowadził i urządził wojsko stałe. Po śmierci Pethiona, która w r. 1818 nastąpiła, Christof zamyslił zagarnąć pod swą władzę rzeczywolność i byłby tego dokazał, gdyby nie dzielność Boyera, który po Pethionie stanął na jej czele, i skutecznym odporem usiłowania napastnika zniweczyć potrafił. Christof zaś w r. 1820, przerażony buntem wojska, sam sobie życie wystrzelał odebrał, a pozostałe po nim cesarstwo, wraz z dzielnicą hiszpańską, przeszło pod rządy zręcznego Boyera, i cała wyspa zamieniła się w jedną rzeczywolność. Sprawa długu krajowego, którego zapłacenia domagała się usilnie Francya, spowodowała upadek Boyera, i 30 grudnia 1843 r. generał Herard stanął na czele rządu rzeczywolności.

Niedługo trwały jego rządy; powstały nowe zamieszki, rozgorzała wojna domowa, czarni rzucili się na kolorowych, zwalili ich przewodztwo, i generała Guerrier na godność prezydenta wynieśli. Kiedy się to dzieje, generał Santana, zwolennik protektoratu Francji, wkraça do Saint-Domingo; działania jego popiera konsul francuski, Juchereau de Saint-Denis, i zapewnione przezeń poparcie króla Francuzów skłania część wyspy dawniej hiszpańską do ogłoszenia się niezawisłą. Z początku udało się Domingianom odnieść małe zwycięstwo; niedługo jednak generał Perrot, piastujący godność prezydenta, po śmierci Guerrier'a, poskromił ich zupełnie, i zgłębniejszy powstanie wybuchłe w Port-au-Prince, a mające na celu przywrócenie Herard'a, dawniejszego prezydenta, spokojność całkowitą przywrócił. W r. 1846 Perrot ustąpić musiał z godności swej, którą objął po nim generał Riché, a chcąc się przy niej utrzymać, zaraz wojnę prowadzić był przymuszony, gdyż Perrot odwołał swoje ustąpienie, i z kilku pułkami wojska, które mu wierne pozostały, zuchwale do władzy się wdierał, aż w końcu, widząc nieszczęśliwy obrót swojej sprawy, sam sobie życie odebrał. Nowy prezydent, z wytrwałością i powodzeniem pracował niezmordowanie nad przywróceniem spokojności i jedności na wyspie, nad pokrzepieniem przemysłu i handlu, utrzymaniem przyjaznych stosunków z obcemi mocarstwami, i mógł w końcu urzędowania cieszyć się pomyślnym uwieńczeniem szczerých usiłowań. Umarł 1847 r.

zostawując po sobie żal w sercach wszystkich ziomków i sławę szlachetności, która sprawiła, że zgon jego, jako prawdziwa klęska kraju w całym narodzie był uważany i oplakiwany. Następca jego został Faustin Soulouque, powołany do godności prezydenta, wśród ogólnej zgody i spokojności. Po objęciu urzędowania, wydał on odezwę

do narodu, w której przyrzekł pod wszelkimi względami iść w ślad polityki i postępowania swego poprzednika; w pierwszych chwilach zdawało się, że szczerze zamysła przyrzeczenia dotrzymać; później jednakże okazało się, że starał się o wzmocnienie się u władzy, żeby łatwiej dokonać zamachu, zwalenie rzeczypospolitej mającego na celu.



Soulouque, Faustin I, cesarz Hajty.

W sierpniu 1849 r., rozeszła się wieść po kraju, że prezydent, Faustyn Soulouque zamysła ogłosić się cesarzem; jakoż w kilka dni później, ukazała się między ludem petycja do senatu i izby deputowanych, aby te godności cesarską mu przyznały. Wielu wprawdzie obywateli z Port-au-Prince podpisało ją; senat zatwierdził petycję i deputacya wysłana do prezydenta, ofiarowała mu pożądaną

tytuł i władzę. Przed pałacem stały wojska uszykowane w paradzie; napróżno jednak wyglądano, żeby okrzyknęły go cesarzem. Po przyjęciu deputacyi, cesarz z cesarzową udali się do kościoła katolickiego, wraz z dworem swoim; w czasie uroczystego ich pochodu, salwy działowe grzmiały na wszystkich punktach fortyfikacyi. W kościele, Soulouque, wzięwszy z rąk któregoś

ze swoich ministrów koronę, na głowę ją sobie włożył, a cesarzowa, podczas ceremonii klęczała obok niego wraz z księżniczkami. Ponieważ nie można było ani znaleźć pod ręką, ani zdobyć się prędko na złotą i prawdziwą koronę, tymczasowo więc do tego ceremoniału użyto korony ulepionej z pozłacanego papieru. Cesarz przybrany był jak zwykle, w niebieski mundur, z tą jednak różnicą, że piersi ozdobił sobie olbrzymią jakąś gwiazdą; cesarzowa i księżniczki miały suknie jedwabne lila, bogato haftowane, i w kosztowne klejnoty przystrojone. Głowę władcy otaczał wieniec cyprusowy. Po koronacji, jezuita nadworny namaszczył świetną parę, poczem monarchowie odbierali hołdy poddanych. Za powrotem z kościoła, wojska przed pałacem przyjęły koronowanych dwukrotnym okrzykiem: wiały! ale okrzyk ten niebardzo brzmiał hucznie i radośnie. Mało kto wiedział i rozumiał, co to wszystko miało znaczyć, i wyjąwszy tych tylko, którym wielka zmiana polityczna przy-

niosła z sobą tytuły wysokie i godności, nikt się nie czuł zadowolonym. Dla ludu, tytuł przyjęty przez władzę, mało ma powabu, od czasu okrucieństw straszego Dessaline'a. Obecnie zamówiono w Paryżu sporządzenie wszystkich przyborów cesarskiej godności: korony, berła, jabłka, tronu i t. d., i właściwa koronacja odbyć się ma podług rytuału, jaki Napoleon sobie urządził w tej samej okoliczności.

Całe to zajście zakrawa istotnie na zabawną krotofilę; może ona jednak ważne za sobą pociągnąć skutki dla nieszczęsnej wyspy, ile, że cesarz okazuje usposobienia bardzo niepomyślne. Zaledwie przyjął świetny tytuł, dziś go zdobiący, kazał natychmiast rozstrzelać mnóstwo mulatów dawniej go otaczających, nie wyjmując nawet najzażylszych swych ulubieńców i powierników; wdanie się silne dopiero pełnomocników angielskiego i amerykańskiego, zdołało wielu życie uratować i wstrzymać pierwsze kroki okrucieństw i samowolności.

KUKUŁKA.

Kukulka zwoyczajna (*Cuculus canorus*) [fig. 1] z powodu swego powszechnie znanego głosu, sama sobie, w językach wszystkich ludów, nadała nazwisko. Przybywa z Afryki w miesiącu kwietniu; gości przez lato u nas, i w krajach daleko się ku północy rozciągających, a w sierpniu wraca na drugi półroczny pobyt, za morze Śródziemne. Rzecz osobliwsza, że ptak w całej niemal Europie tak pospolity, tak często słyszeć się a nawet widzieć dający, ptak, którego pierwsze odezwanie się, jako zwiastuna miłej pory roku, lud radośnie wita, był przecież dłużej niż którykolwiek z ptaków przelotnych, mało ze swej natury poznany; wiele powiadano o nim bajecznych rzeczy, i pomimo usiłowań ornitologów, wiele jeszcze okoliczności dotyczących kukułki do dziś dnia nie jest należycie wyjaśnionych.

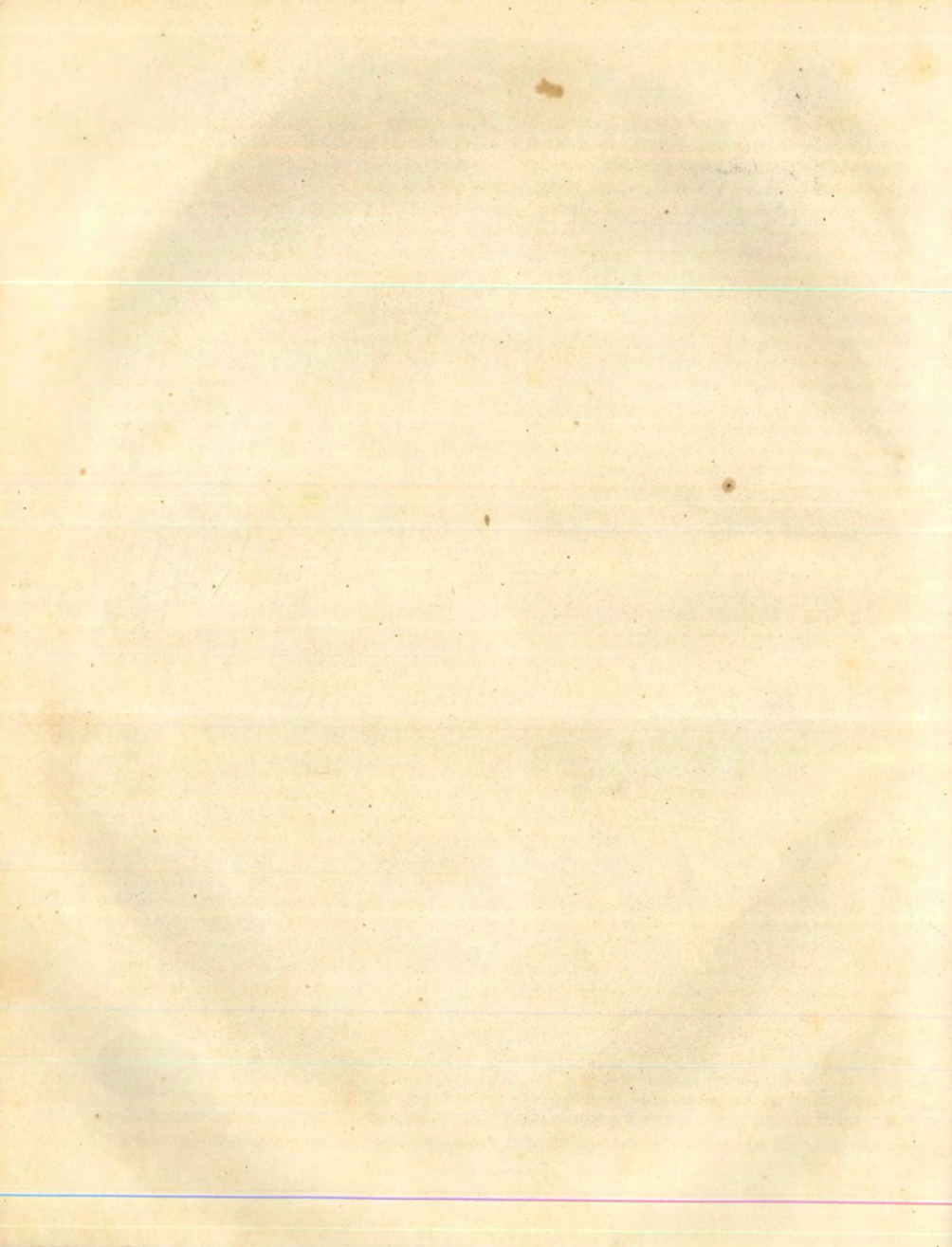
Kukulka jest ptak niespokojny, płochliwy, siada pojedynczo lub parami na drzewach najgęściej liściem okrytych, przebywa równo w odludnych la-

sach na górach jak nad polami, w gajach i na pojedynczo stojących drzewach, wśród pól i siedzib ludzkich; najbardziej jednak lubi lasy mieszane, w bliskości których znajdują się łąki lub pastwiska. Siedlisko jej ma mniej więcej godzinę drogi w obwodzie, w którym, oprócz swej samicy, samiec nie cierpi drugiego samca.

Wielkość jej taka jak turkawki, ogon tylko dłuższy, do 8 cali długi, białe, owalnie nakrapiane i na końcu obwiedziony, z wierzchu ciemno-popielaty; ciało pokryte pierzem koloru białego i czarno-siwo falistego; nogi i pazurki żółte, z ostrzami brzegami; lotki od środka białe-pręgowane; dziób mierny, wydrażony, przyplaszczony, od przodu, jest nieco łukowaty, w nim nozdrza odkryte, wyminięte. Samica (fig. 2), po wierzchu brązowo-czerwona, czarno-wpoprzek pręgowana, ogon ma brązowo-czerwony, także wpoprzek czarno-pręgowany, zakończony czarną, szeroką pręgą; podbrzusze białe, a na piersiach czarno-brązowe, fałowate poprzeczne



Kukulka.



prążki; spod szyi i piór w ognie, wyglądają rdzawo-białawe, kiedy tymczasem pierze na młodych (fig. 3), są wszędzie rdzawo-brunatne, czarno wpoprzek prążkowane. Wymyskuł kształt kukulki, przypomina nam krogulca, i tęto może okoliczności przypisać wypadu u niektórych ludów mniemanie, jakoby ona być miała rzeczywiście drapieżnym ptakiem, że łapie drobne ptaszki i w ukryciu je pożera, że przez zimę chowa się w wyprućchniałym drzewie, a pod jesień przemieni się w prawdziwego krogulca.

W całej Afryce, od przyłodka Dobrzej-Nadziei aż do Egiptu, wszędzie ją napotkać można; przy końcu lutego opuszcza tę ojezyczną i przeciąga pojedynczo ponad Śródziemnym morzem; krótko bawi na Malcie i wyspach włoskich; w drugiej połowie kwietnia, czyli kiedy wierzba rozwija się zaczyna, zjawia się u nas, i swoje przybycie ogłasza wielokrotnie powtarzanem, powszechnie znanem, jednostonnem: *kuku, kuku*, przeplatając je czasem przeglejszmem piejącem: *krawama, krawama*; samica odzywa się niby do śniechu podobnym, chychotającym głosem, a pisklęta, dopóki są karmione, powtarzają wielokrotnie *gist, gist*, potem: *cirr, cirr*.

W sierpniu zabiera się kukulka z powrotem w podróż do Afryki, w wrześniu już jest na wyspie Malcie, a *Vaillant* znajdował ją w grudniu w okolicach przyłodka Dobrzej-Nadziei, gdzie już podobnie jak u nas, zaczynała znosić jaja w cudze gniazda. Jój lot jest szybki, niby płynący, podobnie jak krogulca, ale u nas tylko od drzewa do drzewa; lot zaś podróży nie jest jeszcze znany.

Pożywieniem kukulki są owady, szczególniej gąsienice, między któremi liszki czyli kosmate gąsienice, mało od innych ptaków tykane, ulubionym są jój pokarmem; włosy tych liszek, nie szkodzą ptakowi: więznąć swemi zadzierzystemi końcami w wewnętrzną stronę żołądka, wysciskają go jak futerkiem, tak, iż sądzono dawniej, że ten żołądek z natury wewnątrz bywa kosmaty. Gdy większa część liszek przemieni się w poczwarki, ciągnie kukulka na brzegi lasów, nad pola, do grajów, aby ztamtąd łatwiej było jój robić wycieczki na pola, na łąki dla łowu chrząszczów, albo téż krąży i uwiija się ponad stawami, sadzawkami, nad mokradłami, gdzie jój się następuje obfity polów jatek, ważek i wielu innych owadów; wtedy téż często odwiedza ogrody, sady, i wyszukuje w nich

szkodnych liszek, a będąc nader żarłoczną, wiele ich niszczy, i z tego względu liczy się do najużyteczniejszych ptaków; dlatego samego nigdy jój ploszyć ani gubić nie należy. Gdy jój zabraknie owadów pod koniec lata, wtedy poprzestaje na żywieniu się jagodami szakłaku, kruszyn, zwykle atoli ten niedostatek skłania ją do podróży z powrotem do ciepłych krajów. Nie spostrzega się jój odlotu, gdyż przy końcu czerwca przestaje dawać o sobie znać swém *kukaniem*; a tak głośno objawiający swe przybycie, oddala się *incognito*; młode, ciérkające, dążą do ojezycznej rodziców.

Sposób rozmnażania się kukulki jest bezprzekładny w całej gromadzie ptaków, albowiem nie buduje ona gniazda dla wysiadywania i wylęgania swych piskląt, ale znosi jaja po jednemu w gniazda innych owado-żernych ptaszków, które, choć częstokroć daleko od niej mniejszego są gatunku, zajmują się wychowaniem młodej kukulki, równie troskliwie jak własnego dziecka, wtedy nawet kiedyby zniesieniu jaja kukulczego lub wychowaniu tego podrzuconego dziecka, ich własne jaja lub dzieci poświęcone być miały. Od początku czerwca znosi kukulka co 6—8 dni jedno jaje, w ogóle 6 jaj do połowy lipca, a każde w inne gniazdo; jedno w gniazdko *Pliszki*, drugie *Trznadla*, *Słowiaka*, inne narzuci *Mysiemu-królikowi*; i ich troskliwość porusza wysiedzenie i wychowanie swych dzieci. Znalazszy niezajęte gniazdo, siada kukulka i znosi w nie swoje jaje; gdy zaś upatrzy gniazdo w dziupli, np. *pliszki*, i w ogólności zbudowane w miejscu dla siebie mniej dostępnem, wtedy, jak niektórzy utrzymują, znosi jaje na ziemię, a potem w dziobie zanosi do gniazda; tak przynajmniej mniema *Dr. Hoffmann* z Weimaru, i zapewnia, że wypychając kukulkę samicę, znalazł w jój gardziele pokruszone kukulcze jaje. Powiadają także, że znalazłszy jaja w gnieździe, wyrzuca je i swoje znosi; według innych, robić to ma samiczka, którą kukulka obiera za niankę dla swego dziecka, żeby lepiej jaja okryć i ogrzać mogła. Zresztą, kukulcze jaja, (fig. 4 i 5), stosunkowo są bardzo małe, niewiele większe od jaj Pokrzewki, w której także gniazdo niesie się kukulka, a nawet podobne są ubarwieniem; jużto bywają okrągławe, już podługowate, zielonawo lub błękitnawo-białawe, białozółtawe lub brudno-białe, a przy grubszym końcu ciemno nakrapiane, oliwkowo-zielono, rdzawo-

żółto lub siwo-popielato uplamiłone; czasem też czarno lub ciemno-brunatno centkowane. Rzecz zresztą godna uwagi, że główny kolor jaj kukulczych rozciąga się zawsze na cały rok: w jednym roku bywają one np. błękitnawo-białe, oliwkowo-zielono nakrapiane, w drugim same żółtawo-białe, popielato-siwo upstrzone. Że kukulka sama swych jaj nie wysiaduje, tego przyczyną być może powolne ich znoszenie, i słusznie może utrzymuje z tego powodu pastor *Brehm*, że zepsułyby się pierwsze jaja nimby zniosła ostatnie i sama je wysiadywać chciała. *Herissant* przyczynę nie siedzenia kukulki na jajach, przypisuje położeniu jęj żółtka, dalej ku tyłowi ciała, za kością piersiową; tak siedzącej ciągleby od jaj uciśnany być musiał.

Jakakolwiek zresztą być może przyczyna tego osobliwego i jedynego w gromadzie ptaków zjawiska, to pewna, że potomstwo kukulki na tym niebardzo macierzyńskim jęj zwyczajowi nie nie traci; narzucone mu macyochy z całą, jak wspomnieliśmy, troskliwością zajmują się niem, i jeżeliby je natura uposażyła większą ilością jaj niżby je należycie okryć zdołała, w takim razie gotowe są raczej pozbyć się części własnych, niż wyrzucić potajemnie im podłożone. Większe gatunki ptasząt śpiewających (*Pokrzevek*) wysiadują razem z podrzuconem jajem kukulczém, jedno lub parę własnych jajek, zwykle jednak ta rodzinna dziatwa ginie w pierwszych dniach po wykluciu się, gdyż duży, prędko podrastający, a bardzo obżarty brat przyrodni, wszystek pokarm zabiera im pod nosem, lub swemi rubasznymi poruszeniami z gniazda je wyrzuca.

Skoro się małe kukulczę wylęgnie, wielka zaczyna się małych śpiewaków praca około wyżywienia chciwego, nienasyconego wychowanka; od rana do nocy zatrudnieni bywają aby napełnić mu prawie zawsze otwartą paszczę komarami, muszkami i gąsienicami. Zdarzyć się nieraz może, iż głowa zbyt troskliwie podającej pokarm przybranęj matki, pochwycona i zgnieciona zostanie w obszernęj paszczy kukulki; żeby zaś dorastający ptak, niedostatecznie będąc nakarmiony, połykać miał wrześnie tę cudzą matkę, i tym sposobem zaprawiać się do zjadania drobnych ptaszków, temu wierzyć nie można, ani z tego bajecznego podania poczytywać kukulki za godło niewdzięczności. Nawet wtenczas, kiedy młoda kukulka przez swych przybranych rodziców pielęgnowana, tak już podrośnie,

iż gniazdo ich opuścić może, jeszcze nie ustaje ich nad nią pieczołowitość; mówią nawet, że troskliwość około tego wychowanka podziela ją z nimmi inne jeszcze ptaszęta. Gdy podrosłszy z gniazda wyleci, siada na gałęzi najbliższego drzewa, wstrząśnie się parę razy skrzydłami, wstrząśnie, i cierkać zaczyna; krążą wtedy około niego niespokojni wychowawcy, a na odgłos kilkokrotnego krzyku jego, zlatuje się z okolicy wszystko drobne ptastwo śpiewające, jakby dla powitania tego powinowatego wychowanka: oglądają go ze wszystkich stron ciekawie, i na jego zawołanie przynoszą na wyścięgi pożywienia do situ. Każdy chce mu usługi pierwszy; tyle się nastercza podających pokarm, iż młody żarłok ledwo pospieszyc może otwierać dziób dla jego przyjęcia, a rój troskliwych karmicieli towarzyszy mu od drzewa do drzewa, dopóty, aż się bez ich pomocy obejść i sam sobie pożywienie wyszukać zdoła.

Młodo złowioną kukulkę przechować można dając jęj na pożywienie mączne robaki, mrówce, jaja, gąsienice i ćmy, a potem siekane mięso, jaja i w ogólności pokarm słowiczy: nigdy jednak nie da się ona zupełnie ugłaskać; stara zaś nie uchowa się w zamknięciu, bo upornie nie przyjmuje żadnego podanego jęj pożywienia.

Prawie we wszystkich krajach, gdzie się pokaże kukulka, przesąd ludu ma upodobanie w przypisywaniu jęj głosowi proroczego znaczenia; z ilości wykrzyknionych bezustannie par jęj *kuków*, sądzą o liczbie lat które jeszcze przeżyje ten co kukulkę do tego wolania wyzwał, albo też ma to być liczba lat które upłyną, nim dziewica męża dostanie; a komuż nie wiadomo, że mu nie ma przez cały rok braknąć pieniędzy, byle miał przy sobie choć kilka groszy, wtedy gdy na wiosnę po raz pierwszy głos kukulki usłyszy.

U nas rzadko kto do kukulki strzeli; we Włoszech zaś, gdzie ten ptak, w miesiącu wrześniu, zjawia się wielkimi stadami, przez kilka tylko tygodni bawi i na łąkach szuka pożywienia, w sidła częstokroć bywa łowiony, i jako przysmak na targi przynoszony.

Kukulka żółtodzióbka (*Cuculus glandarius*), której ojczyzną są okolice Afryki, od Senegalu aż do Syrii, która się także pokazuje często we Włoszech, Hiszpanii i Prowancyi, a niekiedy nawet zabłąka aż do Niemiec, gdzie ją, mianowicie

w niższej Łuzacyi kilkakrotnie już ubito, jest nieco większa od kukulki właściwej i przypomina sówkę. Na głowie ma czub podobny jak u jemiołuchy, z piór popielato-czarnych, kończystych; wierzchnia część ciała jest brunatna, w skrzydłach i w ogonie końce piór białe, upstrzone; spód zaś od piersi biały z czarno-szaremi łodyżkami piór na podgardlu u samca. Podgardle samicy, aż do piersi, jest koloru izabellowego, najblidszego na środku. Ogon czarny z białymi piórami, klinowaty, bardzo długi; nogi i dziób u tej kukulki są grubsze niż u kukulki właściwej; sposobem życia obiedwie są zupełnie podobne.

Kukulka dydryk albo złocista (*Cuculus auratus*), która żyje w Afryce, i tam dla swego głosu znana jest pod nazwiskiem *Dydryk*, jest od dwóch poprzedzających mniejsza, bo tylko $6\frac{1}{2}$ cala długa; szczególniej jest piękna, również ją swe znosi w gniazda innych ptaków, lub, jak utrzymuje *Vaillant*, w dziobie je do nich zanosi. Wszystkie inne gatunki, mieszkające w różnych krajach po całej kuli ziemskiej, a najwięcej pod strefą gorącą, różnią się od wymienionych dopiero tém szczególniej, że same sobie gniazda budują, i pisklęta wysiadują.

A.

KSIĄDZ BAKA.

Kto z czytającej powszechności polskiej nie słyszał o dziełach wielkiego Baki? Kto nie umie na pamięć chociażby jeszcze kilka z jego *Uwag o śmierci niechybnej*? Kto z Rajmundem Korsakiem nie śmiał się serdecznie z natchnienia pocziwiego wierszoklety? Rzeczywiście, ksiądz Baka zasłużył sobie na pamięć w literaturze i na pamięć tak wielką, że sława jego niejedną już znakomitszą przeżyła i jeszcze przeżyje niejedną. I czemuż się stało, że Baka ma taką pamięć?

Stało się to oryginalnością pomysłu, jaki wziął ksiądz Jezuita, i oryginalnością wykonania tego pomysłu. Religijny i pobożny, postanowił działać na społeczeństwo, a działać nie z kazalnicy jak kapłan, ale wierszem jak poeta. Napisał zatem wielki poemat o *śmierci*. Chciał ksiądz Baka, żeby każdy myślał o śmierci, i stary i młody, i bogaty i ubogi, a dla tej myśli samęj poprawiał swoje życie, i na cnotę się oglądał. Poemat swój zatem rozdzielił na *uwagi*, żeby każdemu stanowi osobno przypomnieć znikomość blasków światowych, przypomnieć nicość czekającą każdego za grobem. Piszze zatem uwagi po szczególe, starym i młodym, bogaczom i panom, damom, rycerzom, duchownym, dworskiej młodzieży, swoim i cudzoziemcom, nawet starym dyssydentom, mieszczanom

i kmieciom. Dziwaczny pomysł zapewne, ale nieważniejsze jeszcze wykonanie. Ksiądz Baka sądził że dosyć rymu dla poezji. Rymuje zatem niezgrabnie. Ksiądz Baka sądził, że dosyć wyrazów a będzie język wymowny i sadzi się na pełne pretensyi dowody, niby dla przekonania czytelników. I urosł z tego zadania poemat tak oryginalny, jak rzadko, może najoryginalniejszy w naszej literaturze. I Baka zyskał nieśmiertelność. Dla osobliwości, powinniśmy poznać życie tego szczególnego autora.

W mało faktów obfituje to życie. Spokojny jak zakonnik, ksiądz Baka nie odznaczył się niczem w dziejach swojego zgromadzenia. On też w literaturze pozostawił jedynie pamięć po sobie.

Pochodził z rodziny litewskiej, która się herbem książąt Massalskich pieczętowała, a więc może i z dawnych kniaziów Rusi pochodziła. Sam ksiądz Józef Baka narodził się około roku 1706 za Augusta Mocnego. Był jedynakiem u swoich rodziców, a że ci byli bardzo bogaci, zatem cały znaczny majątek spadł z czasem na jego głowę. Od dzieciństwa pokazywał natchnione nabożeństwo. Korzystali z tego Jezuici u których kończył nauki. Namówili go do siebie, a Baka wstąpił do zakonu w r. 1723, kiedy miał zaledwie siedemnasty rok życia.

Z początku Baka zostawał czas jakiś w kolegium w Dukrztach. (*) Zaczął tutaj marzyć o fundacji rodzinnej, a starszyzna zakonna z ochotą zasiewała w młodzieńcu te myśli, i zwolna je rozwijała. Urosły wreszcie te myśli. Wtenczas Baka zaczął prosić ojca, który żył jeszcze, żeby mu dał pieniędzy na jaki zakład jezuicki. Ojciec był pobożny, a kochał jednynaka syna. Z rozległych więc dóbr swoich, wydzielił Sliżyn i Januszkowice; oprócz tego, dał jeszcze synowi 10,000 złp. na nową fundację w Litwie. Józef Baka zakupił wtedy grunta, wystawił rezydencję, mały kościółek, i założył w samej rzeczy jezuicką misyję. Byłoby osada sławna na całe Wielkie Księstwo, nie bogactwem swoim ale znaczeniem. Nazywała się też od założyciela Bakańska misyja. Siedział w niej do śmierci nasz poeta i tutaj może swoje poema napisał. Ale nie rymami tylko, ksiądz Baka budował i przykładem. Pracował gorliwie, jak prawdziwy misyonarz i tłumacz słowa Bożego.

Poprzednio czas jakiś mieszkał w Wilnie, gdzie zapoznał się z Piotrem Dubińskim, burmistrzem litewskiej stolicy. Pan Dubiński miał wiele prawa do przyjaźni i szacunku księdza Baki. Był promotorem bractwa Śś. Różanca i hełmanem bulawy wielkiej tegoż świętego bractwa. To były jego tytuły i godności w Kościele. A w mieście słynął pan Dubiński szeroką nauką pomiędzy kupcami wileńskimi, bo czytał nabożne pieśni i modlitwy. Księdzu Bace zatem udzielał chętnie swojej opieki i chlubił się nią Jezuita. Nazywał Dubińskiego mecenasem i protektorem swoim, laskawym panem i dobrodziejem. Burmistrz utrzymywał handel znakomity w Wilnie; miał zawsze przedni miód, lipczyk i krópniki, a nie żałował nigdy szklenicy jednej i drugiej dla Baki, kiedy go odwiedzał poeta, czyto w sobotę czy w niedzielę. Jemu też dziełko swoje dedykował autor.

Dziełko to wyszło po raz pierwszy w Wilnie r. 1766. koszem Xawerego Stefaniego, także pobożnego obywatela, zamieszkałego w stolicy litewskiej. Nosilo tytuł następujący:

„Uwagi o śmierci niechybnej, wszystkim pospolitiej, wierszem wyrażone, przez księdza Bakę. S. J.”

Byłoby dziełko tak ciekawe i piękne, że jeden z najznakomitszych pisarzy naszych w epoce po roku 1797. Rajmund Korsak, postanowił je prze-

drukować. Przedrukował je istotnie w Wilnie, roku 1806, ale ze swoją dowcipną przemową do dzieła, w której naśladował język i ton Baki, wybornie opisał śmierć poety. Trzecie wydanie *Uwag o śmierci niechybnej* wyszło w Warszawie, w r. 1828, razem z przemową, która jest jednym z najdowcipniejszych utworów naszej żartobliwej literatury. Rajmund Korsak swoje wydanie drukował nakładem amatorów, którzy wygrzebaliby ciekawą książeczkę i dali światu ją poznać. To wydanie podyktowała myśl żartobliwa; przecież tej myśli winien Baka swoją sławę, a Korsakowi nieśmiertelność. W tłumie innych książeczek zginęłyby może *Uwagi*, i jaki starożytnik, znalazłszy je gdzie na półce w bibliotece, pokazywałby jako osobliwość. Korsak wstawił książeczkę i śmiech obudził.

Prócz *Uwag*, jest i drugie dzieło Baki, ale mniej znane, pod tytułem:

*Nabożeństwo codzienne chrześcijańskie, przez księdza Józefa Bakę, niegdyś Jezuitę, przełożonego (tak) misyji Błońskieję, ułożone, a przez księdza Józefa Legowicza, S. Teologii doktora, plebana kościoła Korbożyskiego na nowo do druku podane, w Wilnie, w Drukarni XX. Bazylianów, r. 1808 w 8^{ce} str. 76. Jocher, który wie o tém dziełku z notat Leona Rogalskiego, powiada, że są tutaj i wiersze duchowne, a w poezyi pod napisem: *Rozmyślanie o śmierci czyli popielec*, przebijają się duch autora *Uwag o śmierci niechybnej*. (*)*

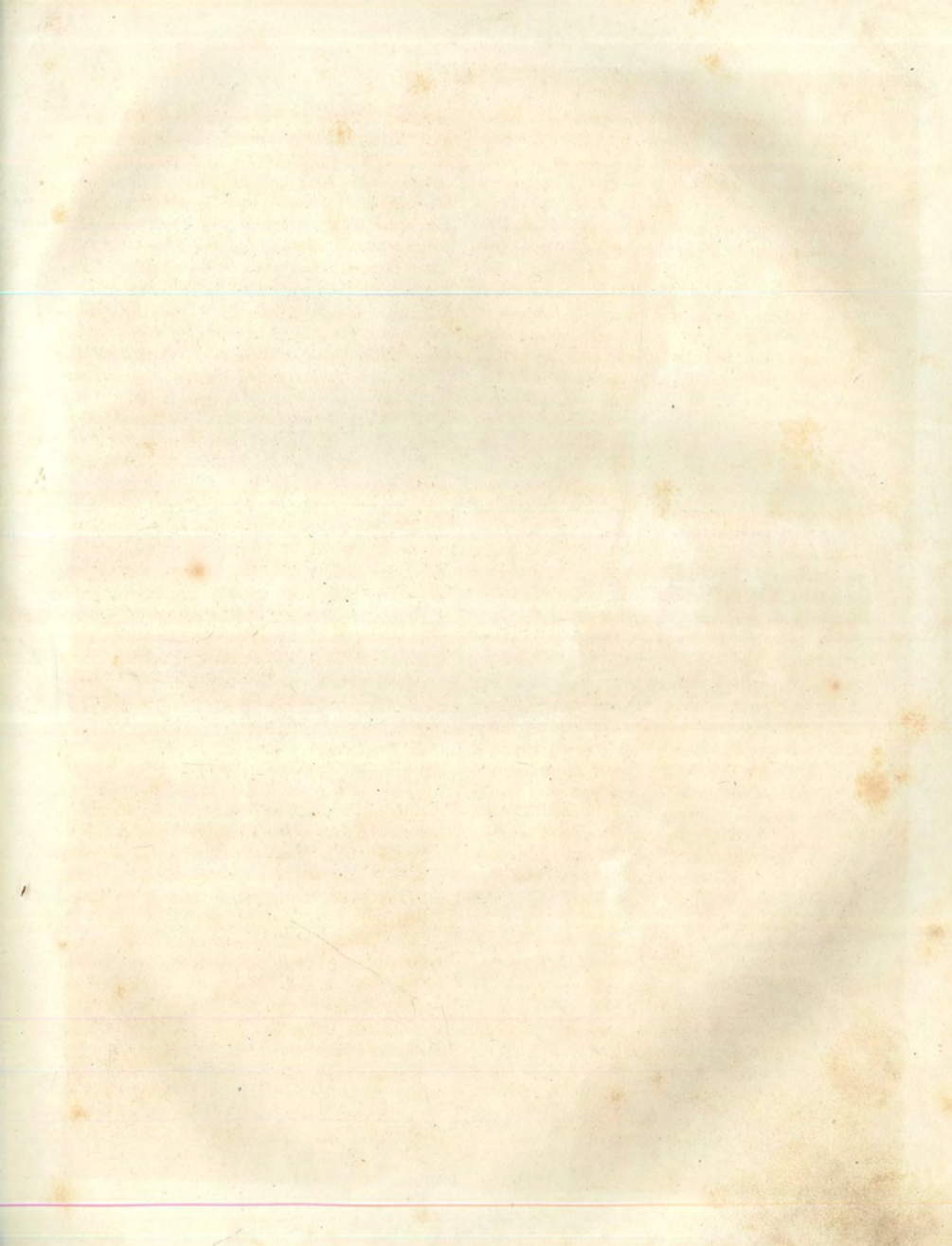
Zdawałoby się z tego tytułu, że *Nabożeństwo* jest tylko przedrukiem, zrobionym przez księdza Legowicza, a przecież nie znamy tej piérwszjęj edycyi drugiego dzieła Baki. Możeby warto dla osobliwości i to *Nabożeństwo* przedrukować, żeby z *Uwagami* jedną stanowiły całość, pełną oryginalności i swojego rodzaju zalet.

Jezeli ksiądz Legowicz nie pomylił się, z tego tytułu dowiedzieliśmy się jeszcze jednego szczegółu do życia Baki, że był przełożonym misyji w Błoniu. Może tu jednak popłatane tylko są fakta i podania. W każdym razie nie będzie tu mowy o Błoniu Mazowieckiem pod Warszawą, tylko o jakimś Błoniu na Litwie. Misyja Bakańska, może to samo co Błńska?

Ksiądz, nasz poeta, po skassowaniu zakonu Jezuickiego, nie zmienił przecież sukienki zakonnej, ale gdzie przebywał i co robił? nie wiemy jeszcze.

(*) Starożytna Polska, tom 3 str. 290.

(*) Obacz lit. hist. tom 3 str. 117.





Na wiosnę roku 1780 za jakąś sprawą na krótki czas przyjechał do Warszawy. Miał wtedy 72 lat wieku, i starość pochyliła już czoło jego ku ziemi. Może niewygody podróży źle oddziaływały na jego zdrowie, może sam wiek był temu przyczyną; doświadczyć, że 2 czerwca tegoż 1780 r., w piątek, umarł z wielką skrucą ducha, w Warszawie. Pochowany przy licznych mszach i wigiliach w kościele Pojezuickim, na Sto-Jańskiej ulicy. Byłto zaszczyt nieładny. W kościele tym grzebano tylko dobrodziejów zakonu. Tutaj leżał Marein Żalski, biskup suffragan plocki, założyciel missyi jezuickiej w Kobylicy; tutaj Jan Cieciński, fundator kolegium szlacheckiego na Nowém-Mieście; tutaj książę Stefan Pużyna, założyciel drukarni, i Stanisław Wittoff, mieszczanin radny warszawski, dobrodziej kolegium Staromiejskiego. Grób przygotowany czekał tutaj jeszcze na Stryjeńskiego, rektora warszawskiego, który własnym kosztem zbudował dla Jezuitów piękną co do struktury, ale piękniejszą co do wyboru ksiąg bibliotekę. Ale Stryjeński umarł w podróży, we Lwowie, i tam pochowany.

Jego miejsce w grobach kościoła Pojezuickiego zajął Baka, jako także fundator i dobrodziej zakonu. (*)

Wolno Kraszewskiemu, przez jakiś zbytek szlachetności literackiej, stać w obronie Baki i głosić, że pisarz *Uwag o śmierci niechybnej*, był rzeczywistym poetą. Wolno przekonywać, że w Bace nieraz i myśl tkliwa i serce, że nawet jest w tych jego pieśniach pewien wdzięk i wysłowienie, a wszędzie naiwność. My nie wierzymy tym zapewnieniom. Nam się zdaje, że znakomity autor nasz, rzucając na świat takie dziwne absurdum, chciał także powiedzieć coś nowego wbrew opinii ogólnej, wbrew ustalonemu pojęciu, jakieśmy sobie o Bace zrobili. My w Kraszewskiego pomysły widzimy tylko chęć oryginalności, którą błysnąć uważa czasem za sprawiedliwe pisarz znakomity, który więcej jak kto inny może przekonany w duszy, że powiedział coś bardzo nowego.

Julian Bartoszewicz.

(*) Gaz. Warsz. 1780, N. 46. Supplement.

RYBOLÓSTWO W NORWEGII.

Rybolóstwo stanowi jedno z najgłówniejszych i najważniejszych zatrudnień mieszkańców Norwegii; dzieli się ono na dwie główne gałęzie. Jedną gałąź tworzy rybolóstwo peryodyczne, prowadzone na wielką skalę, któremu się trudni tysiące ludzi w pewnych porach roku, z którego wypadek wzrasta handel zagraniczny Norwegii; za drugą zaś gałąź uważać się da rybolóstwo zwyczajne, któremu trudnią się codziennie wszyscy mniej więcej, i którego produkcja służy na użytek domowy, lub też stanowi przedmiot handlu wewnętrznego.

Pierwszy rodzaj rybolóstwa, również dzieli się na dwa główne oddziały, stosownie do gatunku ryb, których połów ma na celu, to jest: na połów *kabelionów* i połów *śledzi*.

Kabeliony łowią się najwięcej na brzegach okęgu Bergen i Trondhjem, szczególnież zaś na półno-

cy, około wysp Lofodskich, dlatego też, chcąc dać dokładne wyobrażenie o ważności tego przemysłu, zatrzymamy się umyślnie dłużej nad opisem wysp tych, co nam zarazem posłuży do zapoznania czytelnika z życiem i zwyczajami Skandynawskich rybaków. Kabelion (Cabeliau, Gadus Callarias) jest głównym przedmiotem ich połowu, do którego tak są zapaleni, że tysiącami przybywają tu z całej północnej Norwegii, w porze najokropniejszej, i pomimo dzikiej i niewdzięcznej natury tych wysp, dążą do nich pociągani dziwnym jakimś urokiem.— Wyspy Lofodskie leżą między 68 a 69° szerokości; ciążyna Vest-Fjord, 8 mil szeroka, oddziela je od stałego lądu. Położenie takie wystawia je na straszne wiatry od wielkiego oceanu północnego z jednej strony, a ośmiomilowe odalenie z drugiej od gór stałego lądu, nie zabez-

piecza ich w niczem od równieź straszliwych szturmów wschodnich.

Na górach zupełna nagosc, w dolinach jedynie, i to gdzieniegdzie, wyrastają drobne, małe drzewiny. Rolnictwa prawie niema zupełnie; trudni się niemi niepodobna, ale zato bogate pastwiska dają wyborną żywność bydłu, i bardzo sprzyjają hodowaniu go. Siedziby mieszkańców wznoszą się ponad samym brzegiem morza, i po większej części na najmniejszych wysepkach są budowane, cała bowiem uwaga rybaka, cała usilność zwrócona na morze, a korzyści jakiebym tu ziemia zapewnić mogła, nic go nie obchodzą. Dosyć jest widzieć w lecie te smutne wyspy, żeby sobie utworzyć wyobrażenie, co za okropny widok muszą w ziemie przedstawiać, a wtedyto jednak, i to śród najcięższej zimy, bo przez cały styczeń, luty i marzec tłumy ludzi ze wszech stron je zalegają.

Przyczyną tego peryodycznego, co zima odwiedzania wysp Lofodskich przez tyle ludzi, jest zapewne to, że połów tu zawsze niezawodny; nie przedstawia on rok rocznie tych samych zysków, ale zawsze jest nieomylny. Różnica zaś co do zysków ztąd pochodzi, że nie tylko ilość, lecz dobroć i tłustość ryb niezawsze bywa jednakowa. Tłustość ryb zmienia się zawsze bardzo regularnie co kilka lat, i to w ten sposób, że jeśli którego roku ryby okazały się tłuste, to można być pewnym, że na przyszły rok będą jeszcze tłustsze i tak dalej przez lat kilka, dopóki nie zaczęła chudnąć stopniowo znów przez te same ilości lat. Jaka może być przyczyna takiego stopniowego spadania i przybywania im tuszy, trudno wiedzieć; przypuszczać jednak należy, że musi to pochodzić albo z samej ich natury, albo też z różnicy wędrówek jakie odbywają; zawsze wszelako będzie to tylko przypuszczenie, gdyż niepodobna jest zbadać ich ekonomię wewnętrzną, ani nawet uchwycić ślad gdzie i kiedy się oddalają. Wielu utrzymuje, że co 7 lat wraca się ten peryod zmiany ich tłustości, inni znów, niemniej od tamtych doświadczeni i świadomi, zaprzeczają aby to miało być pewnem.

Z początkiem lutego, zaczynają się ryby ukazywać, wysyłając jakoby na zwidy najprzód niewiele z pomiędzy siebie, które osobno przypływają, jedno po drugich dość długo, dopóki wszystkie nie zwał się ogromnemi massami, zwanemi tu

bardzo słusznie: rybie góry. Jak tylko pierwsi ci wysłańcy zaczęli się ukazywać w pozastawianych sieciach, rybacy zaraz wyprawiają się na morze i spuszczaają ołowiankę dla wypróbowania czy są już rybie góry, które sadowią się zwykle w tych samych łóżykach. Jeśli są, łatwo to poznać, bo ołowianka pada na zbitą i nierówną ich masę, opiera się, i ciągnąc się po załomach znów spada. Od tej chwili zaczyna się połów, bo ciąg ryb już się skończył (po norweskku Indsiig), już się usadowiły, i siecie już ich płoszyć nie będą, jak to się rzecz ma póki jeszcze ciągną lub pojedynczo się kręcą. Przybывая, ukazują one się zwykle naprzód od zachodniej strony wysp, opływają je od południa i zaciągają na wielki Vest-Fjord.

Nie zawsze jednak tą samą drogą idą, czasami szukają łożysk, które leżą od pół do półtoręj mili od brzegu (blisko trzy mile geograficzne), czasami znów zbijają się przy samym brzegu. Zwykle łożyska ich mają od 360 do 480 stóp głębokości. Wyruszają z łożysk i oddalają się tą samą drogą którą przyszły, ku końcowi marca lub w początku kwietnia; zdarza się jednak dość często, że przyjdą lub odejdą w dwa tygodnie prędzej lub później.

Półów zatem odbywa się najgłośniej na wschodnim brzegu, czyli w Vest-Fjord; nie bez tego, żeby i na zachodnim brzegu nie było pokładów ryb, ale w daleko mniejszej liczbie, i prócz tego, z powodu nadzwyczaj burzliwego morza, połów z tej strony daleko niebezpieczniejszy i trudniejszy; chociaż więc ryby tłustsze tu bywają, to jednak wszyscy rybacy ztąd na wschód dążą.

Dziwnem i niepojętym zrządzeniem natury przybывая one tu na swą zgubę właśnie wtedy, kiedy popęd przyrodzony pobudza je do rozplodnienia i utrwalenia swego rodzaju: dziwny to zawsze i niezrozumiały dla nas plan natury, że jeden rodzaj wygubia drugi, i że dla utrzymania wszystkich, zniszczenie stanowi równie ważny, niezbędny warunek, jak i istnienie.

Na ten połów zbierają się rybacy z całego Finmarku i północnej Norwegii, od samego przylądka północnego przybывая w czółenkach założonych rybakami naczyniami. Z Bergen znów i Trondhjem wyprawiają się małe okręci z żywnością, których właściciele zakupują ryby, solą je, i później przyrządzają na klipisz. Niemniej ważny przedmiot

handlu stanowi ikra rybia. Rybacy z dalszych okolic sprowadzają z sobą jachty, na których mieszczą część naczyń i zabierają beczki do przechowania wątrób rybich. Z bliższych okolic wszystko płynie na czółnach. Z dalszych puszczają się w podróż w styczniu jeszcze; żywność, naczynia i sprzęty dzielą na dwie części; z których jedną zabierają na czółna, drugą zaś ładują na jachty, jużto dlatego żeby uczynić czółna lżejszemi na tę długą i niebezpieczną podróż, już też żeby w razie nieszcześcia na czółno lub jacht, pozostała im zawsze jakaś ucieczka. W czasie połowu jachty stoją zdaleka i stanowią wielki magazyn zapasowy. Każda parafia wyprawia kilka takich jachtów, i dlatego zowią się one: Bydgefahrer, co znaczy: okręta parafialne.

Rybacy dzielą się na stowarzyszenia czółnowe (Baadlag). Każde stowarzyszenie łowi wspólnie i zysk połowu dzieli między swych członków, według stałych, przyjętych na to zasad. Stowarzyszenie musi mieć najmniej dwa czółna. Właściciel jachtu pełni tylko obowiązek szypa, a każde stowarzyszenie musi dać jednego człowieka do osady okrętów. Po ukończeniu połowu, beczki z wątrobami i ikra, i naczynia ładują się na jacht i odsyłają do domu, gdzie z wątrób rybacy wyrabiają tran (oleum jecoris), ładując na te same jachty wraz z ulowionemi i przyrządzonemi w domu rybami i wysyłają do Bergen, dokąd zwykle przychodzi w maju lub czerwcu. Pierwsza taka podróż jachtów technicznie nazywa się *Første ståtne*. Z powrotem jacht przywozi rybakom zboże i inne artykuły. Zabiera beczki mające służyć do przyszłorocznego połowu, materyały do rozmaitych naczyń rybackich, i jedzie do Lofoden, tam ładuje wysuszone ryby i płynie znów do Bergen. Ta druga podróż jachtu nazywa się technicznie: *Andet ståtne*. Po tej podróży jacht już w tym roku służyć nie może; wyciąga się więc na ląd i reperuje na przyszłą zimę.

Baadlag (stowarzyszenie) musi mieć dwa duże czółna, na każdym z nich znajdować się powinno pięć burt, wiosła, maszty, żagle, powrozy, naczynia potrzebne dla każdego rybaka, których pięciu powinno być na czółnie. Połów odbywać się może siecią, lub na liny. Sieć ma 60 łokci długości, i 7½ szerokości; robi się z mocnych konopi, i dla trwałości wyprawia się. Zastawione sieci, wiąza-

się razem i przymocowują do sznura, opatrzonego na końcu barylką, żeby go łatwo widzieć można. Na dolnym brzegu sieci przytwierdzają się ciężarki żelazne, dla utrzymania jej u dna morza, na górnym zaś zatykają się płaskie deszczułki, żeby tym sposobem sieć pionowego kierunku nie zmieniała. Przy połowie na liny, każdy rybak powinien mieć linę 3,000 łokci długą i opatrzoną 1,200 wędami, przymocowanemi do niej za pomocą sznurków 3 łokcie długich.

Prócz tego, każdy rybak zaopatrzyć się powinien w żywność na dwa do trzech miesięcy, składającą się z chleba, miodu, mięsa i sera. W oddalonych prowincjach wyprawa rybaka na ten połów kosztuje blisko 40 norweskich speciestalarów (jeden speciestalar 8 złp.).

Na każdym czółnie jest retman (Hövedsmand) na którego wybiera się najbieglejszy z rybaków; on wydaje rozkazy na tej osadzie czółnowej, tak w czasie podróży jak i w czasie połowu.

Po przybyciu do wysp Lofodskich, każdy Baadlag ma sobie wyznaczone miejsce, na którym łowić będzie; dzieje się to dlatego, że połów wymaga wielu przyrządzeń, niełatwo dających się przeprowadzać z miejsca na miejsce: i tak np. każdy Baadlag musi mieć swój domek narządzony do suszenia ryb, beczki na ikrę i wątróbi i t. d.

Domek, *Robod* zwany, buduje się z drzewa; mniej więcej 8 łokci miewa długości i szerokości, wysokość taka, żeby człowiek w nim wygodnie mógł stać; przed nim zawsze jest sień trzy łokcie przynajmniej szeroka, w której mieszczą naczynia; wewnątrz cały sprzęt stanowią przy ścianach postawiane tapczany, i w środku ognisko kamienne którego dym wychodzi dziurą w dachu. I ten domek tak nędzny, tak biedny, stanowi raj północnego Norwęczczyka, najwyższy cel życzeń jego i dumy od kolebki do grobu.

Przyrząd do suszenia ryb, zwany *Hjeld*, składa się z pali wbitych prosto w ziemię, w oddaleniu od 9 do 10 łokci, u góry połączonych krokiewiami, na których zawieszają się ryby, parami za ogony związane, i schną na świeżem powietrzu. Pale powinny być tak wysokie, żeby lisy ryb dostać nie mogły, i żeby woda w czasie burzy, kiedy morze szeroko się rozlewa, nie dosięga ich. Uważać także należy, żeby pale wbijać na ile możności suchym gruncie, gdyż wilgotne wyziewy szkoda

bardzo rybom, które od nich czarnych plam dostają, i przez to wiele tracą na wartości. Krokwie muszą być dość grube, już to żeby znieść mogły znaczną ciężar ryb, już też, żeby im nie dały dotykać się do siebie, przez co by się psuły.

Domki te i naczynia są albo własnością rybaków, albo też należą do posiadacza gruntu, w którymto razie, tenże obowiązany jest utrzymać je w dobrym stanie, i tak, żeby rybakowi na niczem w nich nie zbywało. Jeśli zaś są własnością rybaków, to zwykle ci odpłacają za nie czynsz z gruntu, albo za najem uiszczają się odstąpieniem jakiejś części połowu.

Z tego powodu rybacy przywiązują się bardzo do miejsca, a prócz tego, zmiana miejsca połowu nie przedstawia im żadnych korzyści, gdyż niezawodną jest rzeczą, że jeżeli jednego roku w jakim miejscu obfitsze były łowy, to na drugi rok obfitość ta przeniesie się gdzieindziej, tak, że w ciągu kilku lat różnice się zrównoważy muszą. Nadzwyczaj ważną jest rzeczą dla rybaka znać dokładnie łożyska ryb, do czego dojść może tylko długim doświadczeniem; starzy też rybacy za nie w świecie miejscaby swego nie odpustili.

Przy tak wielkiem zbiegowisku ludzi w jedno miejsce, niepodobna byłoby uniknąć starć i wypadków smutnych, jakim daćby mogła powód chciwość i żądza zysku, gdyby prawo nie opiekowało się utrzymaniem porządku. Osobna zatem ustawa przepisuje jakie naczynia i w jaki sposób mają być używane; nakazuje żeby w każdym miejscu był ustanowiony dozorca, wskazujący gdzie i kiedy łowy mają się odbywać; naczelnika robi odpowiedzialnym za czyny podwładnych mu ludzi. Morze rozmierza się na równe części, i każdemu Baadlagowi wyznacza się z nich jedną; wszyscy muszą razem zakładać i zdejmować sieci; obchodzenie się ze złowionymi rybami, również odbywa się podług stałych przepisów, które zapewniają także bezpieczeństwo i sprawiedliwość każdemu rybakowi. Dla dokładniejszego zachowania prawa i wymiaru sprawiedliwości, w razie zachodzących sporów, przez cały czas połowu na miejscu jego, obecni są: urzędnik policyjny i sędzia właściwego okręgu.

Przepisy, dotyczące zachowania i przyrządzania ryb, nakazują aby z przyrządów zdejmowane nie były przed 12 czerwca. W tej porze, wyspy Lo-

fodskie, znów się ożywają, znów je zapelnia tyśiące ludzi; przy brzegach wiją się stami czołna i jachty; przez parę dni trwa zgilek i ruch odurzający, dopóki ryby, które tu do tej chwili suszyły się, opiece Boskiej pozostawione, nie zostaną wławowane. A potem cisza i pustynia zalega wyspy, aż do przyszłej zimy.

Zimą, ulowione ryby, przyrządzają się w dwaoki sposób: albo na stokfisz, jakieśmy to już opisali, albo na klipfisz. W ostatnim razie, ryby zaraz pakują się na okręta, które umyślnie już na to w czasie połowu czekają, tam się solą, odwożą do domu latem, i suszą się na skalach. Ten sposób jest daleko kosztowniejszy, i połączony z wielkimi trudnościami, z powodu zmienności pogody; dlatego też klipfisz daleko drożej się płaci. Rybacy niebardzo chętnie sprzedają świeże ryby na okręta, korzystniej bowiem wychodzą na sprzedaż stokfisa; w ostatecznym też tylko razie uciekają się do tego środka, a mianowicie jeśli nie mają dość narzędzi do suszenia, lub zmuszeni są do zamiany na niezbędne potrzeby, lub wreszcie jeśli pora już jest tak późniona, że nie mogą liczyć na dobre wysuszenie ryb. Za 120 sztuk świeżej ryby płaci się półtora speciestalara; zaś ze 120 sztuk ryb wysuszonych, rybak otrzymuje 250 funtów stokfisa za który bierze 3 speciestalare. Do tysiąca ryb wychodzi $3\frac{1}{2}$ do 4 beczek soli, którą tu okręta przywożą; okręt zabiera zwykle 20,000 sztuk ryb.

Z wątrób rybnich, w beczki upakowanych, rybacy po powrocie do domu, wyrabiają tran. Najlepszy gatunek tranu, stanowi tłuszcz ociekający z surowych wątrób, znany pod nazwą tranu białego (Blank tran) i używany w medycynie; pośredniejszy tran wytapia się z wątrób. Tran w beczkach dostawia się do Bergen i Trondhjem, zgdą rozchodzi się dalej. Z beczki wątrób, białego tranu bywa $\frac{1}{4}$ beczki; ostatniego zaś z dwóch beczek wątrób, jedna; na dwie beczki wątrób potrzeba od 200 do 300 sztuk ryb, stosownie do tego jak są tłuste.

Ikra soli się zaraz na miejscu, i zaraz sprzedaje; kupują ją do Francji, gdzie używa się za nętę przy połowach sardeli. Nie próbowano dotąd, czy z ikry kabelonów da się wyrabiać kawior, tak jak z ikry jesiotra i białugi; gdyby się to dało zrobić, ikra ta stanowiłaby ważny bardzo artykuł w handlu norweskim.

Najlepsze wyobrażenie o ważności przemysłu rybnego w tych stronach, powziąć można z raportów urzędu okręgowego wysp Lofodskich; dla przykładu zatem dajemy tu krótki wyciąg z takiego raportu za r. 1837. Liczba członów przybyłych na połów wynosiła 2916; rybaków na nich znajdowało się 15,480. Ułowiono ryb sztuk 16,456,620 które dały 21,530 beczek tranu, 6,000 beczek ikry; obliczając podług cen średnich, wypadek pieniężny całego połowu wynosi 430,987 speciestalarów. Wliczając zyski z handlu wywozowego, sumę tę z największą pewnością podwójnie brać należy; tak więc z tego jednego rodzaju rybołówstwa i tylko przy wyspach Lofodskich, wpływa do kraju 860,000 speciestalarów. Przyjawszy zaś, że połów kabelonów na zachodnim brzegu Norwegii, stanowi połowę tego rodzaju rybołówstwa, wypada, że z niego jednego Norwegia ma 1,290,000 speciestalarów dochodu.

Połowy przy wyspach Lofodskich są połączone z wielkimi trudnościami i niebezpieczeństwem; mimo to jednak, tyle mają powabu dla prostego ludu północnej Norwegii, że każdy człowiek przyjmując służbę u pana, wymawia sobie koniecznie, żeby należał do wyprawy na nie, choć to mu żadnej korzyści nie przynosi, bo zyski należą do pana.

Drugi rodzaj peryodycznego rybołówstwa stanowi w Norwegii połów sledzi. Połów ten odbywa się dwa razy do roku, raz zimą, drugi raz latem: najważniejszy jest jednak połów zimowy, i dlatego zatrzymamy się naprzód nad nim. Sledzie przybývające zimą do brzegów Norwegii, należą do rodzaju sledzi dużych, znanych tu pod nazwą wiosennych; (Vaarsild, Frühlingshäring) siedlisko ich jest około przylądka Stat, w okręgu Bergen, ku południowi aż do Lindäsnes. Przybycie ich oznajmują wieloryby często kręcące się wtedy około brzegów; znaku tego rybacze oczekują z wielką niecierpliwością i pożądaniem, dlatego, że zwyczajem sledzi jest odwiedzać Norwegię przez 20 do 30 lat ciągle, a potem porzucić ją na równie długi przeciąg czasu. Rodzaj ten rybołówstwa stanowi ważne i obite źródło bogactwa nadbrzeżnych okolic. Miasto Stavanger przezeń się tylko utrzymuje; ogromne zakupy materyałów, transport, obróbka, nadają mu niezwykły ruch i życie.

Powszechne mniemanie, jakoby sledzie chroniły się ku brzegom przed wielorybami, bardzo ma-

ło ma za sobą prawdopodobieństwa; zdaje się daleko pewniejszym, że napędza je tam czas tarcia. Wieloryby przytém ukazują się wcześniej, niż sledzie; jaki jednak stosunek zachodzi między ukazywaniem się przy brzegach obudwu tych istot, w jednym mniej więcej czasie, trudno wiedzieć. Sledzie jak się tylko dostaną między wyspy a rafy, wypływają zaraz z głębi ku górze, i trzymają się powierzchni wody; takie bywa ich mnóstwo, że podnoszą często czółna na kilka cali w górę.

Łowią się sledzie siećmi lub niewodami, częściej jednakże pierwszymi, z powodu niedostępności ceny niewodów dla prostego ludu. Wiążą się sieci po dwie z sobą, zastawiają wieczorem w miejscach gdzie woda najspokojniejsza, i przez noc łapie się w nie często do 6,000 kop, co wynosi 15 beczek. Jeśli zaś dostrzegą rybacy, że sledzie usadowiły się w lasze, zapuszczają ogromny niewód od morza, zamykając im tym sposobem wyjście, i łapią małemi siećmi, dopóki wszystkich nie wyłowią. Z takiego olbrzymiego niewodu nieraz kilkanaście tysięcy beczek sledzi wydobywają.

Na domowy użytek mieszkańcy wędzą sledzie i suszą, na handel zaś zagraniczny solą je tylko. Rybacy sprzedają sledzie świeże zaraz po ulowieniu handlarzom, i ci dopiero sami zajmują się soleniem ich i pakowaniem. Połów zaczyna się w styczniu, i trwa od 3 do 4 tygodni, w czasie których wyprawia się za granicę przynajmniej 600,000 beczek, co przedstawia mniej więcej wartość półtora miliona speciestalarów; ile pozostaje na miejscowe spożycie, niepodobna nawet wyrachować. Wszystkie sledzie norweskic idą do Szwecji i do Rosyi; w Szwecyi dawniej wyrabiano z nich tran, tu dotąd jeszcze nie próbowano tego.

Sledzie letnie są znacznie mniejsze od zimowych, ale za to w smaku prawie nie ustępują holenderskim; łowią się na brzegach Bergen i Trondhjem, ku północy, nigdy jednak w tak wielkiej ilości jak zimowe; połów odbywa się w ten sam zupełnie sposób jak tamtych, z tą różnicą, że nie podlega żadnej kontroli urzędowej; ztąd też obrabowanie wydatku jego jest niepodobne. Jakkolwiek letnie połowy nie wypadają tak stale w jednej porze, jak zimowe, zawsze jednak odbywają się od sierpnia do końca października.

Prócz sledzi, łowi się w lecie w Norwegii bardzo wiele innych rodzajów ryb. Flondra poławia

się na całym wybrzeżu Norweskim i na mieliznach. Stanowi ona jeden z najulubieńszych przysmaków Norwęczyka; kraje się w cienkie kawałki, suszy na powietrzu, i tak wysuszone mięso je się na surowo, a pletwy się piecze. Na zachodniem i południowem wybrzeżu, wyprawia się do Anglii niezliczone mnóstwo żywych raków morskich. Anglicy mają na ten cel urządzone osobne okręta, któremi szybko przybywają do Londynu i drogo bardzo żywe jeszcze sprzedają; raki te stanowią tam potrawę wykwintną i niezbędną na stole wielkiego świata. Rzeki i zatoki obfitują latem w łososie; mało ich wychodzi za granicę, ale bardzo wiele spożywa się wędzonych lub solonych w kraju. Ze wsząd w Norwegii słychać skargi i bolewania nad coraz zmniejszającą się liczbą łososi; pochodzi to złąd zapewne, że najwięcej ich łowią w rzekach, gdzie one się chronią na zapłodnienie, i tym sposobem tępi je w zarodzie. Prawodawstwo odpowiedzialne żądaniu wszystkich, wejrzy zapewne w ten przedmiot, i zajmie się urządzeniem połovu łososi, tak jak innemu. Zadziwiająca i godna uwagi rzecz, że każdy gatunek łososia inną sobie rzekę za schronienie w czasie tarcia oiera, a tak wiele jest jego gatunków, że niemal każda rzeka ma swój osobny. Około Christiansand, są dwie rzeczki bardzo blisko od siebie wpadające w morze; w każdej z nich zupełnie odmienne bywają łososie, i nigdy się nie zdarzyło, żeby się który zabłąkał, mimo prawie jednakowego położenia rzek.

Wielorybów mało bardzo poławia się w Norwegii, jakkolwiek dużo ich bardzo (z gatunku: *Balaena glacialis*) ukazuje się przy brzegach. Wielki gatunek wielorybów grönlandzkich (*Balaena vulgaris*) prawie tu nieznan, kiedyniekiedy tylko fale wyrzucają na brzeg morza ich trupy. W Fimmark dostają wieloryby, strzelając do nich z łuków; tym sposobem bowiem zraniony wieloryb, z bólu trze się o skały, wbija strzałę głębiej i sam sobie śmierć zadaje. Trzeba jednak niemałego szczęścia, żeby potem na morzu znaleźć takiego wieloryba; mnóstwo ich fale daleko unoszą. Strzały używane w tym razie, powinny być opatrzone nazwiskiem tego, kto nimi strzela, dla udowodnienia własności wieloryba. W okręgu Bergen używają innego, daleko pewniejszego sposobu na chwytywanie wielorybów: upatrują chwilę, kiedy wieloryb wypłynie uga-

nając za rybami, do jakiejś łachy lub zatoki, wtedy zamykają ją grubą siecią, i zabijają go strzałami.

Na wybrzeżach Bergen, Trondhjem i Nordland, polują na psy morskie; zabijają je harponami, tak jak wieloryby w Grönlandy; z jednego psa bywa od 8 do 12 bezek wątroby, która wydaje 90 procent tranu; dlategogo jedynie podejmują to niebezpieczne i kosztowne polowanie.

Rzeki i jeziora norweskieskie pełne są niezliczonego mnóstwa rozmaitych ryb, na które jednak przy morskich, mało kto uwagę zwraca; w niektórych tylko okolicach stanowią one ważny artykuł żywności. Ciekawy jest dość połów psstrągów jesienia: rybak zapala spore łuczycwo i idzie z niem ponad brzegiem rzeki; urządza sobie ogień na czołnie i plynie, psstrągi się zbiegają do światła, a on je wtedy mogąc dobrze i daleko widzieć, zabija żelaznemi widłami.

W niektórych stronach są bardzo piękne raki; od granicy zaś szwedzkiej, aż do Helgoland, całe wybrzeże obfituje w wyborne ostrygi. W niektórych rzekach znajdują się muszle perłowe; dziś mało bardzo zajmują się ich wyszukiwaniem; dawniej stanowiło to regalie królówch duńskich; znajdowane perły odznaczają się bardzo czystą wodą.

Tam gdzie rybołówstwo stanowi główny przedmiot życia, wywiera silny bardzo wpływ na obyczaje i charakter. Rybak różni się najzupełniej od rolnika; jego rozum, jego uczucia, obejście się, ruchy nawet zupełnie są inne; zwykle jest on ociężały, prawie ospały, na wszystko obojętny, nie poruszy go ani nieszczęście ani radość największa: zawsze zimny i ponury. Próżnobyś się silił chęć wyczytać z twarzy jego, czy mu się połów udał, czy nie; czy przywiózł pełne czołno łupu, czy mu się nie powiodło? Dopiero na morzu, kiedy burza zahuczy, bałwany się spienia, jakby czarodziejską siłą obudzony, w innego zmienia się człowieka: staje się żywy, zwinny, przytomny, cudów dokazuje. Ale jak tylko burza przeszła, znów wraca do dawniej obojętności i nieruchawości. Największém jego szczęściem próżnowanie; ruszyć się, już mu jest pracą. O przyszłości nigdy nie pomyśli; wygód domowych nie zna i nie lubi. Całą jego rozkoszą, morze i niebezpieczeństwo; nie dba na pogodę, i byle morze mu nie zamarało, aniby zateśniał do słońca. Od kolebki do grobu mo-

rze, to jego najdroższa kochanka; za nią tęskni, bez niej umiera. Dzieckiem będąc, patrzy na nie z pychą i radością, jako na widownię przyszłych

czynów i dzielności — zgrzybiały starzec, smutno i tęsknie na nie spogląda, jako na obraz lepszych kiedyś czasów, które dla niego już nigdy nie wrócą.

— KLASZTOR Ś⁶⁰ PAWŁA, OKOŁO GÓRY SINAI.

(Wyjątek z podróży).

Dwudziestego maja 184* r. zatrzymaliśmy się na odpoczynek wśród obszernej równiny, opodal od morza, mając przed sobą Sinai, która się oczom naszym przedstawiała w całej swej majestatyczności. Najwyższy ten wierzchołek pasma gór Arabii Skalistej, morze z trzech stron oblewa; ku południowi pasmo się ciągle wznosi do góry Ś⁶¹ Katarzyny, za którą zniża się w trzech kierunkach: ku zatoce Agabak, ku zatoce Suez, i ku przylądkowi dwie te zatoki rozdzielającemu, tworząc tym sposobem trzy cudnej piękności amfiteatra.

Góra Sinai, mimo zadziwiającej z razu wyniosłości i ogromu, nie przewyższa jednak Libanu, prócz którego, na całej zachodniej stronie Eufratu, żaden szczyt jej nie dorównywa. Dalej dopiero, ku północy i wschodowi zaczynają się te olbrzymie łańcuchy gór, które zdumiony człowiek za posady świata uważa.

Dwudziestego trzeciego wyruszyliśmy o drugiej z rana, żeby zejść za dnia jeszcze do klasztoru Ś⁶⁰ Pawła, który życzyłem sobie zwiedzić dokładnie. Początek tego klasztoru sięga owiej głębokiej starożytności, kiedy bogobojni zakonnicy, uciekając od świata i ludzi, w pustyniach Bogu całe swe życie poświęcali. Ciekawy byłem przypatrzeć się temu świętemu schronieniu i pobożnym następcom Ś⁶² Antoniego i Makarego, dziś je zamieszkującym. Prócz tego, zapasy nasze już się prawie wyczerpały, i liczyliśmy na chrześcijańską uczynność zakonników, spodziewając się, że nam nie odmówią jakiegos zasilku. Przyspieszaliśmy zatem kroku, i po dziesięciogodzinnej wędrówce, stanęliśmy pod murami klasztorowego gmachu.

Monastyr Ś⁶⁰ Pawła leży w oddaleniu sześciogodzinnej drogi od morza Śródziemnego, wśród krę-

tych wąwozów i sterczących, prawie niedostępnych skał, które go kryją przed okiem podróżnego, dopóki do samego miejsca nie dojdzie. Wtedy dopiero spostrzega on rozległą przestrzeń czworokątną, otoczoną wysokim murem, w którym próżno szuka bramy lub jakiego wejścia; po pilnym sledzeniu dojrzeć się daje na trzydzieści stóp nad głowami dość duży otwór w murze, z którego sterczy belka opatrzona sznurem na bloku zawieszonym.

Skorosmy tylko stanęli pod samym murem, ukazały się zaraz w tym otworze trzy głowy mnichów i przełożonego, który nas zapytał czego żądamy. Długie prośby i przekładania zaledwie nam wyjednały zezwolenie zwiedzenia klasztoru, jako celu naszej podróży. Przedewszystkiem musieliśmy zaprzężyć, a nawet poprzysiądź, że wszyscy jesteśmy chrześcijanie, i powtórzyć, że prawdziwi chrześcijanie; po takim zapewnieniu stanęło, że trzech z nas tylko na raz wejść będzie mogło.

Przekonawszy się jednak, że nie mamy nieprzyjaznych zamiarów, zwolniono to ściśnienie i przełożony wstąpiwszy nogą w petlię sznura przechodzącego przez blok, w oka mgnieniu stanął wśród nas na ziemi. Po kolei każdy z nas tym samym sposobem dostawał się na górę, i znaleźliśmy się wszyscy w wnętrzu ponuręj pustelni.

Stoi ona na tym samym miejscu, które zamieszkiwał Ś. Paweł pustelnik, pędząc życie w głębokiej grocie, której całem bogactwem dwa źródła krynicznej wody. Ta okoliczność najwięcej zapewne wpłynęła na wybór tego pęsnego i dzikiego ustronia, dla wzniesienia klasztoru, który z czasem stał się ważnym przytułkiem i ochroną dla rzadkich w tych stronach wędrówców.

Jedno ze wzmiankowanych źródeł bije w środku murów i to jest lepsze; drugie poza murami dostarcza wody Arabom i wszystkim przechodniom. Obadwa mają ciepłą 17° Celsjusza.

Wnętrze klasztoru przypomina zupełnie wioski arabskie. Na całej przestrzeni zamkniętej murami, wznoszą się małe porozrzucane domki, podobne do siedzib fellahów. W każdym z nich mieszka zakonnik, mając dwie izby, z których jedna na dole a druga na górze, połączone za pomocą drabki. Sam środek przestrzeni zajmują trzy kościoły; opodal stoi wieża, służąca za skład żywności i ostatnie schronienie w razie niebezpieczeństwa, i dlatego zapewne odłączona zwodzonym mostem od reszty zabudowań; most zaś łączy się z jednym z kościołów. Na boku, w rogu obrębu klasztornego, jest ogród warzywny, uprawiany ręką mnichów, przyozdobiony kilku smutnymi palmami.

Klasztor Ś^o Pawła wzniesionym został w IV wieku po Chrystusie, w czasie kiedy wszystkie umysły przejmowała najwyższa cześć dla życia pustelniczego. W Egipcie najsilniej czuć się dala żarliwość ku temu powołaniu; 75,000 bowiem zakonników i 20,000 zakonnic zajmowało 5,000 rozmaitych zakonów, rozrzuconych na całej powierzchni tego kraju. Nic podobnego nie przedstawia nam żadna część Europy. Burze miotające w owym czasie państwem Rzymskiem, skłoniły zapewne wielu do chronienia się przed nędzą i gwałtami w święte ustronia, i jeśli ogół nierówną jaśniał znajomością, to na czele jego stali zawsze bez wątpienia ludzie wysokiego gieniuszu, sławni świętością serca i rozumu, którego niezatarte ślady zostawili w wielu księgach, po dziś dzień mądrością zadziwiających. Czemuż niewielu godnych mieli następców!

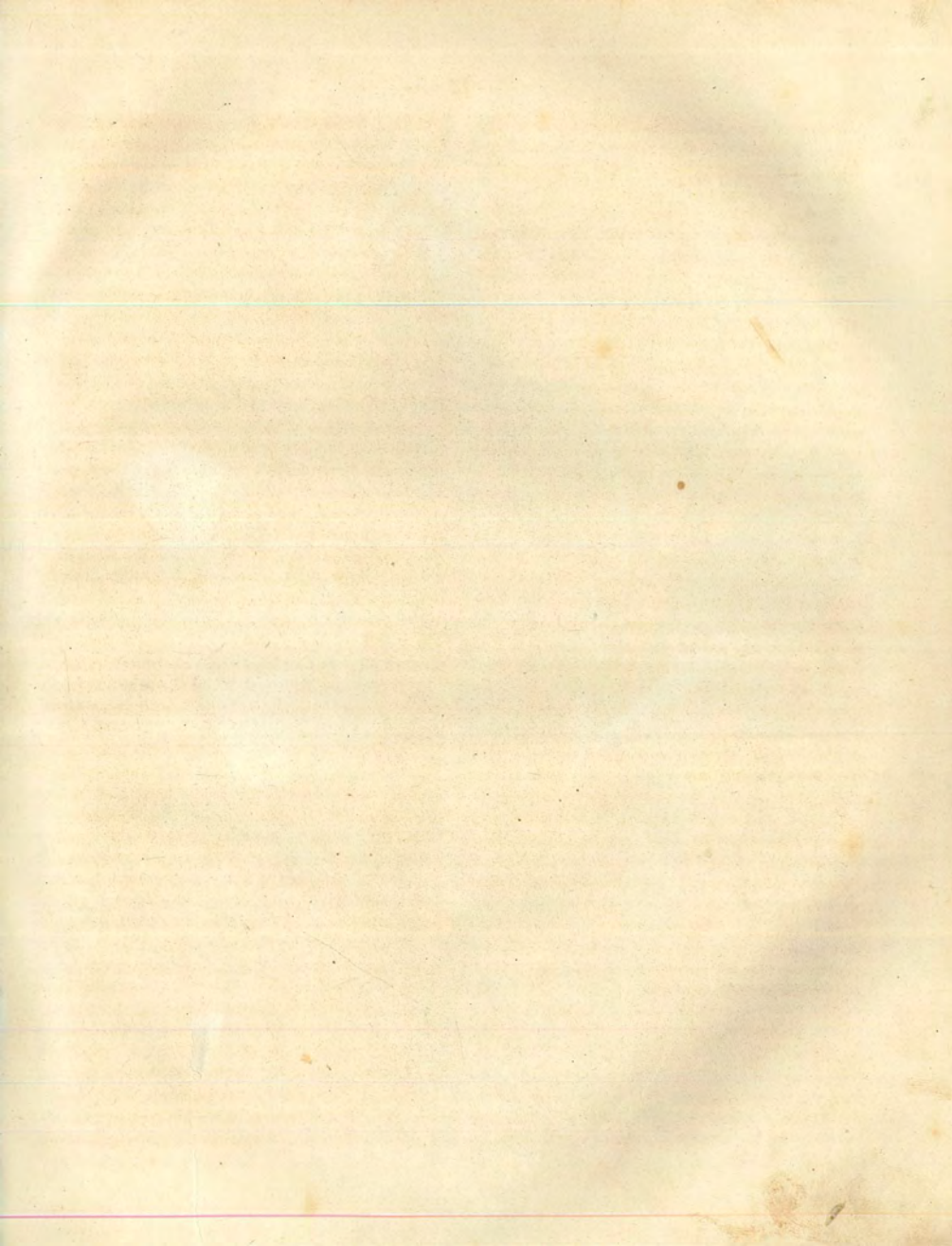
Kościół ten alexandryjski czyli egipski, tak liczny, że na konsylią wysłał 53 biskupów, odznaczał się zawsze duchem sprzeciwienia i pierwszy dał hasło przyszedł niezgody.

W klasztorze Ś^o Pawła znajduje się 35 zakonników; z tych dziesięciu jest wyświęconych księży, z pomiędzy których 4 tylko umie czytać. Msze odprawiają w języku koptyjskim, niezrozumiałym dla nich zupełnie. Reguła nakazuje im cztery razy w przeciągu doby odbywać modlitwy w kościele; resztę zaś dnia poświęcają zajęciom domowym i uprawie ogrodu.

Kościoły kiedyś dość bogato przyozdobione, dziś rażą śladem zaniedbania i opuszczenia. Biblioteka klasztorna składa się z 13 tomów pisanych po koptyjsku, greckimi literami. Reguła Ś^o Antoniego zachowywana tu, jest bardzo sroga, i nie pozwala jeść nigdy mięsa.

Utrzymanie klasztoru stanowią jedynie szczupłe jałmużny, w największej części zbierane przez patryarchę koptyjskiego, zasiadającego w Kairze, i rozdzielane między niewielką liczbę zakonów, pod władzą jego zostających. Klasztory te, leżące w pustyniach, odbierają dwa razy do roku zapasy, z których żyją; wolno im przyjmować jałmużny, i obowiązane są dawać każdemu do drzwi ich pukającemu, wodę i pożywienie. I myślny dostali soczewicy i grochu szablatego, dla siebie i dla wielbłądów, za co ja zawdzięczając, nieomieszkalem należnym datkiem opatrzyć ich skarbony.

Okrutny klimat egipski, mocniejszy widąc wpływ jeszcze wywiera na tych zakonników, jak na inną ludność swobodniej żyjącą. Uważałem, że wielu z nich było pozbawionych oka. Samotne i dalekie zamknięcie, tak ich odzieliło od ludzi, że po bliższym zapoznaniu się z nami, zarzucali nas mnóstwem pytań o życiu naszym, o europejskich zwyczajach, o tém, czy księgi nasze nie piszą, kiedy Koptowie wydostaną się zpod jarzma Muzułmanów i t. p. Powiadali nam, że w swoich księgach wyczytali, że jakiś Mahomet-Ali będzie powołany do panowania w Egipcie. Jeśli mniemanie to rozszerzone było między wszystkimi Koptami, Basza zapewne wcale go nie wstrzymywał.





Papugi

PAPUGI.

Papugi (Psittacus. Linn.) tyle mają osobliwości w swojej budowie i obyczajach, że niektórzy naturaliści nie wahali się przypisać im wielkiego podobieństwa do małp. Zoologiczną ich cechę stanowią: dziób krótki, gruby, nadęty, nadzwyczaj twardy i silny, z boków ściśniony, z dołu i z góry wypukły, zgięty od samej nasady, mocno zakrzywiony i mniej więcej ostro i haczykowato zakończony; przy nasadzie pokryty woskową; dolna szczeka krótka, tępa, przy końcu podgięta, często zużyta, i w tym razie przedstawia dwa mniej więcej wydłużone końce; nozdrza przerzynające woskową, są otwarte, okrągławe; nogi krótkie, mocne, nad stopą spłaszczone; palców cztery; z tych dwa naprzód obrócone, przy nasadzie spojone błoną, dwa zaś tylne zupełnie wolne. Z tego ułożenia palców odnoszą papugi do rzędu ptaków *łazących* (sconsores), wspólnie z naszymi dziećmi. Skrzydła ich są średniej wielkości, lecz silne; pierwsze trzy lotki prawie równe, lub też nieznacznie stopniowane. Głowa zazwyczaj wielka, okrągła, policzki u niektórych są płaskie i prawie nagie, u większej jednak części upierzone. Niektóre na głowie mają czub, utworzony z pięknych, często różnokolorowych piór, który mogą dobrowolnie podnosić w górę i opuszczać na dół. Ogon bywa różnej długości. Na szczególną uwagę zasługuje ich język: jest on gruby, mięsisty i miękki, i nadzwyczaj giętki; pokrywa go cieniutka w liczne nerwy obfita skóreczka; zdaje się przeto, że język ich, podobnie jak u zwierząt ssących jest organem smakowania; jego zaś miękkość i giętkość objaśnia nam większą niż u innych ptaków możliwość członkowania głosu, a zarazem i naśladowania ludzkiej mowy, w czem także wiele im pomaga szczególna budowa krtani.

Papugi zamieszkują jedynie strefę gorącą, po większej części podzwrotnikową, wszystkich części świata. A jako mieszkające gorących podniebiów, w swoim ubarwieniu są bardzo rozmaite, i po większej części nader strojne.

Z natury swej przeznaczone są żywić się pokarmami roślinnymi, a w szczególności owocem

i ziarnem, czasami tylko nektarem z kwiatów. Natura nie skąpiła w ich ojczyźnie tych darów przyrodzenia, stąd też ptaki te nie mają zwyczajem, jak krwiożercze orły i sokoly, łać się samotnie, lecz garną się w liczne gromady, w wesołe towarzystwa, które prawie nigdy rodzinnego miejsca nie opuszczają. Skompletowane jednak towarzystwo rzadko przyjmuje nowych przybylszy, chociażby te należały do bardzo pokrewnego gatunku. Ta skłonność do życia towarzyskiego, zdaje się wywierać znaczny wpływ na obyczaje i charakter tych ptaków; ona zmniejsza im dotkliwość jarmuza, gdy je przyswajają wypada: widziano wiele gatunków, nawet starych papug, jak świeżo złowione, wkrótce stosowały się do swego nowego położenia, i brały pokarm z ręki żywiciela, którego w kilka dni już nawet z wdzięcznością witały. W lasach, które są najulubieńszem ich siedliskiem, licznie zebrane stada papug, zrządzają niezmiernie szkody: gdyż niweczą ogromne masy owoców, nietyle jednak dla swego wyżywienia, ile dla dogodzenia dziwnej manii niszczenia. Zauważano, iż papugi oddane pewnej swobodzie, dwadzieścia razy więcej psuły pożywienia, niż rzeczywiście go spożyte. Niektóre ich gatunki budują gniazda na szczytach wyniosłych drzew, tworząc je bardzo sztucznie i trwale, z chrustu i delikatnych gałązek; większa jednak liczba gnieździ się w dziuplach drzew, w których zbudowane z delikatnych korzonków i ździebelek gniazda własnym puchem starannie wyściełają.

Samica składa w nie od dwóch do czterech, prawie zupełnie białych jaj, które następnie wysiaduje z wielką stałością, a podczas tego samiec, przeziadający zwykle w bliskości swej towarzyski, dokłada wszelkich starań by jej na niczem nie zbywało. W dzikim stanie, papugi, jak powiedzieliśmy, żywią się owocami: zręczność, z jaką wyłuskują, np. migdały i inne niekiedy bardzo twarde pestki, zasługuje na podziwienie. W niewoli zaś nie pogardzają żadnym rodzajem pokarmu, nawet do mięsa prędko nawykają, i z czasem tak chciwie stają się tego rodzaju pokarmu, że w jego bra-

ku pióra sobie wyrwyją, i takowe wysysają. Znakomity naturalista Latreille posiadał papugę, która się całkowicie była z piór oskubała, i w tym stanie dość długą i mroźną zimę przeżyła. Wreszcie Vieillot tłumaczy to oskubanie się z piór, jako skutek jakiegoś nieprzyjemnego swędzenia skóry, który u tych ptaków, zdaniem jego, ma się przytrafić. Jakkolwiek papugi, w stanie niewoli, do wszystkich pokarmów nawykają, niektóre wszakże, na pozór niewinne, stają się dla nich śmiertelną trucizną. Zauważano np., że pietruszka dla nich jest zabójczą.

Chociaż wprawdzie z łatwością papugi dają się oswoić, zawsze jednak pozostaje w nich dużo wrodzonego charakteru dzikiego, złośliwego, a nade wszystko, że się nie pozbawia nigdy swęj przykręj krzykliwości. W rodzinnych krajach, gdy przed zachodem słońca przyciągną w jaką okolicę na nocleg, nim na spoczynek zasiądą, zdala tym przeraźliwym krzykiem słysząc się dają, i podobnym chórem niejednokrotnie w nocy się odzywają, skoro im najnniejszy szelesteś sen przerywa. Przejornici koloniści korzystają z tego zapowiedzenia nieproszonych gości, i wcześniej przedsięwzięć biorą środki, by je odpędzić od swych pól i ogrodów, w których zwykły zrządzać niezmiernie zniszczenie. Zrana budzą się one przed ukazaniem zorzy, nierównie wcześniej od innych ptaków, i wnet rozdzielwszy się na kilka oddziałów, ciągną w najżyźniejsze okolice. Najlepiej lubią odwiedzać ogrody pomarańczowe, plantacje bananów i pola obsiane kukurydzą. Zbliżając się do tych miejsc, zazwyczaj cichutko się zachowują, by nie zwrócić na się uwagi właściciela, i dla bezpieczeństwa, naksztalt wielu innych więcej przemysłnych szkodników, roztawiają czaty. Jednakże pomimo tej ostrożności, dość łatwo złowić się dają. Na ten koniec, stawiają mały z palmowych liści szalas, umieszczają pod nim oswojoną papugę, i sami ukrywają się w szalasie z siećmi, oczekują na zdobycz. Skoro owa papuga, swym krzykiem znęci swoje dzikie towarzyszy, i te ją w znacznej liczbie obsiadą, łowiec wypada z szalasą i rzuca na nie sić, co mu się bardzo szczęśliwie udaje, i połów bywa sowity. W Ameryce południowej, w Indyach Wschodnich i Afryce, mięso ich jadają, które szczególnie u młodych ma być bardzo delikatne i smaczne.

Do Europy przywożone papugi, pochodzą po większej części z Ameryki; Afrykańskie bowiem i Azjatyckie są bardzo delikatne, i rzadko kiedy morską podróż wytrzymać mogą. Chowają je u nas gźdzeniedzie dla osobliwości. Każdemu mniej więcej wiadomo, że papugi zdolne są do przyjęcia pewnej edukacyi, i że nawet gadać wycuczają się; to jest: mogą powtórzyć dość długi szereg wyrazów; lecz to ich paplanie nigdy nie może pójść w porównanie z rozumną mową ludzką, albowiem ono jest jedynie skutkiem sztucznej zmiany głosu lub śpiewu, do której te ptaki nawykają, jeżeli ich ucho przez czas długi mordowane jest temiż samemi dźwiękami. Tę władzę naśladowania ludzkiego głosu posiadają i niektóre inne ptaki, jak np. sroki i szpaki, lecz papugi nierównie w wyższym od nich stopniu. Myśli wszakże w tém paplaniu, względnie do ptaka, niema żadnej, gdyż bardzo często, w największym gniewie, rozszalszoną papugę, można słyszeć powtarzającą: „mój kochany przyjacielu, . . . moja droga pani. . .” i wiele innych podobnych zdań, których ograniczona ich zdolność nie może rozsądnie do okoliczności zastosować. Lecz te, w zwykłym spokojnym stanie, powtarzane przez nie zdania, częstokroć są bardzo do rzeczy, albowiem są to większej części odpowiedzi na pytania, których kółko wreszcie bardzo ograniczone. Ztądto papuzie gadanie poszło u nas w przysłowie, mówimy: *powtarza jak papuga*.

Papugi zabawne są nie tylko ze swego paplania; wycuczają się one różnych sztucznych obrotów, jak np. leżeć na grzbiecie, dopóki nie da się im umówionego znaku, musztrowania się z kijkiem i t. p. Wreszcie bawi ich dziwny chód po ziemi, przy czém dopomagają sobie dziobem, i jeszcze więcej ta osobliwość, że nogą pokarm sobie do pyska podają, która to własność rzeczywiście przypomina małpy, a tém dziwniejszą jest, że żaden inny ptak jej nie posiada. Lecz nie wszystkie gatunki z jednaka łatwością przyjmują edukację. Najlepsze pod tym względem są papugi szare i amazonki. Gdy podczas nauki okazują upór, zmusza się je do posłuszeństwa zanurzaniem głowy w zimną wodę, czego się niezmiernie obawiają, lub też podkurzają je dymem tytoniowym.

Dawniej mniemano, że papugi zostając w niewoli, tracą władzę rozmnażania się; lecz później

przekonano się, iż to zdanie było fałszywem. Jednakowoż liczba gatunków, które w Europie jaja znosiły, i z nich młode wysiadywały, jest bardzo małą. Zdaje się, iż Ary błękitne, ze wszystkich najłatwiej w Europie mnożyć się mogą. Lecz w ogólności pielęgnowanie młodych wymaga wiele starań i cierpliwości. Papugi żyją bardzo długo, od 80 do 100 lat. Są przykłady, iż pojedyncze indywidua przeżyły całe trzy pokolenia familij, pod których opieką zostawały.

Niezmierna mnogość gatunków papug, dała powód nowszemu ornitologom do rozrobnienia pierwotnie przez Linneusza przyjętego rodzaju *Psittacus* na kilka oddzielnych grup, już to za osobne rodzaje, już za podrodzaje uważanych. Tak np. Cuvier, idąc mniej więcej za Vaillant'em, rozdziela familiję papug na dziewięć następnych grup:

1. *Ary* (Ara, Kuhl, Cuv.) odznaczają się policzkami nagimi, bardzo strojnym ubarwieniem, ogonem długim, spiczastym, i mocnym dziobem. Tu należą wielkie amerykańskie gatunki, które bardzo często do Europy przywożone bywają.

2. *Okularki* (Perruches, Aras, Cuv.) mają obwód oczu nagi; ogon również jak poprzedzające długie; żyją także w Ameryce.

3. *Strzałkówki* (Perruches à queue en flèche, Cuv.); *Paleornis* i *Trichoglossus*, *Vigors* et *Horsf.* mają dwa środkowe pióra w ogonie, znacznie dłuższe od innych.

4. *Łopatkiczki* (Perruches à queue élargie vers le bout, Cuv.). Ogon długie, ku końcowi łopatkowato-rozszerzony.

5. *Naściolki* (Perruches ordinaires, Cuv.; *Platyvercus*, *Vig.* et *Horsf.*) Ogon długie, z piór jednostajnie dachówkowato ułożonych.

6. *Czubatki* czyli *Kakadu* (*Cacatoes*, Cuv.; *Ptyctolophus*, Vieillot; *Calyptorhynchus*, *Vig.* et *Horsf.*) opatrzone mniej więcej ruchomym czubem na głowie.

7. *Papugi właściwe* (*Perroquet*, Cuv.) odznaczają się ogonem bardzo krótkim, bez żadnej ozdoby na głowie.

8. *Trąbki* (*Perroquet à trompe*, Vaill. Cuv.; *Microglossus*, Vieillot). Ogon mają krótkie, kwadratowe; z czubka, z długich szczyplych piórek złożonego podobne są do Czubatek, z nagich zaś policzków do Ar; lecz głównie je odznacza język długi naksztalt trąbki, wysuwahym wyrostkiem zakończony.

9. *Ziemianki* (*Perruches ingambes*, Cuv.; *Pezoporus*, Illig); dziób daleko słabszy niż u poprzedzających, pięta wynioslejsza, pazury mniej zakrzywione; chodzą zwykle po ziemi.

Na przyłączonej tu tablicy wyobrażone są: jeden z ciekawszych przedstawicieli grupy Czubatek, i dwie z grupy Strzałkówek.

Fig. 1. *Czubatka pyszna*. (*Ptyctolophus leadbeateri*, Vigors), odznacza się czubem z piór długich i spiczastych, oznaczonych szkarłatnym, żółtym i białym kolorem; czub ten bardzo ruchomy, i ptak do swej woli składa go i rozkłada, naksztalt wachlarza. Dziób ma bardzo niebieskawy, a wierzchnia jego połowa z każdej strony, dość wyraźnym rogowym zębem uzbrojona. Przednia część głowy, i w ogóle ciało, pokryte piórami białymi, wpadającymi w czerwony; skrzydła zaś karmazynowo upstrzone, nogi i palce szaro-niebieskawe. Ojczyzną tego ptaka jest Australia; pierwszy jego exemplarz znaleziono w zbiorze p. Leadbeater, a część którego Vigors nadał mu gatunkowe nazwisko. *Caley* w swych notatkach czyni wzmiankę, iż ptak ten, w swej ojczyźnie, nazywany jest *Car-awoj* i *Cur-iang*, i że często widziany bywa w wielkich stadach; przy spotkaniu się rzek *Grose* i *Hawkesbury*, jako też na łakach przyległych rzecze *Vepean*. Ma być nader bojaźliwy, i z trudnością daje się podejść. Mięso młodych ma być bardzo smaczne. Gnieździć się ma w dziuplach drzew, gdzie składa najwięcej po dwa jednokolorowych białych jaj.

Fig. 2. *Strzałkówka zielona* (*Palaeornis barrabandi*, Vig.; *Psittacus barrabandi*, Swains). Zamieszkuje także Nową Holandję, lecz co się tyczy jej sposobu życia, ten nam bardzo mało znany. Całkowita jej długość wynosi 15 cali, z których na sam ogon $8\frac{3}{4}$ wypada. Pierwszy Swainson opisał ją z wypchanego okazu, znajdującego się w zbiorze tegoż p. Leadbeater. Żywego zaś ptaka tego dotąd w Europie nie widziano.

Fig. 3. *Strzałkówka niebiesko-brzucha* (*Trichoglossus Swainsoni*, Vig.; *Psittacus haematodus* v. *cyanocephalus*, v. *moluccanus*, v. *cyanogaster*, Auct.) jest jedna z najpospolitszych tej grupy papug w Nowej Holandji. Wszędzie gdzie rośnie *Rozdręb* (*Eucalyptus*) ptaki te spotykać można w licznych stadach, a to z powodu, że one żywią się prawie wyłącznie nektarem z miodników kwiatu tej rośliny, obficie wydzielającym się. Do tego

dopomaga im szczególniej budowy język. W niewoli nie można przyzwyczaić ich do innego pokarmu, a przeto i długo utrzymać niepodobna; wkrótce bowiem podlegają kurezom i obumierają. Pierwotni mieszkańcy Nowej Holandyi gatunek ten zowią *War-in*, koloniści zaś *górą niebieską pa-*

pugą. Z przyczyny delikatnego mięsa, bardzo jest tam poszukiwaną, i w wielkiej ilości zabijaną.

Długość jej wynosi 12 cali, z których 6 na sam ogon przypada.

A.

LA MAYRENA DE CHICLANA

CZYLI

ODPUST W CHICLANA.

USTĘP Z CZĘŚCI JESZCZE NIEWYDANEJ

Wspomnień z podróży Dra Tripplina.

Od kilku tygodni już o niczem nie mówiono w Kadyxie, jak o świetnym odpuscie, który corocznie ściaga do Chiclana tysiące ludzi wszelkich klas społeczeństwa z najodleglejszych stron królestwa, a nawet i okolicznych krajów. W hotelach, kawiarniach, na przechadzkach publicznych, w salonach arystokracji pieniądze i urodzenia, w kościołach nawet, nazwisko Chiclana było w ustach wszystkich. Hiszpania jest jeszcze jednym z tych krajów, w których i najboleśniejsze wypadki polityczne nie zdołały przytłumić wrodzonego ludzom pociągu do zabaw; jednym z tych krajów, w których istnieją po dziś dzień zabawy publiczne, wabiące zarówno i księcia i żebraka, i księdza i rozkosznika, dewotkę i manolę.

Zapewne wiadomo czytelnikom, bo o tém w swych wiekopomnych i wiarogodnych dziełach wielki Alexander Dumas pisał, że Chiclana jest ojczyzną Monteza, sławnego matadora byków; ale zapewne nie wiadomo, bo o tém Alexander Dumas jeszcze nie miał czasu pisać, że w Chiclanie znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej, który podobnie jak nasz obraz Najświętszej Panny Maryi Jasnogórskiej, zstąpieniem swém z nieba (jak powiadają podania) uratował, cztery wieki temu, miasto zagrożone przez hordy barbarzyńców maurytańskich. Tak wielka odwaga wstąpiła za zjawieniem się cudownego obrazu w serca poddających

się już obywateli Chiclany, że poprzysięgli raczej zginąć, niż żyć pod panowaniem nieprzyjaciół chrześcijaństwa. I zginęli istotnie prawie wszyscy w bitwie, która zaraz nastąpiła, a nieprzyjacieli nie wiedząc o tém, nie odważył się przypuścić drugiego szturm i odcignął. Zginęli prawie wszyscy, ale synowie tych bohaterskich ojców, przedłużyli byt ich i pamięć w długie życie, bo piękne czyny, wielkie ofiary i poświęcenia, nie giną, nie przemijają.

Wypadki te miały miejsce cztery wieki temu, jak mówiłem, w połowie miesiąca maja, i od tego czasu wdzięczne miasto, okolica, wielka część królestwa Andaluzji i Grenady, obchodzą rocznicę niepokonanego tryumfu wiary nad przemocą.

I ja się wybierałem na sławny odpust, szczęśliwy, że oddając hołd Matce Boskiej, będę miał sposobność poznania synów i córek wesołej Andaluzji, skupionych w jednym miejscu, i w zupełnej, świątecznej okazałości. Mieszkalem w hotelu bardzo porządnym, w którym tylko gości na dłuższy czas do Kadyxu przybyłych, za szczególnymi rekomendacjami przyjmują. Było nas wtedy sześciu młodych ludzi, z sześciu różnych krajów; ale żyliśmy tak ściśle z sobą, jak tylko można żyć, kiedy się jest młodym, ciekawym i wesołym, i kiedy od kilku tygodni podróżuje się razem. Jeden dla drugiego stał się niezbędnym. Organizatorem zabaw

i wycieczek był pan Everard, młody, majątny Irlandczyk, który przybył do Kadyxu dla zaślubienia jednej z najpiękniejszych dziewcząt Andaluzji. Mentorem był jego przyjaciel, Anglik, porucznik marynarki angielskiej. Oryginałem był Dr Lange, uczony niemiecki, wysłany przez profesora Schönleina, na zbieranie wszystkich obywateli morza i ziemi, których można spilką przekuć, wypchać lub w spirytusie konserwować. Orfeuszem był Don Ramon Z., młody syn niepokonanej Kantabrii, z powołania swego uczeń medycyny; ale go nie gnębiła zbytnia uczoność, ani chęć wygórowania w swym zawodzie; sam mówił, że w szkole przygotowałby lekarzy w Bilbao, nauczył się grać na gitarze, w fakultecie Salamanki śpiewać, w uniwersytecie madryckim komponować piosenki, i że teraz przybył do sławnych klinik Kadyxu, dla nauczania się kaciuci i fandango, dla uzupełnienia swego wychowania—bo, powiedział, za pomocą gry, tańca i śpiewu, lepszym będzie lekarzem niż owi uczeni myśliciele, zrywający siły swoje dla ulżenia cierpień ludziom, którzy ich nie oceniają. Istnym szatanem naszego towarzystwa był młody Don Juanito, alferez czyli chorąży dragonów hiszpańskich, wścieklej wesołości szalapat, co dla tego zdaje się żył, by płała figle tym, którzy je najmniej lubili. Lekarzem nareszcie towarzystwa, byłem ja sam, który o sobie nic powiedzieć nie mogę, tylko że mnie los przerzucił z brzegów Prosyny, Nidy i Wisły na brzegi Guadalkiwiru i oceanu, tak jak niegdyś rzucił synów Izraela z brzegów Jordanu na brzegi Wisły, Nidy i Prosyny.

Wyberamy się na Mayrenę wszyscy razem, nie w prozacyjnych formułkowych frakach i surdutach, tak źle odbijających przy malowniczym stroju andaluzkim, tylko także w spencerkach axamitnych wyszywanych, w pasach czerwonych i kapeluszach wysokich, spiczastych z szerokimi rondami. Zwyczaj to oddawna przyjęty u wszystkich podróżujących, że, aby lepiej dzielić huczne zabawy publiczne Hiszpanów, ubierają się tak jak i oni, to nawet daje pewne przywileje cudzoziemcowi. Manola najuboższa i najbrzydsza, nie przyjęłaby towarzystwa w fraku lub surducie występującego kawalera; gdy tymczasem najmłodniejsze damy hiszpańskie, pozwolą na zaszczyt towarzystwa sobie, byleby być ubranym jako majos, to jest jako kawaler hiszpański. To nas właśnie skłoniło do przy-

jęcia cudzoziemskiego stroju; dużym wydatkiem trzeba było to opłacić.

Alę już bramy Kadyxu otwarte, piąta godzina bije, całe miasto ożywione, ulice zaludnione kawkadami pieszczemi, i gdzie indziej kolasami do lektyk podobnymi. Wesoły gwar rozlega się wszędzie, przyprowadzają nam konie w piękne czapraiki i haftowane lejce ozdobne. Rozjeżdżamy się po nasze damy, wsiadają już na muły, obwieszzone pomponami i srebrnemi dzwonkami. Duennie, te argusy kobiece, tak niewygodne, włączają na osielki i biegną za nami wrzeszcząc: wolno, wolno! — a przy każdym zakręcie ulicy, popędzają swe osły nielitościwem biciem, krzycząc jeszcze lepiej.

Zebrałiśmy się nareszcie wszyscy przed okazałą bramą Trocadero. Szósta godzina bije. Summa w Chiclana o dziewiątej, a do Chiclana jeszcze pół trzeciej mili polskiej. Spieszymy na mszę świętą,— nie krzyczcie Duennie!

Patrząc na tych Andaluzów brunatnej cery, żywych ocz i lekkich jak u jeleni nóg! Jaka radość, wesołość w ich twarzy, przytém jakie zaniedbanie junackie, przypominające bursa akademickiego; istny obraz próżności, skutek niczém niezamąconego szczęścia! A jak mało mu do tego potrzeba. Byleby miał promień słońca i cygarettów podostatkiem, byleby mógł wytanńczyć się i wyspiewać do woli, co go obchodzi świat? On nie jest ani Hiszpanem ani obywatelem, ani żołnierzem, ani nawet chrześcianinem, on jest synem Andaluzji, to jest Maurem w nowoczesnej sukni, poetą, marzyicielem; kocha rozkosze aż do szaleństwa, żywi się miłością i wonią kwiatów. Katolicyzm jest dla niego grą fantastyczną, czarującą go i podnoszącą jego uczucia, dopóki zostaje pod wpływem bezpośrednim jego głęboko przenikających obrządków, ale zresztą, raz wyszedłszy z kościoła, już nie wie co jest religia, nuci sobie kaciucię i myśli o swęj kochance!

A Andaluzka! jakże tęskne jęj oczy, jak wymowny, ponętny, pragnący ich wyraz, a zarazem jak ogniste i rozkazujące te spojżenia! Jak są powabne w swych czarnych czerwono podszytych mantylkach, w owych różowych baskinkach, czarną delikatną koronką obszytych! Zpod tych baskinków wyglądają w płyciutenkich trzewieczkach dwie nóżki, drobne, okrągłe, zgrabne, co cię zachwycą, zdumieją. I one lubią zabawy, swobodę, tańce,

śpiewy; z pierwszego wejrzenia możnaby je posądzić o płochość, ale bliżej dostrzeżesz, jak wiele jest pomiędzy niemi dźwięk szlachetnych, co nie rozrzucają swych uczuć, nie rozdrabniają kokieterią, ubieganiem się za chwilową radością, przechodniem szczęściem. Instynktem jakimś wiedzioną, umie wabna Andaluzka przeniknąć wartość uczucia miłości, ceni świętość jego, jak świętość religii. W sercu Hiszpanki miłość jest tak ściśle skojarzoną z religią, że jedno uzacnia drugie, i że za sponiewieraniem jednego, drugie wędnieje, małe, niknie.

Ala już przebyliśmy długi język piaszczysty, łączący Kadyx ze stałym lądem. Jesteśmy na połowie drogi, w mieście Illa de Leon. Wieleby można powiedzieć o tém mieście, w którym niedgdy rozpoczęła się rewolucya, za pomocą Francuzów tak krwawo ugaszona, ale nie teraz; my dziś chcemy się bawić, tak jak i inni; zakopmy głęboko te wszystkie wspomnienia, choćby tylko na dzień jeden.

Wynoszą nam śniadanie nasze, szklankę limonady, którą Irlandczyk kazał dobrze przyprawić szampanem, szczególnie dla Duenniek. Piją dobrze: rozochocą się przecież; dajcież się bawić młodzieży, wy stare argusy! i wy byliście kiedyś młode, i wiecie jak to predko przemija ten wiek złoty, którego wspomnieniami trzeba żyć tak długo.

Gwardya narodowa miasta Illa de Leon wyrusza do Chiclana dla oddania holdów wojskowych Matce Boskiej; pięknie to przybrany oddział piechoty, uzbrojony w karabiny z bagnietami. Już idą w marsz, ale nie piechotą tylko na mulach i osielkach i pod deszczochronami. Poeciwi obywatele, zaccni ojcowie, rzetelni kupcy, doskonali mężowie i czuli synowie, nie chcą się męczyć w pełnieniu swych obowiązków dobrowolnie przyjętych.

Ustaly nareszcie te przebrzydłe piaski. Kraj się rozwija piękny przed nami. Miesiąc maj w Andaluzyi! Niech każdy Stwórcy dziękuje, kto go raz w swém życiu widział. Jaka obfitość, świeżość, barwa i życie w tej vegetacyi tak różnorodnej i różnokolorowej. Wszystko tu rośnie, rozwija się, kwitnie i dojrzewa odrazu, częstokroć nawet na jednym drzewie, jak na pomarańczy lub cytrynie. Złociste kłosa pszenicy same się chylą, już sierpa żądają, a cała atmosfera pała wonią tysiąca kwiatów.

Ala wkrótce, za kilka już tygodni przekwitniesz luba wiosno! Słońce zwarzy twe kwiaty, subtelny pył pokryje twe zielone liście, tumany kurzawy wzbiją się w powietrzu i zaduszą woń twoją! nie się nie zostanie prócz pewności, że na przyszły rok przybrzyjesz równie piękna i świetna szatę! Nie tak z wiosną życia naszego!

Biją z moździerzy w Chiclania, i wszystkie dzwony w harmonijnym rytmie rozsyłają swój wdzięk uroczy, poważny, na wszystkie kraniec wiodkregu. Huczą echem ogromne ściany gór Alamilly, jęczą szumne wały oceanu, wszystko wzywa do korzenia się przed majestatem Boga; i nagle ustają i śmiechy i żarty, spadają kapelusze, każdy staje jak wryty na miejscu, w którym doszła go wiadomość, że „słowo stało się ciałem, i że będzie mieszkać między nami.” Chwilo uroczysta! tryumfie katolicyzmu, czemuż nie trwasz wiecznie? czemuż nie trwasz dłużej jak przez czas trzech Zdrowaś Marya i jednego przeżegnania? Znikasz zawczasie, nie zostawiając może śladu, jak w pamięci i sercu tego, który już wiele wycierpiał, i wszystkie swe cierpienia odnosił do Boga!

Przybywamy do Chiclany, usiłujemy wejść do kościoła, ale nadaremnie. Nietylko kościół ale i cmentarz, ulica nawet napelniona była kłęczącymi pokornie ludźmi wszelkich stanów, płci i pokoleń. Obok mnicha kłęczał żołnierz, obok margrabiego żebrak, obok wielkiej pani cyganka: wszystko się zrównało i zjednoczyło przed Bogiem!

Podczas wspaniałej processyi wyprowadzono cudowny obraz Matki Boskiej na tryumfalnym ołtarzu. Ołtarz ten cały z srebra, ozdobiony płaskorzeźbami i posągami szczerzołotemi, stał na kołach zasłoniętych zewsząd kobiercami, najeżonemi złotem i perłami. Czterech ludzi, których także nie widziano, popychało go z wewnątrz. Sam obraz prze cudowny pędzła (podanie mówi, że Boskiego), nie był pokrytym owemi blachami metalowemi, którym u nas zdobia obrazy świętych. Na wzór Matki Boskiej Częstochowskiej, i według słów wzniosłej pieśni „Czarna jestem, ale miła, o wy córki Jerozolimy,” obraz Panny Maryi z Chiclana, przedstawiał ją z twarzą koloru ciemno-oliwkowego, ale wyraz tej twarzy był uroczystym, boskim. Pana Jezusa nie trzymała przy piersiach, lecz wzniesionego w powietrzu, nad prawe ramie;

oczy miała zwrócone na widza, zdawała się przemawiać: „To wasz Pan, tego bróńcie do ostatniej kropli krwi waszej.”

Umię głęboko przemówić do serca ludzkiego obraz ten; nie wiem czy wyszedł z pod pędzla Boskiego, ale że wyszedł z jego natchnienia, o tém już nie wątpię.

Skończyła się uroczystość religijna, ustał śpiew święty, ostatni huk działa odbił się o góry i dźwięczeń przestało głosem dzwonów poruszone powietrze; teraz wszystko wraca do wesołości i zabawy, jakby jedną iskrą elektryczną tknięte. Trzydziestu tysięcy ludności, skupionej przed progami kościoła, porusza się nagle z niesłychanym gwarem i rozpada w tysiączne grupy i jednostki. Teraz prosi się przypatrzeć zwirowi składającym tę pstrącałość. Żołnierze i mnichy, szlachta i dorobkowie, mieszczanie i chłopci, karczarze i kuglarze, szachraje i rabusie, Angielki i cyganki, dewotki i manole, wróżki i gryzетки, alguazile i muszary, kontrabandziści i celnicy, majtkowie i rolnicy, maurowie i żydzi, bandyci, których nie brakło, jak się przekonamy; oto tylko część, mała część zwirowów naszego towarzystwa.

Ale czemuż tak wszyscy weseli, tak szczęśliwi? Ponieważ każdy stan, najuboższy i najbogatszy, ma udział w zabawie, w ogólnej radości, w wspólnych przyjemnościach. Wykluczonym nie jest nawet i żebrak, przynajmniej on wie, że nie nie straci, tylko to co z obcej wyjdzie kieszeni! Żebrak hiszpański nie potrzebuje jęczeć i lamentować, jak nasz, żeby zmiękczyć serce; nie! on żebrze z gracyą i powagą nawet, ale zabrawszy tyle ile mu potrzeba do przepędzenia dnia, już nie żebrze więcéj, i idzie bawić się z temi od których wyzbrał.

Fale tego żywego morza unosiły nas na obszerne rynek, gdzie stoją szalaszy, szalasiki, namioty i budy z najrozmaitszymi rzeczami dla zaspokojenia wszystkich potrzeb i gustów. Tu dla zepsutego dziecka bogactw i przepychu, są najdelikatniejsze cukierki, sorbety, essencje, marcypany, perfumy z Arabii, kobierce z Damasku i szale z Kaszemiru. Tu dla ludu są tańce, skoczki, maryonetki, to co mu najmilsze; a dla zaspokojenia jego mało wymagającego apetytu są pierniki, ciastka migdallowe, słodczyce afrykańskie, pachnące daktyle, figi i tym podobne rzeczy mało kosztujące.

Tutaj, pod wielkim namiotem suto przybranym chorągwiemi wszystkich narodów, Genuenczyk założył pyszną restauracyę. Za cztery złote polskie można tu dostać obiad godny Lukullusa, z winem xeres, malaga i alicante à discretion. Tam znów, pod cieniem galezi w nadobnym szalasie stoi w kwiaty przybrana, i wyjątkowo w czystych sukniach, czarno-brewa cyganka i zaleca swe paszteciki. Inny cyganek roznosi je w koszyku, i spotkawszy dzieci jakie włokące się za rodzicami, bije je i krzyczy: „Llora por bolos, ijo de puta!” (placz o paszteciki bębnie!). Dziecko płacze z bólu i krzyczy o paszteciki; mamunia je kupuje, i cygan wygrał.

Tu nas zaprasza grzecznie grenadeńska dziewczyna, otoczona jak Pomona, najpiękniejszymi owocami.

Ów człowiek siedzący na piętach, z głową brązową w biały zawój zanuzoną, z burnusem w najżywsze kolory wyszytym, jest Maur z Tafiletu. Na wielkiej tacy z liścia palmowego, trzyma daktyl z Barbary i zachwala je andaluzkim dziewczynom, mówiąc: „Piękne córki szczęśliwej Hiszpanii! Mahomet tak pięknych w swym seraju nie miał; kupcie od biednego Maura owoce afrykańskie.” I kupują Andaluzyki; wszystkie córki Ewy lubią pochlebstwa.

Ale gdzie idziemy, aby czas do wieczora przepędzić wesoło? do marynetek, na sztuki kuglarzkie, gimnastyczne, czy téż do teatru, w którym Hiszpanie, niepomni sławy swych dawnych dramatyków, nie przedstawiają sztuk oryginalnych Calderona i Lopez-de-Vega, lecz mdle tłumaczenia sztuk francuzkich.

Nie! dość téj francuzczyzny; nie chodźmy do teatru, tylko do cyrku.

Znany jest światu cyrk w Chiclana, jeden z najpięrszych w Hiszpanii. Wszakżeż w Chiclana rodził się ów Achilles Tauromański, wielki Montes, który w panu Alexandre Dumas znalazł swego Homera. Montes jest właśnie w swém mieście rodzinném: korzystajmy z zapalem ze sposobności podziwiania nieśmiertelnego Matadora.

Niech się czytelnik nie obawia; nie będziemy go częstowali nowym opisem walki byków z Hiszpanami. Wiemy że pan Dumas aż nadto przesylił niemi Europe.

Opiszemy tylko to, czego jeszcze nie widział, lub czego nie zmyślił, co na jedno wychodzi.

W cyrku znalazło wygodne miejsce do 6,000 ludzi, i to jeszcze nie wystarczało publiczności; pomimo bowiem podwyższonej ceny, połowa zaledwie ciekawych wejść mogła. Nie opadał od naszej łoży był balkon zajęty przez los Mozos, tojest młodych ludzi, akademików, oficerów, poczynających literatów, aktorów, buchalterów kupieckich, słowem przez ludzi dających ton młodzieży i przyswajających sobie w podobnych okolicznościach prawo kierowania opinią publiczną, sądzenia aktorów, a nawet i tyranizowania publiczności. Co tylko raziło uszy tego trybunału, było natychmiast wysnianem i skarconem bez litości. Godzinę jeszcze mieliśmy do rozpoczęcia widowiska. Powinnością trybunału było nas bawić. Długo czekał na dobrą sposobność, by wypłacić jakiego figla, lecz na próżno, w końcu dopiero się zjawiła. Drapie się na ławki cyrku jakaś dziwna istota, podobna do tych kolonistów niemieckich, lubiących osiadać w Polsce. Było rzeczywiście Niemiec, który przywędrował z Szlązka do Kadyxu dla sprzedania pończoch i nici, i miał odwagę wydać pieniądze na widowisko! rzecz zastanawiająca! Drapie się tedy na ławki owemi nam znanymi nogami przyklekającemi, ściśniętymi niebieską pończochą i czarną skórzaną spodnią. Zresztą nosił ów klasyczny kusy fraczek niemiecki. Znalazł miejsce, siada, wydobywa z futerału ogromne okulary, i siódła niemi nos odpowiedniej długości; poczem wspiera swą wystającą kościstą brodę systematycznie na galkę łaski, i patrzy się. Tego widoku trybunał nasz znieść nie mógł, i poradziwszy się pomiędzy sobą, odśpiewał w kadencyach, znanych już w całej Hiszpanii, i na podobną sposobność powszechnie przyjętych, następujący wyrok.

El con las gaffas
Que se las quite.

(Ten z okularami, niech je sobie zdejmie).

Słowa te ciągle powtarzane, najprzód przez trybunał, a potem przez publiczność i takt do nich biły kijem, nie wystraszył naszego Niemca z flegmy, nie wiedział bowiem, że do niego pito, nie znał języka hiszpańskiego. Nareszcie ktoś mu wskazał na okulary i oznajmił, o co idzie, gestami. Biedny Niemiec struchlał, zdjął okulary, schował do kieszeni drżąc ze strachu, i pokłonił się bardzo nisko pu-

bliczności; za to posłuszeństwo zaraz został uhaskawionym, innym wyrokiem także odśpiewanym a brzmiałym w ten sposób: „El sim las gaffas, que se las ponga.” (Ten bez okularów niech je sobie włoży). Uszczęśliwiony Niemiec kłania się jeszcze niżej. Teraz cały Szlązk wie jak się Hiszpanie z bykami biją, a to wszystko z łaski jego potulności; co dowodzi, że każda cnota znajdzie swój pożytek.

Nie koniec na tém; przejdźmy z Niemiec do Francyi.

Na jedną z ławek siedział z brodą wyszwarcowaną, przystojny Francuz, modnie przybrany w raitfrak, w jaskrawy Halsztuk, w jasną kamizelkę i w spodnie koloru piaskowego. Słowem, byłto jeden z owych kommiwojażerów francuzkich, przebiegających świat jak szarańcza, którzy gdy nie umieszczą dobrze swego artykułu w Hiszpanii, i gdy odbędą w niej jakąś niewygodną pamiątkę, powracają do Francyi, i piszą z niewymownym dowcipem o ubóstwie i braku w Hiszpanii, o zalotności, lekkości jej córek.

Nasz Francuz miał szczęście umieścić się około bardzo ładnej lecz skromnie przybranej Andaluzki. Z tej przyczyny wziął ją zapewne za gryztek. En vrai Français, nie umiejąc ani słowa po hiszpańsku, zaczął się zalecać sąsiadce bardzo przyjemnymi spojrzzeniami, czarującymi grymasami. Znalazłszy, albo też myśląc, że znalazł jakieś zachęcenie, zdjął z ręki rękawiczkę koloru masła, w myśl prowadzenia dalszej rozmowy na migi, tylko, zapewne nie chcąc ze zbytnej dyskrety przypuścić całej publiczności do rozmowy, zamiast gestykulować nad ławką, zaczął gestykulować pod ławką. Język ten nie przypadł do gustu młodej dziewczynie: wstała, odsunęła się z żywocią i miotła na sąsiada spojrzaniem, jakie tylko lwica lub Hiszpanka z swęj żrenicy wydobyć zdoła! Czuwał stooczny trybunał, i wydał następujący wyrok w srogich kadencyach odśpiewany:

„Que Don Futraque
Sus manos tienda.”

(Niech pan Futraque swe ręce wciągnie). Trzeba wiedzieć, że Hiszpanie nazywają Francuza, i we fraku chodzącego Hiszpana, panem Futraque, co może pochodzić z nadużywania przez Francuzów pewnego słowa, stanowiącego pierwszą sylabę wspomnianego przezwyka.

Francuz nie wiedział o co idzie, ale mu wytłumaczyli; zrazu zżymał się ze złości, ale spostrzegłszy, że tu żartów niema, udał, że bierze rzecz *en bonne partie*, i wyciągnął ręce, śmiejąc się z miną człowieka mającego w ustach dwie łyżki octu siedmiu złodziei. Śmiech ofiary był tylko słabym echem śmiechu całej publiczności; ale kto się śmiał najgłośniej? oto tuż pod Francuzem siedząca murzynka, *Aauna*, najbrzydsza z córek Senegalu, sławna z swjej brzydoty w całym Kadyxie, potwór z czołem jak tasiemka, i wargami ważącymi przynajmniej pół funta! Trybunał zawsze czuwał i wydał następujący wyrok:

„Y la Indyana
Que la de beso.”

„I niech Indyanka da mu całunek.”

Zrozumiała natychmiast Indyanka; rzuca się na Francuza, obejmuje go kościstymi ramionami, i całuje z całym wyteżeniem owemi tłustemi wargami; myśleliśmy że polknie biedaka. Kommiwojażer stracił równowagę, i wyciągnął nogi jak telegrafy w niebo.

Opisać co się działo z publicznością, to żadne pióro dokazać nie jest w stanie. Nie było śmiechy ale konwulsye, jęki, którym wtorował ryk do wściekłości przywiedzionych byków, zamkniętych w stajniach cyrku. Biję godzina trzecia i alguazile, przy szpadach z czerwoną pochwą, wstępują na scenę cyrku i proszą o spokojność. Otwierają się drzwi loży rządowej i jawi się Alcalde, Corregidor i całe Ajuntamiento. Rozpoczyna się widowisko. Ale czém? Jeszcze nie walką byków, na którą z napięta czekali ciekawością. Bynajmniej. — Czekala nas rzecz programem nie objęta, zupełnie niespodziewana; widowisko niezgęsto na teatrach przedstawiane: rewia wojskowa czyli rewia gwardyi narodowej, co może niezupełnie na jedno wychodzi.

Potomkowie dawnych obrońców Chiclany, sformowani w dwie kompanie gwardyi, chętni okazać światu, że nie są wyrodnymi synami przodków, wpadli na osobliwy pomysł zrobienia „una manifestacion de fuerza” to jest objawienie potęgi na arenie cyrku. Niewinny to pomysł, ale w Hiszpanii niewinność weszła w modę, od czasu kiedy niewinność nad nią panuje, a cnoty rządzących błogi przykład wywierają na naród.

Poprzedzone muzyką wojskową, przygrywającą hymn Riega, z lepszą chęcią jak harmonią, dwie kompanie za grenadyerów przebranych obywateli wstąpiły w arenę cyrku. Twarz ich przybrała na się przy tej okoliczności uroczystej, największą marsowość na jaką się tylko zdobyć mogła; na kaskietach dumnie powiewały wielkie kity z piór żółtych, z czerwonych, także na tę okoliczność sprawionych. Rozpoczęły się ewolucye i musztry dość dobrze wykonywane. Zachodzą kompaniami, odlamywano się w plutony, półplutony i sekcye, *zavijano* się w kolumny, w czworoboki, rozwijano w linię wcale chwalebnie; dawano ognia razem i rotami, słowem, tak dobrze udawano żołnierzy, jak na teatrze ich udać można. Publiczność nadzwyczajnie zadowolniona tak pięknymi rezultatami błogięj instytucyi żołnierzy-obywateli, biła w ręce krzycząc: „*Viven los heroicos Chiclaneros! viva la guardia nacional!*”

Któż mógł przewidzieć, o gwardyo narodowa! że bohaterstwo twe wkrótce na ciężkie będzie wystawione próby? że za chwilę miała zająć scena tak nadzwyczajna, że tylko Hiszpania, w smutnych czasach wojny domowej, mogła być jej widownią? Nie przerywajmy. Zabierano się do złożenia holdu władzom miejskim defiladą półplutonami. Już na boku uszykowana kolumna. Już bębny i muzyka w swém miejscu gra marsza, już komendant woła: batalion naprzód! krok zwyczajny! *mar...!* lecz ostatnie słówko słabnie i kona na jego wargach; noga lewa do wyciągnięcia gotowa wrasta w ziemię, twarz bliednieja, a oczy w ślup wlepiają się w jedną z łóż przyległych rządowej, do której właśnie wchodzi jakiś jegomość, z całą rodziną, z żoną, dziećmi i sługami.

Plutony nasładowując postawę komendanta, stają w miejscu jak wryte i bliednieją patrząc się w łóż.

Ale i Ajuntamiento zbladło, Alcalde truchleje, Corregidor zasepił się jak noc.

I trybunał zamilkł jednomyślnie.

Tylko publiczność przedstawia różny i rozmaity widok. Z wszystkich uczuć malujących się na jej twarzach, uczucie bojaźni i trwogi najmnieję było wydatnem, radość nią była raczej, radość z zadowolnionj ciekawości, skoro półgłosem rozeszły się słowa: Don Luiz de Castaneda.”

Tak jest, ten jegomość średniej tuszy, wzrostu i wieku średniego, z twarzą łagodną, lecz bystre

oczyma, nieróżniący się w ubraniu i układzie niczém od każdego innego obywatela, pocziwem ojca rodziny, był celem wszystkich spojrzeń, ogniskiem wszystkich uczuć, przyczyną trwogi jednego, radości drugich: było Don Luiz de Castaneda.

Ale patrz! jak bystro śledzące oko oprowadza spokojnie po całym cyrku, po gwardyi narodowej bardzo nieruchomej, po biednym Ajuntamencie; jak wstaje, i z królewską godnością rzecze, po pełnym szlachetności ukłonie do władz, gwardyi i publiczności: "No tengas Ustedes sociego." „Bądźcie państwo bez obawy."

Ah! teraz wiem; to jest król, to jest pretendent który zdołał uciec Francuzom i przybył do Chiłany, korzystać z zbiegowskiego włościan sprzyjających mu, i prawa swe do korony poprzeć.

Nie! to nie jest Don Carlos de Bourbon, lecz Don Luiz de Castaneda.

Ale kimże, i czemu jest Don Luiz de Castaneda? Czy to statua Kommandora? Czy to Piotr okrutny zmartwychwstały? Filip II wskrzeszony? lub inkwizycja niedobita i łeb swój wznosząca?

Spytaj się każdego dziecka, ono ci odpowie: Don Luiz znany jest od Ayamonte aż do Algeziras, na całym wybrzeżu oceanu i na wszystkich górach o dziesięć mil od niego odległych. Tu go zowią obrońcą kościołów, bo ich kilka obronił przed chciwością krystynosów. Tam znów protektorem wiary dlatego, że ratował mnichów i mniszki podczas przesładowania; inni nazywają go opatrznoscą podróżujących dlatego, że opłaciwszy się jego ajentom, można podróżować bezpiecznie po wszystkich górach i wąwozach, w razie potrzeby zawezwać pomocy jego urzędników. Inni znów nazywają go podporą handlu dlatego, że osłania kontrabandę, a pilnuje żeby się Anglię miernym zyskiem zadowalniał. Biedacy nazywają go ojcem, bo nim jest w istocie dla nich. Koczujący aktorowie, śpiewacy, baletnicy, poeci i malarze, zowią go synem Apollina dlatego, że w najgorszym razie, kiedy pracy niema, długi cisną, a głód dokucza, znajdują w jednej ze stu rezydentcyj Don Ludwika przytułek, wyżywienie i pracę. On sam bowiem lubi grać na gitarze i wiersze komponować. Pani Ludwikowa lubi śpiewać, a córeczki przepadają za fandangiem i bolerami. Dziwna rzecz, że pomimo tylu tytułów do szacunku publicznego, władze krajowe skazały Don Ludwika zaocznie,

na śmierć, przez powieszenie, i że naznaczyły 20,000 złotych ceny na głowę jego, na tę samą, którą dobrze wyczesaną, wymuskaną teraz jeszcze na barkach jego oglądamy.

Czemże zawinił na tak srogą karę protektor wiary, zbawca kościołów, opatrznosc podróżujących, brat Merkurego a syn Apollina? Oto jedynie tém, że jest po prostu bandytą, tak, bandytą, hersztem licznego towarzystwa, szeroko rozgążonego, odnogami swemi tajemnymi aż do władz prowincjonalnych, ministeryalnych nawet wkraczającego, a złożonego 1) z armii czynnej polowej, rozstawionej po górach, drogach, wąwozach, przesmykach, nad brzegami morza i rzek spławnych, zawsze gotowej do działania odpornego i zaczepnego; 2) z armii pomocniczej, rekrutującej się pomiędzy kontrabandzistami i wieśniakami w razie potrzeby; 3) z agentów tajnych wszelkich klas, wieków, plemi i pokoleń we wsiami i miastach.

Don Luiz panuje sobie w imieniu cnoty i sprawiedliwości, ale według własnego o nich pojęcia. Broni mnichów przesładowanych, ale sam ściga, przesładuje i z pieniędzy odbiera księży którzy uznali Donnę Izabellę. Ubogiemu daje, bogatemu odbiera. Podróżnego okupującego się agentom proteguje; podróżnego drwiącego z jego potęgi spotyka inny los; zatrzymanie, odarcie, a w razie oporu, śmierć.

Don Luiz zasłania przemytników, lecz nieubлагanym jest nieprzyjacielem celników i wojska. Biada celnikowi! biada żołnierzowi zbliżającemu się doń na przestrzeń w której dosięgnąć może kula jego sztućca, lub kulka fuzji jego żony; gdyż ta pani Ludwikowa, której biała rączka poprawia w tej chwili, z macierzyńską troskliwością, mantylkę na głowie córeczki, jest najlepszym strzelcem w całej bandzie swego męża. Przebrana po mężku, uzbrojona, nie odstępuje go ani na krok, dopóki tylko stan *interesujący*, w którym zwykła się znajdować często, nie wzbroni jęj przebiegać skał i gór piechotą, dosiadać żwawego rumaka i nosić ubiór mężki.

„Oh hermosa tiradora" (o piękna strzelczyni)! ręka twa więcę zniszczyła życia, aniżeli ty go wydałaś!—Takim jest Don Luiz i jego rodzina, których tylu widzimy przypatrujących się z uśmiechem defiladzie; ta bowiem poszła swoją drogą

lubo dość nieporządnie, skoro tylko ajuntamiento i komendant ochłonęli z odurzenia.

Władze postanowiły nie wiedzieć, że jest wilk w owczarni, udać, że go nie poznały. Rzecz niepojęta dla wszystkich może, prócz tych którzy jak ja byli świadkami mełade i scen nieodłącznych od wojny domowej, nurtującej w owych czasach niebezpieczną Hiszpanię, wojny niweczącej jej siły i paraliżującej działanie rządu.

Mianoż się rzucić na bandytę i związać go? Jeden ruch, jeden tylko krok, jeden gest, a sto osób pada z ręki stu bandytów rozsianych w cyrku pod różnemi postaciami. Gwardya narodowa zalegałaby trupami swemi arenę cyrku, nimby broń nabić zdołała. Ten sam sztylet, któryby przebił sąsiada, rzucony z miejsca, zadrażliłby ostrzem w sercu gwardzisty. A brakoż palnej broni pod temi długimi płaszczami? brakoż tu owych tromblonów, których jeden wystrzał razi dwudziestu?

Wiedział o tém Alcalde, wiedział jak okropną sprawdzić rzeź jeżeli się nie podda konieczności, i nie uzna potęgi wyklętego, skazanego bandyty. Ze względu na dobro publiczne, na całość swych dzieci, siedzących tuż pod panią Ludwikową, w której wachlarzu niezawodnie był ukryty sztylet, udał niewidomego, choć wiedział jak okropną na siebie ściągnie karę za to publiczne wyznanie niemocy swego rządu.

Wiedźmy, że nie blaha ciekawość ściągnęła tutaj, na publiczne widowisko, Dona Luiz de Castaneda. Poprzysiągł on zemstę Alcałdowi, za zanedo gorliwe wykonanie rozkazów rządu względem jego osoby, za zwalenie w Chiclana domu w którym się był rodził, za zrównanie go z ziemią, i powieszenie w obrazie, na szubienicy w tém miejscu wystawionej.

Poprzysiągł mu zemstę w tych słowach przybitych pugałem na drzwiach jego domu: „Powiesić cię ma własną ręką, byłoby dla mnie rzeczą zanedo łatwą; chcę żebyś był powieszonym przez tych którym z zbytnią służysz gorliwością, i mój zemsty dopnę.”

Aby dopiąć zemsty, Don Luiz korzystał z tej uroczystej sposobności, ściągnął na jeden punkt wszystkich swych podkomendnych, zbójców, kontrabandistów, cyganów, przebrał część ich za kupców, przekupników, majos, kawalerów, wieśniaków, żebraków; rozesłał na wszystkie drogi

spiegów, obstawił wyjścia czatami, i przyszedł urągać się, w obliczu całej publiczności, z gwardyi i władz konstytucyjnych, wyrządzić stronictwu triumfującemu największą jaką tylko można zniewać, zawstydzić stronników królówj Izabelli.

Gwardya narodowa, skończywszy defiladę, chciała wyjść z cyrku: lecz Don Luiz, obawiając się oblężenia z zewnątrz, wszystko przewidział i zawołał: „Los Seniores nacionales quedaran aqui, y por les hazer plaça todas las ninnas y viejas duennas dexaran el circo.”

(Panowie gwardziści pozostaną w cyrku, a dla zrobienia im miejsca, małe dzieci i stare duennie opuszczają cyrk).

„Viva Don Luiz!” krzyknęła jednogłośnie młodzież, a nawet niejednen gwardzista z radości, że im nie kazał pozostać w arenie cyrku i potykać się z bykami.

Teraz nastąpiło wydalenie się duenniek i dzieci, przy odgłosie nieskończonych śmiechów i żartów trybunału, któremu znów odtajały usta.

Nam się dostało czterech bohaterskich gwardzistów w miejsce naszych nieznomych argusów. Nie winność nie ucierpiała na tej zamianie; razem przybyło jej ze 600 funtów, wliczwszy w to karabiny i patrontasze. Radość wstąpiła znów w ściśnione serca wszystkich, lecz nie wróciła do serca Alcałda. Przeczował on los swój, przewidywał surowość sądu.

Wiemy, że nie niemasz okrutniejszego jak zemsta słabego! Mocny tylko nie lęka się być wspnianym i przebaczyć.

Przytoczę w krótkości, że sąd wojenny, któremu rząd ówczasowy poruczył sprawę Alcałda, wydał nań wyrok śmierci. Odrzucono prośbę o ułaskawienie. Obżalowany byłby skołał na szubienicy, gdyby go Don Luiz, tknięty litością, nie był kazał wykraść z więzienia, w nocy poprzedzającej stracenie. Bandyta przebaczył swemu nieprzyjacielowi; nie tak był szlachetnym sławny ów Książę Zwycięstwa z nieprzyjaciółmi, których tyle i walecznych padło ofiarą jego zimnej, drobnostkowej zazdrości.

Później, pod sprężystymi i roztropniejszymi rządami generała Narvaez przebaczone Alcałdowi, i zdjęto kłatwę z jego nieprzyjaciela, późnij zbawcy, gospodarza, a teraz przyjaciela Dona Luiz,

pod warunkiem, żeby na lat dwadzieścia opuścić półwysep. Don Luiz żyje na jednej z wysp Kanaryjskich; cały oddany wychowaniu dzieci, których ma dziewięć, i sposobieniu ich na uczciwych obywateli. Najstarszy syn jest już księdzem. Tak ostatni bandyta godny Rinaldiniego, doczekawszy prozaicznie późnej starości i prawników, umrze sobie zapewne najspokojniej w łóżku!

O poezjo! już cię nawet w jaskiniach Sierry Moreny, w Alpucharrach i Alambrze znaleźć nie będzie można! Nie się oprzeć nie zdoła wpływowi prozaicznemu dziewiętnastego wieku, pary i potrzebie wygod, ani nawet bandyta andaluzy. Gdzież cię mamy szukać urzeczywistnionej? Podobno już tylko w wielkich zjawiskach natury, do których ręka ludzka nie może dokąda.

Wróćmy do cyrku, gdzie się tą rząną prawdę rozpoczyna walka byków z Hiszpanami. Obiecałem jej nie opisywać i dotrzymam słowa. Dodam tylko, że z laski Francuza, który wzbudził swą śmieszna przygodą szalone śmiechy, i z laski musztry ogniowej gwardyj narodowych, nie było już potrzeba spilką chrabaszcze i motyle, tylko ich sobie na kapelusz nie przypinał. Z jego potężnej ręki padło dziesięć byków, a z ręki jego synowca, młodego matadorka pełnego najpiękniejszych nadziei, jeszcze czterech *novillos*, tojest byczków. Koni zginęło siedemnaście; w zaciętym boju kilku pikadorów i banderillów odniosło bolesne rzebicia, jeden nawet głęboką ranę w udo.

Skończył się krwawy bój. Wychodzimy po czterogodzinne posiedzeniu. Słońce już się chyliło ku widokręgowi, stopy rozdętej czerwonej tarczy już się nurzały w odległym oceanu, a głowa przed blizkiem zapadnięciem jeszcze jaśniała całym blaskiem, rozsyłała palające płomienie na połowę firmamentu i zalewała purpurą łoża swoje.

Czy już koniec odpustu? O nie, odpust hiszpański bez tańca byłby jak obiad bez wetów dla Francuza, jak życie bez podróży dla Anglika, jak raj bez piwa dla Niemca, i jak u nas kościół bez karczmy. Idziemy tedy na tertulię, to znaczy

idziemy przepędzić wieczór na muzyce, śpiewach, tańcach, rozmowie i opowiadaniu historyj o strachach, upiornach i bandytach.

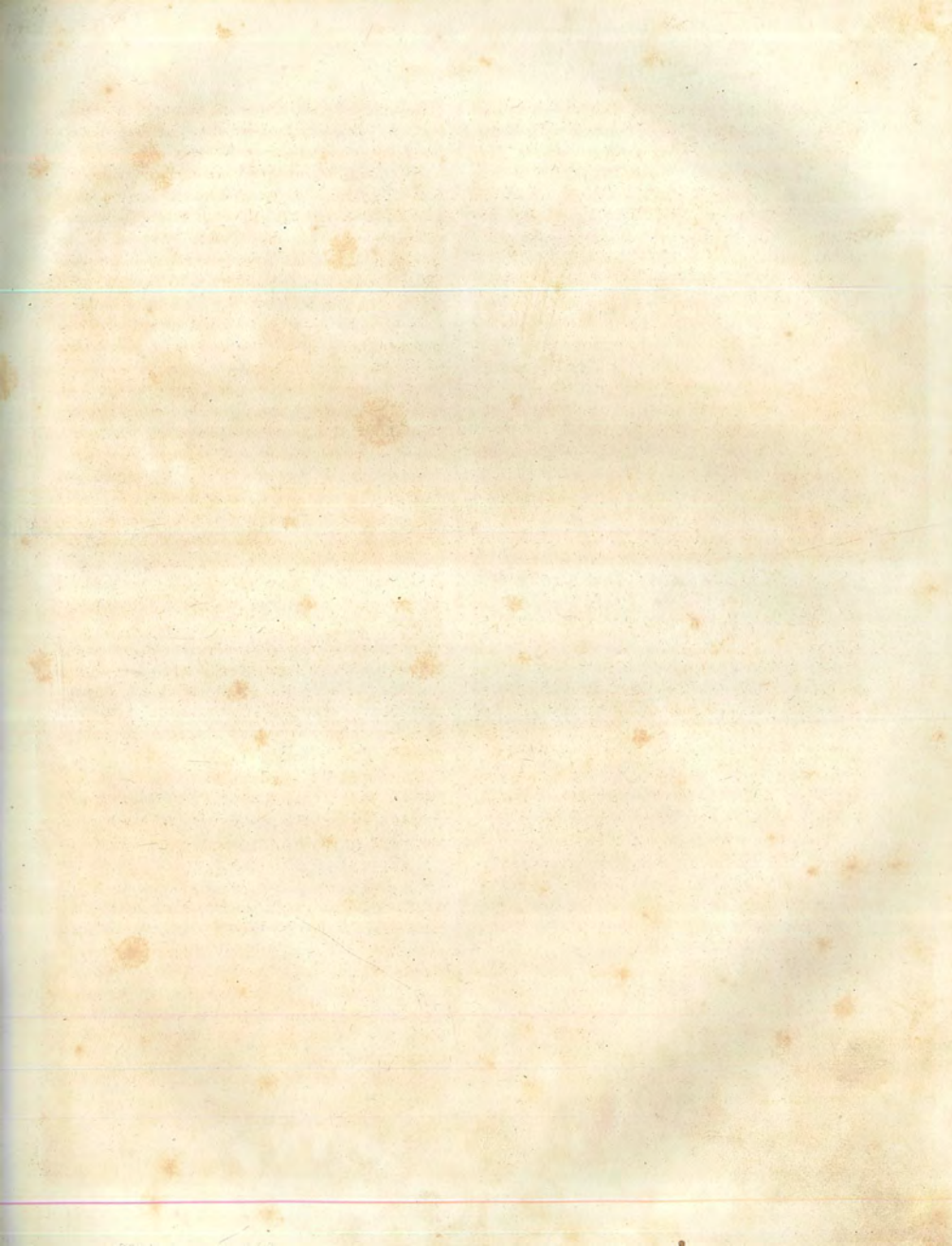
Wszystko było przewidziane. Dobre ćwierć mili za Chiklaną był gaj pomarańczowy urozmaicony większymi drzewami, jak święto-jąskie, bzami, modrzewiami, jaworami i klonami. Ciągnął się ten gaj, przemieniając się powoli w las, a potem stopniowo w dziki bór, aż do stóp łańcucha gór ograniczających północny widnokrąg. Tam, w tym gaju, było mnóstwo wzgórków, pochyłości, wyrębów tworzących najpiękniejsze doliny. Jedną z nich przysposobiono na przyjęcie naszego towarzystwa. Tam nas czekała zimna kolacya, sorbety, lody, limonada winna, owoce, cukry, xerez i szampań; tam nas czekali muzykanci, gitary, kasteriety, i nasze nieodstępne Argusy.

Zaszło słońce i pociągnęło za sobą swój płaszcz purpurowy. Ogień i latarnie chińskie zastąpiły światło dzienne. Zabrząkły gitary, śpiew się rozległ z razu tęskny, potem śmielszy; wreszcie zażętniali kasteriety; bal się rozpoczyna.

Wieleby tu można rozwodzić się nad tańcami hiszpańskimi, mającemi szczególny dla mnie powab, bo tak jak nasze wesole krakowiaki i dziarskie mazury, są obrazem charakteru ludu który je utworzył. Ale nie tu miejsce. Zresztą, pocóż opisywać suchemi słowami to, co nasze córki Terpsychory, tak pojętne gdzie idzie o przejęcie się obcymi narodowościami, umieją przedstawiać cudnie pięknie na naszej ziemi.

Ah, czemuż nie umiałem tańczyć fandanga! nie byłbym pozwolił szczęśliwemu Don Juanito unieść cię zpod mego boku piękna Inesillo! nie byłbym mu pozwolił patrzeć się tak długo i miłośnie na twe piękne długimi rzęsami tęskno przyćmione oczy; nie byłbym widział, jak kołysząc się w namiętnym tańcu, wyciągasz ramiona, niby dręczona snem miłosnym. On cię ściga; ty uciekasz, gdzie? pod mą opiekę? o nie! ty uciekasz, lecz chcesz być dognaną. On dopada, błaga, a ty się okrutna poddajesz! Powracasz nareszcie do mnie, błada z wzruszenia, omdlewająca, litosnym okiem spoglądasz na me zasępione czoło, i podajesz mi chustkę bym twoje obtarł.

Na tém skończył się odpust w Chiklaną.





Lucerne.



Erntedankfest.

SZWAJCARYA

CZYLI

ZJEDNOCZENIE STANÓW HELWECKICH.

Nic stanowczego nie wiadomo o źródle nazwiska tego kraju. Według dawnego podania, skandynawscy przybylec zając mieli siedziby w pierwiastkowych kantonach: Rums i Resti w Unterwalden, a Hasti, Suit i Sechio w Schwyc; po stoczeniu walki między niemi; kantony przybrały nazwę ostatniego, to jest Schwyc.

Szwajcaryja leży między Związkiem niemieckim, północnemi Włochami i Francją; rozciąga się od 23° 50' do 28° 5' wschodniej długości, i od 45° 50' do 47° 50' północnej szerokości, na 718 mil □. Jest to kraj najwyżej położony na europejskim lądzie. Ztąd wypływają najznaczniejsze rzeki środkowej Europy. Większa część miejsc zamieszkałych leży na 1200 do 2000 stóp nad poziom morza. Tylko nadgraniczne strony wyjąć się od tego dają, jak naprzykład okolice nad jeziorem Lago Maggiore, najniższy punkt Szwajcaryi na południe Alp (636 stóp nad poziom morza), i dolina Renu, od jeziora Boden do Bazylei, najniższy punkt z północy Alp, 780 stóp nad poziom morza wzniesiony. Jednakowoż, nie tylko to średnie wyniosłości Szwajcaryi są zamieszkałe, bo na 4000 a nawet na 6000 stóp, znajdują się role i większe wioski przez cały rok mieszkalne. Wyżej bywają już tylko letnie mieszkania. W Szwajcaryi przeto napotyka się najmienniejszy klimat i najrozmaitsze okolice, do czego przyczyniają się wiele jeziora, rzeki i różne wód biegi, razem około 62 mil □ zajmujące, góry i morza lodowe. Dlatego zewsząd zjeżdżają tu podróżni podziwiać cuda uroczej natury.

Główne pasma gór w Szwajcaryi stanowią Alpy i Jura. Pierwsze wznoszą się od południa i dochodzą średniej wysokości 14,700 stóp; drugie nieprzechodzą nigdzie 5,300 stóp; między Alpami zaś a Jurą ciągnące się pasma najwyższego dosięgają punktu w *Pilatus*, 6,570 stóp wyniosłym. Poczynając od wysokości 8,000 stóp ciągną się śniegi przez cały rok niezmiennie szeroko leżące; po-

niziej ich, na rozciągłych obszarach rozwijają potęgę swą *głeczerzy* czyli morza lodowe: to się zwiększają, to zmniejszają bezprzestannie, a zawsze stanowią jedno z najciekawszych dziwów natury dla podróżnych. W Alpach, od wierzchołka Montblanc do granicy Tyrolu, znajduje się blisko 400 takich mórz lodowych, z których najmniejsze ciągną się milę wzdłuż, a większe do 7 mil dochodzą: wszystkie razem tworzą potężny ocean lodowy, przerywane rozlewający się na wyniosłości i zajmujący w Szwajcaryi przeszło 50 mil □ przestrzeni. Opis wrażeń, jakich doznaje podróżny pierwszy raz zwiedzający okolice te lodowe, zachował nam ziomek i poeta nasz Malczewski Antoni, w pięknym, pełnym życia i wdzięku liście, pisany do jednego z uczonych badaczy natury, który w tłumaczeniu własnem w przedmowie do Maryi dołączył Goszczyński.

W tych górach, lodem i śniegiem przywalonych, początek biorą w najrozmaitszych kierunkach obfite źródła, mnóstwo wód i rzek, jak: Ren, Aar, Rodan, Inn, i wiele innych, wpadających do Adygi i Po, które poza granicami dopiero Szwajcaryi stają się do spławu sposobne. W samych zaś jęć granicach, jeziora najgłówniej służą ku ułatwieniu komunikacyi. Największa ich część leży na wyniosłości 1,000 do 1,600 stóp nad poziom morza; prawie nigdy nie zamarzają one. Na powierzchni wielu wije się mnóstwo statków parowych, ciągly utrzymujących ruch między okolicami, które na tej wysokości mianowicie żyźnością i bogactwem się odznaczają. Zpomiedzy dość znacznej liczby kanałów, najpierwsze trzyma miejsce kanał *Linth*.

Nic rozmaitszego i różnorodniejszego nad temperaturę Szwajcaryi w rozmaitych jęć okolicach. Na wyniosłościach alpejskich znajdziesz tam zimno, nieustępujące sybirskim mrozom, a spuściwszy się ztamtąd kilka mil ku południowi, na dolinie, u podnóża nagię i strumych skał, zaskoczy cię żar i spieka niesłychana. Okolice zamieszkałe w prze-

cieciu tę samą mają temperaturę, co większa część Niemiec południowych, to jest od $6\frac{1}{2}$ do 8° R. W ogóle, klimat tutejszy jest bardzo zdrowy; wyjątek pod tym względem stanowią tylko małowilne błotniste i wilgotne okolice. Od paryset lat nie słychać już tu nawet o owych straszliwych trzęsieniach ziemi, które tak okropnie sprowadzały zniszczenia w średnich wiekach. Główną plagę mieszkańców i największe dla nich niebezpieczeństwo, stanowią częste złomy gór i skał, śniegowzwały, wylewy wód, śniegowe zawieje, burze i trąby wietrzne.

Pod względem żyzności ziemi równaż panuje w Szwajcaryi rozmaitość. Trzy ósme całej przestrzeni kraju zajmują jeziora, wody, morza lodowe, jałowe skały i nieurodzajne wyżyny. W okolicach dolnych częste rozlewy strumieni wielkie przynoszą szkody; wody ich bowiem nietylko nie zostawiają po sobie mułu, użyźniającego zalane grunta, ale wycieńczają je jeszcze bardziej. W innych znów okolicach praca około roli jak najsowiściej opłaca się mieszkańcom, jednak nie wystarcza na potrzebę kraju. Obfite łąki, w chowie wyborowego bydła i wyrobach z niego pochodzących, wynagradzają to, czego niedostaje roli. W ogóle, grunt tutejszy pod względem urodzajności da się podzielić na siedm pasów. Pas dolny: od 700 do 1,700 stóp nad poziom morza: rośnie pszenica, wino (do 2,300 stóp nawet), morwy, kasztany; pas 2^{ci} do 2,800 stóp: drzewa orzechowe, dęby, najpiękniejsze łąki; pas 3^{ci} do 4100 stóp: żyto, jęczmień, dobre łąki; pas 4^{ty} do 5,500 stóp: jodły, klony, wyborne łąki; pas 5^{ty} czyli okolica alpejska dolna, do 6,500 stóp: wyborne zioła, krzewy rozmaite, drzew już ani uprawy ani śladu; w pasie 6^{ym} ciągnącym się aż do linii śnieżnej, niema już nawet krzewów, same tylko rośliny alpejskie, a miejsce dolin zajmują glezery. W miejscach zacienionych śnieg nigdy nie topnieje, a w 7^{ym} pasie powyżej 8,000 stóp, stanowi on jedyne pokrycie ziemi.

Szwajcaryja na małej przestrzeni swojej ma mnóstwo płodów, które znaczneby jej mogły zapewnić bogactwo, gdyby produkeya ich łatwiej przychodziła, lub też gdyby więcej około nich dawano sobie zachodu. Najrozmaitsze kamienie drogic, w obfitych pokładach zalegają łono ziemi; pięknego marmuru, alabastru, kryształu, prawie wszędzie dostatek, żelazo nawet dość częste; szlachetnych

kruszców, soli i węgla kamiennego również nie brakuje. Źródeł mineralnych znajduje się tu tak wiele, jak w żadnym innym kraju Europy. Lenkerbad, Sanct-Moritz, Pfeffers, Baden, Schinznach, należą do najliczniej zwiedzanych i używają od dawna powszechniej sławy. Również znakomite imię, jak kąpiele mineralne zyskały tu sobie zakłady serwatkowe, z których Gais, Weissbad, Rigi i Weissenstein, najstynniejsze i najwięcej przez chorych są uczęszczane.

W liczbie produktów właściwych Szwajcaryi, wspomnieć należy wyborny, woniący miód, na północno doskonały len i konopie, na południu nieco jedwabiu, w okolicach niższych wino, które na krajową tylko idzie konsumpcję. Drzewa gźdzeniegdzie bardzo wiele, gździeindziej jak najzupełniejszy brak i trudność nabycia, z powodu dowozu nader przykrego. Rybołówstwo przynosi niemałe zyski; myślistwo daleko mniejsze jak niegdyś; droga zwierzyzna bowiem coraz staje się rzadszą. Najważniejsze jednak źródło dochodów Szwajcaryi zapewnia niezmordowana pilność i pracowitość mieszkańców w rękodzielnictwie i przemyśle, skutkiem której w wielu kantonach ludność od niejakiego czasu znacznie się pomnożyła; a mimo nieograniczonej swobody celnej, pozwalającej zewsząd wprowadzać do kraju obce towary, przemysł tam dziwnie kwitnie. Handel zagraniczny Szwajcaryi dochodzi rocznie do summy 460 milionów franków, wyrównywiającej $\frac{1}{3}$ kapitału handlu wywozowego Francyi, której ludność siedmkroć przechodzi ludność zjednoczonych stanów helweckich.

W ostatnich czasach poczyniono wiele ulepszeń we względzie komunikacyj lądowych po kantonach i urzędzenia pocztowego, nie szczędząc ogromnych kosztów na bicie dróg w górach.

Jako nieposlednie źródło dochodu krajowego wspomnieć również wypada i to, że znaczna liczba mieszkańców wydała się na czas za granicę, gdzie pracą i trudami, tak w handlu, przemyśle, rzemiosłach, jako i innych sposobach zarobkowania doszedłszy do jakiejś takiej fortunki, wracają oni na powrót do kraju spokojnie resztę przepędzić życia. Dawniej, służba wojskowa u obcych, niemało przynosiła mieszkańcom uboższych kantonów; dziś znacznie zmniejszyło się to źródło dochodu. Liczba za to podróżujących po Szwajcaryi corocznie

się powiększa i wzmagą coraz więcej znaczny, bo kilkanaście milionów wynoszący kapitał, który za ich pośrednictwem wpływa do kraju. Tak tłumny napływ po większej części zamożnych cudzoziemców, nie bez tego żeby nie wywierał szkodliwego wpływu na moralność i obyczaje krajowców, którzy wolą szukać łatwych zysków w przebiegłym służebnictwie i nadskakiwaniu przybyszom, jak w pocie czoła i twardych znokach trudzić się o pocziwe utrzymanie: ztąd też to zapewne wzięło początek owe znane przysłowie: *kein Kreuzer, kein Schweizer*, mające znaczyć, że: gdzie groszów nie widać, tam i szwajcara nie dopatrzysz. Ale niesłusznie byłoby wpływowi temu zbyt szerokie przypisywać znaczenie; dotyka on tylko małą liczbę z niższej klasy, ogół zaś, w istocie rzeczy, korzystać tylko moralnie i kształcić się może, skutkiem tego zbliżenia z przedstawicielami wszelkich narodowości.

Ludność ogólna Szwajcarii, podług ostatnich obliczeń wynosi przeszło 2,360,000 głów, w liczbie których mieści się 900,000 katolików, 3,000 żydów, którzy po większej części zamieszkują w kantonie Aargau i żyją w oddzielnych gminach, i 2,000 menonitów; reszta należy do wyznania reformowanego. Kantony protestanckie odznaczają się przemysłem, pracą, dostatkami i ukształceniem, jakkolwiek pod względem warunków przywiązanych do miejscowości, inne kantony w niczem im nie ustępują.

Szwajcaryja zawiera w sobie dwadzieścia dwa kantony, stanowiące niejako 24 stany czyli rzeczypospolite oddzielnych; gdyż kantony Unterwalden i Appenzel, dzieli się każdy na dwie osobne rzeczypospolite. Wymieniamy tu wszystkie kantony wraz z ich stolicami, porządkiem jaki zajmują w konfederacyi:

1. Zurich (miasto stołeczne Zurich). 2. Bern (m. s. Bern). 3. Lucern (m. s. Lucern). 4. Uri (m. s. Altdorf). 5. Schwyz (m. s. Schwyz). 6. Unterwalden, składające się z Oberwalden i Niederwalden (m. s. Einsiedlen i Sarnen). 7. Glarus (m. s. Glarus). 8. Zug (m. s. Zug). 9. Freiburg (m. s. Freiburg.) 10. Soloturn (m. s. Soloturn). 11. Bazylea (m. s. Bazylea). 12. Szaflhausen (m. s. Szaflhausen). 13. Appenzell, składające się z Ausser-Rhoden, Inner Rhoden (m. s. Appenzell, Hierisau). 14. Saint-Gallen (m. s. Saint-Gallen). 15. Graubünden (Gryzonów) składający się z Granser-Bund, Gotteshaus-Bund, Zehngerichten-Bund (m. s. Hanz, Coire, Tuzis), 16. Argowia (m. s. Arau). 17. Thurgowia (m. s. Arbürg). 18. Tessyn (m. s. Belinzone). 19. Waadt (m. s. Lauzanna). 20. Wallis (m. s. Sion). 21. Neuchâtel (m. s. Neuchâtel). 22. Genewski (m. s. Genewa).

Ludność po kantonach rozmaicie rozdzielona; największy co do powierzchni ze wszystkich Graubünden najmniej ma ludności; Bern zaś stosunkowo do powierzchni niezbyt gęsto zaludniony, mieści w sobie piątą część całej ludności Szwajcarii. W ogóle kraj ten zawiera 62 miasta, 101 miasteczek i 7,400 wiosek czyli osad. Ze wszystkich miast, najbogatszą w mieszkańców jest Genewa, a jednakże liczy ich zaledwie 30,000; po niej idą Bern, Bazylea, Zurich, Saint-Gallen i Lauzanna.

Lauzanna leży na północy jeziora genewskiego, jest stolicą kantonu Waadt. Nie jaśnieje ona przepychem wspaniałych gmachów, ulic okazałych i przestronych; przeciwnie, zabudowania jej noszą na sobie cechę wiejskiej, skromnej ustroni, zdobnej ogrodami. Miasto rozściela się malowniczo nad samem jeziorem, choć część jego na skalę się wzniosła, i tak cudny dla oka przedstawia widok, zwłaszcza na niedaleko leżące szczyty góry Jungfrau, że każdy podróżnik, zachwycony, liczy go do najpiękniejszych w Szwajcarii, o czém wyobrażenie dać może dołączona tu rycina. Powaby przyrody zwiększa niemało znakomite rozwinięcie umysłowości. Mieszkańcy tego miasta słyną z wykwintnego obejścia, ugrzecznienia i gościnności, dlatego młodzież szwajcarska zjeżdża tu licznie dla nabrania oglady, tak ważną stanowiącej dziś zaletę cywilizowanego życia.

Lauzanna liczy 15,000 mieszkańców. Uwagę podróżnych ściąga tam katedra w gotyckim stylu, którą jeszcze w 1000 r. budować rozpoczęto, a po ukończeniu dopiero w 1257, poświęcił ją papież Grzegorz X, w obecności Rudolfa Habsburgskiego. Sklepienie tego tunu opiera się na 472 kolumnach, a sama nawa na 200, na sto kilka stóp wysokich. Kościół Ś. Franciszka służył także na wzmiankę z tego względu, że tu obradował w r. 1449 sobor, poprzednio w Bazylei zebrany.

Akademia Lauzanny, w 1587 r. założona, od kilku już wieków rozgłosznej używa sławy, przyczem istnieje mnóstwo szkół wyższych i niższych, różnych zakładów naukowych, stowarzyszeń, bogate zbiory, między którymi jako osobliwość wymienią Wydera menażeryę żywych wymoczków.

Po tém mieście, pięknością położenia odznacza się Genewa, leżąca na drugim końcu jeziora tegoż nazwiska, Bern, Freiburg, Szafluz i górzyste okęgi kantonów Schwyz i Unterwalden.

Mieszkańcy Szwajcaryi rozmaitym mówią językiem, podług pierwotnego pochodzenia swego: jedni mówią po francuzku, większa część po niemiecku, inni po włosku, a po romańsku wiele mieszkańców kantonu Graubünden. Mimo tej różności pochodzenia, języka i religii, trzechwiekowa przeszło wspólna dola, tak silnemi wspomnieniami szczęśliwego bytu społecznego łączy Szwajcarów, że zastępuje im wężły najcisłej i jednolitej narodowości. Wyszedszy nawet za granicę i osiedlwszy się tam na długo, Szwajcarowie zawsze żyją w ścisłych między sobą stosunkach, i zawsze żywo zajmują się sprawami kraju swego.

Szwajcarowie sami wyrobili sobie historję swoją, i sami ją stanowią; silniej też ich ona obchodzi, i bliżej serca dotyczy; dlatego, w obecnej nawet epoce, kiedy narodowości stanowią główną podniętę wstrząśnień i zawichrzeń społecznych, Szwajcaryja, mimo różnicy ich u siebie, nie zna ani zawzięci, ani spółubiegania się ich między sobą. A jeśli—choć rzadko i małoznacznie—pojawiają się w niej jakieś zatargi i nieporozumienia, to źródło ich leży głównie w niedokładności politycznego porządku społecznego, do którego uwrównania i silniejszego zjednoczenia dąży przeważna większość związkowych.

Do roku 1830, czyli do epoki tak zwanego odrodzenia w Szwajcaryi, rząd zjednoczonych stanów helweckich bardzo mało zajmował się zachodem i troską około rozszerzania światła i moralności w massach; szkoły elementarne mianowicie w najzupełniejszym były zaniedbanu. Wszystko w tym względzie zostawiano pieczołowitości i szlachetnym zabiegom prywatnych osób. Mało też krajów może się poszczycić takimi ludźmi jak Salis z Marschlins, Nesemann z Reichenau, Niederer z Ywenon. Po dziś dzień kwitnie chlubnie szkoła agronomiczna w Hofwyl (kanton Bern), założona przez Fellenberga; nikt jednak nie położył tak znakomych zasług i tak błogich usiłowań swoich nie doczekał się owoców, jak nieśmiertelny Pestalozzi w trudach podjętych około wychowania i szkół elementarnych dla ludu. Coraz więcej wzrastająca potrzeba znajomości języka francuzkiego, jako języka towarzyskiego, dała początek bardzo wielu zakładom naukowym ponad brzegami jeziora Genewskiego, i dziś wychodzi ztąd mnóstwo nauczycieli i nauczycielek, rozpierchających

się po całej Europie, a mianowicie też ku północy i wschodowi.

Od roku 1830 wychowanie publiczne w Szwajcaryi ogromne poczyniło postępy. Do starodawnego uniwersytetu Bazylejskiego dołączyły się teraz uniwersytety w Zurich i Bernie, na sposób niemieckich urządzone; akademie zaś w Genewie i w Lauzanie wzięły sobie za wzór francuzkie uczelnie. Wszędzie powstały liczne szkoły, a elementarne zakłady doszły do takiego rozwinięcia i udoskonalenia, że Niemcy nawet w tym względzie ustąpić muszą Szwajcaryi.

W katolickich kantonach dotąd jeszcze właściwie niema uniwersytetu, chociaż i tu nie zbywa na usiłowaniach ku postępowi; większa część szkół wyższych, a nawet niższych, zostaje tu w ręku duchowieństwa: Benedyktynów, Franciszkanów i Jezuitów, którzy w Fryburgu, Szwyc i Lucernie bardzo obszerne posiadają kollegia.

Szwajcaryja posiada wiele imion mężów słynnych w naukach; katolicka jej część wyłącznie szczyci się mistrzami znakomitymi w sztukach pięknych. Tessin, Zurich i Genewa wydały wielu pierwszego rzędu malarzy. Bazylea jednym tylko pochwalić się może: Holbeinem. W zbiorach prywatnych i w pinakotekach miast znajdują się obrazy godne najznakomitszych galerij. Rzeźba i architektura nietyłe znajduje poparcia; muzyka zaś powszechnie ogromne czyni postępy, wszędzie pełno stowarzyszeń muzycznych; dziwna jednak, że mimo tak ogólnego do niej zamilowania, Szwajcaryja dotąd nie może się poszczycić ani jednym mistrzem w tej sztuce. Zpomiedzy nauk, najwyżej stoją i najwięcej mają zwolenników: matematyka, nauki przyrodzone, medycyna, chociaż i badania w innych gałęziach wiedzy ludzkiej zaniedbane nie zostały a imiona Gessnera, Hallera, Bernouilli, Eulera, Mersana, Tissota, Saussura, Bonnet, Decandolla i Deluca, nie ustępują w sławie J. J. Rousseau, Lavaterowi, Breitingerowi, Sulzerowi, Janowi Müller, Henrykowi Pestalozzemu, Zimmermannowi i t. d.

Literatura szwajcarska łączy się z literaturami niemiecką, francuzką i włoską. Od r. 1830, dziennikarstwo olbrzymim krokiem się wzmacnia: przeszło 70 gazet i dzienników miejscowych wychodzi tu na rok. W każdym prawie kantonie istnieją literackie i uczone stowarzyszenia, coraz więcej

zjednywujące sobie zwolenników; jedne zajmują się wyłącznie jaką gałęzią nauki, inne znów rozciągają się na cały kraj i zbliżają do siebie obywateli odrębnych kantonów, rozdzielonych językiem, wyznaniem i pochodzeniem. Najdawniejsze z tego rodzaju stowarzyszeń jest: *Towarzystwo helweckie* w r. 1763 założone. Najwięcej zaś zwolenników liczy: *Szwajcarskie towarzystwo dobra wspólnego*, które za przedmiot zajęcia obrało sobie pieczę nad wychowaniem, przemysłem, nędzą, więzieniami i t. d., i corocznie podaje rozmaite w tym celu zadania, których rozwiązanie najcelniejsze zajmuje umysły. *Szwajcarskie towarzystwo badaczów natury*, również jak i poprzednie, protokóły posiedzeń swoich drukiem ogłasza, i podaje zadania na premia, zakłada muzea, ogrody botaniczne, i wielce przyczynia się do rozszerzenia znajomości nauk przyrodzonych, jako i do ich samych postępu. Oprócz tych wielkich i znakomitych stowarzyszeń, posiada Szwajcaryja mniejsze: stowarzyszenia lekarzy, weterynarzy, artystów; stowarzyszenia kupieckie, rolnicze i przemysłowe; stowarzyszenie oficerów wydaje pisma peryodyczne wojskowe, naprzemiany w rozmaitych miastach. Najliczniejsze jednak ze wszystkich towarzystw Szwajcaryi, jest bez wątpienia *Towarzystwo Strzelców jednoczonych stanów*; liczy ono kilkadziesiąt tysięcy członków, i co dwa lata odbywa wielką uroczystość *króla kurkowego*. Uroczystość ta trwa tydzień przynajmniej, i ma znaczenie święta narodowego, które strzeley w rozmaitych naprzemiany odprawują miastach.

Najgłówniejszą cechą charakteru narodowego Szwajcarów, stanowi nieograniczone przywiązanie do dawnych obyczajów, które we wszystkich klassach postrzegać się daje. Dlatego też w prawach i obyczajach znajdują się jeszcze częstokroć ślady średniowiecznych pojęć.

W każdym prawie kantonie lud nosi strój sobie właściwy; kobiety szczególniej wyróżniają się ubiorem głowy i barwami odzienia. W części południowej kantonu Lucern, ludność męzka odznacza się nadzwyczajną siłą, pięknoscią ciała i zamiłowaniem do ćwiczeń gimnastycznych, na które pasterskie ich powołanie dużo im czasu zostawia. Kanton Wallis, malowniczy położeniem, i wielu płodami bogaty, smutną odznacza się osobliwością: ludzie zamieszkujący ten kanton, wszyscy od na-

tury fizycznie i moralnie tak są uposledzeni, że stanowią wyłączny zupełnie rodzaj stworzeń głupowatych, które Francuzi *kretenami* zowią.

Kretenowie zwykłe, ale niewyłącznie, prócz tej wyrażnej już na ich twarzy cechy uposledzenia, znaczeni są od natury jeszcze wolami (ogromne guzy na gardle narastające). Wole jednakże nie stanowi bynajmniej charakterystycznej oznaki kretenizmu.

W całej istocie tych nieszczęsnych stworzeń znać jakieś nadzwyczajne rozprężenie; ciało ich miękkie i opadłe; skóra zwiedła i odstająca; poza grubemi i naprzód wysuniętymi wargami widać język tłusty, jakby spuchnięty; cera zaś twarzy szaro-żółta, powiększa jeszcze wstręt i przykrość, jaką widok ich sprawia. Znajdują się tacy, co niezdolni nawet są uczynić ruch jakibądź, dać najmniejszy znak woli swojej i jedno polykanie główną ich czynność stanowi: żywią ich jak małe dzieciątka, lyżeczką strawę podając.

Zpomiedzy tysiąca miejsc słynnych w Szwajcaryi, to ujmującą malowniczością widoków, to dziwnymi wyrykami przyrody, których opisy niejedno obszerne zapelniają dzieło, a wyliczyć je nawet po szczególe byłoby niepodobna, zasługuje na wzmiankę dolina Grindelwald, w kantonie Bern, której wizerunek podajemy tu na dołączonej rycinie. Niedostępnie zacieśniona między olbrzymie ściany otaczających ją dokoła gór i skał wierzchołków, słynie ona z licznych, rozmaitego rozmiaru i wielkości gleezerów, których widok przeraża, zastrasza potęgą i tajemniczą sprzecznością natury; bo wśród najgorętszej pory roku, pod duszącym skwarem słońca, zachowują się tam, jakby na upokorzenie i podziw człowieka, w pobliżu kwiecistych łąk i zieleńiących łąnów, mroźne obszary mórz lodowych. Zgnębiony, przywalony brzemieniem dziwnych wrażeń wędrownik, uciekając od brzegów tych zakrzepłych fal, miły znajduje wypoczynek dla zmęczonej wyobraźni w skromnym zaciszu wioseczki, a raczej osady, wiszącej na spodzie gór stromych, śród cichiej nizin, do której wązka tylko ścieżka dostęp do świata otwiera.

Dla dopełnienia obrazu tego wyjątkowego kraju, podajemy jeszcze osobliwe zjawisko natury, które w kantonie Glarus, na górach Schilt, Faulhorn i Rigi, czasami spostrzegać się daje.

Tworzy się tam niekiedy na widokręgu, po ustąpieniu mgły, tęcza żywych bardzo kolorów, kształtu najdokładniej kolistego, mniejsza daleko od zwyczajnej tęczy; w środku jej, podróżni, stojący na jednym ze wspomnianych trzech punktów, odbicie cienia swego spostrzegają. Jeśli kilku jest podróżnych, cień każdego wydatnie się rysuje na tej cudownej tarczy, ręką tajemniczej natury tak czarodziejsko przyrządzonej. Głowa odbitego wizerunku znajduje się zawsze w samym środku wewnętrzznego koła tęczy, a reszta figury rozchodzi się ku obwodowi, i nogi opierają się na zewnętrz-ném kole tęczy, które mniej już świetnemi jak pierwsze jaśnieje barwami, i zewnętrznym krajem rozplywa się prawie w atmosferze.

Szwajcarya stanowi rzeczpospolitę związkową, utworzoną z zjednoczenia 22 niezaawisłe rządzących się kantonów. Dawna ustawa z 7 sierpnia 1814 r., znana pod nazwą *Aktu federalnego*, zmienioną została 12 września 1848 roku, przez sejm związkowy, który nową postanowił ustawę. W moc tej ustawy, *Zgromadzenie związkowe* dzieli się na *Radę narodową* i *Radę stanów* czyli senat. Radę narodową mianują kanton w ten sposób, że na 20,000 głów przypada jeden deputowany. Jeśli okaże się, że pozostaje w kantonie do głosowania więcej jak 10,000 ludzi, kanton wybiera jednego jeszcze deputowanego. Wybory na trzy lata mają ważność. Każdy kanton, co najmniej jednego musi dać deputowanego, równie jak i każda część kantonu, jeśli kanton dzieli się na części. *Rada stanów* (senat), składa się z 44 członków, po 2 z każdego kantonu, po jednym z części kantonów podzielonych.

Zgromadzenie związkowe wybiera z pomiędzy obywateli, wybieralnych do *Rady narodowej*, siedmiu członków, składających *Radę związkową*, która urzęduje przez lat trzy. Rada związkowa musi być na nowo wybierana zawsze, kiedy Rada narodowa całkowicie na nowe idzie głosowanie. Prezes i wiceprezes Rady związkowej, wybierani są na rok jeden, na połączonem posiedzeniu dwóch władz najwyższych. Przez przeciąg roku nie mogą być powtórnie mianowani.—Konfederacya jedynie sama, reprezentowana przez dwie rady, ma prawo wypowiadać wojnę, zawierać pokój, traktaty i przymierza. Do niej również należą wszystkie stosunki urzędowe między kantonami, i sto-

sunki z obcemi mocarstwami. Ustawa, prócz tego, wspomina: o *kancellaryi związkowej*, pod naczelnictwem kanclerza i o *trybunale związkowym*, którego jedenastu członków i jedenastu zastępców mianuje *Zgromadzenie związkowe*. Trybunał ten odsądza wszelkie sprawy cywilne między samemi kantonami, sprawy między kantonami a związkiem, i sprawy między związkiem lub kantonami, z jednej strony, a prywatnymi z drugiej. W sprawach dyscyplinarnych rozdziela się na wydziały, i mianuje izbę oskarżeń, sąd przysięgłych i sąd kassacyjny.

28 grudnia 1848 roku, miasto Bern wybrane zostało przez radę narodową jako miasto związkowe, a rada stanów zatwierdziła ten wybór. Według dawniej ustawy porządek był taki, że sejm związkowy odbywał posiedzenia kolejno w jednym z trzech miast: Bern, Zurich i Lucernie, które nosiły miano *Vorortów*, czyli miast przednich.

Szwajcarya stanowi jedyny kraj w całej Europie niemający wcale długu narodowego. Budżet związkowy pokrywa kosztą administracyi ogólnej, kosztą na wojsko i oświecenie; na co wszystko wystarcza procent od przeznaczanego na ten cel kapitału. W razie potrzeby wydatków nadzwyczajnych, kantony obowiązane są przykładać się do nich, w miarę stosunkowej zamożności swojej, i dzielić się z tego względu na sześć klas, między które postępowo od jednostki do sześciu podatek się rozdziela. Wypadki jednak nadzwyczajnych wydatków tak bywają rzadkie, że zaledwie kiedyś niekiedy kantony składają opłaty w stosunku $\frac{1}{10}$ przypadającego na nie rozkładu. Od r. 1818 summe 707,740 franków przyjęto za liczbę normalną kapitału przez kantony składanego.

Każdy Szwajcar obowiązany jest do służby wojskowej: od 20 do 45 lat każdy, na zawołanie, pod broń stanąć musi, i każdy w robieniu nią biegle wywieszony być winien. Ogólne ruszenie landweiru wynosi 220,000 ludzi. Stałe milicje, które na każde zawołanie do marszu winny być gotowe, dostarczają kantony stosunkowo do ludności. Oprócz związkowego sztabugeneralnego, jest osobna władza nadzorcza wojskowa, w której przewodniczy prezes Rady związkowej. Związek posiada kapitał wspólny, gotowy na wszelki wypadek na kosztą wojskowości; kapitał ten powstał ze składanych dochodów celnych, pobieranych na

niżką bardzo stopę, za towary zbytlowe; dziś wynosi on przeszło 8 milionów franków.

Początkowa historia Szwajcaryi, aż do czasu zetknięcia się jej z Rzymianami, ginie zupełnie w pomroce wieków. O ile się zdaje, kraj ten zamieszkiwali wędrowni Helwetowie, plemię szczepu celtyckiego, które żyjąc w swobodnym porządku, rozdzielone na cztery *Gau*, zajęło przestrzeń między Renem, Jura i Alpami. Około r. 10 po n. Chr. przeszło ono pod władzę Rzymian, wraz z otaczającymi je pobratymczymi plemionami; przejęli wiele w obyczajach i życiu od władców swoich, i później, dzieląc los ich, dostali się pod jarzmo napaściwych i zwyciężczych Germanów. Około r. 400 po Chr. Allemanowie osiedli w części dzisiejszej Szwajcaryi, i wprowadzili tam język i obyczaje swoje. Inną jej część zajęli Burgundowie i Longobardy. Później, cała Helwecya dostała się pod panowanie Franków. W rękę ich zakwitły w niej bogactwa i był dobry, który zniszczyli dopiero niedolężni następcy Karola Wielkiego, nie umiejąc utrzymać tam w należytych rygorze namiestników swoich, ciągłymi wojnami kraj trapiących. Niektórzy z nich potrafili nawet niezawisłe urządzić sobie państwa; wkrótce jednak przewaga Niemców zmusiła ich do posłuszeństwa sobie.

Od jedenastego wieku, losy Helwecyi łączą się ściśle z losami państwa Niemieckiego, aż do czasu, kiedy korona niemiecka z wybiernalnej przeszła na dziedziczną. Po wygaśnięciu linii książąt Zähringen, pod których rządy cesarze oddali część Szwajcaryi, i którzy byli prawdziwymi dobroczyńcami tego kraju, dawne niebezpieczeństwa zaczęły znów ją gnębić. Wielu możnych panów rządziło oddzielnymi częściami; najpotężniejsi z pomiędzy nich byli Habsburski, Kobergski i Sabaudzki. Siła tylko dawała prawo. Słabi posiadacze roli, klasztory i małe miasta, musiały się garnąć pod opiekę miast potężniejszych, albo też ulegać pod przemocą napaściwnych silniejszych; większe zaś miasta, a mianowicie: Zurich, Bern i Bazylea, zjednoczyły się wzajemnym przymierzem, w celu zapewnienia sobie swobody i bezpieczeństwa od cesarzów, mających prawa do nich, odkupywać starały się te prawa.

Ku końcowi XIII wieku, Szwajcaryja inną zupełnie przyjmować zaczęła postać. Dom Habsburski, od czasu jak Rudolf obrany został, w ro-

ku 1273, cesarzem i zawładnął Austryją, zapewnił sobie w niej stanowczą przewagę. Rudolf jednak oszczędzał miasta, które mu dawniej wiele do wyniesienia pomagały, i szanował ich prawa. Syn jego, Albrecht, usilnie starał się wszystko wcielić do dziedzicznej Austryi. Ofiarował wolnym miastom i krainom tamtejszym opiekę Austryi; i kiedy przyjął jej nie chcieli, do przemocy się uciekł. Zurich i Bern potrafiły się oprzeć dzielnie; zwrócił więc usilność swą na swobodnie oddawna krajny Ury, Schwyz i Unterwalden, i za pomocą zawartego układu, zapewnił sobie nad nimi władzę. Kiedy Vogtowie, przysyłani na zarządców, kraje te zbytcecznie gniesć zaczęli, i do wszelkich posuwali się nadużyć; mieszkańcy ich, za wspólnym porozumieniem, zebrali się pod przewodnictwem najznakomitszych, na Rütli, obszernej łące, w pobliżu jeziora Waldstätter, i postanowili wygnąć wszystkich Vogtów i zamki ich zburzyć; co też 1-go stycznia 1308 r. jak najsumienniejsi wykonali. Do onęj to epoki i tego zajścia, odnosi się znane podanie o Wilhelmie Tellu.

Po zamordowaniu Albrechta I, 1308 roku, przeciwnicy i zawistni domu Habsburskiego, rozrzućeni wokoło szwabsko-burgundzkiej jego posiadłości, pod pozorem wspólnego osłony i bezpieczeństwa, w czasie bezkrólewia, przystąpili do związku, do którego przyłączyli się także i poddani tego domu, mieszkańcy gór szwajcarskich. Dom Rakuski z tego powodu uważał ich jako buntowników względem siebie, i kiedy Henryk VII cesarz, potwierdził im dawne swobody, powstała walka, lat przeszło dwieście trwająca, która zakończyła się tćm, że kraje Szwajcaryi i dla Rakuskiego domu stracone zostały, i od cesarstwa odpadły. W r. 1315, kiedy związkowe miasta odniosły pod *Morgarten* zwycięstwo nad Niemcami, stwierdziły związek między sobą, łącząc się wiecznym przymierzem, do którego w r. 1353 przystąpiły: Lucerna, Zurich, Glarus, Zug i Bern; i od roku 1798 wspólnie wielu swobód używały. Związek ten, zwany *Młodem Zjednoczeniem* (*Junge Eidgenossenschaft*), przez 100 lat przeszło istniał na pierwotnie położonych zasadach. Wolne stany starały się ciągłemi zakupami zwiększać posiadłości swoje, i przyłączającym się w ten sposób do siebie ludnościom nadawały swobody jakich same używały. Za ledwie wydzignęły się z zadanych im ciósów,

stany te zapragnęły z bogacić się zaborami, i wyciągnęły ręce po krainy dziedziczne Rakuskiego domu, Aargau i Turgau, po posiadłości hrabiego na Toggenburgu, a szczęście tak im służyło, że mimo kilku znacznych porażek, jak pod Arbedo 1422 roku, i pod Saint-Jacob, w końcu zagarnęły te kraje pod swą władzę. Każda kraina zdobyta przez kanton który, zostawała już pod jego zwierzchnictwem, i mieszkanców jej nie dopuszczano już, jak dawniej, do równości praw, a uważano za poddanych, i rządy nad nimi Landvogtom oddawano. Wojownicy związkowi, przywykszy w tych wyprawach do znojęw wojennych i cheiwi łupów, tak łatwo przychodzących, nie mogli już obejść się bez bojów, a nie nachodząc w własnym kraju stosownej do nich sposobności, od połowy XV wieku wydalać się z ojczyzny zaczęli, i w cudzych sprawach szli szukać zysków dla siebie, zaciągając się pod chorągwie to panów, to miast wujących. W samym związku, zatargi zaczęły się zjawiać i Zurich, w czasie wojny z Niemcami, od 1440—1450 roku, usunął się chwilowo od niego. Szwyc stanowił jądro całego związku, i głównym był przeciwnikiem Zurichu; inne stany związkowe przyjęły barwy jego narodowe (biała i czerwona), i zład poszła ogólna ich nazwa *Szwajcarów* czyli Szwajcarów.

Potęga Szwajcarów i sława ich oręża jednala im ciągłych sprzymierzeńców, przy pomocy których (Lotaryngia, Freiburg, Strasburg) w r. 1476 pobili na głowę, pod Granson, Murten i Naney, Karola Burgundzkiego, najpotężniejszego w owym czasie mocarza na zachodzie Europy. W r. 1481 przyjęli do związku Freiburg i Soloturn, zapewniając wszystkie korzyści możnej opieki swojej. Szczęście i imię związkowych wzrosło do tego stopnia, że wszyscy postronni garnęli się pod ich osłonę; ościenne dwory, Austrija nawet o przyjaźń się ich starać musiała. Tłumy wojowników dzielnych i nieustraszonych spieszyły, gotowe zawsze na zawołanie płacących im sowicie, a Francya, papież i rzeczpospolita Wenecka ubiegały się na wysięgi, lepszym wynagradzaniem, o najmniejszych Szwajcarów. Znajdowali się już wtedy ludzie a nawet całe okolice, co głośno powstawały na takie postępowanie, i widziały w niem, oprócz ujmy narodowemu honorowi, wyraźną zgubę przyszłą wspólnej sprawy; ale siła wypadków pchała

niewstrzymanie Szwajcarów ku własnemu nie-szczęściu. Wewnętrzne rozdrowienia, zawiści i rozjątrzenia zaczęły się już między nimi objawiać, bo nagle wyniesienie się w potęgę i bogactwo jednych a ubóstwo drugich, dawało ciągle do nich powód: żywe dotąd w pamięci wspomnienie dawniej, tak prywatnych jak i stanów całych, między sobą równości, gotowało zniszczenie i zagubę całemu związkowi, i niezawodnieby ją było sprowadziło, gdyby los nie był zawikłał Szwajcarów w nową wojnę. Maksymilian I cesarz chciał koniecznie ścisnąć węzły swego państwa, w ciągłym zostającego rozerwaniu, nieustannemi gnębięciem bojami i rosterkami; postanowił zatem, aby położyć koniec prawu mocniejszego, sąd najwyższy; państwo rozdzielił na okręgi, włączył doń i Szwajcaryę, podciągnął ją pod obowiązyki innych państw pod berłem jego będących, i żądał, aby dostawiła tak jak inne, kontyngens pieniędzy i wojska, na wojnę przeciw Turkom. Z dawnych już lat odzwyczaili się Szwajcarowie widzieć kogobądź, a tém więcej głowę cesarstwa Niemieckiego, nieszacując na spraw ich wewnętrznych. Oburzeni, powstałi, stawili zacięki opór, sześć walnych bitew wygrali stanowczo, i pokojem Bazylejskim 1499 r. zapewнили sobie dawną niezależność.

Od tej epoki datuje faktyczna niezawisłość Szwajcaryi, i zupełne jej odłączenie od cesarstwa niemieckiego. Długo dość jeszcze zachowywano, przy wstępowaniu na tron cesarów dawne formy, prosząc o potwierdzenie swobód i uzyskań przeszłych; długo dość podróżujących cesarów przyjmowano w Szwajcaryi, jako prawych władców i panów, ze wszelkimi oznakami godności ich należnymi; ale od r. 1500, nie widać już ani śladu jakiegobądź znaczenia ich w sprawach tego kraju. Uroczyste zatem uznanie niezawisłości Szwajcaryi, na pokoju Westfalskim 1648 r., było tylko potwierdzeniem, przez prawo między-narodowe, rzeczy oddawna samo przez się istniejącej.

Po wojnie Szwabskiej, przyjęli Szwajcarowie do związku swego, w r. 1501, Bazyleę i Szafuzę, a w r. 1513 Appenzell, i związek ten, z 13 stanów, istniał aż do roku 1798. Inne doń należące stany zwaly się tylko sprzymierzonymi, *foederati* i na sejmie (*Tagteistung*) głosu nie miały. Po ostatniej wojnie z Francją, nie było nieprzyjaciela, które-goby się Szwajcarowie ulękli (1500 roku). Sława

ich jako wojowników, postrachem przejmowała zachodnio-środkową Europę. Wszyscy społecznie zgadzają się w zeznaniach, że dzielność i waleczność ich dochodziła do szalonej zapamiętałości; gdzie oni byli, tam już sprawa musiała być wygrana. Pomagali każdemu, kto ich sobie ująć potrafił, a wojsko ich odznaczało się przede wszystkim surową karnością, dopóki mu regularnie i sumiennie należny żołd płacono. Broń Boże nie oddano im należności, to opuszczali natychmiast chorągwie tego co ich zawiódł, lecz nigdy nie pozwalali sobie, wedle ówczesnego zwyczaju, puszczać się na rozboje i rabunki. Roku 1512 podbili dla słabego Maksymiliana Sforzy całą Lombardję, zbili na głowę, pod *Nowarą*, Francuzów (1513 roku) tak, że się nie oparli aż w Lugdunie dopiero, i przez trzy lata potrafiliby cały kraj we Francji utrzymać, aż do owiej sławnej, trzydniowej bitwy (1515 roku) pod *Marignano*, w której strona ich uległa; ale oni w całym rynsztunku i porządku wyszli jako zwycięzcy z placu boju. I Francuzi sami uważali ich za zwycięzców; zawarli z nimi pokój, mocą którego zostawili i przyznali im cały kanton Tessin i Veltlin: kupcom ich we Francji zapewnili wiele swobód i dobrodziejstw; każdemu ich kantonowi obowiązyali się roczne płacić pensye, i mądrą polityką wiele im jeszcze ustępując, potrafiliby przeciągnąć ich i nakłonić ku sobie. Przy mierza tego, na wieczne zawartego czasu, (1516 r.) Szwajcaryca dotąd nigdy nie naruszyła, a Francya pićwrszy raz go w r. 1798 nadwerczyła.

Długo później walczyli Szwajcarowie za Francyę, chcąc jęj wrócić wydartą Lombardję, ale w końcu, przykrzyli im się te wojny i dali pokój. Od tego czasu, najmujący Szwajcarów, nie brali już ich wszystkich na wojnę; a szczególne tylko najmowali chorągwie i regimenta, i godzili na wyprawy. Kiedy stałe wojsko zaczęło wchodzić w użycie, zawsze za sowitą nagrodą werbowano do pułków Szwajcarów; każdy panujący książę musiał mieć przyboczną gwardyę z nich złożoną, która zawsze przed innemi jego hufcami odznaczała się pięknnością i wzrostem dobranego żołnierza.

Reformacja (1520 r.) wiele się przyczyniła do rozzerwania jedności, i tak już od dość dawna zakłóconej w związku Szwajcarów. Zwinglius, Oekolampadiusz, Kalwin, Haller i wielu innych, po ro-

zmaitych miastach związku nową zaczęli szerzyć naukę. Cztery kantony oddzieliły się od kościoła rzymskiego (Zurich, Bern, Szafuza i Bazylea), a dwa (Glarus, Appenzel) przyjęły dogmata pośrednie, między nowymi a dawnymi. Z rozdrożenia takiego wybuchły domowe wojny, krwawe i straszne. Genewa (1534 r.) oświadczyła się także za nowymi zasadami, a prócz tego, na domiar nieszczęścia całego związku, ogłosiła się niezawisłą rzecząpospolitą. Korzystał z tego, nie tracąc ani chwili, książę sabaudzki, który oddawna rozciągał do niej pretensye, i ruszył z wojskiem na nią. Bern, ujmując się za sprzymierzeńcem, połączywszy siły swe z Francją, odparł księcia sabaudzkiego i zdobył na nim Waadtland.

Mniejsze zaburzenia, z powodu religijnego rozdwojenia, niepokoiły wewnątrz Szwajcaryi aż do r. 1718. Przez cały jednakże przeciąg ten czasu, niezmienną polityką Szwajcaryi było zachowywać jak najściślejszą neutralność na zewnątrz. Nie mieszała się ona nigdy do spraw sąsiadów, i ograniczała się jedynie na wspomaganiu wojskowym posilkiem sprzymierzonych z sobą. Z całej téż Europy jedyny to kraj, którego neutralności również nie naruszono bardzo długo. Skutkiem takiego stanu rzeczy, wzrosły w kraju tym przemysł, handel i rolnictwo, zakwitły sztuki i nauki. W wielu gałęziach przemysłu i rękodzielnictwa prześcignęli Szwajcarowie innych, a w naukach i sztukach imiona wielu ich mężów zjednały sobie nieśmiertelną sławę w świecie. Ale ten sam stan rzeczy wprowadził i to, że wojownicy niegdyś Szwajcarowie, zgnuśnieni teraz zupełnie, wojsko swoje zaniedbali i daleko od postępów zagranicznych w udoskonaleniu go odstąpili; karność i porządek poszły w zapomnienie, i gdyby nie Zurich i Bern, które zawsze jako przewodniczące całemu związkowi występowały, i zawsze z baczną uwagą pogranicze w obronnym utrzymywały stanie, Bóg wie jaki los byłby ich spotkał. Bo nie tak już teraz łatwo byłoby sobie poczynać, jak dawniej, kiedy drobne, rozrzucone wokół hrabstwa i księstwa słabo mogły zagrażać ich potędze; teraz trzeba było mieć się na baczności przeciw dwóm silnym i wzmogłym na silach mocarstwom: Francyi i Austrii, które zawistnie na siebie patrząc okiem, lada chwila stanowcey mogły cios zadać drobnemu zapasnikowi, przegradzającemu je od siebie.

A może też to zawistne i nieprzyjazne dwóch tych sąsiadów położenie, posłużyło na zbawienie Szwajcaryi.

Idee kierujące straszniemi we Francyi wstrząszeniami w końcu XVIII stulecia, łatwy bardzo znalazły dostęp w Szwajcaryi. Oddawna tu wrzasa skrycie ta sama walka między klassami ludzi, i między stanami, w których czas zatępił pamięć dawnego stanu rzeczy, dawnych przyrzeczeń i zapewnień. W Genewie, długo przed wypadkami we Francyi, utworzyły się dwa stronnictwa, najzaciebiej przeciw sobie w zasadach samych występujące. Demokratom genewskim wypadki francuskie przyszły bardzo na rękę i w samą porę. W Bazylei i Waadt również ochoczo wiadomość o nich przyjęto. Powstania częstkowe wszędzie wybuchaly lub gotowały się. Rzeczpospolita francuska wysłała wojska na wprowadzenie nowego porządku. Bern opierało się walecznie, lecz napróżno; 5 marca 1798 r. uledek musiało przemocy. Zbывało wszędzie Szwajcarom na jeździe, artylleryi, na generałach dobrych i na jednocy. W kwietniu, ogłoszona została w Aarau rzeczpospolita Helwecka, wywołana na świat, rozkazem rządu francuskiego. Mieszkańcy kantonu Waadt z niewypowiedzianem, z szalonem mężstwem i poświęceniem walczyli przeciw napastnikom kraju swego; drogo też zaciętość swoją później okupić musieli. Francuzi najstraszniejszymi kraj gnebili rekwizycyami i kontrybucyami; familie wpływające dawniej do rządów kantonowych z majątków odarli, skarbiec berneński zabrali i Genewę do siebie przyłączyli.

Po wielu nareszcie zmianach ustawy rzeczpospolitej Helweckiej, w której zniszone już zupełnie były różnice kantonowe, po wielu jeszcze bojach i wstrząszeniach, r. 1803, Napoleon kazał się zjechać deputowanym szwajcarskim do Paryża, i podał im akt medjacyi, mocą którego do składu rzeczpospolitej Helweckiej włączył 19 kantonów, do dawnych przyłączając kraje podwładne i hołdownicze. Veltlin odpadł do rzeczpospolitej Cisalpińskiej. Wallis otrzymał ustawę osobną, później jednak wcielony został do Francyi. Neuchatel oddany marszałkowi Berthier, jako księstwo dziedziczne. Ogromne ofiary pieniężne, dostawy wojskowego kontyngensu i dogadzanie nadskakujące polityce Francyi, zaledwie potrafiło

wyjednać związkowi cięń dawniej jego niezawisłości.

Upadek Napoleona i pokój Paryżki 1814 roku, wszystkie te zmiany odrazu zniszczył, i wyrwał Szwajcaryę zpod zwierzchnictwa Francyi; kongres zaś wiedeński, do liczby jej kantonów przywrócił zagrabione przez Francję: Neuchatel, Wallis i Genewę, a całości miejsce w rządzie państw europejskich zapewnił.

Po roku 1830, przez lat cztery Szwajcaryą bezprzestannie wstrząsały zaburzenia, wynikające po większej części z domagań wieśniaczej części kantonów, żywione podżeganiem przybylców, i do smutnych doprowadzające wypadków. W r. 1834, zaledwie nie wplątała się ona w wojnę z Francją, z powodu, że kanton Aargau wydać nie chciał wychodźca Napoleona Bonaparte, pretendenta do tronu Ludwika Filipa, teraźniejszego prezydenta Rzeczypospolitej Francuskiej; kwestya zakończyła się dobrowolnym wyjazdem pretendenta.

Wstrząśnienia religijne również pojawiły się w ostatnich czasach w Szwajcaryi, a chęć im położyć tamę (27 stycznia 1834 r.) deputowani z kantonów Berni, Luzern, Bazylei, Soloturn, Aargau, Turgau i Saint-Gallen, odbyli konferencyę w Baden (kanton Aargau), na której postanowili niektóre punkta, dotyczące praw i stosunków państwa do spraw Kościoła. Artykuły postanowione na tej konferencyi, papież potępił okólnikiem do duchowieństwa szwajcarskiego przesłanym, a w kantonach Aargau i Bern, lud tak dalece przeciw nim się oburzył, że przyszło do zaburzeń. W r. 1836, w kilku kantonach, należących do konferencyi badenskiej, klasztory oddano w zawiadowanie władzy świeckiej, i ograniczono liczbę nowicyatu. Z tego powodu nowe zaburzenia, a mianowicie w kantonie Aargau. Jakkolwiek bowiem kanton głównie zamieszkują protestanci, i faktycznie wyznanie reformowane jest panującym, to katolików jednakże znaczna znajduje się tam liczba. Rada kantonalna zaś postąpiła sobie z nimi z taką bezwzględnością i lekceważeniem, że doprowadziła ich do najwyższego oburzenia. Wewnętrzne wrzenie chciało przytłumić za pomocą gwałtownych środków, między którymi użyto i tego, że zniszono służącą oddawna katolikom równość praw wszelkich z protestantami; lecz tym sposobem pogorszono tylko stan rzeczy i wywo-



Truskawki

lano nowe zawichrzenia. Sądono, że z klasztorów główna do tych manifestacji wychodzi podnieta; rząd zatem kantonowy postanowił, 13 lutego 1841 r. zniesienie kilku klasztorów. Wszystkie kantony katolickie, a z nimi i nuncjusz papieżki, wystąpiły z protestacjami przeciw tak samowolnemu krokowi, powołując się na art. 12 *aktu federalnego*, który zapewnia klasztorom najzupełniejszą bezpieczeństwo, i osłonę posiadanych przez nie majątków, o ile to w mocy rządu będzie. Rząd aargauski w niczem od swego odstąpić nie chciał, i kwestya po trzykrotném przedstawianiu jej na sejmie, zaniedbaną zupełnie została.

W Zurich w 1839 r., z powodu powołania do uniwersytetu na professora teologii Dr. Straus, o którym lud był uprzedzony, że szerzy nauki przeciwne ewangelii, przyszło do krwawych i tak ważnych zajęć, że rząd złożył władzę swoją i mianowano rząd tymczasowy. Zgromadzeni w kilkanaście tysięcy wieśniacy zalegli miasto, i ani słysząc nie chcieli o tém, żeby Straus mógł wykładać w uniwersytecie. W Wallis, Waadt i Lucernie zaburzenia z powodu kwestyi o wprowadzenie Jezuitów (1845 r.) rozwinęły się do tego punktu,

że cały kraj przejęty był niespokojnością. Rada związkowa nie mogła obojętnie patrzeć na takie zawichrzenia; wydała przeto postanowienie, aby Jezuitów z kantonów wywołano, zakłady ich skasowano, i klasztory niektóre zamknięto. Skutkiem tej uchwały, kantony katolickie skojarzyły się w osobny związek, *Sonderbund*, i zamierzyły oprzeć się, choćby i siłą, postanowieniom rady. Po wielu sporach, naradach, układach, dawną radę rozwiązano, a nowo wybrana uchwaliła, żeby oporne kantony siłą zmusić do posłuszeństwa (1847 r.). Zwołano kontyngens kantonów reformowanych i oddano je pod dowództwo generała Dufour. *Sonderbund* także wystawił wojsko. Przyszło do krwawej bitwy pod Freiburgiem i w innych miejscach. Kantony *Sonderbundu* uległy przewadze sił związkowych, i ponieść musiały kosztą całej przeciw nim wyprawy. Zyskały jednak to, że akt związkowy z 1814 r. został zmieniony, w punktach religii dotyczących, i zapowiedziano reformę całej ustawy, co, jakśmy wyżej powiedzieli, dokonane zostało, i nowa ustawa związkowa ogłoszoną na dniu 12 września 1848 roku.

POZIOMKI I TRUSKAWKI.

Któż z radością nie wita tych miłych i orzeźwiających i niemal pierwszych owoców, któremi przebudzona z zimowego letargu ziemia, nieraz sownie nas obdarza? Czém brzoskwinie, dla swego wybornego smaku, między owocami pestkowymi, tém są poziomki i truskawki pomiędzy jagodami, do których je bardzo niewłaściwie liczone; owoc ten bowiem, ma zupełnie odmienną od jagód budowę; gdyż jagodę botanicy zowią owoc soczysty wprawdzie, lecz uwieczniony szczytkami kielicha, posiadający nasiona porożrzucane wewnątrz jego komórek, i koniecznie powstający z zawiązku czyli dolnej części słupka jak np. u porzeczki. U poziomka zaś i truskawek, soczystą i główną część, stanowią rzeczywiście osadnik kwiatowy, w szczegól-

ny sposób rozrośnięty; właściwymi zaś owocami, są tu drobne, dość twarde ziarenka na powierzchni wspomnianego osadnika umieszczone, z których każde powstaje z osobnego zawiązku, i należy do kategorii owocu, zwanego orzechem.

Osobliwie przyjemnym smakiem i aromatycznym, jedynie sobie właściwym zapachem, odznacza się *Pozionka właściwa* (*Fragaria vesca* L.), bez żadnych starań i opieki człowieka po lasach i gajach rosnąca; przeniesiona do ogrodu, zyskuje ona wprawdzie na bujności liścia i owocu ⁽¹⁾, lecz za to wiele traci na dobrych przymiotach ostatnich.

⁽¹⁾ Mówię tu o owocach Poziomki, często brać je błądzący nie w znaczeniu botaniczném, lecz powszechnie przyjętém.

Gdy jednak pomimo tego, jużto dla aromatycznego zapachu swego, jużto dla wybornego smaku i pięknej powierzchowności, uprawiane poziomki, znane u nas pod ogólnem nazwiskiem *truskawek*, słusznie policzono do najlepszych ogrodowych owoców, sądzimy przeto, że pożądanem będzie dla wielu czytelników poznanie gatunków, i chowu tego ulubionego płodu, który, zdaniem naszym, hodować się powinien w każdym ogrodzie. A może niejeden z przyjemnością się dowiędzie, że nie posiadając nawet ogrodu, w swoim mieszkaniu, a do tego wśród zimy, dość obfitym zbiorem jego cieszyć się może.

Sama roślina Poziomka (*Fragaria*) należy podług układu przyrodzonego, do rodziny roślin różowatych; w układzie zaś sztucznym Linneusza, do gromady kielichopręcikowej, rzędu wielosłupkowego. Odnacza ją kielich 10-dzielnny, o pięciu działkach zewnętrznych szczuplejszych, naprzemianległych z wewnętrznymi. Płatków w koronie pięć, te są owalne lub okrągławe, rozłożyste i krótkimi paznogietskami na kielichu osadzone. Pręcików liczba nieoznaczona (około 20), o nitczkach krótszych od płatków.

Słupki liczne, bardzo drobne, o szyjce bocznej i znamieniu uciętym, umieszczone na osadniku wypukłym, który bardzo się rozrasta, i zamienia się w soczyste, jajowate lub różnokształtne, rozmaicie ubarwione ciało, brane pospolicie, jak wyżej nadmieniliśmy, za owoc jagodę. Owocem jej prawdziwym, jak już powiedzieliśmy, są drobne orzeszki na powierzchni osadnika rozpięchłe, po jednym drobnutkiem nasionku w sobie zawierające. Między uprawianiami zdarzają się odmiany jednopłciowe, tojest mające same tylko pręciki lub słupki; takich osobno, nigdy sadzić nie należy, bo nie mogą być upłodnione.

Lodygi poziomek przy swojej podstawie, większej części puszczają rozłogi, które ścieląc się po ziemi w pewnych odstępach, tworzą zrazu oczka; z tych następnie rozwijają się nowe keпки lodyg i liści, zapuszczają w ziemię swoje korzonki, i odrywając się z czasem od macierzystej rośliny, żyją potem zupełnie niezależnie od niej. Na tę to przyrządzoną własność, opiera się, jak zobaczymy, jeden z najłatwiejszych sposobów ich sztucznego rozmnażania.

Dziko rosnących gatunków poziomki, w kraju naszym mamy tylko dwa: *Poziomkę właściwą* (*Fragaria vesca* L.), o której wyżej nadmieniliśmy, i *Poziomkę górną* (*Fragaria collina* Ehrh).

Poziomka właściwa ma korzeń gałęzisty, brunatnawy; lodygę delikatną, kosmatą, przy nasadzie liczne puszczającą rozłogi; liście korzeniowe troiste, długo-ogonkowe; ogonki w nasadzie dwiema przysadkami błoniastymi opatrzone, włosami białymi rozwartymi porośle; listki przewrotnie jajowate, słabo sfaldowane, na brzegach grubo-pilkowane, ze spodu jedwabistym włosem okryte. Kwiaty białe, wierzchołkowe szypulkowe; płatki okrągławe, białe, od działek kielicha dłuższe; kielich po dojrzeniu owoc, zwisły. Osadniki eliptyczne, ostrokątne, niekiedy prawie koliste, po dojrzeniu czerwone lub blade czerwone, z łatwością od kielicha oddzielające się; przyjemnej woni, słodko-kwaskowatego smaku, wszystkim znane pod nazwiskiem *poziomek* czyli *jagód czerwonych*. Rośnie wszędzie bardzo obficie, w lasach i gajach, a czasami i na pagórkach mniej otwartych.

Poziomka górną, bardzo podobną do poprzedzającej, wzrost jednak na mniejszy, wszystkie części bardziej kosmate; szypulki cieńsze, okryte włosem z początku przytulonym, następnie rozłożystym lub na dół mniej więcej odgiętym. Kielich po dojrzeniu owocu nie zwisły, jak u poprzedzającego gatunku, lecz do niego przytulony. Nakońiec gatunek ten znamionują osadniki prawie zawsze kuliste, więcej ściśle, barwy nieco bledszej, mniej soczyste lecz więcej słodkie, odrywające się od kielicha dość trudno, z pewnym łoskotem czyli trzaskiem; dlatego w Litwie-lud nazywa je braszki (od braszket, trzaskać). Być zatem może, ztąd poszło i nazwisko *truskawek* czyli *trzaskawek*.

Poziomka górną, przytrafia się na pagórkach otwartych, mianowicie gliniastych, niekiedy w zarosłach i gajach suchych; obficie jednak w północnych okolicach naszego kraju, niż w południowych.

Prawdopodobnie z obydwóch tych gatunków, a także z niektórych alpejskich i amerykańskich nawet, przez długoletnią kulturę w ogrodach, powstał długi szereg odmian *truskawek*, których pierwotne szczepy bardzo trudno wysledzić się dają. Szczególniej angielskie ogrodnictwo, przyczyniło się niezmiernie do przynależenia tych od-

mian, i wysiliło się do tego stopnia, że otrzymano owoce, można rzec potwornej wielkości, mające aż do 8 cali w obwodzie.

Opiszemy w krótkości przynajmniej głównejsze gatunki, rasy i odmiany, w części już i u nas pielegnianych truskawek.

I. Truskawki poziomkowate.

Liście blade, małe, lub średniej wielkości; owoc okrągławy lub podługny, znacznie kwaskowaty; jawnie pochodzące ze szczepu poziomki właściwej.

1. *Truskawka miesięczna czyli alpejska* (*Fragaria vesca semperflorens*, Fraisier des Alpes), owoc w smaku prawie taki jak u poziomki zwyczajnej, znacznie jednak większy, podługowaty. Jest może najszacowniejsza ze wszystkich, gdyż w gruncie kwitnie ciągle i rodzi owoc, poczynając z wiosny do późnej jesieni, a w inspektach lub cieplarni i przez całą zimę. Owoc jej czasem wyradza się w kulisty, lecz wyprowadzony znowu z nasion, wraca do swego typu. Zdarza się pododmiana z owocem białym. Chcąc mieć z niej więcej i bujniejsze owoce, należy z wiosny, gdy dużo ma kwiatów, dokoła macierzystych kępek, poobcinać w pewnej odległości rozłogi, i ogarnąć nieco ziemią.

Ma ona drugą poddromianę *bezrozkową* (*Fr. v. s. effragellata*, Fraisier de Gaillon) bardzo przydatną na bordiury w ogrodach; lecz tę często należy rozdzielać przesadzając, gdyż prędko wyrasta w gęste kępy i plonieje.

2. *Truskawka bezrozkowa* (*Fragaria vesca effragellata*, Fraisier Buisson) oddawna używana na bordiury; z powodu że nie występuje, dla braku rozłogów podobnie jak ostatnia pododmiana poprzednia, na drożki w ogrodach. Lecz ponieważ ma owoc zaledwie wielkości zwyczajnej poziomki, a do tego do roku raz tylko rodzi, lepsza zatem na ten cel także pododmiana truskawki miesięcznej.

3. *Truskawka dubeltowa* (*Fragaria vesca duplex*, Fraisier à fleur double). Kwiat ma dubeltowy, z powodu, że zamiast kilku zewnętrznych szeregów pręcików, wykształcają się płatki korony; lecz ponieważ część pręcików, dostateczna do upłodnienia pozostaje, daje więc owoc, który wszakże bywa nie większy od poziomek zwyczajnych. Ta przeto truskawka więcej dla osobliwości jak dla pożytku bywa hodowana.

4. *Truskawka jednolistkowa* (*Fragaria vesca monophylla*, Fraisier à une feuille) otrzymana jeszcze w r. 1761 przez samego Duchesna z nasion poziomki właściwej dzikiej. Odnacza się ona tęp, że ma po większej części liście nie troiste, lecz o jednym tylko listeczku; nadto pierwsze jej kwiaty miewają zwykle od 10 do 15 płatków; owoc podługny lub nieforemny kańciasty.

5. *Truskawka dziwaczna* (*Fragaria vesca portentosa*, Fraisier de Montreuil). Wynioslejsza od poziomki zwyczajnej; cehuje się głównie owocami, z których pierwsze bywają u niej większe od następnych i do tego dziwacznych, kańciastych kształtów. Miewa pododmianę z białym owocem.

II. Truskawki właściwe.

Liście małe, ciemno-zielone, lub błękitnawe; łodygi cienkie, kwiaty drobne, dwu lub jednopłciowe; kielich do owocu przytulony, owoc kulisty, mały, rozmaitej barwy i smaku, odrywający się, podobnie jak u poziomki górnej, której niewątpliwem zdaje się być pokoleniem, z pewnym trzaskiem, z kąd i Francuzi dają im ogólne nazwisko *Craquelins*.

6. *Truskawka bergamutowa* (*Fragaria collina bergamontis*, Fraisier de Bergemont). Łodygę ma znacznie gąłżistą; owoc obfity, okrągły, ciemnoczerwony, ścisły, aromatyczny, dający się pożywać tylko zupełnie dojrzały.

7. *Truskawka zmiennoliściowa czyli zielona* (*Fragaria collina heterophylla*, Fraisier heterophylle). Liście o 3, 4, 5 listeczkach niekiedy przysadkowatych; pierwsze kwiaty blisko ziemi położone, zielonkowate, owoc okrągławy, nieco omszony, soczysty, w smaku wyśmienity.

8. *Truskawka szampańska* (*Fragaria collina campana*, Fraisier de Champagne, Vineuse de Champagne). Liść drobny, łodyga i jej rozgałęzienia cienkie; owoce w części okrągłe, podługowate lub dziwacznie kańciaste, smaku winnego.

III. Truskawki piżmówki.

Liście bladzielone, duże, kosmate; łodyga prosta, tęga, kwiaty średnie dwu lub jednopłciowe; kielich wzniesiony; owoc wielki, okrągławy, ciemnoczerwony, smaku szczególnego a woni częstokroć piżmowej. Ich głównym szczepem jest:

9. *Truskawka królewska* (*Fragaria elatior*, Willd. Capron royal), uważana za oddzielny gatunek poziomki. Odnacza się kwiatem dwupłciowym, o trwałych pręcikach i owocem pismowym, tęgo-mięsistym.

10. *Truskawka samcza* (*Fragaria elatior mascula*, Capron mâle), ma kwiaty o samych tylko pręcikach, nie wydaje zatem owocu, lecz służy do upłodnienia następującej, z którą razem hodowana być powinna.

11. *Truskawka samcza, czyli pospolita* (*Fragaria elatior-faemina* v. *communis*, Capron commun), przeciwnie ma kwiaty ze słupkami, a pozbawiona pręcików; owoc jej czyli raczej osadnik podłużny, przy nasadzie z orzeszków, tojest właściwych owoców obnażony, soczysty, rozplywający się, mocno aromatyczny.

IV. Truskawki szkarłatki.

Liście bardzo wielkie, niebiesko-zielone; kwiaty drobne lub średnie, jedno lub dwupłciowe, owoc mały lub średniej wielkości, szkarłatny, w ogólności wcześniejszy od innych ras truskawek; kielich do owocu przytulony; owocki głęboko pogrążone w dolkach osadnika.

12. *Truskawka kanadyjska* (*Fragaria canadensis*, Mich. Fr. Virginiana Willd, Fraiser de Virginie). Liście długie, o listkach wąskich, kwiaty drobne, samcze lub dwupłciowe; łodyga bardzo krótka; owoc niewielki, okrągły, bardzo wczesny. Czasami rodzi dwa razy do roku.

Z jej odmian przez angielskich ogrodników wypielegnowanych, bardzo zalecają się osobliwymi przymiotami, i u nas byłoby pożądane: Rosberry, Grimstone, Duc de Kent i inne.

V. Truskawki Ananasówki.

Liście także bardzo duże, o listkach nierównie większych niż u szkarłatek; kwiaty bardzo wielkie, dwupłciowe; kielich do owocu przytulony; owoc wielki, okrągły, lub podłużny, czerwony, różowy lub biały, bardzo soczysty, co do woni jednak zmienny. Tu należą:

13. *Truskawka karolińska* (*Fragaria caroliniana*, Fraiser de Caroline). Owoc okrągły, mocno różowy, mał lub też polyskujący, bardzo soczysty,

wewnątrz biały lub czerwony, w smaku nie szczególny. Ma odmianę, z owocem białym.

14. *Truskawka batońska* (*Fragaria bathonica*, Fraiser de Bath). Liście ma gęstsze i szersze od poprzedzającej; łodygi krótsze; kwiaty takie same, lecz owoc większy, zmienny w swoich kształtach, o tle białem w różowych plamkach; w cieniu owoc bywa zupełnie biały; mięso jego soczyste, nieco aromatyczne.

15. *Truskawka właściwa ananasowa* (*Fragaria grandiflora*, Willd; Fraiser ananas); owoc duży jasno szkarłatny, orzeszków na nim mało, pogrążone w głębokich dolkach; lecz główny charakter truskawki stanowią szypułki, które w miarę dojrzwania owocu, rosną i grubieją, przyjmując kształt maczugowaty. Gatunek ten jest najprzydatniejszy na konfitury. Zdarza się odmiana z owocem białym.

Z angielskich truskawek do kategorii ananasówek należących, bardzo piękne mają być: *Down-ton* i *Keen's Seedling*.

VI. Truskawki Chililki.

Liście mają podobne do naszej zwyczajnej poziomki, lecz nierównie większe, ciemno-zielone, ze spodu i na ogonkach pokryte jedwabistym włosem. Owoc ich bardzo duży, w czasie dojrzwania wznoszą się do góry, nie zaś na dół zwieszają jak wszystkie poprzedzające. Tu należy pierwszy gatunek:

16. *Truskawka chilijska* (*Fragaria chilensis*, Fraiser du Chili). Z powodu, że pochodzi z ciepłego kraju, u nas w gruncie zimy wytrzymać nie może i bywa hodowaną jedynie w cieplarniach. Owoc ma duży, wielkości niemal średniego kurzego jajka, żółtawo-czerwony, częstokroć niekształtny, smaku przedniego. Jest ona rozdzielnokwiatowa, i przez upłodnianie pyłkiem innych gatunków truskawek a szczególnie ananasowej, wyrodiła się w Anglii w kilka odmian, mogących wytrzymać i nasz klimat. Z tych ostatnich nader ciekawa jest:

17. *Truskawka olbrzymia* (*Fragaria hybrida*, Wil-motiana, Fraiser superbe de Wilmot). Z kształtu zdaje się być pośrednią między chilijską i ananasową; ona to właśnie miewa owoc olbrzymiej wielkości, jak wyżej powiedzieliśmy, do 8 cali w obwo-

dzie; częściej jednak miewa od 5 do 6 cali w obwodzie; barwę ma piękną, różową, smak miły.

Na dołączonej tu tablicy, są wyobrażone niektóre kształty truskawek; rozpoznanie ich wskazuje z powyższego opisu zostawiamy samemu czytelnikowi.

Wszystkie niemal gatunki i odmiany truskawek rozmnażają się z nasion, z rozłogów wkorzenionych i z rozdzielonych kepek macierzystych wraz z korzonkami. Ten ostatni sposób jest najłatwiejszy i najpewniejszy. Gdy jednakże rozmnażanie ich z nasion ma także swoje zalety, albowiem przez to mogą tworzyć się nowe i doskonalsze odmiany, a w niektórych razach, jak np. przy hodowaniu truskawki miesięcznej, ten sposób jest jedynym środkiem zapobiegającym ich wyradzaniu się, przeto i o nim nadmienić uważamy za rzecz niezbędną.

W tym celu wybierają się najpiękniejsze i najdojrzalsze truskawki, kładą na talerzu i stawiają w miejscu suchym, zamkniętym, gdzie powoli gniją i wysychają. Nie należy obawiać się zepsucia nasion przez gnienie czyli rozkład osadnika, gdyż to jest porządek naturalny: nasiona pojedynczo zawarte tu w drobnych orzeszkowatych owocnikach swoich, tém lepsze i dojrzalsze będą, im dłużej pozostaną w związku z żyjącym je osadnikiem, to jest aż do zupełnego i dobrowolnego rozkładu jego. Poziomki miesięczne, na ten cel biorą się pod koniec lata, dla pewności, żeby przypadkiem inne odmiany nie zamieszały się. Dobrze wysuszone zachowują się aż do następnej wiosny; poczem rozciera się je pomiędzy palcami, i tym sposobem oddziela się nasienie, a raczej owocki od wyschlęj masy osadnika. W kwietniu posieje się nasienie w inspekcje lub szerokiej donicze napelnionej pulchną ziemią, pokryje się zrazu cieniutką warstwą ziemi, a następnie delikatną warstwą mchu, który jak skoro tylko nasienie zejdzie, zdjąć należy, gdyż przed wydobyciem się kielka na zewnątrz, obecność światła w części jest przeszkodą w rozwijaniu się; lecz po zejściu nasienia czyli po narodzeniu się młodej roślinki, światło dla niej jest bodźcem niezbędnym. Dla utrzymywania należytej wilgoci, mech codziennie skrapiać potrzeba. Jeżeli nasienie było dojrzale, należy je przechowywać, i w porze zasiane, zejdzie w przeciągu 12 a najdalej 24 dni. Skoro roślinki

nabiorą dostatecznej siły, przesadzi się je w grzędy po 3 lub 4 razem, by kępki stały się piękne i silne, które z początku, samo przez się rozumie, polewać wypada. Nadto, należy przycinać im zrazu młode rozłogi, by się nałożyły w kępki rozrosły. Tym sposobem pielęgnowane, kwitną zwykle już w drugim roku, i obfity plon wydają.

Przez rozłogi, truskawki rozmnażają się nader szybko i łatwo. Do tego zwyle biorą się zakorzenione rozłogi, najbliższej kępki macierzystej, gdyż te są najsilniejsze, a zatem i najprzystatniejsze. Pora do oddzielania rozłogów najlepsza w sierpniu: od tego bowiem czasu, do zimy roślina może się nałożyć zakrzewić i nabrać dostatecznej siły. Trzeba przytém zwracać na to uwagę, by macierzyste kępki od których idą rozłogi, nie były zbyt stare, w takim bowiem razie poziomki zwykle plonują.

Rozmnażanie przez rozdzielanie starych kępek czyli krzaczków uskutecznia się także bardzo łatwo i dogodnie. Potrzeba przytém starannie tylko poucinać zbyt stare łodygi. Uskutecznia się to najlepiej z wiosny w kwietniu, lub ku jesieni pod koniec sierpnia, i przesadza się w dobrze przygotowane grzędy. Wybiera się do tego dzień, jeżeli to być może, pochmurny, lub nieco dżdżysty, a gdy takowego doczekać się nie można, przynajmniej wieczór chłodnawy; po rozsądzeniu należy co dzień obficie polewać, aż się dobrze nie przyjmą.

Truskawka wymaga ziemi dobrej, lekkiej, pulchnej i suchej, miejsca niezbyt wystawionego na promienie słoneczne, tak przynajmniej, żeby po południu w cieniu znajdować się mogła. Jeżeli ziemia nie jest dla niej właściwa, należy jedną lub kilka grzęd dla niej naumyślnie przygotować, dodając w miarę potrzeby piasku, mierzwy próchna z drzew i tym podobnych materij. Tam, gdzie niema dość przyzwoitego gruntu dla truskawek, by je przesadzić w świeże miejsce, można przesadzić i na tych samych grzędach. Uskutecznić to można nawet zaraz po zebraniu owoców, pod koniec czerwca lub w pierwszej połowie lipca, wybrawszy do tego dnia dżdżyste, i starannie polewając dopóki się nałoży nie przyjmą. W takim razie przed zimą urosną spore krzaczki, i już na rok następny dadzą plon obfity. Lecz jeżeli lato jest zbyt gorące, to lepiej przesadzanie odłożyć do września. W takim razie najwłaściwiej wszystkie kępki truskawek

wydobyć wcześniej z ziemi, przenieść w miejsce dobrze oświetlone, wkopać, grządy starannie oczyścić, przetrwoną kruszą mierzwę uprawić, a na początku września porożsadzane truskawki wnet się rozkrzewią, i w roku następnym rodzić poczyna. Nawet w końcu września sadzone udadzą się, lecz plonu na drugi rok jeszcze nie będzie. Zbyt późno sadzone, bardzo łatwo wymarzają; przeto w razie spóźnionej pory, lepiej poświęcić jeden zbiór, i pracę odłożyć do przyszłej wiosny.

Żadna prawie z odmian truskawek nie obawia się zbytku nawozu i częstego polewania.

Jeżeli się używa truskawek do wysadzania rabat, dokoła drózek w ogrodach, każdy gatunek osobno sadzić należy, dlatego, żeby potem w różnych porach dojrzewające owoce z łatwością zbierać można było.

Odstępy jakie zachować należy przy sadzeniu truskawek, zależą od bujności ich wzrostu. Słabsze, jak np. truskawka miesięczna, i wreszcie wszystkie należące do dwóch pierwszych grup w rabatkach, sadzą się w odstępach 1-stopowych, bujniejsze zaś w odległości 2 do 2½ stopy. W grzędach najlepiej sadzić je płotkami lub trójkami; tym bowiem sposobem, tworzą się nie tylko sporsze kępki, tak, że już w trzecim roku rozłogami łączą się z sobą, ale nadto dają się łatwo oczyścić z chwastów. Właściwie w trzecim roku, zaczyna się ich plodność prawdziwa, i zwiększa się coraz bardziej w 4^{ym} 5^{ym} i 6^{ym} r.; w 7^{ym} lub 8^{ym} r. dopiero ta nadzwyczajna urodzajność zaczyna słabnąć, i wtedy to właśnie potrzeba wrócić im młodzieńcze siły przez rozdzielanie i przesadzanie.

Grzędy pod truskawki, powinny być około 4 stóp szerokie, ażeby łatwo można było zbierać owoce i oczyszczać z chwastów, które już odyskują pożywienie i zagluszają. Dobrze już na zimę między poziomkami ziemię nałożyć przegniłą mierzwą na cal grubo; na wiosnę zmieszać ją z ziemią, grzędę przekopując, urównać ją dobrze, i zrobiwszy koło każdego krzaczku małe zakłębienie, otoczyć je dokoła cienką warstwą mchu, który będzie je chronił od wybijania w czasie ulewnych deszczów, zatrzyma koło nich wilgoć, i nie dopuści walać się w ziemi owocowi.

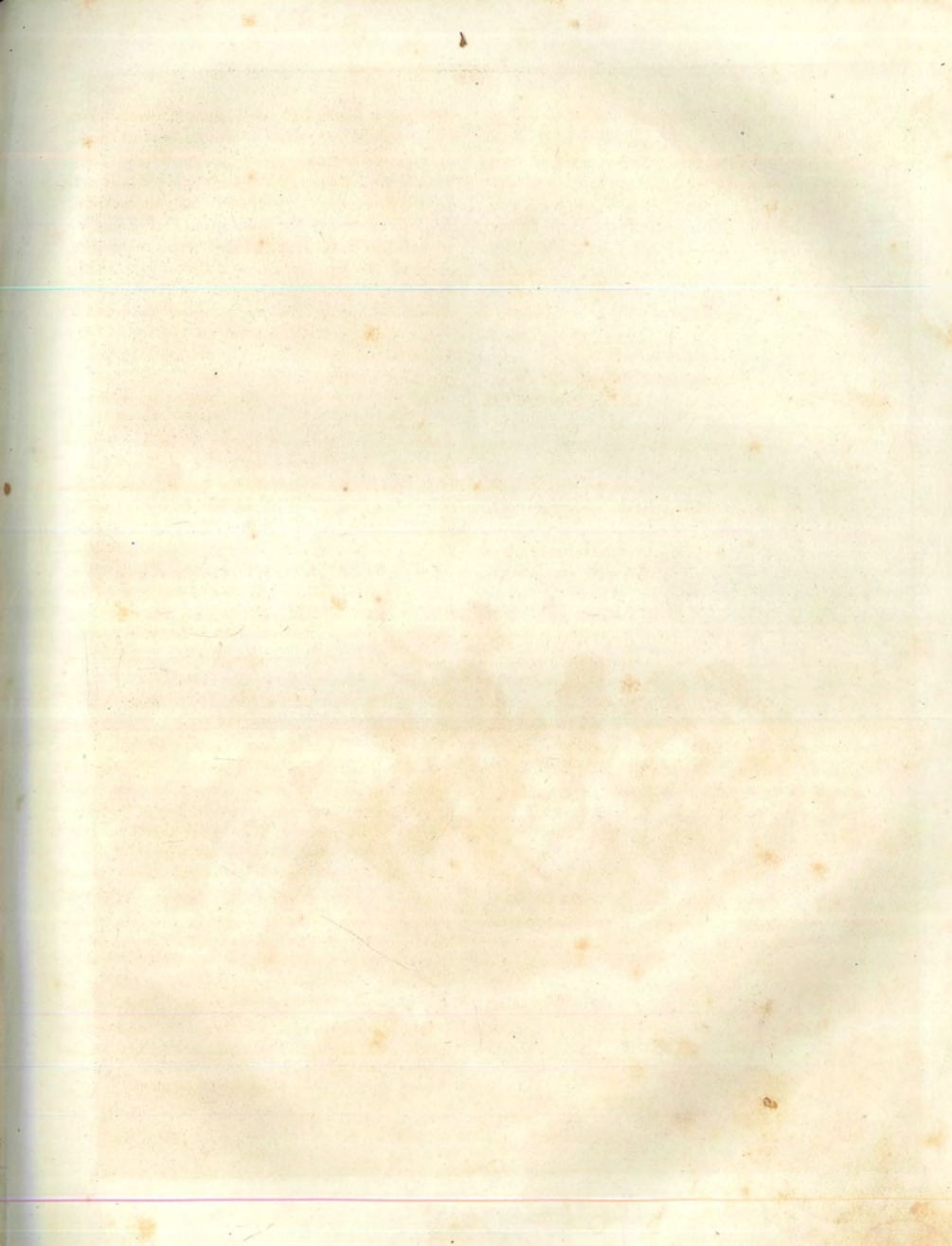
Chcąc mieć truskawki podczas zimy lub bardzo wcześniej na wiosnę w swoim pokoju, należy sadzić na wiosnę młode fance z truskawki mie-

sięcznej, w doniczkach, napełnionych ziemią tłustą i spulchnioną. Zostawić je na ogrodzie lub innem miejscu, do południa tylko na słońce wystawionem, aż do października i pilnie polewać. Jak tylko nastąpią słabe przymrozki, natychmiast biorą się doniczki do pokoju, stawiają się tuż przy oknie od południa położonem, gdzieby niemal cały dzień miały słońce; wprzód jednak zdejmują się warstwa ziemi z doniczek, i zastępuje się świeżą dobrze uprawioną, poczem starannie polewając i utrzymując stale w temperaturze niewyższej nad 18° ciepła podług ter. Reaumur'a, można mieć przez całą zimę znaczny zbiór owoców.

W grzędach truskawek radę przesiadywać żaby i ropuchy, które zjadają dojrzały owoc i nie mają wstręt wzbudzają. Łatwo je wszakże wylędzić, trącając zlekką łaską po kępkach, i w miarę możności trzeba wytępiać. Trudniej daleko wytępić z nich ślimaki, które bardzo lubią owoce poziomek i truskawek, i wielkie szkody w nich zrządzają. Zmniejsza się je nieco, kładąc gdzieś gdzie w grzędach, deszczulki, kamyczki, cegły i t. p. pod którymi we dnie te istoty ukrywają się, a zatem w części przynajmniej dają się tym sposobem wygubić.

Własności i użycie poziomek i truskawek. Pod względem chemicznym badane właściwe poziomek, zawierają w sobie głównie: kwas jabłeczny, cukier niekrystalizowany, gumę, pierwiastek aromatyczny bardzo lotny, i bardzo wiele wody roślinnej. Owoc ten ma własności chłodzące, diuretyczne; o jego zaś smaku, zdaje się, nie potrzebujemy nadmienić, gdyż zapewne rzadko który z czytelników nie jest amatorem tego wyborowego specyaku. Dla cierpiących na zatrzymanie uryny, poziomek bez wątpienia, ze wszystkich środków są najprzejemniejszym lekarstwem. Nie radzę wszakże używać poziomek osobom mającym, jak to zwykle mówią, żołądek zimny, gdyż u takich one przyczyniają się do niestrawności. Wyciśnięty z nich sok, i rozcieńczony ocukrowaną wodą, daje łagodny i zarazem chłodzący napój, szczególnie w słabościach zapalnych zalecony. Znakoimity Linneusz niezmiernie zaleca sok poziomekowy na spędzenie kamienia i podagry.

Pląc piękna używa niekiedy wodę poziomekową, przez alembik przepędzoną, do mycia, dla nadania ciału więcej świeżości i delikatności.





Poziomki i kwaskowate truskawki, ocukrzzone, z białem lub czerwonym winem, stanowią nader przyjemny pokarm, który pożywać mogą osoby nawet zimny żołądek mające. Pożywane z mlekiem, są również przyjemne.

Wielka soczystość i delikatność tkanki w poziomkach i truskawkach, nie pozwala długo przechowywać tego owocu; lecz za pomocą metody

Apperta, która polega na gotowaniu owoców w szczelnie zamkniętych naczyniach szklanych, zanurzonych we wrzącej wodzie, można przynajmniej ich aromat zatrzymać, i następnie udzielać go jako przyprawę do pewnych zbytkowych łasoci, jak np. kremów, lodów, karmelków i t. p., lub też do zaprawy likworów.

A.

POŻAR OKRĘTU.

(Opowiadanie podróжного).

Dwudziestego czwartego sierpnia 1844 r. wsiadłem w Bombay na statek kupiecki, *Karl Eldon*, pod dowództwem kapitana *Theaker* zostający, w zamiarze odwiedzenia rodzinnego kraju. Był to okręt dość wielki, 600 beczkowy, mocny i piękny; słowem, można było spodziewać się, że ani fale, ani wiatry go nie zmogą. Ale któż może przewidzieć jaki go los jutro czeka?

Statek był naładowany bawełną; że zaś niewielu było podróżnych, pomieszczono ją i między pomostami, tak ściśle upakowawszy, że trudniej niezawodnie byłoby ją wydobyc, niżeli przyszło ułożyć. Na nieszczęście zwieziono bawełnę na okręt wśród ogromnej ulewy; przemieniała więc zupełnie, a czasu nie było wysuszyć ją przed odjazdem; skutkiem zaś mocnego ściśnięcia i ugniecenia, moka bawełna zagrzewa się jak siano mokre w stogach, i łatwo się może zapalić.

Na okręcie znajdowało się wraz z osadą okrętową czterdzieści pięć osób, w liczbie tej trzy kobiety i małe dziecko. Dwudziestego szóstego września, doznawszy wiele przeciwności od wiatrów, burz, ulewnych deszczów, wyglądaliśmy już z niecierpliwością przybycia do przylądka Dobrej-Nadziei. Dnia następnego wstałem o 6^u rano, i wyszedłem na pokład, gdzie spotkałem jednego z towarzyszyw podróży, i obadwaj dostrzegliśmy, że spod pomostu wychodzi gęsta para; oświadczyłem zaraz towarzyszom, że bawełna pewno się zagrzała, i że jeżeli temu nie zapobiegna, może się rychło zapalić. Nadszedł na to kapitan; a zapytany

przezemnie o przyczynę wyziewów, odpowiedział, że to zwykle się zdarza na okrętach naładowanych bawełną, kiedy okna są otwarte. Nic na to nie odrzekłem, ale kiedy dym coraz się wzmagał i barwę zmieniać zaczął, ogarnęła mnie obawa grożącego nam niebezpieczeństwa. Zszedłem do kajuty i ubierałem się, gdy kapitan zapukał do drzwi, i oznajmił mi, że bawełna się pali, i że życzyłby sobie aby wszyscy podróżni wyszli na pokład. Zgromadziliśmy się zatem podług jego życzenia, i wtedy opowiedział nam jak rzeczy stoja: że część ładunku zapaliła się sama, że postanowił oddzielić ile będzie mógł zdrowej bawełny a resztę wyrzucić w wodę, i że uważa sobie za obowiązekawiadomić nas o tém, abyśmy się nie trwożyli.

Zdaliśmy się zupełnie na jego wolę i doświadczenie. Rozkazał więc majtkom natychmiast zabierać się do roboty, żeby dojść do miejsca gdzie się wszczął ogień. Kiedy tę czynność rozpoczęto, zapewniał nas kapitan, że nie widzi wielkiego niebezpieczeństwa, i że ma wszelką nadzieję usunąć je zupełnie. Jednak o godzinie ósmiej dym był już gęstszy i większy, a nawet z tylnych okien zaczął się dobywać; wiele pak wyrzucono, lecz zstępując ku dołowi, majtkowie wytrzymać nie mogli dusznego dymu i gorąca, i musieli zaprzestać roboty. Wtedy kapitan kazał przygotować czołna, na wszelki wypadek, zaopatrzyć je w potrzebne na miesiąc zapasy wody, sucharów i mięsa, i pozabijać szczelnie okna okrętu, żeby pożar nie wybuchnął na statku. O wpół do drugiej, prze-

prowadzono na największe czołno trzy kobiety, dziecko i dwóch chorych podróżujących. Druga godzina dochodziła, kiedy kapitan kazał okna otwierać, i wszyscyśmy się wzięli do gaszenia pożaru; dym i żar buchał coraz gwałtowniej; wyrzucaliśmy wierzchnie paki, windując je bosakami do góry, żeby dojść do palących się; ale wszystko było napróżno, gdyż pożoga ciągnęła się wszędy spodem.

Rzeczy coraz gorszą przybierały postać; wszelkie usiłowania nie nie skutkowały; próbowaliśmy rozrzucić jedną pakę, ale niepodobna było ani chwili wystać nad nią, bo ziała z niej kłęby duszne go dymu; woda powiększała go jeszcze bardziej, a niepodobna było łacić dostatecznie. Gdyby bowiem kapitan kazał był pompować wodę bez miary na okręt, bawelna byłaby rozpeczniała, i siłą rozprężliwości rozsądziła pokłady, albo też nasiąkła wodą ciężarem swym zatopiłaby okręt. Nie było co robić.—W tak rozpaczem położeniu, kapitan zwołał nas wszystkich do kajuty, i zapytał czy który z nas mógłby podać jaki środek zbawienia, gdyż jeżeliby była najmniejsza nadzieja ocalenia, to okrętu nie odstąpi.

Wszyscy jednozgodnie oświadczyli, że zrobiono wszystko co tylko można było, że nie pozostaje żadnego środka do wstrzymania pożogi. Pożar tak się gwałtownie wzmagał, że nie można już było wyjść z tylniej części; kapitan więc polecił podróżnym zejść w czołna; osadzie dał stosowne rozkazy, sam zaś dopiero o trzeciej godzinie przeszedł na trzecie czołno w chwili, kiedy płomienie zajęły już pokład tylny.

Zaledwie oddaliśmy się na pół godziny drogi, płomienie zajęły cały statek, paląc i zwalając maszty. O dziewiątej, wszystko drzewo po samą wodę spłonęło; płomień wznosił się wysoko ku niebu, ogromną kolumną oświecając złowrogą luną okoliczne wody.

Wzniosły, pyszny, ale niestety bolesny dla nas byłto widok. Nagle, z pośrodku czerwonych języków ognia, zabłysnął niebieski płomień, a za nim huk się rozległ okropny; — skład prochu, jakby na grobową salwę, ostatnie zwiastował technienie nieszczęsnego statku, wysadzając wysoko w powietrze żarzące się główne. W kilka sekund czarna ciemność pokryła świetne ognisko, i głębie morza pochłonęły na wieki ostatki naszego okrętu.

Smutne było nasze położenie. Na głównem czołnie znajdowało się dwadzieścia pięć osób, w liczbie których kapitan; było ono 23 stóp długie a 7½ szerokie; dwa mniejsze, miały po 10 osób, i każde swego oficera. Podług przybliżonego obrachowania, znajdowaliśmy się przeszło o 800 mil angielskich od Rodryguez, a o 400 od Diego-Garcias, największej z wysp Chagos, do których chcąc się dostać, musielibyśmy przebywać niejaka niebezpieczne z powodu gwałtownych trąb wietrznych, a teby nędzne nasze statki na niechybną narazili zgubę. Mając wystarczające zapasy, puściliśmy się więc w kierunku Rodryguez, oddając się pod opiekę Opatrzności, jedynej kotwicy nadziei, jaka nam w tej chwili pozostała.

Trzeciego dnia, przy zmianie księżyca, powietrze zapowiadało burzę; na szczęście, znajdowaliśmy się wtedy w okolicy wiatrów nieprzemienionych, a zatem nie było niebezpieczeństwa. W nocy tylko dokuczał nam zimny wiatr przy ulewym deszczu, który roznuoczył część zapasowych sucharów. Następnego dnia lekka burza mocno uszkodziła jedno z mniejszych czołn; ciesła okrętowy, jak mógł naprawił je, ale tej samej nocy jeszcze, kiedy burza się zwiększyła, musieliśmy osadę jego przyjąć do siebie, a czołno porzucić. Teraz było nas 36 osób, tak ściśnionych, że się ledwie poruszyć mogliśmy; balwany ciągle lód zalewały, i kilku ludzi bezustannie musiało wodę wylewać; co tylko było na czołnie mniej potrzebnego, wyrzuciliśmy, bo ośm cali tylko mieliśmy nad wodę.

Nocy tej nigdy w życiu nie zapomnę. Niepodobna mi jest opisać uczuć, jakie mną wtedy miotaly. Położenie nasze istotnie było okropne; lada chwila, potężny balwan mógł nas zatopić. Nadzieja opuściła mnie zupełnie.

Przemoczeni, gniołąc się na kupie, czekaliśmy chwili śmierci. Kapitan dodawał nam odwagi, powtarzając często silnym głosem: „to nie, to nie!” kiedy balwany rozbijały się koło nas, zalewając wszystkich rozpryskującą się wodą, i zrywając majtkom kapelusze. Nigdy nie sądził, nie przypuszczał, żeby Bóg nam dozwolił przeżyć tę noc okropną. I kapitan, jak później opowiadał, nie miał żadnej nadziei, lecz ani razu nie zdradził przekonania swego ani jednym słowem, ani ruchem, krzepiąc nas ciągłą odwagą, i ratując dzielną energią, która go ani na chwilę nie odstąpiła,

wśród ciężkich trudów i bezsenności przeszedł 46-godzinnej.

Nadszedł poranek, wiatr się nieco uspokoił, wszyscyśmy radośnie Bogu najwyższemu składali dzięki. Trzy razy dziennie wydzielano nam pożywienie, złożone z sucharów, bulionu i pół kwarty wody z wódką, to nam aż nadto wystarczało; cygar mieliśmy znaczny zapas, paliliśmy też bez litości, jak tylko ogień dał się skrzesać, i nigdy w życiu tytuł takiej mi rozkoszy nie sprawiał jak wówczas!

Trzynastego dnia zaczęliśmy śledzić oczyma pożądane brzegi Rodriguez; kapitan, nie mogąc liczyć na dokładność instrumentów, w ostatnich przygodach nieco uszkodzonych, nie nam pewnego powiedzieć nie był w stanie. Noc się zbliżała; położyłem się więc spać na przodzie łodzi; kiedy około północy obudziły mnie krzyki radosne,

oznajmujące, że widać ląd. Wstałem i istotnie mogłem wśród ciemności dojrzeć szarzącą zdaleka ziemię. Napróżno się sililem zasnąć znowu; serce było przejęte dziwnym jakimś uczuciem. Zapaliłem cygaro, i mimowolnie zadumałem wśród natłoku rozmaitych myśli i wrażeń, jakich dotąd ani odtąd nigdy w życiu nie doznałem.

Z pierwszym promieniem słońca, ukazał się w całej okazałości oczom naszym Rodriguez, a o ósmej wszyscy na ląd wyskoczyliśmy. Spotkalimy rybaka, który nas zaprowadził do swej chatki, przyjmując gościnnie wszystkich, na co starczyła chudoba, i pobiegł dać znać władzom wyspy o naszym przybyciu i cudownym ocaleniu. Niezadługo przybyło dwóch urzędników do nas, wieszając szczęśliwego uratowania i nie szczędząc starań dla zaopatrzenia nas we wszelkie wygodę i potrzeby.

KANAŁ AUGUSTOWSKI.

W rzędzie znakomitych dzieł sztuki, pracy i nauki, których okazałością kraj nasz szczycić się może, nieposlednie zajmuje miejsce kanał Augustowski. W kraju, jedyny zasób posiadającym w płodach ziemi, których obfite zbiory wystarczają nietylko na opędzenie własnych potrzeb, ale i na zasilek obcych, nie tak ku dobru ogólnemu przyłożyć się nie może, jak ułatwiona i dogodna komunikacja między oddalonymi okolicami. Jaki wpływ wywiera na rozwinięcie pracy, przemysłu i zamożności w każdym kraju, dobrze pomyślany i dokładny systemat dróg wszelkiego rodzaju; jak ważne wypełnia powołanie to urządzenie w życiu każdego narodu, zbyt cennym byłoby tu wykazywać i dowodzić. Dość rzucić okiem na dzieje tak całego świata, jak i państw szczególnych, żeby przekonać się o tym. Gdzie nie masz jeszcze dróg, zagmatwana płatanina powiazań i rozgałęzień do prostych i rozumnych celów wiodących, tam i przemysłu być nie może; tam gruba pleśń pierwotnej dzikości stosunków, zamian, pracy i spożycia na długie wieki zalegać będzie. Dobrze to zrozumiano w An-

glii, Francji i Niemczech, gdzie za ułatwieniem połączeń wzrósł handel i przemysł, a za każdym ich krokiem naprzód, rozgałęzia się szerzej, rozpięta gęścią sieć dróg lądowych i wodnych. U nas, oddawna już dość ważność tego przedmiotu dla pomyślności kraju zwróciła na siebie uwagę rządu: przed 1830 jeszcze rokiem, w wielu kierunkach wprowadzono bite gościńce (szose), które przy wzrastającym podówczas w kraju ruchu handlowym i rękodzielniczym, zbawienne sprowadzić musiały następstwa. Zamiar wybitcia kanału Augustowskiego, w tej samej powzięty epoce, z tej samej wypłynął myśli. Mieszkańcy królestwa Polskiego płody swe, wyprowadzane na handel zagraniczny, dwoma tylko drogami dostawiać mogą na targowiska obce: Wisłą lub Niemenem. Główna rzecz idzie o to, żeby towar dostał się na morze; im mniejszy koszt transportu, tym sprzedaż i spekulacja zyskowniejsza, tym interes ogółu lepszy. Wisła i Niemen doprowadzają wprawdzie do morza, ale w północnych swych częściach przyczynają kraj obcy, a tym samym splawiane niemi płody

nasze, zmuszają do opłat celnych, co nie miały przyczynia uszczerbek właścicielom. Cóż zatem zbawieniejszego dla handlu naszego zagranicznego, jak zapewnić mu wywóz do morza spławem na własnej ziemi, i uczynić go niezawisłym od urzędzeń celnych sąsiednich krajów? Tę dogodność przedsięwziął rząd zapewnić mieszkańcom, i ten był cel kanału Augustowskiego, mającego połączyć Wisłę z Niemnem. Tym sposobem z Niemna dostawsz się na Dubisę, a z tej na Windawę, wpadającą do morza Bałtyckiego, w przystani Windawskiej, położonej w gubernii Wileńskiej nad brzegiem wspomnianego morza, można wszystkie znaleźć warunki zbytu i handlu, co w Gdańsku, Królewcu, lub Memlu, było dotąd przywilejem wyłącznym kupców i meklorów, w ręku swym nasz handel dzierżących. Odtąd te miasta musiałyby stracić ważność, własnym naszym okupioną kosztem, a Windawa wzniosłaby się niezadługo w pomyślność, i stałaby się ogniskiem ruchu handlowego z zagranicą.

W roku 1823 ustalono projekt, w roku 1824 rozpoczęto rozpoznanie miejscowości, a w r. 1830, w obrębie królestwa dzieło zupełnie ukończonem zostało. Robotami około tego dzieła trudnili się oficerowie korpusu inżynierii królestwa, pod naczelnictwem gen. Małeckiego. Komunikacya ciągnie się Wisłą, aż do Modlina, dalej rzeką Narwią do miasta Wizny, gdzie wpada don Biebrza, tworząca granicę między b. obwodem Białostockim a królestwem. Dalej Biebrzą ciągnie się kanał do wsi Dębowa, pod którą wchodzi w Netę i idzie do miasta Augustowa; w tém miejscu jest przystań służąca za odpoczynek i główny skład statków. Za Augustowem Netta łączy się z jeziorami augustowskimi; kanał, przecinając szosę petersburską, przekopem łączy większe jeziora z pomniejszych, z których wypływa rzeka Hańcza; tą rzeczką dochodzi do wsi Kurezyniec, lub zbacza z jęj łoża, i wielkim przekopem wpada do Niemna. Dla dogodnego przechodu statkom, urządzono tu słuz, woda bowiem kanału wyższe znacznie od rzecznej ma położenie. Innych słuz, większych i mniejszych, na 25 milowej przestrzeni swego ciągu liczy kanał Augustowski ogółem 14; oprócz dokładności urządzenia, odznaczają się one ozdobną i wytworną budową, do której wszelki materiał z kraju brano. Zbudowane są z cegły trwałej, dobrze wypalonej, spojonej wapnem hydraulicznem; brzegi ich są

wykładane ciosowym sandomirskim kamieniem, a wrota i mosty z drzewa dębowego, okute żelazem dostarczonem z pobliskich zakładów hr. Karola Brzostowskiego. Okolice nad kanałem położone, zaludniają się coraz więcej; w około słuz wznoszą się piękne domki i ogrody, często w najdalszych i niedostępnych niegdyś ustroniach leżące.

Ogólne kosztą rzeczzonego kanału, wraz z czyszczeniem i prostowaniem rzeki Biebrzy, Netty, Hańczy, wyniosły przeszło 14 milionów złp. Żalować niepomalu należy, iż świętny zamiar pierwotny dotąd uskuteczniiony nie został, i że istniejący już dziś kanał Augustowski, traci niejako wartość swą i znaczenie główne, ograniczając się jedynie na ułatwianiu wewnętrznej komunikacyi. Dotąd bowiem Wisła tylko z Niemnem połączona; cel zatem główny nieosiągnięty, gdyż Niemen także w kraju obeym ma ujście. Wypadki roku 1831 połączenie Dubissy z Windawą wstrzymały, i do dalszego odsunęły czasu. Do okoliczności, że piękne dzieło dotąd ukończonem nie zostało i obiecanych nie zapewnia nam korzyści, łączy się jeszcze i ta, że, choćby nawet całość zamierzonego planu wykonanie otrzymała, znajdują się powody, które zmniejszają znakomitą ważność tego dzieła i użyteczność istotną do szczupłych prowadzą rozmiarów. Powody te leżą głównie w niedostatecznem zgłębieniu rzeczy żeglugi krajowej, przed wykonaniem przedsięwzięcia. Wymiary słuz, przekopów dawano na miarę statków chodzących po Wisle, tak zwanych berlinek i galarów; na Niemnie statki te w żaden sposób chodzić nie mogły, gdyż koryto jego nieoczyszczone w wielu miejscach stanowiłoby im nieprzeprapte zapory. Niemen ma więc osobne dla siebie statki płaskie, wicinami zwane, na które towary z berlinek i galarów trzeba przeładowywać. Połączenie Dubissy z Windawą nową przedstawia trudność; wymiary muszą być zastosowane w stosunku do poprzednich, bo wiciny są tak szerokie, że zmieścić się w nie nie mogą; tu znów nowy przeładunek.

Takie niedogodności czynią spław tyle kosztownym, że nikomu nie opłaci się przenieść tę drogę nad prostą i łatwiejszą, do Gdańska lub Królewca, która zapewne, mimo cel i opłat, korzystniejszą i tańszą być okazała. Mimo tych wszystkich zboczeń i niedokładności, odwołujących od właściwego wpływu i znaczenia wielką tę arteryę

krajowego zbytu, życie i ruch, tak w okolicach kanału jak i na samym kanale, widocznie dowodzą, jak dobroczynnie działa, choć w ściśnionym obrębie, na ożywienie i podniesienie sił przemysłu krajowego. Zboże zaniemeńskich okolic i inne takowe plody teraz i prędką do Warszawy mają drogę; drzewo z borów angustowskich, które dotąd dla braku komunikacji dogodnej, murszć i bućwieć stosami na miejscu musiało, dostawia się

z korzyścią ku ognisku wewnętrznego ruchu; żelazo sandomierskie i rozmaite w ogóle wyroby krajowe, mają otwarty przystęp do północnych prowincyj. Dość chwilę nacieszyć się widokiem żywego ruchu na kanale, żeby uczuć w sercu niewymowną radość i z tego, co nam przynosi w zysku, i wdzięczną myślą pozdrowić ludzi, co piękny zamiar usunuli, i tych co nad jego wykonaniem pracowali.

O SKUTKACH BARDZO SILNEGO OGNIĄ GALWANICZNEGO,

WYWARTEGO NA WĘGIEL I INNE NAJTRUDNIEJ TOPLIWIE PIERWIASTKI.

Od kilkudziesięciu lat upłynionych, fizycy nie przestają zajmować się doświadczeniami w przedmiocie zmiany stanu skupienia ciał; każdy sposób nowo odkryty, coraz większego niżnienia lub podwyższenia temperatury od znanych dotąd, nie został pominięty w zastosowaniu; i owszem, skierowano go zawsze z należytą zręcznością przeciwko budowie atomicznej pierwiastków i połączeń, pod jaką one w okolicznościach zwykłych przedstawiają się zmysłom naszym.

Jakżiż to cel mieć mogą badacze przyrodzenia w naruszeniu układu tych drobnutkich cząsteczek, w dokuczaniu, że tak powiem, spokojnemu ich położeniu, wynikłemu z działania sił wewnętrznych i zewnętrznych pobudek, równoważących się wzajemnie?

Pierwszy powód, utrzymujący wytrzymałość uczonych na drodze tych poszukiwań, opiera się pośrednio na ogólnej zasadzie, wyprowadzonej z wszechstronnego zapatrywania się na świat zmysłowy; dowodzącej, iż trojaki stan skupienia ciał wszystkich bez wyjątku, to jest stałych, ciekłych i gazowych, nie jest bynajmniej ich własnością trwałą i niezmienną; ale raczej formą tylko, przeobrażającą się w skutek gry sił spójności i rozprężających, wywarłych na ostateczne atomy materii. Wynika ztąd, iż zmiana stosunku napięcia działania powyższych, sztuką dokonana, przed-

stawić nam powinna wiele ciał złożonych i wstępie pierwiastkowe, pod trojaką postacią stanu ich skupienia; znajomość zaś ich własności w tych przypadkach przyczynia się wielce do głębszego poznania ich natury fizycznej.

Jakieżto naprzykład przyjemne podziwienie dla miłośników przyrody sprawił gaz kwas węglowy, gdy po raz pierwszy skroplono go przez tłoczenie wewnętrzne i mocne oziębianie; gdy go ujrzało zamkniętym w grubych rurkach szklanych, pod formą cieczy bezbarwnej jak woda, rozszerzającej się od słabego ciepła nawet, tak prawie widocznie jak powietrze i inne gazy. Zdumiano się nad jego potężną władzą prężenia, rozrywającą grube ściany więzien szklanych a nawet żelaznych, w których go konieczność manipulacji chemicznych zawierała.

Postrzeżenia tego rodzaju, nastroczały nawet wielkim mechanikom pomysły zastosowania kwasu węglowego jako silnika do poruszania machin parowych; przeszkody jednakże zbyt trudne do pokonania zatrzymały usiłowania powyższe w stanowisku niedokonanem praktycznie.

Wspomnijmy z kolei o ciekawem doświadczeniu Thilloriego, który wypuszczając płynny kwas węglowy wążkiem strumykiem z naczynia żelaznego w podstawiony szklany słoik, ujrzał kwas ten uwolniony ze szczuplego zamknięcia, ulatujący

w powietrzu atmosferycznym z tak wielką prędkością i ilością ciepła utajonego, iż pozostawił resztę swego płynu marznącą na ścianach szklanych, pod postacią podobną do śniegu lub kamfory. Wynalazca kwasu węglowego stałego, wzbudził najżywsze podziwienie na jednym z posiedzeń Akademii Paryżkiej umiejętności fizycznych, kładąc dość duże kawałki owęj niby kamfory na dłoni, które mały nagle, parując, i znikały w przeciągu kilku sekund wobec zdumiewających się świadków uczonego zgromadzenia.

Kwas siarki gazowy, powstający w okolicznościach zwykłych, w skutek palenia się tego pierwiastku stałego w powietrzu, z większą nierównie łatwością daje się zamienić na płyn przezroczysty i bezkolorowy; płyn ten dolany do szklanki mieszczącej wodę i zamoczonej z nią parę razy przecięciem szklanym, ulatuje tak szybko w powietrzu, iż w kilka minut zamraża wodę w czasie lata, zamieniając ją na śniegową masę.

Lecz nierównie więcej uderzającym jest widok, kiedy nauczyciel umiejętności przyrodzonych ukazuje nam na praktycznym kursie parownicę metalową, do czerwoności rozpaloną, wleje na nią wodę, i wkrótce potem skroplony kwas siarki gazowy; powstaną wtedy gęste kłęby pary, a z tój niby walki sprzecznych żywiołów, ognia i wody, utworzy się nad spodziewanie nasze, kawał zimnego lodu. Należy go oddać koniecznie w ręce patrzących i niewierzących oczom własnym, ażeby dotknięciem dopełnić przekonania, iż na rozpalonej nawet blasze, zamrozić można wodę, cudowną ręką doświadczenia.

Kwasorodu, saleftrorodu, wodorodu, i powietrza atmosferycznego dotąd ani skropić ani w stanie stałym otrzymać nie zdołano; siła albowiem rozprężliwości ich cząstek największa jest ze wszystkich gazów, i dla tój tylko przyczyny znane środki zgłoszenia nie osiągli celu; ufność jednakże w zasadę ogólną rokować dozwala, iż zamiar ten z czasem dokonany będzie.

Ujrzymy kiedyś te gazy w płynach lub skrzeple, a odkrycie tyle pożądane wyświeci zapewne nie jedną stronę ich własności dotąd niepojętą lub całkiem nieznaną.

Z tego co dotąd powiedziano, widoczniemi są korzyści spodziewane i plony gromadzone na drodze doświadczenia, występującego do walki prze-

ciwko sile rozprężliwości gazów. Zobaczymy teraz z drugiej strony, jaki jest cel i pożytek w sprzeciwianiu się uporczywej spójności istot najtrudniej topliwych?

Każde ciało stałe, stopione lub w parę zamienione, stygnąc, twardnieje na nowo.

Jeżeli stygnięcie to jest dostatecznie powolne, natenczas atomy jego mają sposobność do wzajemnego spajania się podług pewnych prawideł, wynikających z mierzytelności (regularności) ich postaci, i jednakowego rozłożenia sił, wiążących w tym przypadku drobne cząstki w całość *kryształem* zwaną.

Ważną jest rzeczą dla umiejętności przyrodzonych znać każde ciało pod postacią kryształiczną, jęj albowiem oznaczenie w odmianach głównych i pochodnych, jęj prawidłowe zachowanie się z ciepłem, światłem i elektrycznością, dozwala nam poznać głębiej i dokładniej naturę wewnętrzną tegoż ciała, a nawet własności istot nieważkich, przedzierających się przez symetryczne szeregi, kryształicznie ułożonych atomów. Nadto, gdyby nawet stopione materye nie chciały łatwo krystalizować, dobrze jest przynajmniej znać je w stanie cieczy lub w kawałku, dociec ich twardości, ciągłości, wytrzymałości i t. p., a obok tego starać się urzeczywistnić doświadczeniem zasadę ogólną, uczącą, iż wszystkie ciała pierwiastkowe okazać się mogą istotnie w trzech stanach skupienia cząstek.

Lecz w poszukiwaniach tego rodzaju, i przemyśl postępujący domaga się także korzyści swoich. Czyliż topiąc zbyt ogniotrwale istoty mineralne, nie możnaby po ich ostudzeniu otrzymać kawałków twardych w wysokim stopniu, przezroczystych, i przyjmujących przez polerowanie połysk żywy, wyrównywający drogim naturalnym kamieniom?

Nadzieja pod tym względem ziściła się dotąd pomyślnie w naśladowaniu prawie wiernem natury i własności rubinów lub szafirów; jakoż docieczono, iż topiąc mieszaninę alunu i chromianu potażu w płomiennym strumieniu wodorodu i kwasorodu, kwas siarkowy i potaż ulatywały w parze, glinka zaś topiła się wraz z niedokwasem chromu w kulkę, która oziębiona twardniała, zamieniając się w rubin lub szafir, bliższe własnościom naturalnych. Węgiel dotychczas najstałej opierał się działaniu sztucznie natężonego ognia, i ciągle za-

wodził usiłowania wielu uczonych, pragnących zniweczyć nadzwyczajną spójność, wiążącą jego atomy w stan skupienia stały.

P. Despretz, fizyk francuzki, zajął się na nowo tą pracą, zlewając w jedno ognisko trzy najsilniejsze ognie dotąd znane, sprawione dmuchawką wodorodno-kwasorodną, wielką soczewką szklaną schodkowatą (*lentille à échelons*), gromadzącą promienie słoneczne, i stosem elektrycznym Bunsena o wielkiej liczbie ogniw obszernych. Korzyści tego pomysłu spodziewane, nie okazały się odpowiedniami w praktyce; jakoż, ogień chemiczny posiada natężenie o wiele słabsze od elektrycznego; słoneczny znajduje granice wzrostu w niewielkiej średnicy soczewek, jakich przemysł dostarczył jest w stanie.

Jeden tylko żar sprawiony przez galwaniczne żywy, przewyższający poprzednie w dzielności, daje się podniecać prawie bez granic, a to przez liczbę ogniw łączonych i powiększanie ich powierzchni w kwasach nurzanych; tą drogą można go tak dalece natężyć, iż jednocześnie z nim płomienia chemicznego i słonecznego ogniska, bezskutecznie wypada w uśmierzaniu podniesienia jego mocy. Tę okoliczność wkrótce potrafił ocenić p. Despretz w pierwszych doświadczeniach swoich; i dla tej przyczyny, zaniechał w następnych, zastosowania dmuchawki i soczewki, ograniczając się tylko na użyciu stosu Bunsena, bardzo silnego, złożonego z 600 ogniw, który sam jeden wystarczyć potrzebie do jakiej był przeznaczony. Te 600 ogniw złożonych z koks i cynku naamalgamowanego, nie były łączone jedno za drugim; albowiem w doświadczeniach tego rodzaju nie idzie tyle o stopień wysoki natężenia elektrycznego, niebezpieczny dla osoby doświadczającej, mogący nawet razić ją w najniżej nieostrożnym postąpieniu, piorunowem wstrząśnięciem potężnej iskry elektrycznej; przez wzgląd więc na tę okoliczność, a przystępnym z uwagi, że skutki fizyczne stosów elektrycznych zależą więcej od ilości dwóch płynów krążących, tojest od obszerności powierzchni ogniw, Despretz ustawił baterję swoją w 100 rzędów, z których każdy zawierał po sześć par galwanicznych; połączając zaś wszystkie części całkowitego układu w taki sposób grubemi drutami, iż otrzymał na wypadek łańcuch, złożony ze stu ogniw sześć razy powiększonej powierzchni.

Strumień a bardziej potok bystry elektryczności stosu tak potężnego, przewyższa w natężeniu wszystko cokolwiek dotąd zwykli byliśmy widzieć w tym rodzaju. Wymykając się z końców reoforów, opatrzonych stożkami ustruganymi z węgla, wyrzuca on światło obfite i żywe, jako dowód nadzwyczajnego ciepła, rodzącego się w tych miejscach. Mimo to wszakże, węgiel nie topi się wyraźnie, wytrzymuje on tę ostrą ognistą próbę, nie ścieka w kulkach z łączników metalicznych; i gdyby p. Despretz nie wpadł na pomysł otoczenia go ścianami szklanymi, nie byłby pochwycił nowego zjawienia, które powstaje pod wpływem tak silnego krążenia.

Od wielu lat zaniechano już sprawiania światła elektrycznego w balonach szklanych, jak to dawniej uskuteczniał Davy; a to z powodu, iż żarzeniu się węgla towarzyszy zawsze powstawanie białego dymu, który osiada na ścianach kulistej powłoki, mając ich przezroczystość, nie przepuszczając światła od ogniska na zewnątrz. Lecz p. Despretz nie szło o korzyść ze światła; przywrócił więc napowrót otoczenie szklane i oto są jego postrzeżenia w tém nowem doświadczeniu:

W pierwszych chwilach działania stosu, pokazywały się białe dymy, jak zwykle; balon szklany stał się opalizujący i zbierał całkowicie; następnie czerniała jego ściana, i okryły się wewnątrz proszkiem czarnym krystalicznym. Oczywiście, węgiel ulatniał się wtedy bez topnienia, a pary jego zgęszczały się natychmiast na ścianach zimnych naczyń. Ażeby nie pozostawić żadnego powątpiewania w przedmiocie wartości tego wypadku, ażeby rzeczywiście zapewnić się, iż tenże pochodził od wielkiej siły strumienia, p. Despretz użył w powtórnie doświadczeniu dwóchset ogniw tylko; otrzymał wtedy same białe pary, pochozące widocznie z ulotnienia obcych istot popiołowych, zawartych przypadkowo w węglu, o wiele mniej ogniotrwałych od niego.

Przejsie nagle i bezpośrednio węgla ze stanu stałego w gazowy, jest faktem nowym i godnym uwagi, lecz wcale nie jedynym w umiejętnościach fizycznych. Jod, umieszczony w balonie, i wystawiony na działanie słabego ciepła, wydaje z siebie, nie topiąc się bynajmniej, fiołkowe pary, krzepnące odrazu na ścianach zimnych, w szarometaliczne igielki. Arsenik i inne ciała są także w tym sa-

mym przypadku; przyczem wiadomo jest dobrze, iż ażeby istoty te stopić, należy użyć ciśnienia mniej więcej mocnego. P. Despretz chciał podobnie uciec się do równego środka w doświadczeniu z węglem. Kazał on ułać naczynie z surowca żelaznego, bardzo grube, ciężkie i mocne, opatrzone wytrzymałymi okienkami szklanymi do przezierniania ku wewnętrznej stronie przyrządu, posiadające nadto dwie szyjki naprzeciw siebie leżące, wysłane szczelnie skórą, przygotowane tym sposobem do przepuszczania przewodników metalicznych, utrzymujących po końcach dwa kawałki stożkowate węgla. Całe to naczynie połączone było jeszcze za pośrednictwem rury z pompą wtłaczającą do jego wnętrza azot, w ciśnieniu wielu atmosfer.

W takowych dopiero okolicznościach, kierując elektryczny strumień przez węgiel, spodziewał się p. Despretz stopić go należycie; lecz i w tym przypadku omyliła go nadzieja; widziano wprawdzie mięknięcie i gięcie się jego masy, przemianę jego fizycznej natury w grafit czyli ołówkę; rzeczywiste wszakże stopnienie jego zostało dotąd problematyczne.

Mimo to jednak, p. Despretz nie może się skarżyć na czas stracony w doświadczeniach tyle interesujących, albowiem on pierwszy ulotnił ogniem elektrycznym węgiel, platynę i żelazo, sto-

pił silicium, bor, tytan i tungsten, których kulki z przyjemnością oglądano na jednym z posiedzeń Akademii Paryżkiej.

Nauczył nas ten znakomity badacz, iż zachowanie się węgla z ciepłem, podobne jest do tych istot, których temperatury ciekłości i lotności schodzą się razem; i dla téj przyczyny trudno jest stopić je i otrzymać w kawałkach stwardniałych. Przelamano wszakże trudności te dla jodu i arseniku; pozostaje taka sama jakkolwiek wyższa dla węgla; wiele już dokazano, poznawszy granicę natężenia ognia, potrzebną do zamiany w parę tego uporczywie stałego pierwiastku; taka sama albo nawet nieco niższa, wystarczy bez wątpienia do przywiedzenia go w stan ciekły. Pozostaje nateraz życzenie nieco dłuższej cierpliwości, mającej się poświęcić dla tego mozolnego doświadczenia; należy uczynić jeszcze jeden śmiały krok dalej, na drodze wskazanej przez p. Despretza; należy, zdaje się, powiększyć ciśnienie w aparacie o kilkanaście atmosfer więcej, a zobaczymy zapewne pod wpływem baterji Bunsena, dociezionej już mocy, topiący się na prawdę węgiel; i niezadługo może ujrzymy diamenty chemiczne, polyskujące w pierścieniach i fermoirach, ubiegające się blaskiem i ogniem tęczowych kolorów o pierwszeństwo z naturalnemi.

T. R.

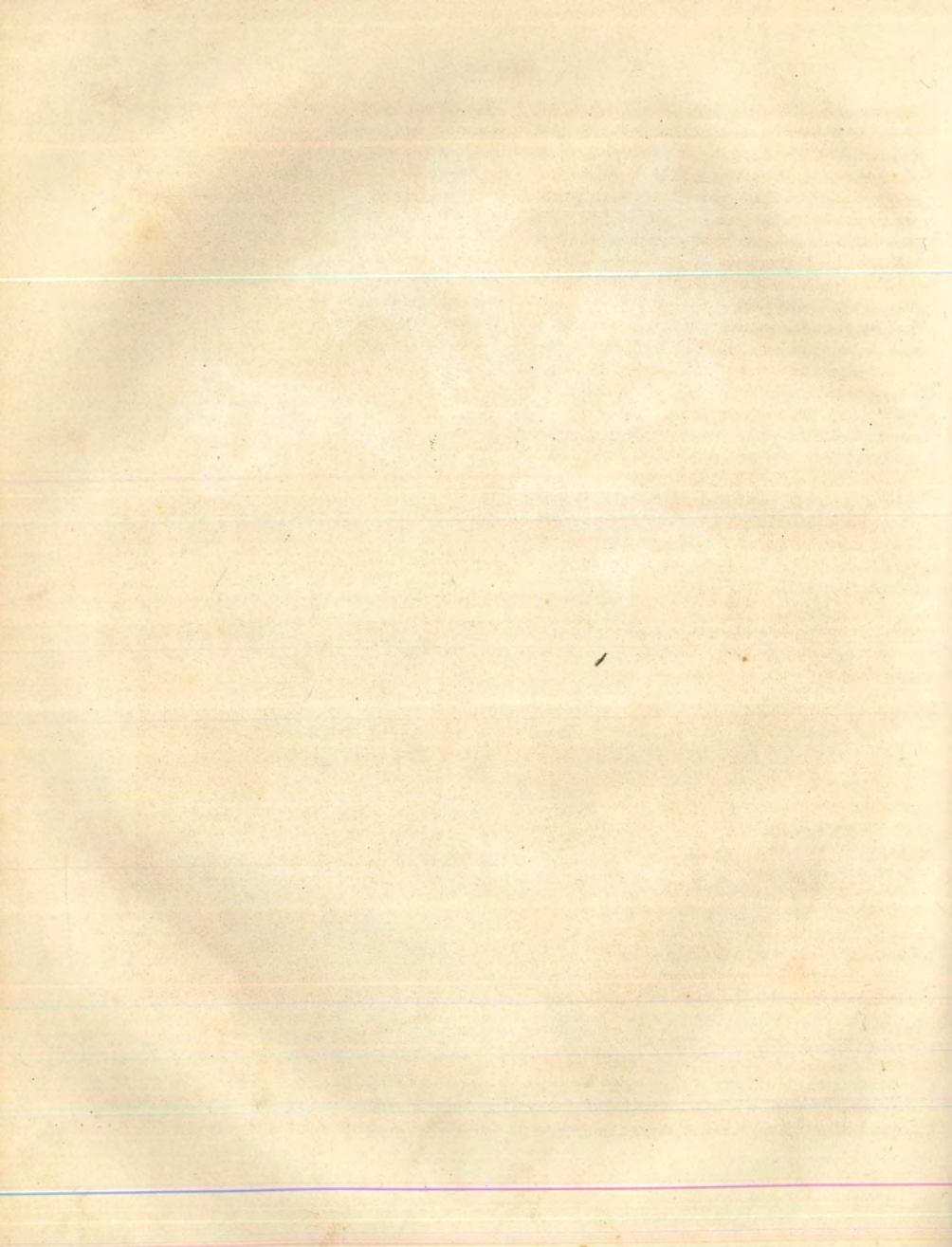
KADNIA NADOBNA.

Kadnia nadobna (Aeschynanthus pulcher. ob. ryc.) jest jeden z okazalszych i rzadszych gatunków, bogatęj w ozdobne rośliny, rodziny *ostrojowatych* (Gesneriaceae), zasługujący na przyjęcie go do naszych cieplarni, w których nieposlednią stanowić będzie ozdoba. Piękna ta roślina jest mieszańcem gorących podniebiów; pochodzi bowiem z Jawy, zkąd naprzód przez p. Lobb została przesłana pewnemu amatorowi, nazwiskiem Veichts. Od innych gatunków tegoż rodzaju, dawniej poznanych i mniej więcej już upowszechnionych, jak np. *Kadnia galeziści* (Aesch. ramosus), *wielkokwiat-*

tovej (Aesch. grandiflorus) i innych, dobrze się odróżnia swemi liśćmi i kwiatami. Liście jej są krótko-ogonkowe, owalne, nieco zaostrome, tęgie, po brzegach faliste, gładkie, wydatnie żyłkowane. Kwiaty ułożone w krótkie grona, opatrzone sercowatemi gładkimi przykwiatkami. Kielich rurkowaty, przy ujściu zwężony, 5cio-ząbkowy, żółtawo-zielony, w wierzchniej części czerwono nakrapiany. Korona (fig. 2) rurkowata, pięciokłapkowa, słabo zgięta, 3 lub 4 razy dłuższa od kielicha, szkarłatno-czerwona, lśniąca; w nasadzie, gdzie zawiązek otacza, kulisto wydęta, następnie



Kadnia.



ścieśniona, dalej znowu stopniowo rozszerzona, i nakoniec w gardzieli jeszcze raz ścieśniona; dwie górne jej klapki szczuplejsze, do siebie więcej od reszty zbliżone, wszystkie całobrzegie, rzęsowate. Pręciki od rurki korony nieco dłuższe. Słupek (fig. 3) prawie tej co i pręciki długości, uwieniczony ukośnem znamieniem. Zawiązek owocowy kulisty, z góry nieco wynieciony, 5-komórkowy.

Hodowanie tej rośliny jest bardzo łatwe; aby ją doprowadzić do zupełnego rozwinięcia, w którym dopiero ukazuje się w całym swym blasku, utrzymuje się dość wilgotnie w ciepłym trephauzie, za-

wieszoną w koszyku pomiędzy storczykowemi lub ananasowemi roślinami.

W zimie, w której przypada czas jej odpoczynku, niża się dla niej temperaturę, przenosząc ją do innej oranżeryi, i utrzymuje się nierównie sużej. Dla ochrony od mszyc i innych drobnych owadów, przyprowadzających ją w stan chorobliwy, wycierać ją należy miękką gąbką, lub delikatną szczoteczką. Roślina ta rozmnaża się bardzo łatwo z ablegrów, które się zwykłym sposobem, pod kłosami w inspektach sadzą.

4.



CIEPLICE.

Miasto Cieplice (po niemiecku Töplitz) wraz z ciepłymi źródłami, których uznaną jest wsze-

dzie skuteczność, leży w cyrkule Lutomierskim królestwa Czeskiego, pod 50° 38'16" północnej

szerokości, a $31^{\circ} 29' 4''$ wschodniej długości, 674 stóp paryżkich nad powierzchnią morza, w obszernej, pysznej i żyznej dolinie, wynikającej z zetknięcia się stóp gór Olbrzymich i Środkowych, a ozdobionej górą urokiem piękną, w cudne widoki bogatej okolicy. Początek tego miasta ginie w bajecznych czasach czeskich podań. Piękny las wzniosłych dębów okrywał kiedyś okolicę, w której się teraz rozpościerała zielone pola zbożowe; a tu gdzie teraz klasztory, kaplice, Boże-męki i obrazy Świętych wzywają do modlitwy, rozlegał się niegdyś krzyk i wrzawa dzikich strzelców. — W onych czasach mieszkał w sąsiedniej wsi Settenz, około roku 760, rycerz czeski Kołostug; dzierżył on jako wassal Przemyśla, księcia czeskiego, obszerne ziemie, obfitujące w wyborne państwa.

Razu jednego, trzoda jego źle strzeżona zabłąkała się w lesie dębowym, zaczęła tak mocno ryc ziemie, że gorące źródła wytrysnęły z niej z wielką gwałtownością; kilka sztuk trzody zginęło nawet w falach odkrytego źródła. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa wody te zaraz zostały użyte do leczenia wielu chorób, a cierpiący budowali sobie chatki w bliskości błogosławionych źródeł; i w ten sposób miasto winno ulicy, która powoli powstała, i w czeskim narzeczu Teplą (ulicą) nazwaną była, swe teraźniejsze nazwisko i nadzwyczajną a sprawiedliwie nabytą sławę. Podróżny zbliżający się doń z jakiejkolwiekby strony, znajdzie wszędzie dla oka swego miłą zabawę, dla duszy zaś prawdziwe zachwycenie. Pyszne budowle, wznoszące się w mieście i w okolicy, powstały po największej części w najnowszych czasach; miasto bowiem wiele ucierpiało z pożarów. Zamek książęcy wart przedewszystkiem wspomnienia; należy on razem z całym dominion do księcia Maurycyego de Clary i Aldringen, który choć letnią porą bawi w Ciepłach, jednakże każdego czasu pozwala publiczności przechadzać się po pysznym i kosztownie utrzymanym ogrodzie zamkowym, zgd widok na dolinę Bilatu czarujący. W jednym ze skrzydeł zamku wzniesiono teatr, w którym goście bawią się podczas dni słotnych. Kościół zamkowy z diwnie pięknym obrazem zbiorącym wielki ołtarz; kościół miejski, założony w XII wieku przez królową Julię, hotel zwany *Au Prince de Li-*

gne, oto ozdoby placu zamkowego, na którego środku wznosi się kolumna, poświęcona w r. 1713 Trójcy Świętej, na pamiątkę zarazy panującej wówczas w Czechach. Jednym z najpiękniejszych, w nowszych czasach powstałych budynków, jest tak nazwany *Stadtbadehaus* czyli Łaźnia miejska, zawierająca w sobie kąpiele dla całych towarzystw, gabinety osobne, przymiem wszystko co potrzeba do kąpiei parowych i słamowych. Piękny to bardzo zakład, z którym starają się współubiegać inne, np. łaźnia książęca, łaźnia gminy żydowskiej, dom tak nazwany Pański (*Herren-Bad*), zamieszkały niegdyś przez Króla Fryderyka Wilhelma III, a za którym znajduje się bardzo odwiedzany ogród szpitalowy z źródłami do picia i do kąpiei.

Klimat cieplicki jest po większej części bardzo łagodny i umiarkowany, jak tego dowodzi bujna wegetacya zachęcająca wielu gości do zbierania zieleńników, wielka urodzajność okolic, i to że nie ma tam żadnych endemicznych, to jest przywiązanych do miejscowości.

Stan geologiczny całej okolicy jest nader ciekawy dla mineralogów. Trzęsienie ziemi, które 95 lat temu, o mało co całej Lizbony nie powaliło w gruz, dało się czuć jednocześnie w źródłach cieplickich; największe z nich zatrzymało się zupełnie prawie przez kwadrans; potem wytrysnęło odrazu balwanami wzburzonymi, czerwono zafarbowanymi, i zarzuciło ziemię znaczną częścią niedokwasu żelaza. Produkcye wulkaniczne i pseudowulkaniczne bardzo ciekawe, rozsiane około miasta, a nade wszystko formacya wulkaniczna blizkich gór Środkowych, zdaje się dowodzić, że źródło cieplickie winne swe istnienie procesom wulkanicznym. Około Cieplic znajdują się: granit, gneis, porfyr, bazalt, piaskowy i kamienny węgiel, glina.

Łaźnia miasta otrzymują potrzebną wodę z dwóch źródeł, z których pierwsze jest źródłem głównym, zwanem *Sprudel*, najobfitszym i najgorętszym ze wszystkich, wytryskującym pod Łaźnią zwaną miejską, na dnie głębokiej przepaści. Temperatura wody dochodzi 38° R. w rurach prowadzących ją do łaźni; 39° R. zaś przy wyjściu z łona ziemi. Trzeba studiować tę wodę aby była zdadna do użytku. Drugie źródło, nie tak obfite, i o stopień niższe co do temperatury, wytryskuje w bliskości pierwszego, i żywi Łaźnię kobięcą (*Weiberbad*) i in-

ne prywatne łaźnie. Na przedmieściu znajdują się jeszcze trzy źródła gorące, mniej obfite jak wyżej opisane; najważniejsze z nich jest to, które wytryskuje w ogrodzie szpitalnym. Piękny salon przytykający do kolumnady, zawiera je w swém źródku. Temperatura jego dochodzi tylko do 21° R.

Woda mineralna jest bezkolorowa, przezroczysta, przybiera jednakże w wannie kolor zielonawy, jak morskiej wody; smak ma słabo słony, cokolwiek ługowy, zapachu żadnego.

Zwróćmy się na chwilę do źródeł wytryskujących w okolicy, nadzwyczaj pięknej wsi Schönanu. Rzeka Saubach, spadająca z gór, dzieli wieś na wyższą, oznaczającą się pysznymi domami, i niższą zabudowaną mniejszemi mieszkaniemidającemi i uboższymi gościom schronienie. Schönan winno sławę skuteczności wód swoich, okazanej na rannych w bitwie pod Kulmen, 1813 roku. Największą ozdobą tego miejsca są dwie z przepiechem wzniesione łazienki, zwane Schlangenbad i Neubad. Pierwszy z tych zakładów otrzymuje wodę z źródła wyłożonego kamiennymi tafiłami; temperatura jęj dochodzi do 32° R. Douwszy i zimnych kąpeli można w nim także dostać. Jeszcze piękniejszy od tego zakładu jest drugi, zwany Neubad, wybudowany w korynckim stylu, otoczony ogrodem angielskim; zawiera w sobie nie tylko łazienki, ale także i wiele obszernych mieszkań. Wodę otrzymuje z źródła zwanego Neubadquelle, które także zowią Schwefelbadquelle, ale niesłusznie, niemasz bowiem w niem siarki. Temperatura wznosi się do 35° R. Oprócz wymienionych, znajdują się tu jeszcze inne źródła, dostarczające wody łazienkom publicznym i prywatnym; wielka liczba chorych przybywa do Cieplic, tak zbolalą i znękaną, że droga z mieszkania do łazienek publicznych jest im uciążliwą, i wolą kąpać się w domu.

Rozkład chemiczny wód mineralnych cieplickich wykazał, że się w nich znajduje najwięcej węglanu sody, i dlatego też liczą się do alkalicznych. W nader małych proporcjach istnieją i sole siarczane w tych wodach.

Siarczanu sody	1,696	granów
Chlorku sody	0,776	„
Węglanu sody	12,240	„
Węglanu wapna	0,340	„
Krzemienia	0,420	„
Węglanu żelaza	0,036	„

Skuteczność ich jest tak sama jaką posiadają wszystkie gorące źródła alkaliczne w ogólności, jednakże mała ilość żelaza w nich zawarta, i inne dotąd w nich znalezione stałe i lotne części, przycięm wysokości temperatury, są przyczyną pewnych modyfikacyj w działalnoci wód cieplickich. Zródła te wywierają skutek bardzo przenikający, ożywiający i rozgrzewający na skórę, na naczynia krwiste i nerwy; rozpuszczający zaś na błony sluzowe i gruczoły; wzbudzają poty, zdolne rozpuścić nawet i chorowite produkta kamienne, tworzące się w organizmie; niszczą i zobojętniają kwasy i inne w sokach znajdujące się szkodliwe substancje. Wielkiej uwagi jest godną cięć żelaza zawarta w wodach cieplickich, a poprawiająca siłą wzmacniającą skutek osłabiający i rozpuszczający węglanu sody. Skład ten wód cieplickich, jest przyczyną dobroczynnej ich skuteczności na podagrę, reumatyzmy, paraliż i choroby skórne, szczególniej takie, które nagle zniknęły i spowodowały inne szkodliwe następstwa. Przeciwno skrofulom, skutkom ran, kamieniowi, który tyłu nieszczęśliwych tu sprowadza, przeciw różnym cierpieniom ocz i uszów cudownie działają wody cieplickie.

Szkodliwość tychże objawia się atoli na osobach krwistych, skłonnych do uderzeń krwi do głowy, do krwotoków, zapaleń, gorączek, suchot i wodnych puchlin. Uspokojenia i choroby wyleczone wymagają starannego wybadania ze strony lekarzy wód mineralnych, wielkich środków ostrożności, inaczej nieomylnie zle się powiększy.

Sposób używania ich jest różny. Od kilkunastu lat wznowiono używanie wewnętrzne wód mineralnych, zarzucone przez długi czas; jest ono szczególniej pomocne osobom skłonny do kwasów żołądkowych i do obstrukcyi. W tym razie należy pić od 4—6 kubków wody po kąpeli, jeżeli te jednocześnie do kuracyi wpływają; woda bowiem użyta przed kąpielą, sprowadza irytacyę ogólną i napływ krwi do głowy. Podozas samej kąpeli można wypić kilka kubków wody; poty tēm się wzmagają.

Osoby używające innych wód mineralnych, znajdując w Cieplickim ogrodzie szpitalnym zakład, w półkolistęj kolumnadzie, w którym dostać można wszystkich wód mineralnych.

Środki przygotowawcze do kuracyi w Cieplicach są niezbędne potrzebne osobom cierpiącym na choroby zapalne, na zebranie się służy, zatrzymanie się hemoroid lub żółci, a szczególnie osobom które pomimo krwistości, tutejszych kąpeli używać muszą. Osoby te powinny stosownymi środkami, jako rozpuszczającymi, rozwalniającymi, chłodzącymi, stawianiem pijawek i baniek siekanych, pozbywać się komplikacyj, szkodliwych kuracyi.

Do wewnętrznego użytku, wody karlsbadzkie, maryenbadzkie i egerskie szczególnie się zalecają jako środek przygotowawczy. Temperatura wody zasługuje także na uwagę; wysoka bowiem, która sprzyja podagrze, zastarzałym reumatyzmowi lub chorobom skóry, tak nazwanym zimnym opuchnięciem, stagnacyom w tkance komórkowej i systemacie limfatycznym, sztywnościom i ścignięciom, szkodzi znów niektórym osobom cierpiącym na też same choroby, a posiadającym komplikacje pochodzące z napływu krwi do głowy, krwotoków, z usposobień do apoplexyi, z zbytnej drażliwości lub słabości. Kąpiele nawet w Schönanu, lubo chłodniejsze, nie zawsze będą dobrym skutkiem w tym razie uwięzieniu, pomimo że są mniej drażniące i przejmujące. Dla wielkiego natłoku chorych w Cieplicach, nie zawsze można użyć kąpeli najstosowniejszej; w tym razie, potrzeba sztucznem ostudzeniem, przykładaniem na głowę ręczników maczanych w wodzie zimnej, starać się omijać niebezpieczeństwo grożące skutkiem temperatury. Zastanawiającą jest rzeczą i bardzo charakterystyczną, że organizm może przyzwyczaić się powoli i do największego gorąca wody mineralnej, i że wtenczas naturalna jej temperatura więcej sprzyja zdrowiu niż sztucznie zniżona lub podwyższona. Każde ostudzenie bowiem staje się przyczyną straty ciepła tellurycznego i mnożwa lotnych części.

Czas przepędzony w kąpeli powinien także być zastosowanym do osobistości. Kwadrans najwięcej dla osób drażliwych, stopniowo aż do pół godziny; gdzie jednakże idzie o rozpuszczenie stagnacyi, narosli artrytycznych, ściągnięciu lub stwardniałości gruczołów, tam aż do godziny przeciągnąć można kąpiel. Wyjść z niej należy natychmiast, jeżeli się zjawia mdłości, nudności, ból lub zawrót głowy, niespokojność, bicie serca. Nawet zawie-

sięby na dni kilka kąpeli należało, gdyby symptomata wyliczone silnie się pojawiły.

Ilość kąpeli jest także względna. Lżejsze reumatyczne cierpienia wymagają 10—12 kąpeli; chroniczne, artrytyczne 30 i więcej. Przy długotrwałych chorobach, wypada po kilkotygodniowem kąpaniu zawiesić kąpiele na tydzień lub 10 dni, i znów potem rozpocząć je; a to aby uniknąć nowego stanu chorowitego, skutkiem zbytńich kąpeli, objawiającego się wielką słabością, kongestjami krwi, niesmakami, brakiem apetytu i obłożonym językiem. Najczęściej czterotygodniowe użycie kąpeli wystarcza; jednakże w wielu razach wypada odwieźć i dwa razy w tymże samym roku, na początku i końcu lata, albowież w dwóch po sobie następujących latach, aby wytepić zle z korzeniem. Kąpiel ranna najlepiej skutkuje.

Pora roku najstosowniejsza trwa od miesiąca maja aż do września; jednakże przy istniejących obecnie ulepszeniach w zakładach cieplickich, można, gdyby tego zdrowie wymagało, i w zimie brać skuteczną kurację.

Dyeta, jak w Cieplicach tak i w każdej kąpeli, powinna być ściśle zachowaną, wrażenia nieprzyjemne unikane, sen szanowany; niema bowiem nie szkodliwszego jak kąpiel brana przy znużeniu i niewieczasie.

Dousze i mineralne szlamowe kąpiele nie powinny nigdy być używane bez rady lekarskiej, dla mocnych i przenikających skutków. Szlam, wybierany w bliskości Cieplic, jest ciemnobrunatny, ciężki i tłusty; zawiera w sobie wiele substancyj roślinnych, pachnie gazem wodorodno-siarczystym; rozrabia się na rzadkie ciasto z wodą mineralną przy użyciu na kąpiele.

Koszta pobytu, za kąpiele, mieszkanie i potrzeby gości, nie mogą wprawdzie być uważane za znaczne, szczególnie w porównaniu z innemi miejscami; jednakże tyle tutaj jest sposobności wydawania pieniędzy, że biedniejszym ludziom niesposóbby było korzystać z dobrodziejstw kąpeli, gdyby zapisy i fundacye, pochodzące od osób szlachetnych i miłosiernych, nie były im ułatwiły środków do odzyskania zdrowia.

Mieszkań można dostać w hotelach i domach prywatnych, bardzo wygodnych i pięknych. Osoby niechące jeść przy wspólnym stole, mogą so-

bie posyłać po obiad do hotelu, lub kazać go sprowadzić w własnym mieszkaniu.

Zabaw także nie brakuje w Cieplicach, chociaż życie towarzyskie tutaj mniej kwitnie jak w innych kąpielach, w których, o pewnych godzinach wszyscy goście do jednego schodzą się źródła; tutaj każdy się odosobnia dla używania kąpeli w wybranych godzinach, każdy żyje więcej oddany swym kuracyi, i ogranicza się na kole bliższych znajomych; z nimi, korzystając z pogód, robi wycieczki w piękne okolice Cieplic, aby się rozweselić i rozzerwać widokiem czarującej przyrody. W pewnych atoli godzinach można zobaczyć ogół gości zgromadzonych w jednym miejscu, szczególnie od 11^{ej} do 1^{ej} godziny w wspomnianym już ogrodzie zamkowym, urozmaiconym trawnikami, szpalerami i stawami, na których połyskują śnieżne labędzie. Dobrana orkiestra przygrywa podczas spaceru. Tuż leży ogród szpitalowy i damski; jest i strzelnica umieszczona u stóp góry szpitalnej.

Góra zamkowa nosząca na swym szczycie szczątki starego zamku Dobrowska Hora, i inna góra zwana szpitalna, ozdobiona pomnikiem zmarłego króla Fryderyka III, jest celem przechadzek gości, pragnących jednym rzutem oka przejrzeć całą dolinę, gaje, zamki, włości i kaplice. Wieś Turn, a w niej piękny ogród angielski i pagórki umajone najbujniejszą vegetacją, skąd oko sięga aż do Oseku; Propstau z bażantarnią, zamek Schlachenburg wzniesiony z samych odlamów glazury i jaspisów porcelanowych, gdzie się znajduje doskonala camera obscura; Mont de Ligne z świątynią gotycką, i mnóstwo innych miejsc bywają zwykłe celem codziennie nowych a bliższych wycieczek. Dalsze zaś wiodą do Doppelburga, do zamku księcia Clary, ożywionego ludnym zwierzyńcem; do Mariaschein, miejsca cudownego, celu pielgrzymek, sławnego źródła; do Graupen i jego zamku Rosenberg, rozpadłego w malownicze ruiny. W pobliżu leży zamek Dux, zawierający starożytności bardzo ciekawe i obrazy, które na pamiątkę dawnego właściciela Walenstein na tu przechowują, a blisko niego, wysoko w nie-

bo wznosi się starożytne opactwo, z pośrodku najpiękniejszych sadów owocowych. Uwagi godne w nim: biblioteka, zbiór mineralogiczny bardzo bogaty i kościół; a widok z podwojów opactwa cudny na błogosławioną okolicę, tak hojnie wyposażoną przez Stwórcę. O ćwierć mili stąd górznie sterczy, otoczony przerażającami przepaściami zamek, zwany Olbrzymi. Podróżny nie powinien opuścić czarującego tego kraju, nie zwiedziwszy miasta Bilin, o dwie zaledwie mile od Cieplic odległego. Wyborne tu są źródła mineralne, odznaczające się wielką ilością węglańu sody i kwasu węglowego wolnego w nich zawartego. Wody téj rozsyłają rocznie do 140,000 flaszek, a służy ona jako dzielny środek pomocniczy do wód cieplickich. Sodę, otrzymaną przez wyparowanie wody téj, używają na strącanie magnezyi z wód przyległych, Saidschutzkich. Najwyższy punkt całej okolicy, który każdy czując się na siłach zwiedzić pragnie, jest góra Piorunowa, na 3,000 stóp wysoka; na szczycie jęj wiedzy dobra droga. Małe ogródki i chatki z mchu, wzywają strudzonego podróżnego do spoczynku i nocowania, podając mu sposobność nacieszenia się pysznym widokiem zachodzącego słońca i rozradowania wschodzącym następnego poranku, a później, kiedy światło rozleje się po całej przestrzeni doliny czeskiej, i olzoci promieniami zdaleka i zbliżka rozsiiane góry, wieś i miasta, zdumiewający krajobraz upoi oko nieskończoną przyjemnością.

Wielu z zającem odwiedzi pole bitwy, na którym roku 1812 trzy armie sprzymierzone odniosły zwycięstwo nad francuzkim generałem Vandomme, i trzy sobie wystawiły pomniki.

Tak tedy, Cieplice zawierają wszystko co choroego i zdrowego przyciągnąć i przez kilka miesięcy przyjemnie zatrudnić może; podróżowanie po dobrze utrzymanych drogach i po rzekach statkami parowemi, nietylko nie jest uciążliwem ale owszem nastrocza najpiękniejsze widoki w Szwajcaryi Saskiej i innych miejscach.

Dr. T. T.

REN.

Człowiek, dumny władca ziemi, by uwiecznić chwilę pobytu swojego na niej, wznosi niebotyczne wieże, dźwiga potężne zamki, sam się zdumiewa nad ogromem murów, któremi grody swoje otacza, usypane przez siebie mrowiska cudami nazywa; tymczasem rok za rokiem obojętnie krocząc, ciężką nogą depce te cuda, roztrąca pomniki do wiecznego bytu przeznaczony, kruszy granit i spiże, zaciera ślady nieznanych olbrzymów, bohaterów jednej chwili. Któż nam stanowczo wskaże miejsce, na którym odrodzone po straszonym zalewie pokolenie dźwigało wieżę, której szczyt poza obłoki, a trwałość poza wieki sięgać miała? Kto z pewnością powie, gdzie stał dumny gród Babilonu, przepychem i rozpustą słynna Ninewa? Była istotnie Troja, stolica nieszczyśnego Pryama, miejsce sławy i krwawego trudu bohaterów Grecyi, koń, z którego uczeni całe pasmo zjawisk w dziejach świata wysnuwają? Znikomy ród człowieka! nietrwale jego dzieła! Próżnością nadęty w coraz wyższy postępek wierzy, a czas uraga się jego dumie i niezłomną siłą w pył zmienia na wieczność wyrozumowane lepianki. Jakżeż różna jest cecha pomników, które ręka przedwiecznego Twórcy po świecie rozrzuciła, i w nich równie wielkość swoje, jak i czynny człowieka od pokolenia do pokolenia głosi? Szczyty Synaj, Taboru, Golgoty, blaskiem chwały Wszechmoconego otoczone, promień czystego światła rzucić nie przestają aż do ostatnich kończyn ziemi, póki ród człowieka nie przeminie. Lecz na przechowanie pamiątki czynów ludzkich zdaje się, że Opatrzność wyłącznie nurt rzek wskazała, który tak dobitnie upływ życia ludzkiego maluje. To też każda z wielkich epok świata do własnego, że tak rzekę odnosi się strumienia. Wiek biblijny ponad brzegami Eufratu upływa; czasy bohaterskie Grecyi w łożysku Skamandru złożyły swoje wspomnienia; Tyber do epoki rzymskiej należy; Ren jest rzeką nowoczesnych dziejów. Jestto Rubikon, nad którym ludy, dobywszy miecza, pochwy z wodą puszczały. Cała Europa czerpała wodę z tej wojennej rzeki; a od Karola W. poczynawszy aż do Napoleona, wszy-

scy bohaterowie Europy w nurtach Renu plawili swoje rumaki. Gdy więc sprzymierzeni w r. 1813 żądali od Bazylei wolnego przejścia przez most, było tylko hold złożony jego przeznaczeniu, do udziału w wielkich i stanowczych przesileniach świata. Postąpmy z biegiem tego wielkiego pomnika, i posłuchajmy niektórych przynajmniej podań, jakie się nad brzegami jego rozlegają, bo zebrać wszystkie zakres dzieła nie dozwala.

Wiadomo powszechnie, że o ćwierć mili od gościnnego klasztoru P. Maryi zaczyna się dolina, w języku retyckim *Ka d' ol Rhin*, źródło Renu zwana. Właściwie trzy strumienie składają się na utworzenie Renu, a wszystkie trzy od samego początku noszą to nazwisko, z dodatkiem przodkowego Renu (Vorder Rhein), średniego i dalszego (Hinter Rhein). Ścieki góry Śgo Gotarda tworzą dwa pierwsze, ostatni powstaje ze skupionej łódzi góry Lukmanier. Dwa pierwsze łączą się pod Dissentis. W roku 614 Benedyktyni oceniając wartość położenia, wzniesli tu opactwo, panujące nad ujściem doliny Tower. W skutek tego, opat z Dissentis ważną grał rolę w następnych czasach: kolejno został księciem państwa Niemieckiego, twórcą ligi Gryzonskiej, i władcą krainy. To położenie wyjaśnia poniekąd wypadki szwajcarskie z r. 1799. General Massena dnia 6 marca t. r. opanował przejście Śój Lucy; jestto parów otwierający się w pobliżu granicy Gryzonów od strony Szwabii. Mur i szaniec osłaniają to wejście, prawdziwe Termopile szwajcarskie. Przed trzema wiekami, sześćdziesiąt trzy gmin zjednoczonych (liga Gryzonów, liga Caddo, i liga dziesięciu wójtostw), odniosły stanowcze zwycięstwo nad cesarzem Maxymilianem. W wypadkach 6 marca, tyrolski general Auffenberg dostał się do niewoli Szwajcaryi, a wzięwszy go następnie do niewoli, rzekł doń szczypliwie: „Onegdaj pisałem do pana, wezoraż rano odebrałem odpowiedź, dziś ofiaruję mu obiad.”

Niedaleko od Dissentis, nad brzegiem Renu jest wieś Frons, gdzie pierwszy promień wiary Śój bly-

snał dla Gryzónów, lecz prócz tego jestto kołębka swobód gryzónskich. Jeszcze na samym schyłku zeszłego stulecia, stała tu rozłożysta lipa, pod której cieniem naradzali się twórcy niezawisłości gryzónskiej, a stercząca w bliskości skała, przechowuje pamiątkę tej zмовы posłanników ludu; w nią bowiem wbijali oni długie gwoździe, na których zawieszali torby z żywnością na cały czas obrad.

W Reichenau zbiegają się drogi kantonu Glaris, dlatego miejsce to uważać należy za klucz strategiczny Renu przodkowego; dowodem tego jest połączenie Suwarowa z Arcyksięciem Karolem w r. 1799.

W Reichenau stoi dotąd pomnik zmienności losu. Tuż za miastem wznosi się piękny pałacyk: wstęp do niego otwarty dla każdego wędrowca, a usłużny przewodnik wprowadzając ciekawych do obszerniej i ozdobnej sali, opowiada z całą szczerotą: „Oto jest izba, w której książę Chartres, a potem książę Orleański, później król Francuzów, wykladał w r. 1793 przez kilka miesięcy język francuzki i angielski, geografę, historię i matematykę za 1400 fr. rocznie. Katedra ta przeznaczona była dla p. Chabaud-Latour, wychodźcy, protestanckiego szlachcica; lecz gdy ten nie przybywał, rządcą gminy, Aloizy Joosl, i dyrektor szkoły, p. Boul, przyjęli księcia Chartres jako zastępcę, ale po ścisłym examinie.

Podobną niestałość fortuny przypomina pałac Arenenbergu, niegdyś mieszkanie Hortensyi, pasierbicy Napoleona, byłej królowej hollenderskiej, matki teraźniejszego prezydenta Rzeczypospolitej francuzkiej, a wówczas wygnanki.

Zwracając uwagę na Ren, jako wielki pomnik historyczny, nie będziemy śledzić jego zwołów, jego malowniczych krajobrazów, ani liczyć strumieni, które wody jego zwiększają; pominiemy przepływ jego śródkiem jeziora Konstancyjskiego (Bodensee), którego brzegów dotyka Austria, Bawaria, Wirtemberg i W. K. Badenkie z jednej strony, a Szwajcarya z drugiej strony; takie jest zetknięcie się tylu państw na przestrzeni ośmiomilowej, bo taka jest długość jeziora; lecz natomiast zbliżając się do miejsca, w którym Ren wychyla się zpośród wód jeziora, i sam swobodnie za swoim przeznaczeniem biegnie, napotykamy Konstancję, gród wielkich i ważnych wspomnień.

Od r. 1378 wielkie odszczepienstwo trapiło kościół: w roku 1414 trzech papieżów spór wiodło o wiarę. Cesarz Zygmunt, chcąc koniec położyć zgorzeniu, porozumiały się z pełnomocnikami trzech spółzawodników, zwołał sobor do Konstancyi. Cesarze, królowie, książęta, miasta, kapituły i uniwersytety Włoch, Francyi, Hiszpanii, Anglii, Niemiec, Polski, Szwecyi, Danii, Węgier, Czech i Konstantynopola, nadesłali swoich pełnomocników. Sobor ten, największy może ze wszystkich soborów katolickich, trwał od 1414 do 1418 roku. Sto tysięcy cudzoziemców napelniało miasto. Uroczystości, obrzędy, zabawy i zbytki, następowały po sobie w guscie i kolorze epoki. Jan XXII złożony został, Grzegorz XII sam zrzekł się władzy, Benedykt XII schronił się do Hiszpanii, lecz niezmordowany Zygmunt dosięgnął go i w tém ustroju, a gdy po ośmnasto miesięcznych zabiegach wrócił do Konstancyi, conclave z trzydziestu dwóch kardynałów i trzydziestu innych członków soboru, ogłosiło papieżem hrabiego Colonna, który przybrał imię Marcina V.

Przed kratki tegoż soboru przyzwany był Jan Huss i Hieronim z Pragi, uczeń jego, obadwa o herezję podejrzani. Mimo glejtu cesarskiego, Huss w lipcu spalonym został 1414 r., a Hieronim dnia 1 czerwca 1416 r. wstąpił na stos. Jak dziwny napozór los! Luter i Huss też samą głosili naukę, którą przejęli od Wiclefa, a przecież Luter za glejtem Karola V spokojnie oddalił się z Worms. Jakaż téj sprzeczności przyczyna? oto polityczny interes. Luter był pod opieką książąt niemieckich, którzy utrzymywali stronę Karola przeciw papieżowi; Huss zaś powstawał przeciw papieżowi, który wspierał cesarza przeciw książętom Rzeszy. Nadto, błędem Hussa było, że wystąpił w epoce, w której ani wiara, ani władza nie były jeszcze tak osłabione, iżby można je było rozdzielić a potem walczyć przeciw nim po kolei; dlatego Huss uległ. Poczekajmy aż sto lat z nurtem rzeki upłynie, a co było zawczesne w Konstancyi, stanie się możliwe w Worms.

Po tak świetnym zebraniu słabe ledwie dziś pozostały ślady: w miejscn okazałej bazyliki, w której Marcin V ogłoszony został papieżem, stoi teraz kościółek Śgo Konrada; a pyszny pałac cesarza Zygmunta zamieniono na komorę celną. I to do osobliwości czasowych należy, że po skoń-

czonym soborze, ani papież, ani cesarz, nie mogli zapłacić rachunku, jaki im z pokorą magistrat miejski przedstawił. Złożono opozycję, mówiąc po adwokacku, przeciw oddaleniu się bagażów. Wtedy Zygmunta zgromadził mieszczan w sali soboru i oświadczył, że ręczy za wypłatę wszystkich należności. Mieszczanie zawsze z winnym uszanowaniem zapytali się, czyby ręczył za poręczyciela? Zygmunta urażony zapewnił ich, że długi spłacone będą po upływie roku, i zostawił bagaże jako rękojmię, przyłożywszy na nich pieczęć cesarską. Rok upłynął, wypłaty nie było, mieszczanie więc zabierali się do sprzedaży rękojmi; tu Zygmunta znowu założył opozycję, twierdząc, że bagaże po przyłożeniu pieczęci cesarskiej przestały być własnością cesarza, przechodząc na własność cesarstwa.

Konstancja od owiej epoki zupełnie upadła, lecz miasto soboru, jakby na zagładzenie pamiętki stoś Hussa, długo zachowała pamięć ostatniego swojego biskupa, Karola Teodora Dulberga, w. księcia frankfurckiego, księcia prymasa Ligi Reńskiej i jego koadytora ks. Wassemburga. Kiedy sprzymierzeni w r. 1813 szli do Francji, ksiądz prymas, lekając się losu króla saskiego, schronił się do swojego dawnego biskupstwa w Konstancji. Lord Castlereagh nie spozstrzegł się wtedy, że jedynym sposobem odjęcia Austrii pierwszeństwa w Rzeszy niemieckiej, było pozostawienie prezydencji księciu prymasowi. Zasługiwał na to tym bardziej, że się rzekł w. k. Frankfurckiego na rzecz księcia Eugeniusza, następcy przyznanego traktatami; lecz wśród powszechnego burzenia i temu nie przepuścili namiętności politycznej.

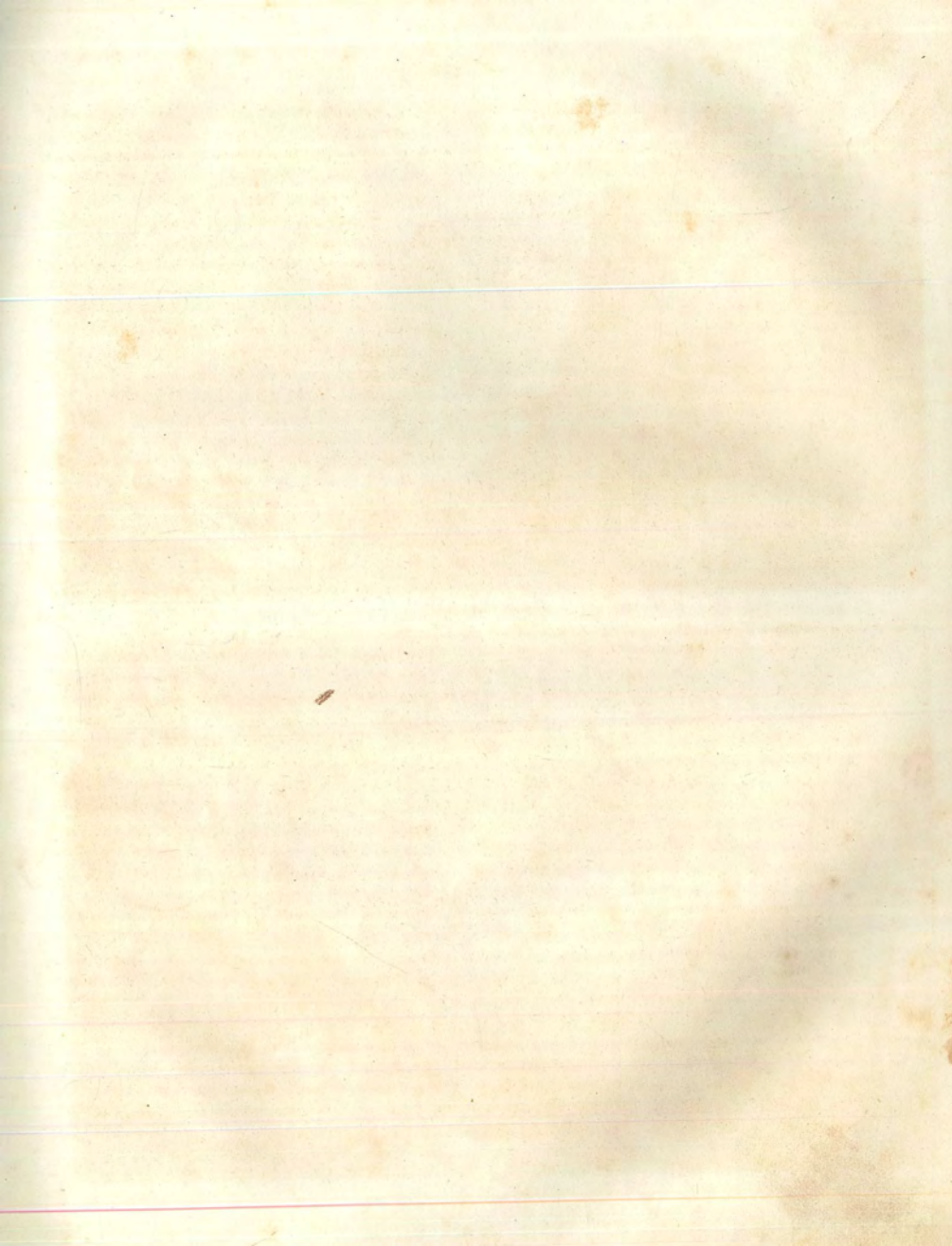
Traf szczególnie przeznaczył Konstancję na plac morderczej walki między republikanami Francji, a dawnym jej rządem. Po bitwie pod Zurych 1799 r. arcyksiążę Karol posłał księcia Kondensa dla zaślony miasta. Utarczała była żwawa, nawet wśród miasta. W tym zamieszaniu, oficer z armii wychodźców, odcięty od swoich z jednym tylko towarzyszem, wpadł do pierwszego domu, który napotkał; tam zastał kilku republikanów. „Jesteście moimi jeńcami, zawołał oficer Kondensowski.” „Przeciwnie, pan złóż broń, odpowiedział żołnierz Oudinota.” W tej chwili przeciąga pod oknami domu oddział walczących; następuje ugoda między zamkniętymi w domu: jeżeli oddział

rzeczony należy do stronnictwa republikańskiego, wtedy oficer złoży broń i nawzajem. Pokazało się, że to byli rojalści; żołnierze Oudinota dotrzymali słowa i dobrowolnie złożyli broń. Charakterystyczny to rys czasu i ludzi.

Rzymianie usadowieni po obu brzegach Renu, ubezpieczyli posiadanie tej krainy przez silne warownie nad brzegami rzeki, w różnych punktach wzniesione; rzecz dziwna, że w pismach ich żadnej niema wzmianki o wodospadach Renu; i my za tym idąc przykładem, wspaniali ten widok zostawimy opisom wędrowców, lub malarzom krajobrazów, nie następując on bowiem żadnego wspomnienia czynów ludzkich. Spieszmy do Bazylei.

Bogata w różnorodne pamiętki Bazylea (Augusta Rauracorum u Rzymian), na dwa właściwie rozdziela się miasta: mała Bazylea na prawym brzegu Renu, wielka na lewym zbudowana. Tamtę niemiecką, tę zaś szwajcarską zwąby można. Przez długi czas dwie te dzielnice jednego grodu swarzyły się w sposób dosyć gminny, póki interes i most około 1225 roku zbudowany nie pogodził stron obudwóch. Interes, jak jest silną sprężyną działań ludzkich, most bazylejski świeżym tego przykładem. W r. 1813 cztery pułki szwajcarskie walczyły na ziemi francuskiej obok orłów Napoleońskich. Zdawało się, że Bazylejczyków nie dotknie zaraza odszczepieństwa, która opanowała Europę przeciw Napoleonowi. Wierność szwajcarska poszła w przysłowie. Lecz że rewolucja wcieliła do departamentu Mont-Terrible kilka dołin bazylejskich, niezbędnych dla zabezpieczenia granic Francji, Bazylejczycy w nadziei odzyskania ich, wydali most sprzymierzonym, wkraczającym do Franche-Comté. Napoleon mógł był albo zająć, albo zburzyć most, nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Być może, iż nietyłe spuszczał się na wierność Szwajcarów, ile na niepodobieństwo przekroczenia Renu w miesiącu grudnia; lecz zmienna natura rzeki zawiadła na ten raz jego rachuby.

Węzeł całkiem filozoficzny łączy Bazyleę z Konstancją, a rzeka od tej ostatniej toczy swoje wody nakształt okazalego rozwoju mowy, która przebiega od przyczyny do skutku, przez wszystkie ozdoby sztuki krasomowskiej. Konstancja w 1414 roku była miastem soboru, który postanowił, że





Lamisch-Schönberg



Bengen.

jest wyższym od papieża; głosy zbierano wówczas narodami. Bazylea była siedliskiem dwóch soborów w 1431 i 1513 r. Te dalej jeszcze posunęły się, i pod pozorem walki z odszczepienstwem, jeszcze nieprzyjaźniejszą postawę przybrały naprzeciw papieża; mimowolnie przeto utworzyły pewny rodzaj przejścia do otwartej reformy Lutra. Wtedy dziwaczne widowisko uderzyło Bazyleę; scena Konstancyjska powtórzyła się w postaci nie mniej dramatycznej: Hussyci pojednani przybyli i pobratali się z prawowiercami, Czechy wywędrowali do Szwajcaryi, Dunaj połączył się z Renem.

„Wszystek lud, mówi Eneas Silvius, wysypał się na ulice i za miasto, aby oglądać przybywających. W tym tłumie widziano wielu członków soboru; ciekawość obudzona rozgłosem waleczności tej sekty, wywiodła ich na jej spotkanie. Mężczyźni, kobiety, dzieci, ludzie wszelkiego wieku i stanu, zapelniali miejsca publiczne, bramy domów, okna, dachy nawet, wyglądając ich przybycia. Pokazywano sobie nawzajem palcami to tego, to owego. Wszyscy się zachowywali ubiorem osobliwym, groźnym wejrzeniem nieznanych im postaci. Byli ludzie ogorzali od słońca, ścięci wiatrem, okopzeni dymem obozowym. Postać ich przerażająca, wzrok orli, włosy najeżone, broda gęsta, wzrost olbrzymi, a skóra tak twarda, że cięcie szabli odbiło się od niej, jak od pancerza.”

Wdarłszy się na szczyt góry Św. Małgorzaty, poza miastem, ujrzysz odrazu trzy pobojożewia, pod Friedlingen, gdzie Villars 1702 r. pokonał księcia Badańskiego; pod Dornach gdzie Szwajcarowie 1499 r. zadali klęskę cesarzowi Maksymilianowi; wreszcie przy wiosce Św. Jakóba, gdzie tysiąc pięćset Szwajcarów uderzyło na trzydziście tysięcy Armaniaków, pod wodzą Delfina, następnie Ludwika XI, i poświęceniem swoim wywalczyło chlubny pokój dla Szwajcaryi. Ren, ten lew drwiniący pod wałami Bazylei, w całym biegu swoim nigdzie nie czuwa nad chlubniejszym od tego pomnikiem bohaterstwa.

Bazylea i w literaturze zaszczytne zajmuje miejsce: jest ojczyzną siedmiu Bernouillich wysokim kształceniem słynnych, z których trzej do dziś między matematykami niepoślednio zajmują miejsce. Euler, najślawniejszy osmnaście wieku matematyk, tu także ujrzał światło dzienne. Paracelsus wykładał zasady swojej alchemii, a głos

Zwingla rozlegał się wśród murów Św. Maurycego. Erazm z Rotterdamu, pilnując druku dzieł swoich, w gościnie mieście zakończył życie, i w nim zwłoki jego spoczywają. Do dziś widać jego grobowiec z tajemniczym napisem: *terminus*. Holbein, sławny Holbein, przyjaciel serdeczny Erazma, pierwszą młodość swoją tu spędził; i najpierwsze próby swego malarskiego i rysowniczego talentu Bazylei poświęcił. W końcu został nadwornym Henryka VIII króla angielskiego malarzem. Zachwycony talentem jego monarcha, w krótkich, dziwnych może, lecz dla sztukmistrza nader chlubnych wyrazach, wyrzekł potęgiryk, oświadczając jednemu z swoich dygnitarzy: „Z siedmiu chłopów, w każdej chwili mogę zrobić siedmiu lordów, lecz z siedmiu lordów nie potrafię wydobyć ani jednego Holbeina.” Zresztą, w Bazylei Francya z r. 1789 zawarła jeden z najważniejszych traktatów europejskich, który Konwencya podpisała z królami Prus i Hiszpanii w r. 1795.

Brzegi Renu z lewej strony, od Huningi do Colmaru, i z prawej od Freiburga do starego Bryzaku, były zwartem polem owej pamiętnej wyprawy w trzech porach od 1793 do 1797 r., w której rzeka była ciągle raczej linią moralną niż jeograficzną, którą los zakreślił między zasadą monarchiczną a zapalem rewolucyjnym. Tu staczano walki olbrzymie, tu się zdarzały przygody średniewiecznych rycerzy, tu znajdziesz rysy odwagi, bohaterstwa i prawdziwego poświęcenia. Od roku 1792 do 1796 armia Kondeuszowska zajmowała leże na lewym brzegu, które opuszczała wtedy tylko, gdy miała wystąpić do walki albo poza Strasburgiem, albo z tej strony Konstancyi, na granicy helweckiej. Tu na otwartem polu wobec rzeki obchodzono rocznicę zgonu Stoffleta, Charesta, Ludwika XVI, Maryi Antoniny, Elżbiety; w tych stronach hrabia Prowansey postąpił na koniu w rzekę, rozmawiał z czatami republikańskimi na lewym brzegu, i odebrał od nich należne pozdrowienie. Dnia 16 czerwca 1795 r., po śmierci syna Ludwika XVI, wstąpienie na tron stryja jego, Ludwika XVIII, obchodzono uroczystie we wsi francuskiej, improwizowanej przez wychodźców.

Tu spoczywa Abatucci, młody generał republikański, który poległ dnia 30 listopada 1796 roku, w obronie przyczółka mostowego w Hunindze. Był on dowódcą ostatniego oddziału tylnego stra-

ży armii generała Moreau, który pamiętnego w dziejach wojennych dokonawszy odwrotu, przeszedł Ren pod Huningą, nie potrzebując zasłaniać z tej strony Francji, bo jej broniła siła moralna przez odbicie świetnych tryumfów Bonapartego we Włoszech.

Twierdząc Huningę obwarował Vauban 1679 r. Bazylicjczy ciagle na nią nieufnie spoglądali okiem, dlatego też kongres Wiedeński, nagradzając ich przysługę w pozwoleniu mostu, zniesienie jej zawarował.

Zbliżając się ku Alzaeyi, którą dla Francji pozyskał Ludwik XIV, po obudwóch brzegach Renu uderzają gruzy i zwaliska mnogich zamków i wież obronnych, w których się gnieźdźdli niegdyś udzielnicy drobnych włoić dziedzi, pod różnemi tytułami: Burgrafów, Landgrafów, Gangrafów, Rheingrafów, Wildografów, Rengrafów, Zentgrafów, Altgrafów, Pfalzgrafów, Freigrafów, Reichsgrafów, i t. p., którzy za doznany ucisk od możniejszych władców Europy, mścili się podobnymże uciskiem na mieszkańców nadbrzeżnych okolic. Wszystkie te rodziny wygasły, a z niemi i większa część tytułów zatarła się.

Posuwając się ku środkowemu punktowi Alzaeyi, jak odmienny jest widok Renu, tak inną barwę mają wspomnienia. Tu rzeka wdziera się na ziemię francuską, gdzie przemysł i polityka, historia i rolnictwo, podania feudalne i pamiątki rewolucyjne mieszają się nawzajem, aby jedne drugim służyły za objaśnienie, a być może aby się wzajem zacierały. Dość jest rzucić okiem na drogę wiodącą z Rheinau do Strasburga: jestto legenda społeczna, tak żywa, iż zdaje się, że kamienie ją powtarzają, słysząc dźwięk westchnienia. Odsunawszy na stronę politykę, zawsze to pozostanie ważnem w kronice Renu wspomnieniem, że książę d'Enghien, jako więzien stanu wygłodawałszy w marcu 1804 r. w Rheinau, pieszo pośród żandarmów szedł do Pfozheim, w karczmie zjadł śniadanie, a następnie udał się drogą Einsteinu przez Strasburg do Vincennes.

W tym samym czasie, kiedy generał Ordener przez Rheinau szedł do Ettenheim, by pojmać księcia d'Enghien, generał Caulincourt przeszedłszy Ren pod Kehl, udał się do Offenburga, gdzie zastał kilku wychodźców, i potężną pakę listów zebrał. Offenburg, był zawsze miejscem złowro-

giem dla wychodźców. Tu przednia straż generała Moreau podchwyciła tabory generała Klinglin, w których się znalazły papiery w związku ze spiskiem Pichegru'ego będące: tu w utarczce przednich czatów książę d'Enghien walczył nieszcześliwie w obronie mostu po drugiej stronie miasta. Brzeg Renu badencki, przez długi czas widział książąt francuzkich i generałów republikańskich walczących z zaciętością za, lub przeciw rewolucji. Ziemia przesiąknięta krwią najszlachetniejszą Francji. Gdy w pamiętnym odrocie, Moreau zbliżał się do mostu Huningi, przeście armii zasłaniał w tylną straż generał Gouvion Saint-Cyr. Ośm dni trwały ciagle utarczki, w których największą działalność wykazywał książę Kondensz ze strony rojalistów. W ciągu tych utarek generał Decaen, dowódca wraz z Desaix prawem skrzydłem, poniósł szwank przez upadnięcie z koniem; generał Beauprais spotkawszy go, rzecze: „Teraz ja będę dowodził przednią strażą, ty pozostan przy dywizji.” W tej chwili puścił się w cwał na swoje miejsce, i w kilka chwil padł na placu. Decaen donosi o śmierci jego generałowi Desaix: „Ocalmy na przód dywizję, rzekł Desaix, a później oplakiwać zgon jego będziemy.” Beauprais był serdecznym przyjacielem generała Desaix.

Strasburg miasto wolne, cesarskie, od wieków używające swobody, liczny szereg wspomnień przywodzi na pamięć. Nie braknie mu sławy rewolucyjnej: na głównym rynku czynną była gilotyna w r. 1793. Później wystąpił tu Angereau, naczelny wódz armii niemieckiej, która się zbierała nad Renem. Przybył on z Włoch, a rubasne grenadyery Saint-Cyra i Desaixa zukosa patrzyły na nieznane im dotąd hafty arystokratyczne. Na tymże placu przemawiali do ludu Schneider i Saint-Just; Napoleon przegłądał szwadrony które w roku 1809 Wiedeń zajęły.

Dnia 22 marca 1810, pałac arcybiskupów strasburskich był świadkiem tych związków często powtarzanych, zawsze nieszczęśliwych, niemieckiego Dunaju z Renem francuzkim. Przeznaczenie, którego ubłagać nie mogła Marya Antonina, równie twarde okazało się dla Maryi Ludwiki. Niezliczone tłumy ludu wyszły na jej spotkanie. Wśród odgłosu dzwonów, huku dział, radosnych okrzyków ludu, córka cesarzów odważyła się przebyć Ren w piękny dzień wiosenny. Oświecona od stóp

przedsiönku, aż do najwyższego punktu wieży, katedra była olbrzymią pochodnią słubów dwóch rzek panujących w Europie. Ależ nie brakło złowrogich przepowiedni nieszcześcia, którego szukała we Francyi, lub dla niej z sobą przynosiła ukoronowana córka Niemiec.

Księżna Montebello była pierwszą damą honorową Maryi Ludwiki; rozpoczęła służbę swoją w pałacu arcybiskupim. A tak, umierając pod Aspern marszałek Lannes, mąż jój, wywalczył arcyksiężniczkę dla Napoleona, na którą małżonka marszałka, księżna Montebello oczekiwała w Strasburgu: zwycięstwo, które darzyło małżonką monarchę, przynosiło owdowienie dla małżonki zwycięzcy. To niedosyć. Prawie w tym samym dniu, a może nawet w tój samej godzinie, w której Marya Ludwika przebywała most, toczył się po nim furgon, w towarzystwie adjunkta farmacyi armii, Fortin, ale nie otoczony tłumem ludu, jak powóz Maryi Ludwiki; postępował on wolno, samotnie, z trudem przeciskając się pośród tłumów radością upojonych, i na dziedzińcu ratuszowym złożył beczkę z sublimatem. W tój beczce były zwłoki marszałka, które złożono na łożu plecioném dla przesuszenia. Przygotowania farmaceutyczne wymagały koniecznie, aby zwłoki dostojnego marszałka wystawione były w sali dolnej ratusza, przez cały czas pobytu Maryi Ludwiki w pałacu arcybiskupim. Otóż sprzeczność nierzadko zdarzająca się na świecie. Tu szlochania rodziny; tam przypych cesarstwa; młoda monarchini w całym blasku piękności, mająca wstąpić do łoża małżeńskiego, i zwłoki wiernego sługi w walce z ostatecznem zniszczeniem: najwyższa rozkosz życia obok okropności śmierci. Wreszcie, Marya Ludwika udała się do Compiègne, a zwłoki do Panteonu.

Na wyspie w środku Renu, przerywającej most, który łączy Strasburg z Kehl, wznosi się skromny pomnik generała Desaix. Zwłoki jego złożone są w gościnnym klasztorze Śgo Bernarda; tu tylko uczczono pamiątkę świetnej obrony mostu, która trwała od 26 października 1796 do 9 stycznia 1797 roku. Jestto może najpiękniejsza karta w dziejach armii nadreńskiej. Arcyksiążę Karol w dziele swém *Zasady Strategii*, tak się o tём wyraża: „Francuzi mężnie go bronili; żaden punkt nie był zdobyty, póki go nie opasano przykopami i szturmem nie wzięto; słowem zrobili wszystko, czego tylko

po walecznym garnizonie wymagać można. Lecz Francya więcej się spodziewała od generała Moreau; porzucił on rolę naczelnego wodza, aby objąć obowiązki dowódcy twierdzy.”

Niemniej ważne w tój stronie następstwa Ren wspomnienie z czasów Ludwika XIV. Turenne, pobiwszy Austryaków pod Turckheim, niedaleko Kolmaru, wypart ich stanowczo z Alzacy i przeszedł Ren powyżej Strasburga. Montecuculli czekał na niego na równinach między Achern i Salsbach. Turenne tak kierował obrotami wojska, by zmusić cesarskiego wodza do przyjęcia bitwy. Wreszcie, Montecuculli począł sprawiać szkiki, a książe badeński skierował działo. Kula odbiła się o drzewo orzechowe, którego pień dotąd stoi w tём samym miejscu, i ugodziła Turenna. Pierwszy pomnik wystawiony na nieszcześnie wzmórz, był pomysłu niemieckiego. Schoepflin położył na nim napis dostateczny dla potomności, „*Tu poległ Turenne, 27 lipca 1675 r.* Za Ludwika XV, kardynał Rohan, biskup strasburski, Francuz przez dawne wspomnienia, Niemiec z interesu, a prócz tego pan na Salsbachu, wystawił marszałkowi nowy pomnik i dom obok niego, z przeznaczeniem na mieszkanie inwalida z armii Ludwika XIV. Pierwszym odwetem rewolucyi za granicą, było zburzenie tego pomnika. Moreau w r. 1796 po przejściu Renu, podziwiał zwalony głaz. Dopiero w sto pięćdziesiąt cztery lat po śmierci Turenna, rząd Karola X poprawił zaniedbanie cesarstwa, wznosząc na miejscu pomnika przez generała Moreau postawionego, głaz z granitu siwego, trzydzieści ośm stóp wysoki, dwadzieścia cztery szeroki. A że nie było inwalida z czasów Ludwika XIV, umieszczono więc na straży honorowej inwalida z czasów Rzeczypospolitej.

Niedaleko brzegów Renu, w r. 1797, Moreau upartą stoczył bitwę pod Ettlingen z arcyksięciem Karolem. Od początku do końca zawzięty trwał bój, bez rozstrzygnięcia i bez żadnego skutku, ponieważ przymierze w Campo-Formio położyło kres turniejom obudwu wodzów, a 25 listopada tegoż roku, ten co ważył losy Europy, twórca rzeczypospolitych włoskich, człowiek chudy, mały, śniadęj cery, który przy luku dział przebył Szwajcaryę, o godzinie ósmej wieczór stanął w Rastadt, przy blasku pochodni, w powozie ośmio-konnym, pod zasłoną huzarów austriackich, sie-

dząc między Józefiną i Muratem, to jest między gwiazdą szczęścia i sławą; przybył zaś dla otwarcia kongresu, który się skończył śmiercią posłanników Dyrektoryatu.

Tak postępując z biegiem Renu, ujrzymy go, jak nakształt drzewa genealogicznego rozwija wypadki i pomysły, które wstrząsały światem starożytnym i nowoczesnym, od Cezara począwszy, aż do Napoleona. Na najmniejszej wieżyczce wyrta jakas legenda, najnniejszy napływ wody toczy jakas rewolucyę, miejsce bagniste nawet odbija wizerunek wielkiego człowieka, lub podaje wyjaśnienie wielkiej myśli. W kraju Gryzonów obraz czystej demokracji, w Konstancyi wspomnienie tryumfu chrystyanizmu; początek przewagi reformacji napomyka Bazylea; Strasburg jest uosobnieniem panowania Ludwika XIV. Sztuka nowoczesna panuje w Düsseldorfie, wojna przyszła w Moguncyi, polityka w Kolonii. Dodajmy do tego Heidelberg sąsiedzki Renowi, a będziemy mieli środkowy punkt moralny. Frankfurt także niezbyt odległy, jest obrazem życia handlowego Europy. Obudwóch zaś miast z okolic Renu oderwać niepodobna; są one z nim ściśle spokrewnione, łączą się z nim przez stosunki, jak Men i Nekara, nad któremi stoją, łączą się z nurtem głównej swojej rzeki.

Niepodobna abyśmy w krótkim zarysie objęli wszystkie wypadki, jakie w najmniejszym załomku Ren na pamięć przywodzi; byłby to bowiem obraz historyczny dziejów ludów europejskich. Ważny zapewne i uderzający, lecz obszernego dzieła przedmiot.

Od Moguncyi załamuje się Ren, i między Bingen a Wiesbaden nowy przybiera charakter. Pierwsze z tych miast leży na lewym brzegu Renu, drugie od strony Frankfurtu. Wiesbaden mieści w sobie cieplice Renu, tak jak Kolonia jego katedrę, a Moguncyę warownię. Dla tych miejsc jedynie czas nie nie zmienił w rolach, jakie im los przeznaczył w odwiecznym dramacie rzeki. Pod Bingen wszakże Ren przedstawia zjawisko, którego geologowie dotąd wyjaśnić nie zdołali. Napróżno przyzywali na pomoc wulkanów z kraterami, bez kraterów, nie więcej także pomogło im wezwanie pomocy morza. Ren w tém miejscu nagle od Moguncyi na zachód zwrócony, natrafił na zaporę skał, które po obudwu stronach brzegi jego

cisną i koryto zawalają. Siła wody od wieków nie zdołała wyłobić sobie dogodniejszego odpływu, i dotąd żegluga w tém miejscu dość niebezpieczna, a spław tratw nader zręcznego i dokładnie z miejscowością obeznanego wymaga ratmana. Stowarzyszeni żeglarze prochem rozsadzali skały tamujące bieg rzeki, i znacznie przez to ułatwili jej spławność. Mimo to, dawna nazwa Bingerloch dotąd się jeszcze utrzymuje. Samo miasto, acz porządne i zamożne, nie budzi interesu, chyba przez sąsiedztwo blizkie z miastem Riedesheim, które wyborne winnice Karolowi W. zawdzięcza, i dotąd z nich szeroko słynie.

Jeżeli Bingen groźny jest dla żeglarzy, nie mniej przykry jest spław przy Oberwesel. Tu rzeka w przestrzeni blizko milowej ścięsniona płonnemi skałami, podobnie kryje w nurtach swoich, lecz są także i sterczące nad powierzchnią wody, a to właśnie utrudza niezmiernie żeglugę. Mimo to, Oberwesel należy do rzędu najstarszych miast nadreńskich; już w trzynastym wieku cieszyło się przywilejem wolnego miasta cesarskiego. W początku czternastego dostało się w posiadanie arcybiskupa Trewirskiego, z daru cesarza Henryka VII. Osobliwszy tu widok przedstawiają sterczące wśród Renu siedm skał, siedmią siostrami nazwane. W zamku Schoenberg, którego wspaniałe zwałiska górują nad miastem, mieszkały niegdys nadobne hrabianki; było ich siedm, i wszystkie wypowiedziały wojnę małżeństwu. Obojętność ich wyrównywała ich piękności. Wkrótce wszystkie razem znikły z zamku, a głos poposłity niesie, iż dziełem czarnoksiężnikiem w owe glazy przemienione zostały. Lecz obok tego zmyslenia i rzeczywista historia przywiązała swoje wspomnienia do tego zamku.

W nim urodził się Fryderyk Schoenberg, którego we Francyi Schombergiem zowią; był on księciem i marszałkiem na dworze Ludwika XIV. Pierwsze wyprawy wojenne odbywał w prowincjach sprzymierzonych, i był powiernikiem polityki Wilhelma II księcia Oranii. Po jego śmierci udał się do Paryża, i tyle sobie zjednał sławy, że go z Turennem i Kondeuszem równano. On to wydobyl Portugalię z pod panowania Kastylskiego, i utwierdził dom Braganza. Za powrotem, mianowany przez Ludwika marszałkiem Francyi, miał przed sobą otwarte najświetniejsze nadzieje, lecz

Ludwik XIV nie lubił go z powodu religii: Schoenberg był protestantem. W r. 1685 opuścił służbę francuską. Ludwik pewnego razu rzekł do księcia Villeroi: „Nie jestżeto rzeczą osobliwszą, że Schoenberg rodowity Niemiec, przyjął naturalizację angielską, francuską i portugalską?” Nienawisć pani de Maintenon zdaje się przebiegać w tych wyrazach króla. Opuściwszy Francję, uzyskał tytuł naczelnego wodza wojsk elektora brandenburskiego. Parlament angielski mianował go baronem Theis, hrabią Brensford, margrabią Harwich. Połegł w Irlandyi dnia 1 czerwca 1690 w bitwie pod Boyne, lecz jako zwycięzca.

Ren tytu wspomnieniami obarczony, im bardziej się do morza zbliża, tém bardziej zdaje się uginać pod brzemieniem pamiętek. Wysilił się w biegu swoim, rozpryska się na kilka odnóg, i gdzie indziej ledwie dostrzedz można jak się wlecze po wydmach piaszczystych. Minąwszy wielki upust pod Wyck-by-Duerstedt, już to nie jest Ren, lecz

strumień lękliwy, w trudnych zakrętach zwolna płynący, który przecież ciągnie się do morza. Pod Woerden gubi nawet nazwę własną, i przybiera nowe imię Vaardt. Ludy się łączą, rzędy się zmagają, sam Napoleon przykłada się do podźwignięcia ginącej rzeki: robią jej łożysko żelazne, aby w nie większą zebrać obfitość wody. Proźne usiłowania! w postaci wągłego strumyka dosięga on morza i ginie.

Tak kończy Ren, który, biorąc średnią cyfrę między drogą wodną i lądową, dwieście dziewięćdziesiąt mil ubiega. Tysiąc dwieście rzek i strumieni zasilalo go w tak długiej wędrówce: on zaś nawzajem oblewał sto czternaście miast, jedenaście narodów rozgraniczał, tocząc w swoich falach dzieje trzydziestu wieków i trzydziestu ludów. „Przepaska państw, mówi Wiktor Hugo, granica dumi, wędzidło zdobywców, wąz olbrzymiego Kaduceusza, który nad Europą trzyma bożek handlu.”

D.

— O LUDZIACH JEDZĄCYCH ZIEMIĘ.

Pismo naukowe francuskie, *L'Institut* z marca 1850 r., umieściło następną wiadomość, udzieloną akademii umiejętności w Montpellier, przez p. Augusta Saint-Hilaire, o ludziach jedzących ziemię, wyjętą z niewydaney jeszcze podróży po Ameryce południowej.

Wiadomo, że wielki łańcuch gór rozciąga się przez znaczną część Brazylii równolegle do morza; niewiele znajduje się wolnej przestrzeni pomiędzy nim a Oceanem. Zachodni spadek tych gór stanowi granicę dwóch działów roślinności, widocznie od siebie różniących się, tojest leśnej i polnej, czyli miejsc odsłoniętych. Na zachód, znajduje się wielka równina, także przedzielona wielu łańcuchami gór, których średnia wysokość wynosi podług Eschweg'a 750 metrów. Gdy wyjechawszy z miasteczka São Pawła, położonego na równinie, prawie pod zwrotnikiem Koziorożca, udajemy się na południe, mijamy stopniowo strefy wzrostu

różnych płodów zamorskich czyli kolonialnych, jakoto: krzewu kawowego, trzciny cukrowej, bananów, bawelny, i następnie przybywamy do *Campos Geraes*, nieznaney prawie okolicy, jedną z najpiękniejszych w Ameryce południowej. Jeszcze dalej ku południowi jest obwód *Curitiba*, tak jak poprzedni szczodrze obdarzony od przyrodożenia, a równie mało znany. Dalej za *Curitiba*, Brazylija jest jakby przedzielona, ponieważ od strony morza znajdują się góry prawie niedostępne, a na dolinie, oddziela ją od prowincyi *Rio-Grande* pustynia, mająca 60 mil geograficznych długości.

Po przebyciu gór zbliżamy się ku brzegom, i spotykamy świat całkiem nowy. Opuściliśmy na równinach wyborne pastwiska, ogromne stada trzód, zwykłą roślinność europejską, tojest pszenicę, winną latorośl, brzoskwinię, jabłoni i t. p., ale zaledwie dotknijemy stóp gór, widzimy zaraz

wegetację miasta Rio-de-Janeiro, z roślinami podrównikowymi, jakimi są: maniok, trzcina cukrowa, drzewo kawowe, banany, ananasy i t. p. Nie jest to już klimat umiarkowany i czyste niebo dolin; gorąco panuje tam nadzwyczajne, a powietrze zanieczyszczone jest wyziewami, z ogromnych bagien wychodzącymi. Mieszkańcy Campos-Geraes i obwodu Curitiba, po większej części z pokolenia Kaukaskiego, są piękni, dobrze zbudowani, silni; mieszkańcy zaś okolic nadbrzeżnych, prawie wszyscy pochodzący z białych i Indian, są barwy żółtej, słabowici i podlegli chorobom powstającym z niezdrowego klimatu i pokarmów mniej pożywnych.

W *Panaragua* i *Guaratuba*, małych portach blizkich obwodu Curitiba, znajduje się wiele ludzi, którzy cierpią szczególnie nałóg jedzenia ziemi. Dotknięci tym rodzajem choroby, żółkną, powoli chudną, wysychają i umierają. Dlatego gdy kto kupuje niewolnika, wywiedzieć się stara czyli nie ma nałogu do jedzenia ziemi. Nałóg ten zgnębny, częstokroć przechodzi w nieuhamowaną namiętność; widziano Murzynów z kagańcami na twarzach, padających na ziemię, aby tylko wciągnąć w siebie nieco ziemnego prochu.

Pozeracze ziemi, czyli *ziemiogedy*, nadewszystko prześladowani przez wydobytą z mrowisk białych mrówek; znajdują się tacy, co umyślnie wystają

niewolników dla wyszukania jój, uważając to za nadzwyczajny przysmak. Ludzie ci także bardzo cenią skorupy z garnków, zwłaszcza pochodzących z *Bahia*. Młodzież głównie łakomą jest na te skorupy, i często tłucze garnki dla ich zjedzenia.

Proboszcz z *Guaratuba*, widząc okropne skutki tego zgnębnego nałogu, zakazywał go surowo parafianom swoim, i kładł to za obowiązek sumienia. Opowiadał sam, że przy spowiedzi zwykł zawsze zapytywać każdego, czy nie jada ziemi, lub skorup z garnków, albo też mrowiska; i że pewien majątek zagraniczny zdziwił się niepomału, gdy przy spowiedzi wielkanocnej, został przez owego kapłana, któremu rzeczono zapytanie już w nałóg weszło, o powyższe rzeczy badany.

Z opisu powyższego okazuje się, że tu nie jest mowa o ziemi wapiennej, w niektórych okolicach Szwecji się znajdującą, napelnioną szczątkami wymoczków, która dlatego w czasie głodu za pokarm przez biednych mieszkańców stron tamedycznych bywa używana. Być może, że i ziemia amerykańska, powyżej opisana, posiada jakie szczególne ciała pożywne, lub przyjemnego smaku; ale ponieważ dotąd jój rozbioru jeszcze nie ogłoszono, niepodobna nic stanowczego powiedzieć w tym przedmiocie.

J. B.

— TORUŃ.

Toruń nie z jednego względu stał się pamiętnym miastem w dziejach Polski; liczne stosunki z zakonem krzyżackim, handlowe w dawnych czasach znaczenie jego i wreszcie pustoszące najazdy przez długie lata Szwedów, nadają mu ważność historyczną, czyniąc zajmującym dla nas krótki opis jego dziejów i miejscowości.

Toruń dawniej *Turnowem nazowieckim* zwany, po niemiecku Thorn, leży w Prusach zachodnich, w okręgu kwidzyńskim, na prawym brzegu Wisły, w odległości ośmiu mil od Grudziąza, a sześciu od

Bydgoszczy. Powierzchność dzisiejsza jego różni się zapewne niemało od dawniejszej, kiedy należał do pierwszych miast związku hanzeatyckiego. Dzieli się teraz na nowe i stare miasto; mieszkańców w ogóle liczy 10,000, z tych połowa Niemców, a połowa Polaków; znajduje się tu gimnazjum, szkoła dziewcząt i rozmaite rękodzielnie. Dawniej było wiele klasztorów męzkich i żeńskich, po których zostały jeszcze kościoły, a z nich dwa na protestanckie zamieniono. Najwięcej na uwagę zasługują, jako historyczne pamiątki, następują-

ce gmachy: ratusz w rynku starego miasta, wzniesiony, sądząc po stylu, zapewne jeszcze w XIV wieku, odbudowany zaś na nowo w pierwszjej połowie siedemnastego wieku; na jego to podwórzu nieszczesną śmierć poniósł nadburmistrz Reznar, skazany w roku 1724 na śmierć wyrokiem sądu sejmowego; w wielkiej sali posiedzeń znajdują się portrety wszystkich królów polskich, od Kazimierza Jagiellończyka. Druga sala, pamiętna w dziejach naradą zwołaną przez Władysława IV, na której zebrani teologowie katolicy, luterscy i kalwińscy, pod przewodnictwem Jerzego Ossolińskiego, mieli obmyśleć środki połączenia trzech tych wyznań. Na tej sali w r. 1659 Jan Kazimierz odbierał przysięgę wierności od Toruńczyk; poczem przyjmowany od nich sutą uczcą, z rąk burmistrza miasta otrzymał 1,000 dukatów w złocie w podarku, a Marya Ludwika 600 dukatów i wszyscy dworzanie stosowne upominki.—Prócz tego znajdował się w ratuszu piękny posąg z marmuru czarnego, wystawiony Kopernikiem przez księcia Józefa Jabłonowskiego. Posąg ten mocno nadwreżony, przeniesiono do kościoła Śgo Jana. W archiwum ratusza dobrze zachowanem, znajdować się na współczesny opis bitwy pod Tanenbergiem; w jednym zaś z przyspisków wisi portret Gustawa Adolfa, króla szwedzkiego, w naturalnej wielkości.—Dalej ważny jest kościół Śgo Jana, dawniej jezuitki a teraz protestancki, pamiętny tém, że w nim się wszczął rozruch, skutkiem którego miasto utraciło wiele przywilejów. Niemniej godzien wzmianki kościół Panny Maryi, dawniej luterski, dziś katolicki, w którym z owych jeszcze czasów pozostał grobowiec Anny, królowej szwedzkiej, siostry Zygmunta Wazy, króla polskiego, zmarłej w wierze protestanckiej, a kosztiem Władysława IV tu pochowanej i pomnikiem zaszczyconej. Nareszcie domek Kopernika, przy całej skromności i nędzy swjéj prawie, stanowiący jedną z najszacowniejszych i najniłszych pamiątek dla nas. Sławny na cały świat Kopernik, w rodzinném mieście został prawie zupełnie zapomniany, żadnym pomnikiem nieuczczony. Cesarz Napoleon, znajdując się w Toruniu, pamiętny sławy wielkiego astronoma, i sam miłośnik nauk matematycznych, zapytał nagle burmistrza, gdzie jest jaka pamiątka w Toruniu po Koperniku. Zdziwiony burmistrz, zaledwie przypomniał sobie,

przy pomocy innych urzędników, że istnieje domek narożny, znany pod tém imieniem, należący do jakiegoś tkacza. Kazał się tam Napoleon zaprowadzić, i pokazano mu małą izdebkę, której okno wychodziło na wysoką studnię, w kształcie ostrosłupa z wielką kulą na wierzchu: tutaj urodził się Kopernik 19 lutego 1473 r., tu przepędził młodość, i po powrocie z zagranicy przenieszkował. W tym pokoiku, od téj chwili starannie pielęgnowanym, cały sprzęt stanowi łożko ezarną kotarą pokryte, nad nim zaczerniały od starości portret astronoma, dwa stolki, szafa i stolik. Napoleon chciał kupić portret; ale przestrzeżony od innych mieszczan Niemiec, że straci urok izdebka skarb dziś dla niego stanowiąca, nie chciał przystać na żadne warunki. Od téj pory i studnię starą wyporzadzono, i kulę jako godło Kopernika ozłoceno, a domek stał się celem ciekawości wzystkich podróżnych, zazdrości współtowarzyszy i sąsiadów tkacza. W kościele Śgo Jana, Napoleon, zwiędając osobiłowości, uderzony został przy drzwiach widokiem jakiegoś zarzuconego, poszarzałego, zakurzonego nagrobka, i z oburzeniem dowiedział się, że to nagrobek Kopernika; kazał go odnowić, i obok wielkiego ołtarza umieścić. Kopernik wyobrażony na nim w popiersiu z białego marmuru, w todze kanonicckiej, z rękoma do modlitwy wzniesionemi. Na marmurze wyrtył napis świadczy, że ten nagrobek wznosił mł. Pyrnesiusz, lekarz toruński, żyjący przy końcu XVI wieku.

Na drugą stronę Wisły prowadzi długi most na łyżwach, przechodzący przez wyspę; przeciwległe to wybrzeże, obwarowane dziś szanicami, stanowi małą twierdzę. Opodal miasta widać zwaliska obronnego niegdys zamku Dybowa.

Pierwszym założycielem Torunia był Herman Balke, wielki mistrz krzyżacki, który wznosił go 1232 r. tak przynajmniej utrzymują niemieccy kronikarze; lubo Dominik Szule, w szacownej rozprawie, dowiódł nieodwołalnie, że Toruń, daleko dawniej założony, jest czysto polskiego pochodzenia, i zwał się podówczas Tarnowem Mazowieckim. W przeciągu jednego wieku doszedł Toruń do takiego znaczenia, że liczono go do głównych miast pruskich, w związek Hanzy weszłych; nie ustępował bowiem Królewcowi, Gdańskowi ani Elblągowi. Po długich wojnach z Krzyżakami za

Jagielly, i rozmaitej kolei zwycięstw, chciwość i skażenie kawalerów krzyża, zniechęciło ku nim ziemie i miasta pruskie, uciekiem ich dręczone, i w r. 1454 udały się one przez posłanników do Kazimierza Jagiellończyka, aby je uwolnił od przemocy zakonu, i przyjął pod opiekę korony polskiej, pod którą dawniej zostały. Przyjął ich Kazimierz za poddanych swoich, osłonił opieką i po dwunastoletnich wielorakich kolejach zwyciężonej wojny, stanął r. 1466 traktat w Toruniu, mocą którego, zakon krzyżacki ustąpił królowi polskiemu całą zachodnią część kraju swego, tojest ziemie: Chełmińską, Pomorską, Warmią, i tyle drogą dla siebie stolicę Malbork; zachowując jedynie wschodnie Prusy, odtąd niemieckimi zwane, z których holdować królom polskim był obowiązany. Od tej chwili i Toruń należał znów do Polski. W siedemnastym wieku, opatrzone w mocne warownie i wały, ucierpiał on wiele od napastniczych wojen szwedzkich, długim pasmem klęsk gniejących Polskę. Gustaw Adolf napróżno się silił zdobyć go, i pod swą władzę zagarnąć; czego on jednak nie dokonał, potrafił wskórać Karól Gustaw, który zostawił tam szwedzką załogę r. 1658, mężnie, lecz naderemnie opierającą się późniejszemu oblężeniu połączonych wojsk niemieckich i polskich, pod dowództwem Kazimierza Wazy. W trzeciej wojnie obległ Toruń i zdobył Karól XII r. 1703; w pięć lat jednak później odzyskał go August II. Za panowania tegoż króla, wybuchł roku 1724 pamiętne pieszaski między protestantami a wychowancami jezuitkami, które dawszy powód do wielkiego w mieście rozruchu, smutne dla niego sprowadziły następstwa. Opowiemy tu pokrótce jak się rzecz miała. Od pierwszego wstępu nauki Lutra do Polski, miasto Toruń, którego wyższa klasa mieszczańska po większej części była pochodzenia niemieckiego, skwapliwie chwyciło się nowego obrządku; powstało wiele *Soborów*, dawne kościoły niektóre pozamieniano na *kościółki*, ale to nie psuło porozumienia i zgody między mieszkańcami; w początku dopiero XVII wieku, kiedy Jezuitci otrzymali pozwolenie założenia tu Kolegium, wszczęły się starcia i zatargi między różnowercami, jak to niejednokrotnie i w innych miastach polskich się zdarzało, a mianowicie w Lublinie, Wilnie i Poznaniu. Długo trwała wzajemna nieprzyjaźń, zawsze jednakże w granicach drobnych zająć tyl-

ko się objawiająca; 1724 r. wszakże, z powodu nieoddania należnego uszanowania przez protestantów processy katolików, idącej przez ulice miasta, doszło do takich burd między młodzieżą obu obrządków, że oburzenie z obu stron powstałe, wciągnęło do kilkudniowej bitwy znaczną część mieszkanców; poczem rozjarzony motloch protestancki napada na kolegium i kościół jezuitki, wybija drzwi, tłucze, niszczy i pali wszystkie sprzęty, dopóki wysłani od prezydenta Reznera żołnierze nie miejsce nie rozpędzili go.

Magistrat toruński poszukiwał wprawdzie przywódców rozruchu, gdy jednak poszukiwania te i czynności magistratu nie zadowalniały Jezuitów, udał się rektor ich Czyżewski, ze skargą do sądu nadwornego asesorskiego w Warszawie. Na nieszczęście Torunia, przypadło to w porę odbywającego się sejmiku, który z niezmierną żarliwością obruszył się na ubliżających panującej wierze, przedstawiając ich jako dopuszczających się obrazy majestatu i godnych najsroższej pomsty. Próżno Reznier-prezydent, objęty ciężkim oskarżeniem o niedbałe dochodzenie winnych, a zatem niejako współnictwo, liczył na osobistą protekcję króla, któremu znana była doświadczona jego wierność ku swojej osobie w czasie wojen szwedzkich; nie wiedział on, że w sprawach sądowych, wpływ króla zagluszają powaga magnatów; nie wiedzieli wszyscy Torunianie co ich czeka, bo odaleni i mało mający stosunków z Warszawą, nieznali przemóżnej tu potęgi obrażonego przeciwnika. Wyznaczona kommissya wysłuchała oskarżających świadków, oddalając innych jako uczestników zamachu; drukowany opis wypadku, wydany przez Jezuitów z wielu przydatkami, szerzył ogólną zgrozę i oburzenie. Zapadł nareszcie wyrok, skazujący Reznera i innych urzędników, wraz z dziećmi przywódcami na śmierć przez ścięcie głowy; z nadmienieniem, iż przywódcy przedtem mają mieć prawą rękę odciętą. Król, mimo oporu i nagany wyroku, musiał go w końcu własnoręcznie podpisać. Wielu prócz tego skazano na wysokie kary pieniężne lub chłostę; gimnazjum protestanckie skasowano w Toruniu, i zagrożono miastu, w razie najmniejszego zajścia podobnego, opłatą do skarbu 1000 czerwonych złotych. Po skrupulatnem wykonaniu wyroku, kommissya której to było poruczone, kazała na rynku wysta-



Wilk.

wie pomnik ku wiecznej pamiętce, wyobrażający Jezuitę stojącego na wysokości kolumnie z długą różgą w rękę, jakby na groźbę mieszkańcom. Długo stał ten pomnik, nawet po zniesieniu zakonu Jezuitów; w r. 1821 zrzucony został dopiero na rozkaz rządu pruskiego. Cały ten wypadek ostro naganiły w urzędowych notach wszystkie prawie dwory europejskie, do których wiadomości doszedł on, mimo najsurowszego nakazu danego Torunianom, żeby o nim nigdy wspominać się nie ważyli, a co najważniejsza, stolica nawet aposto-

liska urzędową drogą strofowała zakon Jezuitów za postępowanie jego w tej sprawie. Od tej chwili zubożał i podupadł bardzo Toruń, kary bowiem nałożone wycieńczyły majątki wielu, i nigdy już odtąd podnieść się nie zdołał. Roku 1793 wieloletny został do monarchii pruskiej, r. 1807, skutkiem traktatu Tylżyckiego przeszedł pod rządzą ustawnionego Księstwa Warszawskiego wraz z departamentem Bydgoskim; r. 1815 traktat Wiedeński powrócił go rządowi pruskiemu, który zamienił go na warowną twierdzę.

WILK.

Wilki w rzedzie palchochodnych drapieżnych zwierząt razem z psami i lisami, tworzą jeden rodzaj *Psa* (*Canis*). Ogólna postać tych zwierząt każdemu wiadoma: u przednich łap mają po 5 palców, z tych 2 średnie pomiędzy sobą równe i znacznie dłuższe od innych, a zewnętrzny bardzo mały i wzniesiony tak, że ziemi dotykać nie może; tylne łapy zakończone zwykle 4ma palcami, gdyż 5ty po większej części płonieje i tylko czasami bywa mniej więcej wykształcony, jak pazury zdolne do kopania, lecz z powodu, że te podczas chodzenia nie mogą być unoszone w górę, wkrótce przytępią się. Obecność dwóch pagórkowatych o szerokiej koronie trzonowych zębów, umieszczonych w głębi górnej szczęki, wskazuje, że te zwierzęta nie są przeznaczone wyłącznie do żywienia się mięsem, lecz także w części pokarmami roślinnymi. Węch posiadają bardzo delikatny, i zdobyć swą po śladach łatwo zwietrzyć mogą. W końcu, zwierzęta te wydają na świat płód ślepy, który do stanu zupełnej dojrzałości przychodzi dopiero z końcem drugiego roku. Żyją zwykle od 15 do 20 lat. Rodzaj ten dzieli się na dwie grupy. Pierwszą grupę składają gatunki, mające żrenice we dnie i w nocy okrągłą, i zęby średnie głęboko wcinane, tojest właściwe psy i wilki. Drugą tworzą lisy, odznaczające się żrenicą we dnie pionowo podłużną, nakształt wązkiej szpary, ogonem bardzo długim, kiściastym, pyskiem bardzo zaostrozonym,

i odmiennymi obyczajami. Do najszkodliwszych zwierząt pierwszej grupy należą:

Wilk pospolity (*Canis Lupus*), u naszych myśliwych zwany *łupurem*, *baszurem*, a wilczyca *waderą*; z pierwszego wejrzania podobny do kundla; od końca pyska do nasady ogona, miewa niekiedy a szczególnie w zimnych klimatach aż do 5 stóp długości, zwykle jednak bywa mniejszy; ogon $1\frac{1}{2}$ stopy długości, cienko kończący; maść pławo-szara, na głowie jaśniejsza, i pasek na obydwóch przednich nogach, tudzież koniec ogona prawie zupełnie czarny.

Sucha, koścista budowa ciała zapowiadająca siłą, skradający się, nieśmiały chód, dzikość z chytrością i bojaźliwością złaczona, srogo ponury i prztytnię zdradliwy wzrok i cała fizyognomia, znamionują tego najszkodliwszego nieprzyjaciela trzód naszych, i tak częstokroć niebezpiecznego napaśnika ludzi. Wyjawszy wyspy Wielkiej Brytanii, wilk żyje po całej Europie, w wielu okolicach Azji; różne jego gatunki zamieszkują także Amerykę; przedewszystkiem lubi okolice górzysto-leśne, gdzie niewielka ludność skupiona jest we wsiach i miastach, gdzie siedziby ludzkie podzielone są jedne od drugich obszernymi, lesistymi przestrzeniami, na których obficie napotyka dla siebie pożywienie; w takich to okolicach rad stale przemieszkwać. Dlatego góry Pirenejskie, góry Owernii, Karpaty, Ardenny, góry szwedzkie i nor-

węgskie, Hiszpania i Włochy, Turcja i Grecja, jak również lesiste i nie tak jeszcze zaludnione równiny Polski, Węgier, Rosyi, i kraje naddunajskie są ulubionem mieszkaniem wilków. Z krajów zaś ludnych i wysoko uprzynnych, jak np. z większej części Niemiec zwier ten dawno już został wypłoszony lub w nich wytepiiony, a jeżeli się tam jeszcze zjawia, to chyba pojedynczo, jak ów sławny wilk wirtumberski, który przez cały rok wybierał z trzód daninę; ale trudno mu jest uchwycić się długo przed porządnem, powszechnem ściganiem. Jego złościwie dzika postać, jego przerażające wycie, a może i zwyczaj nocnego w gromadzie napadania i oblegania pojedynczych odosobnionych siedzib ludzkich, i nabawiania trwogi mieszkańców, we wszystkich krajach i od najdawniejszych już czasów, dawały powód do wielu urojonych o nim podań; takim jest *wilkolak* w polskim języku, *Wahrwolf* w niemieckim, *Loup-garou* w francuzkim, a *Lycanthropes* u Greków, których samo wspomnienie zgrozą lud ciemny przejmując. Mają to być strachy, widma w wilecjach postaci, którą według mniemania bojaźliwej wyobraźni, przybierają na siebie złe duchy lub w zmowie z nimi będący potępienicy, dla rozmnożenia trwogi i niedoli między innymi ludźmi. W religiach u najdawniejszych ludów, to złościwie ale przystępnie bardzo przenikliwe i uporczywe zwierzę, odgrywało główną rolę. Poświęcone Apollinowi, okazuje się już w historii Remusa i Romulusa jako ich mamka; wilk także był towarzyszem Odyna, i w skandynawskiej mitologii znany pod imieniem *Fourey* lub *Fenris*, uważany był za godło niszczyciela, który zniszczenie świata, a wkońcu nawet zagładę Bogów przetrwać miał, aż mu narodzić się największe bóstwo, *Allvadur* (najwyższy, jedyny Bóg, nie Odyn który niekiedy też samo imię nosi) rozplątał paszeczę i zabił go tym sposobem. Kapłani u dawnych Egipcyan, celniejsi druidowie, tudzież *Blotmanner* i *Blotgadar* skandynawscy, do których należało czynić ofiary z ludzi i zwierząt, nazywali się Wilcy, i dwaj ostatni odziewali się w wilecze skóry, gdy dopełniając przepisów swęj religij, ofiary z ludzi sprawowali.

Z wysp Wielkiej Brytanii zupełnie teraz wilki znikły, i od roku 1577, gdy ostatni raz Szkocja jako plaga nawiedziła, ledwo już potem napotykały o nich w tamtejszych kronikarzach wzmiankę;

w Irlandyi zaś utrzymały się jeszcze aż do początku przeszłego stulecia.

Jak pospolitemi dawniejszych czasów były na tych wyspach wilki, wyczytać można z notaty angielskiego antykwaryusza *Verstegan* (1605): że Anglo-Saksonowie dlatego miesiąc styczeń nazywali wilczym miesiącem, iż w nim najbardziej lekano się rozszarpania od tych zimnem i głodem rozbestwionych zwierząt.

Już za panowania Edgara, w X wieku, zaczęli Anglo-Saksonowie niszczyć te niebezpieczne zwierzęta, i tę wojnę zagłady prowadzili tak skutecznie, iż po ostatniej obławie za Edwarda I, już potem, jak się zdaje, nie było potrzeby jej nakiazywania, a przynajmniej w r. 1281 wspominają kroniki angielskie o wielkich stadach wilków szkody zrządzających, od roku zaś 1577 pojedynczo tylko, gdziekolwiek w okolicach najgórzystszych Szkocyi pojawiają się.

Mniej szczęśliwe były w tym względzie usiłowania we Francyi, czemu stawało najwięcej na przeszkodzie naturalne położenie kraju; co rok tu słysząc o rozszarpaniu ludzi, o szkodach jakie zrządzają w trzodach owiec, pomimo, że w każdym przez tych szkodników nawiedzanym departamencie istnieją towarzystwa w celu ich wytepienia, *Sociétés de loweterie* zwane; pomimo, że rząd wypłaca znaczne premia za uбиcie i dostawienie każdej sztuki. Długo trwające wojny i krajowe zaburzenia, brak publicznego porządku zawsze sprzyjają pomnażaniu się wilków. I tak, po ostatniej rewolucyi we Francyi gdy zarządzono powszechną obławę w roku 1797, ubito ich na raz 7351. Na końcu 30to-letniej wojny tak się rozmnożyły były w Niemczech, iż roku 1648, w samem Luneburskiem ubito ich 182 sztuk, a odwrotowi wielkiej armii z Rosyi (1812 r.) towarzyszyły stada wilków sykurskiej rasy, z których wielu pojedynczo dostało się aż nad Ren. W Litwie i u nas również gęsto jak i groźnie napotykają się wilki. W wielkiem księstwie Poznańskiem wielce się były zagęściły między 1807 a 1815 rokiem; w jednym tylko powiecie Magrowieckim naliczono w 1814 r. troje dorosłych ludzi, a szesnascioro dzieci przez wilków poszarpanych, a rząd pruski, który od r. 1815 używał wszelkich środków do uwolnienia kraju od tej kłeski, wypłacił od 1815 do 1819 r. znaczną, 4618 talarów wynosząc sumę, za uбиcie wilków. Jak

śmiało i straszne, nawet latem, bywają wilki, pokazuje się ze smutnego wypadku czterech dziewcząt, które w roku 1837 rozszarpane zostały w sierpniu, w parafii Biała, w powiecie Rawskim, w bliskości swych mieszkań. W Prusach wschodnich, w niektórych latach, dosyć często jeszcze zdarzy się widzieć wilka, i rzadko kiedy wybierze się kto w podróż zimową porą bez opatrzenia się w broń palną. Wypęcono je w Niemczech; pojedynczo tylko, w czasie tęgiej zimy, przeciągają z Wogezów w okolice nadreńskie, z Illirji do Alp, a z Polski do Słazka. Lloyd, w swych scenach myśliwskich z północnej Europy, przytacza wiele anegdot o wilkach, które chyba tylko w gromady się łącząc, napadają na pojedynczych podróżnych, zresztą zaś po największej części obawiają się ludzi i uciekają przed nimi. Wsamym Petersburgu słyszał od poważnego, wiary godnego człowieka, następującą historję: niebardzo daleko od tej stolicy, wieśniak sankami do domu wracający, spostrzegł, że jedenastu wilków ścigać go się zabiera, i ledwo małą godzinę drogi do domu mając, zaczął konia i w galop uciekł. Niedościgniony od tych okrutnych napadników, zdążył przed swe wrota, które przypadkiem były zamknięte, ale je spłoszony i rozpedzony koń hołobami uderzywszy wybił. Z pomiędzy jedenastu, wpadło za nim na podwórze dziewięciu zjadłych wilków, lecz zaraz za nim przymknęły się własnym ciężarem wrota. Tak dostawszy się jakby w łapkę, i spostrzegłszy, że niema sposobu do ucieczki, wilki, jak uważać było można, straciły odrazu swoje dziką i śmiałą naturę, i z krwawych, zuchwale drapieżnych stały się bojaźliwymi. Zbiegli się domownicy, a wilcy najmniejszego nie odważywszy się stawić oporu, kryjąc się tylko gdzie który mógł po kątach, zabici zostali.

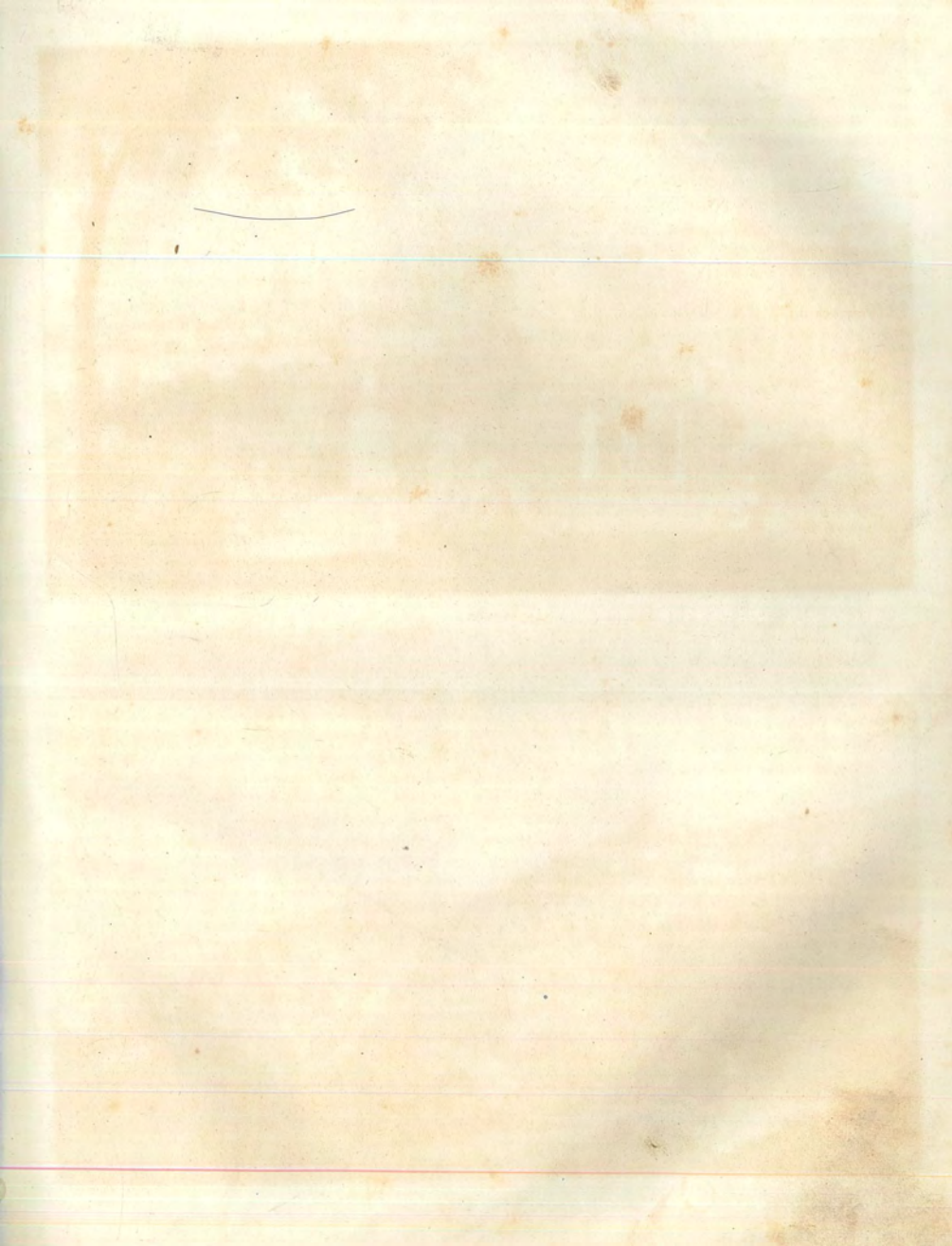
W nadbałtyckich rosyjskich prowincjach zawsze jeszcze wiele jest wilków: według *urzędowych* z r. 1822 wykazów, w jednej tylko gubernii inflanckiej, zadusiły one w ciągu r.: 1841 koni, 1807 krów, 733 cieląt, 15182 owiec, 726 skopów, 2555 kóz, 183 kozłat, 4191 świń, 312 prosiąt, 703 psów, prócz mnóstwa drobiu. W Syrii i Azji mniejszej, teraz wilk jest rzadki, że jednak niegdyś tam, w Palestynie, a nawet i w Egipcie bywało ich więcej, pokazuje się z wielu miejsc Pisma Świętego, gdzie o nich jest wzmianka. Mnóstwo ich jest w Syberji i w całej północnej Azji.

Latem wilk żyje samotnie, i w nocy tylko na łowy wychodzi; w zimie zaś łączy się ich kilku i więcej razem, i wtedy nawet śród dnia wspólnie polują. Mając z natury wdech doskonały, wilk bardzo łatwo zdobyć wytrópi, ale dobiega jęj, jako niezbyt szybki biegun, nietyłe bystrością biegu, jak raczej długimi, wytrwałym ściganiem, którem udaje się mu zmęczyć biedne zwierzę. Gdy sam jest ścigany, ucieka, nosem prawie ziemi dotykając, kiedy tymczasem oczy ze wściekłości jak ogień mu błyszczą, a sierć na szyi i karku jerzy się jak szczecina. Gdy spostrzeżga, że już nie ma się co bać niebezpieczeństwa, zwałnia bieg, zadarłszy pyska, odpoczywa, i niby tryumfując, bije się po bokach suto kiciastym ogonem. Zmuszony lub sam przez się uczuwszy potrzebę walki, broni się odważnie; uciekając nie zatrzymuje się, ale ujada, kąsa zapalczywie to na prawo to na lewo. Jest nader silny, i jak się zdaje, ma szczególniejszą siłę w muskułach głowy, szyi, łopatkach i w karku; nietrudno mu porwać i unieść owcę, skopa, a chwyciwszy zębami, i przytrzymując przednimi łapani, za każdym razem wyrwie kawał mięsa. Żarłoczność wilka weszła w przysłowie, i chyba wytłumaczyć ją można tylko przedkiem w tym zwierzęciu trawieniem. Osobliwym dla niego przysmakom są żrebięta i wszelka zwierzyna. Większe jednak na upodobanie w rogacznice niż w koniach. Bardzo głodny łowi myszy; zimową porą zbiera końską mierzwę, a w największej potrzebie jeden drugiego pożera, staczając zapamiętałe walki. W tej porze przechadzają się wilki po gościńcach i drogach, i wtedy ich myśliwi najprędzej wytrópić mogą. Wilk czai się, i jednym skokiem, podobnie jak kot, chwyta swą zdobycz. Konie i inne zwierzęta napada zwykle z przodu, łapie je za gardło i dusi; uzbrojone zaś z natury rogami, napastuje z tyłu lub z boku, i brzuch im rozpruwa; na sarny i jelenie wilki zimową porą robią formalne wyprawy. Jeden wilk rzuca się do ostoi lub legowiska, reszta staje na przesmykach, zawsze z wiatrem i czatują na przechodzącego zwierza. Jeżeli im się takie zasadzki nie udają, usiłują wspólnie napędzić sarny, jelenie lub łosie na łody, a osiągnąwszy to, każda sztuka staje się ich ofiarą. Ułowioną zdobyć wspólnie i zwykle w zgodzie pożerają, pozostałe części ile im czas pozwala, zagrzebują jak psy i lisy; rzadko jednak do nich wraca-

ją, bo ostrożność mianowicie w okolicach węgłej zaludnionych, wskazuje im potrzebę ustawicznej zmiany miejsca. Do ułowionej jednego dnia zdobyczy, jeżeli miały czas nażrzeć się, i część takowej na polu zostawiły, gdy łupiestwo spokojnie się odbyło, powracają dopiero trzeciej nocy. Wiedzą o tym dobrze myśliwi, i umieją z tego korzystać, stając w porze na czatach.

Łączenie się w pary wilków zaczyna się około nowego roku; samica nosi płód jedenaście tygodni, a szczeni się na początku kwietnia w jakiej kryjówce, mianowicie w gęstych zaroślach, przywodząc na raz 3—4, a według innych 5—9 ślepych szczeniąt, których zapamiętała broni. Pielęgnowaniem młodych zajmuje się nie tylko wilczyca, lecz także i jej nieodstępny towarzysz, którego niesłusznie obwiniają niektórzy naturaliści o brak czułości rodzicielskiej, przypisując mu okrutny zwyczaj zjadanie własnego potomstwa. Owszem, on z wielką troskliwością czuwa nad bezpieczeństwem swych szczeniąt i słabiej po wyszczeniu wilczycy, dla której sam nawet pokarm do legowiska przynosi. Następnie oboje starzy szczególniej na to uwagę zwracają, czy nie odkryto miejsca ich pobytu, bo najmniejsze podejrzenie, już jest dostatecznym do przeniesienia szczeniąt w odległe strony, z taką ostrożnością, że rzadko drugi raz dosledzone być mogą. Są przykłady, że pastersze długi czas krążyli około gniazda młodych wilków, a stare były spokojne, dopóki pastersze młodych nie znaleźli, i ręką się ich nie dotknęli; poczem naprzóno ich drugiego dnia szukano; téj nocy jeszcze przeniesione zostały w bezpieczniejsze miejsce. Kto więc gniazdo wilcze znajdzie, powinien go zaraz wybrać, bo inaczej nie znajdzie go później. Doświadczeniem stwierdzono, że wilk i wilczyca w pewnej odległości od gniazda swego, żadnej nie robi szkody. Jeżeli więc wilki w tym czasie robią gdzie szkody, nie tam, ale w odleglejszym miejscu szukać ich wypada. Dobrze o tym wiedzą nasi wieśniacy i pastersze, i niechętnie zwykli wyjmować wilczętą z gniazd, obawiając się zemsty starych, przez napady na ich trzody. Okoliczność ta da się objaśnić z naturalnej zmyślności wilki, którzy dopóki ma młode, woli odwiedzać odległe okolice, celem odwrócenia uwagi człowieka od miejsca, w którym swoje potomstwo umieścił.

Wilk i wilczyca wspólnie ćwiczą szczenięta od pierwszej młodości w łowach. Na ten cel przyprowadzają im żywe barany, prosięta, gęsi i t. p., które puszczają przed młodem, i wprawiają ich do łowu. Dla wzbudzenia w nich większej żarłocności, odwagi i chciwości, trzymają cielecia za ucho, młode zaś z nimi się drażnią, i z tyłu dowolnie szarpią. Chociaż więc wilczęta bojaźliwe są z natury, stają się przez to odważniami. W kraju naszym wilki, ta istna plaga, niedozwalającą zaprowadzić u nas należytego zwierzostanu leśnego, i często-kroć niszczącą cały dobytek wieśniaka, dzięki podniętom rządu, przez wyznaczenie premii, są dość gorliwie niszczone. Sąsiedztwo jednak z ościennymi mocarstwami, w wysokie góry i obszerne lasy zamożniami, długo nie pozwoli nam tych zwierząt do pożądanego stopnia wytepić, bo nowe ich stada, zawsze do nas przyciągać będą. O wszelkich zaś środkach wyniszczania ich, każdy, komu nieobojętną jest kultura i ogólna pomyślność kraju, wiedzieć powinien, i według możności takowe wprowadzać w wykonanie. Nie mamy wszakże tu zamiaru czytelników naszych obciążać z tymi środkami; odsyłamy ich do wzorowego pod tym względem dzieła p. Reumana p. t. *Gospodarstwo łowieckie*, Warszawa. 1845 r., gdzie bardzo praktycznie znajdują wyłożone tego rodzaju wiadomości. Wspomnimy tu tylko o dwóch nowych sposobach, lecz za rzetelność ich wkładamy odpowiedzialność na Pallasa, w którym wyczytaliśmy, że w Kamczatce tamtejsi Kozacy łapią wilka na wędkę, które mięsem nawleczone na mocnych rzemieniach, wieszają na ścianach swych domów w pewnej wysokości; wilk skacze do mięsa i w pysk je zchwyciwszy, łapie się za szczękę na wędkę. Czułeczowie, zaś powiada tenże, związują spiralnie kończyste rzemyki, wystawiają je polane wodą na mróz, potem smarują masłem i rozkładają w miejscach, któremi przyciągają wilki; takie rzemyki gdy odtają, rozwijają się i takie sprawiają w miejscach, któremi żołądka bolesci, że zwierze ten nie może ruszyć z miejsca. i nawet zdychać musi. W północnych, szczególnież nad brzegami Lodowatego oceanu położonych okolicach, tak w Azji jako i w Ameryce, przytrafia się odmiana wilka pospolitego, zupełnie biała. Podróżni, robiący dalekie wycieczki w celach naukowych do tych złodowiczych krain, Bickrdson i Franklin, oprócz walki z białemi niedź-





Dresden.



Heidelberg.

wiedziami, niejednokrotnie musieli się spotykać w przystaniach z białymi wilkami. Pewnego razu, u stóp śpiących towarzyszy Franklina, zwierzęta te wygrzebały jelenia, który szczęściem upolowany, na następny dzień przeznaczony, z przezorności w śnieg był zakopany.

Druga odmiana wilka pospolitego, zupełnie czarna, uważana przez Linneusza i innych naturalistów za oddzielny gatunek, opisywany pod nazwiskiem wilka czarnego (*Canis lycaon*, *Loup noir*. Cuv.), żyje w południowej Europie, a mianowicie w górach Pirenejskich. Ma być daleko sroższy od wilka zwyczajnego.

W menażeryi paryżkiej chowano czarnego wilka wraz z wilczycą; lecz według postrzeżeń Fryderyka Cuvier, potomstwo wyrodziło się z czarnej barwy; stąd wyprowadzono wniosek, że dla tej jedynej a zmiennej cechy, wilka czarnego nie można uważać za oddzielny gatunek, ale raczej przyjąć należy za mieszańca wilka z psem. Z ciekawych gatunków wilka Fauny Amerykańskiej, Saya i Halana, przytoczmy tu dwa, wyobrażone na dołączonej tablicy, o których nie nie piszą. Czyni tylko wzmiankę Cuvier w swoim dziele: *Le règne animal*: „Wilk kolumbijski (*Canis latrans*,

Say) [fig. 1]. Z kształtu głowy, pyska i nosa, jako też z oprawy ocz, ma wiele podobieństwa do naszego psa owczarskiego. Cały popielato-rdzawej maści; grzbiet, wierzch głowy i ogona ciemniejsze, obwód pyska, uszów, podbrzusze i spód łap białawe. Zamieszkuje równiny Kolumbii, w wyższej stronie Missury. Zdarza się także w licznych odmianach w Meksyku i na Pampas, w południowej Ameryce. Jest on znacznie mniejszy od wilka pospolitego; różni się także od niego szczególniejszym, że na rozległych stepach zachodniej Ameryki robi kopanki, w których częstokroć gromadzi, po kilkanaście sztuk przebywa. Sposobem życia i obyczajami podobny jest więcej do szakala niż do wilka, i zdaje się być pośrednim między wilkiem, lisem i szakalem. Wreszcie, wilk meksykański (*Canis mexicanus*) wedle opisu Cuviera, w wyżej przytoczonym dziele jego, nie zdaje się różnić od wilka kolumbijskiego.

Wilk szary (*Canis nubilus*, Say) [fig. 2], odznacza się barwą jednolitą, ciemno-szarą i ogonem długim, prawie jak u lisa кіscistym. Żyje nad rzeką Mississippi.

4.

DREZNO.

Drezno należy do liczby najpiękniejszych i najznakomitszych miast w całych Niemczech, tak ze względu powabnych okolic, jak z bogatych skarbów sztuki i nauki. Nazwać je można niemiecką nadelbianską Florencją; rozciąga się bowiem szeroko po obu stronach Elby, która przerzyna opodal góry czeskie i przedziera się tu śród piaszczystych skał Szwajcaryi saskiej na rozległą dolinę, otoczoną wzgórzami strojnymi w winnice i żyzne lany zbóż.

Przebraliśmy się przez dzikie i pracowitym ludem zamieszkałe góry Erzgebirgu, powiada jeden podróżnik, zwiedziliśmy Freiberg, stolicę saskiego górnictwa, i przebywszy romantyczną dolinę Moldawy, dostaliśmy się na ostatni cypel gór, oddzielający nas od rezydencyi królów saskich, przypa-

trując się stąd pięknemu widokowi na cały obwód misieński. Niezadługo doszliśmy do Naundorfu-Mohorn, i oglądaliśmy pole bitwy pod Kesselsdorf, gdzie Leopold Dessauski odniósł zwycięstwo nad Sasami, 15 grudnia 1745 roku. Stąd droga już idzie na dół, i widać góry po prawym brzegu Elby, późniejszą samą rzekę. Około wioski Löbtau, wypoczęliśmy przy pomniku Wernera, słynnego mineraloga, (wzniesionym w półkołę z granitu na bazaltowych kolumnach), przypatrząc się cudnej panoramie: na prawo, w dali, błyszczą okna twierdzy Königsstein; z przodu wznosi się, ginąc w błękicie, samotny wierchołek Lilienstein, a około niego w ostrych konturach rysują się fantastyczne szczyty i załomy skał saskiej Szwajcaryi; za Dreznem, ku

Miesien widać porozrzucane po górach winem zarosłych nadobne wille, a w dolinie sama stolica jaśniej wspaniałemi wieżami i gmachami, śród wijących się po rzece okrętów, statków parowych i gondoli. Zatrzymaliśmy się w rogacie Frejbergskiej na odbycie policyjnych formalności, gdzie po odebraniu od nas paszportów i wypytaniu się o przyszłe mieszkanie, zalecono nam zgłosić się do biura paszportowego, po uzyskanie właściwych kart pobytu. Stanęliśmy w hotelu pod znakiem „Miasto Rzym” na Neumarkt, i idąc za tamtejszym zwyczajem, wzięliśmy zaraz służącego, który nam wynalazł towarzystwo cudzoziemców dla zwiedzenia osobliwości miasta; trzeba bowiem wiedzieć, że oglądanie tamtejszych ciekawości znacznych opłat wymaga; zwykle więc kilka osób razem się zbiera i koszt rozdziela wspólnie.

Zaczęliśmy naszą wyprawę od kościoła Panny Maryi, na którego wieżę dostawszy się, przypatrywaliśmy się chciwie całemu miastu i okolicy u stóp naszych rozłożonej. Wspaniałe koryto Elby przerzyna dolinę, naokoło obszczoną pasmami gór, w środku której leży Drezno, ożywione ciągłym ruchem ludzi i powozów, cisnących się pilnie po krętych ulicach. Nasyćmy się wspaniałym widokiem ze szczytu świątyni, zeszliśmy do podziemiów ciągnących się pod całym jej obszarem. Kościół sam, zbudowany z kamienia, na wzór bazyliki Śgo Piotra w Rzymie, odznacza się pięknym ołtarzem i kopułą podwójną, którą zewnątrz otaczają cztery wieże w kształcie piramid.

Drezno składa się z czterech głównych części: z *Altstadt*, do którego należą trzy przedmieścia: Pirnawskie, Wilsdrufskie i Seevorstadt; z *Friedrichstadt*, którą od Altstadt oddziela Weisseritz; z *Neustadt* i z *Anstonsstadt*; dwie ostatnie części miasta, na prawym brzegu Elby, tamte zaś na lewym; łączy je z sobą wielki most kamienny 552 stóp długi, 32 stóp szeroki, opatrzone żelazną poręczą. Drugi mniejszy most mурowany, prowadzi z przedmieścia Wilsdruff na Friedrichstadt. Domów w całym mieście jest 4,000; mieszkańców zaś posiada około 80,000, w liczbie których znajduje się 7,000 katolików, 900 żydów i 300 reformowanych; kościołów i świątyni w ogóle liczy 18, lazaretów 3, szpitali 5 i 1 dom sierot i podrzutków.

Kościół katolicki, jeden z najpiękniejszych kościołów w Niemczech, wznosi się nad samą Elbą,

śród rozległego placu, między zamkiem królewskim i wielkim mostem; zbudowany cały z pirnawskiego piaskowca, stoi na podstawie czworokątnej, nawa zaś ma kształt owalu, a z obu krańców zakończy się owalnemi przystawami. Główne wejście, pod wspaniałą wieżą, której trzy piętra wznoszą się na osobnych kolumnach, prowadzi do świątyni od strony rzeki; dach płaski, miedziany, otacza dokoła podwójna galerya; jedna idzie nad całym kościołem, druga nad nawą. Na obudwu galeryach wznosi się 64 kolosalnych posągów z piaskowca, dłuta Mattiello; także posągi zdobią ściany w przerwach między wieżami. Dwurzędowa, wspaniała kolumnada prowadzi wokół wnętrza nawy i dzieli kościół na dwie części. Pod zakrytą, za wielkim ołtarzem, znajdują się groby królów; ołtarz cały z marmuru, zajmuje przestrzeń między trzema filarami kolumnady; na nim wznosi się krucyfiks srebrny 14 stóp wysoki, 6 takichże świeczników 12 stóp wysokich, i srebrne cymborium, które 18,000 talarów kosztowało. Nad ołtarzem wisi sławny obraz Rafaela Mengsa, przedstawiający Wniebowzięcie Chrystusa Pana, z 16 figurami kolosalnej wielkości. Oprócz wielkiego ołtarza, jest jeszcze 8 boczych, z pięknymi obrazami Mengsa i Rotarego; do znakomitych ozdób kościoła należą także marmurowe figury Jana Chrzciciela i Magdaleny, mistrzowskiemu dystem Berniniego wykonane. W liczbie piękniejszych kościołów wymienić należy: kościół Śgo Krzyża w Altmarkt i kościół parafialny w Neustadt. Na cmentarzu neustadckim godną jest widzenia grupa, złożona z 27 figur z ciosowego kamienia, przedstawiająca taniec Śmierci. Cała grupa dzieli się na cztery części; Śmierć, w charakterystycznej postaci rozpoczynająca taniec, a za nią postępują kolejno ludzie rozmaitego stanu i wieku.—Z cmentarza udaliśmy się do pałacu Japońskiego, w którego wnętrzach znajduje się gabinet starożytności, bogaty zbiór numizmatów, porcelan i publiczna biblioteka. Na Marktplat przypatrywaliśmy się pomnikowi Augusta II, wznoszącemu się na olbrzymiej podstawie z ciosowego kamienia, i mimowolnie śmiać się musieliśmy na widok peruki, zdobiącej głowę króla, odzianego w rzymską togę. Król siedzi na wspinającym się rumaku, i trzyma w ręku buławę. Wiegając zapewne jako pamiątka historyczna, aniżeli jako dzieło sztuki, zwrócił uwagę naszą pomnik

Kurfiršta Maurycego: stoi on w rogu ogrodu botanicznego, i wyobraża postacie: Kurfiršta Maurycego, brata jego Augusta i dwóch ich małżonek, Anny i Agnieszki, stojące w naturalnej wielkości pod baldachimem, wspartym na słupach; Maurycy podaje Augustowi miecz elektorski, a za nim stoi Śmierć z klepsydry, przy nim zaś Agnieszka w grubiej żałobie, a obok Augusta, żona Anna.

Przez ogród botaniczny przeszliśmy do akademii Medyczno-Chirurgicznej, zkąd udaliśmy się do ogrodu Brühla, największej ozdoby Drezna. Główne wejście do niego prowadzi od wielkiego mostu, naprzeciw kościoła katolickiego, przez olbrzymie wschody wprost z ulicy, których strzegą dwa ogromne po obu stronach lwy kamienne. Piękne aleje lipowe, rzadkie krzewy i cudne widoki stanowią szczególną zaletę tego ogrodu, do którego dwie wyborne restauracje ściągają codziennie licznych bardzo gości. Najpiękniejszą jednak ozdobą ogrodu jest Belweder, słiczny gmach, z którego dachu przeuczynny widok przedstawia się oczom; przepędziliśmy tu miło i wesoło cały wieczór, i rozeszliśmy się dopiero w hotelu, żeby od jutrzejszego poranku rozpocząć wędrowkę po muzeach w Altstadcie.

Zgromadziwszy się w karawanę z sześciu osób złożoną (bo tyle najmniej potrzeba, żeby za opłatą biletów widzieć niektóre osobliwości), skierowaliśmy naprzód kroki nasze ku galerii obrazów, która znajduje się na drugiej stronie Neumarktu. Zapisawszy nazwiska w przeznaczoną na to księgę, i złożywszy każdy dukata, wprowadzeni zostaliśmy do przybytku sztuki przez grzecznego przewodnika, który nie tylko nam wskazywał obrazy najgodniejsze uwagi, ale nadto przy każdym wzmiankował główne przymioty i zalety. Zewnętrzna galeria zawiera 1220 dzieł autorów niemieckich, flamandzkich i francuzkich, wewnętrzna zaś 597 obrazów samych szkół włoskich; w osobnej sali zebrane są pastele. Złego nie tu nie obaczysz, średniego bardzo mało, dobrych i pięknych dzieł mnóstwo, arcydzieł bardzo wiele. Najwięcej uwagę naszą zajmowały arcydzieła Rafaela, Correggia, Rubensa, Mierisa, Ruysdacla, Teniersa i innych. Między pastelami, Amor Rafaela Mengsa, może być niezawodnie nazwany arcytworem tego rodzaju malarstwa. Smutno i przykro było nam rozspazając się po galerii obrazów, gdzie widok sztuki niemniej napa-

wał nasze uczucia, jak i widok wielu artystów i artystek gorliwie tu i wybornie pracujących.

Po uiszczeniu należnej opłaty, otworzono nam w tymże samym gmachu na dole znajdujące się muzeum odlewów gipsowych Mengsa. Ważny ten zbiór zawiera kilka tysięcy odlewów z arcydzieł starożytnych, i służy za doskonałą szkołę dla kształcących się artystów, którzy bez dalekich podróży, bez wydatku, poznawać i zgłębiać mogą dawne wzory. Najbardziej zasługują na uwagę: Laokoon, Apollo watykański, Gładyator konający, Amor i Psyche i t. d. Nad wozownikami królewskimi, które zajmują drugą stronę gmachu galerii, znajduje się zbiór broni, bogaty w rzadkie przedmioty sztuki wojowniczej wszelkich ludów i czasów.

Zamek królewski, połączony krytą galerią z kościołem katolickim, ogromny w rozmiarach, nie odznacza się bardzo powabnym pozorem; wznosi się nad nim wysoka, pokryta miedzią wieża, przodem ku Elbie obrócona. Z powodu niebytności podtenczas króla, mogliśmy obejrzeć wewnątrz zamku, gdzie najwięcej zajęły nas: sala posuchalna, kaplica z wielu obrazami Mengsa i Rubensa; sala tronowa, malowana przez Bendemana, i sala balowa, ozdobiona pysznymi kobiercami, przedstawiającymi sceny z życia Alexandra Wgo. Zamek łączy się również galerią z pałacem książąt krwi, który znów komunikuje z innym pałacem, zwanym *Zwinger*, składającym się z sześciu pawilonów, powiązanych z sobą galeriami i przeciążonych prawie zewnątrzniemi ozdobami architektonicznymi. W środku pawilonów rozciąga się obszerny podwórzec, w czterech rogach ożywiony bijącymi wodotryskami, i zastawiony alejami z drzew pomarańczowych. Wnętra *Zwingu*, oprócz przepychu przystrojenia, kryją w sobie wiele drogich skarbów sztuki i nauki: znajduje się tu bowiem ogromny gabinet historii naturalnej, podzielony na trzy oddziały; znakomity zbiór rycin, zawierający 300,000 dzieł najrozmaitszych szkół, i wiele ręcznych rysunków sławnych autorów, wszystko w wyborzym porządku ułożone, i wreszcie doskonały gabinet matematyczny. Poobiedzie całe przepędziliśmy w pięknym ogrodzie, około pirnawskiej rogatki, gdzie wyborne koncerty sprowadzają wszystkich kwiat świata drezdeńskiego; w środku ogrodu wznosi się pałac w kształt litery H, z czerwonego piaskowca budowany,

z wspaniałym wchodem po szerokich wschodach, w którym na dole znajduje się zbiór starożytności narodowych z wieków średnich; na górze zaś obszerne sale służą w lecie na wystawy kwiatów i płodów ogrodniczych. Obok pałacu, oko przechodnia zwracają dwie ogromne grupy marmurowe, dłuta Conradiniego, z których jedna przedstawia Centaurów porywających Nimfy, a druga Saturna unoszącego Młodość. Wieczór zajął nam teatr, którego budynek należy do najwspanialszych i najpiękniejszych tego rodzaju w Europie.

Nazajutrz rano, zwiedziliśmy zakład wód mineralnych Struwego, z pięknym ogrodem, Seeverstadt, Antonstadt, strojne wystawy bogatych sklepów i inne osobliwości uliczne, udaliśmy się do *Grüne Gewölbe* (zielone sklepienie), najważniejszej ciekawości dreźnieńskiej; jestto skarbiec najkosztowniejszych rzadkości, bogactw i klejnotów, rozłożony w ośmiu pokojach zamku królewskiego, w całych Niemczech najznakomitszy i najszacowniejszy. Skarbiec ten otwiera naprzód sala bronzów; wszedłszy doń tylko, na pierwszym kroku zdumiewasz się, i musisz porzucić myśl pilnej uwagi i rozbiór, bo tysiące przedmiotów, jedne godniejsze od drugich, rozrywają i niszczą ją odrazu; zaledwie zdążysz spojrzeć na co, przewodnik natychmiast odwodzi cię dalej, wskazując coś ważniejszego i popędza aby prędzej, bo prócz straty czasu nie więcej nie czuje. Z wielu arcydzieł znajdujących się w tej sali, najmocniej uderzył mnie posąg Marka Aureliusza i *torso farnese*. Druga sala zawiera wyroby ze słoniowej kości; wśród przepychu ich i mnóstwa, przedewszystkiem zwracają podziwienie wszystkich dwie głowy końskie Michała Anioła, okręt, ofiara Izaaka i wizerunek Piotra Wgo. Przy wejściu do trzeciej sali, bije w oczy ogromny komin, złożony cały z drogiej kamieni, perel i porcelany, oprawnych w złoto; znajduje się tu prócz tego mnóstwo rzadkości, dwie szafy burztynowe, wiele emalii i mozaik; bufet cały zastawiony naczyniami z muszel morskich, oprawnych

w złoto i srebro; pięć stolików mozaikowanych florentyńskiej roboty, z których jeden 80,000 talarów kosztował. Czwarta sala, kredensowa, mieści tysiące naczyń szczerzółotych i srebrnych, pozłacanych, tak ciężkich, że prawie podnieść ich niepodobna; sztuczne zegary, puahary i dzbany złote i naczynia rubinowe. W piątej sali znajdują się same kosztowności, naczynia onyksowe, karneolowe, ametystowe, porfiryowe, jaspisowe, agatowe, i t. d.; kubki z kameani, czasza z *lapis nephriticus*, urny z *lapis lazuli*, nieskończone mnóstwo perel i drogich kamieni w złoto oprawnych. Najkosztowniejszą sztukę w tej sali stanowi obraz, przedstawiający wędrówkę człowieka w tém życiu: młodzieniec siedzi na rozuzzdanym koniu, przed nim idą Cnoty, uciekając z wstrętem przed Występkami, wszystko złożone z perel i drogich kamieni. Ztąd przeszliśmy do tak zwanego gabinetu, gdzie zebrane są zabawki i fraszki, należące do arcydzieł kunsztu i sztuki. Są tu wizerunki robotników wszelkich rzemiosł, z perel i drogich kamieni wyrobiane i składane; pełno tam drobiazgów podobnych. W sali rycerskiej, na której czele jaśnieje herb polsko-saski, zwracają uwagę korona królewska, berło, jabłko, płaszcz koronacyjny Augusta II, i mnóstwo wielkich orderów na złotych łańcuchach wiszących. Ostatnia sala mieści skarby jubilerstwa, przedstawiające miliony wartością swych bogactw.

Z tego skarbcu udaliśmy się do muzeum historycznego, gdzie wiele świetności starożytnych, ułożonych należytyym porządkiem, w zbrojach, hełmach, rysztynkach, nauczający i zajmujący przedstawia widok.—Ósm dni pobytu w Dreźnie zesłało nam przelotnie na samém oglądaniu bogactw wielorakich tej stolicy, i zwiedzaniu bliższych jej okolic; niezatarta pamięć szacownych chwil tych zostanie nam za zawsze; na odetchnienie zmordowanej uwadze i ożywienie jej świeżością zachwycającej natury, puściliśmy się na nową wędrówkę w Szwajcaryę saską.

HEJDELBURG.

Kto był kiedy w Hejdelbergu, i bawił w nim choć krótko, w późne lata zachowa niezawodnie pamięć miłych jego, nęcących okolic, i nieraz serdecznie zatęskni za ubiegłymi chwilami.

Śród pasma niewysokich gór, leży Hejdelberg na wzniesieniu, naprzeciw wierzchołka Heiligenberg, rozpostarli się na pięknym wybrzeżu Nekary, wzdłuż szeregu skał, zachodzących głęboko w dolinę. Stosunkowo do długości, miasto jest bardzo wąskie; nieznac w nim najmniejszego przepychu, ani wytworności; ale te proste, skromne domy, te miłe, starodawne, kręte ulice, nęca i przejmują uczuciem zadowolenia, spokoju i zadumy.

Wyprawiliśmy się na pieszą wędrowkę z Frankfurtu, i dostaliśmy się przez góry do Karlsberga, gdzieśmy się połączyli z towarzyszami, którzy nas koleją żelazną wyprzedzili. Odpocząwszy po trudach podróży, skierowaliśmy naprzód wyprawę naszą do zwalisk zamku hejdelberskiego, dla obejrzenia z jego wyniosłości całej okolicy, nad którą wysoko się wznosi; stroną ścieżką wdrapaliśmy się na górę, mijając w przechodzie nędzne chaty, otoczone bogatą roślinnością, i doszedłszy do głównej bramy zamku, miłym przejęci zostaliśmy zadziwieniem, na widok pięknego i obszernego ogrodu zamkowego. Przed zamkiem, na prawo, rozbiega się obszerny taras, zacieniony odwiecznymi lipami, poprzeżynany krętymi ścieżkami, a w środku niego sterczy dumnie wieża, strzeżona przez dwóch rycerzy, co ponuro wyglądają ze ścian osłoniętych bluszczem. Z każdym krokiem rozwijał się coraz szerzej przed oczami piękny widok na dolinę, na miasto rozsiadłe śród ogrodów, na wspaniały łuk mostu, na poważny Heiligenberg i na zamek. Domki tonące w zieleni odbija jasne zwierciadło Nekary. Mglista oddal, zamykająca rozkoszny wokół krajobraz, ciemny błękit nieba, złoście chmury zachodu, świetnym pasem obejmują czarne wierzchołki gór na granicach widokregu. Łagodny wietrzyk, roznoszący upajającą woń lip i kwiatów, pośpne zwaliska zamku sterczące z wyniosłości, jakby godło zni-

komęj chwili tego życia, to wszystko razem przejęło nas silnie, głębokim wrażeniem, które nie da nam nigdy zapomnieć błogo spędzonego tu wieczoru. Mała steeczka śród klombów i kwiatów, zawiodła nas do wiszącego ogrodu, który założono na zrębach murowanej posady. Tu, siadłszy na prostej ławce pod drzewem, zachwycaliśmy się widokiem na szumiący lasem wierzchołek Kaiserstuhl, na Riesenstein i Geisberg. Ztąd przeszliśmy w podwórze zamkowe, gdzie olbrzymie ruiny w całej okazałości stały przed nami. Zwiedziwszy wszystko na zamku, po północy dopiero, przy blasku księżyca, wróciliśmy do hotelu.

Hejdelberg leży pod 49°24' północną szerokością, między rzeką Nekarą a pasmem gór, u podnóża których ciągnie się wązkim szlakiem ku dolinie, rozszerzając się nieco w miejscach gdzie góry ustępują. Dzieli się na trzy części: na miasto właściwe, przedmieście i miasto górne. Dwa główne trakty i dwie koleje żelazne krzyżują się w mieście, i wywołują ruch i życie, spławem Nekaru podsypane, od czasu zaś otworzenia kolei darmstadtzkiej, codzien się bardziej rozszerzające. Nie może się Hejdelberg poszczycić wspaniałymi gmachami; najwięcej odznaczają się pomiędzy innemi stylem i rozmiarem: uniwersytet, szkoła kameralna, ratusz, koszary i szpitale. Kościołów i kaplic liczy miasto 10, z pomniejszych których zasługują na uwagę: kościół Śgo Ducha, Śgo Piotra i kościół katolicki. Z placów najpiękniejszy i najokazalszy plac Karola, otoczony pięknymi domami; z niego widać wspaniale zwaliska zamku. Starożytne bramy miasta liczą się do szacownych zabytków dziejowych; najpiękniejszy jednak pomnik architektury stanowi wielki, murowany most na Nekarze, wysoko wznoszący się nad dziko tu huczącymi wodami, wsparty na ośmiu arkadach, coraz wyższych ku środkowi; pięknoscią budowy należy on do liczby najwspanialszych mostów w Niemczech. Długość jego wynosi 702, a szerokość 30 stóp. Jest on najulubieńszem miejscem przechadzki dla cudzoziemców i przyjaciół pięknej przyrody; po obu stronach wznoszą się na arkadowych filarach alta-

ny, z których zachwycą rozległy widok na dolinę rzeki, ogrodzoną górami, na daleką równinę i nadrenskie wzgórza; w dwóch środkowych altanach stoją posągi Minerwy i Karola Teodora.

Dodamy jeszcze, że miasto Hejdelberg w wielkim księstwie Badeńskim, jasniało już w XII wieku; liczyło się w dawnym składzie Rzeszy Niemieckiej do niższego Palatynatu, a w roku 1362 zostało rezydencją elektorów Palatynatu. Wzięte i zniszczone zostało przez Bawarów 1622 roku, a przez Francuzów 1673 i 1689 r. W 1719, elektor przeniósł stolicę z Hejdelberga do Manheimu.

W tym mieście urodzili się: Junius i Voss, sławni uczeni niemieccy. Posiada ono sławny uniwersytet, założony 1736 roku przez Elektora Ruperta II. Dźwignięty został opieką Wgo księcia Badeńskiego, Karola Fryderyka, w 1812 r. Dziś, między sławnymi na całe Niemcy jego profesorami, pierwsze miejsce trzyma stary Mittermajer, niedawno prezes *Vorparlamentu*, członek i prezes Zgromadzenia Narodowego w Frankfurcie. Zasłużony i czynny profesor filozofii i prawa kryminalnego, wzbogacił on literaturę niemiecką wielu szacownymi w tej nauce dziełami.

— ROZBICIE FREGATY ANGIELSKIEJ

„ARCHDUKE CHARLES“

OPOWIEDZIANE PRZEZ OFICERA MARYNARKI.

W ostatniej wojnie amerykańskiej, pułk piechoty nazwiskiem „Nowa Szkocja” z waleczności znany, przybył do Kwebeku, w Kanadzie, pod dowództwem pułkownika Henryka Darling. Tu otrzymał rozkaz wsiąść na okręt, udać się do Halifax i czekać tam dalszych rozporządzeń.

Na ten koniec przeznaczono do transportu prawego skrzydła wspomnianego pułku, piękną fregatę angielską „Arcyksiążę Karol,” objętości 550 beczek. Wsiadło na okręt jedenastu oficerów, cały sztab i dwustu żołnierzy, oraz czterdzieści ośm kobiet i dzieci; dodawszy do tego osadę okrętu, ludność jego dochodziła 300 dusz.

Na statku znajdował się także sternik królewski dla przeprowadzenia go przez miejsca niebezpieczne. Później się pokaże, czy ten człowiek godnie odpowiedział temu trudnemu powołaniu.

Mijał dziesiąty dzień podróży, dotąd ciągle szczęśliwej; już okręt przeplynał zatokę Sgo Wawrzynca, już sternik kazał kierować go na zachód, oświadczając, że nazajutrz będzie mógł wpłynąć do przystani Halifax; gdy około siódmego godziny wieczornej, przy najczystszej atmosferze, na krańcach widokregu ukazał się łuk czarny, cią-

gnący się od wschodo-północy, ku zachodo-półdniowi. Łuk ten zwiastował zbliżenie się mglistych obłoków, dosyć częstych w tej strefie, a tak ciemnych, że najsilniejsze zakryć mogą światło. Wkrótce też okręt otoczyła mgła, która co chwila stawała się gęstsza i czarniejsza, a przytém dęszczała strumieniami, i od czasu do czasu wiatr zrywał się gwałtownie.

Polożenie okrętu było trudne, nawet niebezpieczne, płynął bowiem w kierunku drogi, którą powracają statki z Indji Wschodnich; mógł więc—co się dość często zdarza—uderzyć o statek lub być uderzonym, pogrążyć go w otchłani morza lub sam być pogrążonym, a sposobu ostrzeżenia przy tak grubej mgle, nie było prawie żadnego.

Robiono jednak wszystko, co w podobnym przypadku zrobić można było: zdjęto połowę żagli, by zwolnić bieg, na przodzie okrętu postawiono straż, doboszom kazano bić w bębny w krótkich przestankach, a na pokładzie, ustawiono oddział żołnierzy, zalecając im największą baczność.

Niepełniący służby udali się na spoczynek; pomiędzy tymi znajdował się porucznik Stewart, który na prośby pułkownika, przez całą niemal

przeprawę pełniąc uciążliwą służbę, ledwo raz jeden przez ten czas w łóżku mógł odpocząć. Lecz zaledwie zszedł do kajuty, by użyć tak potrzebnego spoczynku, znowu wezwanym został do pułkownika. Ten z wszelką uprzejmością prosił go, żeby ze względu na grożące niebezpieczeństwo, na tę jedną noc jeszcze czujność swą przedłużył; dodał uśmiechając się, że pani Darling, jego żona, nie śmie spać się położyć, póki się nie dowie, że porucznik Stewart czuwa nad okrętem.

Porucznik, choć okropnie znużony, zaledwie był dobrym żołnierzem i grzecznym człowiekiem, żeby się mógł oprzeć rozkazowi przełożonego i życzeniom damy. Przysłał tedy bez szemrania na dalsze pełnienie służby.

Pułkownik, uwiadomiwszy porucznika, że kazał przyszykować dla niego potrzebny na noc posiłek, oddał mu komendę nad strażą umieszczoną na przodzie pomostu; na tylnym zaś umieścił kapitana Glennie z dziesięciu ludźmi.

Dészcz ciągle lał potokiem, wiatr straszliwie miotał okrętem pędząc przed sobą spienione, wielkie jak góry bałwany. Okręt jęczał bity nawałnicą, liny świszczwały, trzeszczały maszty i w nurtach nurzały się reje. (!) Noc była tak czarna, że z przodu okrętu do pierwszego masztu dojrzeć nie można było. — Królewski sternik widząc, że trudna sprawa, sam chwycił ster w rękę. To dało otuchę drżącym z zimna i strachu podróżnym. Czekało dnia jak zbawienia.... ale do dnia jeszcze było daleko.

Około godziny dziesiątej, majtek czuwający przy sztabie (!) krzyknął na straż na przednim pomście: „light ahead!” (światło przed nami!); porucznik Stewart wychylił się poza baryerę okrętową; zdawało mu się także, że rozpoznaje światło w kierunku wskazanym. Udał się więc na półmost dla zrobienia o tém raportu. Sternik, któremu właśnie pułkownik podawał szklankę groku, dość niegrzecznie dał mu odpowiedź, a pułkownik kazał mu wrócić na posterunek.

Lecz zaledwie tam stanął, kiedy straż u sztaby znowu oznajmiła, że widzi światło przed sobą; porucznik teraz wyraźnie spostrzegł światło migają-

ce w powietrzu. Znowu tedy z raportem pospieszył na półmost. Sternik odrzekał mu z gniewem: „panie, ja to od dwudziestu pięciu lat koło tych brzegów żegluję, i nikt mnie nie nauczył tych nurtów właściwości! Pułkownik zaś dodał: „Panie poruczniku, natychmiast wróć się na twój posterunek.” Spełniłem tylko moje powinność, odpowiedział Stewart, i ze smutnem przeczcuciem wrócił na przód okrętu.

Wkrótce potem, gdy dészcz lał z większą jeszcze mocą, a mgła bynajmniej się nie przerzdziała, wydarzyło się zjawisko tak dziwne, tak wyraźne cechy cudowności na sobie noszące, że wszystkich świadków do żywa przeniknęło.

Mogło być pół godziny przed północą, gdy jeden z majtków nagle zwrócił uwagę porucznika na coś czarnego, pływającego w powietrzu. Przedmiot ten, kształtów niepewnych, przeleciał jak strzała około okrętu, i jednocześnie usłyszano wyraźnie słowa: „Care of the rock!” (strzeż się skały!). — Porucznik Stewart kazał przestać bić w bęben dobozowski, wszyscy w milczeniu nadstawiali ucha; lecz na próżno — nie już nie widziano ani słyszano: zjawisko znikło, a w sercach pozostała wątpliwość i przykre przeczcucie.

Około północy, porucznik Stewart czuł się tak znużonym zimnem i ciężarem sukni wodą przesiąkłych, że ledwie ustać mógł na nogach; zmuszony był opuścić pokład. Lecz zaledwie przybył do kajuty i płaszcz zrzucił z siebie, kiedy z okropnym łoskotem i trzaskiem okręt utknął na skale. Przeleknięty, wskoczył porucznik na pokład; i tu ujrzał tył okrętu rozbity, zgruchotany, w falach pograżony; baryery okrętu razem z korpusem w miazgę obrócone, i dwie kobiety tamże śpiące, wściekłością bałwanów w odmet uniesione. A na pokładzie, co za okropna przedstawia mu się scena! Kto zdola opisać rozpacz ludzi kiedy ze snu wyrwani, skupieni w szczupłym miejscu, na próżno ucieca chcą przed grożącą śmiercią. Wśród huczącego, wrzącego żywiołu, wśród czarnej jak grób nocy, rozlegają się krzyki kobiet i dzieci, jęki i przekleństwa mężczyzn tracących wszelką nad sobą władzę; mąż żonę porzuca, myśląc jedynie o własnem ocaleniu; biedne kobiety w podwojonej rozpacz błagają u nóg obcych mężczyzn pomocy, ratunku! Zaiste, zdaje się to zawile na jeden obraz

(!) Poprzeczne drągi, do których na maszcie przyczepiała żagle.

(?) Sztaba, czyli bąszpryt, jestto drąg ogromny, prawie poziomo wystający przed przodem okrętu, do którego się przymocowywała podstawa wielkiego trójkątnego żagla, zwanego *żaglem łodzińskim*.

niedoli i klęsk ludzkich — a jednak niedosyć to jeszcze!

Patrz na tego oficera doświadczonego mężstwa, który dotychczas najczulszym był mężem, patrz jak się winduje w liny żaglowe, by uniknąć sąsiedztwa bałwanów.... on już nieczuły na płacz żony, zębrząc jej pomocy, własnemu zostawia ją losowi. Biedna kobieta, młoda i piękna! — Lecz ona poznaje głos poręcznika Stewart, do niego bieży, i jego kolana obejmując, i ze łzami prosi i błaga o ratunek. A on ją odpycha, i biegnie naprzód, bo i za nim śmierć goni.

Okręt natrafił na głaz podwodny, i spodem uwiłzał na nim; wściekle fale rozbijają się na pokładzie a on tonie, nurza coraz głębiej; niejeden, uciekając ze spodu okrętu na pokład, traci przytomność, bronić się nie zdoła; w jednej chwili bałwan go porwya, i na spienionym grzbiecie unosi w odmet lub o blizkie skały rozbija.

Już prawie wszyscy dopadli przodu pomostu, i tam w jeden ogromny tłum zbici, z trwogą czekają jutrenki dzień zwiastującej.

Około piątej godziny rannę, niepewne światło poczynającego się dnia, dozwala im rozeznac, że okręt tkwi na skale, odległej o dwie mile od brzegu; jakim zaś sposobem w jednej nocy mogli się tak dalece zbliżyć do ładu, po dziś dzień pozostaje zagadką, choć bystrym prądem morza, odwodzącego statek od kierunku sterem nadanego, starano się wytłumaczyć to dziwne zjawisko.

Okręt wyraźnie tonie, lecz jasność dnia wzmagając się odkrywa w odległości pięćdziesięciu sążni skałę, wznoszącą się nad morze, o którą wściekle uderzają fale. Na szczyt tej skały dostać się rozbitkom, to jedyna nadzieja ratunku!

— Kto zaniesie linę na to miejsce? — tak wszyscy pytają, a nikt nie odpowiada; wszystkich oczy instynktownie na poręcznika Stewart zwrócone.

On, z założonemi rękami spogląda w morze, bystrym okiem mierzy przestrzeń, mierzy otchłań dzielącą okręt od zbawczej opoki.

To prawdziwa Charybda! żadna siła ludzka nie zdoła tam zmierzyć się z rozhukanym żywiołem, żadna zwycięstwa nad nim odnieść nie potrafi. Majtkowie oświadczyli, że na taką walkę nie ośmieli się nigdy; żołnierze zaś przed samą już myślą truchleją.

Poręcznik Stewart znany był jako dzielny pływak; jego wzniosły umysł szukał sposobu ratunku; wkrótce w męжных piersiach dojrzało mocne postanowienie. Przemówił, a w jednej chwili rozpacz ustąpiła pociesze; rozbitkowie leżeli przed nim na kolana, dziękując z góry za ocalenie; tak wielkie było ich zaufanie w tym niezwykłym człowieku.

Rozebrał się do koszuli i lekkich spodni, opasał się mocnym rzemieniem; do tego pasa przymocował linę, i wdziawszy czapkę żołnierską na głowę, rzucił się w morze. Zaraz prąd wody porwał go i uniósł pod okręt, ale on zebrał wszystkie siły, wypłynął, i nadludzkim wyteżeniem dostał się do zbawczej skały. Tu go fale chwytają, i z wściekłą gwałtownością o głaz rzucają.

Pomimo licznych kontuzyj i krwi z ran płynącej, poręcznik usiłuje przymocować linę do skały; lecz to zadanie nader trudne: skała była okrągła, i od mnogiego zielska morskiego tak ślizka, że wdrapać się na nią, było prawie niepodobieństwem. Po długich jednak wysileniach udało mu się i to, i wkrótce na samym szczycie skały linę mocno przymocować potrafił.

Przez ten czas, towarzysze na okręcie zostawali w ciągłej niepewności, czy olbrzymie jego przedsięwzięcie skutek odniosło, i czy jeszcze żyje. — Liny popuszczano wprawdzie, żeby mu nie przeszkadzała w dopłynięciu do skały, lecz dojrzeć go okiem nie można było dla grubiej jeszcze mgły, za ledwie w niepewnych zarysach pozwalającej widzieć stopy skały. Te chwile niepewności były dla trzustu ludzi godzinami okropnej trwogi: z nim, jeśli zginął, znikła ostatnia nadzieja.

Stewart przymocował linę, starał się zejść ze skały, i zbliżyć się ku rozbitemu okrętowi tak, iżby był widziany; ale noga mu się poslizgnęła i wpadł w morze. I znów wartkie bałwany porwały go i powtórnie rzuciły o skałę, tak mocno, że tylko herkulesowej budowie ciała ocalenie był winien.

Po niesłychanych walkach z nieznosnym zimpem, bólem i nawałnicami, udało mu się nareszcie przepłynąć na stronę opoki, z kąda widzieć można było fregatę, pędem wody znacznie do skały zbliżoną; mógł dać czapkę znak umówiony. Sposzreżono go, i okrzykami radości powitano.

Nie stracono chwili; jedyną łódź, najmniejszą, jaka pozostała, spuszczone z żurawia (1) i za pomocą zbawczej liny przewieziono naprzód kobiety i dzieci, po dwoje na raz; więcej bowiem w szeszupłej łodzi pomieścić nie można było.

Porucznik Stewart, ocknawszy się z odurzenia, pomagał pierwszym przybyšom wdrapać się na skałę, której powierzchnia nierówna i ślizka, nie mogła nawet pomieścić całej załogi rozbitego okrętu. W chwili jednak, kiedy łódź odbiła od okrętu, niosąc żonę pułkownika, dwoje jej małych dzieci i chirurga wojskowego, mgła cofnęła się nagle ku pobrzu w sztalcie długiego pasa i odsłoniła w pobliżu drugą, większą skałę. Dał tedy znak majtkom łódź prowadzącym; ci widząc, że tam przystęp mniej trudny, skierowali łódź i przybili do tej drugiej skały. Na nią powoli wysadzono wszystkie kobiety i dzieci.

W tymże czasie poprzeciągano linami na pierwszą skałę wszystkich oficerów i wielu żołnierzy, nim jeszcze wszystkie kobiety można było przeprowadzić na drugą.

I tu się zdarzył wypadek, dowodzący niestety, że miłość życia wszystkie inne przeważa względ; szczęściem jednak na zaszczyt ludzkości, takie przykłady do rzadkich wyjątków należą. Położenie rozbitków na okręcie z każdą chwilą stawało się groźniejszym; ale spodziewały się należało, że istnieją między ludźmi węzły mocniejsze jak obawa śmierci, zdolne oprzeć się każdej groźącej sile.

Gdy kapitan Wren opuścił okręt, za pomocą liny łączącej go z opoką, żona jego przywiązana dla bezpieczeństwa do takłazy (2) przedniego masztu, zaklinała go z rozdzielającym serce krzykiem, podnosząc ku niebu swe niemowlę, żeby ich nie porzucał w tak groźnym niebezpieczeństwie. Czuli dotąd małżonek, tkliwy ojciec, nie zważał w tej chwili ani na żonę, ani na dziecko, i spieszył dalej, głuchym na jej krzyki i błagania. Świadkami tej oburzającej sceny byli rozbitki na skałę się znajdujący, a porucznik Stewart nie mógł przemóc na sobie, żeby kapitana Wren nie przywitał słowami:

(1) Tak się nazywają dwie wystające belki, na których z tyłu okrętu łódź bywa zawieszona.

(2) Takłaza, nazywa się drabina z lin, łącząca maszty z bulwami okrętowym.

„O dobry przyjacielu, tobie się zapewne nie zdarzy być obróconym w posąg soli za oglądanie się.”

Biedna żona z niemowłkiem uratowaną została. Mówią, że serce kobiety łatwe do prześlągnięcia, lecz czy żona kapitana wybaczyła mu kiedy, o tem wątpić wolno.

Statek rozpadł się coraz bardziej; każda fala cząstkę z niego odrzuwała: zdawało się, że brankie czasu na uratowanie całej osady. Kilku wściepłój rozpacz ratować się usiłujących, fala uniosła z pokładu w otchłań morską. Nareszcie, rozbitki dostali się wszyscy na skały, a ostatni zaledwie opuścił fregatę, gdy przód wyniósł się w powietrze, i znikł okręt w głębinie, nie zostawiając po sobie i śladu.

Ale nowe nieszczęście zagrażało rozbitkom, skupionym na szczycie skały. Morze przybierać zaczęło, a przypływ tak był szybki, że z każdą chwilą powierzchnia skały zmniejszała się. Pułkownik Darling radził, żeby przynajmniej oficerów przeprowadzić na drugą i obszerniejszą skałę, lecz u żołnierzy silny znalazł opór. Pomimo tego, pułkownik kazał zbliżyć się łodzi, i właśnie z jednym oficerem miał wsiąść do niej, gdy zbuntowani żołnierze porwali się na niego, i zapominając o wszelkiej subordynacji wojskowej, przykazali mu pozostać pomiędzy nimi. Rozpacz osiadała pomiędzy truchlejącymi przed śmiercią rozbitkami.

Porucznik Stewart leżał na skałe prawie bez duszy, nieruchomy i krwią zbroczony; lecz przebudzony złowrogim krzykiem rozprzeżonego żołdactwa, podniósł się i przemówił energicznymi słowami do tych nieszczęśliwych. Wezwał ich do powinności, przekonał o potrzebie utrzymywania, za pomocą łodzi, komunikacji ze skałą; o konieczności zmniejszenia ludności na skałe zagrożonej przyplwem morza; zapewnił ich nareszcie, że on sam do ostatniej chwili przy nich pozostanie, i los ich dzielić będzie, jeśli przełożonym pozwolą złączyć się z kobietami na drugiej skałe będącemi.

Przemowa ta odniosła zupełny skutek; wszystko wróciło do porządku i spokojności; do gwałtu i mordów podniesione ręce opadły, miejsce buntu zastąpiła zgoda, i ślepe poddanie się losowi. Pozwolono oficerom opuścić skałę, a pozostali, pełni zaufania w poruczniku Stewart, który jak Opatrzność nad nimi czuwał, i tyle już dał dowo-

dów męstwa, poświęcenia i mądrości, ścisnęli się około niego, dalszej oczekując doli.

Łódź każdą razą dwie tylko osoby zabrać mogła; do ostatniej przeprawy pozostał tylko jeden oficer, a ten rzekł do porucznika:

— Panie Stewart, to jedyna sposobność ocalenia życia; skała niezadługo stanie pod wodą; jedź tedy ze mną.

— Słowa danego za nic w świecie nie złamię, odpowiedział porucznik; zresztą, niech się dzieje wola Boga.

Woda widocznie wkraczała na skałę; rozbitki skupiają się do siebie; już miejsca nie starczy.

Dla rozpoznania prędkości przypływu, porucznik polecił sierżantowi położyć dwa kamienie na wystającą krawędź skały, oblanej morzem.... Okropne doświadczenie! we dwie minuty kamienie znikły pod morza powierzchnią. Lecz może je splukaly fale z opoki; powtórzyć trzeba próbę, całą nadzieję życia w sobie mieszczącą. Inny kamień, większy, kładą na krawędzi. Wszyscy z odwróconą twarzą, z bijącym sercem oczekują wyroku, drżąc przed pewnością, gdyż w niepewności tylko nadzieja.

Już nie zatonał ten kamień, i dwa pierwsze wkrótce znów wyszły na wierzch. Teraz byli pewni, że nastąpił odpływ; oddyla nadzieja ratunku. Oby tylko okręt jaki te miejsca przebiegał, oby ujrzał biednych rozbitków!

Pragnienie okropnie dokuczać zaczęło nieszczęśliwym, wzniecone polykaniem wody słonej, przez wzburzone fale ciągle na nich miotanęj. Biedni ludzie, od zmysłów prawie odchodzą z pragnienia, a nadziei ugaszenia go niema żadnej.

Są chwile w życiu człowieka, gdzie Opatrzność ojcowska wszechmocnego Stwórcy świata tak jest widoczna, że najzawziędszy niedowiarek mimowolnie przed Nim kolano zgiąć musi.

Pomiędzy przedmiotami z zatopionego okrętu, wypływającymi na powierzchnię morza, a pędzonymi mimo skały, sierżant spostrzegł beczkę, która ku skałce płynęła. Oznajmił o tym porucznikowi, i dodał, że to zapewne beczka rumu. Stewart z rzadką bystrością umysłu rozważając skutki wynikające z posiadania odurzającego napoju, rozkazał sierżantowi wziąć kamień i nim beczkę rozwalić, skoro się tylko zbliży na odległość rzutu. Sierżant już stał gotowy z kamieniem w rękę,

już się zamierzył uderzyć w beczkę... lecz, o cud! balwan ją pokrywa przed okiem jego, unosi wysoko i składa, jak gdyby naumyślnie pomiędzy ludzi.

Niepodobna wyrazić radości nieszczęśliwych rozbitków; beczka zawierała nie rum, lecz wodę! Zaspokoiwszy pragnienie i odzyskawszy nadzieję życia, postanowili oddać się spoczynkowi; ale pierwsze staranie należało się oficerowi, który nad nimi czuwał jak Opatrzność. Rękami więc oczyścili skałę z brudnych, wilgotnych ziół morskich, na tém miejscu położyli rannego porucznika, a dla ogrzania, wdzięczni żołnierze własnymi ciałami go okryli. Wkrótce on i większa część ludzi wpadli w sen głęboki, jak gdyby na miękkich spoczywali puchach.

Pułkownik zapewne od sternika dowiedział się, że jedna ze skał podmorskich, przy innym wprawdzie wietrze i silniejszym przypływie, na stóp piętnaście w morzu pogrążona bywa; stąd jego pospiech do opuszczenia jęj.

Pomiędzy przedmiotami przypędzonymi przez fale, znajdowała się także tuba, która później wielce przydała się nieszczęśliwym.

Dzień przeszedł smutnie, mgła znów nastąpiła, deszcz i wiatr trapił niemilosiernie napół zmarzłych rozbitków; nadzieja znów znikła z ich serca, i dusza tak upadała, że niejedyn wyglądał śmierci jak zbawienia. Na domiar strapienia, odkryto w szczelinie skały kawał sukna z guzikiem metalowym żołnierskim 69go pułku; smutny świadek zgonu, jaki na téj skałce znalazło wielu ludzi z tego pułku, w podobnej przygodzie, kilka lat wprzód. By nie zasmucić bardziej jeszcze biednych swych żołnierzy, porucznik zakazał powiadać im o tém odkryciu.

Nie wiele jest ludzi, którzy w obec tak złowrogich okoliczności, umieją zachować zimną krew i przytomność umysłu; porucznik Stewart był wyższym nad wszelkie dolegliwości ciała i duszy.

Część drugiej nocy przeszła znów w bezsenności, rozpacz, o głodzie i chłodzie. Wielu napadła gorączka, wielu w obłądnie skoczyło do wody, upatrując w niej jakby łąki zielone.

Przypływ znów wrócił, a mocniejszy był jak poprzedni, bo wiatr zmienił kierunek, wiał teraz od zachodu. Morze wzrasta ciągle, nieszczęśliwi w kłęb skupieni na wązkim szczycie skały, zaledwie oddychać mogą.



Sokot

Gdy bezwładnie, poddając się losowi, rozbitki oczekiwali fali, która ich zatopić miała, oko ich spostrzega światło czerwone, w powietrzu migające, i wkrótce ukazuje się okręt kołyszący się w grubej mgły pomroce. Okrzyk radości tak silny i głośny, jak może nigdy nie wyszedł z piersi dwustu ludzi, oznajmił okrętom, gdyż ich dwa było, że skała jeszcze niezupełnie zatopiona, że jej mieszkańcy jeszcze przy życiu.

Mala łódź, jak się później dowiedzieli, odstawiwszy kobiety i oficerów na drugą skałę, wyszła na zwiady, i udało się jej napotkać trzy okręty. Jeden z nich zabrał oficerów, kobiety, dzieci i osadę okrętową; a dwa inne, prawie przekonane o płonności swoich starań, spieszyły na ratunek żołnierzom.

Latarnia wciągnięta na szczyt masztu, miała zwiastować pomoc rozbitkom, gdyby jeszcze żyli, a głośny okrzyk zawiadomił spieszących na ratunek, że nie zapóźno przybywają.

Statki zaczęły teraz zbliżać się ostrożnie ku stopom skały, i wysłały łódź dla zabrania rozbitków.

Porucznik Stewart spytał się przez tubę, ile łódź mieścić może ludzi. Odpowiedziano, że jednemu, lecz, że trzeba korzystać z przypływu fali i wsiadać w łódź szybko, w chwili jej dopłynięcia.

Stewart w tej okoliczności dał nowy dowód zdumiewającej przezorności, a dzięki jego rozporządzeniom, jak wyrocznie wykonywanym, wysyłanie ludzi na okręty, w przykładowym odbyło się porządku, i bez żadnego przypadku cała ludność w równych połowach pomiędzy statki podzieloną została.

Cudowny ten ratunek niech nam służy za dowód niewysłowionej dobroci Pana losów ludzkich, i zarazem za przykład, czego dokazać może rozsądek i wytrwałość człowieka, umiającego poświęcić się po chrześcijańsku dla dobra współbraci.

0 PTAKACH DRAPIEŻNYCH DZIENNYCH W OGÓLNOŚCI,

I ŁOWACH Z NIEMI.

Dzienne drapieżne ptaki (Accipitres) cechuje dziób haczykowaty, najczęściej od samą nasady zakrzywiony, pokryty woskową tęgą, barwną; szczęki mniej więcej wykrojone, dolna ukośnie zakręglona; nozdrza boczne, okrągławe lub owalne, otwarte, w woskówce umieszczone; nogi silne; nadpęcziny łuską lub pierzem pokryte; cztery palce potężnymi, haczykowatymi, ostrymi i ruchomymi szponami uzbrojone; z tych trzy naprzód a jeden w tył zwrócony. Ptaki te w ogóle odznaczają się okazalnością kształtów, szlachetną postawą, odwagą i żywością ruchów. Lot ich bardzo wyniosły, szybki i wytrzymały: wzrok rozleglejszy i żywszy niż u któregoś z reszty zwierząt; to im pozwala na nadzwyczajną wysokość, na której giną dla naszego oka, dojrzeć skowronka, mysz polną, a nawet drobną jaszczurkę. Jedne z nich, jak Sokół, Kania, spadają na swą zdobycz prosto-

padle naksztalt strzały; inne, jak Myszolów, Jastrząb i t. p., zmierzają ku niej z ukosa, i napadają zawsze z boku.

Przekładają nadewszystko zdobycz żywą, i tylko ostateczny głód zniewała je udawać się do ściernia. Zwierzęta ssące większe, i wielkie ptaki są ofiarą większych gatunków; ptaszki zaś, żaby, tudzież owady są pastwą mniejszych. Wszystkie chwytają zdobycz swą szponami, używając do tego częstokroć obydwóch nóg. W ogólności, są to istoty nieme; niektóre wszakże z najmniejszych gatunków są krzykliwe, i swym ostrym przerazliwym głosem niemile szarpia ucho. Ulubionym siedliskiem ich są miejsca odludne, wyniosłe skały lub gmachy opustoszałe. Jeżeli nie zakładają gniazd swoich w otworach ruin, to je budują na szczytach najwyższych drzew; znoszą zwykłe od 2 do 3 jaj; mniejsze jednak gatunki składają nie-

kiedy aż do siedmiu. Charakter ich okrutny; zawsze gotowe do walki, i zdają się mało objawiać rodzicielskiego przywiązania do swego potomstwa; młode bowiem, zaledwie jeszcze latać zdolne, bez litości rugują z gniazd swoich, i zniewalają do szukania sobie pożywienia. Nawyknięcie do ciągłego przelewu krwi i żywego mięsa, przytępiło zapewne w drapieżnych ptakach, jak i w podobnych zwierzętach ssących, to tklive uczucie, jakim przyroda ozdobiła resztę stworzenia. Wszystkie ptaki w ogólności, dorosłszy, zmieniają swe pierza czyli lenią się; u ptaków drapieżnych, ten kaprys przyrody powtarza się kilkakrotnie, a za każdą zmianą ubarwienie ich bywa odmienne i niekiedy tak dalece różne, że ptak w półtora roku bynajmniej nie jest podobny do tego, jakim był mając pół roku, ani do tego, jakim ma być po dwóch i pół latach. Ta okoliczność wprowadziła w błąd niejednego z ornitologów, którzy opisywali w różnym wieku jeden i tenże sam gatunek, jako trzy gatunki odmienne. Niektóre z tych ptaków stałą barwę pierza przyjmują dopiero w szóstym roku. Młode, w ogólności bywają upstrzone w plamki i kresy podłużne; stare zaś noszą barwę więcej jednorodną, i jeżeli są upstrzone, to w kresy poprzeczne. Samce zwykle o jedną trzecią część mniejsze od samicy.

Lineusz wszystkie te ptaki odnosił do jednego rodzaju *Sokola* (Falco); późniejsi zaś naturaliści, badając bliżej tę dość zawiłą grupę, rozdzielili ją na kilka osobnych rodzajów, pod nazwą *Sokolów właściwych* (Falco, Bechst); *Rarogów* (Hierofalco, Cuv.); *Orłów* (Aquila, Briss); *Rybolowów* (Haliaeetus, Savigny); *Harpij* (Harpyia, Cuv.); *Jastrzębi* (Astur, Bechst); *Kani* (Milvus, Bechst); *Myszołowów*, (Butes, Bechst) i t. p.

Ogólniejszy podział tych ptaków jest na *szlachetne* i *nieszlachetne*, przez Cuvier'a i wielu innych przyjęty.

Do *szlachetnych* (Oiseaux de proie nobles) odnosią gatunki zwykle lepiej uzbrojone, i więcej mężstwa w stosunku do swęj wielkości objawiające, nad resztę drapieżnych ptaków, mające zwierzęcą szcękę od samęj nasady zakrzywioną, uzbrojoną ku końcowi dwoma lub jednem zębówatęm wykojeniem; w skrzydłach drugą lotkę najdłuższą, a skrajną prawie jej równą, przez co skrzydła ich stosunkowo są dłuższe, ostrzejsze, a to znowu

ma związek z ich szczególniejszym lotem. W rzeczy samęj, można je poznać z tego jednego charakteru: kiedy powietrze jest zupełnie spokojne, latają ukośnie, a w górę wznoszą się nieinaczej jak gzykakiem, naksztalt okrętu okrążającego brzegi lądu; podobnyż mają lot, gdy im wypada lecieć pod wiatr; wreszcie ptaki te, są nierównie pojętniejsze i łatwiej nad inne dają się ułożyć do polowania.

Do tych należą gatunki *Sokolów właściwych* (Falco, Bechst), i *Rarogów* (Hierofalco, Cuv.) z których głównejsze są:

Sokół zwyczajny (Falco communis L.).

— Krzczot (Falco lanarius L.).

— Kobuz (Falco subbuteo L.).

— Drzemlik (Falco aesalon L.).

— Pustulka (Falco tinnunculus L.).

— Rdzawonóg (Falco rufipes. Bechst).

Wizerunek ostatniego, jako mniej znanego, dołączona rycina przedstawia; z wierzchu jest błękitnawo-popielaty, głowa i spód ciała ceglastoczerwone; obwód oczu, woskówka i nogi rdzawoczerwone; szpony żółte okocach czarnych, pospolity w Europie wschodniej i w Syberji, u nas zaś i w ogóle w środkowej i południowej Europie bardzo rzadki.

Z rodzaju *Rarogów*, *R. Białozor* (Hierofalco Islandus. Gm.).

Do *nieszlachetnych* zaś (Oiseaux de proie ignobles) niedających łatwo ułożyć się do polowania, odnosią dział daleko liczniejszy ptaków drapieżnych. Najdłuższa ich lotka jest zawsze trzecia lub czwarta, a pierwsza bardzo krótka; przez co skrzydła zdają się na końcach jakby ukośnie ścięte, a ztąd wypływa lot od tamtych odmienny, daleko słabszy, i dozwala im wznosić się w kierunku zupełnie prostopadłym. Dziób także mają słabiej uzbrojony, gdyż górna szczeka nie posiada na końcu potężnych zębokształtnych brzegów. Do tych właśnie odnosią wszystkie gatunki *Orłów*, *Jastrzębi*, *Myszołowów*, *Kani*, *Harpij* i t. p.

Sławne było w całej Europie, w średnich i nieco późniejszych wiekach użycie Sokolów w ptasznicych i innych łowach. Byłoby najmilsze zatrudnienie monarchów i magnatów, a zabawa ta, za tak szlachetną poczytywana była, iż publicznych urzędników, jak do najpoważniejszych dzieł stawiano; licząc zaś wyuczeni i unoszonych sokolów za szczególną okazłość dworów poczyty-

wano. Uczni nie żałowali pióra swego do przepisanania tak sztuce uczenia sokołów, jak używania ich na łowach i pielęgnowania, pewnych teoretycznych prawideł. Odbicie tego ducha czasu napotyamy i w naszej owoczesnej literaturze. Tak, Mateusz Cygański w dziele swoim: „Myslistwo ptasze” (1580 r.), naukę drapieżnego ptaka dzieli na trzy główne części: pierwszą jest *unosić go*, drugą *uwabić*, trzecią *wkarcić*. *Unoszenie* miało za cel zwyciężenie wrodzonej ptaka dzikości, i przywiązanie go do człowieka. Osiągano to, wystawiając na długi głód i bezsenność, nosząc go ciągle przy sobie, nie tylko dniem ale i nocą; lub też w części zostawiając go w nocy spletanego, na drewnianej bardzo ruchomej, na sznurze zawieszonej obręczy, w skutek czego, za najmniejszym straceniem równowagi i poruszeniem sznura budzić się musiał. Czas, przez który tym sposobem ptak musiał być mordowany, był różny, według jego wrodzonych skłonności, nigdy jednak kilku dni nie przechodził. *Uwabianie*, miało za cel przyzwyczajanie ptaka, ażeby gdy odleci, dał się przywabić głosem do ręki. Zrazu go puszczano na sznurze zwanym *dłużce* czyli *pęca* (1), a następnie w miarę posłuszeństwa, wolnego. W końcu, *wkarć* miało za cel już oszamanie i oswojenie ptaka z widokiem przyborów, z którymi ciągle miał mieć do czynienia, już zaprawienie do zwierzyny, którą miał łowić. Osiągano takowy cel, dawaniem ptakowi pokarmu jedynie wtenczas, gdy usiadł na przyborach myśliwstwa, jakoto na *sieci*, na *berle*, (2) między psami i t. p.

Dla zaprawienia go do łowów, albo rzucano mu żywe zwierzę tego gatunku, na jakie pomóc z niego mieć chciano, albo co częściej miało miejsce, podawano mu zdobyć nieżywą, co nazywało się *zaprawieniem go na trupie*, albo podstawiano mu wypchane lub złożone tylko ze skrzydeł i t. p. przez co *zaprawiało się go do łupieży*. W tych ostatnich przypadkach przywiązywano udanemu zwierzęciu np. do głowy kawałek mięsa, żeby zdobyć tym ponętniejszą mu uczynić. Zwierzę na którym się zaprawiał, bądź ono było zwierzęciem, bądź

udanem, nazywało się w myśliwie *ptaszem wabiem*. Gdy tym sposobem nauka zostawała skończoną, ptaszni wywoził ptaka w pole, zdejmował mu z głowy kapturek, niezbędny dlatego, żeby ptak uniknął roztargnienia, wskazywał mu zdobyć, a gdy ta ujęta została, na głos jego lub gwizdanie na rękę jego powracał, i w nagrodę pokarm dostawał.

Do nóg jego częstokroć przywiązywano dzwoneczki, ażeby go słyszeć kiedy odleci, i łatwiej można było znaleźć. Gdy zginął panującego sokół, gromada go szukała, płacił za niego, jeśli nie znalazła, była obowiązana. (1)

Według Krescentyna, Cygańskiego, Gołbiowskiego i innych, wyuczano w kraju naszym oprócz pary gatunków, wyżej przy nadmienieniu o ptakach szlachetnych, wylieczonych, jeszcze z rodzaju orłów: *zyza* (*Aquila chrysaetos*), o *kasztanowatego* (*Aquila fulva*) i *orlika* (*Aquila naeva*), które wprawiano do łowów na czworonożne zwierzęta, jak np. zające, sarny, wilki, lisy i t. p. Udało się je ułaskawić, jeżeli tylko za młodu z gniazda były wybierane (2). Nadto układano *Myszołowa* (*Falco Buteo* L.) i *Krogulca* (*Falco Nisus* L.). Ze wszystkich jednak *Rarog* i *Białozory* najwyższą miały cenę, i powszechnie do polowania napowietrznego były używane. Dziś żyje ten ptak w głębokiej północy, czasem tylko opuszcza swój ostry klimat i odwiedza środkową Europę. W średnich wiekach, leżyły się Białozory w Polsce, a najwięcej w Prusach i Litwie; w łowiectwie były bardzo poszukiwane i wysoko cenione. Litewskie białozory i krzeczoty, przewyższały inne w śmiałości, sile i wytrwałości; żyły i pracować mogły lat 12, kiedy norwęgskie tylko 2 lata wytrzymywały. Opaliński, nauczyciel Zygmunta Augusta, powiada Czacki, nie dał wychowawcowi swemu polować rarogami, utrzymując, że w tych łowach samego uczyć się można okrucieństwa. Jan Kazimiérz, Sobieski

(1) Dowodzą tego wyłączenia od tej powinności: tak w 1281 roku, w przywilejach Konrada księcia Mazowieckiego dla kapituły Płockiej, powiedziano: że ich *poddań sokoła przypadkiem straconego płacić nie mają*.

(2) W ogóle wszystkie ptaki do układania brane były z gniazd; ztąd powinność na kuniaci rzucona, pilnowania gniazd sokolich; kto nie dostrzegł, że już zlatywać zaczynają, i nie doniósł o tem, wielkie płacił musiał grzywny. Ślad tego obowiązku mamy w liście Grzegorza IX, do prowincyała Dominikanów in *bull. preed.* pod 1223.

(1) Gołbiowski, Gry i Zabawy, str. 143.

(2) *Berle*, narzędzie myśliwskie, laska długa na pięć łokci, z żełazcem do wytkania w ziemię, z krzyżem, poprzeczką, krąkiem, lub parą skrzydeł gesich na kryż złożonych, żeby ptak mógł na nich usiąść, gdy unoszony gwizdaniem, do berla się przywabia.

i August II, obdarzali złowionemi w Litwie białozorami francuzickimi monarchów, a Jan III czterech ich posłał Szachowi perskiemu⁽¹⁾. Ztąd się okazuje, że gatunek ten musiał być bardzo rzadki i wysoko ceniony, kiedy na dar królewski mógł zasłużyć. Tak drogi ptak, mógł tylko do możnego należeć właściciela, który znając skarb jaki posiadał, z przepychem stroił, ubierając go w kaptur misterny i kosztowny. Gdy pan, wyjeżdżając na łowy, niósł tak rzadkiego ptaka na rękę, dziwnie ozdobionego kapturem (wysadzonym perłami i drogiemi kamieniami, precudnej roboty), tak wielką rzadkość zwracała na siebie wielu ciekawych oczy, a ztąd bez wątpienia powstało owo przysłowie: „Patrz się jak na raroga” jak A. Waga, w przypisach swoich do *Myśliwstwa Ptaszego*, w r. 1841 przezeń wydanego, sprawiedliwie twierdzi. Ptaki te równie wysoko były cenione we Francji i w Niemczech; a że dla myśliwych neo-cenioną one miały wartość, najlepiej nas przekonują historyczne zdarzenie: że Bajazet na wykupno hrabiego Navarry, żadnej, największej nawet summy przyjąć nie chciał; potem jednak wypuścił jeńca na wolność, za 12 takich sokolów.⁽²⁾

Wartość sokoła zależała na tém, gdy wszystkie posiadał przyniooty dobrego myśliwskiego ptaka, których sokolnik już w pisklętach troskliwie dochodzić był obowiązany, żeby nadaremnie niełożył kosztu i pracy na upośledzonego w czémkolwiek od natury. Podług autora *Myśliwstwa Ptaszego*, oceniano wady i zdolności młodych tym sposobem: uważano, który, po nakarmieniu ich razem, najprędzej strawił swój pokarm, tego uznano najzdolniejszym do łowów; wnioskowano bowiem, że ptak który posiadał żołądek łatwo i dobrze trawiający, więcej będzie ochoczym do zwierza.

Myślistwo z ptakami u nas sięga odległych wieków; już w Gallu wspomiane za Bolesława Śmiałego. Przywileje z XIII, XIV i XV wieku, w nadaniach książąt i królów naszych, wyłączają na rzecz panującego łowy z sokolami. Krzyżacy hołd z Pomorza czyniąc Kazimierzowi W., obowiązani byli dawać 18 sokolów. Z początku rzeczywiście były one jedynie zatrudnieniem panujących, później dopiero magnatów, a w końcu szlachty. Prawo noszenia sokolów tak oznaczało szlachcica,

jak noszenie u boku szabli, powiada Czacki. Ztąd też niejedną, mówi Górnicki w *Dworzaninie*, chodził z krogulcem dzień cały, więcej dla stroju, niż dla potrzeby; i nie ganiono za starych, kiedy kto chodził bez ubrania, włosy utrefione rozpuściwszy, z krogulcem na rękę.

Do łowienia ptastwa dzikiego, różnych używano sposobów. Szukano stadka koropatw lub pardw za pomocą wyłża, i następnie na nie puszczano wyczynzonego sokoła, albo też przykrywano je nastawionemi sieciami; przytém łapano na wabia w nastawione sidła i na różne lepy.

Każda okolica miała osobne, i wyłącznie tylko tam używane sposoby łapania dzikiego ptastwa. I tak, na Wołyniu, Podolu, głównie polowano na cietrzewie i przepiórki, w Polsce na pardwy, kuropatwy i głuszcze; Prusacy i Litwini łowili sokoly i rarogi białe; Żuławcy, Kaszubowie, najrzęczniejsi byli w łowieniu ptastwa wodnego; na Podgórzu zaś, i pod samemi Tatrami łowiono orły, a następnie wprawiano je do polowania na zające. Z tych wszystkich jednak sposobów, jedno polowanie z wyczynionemi orłami lub sokolami było najświetniejsze, i zwykle z wielką odprawianę okazałością.

Ledwo zorza zabrzała, mówi Rey, żyjący za Zygmunta Augusta, pan otoczony wielkim poczetem myśliwych, wyjeżdżał z gmachów swoich. Kłusowały koło niego konie, a wypadłszy na pole, trawowały biednych kmiotków niwy. Pan niósł na rękę dziwnie przystrojone myśliwe ptastwo, już to białozorów ze złotem dzwonkami, ubranych w kaptury perłami wysadzane, już lotnego sokoła, rzadkiego raroga lub krogulca. Drużyna pańska niosła zakryte jastrzębie, drzemliki, ażeby wprzód nie ujrzeli światła dziennego, dopóki je na połów nie wypuszczą.

Polowanie sokolami zawsze też uważano za zabawę rycerską, a miód najcelniejszego w swoim rodzie ptaka, jakim jest sokół, za nieoddzielonego przy sobie towarzysza, oznaczało w owych wiekach wyższego urodzenia i rycerskiego myśliwca.

Najchętniej polowano sokolami na żurawie i czaple, zapewne dlatego, że ptaki te broniąc się nadstawionemi dziobami, z trudnością daly się ulowić, i tylko śmiałości, oraz zręcznemu sokolowi się poddawały. Na podobnych wyprawach najlepsza była sposobność powzięcia dokładnego przekonania o zaletach ptaka; bo dla prędkiego

(1) Golebiowski, Gry i Zabawy, str. 145.

(2) Reuman, Gosp. Zow. str. 170.

pokonania czapli, wszystkie główne zalety sokół posiadać musiał, mianowicie zaś szybkość w obrotach; a im zręczniejsze wszystkie wspomniane przymioty w pokonaniu przeciwnika rozwijał, tém świetniej téż uważane było jego zwycięstwo. W walce sokola z czapłą, wielkie upatrywano podobieństwo do dwóch rycerzów potykających się w szrankach, z których jeden z siły, drugi ze zręczności slynął. Prędkością błyskawicy rzucił się puszczonego śmiałka, do powolnego i w swoje siły ufego przeciwnika; rąco na niego nacierał, w przekonaniu, że go śmiałością swą zmiesza i strwoży, i już wyciągał ostre szpony do śmiertelnych uścisków, kiedy przeciwnik, baczny na jego obrot, poważnie i jakby żartując z tych usiłowań, zarzucał swój spiczasty dziób, którym groził napastnikowi przebieciem, gdyby się ośmielił zbyt blisko do niego natrzeć; czyli, jednym obrotem nieszczęśliwie całą zapalczliwość nieprzyjaciela, i zniewalał go do trzymania się w należącem oddaleniu; podobny do owego rycerza, któremu jeden silny od przeciwnika zadany raz wytrącił kopię, i zmusił go do krótkiej przerwy w walce. Tak na chwilę odstraszonego sokół, wzbijał się w obłoki, krążył i różne robił obroty, celem podejścia swego przeciwnika, a im szlachetniejszy jego ród, im pojętniejszy był w nauce, tém zręczniejsze korzystać powinien z każdej sposobności, celem podejścia i zwalczania wroga. Ale dobrze nawet wyuczonego nie tak łatwo pokonać było silniejszego od siebie czapłę, a walka przez długi czas była wątpliwą, aż nareszcie odwadze i zręczności siła uleżała, i sokół z tryumfem składał łup u nóg swego pana, który o życie i honor swego ulubieńca niepokojny, oczekiwał z obawą końca tej nadpowietrznej walki.

Podobne łowy miały coś rycerskiego w sobie; bo w owych czasach, w których osobiste mężstwo do pierwszych cnót społeczeństwa należało, takowe nawet w zwierzętach ceniono. Obrotom walczących z sobą ptaków, przypatrywał się prawy rycerz i właściciel z równym zachwyceniem i zadowoleniem, i tego samego niemal doznawał społecznia, jak gdyby był świadkiem boju dwóch rycerzy walczących o honor swych dam, a sympatyą lub znajomością więdź jednemu sprzyjając, niecierpliwie i z obawą oczekiwał rozstrzygnięcia losu, i chwycającego się zwycięstwa. Dla tych zalet

lubili nasi królowie podobny rodzaj polowania; mianowicie zaś Władysław IV, który czapłę w podobnej walce żywcem wziętą, ceniąc jej mężstwo, puścił na wolność z obrączką na szyi, w r. 1647 dnia 18 maja, i tę powtórnie złapano 1677 dnia 19 lipca; o czém wspomina król Jan Sobieski w notatkach kalendarzowych. (Czacki, tom II, str. 244).

Polowanie sokolami na inne zwierzęta, np. kuropatwy, kaczki, cietrzewie, zające i t. p., jako łagodniejsze, i więdź charakterowi płci pięknej odpowiadające, często się odbywało w towarzystwie dam, gdyż Polki wówczas nader lubiły rozrywki myśliwskie. Łowy z sokolem odbywały się zwykle konno, a pani, na cześć której były odprawiane, towarzyszyły rycerze, którzy razem w czasie polowania pełnili służbę germków, t. j. oni niesli sokola swęj damy, oznaczali czas, w którym go dama dla wypuszczenia brała na swoje rękę, nie spuszczać go nigdy z oka, gdy ściągając za zdobycz oddalał się; nadwoływaniem zachęcali go do śmielszego natarcia, lub przywoływali napowrót, wkładali mu kaptur, i nareszcie zręcznie go sadzali na ręce swojej pani. Pfeil, w swojej rozprawie o łowiectwie powiada: że w owych wiekach znajomość sztuki łowieckiej, zręczność w robieniu bronią, a najbardziej zalotność dla kobiet, były jedynymi przymiotami do zasłużenia na reputację doskonałego szlachcica; a kto w tém wszystkiém mistrzowskiej nabył zręczności, za wzór dobrze wychowanego i zalotnego człowieka uważany, i w każdym towarzystwie płci pięknej mile był przyjmowany. Jeżeli wówczas rycerz niemiecki tyle sobie zadawał pracy i zabiegów, dla pozyskania względów swęj bogini, o ileż namiętność ta wyższą być musiała w Polakach, z natury żywszych, zalotniejszych i dla płci pięknej względniejszych?

Kobiety więc i zalotność, wielki miały wpływ, że z taką starannością zajmowano się wyuczaniem sokolów, oraz, że polowania tego rodzaju zwykle się odbywały z okazałością i przepychem, bo wówczas, w oczach kochanki, większą miał wartość dobrze ułożony sokół, i przez niego wdychający adonis przedźj pozyskać mógł serce swęj lubęj, jak dzisiejsi modnisie, podług najnowszych żurnalów francuzkich ustrojeni salonowi rycerze. Polki zawsze namiętnie lubiły konną jazdę, a łowy sokolami największą nastroczają do téj rozrywki sposobność. W owych czasach nie znalazł wielki

świat reunionów, tańczących śniadań, i t. p. zabaw; duch czasu daleko ostrzejsze wydawał przepisy dla towarzyskiego życia kobiet; młodzież obój pici nie zbliżała się do siebie z taką poufalskością, jak dziś; córki szlacheckiego rodu strzeżone były w oddzielnych, od mężczyzn oddalonych komnatkach, przez matki lub matrony w wieku, znane z surowości obyczajów; jednego tylko polowania bez przymusu używały w towarzystwie młodzieży, i dlatego stanowiło ono jedyną i najprzyjemniejszą dla nich w owych wiekach rozrywkę. Podobnie jak dziś, na kilka tygodni naprzód przysposabiała się dla wydania świętego wieczoru, zabawy kilka godzin trwać mającej; tak samo zjawiała się w owych wiekach młodzież z sobą, dla odprawienia okazanych łowów, bo równie potrzebowała czasu, żeby każdy stosownie do stanu i urodzenia swego z odpowiednią okazałością wystąpił. Rycerz bez ciężkiej zbroi, jedynie miecz swój przy boku mający, na dzielnym rumaku, ozdobionym bogatym rzędem, z sokołem okrytym misternym i bogatym kapturem na rękę, otoczony był dowodniami psami; tak ofiarował pani *łowów* swe usługi, i te wiernie przez całe polowanie wypełniał; ona

zas lekka jak zefir, otoczona gronem rycerzy, od jej woli zawisłych, podobna do *bogini łowów*, unosiła się na rączym rumaku przez pola i łąki, ścigając za puszczonego sokolem. W tym pędzie, w tej stanowczej chwili dla walczących z sobą ptaków, zwrócone były wszystkich oczy na jej skinięcia; każdy pragnął chociaż na jedno pochlebne zasłużyć słówko, lub popisać się w jej przytomności zręcznością, śmiałością i posłuszeństwem swego ptaka, a jeżeli który przewyższył innych, wówczas był pewny, że wzbudzi zazdrość w swoich towarzyszach, i otworzy sobie drogę do względów, a częstokroć i serca wielowładnej swojej pani. (1).

Rzecz dziwna, że tak powabny rodzaj zabawy, dziś nietylko u nas, lecz i w całej Europie zupełnie zaniedbany. Na Wschodzie jednak, gdzie moda nie tak prędko zaciera dawne zwyczaje przodków, dotąd łowy z sokolami utrzymano w całej ich sile. U nas nawet bawiący Persowie, ten rodzaj polowania uważają za najprzyjemniejszy, i często widzieć się dają u nich układane krogulce i sokoly.

(1) Wiadomości te czerpaliliśmy głównie z dzieła p. Reumana p. t. Gospodarstwo Łowieckie, 1845 r.

A.

— FALENTY.

Do okolic Warszawy bardzo dawnych, do wiosek, które może razem ze starożytnym grodem mazowieckim powstały, albo przynajmniej sięgają czasów XIV wieku, kiedy to jeszcze w Krakowie Łokietek albo Kazimierz Wielki panowali, należą Falenty, dzisiaj zameczek o półtoręj mili od stolicy, a przy nim jezioro, ogrody, lasy, wieś piękna, ziemia urodzajna; jednem słowem okolica do wspomnień i dumań, do zabawy i rozkoszy.

Romantyczność miejsca może podobać się każdemu, kto lubi wdzięki natury. Ale zajmują i wspomnienia komnat tutejszego pałacyku.

Pierwszy raz wzmiankę o Falentach znajdujemy w starym dyplomie, niedawno drukiem ogłoszo-

nym. (1) Dyplomata to w samej rzeczy ciekawy. Przed księciem Bolesławem—panującym na Warszawie, Wyszogrodzie, Zakrocymiu, Ciechanowie i Czersku, który dopiero od lat sześciu po ojcu swoim księciu Januszu, objął rządy kilku księstw Mazowieckich, a który później nawet obrany został królem polskim, naprzeciw Kazimierza Jagiellończyka,—stawili się w roku 1434 trzej panowie: Michał czyli Puchala z Raszyńca, Jan z Runowa i Adam z Czechozek, dziedzice. Panowie ci oświadczyli księciu, że do posiadłości Falent

(1) Wzory pism dawnych Stronczyńskiego Nr. 51; rzecz bardzo dziwna, że pominął to wspomnienie o Falentach p. Tymoteusz Lipiński w *Starożytny Polesie*.

z okolicą, leżącą w jego ziemi warszawskiej, mieli prawo pokrewieństwa (jus propinquitatis), i że tego prawa zaprzeczali panu Borucie, chorążemu właśnie téjże warszawskiej ziemi. Ale Boruta wszystkim trzem panom, dziedzicom z Raszyńca, Runowa i Czechozek, zapłacił ich prawa i pretensje (satisfecit realiter et cum effectu).

Stawiali zatem przed księciem Bolesławem trzej panowie, li tylko dlatego, żeby zeznać przed panującym o téj sprzedaży, a tém samém dopełnić prawnych owego czasu formalności. Przyznali zatem, że praw swoich do Falent wyrzekli się na wieki, na Borutę. ⁽¹⁾ Działo się to w Warszawie, w sobotę, nazajutrz po Ś. Wojciechu, tojest dnia 24 kwietnia 1434 r. Obecni byli temu aktowi: Pomściborz, podezaszy ciechanowski, Jan Rogala, chorąży wyszogrodzki, Dzierśław z Podosia, chorąży zakroczyński, i podkomorowie: warszawski, Michał z Ziemianczyc, i ciechanowski, Sądko z Krobina. Akt spisywał Stefan, syn Mikołaja z Mniszewa, proboszcz warszawski, kanclerz księcia Bolesława nadworny.

Takim sposobem wiemy, że Falenty w r. 1434 były dziedzictwem Boruty, chorążego ziemi warszawskiej, i że Raszyn dzisiejszy nazwany Raszyńcem w dyplomacie, należał do Michała czyli Puchaly, innego pana starój mazowieckiej ziemi. Dwa ciekawe wypadki dla dziejów okolic stolicy Mazowsza.

Wiemy później, że Falenty były siedzibą rodu wspomnianego w dawnych kronikach, rodu, który od téj wioski wziął swoje nazwanie Falenekich. Takim sposobem jeżeli w czasach mazowieckich jeszcze, można to była rodzina, Falenty być musiały stolicą rozleglejszych cokolwiek posiadłości. I dlaczegożby Falency nie mieli być możni? mieszkali pod bokiem księcia panującego, mieli ładną wioskę zameczek już wtedy może, a koło Warszawy rozległy się puszcze, a przynajmniej lasy większe nierównie jak teraz. Książę Bolesław, potem książę Konrad, mogli tu zjeżdżać na łowy, a wreszcie i na krótki odpoczynek po trudach rządzenia. Ile zatem mogli, wnosili zapewne dziedziców Falent. Dziedzice ci, ród wiedli od Boruty, chorążego ziemi warszawskiej. Chorąży, byltó stopień znakomity w początkach XV wieku; przy-

najmniej nie można go równać ze stopniem chorążego powiatu, potem w lat sto i dwieście, kiedy Mazowsze z udielnego księstwa zostało tylko województwem. Chorąży warszawski, jeszcze w r. 1525 był wysokim dygnitarzem mazowieckiej ziemi, tém bardziej, że w Warszawie była ostatnia stolica ostatniego udielnego księstwa w Polsce. Ale za tak dawnych czasów nie układano spisów genealogicznych, i dlatego nie nie wiemy o dziedzicach Boruty, pierwszego może, który ród Falenekich rozpoczął.

Wprawdzie o Falenekich znaleźlibyśmy wspomnienia w herbarzach, ale nie wiedzielibyśmy jednak, jak poprowadzić z nich linią dziedziców naszego pałacyku. Przystaniemy zatem na Borucie, i powiemy tylko, że panowie Falent pieczętowali się oddawna herbem Leszczyce, tojest brogiem złotym w polu czerwonym; bo prócz Leszczyców były w Polsce dwa jeszcze inne rody Falenekich, herbu Belina i Jastrzębiec.

Falenty przeszły potem w dziedzictwo drugiego, również znakomitego na Mazowszu domu Opackich. Opacy byli herbu Prus. Król Zygmunt III, bardzo się z nimi zaprzyjaźnił. I wari ci byli przywiązani królewskiego, bo mu służyli duszą i sercem. Zygmunta z Opakiemi łączyło jakieś powinowactwo nie krwi wprawdzie, ale powinowactwo płynące z jednego usposobienia myśli, z jednego wspólnego uczucia. Lubił król Falenty, gdzie miał przed oczami spokojne życie wiejskie, próżne kłopotów rządu, jakimi ciągle był otoczony na zamku warszawskim. Właśnie wtenczas Zygmunt Opaki wymurował, około r. 1620, w Falentach piękny zamek dla swojej wygody, i jakby umyślnie zapraszając króla do spędzania w tym zameczku chwil słodkich odechnienia na świeżem powietrzu wiejskiem. W przyjemnem bardzo położeniu rozwinął się pałacyk Opackiego. Gaiki, łąki, kanały i strumyki otaczały zamek wokół. Zygmunt III, kiedy zobaczył te cudy, które i w tak już pięknem od natury miejscu roztoczyła ręka jego przyjaciela, tém bardziej jeszcze polubił Falenty. Często więc tutaj zaglądał wspomędzy murów Warszawy, i bawił się prywatnie jak człowiek, z żoną, królową Konstancją i z dziećmi młodszemi, bo Władysław już miał wtenczas przeszło 25 lat wieku. Zygmunt Waza miał w zameczku Falenckim ozdobne pokoje, z francuzką

⁽¹⁾ Abrenunciaverunt vulgariter, *wirzekly*, et in erum, w dyplomacie.

przyprowadzone—i co osobliwością niezwykłą było—w komnatach pałacowych wszystkie ściany wyłożone były gipsem. W Falentach zatem król to przejeżdżki używał łódki po kanałach, to po gniakach błądził, to w komnatach nadarzał się z Zygmuntem Opackim, a ten Opacki coraz więcej zyskiwał miejsca w sercu królewskim, bo zajmował się jeszcze losem dzieci Zygmunta Wazy. On to dyplomatycznym zajęciem, posłany przez króla do Wrocławia, potrafił zjednać, że kapituła szlachecka, najmłodszego królewicza, Karola Ferdynanda biskupem wrocławskim obrała, chociaż Karol miał zaledwie dziesięć lat wieku. On kierował młodocianością Jana Kazimierza; on pocieszał serce królewskie, kiedy z boleścią spoglądał po synach swoich Zygmunt Waza, że im w spadku nie zostawi po sobie żadnego królestwa, gdzieby głowę spokojnie przyluli mogli, bo Szwecyja już nazawsze utracił.

Im więcej się posuwał w lata król stary, tém mocniej kochał Falenty; bywały chwile, że tutaj dłużej gościł. Każde strapienie rodzinne przyjeżdżał oplakiwać w Falentach. Był więc Opackiego zameczek, jakby pałacek smutnych Zygmunta Wazy pamiątek. Wszędzie co krok spotykał swoje wspomnienia, które wczynie do ulubionego miejsca przywiązał. Zdawało się, że król w Falentach mniej cierpi. Chciał nawet kupić całą posiadłość od Opackiego. Ale podkomorzy warszawski wzbierał się, bo chciał zawsze króla przyjmować u siebie jako gościa. I Zygmunt korzystał z gościnności—w Falentach płakał po stracie Konstancyi Rakuckiej, drugiej żony swojej, bo zdawało się królowi, że wtenczas z nią wszystko mu na świecie umarło. Sam jednakże Zygmunt w Warszawie, na zamku, potem ukończył życie, a nie w Falentach, jak się to niektórym zbieraczom rodzinnych podań twierdzić podobalo. (¹)

Zygmunt Opacki, przyjaciel króla Zygmunta, postępując po stopniach na urzędach w rodzinnej ziemi, został nareszcie i podkomorzym warszawskim, przeżył swojego ukoronowanego przyjaciela, przeżył nawet i dzieci jego. Oddalił się wprawdzie od dworu za Władysława, bo wtedy na dworze wszystko znaczili Kazanowscy. Ale nie zrywał przecież z królem którego kochał, bo widział w nim syna Zygmunta.

(¹) Świątki, Opis Starożytności Polski.

Oddalił się tylko do Falent i żył spokojny, zajęty myślą o losach Rzeczypospolitej. Głęboka cichość wtedy zalegała w komnatach jego zameczku. Raz tylko na chwilę zerwała się ta cichość, bo na dni kilka przyjechała tutaj, do wygnania honorowem samotność z Opackim, nowa królowa Marya Ludwika, księżniczka de Nevers.

Byłoto w roku 1646. Świećnie przyjmował król Władysław IV swoją oblubienicę na granicach kraju, kiedy wjeżdżała od Pomeranii do Oliwy i Gdańska. Ale nagle zapadła w duszę królewską wątpliwość. Otrzymał jakieś potajemne nowiny o dawnych stosunkach Maryi Ludwiki na dworze francuzkim. Mówiono Władysławowi IV, że księżniczka Nevers kochała Cinq-Marsa i Gastona Orleańskiego. Król nagle ostrył w miłości, i pod pozorem, że słaby na podagrę, wydał rozkazy, żeby księżniczkę zawieść nie do Warszawy a do Falent. Tam Marya Ludwika miała czekać, aż pan, jej mąż ozdrowieje i będzie się mógł z nią przywitać. Ze ściśnioném sercem, nowa królowa przeprowała się w marcu przez zamarniętą Wisłę o mil kilka od stolicy, tak, że mogła dojrzeć kopuły i wież od kościołów, i jechała obok miasta na saniach do Falent. Chciała jedną chwilę pospieszyć do pana swojego i męża, i dojrzyć go przy dotkliwej słabości, a tymczasem los zrzucił inaczej. Stała w Falentach 4 marca 1646 r.

Chciał jednak król uprzyjemnić tutaj pobyt Maryi Ludwice, i przekonać ją, że w samęj rzeczy słabość zniewala go do podobnego kroku, chociaż nie tak było w istocie; a że nie tak było, wiedzieli i powtarzali sobie z ucha do ucha ludzie więcej świadomi wypadków. Nazajutrz po przyjeździe (5 marca), odwiedził księżniczkę w Falentach małeńki królewicz Zygmunt Władysław, syn Cecylii Renaty. Zygmuntek był ładniutki, miał twarz dziwnie miłą, a żywość dziewczęcą w poruszeniach. Rodził się 1 kwietnia 1640 r. Nie miał zatem sześciu lat jeszcze skończonych życia. (¹) Marya Ludwika bawiła się Zygmuntkiem, bo miała być teraz przybraną matką tego dziecięcia. Potem odwiedził ją w Falentach Jerzy Ossoliński, kanclerz W. K., człowiek może najznakomitszy w swojej epoce, a pofały przyjaciel króla Władysława, od niedawnego czasu książę św. państwa rzymskiego.

(¹) Umarł niedługo potem, z wielką boleścią ojca, 7 sierpnia 1647 roku.

Ossoliński może najwięcej przyczynił się do tego, że spełniły się życzenia Maryi Ludwiki, że ją zaślubił Władysław IV. ⁽¹⁾ Znała go już przedtem królowa, bo ją odwiedził jeszcze przed Falentami, w Nieporęcie. Ossoliński zjechał przed zameczek po książęcemu. Byłto pan świetny, który rad wszędzie rozrzucał świetność, i z błyskotkami się popisywał, czyto w Londynie czy w Rzymie i Wiedniu. Było z nim 40 karet i przeszło 400 szlachty, otoczonej tłumami hajduków. Oczywiście królowa rada była takiemu przyjęciu i takim odwiedzinom. Pod koniec marca wyjechała nareszcie i sama do Warszawy, zostawiając po sobie wspomnienia w Falentach. ⁽²⁾

Stary Zygmunt Opacki przeżył Władysława IV, bo jeszcze w r. 1648 podpisał razem ze szlachtą swojej ziemi elekcyę Jana Kazimierza. Kiedy Marya Ludwika bawiła w Falentach, on wtenczas jako rzęca z zamku krakowskiego bawił na Wawelu, i z rozkazu króla przyjmował wtedy w Krakowie wracając z Warszawy do Francji panią Guebriant, posłowa, która przywiozła Maryę Ludwikę.

Zresztą nie wiemy nic więcej o późniejszych szczegółach jego życia.

Jan Kazimierz, oddał mu na schyłku lat, województwo dorpacie, i pomieścił go przez to w senacie polskim. ⁽³⁾ Był wprawdzie Dorpat wtedy w rękach Szwedów, którzy opanowali prawie całe Inflanty, ale pokoju Olińskiego jeszcze nie było, mogły się zatem wrócić Inflanty do ciała Rzeczypospolitej. Jan Kazimierz płacił tęp wdzięczność rodzinie Opackich, i za ojca i za siebie, bo i z nim w własnej podróży do Hiszpanii, w czasie której wzięcie w Cisteron kardynała Richelieu odsiedzić musiał, znajdował się także Opacki, imieniem Samuel, potem stolnik warszawski.

Miejsce Zygmunta, zajął teraz Wojciech, syn jego, na elekcyi 1648 r. chorąży warszawski, a po ojcu podkomorzy ziemi, w której znajdowała się stolica Rzeczypospolitej. Wojciech Opacki pozyskał względy i przyjaźń Jana Kazimierza. Dzielił też z nim szczęśliwe i nieszczęśliwe losy. Był dwa razy posłem do Wiednia, trzy razy do Berlina, zewsząd szukając pomocy. Król nadał mu starostwo ławickie, bo krzesła senatorskiego nie przyjął.

⁽¹⁾ Portofolio, str. 12 tom I.

⁽²⁾ Zbiór pamiętników o dawniej Polsce; dawne wydanie, tom 4 str. 202—215.

⁽³⁾ Niesiecki.

mował Wojciech. Skutkiem téż przywiązania, jakie miał nowy dziedzic Falent dla ostatniego króla Wazy, z zalem widział, że Jan Kazimierz złożył koronę i oddał się do Francji.

Wojciech przyjmował więc nowe odwiedziny w Falentach. Jak za ojca, gościła tu Marya Ludwika, tak teraz za niego przyjechała do Falent Eleonora, arcyksiężniczka rakuska, nowo poślubiona małżonka Michała Korybuta. Eleonora jechała z Częstochowy, i tutaj zatrzymała się chwilę. Przez Raszyn szła zazwyczaj z Warszawy droga do Krakowa i na Jasną Górę. Obok Raszyna leżały Falenty. Łatwo więc było zatrzymać się w Falentach przed uroczystym wjazdem do Warszawy. W Falentach był dworec, w Raszynie nie było, a jedno i drugie było własnością Wojciecha Opackiego.

Eleonora zjechała tutaj 8 marca 1670 r. Naza jutrz przybył do Falent król Michał z Warszawy, a szlachta i panowie zebrani u Opackiego, towarzyszyli wjazdowi następczyni Maryi Ludwiki. ⁽¹⁾

Wojciech, oddając część ostatnią pamięci zmarłego za granicą Jana Kazimierza, jeździł sam w poselstwie od kilku biskupów aż do Francji, i przywiózł ciało ostatniego Wazy do Krakowa, poczem jakby dopełnił czułych powinności serca, wzorem ojca, który szukał spokoju na dni siwizny, osiadł na wsi, i tutaj doczekał się śmierci. Już w r. 1680 pochowany był w Raszynie, w kościele który jego ojciec wymurował, w którym zapewne były groby rodzinne. Poświadczał to za czasów Niesieckiego jeszcze nagrobek, umieszczony na jednej ze ścian kościelnych.

Odwiedzał Falenty i Jan III, idąc na wyprawę wiedeńską. Wyruszywszy z Warszawy, cały dzień bawił tutaj w gościnie u nowego pana, Stanisława Opackiego. Zdawało się, że królowie polscy, w skutku jakiegoś podania, w skutku tajemnych jakichś chęci, jakby ze zwyczaju odwiedzali Falenty. ⁽²⁾ W Falentach téż spoczywał i Jakób Sobieski, król, przed wjazdem do Warszawy z oblubienicą swoją w r. 1691. ⁽³⁾

Stanisław Opacki zakończył szereg dziedziców Falent swojego imienia. Po jego śmierci, w skutku układów rodzinnych, posiadłości te przeszły na

⁽¹⁾ Starożytna Polska, tom 1, str. 417.

⁽²⁾ Tamże.

⁽³⁾ Żalski.

Łosów. Władysław Łos, po Denhoffie wojewoda pomorski, a potem malborski, zajął wtedy zamczek Opackich. Nie skończyła się jednak z tego powodu tak prędko zmiana, coraz częstsza nowych właścicieli. Kiedy umarł wojewoda, majątkami po nim rządziła pozostała wdowa. Wdowy tej córke, Konstancję Różę, miał za żonę Felix Potocki, wtenczas wojewoda krakowski i hetman pol. koronny. Zdaje się, że i hetman i pani Łosiowa, wojewodzina malborska, chcieli się utrzymać przy Falentach, bo oboje mieli jakieś prawo do spadku po Opackich. Żałuski, biskup warmiński był sędzią polubownym w tej sprawie, pomiędzy Łosiową i żigciem; nieraz też w listach swoich narzeka, że miał dużo kłopotu pod tym względem, ale zajęty więcej sprawami Rzeczypospolitej jak niesnaskami rodzin o dziedzictwo, nie powiada wcale o eo szło hetmanowi albo wojewodzinie. Powód to główny, dla czego kronika nasza o Falentach w tém właśnie miejscu zapelniać się nie da tłumem ciekawych wiadomości. Żałuski jeszcze nawet w r. 1700 zajmował się tą sprawą. (1)

Rzecz dziwna jednakże, ani Łosiowie ani Potoccy nie utrzymali się długo przy Falentach, a dziedzicami miejsca zostali Żałuscy. Jeden już z nich, pod koniec panowania Augusta III, w roku 1759, imieniem Ignacy, sprzedał wielkie i małe Falenty, i Raszyn z przyległościami, za 304,000 złp. Ignacemu Przebendowskiemu. (2) Byłto jeden z najwięcej znaczących osób za panowania Stanisława Poniatowskiego. Przebendowski był starostą mirachowskim i sołectem, wojewodą pomorskim, marszałkiem Rady Nieustającej, wreszcie generałym dyrektorem poczt koronnych po Biberstanie.

Przebendowski jednak niedługo posiadał Falenty; sprzedał je marszałkowi nadwornemu koronnemu, którym był wtenczas Franciszek Rzewuski.

W r. 1781 Rzewuski chciał załudnić pola Falenckie. Dlatego ogłosił przez gazety, że grunta i łąki kłucza falenckiego, podzielone na włóki chełmińskie, prawem wieczystem ma zamiar wypuszczać w małych dzierżawach Polakom i cudzoziemcom. Można było nabyć jedną albo dwie włóki. Warunki podawał pan marszałek bardzo do-

godne dla osadników; wymagał tylko żeby mu płacono po 300 złp. z jednej włóki do skarbu, i to we dwóch ratach półrocznych. Przyjmował jednak opłatę w pieniądzu, zbożu i robociznie, według raz postanowionej dla tego taksy: korzec żyta i jęczmienia znaczył złp. 6, owsa złp. 4, dzień ciągly z dwojgiem koni złp. 3, pieszy złp. 1. Do każdej włóki, dodawał Rzewuski plac do wymurowania na nim domu, ale podług jego rysunków. Ktoby niemógł sobie wystawić domu, dziedzic miał mu dostarczyć materiału potrzebnego do budowl, albo też sam obowiązywał się wymurować mieszkanie dla osadnika; ale za to żądał w ciągu lat sześciu spłacenia tego nakładu. Wtedy dom, grunt i włóki prawem wieczystem przechodziły już na własność nabywey.

Byłto piękne zapewne myśli. Kraj skutkiem tego mógł się załudniać i upiększać, zyskiwał obywateli i dziedziców. Widać, że miał szeroko zakreślone plany pan marszałek, kiedy według swoich rysunków chciał domy stawiać. Czynszował osadników, i zostawiał tylko sobie nad nimi prawo zwierzchnictwa i propinacyi. (3)

Plany kolonizacyjne nie udało się widać Rzewuskiemu, kiedy żył niedługo Falenty, i sprzedał je Piotrowi Tepperowi, sławnemu swoich czasów bankierowi w Warszawie. Tak po kolei dobra magnatów przechodziły w ręce ludzi oddanych przemysłowi. Pracą własną i rozumem bogacili się kupcy wtenczas, kiedy panowie na zbytki marnowali grosz szlacheckich przodków, a skutkiem tych nowych zupełnie wypadków w społecznym życiu Rzeczypospolitej, wypadków, które pojawiały się coraz częściej, jakby na dowód, że czasy się zmieniają i nowe płyną w życie zasady, i wspomnienia znakomitego bankiera, czepiają się teraz murów falenckiego dworca. I zaiste, wspomnienia zasłużonego człowieka nie powstydzą się w naszym czasie wspomnień Opackich i króla Zygmunta III.

Piotr Fergusson Tepper, pochodzący z rodziny angielskiej, która i dziś podobno jeszcze kwitnie na ziemi Albionu, zjawiał się bardzo wcześniej w Warszawie, za króla Augusta III.

Byłto właśnie chwila, kiedy kilku cudzoziemców nowe zwiastując życie, osiadło na ziemi polskiej, dzierżąc ją owocami pięknymi prac swoich.

(1) Epistolae historico familiaris; tom 2 str. 917.

(2) Starożytna Polska; str. 418

(3) Gazeta Warszawska z dnia 28 kwietnia 1781 roku, Nr 34, suplement.

Rzecz to jednakże w samej istocie dziwna, że jednocześnie prawie zaczęli wstawiać się u nas Michał Grell, Wawrzyniec Mizler de Kolof i Piotr Fergusson Tepper. Każdy w innej gałęzi pracował, i każdy starał się pracować ze skutkiem. Poświęcili się zatem, myśleli w nim wszyscy trzej zwrócić na siebie uwagę kraju, i różnorodność życia obudzić. Mizler poruszał literaturę, bo był uczonym człowiekiem i doktorem. Grell podawał silną rękę obudzającemu się duchowi narodu, przez rozszerzanie znacznych wiadomości, przez zaznajamianie obywateli polskich z literaturami obcymi, zresztą przez nakłady dla dzieł czysto polskich. Tepper wziął na siebie przemysł, i chciał sprowadzić pomysłowość materyjalną na łono narodu, do którego dwaj poprzedni sprowadzali myślową pomysłowość, umysłowe zajęcie.

Tepper był bankierem i kupcem. Osiadł z początku w Marywilu, i pierwsze kroki jego bojaźliwe były, bo narażał i majątek swój i przyszłość. Ale powoli, powoli, ożywił się, osmielił, i zaczął przodkować kupcom stojącym w przemysłowych zajęciach, w zatrudnieniu się handlem. *Kurier Polski* z ostatnich lat panowania Augusta III, zapelniony jest obwieszczeniami Teppera. Byłto człowiek nadzwyczaj czynny, przedsiębiorczy, energiczny.

Ale ze wstąpieniem na tron Stanisława Augusta Poniatowskiego, zaczęła się dopiero epoka dla Teppera, która go miała wślawić w dziejach polskiego handlu i przemysłu.

Zawiązała się w roku 1766 w Warszawie, pod przewodnictwem Andrzeja Zamojskiego, zaczęła pamięci kancлера, kommisysa manufaktur wielnianych, której członkiem, pomiędzy wielu panami, został i Tepper. Panowie nie odepchnęli od siebie bogatego przemysłowca, bo czuli, że on ma geniusz, a przesady chociaż słabo, ale już znikły na ziemi polskiej. W wiliu Sgo Stanisława r. 1767, zjechali się członkowie tej kompanii, według ustawy, na zamek do pokoiów kasztelana Wiskiego Karasia, i obierali asessorów; asessorów miało być dwunastu. Obrano Borchę, wojewodę Inflanckiego, Walickiego kasztelana sochaczewskiego, księcia Michała, brata króla, który był wtenczas dopiero opatem czerwinińskim; obrano i innych panów, a pomiędzy nimi *szlachetnego* Teppera na asessora kompanii. W tej władzy nad kompanią

przełożonej, zasiadło ośmiu panów, a czterech mieszczan, którym Tepper przewodniczył. Już wtenczas pisały się kompania przed królem z kilkunastą postawami sukna rozmaitego koloru, wyrobionego w Węgrowie, i pokazywała pończochy i kapelusze z fabryki Goledzinowski. Król prezesem kompanii na rok następny zatwierdził Jędrzeja Zamojskiego. ⁽¹⁾ [Sejm z r. 1768 dopiero zatwierdził był i ustawy kompanii, i pozwolił jej nabyć dóbr nieruchomości w Polsce i Litwie za Złp. 200,000, przy nadaniu jej innych jeszcze przywilejów. ⁽²⁾

Widać, że bardzo czynny Tepper był w Warszawie, kiedy już druga konstytucja sejmu delegacyjnego, pozwalała mu i dziedzicom jego kupować także na własność dobra nieruchomości w Polsce i w Litwie. ⁽³⁾ Wtenczas to zapewne Tepper nabył Falenty od pana Przebendowskiego. Po Falentach kupił Gólkowo.

Kiedy w tymże roku 1775 uposażono w Polsce kosztem Rzeczypospolitej zakon rycerzy Maltańskich, Tepper został agentem i podskarbnym orderu, a kawalerem mianowany przez łaskę mistrza wielkiego (honorarius de gratia Magistrali). Godność tę do ostatnich chwil Rzeczypospolitej zachował. ⁽⁴⁾

Tepper był tak czynnym, tak go wszędzie pełno było, że zaczął słynąć i w Europie nawet; znają go więc i dwory zagraniczne. Pierwszym dowodem tej ufnosci jaką w nim pokładano, i tej sławy na jaką sobie umiał zarobić, jest ukaz cesarzowej Katarzyny, z dnia 4 marca 1779 r., do rządzącego senatu w Petersburgu; w ukazie cesarzowa oświadcza, że przez wzgląd na zasługi Teppera młodszego, mieszkającego w Warszawie, mianuje go swoim bankierem, i nakazuje żeby wszystkie wexle i pieniądze z Petersburga przesyłane do Warszawy, Tepper jedynie wypłacał. Cesarzowa kazała nawet wygotować urzędowy dyplom tej nominacji, i przesyłała bankierowi do Warszawy, podpisawszy go własną ręką. ⁽⁵⁾

Około roku 1781 nabył Tepper Derażnią na Rusi. Pozakładał i tutaj wielkie fabryki i rękodziela,

⁽¹⁾ Wiadomości Warszawskie 1767 r. Nr 37.

⁽²⁾ Vol. Leg. VII. 751.

⁽³⁾ Vol. Leg. VIII. 265.

⁽⁴⁾ Patrz kalendarzyki polityczne.

⁽⁵⁾ Gazeta Warszawska 1779 r. Nr 32. Supplement.

sprowadził rzemieślników, i rozpoczął na wielką skalę pracę niewidzianą prawie w Polsce. Zakłady te, jak wszystko jego ręki, dopiero ze śmiercią znakomitego bankiera upadły; — za niego wciąż kwitnęły. (1)

Właśnie wtenczas żywo zajmowało myślących o przyszłości panów polskich, otwierające się morze Czarne dla handlu polskiego. Książę de Nassau puszczal się Dniestrem na żeglugę, a obywatele bogaci stron ruskich, budowali łodzie, rozprawiali o Turczach, o Azji Mniejszej, o Krymie. Znakomitą rolę w tym ciągłym ruchu odgrywał Tepper. Dobroczynny ten gieniusz chciał skarby sprowadzić na ziemię polską. Krzątał się też żywo, ale niezważało szło mu zrzeczenie, bo uderzał zawsze o dzikie przesady. Jednak starania jego zwracały na siebie uwagę obywateli. 3 listopada 1784, na sejmie grodzieńskim, Suffeżyński, poseł inflancki, przemawiał się za Tepperem żeby Rzeczpospolita nadała szlachectwo temu zasłużonemu w ojczyźnie obywatelowi. Projekt nawet w tym celu podał do łaski. (2)

Pracując dla ogółu, Tepper nie zapomniał o obywatelach sumienia. Był reformowanej religii. Zaufanie jednowierców wyniosło go na stopień seniora kościołów ewangelickich w Polsce. Na tym będąc stopniu, wyrobił przywilej u króla z d. 15 stycznia 1777 roku, mocą którego pozwolono dyssydantom wystawić w Warszawie pierwszy kościół ewangelicki. Zug budować zaczął ten kościół zaraz 24 kwietnia 1777 r.

Byłto człowiek tak różnostronny i znakomity zasługi, że w roku 1784 żydzi, wygnani dekretem Mniszcha z Warszawy, prosili Teppera, żeby im pozwolił osiąść w Raszynie. Tepper chętnie przystał na to, i z tego powodu wdał się w spory z miastem, a drukowano nawet przeciw niemu broszury. (3) Miał inne jeszcze nieprzyjemności. Sprawa jego i Karola de Thomatis z Poninskim, przeszła wszystkie instancje, i aż do Rady Nieustającej przedarła się. Na sejmie w 1786 r. dnia 27 października, Hryniewiecki, poseł bielski, zaskarżył o wydany wyrok Radę, i chciał obalić jej dzieło (4).

W tymże roku Tepper założył nareszcie dom handlowy polski w Odessie, który nagle zpod ziemi wyskoczył, pod firmą A. A. Chassaignon i Spółka. Ogromny ten dom miał urzędników do listowania z Polską i do czynności bankowych. Tepper zapraszał obywateli z Polesia, Wołynia, Kijowa, Podola, i z Bracławskiego, żeby Prypiecią, Dnieprem i Bugiem spławiali swoje produkty do Chersonu, obiecując im pomoc handlową. Dom Chassaignon i Spółka miał nawet swoje własne okręty, które posyłał morzem dla handlu aż do Francji. Jeden z tych okrętów *Książę Potemkin* zbudował sam Tepper. Okręt ten ciężką skolatany był burzą, ale nie zginął jak głoszone, i naprawiony szczęśliwie w r. 1786, w grudniu zawinął do portu Marsylii. (5)

Znakomitego bankiera odwiedził i król Stanisław August w r. 1787, wracający z Krakowa do stolicy. Przyjechał tutaj Poniatowski dnia 21 lipca w sobotę, prosto z Maljwsi, dóbr wojewody rawskiego. O wpół do drugiej z południa zajechał przed dworzec Falencki. Oczekiwali go już tutaj bracia, prymas i książę Kazimierz. Było prócz nich kilku innych senatorów, panów, których często wał i podejmował gościnnie Tepper. Cała familia gospodarza powitała króla w pokojach. Nastąpił obiad na kilkadziesiąt osób, wysmienity i pański, a na stole stały cukrowe gmachy i budowle, przedstawiające ulubione królowi Łazienki. Coraz więcej osób przybywało tymczasem z Warszawy, to posel rossyjski, angielski i pruski, to senatorowie, ministrowie, urzędnicy, marszałek Rady Nieustającej, konsyliarze i obywatele. Król po ogrodzie chodził alejami i mile rozmawiał z tłumem gości do późnego wieczora, bo wtedy nastąpił ogniотрыск wielki naprzeciw palacu w ogrodzie. Nad stawem zbudowano machine przedstawiające w malowidle skalę, z figurą emblematyczną Wisły, kobiety wylewającej z urny rzekę. Na skale stał wpośrodku kolos, a koło niego dwa pomniejsze; kolos średni i balkon palacowy łączyły się za pomocą sznurów. Król stanął na balkonie z gośćmi. i wtedy zapalono sznur. Rączy ogień piorunem przebiegł do malowidła, w jednej chwili zapalił owe trzy kolosy, i cudnym blaskiem oświecił literę S. pierwszą imienia królewskiego. Potem we środku kolosu pokazał się portret Stanisława, na kiedy

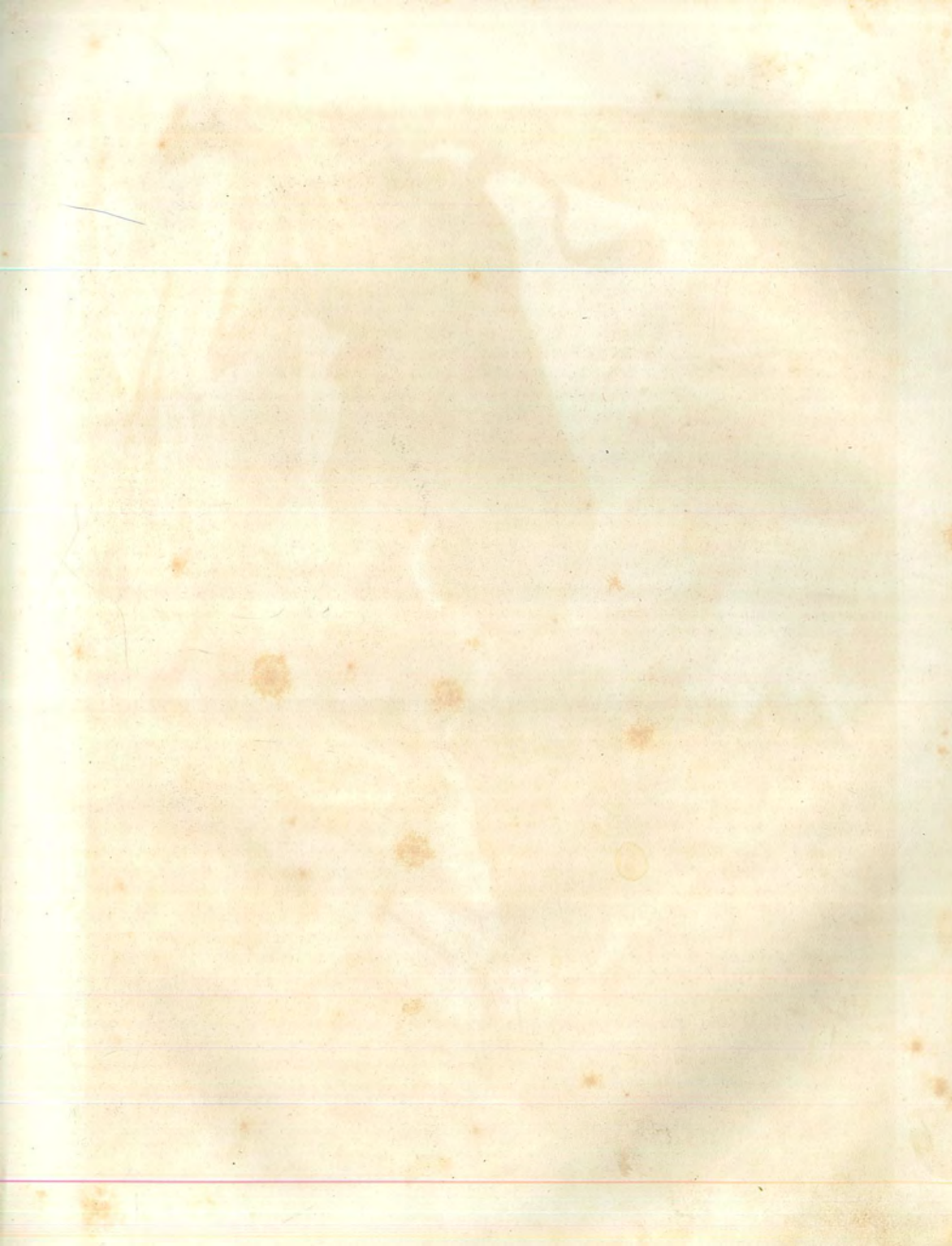
(1) Starożytna Polska, tom 2 str. 1027.

(2) Gazeta Warszawska 1784 r. Nr 91.

(3) Biblioteka Warszawska 1848 r. II, 14.

(4) Gazeta Warszawska 1786 r. Nr 87.

(5) Gazeta Warszawska 1787 Nr 3.





Walka zmięgotła w Indjach.

zgasyły te prochowe promienie, malowidła pokazały się cudowne przy ukrytej wewnątrz skały iluminacji; zaczęły wtedy bić armaty i muzyka się odezwała, a ognie piękne latały na powietrzu i wodzie godzinę przeszło. Zakończył ogniotrysk piękny wieniec, zapalony nad kolumną utrzymującą portret królewski. Nastąpiło oświetlenie ogrodu i batów pływających po stawie. Król poszedł na świetną kolację, po której rozjeżdżali się goście do Warszawy, a Stanisław dopiero 22 lipca w niedzielę opuścił Falenty, „okazawszy ukontentowanie i wdzięczność Jmć państwu Tepperom za wygodne, okazałe i przyjemne w domu ich swoje przyjęcie”, dodaje gość bankiera, biskup Naruszewicz. (1)

Tepper niezadługo potem założył w czasie sejmiku wielkiego bank, razem z Protym Potockim, Karolem Schultzem i Wilhelmem Arndtem. Z bankierami temi, na d. 4 lutego 1789 r. zawarła konwencją kommisya skarbu koronnego; sejm potwierdził tę konwencję, w trzy tygodnie potem 25 lutego. (2) Wiadomy jest powszechnie upadek tych banków i ciężkie straty, jakie z tego powodu

(1) Dyaryusz podróży na Ukrainę, wydanie Mostowskiego, str. 509—512.

(2) Ciąg dalszy Kalendarzyka Narodowego i obcego, 1792 roku, str. 58.

ponieśli obywatele. Dwa rządy cesarskie i jeden królewski wyznaczyły potem kommisję wspólną do obrachowania strat poniesionych. Przewydował w niej Kazimiérz Raczyński, b. marszałek nadworny koronny.

Kommisja ta, pod d. 9 lipca 1800 r. ogłosiła, że kto życzy sobie z masy Teppera nabyć dóbr ziemskich, Derażni, Golkowi i Falent, gdy względem ceny już umówi się z masą, będzie mógł cenę tę płacić zamiast gotowizny, wexlami, lub pretensjami do masy ściągającymi się, a przyznanymi przez kommisję i te wexle w proporcji 25 za sto w miejsce gotowizny przyjmowane będą.

W nowszych czasach wspomniemy, że w czasie boju pod Raszynem, w kwietniu 1809 r. Falenty zajmowali Austriacy, i że w skutku boju wiele ta piękna okolica ucierpiała.

Raszyn i Falenty były potem własnością panny Teresy Ragi, która zmarła w r. 1827 (1). Świeżo już za naszych czasów nabył Falenty Augustyn Spiski, niedawno zmarły kupiec winny, znany całej Warszawie z charakteru swojego i pracy, przez którą się dorobił znakomitego majątku.

(1) Kuryer Warszawski. 1827 r. Nr 19.

28 marca 1850 r.

Julian Bartoszewicz.

INDYE WSCHODNIE.

Wola Opatrzności wybrana na kolébkę rodu człowieka i jego cywilizacyi, południowa część Azji, ze szczególną szczerotą uposażona została od natury we wszystkie dary i skarby, jakie hojna jej ręka rozsypuje na naszą ziemię. Obszerna kraina, ciągnąca się od wód Indu, wzdłuż wyniosłego łańcucha Himalai, a wybiegającą głęboko w morze kończynami równika prawie sięgająca, znana dziś pod nazwą ogólną Indyj Wschodnich, słynęła już w najgłębszej, najoddalenej starożytności, z różnorodnych bogactw przyrody swojej, i z wysokiej oświaty plemion w niej zamieszkujących.

Ztamtąd, jak gdyby z zaczarowanej skarbnicy wszech dobra, rozeszły się na świat ludy, i rozniosły po nim moralne skarby wyższości swojej, których ślady po dziś dzień leżą porozrzucane w językach, pojęciach, zwyczajach i pomnikach sztuki rozmaitych narodów. Po dziś dzień na tej ziemi przechowują się, jakby w zaklęciu, w starodawnej nauce Braminów, wysokie dogmata i ważne tajemnice, które europejska cywilizacja drogo okupiłyby rada. (1)

(1) Przytoczyć tu można, iż lekarze angielscy, których o łatwość winić niepodobna, zaręczają, że Braminowie znają środki

Cała natura zda się wyteżyła tu siły swoje, i wszystkie żywioły walczą między sobą o pierwszeństwo w potęgze. Zastraszające ogromem góry, rzeki jak morza szerokie, w łonie swém złoto, dyamenty i straszne potwory toczące, powietrze gorące a czyste, ziemia żyzna, bogata w ziola i krzewy cudowne jakieś i straszne, bo jedno z nich organizm człowieka wonią samą niszczy, a inne zgrzybiałym starcom młodzieńcze zapaly wracają; gromady zwierząt najsilniejszych i najdrapieżniejszych, — wszystko się w tej krainie skojarzyło, żeby i człowiekowi nadać wydatniejsze jak gdzieindziej piętno siły, piękności i uzdolnienia. Spójrz na tego młodziana, dziecię uroczęj i strasznęj zarazem tej ziemi: kibić giętka i smągła, postać szlachetna i dzielna, rysy regularne, cera śniada, a czysta i połyskująca jak bronz polerowany, oko wielkie, ogniste, pała czułością, blyska uniesieniem; wszystko w nim mówi, że serce i zdrowa dusza nie ustąpią w zaletach ciała.

Bo też potrzebne mu dzielne serce i hartowna dusza; zginąłby, przepadł tu bez nich. Na każdym kroku otaczają go niebezpieczeństwa; przeraźliwe ryki potężnego króla zwierząt do snu go kołyszają, wycia szakali pieśń mu przerywają, jadowite węże, krwiożercze lamparty, pantery, hyeny, nieposkromione w wściekłości bawoły, za każdym stąpnięciem drogę mu zaskoczyć gotowe. Ale on się widoku ich nie ulęknie, niebezpieczeństwo zmysłów mu nie odejmie; sam go szukać rad zawsze, bo chciwy łupu i sławy, uraga śmierci, a zwinności i siłę swęj zaufać może.

Zgroza przejmując na samą myśl podobnych spotkań; niezbyt dawno officer armii Bengalskiej o mało nie padł ofiarą bawołu, rozjuszonego widokiem czerwonego munduru. Rzadka przytomność umysłu ocalić go tylko potrafiła; rzucił w oczy naskakującemu nań napastnikowi mundur ów nienawistnej mu barwy, który ten z wściekłością szarpacz zaczął, a sam tymczasem w bok odskoczył i na drzewo się wdrapać zdołał. (Patrz dołączoną rycinę).

Znałem i kobietę, dziecię przybrane szczęśliwej Indyjskiej ziemi; jakże inna, jak różna od dziewczyn mglistej Europy naszej! Z jęj obrazu gdybym miał wnosić o Indyach, przypuściłbym musiał, że niemyślnie leczenia cholery, i zabezpieczenia od tej strasznęj epidemii.

to anioły raju ziemskiego strzegące. *Miss Emily* była córką flegmatycznego Anglika, i tej białej, pięknej, szlachetnej statuy, którą Angielką nazywamy.

Urodziła się i wzrosła w Indyach, dokąd ojciec pobił szukać milionów, których siła potrafiłaby mu sławną ojczyznę znośną, wygodną uczynić. Gdyby dziecina wzrastała pod dżdżystym niebem Albionu, byłaby jak jęj matka piękna, biała, zimna i uczona; ale ona wzrosła pod niebem Bengalu, oddychała powietrzem poezją napojonem, stąpała po ciepłej ziemi tysiącem kwiatów wonięjącej.

Kufry Anglika już pełne skarbów; wraca szczęśliwy. Wraca z nim i córka w wieku, w którym w Londynie bawić się w wolanta lub obreże na murawach Regentsparku powinna; a ona już prawie kobietą. Ona nie tak wesola jak inne; pod zamysloną powieką kryje i tłumy roje marzeń poetycznych i tęsknych uczuć odmgoty; ona je kryje i tłumy, gdyż pod tęp błędem słońcem, na tej nagiej ziemi, wśród tych zimnych ludzi, nie znajduje ani żywiołu dla duszy, ani przedmiotu dla serca, ani dla myśli powiernika.

Ona tęskni i cierpi; — ona powoli umiera! Tak, umiera ofiarą tęsknoty, i w chwili zgonu, oswobodzona dusza, siłą wspomnień porwana, powraca do Indyj, nim pójdzie do nieba.

Tak się mści natura Indyj, nad wami, Anglicy! za krzywdy, jakie ludom jej wyrządza.

Po skarby przyszliscie, ciężycie nad nieszczęsnym przez was tym krajem, całęm brzemieniem ducha kupieckiego; — skarby zyskaliście, ale wraz z niemi śmierć przyniesiecie z sobą do złotożerzego Albionu!

Umarła czuła, piękna *Miss Emily*, umarła z tęsknoty, pomimo głębokiej religii, pomimo miłości rodziców i szczeręj przyjaźni syna dalekiej północy, umięającego pojąć jęj cierpienia i uczucia.

Z jęito opowiadań polubiłem jęj ojczyznę, choć sam Indyj nie oglądałem. I kraina ta szczególniejszego dla mnie nabrała uroku, który podnieciło jeszcze więcej zajęcie, jakie losy jęj i przeznaczenie w każdym myślącym budzić muszą człowieku.

W długiej mej zdala od rodzinnej strzechy wędrówce, los zdarzył, że natknąłem także rodaka, który był w Indyach i znał je dokładnie.

Z jego to ust (!) dowiedziałem się wiele szczegółów, które tu w części opisać się postaram.

Dziś droga do Indyj, mimo wszelkich postępów i ulepszeń, jeszcze bardzo utrudzona i daleka; niezadługo jednak może, nieugięty duch przedsiębiorstwa Anglików, zbliży nas z ciekawym i niedość dotąd zbadanym krajem, za pomocą przekopu na międzyomorzu Suez. Wtedy zapoznamy się lepij z kolebką cywilizacji naszej, przypatrzymy się dokładniej temu niewyczerpanemu źródłu bogactw, z którego Anglia czerpie dziś znaczenie i potęgę, które w wiekach średnich dało życie tylu znikomym przepychom kupeczającym Włochów, i tyle ruchu i życia obudziło. Indyj to owych, stolicy słynnego handlu z Lewantem, przedmiotu narodowych zawiszc, pusił się krótszą drogą szukać Kolumb, i odkrył nam świat nowy, nową dla losów i postępów ludzkości roztorzył dziedzinę. Na przepychach i zbytkach z Indyj wyniesionych, dumę swą gruntuje Europejczyk, pyszny, że tyle zdobył dla siebie potrafił, a Indianin od natury samj, na własnej ziemi, we wszystkie te dary uposażony, korne chylić przed przybysem musi czoło, mądrość jego i wyższość z uwielbieniem uznawać. — A kiedyś przecież on był rozdawcą światła i nauki. Dziwne koleje świata i ludzi! dziwne przeznaczenie i dzieje Indyj, na których ziemi przyszłość zachowuje sobie może rozstrzygnąć losy zgrzybiałej a pysznej Europy.

Do Kalifornii niech bieżą złota cheiwi, ja zaś do Indyj zapraszam myślących i poetów.

Nazwa Indyj pochodzi od rzeki Indus, w języku pierwotnych mieszkańców okolic tych zwanej *Sind*. Kolumb, zamierzając dostać się od zachodu morzem do Indyj, odkrył wyspy leżące między północną a południową Ameryką; a sądząc, że stanowią część kraju, do którego dążył, nazwał je Indjami; dla odróżnienia więc tych, dawne Indye nazwano Wschodnimi. Obejmują one w południowej Azji cały obszar ziemi, na dwóch wielkich półwyspach rozciągający się ku równikowi i roz-

rzuconą a liczną gromadę wysp mniejszych i większych, tworzących przejście do stałego ładu Australii. Obszar ten podzielono w nauce na trzy części: na

1. Indye przed-gangesowe, czyli leżące na zachód Gangesu;
2. Indye za-gangesowe, na wschód tej rzeki; — i
3. Na archipelag indyjski.

Indye przed-gangesowe leżą między 89° — 110° długości, i 7° — 35° szerokości; od północy graniczą z Beludżystanem i Chinami, od wschodu Ganges oddziela je od bratniej ich połowy, a zresztą ocean Indyjski wokoło oblewa. Kraje w nich położone rozdzielić należy na kraje bezpośrednio do Anglii należące, i kraje Anglii sprzymierzone, lub holdownicze. Łańcuch gór Himalaja, ciągnący się wzdłuż całej północnej granicy, posiada wierzchołki najwyższe na całej ziemi. Najwyższy punkt ziemi w Europie nie dochodzi 15,000 stóp nad poziom morza, kiedy Dawalagiry, Tzumalari i Dzia-wahir sięgają 26,000 stóp. Indus, Kerbudda, Kraszna, Godaweri i Ganges przeryniają kraj w rozmaitych kierunkach dobroczynnymi wodami swymi, a ostatnia z rzek tych, tém jest dla Indyj, czém Nil dla Egiptu; peryodycznymi bowiem wylewy, użyznia ziemię i czyni wszelki około niej zachód zbytecznym.

Jakkolwiek całe prawie Indye leżą w strefie gorącej, temperatura w nich jednak panuje przyjemna, choć bardzo zmienna i w różnych miejscowościach rozmaita. Nigdzie burze z taką gwałtownością nie huczą, nigdzie gromy z taką siłą i łoskotem nie biją, ani grady tak ogromne nie padają, jak tu. Najdrowszą część kraju stanowią równiny między Szumna, Sutledź i Gangesem: Pundżab, Lahora, Kaszmir i Nepal. Tutaj dawni podróżnicy mielić przepyszną świątynię długiego życia, tu miał ów sławny Fakir, przez historyka Farin cytowany, przeżyć lat przeszło trzysta. Dziś mieszkańcy tych krain jakoś nie żyją dłużej jak Europejczycy. Gwałtowne choroby i epidemie, jak cholera, sprzątają w mgnieniu oka niesłychane mnóstwo ludzi. Szczególnie srogie również są choroby skórne, febry, dysenterje, wścieklizny i elephantiasis.

Ziemia w Indjach w ogóle nadzwyczaj urodzajna i do wszelkiego rodzaju płodów właściwa. Ry-

(!) Był to p. Leszczyński, Dr. Medycyny z uniwersytetu edynburskiego, zostający jako lekarz wojskowy w służbie kompanii Wschodnio-Indyjskiej. Ranny w nogę na wyprawie przeciw Kabulowi, wrócił do Europy kaleką, inwalidem, a jako cudzoziemiec nie otrzymał żadnej pensji ani nagrody. Poznałem go w Paryżu, i namawiałem do opisania wrażeń swych z pobytu w Indjach, mianowicie też spostrzeżeń z praktyki lekarskiej Indian.

zu, którego tu się 25 gatunków dziko rosnących znajduje, wydaje tyle, że mimo wywozu, stanowi on zawsze jedyne prawie, a przynajmniej główne pożywienie i chleb tutejszych mieszkańców.

Wyliczywszy niepodobna tego mnóstwa jej płodów, któremi cały świat się obdziela, ani przepychu świetnej roślinności, cudowne i najdziwniejsze krzewy, kwiaty i ziola wydających Teofrast, Strabo i Pliniusz z podziwem wspominają już o niektórych drzewach indyjskich, a mianowicie o drzewie figowém, którego pień, zrosły z kilku, dochodzi do dwóch tysięcy stóp obwodu. Drzewo to istnieje obecnie; podanie nadaje mu 3000 lat wieku, a lud czei jako święte. Golkonda niegdyś w przysłowie poszła, i nazwa jej służyła za wyrażenie skarbów nieprzebranych, o jakich marzyły tylko arabskim poetom wolno. Dzisiejsze poszukiwania wykazują, że fałszywie przypisywano francuzkiej kolonii te straszne bogactwa dyamentów, złota, drogich kamieni i kruszców; ale to pewna, że rzadko który kraj tyle ich posiada co Indie. Widocznie część wzięto za całość. Wszystkie te jednak piękności i znamenitości ziemi Hindu, ustąpiły musiały przed niezmierzonym ogromem i okazałością królestwa zwierzęcego.

Ale musimy wzmiankom nawet dać pokój; czekają nas ważniejsze, jeśli nie ciekawsze szczegóły. Wyliczenie wszystkich zasobów i skarbów Hindostanu, wystarczyłoby na zapelnienie dzieł całych. Natura zrobiła wszystko, nie szczędziła niczego dla tego kraju; człowiek tylko nie dlan nie uczynił. Przemysł Indyan zasadza się najgłówniej na wyrobach bawełnianych, których fabrykacya i wywóz za granicę sięga najstarożytniejszych czasów. Tajemnica fabrykacyi tych wyrobów od wieków przechowuje się podaniem w niektórych kastach, i przechodzi z ojca na syna. Jedwabie su-ratskie, szale kaszmirskie, kobierce z Patra i Benares, szable i puginy delhijskie i wyroby filigranowe bengalskie, wyczerpują cały zakres przemysłu wywozowego.

Kraj bezpośrednio do kompanii Angielsko-Indyjskiej należący, dzieli się na cztery prezydentwa: Kalkutta czyli Bengal z m. st. Kalkutta; Agra czyli Allahabad, Madras i Bombay ze stolicami tegoż imienia.

Pierwsze prezydentwo Bengalu v. Kalkutty obejmuje 1000 mil □ przestrzeni. Mieści w sobie

oprócz całej północno-zachodniej części Indyj, część Dekanu i niektóre prowincye do Indyj zagangesowych należące t. j.: Assam, Araban, Martaban i t. d. Miasto Kalkutta, po indyjsku Kalikutta, leży nad brzegiem najdalej na zachód posuniętej odnogi Gangesu, Hugly zwanej, o 10 mil od ujścia, w okolicy niegdyś pustej i niezdrowej, dziś zaś zaludnionej i bogato zabudowanej. Tu przebywa gubernator generalny angielski, zarządzający wszystkimi posiadłościami kompanii, z władzą bardzo obszerną, któremu gubernatorowie trzech innych prezydentw oddani są pod zwierzchnictwo; tu znajdują się wszystkie centralne i główne władze, tu wreszcie stale rezyduje biskup. Mała cytadella, a raczej fort zwany *William*, stoi opodal gotów na obronę miasta; w nim odbywa ważne swoje posiedzenia owo uczone towarzystwo azjatyckie (*asiatic society*), które tylu już skarbami nauke wzbogaciło. Miasto samo rozdzieli się wybitnie na dwie części, na miasto białych i miasto czarnych. Tamto pyszne, bogate, w wspaniałe gmachy i pałace zdobne; to znów biędne, brudne, ciasne i zaniedbane, lepiankami tylko nędznymi zastawione. Wszystkie miasta osad europejskich budowane tu są w ten sam sposób, i czarne od białego oddziela wybitna linia graniczna, jakoby pas rozdziału między Azyą a Europą. Mieszkańców ogółem mieści się tu przeszło 500,000, a między tymi zaledwie 15ta część Europejczyków. Do rzędu znaczej-szych miast w tej prowincyi należą: *Muszedabad* 165,000 mieszkańców; *Patna* 300,000 mieszkańców, jedno z największych przemysłowych miast Indyi.

Drugie prezydentwo Agra (400 mil □), m. st. Allahabad 265,000, słynne z pielgrzymek nabożnych, które Indyanie doń odbywają; mianowicie też do podziemnej przepysznej świątyni, znajdującej się tu. *Benares* słynne z tego, że zamieszkuje ją sami prawie Braminowie, kasta uprzywilejowana, i utrzymują tu najuczciwszą, najwyższą indyjską szkołę, czyli uniwersytet. Ulice budowane na sposób czysto indyjski, ciągną się wązko, bez bruku, śród wysokich nadzwyczaj domów, co uważać trzeba za wyjątek w tym kraju; roje pielgrzymów, fakirow i żebraków snują się tłumami około mnóstwa kaplic i świątyni, wznoszących się w niem. Niektóre pagody zadziwiają istotnie przepychem budowy swojej; wspaniałe wschody od najpiękniejszych z tych świątyni wiodą

z miasta aż do Gangesu: bo woda stanowi nieodzowne *accessorium* każdej indyjskiej świątyni; gdzie rzeki nie masz, tam wspaniale zawsze wschody prowadzą z przedsienu do jakichś studni cudownej, w której Indyanin przed rozpoczęciem modłów do bóstwa w świątyni, ciało i duszę z grzechów obmyć musi. W liczbie 200,000 mieszkańców, nadzwyczaj mało znajduje się Europejczyków. Miasta *Agra*, *Delhi* niegdyś stolica cesarzów, *Jagernal*, zawierają w sobie tysiące osobliwości i znakomitych pomników, świadczących o dawném bogactwie i potęgę Indyan.

Trzecie prezydentwo *Madras*, liczy 700 mil □ przestrzeni, a 15 milionów mieszkańców. Stolica dzieli się także na miasto białych i czarnych, posiada przystan dogodną, czém rzadko które miasto na tém wybrzeżu poszczycić się może; w dzielnicy białych fort Śgo Grzegorza stanowi najsilniejszą może warownię, jaką Anglicy posiadają w Indych; w nim znajduje się pałac gubernatora, rezydencya biskupa, mennica, koszar i główne składy towarów. W dzielnicy czarnych, liczba pagód i meczetów niezbyt wielka, i wspaniałość ich nie tak znakomita, bo miasto zbyt na to nowe, w r. 1620 dopiero założone. Wioska *Muhalipuram* w téj prowincyi położona, zasługuje na wzmiankę z powodu niesłychanego mnóstwa osobliwości starożytnych, które w jej okolicy się znajdują. Siedm pagód, a raczej szczątków ich tylko ślady, zalewa tu morze i przepych ich ukazuje oczom ludzi za odpływem; skały wydrążone, kolumnami zdobne, mauzolea wspaniale, widocznie świadczą, że niegdyś znakomite miasto brzegi te zajmowało. Ale takich miejsc i zwalisk, ileż przedstawiają Indye!

Ze wszystkich prezydentw, *Bombay* było najmniejsze (500 mil □ i 2 miliony mieszkańców); przez zdobycze jednak nad Maratami nader znacznie się powiększyło. Do każdego prezydentwa należy, prócz ziem bezpośrednią własnością kompanii będących, wiele posiadłości w prowincjach niezawisłych, a pod zwierzchnictwem jej tylko zostających, których zarząd, a raczej nadzór nad niemi, rozdziela się stosownie do miejscowości, między właściwych gubernatorów.

Taki niezmierny obszar w téj części Indyj zajęli zreczni i wytrwali Anglicy; przeszło 85 milionów mieszkańców tutejszych pod ich władzą i bezpośrednio zostaje zwierzchnictwem; a zaledwie 40

milionów cieszy się cieniem jakiegś swobody, i to nie nadługo, bo potężna ręka kompani już ku nim palce wyciąga. Liczymy 40 milionów, bo w téj liczbie obejmujemy kraj Syków i Maratów, którzy, pamiętać należy, w r. 1849 zupełnie się Anglii poddali, napróżno usiłując dość długo oprzeć się jej przemocy. Cóż więc nieangielskiego pozostaje dziś w Indyi przed-gangesowej? Anglik pewnoby odpowiedział: nic, bo wié, że jak zechce, wszystko posiadać, a tego wiedzieć nie chce, że obok niego i kto inny równe może rościć prawa. My zaś, trzymając się samęj tylko rzeczywistości, wspomnim królestwo Nepalu i księstwo *Sinhy*, bo te dwa tylko państwa zachowały po dziś dzień niezawisłość swoję z tylu innych dawniej silnych i upornych, dziś poddanych i pokornych. Prócz tych państw znośić muszą Anglicy kilka faktoryj mocarstw europejskich, które jakby na żart i urągowisko tylko pozwalają utrzymywać tam Francuzom i Portugalczykom. Francya posiada okręgi: *Pondiszery* i *Kurikal* w *Karnatycy*, okręg *Mahe* w *Dekanie*, *Tczandernagor* i kilka małych faktoryj w Bengalu, co wszystko razem wynosi 29 mil □ i 170,000 mieszkańców, między którymi blisko półtora tysiąca Europejczyków, uprawiających ryż, bawełnę i inne płody, a w *Mahe* zajmujących się przemysłem i handlem.

Do Portugalii należy *Wicekrólestwo Indyi* (oni je tak nazywają), składające się z porozrzucanych tu i owdzie kawałków ziemi, które wszystkie razem zebrane, wynoszą 230 mil □ przestrzeni, z 500,000 mieszkańców. Okręg *Goa*, na zachodniem wybrzeżu Dekanu, najważniejszą posiadłość ich stanowi. *Wicekrólestwo* nie zawsze cieszy się błogim stanem finansów; w r. 1821 dochody jego czyniły do 700,000 kruzadów, rozchody zaś przechodziły 800,000; a na kredyt Indyanie nie znają podobno wyrazu; Anglicy znają go, ale dla siebie.

Na półwyspie za-gangesowym, kompania angielska posiada także przeszło 4,400 mil; ile się na téj przestrzeni mieści ludności, niewiadomo dokładnie, zdaje się jednak, że około dwóch milionów; w samym *Assam* 800,000. W ogóle, o całym kraju za-gangesowym mało bardzo mamy dokładnych wiadomości; klimat tu gorętszy, jak przed Gangesem; wiatry *musson* i częste deszcze ochładzają go nieco. Główna część posiadłości angielskich przypada im tu po zwycięskiej wojnie z Birma-

nam i w r. 1826; wyspy jednak Pulo-Pinang i Singapure oddawna do kompanii należały. Kraj Malakka dostał się jej w r. 1824 od Niderlandczyków, w zamian za osady na *Sumatra*. *Malakka*, *Pulo-Pinang* i *Singapure* liczą się do prezydentury Kalkutta; prócz tych kraje: *Assam*, *Arakan*, *Martaban*, *Ye*, *Tenasserim* i *Mergui* bezpośrednią stanowią własność kompanii; kraje zaś *Kaczar*, *Kassai*, *Garrows* i plebiona w górach zamieszkałe, holdują jej tylko i do haraczu są obowiązane.

Tyle posiada kompania na za-gangesowym półwyspie; zostawia ona tu dotąd więcej miejsca krajowcom, jak przed Gangesem; cały bowiem półwysp zajmuje 38, 460 mil □, na których mieszczą się prócz ziem angielskich, państwa: *Birmanów*, *Stam*, niezawisła część *Malakki* i *Assam*.

Dzieje dawne Indyan w ogóle zakrywa głęboka mgła bajecznych podań i niepewności. Tyle tylko da się pewnego powiedzieć, że pierwsze światło cywilizacji przeszło do nich z północy, od plemion kaukaskiego pochodzenia, które zawojuwały zamieszkałe tu pokolenia malajskie i murzyńskie. Z tego pomieszczenia plemion powstał dzisiejszy lud *Hindu*. Całe Indie przed-gangesowe w owych starożytnych czasach, podzielone były na mnóstwo małych państw, pod zwierzchnictwem *radżów* czyli królów, albo książąt zostających, którzy po kilku razem władzę znów maharadzów, wielkiego mocarza, nad sobą uznawali. Braminowie, jako prawodawcy i stróże ksiąg boskich, przepisy życia zawierających, największy wpływ na sprawy rządu wywierali. Wcześniej już bardzo stosunki handlowe połączyły krajowców, i wprowadzili ich w zetknięcie z obcymi: Grecyą, Egiptem i t. d., zapoznano się nawet z Rzymianami. Alexander W. granice swego państwa po Ganges prawie rozciągnął. Związki Indyj z Europą ustaliły dopiero w VIII wieku po Chrystusie, kiedy Arabowie zawojowali Persyę, po całej Azji się rozeszli, a Kalif Walid część półwyspu indyjskiego pod władzę swą podbił. Wtedy Arabowie sami zostawali tylko w bezpośrednich stosunkach z Europą. Mahometanizm podkopał w części religię Brany, zmieszał się znów z nią gdzieindziej i nowe wiary potworzył, a swoboda niezawisłych państw północnej Indyi pod jarzmo najezdźców się dostała. Na południe tylko, w niedostępnym Dekanie, nietykane zachowały się dynastie indyjskie, a cały

Hindostan właściwy nigdy już nie odzyskał niepodległości. Babur, potomek Timura, dał początek wreszcie (1526) ogromnemu państwu Wielkiego Mogoła, które objęło cały Hindostan i część Dekanu. Stolicę miał W. Mogoł w Delhi i Agra, miastach wówczas świetnych, przepychem wszystkich europejskich przechochających. Prowincjami podbitymi zarządzali mahometanścy *nababowie*; w niezawisłych zaś panowali *radżowie*, haraczem i holdem opłacając pogromcom godność swoje.

Po odkryciu drogi morskiej do Indyj, wokóło przykładu Dobrej-Nadziei, przez Vasko de Gama, Portugalczycy w początku XVI wieku zajęli wybrzeża południowe Indyj przed-gangesowej i do końca tego stulecia cieszyli się posiadaniem wyłącznem wielu krajów, które mocą oręża zajęli. Pozakładali wiele warowni, miast i faktoryj, i zagarnęli bez przeszkody i współubiegania cały ówczesny handel indyjski, który niesłychane przynosił bogactwa. Potęgą ich tu niedługo jednak trwała; w końcu XVI wieku, gnusność i nieogłędność rządu portugalskiego, pozwoliła wyrwać sobie z rąk nieprzebrane źródło skarbów, czynniejszym i baczniejszym Niderlandczykom, którzy zawładnęli wszystkimi ich posiadłościami, i miejsce ich zajmując, monopol handlu indyjskiego na długo sobie przywłaszczyli.

Anglicy nie mogli na takie powodzenie śmiałych żeglarzy europejskich obojętnym patrzeć okiem. I oni wkrótce wraz z nimi sięgnęli po owe skarby tak łatwe. W roku jeszcze 1600, królowa Elżbieta udzieliła wspólnie kupców londyńskich przywilej na wyłączne prowadzenie handlu od przykładu Dobrej-Nadziei do ciąsniny Magelan. Wspólna niezadługo ogromnych nabierając rozmiarów, przeszła w korporacyę, przyjęła nazwę Kompanii Angielsko-Wschodnio-Indyjskiej, i nie zasympiając pola, w r. 1640, w skutek silnych zabiegów i niepróżnych usiłowań, ujrzała się panią kilku ważnych punktów na wybrzeżu Indyj, t. j. *Loratu* w Bengalu, i *Madras* na Koromandelu. Rząd angielski wynagradzając jej poniesione trudy, i na przyszłość chcąc dać zachętę, nadał jej prawo wojenne, i powierzył bez ograniczenia wymiar sprawiedliwości na ziemiach przez nią zajętych. Posiadłości kompanii prędko się zwiększały; Karol II, otrzymany za żoną w posagu Bombay, podarował jej na własność. W r. 1698 utworzyła się w Lon-

dyńie druga spółka kupiecka w celach przedsiębiorczych na Indyę; teraz obiedwie spółki się połączyły i przyjęły firmę *United East-India Company*. Przy zwiększonych tym sposobem środkach stowarzyszenia, postęp handlu i znaczenia kompanii szybkim szedł krokiem; podboje zwiększały posiadłości na szczęśliwej ziemi, a na obronę ich stanęła już warownia William; w 1707 r. pierwsze prezydentwo z całym zarządem uorganizowane zostało.

I Francuzom udało się zająć dla siebie niemało ziemi w tym kraju do którego chciwie garnęli się wszyscy; i oni już silną nogą stanęli w Pondiszery, grożąc dalekiem rozszerzeniem swej władzy. Niezmordowane i znakomite usiłowania *Dupleixa* spodziewać się nawet kazaly, że wyłącznie kiedyś przy Indjach się utrzymają. Wzajemna zawiść w współzawodnictwie rozżarzyła krewawą między Anglią i Francją wojnę w Indjach, która różnemi ciągnąc się kolejami, dopiero w r. 1763, pokojem paryzkim zakończoną została. Nie umiał lekceważący rząd francuzki ani ważności dla siebie Indyj ocenić, ani zyskanych już owoców, trudem i krwią najznakomitszych mężów, zachować; pokój paryzki odebrał mu całe południowe wybrzeże przed-gangesowego półwyspu, i w ręce mędrszych Anglików przeniósł.

Chytre ich i niezmordowane zabiegi, piękniejsze jeszcze miały wydać plony; nie z tej tylko strony szczęście im przyswiewało. Państwo Wgo Mogola coraz bardziej chyliło się ku upadkowi; z niezawisłymi, a rozdzielonymi nababami łatwa była sprawa; rozsiedli się też potężnie Anglicy nad dolnym Gangesem. Wiele ludów oderwało się od państwa Wgo Mogola i wybiło zpod władzy. Maratowie umniejszyli obszar jego znakomicie, Sykowie założyli państwo Mysory. Francuzi, chcąc korzystać z tych ruchów w walce współzawodnictwa z Anglikami, starali się wszelkimi siłami zjednać sobie wpływ u sultana Mysory w Dekanie, u Maratów w Hindostanie, i u Nisama Golkondy; w usiłowaniach tych niezaprzeczoną już napozór wyższość nad przeciwnikami straszne: gdyby nie dzielność i bystry umysł generalnego gubernatora *Warrena Hastings*, zginęliby byli Anglicy. On potrafił Maratów do przymierza z sobą nakłonić, a Tip-po-Saiba, sultana Mysory 1784 r. do pokoju

zmusić. Napróżno później upokorzony sultan zerwał się znów do wojny; przypłacił zuchwałości utratą tronu i życia, przy szturmie *Seringapatam* (1799). Teraz, po upadku jego, Anglia nie miała się już czego obawiać, połęga jej wzmożła się niepospolicie w siłę i wpływy, a kiedy mimo zwycięstwa oporu i Maraci uleść musieli 1818 roku, i poddać się zupełnie, władza centralna nad całą Indją przypadła jej na zawsze i bez zaprzeczenia.

Wojna z Birbanami wybuchła 1829 r. również szczęśliwie zakończyła się dla kompanii; zyskali Assam i ogromny obszar kraju na za-gangesowym półwyspie. W walce z Afganami musieli jednak odstąpić od zamiaru zagarnięcia ich kraju. Za powstaniem bowiem Afganów, powstało także i wielu innych koczujących indyjskich, pod władzą kompanii już stojących. Z tego powodu wynikła wojna z Maharadzą Sindyi, zakończona w r. 1843 zupełnem pokonaniem go. Beludźowie zmuszeni zostali do spokojności; państwo Emira Sindu, zniszczone bitwą pod Miani, i po zajęciu Hyderabadu, w prowincję angielską zamienione.

W r. 1845 Sykowie przeszli Sutledź i napadli nieprzygotowanych Anglików; w późniejszych jednak bitwach pokonani, sami prosili musieli o pokój, który stanął w Lahorze 1846 r.; warunkami zastrzeżonemi tym pokojem, niezawisłość Syków ostatecznie już prawie cios otrzymała; państwo ich rozdzielone zostało na dwie części, z których jedna oddana Gulab-Singowi stronnikowi Anglików, z tytułem Maharadży, jako zupełnemu wazalowi kompanii; drugiej zaś zarząd pozostawiony Maharadży Dhulip-Singowi, który się zobowiązał oznaczoną ilość wojska trzymać, przejścia Anglikom przez kraj swój nie wzbraniać, sądownictwo ich zwierzchnictwo w sporach z innymi uznawać, żadnego Amerykanina ani Europejczyka bez zezwolenia kompanii nie przyjmować do służby swej. Oprócz tego wszystkiego, kraj między Sutledź i Bear przeszedł na bezpośrednią własność kompanii. Wypadki wojny 1849 r. sprowadziły zupełne ujarznienie Syków i wcielenie ich państwa do posiadłości brytańskich.

Kapitał zakładowy kompanii Wschodnio-Indyjskiej wynosił pięć milionów funtów szterlingów. W roku 1834, kiedy przywilej nadany kompanii wyszedł jej, posiadała ona w gotówce, towarach niezbytich i innej własności 14,649,390 fun. szter.

kapitału. Rozchód na zarząd, na opłatę procentów posiadaczom papierów indyjskich, na zakłady rozmaite, na żołd dla wojska w Indjach konsystującego i t. d., wynosi w przecięciu rocznie 13 milionów funtów szterlingów. W latach 1834—36 r. kompania w przecięciu miała 14,450,514 fun. ster. dochodu, nie licząc w to summy 10,176,198 fun. ster., którą przez rok 1835 i 36, jako czysty zysk z handlowych czynności wyniosła. W roku 1843—44 dochód ogólny (brutto) kompanii wynosił 21,809,187, f. st. dochód zaś czysty (netto) 14,844,222, f. st, nie licząc w to zawsze zysków handlowych.

Siła zbrojna kompanii Wschodnio-Indyjskiej w r. 1839 składała się z 253,918 ludzi.

Wojska regularnego europejskiego (licząc w to wojsko królewskie) 35,590

Wojska regul. indyjskiego (seapoys) . 148,067

Wojska nieregularnego Europejskiego 832

Wojska nieregularnego z mieszkańców tamtejszych złożonego. 69,429

Marynarka w roku 1839 miała jedną fregatę, 10 mniejszych okrętów wojennych, 2 parostatki wojenne i kilka okrętów strażniczych.

GRUSZKA.

Gruszka należy do rodziny *różowatych*, w układzie przyrodzonym Dekandolla; do gromady zaś *kielichopretkowatej*, rzędu *pięciosłupkowego*, w układzie sztucznym Linneusza. Roślina ta oddawna stanowiła oddzielny rodzaj *Pyrus*; lecz Linneusz dołączył do niego jeszcze jabłoń i pigwę, uważając je, jedynie za gatunki tamtego. Nowsi jednak systematycy, pomimo nadzwyczajnego pokrewieństwa tych roślin, utworzyli z nich napowrót trzy osobne rodzaje t. j.: *Pyrus*, *Malus* i *Cydonia*. Następnie John Lindley w swojej doskonałej monografii plemienia *Jabłkowatych* (Pomaceae), trzymając się dawnego zdania Linneusza, złączył znowu te trzy rodzaje w jeden *Pyrus*, i wcielił doń jeszcze jarzębinę (*Sorbas*), która rzeczywiście nie różni się od tamtych żadnym ważniejszym charakterem. Najwłaściwiej jednak, zdaniem naszym, wypadałoby uważać jabłoń, pigwę i jarzębinę, nie jako proste gatunki rodzaju gruszki, lecz za jego podrodzaje.

Drzewa właściwych gruszek dosięgają niekiedy znacznej wysokości. Liście mają pojedyncze, naprzemianległe, całobrzegie lub ząbkowane, u nasady opatrzone dwoma przylistkami; kwiaty dość wielkie, na końcach gałązek w skrócone gronka zebrane. Kielich zroslistkowy, o brzegu odgiętym, pięciopłatkowym. Korona pięciopłatkowa,

różyczkowata. Pręciki liczne, wraz z płatkami na kielichu osadzone. Zawiązek owocowy 3—5 komórkowy, dolny, t. j. kielichem doń przyrośnięty; w każdej komórce zawiera po dwa zalążki nasienne. Szyszki długie, wąskie, każda znamieniem pojedynczym zakończona.

Gatunki tego typowego podrodzaju nieliczne. Oprócz gruszy zwyczajnej, o której niżej mówić będziemy, gdzieś tam w ogrodach naszych daje się widzieć *grusza wierzbołściowa* (*Pyrus salicifolia*) pochodząca z Syberii. Odnacza się ona liśćmi wązkiemi, lancetowatemi, spiczastemi, delikatnym siwym kutnerem pokrytymi. Hoduje się więcej dla osobliwości niż dla pożytku. W zeszłym roku nawet na wystawie kwiatów i owoców w Warszawie, roślina ta zwracała na siebie uwagę publiczności i łatwowiernych utwierdzała niejako w błędzie, że gruszki na wierzbie rosnąć mogą; zwłaszcza, że mała ta drzewina była gęsto pokryta owocem, a dowcipny ogrodnik napisał: „Na wierzbie gruszki“ zdawał się usuwać dla nich wszelką wątpliwość.

Grusza zwyczajna (*Pyrus communis*), dziko w lasach dość pospolita, lecz nierównie widoczniejsza na miedzach pól naszych, na których ją po wykarczowaniu lasów naumyślnie, dla ochrony pastwa i trzód zostawiono. Pień jej miewa cza-



Besi de Chomontelle
Gruska.

sami od 8 do 10 stóp obwodu. Liście długoogonkowe, owalne, przystępione, drobno ząbkowane, spodem włoskowate, lecz z wiekiem stają się zupełnie gładkie; lśniące kwiaty, na końcach zgrubiałych gałązek w skrócone grona ułożone, zwykle białe.

Owoc dzikiej gruszy drobny, a dla nadzwyczajnej cierpkości w smaku nader przykry, i zaledwie po długim ułożeniu się staje się znośniejszy i znany wtenczas pod nazwiskiem *ulegalek*.

Z tego to pierwotnego gatunku, przez wielowieczną w ogrodach naszych kulturę, potworzyło się tyle odmian i pododmian gruszek, szczególniejsz kształtem i smakiem owocu różnych, że i nazw ich spamiętać niepodobna. Główniejszych bowiem odmian liczą dziś przeszło 300. Przez pielęgnowanie, gruszki, jak i w ogóle rośliny, nabierają nierównie lepszych własności, niż posiadały w stanie dzikim; uszlachetniają się, że tak powiem. Tkanka komórkowata owocu czyli jego mięsniotylko że rozwija się lepij i powiększa swą objętość, lecz nadto wytwarza więcej pierwiastków cukrowych, od których właśnie dobre przymioty jego najwięcej zależą.

W tworzeniu się mięsowocnika gruszek daje się widzieć ta osobliwość, że się w nim kształci pewna ilość twardych osadów czyli grudek, szczególniejsz przy ich oczkach, fenomen, którego w jabłkach nigdy nie dostrzegamy. Pochodzi to od szczególniejsz materji, przez Turpin'a *sklerogenem* nazwanej, która osiada czasami w przestwo-

rach międzykomórkowych i związuje tkankę roślinną nakształt cementu. Im owoc gruszki więcj posiada takowych grudek, tém jest gorszy. Szczególniej zbyt suche lata, sprzyjają ich tworzeniu się.

Rzecz szczególna, że gruszki, których drzewo jest najmniej pozorne, wydają najlepsze i najdelikatniejsze owoce.

Wszystkie odmiany gruszek rozmnażać należy przez szczepienie lub oczkowanie. Z nasion bowiem każda wróci do pierwotnego dzikiego stanu. Dla zapobieżenia wymarzaniu, najlepij szczepić na dzikich krajowych; sprowadzone zaś drzewka z cieplejszego klimatu, a do tego częstokroć przez podstępnych ogrodników niemieckich forsowane, rzadko kiedy u nas się udają.

Gruszki spożywają się najczęściej surowe, lecz prócz tego robią się z nich wyborne komputy, konfitury, powidła, sery, gruszczenik, ocet i t. p. Do konserwowania w stanie naturalnym są nierównie trudniejsze od jabłek, gdyż prędzej podlegają fermentacji; dlatego najczęściej muszą być w tym celu przysuszone.

Zpomiedzy przeszło trzystu odmian gruszek, przedstawiliśmy na rycinie jedną z najokazalszych i zarazem najsmaczniejszych, znaną u ogrodników pod nazwiskiem *Besi de Chaumontel*, od miejsca, w którym po raz pierwszy tę odmianę otrzymano. Należy ona do grupy gruszek zimowych. U nas dotąd bardzo mało upowszechniona.

A.

WYPRAWY KAPITANA ROSS DO BIEGUNA PÓŁNOCNEGO.

Dzieje żeglugi i odkryć, wiele liczą imion sławnych, których ludzkość nigdy z wdzięcznością i podziwem wspominać nie przestanie. Zadziwiającej bo téż istotnie potrzeba siły ducha, potęgi umysłu i wytrwałości charakteru, żeby słabemu człowiekowi, przy wątłych jego środkach, puszcząć się na odmęty oceanów, w świat straszny, nieznan, na nieprzewidziane walki, z nieprzewidzianymi nieprzyjaciół, jakich znaleźć może w nie-

pokonanych żywiołach, niezbadanych tajemnicach natury i samém wspomnieniem przerażających zjawiskach. Cudowna to zaiste siła, o boskiej w człowieku świadcząca iskierce, co wybranym mężom każe uragać tym wszystkim niebezpieczeństwom, co daje im wiarę w siebie i z ofiarą życia pcha ich na ciemne losy, do kończyn człowieczej siedziby, dla przyniesienia braci swojej dokładniejszych wiadomości o ich dziedzinie, dla żywego roz-

promienienia światła nauki człowieka, którą on nad wszystkie twory króluje. — Sława i cześć tym mężom.

W ostatnim dziesiątku lat wieku naszego, sławę taką i cześć zjednał sobie John Ross, kapitan marynarki angielskiej, niezmordowaną wytrwałością w poszukiwaniach ponieznanych dotąd okolicach bieguna północnego.

Od dawnych już bardzo czasów, bo od dziewiątego ery naszej stulecia, silono się na wynalezienie przejazdu od północy na drugą półkulę ziemi; tym to usiłowaniami winniśmy wczesne odkrycie Islandyi i Grönlandyi, przez żeglarza Othervie w 970 r. Cały piętnasty i szesnasty wiek przedstawia szereg niezmordowanych i niezachwianych w zamiarze odkrycia nowej drogi do bogatych krajów Indyi, poszukiwaczy, z których wielu zaginęło bez pamięci i śladu w niezmierzonych obszarach lodów pokrywających niedostępny kraniec ziemi. Jedni ginęli smutną i okropną śmiercią, drudzy wracali z mniejszym lub większym łupem nabytych wiadomości o tej lodowej okolicy, ale nikt nie wrócił zadowolony, nikt się przedrzeć nie zdołał na ową pożądaną do Indyi drogę, co by tyle mozołów umniejszała, tyle handlowi europejskiemu, a mianowicie znaczeniu Anglii przyczyniła korzyści; nikt na ślad jej nawet nie wpadł, bo uporna i tajemnicza natura osaczyła się tu nieprzebytymi łańcuchami olbrzymich gór lodowych, obwarowała zawałami przepaściwych śniegów, jakby urągając dumnym i chciwym roszczeniom człowieka. Wytrwale jednak choć powolne nad nią zdobył się pana wszelkiego stworzenia coraz dalej torowały mu drogę, rozstwierając coraz obszerniejszą dla niesytego umysłu dziedzinę, na której imiona dzielnych i nieustraszonych mężów, zostawiając w nazwaniach rozmaitych nowopoznanych punktów ziemi i wody, ślady postępów ludzkich, niepożyte zarazem dla siebie stawiały pomniki. I cała ta droga, cały ten obszar lodowej krainy, leży dziś przed oczyma naszymi, poprzeczinany jakby stacyami, złodowiacami szkieletami śmiałych zapasników, co się z nią walczyć odważyli; znająca je od wieków ciała słynnych w dziejach odkryć: Frobister'a, Knight'a, Berlow'a, Vaughan'a, Seroggs'a, Cook'a, i wielu innych; i jakby otwarta karta dziejów, nazwami miejscowości swoich świadczy o coraz szczęśliwszych, świetnych

usiłowaniach i sławie Cabot'ów, Bafin'ów, Davis'ów, Bering'ów, Mackenzie, Kotzebue i tysięcy innych.

Anglicy, Duńczycy, Holendrzy i Rosyjanie składali się chwalebnie na te trudy i przygody, niosąc na wyszogi daninę skarbowi nauki i sławy, a dzieje niezliczonych ich mozołów i powolnych nabytków, zapelniają obszerne dzieła, których wypracowanie słynnymi w naukowym świecie uczyniło imiona: Purchass'a, Harriss'a, Churchill'a, Barrington'a i Borrow'a.

Po usiłowaniach Davisa i Baffina, które dla nauki najważniejsze przyniosły owoce, zostawało już tylko z początkiem 19go wieku, nie więcej jak 150 mil na zachód i 500 na wschód do rozpoznania, między przylądkami Gorry i Turnagain, żeby niezawodne już powzięte przekonanie, czy z jedną lub drugą stronę, można się będzie przedrzeć z oceanu Atlantyckiego na Spokojny. Rządy angielski i rosyjski, nie szczędząc kosztów, wysyłały wyprawy jedne za drugimi, to w tę, to w ową stronę; parlament angielski wyznaczył nawet znaczne nagrody dla okrętów, które najdalej się dostaną, dla żeglarzy, którzy dokładnie oznaczą położenie bieguna północnego. Jeografowie, znający ponieważ już te północne strefy z dawnych badań, obstawali koniecznie przy tém, że musi się znaleźć przejście na ocean Spokojny od zachodu, opierając się na tém, że lody czasami tają i rozstępują się unoszone prądami morza i że niegdyś groenlandzkie wybrzeże niedostępnie niemi było pokryte, a dziś, czy za zmianą klimatu, którąż zatem i wyżej na północ można się spodziewać, czy z innych powodów, stało się dla okrętów przystępne.

W takim stanie rzeczy r. 1818 powierzono kapitanowi Ross dowództwo naukowej wyprawy do bieguna, oddając mu pod władzę dwa okręty *Alexandra* i *Isabelle*. Po kilku-miesięcznej żegludze, wśród cięgłych walk i niebezpieczeństw, jakimi go gęste mgły i lody otaczały, dostawszy się do 74°, 30', gdzie odkrył Lancastersund i ciśnień Cumberland, zaledwie unosząc życie, powrócił kapitan z tych krain straszliwych do rodzinnej ziemi, w listopadzie t. r. Dokładny opis odkrytych przez siebie punktów, poczynionych spostrzeżeń i nabytych wiadomości, wydał Ross zaraz w następnym roku. Dla dopełnienia odkryć usku-

tecznionych przez śmiałego żeglarza, rząd angielski w r. 1819 wysłał porucznika Parry na taką wyprawę, dodając mu w pomoc obznajmionego już z miejscowością Rossa i poruczył mu dokładne zwiedzenie zatoki Baffińskiej. Trzykrotne Parrego podróże, jakkolwiek nie osiągnęły pożądanego skutku, zjednały mu jednak wyznaczoną przez parlament pierwszą nagrodę.

Ross tymczasem mniej szczęśliwy, choć zasłużniejszy od swego współzawodnika, jak to zwykle na świecie bywa, nie przestawał ani na chwilę przemysliwać o dalszych poszukiwaniach w krainach wiecznych lodów, które mimo tylu trudów i niebezpieczeństw wycierpianych, ciągle go do siebie wabiły. Nie mogąc w tym względzie wyrobić sobie u rządu pomocy, odwołał się do przyjaciół i zwolenników nauki, i w części za ich przyznaniem się, w części własnym kosztem, puścił się w podróż do bieguna, na okręcie *Wiktorya* 1829 r. w maju. Idąc za dawno już obmyślanym planem, po wytrzymaniu gwałtownej burzy, z powodu której okręt nawet musiał być naprawiany w Grönlandyi, przybył kapitan Ross 13 sierpnia do zatoki Fury, tak nazwanej od okrętu Parrego, który tam się rozbił. Trudno, niepodobna nawet opisać okropności tej podróży wśród samych lodów, rozmaitych wielkością, formą i barwami, a naokoło jak oko dosięgnie otaczających okręt, to obszarami płaszczyzn dalekich, to ogromem groźnie piętrzących się gór, których starcie się lub upadek w każdej chwili przyniesie i roztrzaskać mogły krucho statek. Jednostajny, przykry widok, urozmaicały tylko podróżnym złudzenia optyczne, skutkiem których te masy pływających kolosów lodu, wydawały im się zdala, to jakoby zaczerpnięte palce, przepychem światła, barw i budowy jaśniejące, to jakby szeregi przyjaznych współbraci okrętów, z rozwianymi pysznie żaglami ku nim dążące, to jako łód pożądaną z zielienicami brzegi, rozkosznymi lasy; bliżej, coraz bliżej, a to ta sama zinną, ponurą, nieurodzajną bryła, olbrzym zamarzły, co za łada wiatrem rozpęknie się, hukiem od najstraszniejszych gromów straszniejszym napelni powietrze, i w drobne rozprysnie się kawały, po których białe zgłodniałe niedźwiedzie pod sam okręt w wędrówkach swoich się zapuszczają.

KSIĘGA ŚWIATA.

Resztki zapasów i żywności na wybrzeżu zatoki Fury w śniegu szczelnie ukrytę, łatwo potrafił odszukać towarzyszący stryjowi swemu porucznik, słynny już dzisiaj James Clark Ross, gdyż znajdował się na nieszczęsnym okręcie, z którym tu morze tak niegościnnie się obeszło. Namiot nawet rozpięty, a w nim każdą rzecz na tém samém miejscu, jak ją przed kilku laty zostawił, zastał porucznik; tylko gdzieś tam ślady odwiedzin niedźwiedzi, lisów i myszy, porządek nieco popsuty. Zapasy i żywność zabrano na okręt, płynąc codzień dalej a dalej, wśród najprzekrętszych trudów i mokołów.

Pod 72° sz. półn. a 94° dług. zach. odkrył kapitan Ross kanał wielki, dotąd nieznanym i tu, nagromadzone masy lodów, ani na krok naprzód okrętowi posunąć się nie dawały; ku 96° odkrył również kapitan ład, i nazwał go *Boothia*, od nazwiska Felixa Booth, bogatego dystryllatora, który 17,000 fun. st. na tę wyprawę szlachetnie ofiarował. Wygodnie zaś przystani, którą na zimowisko tu wybrano, nadał miano portu *Feliksa*.

W czasie zimowania, zapoznano się przypadkiem z osadą Eskimosów, która tu w pobliżu się usadowiła, szukając dogodnego miejsca na polów psów morskich, bo tych mięso nawpół surowe, najlepiej im smakuje. Wielkato była rozkosz dla całej osady okrętowej, że w tej pustyni znalazły się postacie ludzkie, z którymi choć ani rozmawiać, ani mile przestawać nie mogli, zawsze jednakże w samym widoku ich, czerpali jakąś pociechę i rozrywkę. Eskimosowie koczują niezlicznymi oddziałami, polując ciągle na reny, bawoły, niedźwiedzie, lisy i łowią wszelkiego rodzaju ryby; charakter ich nader łagodny i miły, łatwo i prędko zbliżył ich ścisłą znajomością z okrętowym towarzystwem. Od stóp do głów w skóry i futra przyodziani, z pierwszego wejrzenia podobniejsi są do zwierząt, jak do ludzi. Porucznik Ross, z dawniejszych swoich podróży na północ Ameryki, nauczył się już był cokolwiek ich języka, co obecnie wiele posłużyło do powzięcia od nich dokładnych wiadomości o całej okolicy, którą za wskazówką ich i przewodnictwem, pilnie zwiedzano i przekonano się, że było stały ład Ameryki. Piesze te wyprawy w głąb kraju, niemają także przedstawiały niebezpieczeństw i trudności; zwykle wybierano się w dwóch lub trzech, i bra-

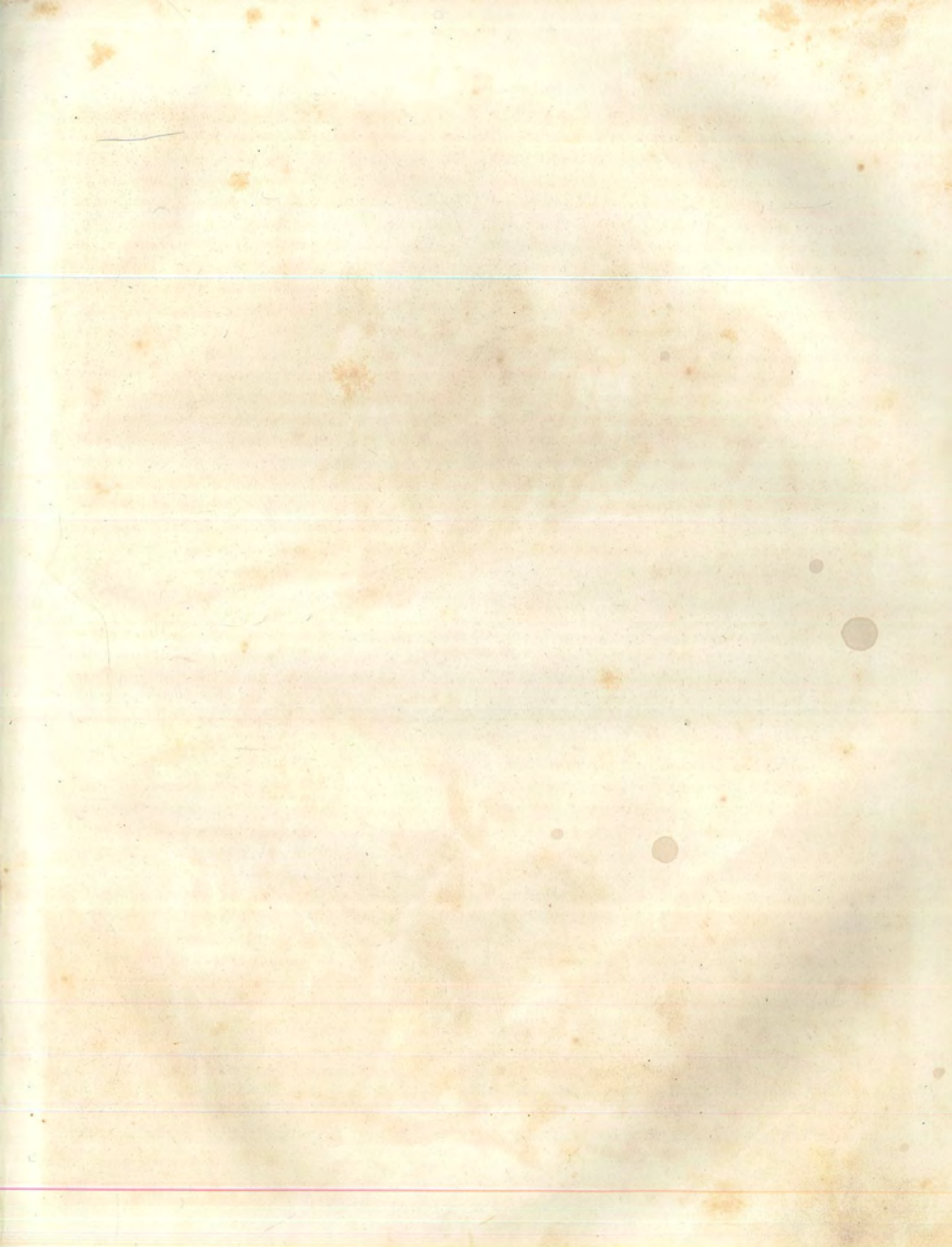
no z sobą kilku Eskimosów i kilkoro sani przez ich psy ciągnionych, a służących za skład żywności i bagaży. Cały ląd na kilka stóp wysoko pokryty ubitym śniegiem, w czasie zawiei i silnego wiatru, zdawał się w powietrze wzbijać i kołować; ani kroku postąpić wtedy niepodobna; kryć się potrzeba do chat Eskimosów, które oni ze śniegu z nadzwyczajną zręcznością w przeciągu pół godziny budują. Sąto sklepienie szczelnie budy, z śniegowych wielkich płytów składane, które Eskimosowie, śnieg wprzód dobrze ubiwszy, ostrymi narzędziami wykrawają, jedne na drugie pochyło ku górze składają, a szpary śniegiem zalepiają; w takiej budzie cała rodzina krajowców mieści się wygodnie, na wspólnym łóżu, z ubitego, skórami pokrytego śniegu, wczasu używając. Okno w sklepieniu stanowi szyba przezroczystego lodu, zręcznie w śnieg wprawiona. W takich to mieszkaniach strudzeni podróżni wypoczynku i osłony przed burzami śniegowymi szukać musieli, krzepiąc się wodą z roztąjącego sztucznie śniegu dobytą, bo wszelkie rozpalające trunki w zimnej tej strefie, nadzwyczaj szkodliwie na zdrowie działają, i z tego powodu użycia ich, kapitan Ross zupełnie zakazał.

Zima z 1830 na 31 rok, z bezprzykłądną srożyłą się ostrością; termometr Fahrenheita spadł na 92° pod zero, co odpowiada 55° Réaumur; mimo to, nieustraszony kapitan na chwilę nie tracił odwagi i wytrzymałości; ciągle odbywając pieszo podróże wśród takich mrozów, przekonał się najniezawodniej, że do 71° szer. półn. *nie masz żadnego przejścia*. Na wiosnę 1832 r. okazało się, że trzeba statek porzucić, gdyż skutkiem tak strasznej zimy, lody niesłychanej grubości w niepożyte zakątki go kleszcze, a żywności na bardzo już krótko zostało. Chcąc więc życie ratować, pieszo należało się dostać do zatoki Fury. Czterdzieści mil geograficznych w prostym kierunku od swego okrętu do zatoki tej, przebyli dzielni wędrownicy, po śniegu i chropawym lodzie, od 20 maja do 1 lipca, i przybyli do celu swego, wycieńczeni trudem, głodem i upadkiem na zdrowiu. Tutaj naprędce wystawiono chatę, a trzy łodzie okrętu Fury na brzeg wyrzucone, naprawiano jak najszybciej. Na tych łodziach chciał kapitan Ross zdążyć do ciąsniny Lancaster, nimby ją jeszcze okręty na połów wielorybów tam przybyłe, opuściły.

Pierwszego września, wędrownicy nasi dostali się na wyspę Leopolda, która, jak się teraz kapitan Ross przekonał, stanowi ostatni kraniec północnej Ameryki. Wszelkie usiłowania przedarcia się były bezskuteczne; chcąc życie ratować, wracać trzeba było do Furbay, dokąd po niesłychanych trudach zaledwie dostać się zdołali. Mieszkanie wystawione tu naprędce z żagli i masztów, wkrótce przy temperaturze 16° Réaumur zimna w lód się zamieniło; a trudy i cierpienia powiększał zupełny brak pościeli, odzieży i mięsnych pokarmów. Cierpień tych opisać niepodobna! 15 sierpnia dopiero zajaśniała słaba nadzieja podróży; 26 sierpnia zaledwie nieszczęsną gromadką zdołała się wydrzeć, jakby z najokropniejszego więzienia, z pośród lodowych zawałów, i miała się puścić na boską opiekę, w nędznej łodzi, szukając pewnej prawie śmierci, byle ująć niechybnej z głodu, w przyszłości; aż wreszcie zdaleka spostrzeżono coś podobnego kształtem do zbliżającego się okrętu. Cóżto była za radość! ale radość niepewna; po radości jakże straszny mógł nastąpić smutek! Większość wierzyć nie chciała, oczom swoim ufać nie śmiała; wszyscy przystali, że to musi być lodowa góra, zwykłym złudzeniem nadomiar nieszczęścia najgrawać się przychodząca ze strapiionych. Ale nie! to okręt, to okręt prawdziwy! zbawieni, ocaleni jesteście! dzielni, wierni służbie, wytrwali majtkowie! To *Izabella*, ten sam okręt, którym wasz kapitan dowodził w 1818 r. na tych samych morzach.

Skutki tej podróży są następujące: odkrycie zatoki Boothia; lądu stałego i przesmyku Boothia-Feliks, mnóstwa wysp, rzek i jezior, którym kapitan Ross od wszystkich swoich przyjaciół i krewnych, ponadawał nazwiska; niewątpliwe przeświadczenie, że północny kraniec Ameryki, sięga 74° półn. szer.; szacowne spostrzeżenia wszelkiego rodzaju, szczególnie o magnesie; a co najważniejsza dla naukowego świata, dla dumy Anglii i dla sławy Rossa, to, że on pierwszy na biegunie magnesowym zapisał imię swego monarchy, Wilhelma IV. Takie owoce przyniosły te straszne, niepojęte trudy, te niebezpieczeństwa, których uniknięcie, cała gromadka winna tylko bystrości i przytomności umysłu kapitana Ross.

Ale i to jeszcze nie wystarczy; trzeba prawdę do samej głębi zbadać. Cztery lata temu na tę samą





Podgrzybnia



Sena w Algierze

podróż puścił się kapitan Franklin, który dawniej lądową odbywał wyprawę na północ Ameryki. Jakie losy go spotkały, co się z nim, jego ludźmi i okrętem stało, — do dziś dnia nikt nie wie; to pewna, że żywności i na pół tego czasu z sobą nie miał. Kilka wypraw na odszukanie go wysłano; wszystko napróżno. Jeździł z polecenia rządu wspomniany tu porucznik James Ross, ale ani śladu nawet nie znalazł, choć na najdawniejsze brał się środki: puszczał lisy chwytane w łapki na

wolność, dając im mosiężne obroże, a na nich opis dokładny miejsca, gdzie pomoc nieszczęśliwych czeka; balony z mnóstwem kartek przyczepionych na wolno palącej się nici, puszczał w powietrze; dawał codziennie znaki rakietami; ale mimo tych usiłowań, bez żadnego skutku w 1849 r. powrócił. Nieszczęśliwa żona Franklina nie traci jeszcze nadziei, i własnym kosztem wysłała wyprawę na odszukanie męża; z Ameryki zaś łodem wyruszono na północ w tymże samym celu.

WĘDRÓWKI CHŁOPÓW ROSSYJSKICH.

Nie ma na świecie kraju, gdzieby prawdziwie użyć można rozkoszy dzielnej jazdy, jak na szeroko rozpostartych równinach Rosyi. Któż nie zna co to za rozkosz, co za poezja w dzielnej jeździe! Ale nie w tej wymuskaney przejażdżce, na sprężynowym siedzeniu elastycznego powozu, który wśród tumanów miejskiego kurzu, ciągną wyuczone trzymać się pięknie, prosto, wymanierowane konie, co za każdy wybryk wrodzonego życia, za każdą oznakę niewydukanego ognia, ciężką z ręki dumnego woźnicy odbierają nagane. Ja lubię jazdę szczerą, z całego serca! i dlatego na zawsze w pamięci mi zostanie wrażenie chwil upajających, kiedyś jak farys pędził szaloną trójką, saniami po szlakach przerywających niezmierzone stępy białych, śniegiem jak oponą obleczonych obszarów. Krepe, silne bieguny rwą śnieg kopytami, ziemi ledwie że dotykają, parskają z radości, rozweselone śmiało świecą okiem, nozdrzami chciwie chwytają powietrze, grzywy i ogony na wiatr rozpuściły, a sanie ciągnące szalonym pędem, cicho, gładko, jakby po powietrzu; tehu ci brakuje, zdaje się, że dusza z ciała, a ciało z tego świata, gdzieś w piekło, czy w niebo umyka. Powietrze łśni ci w oczach tysiącem drobniutek brylantków; sam niewiesz gdzie jesteś? czy żyjesz? i długobys nie wiedział, gdyby prostoduszny i jak ty upojony, lecz silniejszych nerwów woźnica, nie wyrwał cię z tego marzenia na

jawie, głosem przeciągłym i śpiewnym, przemawiając do koników z uradowania, wołając na nie po imieniu, bo każdy musi mieć imię; wykrzykując w uniesieniu: ach! ach! dalej Wanku! najdroższy mój miły gołąbku! ruszaj! ruszaj! Jak arab, tak i chłop rosyjski w koniu ma przyjaciele, powiernika, nieodstępnego towarzysza; tamten używa go wierchem, ten w zaprzęgu się nim posługuje. zawsze i wszędzie znajdując w nim wierną podporę swęj doli, przedmiot na który zlewa wielorakie objawy mieniących się uczuć swoich, gniewu, radości, tęsknoty i żalu; czuje się z nim zrośnięty niejako w kolejach życia, bo pojmując i wie, jak ważną część jego doczesnej chudoby ten konik stanowi.

Rossya, w ogóle, odznacza się posiadaniem pięknych bardzo koni, i wzorowym chowem przepysznych stad tak rządowych, jak i prywatnych; żaden jednak gatunek koni, tyle może ogółowi nie przynosi pożytku, tyle rzetelnej nie daje usługi, jak rasa prostych, wieśniaczych mierzynów, która umiejętnym ulepszona chowem, daje też godne podziwu piękności i doborem, dzielne i wytrwale rumaki w pociągach artyleryjskich i wojskowych. Począta rosyjska, której szybkość w przysłówie po całej Europie poszła, temi się tylko koniami posługuje: gdyż utrzymanie i posługa tej ważnej instytucji powierzona jest wyłącznie klasie wieśniaczej, odrębny niejako stan skła-

dającej, znaniej pod nazwą: *Jamszczyków*. Jamszczyki wyjeżdżają od obowiązku dawania rekrutów do wojska; wedle położonych stale zasad, osady ich, pod zwierzchnictwem *starszyny*, utrzymują na wyznaczonych stacyach pewną ilość koni, które za opłatą i określeniami formalnościami, obowiązani są dawać na usługi rządowe i prywatne. Jamszczyka życie całe w koniu tylko zawarte; od małego chłopaka, któremu strach bierze powierzyć się z trójką rwących się do biegu koni, do późnej starości, nie zna on innego zajęcia, inną rozkoszy, jak bujać co chwila ze świstem, śpiewką i wykrzykami w ustach, po niezmiernych przestrzeniach, olbrzymie państwo rozdzielających. Dwunastoletni młokos siada śmiało na przedni drążek kibitki, zwiesza nogi tuż przy ogonach rączek trójki, i z krótką pletnią w rękę, z wesołym krzykiem i ciągłą rozmową do swoich czworonogich towarzyszy, pędzi dzielnie, obrotnie i zwinnie, jak gdyby życie strawił na doskonaleniu się w trudnym kunszcie woźniczym.

Chłopek ruski, z natury do przemysłu pochozny, największe z koni swych ciągnie korzyści. Jeśli wyjedna sobie pozwolenie, puszcza się na daleką od rodzinnej strzechy wędrowkę, szukając w wspaniałych miastach, w kwitnących ruchem i przemysłem okolicach, polepszenia doli i zysku. Nieraz na lat kilka się wyprawia, o tysiące wiorst nawet, czyto do *mateczki Moskwy*, do której zawsze napojony poetycznymi jej obrazami wdycha, żeby raz ją choć w życiu zobaczyć; czy do wspaniałego Grodu Piotra, czy gdziebądź indziej, a tam przy pomocy konika swego, grosz jaki taki zebrawszy do kaletki, wraca utęszniony do rodzinnego gniazda. Na ulicach Petersburga tysiące naliczyć można, zimą zwałszcza, małych najemnych saneczek jednokonnych, których właściciele Bóg wie z jak dalekich okolic tu przybyli, żeby pracą swoją i małego konika, uciułać sobie zasobek karbowanów (rubli), które imby, za powrotem, przed swoimi poszczycić się mogli. Gdzie tylko otwiera się jakaś znaczniejsza robota, fabryka, tłumy takich wieśniaków, których cały majątek stanowi koni, wózek lub sanki, czapka i kozuch krótki na zimę, a koszula na lato, zjawiają się i gromadzą z najodдалszych gubernij rozległego mocarstwa. Jeśli fortuna niezbyt pomyślnie sprzyja im w jakim miejscu, przenoszą się w inne, o odległość nie troszcząc się by-

najmniej: bo póki nie zbiorą sobie jakiegś sumki, leniwo na swojej grzędzie siedzieć nie lubią, gdzie do utrzymania kawalka roli, pozostałe ręce krewniaków aż nadto wystarczają.

Dzięki temu wędrownemu duchowi chłopków ruskich, winniem może to, że w podróży mej, w zimie, w jednej z najgłębszych gubernij rossyjskich, nie złodowaciałem na śniegowym stepie, kilka mil się rozciągającym. Jechałem własnymi końmi, kiedy śród zawiei i najstraszniejszej śniegowicy, bijąc się zaledwie dostrzeżoną drogą po zwałach śniegu, jeden z trzech moich mierzynów, stąpawszy w dół, czy w rów, nogę sobie złamał i padając pociągnął za sobą sanki tak nieszcześnie, że bok, na który się zsunęły, zupełnie się zgruchotał. Do wsi najbliższej mil jeszcze było kilka, o pomocy rychłej ani myśląc. Nie pozostawało więc innej rady, jak piechotą po zasypianym śniegiem do kolan drodze, dostać się do pierwszej osady. Rzeczy bowiem na konie zabrać było niepodobna. Polecając się zatem opiece boskiej, zmierzchem już prawie, puszciliśmy się brnąc i narzekając na tę miłą wędrowkę, z niewymowną w sercu nadzieją, że gdziebądź zabłądzą, znużony padną, lub z przyjemnym towarzystwem wilków się spotkam. Uszedłem był już spory kawał drogi od moich sanek, kiedy daleko jak oko sięgnąć mogło, coś mi zaczerpnęło na białej przestrzeni; coraz bliżej, coraz bliżej instynktem już zgadywałem, że to jakaś ludzka dusza nadjeżdża; niezbyt długo męczyło mnie niecierpliwe oczekiwanie i niepewność; było chłopek na prostych saniach trójką czwalcującym ku mnie, którego głos i krzyki do żwawych biegunów zdaleka uszu moich dochodziły. Jakże uprzejmie powitałem go, kiedy się zbliżył, z jakim zajęciem, a zarazem i trwogą zapytałem dokąd jedzie. Na jutrzejczy odpust, odrzekł mi, do kościoła o kilka mil jeszcze odległego, żeby przed ołtarzem Zbawiciela postawić poświęconą świecę, na intencję szczęścia w przyszłym małżeństwie, na którym się dopiero co zaręczył. — „Poratuj mnie bracie, i dowiedz z poszwankowanym dobytkiem do najbliższej wioski.” — Nie mogę, spóźniłbym się na odpust.” „Bóg ci przyjmie miłej dobry uczynek za świątobliwą intencją.” „A kiedy tak baryn mówicie, a wy się na tych rzeczach lepij jak ja rozumiecie, to i pojadę z wami.” „Cóż żadasz za najem swoich koni?” „Ot dacie baryn na

wódkę, zagrzeję się w Kuryatowce, a potem jak świt śmignę, to i na odpust jeszcze zdążę, a wam niech Bóg da zdrowie." I tak, pocziwy ten chło-

pek z niemalęj wybałił mnie biędzy, i wspomnienie o sobie wdzięczne na zawsze mi pozostawił.

—ALGIER.

USTĘP Z WOJNY FRANCUSKIEJ.

Od czasu olbrzymich wojen Napoleona, po dziś dzień żadna wyprawa bojowa tyle nie zajęła umysłów, tyle nie obudziła ciekawości i tyle nie spowodowała następstw i wrażeń, co wyprawa Francuzów na Algier. Słynna ta wojna niosąc zagładę dawnej sławie mieszkańców i władców wybrzeża afrykańskiego, między Tunis i Marokiem, sławie postrachem każdego przejmującej żeglarsza, przyniosła zarazem wieniec chwały mężom, których imiona dziś z losami Francyi i jej historią związane.

Od dawnych też już czasów Europa odgrażała się na tę bandę dzikich rabusiów, pod naczelnictwem chciwego *Deya*, trapiących niemilosiernie handel europejski, łupiących bezkarnie przejeżdżające okręta, w ciężkiej i haniebnej niewoli dręczących naszych współbraci, i z okupu ich swobody tworzących sobie handel i dochód wspólny. Doszło do tego, że monarchowie europejscy, żeby uwolnić się od niszczących napadów tych nieubłaganych i niepokonanych piratów, deyowi ich bogate co rok slali podarki, jakby dobrowolnie uznając się za obowiązanych do tego haraczu, i przekładając zniewagę pozornego holdownictwa, nad nieprzeliczone straty, na jakie łupieństwo tych plemion kraj ich narażało. Karol V. jeszcze chciał położyć koniec ich zuchwałości, ale złe obmyślana wyprawa jego 1541 r. nie przyniosła pożądanego skutku, i całym jej owocem było to, że Hiszpanie do r. 1708 utrzymali się przy posiadaniu portu *Oran*. W XVII wieku zawierano zupełne traktaty z rządem algijskim, a i te niewiele przynosiły pewności i zabezpieczenia od napadów. Ludwik XIV. do ostatniego znecierpliwiony takim stanem rzeczy, wysłał admirała *Duguësne* polecą-

jąc mu upokorzyć raz na zawsze niesfornych napaśników. *Duguësne* zbombardował stolicę ich Algier, roku 1682, wszystko to jednak na mało się przydało, mimo niesłychanych kosztów; jakie wyprawa za sobą pociągnęła, i skończyło się na sztydereczem oświadczeniu dumnego deya, że za połowę tych pieniędzy, które król francuzki wydał na wojnę, chętnieby sam był w perzynę stolicę swoje obrócił i oszczędził mu tyle trosk i trudów. Dziewiętnastemu dopiero wiekowi przeznaczono było ujrzeć Algier zamieniony na kolonię francuzką.

Po klęskach zadanych deyowi wojowniczych plemion téj krainy, w r. 1815 przez eskadrę Stanów Zjednoczonych, pod dowództwem kommodora *Decatur*, a w rok później przez połączone floty holenderską i angielską, pod komendą lorda *Exmouth*, rząd francuzki za Karola X, biorąc za powód zniewagę wyrządzoną konsulowi swemu, którego niegrzeczny dey, w gniewie, pozwolił sobie uderzyć bez ceremonii oganiaczką od much, wyprawił w r. 1830 z Tulonu admirała *Duperrey* z 30,000 wojska, i nie bacząc już ani na pośrednictwo Turcyi, ani na ciężar 56 milionów przybywający do budżetu, uporną wojną zmusił krnąbrne plemię do posłuszeństwa i poddania się Francyi.

Tak tedy, wybrzeże to północnej Afryki, ciągnące się wzdłuż morza stumilowym pasem, szerokością stóp Atlasu sięgającym (15 mil) stanowiące niegdyś część Numidy i Maurytanii, zawojowanych przez Rzymian, później zajmowane przez Wandalów i Saracenów, od XVI wieku zaś dające przytułek hordom najstraszniejszych rozbójni-

ków morskich, pod tytułarném zwierzchnictwem Turcyi zostających, po rozmaitych losu kolejach, przeszło dziś na prowincję narodu cywilizowanego, którego własny interes zapewnia tym stronom rychłe rozprzestrzenienie oświaty, i wywołanie na jaw bogactw od natury nieskąpo udzielonych. Dwumilionowa ludność z kocujących pokoleń Beduinów i Kabyliów złożona, z plemieniem Turków i Arabów zmieszana, rozdziela się na trzy główne prowincyje: Oranu, Titteri i Konstantyny. Miasto Algier, stolica całego kraju i siedzisko zarządu francuzkiego, ma port obszerny i dogodny, cytadelę silną, kilka pięknych meczetów, łaźnie publiczne, bazyry, kościół katolicki, zakłady naukowe i przemysłowe, których liczba codziennie się powiększa. W r. 1833 liczyło 25,000 mieszkańców, a między tymi 6,000 Europejczyków, 5,000 żydów i 2,000 czarnych Beduinów i Berberów. Po całym kraju leżą porozrzucane szczątki dawniej świętności, w gruzach przepysznych świątyń, pałaców i gmachów z czasów Rzymian jeszcze pozostałych. Ziemia urodzajna i w południowe plody bogata, obiecuje w przyszłości skarby dla swych władców, którzy na nią kiedyś znajdą może spichrz dla przepelniającej się u siebie ludności. Za Rzymian kraj ten stanowił jedną z najbogatszych i najżyźniejszych prowincyj imperyi. Oran, Konstantyna, Tlemcen, Blidah i Mediah, stolica okręgu Titteri, stanowią najważniejsze po Algierze miasta, do który chodzą więcej osadników z Europy przybywa. Ogólna liczba przybyszów europejskich, przechodzi obecnie 100,000 ludzi, i przy usiłowaniu rządu francuzkiego, spodziewać się należy, iż wkrótce znacznie się powiększy.

Znane są mniej więcej koleje wojny bezustannie prawie przez Francuzów prowadzonej tu, od roku 1830, z nieugiętymi plemionami, które niepokoją napadami posiadłości zdobywców; znany opór fanatyczny Abd-el-Kadera. Wielu wodzów zmieniło się od pierwszego Bourmont'a, wielu dzielnych wojowników nabyło tu niezatartą sławę, wiele krwi francuzkiej przelało się w szeregach dzielnych Spahów i Zuawów, a jeszcze pożądana spokojność i bezpieczeństwo w kraju tym nie daly się ustalić, i długo może na siebie oczekiwać każą. Pamiętne na zawsze miasta Mostaganem, Konstantyny, Isly, Zaacna, stanowią heroiczne usteępy w dziejach tej wyprawy, bogatęj w dziwne przygody

i zdarzenia, godne pióra dzie opisa, coby zrozumiał i należycie oddać potrafił fanatyczne męstwo dzikich plemion, w walce z siłą cywilizowanego narodu. Podajemy tu krótki opis ciekawego usteępu tej wojny, skreslony ręką nacoznego świadka, który dać może lekkie wyobrażenie o charakterze i naturze tych ludów, tak trudnych do pobratania się z naszą oświatą i obyczajami.

Skwar południowy dopiekał nieznosić; puste były ulice Algieru, cała ludność schroniła się do domów, aby w chłodzie przedzierać godzinę upału. W pięknym kijosku, wśród ogrodów poza miastem, kilku oficerów francuzkich wypoczywało wygodnie na rozesłanych dywanach i safianowych poduszkach. Cichy i jednostajny szmer bijącej wpośrodku fontanny, miły chłód kijosku, balsamiczna woń róż i jaśminów, do łagodnego snu rozdrażnione zmysły skłaniały. Ale Francuz nie może długo uleżeć spokojnie. To ten, to ów podnosił głowę, i kłął w duchu, że nie ma z kim zawrzeć rozmowy. Nie mogąc dłużej doleżeć, zerwał się wreszcie młody porucznik, dobył z kieszeni fajkę i zapalił.

— Nie śpisz Etienne? zapytał leżący obok oficer, chwala Bogu! i ja też sobie fajeczkę zapalę. To strasznie po niemiecku, trzy lub cztery godziny we dnie przechrapać.

— Po takim skwarze, to tylko psy i Francuzi po dworze się włóczą, mówią Maurowie—odezwał się trzeci, którego wymowa wyraźnie Niemca zdradzała.

Po kilku wzajemnych przycinkach i dowcipach, rozmowa zesza na przyczynę, która spowodować mogła spokojnego Niemca do opuszczenia rodzinnego kraju, i zaciągnięcia się w szeregi armii algierskiej. Zapytany o to przez kolegów młody cudzoziemiec, taką dał odpowiedź:

— Roztrzebanie i nierozwaga, a przytęm inne nalogi, od których tutaj odzwyczaić się pragnę, zmusily mię do przybycia w te strony. Uczyłem się to niby teologii na uniwersytecie w Tybindze. Zawód ten wymaga dokładnej znajomości świata i ludzi; dlatego też starałem się bywać we wszelkich towarzystwach; a przedewszystkiem nie opuszczałem ani jednej zabawy studenckiej, gdzie człowiek najmniej potrzebuje sobie robić przymusu. W piątém półroczu mego kursu, odebrałem

od opiekuna urzędową wiadomość, że po opłaceniu długów, nie mi prawie nie pozostaje majątku. Postanowiłem więc porządniejsze prowadzić życie, i chwyciłem się gorliwie mojej teologii; ale niestety! dawne nawyki przemogły, i wkrótce oddalono mię za długi z uniwersytetu. Obrążony słusznie tą zniewagą, ruszyłem prosto do Algieru, i teraz ciekaw tylko jestem, kto na moje miejsce prałatem zostanie.

— No, podobą ci się u nas, nieprawdaż? zapytał go Etienne.

— Tak sobie, dosyć; tylko szkoda, że tu piwa niema?

Wtém zbliżył się do mówiącego znacznie już starszy, chudy mężczyzna, w mundurze kapitana, a podając mu otwartą szyldkretową tabakierkę, w której było kilkanaście szarych kulek wielkości gróchu.

— Może pozwolisz? zapytał.

Niemiec spojrzał z niedowierzaniem.

— A co to jest? zawołał.

— Haszisz, najwyborniejszy narkotyk pod słońcem.

— Precz szatanie! zawołał odskakując ex-teolog, i przez nieostrożność wytrącił kapitanowi tabakierkę z ręki. Zmarszczyło się surowo szeroką bliźną naznaczone czoło kapitana; ale Niemiec schylił się pędkiem, pozbierał rozsypane galki, a oddając je właścicielowi, przeprosząc, rzekł, kapitanie za moje nieuwagę. Skosztowałbym twój narkotyk, ale o północy mam wyruszyć na razia z moją baterią, więc nie wiem czyby to było bezpiecznie?

— A to co innego, w takim razie sam ci nie radzę, odpowię udobruchany już kapitan. Jak wrócisz cały, chętnie ci nim służyć będę.

— Ot, lepiej przepijmy się jeszcze trochę, odezwał się porucznik Etienne, bo przez cały tydzień nie będziemy pewno mieli tak wygodnego posłania. Moje strzelcy także pójda.

— I moje z nami idą, dodał Maurice. Pokolenie Beni-Hissan niepokoi znowu osadników Metidży; warto mu dobrze uszu natrzeć. A ty kapitanie, czy idziesz z nami? Ja mam zająć przykład Matiforo. Ale wątpię bardzo, żeby się tylko na samą razia skończyło; będzie to formalna wyprawa. Dużo, dużo straciliśmy na tém, że te przeklęte upały od pierwszych dni czerwca, aż dotąd trzymały nas w nieczynności. Na wiosnę, pobiliśmy kilka razy

Abd-el-Kadera; słabe jego siły nie śmiały się już mierzyć z naszymi; większa część pokoleń dotąd mu wiernych, chwiał się już zaczęła; a teraz wszystkie te straty powetował.

— Nie tak bardzo, odrzekł Etienne; przy 36 stopniach gorąca w cieniu, i Emir niewiele mógł dokazać. To już i dla Maurów za nadto.

— Przyszysz jednak kolego, odezwał się artylerzysta Müller, że nie siedział z założenymi rękami. Jawne tego mamy dowody. Ileżto rodzin arabskich wyniosło się w góry, a żywność z za morza sprowadzać teraz musimy, bo prawie żaden Maur na targ nie przyjeżdża. A te nocne pożogi stogów siana, krzaków i łak całych! Wprawdzie sąto drobności; dośń na to dwustu winnych jeźdźców, ale nie dają nam spać spokojnie, i niemających nabawiają kłopotów.

— Masz słusność, rzekł porucznik Maurice; a nasza kolonizacja jakichże to przeszkód znowu doznaje! Krzyczą o to na gubernatora, na niego wszystko zle zwałają; lubo prawda może, że on za mało opiekuje się osadnikami.

— A niech ich tam czart ma w swojej opiece, zawołał z gniewem Etienne. Wszystko im za mało, wiecznie utyskują. Oni myślą, że byle się tu przywlekli z paryżskiego bruku, z próżnemi kieszeniami, to już wszystko na ich usługi być powinno; a kiedy dobosz pobudkę zabębni, zaraz idą na skargę do mera, że im sen przerywają.

Nadejście służbowego z rozkazem od pułkownika Changarnier, przerwało dalszą rozmowę. Kapitan Regnaud, do którego był ten rozkaz, natychmiast się oddalił. Korsykanin, który długi czas żyjąc między Arabami, nauczył się dobrze ich języka, potrafił teraz przedrzeć się przez snujące się ich tłumy, i przyniósł wiadomość, że Milianah i Medeah, od których już dawno odcięci byli Francuzi, coraz bardziej naciskane, w wielkiem znajdując się niebezpieczeństwie.—Skończył się więc południowy spoczynek.

Nazajutrz spotykamy naszych znajomych, ciągnących przez piękny i żyzny kraj, ku Milianie. Już wcześniej wyruszył pierwszy oddział z Szerszel, niedługo rzymskiego miasta Julia Cesarea. Bateria na wielbłądach, którą dowodził Niemiec Müller, miała rozkaz połączyć się z tym oddziałem, i dlatego sporym idąc kłusem, wyprzedziła piechotę. Długie szyje dział błyszczały na garbach

niezgrabnych okrętów pustyni. Niebezpieczna to broń dla zwinnych Beduinów; zdaleka ich dosięga, a dotąd nie podobnego wystawić przeciwko nię nie umieją. W przejeździe, powitał Müller porucznika Etienne, który obłany potem, kurzem okryty, i pragnieniem dręczony, siedł na czele swego oddziału. Przebyli już osiadł i uprawną część równiny Metidży. Okolica była coraz dziksza; małe stopy kamieni, w pewnej odległości poukładane, wskazywały drogę. Z szarą, spieczoną ziemi, za każdym krokiem wznosiły się tumany pyłu i powiększały przykrość pochodu. W dawnych karthaginijskich i rzymskich czasach, inną miały postać te smutne dzisiaj obszary. Wśród czarujących ogrodów wznosiły się tu piękne pałace i gęste rolników osady. Tłusta i żyzna ziemia, mnóstwem kanałów poprzerywana, bujnie rodziła zboża; a dziś o jej płodności świadczyły tylko olbrzymie chwasty i ciernie.

Nagle głęboki i spadzisty wąwóz ukazał się idącym. Krzewy oleandru gęsto go zarastające, oznajmiały, że w bliskości znajdował się strumień, w którym sączyło się trochę ciepłej i mętnej wody, pozostałej resztki z szumiącego i bystrego na wiosnę potoku. Ale zawsze było to woda, i upragnione miejsce spoczynku: rozśladli się więc ponure twarze żołnierzy. Chociaż nie było powodu obawiać się niespodziewanego napadu, po obu jednak brzegach wąwozu czujne porostawiano czaty, i po dopełnieniu dopiero wszelkich wojennych i dyetetycznych ostrożności, pozwolono żołnierzom zbliżyć się do wody.

Słońce ku zachodowi się chyliło, a głuchy przed chwilą wąwóz, हुआल teraz gwarem francuskiego obozu. Porozwijano namioty, by się zabezpieczyć od szkodliwej rosy pustyni; żołnierze w malowniczych gromadkach tu i owdzie rozsypani, czyścili broń i mundury. Nad dużym ogniskiem, na trzech utkwionych w ziemię a w górze związanych żerdziach, wisiał kocioł, w którym się gotowała wierzchnia. Koło niego z dużą blaszaną łyżką, uwijał się Sans-depit, wesół Gaskończyk, kucharz całego oddziału. Wkręcał kilka cebul do wrzącego ryżu, a kosztując potrawy przypiewywał sobie:

Reine du monde, o France, o ma patrie!

Nareszcie zdjęto kocioł, a siwy weteran, cały potem obłany, z wielką ścisłością każdemu równą porcję wydzielał. Śmiejąc się i żartując, zjadali

smacznie żołnierze, a po tej skromnej wieszce, raczyli się dobrą wódeczką, której sporą baryłkę, wlokącą się za nimi na osle markietanka przywiozła. A potem każdy dobył krótkiej fajeczki, i kiedy wszystkie dymem zakurzyły, wesoła zaczęła się rozmowa, i dowcipne snuły się dokoła żarty. W godzinę później wszyscy już spali, i tylko od czasu do czasu ciszę pustyni przerywały jednostajne wołania straży, i przeciągłe, niemile wycia krążących zdaleka szakali. Nazajutrz pochód jeszcze był uciążliwszy. Arabowie już się ukazywać zaczęli. Z początku pojedynczo tylko, na wzgórkach, śledząc bystrym wzrokiem liczbę Francuzów, i kierunek ich drogi; potem coraz gęściej się snuli, podjeżdżając nieraz na strzał karabinowy, dawali ognia z długich janczarek i znowu pędem wiatru znikali. W każdym krzaku, za każdym stosem kamieni, trzeba się było spodziewać zasadzki. Strzały ich wprawdzie niewiele szkody Francuzom czyniły; musieli jednak ciągle w ściśniętych postępować szeregach, co przy takim upale, jeszcze ich bardziej trudiło.

Okolica, która teraz przebywali, była górzysta; spadające z wysoka potoki, orzeźwiali spragnionych, ale głębokie ich i gęsto zarosłe koryta, służyły za wyborne kryjówki Arabom, i niejednego z pijących zdradziecka kula na ziemię powaliła. Na lekkiej pochyłości góry nareszcie, wśród pięknych ogrodów, koroną zielonych drzew uwieńczona, ukazała się Milianah. Dokoła, jak oko zasięgnie urodzajna, rozciągała się równina, licznymi strumieniami ożywiona. Czerwone dachy miasta, tak odmienne od rażących białości tarasów Algieru, przypominały Francuzom daleką ojczyznę. Poprzedniego dnia pułkownik Duvivier w paręset ludzi potrafił przedrzeć się do ściśniętego przez Arabów miasta, i wzmocnić w niem załogę. Nadiągająca świeżo piechota, miała się z nim połączyć; ale nie mało jeszcze straciła ludzi, zanim zdolała wejść do miasta, gdzie ją radosne towarzyszyów powitały okrzyki.

Gorąco pragnęli długim pochodem znużeni żołnierze, by choć przez dni kilka odpocząć tu mogli. Naszych znajomych spotykamy znowu, ogłędających wspaniałe zwaliska starożytniej rzymskiej Maniany. Z cierni i gęstych zarosli wyglądały granitowe i marmurowe słupy, kapitele piękna rzeźbą ozdobne, całe szeregi potrzaskanych ko-

lumn, leżą pod gruzami pałaców, które niegdyś zdobyli. Müller z niemiecką gruntownością opowiadał towarzyszom o dawniej świetności tego miasta i tej całej krainy, którą trzęsienia ziemi i dzikość barbarzyńców do dzisiejszego przywiodły upadku. Maniana była niegdyś srodkiem posiadłości rzymskich w Afryce. Zdobyli ją wspaniałe świątynie; bogaci patrycyusze mieli tutaj pyszne pałace; tu pogrzebion był syn wielkiego Pompejusza. „Dobrze to wszystko,” przerwał mu porucznik Maurice, „ale *dzisiaj!* śmieszna to chępliwość naszych topografów, że tę gromadę nędznych bud, miastem nazywają.” „Bo proszę, co mi to za miasto, gdzie nie masz ani kawiarni, ani restauracyi, ani sali balowej, ani teatru!” — dodał Etienne — „które Francuzi wszędzie najprędżej budują”.

— Ale za to jaka wyborna cytadella — odezwał się kapitan Regnaud. — Przypatrzcie się tylko, panowie, jak nasze działa nad tą całą płaszczyzną, nad temi rzymskimi zwaliskami panują.

— A ów pałacyk maurytański na wzgórzu, — przydał Etienne, jakż to ważny punkt strategiczny; ztamtąd doskonale bronićby można miasta.

— Bardzo trafna twoja uwaga, poruczniku — odezwał się na to wysoki, poważny męczennik, z twarzą surową i wyrazistą, który niepostrzeżony zbliżył się z tyłu do rozmawiających. — Te mury jak najprędzej umocnić i obwarować potrzeba. — Przywitał ich lekkim skinieniem głowy, i poszedł dalej wolnym krokiem. Byłto pułkownik Cavaignac.

Niepomyślne wiadomości, jakie z dalszych ku górom Atlasu odebrano stanowisk, i plan jesiennej wyprawy wymagały zgromadzenia znacznych zapasów żywności i ammunicyi w Bliдах, gdzie Changarnier miał dowództwo, i w Medeah, gdzie dowodził Cavaignac. Dostawa nadspodziewanie szła szczęśliwie; zdawało się, że zasnął czujny i niezmordowany Emir; ani jednego Beduina widać nie było. Aż nareszcie ostatni transport, w którym 400 wołów prowadzono, został zabrany. Potem zniknął znówu nieprzyjacieli, a wojna ograniczyła się na samych podjazdach, rabunkach i pojedynczych mordach. Niedługo jednak przyszła wiadomość, że brat Abd-el-Kadera, w 1800 jazdy wpadł do prowincyi Konstantyny, i pokolenia do świętej wzywa wojny; że pod Setif sokołczył z Francuzami bitwę, której wypadek bardzo był dla nich wątpli-

wy. Zarozumiali i chępliwi Francuzi byli pewni, że groźne ich przygotowania do jesienniej wyprawy tak przestraszyły Emira, że się już pokazać nie ośmieli. Ale omylili się bardzo. On tylko czekał na spodziewanego sprzymierzeńca, na zarazę. Ulewy, jakie w jesienniej porze nastają, a po nich znówu wielkie upały, dobywają z zasłanej gruzami ziemi zjadliwe wyziewy, które się i w innych, zwaliskami otoczonych miastach, np. w Rzymie, w późnej jesieni objawiają, lubo nie tak silnie. Wkrótce przepelnili się lazarety, chorych przybywało coraz więcej, a nie było ich gdzie mieścić. Każdy transport z żywnością i ammunicyą przybywający, odjeżdżając, zabierał z sobą chorych żołnierzy, ilu ich tylko mogło się pomieścić na wozach. Teraz dopiero ukazały się nagle gęste tłumy Beduinów. Transporta już nie dochodziły: przy każdym musiano oddział wojska posyłać. Już pojedynczo żaden Francuz nigdzie pokazać się nie mógł, a z stojących na straży, rzadko którego oszczędziła kula. Wkrótce, pułkownik Cavaignac ujrzał się w konieczności opuścić dalsze stanowiska, i zamknąć się w samem mieście z garstką wycieńczonych lub świeżo ze szpitala wyszłych żołnierzy. Zdrowym oddano obronę starożytnej cytadeli i świeżo uzbrojonego Maurytańskiego pałacyku. Te dwa miejsca były najważniejsze; spodziewać się więc należało, że o nie najwięcej będzie się kusił nieprzyjacieli. Domyslał się Francuzi, że przykre ich położenie nietajne było Beduinom. Domysły te potwierdziły się wkrótce; bo dowiedziano się przez śpiewów, że Beduini chcąc korzystać z swej przewagi, wszystkich Francuzów w pień wyciąć postanowili. Świeże powodzenia coraz zuchwalszym czyniły nieprzyjaciela. Co chwila spodziewano się napadu. Największy porządek, czujność i karność panowały w obozie francuzkim; Arabowie ufali w swoje liczbę, Francuzi w odwagę, wytrwałość i wojenną biegłość. Strach jednak wszystkich ogarniał.

Dziesiątego października 1834 roku, więcej niż 6,000 arabskiej jazdy uderzyło na 3,000 Francuzów, z których dwie trzecie części było chorych, lub dopiero co z choroby powstali. Siły Arabów składały się z najzaciętszych i najbardziej wojowniczych plemion z okolic gór Atlasu. Ze straszynem „okrzykiem Allah! rzucili się najprzód na Maurytański pałacyk, który, jak mądrze uważał

biegły ich dowódzca, przedewszystkiem zdobyć było potrzeba, chcąc sobie utorować drogę do cyta-
tadeli i oszcancowanego miasta. Porucznik Etienne w 250 strzelców pieszych bronił tego stanowiska. W całym pędzie koni dotarliśmy do szan-
cowa. Wyszli i cofnęli się znowu szybko dla nabijania. Kilkakrotnie to powtarzali. Za każdym razem przyjmowali ich Francuzi dobrze kierowanym karabinowym ogniem, i kartaczami z małego działka potężnie ich razili. Wzmagała się wściekłość arabów bezskutecznością napadów i poniesionymi stratami. Przekonali się nareszcie, że bez piechoty niczego nie dokazą. Raz jeszcze nowy oddział, pod dowództwem pięknego i bogato przystrojonego młodziana, z dziką zapamiętałością natarł na szan-
cowa francuzkie; ale z większą jeszcze niż poprzednie stratą cofnąć się musiał. Połowa ludzi spadała z koni, a między nimi śmiały ów dowódzca. Spostrzegł to natychmiast szeik, który z oddalenia całym szturmem kierował. Ostremi strzemi-
nami ścisnąwszy dzielnego rumaka, przypadł tuż pod sam szan-
cowa. Biały burnus malowniczo okrywał męską, dorodną jego postawę, ogień strasliwej zemsty iskrzył się w czarnem oku; dwieście strzelb w piersi mu godziło; a on ich jakby nie widział, śmiało i dzielnie naprzód sunął. Mimo-
wolnemu uszanowaniu przejęci Francuzi, broń do nogi spuścili, a dziki szeik wstrząsając bogatą strzelbą, którą w prawem rękę trzymał, a lewą wzniosłszy ku niebu, groźnym zawołał głosem: „Niewierni! zamordowaliście dumę pokolenia Bu-Sumata, o! bogdaj Allah srogo was za tę zbrodnię ukarał!”

Sans-depit, w pierwszym stojącym szeregu, nie podzielał wrażenia, jakie ten widok na patrzących wywarł. Z zimną krwią złożył broń do celu, sięgnął cyngiel i ugodził w same piersi konia, na którym siedział szeik, bo szło mu o to, by żywcem schwycić tak ważnego jeńca. Śmiertelnie rani-
ony rumak dał dęba, padł w znak, i całym ciężarem swoim jeńca przywalił. Poskoceżył natychmiast Gaskończyk, silnie z tyłu pochwycił przyciśnię-
tego szeika, i powlókł go za szan-
cowa.

Straciwszy dwóch najlepszych wodzów, cofnęli się Arabowie.

Teraz dopiero spocząć mogli Francuzi, i opa-
trzyć krwawe blizny, które blisko połowa ich otrzymała.

Porucznik Etienne zadał kilka pytań swemu jeńcowi, ale ten dziko wzrok utkwivszy w ziemię, milczał upornie. Żadnego posiłku nie przyjmował, napił się tylko wody, którą mu podano. Sans-depit przyniósł mu fajkę, i tę przyjął, nie mogąc się oprzeć nawyknięciu. Powolnie wypuszczał z ust gęste kłęby dymu. Strasliwa dzikość zaczęła znikać z ogorzałej twarzy, a miejsce jej głęboka boleść zajmowała. Już późno wieczór zażądał mówić z porucznikiem. „Gdzie jest ciało mego brata?” zapytał. „Złożono je w piwnicy tu pod domem, wraz z innymi poległymi,”—odpowiedział mu łagodnie Etienne. „Co żądasz za wydanie go?” „Nie; niech tylko pokolenie po nie przysle, a natychmiast wydać je każę.” Szeik z niedowierzaniem patrzył się na niego.

— „Ty nas nie znasz, emirze, mówił dalej porucznik. Straciłszy srogiego de-
ja Algieru, który was gnębił i obdzierał, bo nas niegodnie obraził i zdradziecko zaczął. Dokola leży żyźna a nieuprawna ziemia; dlaczegoż nie pozwalacie nam spokojnie obok siebie mieszkać? My z wami wojny prowadzić nie chcemy!”— „Wasz Bóg nie jest naszym!”—odpowiedział szeik. „Jeden jest tylko Bóg! tak mówi biblia i alkoran. My w Mahomecie widzimy wielkiego człowieka, który oświecił i uszczęśliwił miliony, a nasz Issa i dla was jest świętym. Obaj nauczali, że Boga czcić i kochać nadewszystko trzeba, a w każdym bliźnim widzieć brata.”

Niewolnik ma i ręce i usta skrupowane; nie mogą ci odpowiedzieć co myślę.

— Będziesz wolnym, emirze, skoro mi przyrzeczesz, że pokolenie Bu-Sumata spokojnie się zachowa. Taki mam rozkaz od mego dowódcy, który w zgodzie żyć z wami pragnie.

— Więc mogę się ztąd oddalić z ciałem Ibrahima?

— Natychmiast, jeśli ci się podoba; koń jest gotowy, broń i siodło ci oddaje.

Radość błysnęła z oczu Araba. Wziąwszy chleb ze stołu, rozłamał go i dał połowę porucznikowi. W godzinę potem, wśród ciemnej nocy, puścił się w góry, dźwigając na rękę ciało poległego brata. Od tej chwili pokolenie Bu-Sumata ani razu nie walczyło już z Francuzami.

W cztery lata później, dawny porucznik Etienne, a teraz już major, po bitwie pod Isly z 30 jazdy przebywał pustynię. Wieczorem zatrzymali się na spoczynek, a nazajutrz o rannym chłodzie

mieli stanąć w Bengassii, starożytnéj Bezenia. Rozłożyli się w palmowym gaiku, przy marmurowéj studni, którą z pobożności jakiś szeik dla ochłody podróżnych wystawił. Ledwie zaczęli rozbijać namioty, ujrzeni nadeciągający oddział Beduinów, w pośrodku których trzy wielbłądy szeroko kroczyły. Na każdym siedziała Maurytanka z zasłoniętą twarzą, w pstrym i malowniczym stroju. Cały orszak przybywszy opodal gaiku, stanął, i przyjaznóm *Salem aleicum* Francuzów powitał; przyklekły wielbłądy, a kobiety zwinnie z nich zeskoczywszy, zbliżyły się do studni. Jedna z nich naczepnęła wody w dzban starożytnego kształtu, druga idąca za nią, niosła miednice, a trzecia pysznie wyszywany ręcznik, i tak szły pod namiot dowódcy. Ten wiedząc już, co to ma znaczyć, zdjął prędko z nog buty z ostrogami, i podał do

umycia stopy, nie chcąc się uchylać od patryarchalnego zwyczaju; pocém kobiety rozpostarły przed nim na ziemi pyszny kobierzec perski, i zastawiły na nim pilaw, kebaks (rodzaj kotletów) i dwie w całości upieczone antylopy; a schyliwszy głowy ku ziemi, i skrzyżowawszy ręce na pierśsiach, rzekły: „Ben Miriam, głowa pokolenia Bū-Sumata, wita swego gościa i przyjaciela! Ahbetin hayr ola!” (aby koniec twój był szczęśliwy). Po-czém szybko się oddaliły, wskoczyły na wielbłądy i znikły w pomroce wieczoru, jak owe migające widziadła, któremi rozpalone piaski pustyni ludzą podróżnego oko.

— Do stu bomb i kartaczy, zawołał sierżant Sans-depit, — czemu ich to major nie poprosił, żeby te przekłete zasłony podniosły, a może téż która była piękna! Czemuż ja nie jestem majorem!

WYCIECZKA DO SKAMIENTAŁEGO LASU W EGIPCIE.

(Z notat podróżnika).

Ktokolwiek czytał jakiegobądź opisanie Egiptu, wiedzieć musi, że w pobliżu Kairu znajduje się tak zwany *Las skamieniały*. Podróżni geolodzy wyprowadzają się na to miejsce, i zwiadcują je z czołem pochyloném świętą pokorą zadumienia. Przybywają tu z niezachwianém postanowieniem, że kilka stronic dziennika swój podróży zapelnia głębokimi spostrzeżeniami i wysokimi teoryjami; przejmując ich mimowolnie jakiś ożywczy duch badania; zgóry sobie zapowiadają, że zbici się w swych rozumowaniach nie dadzą. Od chwili jak tylko zsiądą z znieczonych mułów, twarze ich nabierają wyrazu filozoficznej zadumy, i bez wątpienia, nie ich w tém winą, że ludzie po tyłu ich mozołach, ani joty więcej nie rozumieją i nie wiedzą, jak dawniej.

Bawiąc długo w Egipcie, robiłem częste wyprawy do Skamieniałego Lasu, ale dlatego jedynie, żeby się nasycić i rozkoszować cudowném, świeżem powietrzem wzgórz, ciągnących się tam wokół. Pewnego razu, przypominam sobie, wy-

braliśmy się w kilku z zamiarem polowania na gazelle; przygody naszej wycieczki utkwiły mi do-brze w pamięci.

Miałem za towarzyszków dwóch Niemców i dwóch Anglików; pierwsi byli z Kairu, a drudzy z Alexandrii. Cały wieczór w wilię zszedł na gawędzie, jak urządzim naszą wyprawę, na sprzeczkach o tém, co zrobim z upolowanemi gazellami i t. d.; najważniejszą rzeczą ze wszystkich tych rozpraw, było to zapewne, że obowiązek starunku i pieczy około prowiantu potrzebnego, włożyliśmy na pocciwych naszych Niemców.

Nazajutrz o wpół do szóstej zeszliśmy się wszyscy w umówioném miejscu. Przedewszystkiém czytelnik pozwoli, że go z towarzyszanmi bliżej zapoznać muszę. Pan Mⁱⁱⁱ był przedstawicielem znacznego domu handlowego w Alexandrii, i rościł sobie prawo do wielce znakomitego tytułu: *Gonsol*. W Europie trudno sobie wyrobić pojęcie o znaczeniu, jakie tu ta godność nadaje; nie mamy czasu wchodzić w drobne i długie szczegóły,

powiemy więc tylko, że rozpostarta nad dachem chorągiew, i herb nad drzwiami wywieszony, zamieniają dom w święty i tajemniczy dla ludu przybytek, a osobę w nim mieszkającą otaczają urokiem takiej wielkości, że strach i pokora na sam jej widok, przechodzących przejuuie. Przyjacieli zatem mój M^{***} nader pożądanym był dla nas towarzyszem, na wypadek jakiegoś zajścia; a że się dzięki Bogu bez tego obyło, radzi mu byliśmy wszyscy, bo doskonale z niego, wesoły i miły człowiek; a przytém choć nigdy z Egiptu nosa nie wysadził, mówił weale nieźle po francuzku.

Drugi mój towarzysz, Niemiec, pan Fist, mówił także jako tako po francuzku, ale co do wesołości, to najmniejszej nie miał pretensyi. Widzę jeszcze w tej chwili ciągle zamysłone jego czoło: choć uchodzę za bardzo malomównego człowieka, z nim zawsze ponosiłem cały trud rozmowy.

Panowie Fox i Coy, Anglicy obadwaj, nie mało się różnili od siebie. P. Fox wielką miał słabość do badań geologicznych, i jakkolwiek głęboki i biegły w tej nauce, tą razą musiał dać jej pokój, i schować ją dla siebie, bo wiedział, że nie da sobie z nami rady, takeśmy go ciągle przekonywali, że nie robimy wyprawy scjentyficznej, lecz po prostu polujemy sobie na gazelle, i dobry apetyt. P. Coy zarządzał jedną z największych fabryk bawełnianych w Alexandrii, i należał do liczby tych Anglików, wysokich, z długimi głowami, których surowe obyczaje i twardy charakter, tyle znaczenia krajowi ich jednają na Wschodzie, że Anglik uważa się tam za istotę daleko wyższą od wszystkich innych franków. Był on zarazem jakimś urzędnikiem przy dworze Paszy, i z tego powodu nosił się po turecku; żałujcie, żeście go nie widzieli!

Mimo całego pośpiechu i zarzekań się, nie wyruszyliśmy z miejsca, jak około wpół do ósmej; ale wsiałyśmy też za to na konie, ewalowaliśmy potężnie, a liczna służba z taborami i żywnością zdążyła za nami jak mogła.

Nie będę wam nic mówić o ulicach Kairu, przez któreśmy przejeżdżali, jakkolwiek fachowi turyści zapuszczają się skwapliwie w tę część ich, gdy drukowane przewodniki nie albo bardzo mało o nich wspominają. Przebyliśmy mnóstwo krętych uliczek, zastawionych nawpół walcami się domami, z pomiędzy których tu i owdzie, brudny wyzierał minaret. Połowa prawie sklepów pozamy-

kana, nie dla zbyt wczesnej godziny, bo mieszkańcy tutejsi zwykli wraz z słońcem dzień rozpoczynać, ale dlatego, że nędza je zasiała. Świetne dni Kairu przeszły już dawno; dziś, większa część domów w niektórych dzielnicach pustkami stoi. Kilka jednakże ulic weale żywy przedstawiało obraz; na targach taki był ściek krzykliwej gawiedzi, że ledwieśmy się przetłoczyć mogli. W tych zakątkach weale niearystokratycznych, mało napotkasz owę bogatą rozmaitości wschodnich kostiumów, jakich się w tych krajach zawsze spodziewać należy; brudne turbany, wytarte szale, i bosa nogi, stanowią główne cechy panującego tu stroju, a jeden tylko Kopt gdzieś w białym turbanie i czystej świecie, wyjątkowo pończochami i trzewnikami się szaszczycą.

Unykając z ciasnych ulic miasta, wjechaliśmy radośnie pod ciemne sklepienie Bab-en-hor, do grodu grobów prowadzące. Tu powietrze czyste i niebo jasne; i jestem pewien, że najsurowszemu nawet moralistcie, kiedy się wydostanie z ziemnych i plugawych objęć brudnego Kairu, ani jedna myśl ponura nie przyjdzie do głowy, mimo tych białych kamieni w okolo na szkieletach zmarłych rozrzuconych, mimo tych posępnych pomników starodawnych królów, okolo których droga prowadziła.

Wśród ogólnej uciechy, wesołości i niewyczerpanej gawędki, przejechaliśmy skalisty wąwóz, wiodący wokoło podnóża *Czerwoné góry* na dolinę *Mokatam*. W kilka minut zginął nam już z oczu Kair i cała egipska równina, przed chwilą rozwijająca się przed oczyma naszymi; teraz naokoło otaczały nas szeregi nieurodzajnych, jałowych pagórków, jak gdyby użyzniętą wodę Nilu o tysiące mil gdzieś zostały. Po prawej stronie ciągnął się długi pas przepaści, tu i owdzie przecinanych krętymi wąwozami; na lewo, wzgórz pętrzących się jedne nad drugimi w urozmaiconych falach; za nami sterczą kończate szczyty *Czerwoné góry*, a przed nami, jak zwykle w pustyni, złudzenie zakończa rozległą dolinę pysznym amfiteatrem wokoło.

Ukrainą łańcucha wzgórz, zaczyna się Las Skamieniały. Zaraz na wchodzie, uderzają wzrok podroźnego porozrucane pnie skamieniałe, przewrócone i w ziemię wtłoczone; niektóre ich odłomy dochodzą 6 stóp długości; mniejszych nie-

zmiernie mnóstwo zalega całą okolicę, choć nie-małą ich ilość wynieśli już ztąd chciwi zbieracze osobiwości.

Nieco dalej, otworzył nam się precudny widok na dolinę Nilu i na cały szereg niebotycznych pi-ramid od Gizeh aż do Sakkary; zdawało się nam, że malowniczy ten obraz, osłonięty przezroczem lekkię mgły, przesuwają się urocz, powolnie przed oczyma, kiedyśmy mu się przypatrywali przez roz-wartą szyję doliny *Dziwów*, ciągnącej się do sa-mego morza Czerwonego. Ztąd już zaczęliśmy się spuszczać ku dolowi, i wkrótce przybyliśmy na miejsce, gdzie, jak nas zapewniano, być miały gazelle.

Od północnej strony doliny *Dziwów*, ciągną się rozległe równiny, zarosłe zielonemi krzewy, i lany ożywiane wilgocią nocnej rosy, gdzie często-kroć przebywają całe stada gazelli; od południa zaś odgranicza dolinę dziki pas przepaści i wą-zów.

Dojechawszy do tego punktu, zsiadliśmy z ko-ni, a M*** jako doświadczony myśliwy, zaczął po-zukiwania swoje, skradając się i przyczajając ostrożnie i prawdziwie po beduińsku, żeby nie spłoszyć zwierzyny. Nic trudniejszego, jak do-strzedz w pustyni płochliwe gazelle; promienie bowiem słońca padając pionowo, zaslepiają prawie oko i najczęściej zdarza się, że dopiero wte-dy spostrzedz je można, kiedy zpod samych nóg pierzchają ci, i migają jak błyskawice. Tak się też i teraz stało; M*** się skradł i skradł, do-patrując ich w dali, a tu zprzed samego nosa wy-rwało mu ich się kilkanaście, właśnie w chwili kie-dy się o mało po przez jakiś kamień nie przewró-cił. O! O! bacność! wrzasnęli ze wszech stron Frankowie i Arabi; a zanim zagorzały myśliwiec zdążył wziąć na cel, moje gazelle jak wiatr już uleciały. Wypalił z dwururki; dym tylko się roz-zwiał w kierunku jak uszły. Bolał niemają za-wstydzony strzelec nad nieszcześnie pudłem, i utyskiwał nad trudnością strzelać w pustyni; myśmy go pocieszali, że na drugi raz będzie szcze-śliwszy, i puszczaliśmy się na dalsze poszukiwania wśród skał i zarośli. Śladów po ich tropie napo-tykaliśmy tysiące, ale gazelli nie było ani jednej; radzi nie radzi, musieliśmy więc poprzestać na lu-bowaniu się pięknymi widokami, i napotykaniami osobiwościami.

Ni ztąd ni zowąd, bez chmury żadnej, deszcz za-czał padać rzęsiście, i skropiwszy nas porządnie, ustał; posiliwszy się i rozgrzawszy maderą, szliśmy dalej, pod czystym, jasnym niebem.

Teraz czekały nas nowe wrażenia, doszliśmy bo-wiem do kopalni węgla kamiennego, niby to ko-palni, — na które Mohamed-Ali długo chorował. Przez dwadzieścia lat nie mu tak nie zajmowało głowy, jak kopalnie węgla. Słyszał nieraz, jak wielkiem dobrodziejstwem są one dla Anglii. i ile się do jęj bogactwa przyczyniają; a że wbił sobie w głowę, że Egipt musi być krajem wysoko prze-mysłowym, postanowił zatem, że kopalnie węgla muszą się znaleźć w jego państwie. Niemają awanturników umiało zreszcie korzystać z tego ówieka w mózgu paszy, i piękne na nim porobili majątki. Co rok przychodziło kilka doniesień o od-kryciu pokładów węgla: wydawał pasza ogromne summy na zakłady górnicze we wskazanych miej-scach, a zawsze bez skutku i napróżno. Niezbyt dawno jakiś Europejczyk zostający jako bej w służbie Mohameda, stał przed nim z dwoma czarne-mi kamieniami w rękę, które znalazł w *lesie ska-nieniałym*, i powiada jego wysokości, że to są naj-czystsze węgle kamienne. Nie mógł się posieść z radości zachwycony basza. Szukałem ich w Kor-dofanie, w Sennarze, Bóg wie jak daleko, a tu je mam pod nosem! wołał w uniesieniu. „Wysłać na-tychmiast górników! natychmiast wysłać! Egipt zakwitnie przemysłem, będzie wielki, potężny, bo-gaty! Mamy już bawelnę, len...” Wtém głos wie-szczy szacownego baszy, przerwał jakiś opasły, glupowaty Turek uwagę, że trzeba w ogniu spro-bować czy te węgle będą chciały się palić. Pasza spojrział na gęstą brodę nieznosnego sceptyka, okiem takim, jakby mu ją całą wyrwać zamysłał, ale dając przewagę rozsądkowi, kazał Chozrewowi baszy i kilku innym wysokim dostojnikom udać się natychmiast do kuchni, i być świadkami doświad-czenia. Deputacya udala się uroczystym pocho-dem do kuchni, gdzie wrzucono kamienie w żar, ale te mimo najśilniejszych i najrozmaitszych sta-rań i zachodów, zając się ogniem nie chciały, choć się do czerwoności rozpaliły. Trzeba było widzieć wtedy kwaśne miny i długie nosy dworaków, prze-czuwających, co ich czeka jak powrócą z niepo-myślną odpowiedzią. Mohamed-Ali bowiem po-wiedział sobie raz na zawsze, że wszyscy Turcy są:

„bawoly, bydłęta ciemne, prawdziwe osły,” i że przez zawiść do Europejczyków, starają się wszystkie ich pojęcia i wynalazki potępiać i odrzucać. Wiele się zapewne nie mylił, zadaleko wszelako posuwał to przekonanie. Kucharzowi ledwo pierś nie pękła tak dął na ogień, i kiedy kamienie poczerwieniały, Chozrew, który sobie kawał wąsa osmalił, z niecierpliwości i pomieszanja, krzyknął uradowany: „Allah! Allah! palą się!” na co mu ledwo dysząc odparł kucharz: „Wielki Chozrewie, nie przysiegaj się nadarmo; prędjéj ja ducha wyzję, nim te przekłete kamieniska się zażęgną!”

Europejczyk nasz tymczasem, nie przygotowany na doświadczenie, i zrażony niemi nie mało, wpadł na szczęśliwą myśl wytłumaczenia paższy, że to mogą być jeszcze nieprawdziwe węgle, ale że ich znalezienie na gruncie dowodzi, że w głębi muszą się znajdować pokłady prawdziwego kamiennego węgla. Mohamed tylko żałował, że mu tego odrazu nie powiedział. Chozrew tam pewno męczy się w kuchni, żeby je zapalić; zawołaj go do mnie, a sam bierz ludzi ile ci się podoba, i nie tracąc ani chwili, rozpoczynaj poszukiwania, i buduj zakłady.

Roboty rozpoczęto natychmiast, materyałów nagromadzono co niemiara, i wiercą w ziemi ciągłe, niezrażając się niczem, dopóki nie znajdą węgla, co zapewne trwać będzie, dopóki się do antypodów nie dostaną. Nikt nie śmie wspomnieć paższy o zaprzestaniu daremnych usiłowań. Niezmierne summy wychodzą corocznie na nowe próby. Przypatrując się budynek górników naokoło rozstawionym, zbieraliśmy z uczonym p. Foxem ciekawsze skamieniałości, ale nie z takim zapamiętaniem i gorączkową chęciowością, jak jakiś Anglik obok nas, który na kilka koni napakował takie ich brzemię, że biedne szkapy ledwie z mie-

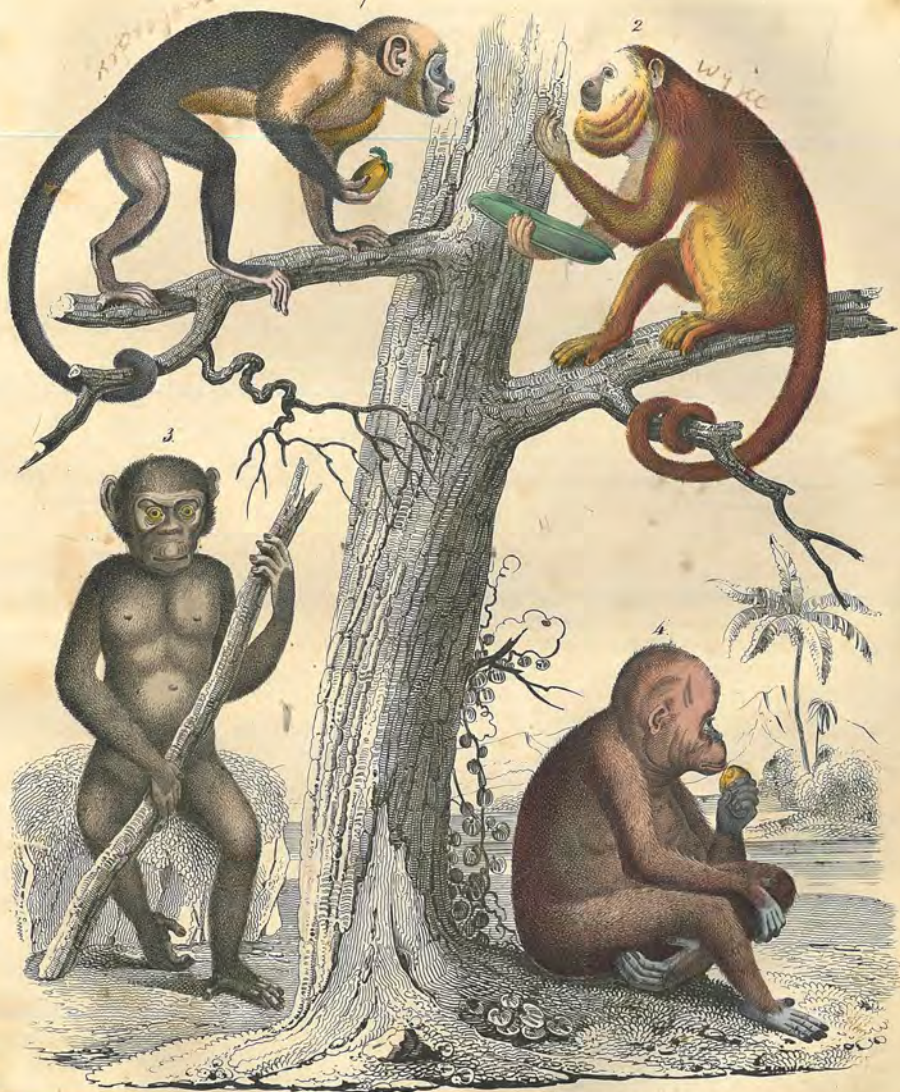
scą ruszyć się mogły. Kiedy mu już nigdzie nie stało miejsca, wypchał niemi wszystkie kieszenie, których miał kilkanaście, i ku wielkiemu zdumieniu Arabów, ciągnął się z tém wszystkiém powoli przez pustynię, przemysłając jak bogate łupy swoje potrafi przeprowadzić do Europy. M^o wołałby był spotkać jedno stado gazelli, jak tysiąc lasów skamieniałych, które go nie a nie nie obchodziły; ja zaś wołałem zachować sobie wspomnienie miejsc tych, jak kawałki kamieni, któreby mi i drogę utrudziły, i o śmieszność przypawie mogły, gdybym raz rozpoczynawszy uniósł się w zapale zbierania, i zapragnął wywieźć z Egiptu ilość tego tajemniczego materyału, wystarczającą na zabudowanie całego miasta w Europie. Bo do czegoż nie doprowadza ślepa miłość choćby skamieniałości tyko!

Nie umiem sobie tłumaczenia ani teorii żadnej ułożyć na wyjaśnienie tego zjawiska Skamieniałogo Lasu. Widoczną atoli jest rzeczą, że mnóstwo drzew w tém miejscu na kamień się zamieniło. Tysiące kłoców 60 do 70 stóp długich leży na wszystkie strony. Zdawałoby się, że musiały skamienieć póki jeszcze stały, gdyż wszystkie polamane są na kawały, pięć stóp długości mające, mniej więcej, jak gdyby się skutkiem upadku potrzaskaly. Cała powierzchnia pokryta jest drobnemi trzaskami, wpośród których niemal znajduje się agatów. Przestrzeń zarzucona skamieniałościami, ciągnie się bardzo głęboko w pustynię, i zajmuje całą dolinę *Dziwów*, aż do morza Czerwonego. Drzewo skamieniałe łamie się łatwo, wydaje dźwięk metaliczny; w przełomie odblysk ma cerwonawy, w którym słój rysuje się wydatnie. Znaleźliśmy także skamieniałe owoce, z których jeden zupełnie podobny był do daktyla. Wiele drzew widocznie jest palmowych, większa jednak część musiało do innych należeć gatunków.

ZWIERZĘTA CZWORORĘCZNE CZYLI MALPY.

Zwierzęta czwororęczne czyli *malpy* w szeregu zwierząt stanowią oddzielne pokrewieństwo, na-

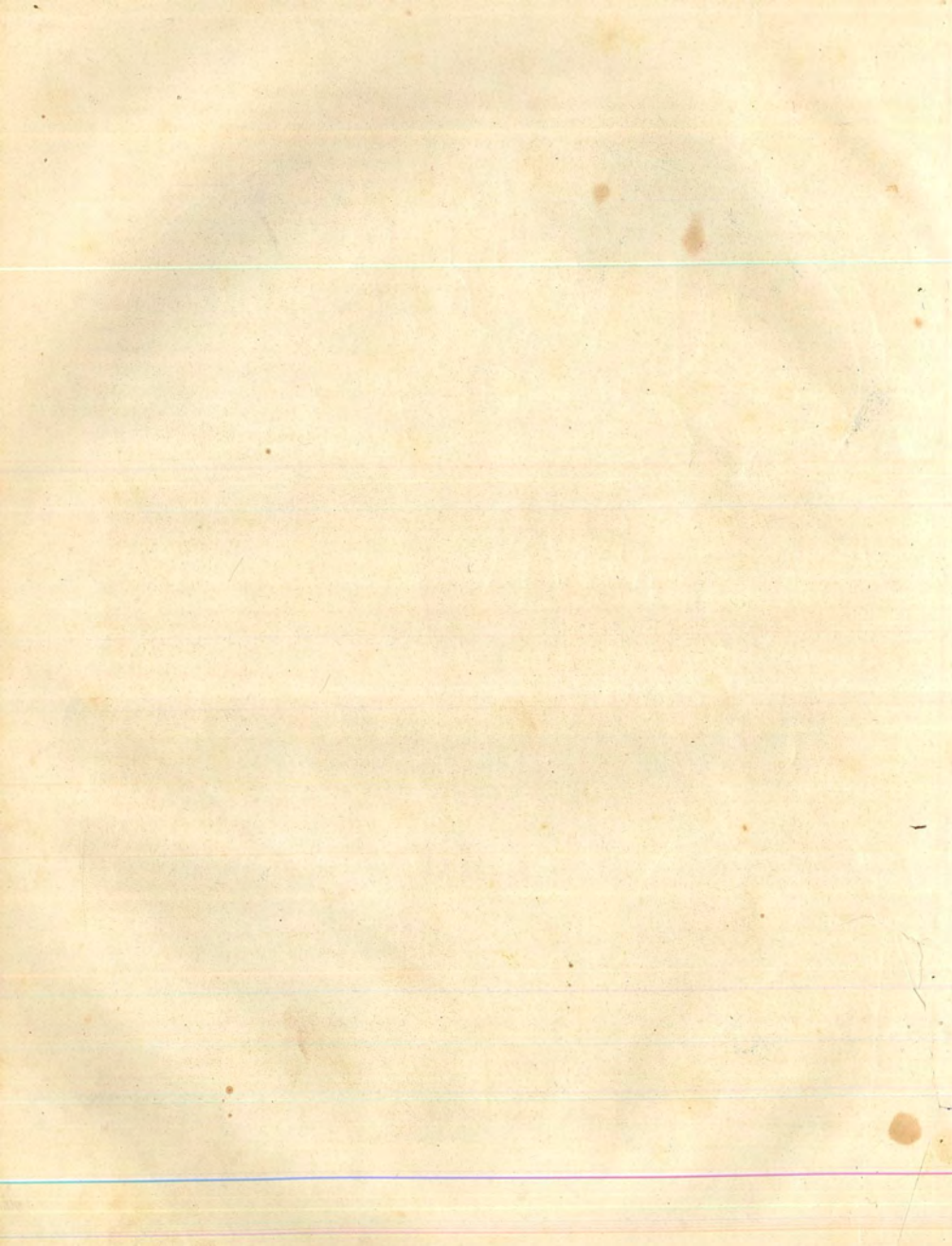
stępujące bezpośrednio po rodzie człowieka, do którego najwięcej podobne są powierzchownym



Orangutanus satyris

Matry

Orangutanus satyris



kształtem, różnią się jednak w wielu względach budową ciała. Dawniej i teraz jeszcze nazywają je małpami, atoli nazwa *czwororęcznych* do większej części rodzajów zastosować się mogąca, wskazuje naturę ich członków, zapowiada razem ich sposób życia i obyczaj; ich bowiem przednie i tylne członki kończą się rękami, to jest czterema wyrażnemi palcami, naprzeciw którym duży piąty staw może, podobnie jak u ręki ludzkiej. Wszakże niektórym rodzajom tego palca wcale braknie lub jest niewyraźny, niecały, i niedosyć od innych palców odosobniony. Małpy z trudnością prosto na tylnych nogach, ale zwykle na wszystkich czterech chodzą; jeżeli się czasem chcą wyprostować, wtedy chód ich bywa podobny do niepewnego, chwiejącego się chodu dziecka, gdyż trzymają się tylko na palcach, i zresztą w ważkiej miednicy szczupłą mają podporę. Ale za to zręcznie łażą po drzewach, łatwo z jednego na drugie przeskakują, i nie potrzebując schodzić na ziemię, pędzą na nich towarzyskie życie. Jedne rodzaje mają ogony długie, drugie krótkie, inne są wcale bez ogonów; niektóre swych długich chwytnych ogonów jak piątę ręki używać mogą; wieszają się niemi u galezi, wszystko chwytają i podawają sobie umiając. Wiele rodzajów mają przyszcękowe tarczki, w których zebrany pokarm wprzód odmiękcza się nim zostanie pożuty i strawiony; inne takich worków nie mając, żują odrazu i polykają pokarmy, podobnie jak ludzie. U jednych głowa okrągła, mniej więcej do ludzkiej podobna, goła, gładka, twarz i prawie takież konchowe uszy; ztem wszystkiem coraz bardziej, uważając porządkiem rodzaje, przedłużający się pysk, mniej więcej długiego ogona u większej liczby rodzajów, czworonożny chód i całe włosiem pokryte ciało, coraz bardziej oddala je od podobieństwa do człowieka. Zamiast owęj pięknie zaokrąglonej głowy ludzkiej, widzimy u małp przyplaszczone, potworne, jakby wyniszczale głowisko; czoło u wszystkich bardzo niskie, zwykle płaskie, nos zaklesły, mały albo w samym tylko końcu wydany, zadarty; jest gęba a niema warg. Ani śladu rozumu i zdolności do mowy: oprócz owęj w przysłowie weszłej łatwości do naśladowania, małpa nie nauczy się wymówić ani jednego słowa, a jęć głosem jest tylko dziki wrzask, wycie, pisk, gwizdanie, czém się pomieży sobą porozumiewają. Małpy są zawsze fałszy-

we, złośliwe, chytre, skłonne do kradzieży, swawolne lubieżne; łatwo wyuczają się różnych figlów, kuglarstwa; przystępną jednak bywają kradzieżom i nieposłuszne, i ciąg rozpoczętej gry przeplatają, figlami jakie sobie przypomnia, a które wcale do rzeczy nie należą; lubią zniecaćka przyskoczyć do człowieka, skubnąć go, mianowicie do kobiet, które zawsze na ostrożności mieć się muszą w miejscach gdzie małpy wolno chodzą. Co do pożytków z małp, wyjąwszy, w niektórych krajach jadalne ich mięso, niema żadnych innych lub bardzo małych; wyuczone drobne posługi, figle, sztuki, dopóty tylko wykonywają, dopóki im naturalna głupota przywiedzeniem na pamięć innych figlów i póst nie przeszkodzi.

Co do naukowego podziału małp, ten każdy niemal autor opisujący te zwierzęta, ustanawia po swojemu: jedni dzielili je na ogoniaste i bezogonowe, inni na małpy dawnego i nowego świata, inni, trzymając się cech obranych, mieszały je po wielu innych rzędach rozrzucone między wcale różne zwierzęta; *Cuvier*, którego tu podział zatrzymujemy, rozłączył je na dwa główne oddziały: na *małpy właściwe* (simiae) i *półmałpy* czyli *małpozwierze* (prosimiae).

Małpy właściwe, kształtem ciała najwięcej do człowieka podobne, mają po cztery szerokie, ściśle osadzone przednie zęby, zęby trzonowe z tępemi koronami, i kły wydane, które im za broń służą, a gdy pysk jest zamknięty, kryją się w przeciwnych dołkach w szczękę. Prócz niektórych tylko gatunków, na wszystkich palcach mały wyrazne, do ludzkich podobne paznokcie, i wielkie palce naprzeciw innym stawać mogący. Tylko największe gatunki tych dochodzą miernego wzrostu człowieka, wiele zaś nie są większe od dużego kota. Budowa ich ciała więcej jest przedłużona, wysmukła niż zsiadła, a niektóre rodzaje szczególniejszą są wysmukłą, z długimi, cienkimi członkami. Grzbiet okryty jest gęsto delikatną siercią, ale bez puchu właściwego zwierzętom zimnego klimatu. Barwa tego pokrycia bywa bardzo różna. Przód ciała i dolne jego części, albo rzadkim włosiem są porośnięte, albo wcale gołe a na ostatnich miejscach skóra bywa zwykle gruba, żywszego koloru.

Drugiego oddziału zwierzęta, *półmałpy*, różnią się od pierwszych zębami, gdyż u góry mają cztery u dołu zaś sześć lub cztery przednie zęby; zęby

trzonowe są u tych ostrzejsze. Budowa ciała jeszcze wysmuklejsza, głowa spiczasta, oczy duże, u niektórych bardzo do siebie zbliżone, pysk kończaty. Nogi tylne dłuższe od przednich, u przednich duży palec wyraźny. Pokrycie ciała gęste, nabite, welniste; ogon jużto krótki, już długi, nigdy chwytny, niektórym rodzajom wcale go braknie. Czaszka w stosunku do twarzy mniejsza niż u małp właściwych, czoła ani śladu. Sęto zwierzęta nocne, ojczyzną ich są Wschodnie Indyje, przyległe im wyspy, Madagaskar i środkowa Afryka.

Orangutan czerwony fig. 4 również jak *Szympanso*, są najbardziej podobne do ludzi małpy dawnego świata, dotąd spostrzegane tylko na wyspach Borneo, Sumatra, Jawa, Celebach i na półwyspie Malakka, i to tylko w głębi najgęstszych lasów. Do Europy młode tylko były sprowadzane, i te nie przechodziły 3 stóp wysokości. Zresztą, nawet u ich ojczyźnie mało jeszcze były poznane. (*Bontius*, długo jako lekarz w Indjach bawiący, zapewnia, że *Orangutany* obojga płci parę razy tylko widział prosto chodzące, i nie może się wydziwić wstydlivosti samicy, gdy się jej przypatrywali nieznani jej mężczyźni: rękami sobie zakryła oczy, rzewnie płakała, wdychała, a wszystkie czynności ludzkie tak doskonale naśladowała, iż pod tym względem rzecz było można, że to człowiek któremu tylko mowy braknie. Jawańczycy też mówią o tych małpach, że gadałyby, ale nie chcą, z obawy żeby ich nie używano do roboty.) *Schonten* mówi, że wzrostem i postacją prawie podobne są ludziom; są bardzo silne i śmiałe, i nawet uzbrojonego człowieka nie lękają się. *Grosse* uważał parę młodych przysłanych w podarunku wielkorządcy w Bombay; obiedwie nie były wyższe nad 2 stopy, kształtu zupełnie ludzkiego, prawie całe gołe, wyjąwszy miejsce u człowieka włosami porośłych. Ich czynności zupełnie ludzkim były podobne, a ich smętność zdawała się dowodzić, że czuły niewole. Gdy się im przypatrywano, zakrywały się rękoma. Samica zdechła z choroby na okrecie, czém samiec tak się zmartwił, iż przestał jeść, i we dwa dni także zdechł. *Bosmaer* w Holandyi, dostał samiec z wyspy Borneo; byłato małpa nadzwyczaj łagodna, nie widać w niej było najmniejszego znaku złośliwości ani chytrności, bez najmniejszej obawy można było podać jej palce w gębę. W całej jej po-

wierzchności wydawał się jakiś smutek, chociaż na niczem jej nie zbywało. Lubiła towarzystwo, równie kobiet jak mężczyzn, ale przekładała ludzi którzy codziennie mieli o niej staranie. Gdy jej dozorca do niej przyszedł, wzięła garść siana, położyła przy sobie, i zdawała się zapraszać go aby usiadł. Chodziła zwinie na czworakach, ale równie dobrze chodzić mogła na dwóch nogach, i stać długo wsparłszy się na kij. Nadzwyczaj była silna tak, iż gdy się jej udało zsunąć z szyi obrozę, wtedy czterech ludzi miało co robić przez godzinę, niż ją przytrzymać i znowu uwiązać zdołali. Dwóch ludzi ledwo ją za nogi utrzymać mogło, trzeci trzymał głowę, a czwarty obrozę zakładał. Jadła wszystko co jej podano; zwykłym jednak jej pokarmem był chleb, jarzyny, mianowicie marchew i wszelkie owoce; jadła także pieczone i gotowane mięso i ryby; nie pokazywała zaś chęci do owadów za któremi się inne małpy upędzają. Zwyczajnym jej napojem była woda; chętnie jednak pila wszelkie trunki, mianowicie wino, a szczególniej malage; po każdym napiciu się, obcierała sobie usta, podobnie jak człowiek, ręką lub chustą. Gdy po jedzeniu podano jej piórko, wykalala sobie zęby tak samo jak człowiek. Za zbliżaniem się nocy, zajmowała się codziennym przyrządzeniem sobie łoża: z siana robiła starannie posłanie, dobrze je za każdym razem wstrząsnawszy, pod głowę nałożyła wyżej, kładła się zwykle na bok, i troskliwie się przykrywała, aby jej nie było zimno. Siadała, tylne nogi na krzyż pod siebie założywszy, wschodnich ludów zwyczajem; ręk używała tak samo jak ludzie, pokarm podawała sobie do ust palcami, czasem brała go prosto ustami. Wszystko wprzód obwąchała nim jeść zaczęła, a jadła zawsze, jak dziecko. Broniąc się bila i kąsała, raczej z niecierpliwości, mianowicie natrętne dzieci, niż ze złości; zresztą była łaskawa, towarzyska, lubiła kiedy się z nią pieścizono, całowała w zupełnym tego wyrazu znaczeniu, ssła palce, ale nigdy swych własnych. Taką małpą chowaną w Paryżu, żyła tylko pięć miesięcy, i nigdy téż więcej nad rok jeden w Europie tych małp przechować przy życiu nie zdołano; prawdziwą ich ojczyzną są najgorętsze kraje, co razem z całą gorącą ich naturą, dowodzi, że są właściwie zwierzętami różnemi od człowieka, który żyć może w każdym klimacie.

Fizjonomia Orangutana jest poważna, ale razem obojętna; w dojrzałych jednak widać pewną dzikość. Nabrzmiałe, mięsiste policzki nadają mu pewny wyraz zwierzęcości. Głowa na przód zwisała, szyja krótka a skóra na gardzieli pomarszczona. Nadzwyczaj ruchawe, pomarszczone wargi może zwierzę to lejkowato na przód przedłużać i dowolnie cofać w siebie ściśnięte. Szerokie, wielką siłę znamionujące barki, okryte są gęsto w duże kędziory zwijającemi się włosami, i zdają się ochraniać zwierzę od upału słońca i od słoty. Mało jeszcze mamy wiadomości o życiu tych małp w dzikim stanie i o właściwej im ojczyźnie. Orangutan pędzi życie samotnie, nie tak jak Szympanso, żyje w górzystych lasach, w środkowych częściach wielkich wysp indyjskich; rzadko kiedy, jak poprzedni gatunek, buduje sobie chatę, najczęściej siedzibą jego bywa gniazdo z powikłanych bezładnej sztuki gałęzi, a to na wierzchołku najwyższego drzewa; w takiemto gnieździe czestokroć po kilka godzin siedzi zadumany. Chodzi i rusza się zwykle powoli, leniwie, lecz gdy jest napastowany, umie zgrabnie i szybko przeskakiwać z gałęzi na gałąź, i w krótkim czasie przebiega znaczną przestrzeń. Zapędzony w ciasny kąt, broni się bardzo odważnie, i z powodu wielkiej siły czyni niebezpiecznym wszelki napad nań z bliska. Przed kilku laty kapitan Hall, udawszy się umyślnie na wyspę Sumatrę dla dostania choć jednego Orangutana, nie mógł dostać przewodnika do odbycia na to zwierzę polowania; krajowcy bowiem nie tylko uznają w Orangutanie zwierzęchnego pana lasów, ale nadto wierzą, że w nim żyją dusze ich przodków.

Orangutan czarny, fig. 3. (Troglodytes). Nazywają go także *Szympanso*. Pysk ma długi, przyciępiony, czaszkę równą, gładką, czoło cofnięte, niskie, oczy żółte, uszy wielkie, odstające, a kąt twarzowy ledwo 30° wynoszący. Nie ma ani śladu ogona; ręce czyli przednie nogi sięgają aż poniżej kolan; u tylnych nóg łapy czyli ręce szerokie; duży palec u wszystkich rąk odosobniony, z płaskim paznogciem. Ojczyzną jego zachodnia Afryka. Dorosły miewa 5 stóp wysokości, pokryty czarnym lub brunatnym, na przodzie bardzo rzadkim włosem.

Zwierzę ten na brzegach Gwinei i w Angoli ma być dosyć pospolity; żyć tam za znacznymi sta-

dami, i niebezpieczny jest napadaniem na ludzi, ale tylko w lasach, gdzie zwykle przemieszkiwa. O dorosłych tego gatunku małpach mało jeszcze dotąd jest wiadomości. *May*, kapitan w służbie holenderskiej w Surynam, opisując dorosłego Szympanso, mówi, że jest pięć i pół stóp wysoki, bardzo silny. Widziałem, mówi on, jak porwałszy wpół swego pana, rosnącego i dobrego tuszy mężczyzny, rzucił go o parę kroków od siebie; pewnego dnia uchwycił żołnierza, przechodzącego przypadkiem około drzewa, na którym zwierzę siedział uwiązany na łańcuchu, byłby go wciągnął za sobą na drzewo, gdyby nie nadbiegł i nie obronił go kapitan. Małpa ta, gdy ją *May* pierwszy raz widział, miała lat przeszło dwadzieścia jeden; umarła w następnym roku, ale jeszcze nie była dorosła.

U nas dotąd młode tylko były pokazywane; zamieszczamy tu wiadomości o młodej tego gatunku małpie do Liverpoolu sprowadzonej. Był to samica, mówi *Trait*, kupiona od krajowca w zatoce Gwinei. Krajowcy opowiadali, że takie małpy bywają od pięciu do sześciu stóp wysokie, i że są strasznie nieprzyjaciółmi słoniów; niektórzy nawet mówili, że osmiewają się zaczepiać palcami lwy i inne drapieżne zwierzęta. Niebezpieczna też być ma podróż przez lasy od tych małp zamieszkałe. Powiadał *Murzyni*, że przez te małpy porwana *Murzynka*, długo w przykręj u nich niewoli była trzymana. Nie nowe to już powieści tego rodzaju, i teraz je wiarogodne podania stwierdzają.

Za przybyciem na pokład okrętu, owa młoda małpa, mówi kapitan *Payne*, podawała niektórym majtkom rękę, innym zaś nie chciała podać, choć ją prosili, nie wiadomo dlaczego. Wkrótce jednak oswoiła się ze wszystkimi, prócz jednego chłopca, z którym się nigdy pogodzić nie chciała. Gdy przyniesiono jadlo dla majtków na pokład, przybyła zawsze małpa, obchodziła wokoło, i całowała i ścisnęła wszystkich, głośno hucząc, potem siadała do jedzenia. Rozgniewana, wyła czasem jak pies; to znów krzyczała jak złośliwe dziecko, i mocno się drapała. Szczególniej okazywała się zadowolona, gdy dostała jaką słodycz, i radość swoją dawała poznać brzękliwym głosem; niewiele jednak tonów swym głosem wydać umiała. W ciepłych krajach okazywała się zwinna, ruchawa, łaskawa; gdyśmy się oddalili w strefy umiarkowane, stała się ociężała, leniwa, i okazywała

chęć do okrycia się; gdy szła spać, troskliwie się koldrą odziewała. Chodziła zwykle na czworakach, i kapitan Payne uważał, że nigdy nie stawiała nóg podeszwami na ziemi, ale zawsze opierała się na kłykciach złożonych w pięść palców. Toż samo inni na tychże małpach w ich ojezynie spostrzegali. Uważaliśmy, mówi tenże kapitan, że wyprostowana chodząc nie lubiła, chociaż znaczną przestrzeń w tej postawie przebiegać mogła, i jak się zdawało, w takim chodzie przytrzymywała sobie uda przednimi nogami. Wielką musiała mieć siłę w przednich nogach czyli rękach, gdyż uchwyciwszy się niemi sznura, częstokroć po godzinie ciągle się kołysała. Po złapaniu, okryta była czarną sierścią tak gęsto, iż trudno skóry dojrzeć było można. Jadła wszelkie potrawy roślinne; do mięsa z początku nie okazywała chęci, atoli pieczone udo kurczęcia ze smakiem jadła. W początkach także i wino nie smakowało jej, później jednak okazywała w niem upodobanie, wódki znieść nie mogła. Raz ukradła butelkę wina, odkorkowała zębami, i pić zaczęła. Kawę bardzo lubiła, na cukierki nadzwyczaj była lakoma. Nauczyła się jeść łyżką, pić szklanką, i w ogólności lubiła naśladować wszystko co ludzie robili. Polyskowne metale mocno ją nęciły; pyszniła się gdy ją pięknie ubrano; czasem wkładała sobie na głowę trójgraniasty kapelusz, i przeglądała się w zwierciadle. Zresztą była nieschludna, i nie widziano jej nigdy myjącej lub ucierającej się. Broni palnej lękała się, i w ogólności była lękliwa. Żyła 17 tygodni u kapitana Payne. W Cork pokazywano ją na dochód zupy rumforekij, potem zaniedbano ją. Przybywszy do Liverpoolu zachorowała, ciężko wzdychała, dostała dychawicy i w konwulsjach zdechła.

Wyjec fig. 2 (*Myceetes*), u niektórych autorów miewa nazwisko *Stentor*, znacznie różni się od innych małp kształtem głowy, która u niego jest wysoka, niemal piramidalna, górna szczeka spuszcza się na przodzie niżej podniebienia; tylna część dolnej szczęki zachodzi daleko w górę, i okrywa kościany bębenek, powstający z rozszerzonej kości pod językowej, i nadaje wielką moc głosowi tej małpy. Przednie ręce pięciopalczaste, ogon długi, na końcu goly, chwytny. Do tego rodzaju liczą dwa gatunki: wystawiony tu na ryci-

nie nazywa się *Wyjec niedźwiedziowaty*, odkrył go *Humboldt* z *Bonplandem* w swęj podróży po Ameryce, i tak tę małpę opisuje: Gdyśmy wylądowali w Cumana, ujrzelśmy pierwszy raz ich stada, idąc w góry Cocallor i do jaskini Guacharo, a lubo położenie okolicy jest wysokie, i powietrze w nocy bywa zimne, jednakże roją się tamtejsze lasy temi Wyjecami, których wycie słychać na pół mili daleko, szczególnie gdy mocno elektryczne powietrze zapowiada deszcz lub burzę. Widzieliśmy je także na dolinie Aragua, w missyach Karaibów, w prowincji Nowa Barcellona, gdzie w mnogich stadach przebywały nad bagnami i stojącemi wodami. Żywią się równie owocami jak i liśćmi roślin. Samice noszą swe dzieci na karkach; nie widać było różnicy w kolorze sierci między samcami a samicami. *Humboldt* mówi, że ten gatunek ze wszystkich małp żyje najliczniejszemi stadami; na jednym drzewie, nad rzeką Apure, naliczył ich przeszło czterdzieści, i mniema, że na przestrzeni jednej mili kwadratowej żyć ich musi w tej dzikiej okolicy do 2,000 sztuk. W ich oczach, głosie i chodzie widać melancholię. Widziałem, mówi on, młode chowane w chacie wieśniaczej, ale nigdy się wesoło nie bawiły. Dawniej już Lopek opisywał tę małpę, mówiąc: ma twarz jak człowiek, brode jak kozioł, wygląda bardzo poważnie.

Co do wielkości, nie licząc długiego ogona, była do trzech stóp długa, cała okryta gniaדם futrem.

Kretogon wielkogłowy fig. 1 (*Cebus monachus*). Głowa okrągła, pysk mało na przód wystający, u wszystkich rąk palec wielki odosobniony, ogon długi, cały siercią okryty, związa się mogący. Głowa w stosunku do ciała bardzo duża, okryta jest krótką jakby ostrzyżoną siercią, która na piersiach i na brzuchu, na policzkach i na całej przedniej stronie rąk jest pięknie żółtawo-biała; zresztą na grzbiecie, na wierzchnich czyli tylnych częściach rąk, i na ich łokciach jest czarna z gniadą pomieszana w nieregularne plamy. Małpy tego rodzaju są mieszkancami Ameryki południowej. Są zwinne, zwinne; chowane w domach są posłuszne, potulne, łagodne, z dziećmi tylko pogodzić się nie mogą.

P. E. L. b. Pr. n. przyr.

— MIERZENIE PRĘDKOŚCI ŚWIATŁA NA POWIERZCHNI ZIEMI.

Wiadomo jest powszechnie, że prędkość rozchodzenia się światła równie jak i elektryczności, jest tak dalece wielka, iż przewyższa w nieporównywanym prawie stopniu wszelkie prędkości zwykłej materii pod zmysły podpadających; i tak np. ziemia w obrocie swym rocznym naokoło słońca, ubiega siedm mil francuzkich w jednej sekundzie, światło zaś przeblyskuje w tymże samym czasie przestrzeń 70,000 mil francuzkich.

Nie więc dziwnego, iż fizycy, przekonani o tak nadzwyczajnej chyżości tego promienistego zjawienia, nie odważyli się dotąd wyznaczać jej czasu przelotu na ziemi, której średnica cała, widocznie jest zbyt drobna, i nie prawie nieznaczająca w porównaniu do jednosekundowej drogi promienia optycznego, tak głęboko tonącej w bezdenną przestrzeń.

Trudność ta ziemską, nie wstrzymała jednakże badawczego rozumu naturalistów w poszukiwaniach oznaczenia biegu tej wszechświatowej i nieważkiej istoty. Nie wachano się długo w obraniu miejsca pomiaru, i wyrzeczono stanowczo: iż jeżeli rozległość ziemskiej powierzchni szczupłym jest zbyt zakresem do podobnych celów, skierujmy środki obserwacyjne w międzyplanetarne obszary nieba fizycznego.

Jakoż wkrótce *Roemer*, biorąc pod uwagę czas astronomicznie wyrachowany, wchodzenia i wychodzenia księżyców Jowisza, z cienia tegoż planety, i porównując go z chwilami opóźnieniami postrzegania tych zjawisk w obserwatorium; oparty nadto na znajomości oddalenia, w tychże peryodach, ziemi od jowiszowych księżyców, zdołał zadowolić ciekawość oczekującego rozumu ludzkiego, naznaczając liczebnie prędkość światła, powyżej wskazaną.

Wkrótce potem *Bradley*, kierując swoje praktyczne widoki w inną zupełnie sferę astronomicznych przestrzeni, użył fenomenów aberracji światła za środek wyrachowań, które doprowadziły go do tegoż samego wypadku, sprawdzając przez to zupełnie poszukiwania *Roemera*.

Taki był dotąd stan wiadomości naszych w tym względzie; któżby mógł spodziewać się obecnie, iż znajdzie się na nowo po zawiedzionym *Galileusza* tak śmiały badacz, który za porę pomiaru prędkości światła, obierze powtórnie ziemię, tę ziemię, która jest pyłem, atomem nieledwie dla tak bystrego przelotu drzeń promienistych światła.

Tym jednakże niespodziewanym człowiekiem, jest p. *Fizeau*, znakomity fizyk francuzki, który niedawno, sposobem bardzo dowcipnym i wyłącznie fizycznym, potrafił dociec prędkości światła, potrzebując do tego doświadczenia nadzwyczaj szczupłej odległości, nieprzechodzącej nawet dwóch mil francuzkich!

Przystępując do rozwinięcia pomysłu p. *Fizeau*, wystawmy sobie dwa stanowiska A i B odległe od siebie np. o jedną milę całkowitą; umieśmy w punkcie A źródło światła wyrzucające cienką wiązkę równoległych promieni, poziomo skierowaną ku punktowi B. Ustawmy w tym ostatnim zwierciadło płaskie, prostopadłe do wiązki, a sprawimy przez to, iż światło odbite wracać będzie w kierunku przeciwnym, tą samą drogą, jaką przybiegło leć ku zwierciadłu. Skierowawszy natenczas w stronę zwierciadła oko, ustawione przed punktem A w małej od niego odległości, ujrzemy łatwo w czasie niemglistej nocy, błyszczący przez odbicie punkcik w stanowisku zwierciadła.

Podług tego nietrudno jest porozumieć, iż krótka linia łącząca oko postrzegające z punktem A, zajęta będzie przez sam tylko promień powracający; odległość zaś nieporównanie większa dwóch stanowisk A i B od siebie, zawsze dwa promienie: to jest, jeden wychodzący ze źródła świecącego ku zwierciadłu, drugi zaś do tegoż źródła powracający po odbiciu.

Z takowego układu doświadczenia wynika dalej, iż dwa są tylko sposoby zasłonięcia światła odbitego, przed okiem obserwatora; to jest, albo można ustawić zawadę nieprzezroczystą pomiędzy punktem A i okiem, a wtedy wracający tylko promień wstrzymanym zostanie; albo też jeśli za-

wada powyższa stanie przed punktem A, z drugiego jego strony, a w tym razie wstrząsna się promień wybiegający ze źródła, i razem powrotny ku temuż. Wybierając ostatni ten sposób zakrywania światła odbitego przed okiem, użyjmy jako środka zasłaniającego, obwód koła grzebieniasto-ząbkowanego: zaćmi ono w obrocie swoim, każdym ząbkami punkt błyszczący w zwierciadle; odkryje zaś widok jego przez każde międzyząbkowe wycięcie, wpadające na linię świetlną, pomiędzy punktem A i B zawartą.

Podług tego łatwo jest zrozumieć, iż gdy obrót koła dosyć jest powolny, natenczas oko widzi będzie przestankowo tylko punkt świetlny odbity. Lecz dozwolmy kołu temu obracać się coraz prędzej; nadejdzie chwila w której przerywanie widziane światelko, stanie się ciągle jaśniejącem; a to w skutek krótkiego trwania wrażeń optycznych poprzednich, na nerwowej siatce zbiegających się jednocześnie z wrażeniami następniemi. Z powyższego wynika, iż jeżeli szerokości ząbków i odstępów ich pustych, będą sobie równe na obwodzie kółka, wtedy natężenie światła odbitego, ciągle widziane przy prędkim obrocie kółka, stanie się dwa razy słabsze od tegoż światła przezieranego przez jedno wycięcie, w czasie spoczynku ząbkowanego obwodu.

Przyczyna tego osłabienia bardzo jest naturalną; albowiem w połowie tylko czasu każdego obrotu, światło odbite jaśnieć może całą swą mocą; w drugiej zaś zatrzyma się nieprzezroczystością ząbków.

Ażeby ciągle to jaśnienie światelka, osłabione w połowie swego natężenia, rozwinęło się w skutek biegu wirowego kółka, warunkiem potrzebnym do tego jest: ażeby przesuwanie się ząbków jednego po drugim, przypadało w chwilach równych jednej dziesiątej sekundy; albowiem taki jest mniejwięcej czas przelotnej trwałości wrażeń optycznych w oku.

Ponieważ zaś kółko użyte przez p. Fizeau posiadało na obwodzie 720 ząbków; wypada stąd, iż gdy każdy jego pojedynczy obrót trwał jedną tylko minutę, promień odbity stawał się już wtedy nieprzerwanie jaśniejącym.

Wystawmy sobie teraz, iż prędkość obrotowa kółka, pobudzona stopniowo mechanizmem aparatu, staje się z kolei tak dalece powiększoną, iż

może iść poniekąd w porównanie z bystrą szybkością światła; rozbieżny na ten przypadek pojawiające się widzenia. I tak, ząbek przechodzi przez promień, ciemność; nadbiega międzyząbkowe wycięcie; promień wymyka się, pada na zwierciadło punktu B, odbija się, wraca prędko; lecz kółko kręcące się, sprawiło, iż wycięcie posunęło się w tej chwili o $\frac{1}{10}$, $\frac{1}{4}$ lub też $\frac{1}{2}$ swojej szerokości. Skoro podtenczas przedstawia się promień dla pątwórnego przejścia, znajduje dla siebie ujście zmniejszone do dziesięćdziesiątych, trzech czwartych, lub dwóch trzecich. Może on wtedy jaśnieć dla oka obserwatora przez czas taki tylko, jaki upływa w przelocie wcięcia na skok równy dziewięciu dziesiątym, trzem czwartym, i dwóm trzecim jego szerokości; reszta zaś promienia obumiera na ząbku nadbiegłym. Taż sama okoliczność stosuje się do wszystkich dalszych ząbków i wcięć przelatujących: wszystkie zaś te wrażenia mieszając się razem przez spieszne ich następstwo; nadto zlewając się społem w oku postrzegającym, wydają natężenie światła, równające się tylko dziewięciu dziesiątym, trzem czwartym, albo też dwóm trzecim poprzedniej jego jasności ciągłej, o jakiej niedawno była mowa.

Niech teraz prędkość obrotowa kółka jeszcze bardziej się powiększy: nadejdzie chwila w której trwanie przebiegu wcięcia przez promień zrówna się z czasem wycieczki i powrotu promienia; a natenczas znajdzie on dla siebie otwór zamknięty; ponieważ zaś szerokości wcięć i ząbków są sobie równe zupełnie, całe więc światło wybiegłe ze źródła w chwili przeskakowania wcięcia przez promień, oprze się w końcu powrotu swego o ząbek nadbiegły w tej chwili. Odpowiednia temu przypadkowi prędkość, pociąga za sobą konieczne zasłonięcie czyli zaćmienie punktu na zwierciadle błyszczącego dla oka badacza.

Pojawszy rzecz jak była dotąd opisana, nieprzestajmy dalej powiększać prędkości kręcącego się kółka, które tak zręcznie naszemu dociekaniu posilkuje; ścigajmy ruch jego dobręm rozumowaniem, równie cierpliwem jak ścisłym.

Cóż wtedy wypaść powinno? oto koniec czyli ogon promienia wybiegłego ze źródła przez każde przelatujące wycięcie, zacznie w powrocie przechodzić przez wycięcie następne; punkt zaś A, na nowo widzialnym stawać się będzie; zaczęć idzie,

iz przy większym jeszcze wzroście przyspieszonego obrotu kółka, promień wybiegł, koncem swym i początkiem zarazem, zdoła przelecieć przez każde wcięcie następne, a natenczas punkt A zająszenie dla oka światłem ciągłym na nowo.

Posuwając w podobny sposób rozumowanie nasze coraz dalej, dowiedlibyśmy, iż dla prędkości kółka nieoznaczenie rosnącej, punkt świetlny A, zniknąłby i jaśniał dla oka naprzemian.

Lecz cóż ma znaczyć pierwsze jego zaćmienie? Oto rzeczywiście to jedynie: iż we współtęgnięciu się prędkości światła z biegiem wirowym ząbków kółka, koło obracało się wtedy na każdy jeden ząbek kątowo, podczas gdy światło przelatywało tam i napowrót drogę prostą, dwoma stanowiskami oznaczoną. Zaćmienie powtórnie następujące dowodzi iż kółko obracało się w tymże czasie, o dwa ząbki i jeden odstęp wycięcia, który je odłącza, czyli co na jedno wychodzi, iż obrót jego trzy razy był spieszniejszy, aniżeli w chwili pierwszego zaćmienia. Rozumując podobnie dalej, wypada, iż dla trzeciego zaćmienia prędkość wirowa odpowiednia byłaby pięć razy większa. Wynika ztąd w ogólności prawo widoczne, że zaćmieniom po sobie następującym, odpowiadają względne prędkości obrotu kółka, wyrażające się przez szereg liczb nieparzystych 1, 3, 5, 7 i t. d.

Doświadczenie rzeczywiście potwierdza to nascisł. Gdybyśmy teraz ocenili numer z porządku zaćmienia, prędkość wirową jemu odpowiednią i odległość wzajemną dwóch stanowisk, otrzymalibyśmy bez żadnej wątpliwości prędkość światła na powierzchni ziemi. I tak, w jednym z doświadczeń p. Fizeau, odległość koła kręcącego się od zwierciadła wynosiła 8,633 metrów, ztąd promień światła na wpół przelamany, miał do przebiegania tam i napowrót drogę 17,266 metrów.

Krążek kołowy noszący 720 ząbków na obwodzie, poruszany był wagami, których siła ciężarowa przenosiła się do niego za pośrednictwem kółek zębatych, stosownie urządzonych. Każdy ząbek na głównym kole zajmował $\frac{1}{1440}$ część całkowitego obwodu; połączony z narzędziem mechanicznym liczącym (compteur) dozwalał mierzyć prędkość obrotową koła głównego. Pierwsze zaćmienie wypadło przy prędkości wirowej wynoszącej 12,6 obrotów w jednej sekundzie; wypada ztąd, iż jednorazowy obrót trwał $\frac{1}{12,6}$ sekundy; prę-

kość zaś posuwania się wtenczas każdego ząbka o $\frac{1}{1440}$ część obwodu koła wynosiła $\frac{1}{12,6 \cdot 1440}$ była więc blisko równa $\frac{1}{18000}$ części sekundy. A że w tym samym czasie światło ubiegało 17,266 metrów; ztąd łatwo dająca się obliczyć prędkość jego na sekundę wynosi 70,000 mil francuzkich, jakich idzie 25 na jeden stopień geograficzny. Obserwacya drugiego zaćmienia dała w przybliżeniu tenże sam wypadek; podobnież trzeciego i czwartego, a wszystkie te liczby zgodziły się prawie z obliczeniami dawnymi astronOMICZNYMI.

Ażeby doświadczalna obserwacya powyższa, tyle zajmująca pomysłowym dowcipem, mogła być dokonana praktycznie, warunki do tego konieczne są: 1. Punkt świetlny stanowiska A, powinien być tej natury, ażeby wyrzucił wiązkę światła tylko ku stanowisku B; 2. wiązka ta ma być złożona z promieni równoległych, ażeby jej natężenie nie słabło z odległością. 3. trafić ona musi z łatwością w punkt B, drugiego stanowiska, w którymby można bez trudności było ustawić prostopadłe do niej zwierciadelko, wracające ją przez odbicie napowrót w to samo ognisko stanowiska A, z którego wzięła początek.

Do tego celu użył p. Fizeau żywej lampy argandzkiej, ustawionej w stanowisku A, z boku linii prostej, łączącej obadwa miejsca A i B. Część światła téjże lampy pochwycona szkłem wypukłym, zamienioną została na wiązkę promieni schodzących się; takowa następnie odbijała się od szkła płaskiego, przezroczystego, ukośnie wykirowanego, za którym ustawiano oko; promienie odbite schodziły się w ognisko, przed szkłem płaskim przypadające, z którego dalej jako ze źródła mogły się rozchodzić ku punktowi B. Żeby zaś przez rozciepienie nie słaby, przepuszczano je przez lunetę, wykirowaną ku B, w takim oddaleniu od ogniskowego źródła ustawioną, ażeby wiązka przez nią przechodząca, składała się z promieni ile być może równoległych. W stanowisku B, znajdował się inny obserwator, który posiadając drugą lunetę, kierował ją tak długo, dopóki nie postrzegł światła z pierwszej wychodzącego; ustawiając ją potem stale w położeniu znalezionem, wyjmował z niej szkło oczne, a w miejsce tego, wsuwał ostrożnie male zwierciadelko, od którego odbite promienie prostopadłe, wracały napowrót, przechodziły przez lunetę pierwszą, przez źródło

ogniskowe stanowiska A, przez szkiełko płaskie ukośne, dochodząc tém samém do oka, które postrzegało wyraźnie błyszczącą gwiazdkę świetlną w ognisku A, tworzącą się skutkiem promieni powrotnych.

Ustawienie aparatu obrotowego, i sposób robienia z nim postrzeżeń, jako dostatecznie wiadome z udzielonych powyżej objaśnień, nie wymagają koniecznie szczegółowego ich opisu w ogólnym zarysie tego nowego przedmiotu.

Tak więc, nauki przyrodzone zyskały przez dowcipny pomysł p. Fizeau trzecią drogę, czysto fizyczną, przez którą możemy przekonać się z równą pewnością, że światło ubiega w jednej sekundzie 70,000 mil francuzkich. Obserwacye z księżycami jowiszowymi uczyły nas dotąd, że prędkość ta służy tylko światłu słonecznemu; spostrzeżenia na aberracyi optycznej oparte, dowiodły, że taż sama chyżość właściwa jest światłu gwiazd; p. Fizeau nakoniec przekonał nas, że równą posiadają wszelkie światła sztuczne.

Gdyby Ptolomeusz, zatrzymując uporcezywe przekonanie w swoim systemacie światła, w posród nas zamartwychwstał, nie chciałby zapewne wierzyć wypadkom Roemera i Bradleya; wszelako dowiadując się o środku p. Fizeau, który bez pomocy astronomii sam sobie posilkuje, i sam dla siebie wystarcza, wyrzekliby z przekonaniem zupełném, że światło przebiega na sekundę 70,000 mil francuzkich. Nawet podług wszelkiego prawdopodobieństwa, p. Fizeau dostąpiłby zaszczytu nawrócenia go do przyjęcia systemu obecnie znajomego światła, niweczając w tym wielkim umyśle teorey obłędnych epicyklów.

Dodajemy w zakończeniu, iż trzeci ten sposób dochodzenia prędkości światła, przyjmuje świat uczony z wielkiem zadowoleniem; dla niego bowiem wielość środków a jedność wypadku jest najszerszą rękojmnią pewności.

T. R.

— POWÓDZ.

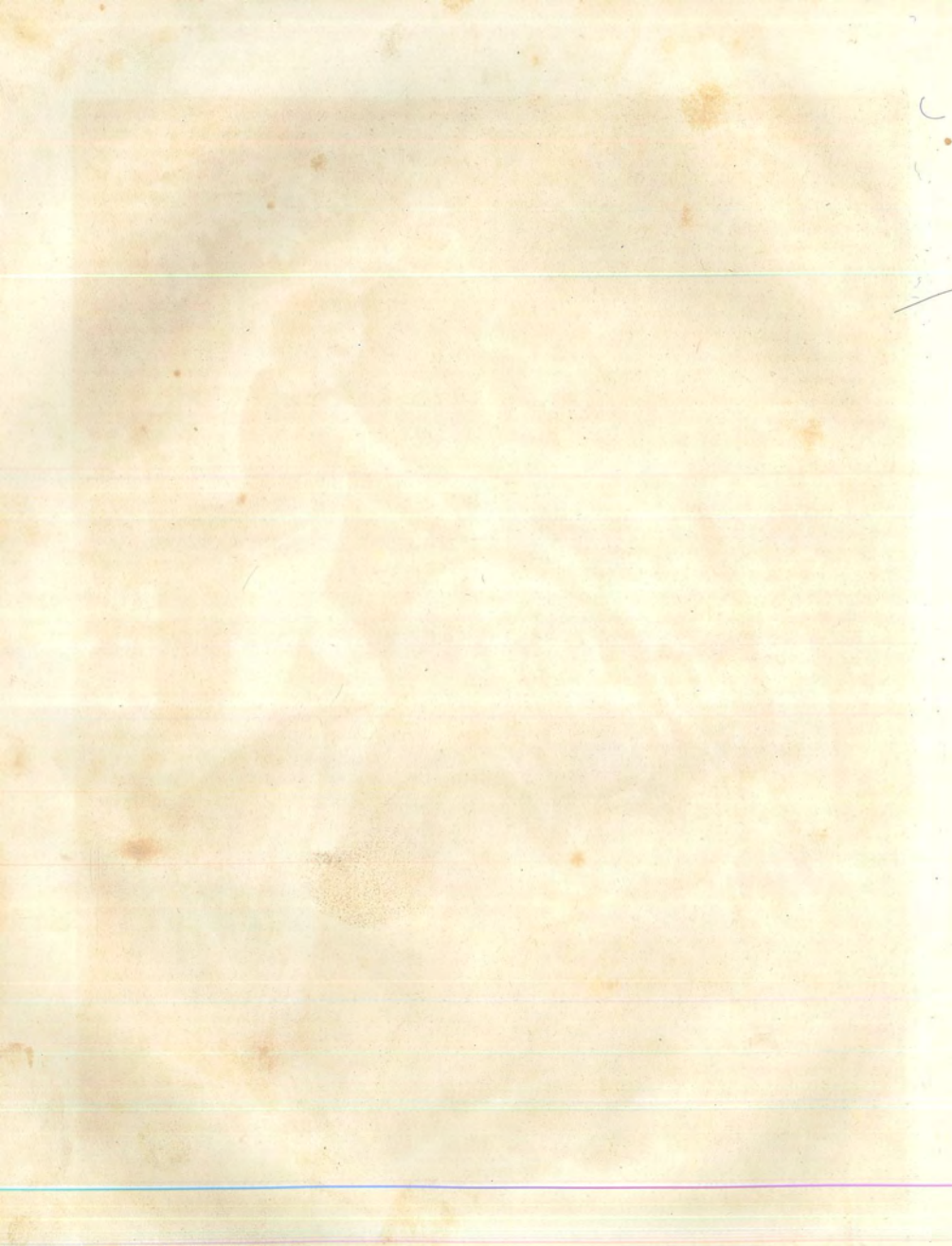
Zachodnie odwieczne lasy Ameryki są, jak wiadomo, ojczyzną wielu dzikich krwiożerczych zwierząt, które niekiedy nawet osadnikom tamtejszym bardzo niebezpiecznymi być mogą, jeśli im zbywa na stosowném uzbrojeniu i należnej ostrożności. Opowiadają tam wiele tego rodzaju zdarzeń, szczególniej o panterze, jedném z najniebezpieczniejszych stworzeń, których tamtejsze lasy są siedzibą. Pantera piękna jest z powierzchowności, ale niezmiernie dzika, i w pragnieniu krwi nienasycona. Nawet okrzyk wojenny Indyan, nie przeraża tak pogranicznych osadników, jak ryk pantery. Napada ona na wszystko co tylko żyje, a jej siła, zwinność i zręczność z jaką drapie się na drzewa, i ścigając za zdobyczą z jednego na drugie przeskakuje, czynią ją niebezpieczniejszą prawie od lwa i tygrysa.

Jedynym prawie niebezpiecznym dla pantery nieprzyjacielem jest niedźwiedź amerykański; pro-

wadzi on z nią wojnę wytopienia, i gdziekolwiek spotkają się, rzadko się bez śmiertelnych ran obejdzie. Przytoczymy tu opowiadanie wiarogodnego naocznego świadka podobnego wypadku. Wielki, silny niedźwiedź zwietrzył legowisko pantery, napadł na nie w nieobecności stariej, i rozszarpał w kawkali drobne jej potomstwo. Zaledwie oddalił się, wróciła nieszcześliwa pantera, niosąc zakrwawiony łup dla dzieci, których już nie miała znaleźć. Okropny widok poszarpanych szczeniąt, obudził całą jej wściekłość i żądę zemsty; rozpalonemi nozdrzami silnie wciągnęła powietrze i z rykiem rzuciła się za śladem nieprzyjaciela. Ryk ten ostrzegł niedźwiedzia, któremu ciężkość nie dozwalała myśleć o ucieczce przed zwinną panterą; nie tracąc więc napróżno czasu, obejrzał się tylko dla wyszukania najdogodniejszego dla siebie pola bitwy. Znajdował się właśnie w długim skalistym wąwozie; w chwilę wdrapał się na skałę, nad głę-



Perrault



boką przepaścią, i zajął takie miejsce pod sterzącym wyskokiem, że tylko z przodu mógł być atakowanym. Tu usiadłszy na tylnych łapach, spokojnie czekał na nieprzyjaciela. Drugi przerażliwy ryk dał się słyszeć, a za chwilę potem ukazała się pantera na drugiej stronie wąwozu. Oczy jej miały ogniem na niedźwiedzia, który bynajmniej nieprzestraszony, rzucił na nią równie gniewne spojrzenia. Wściekła z gniewu pantera, gwałtownym ale dobrze wymierzonym skokiem, rzuciła się na niedźwiedzia, który przyjął ją tak silnym uderzeniem swojej groźnej łapy, że prawie ogluszona spadła w wąwóz. Niedźwiedź nieporuszony pozostał na obranym stanowisku, chociaż przy tym pierwszym napadzie utracił oko, i krew obficie zbroczyła go w miejscach gdzie go pazury pantery dotknęły.

Pantera zebrała siły, wdrapała się na inne miejsce, z najęzłą sierścią skoczyła znowu, i w ten sam sposób została przyjętą. Jeszcze niejaki czas powtarzały się podobne ataki, wśród strasznego ryku i głuchego, groźnego mruczenia, aż nareszcie udało się panterze tak głęboko wpoić straszliwe pazury w ciało niedźwiedzia, że już niepodobna mu było uwolnić się z jej serdecznych uścisków. Tu dopiero rozpoczęła się wściekła, rozpaczna walka. Straszliwe kły zatapiały sobie w gardło przeciwnicy, szarpiąc się już zakrwawionemi pazurami. Nakoniec, niedźwiedź stracił równowagę, i dwa potwory spadły razem na dno przepaści. Walka trwała jeszcze blisko godzinę, i gdy wszystko ucichło, opowiadający znalazł obu przeciwników bez życia w śmiertelnym uściśnieniu leżących.

Inny, bardziej jeszcze przerażający wypadek opowiada człowiek, który w nim czynną odgrywał rolę.

Roger Bacon, kupił w zachodniej Ameryce piękną rolę posiadłość na rozciągłym nadbrzeżu jednej rzeki, z dostateczną przestrzenią nieco wyżej położonego gruntu, pokrytego w całości odwiecznym lasem, którego drzewa tak były wysokie, że wierzchołki ich zaledwie dojrzeć było można.

Już się zbliżyła jesień, kiedy Bacon przybył do swojej nowej posiadłości; z pośpiechem więc wziął się do zbudowania chaty z okraglaków, któraby mu na nadchodzącą tylko zimę dostateczne zapewniła schronienie. Użyzniane wylewem rzeki nad-

brzeże, zdawało mu się najdogodniejszym na ogród warzywny; w niewielkiej zatem odległości od brzegu, na wzniesionej o parę stóp przestrzeni, wybrał sobie miejsce do budowy, nie zważając na zdanie sąsiadów, którzy go ostrzegali, że naraża się na zupełne zalanie, w razie znacznego wzebrania rzeki.

Niedawno przybywszy w te okolice, nie miał on wyobrażenia o wielkiej masie śniegu jaki tam w zimie spada, ani o powodziach jakie topnieniu zaspów jego na wiosnę towarzyszą. Na nieszcześnie jego, tego roku właśnie nadzwyczaj wysokie śniegi nagromadziły się, a miesiąć marzec był tak zimny, że słońce nie mogło żadnego na nie wywrzeć wpływu. Skutkiem tego, zamiast coby zwolna topniejące masy wsiąkały w ziemię, lub się częściowo rozchodziły, jeden ciepły deszcz kwietniowy rozpuścił je zupełnie, przez co rzeka wzebrała do niepamiętnych w tych okolicach wysokości. Wysokie zasy opoły wimy prawie zupełnie przerwały związki między rzadko rozsiadanymi w tym miejscu osadami, i nasz Bacon żył prawie w takim odosobnieniu, jak niedźwiedź w jakim wydrążonym drzewie.

W czasie wspomnianego ciepłego deszczu, który jak potop hulał z obłoków na zasy śniegowe, nasz osadnik widział wprawdzie szybkie topnienie tych mas, i wznoszące się w równym postępie łóże rzeki; jeszcze jednak sądził się zupełnie bezpiecznym i z zwykłą spokojnością umysłu, wkrótce po zachodzie słońca, udał się na spoczynek do swojej pustelni. Ale przed północą jeszcze trzask łamiących się drzew i huk wzdętych wałów, spokojny jego sen przerwały. Wyskoczył z łóżka i ostrzegł, że w jego mieszkaniu woda do kolan sięgała. Ubrał się jak mógł najprędzej, bo widocznie nie miał ani chwili do stracenia, a co najgorzej, ciemność taka zaległa, że niepodobna było pomysśleć o ratowaniu się ucieczką na wyższe jakie miejsce, choćby nawet gwałtowność powodzi nie stawiała temu przedsięwzięciu niepokonaną tamę. Jedyńm środkiem jaki mu pozostał, było wdrapać się na najbliższe drzewo, i tam pozostać do dnia, na które jeszcze kilka długich godzin czekać potrzeba było.

Pomimo wysokości i silnego prądu wody, biedak nasz zdołał dostać się między grube gałęzie jednego z pobliskich drzew, gdzie drząc od zimna

po przykrój i nie w porę odbytej kąpieli, co chwila mógł się jeszcze obawiać, że jaka bryła lodu gwałtownym pędem niesiona, zdruzgotce i uniesie drzewo, któremu swoje życie powierzył.

Najdłuższa noc, jak mówi przysłowie, musi się jednak kiedykolwiek skończyć, i ocy naszego osadnika, których ani na chwilę sen nie skleił, postrzegły nakoniec pierwszy brzask poranku. Znikły ciemności, i odsłoniły najokropniejszy widok. Dom Bacona do gruntu zniesiony, a rozwiązane jego belki, tu i owdzie rozpierzchłe, unosiły się na spienionych walach; cała przestrzeń nadbrzeża, jak tylko wzrok mógł zasięgnąć, zmieniona w okropne jezioro, którego wody z niesłychaną siłą wznosiły się, a na ich wzdętym grzbiecie masy kry śniegowej, porozbijanych belek i powyrywanych z korzeniami drzew, które jużto porwane wirami kręciły się w miejscu, już też szybkością strzały pędziły na walach, wszystko w biegu swoim roztrzaskując i niszcząc.

Ale nie tu koniec trwogi i niebezpieczeństwa. Jeszcze przed zniknięciem ciemności, biedny Bacon usłyszał przeraźliwy krzyk, który kilkakrotnie powtarzał się, coraz bliżej, i w którym nakoniec poznał ryk pantery. Co za okropność! jeśli go zwierzy chwie krwi zwierzę, już po nim. Groźny ryk pantery coraz się zbliża, słychać już szelest uginających się pod jej skokami gałęzi; pod nogami straszliwy żywioł, którego gwałtowność rozbiłaby go niewątpliwie wpośród kry i gęstych pni, a nad głową ląknąca krew paszcza pantery, której kły równie pewną śmierć mu zapowiadały.

Znowu zagrzmiął straszliwy ryk w pobliżności; zachwiała się niedaleka gałąź a rozszerzone od trwo-

gi zrenice Bacon'a, postrzegły w odległości może czterdziestu stóp, na potężnej gałęzi drzewa, skurczone ciało olbrzymiej pantery, która widocznie mierzyła, przed wykonaniem ostatniego skoku, odległość jaka ją dzieli od zdobyczy. Z wielkich jej zielonych ognistych oczu, błyszczała wściekłość, a szeroko otwarta paszcza, wśród chrapliwego pomruku, ukazywała szeregi okropnych zębów, których widok przerażał tego nawet, kto się bezpiecznym od ich napasli czuje. Z konwulsyjną siłą chwycił Bacon obiema rękami gałęź na której siedział. Łakome krwi zwierzę ryknęło raz jeszcze, sierć jego zjeżyła się, grzbięt w łuk się wygiął, a ślepie wścieklej jeszcze zabłyśły. Z szybkością i trafnością celnie wypuszczonej strzały rzuciła się; ale nadludzkim wysiłeniem, udało się Baconowi nagiąć ku ziemi gałęź na którą wymierzyła pantera, zwierzę chybiło celu, i nie mogło dość głęboko zapuścić w nią swoich pazurów. Potwór usiłował silnym rzutem pochwycić gałęź tylnymi łapami, ale na próżno; zawiśł więc w całej swojej olbrzymiej długości, nad groźnie huczącymi falami. Bacon tymczasem nie przestawał ze wszystkich sił wstrząsać gałęzią; po chwili, pantera wydała rozzdzierający ryk, pazury jej zeslizgnęły się z gałęzi i straszny ciężar spadł w szumiące jeszcze z całą gwałtownością fale, które porwały go z sobą, aby już przestał być postrachem spokojnych mieszkańców nadbrzeża.

Do wieczora jeszcze Bacon pozostał na owym drzewie, nim zmniejszona gwałtowność wód i zatory kry dozwoliły sąsiadom podплыć z łódką, i wydobyć go z tego przykrego położenia.

INDYE WSCHODNIE.

II.

W żadnym niezawodnie kraju na świecie tyle wyznań i religij nie miesza się, i ludności nie rozdziela, co obecnie w Indjach. Indaizm, mahometanizm ze wszystkimi odzieniami, nauczaniem, magizmem, religia katolicka, grecka, ormiańska, luterska, anglikańska, przebyteryjańska, nauka Konfu-

cyusza i Santo, stoją tu spokojnie obok siebie, i obok dwóch obrządków indyjskich, budaizmu i braminizmu. Jak cały dzisiejszy stan cywilizacji i pojęć ludu indyjskiego okazuje wyraźnie, że pochodzi ze skrzywienia i wyrodzenia się od dawnej mądrości i jasności wyobrażeń; tak i religia

ich, zaciemniona obecnie najzawilszemi gustami i basniami, w gruncie swoim zdradza pierwotną głębokość najwyższych dogmatów, sprowadzoną przez komentatorów i księży ich, do najędźniejszej gmatwaniny dziwactw i przesądów. Po dziś dzień braminowie bez pomocy pióra i papieru, machinalnie jedynie na dawnych formułach i podaniach się opierając, i za liczmany muszel używając, umieją wyrachować obroty gwiazd, zaśmienie słońca i księżyca, chociaż porządku ich, ani zasady nauki bynajmniej nie rozumieją, a całą mądrość swą na zabobonnej wierze w złe i dobre dni, godziny, wpływy ciał niebieskich, zakładają. Wszędzie w tym ludzie znać tylko spleśniałe szczątki dawnej wielkości i oświaty. Chaldejczycy, Persowie i Egipcjanie, u nich czerpali pierwsze wiadomości o astronomii, a oni dziś najpotworniejsze, najdziwniejsze mają wyobrażenia o budowie świata i porządku jego. Tak też i w religii; pod bałwochwalczą dziś formą bożyszcza dojrzyć można wysokie zasady jedności najwyższej istoty, potrzebę moralnego udoskonalenia, wiarę w nieskończoność i nieśmiertelność ludzkiego ducha. Dzisiejsza Indyjśka religia zasadza się na tych głównych pojęciach: Parabrama jest istotą najwyższą, wszechmocną, najczystsza i jedyną doskonałością; od niej wszystko wychodzi i do niej wraca; eci i jój widomnie, ani w świątyniach nie oddają. Od niego pochodzą: *Bahwani* czyli natura i wielkie mnóstwo wyższych duchów czyli bogów, z których *Brama*, *Wisnu* i *Siwa*, święta Indyjśka trójca (*Trimurtis*), główny przedmiot eci i ich i modłów stanowią. Dwaj ostatni tylko bogowie mają sobie stawiane świątynie; Brama w uroczystościach jedynie bywa wielbiony i czczony. Brama uważa się za stworzyciela, Wisnu za zachowawcę, Siwa za niszczyiciela, i trzem tym charakterom ich odpowiadają trzy żywioły: ziemia, woda i ogień. Całe Indyje rozpadają się na Wisznitów i Siwaitów. Bramę wyobrażają zwykle w postaci ludzkiej z 4 głowami, na łabędziu pływającym siedzącego. Wisnu ma bardzo wiele postaci, bo zjawiał się i do tąd zjawia na ziemi w rozmaitych przeobrażeniach, to pod kształtem ludzkim, to zwierzęcym; w ósmém wiecieleniu był pięknym młodzianem *Kirsna*, i tak go najczęściej przedstawiają. Obraz Siwy otoczony zawsze piorunami i błyskawicami, ma 3je oczów i 8 rąk. Każdy z tych bogów ma także małżonkę,

a często *Bahwani*, wszystkich razem jest polowicą. Przed nieskończenie dawnymi czasami, wielu bogów i bożków powstało przeciw Bramie, za co strąceni przezeń zostali na ziemię, którą on wraz z Bahwani, jak i cały fizyczny świat stworzył, żeby przechodząc przez formy ciał rozmaitych, oczyścić się z grzechu mogli. Ztądto pochodzi wiara Indyj w metempsychozę czyli wdrórkę dusz, podług której każdy kamień, każde ziele ożywia duch niewidzialny dla oczu człowieka. Prócz trzech tych bóstw głównych, Indyjanie eci jeszcze nieskończone mnóstwo wyższych istot, a tych liczbę niektórzy na miliony podają. Wszystkie żywioły, cnoty, występki, sztuki, kunszta, nauki, mają nad sobą duchy opiekuńcze. I na tém niedość: siedm rzek świętych, a przed wszystkimi Ganges, religijną część odbiera; kto w wodach się ich obmywa, oczyszcza się z grzechów; do oddalonych okolic handel z zyskiem wielkim dla siebie dostawia te cudowne wody; a prócz tego, pielgrzymki do źródeł ich i spadów z wielką bogobojnością się odprawują. Za święte również uważają się: krowy, woły, słonie, małpy, łabędzie, ważne niektóre, krzewy i drzewa, np. *Lotus*, drzewo bananowe i t. d. *Wisnu*, w dziewiętnym przeobrażeniu, zjawił się na świat w postaci *Budha*, reformatora dawnej religii; braminowie podają jego przybycie na ziemię na 10 wieków przed Chrystusem. Nauka jego przyjmuje metempsychozę, odrzuca wszelkie kasty, i stanowi czysty *Teizm*, bez eci zewnętrznej posągów i wizerunków, szeroko po wielu krajach Indyj i Chin rozszerzony, a na wyspie Ceylon powszechnie wyznawany. Nowsze poszukiwania naukowe wykazują, że budaizm stanowić musiał pierwotną, czystą religię ludów Indyj, w późniejszym czasie zaciemnioną tłumaczeniem kasty braminów, i na dzisiejszy braminizm zamienioną.

Cześć bogom swoim oddają Indyjanie w pagodach, czyli świątyniach *Bhagawati*, liczenie po kraju rozrzuconych, przepychem sztuki budowniczej najznakomitsze pomniki europejskie przechodzących. Najwięcej ich napotkać można na wybrzeżu Koromandelskiem; budowane są zwykle z marmuru lub granitu; wielkość ich prawie niedowierzania. Najczęściej forma ich bywa czworokątna; główny gmach otoczony murem, przed świątynią duże stawy, jeśli w pobliżu nie znajduje się rzeka;

w przybytku zaś, wieżą wyniosłą ozdoby, jaśnieje posąg bożka z miedzi, srebra lub złota. Przy każdej pagodzie, pod zarządem braminów zostających, znajdują się *bajadery*, po indyjsku *devadassi*; sęto młode dziewczę, od dzieciennego prawie wieku do usług świątyni przynieszone, które tańcem, muzyką i powabami swemi w zachwyce nym umysł wyznawców uprawiać powinny. Żadna zabawa bogatszego Indyanina obejść się nie może bez uczestnictwa bajader, które braminowie na ten cel wynajmują, niepospolite z ich wdzięków i wyuczonej zalotności ciągnąc zyski.

Niektóre pagody liczą 500 bajader w usługach swoich. Prócz zwykłych obrzędów w przybytkach bożyszcz, obchodzą Indyanie częste uroczystości, po rozmaitych miejscach i miastach corocznie przypadające. Wtedy odbywają się owe liczne pielgrzymki, tworzące niesłychane zbiegowisko ludu, ku wielkiej radości i wygodzie przebiegłych braminów, nieszczędzących ze swęj strony starania około przepychu obrzędów, sownie im się opłacających: wtedyto piękne otwiera się pole popisu dla fanatycznych *fakirów*, dobrowoli ponośzonem miękami ciała o zasługi niebieskie się ubiegających. Trudno jest uwierzyć i pojąć, własnemi nie przekonawszy się oczami, do czego dochodzi zagorzałość tych fanatyków, cierpienia swoje i plugawe często utrapienia z chlubą na widok publiczny wystawiających. Jedni z nich wko-pują się po szyję w ziemię, wyczekując śmierci z głową na pastwę żaru słonecznego i drapieżnych zwierząt wystawioną; inni zawieszają się rękoma u gałęzi drzew, i nie puszczają ich dopóki im ręce nieuschną; ci znów rzucają się pod koła kół świętego wozu, posąg ubóstwianego potwora po mieście obwozący, lub wskakują obnażeni z wysoka na ostrza i kolce śmiercią im grożące. Im więcej krwi i widoku przerażających boleści na takich uroczystościach, tém większa podług braminów, zasługa wiernych przed Bogiem. *Jaggernas*, *Benares*, *Allahabad*, jezioro *Manasarowar* i inne święte miejsca, słyną z świetności podobnych widowisk, na których tysiące ludzi niewinną krew przelewa za poduszczeniem żręcznych braminów, nędzną dla siebie z pobożnych ofiar zbierając daninę, która w przyszłości maich zasłonić od głodu. Ta sama zagorzałość religijna dała początek zna-nej z opisu p. Sue, w Żydzie Wiecznym Tulaczu,

sekoie Dusicieli, którzy największą zasługę przed Bogiem w żręcznem wyprawianiu na tamten świat ludzi pokładać mają. Autentyczność jednakże tego faktu bardzo niepewna, i sędzić wypada, że inne przyczyny i pobudki, religijnym osłonięte pozorem, musiały się do utworzenia tego milego bractwa przyczynić. Wszystkie dogmata i prawa religii Bramy spisane są w księdze *Wedas*, którą braminowie w zachowaniu swém i tajemnicy trzymają. Prócz tych głównych religij, znajduje się bardzo wiele drobniejszych podziałów; wyznań i sekt mniej lub więcej wyznawców liczących. Mimo dawnych i nieustających usiłowań misyonarzy chrześcijańskich, religia Chrystusa słabe bardzo uczyniła postępy, a niezmordowani jej szerzyciele, jeśli jakimś poszczycić się mogą powodzeniem, to tylko w klasie najniższej, odrzuconych ze społeczeństwa parioń.

A więc wy co to jest paria w Indyach? Jest to bez wątpienia najnieścieśliwsza, na najniższym szczebel społecznego życia zepchnięta istota ludzka. Murzyni dzisiejsi, niewolnicy starożytnego świata, śmiało szczęśliwszymi od nich nazwać się mogą. Paria, wyrzutek odepchnięty od wszystkich ludzi, spojrzeć nawet na dostojnego Indyanina nie ma prawa; spostrzegłszy bramina uciekać powinien, żeby go widokiem swym nie skałał i nie splugawił; wody mu tam zaczerpnąć niewolno, żkąd inni ją biorą, i studnie swoje kośćmi padłych zwierząt ogradzać musi, na ostrzeżenie, żeby się nikt nią nie zanieczyścił. A życie jego, to życie dzikiego zwierza, w pustyniach, lasach, niedostępnych czaharach i najbrudniejszych miast zakątkach. Miliony takich ludzi, w każdej chwili na głód i śmierć narażonych, żyje w Indyach, których 1/3 ludności stanowią; bo tak chciało święte prawo Menu, jednego z bogów, co na 3 tysiące lat przed Chrystusem ziemię nawiedzili, a od przepisów księgi jego, żaden Indyanin na krok nie odstąpi; śmierćby raczej ponieść wolął. Porządek przez Menu mądrze i głęboko może pomysłany pierwotnie, w skamieniałej nieruchomości po dziś dzień zachowali braminowie, a porządek to straszny, nieprzebyte granicami rozdzielający klasy ludzi od siebie, i niezapartą zapórą dla oświaty i rozpowszechnienia jej dobrodziejstw stanowiący. Cztery jest kast głównych, na które dzieli on ludność indyjską, w poczet ludzi przyjętą; podział

ten stanowi najważniejszą zasadę religijno-społecznego bytu Indyan, tak wybitnie od wszystkich narodów wyróżnionego. Najwyższą, najprzedniejszą kastę przedstawiają *Braminowie*, z głowy boga bramy na świat wyszli, i w rozporządzenia jego wtajemniczeni, a zatem na kapłanów i duchownych przewodników ludu powołani; z innych członków wychodzą *Kszatrias*, kasta wojowników, dająca ludowi wodzów i książąt; kasta *Waisias*, której członkowie zajmują się uprawą roli, przemysłem i kupiectwem, i nareszcie *Sudras*, kasta najliczniejsza robotników, sług, i do najposledniejszych powołań przeznaczonych. *Parias* nie liczy się nawet do składu kast, jak do społeczeństwa się nie liczy; on niegodzien tego. Główny ten podział rozpada się na sta innych poddziałów; bo każdy na świat przychodzący, nie może innego mieć zatrudnienia, jak to, które ojciec jego był sobie obral. Tu leży tajemnica nieruchomości życia indyjskiego, zamkniętego tym sposobem ze wszech stron dla postępu i swobodnego rozwoju.

Jako szczególną osobliwość życia Hindu, którego wielu ciekawości szczytuly zakres dotknąć nam nie pozwala, wspomnié tu musimy odwieczne urządzenie wiosek, czyli gmin indyjskich. Wioski te czy osady, od najgłębszej starożytności, od czasu pierwotnych jeszcze zapewne kraju tamtejszego mieszkańców, żyją pod najściślejszą regułą społeczności mienia, stosownie do pracy i godności każdego członka osady, między pojedynczych rozdzielanego. Osada ma swego bramina, swego zarządcę, rozpoznającego spory, zbierającego podatki, swych żniwiarzy, kluczników zbioru ogólnego, rzemieślników, poetów i t. d., każdy z pokolenia w pokolenie dopełnia ściśle co do niego należy, a w końcu roku czeka go, po obrachunku, przypadająca nań częśćka wspólnego bogactwa. Żaden rząd, a tyle ich się nad tą krainą zmieniało, nie zdołał, ani nie ważył się naruszyć odwiecznej tej formy, swobodnie wyrosłej; bo Indyanin tak do niej przywiązany, tak żywotnie z nią spojony, że za najmniejszym jej potrąceniem, całe osady gotoweby rozspać się na tysiączki, i w pustyniach nowych dla siebie siedzib wyszukiwać. Dziwnem więc zrządzeniem losów i dziejów, naród ten przedstawia w składzie swym najsprzecznijszą żywy organizację: od spodu, swobodna zawisłość pospolitego zjednoczenia; we środku feudalny zupełnie po-

rzątek, a u szczytu despotyzm i samowola władców.

Urządzenie to komunalne ludności wiejskiej w Indjach, wielkie dawało zawsze ułatwienie zaborem rządowi Afganów, Mogolów; i dziś Anglikom daje, w pobieraniu podatków z ziemi, stanowiących najgłówniejszy ich dochód i troskę. Niezmiernie bowiem obszary, rozdzielające 200-milową częstokroć odległością osady od siebie, czyniłoby inaczej niepodobnem prawie podoleanie sobie w tej mierze.

Z 70 milionowej przeszło ludności indyjskiej, mała bardzo ilość żyje w dostatkach: radżowie tylko stanowią pod tym względem wyjątek; po nich najwięcej bogactw posiadają braminowie i kupey w miastach. Większa część braminów i sudrów opędza życie dość wygodne, zyskami z dzierżaw ziem gminowych, które uprawiają pracą niewolników. Większa połowa ludności żyje w ostatniej nędzy, z drobnej pracy za najem roboty, która zaledwie im na najpierwsze potrzeby wystarcza; z tego też powodu, mimo niskich bardzo cen żywności, całe tłumy ludzi padają często pod plagą najokropniejszego głodu. Całe rodziny zaprzęda się, za zgóry wziętą zapłatę, w usługę posiadaczom ziemi, i nieraz potomkowie ich odslugiwać się muszą przez kilka pokoleń nabywcem ich pracy i życia. Inni przyjmują służbę taką u gmin; bo wedle starodawnego zwyczaju, każda wieś, osada, zaopatruje się w rzemieślników wszelkiego rodzaju, i wspólnie ich opłaca za wykonywane dla każdego jej członka roboty. Rządy królów i radżów indyjskich, jako i mogolskich władców i nababów, były najzupełniej despotyczne. Nababowie panowali w prowincjach, w imieniu cesarzów, jak baszowie tureccy, z władzą nieograniczoną, zostawiając administracyą i sądy *duanom*, a sobie zachowując jedynie dowództwo nad wojskiem. *Zemindarowie* zarządzali miastami, a *hacildarowie* wiejskimi okręgami; jedni drugich ciemiężyli i obdzierali, a cały ciężar ohydnego rządu spadał na barki nieszczęsnych Indyan. *Zemindarowie*, w dawnych czasach, dostawali od swych władców i panów, tak jak średniowieczni hrabiowie i baronowie, większe lub mniejsze obszary ziemi w lennietwo, z których obowiązani byli do opłat stałych zwierzchnikom. Opłaty te zachowują się po dziś dzień jeszcze od mniejszych

nawet posiadaczów ziemi, i stanowią dochód korony, że tak powiemy, która prócz tego ciągnie zyski z zastrzeżonych dla siebie monopolów na płody rozmaite, jak np. opium i soli. Księga praw *Menu*, urządzająca stosunki religijne i społeczne Indyan, przyznaje królowi, w razie potrzeby nagłej, prawo do 4tej części dochodu z ziemi, do 50tej części drogiej kamieni i kruszców, trzód, bydła, i do 6tej części owoców drzewnych, nabiału i miodu. Prócz tego, monarsze służy prawo nakładania podatków na kupców, stosownie do ich zarobku.

Od niepomniących czasów zachowuje się u Indyan porządek sądowy, godny uwagi. Gdyby powód nie przestawał na wyroku wydanym przez członków rodziny, w takim razie służy mu prawo zwołać zgromadzenie ludzi należących do jego kasty. Zgromadzenie takie zbiera się pod gołym niebem, na polach, w lasach lub zwykłym miejscu narad gminy. Od wyroku zgromadzenia służy mu jeszcze odwołanie do królewskich sędziów najwyższych, *dhar madzakha*, których wyrzeczenie monarcha już sam tylko rozpoznawa. *Ordalie* czyli sady boże, przez próby ognia, wody wrzącej, oliwy i t. d., sięgają tu dawniejszych zapewne czasów jak w Europie. Rządy mahometan zmieniły ten porządek sądowy; Anglicy później w posiadłościach swoich nowy mu nadali kierunek, zachowując jednak pierwotne sady polubowne, tyle użyteczne i właściwe. W przestępstwach kryminalnych, winy popełnione względem braminów i kast wyższych, karano daleko srożej, jak względem kast niższych, za które winnego na grzywny jedynie skazywano. Bramin miał prawo śmierci i życia nad paria, który osmiesił się dotknąć go, lub próg domu jego przestąpić. Księga *Menu* stawia kobietę pod zawisłość ciągłą ojca, męża i syna. Wieleżeństwa prawo dozwala, a u *Nairów* malabarskich *polyandrya*, czyli wielość mężów kobietom, byle ich brały z tej samej kasty, za uprawnioną się uważa.

Dotąd pozostały zwyczaje nieludzkie i okrutne, fanatyzmem braminów utrzymywane, które gdzie-niegdzie za konieczność prawem nakazują uchodzić. Do tego rzędu należy zwyczaj, zmuszający wdowy, po śmierci męża, dobrowolnie życie na stos nieść, pod karą ohydą i pogardą ogólną; dziś się już to bardzo rzadko zdarza, Anglicy bowiem przestrzegają surowo tych nadużyć zaciekłości

braminów. Panuje również zwyczaj, że ludzie zgrzybiałego wieku lub choroba zgniebieni, szukają śmierci w nurtach Gangesu; w niektórych plemionach, matki zabijają nowonarodzone dzieci płci żeńskiej. Prawa kast zachowane być muszą jak najściślej, pod surową odpowiedzialnością. U *Nairów*, mężczyzna poniżający się do kobiety niższej kasty, do niewolnicy, życiem to przypłaca. W ogóle, kobiety u Indyan więcej mają swobody, jak u innych ludów na Wschodzie; w wyższych jednak kastach nie pokazują się one nigdy publicznie. O ile życie klas pracujących i uboższych jest skromne i proste, o tyle bogaci w mieszkaniami swych, strojach i rozkoszach stołu, a mianowicie w mnóstwie służby i niewolników, niesłychanie rozwijają przepych i okazałość.

Kończmy te słów kilka zbyt krótkiego opisu tajemniczej i ciekawej krainy Hindui, i dziwny się niesłychanemu w dziejach ludzkich *faktowi*, jak szczupła z początku spółka kilku handlarzy z zadyndionych ulic Londynu, wytrwałemi zabiegami i niezmordowaną przebiegłością, stała się dziś despotyczną władczynią 150 milionów ludzi, zajmujących obszar ziemi połowie Europy wyrównującej. W jej rękę złożone dziś losy tych narodów! I któż rzadzi niemi, kto je sprawuje? Każdy posiadacz jednej lub kilku z 20 tysięcy akcyj, wyczerpujących zakładowy kapitał pierwotnego przedsiębiorstwa. Zimny na wszystko, prócz na zysk własny, kramarz obok chytręgo lichwiarza, bogaty lord obok spanoszonego dorobkowicza, oto monarchowie i władcy bogatych, czarownych, historycznych Indyi! na których spoczywa cała potęga obecna W. Brytanii. A dola nieszczęśliwych Indyan, poruczona samowładnemu rządowi wybie-ralnemu od czasu do czasu pomiędzy akcyonaryuszów komitetu, pod kontrolą królewskiej władzy zostającego, (board of control), który z zarządu kupieckiej spółki, od r. 1834 przeszedł na polityczną władzę. Zdolność, doświadczenie i zasługa nie dają żadnego wpływu w tym rządzie, ani w Anglii, ani w samym kraju zdobytym; regule bowiem postępu w różnorodnych stopniach i dostojenstwach jego, stanowi jedynie starszeństwo w służbie. Tak więc niedołężność choćby największa, i byle nie zbyt jawne i gorszące zepsucie moralne, równych pewne jest praw do rozporządzania sprawami milionów ludzi, jak wysoka prawność,



Konder.

uzdolnienie i zasługi. Smutnie też i boleśnie odbija się ten stan rzeczy na nędznej doli Indian, dla których dobra nie prawie nie uczynili Anglicy, a nawet co było dawniej dobrego, i to zaniedbali, zniszczyli, własnych tylko patrząc korzyści. Obszerne, niegdys urodzajne łąny, sztucznie wo-

dociągi skrapiane, leżą dziś odłogiem, zabytki sztuki i troskliwości szczęśliwszych uczestników życia o los biedniejszej spółbraci, padły w ruinę; a skarby Anglii coraz to nowe znajdują tam dla siebie źródła.

Dr. T. T.

ŚCIERWOJAD KONDOR.

Powszechnie nazwany *Kondor*, mieszkaniec południowej Ameryki, uważany jest za największego między latającymi ptakami (*strus* należy do biegających), jest gatunkiem rodzaju ścierwojadów (*cathartes*). Jestto ptak drapieżny, dzienny. Postacią i budową ciała, sposobem życia i żarłocznością, wiele ma podobieństwa z *sepami*, zręczniejsz jednak chodzi, i je nie tylko padlinę, ale wszelkie odchody i szczątki zwierzęce, węże, jaszczurki, owady, jaja ptasze, napada nawet na pojedyncze większe zwierzęta. Dorasta wysokości 3—3½ stóp, a w rozciągniętych skrzydłach 12—13 stóp bywa długi. Pierze na nim, w ogólności, są czarne, połyskowne, środek skrzydeł biały. Gola, czerwona szyję otacza biały, puchowy, jedwabisty kołnierz. Na głowie u samca jest czerwony, szeroki, chrząstkowato-mięsisty grzebień, a pod szczękami wiszą mięsiste jak u kur zoby. Za młodu upierzenie jest koloru siwo-popielatego, bez kołnierza, samice mają wtedy barwę siwo-brunatną, bez grzebienia i zobów.

Ptaka tego nie spostrzegano nigdzie indziej, tylko w łańcuchu gór And, który część wschodnią Ameryki południowej oddziela od części zachodniej, a to począwszy od cieśniny magellańskiej, aż do 70° północnej szerokości. Dokładniejsze poznanie tego ptaka winniśmy sławnemu *Humboldtowi*, który bawiąc 17 miesięcy w owych górach amerykańskich, miał częstą sposobność uważać, zastrzelić i zrobić wierny tu załączony rysunek tego olbrzymiego ptaka. Nazywać się on powinien nie kondor, ale raczej *kuntur* od wyrazu *cuntuni*, który w języku Inkasów *dobry węch* znaczy. Ptak ten nie tyle zadziwia wielkością rozpostar-

tych skrzydeł, jak raczej swą śmiałością, nadwyzczajną siłą w dziobie, w skrzydłach i w potężnych szponach, któremi jego 2½—5 cali długie palce są uzbrojone. Prosty, siwo-brunatny dziób kończy się wielkim, białym hakiem; czaszka głowy mocno przyplaszczona, grzebień podługowaty, pomarszczony i bardzo cienki, osadzony jest na czole, dalej wolno nieco podniesiony, ponad osadą dzioba, spuszcza się ku przodowi i osłania otwory nozdrzy; gola szyję i głowę okrywa twarda, sucha, pomarszczona, tu i owdzie krótkimi, tęgiemi, szeczinowatemi włosami porośła skóra, która u samców w tyle za oczami tworzy fałdę sekatą, ukośnie przez wierzch tyłu głowy na dół szyi zbiegającą; tę fałdę okrywającą duże otwory uszu, dowolnie ptak nadymać może. Klinowaty, dość krótki ogon jest czarny; grube, silne nogi, są siwo-błękitnawe, białe pomarszczone, a bardzo długie szpony są czarniawe, lekko skrzywione.

Feuillen zastrzelił w czerwcu 1810 roku *kondora* w dolinie Ylo, siedzącego na skale w bliskości morza, i zdziwił się nadwyzczajną jego wielkością; zraniony pierwszym strzałem, z trudnością zerwał się na skrzydła, uleciał jakie 500 kroków, i spuścił się na drugą skalę, gdzie otrzymał drugi strzał w szyję. Śmiertelnie postrzelony ptak, przewróciwszy się na grzbiet, bronił się szponami tak silnie, iż ledwo udało się *Feuillenowi* ująć go; zwlekł go ze skały i z majtkiem, we dwóch zaniósł do swego namiotu. Gdy zmierzono rozszerzone skrzydła, okazały się 11 stóp 4 cali długie, dziób był 3½ cala, czarne lotki skrzydeł 2 stopy 2 cale długie. Byłto mniejszy exemplarz tego ptaka, mówi *Feuillen*, gdyż zdarzają się takie, co mają

15—18 stóp długości w skrzydłach. Humboldt jednak mówi, że nie widział kondora któryby w skrzydłach był nad 9 stóp dłuższy, i nikomu nie zdarzyło się ująć dłuższego nad 11 stóp. A więc exemplarz zachowywany w muzeum londyńskim 13 stóp długi, może być uważany za największy w tym gatunku.

Kondor gnieździ się w najodleglejszych okolicach łańcucha gór And, w południowej Ameryce, częstokroć na szczytach gołych skał, w bliskości granicy wiecznych śniegów; Humboldt widział go unoszącego się nad wierzchołkiem góry Chimborazzo. Najwykłej przebywa w wysokości między 1600 aż do 2500 stóp nad poziom morską, dochodząc granicy wiecznych śniegów, obejrzawszy się wkoło siebie, można zawsze naliczyć ich 3—4 sztuk siedzących na cypłach skał, jak na wierzchołkach drzew, i do każdego zbliżyć się można na 5 kroków bez spłoszenia go. Nie spostrzeżono nigdy na nich znaku któryby zapowiadać miał, że gotowe są do napadnięcia na człowieka; nigdy też nie słyszano aby porywać miały dzieci ludzkie. Indyjanie także jednoznacznie zapewniają, że kondor dla ludzi nie jest niebezpieczny, że częstokroć dziecko spało pod gołym niebem otoczone kondorami, kiedy tymczasem jego rodzice oddalili się dla nabrania śniegu, który do miasta na sprzedaż nosili. Kondor gniazda nie buduje, tylko po prostu znosi w dolku na skale 3 białe, do 4 cali długie jaja, które samica wysiaduje, i przez cały rok bawi przy pisklętach, dopóki te zupełnie nie dorosną. Kondor, równie jak lamy, alpaki i wigonie, najwyższe szczyty And zamieszkujące, chyba tylko głodem zmuszony, spuszcza się na równiny aż do morza, ale nigdy w dzień, tylko zawsze pod wieczór, aby z następnym rankiem mógł wrócić na góry. W sposobie życia podobny jest kondor do sępa, gryfła, ale przewyższa go siłą i śmiałością. W dwóch uderzająco nietylko na jelenia gór And, na podobną do lwa pumę, na wigonia lub guanaco, ale nawet na dzieci które swemi szponami i dziobem kaleczą, i ścigają i dręczą dopóty, aż zmęczone zwierzę upadnie i wywiesi język, który kondory wyrwyją, oczy wylupują, i brzuch od tyłu wydzierają dla dostania się do trzewiów. W prowincji Kmito, mieszkańcy ponoszą częstokroć znaczne w swych trzodach szkody, które im rządzą kondory. Na nizinie bawi kondor tylko

tak długo jak tego wymaga jego polowanie, inaczey zaś przebywa zawsze w najwyższych strefach górnych, krąży po wielkiej przestrzeni, śledząc ciągle zdobyczy; upatrzywszy jelenia, sarnę, lamę, owcę lub cielę, spada na nią z góry, ale rzadko unosi ją z sobą w powietrze, tylko pożera na miejscu tak chciwie, iż ledwo się potem wzniesie w powietrze zdoła; wtedy też częstokroć łapią go Indianie na stryczki. Gdy się zupełnie nasyci, staje się tak ociężały, iż go przed sobą pędzić można, i nawet nie usiłuje wzbicie się na skrzydła. Krajowcy, Peruwianie mają sobie za rozrywkę łapać żywcem kondory, i dokuczać im wszelkimi sposobami; w tym celu zabijają krowę lub konia, a wkrótce przynęcone węchem, zlatują się w mnóstwie te ptaki, chociaż ich przedtem nigdzie w okolicy nie widziano. Najadają się do syta przygotowanej umyślnie dla nich strawy, stają się ociężałe, a wtedy dopiero napadają na nich Indianie, i jużto zabijają zatrutymi z rurek dmuchnięciem rzuconemi strzałami, już też łapią na stryczki. Gdy ptak widzi, że go ścigają, usiłuje wzbicie się w powietrze, co wskazuje udaje mu się tylko wtedy, gdy do zbytku pokłnięte jadlo wyrzucił zdoła; w tymto celu, kurczy on szyję, to znów wyciąga, krztusi się, i pazurami drapie się po dziobie, z kąd powstała bajka jakoby kondor sięgał sobie w gardziel pazurami dla pobudzenia womitów. Wielu właścicieli trzód rozrzucają umyślnie zatrute mięso, aby zmniejszyć liczbę tych drapieżnych ptaków, inni nadziewają zabite zwierzęta roślinami trującymi lub odurzającymi. Na Alpach Antyżana w Peru, świeżo ściągniętą skórę z wolu lub konia kładą na ziemi, kryje się pod nią jeden Indianin, a drugi, w pewnej odległości, ukryty czatuje; wonią mięsa przynęcony kondor, spuszcza się na skórę, chwytą go ukryty pod nią człowiek, kiedy spostrzegliwszy to drugi, przybiega i palką go zabija. Zresztą, kondor ma bardzo wytrwałe życie. Chowany w niewoli, z początku jest smutny, lękliwy, później jednak, i to w krótkim czasie, staje się tak złośliwy, iż bezpiecznie zbliżyć się do niego nie można, co pewno pochodzi ztąd, że Indianie chowając te ptaki, bezustannie je drażnią, i wszelkimi sposobami dręczą, albowiem, para tych ptaków przez Ryo-Janeiro do Wiednia sprowadzona, przez Heckel'a i hrabiego Gourcy uważana, nie okazywała tak złośliwego charakteru. Pta-

ki te miały po 8 stóp długości w rozciągniętych skrzydłach; ich oswojenie udało się łatwiej niż się spodziewać było można, niemniej okazały wiele pojętności i łatwości w uczeniu się. W krótkim czasie poznały i polubiły swych nowych panów; szczególnie samiec: za każdym pokazaniem się pana, skakał z radości w swój klatce, siadał na ramieniu i bawił się, wodząc dziobem po twarzy, jakby całować chciał. Pieszczoty swego pana tak lubiły, tak się o nie ubiegały, iż gdy się bawił z jednym, tedy drugi nieraz rozdarł mu suknię, chcąc go przyciągnąć do siebie. Gdy przyniósł im rano pożywienie, z radosnym krzykiem spuszczały się ze swój grzędy, biegły wokół, a szczególnie samiec wyskakiwał i bawił się wesoło. Kondory różnią się od wszystkich drapieżnych ptaków łatwością i pojętnością w nauczaniu się wszystkiego, bez przymusu, a od sępów różnią się wesołością. Odwaga i nieustraszonosć okazywały się w nich, jako wrodzone przymioty: ani wielka liczba ludzi, ani nagły hałas, krzyk i pogróżki, nie ich

przerazić, zastraszyć nie zdołało, ani powściągnąć od zamierzonego czynu; gdy się im zachciało do wanny z wodą, biegły nie zważając na żadne przeszkody, biegły nawet po głowach ludzi, którzy je powstrzymać chcieli. Kąpiąc się, trzepały wodę skrzydłami tak mocno, iż na kilka kroków w okół wszystko oblały, potem suszyły się na słońcu skrzydła rozpostarłszy, a lubiły kąpać się po czterech i pięć razy na dzień. Pomimo tak wielkie upodobanie w zimnej kąpeli jednakże, większe mrozy były dla nich dokuczliwe; gdy im było zimno, naciągały sobie swój kołnierż na głowę, i w takiej postaci siedząc, dziwnie, śmiesznie wyglądały. Że wielką miały siłę w mięśniach, wnosić można stąd, iż częstokroć rozciągnawszy skrzydła, siedziały całe godziny bez najmniejszego poruszenia się. Najulubieńszym ich pokarmem w niewoli było wołowe serce, którego obadwa co dzień po funkcje dostawały. Cukier jadł tylko samiec, a nigdy się go nie tknęła samica.

P. E. L. b. Pr. n. p.

— JASKINIA WYERA

W VIRGINII.

Zadziwiająca ta jaskinia, przewyższająca, o wiele pięknoscią i cudownym układem swym sławne magdendorfskie jaskinie, znajduje się w kanonie Augusta, w Virginii, i nosi nazwisko tego, który pierwszy ją odkrył. Wyer, chodząc po polowaniu w Virginii, zapędził się raz za zwierzem w skały, i natrafił na jaskinię dotąd zupełnie nieznaną. Kazawszy rozszerzyć zawalony otwór, wszedł do niej i znalazł przesliczną grootę, podzieloną na kilka krąganków i sal pięknie ozdobionych. Dajemy tu opisanie tej pięknej groty przez jednego z podróżnych.

Przeszedłszy kawałek drogi ku górze, dostaliśmy się jakby do przedsionka, z wejściem wysokim na 10 stóp; stąd idąc dalej między dwoma ścianami skał, weszliśmy do tak zwaney sali smoka,

gdzie przeciekająca woda formuje tysiące stalaktytów i stalagmitów w najdziwniejszych i najpotworniejszych kształtach. Rozmaita formacja warstw nadaje tym utworom najrozmaitsze barwy. Prócz tego, znajduje się tu pod ogromnie wysokim sklepieniem skała, prostopadła ku niemu wznosząca się, zwana *Czarcą ganek*, a obok niej figura smoka, od którego sala się tak nazywa. Ztamtąd przeszliśmy wąziutki krągank, zstępując na końcu kilkanaście w skale wykutych wschodów, które nas doprowadziły do *świątyni Salomona*. Tu przedstawił nam się cudowny widok. Lat by na to potrzeba, żeby po szczególe opisać wszystkie dziwaczne utwory, jakie ten przybytek w sobie zawiera, uderzając tak ich dzikim wyrazem jak i ogromem rozmiarów. Ściany świątyni pokryte

stalagmitem karbowanym, od góry do dołu mają kształt fal wody, i robią z razu na oko wrażenie spadu wody, ztąd też noszą miano *Katarakty*. Na środku stoi wysoki *Sion Salomona*, a obok wysmukła, przezroczysta kolumna zwana *stłup Salomona*. Dalej iść nie można, bo zrzucone z góry skały zawalają zupełnie drogę. Wróciłiśmy się więc i przeszedłiśmy kilka schodów ku górze, dostaliśmy się krążankiem do *sali bębnowej*, ozdobionej nakoło stalaktykami w kształcie liści, które pokrywa rodzaj przezroczystej zasłony. Leżą tu płyty brzmiące za uderzeniem, wydające huk podobny zupełnie do kotłów lub bębnow; na środku stoi półokrągła kolumna, na wypukłości, osadzona kilkunastu słupkami rozmaitej wysokości, w kształcie rur organowych, i nazywa się organ.

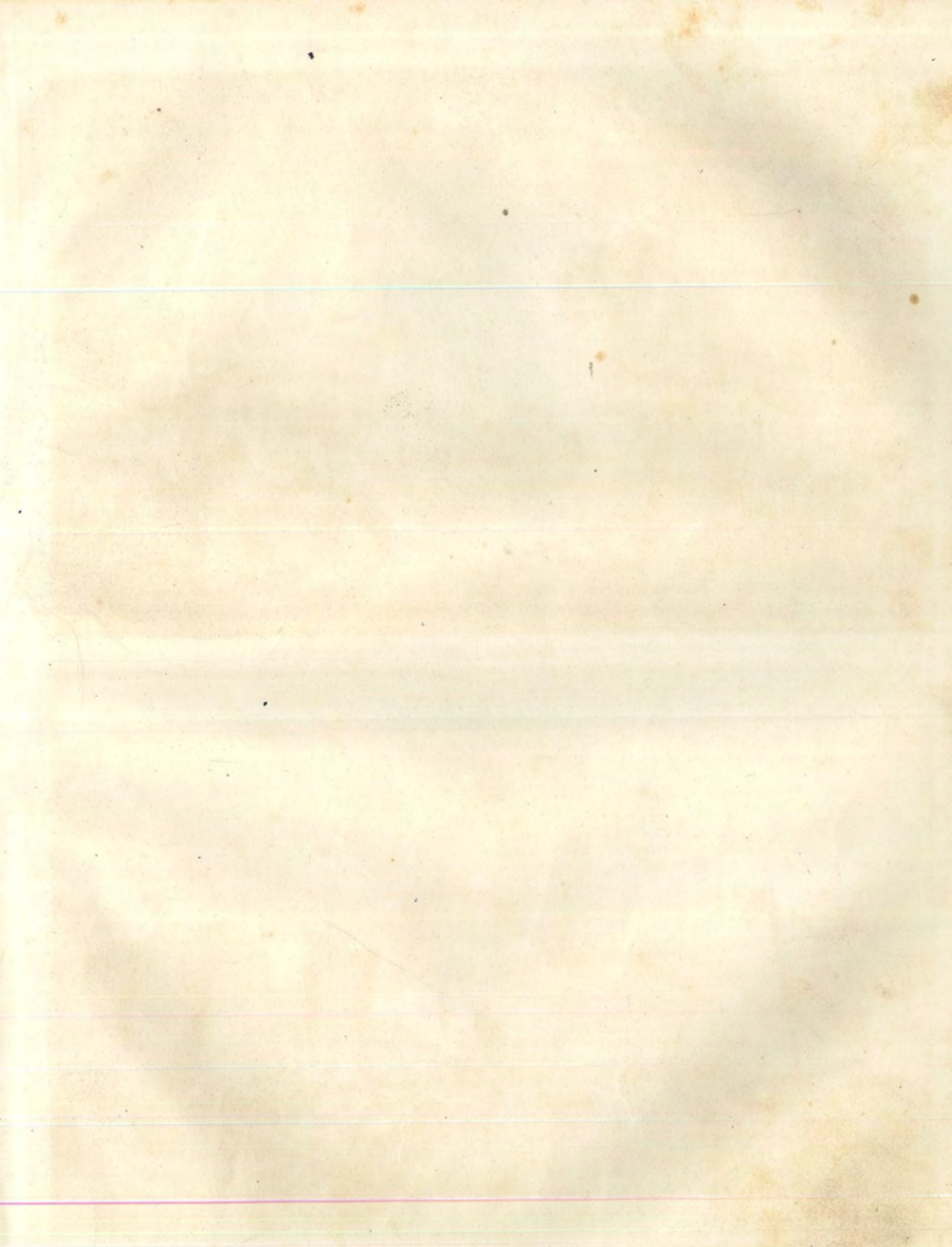
Później zesłiśmy na dół po schodach, około grobu *Pettersona*, zwanego tak od podróźnego, który tu wpadł w przepaść. Jeszcze niżej zesłiśmy po drabce, i dostaliśmy się do *sali balowej*, długiej 36 metrów, a szerokiej 9; obok niej leży mniejsza izba, *gotownia dam*. W kącie balowej sali, stoi stalaktyt cztery stopy wysoki, dwanaście cali gruby, w który można wstawić świecę, i ztąd się nazywa *świecznik*; na środku znajduje się stół zastawiony urnami i kubkami kryształowemi. W ścianie jednej jest *tafla harmonijna*, pokrywająca całą ścianę, która za dotknięciem najłżejszym wydaje odgłos do grzmotu podobny. Z sali balowej przeszliśmy przez ciasny i przykry krążanek do *drabiny Jakóba*, wykutęj w skale, i prowadzącę do

izby senatorskiej, zastawionęj po bokach mnóstwem utworów, jakby pomników ze spatu, i przy jednéj ścianie ozdobionej piękną galeryą wiszącą. Do sali téj dotyka mała izba, bardzo zadziwiająca akustyczną budową swoją; głos z dołu pochodzący, tak się tu przedko odbija od sklepienia, że niepodobna się jest zrozumieć, z powodu ciągłego mieszanina się sylab. Nowy krążanek doprowadził nas do *sali Washingtona*, najpiękniejszej i największej ze wszystkich, tak z powodu rozmiarów, jak najrozmaitszych, pięknych stalaktytów i różnorodnych ech. Ściany pokryte są rurami harmonijnymi, które za uderzeniem wydają tony od najwyższych do najniższych. Przy ścianie ogromne pomniki, śród których dominuje zawieszona statua *Washingtona*. Obok zaraz jest sala *jadłalna*, zawieszona ślicznemi draperjami; przy prawej ścianie znajduje się tu płyt gładkiej skały, przedstawiający zupełnie zwierciadło zawieszone firankami, a pod niem stolik. Zasługuje również na wzmiankę *sala dyamentowa*, jaśniejąca tysiącem kolorów drogich kamieni. Prócz wyliczonych przez nas najważniejszych przedmiotów, jest jeszcze mnóstwo mniejszych, ciekawych i dziwnych.

Ostatnia sala, którąśmy zwiedzili, była *sala Jeffersona*, zavalona na środku ogromnym łomem kamienia karbowanym w rowki ze wszystkich stron; nazwano go wieżą *Babel*. Tu już kończyły się nasze pochodnie, i musieliśmy wracać, uszedłszy ćwierć mili od wejścia.

KONIEC TOMU PIÉRSZEGO.

KSIĘGA ŚWIATA.





Угравана рѣка.



Амой

KSIĘGA ŚWIATA.

WIADOMOŚCI

Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH, HISTORII KRAJÓW I LUDÓW,

ŻYWOTY ZNAKOMITYCH LUDZI,

PODRÓŻE, OPISY CIEKAWYCH MIEJSCOWOŚCI, WÓD SŁYNNIEJSZYCH, ODKRYCIA I WYNAZAKI,

WAŻNIEJSZE ZAJĘCIA PRZEMYSŁOWE,

OBRAZY TOWARZYSKIE, STATYSTYCZNE, EKONOMICZNE

I T. P.

Z RYCINAMI NA STALI, CZARNEMI I KOŁOROWANEMI, ORAZ DRZEWORYTAMI.

CZĘŚĆ DRUGA.



WARSZAWA,

NAKŁADEM S. H. MERZBACHA, KSIĘGARZA

przy ulicy Miodowej, Nr. 486.

1851.

WARSZAWA

WIADOMOŚCI

WYDZIAŁ PRACY I WSPÓŁNOTY

ŻYWOY ZNAKOMITYCH LUDZI

PODROZNE OPISY CIEKAWYCH MIEJSCOWOŚCI, WÓD SIŁNICZESKICH, ODRĘBIA I WYJAZDÓW

WARSZAWSKIE ZAJĘCIA PRZEMYSŁOWE

OPRACYTOWANIE STATYSTYCZNE EKONOMICZNE

WYDZIAŁ PRACY I WSPÓŁNOTY

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exemplarzy.

W Warszawie, dnia 14 (26) Maja 1851 r.

Starszy Cenzor,

L. T. Tripplin.

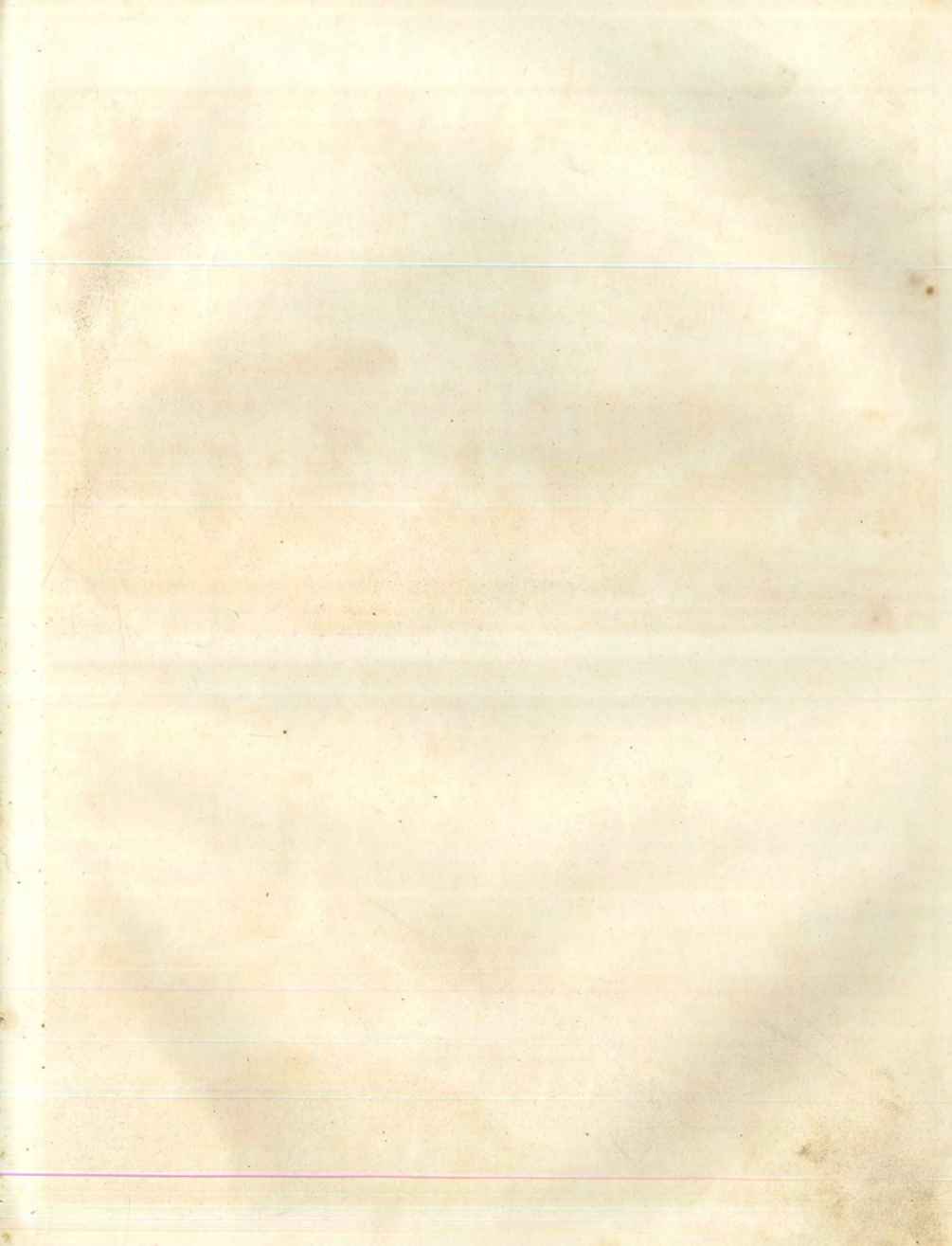


WARSZAWA

W Drukarni St. Strąbskiego.

WARSZAWA, DZIENNIK

1851





New York.



Laternia mercatoria in Maine.

NEW YORK.

Paropłył nasz szumiał i huczał wzdłuż gęsto zarosłych lasami brzegów; w oddaleniu po prawej stronie postrzegliśmy latarnię morską w Sandy-Hook; coraz bardziej zbliżaliśmy się ku malowniczym brzegom Long-Island, i ku wnijściu do zatoki new-yorskiej. Przepłynęliśmy pod samą twierdzą Fort-Diamont, strażnicą zatoki; za nami, zdawało się, że brzegi zamykają się; przed nami, domy, letnie pałacyki i małe wioski wychylały się zpośród zieloności wzgórz, opasujących brzeg z obojdej strony; w głębi wznosi się New York, król zatlantyckiego świata, z swemi kościołami, pałacami, składami towarów i wysokimi gmachami, ponad gęstym lasem masztów. Niezliczone statki, od olbrzymiej fregaty za morderczemi paszczami, aż do najmniejszego kutra, pokrywały majestatyczną rzekę Hudson, dzielącą zachodnią stronę miasta od brzegów New Jersey, i snuły się po zatoce. Wszystkie oddychało życiem i czynnością; co chwila scena stawała się głośniejszą i żywszą; napół ogłuszeni przeszliśmy z pokładu na brzeg, i tu ledwo mogliśmy się opędzić usłudznym murzynom i innym drażnikom, którzy wyrwali sobie z rąk nasze podróżne tłomoki, aby je nie za nami, ale właściwiej mówiąc, przed nami ponieść.

W hotelu Astora, największym podobno tego rodzaju zakładzie w całym świecie, znaleźliśmy natychmiast pomieszczenie, a chociaż w najoddleglejszych pokojach, jednakże uderzył nas przepych i zbytek w urządzeniu i umeblowaniu: wszędzie tureckie kobierce na woskowanych posadzkach, drzwi i okna z cedrowego drzewa, a na meblach porcelanowe figury i naczyńia. Zaledwie mieliśmy czas uporządkować cokolwiek naszego podróżnego toaletę, dzwonek wezwał nas do wspólnego stołu. Wśród niezmiernego mnóstwa gości, największą jednak liczbę stanowili Amerykanie, i jak we wszystkich obernach Ameryki, tak i tu, znaleźliśmy taki pośpiech w zajęciu miejsca, i rozpoczęciu wielkiego dzieła jedzenia, albo raczej polokania, jakby wszystkich ogarniała obawa, że się nie będą mieli czym nasycić. Przy stole nie wymówiono ani słowa, jedynie szczech łyżek, noży i widelców,

przerzywał panującą tu ciszę, i zaledwie 15 minut upłynęło, już paręset gości znikło z sali jadalnej, aby w przyległych salonach, Reading-Rooms, z równym pośpiechem przejrzeć gazety.

Kilka dni potrzeba nam było, aby się znowu rozpatrzeć w City, którą ostatni raz widzieliśmy przed pożarem, a która się jak Fenix, daleko wspaniałej z popiołów swoich odrodziła. New York, który w 1790 roku już za wielkie miasto w nowym świecie uchodził, ale nie wyrównywał jeszcze Bostonowi i Filadelfii, wzrósł teraz w każdym względzie do tak olbrzymiej wielkości, że kto go własnymi oczyma nie widział, nie potrafi wyrobić sobie o niem żadnego wyobrażenia. New York leży na południowym krańcu wyspy, nazywanej niegdyś Manhattan, pod 40 stopniem szerokości północnej; ma przeszło sześć mil obwodu, i rozciąga się przeszło 3 mile wzdłuż East-River, a cokolwiek mniej wzdłuż rzeki Hudson. To miasto zbudowane jest w kształcie trójkąta, którego wierzchołek daleko wchodzi w zatokę, toż samo imię noszącą. Najpiękniejszą ulicą jest Broadway-Street; zaczawszy od baterji przy zejściu się rzek East i Hudson, ciągnie się ta ulica, 70 stóp szeroka, w kierunku północnym prawie przez całe miasto. Obie strony zdobne są najwspanialszemi gmachami: tu znajdują się najwykwintniejsze sklepy, i w pewnych godzinach, tu przechadza się cały piękny świat New Yorku. Water-Queen, Hanover-Square i Dock-Street, są ulicami najkorzystniej położonemi dla interesów handlowych. Miasto podzielone jest na 15 okręgów (wards); ma mnóstwo placów publicznych, wspaniałemi gmachami otoczonych; bruk i chodniki mogą być wzorem dla Europy, a w nocy całe miasto gazem jest oświetlone. Jest tam 21,541 domów murowanych z cegły, wiele nawet z ciosowego kamienia i marmuru. Chęć a raczej szal budowania jest tu tak wielki, że w ciągu 1844 roku stanęło 938 nowych domów, i 5 kościołów. Mieszkańców liczą dziś 350,000.

Gmachy publiczne są wszystkie pełne snaku, i prawie bez wyjątku z ciosowego kamienia i marmuru zbudowane. Między 150 kościołami New-

Yorku, niektóre nie tylko w Ameryce uchodzą za najwspanialsze, ale nawet walczyć mogą o pierwszeństwo z najsławniejszymi kościołami Europy, a pod względem światła i innych dogodności, przewyższają je bezwarunkowo. Kościoły biskupstw Ś. Pawła i Trójcy Ś. przy ulicy Broadway, kościół Dra Dawey, w wyższej części téjże ulicy, kościół prezbiteriański na placu Washingtona, są gmachami jakieś rzadko gdzie napotkać można, i architektci terazniejsi lepiejby uczynili, gdyby w Ameryce szukali uzupełnienia swojej nauki, zamiast podróżować do Włoch i Grecyi, gdzie tylko napotykaliby wzory, podług których nigdy już pewno budować nie będą. Kościół Ś. Pawła z niezmiernie wysoką i nader ozdobną wieżą, znajduje się tuż przy wejściu do tak zwanego parku, olbrzymiego trójkątowego placu, otoczonego baryerami, i ozdobnego gustownie rysującymi się alejami; na północnej jego stronie znajduje się giełda, dom przytulku i więzienie, a w stronie wschodniej nowy teatr. Kościół Ś. Trójcy naprzeciw Wallstreet, jest wspaniałym gotyckiego stylu budynkiem. Giełda w City, od strony ulicy Broadway przedstawia niezmiernie imponujący widok. Długość tego budynku łącznie z dwoma pawilonami, z których każdy ma 40 stóp frontu, i na 25 stóp wysunięty jest nad linię korpusu, wynosi 220 stóp; szerokość, łącznie z pawilonami 90 stóp. Wpółrodku głównego frontu znajduje się attyckie wzniesienie, z ozdobną wieżą, na której szczycie, o 120 stóp od ziemi, stoi statua Sprawiedliwości. Dolne piętro i tylna część gmachu, jest z czerwonego ciosowego kamienia, reszta z białego marmuru. Dach, otoczony marmurową balustradą, pokryty jest miedzią. Giełda związkowa, w dolnej części Broadway, jest gmachem, którego architektoniczna wielkość powszechnie jest podziwiana. Dom przytulku nad rzeką East, jest olbrzymim budynkiem na 320 stóp długim, a 50 szerokim. Utrzymanie jego stanowią dobrowolne składki; przeszło 1000 ubogich, po największej części starców i kalek, znajduje w nim wygodne utrzymanie. Od czasu jak niezmiernie mnóstwo wychodźców z wszystkich stron świata napływa do Ameryki, a szczególnie do New-Yorku, gdzie większa część zamiat utrzymania, nędzę, a następnie potrzebę przytulku i wsparcia znajduje, dla powiększenia dochodów tego zakładu, postanowiony został po-

bór opłaty 3 dolarów od każdego przybywającego do New-Yorku osadnika. Pomimo, że corocznie najmniej 30,000 wychodźców przybywa do New-Yorku, summa zebrana z téj opłaty nie wystarcza na zapobieżenie nędzy, panującej w niektórych porach roku między wychodźcami, którzy najczęściej wysiadają na ląd, nie mając żadnych środków do utrzymania się, i nie znając miejscowego języka. Ci nieszczęśliwi, nie znajdując dla siebie zarobku, całemi gromadami żebrzą po ulicach. Od niejakiego czasu wyszło tam postanowienie, że każdy kapitan statku, musi przez dwa lata być odpowiedzialnym poręczytlem możności utrzymania się każdego z wychodźców, których na ląd wysadził; to w części przynajmniej położyło niejaką tamę zbyt lekkomyślnym tego rodzaju przedsięwzięciom. Gmach więzienia znajduje się na przedmieściu Greenwich; jest to trzypiętrowy budynek z dwoma wielkimi dziedzińcami, w których znajdują się wszelkiego rodzaju warsztaty. Jest tu miejsce na 600 przestępców, z których każdy jeśli jeszcze nie umiē żadnego rzemiosła, musi się jakiegobądź uczyć, aby później, gdy powróci na łono społeczeństwa, mógł mieć uczciwy środek do utrzymania życia. Jedynie leniwi i uporni bywają tu pojedynczo zamykanemi, ale zwykle w krótkim czasie poprawiają się, i zostają pilnemi robotnikami. Oprócz wielkiego szpitala, kosztem rządu utrzymywanego, znajduje się tu wiele pomniejszych, wielki dom sierot, instytut głuchoniemych, i mnóstwo zakładów dobroczynnych, które najlepiej dowodzą, jak niesłusznie okrzyczano tutajszych mieszkańców za zimnych samolubów.

Mnóstwo tu jest szkół, akademij i stowarzyszeń ku zachęceniu i wsparciu nauk, sztuk i rzemiosł. Na czele tych rozmaitych zakładów znajduje się uniwersytet, z wyborową biblioteką i pięknymi zbiorami narzędzi fizycznych. Akademia sztuk pięknych, posiada piękną galeryę malowideł i sztychów, a biblioteka publiczna liczy przeszło 30,000 tomów. Drukarń liczą w New-Yorku 59, księgarń 42. Z pomiędzy 41 pism czasowych, 13 wychodzi codziennie, inne raz lub dwa razy na tydzień.

Pod względem handlu, New-York jest najznakomitszym miastem zachodniego świata. Port, stanowiący obszerną zatokę, rzadko nawet w najostrzejszą zimę zamarza, i nieustannie napeluniony jest statkami. W saméj City znajduje się 31 ban-

ków, mających na celu wspieranie handlu i wielkie mnóstwo towarzystw ubezpieczenia, które tak są bezpieczne i na silnych zasadach oparte, że nawet wielki pożar miasta nie zdołał ich zachwiać, i przeszkodzić dopełnieniu zobowiązań. Największa część producentów trudni się zarazem handlem; krawcy trzymają magazyny gotowych ubiorów, sukna i łokciowych towarów, również wielkie i wspaniałe urządywane bywają składy obuwia, ale wyrób ten w małej tylko części przygotowuje się w mieście; największe zapasy przybývają tu z wschodnich Stanów, gdzie często napotyka się całe miasteczka samych szewców. Pomimo nieustannego napływu cudzoziemców wszelkiego rodzaju, czeladź znajduje tu pewne utrzymanie; tylko lekarze i prawnicy nie mogą się spodziewać korzystnego umieszczenia, bo i jednych i drugich jest tu więcej niż nadto. Szczególniej tych ostatnich jest tu jak piasku w morzu; gdzie się obrócisz, pełno mosiężnych tabliczek z napisem „*Attorney at Law*” a jeśli kto idąc przez Broadway, zawoła na jakiego znajomego prawnika „pa-

nie doktorze” niezawodnie piętnastu albo dwudziestu tych panów, obróci się na to zawołanie.

W obyczajach, sposobie życia i zwyczajach, mieszkańcy New-Yorku więcej zbliżają się do mieszkańców nadmorskich miast angielskich, niż innych wielkich miast Ameryki; szczególniej zamiłowanie do rozrywek więcej tu wzrosło niż w innych miastach Stanów Zjednoczonych. Teatra, koncerty, bale i maskarady, szczególniej w zimie, są tu bardzo uczęszczane. Zbytek i arystokracja kupiecka i pieniężna, powszechniejsze tu niż w reszcie Ameryki, a najczęściej nawet bez dostatecznej pieniężnej podpory i rękojmi; dlatego też nigdzie bankructwa nie są tak częste jak w New-Yorku. Pod względem moralnym, mieszkańcy tu-tejsi nie stoją niżej jak w innych stolicach, ale że tak rozciągle miasto nie może być wolnem od nieczystych szumowin społeczeństwa ludzkiego, to się samo z siebie rozumie; przynajmniej jednak należy, że wzorowa czujność władz rzadko kiedy dozwoli ująć bezkarnie przestępującemu prawo.

LATARNIA MORSKA NA DESSERT ROCK,

W STANIE MAINE, DO ZWIĄZKU PÓŁNOCNEJ AMERYKI NALEŻĄCYM.

Wiatr wschodni nie ustawał jeszcze, kiedy po długiem krążeniu udało nam się nareszcie wydobyć z portu i zatoki Penobscott, i opłynąć szczytliwie Fox-Island. Gdyśmy wydostali się na morze, wiatr ten był dla nas bardzo korzystnym, bo nas w prostym prawie kierunku naszej drogi ku zatoce Passamaquoddy popędzał. Statek nasz, maly szoner, nie przedstawiał nam wiele dogodności; próżne beczki przeznaczone na pomieszczenie ryb, których połów był celem naszej wyprawy, zajmowały większą część miejsca; zapasy składały się z stokfisu i jeszcze raz stokfisu i suchych placzków z kukurydzy, a za napój woda z syropem, bo nasz tak zwany kapitan, i trzej jego majtkowie należeli niestety! do jakiegoś towarzystwa wstrzemięzliwości. Płynęliśmy wzduż nierównych, mnóstwem

zatok jakby w zęby wyrzynanych brzegów, przed którymi cisnęło się mnóstwo małych wysp, wązkiemi tylko kanałami od siebie porozdzielanych. Widok z naszego pokładu był bardzo przyjemny, bo cały brzeg zielenił się w rozliczne cienie od gęsto zarostłych lasów, i gdzieniegdzie tylko jasna plama, albo zpośród drzew wydobywające się kłęby dymu, pozwalały się domyślać bytności jakichś drobnych osad rybackich. Około południa, wiatr zwrócił się ku wschodowi, coraz zimniejszy i silniejszy; niebo pokryło się jednolitą szarą barwą, wały z oliwianym połyskiem wzdymały się w okrągłe walce, przewyższające niekiedy przód naszego statku. To wszystko kazało nam przygotować się na noc nienajspokojniejszą. Nasz żeglarz chciał zrazu wypuścić się na pełne

morze, ale głuchy huk odbijający się od pogarbionej wód powierzchni, przepowiadający bliski wybuch gwałtownej burzy, skłonił go wkrótce do trzymania się bliżej brzegów, i szukania schronienia w jednej z niezliczonych w tej przestrzeni, większych i mniejszych zatok. Znajdowaliśmy się o sześć mil od lądu, który przy zwiększającej się coraz ciemności, już tylko z trudnością w kończących swoich zarysach rozeznac się dawał; trzeba było starać się zbliżyć do niego, i dostać się do zatoki Blue-Hid, albo Frenchmans-Bay, w których pewnie niż w innych pomniejszych, statek nasz mógłby bezpieczne znaleźć pomieszczenie. Kapitan żywo spierał się z majtkami, którzy utrzymywali, żeśmy już Frenchmans-Bay minęli. Trudno było pomyśleć o spoczynku pod pokładem, dla braku miejsca i świeżego powietrza; postanowiliśmy zatem, okrywszy się w nasze wodotrwałe paletoty, pozostać wraz z kapitanem i majtkami na pokładzie, i trzymając się bocznych lin, stojący noc przepędzić. Nasze położenie, a raczej nasza postawa nie była bynajmniej godną zazdrości. Coraz silniejszy wiatr rzucał statkiem jak piłką, a piętrzące się jedne na drugich bałwany, utrzymywały nas więcej w wodzie niż na jej powierzchni. Z trwogą spoglądaliśmy wszyscy ku lądowi: nagle pośród ryku burzy, przedarł się piorunujący głos kapitana: „Przodem wpoprzek!” i wnet silne wstrząśnienie w całym statku dało nam poznać, że rozkaz ten z gwałtownym pośpiechem został wykonany. Ale to wstrząśnienie na kilka chwil zanurzyło nas w wodzie, i tylko konwulsyjne przycze-

pie nie się rękami do lin ocaliło nas od upadku w morze; przez kilka chwil gwałtowne kołysanie statku, niedozwalało nam stanąć bezpiecznie na pokładzie, na koniec z głuchym jękiem wydobył się nasz statek z pośród wody, i jakby pełnemi żaglami popędził ku południowi. Gwałtowne obroty i wiatr, zagnały nas bardziej niż sądziliśmy ku brzegowi. Chwila jeszcze, a statek nasz byłby roztrzaskany o granitowe skały wysoko sterczące z morza; w dziesięć minut powtórzyło się to samo niebezpieczeństwo, z największym wysileniem musieliśmy walczyć przeciw pędzącemu nas uraganowi. W południowo wschodnim kierunku błyskało mdłe światło, ostrzegające nas od zguby; z północy groził nam skalisty brzeg rozbiciem. Smutnato była noc! co pięć minut trzeba było dawać obrót statkowi, i co pięć minut ziębiła nas niezbyt przyjemna nawet w sierpniu morska kąpiel. Światło na południe, które postrzegaliśmy za każdym drugim obrotem statku, było jedynym naszym przewodnikiem; z utęsknieniem czekaliśmy switu; zwolna też ustawała gwałtowność wiatru, chociaż morze bardzo jeszcze było wzniezione. Gdy się rozwidniło, kapitan przekonał się, że przez całą noc krążyliśmy przy wejściu do Frenchmans-Bay, między Scodie i Dessert-Rock, gdzie się znajduje latarnia morska w najniebezpieczniejszym punkcie brzegów Maine, i równie jak my, czując potrzebę wytchnienia po trudach i mimowolnych kąpielach, zarzucił kotwicę w pierwszej zatoce za Dessert-Rock, gdzie przez dwa dni pozostaliśmy w spoczynku.

KAZIMIĘRZ KARAŚ

I JEGO DZIECI.

Ze wstąpieniem na tron Poniatowskiego, nowe zupełnie postaci, których przedtem nie znała Rzeczpospolita, zaczęły się pokazywać na zamku warszawskim. Król Stanisław August prowadził

za sobą na komnaty Zygmuntowskie, długi szereg albo dworaków, albo ludzi przez wdzięczność obowiązanych jego rodzinie. Kazimięra Karasia poznała wtedy pierwszy raz Korona i Litwa. Dzisiaj,

dla mieszkańców Warszawy, bardzo pospolite jest to imię, bo jeden z wielkich gmachów naszej stolicy, do dziś dnia, zowie się pałacem Karasia. A ktoś jednak z Warszawian wie, co za jeden był Karas? Starożytnik chyba jaki, co dlużej się ciągle po papierach.

Kazimierz Karas rodził się w roku 1711, gdzie i z kogo? nie wiemy, ale pochodził ze szlachty, zapewne mazowieckiej, i pieczętował się herbem Dąbrowa. Jego rodzina była bardzo ubogą i nadzwyczaj mało znaczącą, nawet w powiatach i w województwie w którym osiadł, bo nazwiska Karasów nie spotykamy wcale po herbarzach szlachty polskiej. Ojciec oddał Kazimierza na służbę do domu panów możnych. Karas na tym wcale nie stracił. Jakie przechodził koleje, i jak się potem dostał do Poniatowskich, objaśnić nie potrafimy; dosyć, że na dworze znakomitego wojewody mazowieckiego, a potem pierwszego kasztelana w senacie, młodość swoją przepędził młody Kazimierz. Na tym dworze zapoznał się Karas z całą rodziną Poniatowskich i Czartoryskich, i przywiązał się do niej. Stanisława Augusta znał od lat dziecińczych. Karas starszy o lat 20 przeszedł do Stanisława, był może pierwszym mentorem późniejszego króla.

Za staraniem Poniatowskich, został Karas za łaską króla Augusta III, cześnikiem liwskim. Nie opuszczał też starego kasztelana krakowskiego: wielką część życia swojego przepędził z nim w Rykach, starostwie kasztelana. Sam mu też zamknął powieki. ⁽¹⁾

W czasie bezkrólewia (w r. 1764) Karas był administratorem poczt w koronie i w Litwie. Następnie obrany posłem z ziemi warszawskiej na sejm elekcyjny, gorliwym był stronnikiem Stanisława Poniatowskiego. A kiedy ten syn dawnego pana jego wybrany królem został, szczęśliwy Karas aż dwa razy dyplomata elekcyjny podpisał, raz z ziemią liwską, której był urzędnikiem, drugi raz z ziemią warszawską, od której na sejm posłował. ⁽²⁾ Zaraz też za wstąpieniem na tron Poniatowskiego, Karas zasiadł w senacie, bo król go mianował kasztelanem wiskim (1764).

Niedosyć na tym. Król chciał Karasia przywiązać do swojej osoby, i wynagrodzić jego zasługi dotychczasowe dla Poniatowskich. Powiadają wszyscy, co znali Karasia, że to był obywatel prawy, mąż doświadczony w radzie, stały w przedsięwzięciu, mąż jednym słowem obyczajów nieposzlakowanych i staropolskiej cnoty. ⁽¹⁾ Król Poniatowski, chociaż żony nie miał, prowadził życie towarzyskie, i kochał się w dworze okazałym. Ztąd potrzebował marszałka, kierującego całą służbą zamkową. Konstytucja Rzeczypospolitej znała urząd marszałków wielkich i nadwornych; ale i jedni i drudzy byli senatorami, piastowali dostojności ministeryalne. Marszałek nadworny kiedyś, za czasów pierwszych Jagiellonów, był niczem więcej, tylko prywatnym sługą królewskim, ale z czasem dopiero urosł na senatora i ministra. Król Poniatowski chciał teraz mieć swojego prywatnego marszałka, płatnego ze skarbnicy zamkowej, i dozorującego służbę na jego dworze, niby naczelnika szambelanów, których tysiącami tworzył, i gospodarza w prywatnym swoim mieszkaniu. Na ten urząd przeznaczył Karasia. Kasztelan wiski przeniósł się zatem na komnaty zamkowe, i strzegł osoby pana swojego.

Nowy senator w r. 1765 d. 8 maja został mianowany kawalerem orderu Śc. Stanisława. Dowód to zapewne wysokiego szacunku króla, który rozwijając myśl własną, w duchu ustaw orderu, Karasia przyozdobił przy pierwszej nominacji krzyżem, o który się wielu panów dobijało, i który Stanisław wtedy na piersiach wszystkich członków swojej rodziny zawiesił. Poniatowski też bardzo lubił Karasia.

Kasztelan wiski został później, w r. 1766 członkiem kompanii rękodzielników, i w jego pokojach na zamku odbywały się coroczne wybory assesorów tego towarzystwa. ⁽²⁾

Z koleją czasu, Karas otrzymał jeszcze z rąk króla starostwo ryckie, potem goszczyńskie, wreszcie order orła białego na piersi.

Wśród burz, które wtenczas Rzeczpospolitą miotaly, Karas zachował całą spokojność umysłu. Na sejsach mówił rzadko, bo zresztą i nie miał nawet zwyczaju występować publicznie. Całe je-

⁽¹⁾ Patrz list Karasia o tej śmierci do pułkownika Jakubowskiego z Ryk, 23 września 1762 r. w piśmie wychodzącym w Lesznie 1838 r. Nr. 44, dnia 5 Maja.

⁽²⁾ Pietruski.

⁽¹⁾ Gazety, i Krasicki w dopełnieniach do herbarza Niesieckiego.

⁽²⁾ Wiadomości Warsz. 1767 w maju.

go życie tak cicho w domowym zaciszu spłynęło. Lubo był członkiem wielkich magistratur rządowych, lubo zaufanie króla i samo stanowisko, które zajmował, do wyższych przeznaczeń dawało mu prawo, Karaś spokojny nie troskał się o nic. W r. 1769 zasiadł w asesoryi koronnej, jako jeden ze czterech reprezentantów senatu. Niespokojności w kraju były przyczyną, że tę godność dłużej piastował jak chciało prawo, bo sejm nie było, ażeby odnawiał peryodycznie skład komisji rządowych. Takim sposobem w asesoryi koronnej Karaś zasiadał aż do śmierci. Później już w r. 1773, wyznaczony został z sejmu kasztelan wiski do delegacji, która zawrzeć miała pokój z ościennymi mocarstwami, i nowy kształt rządu ułożyć dla Rzeczypospolitej. Ale niema znowu śladu, żeby zbyt czynnym członkiem był Karaś delegacji sejmowej. Popisywali się inni z wymowa, podniecali opozycję, spierały się zdania i ludzie, a Karaś milczał. Pilnie przeglądając obrady delegacji, myślny ani razu nie spostrzegł w protokołach ani jednej mowy Karasia, ani też najmniejszej o nim wzmianki.

Kasztelan wiski dwa razy się żenił. Pierwsza jego żona była Francuzka z domu, Maryanna Reaux albo Reux, druga Elżbieta z Hubińskich. Z pierwszej miał jedną córkę Annę, którą wydał za Bernarda Szwykowskiego, starostę oniskiego na Litwie, z drugiej miał trzy córki i dwóch synów: Teresę była za Felixem Górskim podstolim, podstarościm i sędzią grodzkim warszawskim, a później podkomorzym swojej ziemi; Ludwika za Onufrym Bromirskim starostą plockim. Inne dzieci Karaś małoletnimi odumarał. Krasieki który żył wtenczas, a pisał dopełnienia do herbarza Niesieckiego, bardzo niedostateczną miał wiadomość o tej rodzinie kasztelana wiskiego. Żony jego pierwszej nie znał, druga podług niego była jakas Oberówna, o synach nie wiedział. Że król Poniatowski zajmował się jednak mocno tą rodziną, dowód mamy w częstych wzmiankach o niej po gazetach ówczesnych. Tak np. piszą Wiadomości warszawskie z roku 1767, że kiedy kasztelanowa w miesiącu styczniu powróciła do Warszawy, zaraz z córką przedstawiła się królowi na pokojach zamkowych. (1)

(1) Wiadomości Warsz. 1767, Nr. 9.

Poniatowski darował w r. 1769 Karasiowi kamienicę, dwory i grunta, leżące na Oboźnej ulicy, naprzeciw starej kaplicy, zaraz obok gmachów Kazimirowskich. Na tych gruntach powstał Karasiowski pałac zdobiący dzisiaj plac Kopernika.

Akta odnoszące się do tego gruntu, a które strony przy późniejszych działach składały, pochodziły jeszcze z roku 1408, z czasów Jana starszego, księcia na Warszawie. (1) Byłyto grunta ulegające naturalnie władzy miejskiej, i z ręki do ręki przechodziły z jednej do drugiej mieszczańskiej rodziny, w stolicy, aż do czasów Władysława IV. Wtedy część gruntów, na których dzisiaj stoi Karasia pałac, należała do krawca Jana Paulewicza czy Pradewicza i żony jego Eleonory z Orlandów. Król kupił ten grunt i domek na nim, leżący wtedy pomiędzy ziemią książąt Ostrogskich a własnością sławnego Wojciecha Karczmarza. Sprzedaż zeznaną została w aktach wójtowskich i ławniczych Warszawy, i oblatowana dopiero w r. 1699.

Władysław IV grunt Pradewiczowski kupił tylko do wynagrodzenia nim zasług jednego ze swoich dworzan, bo już w r. 1646 nadał dom swój na Krakowskim-Przedmieściu, Dytremu Majdlowi i jego dziedzicom prawem miejskiem. Później już w r. 1659, Jan Kazimierz, prawo na grunt królewski podle domu Majdla naprzeciw kaplicy, nadał innemu swojemu dworzaninowi Sebastianowi Maniewiczowi i żonie jego Jadwidze. Takim sposobem około gruntu Majdlowskiego kupiło się wiele gruntów późniejszych, które potem złożyły jedną wielką posiadłość. Teofila z Ostrogskich księżna, żona Dymitra Wiszniowieckiego, nabyła także prawo do części Kazimirowskich gmachów, i oderwała od niego spore ziemie, które do pałacu Karasiowskiego później należały. Jeszcze Zygmunt III winien był Alexandrowi Ostrogskiemu 250,000 złp., i sumę tę na Kazimirowskich gmachach zabezpieczył. Teofila prócz tego 8,000 złp. na naprawę samego pałacu włożyła. I Daniłowiczowie mieli pretensye

(1) Dowody ta, były: 1^o przywilej Jana starszego księcia, Piotrowi pielgrzymowi na wójtostwo w Warszawie, dany w dzień Świąt Jana Apostoła i Ewangelisty w roku 1408. — 2gi akt zawierał poświadczanie między księstwem Dominikiem, dziekanem kolegiaty Świąt Jana w Warszawie, ze szlachetnym wójtem, prezydentem, i wszystkimi porządkami miasta, względem dziesięciny wytycznej przez mieszczan warszawskich, z gruntów do granic Jazdowa posiadanych, z dnia 5 sierpnia 1409.

do tych gmachów i gruntów. Z koleją czasu potem i ksiądz Baudouin chce ich odziedziczyć dla szpitala Dzieciątka Jezus, skutkiem: darowizny majątności. Nareszcie różne przechodząc koleje, grunt naprzód Pradewiczowski, potem Majdłowski, wreszcie Grymowski, skupiwszy około siebie wiele późniejszych posiadłości, w początkach panowania Poniatowskiego był własnością Olborskich. Alexander Ossoliński, starosta drohicki, kupił ten grunt pusty od dziedziców Mikołaja Olborskiego w roku 1765, to jest od wdowy po nim Ewy, Krzysztofa Bromirskiego, zapewne zięcia i Tekli z Olborskich. Ale już 1766 roku, 10 lutego, Józef Ossoliński, starosta sandomierski, zeznał, że właścicielem gruntów jest król Stanisław. (1)

Nadanie przez Poniatowskiego tych dworów, kamienic i gruntów Karasiowi nastąpiło, jakżeśmy powiedzieli w roku 1769. Dyplomata nosi datę 19 sierpnia tegoż roku.

Karasz nie wyrobił na sejmie libertacyi dla swojej kamienicy, która dlatego samego ulegała ciągle prawu miejskiemu, podług ustaw chełmińskich. Po śmierci też jego, miała się według przepisów tego prawa rozdzielić, między wdowę kasztelaną i jego dzieci. Karasz na gruntach sobie darowanych przez króla, wynmurował pałac tak wielki, jakim go dzisiaj widzimy; murował razem z żoną, i ztądto zapewne jej prawo do spadku. Ale prócz tego pałacu posiadał jeszcze mały dworek na Stanisławowie, także mu przez króla nadany. I ten dworek miał w połowie przejść na żonę, w połowie na dzieci.

Kasztelan wiski przełamał jednakże prawo miejskie, i przeczuwając śmierć bliską, sporządził na dniu 1 stycznia 1775 roku testament, złożony w aktach publicznych w dni 10 potem, mocą którego inaczey rozporządził pałacem, jak mu wskazywały przepisy prawa chełmińskiego. Opiekunem córki Maryanny wyznaczył żonę, a opiekunami synów, książąt: Michała Poniatowskiego i Kazimierza braci królewskich, tudzież znakomych obywateli, jakimi byli: Roch Kosowski podskarbi nadworny korony; Jacek Ogrodzki sekretarz wielki; Jędrzej Mokronowski generał, póź-

niejszy wojewoda mazowiecki, i Jan Kicki koniuszy wielki koronny. Niedługo potem umarł Kazimierz Karasz kasztelan wiski w Warszawie dnia 6 lutego 1775 roku. Miał lat 64, pochowany u Kapucynów. Na jego pogrzebie znajdował się sam król jegomość.

Obadwa urzędy Karasia i krzesło w senacie, i łaskę nadworną zamkową, odziedziczył w r. 1775 Tomasz Alexandrowicz, inny ulubieniec królewski.

W rok prawie po śmierci Karasia, wywiązała się sprawa o dziedzictwo pałacu, pomiędzy jego spadkobiercami. Szło właśnie o to, czy kasztelan miał prawo rozporządzać gmachem, który zbudował, wbrew prawom Warszawy. Z jednej strony stawały 4 siostry, z których najmłodsza pod opieką matki, z drugiej dwóch małoletnich braci. Pówd i pozwani zgodzili się zresztą na sąd polubowny. Sąd ten składały trzy osoby: prezesem był Antoni Okecki biskup chełmiński, ze strony zaś Izabelli wdowy po kasztelanie, zasiadał w sądzie Józef Mikorski podkomorzy gostyński, pisarz kommissyi skarbu koronowego; a od spadkobierców Karasia, zaproszony był Piotr Sumiński, wtenczas starosta grodowy bobrowicki, i konsyliarz rady nieustającej, później wojewoda inowrocławski. Sąd odbył się na gruncie dnia 5 lutego 1776 roku. Ze strony sióstr czterech, stanął pełnomocnik Jan Żurawski, podsędkowicz ziemski wyszogrodzki, a ze strony małoletnich kasztelanów: Kajetana i Michała, stanęli osobieście, książę Michał Poniatowski biskup pł., i Jacek Ogrodzki. Wyrokiem tegoż dnia wydanym, po rozpatrzeniu dowodów, jakie obiedwie strony poskładały, rozwiązano testament Karasia, a tém samém uznano jego pałac nie za osobną jaką jurydykę, a za gmach podległy miejskiemu prawu. Na mocy tego, wdowa kasztelanowa Elżbieta z Hubińskich, połowę pałacu zajęła na swoją własność, a druga połowa dostała się dzieciom Karasia.

Pani Karasiowa potrafiła jeszcze na starość zwabić sobie młode serce i oślnąć je wdziękami swojemi. W półtora roku po śmierci pierwszego męża, powtórnie zawarła ślubny z Marcinem Ledóchowskim starostą rudeckim, w dniu 3 lipca 1776 roku w Warszawie. Poprzedniego dnia jednakże zawarła z przyszłym mężem swoim umowę przedślubną. Wynagradzając niby jego dobre serce, i szczerę przywiązaną do siebie (temi się przy-

(1) Dziejów gruntu Pradewiczowskiego, nauczyliśmy się z księgi: *Liber transactionum jud. et S. C. A. V. anni 1776.* Za pisarstwa Antoniego Wiesz. Mianowskiego księgi Nr. 589 fol. 824, 879, 884, 1391.

najmniej wyrazami tłumaczy pani kasztelanowa), ustępowała Ledóchowskiemu połowy swojej Karasiowskiego pałacu, i połowy dworku na Stanisławowie, zobowiązując się, że po śmierci swojej, mąż zostawi dziedzicem całego swego majątku, i że tylko jedynie część czwartą zabezpieczy dla prawnych spadkobierców. Takim sposobem, zdaje się, że li tylko interes spowodował młodego starostę do zawarcia związków tak nieostojnych, z kobietą dobrze od siebie starszą, i matką dzieciom. Oczywiście robiąc interes, Ledóchowski chciał żonę mieć w ręku. Na mocy zatem aktu urzędowego z dnia 2 lipca, starosta rudecki 11 listopada 1776 r. wszedł w posiadanie połowy swojej pałacu.

Nie wiemy jak zgodne było pożycie nowej starościny rudeckiej z drugim mężem. Zdaje się, że wkrótce czasie poumierali oboje bez potomstwa, a jednak pałac cały po ojcu, nie zaraz wrócił do dwóch kasztelanów wiskich Karasiów.

Miedzy Ledóchowskim a jego żoną, zaszyły jakby nieporozumienia jakieś, — i bardzo niedługo po ślubie, już i jedno i drugie zrękało się prawa do połowy pałacu. Może synowie dali poznać matce, że wcale niepotrzebnie szła za mąż, mając dorosłe dzieci, i że przez to uszczuplała im majątku, może jaka dawniejsza rodzinna nienawiść, była temu przyczyną, dosyć, że Ledóchowski z żoną postanowiwszy wyrzec się swojej części pałacu, nie oddawał jej kasztelanom, a jakby im właśnie na złość, odstępował zupełnie praw swoich skarbowi króla jego mości. W roku 1777 w dniu 13 listopada, oboje Ledóchowscy przed aktami metryki mniejszej koronnej zeznali, że po nich prawym właścicielem połowy pałacu Karasiowskiego ma być król Stanisław.

Poniatowski później właśnie na tych miejscach, sąsiednich z jego dziedziczną jurydyką Stanisławowem, zakładał drugą oddzielną jurydykę, która się nazywała obozną, czyli printzenhofem. Król stawiał tutaj znaczne zabudowania, budował stajnie i rajt-szule, dokupował od mieszczan grunta, pobierał z nich czynsze, opłaty i daniny. Dzisiejsza wózka, brudna uliczka Obozna, pozostała jedyną pamiątką tej jurydyki, o której глуcho w kronice naszego miasta, a nawet i w *Starożytnościach Warszawy*. Była w tej stronie mała kamieniczka, własność niedgys uczonego Wawrzyńca Mizlera a Kolof i dla-

tego Miclerowską nazwana. Tę kamieniczkę przez osobny dyplomata nadał król Biernackiemu, i jedna ta była obca possessyjka wespół z całą jurydyką obozną. Teraz do tej jurydyki przybywała i połowa pałacu Karasiów.

Tymczasem kasztelanice obydwa, Kajetan i Michał, poszli za przykładem ojca, i udali się na dwór. Kajetan został podkomorzym nadwornym, czyli jak mówiono już za Poniatowskiego szambelanem; a Michał sekretarzem królewskim. Obadwa bracia odziedziczyli po ojcu łaskę Stanisława, sami też pomiędzy sobą żyli zgodnie, w braterskiej przyjaźni. Kajetan więcej lubił spokojność i ciszę wiejską, i dlatego osiadł na prowincyi, w ziemi liwskiej, i tutaj się nawet ożenił pod Siedlcami z młodą dziedziczką wioski Iganie, Anną Okińską. Sam, w okolicy posiadał dobra swoje Opole. Była to wieś zarobna, ale zupełnie zaniedbana, i gospodarstwo w najgorszym stanie zostawało. Posagiem żony, którą nadzwyczaj kochał, bo dobrą była, i przywiązaną do niego, oczęścił Kajetan Opole, i do porządnego stanu doprowadził. Do Warszawy nie często zaglądał.

Względem pałacu, obadwa bracia zawarli z sobą umowę pod dniem 9 lipca 1784 w Warszawie. Michał już wtenczas i starosta zadybski część swoją pałacu sprzedał tego dnia Kajetanowi za 15,000 złp. które natychmiast pan szambelan wyliczył bratu. Ale widać, że i później jeszcze starosta zadybski miał część własności na pałacu, może wskutek spadku po jakiej siostrze, bo znowu w roku 1793 w dniu 3 kwietnia Michał nową część pałacu, sprzedał Kajetanowi, i zeznał o tём urzędowo, w trzy dni później (6 kwietnia) w zamku warszawskim przed konfederacją ziemi warszawskiej. Tegoż samego dnia, woźny inieniem Kajetana tę część gmachów objął w posiadłość. (1)

Niedosyć na tём: szambelan Karas tak się rozsiadał w rodzicielskim gmachu, że raz jeszcze na pewne wchodził w układy o własność pałacu z bratem, jeżeli już sam koniecznie miał zajmować obszerne komnaty ojcowskiego mieszkania. Król Stanisław podarował połowę pałacu z całą jurydyką obozną, i wszystkimi jej zabudowaniami Karasiowi. Właśnie wtenczas, kiedy bawił w Grodnie, po złożeniu korony, upelnomocnił Onufrego

(1) Indukty w Matr. kor. księga 127, 355.

Kickiego pod dniem 4 stycznia 1796 r. do wszelkich urzędowych czynności w swoim imieniu. Do niego więc z kolei nadsyłał rozkazy z Grodna, co ma robić, jak długi płacić, jak chodzić za interesami, które Poniatowski zostawił w Warszawie. Właśnie wtenczas polecił mu król jegoomość, pod dniem 17 maja 1796 roku, żeby całą połowę pałacu Karasiów, oddał kasztelanom wiskim. Poniatowski, jak powiedzieliśmy, całą tutaj jurydękę założył, gmachów dokupił, postawił różne zabudowania, i pobierał znaczne czynsze. W samym nawet pałacu wiele zmian własnym kosztem dokonał. Koniuszy królewski koronny, Onufry Kicki, posłuszny był rozkazom królewskim. Zeznał przed władzami pruskimi to, co mu polecone było, i rzekł się prawa Stanisława Augusta do całej jurydyki Oboźnej, na rzecz Karasiów i do połowy pałacu, i do połowy dworku na Stanisławowie. Intronmissya Karasiów do pałacu i dworku zapisana jest w aktach Warszawy, pod dniem 1 czerwca 1796. (1)

Teraz wspomnieć jeszcze musimy o dalszym losie samych kasztelanów wiskich.

Michał ożenił się z Franciszką Czempiąską, wdową po Pawle, doktorze medycyny i radcy nadwornym króla Stanisława Augusta, sławnym i uczonym lekarzem w stolicy. Kontrakt ślubny podpisany był przez obidwie strony na dniu 30 marca 1795 roku. W kontrakcie tym rzekł się Karas praw wszelkich do majątku po przyszłej żonie. Prawo miejskie Warszawy, jakśmy to już uważać mogli, kiedysmy o staroście rudeckim pisali, stanowiło, że mąż do majątku żony po jej śmierci, i nawzajem żona do majątku męża, ma prawo na równi z pozostałymi dziećmi: dzieci brały połowę, a pozostali przy życiu małżonek drugą połowę. Oczywiście, prawo to było obowiązujące li tylko dla nieruchomości w samej Warszawie. Paweł Czempiański miał po ojcu swoim grunta i dworki w Warszawie; teraz po jego śmierci, wdowa po nim, Franciszka, połowę całego majątku brała na własność. Idąc powtórnie za mąż, z tej połowy, jeszcze połowę, podług prawa ustępowała Karasiowi. A zatem spadek po Pawle Czempiańskim bardzo się rozdzielał na głów wiele. Dzieci jego miały tylko połowę, jedną czwartą ich matka, a znowu je-

dną czwartą ich ojczym z żonę. Wrazie śmierci matki, gdyby pozostawiła dzieci z drugiego małżeństwa, połowa tej jednej czwartej części spadłaby na Czempiańskich, połowa na Karasiów, według liczby głów. W każdym razie, majątek Pawła Czempiańskiego, chociaż w części przechodziłby takim sposobem na dzieci nie jego. Troskliwa matka chciała jednak zapewnić prawo dzieci swoich pierwszego małżeństwa. Na mocy zatem kontraktu ślubnego, Karas rzekł się swojego prawa do czwartej części pozostałości po Pawle Czempiańskim, za siebie i następców swoich, tak, że nowa jego małżonka mogła cały majątek pierwszego męża, oddać tego męża dzieciom. (2)

Kajetan zaś umarł w roku 1798. W dniu 4 października tegoż roku, oblatowany został w grodzie liwskim jego testament, pisany jeszcze na lat 14 przed śmiercią, to jest w r. 1784, po długiej i ciężkiej chorobie. Ciekawe są zapisy tego testamentu, a raczej ciekawe szczegóły uposażenia żony, którą Kajetan wdową zostawił, a dla której i nad grobem tchnął jeszcze prawdziwą miłością. Pisał w testamencie, że całe życie widział w niej przyjaciółkę pełną poświęcenia się i kochaną. Opisywał jej dobre serce i przytaczał przykłady. Żeniąc się już z nią, zapisał jej dożywocie na całym swoim majątku. Ona dla niego zrobiła to samo.

Kajetan wziął za żonę posagu 14,130 złp. oprócz 1,800 złp. które opiekun wyliczył jej na wyprawę. To już były dwa kapitały wdowy w r. 1798. Dalej następował trzeci, pochodzący ze sprzedaży części pałacu w Warszawie, podług prawa chełmińskiego; z tej sprzedaży połowa, to jest 10,000 złp. szło na żonę. Potem Karas zapisał żonie dobrowolnie ze swego 40,000 złp. Oprócz tego, należało się wdowie 30,000 złp. jako cena za sprzedanie dóbr jej dziedzicznych Iganie, które kupił pan Laskowicz. Swoje zapisy oparł Karas na Opolu, ale że Opole, jakśmy mówili, bardzo zniszczone było, Karasiowa sama nie chciała, żeby tak ogromne ciężary zalegały na dziedzicznej wiosce męża, i dlatego wbrew jej życzeniu, rzekła się 25,000 z owych 40,000 złp., które Karas dobrowolnie jej ofiarował. Tymczasem, kiedy za użyciem jej kapitałów i zakupieniem inwentarza, Opole wróciło do pierwszego stanu zamożności, Karas w testamencie,

(1) Indukty księga 912, str. 669 i 671.

(2) Oblaty, indukty w Metr. kor. księga 336 str. 415.

znowu te 25,000 żonie odkazywał. Tak więc miała w r. 1798 wdowa po Kajetanie 93,930 złp. Nie liczył w to Kajetan jeszcze 15,000 złp. jako reszty ze sprzedanej połowy Igań, którą na tej wiosce właśnie zapisał jęj Laskowicz. Kajetan prócz tego oddawał żonie połowę palacu w Warszawie.

Opiekunami jęj stanowił dobrych i szczerých przyjaciół, to jest: Kazimierza Lemnickiego, sta-

rostę janowskiego i Ludwika Bujnę, szambelana Stanisława Augusta. Później dodany jeszcze został i szambelan Żaluski.

Testament datowany był w Siedlcach 15 sierpnia 1788 r.

28 kwietnia 1850,

Julian Bartoszewicz.

OWCA, JĘJ GATUNKI I RASY.

Rodzaj *owca* (*ovis*) stanowi czwartą grupę pokrewieństwa zwierząt przeżuwających, zwanych *bydlem*, które mają rogi właściwe, nie dzielne, próżne, trwałe, na kościanych trzonach osadzone, kopyta rozdwojone czyli racice. Owca różni się od innych rodzajów tego pokrewieństwa, karbowanemi w poprzek, ślimakowato skręconemi rogami, łukowatym szczytem pyska i wypukłym czołem, tudzież podbródkiem bez brody, jaką mają kozy. Dzikich gatunków tego rodzaju zwierząt ciało jest mniej więcej łąkowane, pokryte włosiem gładko leżącym, pod którym widać krótką, delikatną, ale gęstą wełnę, nogi cienkie; rogi u różnych gatunków owiec, w stosunku do głowy i całego zwierzęcia, zwykłe są bardzo duże, mniej więcej kanciaste, brudno-białe lub żółtawe, ślimakowato skręcone, na boki zwrócone. Samce zwykłe bywają większe od kozłów skalnych, samice czyli owce wielkością nie przechodzą kozy domowej, i albo żadnych albo bardzo małe w porównaniu do samców mają rogi, które wtedy są prawie proste, kończące. Masę dzikich owiec bywa, po największej części, gniado-siwa czyli podobna do ciemnogniadej maści sarny. Wszystkie żyją stadami, i zamieszkują najniebezpieczniejsze w górach okolice. Owce są mieszkańcami wszystkich części świata, tylko w Nowej Holandyi ich nie znaleziono krajowych, a wszystkie teraz tam niezmiernie rozmnożone, pierwotnie z Europy sprowadzone zostały. Sato w ogólności zwierzęta łkliwe, a przeto, jak wiele gatunków zwierząt przeżuwających, bardzo ciekawe, nie tak przecież głupie jak je po-

spolite przysłowie okrzyczało. Owca obdarzona jest instynktem, którego zewnętrzne oznaki wydają się częstokroć jakby były skutkami zastanowienia. Barany są odważniejsze od kozłów. Widać je ciągle staczające między sobą zawzięte walki o posiadanie samicy, a wtedy uderzenia ich bywają tak silne, iż jeden drugiego nieraz ze skały w przepaść strąca. Nie leką się napasć ani lisa ani psa, częstokroć je nawet zabijają, a w krajach, gdzie częstokroć, jak np. w Niemczech, stada domowych owiec samopas bywają zostawiane, tyle nieraz okazują tę zwierzęcą odwagę, iżby trudno było uwierzyć, gdyby tego nie widziano. Poznane dotąd, choć niedosć jeszcze dokładnie opisane, gatunki tego rodzaju są:

Owca sybirska czyli *Argali*, *Ovis Ammon*, fig. 1, mieszkanka Azji, od wielu wieków już znana, jak utrzymują u wschodnich ludów od niepamiętnych czasów przyswojona, a przecież dopiero w drugiej połowie zeszłego stulecia przez Pallasą dokładniej została opisana. Właściwą jęj ojczyzną są bezłesne pasma gór, i wysokie płaszczyny środkowej Azji, zaczawszy od gór Altajskich aż do zatoki Ochockiej, czyli właściwa Syberya. Nie napotkano jęj w Persyi, Armenii ani w Kaukazie, a spostrzegano tam przez niektórych pod tém nazwiskiem, jest innym gatunkiem zwanym *Owca Gmelina*. Owca sybirska mieszkanie swoje rozciąga aż do 60° północnej szerokości. Wielkością równa się danielowi lub mierniej lani; dorosły baran tęg owcy bywa 6 stóp i więcej długi, w przodzie i w tyle do 3 stóp 7 cali wysoki. Rogi ma bardzo



Civici Kozay

grube, przy nasadzie trójgraniaste, z kantami tępemi, od przodu płaskie, wpoprzek karbowane, swoją nasadą cały tył głowy zajmują, wznosząc się w górę, potem zwracają najprzód, na boki, i ku tyłowi, dalej naprzód, ku dołowi, i w końcach znowu do góry są zakrzywione, sterczące, koloru brunatnego, w siwy wpadającego. Bywają te rogi do $3\frac{1}{2}$ stóp długie, a ważą razem 30—40 funtów. Rogi owcy są prosto sierpowate, rzadko kiedy nad 1 stopę dłuższe. Runo na tych owcach latem jest od końca pyska aż do krzyża brudno-białe, na bokach i większej części brzucha brunatne, a przez krzyż idzie ciemniejsza brunatna pręga, która siwo-biały tył i $3\frac{1}{2}$ cala tylko długi ogon oddziela. Na zimę ginie brunatny kolor, całe runo staje się białawem, tylko osadę ogona otacza brunatnawe kółko. Samice są mniejsze od samców, masę ich jest jaśniejsza, i nie mają na tyle białego zwierciadła, po którym zdaleka samca rozpoznać można. Włos na sybirskiej owcy jest długi, tęgi, a pod nim jest bardzo gęsta i miękka wlna. Owce te żyją stadami, żywią się w lecie bujnemi górnemi ziołami, zimą zaś mchem i porostem. Są nader pierzchliwe, równie jak kozy, zręczne do biegania po najwęższych ścieżkach i urwiskach wierzchołków skał, ponad straszniemi przepaściami. W czasie pleciowego popędu, samce stacają z sobą zapalczywe walki, tak, iż się często zabijają. Samice kocą się dwa razy do roku, na wiosnę i w jesieni; wydają jedno lub dwoje jagniąt, siwą wlną pokrytych, które z mału złowione, łatwo oswoić się dają. Dorosłe są nadzwyczaj pierzchliwe, bojaźliwe, a jednak bardzo ciekawe. Za najnniejszym poplochem, szybko ale w bok uciekają, niedaleko jednak ubiegają, podobnie jak owce polspolite, stają i oglądają się na ścigającego. Mogolowie i Tunguzi, wielkie zamiłowanie polowania na te owce mający, korzystając z takiej naturalnej własności tych zwierząt, robią pewny rodzaj łalki, którą owce spostrzegłszy, ciekawie się jej zdala przypatrują, a tymczasem owi ludzie z tyłu je zachodzą. Szezuja je także psami, lecz zawsze polowanie to, z przyczyn miejscowości, bywa bardzo niebezpieczne, ile że i barany, rogi nadstawiawszy, na napastującego uderzają, a tak niejednemu krajowicę życiem te łowy przyplacić musi. Mięso ulubionym jest pokarmem dla ludzi, ale tylko latem i w jesieni; w zimie bo-

wiem, dla braku i ladajakiego pożywienia, mięso tych owiec jest bardzo chude. Skóry służą sybirskim mieszkańcom za odzież, i nawet w miejscu poplaczają; z rogów robią łyżki, naczynia do picia i t. d.

Owca Gmelina czyli *Ormiański Argali*, *Ovis Gmelini*; dawniej poczytywana była za jedno z owcą sybirską; dopiero *Gmelin* opisał ją jako oddzielny gatunek, znalazłszy wiele tu i owdzie na górach w Persyi rogów, które barany, walcząc z sobą, pozbiły. W Armenii także owce te często widzieć się dają, i znacznie się różnią od gatunku dziko tam właściwie żyjącego. Wielkością równają się pospolitym baranom, mają rogi w tył zakrzywione, końcami wewnątrz zagięte, 20 cali długie, grube, trójkanciaste, głęboko karbowane, białawe; masę kasztanową, włos krótki, połyskowny, a u samców od podbródka aż na piersi zbiega czarna pręga długich włosów. U owiec i baranów widać w górze na przednich nogach niby małe wieńce dłuższych włosów, które u innego poniżej opisanego gatunku wydatną grzywę stanowią.

Owca śniegówka, *Ovis nivicola*, podobna do owcy Gmelina, i częstokroć za jedno z owcą sybirską poczytywana, najpierw przez *Eeschscholza* opisana, zamieszkuje góry kameczackie; widziano ją także na wyspach Kurylskich i Aleuckich, dokąd zapewne z bryłami lodów zapłynęła. Wielkości jak owca pospolita, a od owcy sybirskiej różni się kolisto zakrzywionemi rogami, i mascią w zimie do sarniej podobną. Wiadomości o dzikiej owcy azyatyckiej dotąd jeszcze są niepewne, niedokładne; spodziewają się jednak naturalści, że im się uda wykryć pierwotny ród tak szacownej owcy pospolitej. Szczególniej zaś obfite są w dziko żyjące, może jeszcze niepoznane dotąd gatunki dzikich owiec, góry środkowej Azji. Na 16,000 stóp wysokości, na wschód Bucharyi leżącej płaszczyźnie, zwaną *Pamir* żyje gatunek tegoż nazwiska owcy *Ovis Poli*, którą Kirgizi *Rass* lub *Rass* nazywają; już *Marco Polo* o niej wspomniał, a *Burnes* i *Wood* napotkali ją także w Bucharyi. Gatunek ten bywa tak wielki, iż sztuka dobrze wyżywiona, wystarczy za ładunek na jednego wierzchowego konia; rogi tej owcy bywają 3, 4 aż do 6 piędzi długie, i służą krajowcom za wielorakie do różnych użytków naczynia; żyje stadami w najzimniejszych okolicach,

kórych unikają wszystkie inne zwierzęta; maści jest szaro-płowej. Burnes, równie jak Marco Polo, w swych podróżach napotykali opuszczone obozowiska Kirgizów, a w nich kupy rogów owcy Pamirskiej, które jużto świadczą o pomysłnie odbytych na te zwierzęta łowach, już oznaczały granice, i razem ogrodzenia obozów. Kirgizi skwapliwie na te owce polują dla dobrego ich mięsa; biją je strzałami, i opowiadają że dorosły, na sztuki porąbany baran, wystarczy za ładunek na dwa wierzchowe konie. W Nepalu, czyli raczej w górach Himalajskich, żyć jeszcze mają dwa inne gatunki dzikich owiec, zwane *Nahoor* i *Burrhel*, i przebywają najczęściej małemi stadami, pod wodzą starego barana, na najwyższych położonych, lodowinami otoczonych dolinach.

Owca stepowa lub *Muflon*, *Ovis musimon*, dawniej uważana była za pierwotny ród owcy domowej; przynajmniej europejskiej, i podobno niegdyś zamieszkiwała całą południową Europę; obecnie znajduje się jeszcze na wyspie Korsyce i Sardynii, gdzie trzyma się najwyższych szczytów odkrytych gór, stadami po sto do dwustu sztuk, pod wodzą starego barana. Od sybirskiej owcy różni się tylko mniejszą wielkością i tēm, że samice, małe lub najczęściej żadnym rogów nie mają. Biega i przeskakuje po górach śmiało i zręcznie, jak dzika koza, skacze ze skały zawsze na nogi, nie na rogi, jak *Ceti* utrzymywał: w swych obyczajach wiele ma do kóz podobieństwa. Jest bardzo pierzochliwa a prztem wielce ostrożna, zmyslna, umie zdaleka spostrzedz strzelca, i wczesnie zabezpieczyć się ucieczką. Łączy się w pary w miesiącach grudnia i styczniu, a wtedy barany zapalezione staczają między sobą walki. Owca wydaje w maju lub czerwcu dwoje jagniąt, które już w kilka dni za matką biegają, i śmiało wybijają od nieprzyjaciół bronię. W trzecim dopiero roku dorastają naturalnej wielkości, ale już w osmnaście miesięcy są zdolne do rozmnażania się. Masę tych owiec jest w ogólności żółta, przechodzi jednak jużto w kolor kasztanowo-brunatny, już w czarny; po grzbiecie idzie zwykle ciemniejsza pręga. Głowa zwykle popielata; pysk, okolice około oczu, brzuch, pachwiny, końce nóg i koniec ogona zawsze białe. Często też widać odmianny jasny maści. Muflon bywa długi $3\frac{1}{2}$ stóp, w przodzie 2 stóp 3 cale wysoki; rogi u samca księżycowato skrzywione, ostro-

kończyste, spłaszczone, przy nasadzie trójkątne, karbowane, brunatne, do 32 cali długie, uszy miernie długie, prosto do góry stojące. U samicy rogi ledwo 1—2 cali długie. Jagnięta płowe.

Owca *Angolańska* lub *grzywiasta*, *Ovis tragelaphus*, fig. 4, powierzchownością równie do kozy jak i do owcy podobna. Dorosły baran nieważ blisko 6 stóp długości, w przodzie do $3\frac{1}{2}$ stóp wysoki, ma rogi 2 stopy długie, skrzywione, ale słabokształtne nieskręcone; samica o trzecią część mniejsza, zwykle bez rogów. I owca i baran okryte są krótką, czerwono-brunatną, miękką, na końcach białą siercią; brzuch biały. Od spodu szyi wisi długa grzywa, a na przednich nogach wieniec długich gęstych włosów, jak kołnierzyk otacza w półkole kolana. Ta owca zamieszkuje całą północną Afrykę; napotymano ją także w okolicach wyższego Nilu, w Abissynii i na Synai, a na południe rozciąga się aż do 18° południowej szerokości. Na najwyższych, za granicami lasów, szczytach gór Atlasu, bardzo często ją napotymano.

Maurowie barbarzyńcy nazywają tę owcę *Andael*, a Arabowie egipscy zowią ją *Kesz*. Ani dzikie kozy ani antylopy nie są tak szybkie w biegu, tak śmiałe w przesadzaniu ze skały na skałę, ani tak zręczne i odważne w przesmykaniu najostrożniejszych, najniebezpieczniejszych urwisk i szczytów skalnych. Maurowie często na nie polują, i mięso ich za przysmak uważają.

Owca *Górna*, *Amerykańska*, *Ovis montana*; ojczyzną jej są zachodnie części południowej Ameryki, a szczególniejsze skaliste góry, gdzie daleko ku północy bywa napotymana. Jest nieco większa od owcy sybirskiej, ma grube, pięknie szrubowato skręcone $2\frac{1}{4}$ —3 stóp długie rogi; w zimie pokryta jest grubą, szorstką, w jesieni krótką, delikatną, miękką siercią. Obyczajami i sposobem życia zupełnie podobna do owcy sybirskiej.

Owca *pospolita*, *Ovis Aries*, fig. 2, zwierzę powszechnie znane, co do pochodzenia od żadnego z wymienionych wyżej dziko żyjących gatunków, z pewnością wyprowadzić się nie da; co do kształtu rogów, wzrostu, maści i okrycia, miejsca przemierzania, klimatu w jakim żyje, i obyczajów, owca pospolita uległa więcej zmianom niż którekolwiek ze zwierząt domowych. Najwydatniejszą z tych zmian jest zupełne przestoczenie się sierci czyli włosu we właściwą wełnę. Wszystkie wy-

żej opisane dziko żyjące gatunki owiec, okryte są długim, szorstkim, częstokroć nawet kruchym włosem, między którym widać na skórze mniej więcej gęstą powłokę wełniastych, śrubowato skręconych włosków. Przez wpływ do różnego stopnia posuniętego, troskliwego chowu i pieczołowitości, owca pospolita nie tylko zupełnie straciła proste dzikich gatunków włos, ale nadewszystko dostała wełnę, jakiej, mianowicie tak długiej, na żadnym dzikim zwierzęciu, wyjąwszy chyba Alpakę, nie znajdujemy. Klimat i pożywienie szczególniej przyczynić się musiały do zdziałania tej zmiany; chowem owiec od najdawniejszych czasów zajmujące się ludy, musiały już zwracać uwagę na pierwotną szczególnych indywiduów skłonność do wydawania cieńszej nad inne wełny, i musiały już otrzymywać ją bez używania przestrzeganej teraz ostrożności; zapewne się już dawno starano o utrzymanie i rozmnażanie takich owiec. Co zaś dawniej, w dogodnym klimacie, zdziałać mogła w tym względzie sama przez się natura, lub co bez wielkich trudów i zabiegów osiągnąć mogli owczarze, to obecnie u mieszkańców środkowej Europy, bywa tylko owocem bacznego i umiejętnego pielegnowania, i troskliwego różnych ras krzyżowania; wszystko tu, a bardzo wiele, działała sztuka oparta na doświadczeniu. Owce merynosy zdają się stanowić granicę, do której natura doprowadziła zmiany pierwotnego typu owcy, stosownie do celów ludzkich; lecz między merynosem a najmniej pielegnowaną, na wygonach północnej Europy pasącą się owcą, jest wiele pośrednich stopni, z których ostatni, co do dobroci wełny, mało się różni od owiec dotąd w dzikim stanie żyjących. Czasami gruby, dziki włos czyli sierć, tak dalece przewaga w runie, iż raczej włosistom jak wełnistom nazwać je można. Takie jest, między innemi, okrycie *Owcy Kretańskiej* czyli *Kretaroga*, *Ovis Aries* var. *strepiceros*, fig. 3, która ma rogi długie, ślimakowato skręcone, a żyje na wyspie Krecie, w Grecyi, Węgrzech, Wołoszczyźnie i t. d.; podobneż jest na *owcy Bucharskiej*. Oprócz okrycia, uległy także zmianom różne części ciała w różnych rasach, a szczególniej rogi, których jednym, jak np. *owcom angielskim*, wcale brakuje, w innych zaś, jak np. u *owcy Islandzkiej*, która jest bardzo mała, z krótkim ogonkiem, brunatno-czerwonawem runem, na wyspie Islan-

dy i Faroer, licznie bywa chowana, u tej mówię owcy bywa rogów po cztery aż do ośmiu; również co do wielkości, kierunku i kształtu skrzywienia, rogi bywają rozmaite. Wielce także różnią się owce ogonem, i tak: wielka masa tłuszczu tyl *owcy tatarskiej* okrywająca, dziwny nadaje jej kształt, a między wypchanemi tłuszczem pośladkami, krótki ogon prawie zupełnie niknie. *Owca długoogoniasta* w południowej Rosyi, kształtem i rogami do owcy kretańskiej podobna, ma tak długi ogon, iż się za nią po ziemi wleczy. U *owcy syryjskiej* i *egipskiej*, szeroki, zwykle długi ogon, składa się z dwóch tłuszczowych rowkiem w podłuż przedzielonych brył, które zwykle ważą do 15 funtów, a gdy się zwierzę dobrze utuczy, waga takiego ogona dochodzi 30—40 funtów, a wtedy staje się utrudzającym chód zwierzęciu ciężarem, który ono wleźć za sobą musi, jeżeli mu nie ulży troskliwy owczarz podstawieniem małego dwukółkowego wózka. Masa tę narosł wypelniająca, nie jest właściwym lojem, ale raczej podobna jest do kościowego śpiku, i częstokroć używają jej ludzie do pokarmów zamiast masła. Ta sama odmiana owcy znajduje się także w Arabii i południowej Afryce, tylko w ostatniej okolicy okrycie jej stanowi raczej gruba sierć jak wełna. Uszy także w różnych rasach różnią się długości; u jednych są prosto stające, u drugih zwisłe, mniej więcej krótkie, a *Owca Gwinejska* ma bardzo długie klapowate uszy, również długie nogi, i pod brodą klapowate narosty; okryta jest bardzo długim włosem, między którym wcale niema wełnistego puchu.

Pomiędzy wszystkimi rasami najpierwsze zajmuje miejsce *Owca Merynos*, *Ovis Aries* var. *hispanica*. Od owcy pospolitej różni się czołem i policzkami okrytymi wełną; grubemi, szerokimi, równo od głowy odległemi, podwójnie śrubowato skręconymi, z końcami na zewnątrz wywinionemi, częstokroć do dwóch stóp długimi rogami, dużą głową, mało wypukłą linią twarzową, narostem wolowym pod szczękami, który w Hiszpanii uważany bywa zawsze za znak przedniej rasy; wreszcie różni się od pospolitej owcy wełną, która na merynosie jest cienka, miękka w dotknięciu, śrubowato skręcona, oleisto tłusta. Nazwisko *merynos* pochodzić ma od łacińskich wyrazów *trans marinus* (zamorski, z za morza) gdyż Arabowie sprowadzili je z za morza, z Afryki do Hiszpanii. W samej Hiszpanii li-

czą ich kilka rodów, czyli pokoleń, z pomiędzy których najslawniejsze są *Cavany* i *Negretty*, chowane w Estremadurze, wielkimi, po kilka tysięcy sztuk liczącymi stadami; owce te są głównem bogactwem tamtejszych mieszkańców, którzy z niemi, według pór roku, w różne przenoszą się miejsca. Pokolenie owiec zwanych *Savany*, przeprowadzane bywa co rok z Andaluzji i Estremadury aż do Soria, a nawet aż do gór Pirenejskich, i odbywa podróżę do stu mil niemieckich wynoszącą. Cała wielka trzoda, mając na czele kilku dokładnie oswojonych baranów, idzie za owczarzem, który, z kilku owczarkami, kierunek pochodu i dzienne jego długości oznacza. Kilku mulów niesie rzeczy i pożywienie owczarzy, a sfora szczególniej wielkich, silnych psów, towarzyszy owcom dla obrony ich od wilków. Oddzielny do tego przedmiotu urząd, zwany *Mesta*, urządza te podróże owiec, podług ustaw i przepisów od niepamiętnych czasów istniejących, którym, według przesądu tamtejszych mieszkańców, winne są owce swoje doskonałość, a rolnictwo znaczny uszczerbek. Dawne prawa zabraniają jechać traktem, którym właśnie wędrują owce, i upoważniają owczarza, aby nie tylko uważał każdy nieubronowany grunt za wolne pastwisko, ale żeby, gdy tego zażąda, każdy właściciel dla przechodu owiec, pozwolił przez swe obsiane grunta drogi na 90 *Baras* (270 stóp) szeroki.

Oprócz trzech wymienionych pokoleń, które nazywają koczującymi (transhumantes), są jeszcze inne nieopuszczające miejsca zamieszkania (estantes), a między temi odznaczają się chowane w Pireneach, które lato tylko w górach przepędzają, a na zimę sprowadzają je na doliny; te owce mniej są czule na zmiany powietrza, i bardzo czyste są na nich runa. Przed strzyżą trzymają merynosy w umyśle ku temu urządzonych domach, aby się pocili, a wełnę myją dopiero po ostrzyżeniu. Runo z hiszpańskiego merynosa waży 3—5 funtów, i gdy do najprzedniejszego należy gatunku, po wierzchu jest brudno-brunatne, prawie czarne od kurzu, wewnątrz jednak jest czysto białe. Płosć

wywożonej co rok z Hiszpanii wełny, wynosi do 9 milionów funtów. Co do innych krajów Europy, najprzód w Niemczech chów owiec został udoskonalony. Lat temu ośmdziesiąt i kilka, Karol III, król hiszpański podarował kilka owiec merynosów Elektorowi saskiemu. Grunt i pastwisko raczej za skąpe jak obfite w Saksonii bardzo tu posłużyło tym owcom, i z pierwotnego hiszpańskiego rodu powstał szereg *elektoralny*, który daje najprzedniejszą, jaka dotąd jest znana, wełnę a ta daleko przewyższa wełnę z hiszpańskich merynosów, tak iż owce elektoralne przeprowadzono znowu do Hiszpanii, aby, za pomocą krzyżowania, poprawić tamtejsze rasy. Runo tak zwanej wełny *superelektoralnej* miewa dwa i trzy razy większą wartość od runa z merynosa hiszpańskiego, a funt takiej wełny, z dziesięcioletniego przecięcia, płacony bywa w Londynie po 15 złp. Po tym gatunku następująca wełna zwana *elektoralna* (elekta) płaci w Londynie funt złp. 9 gr. 5; dalej *prima* a téj funt kosztuje złp. 6, kiedy tymczasem funt oryginalnej hiszpańskiej merynos miewa cenę złp. 5 gr. 5. W Anglii, Francji, Polsce i południowej Rossji, w północnej Ameryce i w Nowej Holandji, chów owiec w ostatnich czasach podniósł się nadzwyczajnie; do wszystkich tych krajów wprowadzają z Niemiec owce dla poprawienia miejscowych. W przemysłowych, ucywilizowanych, i dobrze zagospodarowanych krajach dzisiejszego świata, owca stała się tak ważnem zwierzęciem domowem, iż rządy same nie szczędzą wielkich nakładów dla polepszenia stad owiec; w niektórych państwach więcej łożą kosztów, i podejmują zachodu około owczarni, jak około szkół; dobry owczarz wyżej bywa płatny jak nauczyciel. Ze stanowiska narodowego gospodarstwa zapatrujący się niejedni, większą znajdują wagę w liczbie owiec, i z nich dochodzie, aniżeli w pomnożeniu się ludności krajowej przez nowonarodzone dzieci. Bogaty już jest oddział literatury, zajmujący się wyłącznie owcami i owczarzami.

b. Pr. L.

-MORZE I OKRĘT.

Niezmierzony ocean, którego nurty blisko dwie trzecie części naszej ziemi oblewają, oddawna przestał być zawadą, dzielącą mieszkańców oddległych części świata; owszem, służy on za miękkie łóżysko tysiącom statków różnych kształtów i rozmiarów, które go we wszystkich kierunkach przebiegają, i roznosząc nadmiar płodów jednego kraju do drugiego, mniej zamożnego, utrzymują mieszkańców różnych krain i stref w ciągłej styczności. Przenikliwość ludzka, wynalazłszy najprzód niekształtne koryto w pniu wydrążone, by na nim po brzegach morza łowić ryby, siłiła się ciągle nad sposobami podbicia bezdenne go świata morskiego.

Dziś, ocean znanym jest niemal lepiej niżeli ziemia; dziś, na widok jego majestatycznych przestworzy, serce męznego już się nie wzdyga ani truchleje! Owszem, duch człowieka, w widoku tych niebotycznych fal, rozbijających się z wściekłością o skaliste brzegi, znajduje zadowolenie swęj dumy, i czci w sobie samym iskrę boskiej mądrości, która mu dała dokonać tak wielkie dzieła, że prawie czuje się samowładnym panem potężnego żywiołu. Dziś człowiek spogląda na morze, jako na zdobyte niewyczerpane źródło bogactw, a poeta urok w niem tylko widzi.

Zwyczajny kolor morskich odmętów jest błękitno-zielonawy, w niektórych okolicach mniej lub więcej jasny, w innych mniej do białawu więcej do trawy zbliżony, w innych jeszcze szary, czarny, biały, nawet i czysto purpurowy, lub czerwony, jak w arabskiej zatoce. Często woda morska bywa mętną, lecz niekiedy także tak przezroczystą, że jasno rozpoznac można grunt morza w głębokości 15 sążni. Nie raz można spostrzedz na samęj powierzchni morza szerokie i długie różno kolorowe pasy, pochodzące z łamania się promieni słonecznych, a zmieniające kształt i barwę stosownie do położenia i jasności obłoków, na których odbija się światło słońca.

Morze przedstawia mnóstwo nadzwyczajnych i interesujących zjawisk, które tém więcej na uwagę zasługują, im więcej wpływają na żeglugę.

Najdziwniejszém bez wątpienia zjawiskiem jest regularny ruch morza, znany pod nazwą *przyprywu* i *odprywu*, i zdarzający się w trzech różnych peryodach: dziennym, miesięcznym i rocznym. Codzienny peryod polega na kolejném przybieraniu i opadaniu wody, która na dwóch naprzeciw siebie położonych punktach globu, codziennie dwa razy wznosi się i opada. Najwyższy stan téjże, zwany *pełnym przyprywe*m, trwa kilka minut, bez poruszenia widocznego, poczem zaczyna opadać; a to opadanie nazywa się *odprywe*m; ten, gdy dojdzie do najniższego stopnia — następuje znów kilka minut równowagi niezakłóconęj żadnym ruchem, i na tém kończy się odpryw, a rozpoczyna znów przypryw, to jest, woda przyprywa do brzegów ciągiem sześć godzin. Dwie takie zmiany, z których każda składa się z jednego przyprywu i odprywu, odbywają się w przeciągu 24 godzin 48 minut i 45 sekund; z tego wynika, że każda zmiana przychodzi do stanu codziennie o więcej jak o trzy kwadransy później niż poprzedzająca.

Ta okoliczność zwróciła zapewne uwagę na jednoznaczność ruchu morza z zmianami księżyca, trwanie bowiem przyprywu i odprywu zgadza się zupełnie z peryodem, zawartym pomiędzy dwoma przechodami księżyca przez południk. Za pomocą matematycznęj znajomości ruchów księżyca, można było obrachować ściśle ruchy morza zdarzyć się mające.

Indem prawie tyleż zastanawiającem zjawiskiem morza, są owe prądy morskie:

1. *Zwyczajne*, pochodzące z nieustających przyczyn, jak przyprywu i odprywu; i

2. *Nadzwyczajne*, które zapewne nieregularnym wiatrom przypisać trzeba. Prądy te są poruszeniem wód poziomem i wzrastającym w rozmaitych kierunkach i szybszościach; czasem panuje ten prąd w całej głębokości wody, czasem tylko w wierzchniej warstwie; lecz w niektórych morzach odkryto także różnokierunkowe prądy w warstwach powierzchniowych. Najbystrzejsze prądy morskie znajdują się w bliskości miejsc, gdzie przypryw i odpryw morza jest najsilniejszy; jemu zatem przypisać

winnimy przyczyny tych prądów na powierzchni morza. Prądy zaś w głębokości odmetów, pochodzą z wpływów magnetyzmu ziemskiego, którego siły, acz nieznane jeszcze w swych prawach, wywierają wielkie wrażenie na zjawiska, których ziemia i morze są widownią.

Wiry czyli prądy, wody młynkowe, gwałtowny ruch wody wkoło, jak gdyby przelatująca przez lejek, znajdując się tylko w bliskości brzegów, w większych zatokach lub pomiędzy wyspami które szerokie kanały przedzielają. Na pełnym morzu żadnych jeszcze nie odkryto wirów; przypadkowo wiry formują się jednakże przy nagłym zmianie nawalnicy.

Zajmującym zjawiskiem jest *świecący blask*, który polyska nocną porą we wszystkich stronach oceanu, na jego powierzchni; poruszone i wzburzone części wody morskiej, polyskują niezliczonym mnóstwem punktów świecących, nierówniej wielkości i nierównego blasku. Czasem i powierzchnia spokojnego morza przedstawia widok miliardów punktów świecących; zwyczajnie jednak tam się tylko blasków pokazuje, gdzie woda jest mniej więcej w poruszeniu.

Każdy statek pozostawia za sobą świecący długie ślad, znikający bardzo wolno. Jasność ta przyskająca iskrami, szczególnie piękna się wydaje na brzegach morza, w miejscu gdzie się fale morskie rozbijają z szumem o wybrzeże, a mianowicie o skaliste jego rafy.

Nie jest jeszcze wiadomem, czy fosforescencya ta wody morskiej pochodzi jedynie z ściągnięcia się wód, czy to jest fenomen elektryczny, czy też fosforyczny, światło zgnilizną wyrodzone, lub też czy je przypisać należy miarodajnym małym stworzeniom morskim, czy słoności wód oceanu. Zdaje się, że wszystkie dopiero wymienione przyczyny wpływają na wydanie fenomenu fosforescencyi. — Smak wody nie tylko jest słonym ale nawet gorzkim. Słoność ta wody wzrasta ku równikowi, zmniejsza się ku biegunom. Woda morska nie może służyć ani do picia, ani do mycia. Poissonnière, Lorgna, Dr. Lind i Dr. Troing wynaleźli wprawdzie środki oczyszczania wody morskiej z części, które ją czynią niezdolną do picia. Troing otrzymał nawet za to od parlamentu 168,000 zł. nagrody; lecz aparaty do tego potrzebne tyle zabierają miejsca, że metoda jego nigdy nie może być prakty-

cznie użytą na morzu. Słoność wody morskiej, i bezustanny ruch przypływu i odpływu, wreszcie prądy, zabezpieczają od zgnilizny, która musiałaby niezawodnie nastąpić skutkiem niezliczonej ilości zwierząt i roślin żyjących, i ginących w odmętach morskich, a mianowicie skutkiem mnóstwa nieczystości, spływających doń rzekami z różnych stron ziemi. Okręta w wodzie morskiej nieskonczenie dłużej się zachowują niżeli w wodzie rzecznej.

Przypatrzywszy się widowni żeglarza, przypatrzmy się także budowlom, z której on rozkazuje oceanowi, i którą łączy najodleglejsze punkta ziemi. Dalekie podróże, cel ich i przeznaczenie, wywierają wpływ stanowiący na wielkość i strukturę okrętów. Różną tedy jest struktura zrębu okrętowego, rozmiar i rozporządzenie masztów, i drzewa do wiązań służącego, kształt i ustrój żagli.

Ze względu na wielkość, okręta zowią się, statkami o tylu a tylu działach, beczkach lub łaszczach, tojest statkami pierwszego, drugiego i t. d. rzędu.

Ze względu na strukturę, zowią się okrętami liniowemi, fregatami, korwetami, kutrami lub galarami i t. d.

Ze względu zaś na przeznaczenie, zowią się okrętami wojennymi, kupieckimi, statkami do handlu niewolników, do przewozu pasażerów, do połowu wielorybów.

Statki wojenne dzielą się u różnych narodów na mniej lub więcej rzędów. Anglicy i Amerykanie liczą ich sześć; Holendrzy siedm; Francuzi zaś tylko pięć; dzielą jednakże trzy pierwsze rzędy na dwa podrzędy. Dla braku zgodności w rozporządzeniu okrętów wojennych na *rzędy*, statki te odróżniają się zwykłą liczbą dział, jaka się na nich znajduje.

Okręta trzech pierwszych rzędów, tojest takie które mają więcej jak 64 dział, zowiemy okrętami liniowemi, dlatego, że w szyku wojennym ustawiane bywają w jedną linię. Holendrzy liczą statki o 80 działach do liniowych; Francuzi tylko do fregat.

Właściwie, każdy okręt liniowy o mniej jak 120 działach, nie jest niczem jak fregata 1, 2 lub 3go rzędu, gdyż prócz rozmiarów, liczby łuk i pomostów, w niczem się nie różni budową i ustrojem od fregaty.

Okręta liniowe 1go rzędu, mają od 100 — 140 dział; 42 funtowe w dolnej, 24 funtowe w średniej 12 funtowe w wierzchniej baterji, i 6 funtowe po obu kastelach, wzniesionych na przodzie i tyle okrętu. Załoga takiego statku składa się z 850 ludzi, długość jego wynosi na wierzchnim pokładzie 222 stóp, szerokość 51, głębokość 21 1/2.

Okręt liniowy 2go rzędu ma 90 dział na trzech pomostach; załoga składa się z 750 ludzi.

Trzeciego rzędu okręty mają od 64—80 dział.

Fregaty strukturą zewnętrzną zupełnie są podobne do okrętów liniowych, tylko, że im braknie spodniego pomostu i kastelu przedniego; fregaty od 40—50 dział, zowią się ciężkimi, mniejszą zaś liczbą opatrzone, lekkimi. Węzły są budowane, i na szybkość biegu przedewszystkiem wyrachowane.

Korwety dwa tylko mają maszty, a dział 14—20.

Brygiem lub *Brygantyną* nazywają statek mający od 10—20 dział, dwa maszty stojące i jeden leżący czyli burszpryt. Jeden tylko ma pomost. Zwykle płasko jest budowany, i do krążenia długie przedewszystkiem zdolny.

Kuter, jest statek z jednym tylko masztem cokolwiek wtył pochylonym, na którym mocne i wielkie rozpinają się żagle. Cały ciężar okrętu spoczywa na tyle, przód zaś ostro zakończony, pruje najwścieklesze wały z zadziwiającą siłą. Kutry mają od 10 — 20 dział, prztyem od 180 — 300 beczek ciężaru; długość ich dochodzi do 100 stóp. Szalupy i Jachty budowane są w podobny sposób, lecz w daleko mniejszych rozmiarach.

Brander czyli statek do podpalania jest przeznaczonym, jak nazwisko wskazuje, do przyczepiania się do statków nieprzyjacielskich, i zapalania ich materyalami palnemi, które się na nim znajdują. Nie ma odrębnego kształtu w budowie; używają na to zwykle starych statków.

Liczba wymienionych okrętów jest tedy bardzo ograniczoną, lecz budowa ich wymaga niezmiernych kosztów, i budowniczego, najdoskonalej z mechaniką, architekturą i hydrauliką obznajmionego. Tak jest trudno wyrachować naprzd z dokładnością wszystkie warunki dobrej budowy, że częstokroć dwa zupełnie sobie podobne statki, stawiane jednocześnie, przez tegoż samego budowniczego, z jednakich materyałów, i na tym samym warsztacie, zupełnie będą różne co do biegu po ukończeniu budowy; a częstokroć nawet nie sposób wynaleźć przyczyny tej różnicy.

Niezmierna masa materyałów potrzebną jest do budowy okrętu wojennego:

Do okrętu liniowego o trzech pokładach i 116 działach, potrzeba 130,000 stóp kubicznych drzewa dębowego, i 10,440 sosnowego.

Do okrętu dwupokładowego o 74 działach, 78,000 stóp kubicznych drzewa dębowego, i 8,000 drzewa sosnowego, a to tylko na wzniesienie korpusu, bez masztów, drągów poprzecznych i t. p.

Przypuszczając, że połowa drzewa odpada przez ciosiolkę, i że stopa sześcienna drzewa z potrzebnem żelazem waży 70 funtów, ciężar okrętu liniowego o trzech pokładach, wynosilby pięć milionów funtów, a ciężar dwupokładowego, trzy miliony funtów.

Do budowli okrętu wojennego o 100 działach, potrzeba 1,000 wielkich dębów, 200,000 funtów żelaza i 6,500 łokci płótna żaglowego. Liny same i płótno waży, niesmolone, 164,200 funtów, a smolone 220,000 funtów.

Gdyby jeden człowiek miał budować ten statek, musiałby 380 lat pracować. Z tego można obliczyć stosunek i liczbę robotników, potrzebnych do zbudowania okrętu w danym czasie.

— O LUDZIACH OGONIASTYCH,

RZECZ CZYTANA NA POSIEDZENIU AKADEMII PARYŻKIEJ.

Podróżnicy *E. du Curet* w Sudanie południowym, w środkowej Afryce, napotkał ród *Gilanów*,

KSIĘGA ŚWIATA.

mających w końcu krzyża wyrostek, przeszło 4 cale długie, i nadesłał akademii opis tych ludzi, wraz

z ich wizerunkiem. Jużto nie pierwszy raz podróżni czynią wzmiankę o tego rodzaju ludziach, których Gilanie są szczepem. Posłuchajmy więc w tej mierze p. *Curet*, który zrobił opis jednego *Gilana*, będącego niewolnikiem w Mekce.

Roku 1842 bawiłem w Mekce, gdzie bywałem u jednego emira, z którym żyłem ścisłe. Jednego razu opowiadałem mu, że Europejczycy bardzo wątpią, by się ludzie z wyrostem ogonowym w końcu krzyża znajdować mieli. Na przekonywanie mnie, kazał zawołać niewolnika, imieniem *Bellal*, który miał około 30 lat, i do tego rodu należał. Oglądałem go, i zupełnie o istocie tej prawdy jestem przekonany. Niewolnik ten mówił doskonale po arabsku, i zdawał się dosyć rozsądnym. Opowiadał mi, że w jego kraju, który daleko za *Semdar* leży, mówią wcale różnym od arabskiego językiem, lecz, że go przez długi pobyt w Arabii zupełnie zapomniał; że jego rodacy, których jest od 30 do 40 tysięcy, jedni czczą słońce, drudzy księżyc, trzeci gwiazdy, a inni węże i źródła jednej wielkiej rzeki (zapewne Nilu), w której łapią rozmaite twory; że jadają surowe świeże mięso, ile być może krwią ciekące, a szczególniej też chciwie mięso ludzkie pożerają; że po utarczках z sąsiadami, gdy dostaną jeńców, zjadają ich bez względu na wiek i płeć: niewiasty jednak i dzieci przekładają nad inne, dlatego, że ciała ich są soczystsze.

Ten *Gilan* został żarliwym muzułmaninem, i mieszkał od lat 15 w świątym mieście.

Łaknienie surowego mięsa czasami objawiało się u tego człowieka, jako prawdziwa potrzeba; pan też jego, za okazaniem się tej żądzy, przez roztropność, kazał mu zawsze dawać kawał surowej baraniny, którą w obec wszystkich żarliwie pochłaniał. To niepokonane zachcenie dwa razy na tydzień u niego przypadało. Pytany, czemu nie stara się o wytepienie tego nalogu w sobie, z całą otwartością odrzekł: „Już nie raz chciałem stłumić w sobie tę chęć, odziedziczoną po ojcu i matce, lecz nadaremnie. U nas, równie dzie-

ci jak dojrzały, młodzież jak starcy, żyją w ten sposób: jedzą surowe ryby, rośliny, korzenie i owoce. Gdyby mój pan nie czynił tej potrzeby zadość, dopuściłbym się zbrodni, rzuciłbym się na słabszego, a mianowicie na jakie dziecko, i pożartłbym je z wściekłości.”

Chcąc zdjąć z niego rysunek, prosiłem ażeby się rozbrał. Długo się wzdrażał, aż nareszcie obietnicą nowych sukien zachęcony, dał się namówić, i żądaniu memu uczynił zadość. Gdy się do naga rozebrał, mogłem się mu należycie przypatrzeć, i odrysować go, nie obawiając się wcale, aby go pan zabobonny za to skarał, gdyż zapobiegłem temu. Tento właśnie rysunek był akademii okazywany.

Oto jeszcze niektóre szczegóły z opisu p. *E. du Curet* wyjęte:

Bellal był suchy i chudy, ale silny i muskularny; skórę miał czarno-brązową, lśniąca i miękką, stopy płaskie a długie; ręce i nogi niby słabe a mięsiste; żebra łatwo mu było policzyć; twarz miał szpetną i odrażającą; usta ogromne, wargi grube, zęby mocne, koleczyste i białe, nos gruby i przyplaszczony, uszy niekształtne, długie, czoło niskie i wtył podane, włosy niebardzo welniaste i niezbyt gęste, lecz kędzierzawe. Nie miał brody ani włosów na ciele. Był zwinny i zręczny. Wzrost około 5 stóp. Długość ogona jego wynosiła przeszło 3 cale, a giętkość w nim miał prawie taką samą jak małpy.

Pomijając chęć do surowego mięsa, i inne jemu tylko właściwe nalogi, był z przyrodzenia dobrym i doświadczonem wierności.

Pan *Curet* dodaje wreszcie, że żadnej nie byłoby trudności nabyć tego rodu człowieka: potrzeba się tylko udać do kupców nad brzegami morza *Czerwonego*, którzy się tam trudnią skupowaniem niewolników. Od tych kupców można by także zasięgnąć o tym ludzkim rodzie dokładniejszych wiadomości.

b. Pr. R.

NADZWYCAJNE POŚWIĘCENIE SIĘ DLA NAUKI.

W każdym wieku byli ludzie, którzy zdrowie i życie niesli w ofierze ludzkości, krajowi lub szczytnej jakiejś idei. Imiona ich świetnym blaskiem w przybytku sławy jaśnieją, a wyrzute głęboko w pamięci i sercu narodów, w odległe wieki żyć będą. Ale są inni, nietyle znani i głośni, chociaż nie mniejsze położyli zasługi. Poświęcili oni życie swoje naukom. Że jednak nauki te nie dawały od razu materialnego pożytku, za którym świat najwięcej się ubiega, przeto ocenić ich nie umiano. Dzieje astronomii przechowały nam pamięć kilku takich ludzi.

Nie cofając się daleko w przeszłość, wspomnimy tutaj tylko o trzech mężach, w upłynionym żyjących wieku. Poświęcili oni długie lata, na tysiącne narazili się trudy i niebezpieczeństwa, aby godziną obserwacji zbagacić umiejętność, której całe oddali życie. Ogół ich nie zna, umiejętność tylko chlubi się nimi.

Sławny astronom i matematyk angielski, Halley, ogłosił w roku 1676, że za lat 85 tojest 6 czerwca 1761 roku, nastąpi przejście planety Venus przez tarczę słoneczną, i że ten ważny w astronomii wypadek, posłuży do wyrachowania prawdziwej odległości ziemi od słońca. To go tylko smuciło, że chociażby najpóźniejszy doczekał się starości, oglądać już tego nie będzie. Jakoż umarł na 20 lat wcześniej, zanosząc usilne do wszystkich astronomów prośby, aby pilnych w tym dniu obserwacji nie zaniechali.

Wojna, która w drugiej połowie przeszłego wieku między Anglią a Francją wybuchła, i całą niemal wstrząsnęła Europie, nie przeszkodziła umiejętnym badaniom. Po całej prawie Europie gotowano się do obserwowania przepowiedzianego przez Halleya zjawiska. Akademia francuska wyprawiała w tym celu trzech swoich członków w różne świata strony: Księżda Pingre na wyspę Rodrigo, astronoma Legentil do Pondiszery, a księzda Chappe d'Auteroche do Tobolska. Wszystkich trzech pod tenże sam prawie południk.

Legentil odpłynął z Brestu w marcu 1761 roku, i szczęśliwie przybył do Isle-de-France. Spodziewał się, że ztamtąd łatwo się dostanie na wyspę

Rodrigo. Ale korsarze angielscy, którzy gęsto na tych wodach krążyli, przeprawę czynili tak niebezpieczną, że żaden statek podjąć się jej nie chciał.

Po długim i nader przykrém oczekiwaniu, przyszedł nareszcie rozkaz z Francji do gubernatora wyspy, aby uzbroił fregatę, i na nią astronoma do Pondiszery odesłał.

W rok więc po wyjeździe z Brestu, puścił się Legentil powtórnie na morze, z nadzieją, że jeszcze na czas w Pondiszery stanie. Jakoż, przy końcu maja był już blisko celu swj podróży, kiedy z boleścią serca dowiedział się, że Pondiszery opanowali Angliey. Kapitan fregaty musiał się spieszyć oddalić, aby nie wpaść w ich ręce. Jeszcze byli na morzu, kiedy nadszedł tak dawno oczekiwany dzień 6 czerwca, a Legentil z pomostu tylko, i niedokładnie mógł uważać przejście Wenery przez tarczę słoneczną.

Bolesną zaiste jest rzeczą, kiedy się nie powiedzie ważne jakie przedsięwzięcie, które dużo zabiegów i przygotowań kosztowało. Tę boleść w najwyższym stopniu uczuł Legentil. Nie dopiąwszy swego celu, miał już do Francji powracać, ale spodziewając się, że przez dłuższy pobyt w tamtej strefie, zbagaci astronomią ważnemi spostrzeżeniami, postanowił zostać w Indyach, i czekać tam na drugi przechód Wenery przez słońce, lubo ten dopiero w dziewięć lat potem, tojest 3 czerwca 1769 roku, miał nastąpić.

Przez ten czas Legentil zwiedził kilkakrotnie Isle de France, wyspy Burbon, Rodrigo i Madagaskar, a później Filipiny, Manillę i wybrzeże Koromandel. Wszędzie robił odkrycia w fizyce, astronomii i geografii, na jakie czas i miejscowość pozwalały. Kilka razy zapadał ciężko na zdrowiu. Na wyspie Madagaskar, rozpalające pokarmy i napoje, jakich tam używają, wprawiły go w gwałtowną chorobę, która o mało nie zabrała go ze świata.

W czasie tych podróży przekonał się, że drugie przejście Wenery najciepić będzie mógł uwa-

żać z wysp Filipińskich lub Maryjańskich. Popłynął więc w roku 1766 do Manilli, by sobie tam obserwatorium urządzić. Ale akademia francuska, którą o powodach, jakie go do tego skłaniały, uwiadomił, nie dała się niemi przekonać, i kilkakrotnie ponawiała rozkaz, aby koniecznie do Pondiszery wrócił. Był posłuszny jej woli, i opuścił Manillę, zleciwszy obserwacje pewnemu uczonemu Peruwianczykowi, z którym zabrał znajomość.

Nocy w Pondiszery są zwykle bardzo jasne. Z radością więc oczekiwał tej godziny, która go za wszystkie poniesione trudy wynagrodzić miała. Przez cały maj aż do trzeciego czerwca, w którym to dniu owo przejście nastąpić miało, najpiękniejsza trwała pogoda, ale niestety! w ten sam dzień zrana zerwał się wiatr, niebo okryło się chmurami, i przez cały czas przechodu Wener było zaciemnione. W pół godziny potem nagle się wyjaśniło, i przez następne dni znowu piękna wróciła pogoda.

Z ciężkim strapieniem serca widział Legentil powtórnie zniweczone owoce dziesięciu tysięcy mil podróży, dziewięcioletniego oczekiwania w Indyach, i tyłu przez ten czas wycierpianych przykrości. Żal jego jeszcze się powiększył, kiedy się dowiedział, że w Manilli, gdzie sobie był obserwatorium urządził, najpiękniejsza szalała pogoda.

I teraz jeszcze nie wrócił do ojczyzny; został w Pondiszery, aby się obeznać bliżej z astronomią Indyan. Porobił znajomości z Braminami, uczył się obrachowywać na ich sposób zaćmienia, a zdziwił ich niezmiernie, przepowiadzawszy im zjawienie się komety. Pracował także nad poprawą rękodziel, i różne pożyteczne próby w tym celu czynił. Zapadłszy znowu na zdrowie, zaczął bardzo tęsknić do kraju. Osłabiony, umierający prawie, odplynął z Isle de France na hiszpańskim okręcie, i dostał się szczęśliwie do Francji.

Po jedenastu latach i sześciu miesiącach nieobecności, Legentil powrócił do Paryża r. 1773 i w obszerném dziele opisał swą podróż, i wypadki swych badań naukowych. Nie oddalając się już z kraju, żył jeszcze blisko lat 20, i umarł r. 1793.

Przeciwności, jakie księżda *Pingre* w podróży czekały, zaczęły się już przy samem wsiadaniu na okręt. Dyrektor kompanii indyjskiej bardzo źle go przyjął; nie chciał wpuścić na okręt skrzyń jego z astronomicznemi narzędziami, mówiąc, że

w nich zakazane są towary. Napisali obaj do Paryża. Nadeszła wkrótce odpowiedź od dworu z rozkazem do dyrektora, by księżdu *Pingre* żadnych nie czynił trudności, przewiózł go bezpłatnie do Indji, i ułatwił mu tam wszystko, czego tylko zażąda. Lecz nowe przykrości czekały go na okręcie. Dowodzący nim kapitan Marion, stary praktyk, nie miał najmniejszego pojęcia o teorii, i czuł odrazę do wszystkich uczonych teoretyków.

W księżdu *Pingre* widział tylko natrętnego podglądacza, którego na to z nim posłano, aby śledził jego czynności, i nawet mu to w oczy powiedział. Ale kiedy pewnego razu uczony astronom wyprowadził go z grubego błędu, który przez niuńniętność już miał popełnić, był odtąd z większą dla niego uprzejmością.

O kapitanie Marion też jeszcze uczynimy wzmiankę, że przyplłynawszy do brzegów Nowej Holandji, dostał się w ręce dzikich, którzy go zjedli.

Zaledwie okręt, na którym *Pingre* płynął, oddalił się od brzegu, spostrzegły go i ścigały okręty angielskie, i tylko zręcznością osady wymknąć im się potrafił. *Pingre*, przed wyjazdem, wystarał się o pasport angielski, który mu przez szacunek dla umiejętności udzielono; atoli pasport ten wydany był tylko dla jego osoby, a nie dla okrętu.

Oplynawszy przykład Dobrzej-Nadziei, spotkali inny okręt francuski. Dowódca jego, kapitan *Blin*, starszy w stopniu od Mariona, miał mu prawo rozkazywać. Zażądał więc od niego aby z nim płynął do Isle de France. Nadaremnie zastawiał się Marion rozkazem przewiezienia astronoma na wyspę Rodrigo; nadaremnie przekładał księżdu *Pingre*, że ta strata czasu może go pozbawić zamierzonych obserwacji; *Blin* krótko odpowiedział: „Wrzucić go w morze.” Cóż było robić, jeśli nie milczeć i być posłusznym! Gubernator Isle de France zganił wprowadzić surowo *Blin*; ale źle już się stało. Kazał on jak najprędzej uzbroić okręt o sześciu działach, i odesłał na nim astronoma do wyspy Rodrigo.

Wyspa Rodrigo leży o 120 mil od Isle de France, ale z powodu przeciwnych wiatrów, jakie w tamtych stronach panują, trzeba dalekie robić zbożenia, tak, że czasem sześć tygodni trwa przeprawa, a księżdu *Pingre* już nie cały miesiąc zostawał.

Ale tą razą wiatr nadszpodziewanie był przyjazny, i w trzy tygodnie zobaczyli wyspę. Uszczęśliwiony nasz astronom, cieszył się, że już wszystkie pokonał trudności, kiedy niespodzianie nastąpiła zupełna cisza na morzu, i przez dwa dni okręt nie mógł ruszyć z miejsca. Już tylko tydzień zostało mu czasu, już go rozpacz ogarniać zaczęła, kiedy na szczęście podniósł się wiatr, i 28 maja przybili do brzegu.

Rodrigo jestto pusta i dzika wyspa, cztery mile długości, a dwie szerokości mająca. Cała ludność składała się wtedy z dziesięciu czy dwunastu czarnych przywiezionych tam niewolników, którzy pod nadzorem białego, mającego tytuł komendanta, zbierali morskie i lądowe żółwie, przechowywali je w przyrządzonych na to skrzyniach, i pasli małe stado bydła, sprowadzone na te skały z Indyj czy z Europy. Nędzna chata, z desek sklejona, była jedynym na całej wyspie zabudowaniem. Przepierzenie na dwie dzieliła ją izby, z których większa, ostreimi wyłożona kamieniami, była jadalną salą komendanta i jego rodziny, a druga mniejsza, sypialnią. Niedaleko wznosił się wysoki maszt, a na nim powiewała flaga francuzka. Na skale nadbrzeżnej stało kilka starych dział, z których strzelano na powitanie przybywających okrętów.

Wszelkie starania księdza Pingre, aby sobie urządzić wygodne stanowisko do czynienia obserwacji, okazały się daremne, dla krótkości czasu i stromych gór, które całą okrywają wyspę. Do tego jeszcze przyszła ulewa, a noc, poprzedzająca dzień 3 czerwca, była pochmurna i ciemna. Chmury zasłoniły astronomowi wejście Wenus na tarcz słoneczną, później jednak zaczęło się wyjaśniać, tak, że środek przechodu planety mógł dokładnie uważać, ale kiedy już miała oddalać się od brzegu słońca, znowu chmury ciał widok zakryły.

W kilka dni potem Anglicy zabrali okręt, na którym Pingre przypłynął, a z nim drugi w porcie stojący. Wysiedli potem na ląd, ścieli maszt, zdarli z niego flagę, zagwoźdźili działa, zabrali bydło, żółwie, a mianowicie wino, jakie znaleźli. Sprowadzili na ląd oficerów francuzkich z obu zabranych okrętów, i kazali im przysiądź, że przez osiemnaście miesięcy przeciw Anglii walczyć nie będą, poczem spalwszy okręty, odплыли. W czasie tego napadu, wszyscy murzyni pokryli się w góry i lasy.

Jednakże z księdzem Pingre dobrze się obeszli Anglicy. Nie mu nie zabrali i nie tknęli się jego narzędzi.

W dziewięć dni później, przybyły znowu dwa inne angielskie okręty, których osada złupiła, co się jeszcze zostało. Astronom i tą razą wyszedł bez szkody; bo nie tylko, że mu nic nie zabrali, ale dali mu jeszcze kilka worków zboża i ryżu, i baryłkę wódki.

Po oddaleniu się Anglików, ksiądz Pingre, komendant i murzyni, wzięli się co prędzej do zasiańia zboża, aby sobie nadal żywność zabezpieczyć. Ocean odłączał ich od reszty świata, a 4,000 mil od ojczyzny dzieliło.

Zamknięci na tej wyspie, bez środków komunikacyi, nie mieli nadziei wydostania się z niej prędko. Zaczęli budować mały statek, i właśnie tą robotą byli zajęci, kiedy ujrzeli zbliżający się okręt, i poznali z radością, że jest francuzki. Ale okręt nie widząc francuzkiej flagi, nie śmiał wplynąć do portu; dopiero małe czółno wyprawiono do kapitana, by mu donieść o tém co zaszło. Kapitan wysiadł na ląd z dobytą szpadą w rękę, i w imieniu króla, objął napowrót w posiadanie wyspę. Przybył on dla zabrania żółwi; ale że ich nie było, zaraz do Isle de France odплыł, wiawszy z sobą astronoma, który przez półczwartą miesiaca na tej skale przesiedział.

Z Isle de France puścił się wkrótce ksiądz Pingre do Europy. W czasie tej przeprawy odkryli mu oficerowie okrętu, że kapitan, mając jakieś osobiste korzyści na widoku, szuka sposobności, aby się dać schwytać Anglikom; że więc okręt niezawodnie wziętym zostanie. Wypadek usprawiedliwił ich domysły. Kapitan umyślnie tak swą żeglugę kierował, że wpadł w ręce Anglikom. Księdza Pingre nie uważano za jeńca, bo go bronili paszport angielski. Zostawiano mu sprzęty, narzędzia i tapieiry; zabrano mu tylko niektóre ciekawości, jakie wiozł z sobą do Francyi. W Lizbonie wysadzony na ląd, ztamtąd przez Hiszpanię do Francyi powrócił.

Jakkolwiek wielkie były przykrości i trudy, które Legentil i Pingre przeszli, zanim się napowrót do Francyi dostali, to jednak trzeci astronom, ksiądz *Chappe d'Auteroche* daleko większych jeszcze doświadczył przeciwności. I niezawodnie, ze wszystkich podróży dla obserwowania przejścia

Wenery, gdziekolwiek przedsięwziętych, jego była najprzekrzeszą i najniebezpieczniejszą.

Wyjechał z Paryża w końcu listopada 1790 r., i przez Wiedeń, Kraków do Petersburga przybył. Tam zabrawszy z sobą zegarmistrza i służącego, który miał mu razem z tłumaczem służyć, w dalszą puścił się drogę. Miał z sobą czworo sanni. Na pierwszych, które wiozły żywność, jechał podoficer, dodany mu z rozkazu panującej wówczas cesarzowej Elżbiety, aby mu towarzyszył w całej podróży, i wszystko ułatwiał; na drugich były astronomiczne narzędzia; na trzecich jechał zegarmistrz i służący, a on sam na czwartych. Miał przed sobą drogę blisko 300 mil wynoszącą; że zaś dopiero 10 marca z Petersburga się wybrał, przepowiadali mu wszyscy, iż zanim do Tobolska dojedzie, nastąpi odwilż, a wtedy niepodobniestwem będzie odbywać dalszą drogę przez wody i bagna z roztopionego śniegu, na dziesięć stóp okrywającego ziemię. Spodziewał się jednak, że jadąc prędko, czas odwilży uprzędzi.

Trzymając ciągle termometr w rękę, nasz astronom drał za każdą zmianą powietrza, i przyspieszał o ile mógł swą podróż. Wkrótce trzem jego towarzyszom sprzykrzyła się ta gwałtowna dniem i nocą jazda, to ciągle narażanie się na niebezpieczeństwa, na śnieżne zawieje i zasypy w wąwozach. Raz o mało sam nie utonął przez załamanie się lodu na rzece. Nareszcie ludzie jego zaczęli szemrać; prosili, a później domagali się, by choć przez jeden dzień wytnąć im pozwolili; nie przystał na to, i dalej jechać rozkazał.

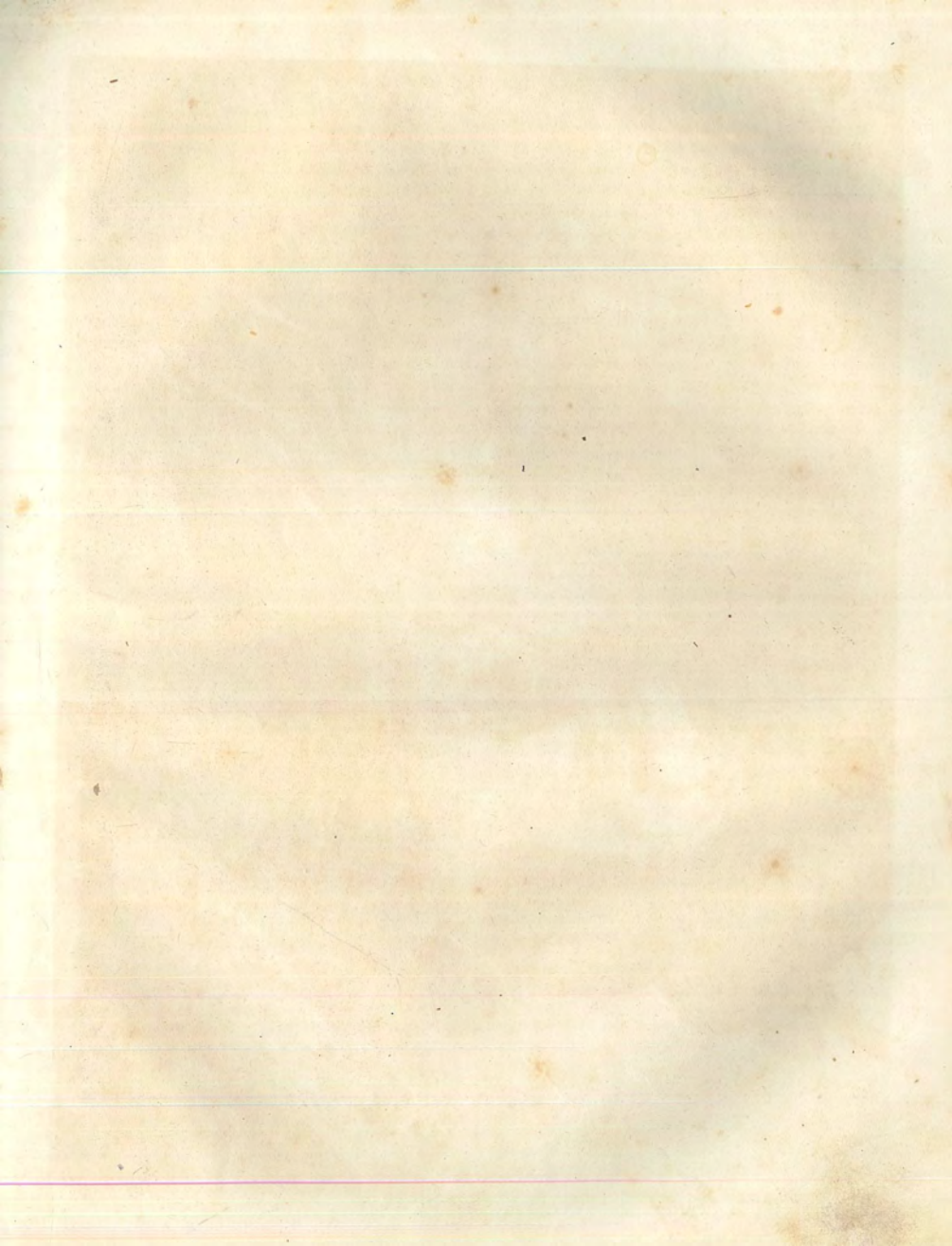
Pewnego razu trudami i bezsennością zmęczony, zasnął twardo w sianach. Obudzwszy się, ujrzał, że go wszyscy odbiegli; odpręgli konie od sanek, i zostawili go samego wśród pola, na nieprzejrzaną okiem, pustą zupełnie i śniegiem okrytą płaszczynę. W oddaleniu widać było wielki las sosnowy, przez który szła droga. Okropne było jego położenie; trwoga i gniew naprzemian nim miotaly. To wysiadał ze sanek, to znowu wsiał, chodził dokoła, aby odkryć ślady biegów, a potęgiem kroplami występował mu na czoło, chociaż mroz był dojmujący. Nareszcie zdawało mu się, że znalazł jakąś ścieżkę. Wraca do sani, bierze strzelbę i puszcza się w tę stronę. Ale zaledwie kilka postąpił kroków, wpadł w dół i po szyję uwiązł w śniegu. Z wielkim trudem wydobył się

na wierzch; ale siły jego tak były wyczerpane, że upadłszy na twarz podnieść się mógł, i już tylko śmierci oczekiwał.

Po niejakiem czasie przyszedł cokolwiek do siebie, wstał, a wodząc dokoła oczyma, spostrzegł w oddaleniu błyszczące światłoko. Puścił się więc ku niemu, z największą postępującą ostrożnością, aby znowu w śniegu nie ugrząść. Doszedł nareszcie do wieśniaczej chaty, i tam w izbie znalazł swoich ludzi na wielkim piecu w najtwardszym śnie pograżonych. Zbudził ich natychmiast, i w dalszą puścił się drogę.

Już przecie zbliżali się do Tobolska, ale mieli przebywać jeszcze trzy duże rzeki, a mroz już zelał, i wszystko nagłą przepowiało odwilż. Przestrzegli go wieśniacy na stacyi pocztowej, i żaden jechać z nim nie chciał. Daremne były prośby, rozkazy i pogroźki; nawet obietnice hojnej zapłaty nie nie pomagały. Nareszcie ich upoił, i tём dodał im odwagi. Takim sposobem dwie rzeki przejechał. Przy trzeciej jeszcze większe spotkały go trudności. Niechciano mu dać koni. Rozgniewany, biegnie do utrzymującego pocztę, i wchodzi do jego mieszkania, trzymając, jak zwykle, termometr w rękę. Od gorąca izby kurkusz nagle podnosić się zaczął. Spostrzegli to chłopci, przypatrujący się ciekawie nieznanemu narzędziu, a widząc, że się rusza, wzięli je za coś żyjącego. Korzystał z tego astronom, i przez tłumacza kazał im powiedzieć, że jest czarownikiem, że w tём narzędziu ma zamknięte zwierzątko, które go o wszystkich niebezpieczeństwach ostrzega. Jeśli w samej rzeczy lód na rzece jest tak słaby, jak im się zdaje, to tego zwierzątko nie skurczy się, kiedy je na dwór wyniesie; jeśli się zaś skurczy, aż do punktu, który im pokazał, to lód jest jeszcze mocny i śmiało można po nim przejechać. Wyszli więc wszyscy na dwór i z wielkim zadziwieniem chłopów zwierzątko jeszcze się bardziej skurczyło, niż się spodziewali. Znikła więc wszelka obawa, z ochotą wzięli się do zaprzagania, i szczęśliwie rzekę przebyli. W trzy dni potem nagła odwilż nastąpiła. Irtysz, koło Tobolska płynący; rozlał szeroko i całą okolicę zatopił. Najstarsi ludzie nie pamiętali takiej powodzi.

Przybywszy do Tobolska, ksiądz Chapped' Aute-roche, urządził sobie zaraz obserwatorium na wzgórzu pod miastem. Mieszkańcy widząc jego





dziwaczne narzędzia, długi teleskop, zegar z wahadłem, kwadrans, termometr; widząc, jak po nocach gwiadom się przypatruje, wzięli go za czarownika i sprawcę powodzi, która im pola spustoszyła. Słyszając, że często wspomina szósty czerwca, uroili sobie, że w tym dniu albo świat się skończy, albo przynajmniej ich miasto jakie straszliwe spotka nieszczęście. Zmawiali się więc, aby go zabić; o czém dowiedziawszy się gubernator, podwoił straż, którą mu dał zaraz z początku, i ostrzegł go, by się miał na baczności.

Nadszedł nareszcie szósty czerwca. Słońce poprzedniego dnia jak najpiękniej zaszło, niebo było wypogodzone; ale niedługo zaczęły wychodzić chmury, i coraz się bardziej zgęszczały. Radość astronoma, jakiej się przed chwilą oddawał, w śmiertelną zmieniła się obawę. Zdawało mu się już, że wszystkie przykrości, które wycierpiał, wszystkie niebezpieczeństwa, na jakie się naraził, żadnego nie przyniosą owocu; całą noc w największej przepędził niespokojności. Nikt z otaczających go, smutku jego zrozumieć, a tém mniej podzielać nie mógł; spali więc wszyscy spokojnie. Nareszcie przed wschodem słońca zaczęło się niebo wyjaśniać, powstał wiatr od wschodu i spędził chmury. Astronom drżał cały z radości; musiał wstrzymywać swe uniesienie, aby dokładnie obserwować potrafił. Gubernator i metropolita Tobolski byli obecni w jego obserwatorium. Silna straż je otaczała, ale niepotrzebną była ta ostrożność, bo przerażeni mieszkańcy, jedni się po domach skryli, drudzy modlili się w kościołach, co chwila końca świata oczekując.

Jest w tamtych krajach pewien rodzaj komarów, których niesłychana mnogość w porze letniej, ciężkie ludziom i zwierzętom sprawia udręczenie.

Cheąc się zabezpieczyć od ich jadowitych żądał, trzeba całe ciało, nawet twarz starannie osłaniać. Ksiądz Chappe d'Anteroche przez cały czas obserwacji, miał twarz odsłoniętą, a komary tak go ścieły, że z tego zachorował, i kilka dni łóżka opuścić nie mógł. Ale to wszystko niczém już było dla niego, bo wracał do Francji, z tém słodkiem zadowoleniem, że osiągnął cel pożądaný.

W dziewięć lat później, dla obserwowania drugiego przechodu Wenerý, ksiądz Chappe d'Anteroche udał się do Kalifornii. Odpłynął do Ameryki na małym statku, który dwunastu tylko mógł zabrać ludzi. W 77 dniach stanął w Vera-Cruz; ztamtąd, jadąc na mule, odbył 300 mil drogi do San-Blas, na zachodnim brzegu Ameryki, gdzie wsiadł na okręt, i we dwa tygodnie przybył do Kalifornii, do missy Śgo Józefa. Panowała tam wówczas zaraza, na którą już trzecia część mieszkańców wymarła. Dwaj oficerowie hiszpańscy, którzy z rozkazu swego rządu towarzyszyli mu w tej drodze, namawiali go, aby opuścił to miejsce, i udał się bliżej przylądka Śgo Łukasza; ale dla braku czasu uczynić tego nie chciał. Niebo wynagrodziło go za tyle poświęceń, i całe przejście Wenerý bez żadnej przeszkody, najdokładniej mógł uważać. Szerząca się coraz bardziej zaraza, zabrała kilku towarzyszy. W braku lekarza, ratował ich jak mógł; ale w końcu sam się rozchorował. Wyszedł jednak z niebezpieczeństwa, i już się miał znacznie lepiej, kiedy zaziębiwszy się przy obserwacji zaćmienia księżyca, powtórnie ciężko zapadł, i umarł roku 1769. Papiery jego odesłano do Francji, i z nich ogłoszono zdanie sprawy o tój naukowej podróży.

KOŃ I PANTERA

USTĘP Z POBYTU W AFGANISTANIE.

Jużem zaczął przyzwyczajać się do życia w Heracie, i właśnie zabierałem się do urządzenia

sobie mieszkania, jak to oficerowie w tym kraju czynić zwykli. Wprawdzie Afghanistan różni

się bardzo od właściwych Indyj, i śnieżne szczyty Heri-Butu, taką stanowią sprzeczność z milenijskimi pasmami wzgórzów, wpośród których święty Ganges toczy swe wały ku morzu, jak charakter lagodynych Hindusów, z krwawym i chytrym rozbójniczym charakterem Afghanów. Ale plany moje przecięło postanowienie generała gubernatora, który wybrał mię na posła do Khanów kurdyńskich.

Nie miałem wprawdzie powodu skakać z radości, dowiedziawszy się o tém trochę niebezpiecznym posłannictwie, ale wpatrzywszy się bacznie, uznałem, że awanturnicza, a nawet niebezpieczna strona tego przedsięwzięcia, nie jest bez powabu dla śmiałego 24-letniego porucznika. Najprzód więc przystąpiłem do zaopatrzenia się w ubranie, podobne temu, jakie nosili moi towarzysze poselstwa, bo uznałem, że strój ten w mojem położeniu równie będzie dogodny jak potrzebny. Wprawdzie niezmierna obszerność szarawarów, z początku bardzo mi zdawała się niewygodną; każda bowiem nogawka miała sześć stóp w obrebie, przez co zupełnie tak wyglądałem jakbym miał dwie obszerne kołbiece suknie. Kolor tej części ubrania, równie jak kołszuli, był krwawo-czerwony. Zwierzchnia suknia podobną była do długich surdutów, w jakie Anglicy zwykłe ubierani bywają na francuzkich karykaturach, ale bez kołnierza. Suknia ta była niebieska, i w pasie przewiązywała się długim szaleem. Na to zarzucał się bardzo obszerny wełniany płaszcz, który w mroźnych nocach tej strefy ważne wydawał się usługi. Głowę moję okrywał turban z niezmiernie długiej sztuki białego muslinu; na nogach ogromne kurierskie bóty zakrzywione w palcach. Pieniędzy miałem bezpośrednio na cele, w skórzanym trzosię.

Za towarzyszy dano mi trzech Afghanów z rodziny tamtejszych Khanów, i co do wyboru, nie miałem powodu uskarżać się. Fazil-Khan, trzydziestoletni, przystojny mężczyzna, wierny jak stal, gotów ślepo i z północną zimną krwią iść na największe niebezpieczeństwo. Daud-ul-Eddin, jego synowiec, towarzyszył nam z czystej rycerskiej skłonności do awanturniczych przedsięwzięć. Ahmet-Husarut-Khan i jego syn, Szems-Eddin, byli godnymi towarzyszami tamtych. Pozostawała nam jeszcze przed odjazdem przykra przeprawa, to jest długa, prawie bez końca, ceremonia pożegna-

nia. Pważnym, uroczystym tonem polecają tu odjeżdżającego opiece Boskiej, wzywają archaniołów i aniołów, zaklinając ich, aby go bronili i zasłaniali od złej przygody, szczęśliwie do celu i na powrót przeprowadzili, aby mu wszędzie po drodze chłodne wód zdroje, i grube daktylowe drzewa na poczekaniu z ziemi wyprowadzali. Raz, drugi, można to jeszcze wytrzymać, ale tu ze dwanaście razy trzeba było wysłuchać, z najśmieszniejszymi wykrzywieniami i zwierzaniem oczu połączone, powtarzanie życzeń, wprost przeciwnych myśli tego, który je wymawiał. Wszyscy życzyli mi, abym był szczęśliwszym niż pułkownik Stoddart, (1) a wszyscy spodziewali się, że nie uniknę jego losu, i że przynajmniej głowa moja powróci do nich dobrze nasolona, naturalnie bez reszty mojej osoby.

Świt następnego dnia już mnie zastał w drodze, z moją małą karawaną, złożoną z szesnastu jeźdźców; każdy prowadził z sobą po jednym zapasowym wierzchowcu, i ze szczęściu dobrze obladowanymi stępakami. Pochód pierwszego dnia był jakoby przejażdżką, po równych na trawie wydeptanych ścieżkach, wśród wspaniałych, chłodnych, wysokich lasów. Około południa znaleźliśmy źródło wytryskujące z gór, spływające w odwieczne z olbrzymich łomów granitu usłane łóżę; ta sposobność ochłodzenia się przypadła i nam i naszym koniom bardzo do smaku i w porę, bo upał słońca był duszący, i ja oddawna już oddawałem sprawiedliwość mojemu ogromnemu turbanowi, którego białosć odrzucała promienie słoneczne, a obszerne zwoje całą głowę dokoła ocieniały. I kolosalna obszerność ubrania usprawiedliwiała to dość pospolite przysłowie: „co dobre na zimę, przyda się i na upał,” bo nas i od zbytniego działania słońca, i od gwałtownie nieraz zrywającego się wiatru zasłaniało.

Poół wieczór, przybyliśmy do Khusz-Robat, gdzie gościnnie oczekiwał nas starożytny olbrzymich wymiarów karawansera, (2) z obfitym wodobożem wykutym w granicie. Zaden napis nie wymienia władcy, który w dalekich wiekach źród-

(1) Pułkownik Stoddart został w 1843 roku zamordowany przez Afghanów

(2) Jestto rodzaj jakoby zajazdu, zbudowany dla schronienia podróżnych wśród bezludnej pustyni.

dło to wykuli, i schronienie dla podróżnych zbudowali; ale błogosławione skutki jego dzieła, przetrwały wieki, i żaden pobożny muzułmanin nie oddali się od chłodnego źródła i dobroczynnego dachu, nie mówiwszy wdzięcznością natchnionej modlitwy za duszę założyciela tego gościnnego ustronia.

Po czterdziestu pięciu godzinach jazdy, dostaliśmy się do Killa-i-Dżapat. Ani mogliśmy uczuć, że po długich wężykowatych zakrętach, osiągnęliśmy szczytu na 7,000 stóp nad poziom morza wzniesionego. Zachwycał nas przedstawiający się ztąd widok odległych urodzajnych zagonów i rozsianych między lasami cichych dolin, poprzeczanych czystymi strumieniami. Często napotykaliliśmy konających tu khaillów. Za każdym razem stary Huzarut-Khan, kazał nam się porządnie i — że tak powiem — groźnie szykować, będąc pewnym uroczystego z ich strony przyjęcia. W istocie, raz wyszło na spotkanie nasze kilku ludzi, a stary Khan, z ukontentowaniem gładząc się po siwej brodzie, rzekł do mnie: „Widac że tę gromadę, składają prawdziwi muzułmanie.” Ale sokołi wzrok jego syna, poznał, że wszyscy wysłani do nas, byli niewolnikami. Gniew starego Khana nie miał granic. Mimo to, przyjęto nas bardzo gościnnie; dano każdemu osobny namiot, zabito mnóstwo tłustych owiec, a przedewszystkiem podano nam chłodnego mleka, z czego ja szczególnie byłem zadowolony, i korzennej z ziołami pędzonej wódki, która nawet gniew starego Khana ułagodziła. Wszystko to tchnęło serdeczną prostotą, która mi czasy dawnych patriarchów przypominała.

Namioty, albo raczej przenośne chaty (Kurgaby) turkomanów, mają piętnaście stóp średnicy i tyleż wysokości. Ściany są sześć stóp wysokie, z wierzby mocno uplecione na sposób kosów, i wszędzie rzemieniami umocowane, tak, że stanowią jedną giętką całość, która daje się zwinąć, i włożyć na wielbłąda. Zewnątrz, ten mur galeziowy starannie powleczonej jest pospolitą tu ziemną smołą, i pokryty kocem z sierci, z wyłączeniem jedynie otworu wchodu. Dach składa się z podobnejże wierzbowej plecionki, pokrytej smołą, i nieprzenikliwym dla deszczu kocem, i przy przenoszeniu się z miejsca na miejsce, również daje się zwinąć. Sprężysta giętkość całej tej budowy, wytrzymuje

burze, zasłania równie od upału, jak zimna, i broń od napaści drapieżnych zwierząt.

Znajdowaliśmy się już w obrębie pustyni, kupiliśmy więc wielbłądy, skórzane wory do wody, i t. p., poczem puściliśmy się w dalszą przykreszszą część naszej drogi. W południe przybyliśmy nad rzeczkę, która po ośmiogodzinnym pochodzie wśród duszącego upału, była nam bardzo pożądaną. W chwilę wybraliśmy wygodne miejsce w cień, i każdy położył się, aby przespawszy upał południowy, z świeżymi siłami, wieczorem, w dalszą puścić się drogę. Konie uwolnione od siodeł i wędzideł, pasły się wokół, lub chłodziły się w czystym jak kryształ strumieniu, który szmerząc toczył się pośród stromych, skalistych brzegów. Słońce już znacznie się zniżyło gdyśmy obudzili. Koczowisko moje, z rozmaitemi grupami moich dzielnych współdziałających towarzyszy, z spoczywającymi i spokojnie przeżuwającymi wielbłądami, pasącymi lub tarzającymi się kołmi, przedstawiało malowniczy widok, który aby dogodnie jednem objąć spojrzeniem, wszedłem na wzniesioną nieco nad brzegiem skałę.

Przebiegający tarantowaty ogier, ulubiony wierzchowiec Szems-Eddina, chłodząc się w czystym strumieniu, skubał tu i owdzie pnące się po skalistym brzegu roślinki. Z przyjemnością śledziłem siłą i wdziękiem tchnące ruchy szlachetnego zwierzęcia, kiedy nagle zagrzmiał chrapliwy, okropny ryk, i zpoza jednej skały rzuciła się pantera na grzbiet konia. W największym przerażeniu, z podniesionym ogonem i najeżoną grzywą, rumak rzucił się z wody na brzeg, a za nim druga pantera, puściła się zpośród skał z rykiem, i ogień zjeżdżającymi ślepiami. Dopadłszy na równie, rumak chciał rzuceniem się na ziemię, zgnieść szarpiący go grzbiet potwór, ale ten srodek był dla niego zgubą, bo druga goniąca za nim pantera jednym skokiem i jednym szarpieniem, wydarła mu wnętrzności razem z życiem.

Krzyk mój przebudził towarzyszy, porwałem strzelbę, w kilku słowach powiedziałem, że się stało. Wszyscy zerwali się, ale Fasil Khan, spokojnie zapalił fajkę, i rzekł głosem poważnym i uroczystym: „Che sara, sara; Allah kerim! (co ma się stać, stanie się; Bóg jest wielki), nie potraficie zbliżyć się na strzał do panter, a w nocy, powrócą one spokojnie na ucztę.”

Stało się tak jak powiedział. Ogromne potwory z rykiem rzuciły się między skały, a my nie będąc obeznanemi z miejscowością, nie mogliśmy ścigać za nimi. Z gorzkim żalem rozstał się Szems-Eddin z zwłokami ulubionego rumaka. Za danym znakiem, wyruszyliśmy w drogę, rzucając fatalną rzeczkę, i zapuszczając się w nieprzejrzaną okiem pustynię; Fazil i Huzarut-Khan skracali mi pierwsze godziny drogi, opowiadaniem szczegółów dotyczących się pantery, których treść podaje tutaj, sprostowaną uwagami, jakie mi za powrotem do ojczyzny, udzielił jeden z moich przyjaciół, uczony naturalista.

Pantera mieszka w Afryce i Azji, i od przyłada Dobrzej-Nadziei, aż do północnej Tartarii.

Sierć jej czerwono-brunatna na grzbiecie, przechodzi przez różne odcienia złocisto-żółtego aż do biało-żółtego koloru pod brzuchem. Jest ona na 2 stopy wysoka, a do 4 długa. Tém straszniejszą jest przy swojej sile i srogości, że zwyczajem kocięgo rodzaju postępuje, i cicho podsuwa się ku swęj zdobyczy, i wtedy dopiero rzuca się na nią, kiedy ujęć przed nią niepodobna; najczęściej czai się nad drzewach, albo ukrywając się w gęstych zaroślach nad brzegami rzek i strumieni, czeka cierpliwie na przychodzące do wody zwierzęta.

Napadnięta groźną liczbą, ucieka, ale jeśli zmuszona jest bronić się, walczy z przerażającą siłą i zręcznością.

BRYTANNIA

RUROWY MOST NA CIAŚNINIE MENAI.

Zdumiewamy się, jeśli nie ze szczerzego serca, to ze zwyczaju przynajmniej, nad ogromem i przepięknością rozmaitych pomników sztuki budowniczej starożytnych: uwielbieniem przejmują nas ich olbrzymie kształty, ich trwałość wiekowa. Ale jeśli w tych szczątkach upadłej wielkości starodawnego świata, w tych piramidach egipskich, zwłaszcza Balbeku, Palmyry, podziw wzbudzają ogrom pracy i kolosalność rozmiarów, na jakie holdy i ocenienie zasługują twory nowoczesnej sztuki, kierowane głęboką, wielostronną nauką i przebiegłym dowcipem dzisiejszych inżynierów, na najrozmaitszych, mądrych kombinacjach opierających cudowne przedsięwzięcia swoje, i zbadań różnorodnych sił i tajników natury, zwalczających nieprzyparte na pozór przeszkody, które też sama natura zawistnie stawia na drodze postępu i nowych wymagań, potrzeb cywilizowanego człowieka. Jako jeden z tych świętych tryumfów ludzkiej nauki i przemysłu, nieposłownie zajmuje miejsce nowo zbudowany most rurowy w Anglii, gdzie wśród tylu zadziwiających i pię-

knych dzieł sztuki i nauki, codziennie zpod ręki człowieka wznoszących się, szczególną na siebie zwraca uwagę genialną nowością pomysłu, trudnością wykonania i zawilocią zadań, jakie umysł twórcy jego, inżyniera Roberta *Stephensona*, napotykał, sam sobie stawiać, i chlubić rozwiązać potrafił.

Miedzy zachodniem wybrzeżem Wallii, a wyspą Angleseą ciągnie się niezbyt szeroka, 970 stóp wynosząca, ciążyna morska, ponad którą trzeba było postawić most, dla połączenia tych dwóch wybrzeży stałą komunikacją kolei żelaznych. Trudności przedstawiały się niemałe dla kompanii kolei żelaznej; gdyż władza rządowa admiralicy, dbając o dobro żeglugi, zastrzegła sobie nieodwołalnie, ażeby most mający się wzniesć w tém miejscu, w niczem nie przeszkadzał przechodowi okrętów, a zatem, żeby wisiał przynajmniej o sto stóp wyżej nad poziom morza, którego przestrzeń nie miała być ściśniętą żadną arkadą ani murowaniem, wyjąwszy środkowego punktu ciążyny, gdzie rąfy i skały nie dozwalały kierować się stat-

kom. Pan Stephenson, któremu powierzyła kompania obmyślenie stosownego do takich warunków mostu, znalazł się, jak to każdy zrozumieć i przyzna, w nader trudnym i przykrém położeniu. Wszyscy prawie ludzie powołania, zgadzali się jednogłośnie, że niema podobieństwa, przy tych warunkach, wnieść trwałą i silną budowę żądane go mostu. Pan Stephenson, nie zrażając się trudnościami, doszedł rozumowaniem ściśłem i trudnóm, że najwłaściwiej, a nawet jedynie tylko da się tu wnieść most z rur czworogrannych, z żelaza kutego wyrobionych, które wychodzą z przyczółka murowanego na jednym brzegu, opierać się środkiem będą na 230 stóp wysokim kamiennym filarze na skale zbudowanym, i dojść do przyczółka na drugim brzegu. Dwie rury zaś uznał za potrzebne dla przechodu tam i na powrót pociągów kolei żelaznej.

Rozmowom swoje oparł genialny budowniczy na zasadach następujących: Ciężar położony na jakiegdyś belce, niejednakowe działanie wywiera na ściany jej, wierzchnią i spodnią; chociaż powszechnie działanie to za jednakowe uważane bywa. Z wierzchu działanie ciężaru naciska belkę, ze spodu zaś rozciąga jej części (pressia i tensya); najłatwiej da się to objaśnić na przykładzie. Weźmy świeżą, zieloną gałązkę; na takiej gałązce kora jest wszędzie równa. Jeśli gałązkę zegnijemy i nadamy jej położenie wklęsłe ku dołowi, jakie przybiera belka ciężarem nagniecioną, spostrzeżemy, że kora na wierzchniej części gałązki, odpowiadającej wierzchniej ścianie belki, ściąga się gwałtownie, kiedy tymczasem od dołu, kora ta rozciąga się i rozrywa. Z tego okazuje się jasno, że drzewo od wierzchu, czyli w części wewnętrznej ulega silnemu ciśnieniu; od spodu czyli części zewnętrznej zaś rozciąganiu. Jeżeli doświadczenie to posuwać będziemy dalej, dopóki gałązka się nie złamie, zobaczymy, że trzaski od wierzchu krzyżują się i symetryzują, od spodu zaś oddziela je próżnia.

Łatwą jest zatem rzeczą do pojęcia, że odwrotne działania ciśnienia i rozprężania, trzaska stosunkowo na sile, o tyle, o ile się ku sobie zbliżają, dopóki wreszcie w środku belki nie zneutralizują się zupełnie. Skoro więc przyjmiemy za pewnik, że siła belki leży w wytrzymałości jej przeciw ciśnieniu i rozprężaniu, i że środkowa jej część stosunkowo żadnego nie przynosi użytku; to z tego takie wy-

padnie następstwo, że wierzchnia tylko i spodu ją część, wymagają materyalu silnego dla zniesienia danego ciężaru, czyli mówiąc innemi słowy, że belka czyto drewniana, czy żelazna, może być wydrążona, i znieść samo, co belka pełna.

Ztego więc powodu, postanowił Stephenson, wybrzeża ciśnieiny Menai połączyć za pomocą wydrążonych, a raczej pustych we środku *tub*, czyli rur żelaznych, gdyż belki całe i pełne, na tak szerokiej przestrzeni nie mogłyby wytrzymać ciężaru, i sameby pod własnym brzemieniem uległy.

Szło już teraz o kształt jaki *tubom* nadać wypadało. Cylindrowej formy nie okazały się dość wytrwale na ciśnienie; eliptyczne daleko się korzystniejszemi przedstawiały, ale niedosć jeszcze dawały pewności; prostokątne zniosły wszystkie próby, więc je za najwłaściwsze uznano.

Przy dochodzeniu jaki stopień siły tuby mieć powinny, czyli innemi słowy, jaką należało nadać grubość wierzchnim ich i spodnim częściom, próby okazały, że najkorzystniejszy jest, zamiast nitowania płyt jednych z drugimi, kłaść je nad sobą w oddaleniu 1 — 2 stóp, i próżne między nimi miejsca zapelniać pionowymi blachami, które w oddziałach prostokątnych by je podpierały. Tym sposobem zyskuje się i na sile i na ciężarze materyalu.

Głównym jednakże celem prób i doświadczeń było zadanie: jakie można dać *maximum* siły mostowi, i jaką jego część w budowie zastosoować.

Zryłki pociąg kolei żelaznej wazy w przecięciu jedną beczkę ⁽¹⁾ [ton] na stopę; największa odległość między podporami mostu Britannia, wynosi 460 stóp; każdy nareszcie ciężar, uciskający jednakowo całą długość belki, równa się połowie tegoż samego ciężaru na środek jej działającemu: największe zatem naciśnięcie pociągu 460 stóp długiego (to jest dwa razy przeszło dłuższego jak zwyczajny), równałoby się 460 beczkom na całą długość skrzydła mostu, czyli 230 beczkom na środek jego; chcąc zaś nadać budowie jak największą pewność, postanowił Stephenson większe skrzydło mostu tak zbudować, żeby znieść mogło 4,000 beczek na całej swjej długości, czyli 2,000 beczek na środku: to jest żeby miało siłę dziewięćkroć większą jak potrzeba. Przy téj budowie oszczędzono znaczny wydatek na łańcuchy, które podług

(1) Beczka czyli ton, używana na oznaczenie jednostki miary ciężkości w Anglii, równa się 22 centnarom czyli 2,240 funtom.

pierwotnego anszlazu 150,000 f. st. (6 milionów złp.) kosztować miały. Prócz tego, most został zabezpieczony przeciw wszelkim, choćby najgwałtowniejszym wypadkom: orkanu nawet lękać nie potrzebuje. Obchracowano bowiem, że najcięższe naciśnienie orkanu wynosi 46 funtów na stopę kwadratową, co by dawało 138 beczek na środek mostu.

Niemalą trudnością stanowiło pytanie: gdzie budować te ogromne, olbrzymie *tuby*, i jak je później na miejsce przeznaczenia dostawić? Postanowiono w tym względzie: że cztery krótsze galerie, 230 stóp długości wynoszące, które zaraz między brzegowemi wieżami, a pierwszym podmurowaniem wisić miały, na miejscu budowane będą; że cztery zaś wielkie galerie, nad ciążną przechodzić mające, budować się będą na wybrzeżu *Carnarvon* na drewnianych rusztowaniach; że po ukończeniu, na pontonach podprowadzi się je do stóp wież na których mają się wspierać, i tam się je złoży na tymczasowych mуровanych podkładach, i że nareszcie prassy hydrauliczne niesłychanej siły, użyte zostaną do umieszczenia ich na właściwem miejscu.

Siedmiuset robotników pracowało bezustannie przy żelaznych robotach; przy wieżach ośmiuset; pusta dotąd i małodudna okolica przedstawiała widok niezwykłego ruchu i życia. Prócz tego, we wszystkich kierunkach, na wszystkich drogach widać było mnóstwo ciekawych, przybywających zobaczyć jak powstaje to piękne dzieło.

Galerie, jakieśmy tu już powiedzieli, składają się z płyt żelaznych nitowanych i kłamrami z sobą łączonych. Płyty te są daleko lżejsze w galeriach skrajnych jak w środkowych; w tych ostatnich rozmiary płyt są następujące:

na spodnim pokładzie, długość ich wynosi 12 stóp, szerokość od 2 stóp 4 cali, do 2 stóp 8 cali; grubość $\frac{3}{8}$ do $\frac{1}{2}$ cali;

na wierzchnim pokładzie: długość 6 stóp, szerokość od 1 stopy 9 cali, do 2 stóp 1 $\frac{1}{2}$ cali; grubość $\frac{5}{8}$ do $\frac{3}{4}$ cali;

z boków: długość 6 do 6 $\frac{1}{2}$ stopy, szerokość 2 stopy; grubość od $\frac{1}{2}$ do $\frac{3}{4}$ cali.

Po jak najdokładniejszym odkuciu ich, płyty wypychają się siłą pary między dwa ogromne cylindry, dla nabrania zupełnej gładkości i równości. Później, płyty gładkie już i równe, wkładają się na stosowną maszynę, gdzie regularnym ruchem i siłą spadającą trzpień, wycina w nich dziury cze-

rema szeregami, cal średnicy mające, od siebie o 4 cale, a od brzegu płyty 1 $\frac{1}{2}$ cala oddalone; to wszystko nadzwyczaj szybko i łatwo; w minutę 40 dziur się wycina.

Po tej operacji, przystępuje się do nitowania płyt ze sobą, i spajania ich kłamrami i ryglami. Gwoździ ogromnych ryglowych ogółem wyszło przy budowie *tub* do mostu Brytannia 2 miliony sztuk; każdy z nich miał w przecięciu cztery cale długości, $\frac{1}{8}$ średnicy; a wszystkie razem ważyły przeszło 18,000 centnarów.

Skala, na której zbudowano jedyną, środkową wieżę, podpierającą most, kryje się zupełnie pod wodą, a wieża wystercza z morza na 230 stóp wysoko; zewnątrz ściany jej wyłożone marmurem z wyspy Anglesey; wewnątrz zaś budowa cała składa się z piaskowca, wskrótłego poprzeprowadzano żelaza na 470 beczek wagi, dla nadania większej siły. Z wierzchołka wspaniałej tej baszty przepyszny widok przedstawia się oku na wszystkie światła strony.

Końce tych, jak dwupiętrowe domy wysokich rur, spotykają się w środkowej wieży; w tém spotkaniu spojono je jak najsilniej i najszczelniej z sobą i z mурowanym gmachem; z przeciwniej strony, na brzegowych wieżach, końce tych rur spotykają się znów z końcami krótszych owych galerij, i znów tu razem spojone zostały, tak, że most cały składa się z dwóch rur, jak najdokładniej równych i jednakowych, z których każda 1513 stóp długości trzyma. Żelazny ten kołos przewyższający wielkością wszystko, co tylko dotąd z żelaza na świecie budowano, waży ogółem 5,000 beczek, co wynosi ciężar dwóch okrętów ze 120 armatami i całym ładunkiem. Dla nadania większej siły tej ogromnej massie, Stephenson, końce rur, przy wkładaniu ich na miejsce, opuścił z każdej strony o 15 cali na dół. Wyrachowano, że skutkiem tej prostej operacji, cała budowa zyskała o 30 procent na sile. Cała długość tak złożonego mostu wynosi 1841 stóp. Dla zapobieżenia trudnościom, jakiego przedstawiać mogło rozszerzenie się żelaza w tubach, przy zmianie temperatury, w przyczółkach, pod spodem *tub* umieszczono z każdej strony kręgi i kule spiszowe, na których rury spoczywając, łatwo się ścigać i rozciągać mogą.

Wieżę brzegowe wznoszą się na 198 stóp nad poziom wody; wszystkie mурowane roboty u mo-



Petrasznik.

stu, wypotrzebowały 1,500,000 stóp kubicznych kamieni. Przy wejściu, z każdej strony leżą jakby olbrzymi strzegące cyklopowej budowy, dwa lwy z marmuru. Na szczycie środkowej zaś wieży, wznosić się będzie również kolosalna figura, wyobrażająca Brytanię. Most Britannia otwarty zo-

stał 1 marca 1850 roku, przy świetnym obchodzie i uroczystości, na którą tysiące ludu ze wszęch stron się zbiegły, żeby oddać hołd gieniuszowi twórce tak słynnego dzieła, i zarazem nasycić uczucie własnej chluby i pychy z posiadania obojga u siebie.

PIETRASZNIK PLAMISTY.

Pietrasznik plamisty, u ks. Kluka *Swiniewicz plamista*, *Conium maculatum*, roślina przez swe już to leczące, już szkodliwe skutki tak osobliwa dla ciała ludzkiego, niedosyć jeszcze dobrze, niedosyć powszechnie, jakby należało, jest znana, i dla tego z innymi roślinami bardzo często za jedno uważana; rośnie dziko we wszystkich krajach Europy, na uprawnych i nieuprawnych gruntach, przy drogach, pod płotami, na pastwiskach, pod lasami, w zarostach, na starych murach i na gruzach; lubi nieco ocienione miejsce, grunt spójny; kwitnie od czerwca aż do jesieni, kiedy nasienie dojrzewać zaczyna: jest to roślina dwuletnia. Korzeń kształtem i wielkością prawie podobny do marchwi, ale jest biały, wrzecionowaty, gałęzisty, miewa na sobie wiele włókien, i dopóki młodościany, zawiera w sobie mleczny sok. Łodyga prosta, dwudzielną, bywa dwie, trzy aż do sześciu stóp wysoka, wcale gładka, walcowata, gałęzista, wszędzie a szczególnie u dołu brunatna lub czerwono na błękitnawo-zielonem tle poplamiona. Liście są trzy razy pierzasto-dzielne, miękkie, gładkie, ciemnozielone, polyskowne, a składają się z podługno-jajowato-okrągłych, głęboko nacinanych, u góry pilkowatych listków. Kwiatki są białe, po największej części dwupłciowe, często tylko słupkowe, a po nich pozostaje się okrągłą, kreskowanę, i na kreskach pięknie karbowanę nasienie czyli owoc. Na łodydze jest wiele kątów, z których wyrasta jedna gałąź, pochwa liściową otoczona; na wszystkich gałęziach i gałązkach są baldaszki, które prawie do jej wznosząc się wysokości, tworzą baldach złożony, który się składa z siedmiu lub

więcej, a zaś szczególnie baldaszek częstokroć więcej jak ze dwudziestu szypulek. Pokrywy kwiatowe baldachów są trwale, nieco odwinęte; składają się z czterech do ośmiu, a zaś szczególnych baldaszków z trzech a najwięcej pięciu listków przy nasadzie zrosłych. Cała roślina ma woń odrażającą, okliwą, szczególnie liście i nasienie, a ta woń zwiększa się w nich przez zasuszenie; woń korzenia nieco podobna do marchwi, a smak zielonkowy, korzenny, obrzydliwy. Czerwono lub brunatno nakrapianą łodygą, różni się Pietrasznik od *Szaleju jadowitego* (*Cicuta virosa*) od *Blekitka lekne-go* (*Chaerophyllum sylvestre*) i od *Końskiej Kopru wodnego* (*Phellandrium aquaticum*), a swym zapachem, tudzież gładkimi ogonkami liściowemi, różni się od *Blekitki główkowej* (*Chaerophyllum bulbosum*). Do użytku lekarskiego zbiera się tę roślinę nim zakwitnie, w czerwcu, w miejscach na słońce wystawionych, i jeżeli nie ma być za świeża używana, dla zachowania w niej lekarskich własności, trzeba ją prędko w ciepłym piecowem zasuszyć, i chować w dobrze zamkniętych naczyniach. Owce i bydło pomijają Pietrasznik nie tykając go na pastwiskach; zresztą, krowom on nie szkodzi, gdy ususzony z innymi ziołami, dostanie się między siano; kozy chętnie i bez szkody zjadają go; osły i muły mogą go jeść bez wyraźnej szkody; lecz dla psów, dla świń, królików i gosi, Pietrasznik jest śmiertelną trucizną, a konie po jej zjedzeniu dostają drżączki, odurzenia, zawrotu. Na ludziach, którzy zażyli tej rośliny, mianowicie jej korzenia, (z pasternakiem pożytego) spostrzegano drżenie członków, sparaliżowanie organów

zmysłowych, paralityczne osłabienie członków, szaleństwo, drgania konwulsyjne, kurcze szcęk, drętwienie języka, zimne poty, a częstokroć i śmierć w następstwie. Srodki których imać się wypada dla zaradzenia złym skutkom z użycia tej rośliny, jak po innych narkotycznych roślinach, są głównie womity, kwasy roślinne i miód, wino, kamfora, ammonia i czarna kawa.

W sztuce lekarskiej oddawna już Pietrasznika używano, podobnie jak innych mocno działających środków, na uporeczywe, mianowicie zewnętrzne choroby, jak np. dla złagodzenia niektórych dolegliwych bólów i rozpedzenia twardej puchliny; wszakże z właściwymi lekarskimi skutkami tej rośliny obeznawać się zaczęto lepij, dopiero od czasu, jak przed kilkudziesiąt laty, cesarski nadworny lekarz *Störk* w Wiedniu, użył jęj szczęśliwie do leczenia wielu chorób, które do owego czasu za nieuleczone były uważane. Działanie Pietrasznika ma wiele właściwych tej roślinie skutków. Nie okazuje się wprawdzie bardzo gwałtownym, w wielu jednak chorobach wyraźne spozstrzegają się skutki tego działania na życie roślinne, i dla téjto własności używają jęj terapeutycznie. Szczególniej skuteczna jest na naczynia limfowe i na gruczoły, których zmienia wogietacyą, i do rozpływania je usposabia. Tak samo skutkuje na naczynia skórne, których nietylko powiększa własność wydzielającą, ale ją jeszcze właściwym sobie sposobem zmienia. Używana w małych ilościach, na zdrowych ludziach, choćby tó używanie było ciągle, nie sprawia wyraźnych objawów, chyba tylko nadwergę trawienie; silnie jednak działa przeciwko nienormalnemu stanowi gruczołowych organów. Dawana w większych ilościach, sprawia pragnienie z suchością w gardle, wzbudza nu-

dnosć, womity, biegunkę, przytępia zmysły, spowodza drżenie członków, zapalenia skórne i kongestya do brzucha, piersi i głowy, a po większych jeszcze dozach, wymienione przypadłości w wyższym jeszcze objawiają się stopniu; po przemijającej manii, następuje zupełne odurzenie; puls bije coraz wolniej, a w kończynach zimnych członków już go dostrzedz nie można; oddychanie powoli ustaje, krew krążyć przestaje, i śmierć wszystko kończy. Choroby, w których użycie Pietrasznika plamistego okazało się szczególniej skutecznym, są: nabrzękłości i zatwardzenia gruczołów, choroby skrofuliczne, zastoiny, zatwardzenia i nabrzękłości wewnętrznych części, szczególniej brzucha; choroby syfiliczne, chorobliwe różnego rodzaju sekrecye i wiele dyskrazij czyli nieregularnych mieszanin soków w ciele. Użyty na choroby nerwowe w swém działaniu pokazuje wiele podobieństwa do *Lulka* (*Hysocyamus*). *Gaso* i *Quarin* zapisywali go ciągle i pomyślnie na kurcze żołądka, *Lettsom* na nerwowy ból głowy, a *Butter* chwali tę roślinę, jako najskuteczniejszą, a nawet jako specjalne lekarstwo na koklusz czyli kaszel kurczowyy. Zewnętrznie używają go często ku pomocy działaniu wewnętrznemu, i szczególniej ma być skutecznym w bolesnych zapaleniach i reumatycznych dolegliwościach. *Canicin* czyli *Cicutin*, właściwa narkotyczna istota Pietrasznika, jest najzjadliwszą trucizną; rzadko jednak dotąd używana jest w medycynie.

Figura 1 na załączonej tablicy wystawia kwitnącą łodygę Pietrasznika plamistego; *fig. 2* korezeń; *fig. 3* kwiat dwupłciowyy powiększony; *fig. 4* kwiat żeński, powiększony; *fig. 5* naczynia pyłkowe z tytu, powiększone, a *fig. 6* powiększoną kupkę owocu czyli nasion.

GAWĘDA Ó ASTRONOMII.

(O PLANETACH).

Od czasów Newtona, wynalezione przezeń prawa ciężenia, służą za zasadę do oznaczenia ruchu

ciał niebieskich. Wszystkie późniejsze odkrycia stwierdziły nieomylnosć praw tych, i okazały, że

w najoddalniejszych nawet okolicach sklepienia niebieskiego, znajdują one niezawodne zastosowanie swoje. Od chwili kiedy pokazało się, że Neptun istotnie jak najdokładniej w tym samym się miejscu znajduje, jakie mu poprzednie wyrachowania naznaczyły, prawa ciężenia nową nabrały ważności, i stały się narzędziem przyszłych odkryć. Dwuwiekowa sława Newtona jasniejszym jeszcze rozgorzała światłem, a dwaj astronomowie, Leverrier i Adams, mądrém stosowaniem jego teorii, znakomite zasługi sobie zjednali. Odkrycie, które w trójnasób rozszerzyło granice naszego systematu słonecznego, doprowadzając do tak świetnego rezultatu za pomocą obrachowań jedynie, w znakomitem stawia świetle ducha ostatnich czasów, i nowy dodaje dowód nieomyślności nauk matematycznych i ścisłości wielkich praw wszechświata, które Newton ludziom objawił.

W dalekiej starożytności znano tylko pięć głównych planet. Odróżniano je od gwiazd stałych z tego powodu, że miejsca swe zmieniały, i dlatego je nawet nazwano wędrownymi gwiazdami: *planety*. Długich potrzeba było wieków, żeby z tych pierwotnych pojęć, przejść do poznania prawdziwej budowy świata. Galileusz, sporządzeniem swego teleskopu, nową dla astronomii zgótował erę. Odtąd zaczyna się szereg odkryć, które w przeciągu lat trzystu, dwadzieścia ośm nowych światów w naszym systemacie słonecznym nam wykazują, a w głębiach firmamentu mnóstwo nowych słońc i systematów wysledzają.

Głębie te niebieskiego sklepienia na takich się rozciągają obszarach, że toby w ich środku się znajdował, temu nasze słońce przy całym swym ogromie, drobna by się tylko wydała plamka, czy jasną chmurką.

Galileusz, przy pomocy swego teleskopu spostrzegł naprzód czterech drabantów Jowisza. Punkt jasny, które dojrzał na ciemnej powierzchni księżyca, naprowadziły go na wniosek, że muszą się na nim znajdować góry. Plamy zaś na tarczy słońca, dozwalały mu się domyślać, że się ono około swój osi obraca. Spostrzegł on prócz tego, że około Saturna znajduje się coś niezwykłego, ale mimo ulepszeń teleskopu swego, nie mógł jednak dokładnie dojrzeć i rozczekał pierścienia. Odkrycie to zachowaniem było dla Huyghensa, który zarazem wykrył jednego z drabantów Sa-

turna. Teraz znów długie upływają lata nim nowe gwiazdy do znanego nam przybędą świata. Ale nauka mimo to nie próżnowała. Tycho Brahe nie zmordowane czynił spostrzeżenia nad Marsem, a te doprowadziły *Keplera* na drogę do zformułowania praw swoich o eliptycznym ciał niebieskich obrocie. Prawa te stanowią jedną z najważniejszych, z najznakomitszych epok w dziejach astronomii. Z nich, w dalszym rozwinięciu, Newton wyprowadził teorię ciężenia, gruntującą się na tej głównej zasadzie: że ciała niebieskie przyciągają się wzajemnie w stosunku prostym objętości swych, a w odwrotnym kwadratów z odległości.

Teraz już astronomowie mieli w ręku środki do obrachowania względnych objętości planet i elementów ich biegu. Tym sposobem powstały tablice astronomiczne, dzieło ogromnej, olbrzymiej pracy, na którą wielu słynnych matematyków francuzkich trudy swełożyło.

Gdybyśmy słońce przenieśli na miejsce, które ziemia zajmuje, i środek jego w samym środku ziemi umieścili, to powierzchnia jego dosięgałaby aż do drogi, którą księżyc wokół swój kochanki obiega. Ta olbrzymia objętość ognistego światłodawcy naszego, wywiera na planety siłę przyciągania, skutkiem której (w połączeniu z pierwotnym ruchem planet) krążyłyby one po regularnych elipsach, gdyby wzajemne znów gwiazd między sobą przyciąganie, regularności tych elips nie psuło i do zboczeń nie zmuszało. Zboczenia te, stosunkowo do długości przebieganych dróg nader drobne, wynikają tak jak i same te drogi ze stałych praw, i obliczone są dokładnie dla każdego planety. Za pomocą takich tablic astronomowie wiedzieć mogą jak najdoskonalej na długi przeciąg wieków, jakie miejsce na niebie, jaki planeta w tym a tym dniu zajmował, lub zajmować będzie. Oczywiście jest rzeczą, że jeżeli zboczenia pochodzą od jakichś gwiazd nieznanej dotąd, to w wyrachowaniu znajdują się błędy i niedokładności. A te same błędy naprowadzają znów na drogę prawdy i nowych odkryć, jak to się rzecz miała z odkryciem Neptuna przez Leverrier.

Dopóki Wilhelm Herszel nie zbudował sławnego teleskopu swego, od czasu Cassiniego nie przybyła ani jedna gwiazda do naszego systematu słonecznego. Olbrzymie narzędzie Herszla odkryło

dopiero oku ludzkiemu głębie i obszary odległości, nigdy dotąd dla śmiertelników niedostępne.

Przy pomocy tego narzędzia, niezmordowana pracą badania w r. 1781, 13 marca, odkrył Herszel nowego planetę, a wkrótce potem i sześciu jego towarzyszy czyli drabantów, nieodstępnie w okolo niego krążących. Z początku sądzono, że *Uranus* (tak bowiem nazwano nowo odkrytego planetę, pomimo woli Herszla, który mu chciał nadać miano *Jerzego*) przebiega po parabolicznej drodze; inni, a mianowicie *Saron*, członek paryżkiej akademii nauk, z wyrachowań swych nadawał mu ruch prawie kołowy, a czas obiegu drogi na lat 82 naznaczył. *Lalande* jednakże niezadługo, za pomocą wynalezionej przez siebie metody, doszedł do niezawodnego przekonania, że orbita Uranusa jest elipsa i jak najdokładniej tego dowiódł.

Novet pierwszy wydał tablice do Uranusa. Gdyby w owym czasie astronomia miała już była te środki, jakie dzisiaj posiada, to eliptyczność drogi nowego planetę, okazałaby się jawną i konieczną, w kilka dni po odkryciu go.

Nie jeden astronom przed Herszlem widział na niebie Uranusa, ale wszyscy uważali go za gwiazdę stałą, a przy nieudoskonaleniu szkieł swoich, niezadługo zupełnie go z oczu stracili. Delambre sporządził nowe tablice dla Uranusa, które przez przeciąg trzechletniego badania teleskopicznego, okazały się o 7 sekund chybiającymi. Różnica taka coraz bardziej się wzmagala, i potrzebę nowych tablic wywołała.

Bouvard w roku 1821 zajął się ich ułożeniem. Pomimo najdokładniejszych jednakże obliczeń, i uwzględnień wpływów obcych znanych gwiazd, obrachowanie nigdy ściśle się z teleskopicznem badaniem zgodzić nie chciało. Ta okoliczność naprowadziła go na wniosek, że za Uranusem musi się jeszcze znajdować jakiś nieznany planeta, który powoduje te zboczenia, niedajace trafić z sobą do ładu.

Odkrycie Neptuna, wywołane takim przypuszczeniem, sprawdziło wieszce słowa angielskiego poety *Campbella*, który powiedział, że: „*nadejść mające wypadki, przed sobą cień swój rzucają.*” Różnica między obrachowanem a rzeczywistem położeniem Uranusa, wzrosła w r. 1837 tak dalece, że równała się odległości księżycy od ziemi. To skłaniało coraz bardziej wszystkich gwiazdziarzy

do przeczuwania nowego jeszcze planetę, poza Uranusem położonego; sześciu ich przynajmniej istnienie jego przepowiadało wyraźnie, ale nikt nie umiał wskazać gdzie się znajduje i jaki on jest. *Leverrier* dopiero w Paryżu, i *Adams* w Cambridge nie wiedząc obadwaj o sobie, jednocześnie przedsięwzięli trudną i nową zupełnie w swoim rodzaju, pracę, która miała na celu, ze zboczeń drogi Uranusa, dojść gdzie w danej chwili czasu nieznaną planetę znajdować się musi.

W r. 1841 jeszcze *Adams*, który był dopiero uczniem w Cambridge, zwracał uwagę profesora astronomii, że w taki sposób należy zadanie zformułować; w r. 1845 tak dokładnie znał już żywioły odkryć się mającego planetę, że uczynił wyrazne do królewskich astronomów oświadczenie, iż 1 października 1846 r., będzie on się znajdował mniej więcej na $232^{\circ} 2'$ długości, i prosił ich, aby go tam szukali. Obrachował prócz tego, że objętość tego niewiadomego planetę w trójnasób przewyższać musi wielkość Uranusa, że mieć będzie jasność gwiazd dziewiątej wielkości, łatwo zatem może być dostrzeżony. Królewscy astronomowie na nieszczeście w osm miesięcy później dopiero wzięli się do szukania go, kiedy pan *Galle* w Berlinie, na wezwanie *Leverrier'a* śledzący go, tamże dojrzał i znalazł jego położenie. Przyznano wtedy, że obliczenia i wnioski *Adamsa* były jak najdokładniejsze i najślusniejsze, ale sława i pierwszeństwo odkrycia przypadły w udziale *Leverrier'owi*.

Nowo odkryty planeta, dwiecie razy wielkością przewyższa ziemię, a prędkość obrotu jego sześć razy powolniejsza jest od obrotu tężę. Odległość jego od słońca wynosi 780 milionów mil, skutkiem czego tysięczna trzeczesetna tylko cząstka dochoodzi go tego światła i ciepła, jakie na naszą siedzibę przypada. Ten brak światła wynagradzają mu może nieco jego drabany, których dotąd dwóch okolo niego znaleziono. Równie jak *Saturna*, otacza go pierścień, odległy od jego powierzchni na czwartą część osi jego. Bieg komet dowodzi, że siła przyciągania, jaką słońce posiada, sięga przynajmniej dwadzieścia razy dalej jeszcze, jak bieży droga Neptuna. Być więc bardzo może, że poza Neptunem także znajduj się planety, które z czasem za pomocą wyrachowań wynalezione zostaną, tak samo jak i on; i że, jeśli wielkość ich stoso-

wnie do odległości odpowie prawom Rodego, oko ludzkie zdola je osiągnąć teleskopem.

Wzmiankowane owe prawo Rodego, które i przy odkryciu Neptuna nie ma było dla uczonych pomocą, nie jesto bynajmniej jakaś zasada teoretyczna, ale jesto zasada wyprowadzona z czystego doświadczenia w astronomii. Prawo to brzmi jak następuje: jeśli odległość Merkurego od słońca przyjmijmy $= 4$, to odległość Wenus wynosi 7, co daje $4 + 3$. Dla każdego następnego planety podwajając różnicę między nim, a poprzednim, otrzymamy tym sposobem następną tabelkę, wykazującą stosunkową odległość planet od słońca:

Merkury	4	= 4
Wenus	$4 + 3$	= 7
Ziemia	$4 + 3 \times 2$	= 10
Mars	$4 + 3 \times 2^2$	= 16
Ceres (jako 'przedstawia- jąca średnią odległość asteroid)	$4 + 3 \times 2^3$	= 28
Jowisz	$4 + 3 \times 2^4$	= 52 i t. d.

Kepler już uważał, że przestrzeń między Marssem a Jowiszem zbyt jest wielką, i przepowiedział wieszco, że kiedyś tam znajdą ludzie nową gwiazdę. Po odkryciu przez Herszla Uranusa, którego odległość zgodziła się zupełnie z prawem Rodego, baron Zach utrzymywał, że planeta między Marssem a Jowiszem znajdujący się, musi potrzebować czterech lat i ośmiu miesięcy czasu na odbycie swego obrotu; co istotnie na kilku małych planetach okazało się prawdziwem. I jakabądź jest wartość praw Rodego, jemu zawsze winna nauka wynalezienie małych teleskopicznych gwiazd między Marssem a Jowiszem. Opierając się bowiem na jego zasadzie, astronomowie niemieccy wspólnymi siłami wzięli się do odszukiwania brakującego planety. Ale zamiast jednego, znaleziono ich ośm. Pierwszy dzień naszego stulecia, rozpoczął szereg tych odkryć. Piazz, astronom w Palermo, zajmował się właśnie sprawdzeniu jakiegoś obrazu gwiazd na niebie, kiedy w konstellacji koziorożca, rzuciła mu się w oczy mała gwiazdka, która widocznie miejsce swe zmieniała, a zatem do naszego systemu słonecznego należeć musiała. Piazz zachorował i nie mógł dokładnych nad nią poczynać spostrzeżeń i obrachowań; po wyzdrowieniu skryła ona mu się gdzieś tak, że przez rok cały próżno jęj najusilniej, najpilniej wyszukać się ku-

sił. Idąc za wskazówką Piazziego, wynaleźli ją nareszcie Zach i Olbers; nadano jęj miano *Ceres*.

Kiedy Olbers szukał Cerery w konstellacji panny, spostrzegł także jakąś małą nieznaną gwiazdę, która się wkrótce okazała być planetą, i otrzymała nazwę *Pallas*. Ponieważ obiedwie te gwiazdy obiegały drogi tego samego kształtu i tęj samej odległości od słońca, a nadto obiedwie należały do konstellacji panny, astronomowie przeto zrobili przypuszczenie, że muszą one stanowić oderwane części jakiegoś wielkiego planety, który skutkiem rozpadnięcia się, czy rozsadzenia, został rozdziarowany, i domniemywali się, że więcej takich części, czyli odłamów da się z czasem odnaleźć. Olbers zauważał nadto, że drogi obydwu tych gwiazd przecinają się w konstellacji panny i wieloryba. Kiedy więc przypuszczalne owo rozdziarowanie nastąpić musiało w jednej z tych dwóch konstellacji, to i wszystkie odłamy zatem dawniej całości powinny, stosownie do praw ruchu planetowego, w końcu każdorazowego obrotu na to samo miejsce wracać, w którym rozerwane i rozdzielone zostały. Jeżeli więc są jeszcze jakie odłamy, to powinny się niezawodnie znaleźć albo w północnej części konstellacji panny, albo też w zachodniej części wieloryba. Jakoż we dwa lata później odkrył Harding w Lilienthalu pod Bremą *Juonę*, a Olbers 29 marca 1807 r. *Westę* w tych samych prawie punktach, które im poprzednio wskazywano.

Wiele lat od tego czasu upłynęło, nim nowe odkrycia naukę wzbogaciły. W roku dopiero 1845 Heneke z Driesen dał nowy popęd poszukiwaniom. Odkrył on *Astreg* i *Hebe*, a Hind w Londynie 1847 r. odszukał *Iris* i *Florę*. Ze wszystkich tych małych planet, Flora najkrótszy ma peryod obiegowy ($3\frac{1}{4}$ roku ziemskiego), a najdłuższy Pallas ($4\frac{1}{2}$ roku ziemskiego).

Znanych obecnie planet mamy więc szesnaście. Obiegają one około słońca w następującym porządku odległości: Merkury, Wenus, Ziemia, Mars, Flora, Iris, Westa, Hebe, Astrea, Juno, Ceres, Pallas, Jowisz, Saturn, Uranus, Neptun. Przypuszczając należy, że poza Neptunem jeszcze i między Marssem a Jowiszem nowe gwiazdy odkryte może zostaną. Jeśli prawdziwem jest domniemanie, że grupa ośmiu wzmiankowanych małych planet, powstała ze szczątków jednego, większe-

go planety, to bardzo prawdopodobnym być może, że zjawisko to nie jest jedynym, i że się niejednokrotnie zdarzać gdzieindziej mogło. Myriady meteorycznych kamieni, spadających corocznie na ziemię naszą w sierpniu i grudniu, i zapalających się starciem z naszym powietrzokretem (atmosferą) pochodzą bardzo być może z rozzerwania

ciał planetarnych około słońca krążących. Początek tych kamieni meteorycznych może być ten sam, co i małych planet, tylko siła rozrywająca pierwiastkową masę, na tak drobne okrucy, musiała być większa i potężniejsza, jak w tamtym wypadku.

ATENY I MISTRA.

Ateny, sławne owo miasto, stolica niegdyś Attyki, z łona którego wyszły promienie wyższego światła, i przebiły się przez wiele wieków, aż po dzisiejsze czasy, w najświetniejszych chwilach bytu swego liczyło 21,000 swobodnych obywateli, co każe wnosić, że ogólna liczba mieszkańców jego wynosiła 200,000 ludzi przynajmniej. Założycielem grodu tego miał być Cekrops w r. 1500; (przed n. Chr.) od niego też z początku i nazwę nosiło, która w późniejszym czasie do zamku jedynie warowne go przywiązana została, — a gród sam, od opiekuniczki bogini, pod której orędownictwo przeszedł, za rządów Erichtoniusza Atenami przewany.

Starożytne Ateny leżały na wyniosłej skale wśród okolicznej doliny wysoko wysterczającej. Związująca się z postępem czasu liczba mieszkańców i domostw spowodowała rozdział miasta na Akropolis i Katapolis, czyli dolne i górne. Zatoka Saroniska podmywała brzegi pięknego grodu, a dwie rzeki, od północy Kephissos, od południa zaś Hissos rzeźwiącemi opasywały go wstęgami. Od morza dzieliła go przestrzeń czterogodzinna; trzy porty: Faleros, najbliższy miasta, Munychia najdalej i Pyreus najobszerniejszy, a przytém najznamienitszy punkt całego handlu starożytnej Grecji, nadawały miastu niepospolitą ważność i znaczenie. Brzegiem w okolo ciągnęły się przepyszne gmachy i budowle, wspaniałością z mieszkami o lepszą walczące. Mury łączące porty z miastem, budowane z kamienia ciosowego, były tak szerokie, że powozy wymijać się na nich mogły. Najprzedniejszém jednak dziełem budownictwa, przechodzącém wszystkie inne gmachy Aten

okazałością i bogactwem, było Akropolis. Jego zaś najpierwszą ozdobę stanowiło Partenon, świątynia Ateny czyli Minerwy. Wspaniały i cudownie piękny gmach ten, którego gruzami zasypane rumowiska, podziw jeszcze światła wzbudzają, miał 217 stóp długości, 98 szerokości i 65 wysokości. Zburzony i z ziemią prawie zrównany przez Persów, odbudowany został z większą jeszcze wspaniałością, staraniem Periklesa (444 r. przed Chrystem). Wnętrze tego przybytku sztuki greckiej zdobił posąg Ateny mistrzowską ręką Fidiasza wykonany z kości słoniowej i szczerzego złota, którego waga sama wartości do 5 milionów złp. przedstawiała. Do Akropolis wiodły pyszne Propylee, szeregi kolumn, z których dziś tylko ślady pozostały.

Ze starożytnego grodu najlepiej obecnie znana jest południowo-wschodnia część ku portom wiodąca, i najwspanialsze niegdyś obejmująca gmachy. U stóp wyniosłej warowni stało Prytaneum z jeduń, a Odeon Peryklesa i świątynia Bachusa, czyli wielki teatr Dyonizjusza z drugiej strony. Tam brzmiały pieśni współbiegających się o laur sławy wieszczów; tu pierwszą świat ujrzał tragedye. W Prytaneum hold oddawano obcym posłanikom, zasłużonym w kraju mężom, obywatelom i Prylanom (wybrany z senatu do bieżącego sprawowania kraju); ugaszczając ich kosztem ogólnym mieszkańców. Mała dolina Cele oddzielała górę kamkową od wzgórza, na którym się wznosił Areopag, gdzie Archontonowie nieodwołalnie na przestępców wydawali wyroki: zładło poważny ten trybunał strzegł obyczajów, wychowania, re-



Alamy.



Alamy.

ligii, praw i postanowień ludu. Opodal leży Pnyks, gdzie lud obradował i chciwem uchem chwycił zręczne pochlebstwa mówców; widać jeszcze dotąd wykute w skałach siedzenia Archontów i mównicę z której Demostenes, Perykles, Arystides i całe gromady Sykofantów zachwycali i oburzali serca tysięcy ludzi. Tu obdzielano wieniecami czci i sławy wielkich mężów i wojowników, skazywano ich nieraz na wygnanie; tu na Sokratesa i Focyona straszne wyroki śmierci zapadły. Z Areopagu ulica Hermesa wiodła do Pojkili zdobnej w malowidła Polygnota, a dalej na nową Agorę; cała zaś droga, od zamku aż do samego Pyreu jaśniała wspaniałemi posągami sławnych i znamienitych w dziejach mężów.

W zachodnio-południowej części miasta wznosiły się: Olympejon, świątynia wszechwładnego Zeusa z kolossalnym posągami bożka ze złota i słoniewej kości, dłuta Fidyaszowego; akademia, gdzie Plato wzniosłych swych myśli uczniom udzielał; Cynotarges i Lyceon, gdzie Arystoteles przechadzając się, mądrość swą wygłaszał. Dalej ku południowi dotąd zachował się pomnik budownictwa osmiokątny, znany pod nazwą wieży wiatrów. Na każdej jego ścianie w płaskorzeźbie widać wyobrażenie bożka odpowiedniego wiatru. Prócz tego trzy głowy ryte w korniszach z każdej strony, mają przedstawiać różę 24 wiatrów, jak ją opisał Witruwiusz. Na każdej ścianie widać wyrobione liście na oznaczenie godzin, jak gdyby na kompasie; być bardzo może, że na dachu był urządzony pion, który je cieniem swym wskazywał. Wszędzie gdzie tylko się obrócisz dziś w Atenach, znajdujesz ślady i szczątki kolumn, łuków tryumfalnych, przepysznych gmachów, wszystko to tak zniszczone i zagrzebane, że rozeznac niepodobna dawnego ich znaczenia.

Świątnia ta niegdyś stolica uczonych Grecy, przed bardzo niedawnym jeszcze czasem, była tylko ponurą kupą gruzów i rumowisk, wśród których dziesiątek tysięcy ludzi, gnieździł się tu i ówdzie w rozrzuconych bez ładu, nędznych domkach i lepiankach. I dziś jeszcze, jakaż różnica dawnych od teraźniejszych Aten! Przy wjeździe zaraz widzisz, że zaledwie małą cząsteczkę dawnego grodu, stanowi dzisiejsza stolica; za pierwszym rzutem oka poznajesz, że to nie starzy zamieszkują tu Grecy, ale nowi jacyś ze wszystkich stron świata zbiegli

przybylsze. Ileż muzuł potrzebna było, po przeniesieniu do słynnego Hellady grodu, stolicy nowego państwa, aby oczyścić i otworzyć przynajmniej drogi wśród niezmiernych zawałów gruzu, pokrywającego całą tę przestrzeń tyle świętą dla dziejów i wspomnień człowieka! Od czasu niszczyciela Sulli, do Albanów, Wenecyan, i Turków sprośne ręce ludzi tyle już tu naniósły zagłady i rumowisk, że niewiele bardzo brakuje, aby wielkie dzieło Peryklesa, oczom nawet najmniej-szego nie pozostawiło śladu. Czemu zaś dziecy i Wandale niezupełnie podolali, temu ostatnią zagładę przynosiła dzwiazę Anglicy, a spośród nich najpierwszy ów Herostrat nowoczesny, Lord Engin, rabując niemilosiernie wszystko, co napotykał: — płaskorzeźby, areydzia Fidyaszowej ręki, izby niemi uświetnić i zbogacić swoje muzeum brytańskie.

Nowe Ateny, dzisiejsza rezydencya króla i władz najwyższych kraju, jakkolwiek posiadają wiele przepysznych szczątków starożytniej sztuki, dalekie są jednakże od tego, aby w słabym nawet odbłyśku, w bladym cieniu przedstawiać miały dawną okazałość i świetność pamiętnego miasta, którego obwód cztery mile niemieckie wynosił. Pozostałe w Atenach zabytki i szczątki starożytnej sztuki, tém są szacowniejsze i ważniejsze, że oprócz tego jedynego miasta i wyspy Egiptu, na całym stałym lądzie Grecyi tak niemilosiernie wszystko zniszczono, tak barbarzyńsko najpiękniejsze pomniki zagladzono i z ziemią zrównano, że nigdzie prawie jednej całej nie znajduje kolumny. Od czasu jak król Grecyi zamieszkuje w murach Aten, znacznie bardzo podniosło się miasto, które w ostatnich wojnach, w czasie kilkakrotnych oblężeń i zaciętych obron, niesłychanie ucierpiał, a poprzednio już i tak raziło smutnym pozorem zniszczenia i charakterem swoim zupełnie tureckim, w drewnianych domkach, krętych ciemnych ulicach przebijającym niemilo. Stare miasto ma dotąd trzy tylko ulice dość dobrze zabudowane; nowe buduje się ku północy; wiele ulic już jest wytkniętych i wyznaczonych, ale mało bardzo jeszcze zabudowanych i zapełnionych. Pałac królewski dawno rozpoczęły ze wspaniałością odpowiadającą okazałości sąsiednich mu ruin, wznosi się na wzgórze ku zachodowi; mimo ciągłej jednakże około niego pracy, nieprędko jeszcze zu-

pełnego ukończenia spodziewać się każe. U stóp Akropolis wznoszą się także dwa nowe i wcale piękne gmachy: szpital wojskowy i mennica, i jeśli nie przepychem budowniczej sztuki, to praktyczną użytecznością przeznaczeń symetryzują ze skiełtem dawnego kołosa. Bruku dotąd na żadnej ulicy ani placu nigdzie niemasz; z tego powodu, jako też i ztąd, że wszędzie gruzów niezliczone leżą kupy, kurzawa wznosi się ciągle prawie taka, że podróżnemu oczu nieomal otworzyć niepodobna. Od r. 1837 mają Ateńskie uniwersytet z małym obserwatorium i biblioteką. Kościołów liczy miasto ogółem 13, z których jeden katolicki; ewangelicki i anglikański budują się dopiero, i są już na ukończeniu. Mieszkańców liczba dochodzi 27,000, którzy odznaczają się zawsze między ziomkami, szczególnym polorem obyczajów i czystością języka. Handel prowadzi się tu najznaczniejszy z całej Grecyi; wcale jednak mimo to nie można go uważać za znaczny. Świetne niegdyś porty, dziś albo żadnego nie dają użytku, albo nader mały; Pyreus tylko jakie takie zapewnia schronienie okrętom, — dwa zaś inne, skutkiem zasypania piaskiem i ustąpienia morza od dawnych brzegów, stały się zupełnie nieprzydatne. Piękna już dziś dość, a w przyszłości zapewne bardzo ulica, łączy Pyreus z miastem wspaniałe doń niejako wjazd stanowiąc; zdobi już ją wiele domów, a coraz więcej wznosić się zaczyna. Sąsiednie miastu góry Pantelliku i Hymettu sławne są zawsze jak i dawniej: pierwsza ze swych marmurów, druga zaś z wyborowego miodu.

Prócz stolicy nowego państwa, powoli budować się zaczyna na całej jego przestrzeni coraz więcej miast i porządknych osad; wydobywają się jak gdyby cudem zpod czarnego całuna ruin cały ten kraj pokrywającego. W wielu miejscach osady te przypominają wielkie wypadki historyczne, ale ani liczbą mieszkańców, ani świetnością dzisiaj jeszcze na szczególną uwagę nie zasługują. Na Morei najznaczniejsze miasto stanowi Mistra, czyli Misistra liczące 6,000 mieszkańców, którzy się sami Spartanami mianują. Długo sądzono, że Mistra dzisiejsza stoi na gruzach dawnej Spartan stolicy, winniśmy to dopiero Chateaubriandowi że nas z błędą wyprowadził. Choć nietęgi polityk, pisarz wszakże pełen talentu i dowcipu, podróżując po Grecyi z serdecznym zamilowaniem jej

ziemi wyszukał on prawdziwych szczątków wiekopomnej Sparty, które mu się przypadkiem odkryć zdarzyło. I cóż zostało z tej sławnej, wielkiej, potężnej Sparty? O pół mili od Mistry zostały za cały ślad zaledwie dojrzone resztki muru obwodowego i ostanki, a raczej poszlaki tarassu, po którym się wchodziło do cytadelli. Poetycznie opisuje autor *Męczeników*, w dzienniku swej podróży, co się w sercu jego działo, jakie wrażenia je przejmowały, kiedy odkrywszy to miejsce, przysglądał mu się w zadumie stojąc na pobliskim wzgórzu, na którym obok niego widać było nędzną, ku ziemi pochyloną lepiankę, gdzie niegdyś wspaniale wznosiły się świątynie i gmachy. Takito los twórców człowieka! Eurotas płynie zawsze swoim korytem, którego wybrzeża, tak samo jak dawniej, stroją laury i sykomorzy; ale nie ma już nad temi brzegami onych dziewięć spartańskich, aby z laurów spletały wieńce nieśmiertelnej czci i sławy.

Kraj stanowiący nowo utworzone państwo Grecyi, wraz z wyspami, leży między 36° i 39° północnej szerokości, a 38° i 44° długości. Stały ląd od południa, wschodu i zachodu oblewa morze; północna zaś granica wedle ostatniego protokołu rozgraniczenia z r. 1832 ciągnie się od zatoki Arta do zatoki Wolo. Podług postanowienia trzech mocarstw z 3 lutego 1830 r. i rozgraniczenia 1832 r. państwo nowej Grecyi składa się:

1. ze stałego lądu od północnej granicy ciągnąc się poczynającego, który obejmuje część Tessalii i całą Liwadię, czyli kraje dawniejsze: Ftiotis, Etolię, Fokis, Doris, Lokris, Beocję, Attykę Akarnanię i półwysp Moreę, czyli starożytny Peloponez.

2. z wyspy Negrepont (Egribos).

3. z północnych Sporadów.

4. z zachodnich Sporadów.

5. z Cykladów.

Postanowieniem królewskim z dnia 15 kwietnia 1833 r. kraj cały rozdzielony został na 10 nomów (powiatów), a te na 47 eparchij (okręgów). W latach 1836 i 1838 podział ten zmieniono, w r. 1845 wszakże wrócił on do dawnego, któryśmy wskazywali porządku, i tak się dotąd zachowuje.

Przestrzeń Grecyi nowej wynosi 894 mil kwadratowych, z których na ląd stały wypada mil 764, na Negrepont mil 70, a na północne Sporady i na

Cyklady mil 60. Ogólna ludność nowej Grecyi składa się z 940,295 mieszkańców.

Pasma gór wyniosłych przerzyna kraj Grecyi od północy przez środek aż ku południowi; w przestrzeniach między górami, ciągną się żyzne doliny, a wiele gór przypomina nazwą swą, dawną wagę i znaczenie, jakich używały w mitologii lub historii. To samo powiedzieć można o rzekach; wszystkie bowiem mało są znaczne wielkością i rozmiarem swym, ale wspomnienia słusznie wielkimi nazwy ich czynią.

Przeszedłszy Termopyle i wkraczając w Grecyę właściwą, widać zaraz niebo gorętsze, ziemię żyzniejszą, choć mało gdzie dobrze uprawną, i wód wielki niedostatek. W prowincjach południowych oliwa najgłówniejszą stanowi produkcyę, a attyka uchodzi za najdoskonalszą. Attyka wywozi towarów za 300,000 piastrow, Morea za 400,000, Korynt szczyci się zawsze doskonałym choć drobnym winem, Arkadya sérami.

Grecya stać się może współzawodniczką Hiszpanii co do piękności welny; pastwiska jej sprzyjają bardzo wybranym gatunkom owiec. Jak w Hiszpanii tak i tu trzody przeganiają się latem z jednych pastwisk na drugie. Pasterze albańscy pędzą bydło swoje do Grecyi na pasze.

Klimat Grecyi tyle oddawna chwalony, przedstawia rozmaitość i zmienność zwykłą na południu. Ze styczniem już zaczyna się, a przynajmniej zbliża wiosna, i drzewa migdałowe kwicciem się stroją; w lutym padają ulewne i ciągłe deszcze, czasami i śnieg, ale słońce mimo to dopieka już silnie, i prawie skwar czuć się daje; w marcu dopiero wiosna występuje z całym swym przepychem, i po bujnych łąkach rozrzuca tysiące kwiatów aromatycznych trwających aż po koniec kwietnia. Z majem rozpoczyna się lato; ogrody jaśnieją całą pięknnością i bogactwem; w czerwcu zajmują wszystkich żniwo; w lipcu snopy zboża rzucają pod nogi wołom i koniom, które depcą i omlacają tym sposobem ziarno: najgorętszy to, duszący prawie miesiąc z całego roku, spieka panuje straszna, strumienie wysychają, kwiaty wszystkie więdną. Ku połowie sierpnia winobranie się rozpoczyna; wrzesień sprowadza już deszcze, które w grudniu padają bezustannie, zalewają całe okolice; rzeki wzbierają i prace w polu ustają zupełnie. Trwa to przez 4 lub 6 tygodni, w czasie któ-

rych burze za burzami gonią bez przestanku, i to stanowi zimę. Śnieg pada częstokroć bardzo obficie, ale na wierzchołkach gór tylko leży czas jakiś, zresztą znika natychmiast. Zimno bowiem nigdy prawie nie jest znaczne. Mimo tej łagodności i piękności klimatu, Grecya bynajmniej nie jest krajem bardzo zdrowym; w wielu okolicach jako w Beocyi, w pobliżu Koryntu, doliny przymorskie i błotniste płaszczyny bardzo są niezdrowe, Attyka tylko stanowić może wyjątek, gdzie za staraniem rządu osuszono bagna Maratońskie, i mieszkańcy do nader długiego dochodzą wieku.

Język dzisiejszych Greków, jakkolwiek bez wątpienia pochodzi z języka dawnego starożytnych ich przodków, różni się od tamtego najzupełniej, i nosi miano języka nowogreckiego, lub téż romaickiego. W charakterze Greków po dziś dzień zachowały się zalety i wady ich przodków; dziś jeszcze rodzą się oni mówcami i poetami; sarkazm i szyderstwo najgłówniejszą zawsze mowy ich stanowi przyprawę; najmniejszy gest dowcipny, najbłahsza drobnostka, byle zręczna, gotowa odwrócić uwagę wszystkich od najważniejszego przedmiotu; zawsze ta sama lekkość, ten sam zapal chwilowy.

Mieszkańki Aten i bliższych tego miasta okolic zachowały do tej pory dawną sławę swęj piękności, i utrzymują ją zawsze godnie; w rzeczy samej, klasyczna regularność rysów twarzy, oko żywe, wypukłe, czoło piękne, niezbyt wielkie, kibić smągla a wyniosła, ręce i nogi zgrabne i drobne; wszystko to nadaje im tyle powabu, że niepodobna nie podziwiać tak długo przechowującego się niezatarcie pokolenia. W ubiorze zachowały one także, jak gdyby jakieś wspomnienie słynnych swych prametek: spięta pod szyją biała cieniutka tunika pięknie rysuje składne ich ramiona, a płaszcz sukienny lub jedwabny złocistego koloru, majestatyczną figurę nadaje postawę; ale nie patrz dalej, nie przyglądaj się pilniej, bo dojrzyysz gruby pas niezgrabnie włożony i spodnie szerokie czerwone, które ci mimowolnie na myśl przywiodą barbarzyńskie Turków zwyczaje.

Kraina ta historyczną przyodziana świętością, kraina co była matką Hezydów, Homerów, Herodotów, Pindarów, Fidyasów, Zeusów, Solonów, Temistokłów, Alcybiadów i Demostenesów, matką całego, nieprzejrzanego nieba tych gwiazd wiel-

kich, promiennych wszystkimi wspaniałościami ludzkimi, — zostanie po wszystkie wieki, po koniec człowieczeństwa wysokim typem najznamienitszej piękności i dostojństwa, do jakich zdolen wznieść się duch ludzki w rozlicznym rozczłoniu swych konarów i rozgałęzień. Po ostatni kres świata — stanowić będzie wzór niezatarty, księgę wiecznej mądrości, z której mknące pokolenia naukę, natchnienie i zaszczyt dla siebie bezustannie czerpać będą.

Piękna ta kraina, gdzie po raz pierwszy na ziemi, a dotąd nawet najdzielniej może, rozgorzała, i pięknymi kwiaty zaświeciła potęgą człowieka w sztukach, naukach i indywidualnej jego godności; — świątynia niegdyś najsliczniejszych płonów ludzkiego życia, smutnemi, a fatalnemi losy w kolei czasu na smutną przyszłą dołą. Jój dzieje sprawdziły ustami ludu jój powtarzane przysłowie: „śmiechy, żale, przyjemności i gorycze, w jednej godzinie posiane, razem weszły.”

Po świetnych czasach Aten, Koryntu, Sparty, Teb i tylu licznych gromad jój obywateli, na prześcigi dobijających się o jaśniejszą kartę, głośniejszą sławę w księdze dziejów, — zwolna wciśka się posępna epoka upadku, przyćmienia i trwa ciągle, dopóki zawistny Rzym, owładnawszy zwyciężko całym przestworem Grecyi, do zupełnego nie przywiódł jój ogłuszenia (r. 145 przed Chr.). Zginęła na zawsze piękna Grecya! Niedoleżne Bizancjum — to spruchniały już trup jój tylko, purpurową szatą pogromcy i pana świata przyodziany. Święte znamię krzyża zbawić je nawet niezdolne. Żadna niezawodnie epoka jakiegobądź kraju nie przedstawia nam tak obrzydłego w historii widoku, jak całe pasmo zbrodni, beczeczeństw, zepsucia i uposiedzenia, stanowiące tło dziejów wschodniego państwa Rzymskiego od Konstantyna, aż do chwili zdobycia Konstantynopola przez Turków.

Wewnątrz i zewnątrz toczony robactwem moralnej zgnilizny i bezustannemi harcami obsiadającej go wokół barbarzyńców tłuszczy, miota się konwulsyjnie ten bezduszny kolos; ale napróżno, nie w nim już siły, życia nie wywoła. Justynian obcego rodu żywołem podniecony, jak przelotna gwiazdka błędnie tylko błyska i ginie w pomroce. Fanatycznym zapalem nowj wiary gnane tłumy młodocianych synów Arabii, co jak wściekły ura-

gan jednym pędem zawiei rozerwały w szmaty potężnego Rzymu dziedziny, — byłyby już niechybnie ostatni kres tym bezwładnym, szamotaniem położyły, gdyby wytrawna przebiegłość zgrzybiałej cywilizacji, zabójczym wynalazkiem greckiego ognia, na chwilę śmiałości ich prostaczek w zapędzie nie była wstrzymała. Nawały tych tłumów rozmaitego pochodzenia, przepierając się między sobą, ale to im nie przeszkadza na pilnej straży nieodstępnie trzymać gród pyszny a biedny, głowę poszarpanego tułwa stanowiący. Pobożne hufce krzyżowców próżno pomocy nie szczedzą; dziewięćdziesięcioletni Dandolo próżno się sili. Łacińskie cesarstwo jak powstało, tak i prędko znika. Nieublagana szarańcza — Turcy, coraz dalej kroczą, zalegają, wielowładnie się rozsiadają. I straszny Timur ze swymi Mongoli ich nie wstrzyma, od celu nie odwiedzie. Bajazet waleczny sultan od niego pokonany; ale Murad II sam pod Warną rozgania chrześcian zastępy, i wszystkich serca okrutnym kamieniem przestachu przywala. Jeden już krok tylko; następca Murada Machomed II dopełnia go. Konstantynopol zdobyty! (1453 r. 29 maja) Konstanty Paleolog XII, ostatni cesarz wielkiego państwa po próżnej obronie na murach swego miasta bohaterską śmiercią ginie. Złowrogi półksiężyc ze świątyn bożych strąca krzyż, którego drobne szczątki po wybrzeżach Morei i wysep się kryją. Czarny kir świętną kiedys krainę od końca do końca ponuro pokrywa.

Zpośród ogólnego rumowiska rozpryska się kilka małych trzasek; padają błędne w dalekie strony i zarzewie oświaty roznoszą. Przed upadkiem jeszcze Konstantynopola wydalały się z konającego państwa uczeni, a między najznakomitszymi Emmanuel Chryzoloras, Jan Argyropulos, Demetryusz Chalkondylas, Konstanty Laskuris i wielu innych; uciekają do Włoch, zaszczeplają tam miłość sztuki, nauk, która na cały zachód się rozchodzi, i stają się rozkrzewicielami nowj europejskiej cywilizacji, bujny kwiat obiecującej, pierwszymi przygotowawcami owj reformacji, co ma posady dawnego życia odmienić. I to już ostatnie odbłyśki wyrodzonego greckiego ducha; życie jego w innych się przelało: na ziemi słynnych mistrzów świata, barbarzyńce się panoszą i groźnym okiem spoglądają na całą Europę. A ona drży strachem

śmiertelnym, ostatniej z ich ręki wyczekuje co chwila godziny, i nie prędzej jak z początkiem XVIII stulecia odetchna dopiero z przerażenia, wydobyła się zpod ciężkiej ręki gniotącej ją zmojry. Miecz Sobieskiego na karku Kara Mustafy skruszony, pierwsze ale zabójcze zadaje cięcie straszemu wrogowi chrześcijaństwa; potężna prawica Rossyi późniój butę jego ukrocza zupełnie, i wielki niegdyś pogromca i postrach świata, darowanym z łaski życiem się już tylko cieszy, którego utrzymanie winien solidarności wiążącej go i zlewającej coraz więcej z owym żywiołem chrześciańskiej cywilizacji, na którego zagładę tak zacięcie niedawno godził.

Po długich bojach zawarty między Portą a Wenecyanami pokój w r. 1503 uczynił Turków zupełnie prawie panami całego obszaru dawniej Grecyi. Pierwiastek mahometański zagarnął bezwarunkowo wszystkie stosunki prywatnego i publicznego życia i wypierał do szczytu ostatnie resztki europejskiej cywilizacji.

W tój epoce jarzma muzułmańskiego, w zakątkach gór tylko i ustroniach wawozów wyrabiać się zaczęły żywioły, które dzisiejszej Grecyi nadają odrębny zupełnie charakter, język i obyczaje. Do Solimana^{1o} ucisk Turków nie tyle Grekom ciężkich zadawał cierpień, jak to, że stali się jabłkiem zgubnym dla nich niezgody między Portą a zachodnimi mórz władcami.

W r. 1573 wszelkie posiadłości Wenecyan, wjąwszy Kandyi, wysp Jońskich i kilku warowni na wybrzeżu Albańskiem, orężem zawojowali Turcy, i cała przestrzeń podbitego kraju jako prowincya turecka pod zarząd Beglerbega oddana, rozdzielona została na drobne Pasałiki, z których Morea stanowiła najznacniejszy przez Beja zawiadowany. W Cykladach poprzestawała Porta z początku na wybieraniu rocznego haraczu. Popierane przez kawalerów Maltańskich, wyspy utrzymywały się w niejakić niezależności, i niejednokrotnie Kapudan Pasza wyjeżdżać musiał z flotą całą na morze, żeby je siłą do daniny zmuszać. Rumeli-Velesi, czyli wielki rządca Rumelii rządził wszelkownie na stałym lądzie przy pomocy paszów, po paszałikach rozsadzonych; 31 zaś wysp na Egjejskiem morzu zostawały w zarządzie, a raczj w używaniu Kapudana Paszy. Zarządcy składali dywanowi roczny z krajów im oddanych haracz,

a sami ciemieżyli je i wybierali z nich podatki, jakie im się tylko podobalo. Niedziw, że porządek takićj administracji musiał przejść w przysłowie.

Wszystkie prawie ziemie przeszły na własność Turków, a produkcyjna działalność kraju upadła zupełnie i ograniczyła się na drobnym handlu, który jedynie pozostał w ręku Greków, i późniój stał się zbawiennym dla ich dobra środkiem. Najlepićj działo się wyspom; oddalone bowiem od zarządców swych nie doznawały tyle ucisku, a pod własnym zostając kierunkiem, regularną opłatą rocznego haraczu (ogółem 300,000 piastrow) jaką taką spokojność sobie okupywały. Śród tak smutnych okoliczności i przygód, wszystkie rodowe cechy Greków byłyby uległy zupełnćj, niezawodnćj zagładzie, gdyby ich od tego nie uchroniły dwie instytucje ich własne, tojest: religia wraz z kościołem greckim i samoistne, rodzime urządzenie gminowe. Religia dawała im ten idealny polot, co serca ich napelniał odwagą przeciw cierpieniom i ciosom zawistnego losu, i cieszył nadzieją lepszej przyszłości. Kościół, w którego ręku spoczywał w pewnym stopniu wymiar sprawiedliwości na swych wyznawców, stanowił jedyną osłonę praw ich wobec Porty, przez pośrednictwo patriarchy i Ś. Synodu w Konstantynopolu zasiadającego. On był jedynym ogniskiem narodu, i wpływ na stosunki jego wewnętrzne wywierał tćm większy, ile, że w łonie jego żywioły świeckie i duchowne nawzajem się łączyły. Urządzenie zaś gmin pod przewodnictwem własnych naczelników zostających, wstrzymywało zlanie się z Turkami, i wyrybało wyborną podstawę do przyszłego organizmu. Pominąć również nie można jako ważnych czynników do utrzymania odrębności greckiej, i owych Armatolów, Kleftów i Fanariotów, którzy oddzielnemi kierunkami dzielnego ducha swego, prawdziwą tarczę niepewnćj stanowili przyszłości.

Fanariotami zwano nieliczne grono najznakomitszych i najbogatszych rodzin greckich, które po zawojowaniu kraju przez Turków, osiadły w Konstantynopolu w dzielnicy miasta, gdzie się znajdował Fanar czyli Fanal, (latarnia morska) i które w bezustannćm zostając zetknięciu z dywanem, dostąpiły niejakićj znaczenia politycznego. Z nich wybierano urzędowych dragomanów, przez ich ręce przechodziły wszelkie czynności dotyczące ich kraju; z tych wreszcie familij

Porta przez długi czas wyłącznie prawie mianowała gospodarów mohławskich i wołoskich. Nie można powiedzieć, żeby Fanarioci silnem przywiązaniem przyczyniali się do sprawy o której mówimy, bynajmniej; ale ich wyższe ukształcenie, obszerniejsze wiadomości, znajomość spraw publicznych i zręczność, jako też stosunki z Europą wywierały jakiś powierzchownie cywilizujący wpływ na współziomków. W czasie ostatniej wojny trzymali się oni zewnątrz ruchu ogólnego, a nawet przeciwnymi się mu okazywali.

Mianem Kleftów oznaczono lud góralski, ukrywający się w czaharach Tessalii, Pelionu, Olympu i Agrafa, który osłonięty nieprzystępnem położeniem swych siedzib, z zapamiętałym mężem opierał się ciągle i zawsze Turkom, i śród podbitych Grecji stanowił niejako oazę swobodnego plemienia.

Zemsta, a więcęć niedostatek sprowadzały ich często na zabudowane i uprawne doliny. Tak bawąc się rabunkiem, byli postrachem okolicznych sąsiadów, którzy ztąd nazwali ich *Kleftami* czyli złodziejami. Pogardliwe to nazwanie przeszło jednak wkrótce w szanowanie przydomku, którym oznaczano nieustraszonych rycerzy, dzielnych bohaterów do ostatniej krwi kropli broniących się tak zacięcie, że znużeni ustawiczną wojną z tym mężnym ludem Turcy, pozwolili mu wreszcie żyć jak mu się podoba w swych górach, nosić broń, i za to tylko mały opłacać podatek. Skutkiem takiego pozwolenia utworzyła się milicja grecka z tych, co na te warunki przystali; inni zaś odrzucając wszelkie propozycje, przekładali żyć z dnia na dzień. Członków milicji uprawnioną nazwano *Armatolami*, tojest ludźmi w pełnem uzbrojeniu, lub też *Pallikariami*, tojest młodzianami w kwiecie sił i wieku. Wodzowie ich nosili miano *Kapetanos*, *Proestos*, tojest naczelników, starszych; kraj składał się na kosza tego hufcu zbrojnego, złożonego z rodowitych Greków, których obowiązkiem było bronić granic jego. Od brzegów Wardanu (Axius) aż do Koryntu, w każdym mieście stołeczném powiatu (armatolik) mieszkał kapetanos ze swoim pułkiem. Później cała Grecya prócz Morei, takim żołnierzem pokryta była. Godność kapetańska według wszelkiego prawdopodobieństwa dziedzicznie z ojca przechodziła na syna.

Przez długie lata Dywan idąc za roztropną polityką, strzegł się powierzać władzy nad greckimi paszalikami Albanom śmiertelnym i zawziętym wrogom Greków. Później wszakże przejęty obawą niebezpieczeństwa, jakim mu zagrozić mogli Armatole, zapaleni zawsze obrońcy swobód krajowych, jał się przemocy. Wtedyto przysyłani *Derwendzi-Basowje* (stróże wawózów, wieley dozorycy dróg) którzy mieli wojsko swoje, pod wodzą *Derwenogów* zostające, wszczęli krwawe prześladowania i boje z Proestami, a Turcy przez wzgardę, Pallikariów broniących zacięcie granic kraju, nazwali znów ohydąm jakoby mianem kleftów. Odtąd nazwy Armatol, Pallikar, Kleft i bohater krwi greckiej — za jedno uważać się poczęły. Kapetanowie widząc, że nie będą mogli ująć zastawionych sidła Derwendzi-Baszy, z druznami swemi uciekali w góry i stawali się kleftami. Rabunek jedynym był środkiem utrzymania się tych błędnych, zbrojnych gromad. Wybierali z wiosek żywność i okupy, nakazując je za pomocą rekwiizycy, których papier z czterech rogów zwykle opalali; — a biada tym coby rozkazu słuchać nie chcieli! W ostatnich jednak tylko razach chwyтали się Kleftowie gwałtownych środków; charakter ich dziki i nieugięty, zamięnowała wzniosła łagodność i wspaniałomyślność. Najlepszy tego dowód daje to, że z brankami, które często w ręce im się dostawały, obchodzili się z rycerską uprzejmością i względami, i choć niejednokrotnie w niewoli ich znajdowały się córki najzawziętszych Agów i Bejów tureckich, kleftowie nigdy im w niczem uchybić nie powazyli się, i przez kilka nieraz miesięcy na okup od krewnych cierpliwie czekali, opatrując uwieszone piękności we wszelkie wygody i rozkosze. Podanie w pieśni przechowane śród ludu niesie, że kapetanos jakiś, chcący ubliżyć brance, na miejscu przez swoich w sztuki został rozsiekaną.

Wojnę kleftowie prowadzą bez porządku i taktyki; polują raczej na nieprzyjaciela, niż potykają się z nim. Pień, krzak, kupa gruzów lub trupów, to warownia klefta; byle ujrzał błysk strzelby wroga, już go pewno nie chybi; kiedy przyzeło na rękę, pałas i sztylet jego obrona, którą śmiało powierzyć się może. Zręczność, szybkość w biegu, niesłychana zwinność ich, które od dziecińczych lat kształcili w sobie ciągłemi ćwiczeniami w wol-

nych chwilach w obozie, przechodzi wszelkie wyobrażenia. Niko-Carsas przeskakował równemi nogami siedm koni obok siebie stojących. Wytrzymałość ich na trudy, znoje, ból i głód zdaje się przechodzić siły ludzkie. Zimą jednak niepodobna im było w górach przebywać; kłeflowie też wtedy schodzili z doliny, na wyspy, do krewnych i znajomych, a ziomkowie wszędzie ich z uniesieniem i radością przyjmowali.

Na podniesienie oświaty pomiędzy Grekami działały także bardzo pomyślnie w ciągu XVIII wieku: obudzona między niemi powszechnie chęć nauki i rozszerzenie się przemian handlu. Domy ich handlowe położyły pierwsze zasady zakładów naukowych greckich w Turcyi, które z początku Porta trzymała w ściśleśm bardzo ograniczeniu; później jednak, pod koniec XVIII wieku, protekcyja Rossyi zapewniła im bezpieczne istnienie i szerokie rozwinięcie.

Od czasów Piotra Wielkiego, Grecy uważali Rossyę jako naturalną opiecznikę i opiekunkę swoje, od której jedynie spodziewać się mogli polepszenia losu i poręki w wydzwignieniu się z pod muzułmańskiego jarzma. Wpływ tego mocarstwa na Grecyę stał się stanowczy, mianowicie od chwili kiedy cesarzowa Katarzyna wyraźnie okazała zajęcie dla Greków. W roku 1768 wynikła wojna Rossyi z Turcyą: wysłana do Witylo, w Morei, flota rosyjska pod dowództwem Teodora Orłowa (w r. 1770) i z razu mniej pomyślne usiłowania Pappas Ugla, sprawiły, że Grecy na wyspach, a nawet i na północy około Missolounghi rzucili się do broni. Sprawa ich jednak niedługo smutny wzięła obrót; Albańskie żołdactwo podjuzzone przez dywan na zawsze nienawistnych sobie Greków, zdobywszy Missolounghi i w gruzach je zagrzebawszy, niemilosłownie kraj cały Morei ogniem i mieczem splądrował. Pokój w Kuczuk-Kajnardzi, za protekcyją Rossyi miał Grekom zapewnić religiję, bezpieczeństwo i prawa osobiste; ale rozjuszonych Albańczyków nie wstrzymać nie było zdolne. Przez dziewięć lat najokropniejszą plagą ciążyły nad nieszczęśliwą ziemią, mordem i pożogą znaczące ślady swe wokół. Sam dywan przeląkł się ich nadużyć, i ulitował nad losem biednych Greków; wysłany przeciw Albanom Hassan-Basza z wojskami, zniósł ich i rozproszył pod Tripolią r. 1779. Niezadługo druga wojna Turcyi z Rossyą

wybuchła; nie mogli w niej wziąć udziału *Sulioi*, którzy krwawe boje przez 12 lat staczać musieli z Ali-Baszą Janiny, boje straszne, bajeczne, przegodami i kolejami swemi bardziej do rycerskiego romansu, niż do rzeczywistości podobne. Pokój zawarty między Rossyą a Turcyą w Jassach 1792 r. tę przyniósł Grekom korzyść, że zawarowano im swobodną marynarkę pod flagą rosyjską.

W dalszej epoce wytchnienia i pokoju, handel grecki znakomicie się podniósł, zwłaszcza też na wyspach coraz mniej uciemienienia doznających. Założono wiele szkół greckich po miastach, tak w Turcyi samęj położonych, jak i odleglejszych; za ogólnym popędem czasu rozbudziła się energia, ufność i w siebie i w przyszłość; myśl odierwania się od niewiernych coraz szerzej i silniej serca przejmowała. Mężowie dzielni, jak *Alexy Maurokordato* starszy, *Alexy Ypsilantis* starszy, *Antoni Gazis*, a przed wszystkimi *Rhigas*, który pierwszy rzucił ideę *Heterii*, — pochwycili myśl tę z zapałem, i byliby szczęśliwszych już wtedy zapewne doczekali owoców, gdyby więcej ostrożności i przeczności im przewodniczyło. *Rhigas* w Belgradzie stracony został 1798 r., a Basza Janiny na nowo pustoszącą, okropną rozniósł rzeź i pożogę między Suliotami, których pokonawszy w roku 1804 i rozegnawszy po świecie, stał się panem całej północnej Grecyi, Morei nawet sięgając. *Gordiki*, *Parğa* stanowią bohaterskie ustępy strasznej tej wojny, których pamięć brzmi w pieśniach uświęcona.

Pomimo tak strasznej doli, wewnątrz jednak postępy i rozwój życia Greków nie przestawały coraz piękniej zakwitać. Oświata, zamilowanie nauk, duch jakiś ożywcy ował całe pokolenie; nauki się zakłady naukowe, wyrabiała literatura własna, która przygotowując płodne zawiązki, później ważnego znaczenia nabrała. Handel wzrastał olbrzymio; marynarka kupiecka w 1813 roku liczyła już 600 dobrze opatrzonych i uzbrojonych okrętów z 2,000 obeznanęj i wprawnej osady, stanowiącej szkołę marynarzy, którzy niedługo tak mieli być potrzebni. Wracający z służby rosyjskiej, francuskiej i angielskiej oficerowie, przynosili do kraju wytrawniejsze pojęcia o środkach i położeniu swego kraju, i ducha wojennego szepcili. Największe wszelkie zasługi położyła nowa *Heteria*, która się na kongresie wiedeńskim 1814 r. za pochopem hrabiego *Kapodistrias* i arcybisku-

pa Ignacyusza między Grekami utworzyła, w celu podniesienia oświaty w kraju. Pierwsze główne siedlisko Hetaria miała w Rossyi, ztąd z niesłychaną szybkością rozwinęła się w na wszystkie punkta handlowe w Europie i Azji, gdzie się Grecy znajdowali. W roku 1817 należeli już do niej wszyscy najznamienitsi duchowni i obywatele Grecyi, znaczniejsi armatolowie i kleftowie; nie było gminy żeby w niej członków swych nie miała. Z każdym dniem wzmagalo się wrzenie. Kleftowie północy i Sulioeci wygnañcy, co teraz wrócili do kraju, przez tego samego Baszę Janiny na pomoc wezwani, sprawę swą z jego chcieli złączyć. Hetaria oczekiwała tylko stosownej chwili aby znak wybuchu dać. Śmierć wołoskiego hospodara *Suteos* przypadła w dniu 11 lutego 1821 r. była tém hasłem. *Georgakis* pułkownik wołoski miał sobie powierzzone od naczelnika Heteryi *Alexego Ypsilantis* (młodszego) urządzenie powstania na Wołoszy; ten uważał tę chwilę za najstosowniejszą. *Ypsilantis* z zebraną drużyną pośpieszył do *Jass*, gdzie hufce jego zwiększyły się zbiegowiskiem rączęj młodzi greccy po całej Europie rozrzuconej. Wszystko jednak tą razą jeszcze poszło w niwecz; *Pandurowie* uzbrojeni w Bukarescie stawili opór, i nie chcieli trzymać z Grekami, których książęta i bojarowie nienawistni im byli. Gabinet zagraniczny nie mogły popierać przedsięwzięcia niewyrachowanego, nieobmyślonego. Turcy wzięli *Galacz* i *Bukareszt*; pod *Dragaszan* hufce i nadzieje walecznych przeciw półksiężycowi chrześcijań rozegnal; w Moldawii trzymali się dłużej, ale i tam cios pod *Skuleni* i bohaterska śmierć dzielnego *Georgakis* (26 sierpnia 1821 r.) zakończyły smutnie ten dramat, i prowincję turecką w nowe upokorzenie powróciły.

W czasie kiedy się to na północy dzieje, w Morci z początkiem kwietnia 1826 roku, areybiskup *Patras Germanos* przewodzi ruchowi. Teodor *Kolokotronis* i Piotr *Mauromichalis* odnoszą nad Turkami świetne zwycięstwa; w *Kalamata* tworzy się senat messenijski aby kierować porządkiem. Turcy jednak biorą górę: miasta *Patras*, *Wostizza* i *Agros* z ziemią równą. Nowe zwycięstwa znów Grekom serca dodają. Kommissya rządu tymczasowego, mianowana z senatu, nadaje ruchowi kształty pewniejsze; wyspy Archipelagu się zrywają. Od północy, Sulioeci krzepią się nowymi zdobyczami;

Focis, *Beocia*, *Attyka* wrą zapalem; Ateny wzięte, osada turecka w Akropolis tylko wytrzymuje oblężenie. Poza *Termopyle* szerzy się wojna, w *Magnezji* i *Macedonii* Turcy się bronić muszą. Dywan jeszcze nie widzi jasno, co się święci; odkrycie dopiero sprzyśiężenia w samym Konstantynopolu, które miało na celu spalenie floty i arsenału, otwiera mu oczy. Trzydzieści tysięcy przeszło Greków ginie w najokropniejszej rzezi wśród miasta, a rozwścieczony motloch muzułmański krwiożerczo syć się posoką najznakomitszych rodzin greckich. Siły Turcyi ześrodkowano ku północy, obawiając się Rossyi, której posel *Stroganow* Stambuł opuścił. Grekom ztąd na południu sprawa idzie łatwiej; admirał ich *Tombasis* gromi pod *Mityleną*, 8 czerwca, flotę turecką, w *Etoli* i *Akarnanii* szerzy powstanie. Ku końcowi jednak 1821 roku, wszystko nieszczęśliwy znów obrót bierze; waczynają się skutkiem przybycia *Demetryusza Ypsilantis*, nieporozumienia między przywódcami; napady na *Nauplię* i *Patras* nie udają się; bezład, brak wszystkiego, zniechęcenie umysły przynębia. Dzielnym *Markus Bozzaris* z swymi Suliotami strasznego ma przeciwnika w *Kursyzdzie-Paszy*; na wschodzie jeszcze gorzej: *Liwadia*, *Teby*, *Magnezia* dostają się w mściwe ręce Turków. Mnichom na górze *Athos* i kleptom macedońskim nie się nie udaje; cały półwysep Chalcidoński poddać się musi przemocy.

Pierwszy rok wojny niezbyt pomyślnie niesie wróżby; i dwa następne przechodzą na ściąganiu się stronnictw, na braku systematycznego działania, na rozstrzygnięciu, w którym każdy na swą tylko rękę i dla swęj korzyści chce działać. Mimo usiłowań wielu, zwierzchniej władzy ani śladu; bratnia wojna blisko; zmiennictwa, żądze osobiste i intrygi grożą sprawie upadkiem, na kraniec przepaści rzecz kraju stawiają. *Kolokotronis*, *Ypsilantis*, *Odysseus*, kierunek wojskowy prowadzą; *Mauromichalis*, *Mauromichalis* na cywilnym przodzie stoją, w rozdwojeniu, zupełnym z tamtymi, którzy i między sobą niezgodni. Tu i owdzie chwile zwycięstw uciechę przynoszą; ale smutku więcej: *Markus Bozzaris* zginął, Sulioeci wodza nie mają. Na morzu tylko przewaga Greków stanowcza: *Miaulis* gromi gdzie może flotę turecką, *Kanaris* pod *Tenedos* grzechocze na miazgę siły Kapudana-Baszy Kara-Ali. (19 czerwca 1822 r.).

W końcu 1823 r. stronnictwa stoją już prawie w wojnie domowej; — z jednej strony Kapodistrias, z drugiej Mauro-Kordato. Bezprawia stanowią jedyne prawo. Straszny stan rzeczy pogorsza jeszcze smutna Grekom odpowiedź kongresu werońskiego; społeczeństwo tylko ogólne bieży im w pomoc; w Niemczech, Anglii, Francji i t. d. składki i współdziałanie prywatnych ich wspomagają; niektórzy, jak: Eynard, Lord Byron największych wysiłen nie szczędzą. Skutkiem takiego usposobienia, przychodzi w pomoc Grekom pożyczka 800,000 funt. szterl. z Londynu. Ale niebezpieczeństwo powiększa się z każdą. Ibrahim-Pasza mianowany Paszą Morei, spieszy z ogromną flotą i 22,000 wojska, żeby znieść krnąbrnych. Próżno Miaulis wytycza swe siły, znosi Kapudana-Paszę, i Ibrahima do chwilowego odwrotu zmusza; rok 1825, mimo jednoci, jaka się w obozie Greków wyrobiła, mimo nowej pożyczki obiecaniej z Londynu, zdaje się z pewnością gotować stanowczą przewagę egipskiej przemocy. Ibrahim niszczy całą Moreę; połączywszy się z Reszydem-Paszą od północy działającym, bierze Missoloungi mimo zacieklego oporu (kwietnia 1826 roku). Cały kraj pustynią, Grecy jęczą na okrętach do Egiptu w niewolę wysyłani. Przybycie Lorda *Cochrane* na admirała, i Sir *Richarda Church* na wodza siły lądowej, ani mianowanie reagenta państwa w osobie hrabiego J. A. Kapodistrias niewiele obiecuje pomyślności; zawiść, osobiste urazy, niechęć ku cudzoziemcom powiększa zawichrzenie, ciągłym rozdwojeniem stronnictw żywione. Już wszystko zdawało się przepaść, Grecya miała wrócić pod jarzmo niewiernych, kiedy nagle, nowa gwiazda świecił jej zaczyna, nadszpodziwiana pomyślność jej rokuje. Dwory europejskie nie mogły dłużej obojętnie patrzeć na tak ważne zajścia w związku z ogólnym porządkiem polityki zostające. Rosyja, Anglia, za wspólnym porozumieniem, do którego przylacza się i Francya, protokulem w Petersburgu (9 kwietnia 1826 roku) sporządzonym między sobą stanowią, że Grecya ma zostać państwem udzielnym, pod władzą monarchy rodowitego zostającem, Turcyi tylko do haraczu obowiązaniem i opieką mocarstw pośredniczych osłoniętem. Ultimatum Porty, z 10 czerwca 1827 r., która zwać na takie rozporządzenie nie uznawała za stosowne dla siebie, wywołuje podpisanie traktatu z d.

6 lipca 1827 r. zapewniającego Grecyi samoistność. W pamiątnym dniu 20 października 1827 r. połączone siły morskie trzech mocarstw pod dowództwem angielskiego admirała *Codrington* zadają flocie egipsko-tureckiej śmiertelny cios pod Nawarinem; Grecya nowym życiem oddycha.

Teraz pozostawało tylko wziąć się do ustalenia jakiegoś porządku w zawichrzonym państwie, Kapodistrias kładzie koniec domowemu zamieszkom, ustanawia Panhellenion z 27 członków pod jego prezydencją zarządzający krajem.

Niez mordowane jego trudy i mądre rozporządzenia pożądany ład sprowadzają. Kroki wojenne idą pomyślniej. Ibrahim-Pasza do ustąpienia wyładowaniem 14,000 Francuzów zmuszony, daje odetchnąć spustoszonemu okolicom po swych nilitiesciwych okrucieństwach.

Mocarstwa opiekuńcze osłaniają gwarancją swą Moreę i wyspy, traktatem z 16 listopada 1828 r. Zwolane zgromadzenie narodowe zatwierdza władzę egzekucyjną Prezydenta; na miejsce Panhellenion ustanawia senat, którego członków prawie wyłącznie tenże mianuje. Silna opozycja występuje przeciw Prezydentowi, kiedy protokół konferencji 3ch mocarstw datowany 3 lutego 1830 r. w Londynie, oznacza terytoryum Grecyi i państwem niezawisłym ją stanowi; późniejszy zaś nieco protokół koronę nowego państwa oddaje księciu Leopoldowi Sasko-koburskiemu, który zrazu je przyjąwszy, potem odmawia. Wypadki na Zachodzie Europy w 1830 r. zaszle odwracają na czas jakiś uwagę dworów od Grecyi, która sama znów sobie zostawiona, wicherzy się i domowa niezgodą zakłucha, skutkiem czego prezydent, śmiercią morderczą życie zakończy. Śród ogólniej w kraju burzy i klęsk, brat zamordowanego prezydenta Augustyn Kapodistrias rządy tymczasowo sprawuje do chwili protokółu z 7 maja 1832 r. mocą którego książę Otto bawarski koronę grecką przywdziewa. Mocarstwa opiekuńcze wyznaczają dla Grecyi pożyczkę 60 milionów franków, którą stosunkowo poręczają, i stanowią, że: 3,500 wojska bawarskiego na wejść do Grecyi wraz z regencją, do pełnoletności króla krajem rządzącą. Do chwili przybycia króla Otona I w styczniu 1833 r. zgromadzenie narodowe i senat toczą z sobą zacięte walki, które do krwawych nawet zająs dochodzą z powodu uporu naczelników Poli-

karpów, którym Kolokotronis przywodzi. Do sprawowania regencji mianowani w Monachium zostali: hrabia Armansterg, generał Heidegger, radca stanu von Maurer i tajny radca legacji von Abel. Dnia 1 czerwca 1835 r. król Otto I doszedłszy do pełnoletności, sam rządy państwa objął; tegoż roku w styczniu jeszcze, stolica państwa Nauplia przeniesioną została do Aten.

Zarząd Grecyi i administracya rozwijają się na zasadach europejskich wśród przeszkód i trudności jakie stawia ciągle przykry stan skarbu i zaciętość stronnictw przeciw sobie walczących. W 1836 r. dnia 22 grudnia król Otto pojął za żonę księżniczkę Maryę, Fryderykę, Amelię córkę wielkiego księcia panującego Oldenburgskiego. Od r. 1843 nadana Grecyi ustawa, na wzór dawnej francuskiej

sporządzona, stanowi prawo zasadnicze rządu. Siła zbrojna Grecyi w r. 1846 składała się z 23,301 ludzi piechoty (cztery bataliony) 2,560 ludzi w 4 batalionach granicznych, z 210 jazdy i 283 artylleryi, czyli razem z 6,357 ludzi, do czego wliczyć jeszcze należy 1,150 pieszej i 160 konnej żandarmeryi, do utrzymania porządku wewnętrznego przeznaczonj. Siła morską coraz się powiększa; wyspa Protos stanowi główny kantor marynarki, która obejmuje 33 statki wojenne, a mianowicie 2 korwety o 26 działach, 3 brygi o 12, 10 o 2 działach; 2 okręty parowe, 1 pakebot, 7 szonerów, największy o 10 działach, 5 kutterów, 2 z nich o 4 działach; 12 szalup kanonierskich, razem 22 dział mających, i 2 barki o 2 działach.

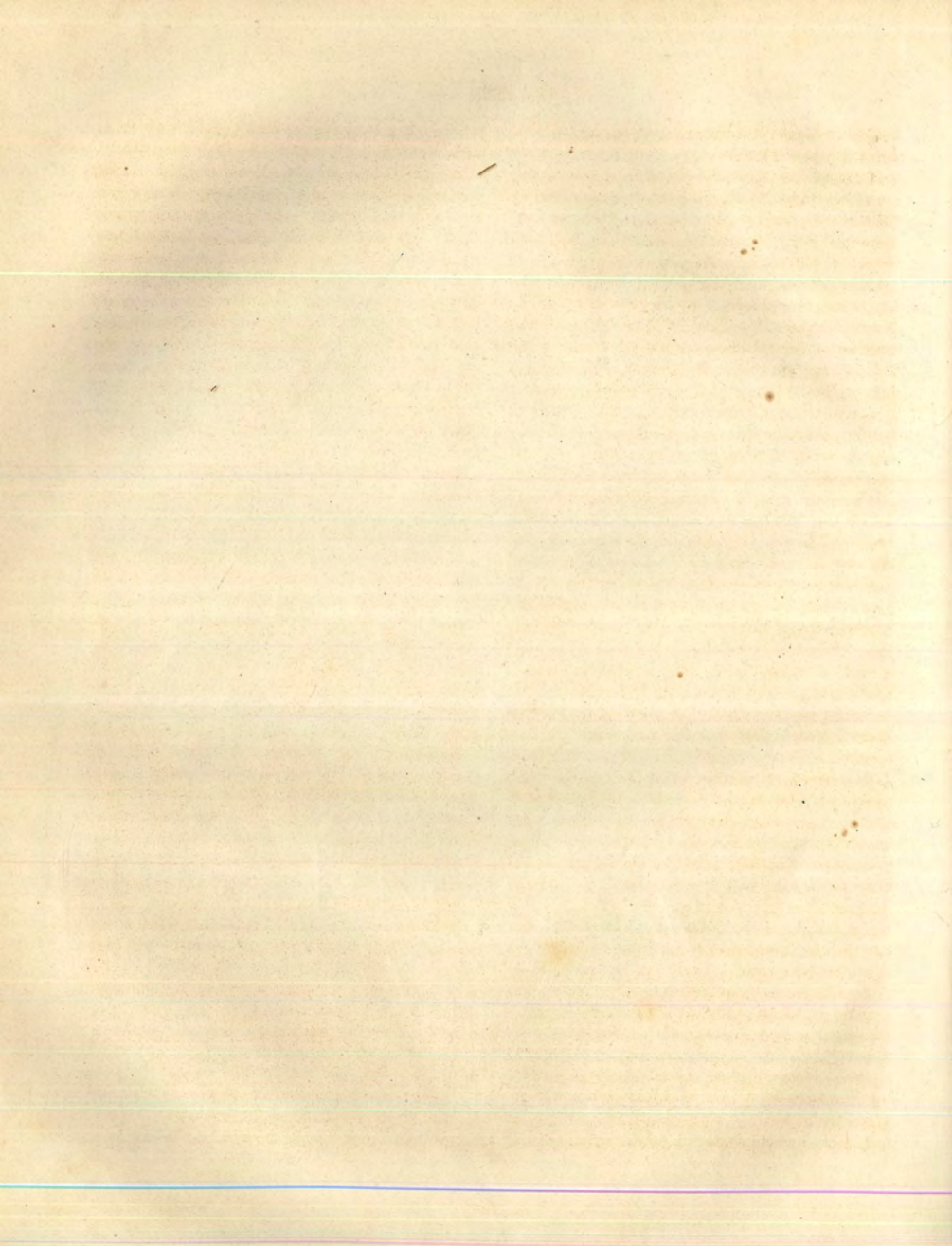
WINOKRZEW.

Winokrzew zwyczajny (podług księdza Kluka winorosl zwyczajna), *Vitis vinifera*, jest krzew pnący się, stanowiący gatunek w rodzaju *winokrzew*. *Vitis*, rozmnożony dziś po wszystkich ciepłych i umiarkowanych krajach kuli ziemskiej; dlatego niepodobna z pewnością oznaczyć pierwiastkowej jego ojczyzny, a to tém bardziej, że prawie we wszystkich krajach winorodnych obok winnic dają się widzieć w ogrodach, zarosłach, nawet w lasach dziko rosnące gatunki i odmiany. Nie można dowieść historycznie czy napotykaną dziś w Afryce, wschodniej Azji, we Włoszech, Portugalii, Francji a nawet w Niemczech dziki winokrzew, który w północnej Afryce, przy małym zachodzie uprawy, najpiękniejsze daje winogrona, w Neapolitańskim dostarcza drobne słodkie, w innych zaś krajach cierpkie, nieużyteczne jagody, czy mówię ten winokrzew jest w tych krajach pierwotnym, czy tylko zdziczałym? To tylko pewna, że w Ameryce jest wiele właściwych tej części świata, nieznanych w Europie, gatunków winokrzewu, że tam on rośnie dziko i dosyć bujnie, zaczawszy od Kanady aż do odnogi Meksykańskiej.

Winokrzew nazwać można królem tamtejszych lasów. Szczególniej bogata jest w dzikie winokrzewy ze smaczniemi jadalnemi winogronami dolina rzeki Mississipi; na wielu tamtejszych pagórkach dorasta ten krzew zadziwiającej wysokości i grubości. Zobaczysz go tam wznoszącego się na najwyższe, częstokroć więcej nad sto stóp drzewa, które swemi licznemi, bujnemi obejmuje łodygami, spleta się na wierzchołkach z ich gałęziami, tworzy jakby nieprzejrzyste dach, ztamtąd częstokroć zstępuje do ziemi, i z tą się zetknąwszy, nowe puszcza pędy. Są gatunki z jagodami zimowemi, które są kwaśne i w małej obrodzają ilości; są inne letnie, a tych jagody choć niesoczyste ale są słodkie, najpospoliciej w prowincyach Stanów Zjednoczonych. Krajowy gatunek muszkatówek pokazuje się dopiero ku południowi pod 34° szerokości północnej. Prócz tych jest jeszcze wiele innych gatunków krajowych.

Według największego prawdopodobieństwa, ojczyzną winokrzewu zwyczajnego są Chiny i Japonia, gdzie dotąd wiele jego gatunków rośnie bez żadnego pielęgnowania. Ani wątpię, że Fenicya-





nie, ów lud czynny i przemysłny, pierwsi z krajów tamtejszych krzew winny wyprowadzili; z tamtąd dostać się miał na wyspę Kretę, a następnie do Grecyi, a za Romulusa przesadzony został do Włoch. Według greckiej mitologii, *Bachus* nauczyć miał ludzi uprawy winokrzewu, wytłaczania z jego jagód soku i zachowywania go. Podług starego testamentu, Noe był nauczycielem uprawy wina po potopie, co by dowodzić miało, że Azya mniejsza i Palestyna za jego ojczyznę uważane być powinny. Zdaje się w ogólności, że sztuka przyrządzania wina postępowała z cywilizacją ludów. Ludy jedne po drugich upadły, ginęły, a uprawa wina do dziś dnia przetrwała, i coraz bardziej się doskonali. Już od niepamiętnych czasów w wielkim były szacunku winnice, i na niszczących je surowe kary przepisywano. Jak ciche były ludy w późniejszych wiekach na wino, dowodzą tego przechody do południowych krajów Europy, tak iż zniewoleni byli cesarze rzymscy zakazać uprawy winnic w prowincjach pogranicznych, aby tym sposobem zmniejszyć obcy pochoch do wódek. Przed panowaniem jerszego Juliusza Cezara doświadczano hodowania tego krzewu w południowej Francyi, mianowicie w krajach nadmorskich, z kąd powoli ta uprawa szerzyła się w głąb kraju i do Hiszpanii. Około w 300 lat po Chrystusie, Niemcy wyciąć mieli nad Renem wiele lasów, i w ich miejscach zasadzić winnice.

Najpewniejsze podania przekonywają, że wino uprawiane było najprzód w pasie między 20 a 40 stopniem północnej szerokości, i nie tylko ten pas na półkuli północnej, ale i takież odpowiedni na półkuli południowej jest i dziś dla wzrostu winokrzewu niemal na całej kuli ziemskiej najdogodniejszy; mniej dobrze udaje się on lub wcale chyba w pasie podrównikowym, gorącym. Obecnie hodują winnice zaczawszy od 15 aż do 51° szerokości, w Niemczech nawet posuwają się z nimi aż do 53°. Im dalej ku południowi, tém wino bywa słodsze, obfitsze w pierwiastek cukrowy, a tém mniej jest w niem pierwiastku fermentowego czyli drożdży; ku północy zaś coraz bardziej zmniejsza się pierwiastek cukrowy, a powiększa fermentowy, tak, iż od kwaśnych, w cukier bardzo ubogich win północnych postępując do coraz słodszych ku południowi, przyjdziemy wreszcie do winogron,

w których pierwiastek cukrowy jest tak gęsty, iż mała ilość znajdującego się w nich pierwiastku fermentacyjnego prawie nie działać nie może, i dlatego chcąc wzbudzić fermentacją w moszczu tamtejszym, trzeba wprzód wystawić winogrona na działanie słońca lub rozlewać wodą sok z nich wyciśniony. Takież sam zachodzi stosunek w zapachu win według klimatu, w którym winokrzew uprawia się, albowiem woń winnego soku zdaje się być produktem lub stopnia dojrzałości winogron zależącym. Gdy jagody nie dojrzeją, wtedy nie czuć w winie zapachu; jeżeli zaś dojrzałość przedzie należyty stopień, wtedy zbyt duża ilość cukrowego pierwiastku przytłumia zapach. Dlatego wina reńskie, dla swego szczególnie przedniego *bukietu* (aromatu), sławne są po całym świecie, i nad słodkie wina bywają przekładane. Zresztą, własności wina zależć mogą wiele od sposobu uprawy winokrzewu i zachodu około wyrobinia napoju.

Ku północy, zaczawszy od 40° szerokości, chcąc mieć dobre wino, trzeba się pilnie zajmować jego uprawą; a zbiór winogron zależy od stanu powietrza w porze letniej. Za 45° szerokości, więcej jeszcze uprawa wymaga sztuki, mniej znajdzie się miejsce dogodnych dla winnic, i mniej już wysoko zakładać je można, gdyż inaczej nie dojrzałyby jagody. Chyba tu zbiór częstokroć w całych okolicach.

Co się tyczy uprawy wina w ogólności, wiele napotykamy śladów, że nietyłe w Niemczech, ale nawet u nas niegdyś były winnice, tam gdzie ich dziś niema. Przyczyna tego jest może ta, że uważano, iż nie dla miejsce do téj uprawy może być dogodne, zakładano więc i powiększano winnice w miejscach właściwych, a wcale zarzucono w miejscach nieodpowiednich.

Schouw i *Meyen* poczynili obszernie spostrzeżenia nad rozszerzeniem uprawy winokrzewu pod otwartym niebem. Według nich, północna granica téj uprawy zaczyna się na brzegach oceanu we Francyi pod Vannes, pod 47° 40' północnej szerokości; ciągnie się w kierunku wschodnim, w różnych załamkach do Treviru; dalej nachyla się jeszcze ku północy aż do 50° północnej szerokości nad rzekami Saur i Our, przechodzi Ren pod Koblenz, nachyla się jeszcze w stronę północną, gdzie ku Bon, pod 50° 46' nie-

zle jeszcze udają się wina. Po prawym brzegu Renu, granice wina rozciągają się do ujścia rzeki Men i tu w okolicach Rheingau uprawiają się najszacowniejsze gatunki wina niemieckiego. Potem granica cofa się nieco ku południowi, idzie przez Aschaffenburg, Würzburg aż do Bambergu. W ogólności w środkowych Niemczech w niektórych tylko punktach, jużto dalej ku północy, jużto ku południowi udaje się wino. Nad rzeką Saalą uprawia się pod 51°, 15' szerokości. Elbę przechodzi ta granica pod Wittenbergiem, zajmuje okolice Potsdamu, dotyka okolic Berlina pod 52° 30'. Odtąd zwraca się ku południowoschodowi do Odry; nad Notecią, pod Guben, w Poznańskim jeszcze uprawiają wino, dalej jednak jak do Krosna, Grünberg, Züllichau, Babimostu, czyli za 52° 10' granica jego nie sięga. Dalej już zdaje się zwracać ku południowi, do tej samej szerokości pod jaką zaczęła się we Francji. Nie można jednak zaprzeczyć, iżby przy dobrém zajęciu się, nie miało udać się dobre wino w okolicach Kalisza, Częstochowy i w krakowskim. Niema winnic w Galicji, a wielka ich ilość znajduje się w Węgrzech, w Siedmiogrodzie wiele jest wzgórz okrytych winnicami; widać je tu i owdzie na Bukowinie między 47° i 48°. W Mołdawii, od Dunaju aż za Jassy znaczne widać się dają winnice, a pod Cotnar pielęgnują gatunek nawet od tokaju wyżjé ceniony. Cała południowa część Rosyji, mianowicie Bessarabia, gubernie: hersońska, ekaterynosławska, taurycka, kraj dońskich Kozaków, część gubernii saratowskiej, gubernia astrachańska i kraje Kaukazu objęte są granicami uprawy wina, które się pochyłać zdają ku północy, i sięgają aż do 50° szerokości, gdyż aż w okolicach Kijowa, nad Dnieprem rodzi się winokrzew, wprawdzie tylko do stołowego użytku dający winogrona. W ogólności, zaczawszy od Węgier, granice wina we wschodniej Europie, aż do Wołgi, nie przechodzą za 48° i 49° szerokości północnej. Wyrachowana przez przybliżenie ilość zbieranego w Europie w średnio-urodzajnych latach wina wynosi rocznie do 120,000,000 wiader; przyjąwszy wartość wiadra średnio tylko po 10 talarów, będziemy mieli co rok 12,000 milionów talarów kapitału wynikającego z uprawy wina.

Wyrzec jeszcze nie można z pewnością, czy odmiany hodowanego winokrzewu, których już liczą

do 1400 pochodzą wszystkie od jednego gatunku *Vitis vinifera* lub od wielu oddzielnych. To tylko pewna, że niemieckie *Heunische*, *Putzscheren*, *Tokaj* i przedniejsze węgierskie *Furmint*, *Auguster*, wielorakie *Morillon* i t. d., od innych hodowanych w Niemczech bardzo się różnią, i dlatego pozwalają wnosić o różnem ich pochodzeniu. Sok ich jagód jest wodnisty, rzadki i kwaskowaty, liść gruby, zwykle kosmaty, wzrost pospolicie bujny, na ich łodygach zwykle mnóstwo gron. Wszystkie te odmiany zdają się pochodzić z Węgier. Tymczasem różne powszechnie w Niemczech hodowane odmiany zawierają w swych jagodach sok słodkawy, klejkowaty, liść ich jest gładki, cienki i krzaki mniej bywają obciążone jagodami. Pierwsze gatunki zdają się być lepsze dla krajów południowych, gdyż soczyste ich jagody lepiej wytrzymują większe i dłużej trwające upały i susze. Lubo odmiany *Putzscheeren*, *Heunische* i t. p., należące w Niemczech do ostatnich, z ich jednak podobieństwa do greckich *Koryntek* wnosić można, że pod południowem niebem mogłyby się udoskonalić.

Dobry wybór gatunków winokrzewu ze względu na klimat, położenie i grunt, ilość i dobroć wina, a ztąd różny sposób obchodzenia się z krzewem, to wszystko dopiero stanowi sztukę winowego ogrodnictwa. W krajach południowych zakładają winnice na równinach, puszczają winokrzew na drzewa lub opierają go o paliki; prawie tak samo hodują wino w wielu nizinach nadreńskich; powszechniej jednak przeznaczają pochyłość wzgórz pod jego uprawę. Wymaga on silnego, wprawdzie nieco pulchnego, ale nie lekkiego ani mokrego gruntu; lubi zatem szczególniejszy grunt kamienisty, nieogolony z części pożywnych, które zresztą nagnojeniem podwyższyć lub wydobyc się dają. Przytaczamy tu nazwiska niektórych odmian winokrzewu uprawianych w Niemczech, jako w kraju najwięcej do naszego klimatu zbliżonym.

Czarne Muskatele czyli czarny *Weinrauch*; *Czerwone Muskatele* czyli *Framiner*; *Błękitne Muskatele* z wielkimi ciemno-błękitnymi jagodami. Obie te odmiany szczególniejsze dobre są do szpalerów przy murach. *Białe Muskatele*, *Czerwone*, *Białe* i *Czarne Gutedel*; *Czarne Burgundy*, z wielkimi trzylapkowymi liśćmi, obdużnemi, ściśłymi gronami. *Klā-*

ener, mający także wielkie, czarne grona, z trzypłapkowemi, nieco welniastemi liśćmi; *Sylvaner*, czarny i biały; *Elbling* czarny i biały; *Riesling* biały. Z ostatniego krzewu pochodzi najwięcej najprzedniejszych win reńskich.

Następujące pielegnować można u nas bezpiecznie w szpalerach przy ścianach, gdzie dają wyborne wczesnie dojrzewające, winogrona stołowe, jakoto: wczesny *Gutedel*, dobry jest szczególniej do wczesnego pędzenia; *Muskat-Gutedel*, daje również przednie jagody muskatowego smaku, wczesnie dojrzewa i mocno obradza, a przytém jagody długo się zachowują. Wymaga wiele nawozu i krótkiego obcinania. Wczesny *Lahntraube*, również wczesny *Leipziger* (gelbe Seidentraube), jedne z najwcześniejszych i najlepszych winogron. Hodowany w szpalerze, w czasie przyjaznego lata już około Ś. Jakóba dojrzewa *Augusttraube* (wczesny Kläwner). Grona błękitne, mniej dobre jak błękitny *Kläwner*, lecz chowany w szpalerze bardzo wczesnie dojrzewa.

Rozmnaża się winokrzew przez rozsadzenie gałązek. Nim się do ich sadzenia przystąpi, trzeba wprzód dobrze grunt zregulować, przekopać i uprawić. Potém sadzą się gałązki rzędami, w należytych odstępach, tak, iżby gałązka następnego rzędu przypadała naprzeciw środka odstępu rzędu poprzedniego; najlepsze położenie na pochyłości wzgórze, a wtedy każdy rząd sadi się na osobnym terenie. Kilka lat upłynie niż młode sadzonki obficie obradzać zaczną, i dać im wypadnie paliki. W starszych winnicach trzeba co rok poprawiać grunt i utrzymywać paliki. Co rok także grunt w części winnicy musi być przekopany, aby ile można żywna ziemia korzonki ataczała, i żeby grunt był pulchny. Przekopywanie ziemi co rok ma być najpięrszą robotą w winnicy. W ciepłych krajach wykonywają już tę robotę w lutym lub nawet w styczniu.

Główną zawadą w uprawie winokrzewu są mrozy, najszkodliwsze są tam szczególniej, gdzie położenie winnicy nie jest od zimnych wiatrów zasłonięte. W zimnych więc okolicach przycinają się lodygi i przykrywają ziemią, słomą lub innemi od zimna chroniącemi przedmiotami. Młode sadzonki obsypują się ziemią i okrywają gnojem mierzwiastym. Odgrzebywanie następuje: w Niemczech, w marcu, u nas w kwietniu i do tego wybiera się

dzień pogodny i suche powietrze; jestto druga z ważniejszych robót winniczych. Trzecią jest obcinanie, robota nader ważna, wymagająca zręczności i dokładnej znajomości różnych odmian winokrzewu, bo od tego, równie jak od własności gruntu zależy różny sposób wykonywania cięcia, a niewprawy w tę robotę winnik, całą winnicę zniszczyć może. Potém następuje przebieganie gałązek, naginanie, okrywanie, palowanie, przywiązywanie, gracowanie ziemi dla zniszczenia zielska, jęj wzruszanie, spulchnianie i nasypywanie około pieńków krzewu, pognojenie gruntu (przed rozkwitnieniem), okrzyszanie pędów, przywiązywanie witek, drugie gracowanie i spulchnianie, drugie przywiązywanie.

Jedne z tych robót zrozumiałe są same przez się, inne zaś wymagają objaśnienia, i tylko od praktycznego, dobrego winnika nauczyć się ich można. Do gracowania i spulchniania gruntu wybiera się czas pogodny, suche powietrze. Okrywanie zależy na oberwaniu i oblamaniu wszystkich zbędnych i niepotrzebnych łatorosli. Do zasiania urodzajności gruntu winnicznego, dobry jest gnoj bydlęcy, kompost i ziemia darniowa. Gracować i spulchniać trzeba ziemię, a przytém przywiązywać lodygi krzewu do palików, według potrzeby, przez całe lato, mianowicie w młodych winnicach.

Szczególnej wiele zależy na dobrym, trafnym wyborze odmian winokrzewu uprawiać się mającego; zasada jest aby uprawiać raczej mało a przednie odmiany, niż wiele a ładajakich.

Lecz niedość na tćm, żeby piękny i dobry gatunek wypielegnować winogron; trzeba wiedzieć nadto, że z jagód oberwanych ręką, lepsze bywa wino, niż z jagód zerwanych narzędziami. Wystrzegać się należy przymieszki wody do jagód, i dlatego obierać je wypada w czas pogodny; szczególniej zaś przestrzegać tego trzeba z czernionemi gatunkami wina.

Winokrzew niefylko z jagód daje smaczny owoc i napój; ale nadto suche liście służą bydłu za paszę, a suche gałązki używają się na opał. Wyabiają także z nich ciemnobłękitną farbę, używaną do masy drukarskiej i do olejnego malowania. Z nasion jagód nareszcie wytłaczają olejek w medycynie znany.

Słodki sok z winnych jagód nazywa się moszcz, który się otrzymuje jużto sam przez się wyciekający, już za pomocą pras wytłaczany, to jest, znoszą jagody do wielkich kadzi, rozgniatają i następnie prasują; sok odcieka, a pozostają się szypułki, skórki, nasiona i t. d. Najpierwszy, bez prasowania z pogniecionych winogron wyciekający, jest najprzedniejszy. Do wytłocznyn jeszcze przylewają wody, prasują je i otrzymują ostatnie wino. Z wytłocznyn pędzą jeszcze wódkę. Dopiero po odbytej fermentacji moszcz nabiera właściwego smaku, i nazywa się *winem*. Powtórnie fermentacji w powietrzu poddane wino zamienia się w *ocet*,

a dystylując wino, otrzymuje się spirytus winny. Gdy wino postoi w beczkach, osadza w nich winny kamień czyli *wejnstein* i lager czyli drożdże. Gdy się tak wino ustoi i wyklaruje, ściągają je do innych beczek; używają także sztucznych środków np. karuku do klarowania wina. Z wejnsteinu wyrabiają preparaty do aptek, drożdży używają do wypiekania ciast, robią z nich także wódkę francuską czyli *koniak*.

Wystawionego na załączonej rycinie winogrona jagody są mierniej wielkości, ale bardzo smaczne.

P. L., b. p. n. p.

DUCORNET

MALARZ BEZ RĄK.

Zadziwiający może niejednemu wyda się tytuł, który przeczytał; jest w nim coś rażącego, coś do wiary niepodobnego istotnie; ale nie sądzcie mili czytelnicy, abym was miał tumanić, lub w pole wywodzić obłudnie. Nie, mam wam opowiedzieć rzecz najprawdziwszą i najprostszą w świecie, rzecz o dwóch małych, cudownych prawdziwie nóżkach, które sami uwielbiać niezawodnie i podziwiać będziecie, jak się z nimi bliżej zaznajomicie.

Roku 1806, w jesienną porę, wieczorem, na jednej z bocznych, skromnych ulic miasta Lille, w mieszkaniu pocziwych, ubogich mieszczan, panowała śród całej rodziny chwila uroczystej radości, niewypowiedzianego oczekiwania; jedna z owych chwil wielkich i ważnych zarówno w życiu biednych jak i świetnych; chwila przyjścia na świat dziecięcia oczekiwanego, które już wszyscy, nie widząc go jeszcze, szczerem sercem kochali, lubemi pieszczoty i uwielbieniem przyjąć byli gotowi. Lecz jakż śmutek, jakże niewypowiedziana boleść serca ich przejmując, jak straszny cios duszę ojca uderza, kiedy z ust do ust powoli rozchodzi się wiadomość nieszczęsna, że dziecię uro-

dziło się kaleką, bo bez rąk zupełnie, i nóg do połowy niemające.

W rzeczy samej, Ducornet urodził się bez obu dwu rąk, a nogi jego składały się tylko z pieszczół zakończonych małą stopami, o czterech palcach; ud i całej wyższej części nóg zupełnie mu niedostawało. Zdawało się, że natura przeznaczyła to biedne życie na samo niedołęstwo i upokorzenie.

Inaczej się jednak stało. Wcześniej bardzo, wyrastające chłopię przywykło użycie brakujących mu rąk zastępować drobnymi stopkami, które co raz większą wprawę i giętkości zadziwiającej nabierać zaczęły.

W szkołach, umysł młodego Ducornet okazał się bystry, i szybkie w początkowych naukach czynił postępy. P. Dumoncelle, profesor w szkole do której uczęszczał Ducornet, sam kaligraf biegły, zastanawiając się nad losem dziecięcia, i uderzony siłą wytrwałości jego, powziął zamiar wywierowania go, mimo pozornego niepodobieństwa, na doskonałego kaligrafa i dalej na profesora pięknego pisma, w której ze szkółek elementarnych. Zrazu, śmiało i wytrwale Ducornet stawał

długie szeregi krósek rozmaitego kształtu, i praca widocznie szła mu coraz lepiej, coraz łatwiej; prześcigał w zręczności i biegłości szczęśliwszych od siebie rówieśników. Im dalej jednak młody kaligraf postępował w wiek, tém bardziej zniechęcał się jakoś do zajęcia tém nudnym piśmem, do którego zapalony professor napędzał go ciągle i ciągle. Zwiedzając muzeum w Lille, Ducornet spostrzegł piękny obraz Chrystusa, pędzla Van Dycka, i obraz ten takie w nim wzbudził podziwienie, takim powabem duszę jego oczarował, że po kilka godzin, wracając do muzeum często, stawał przed nim zamysłony, w głębokie dumanie pogrążony, i napawał się słodką, przejmującą rozkoszą. Kaligrafia poszła już w kął zupełnie; ani myśleć o niej nie chciał; gdzieindziej już, wyżej sięgały zamiary, chęci i uślisność Ducorneta. Obrazony, rozgniewany nawet na ucznia Dumoncellę, spotkawszy się razu pewnego z dyrektorem szkoły rysunku w Lille, skarży mu się na niepożyciwość swego ucznia i na zaślepienie jego w własnym interesie, na naganną wreszcie zagorzałność przejmującą go do rysunku i malarstwa przy tak przykrem i strasznym upośledzeniu, a odwołując go od sztuki, w której znaczne już uczynił postępy, i którą mógłby dojść do czegoś.

Tym dyrektorem szkoły rysunku w Lille wówczas, był nie kto inny, jak Watteau, sławny Watteau, sam zapalony w swęj sztuce, i wszędzie dla niej zwolenników i adeptów rad wyszukujący. Wypytałszy się o krnąbrnego i dziwnego ucznia Dumoncellę, przywołał go do siebie, badał usposobienie jego, przejrzał próby, na jakie za własnym popędem młodej duszy, zdobyły się nożki Ducorneta, i uznawszy w nim niezaprzeczne usposobienie podniecone zapalem zdolnym najtwardsze przełamać zapory, bez wahania przyjął go w poczet uczniów szkoły swojej.

Gorliwość i praca, prawdziwie przykładowa, sprawiły, że młody uczeń olbrzymie czynił postępy. Dziwił się spółzawodnicy, cieszył się nauczyciel. Po ośmnastomiesięcznym pobycie w szkole, otrzymał Ducornet wszystkie nagrody dla przodujących w rozmaitych gałęziach wyznaczone. Obręb zajęć jego i działania o dzień więcej się rozszerzał. Niezadługo prace jego stały się już słynnymi w mieście rodzinném i okolicy. Młody artysta ani chwili jednakże nie tracił na próżno,

ani chwili nie ustawał w żarliwej pilności i kształceniu się. Niejeden wielu ofiarami okupiłby już tę wprawę, jaką Ducornet, kaleka, w małych upośledzonych nogach posiadał, gdyby jej mógł pełnemi i zręczniejszymi rękoma sprostać. W kilka lat po wyjściu ze szkoły rysunku w Lille, otrzymał Ducornet medal srebrny za obraz, który dał na wystawę w Douai. Coraz szerszemi kręgi sława jego imienia się rozchodziła. Księżę Angoulême przejeżdżając przez Lille, zwiedził jego pracownię, podziwiał cudownego prawdziwie artystę, jego talent wrodzony, wysoką wprawę i biegłość kosztem twardę, wiarę prawie przechodzącą pracy i wytrwałości nabytą, i tę moc duszy, która go do przezwyciężenia najstrasznieszego upośledzenia natury doprowadziła.

Księżę proponował mu, aby z nim jechał do Paryża, obiecywał mu opiekę i łatwość w dostaniu się do akademii sztuk pięknych. Odmówił Ducornet; bo na sercu mu leżało, żeby nie opuścić dopóty rodzinnego miasta, dopóki w nim nie dostąpił wszystkich zaszczytów skończonego artysty. Zawdychając zaś księciu łaskawe jego względy i przychylności dla siebie, podarował mu kopią tego samego Chrystusa Vandycka, który go tak namiętnie w młodocianych latach zajmował i zachwycał. Tego samego roku jeszcze, przejechałszy do Paryża, przyjęty został do akademii sztuk pięknych, jako uczeń Gerarda. I tam nagrody zbierał kolejno jedne po drugich; naprzód otrzymał medal trzeciej klasy, później medal drugiej klasy, pićrwszą pochwałę w konkursie perspektywy i t. d. Król dowiedziawszy się o talencie i nieśczęśnym kalectwie malarza, ujęty pięknością robót jego, przeznaczył mu pensję stałą z listy cywilnej.

Wszystkie umysły zwracał na siebie Ducornet. Ówczesny minister spraw wewnętrznych Labourdonnaye, zamówił u niego obraz Ś. Ludwika odbywającego sądy pod dębem, który się obecnie znajduje w muzeum w Lille, i wielce jest od znawców chwalony i szacowany.

W roku 1829 na takićj już stał wysokości Ducornet, że bez trudu przypuszczony został do współubiegania się o wielką nagrodę w Rzymie; niemaly to już dowód doświadczenia artysty.

Jakoż w istocie, obraz jego dany na ten konkurs, długo zajmował i nabiedził sędziów, czy mu

przyznać pierwszeństwo, czy nie, i zawsze poszczycić się może niełatwem wydarciem go sobie, bo niepewność i wahanie długo bardzo trwały.

Tento obraz w Rzymie, przedstawiający Jakóba wzbraniającego się wydać syna swego Beniamina, dał powód do zabawnego bardzo zdarzenia. Wystawiony on był wraz z innemi w osobnej sali; jakis Anglik, lord małomówny i pęsepný, zwiedzając salę, zajął się nim tak mocno, że po kilka kroków wracając, stał przed nim, i długo w widocznym uniesieniu podziwiał piękne wykonanie utworu. Widząc to dozorca sali, stary weteran bez ręki, żywym powodowany współczuciem dla swego starszego kolegi w kalectwie, chcąc więcej jeszcze podnieść podziw zimnego Anglika, podsunął się zwolna ku niemu, i rzekł mu zeicha: „ten piękny obraz zrobił artysta bez rąk.” Anglik wziął to za żart niewczesny nieokrzesanego gburą. Pierwszy raz jednak nie mu nie mówił, spojrział tylko nań surowo. Poczciwy weteran zaś myśląc, że Anglik go nie zrozumiał dobrze, a pragnąc koniecznie ulubionego sobie artystę w wysokiem świetle przed nim postawić, po drugi raz zbliżywszy się, powtórzył mu, że ten piękny obraz zrobiony bez pomocy rąk. Zniecierpliwiony Anglik, nie mogąc pojąć zachwalości pozwalającej sobie tak drwić z niego, odwrócił się, i kiedy stary dozorca, któremu się zdawało widzieć w tym ruchu niedowierzanie zamoreczyka, powtarza mu z przyciskiem i patrząc w oczy, „tak, tak, bez rąk” splinowaty wyspiarz rozjątrzony tén zelżywym i bezczelnym lekceważeniem poważnej swj osoby, uniesiony gniewem, uważa za najstosowniejsze uciec się w odpowiedzi do równo silnego argumentu i scisnawszy konwulsyjnie pięść, uderza nią w twarz pocziwego kalekę tak potężnie i uczenie, że nieborak zalewa się krwią, traci przytomność, i pada przyplacając srogo spółczuciu swoje dla spółbrata niedoli. Anglik zaś chwili nie bawiąc, i flegmatycznie założywszy w tył ręce, wychodzi z sali. Przy obiedzie w hotelu, gdzie się znajdowało wielu artystów, ziomeków Ducorneta, Anglik opowiada zdarzenie z najstraszniejszym wyrazem zgrozy i oburzenia na dzikość i barbarzyństwo obyczajów tutejszego motłochu, dozwalającego sobie zachwylać żarcików z cudzoziemskimi panami. Wszyscy siedzący przy stole znali Ducorneta, jeśli nie osobście, to przynajmniej z imienia, i wiedzieli o jego

kalectwie; wszyscy zatem, potwierdzają Anglikowi prawdę słów starego dozorca, i śmieją się z jego niewiary i niesłusznej popędliwości. Anglik bierze to za dalszy ciąg drwin z siebie, rzuca się, gniewa, przypuszcza, że ułożono na sztydzenie sobie z niego szeroka jakąś intrygę, ale on się w pole wyprowadzić nie pozwoli, zachwałych należyście skarcił potrafi, i w najokropniejszym uniesieniu, wychodzi gwałtownie z pokoju, trzaska drzwiami, posyła natychmiast po pocztę, odjeżdża, i nie zatrzymuje się aż w Londynie. Tu dopiero, kiedy rozmyślając nad odpłatą za żart, na jaki go chcieli wystawić swawolni Francuzi, gotuje ze swymi znajomymi wałną nad całym zajściem naradę, przekonywają go oni, i to z trudnością, gazetami i autentycznymi świadectwami, że nikt z niego nie żartował, a szczerą prawdę mu mówiono. Długo nie mógł Anglik wyjść z odurzenia. Na pamiątkę widać zajścia, kupił obraz, który dał powód do niego.

W roku 1832 malował Ducornet portret króla Ludwika Filipa; w czasie téj pracy nie było przy nim ojca, który go nigdy prawie nie odstępował. Zapalony do roboty malarz, nie mogąc nagle dostać tak wysoko jak mu było potrzeba, pozbawiony zwykłej pomocy ojca, w zniecierpliwieniu, bez namysłu, chwytając pędzel w usta, przytrzymuje go zębami, staje na krzesle przed sztalugami, i wali śmiało i dzielne smugi w ten nadzwyczajny sposób, tak doskonale, jak gdyby to zwyczajna mu i dawniej wprawy była praca.

Pierwszy to raz wtędy Ducornet podniecony i uniesiony natchnieniem, uciekł się do tego sposobu, nie mogąc inaczej dać sobie rady, a przekonawszy się jak mu doskonale w potrzebie służy, używał go później bardzo często, kiedy obchodzić się musiał bez ojca, który przy robocie często go bierze na ręce, żeby mógł dostać gdzie mu potrzeba.

We wszystkich utworach Ducorneta, panuje, przed innemi zaletami, wyraz wysokiej poezji i życia; myśl główna przeprowadzona zawsze dokładnie i zachwycająco, a piękna całość opromienia świetność kolorytu, w którego przepychach tak znamienicie celuje, iż mało dorównujących mu współczesnie da się nalieźć. Wiele bardzo wypracował obrazów Ducornet; do najznakomitszych jednakże, liczą się, prócz wyżej wzmiankowanych: sprzedaż niewolników, znajdujący się w muzeum





w Arras, Tasso i Eleonora, Faust i Małgorzata, oblężenie Antwerpii, Henryk II w zamku Eu, Sidi-ea-kanodem aga algierski, Małgorzata u nóg Chrystusa, wnętrze kościoła Śś Magdaleny, Chrystus u grobu, odpoczynek rodziny świętej w Egipcie, Sty Dionizy opowiadający naukę Chrystusa w Galii, Widzenie Śś Filomeny. Credo, generał Negrier, Gloria in altissimis Deo i wiele innych.

Kończąc te słów kilka o nieszczęśliwym, a znamienitym artyście, nie możemy wstrzymać się od podziwu nad siłą woli tego człowieka, który od natury samęj jakby skazany na nieczynność i uposłedzenie wśród ludzi, żelazną wytrzymałością, hartem dzielnej duszy, wybija się zpod strasznego uciemięczenia, i wznosi się o własnej mocy do wysokości, której najszczęśliwiej udarowanym od przyrodzenia nie zawsze i niełatwo wolno dościsnąć. Podziwiać i uczyć się warto. Najlepszy to wzór wielkiej prawdy, że *wola* doprowadza wszędzie człowieka. Ale jakże trudno zdobyć się na te cuda

tworzące wolę. Pomijając zalety Ducorneta i znamienitość jego, stawiające go w pierwszym rzędzie społecznych malarzy, mały ten, trzy i pół stóp zaledwie wysokości dosięgający człowiek, pozbawiony rąk zupełnie i nóg nieomal także, pozostanie na zawsze pamiętnym w dziejach ludzkich faktom i pomnikiem psychologicznej nauki, jako dowód świetnego dostojenstwa, do jakiego człowiek silną wolą, pracą i wytrzymałością dojść jest zdolny. Umysł Ducorneta ukształcony i miły, twarz pogodna zawsze i ujmująca, odejmuje zupełnie przykre wrażenie, jakiego możnaby się spodziewać na widok tak nieszczęsnego kalektwa; liczy on też wielu szczerych, wielbiących go prawie i przywiązanych przyjaciół, których wita koleżeńsko, podaniem małej, rękawiczką ozutej stopy, tej stopy, na której, jakby na uragowisko igraszce nieprzychylnęj natury, całą wielkość swą zbudował.

PODRÓŻ REGNARDA PO POLSCE.

(roku 1681).

I.

Bardzo ważnym dla dziejów pomnikiem są często podróże. Jeżeli kto opuszcza zagrodę rodziną nie dla samej ciekawości tylko, nie dla zabawy, a zakłada sobie w podróży cel wyższy — badać ziemię i żyjących na niej ludzi, mając do tego potrzebne dla postrzeżeń usposobienie naukowe; — tego podróż ma swoje znaczenie, swoje widoki, bo maluje lud, czas, ziemię w pewnej danej epoce, i obraz to często będzie żywy, ludzący pod wszelkimi względami. Z jego podróży wyciągamy zwykłe fakta, uczym się dziejów dawniejszych; z jego podróży niejeden nam rozbłyśnie wypadek, niejedna zachwyci strona, co nam dawne czasy przypomni, i w pięknej i ponętniejszej jeszcze jak przedtém ukaże postaci. Czytajmy więc podróże dawne; w nich tkwi przeszłość nasza, w nich niejedno zadanie dla teraźniejszości.

Podróży po ziemi naszej mamy niewiele, przynajmniej niewiele ich znamy. A jednak patrzymy, jak ciekawemi zrobił Niemcewicz swoje pamiętniki o dawniej Polsce, nie przez całkowite tłumaczenie tych podróży, — a przez proste z nich wyciągi. Widzim po kolei: to Commendon, to Graziński, Tiepolo, Tanner, Marescotti opisują na co patrzyli, o czém słyszeli, nad czém zastanawiali się, badali. Czytając teraz po upływie kilku wieków te ich postrzeżenia, uwagi, doznaję pewnego wzruszenia i rozkoszy, myśląc ich myślą, wnioskując sercem w ich uczucie.

Ale nie każda podróż równie jest miłą, nauczającą. Byli ludzie co podróżowali na ziemi naszej, bez nauki, bez wyszktałenia, bez tego rzadkiego daru do postrzeżeń trafnych, chociaż mieli do tego wyraźną pretensję. Ztąd w opisach ich podró-

ży moc błędów wszelkiego rodzaju: historycznych, moralnych, filozoficznych. A przecież między tą grudą słów bez znaczenia, między kilkaset stronic ich opisów, czasami, spotkać jeszcze można wiadomość, która swoją znakomitością opłaci niewygodę podróży po książce.

Podług nas, takim podróźnikiem był francuzki pisarz dramatyczny Franciszek Regnard, którego spostrzeżenia i uwagi w przejeździe od Gdańska, do Jaworowa na Rusi i Wawelu, postaramy się dać poznać naszym czytelnikom. Wypuścim dużo z jego podróży, rzeczy albo tak powszechnie znanych, że nie potrzebują nowego powtórzenia, albo też opisanych tak dokładnie, że emia prawdę i fałszem błyszczą. Żeby każdy z nas, ze znajomości sobie jakiego cudzoziemca podróży po ziemi naszej, zrobił takie wyciągi ciekawe i nauczające, mielibyśmy naprzód wiele faktów, czasami zupełnie nowych, mielibyśmy jeszcze całą historią punktu widzenia na nas cudzoziemców w epokach różnych przeszłości naszej. A którzy z nas wątpił, że właśnie pod dwoma temi względami, mają podróże dawne dla dziejów naszych wysokie znaczenie?

Regnard był człowiekiem, który podróżował dla przyjemności tylko, a wcale nie umiał historii. Pisał on wprawdzie tragedye historyczne—ależ to była owa epoka sławna, kiedy francuzka tragedia wzięła wieczny rozbrat z historią i z prawdą, a puszyła się tylko deklamacyą, frazesami pełnemi i okrągłemi. Chce Regnard o czémś mówić, np. coś opisać, — ale brak mu źródeł, brak wiadomości, i gdzie powinny stać u niego imiona albo nazwiska, stawia kropki, opuszcza wiersze, a czasami rzecz tyczy się faktu powszechnie znajomego, imienia którego wstyd nie wiedzieć. Regnard nie znał nawet swojego czasu, swojej epoki: dla niego wszystko, co tylko widział było nowością. Nieuprzedzony sławą, odgłosom wielkiego grodu, wielkiego człowieka, jechał on oglądać ten gród znakomity, rozmawiać z tym wielkim człowiekiem. Wszystko go dziwiło, bawiło. Ztąd przerywa on często swoje opowiadanie, nie trzymając się żadnego porządku w opisach. Miesza z sobą rzeczy różnorodne, bez związku. Z jednego przedmiotu łatwo przechodzi do drugiego, a to bez żadnej pracy, wysilenia. Opisuje np. kopalnie srebra w Szwecyi, przechodzi do Hiszpanów i do Potosi,

plecie o Tatarach krymskich i stawia *notę*, — a w tej nocie cała encyklopedia; liczy wolne miasta cesarskie, z książek niemieckich przytacza coś o Lutrze, to potem o rybach i morzu, waży balast okrętowy i działa, a potem jakos dziwnie przechodzi do niedzwiedzi w Polsce i łosiów. Coś mówi o Prusach, o Elektorze, i znów wypisuje herby wszystkich państw Europy, potem przydługie tytuły monarchów, — to znów układa spisy królowych i książąt. Zupełnie jak ciekawe dziecko, które coś czyta, i notuje sobie dla pamięci to co przeczytało, żeby znów potem kiedy to przejrzeć co napisało, i nauczyć się jak lekyi na pamięć.

Regnard podróżował dużo po świecie. Zwiedził Afrykę i Azję; był we Wschodnich Indyach, widział Braminów nad świętymi rzekami — Gangesem i Indem. Całą przejechał Europę wszęź i wzdłuż. Był w Turcyi, i raz na morzu Śródziemnem, złapany był przez Turków do niewoli, z której wyswobodził się prędko. Do Polski przecież nie chęć zobaczenia Polski go przywiodła, ale dziwny zbieg okoliczności. W 1681 r. 26 kwietnia zabrał się on z przyjaciółmi de Fercourt'em i de Corberon'em w podróż do Belgii i Holandyi.

Zwiedził Bruxellę i Mechlin, Hage i Amsterdam. Ktoś mu powiedział, że król duński bawi niedaleko w swoim księstwie Oldemburskiem. Ciekawość zobaczenia dworu duńskiego popędziła naszych turystów do Oldemburga. Jakby naumyślenie, dwa dni przyjechali oni tu zapóźno. Jechali więc dalej przez Bremę do Hamburga, bo w Hamburgu mieli zobaczyć króla; — ale i tu przybyli zapóźno. Z nad Elby przeciecz, tak było blisko do Kopenhagi, że nasi podróżni ruszyli tam bez namysłu. Z Danii przez morze tylko spoglądała na nich Szwecya, — grzechem więc byłoby nie zobaczyć Sztokholmu i Karola XII. Popłynęli więc, i obejrzel Sztokholm, ale tutaj król im powiedział, że kiedy są w jego państwach, powinni by zapuścić się i do Laponii, bo warto widzieć tę krajną zimną i dziwną i ciekawą, do której tak rzadko zaglądają podróżnicy. Regnard powiedziawszy sobie, że życie królów jest rozkazem, z towarzyszami swojemi pusił się do Torneo na granicę Finlandyi, dalej na północ. W dwóch miejscach zostawił napisy łacińskim wierszem na wieczną pamiątkę, że zwiedził te strony. Musiała go zając bardzo ta podróż po Laponii, bo opisanie tej

podróży, poświęcił więcęć kart swojej książki, jak razem Flandryi, Hollandyi, Danii, Szwecyi i Polsce.

Byłto ruchliwy Francuz, który opisywał wszystko z dumą swojego narodu, przekonany, że robi tym zaszczyt krajom innym, kiedy raczej o nich mówić i pisać. Ale cóżby powiedział na to, gdybyśmy mu wytknęli mnóstwo imion poprzekręcanych, mnóstwo wypadków przeinaznaczonych do niepoznania prawie...

W Szwecyi był na audyencyi publicznej posła Tatarów Krymskich. Karol XII siedział na tronie, wpośrodku swojego dworu. Posel był niepozorny, bojaźliwy, patrzył ciągle w ziemię, i mówił bez związku: otaczało go pięciu albo sześciu żebraków (gueux) i nigdy, powiada Regnard, nie można było widzieć coś więcęć nędznego. Oddał on pięć albo sześć podłużnych listów od Hana, jego żony, brata i od wielkiego ministra. Listy były owinięte w kitajkowe pokrycie (taffetas). Ofiarował potem królowi kilka niepozornych koni tatarskich, ale dzielnosci niezaprzeczonych. Król odpowiedział mu na to, że przyjmując podarunek, jeżeli pochodzi od Hana, a posel i jego świta całowała ręce króla, przykładając je do swojej głowy.

W Laponii zajęły nadzwyczaj naszego podróżnika renifery. Długo ich opisuje i dziwi się cudom natury. Miał on już wtenczas ochotę ze Szwecyi wyjechać do Polski, i żałował bardzo, że tylko skórę renifera powiezie do Francyi. Gdybym wracał prosto, powiada, starałbym się jednego wziąć żywcem do ojczyzny. Wielu już przedtém próbowało, żeby te dzikie zwierzęta północy przesiadlić na południe, ale usiłowania były zawsze bezskuteczne. Z Regnarda dowiadujemy się, że w r. 1680 ktoś w okolicy Gdańska, na Pomorze polskie, sprowadził trzech czy czterech reniferów, w zamiarze rozmnożenia ich tutaj, ale nie udało mu się; pozdychały zaraz. Otóż mamy fakt jeden ciekawy dla nas, o tój chęci przyswojenia dla klimatu naszego reniferów, i ten fakt znaleźliśmy w Regnardzie. Tak z każdej podróży po naszych stronach, zupełnego nawet nieuka, możeby się coś wyciągnąć dało, coś ciekawego wyszukać, a to jest korzyść z czytania tych podróży.

Podróż po Szwecyi i Laponii, zajęła całe lato i zimą Regnardowi. Powrócił do Sztokholmu dnia 27 września, a 3 października był już w drodze do

okrętu, który go miał zawieść pod mury Gdańska na Żulawy i koryto Wisły.

Odtąd zaczyna się podróż jego w Polsce, której treść ważną podamy, uporządkowaną, ujętą w ład, w pewien systemat, którego w samym opisie autora brakuje.

Na morzu już, prawie w widoku Gdańska, okręt na którym płynął Regnard, mało co się nie rozbił, burzą okropną miotany. Opis burzy nie ma związku z naszym celem. Biedny Regnard przeszło pięćset razy *pater* zaczął wśród nocy, a jednego razu nie mógł go skończyć. Nareszcie dzień przesłiczny zaświtał; spuszczone z portu szalupy na morze, i podróżni nasi dostali się do Gdańska.

Gdańsk, mówi Regnard, przecięty jest wielką kanałami, po których wielkie pływają okręty, nawet wpośród ulic miasta. Dobra cytadella Munda broni wejście do Gdańska. Miasto samo jest niby pod protekcją króla Polskiego, i szczeni się ze swoich swobód, ale te swobody są z imienia tylko, i król nie jest protektorem, a prawdziwym panem Gdańska. Jakis doktor Strof przed czterema laty (1677) wzniecił tutaj zaburzenia: król sam przybył do Gdańska poskromić bunt, i kazał miastu zapłacić kontrybucyę. Odtąd miasto straciło wiele ze swoich przywilejów; burmistrzowie oddali królowi starostwo nazwane Poschi (?), które było w zastawie za 20,000 dukatów, a król rozkazał, żeby wszystkie sprawy przechodzące 1,000 liwrów (podajemy rachunek autora), szły do sądów do Warszawy. Płacił rocznie Gdańsk około 60,000 talarów królowi.

Rząd miasta znalazł Regnard trojaki: na czele spraw stało 4 burmistrzów wybieranych z rodzin patrycyuszowskich Gdańska, i z 13 radców, wszyscy dożywotni. Burmistrze, jeden po drugim zmieniali się co rok w starszeństwie, i rzadzili miastem. Pod niemi drugi stan składało 24 mężów, a trzeci stu mężowie.

Handluje najwięcej Gdańsk zbożem polskim, woskiem, bursztynem. Bursztyn poławia się po całym nadbrzeżu aż do Memla: ciągnie z niego wyłączny użytek margrabia brandenburgski, który z tego połowu ma rocznie 60,000 talarów. Kiedy wiatr wielki na morzu, połów szczęśliwszy jest; a wtenczas strażnicy utrzymywani tutaj przez dzierżawców margrabięgo, błądzą po nadbrzeżu i zbierają bursztyn. Niewolno im pod karą śmier-

ci przywłaszczyć sobie chociaż kawaleczek malenki. Miękki jest bursztyn kiedy jeszcze w wodzie, ale potém twardnieje. W niektórych znajdują się muchy. Dziwiłem się, powiada Regnard, kiedy mi mówiono o wielkim handlu, jaki Holandia bursztynem prowadzi z Indjami, i że za tym produktem przepadają na Wschodzie. Wielki pan indyjski za 20,000 talarów przeszło spali bursztynu na jakiejś okazałej biesiadzie — a woń bursztynu nie tylko miła ale i zdrowa jest, bo leczy wszystkie boleści głowy. Prócz tego Gdańsk jeszcze handluje popiołem i miodem.

Warownie miasta służą dla jego ozdoby i obrony. Brama Haedor, nadzwyczaj proporcjonalnością swoją podobala się Regnardowi. Ulice miasta są szerokie, ale wielkie balkony domów aż do środka je zacieśniają; domy są zresztą piękne i czyste. Na środku wielkiego placu widział Regnard fontannę i Neptuna z brązu. Arsenał dosyć wielki, bogaty był wtedy w dzieła rozmaitego kalibru. Ale najwięcej podobał się Regnardowi wielki kościół, godny podziwu przez budowę swojego sklepienia. Widział w nim obraz przesliczny, malarza flamandzkiego Jana du Chêne z Antwerpii. Nie piękniejszego, nie doskonalszego nad ten obraz ostatecznego sądu. Jakis elektor Brandeburski dawał za niego miastu 50,000 talarów. Gdzieś w tym kościele widział nasz podróżny wyrażenie, w które ewangelicy porzucali relikwie świętych i wszystkie ozdoby, jakie za czasów reformy znaleźli w kościele katolickim. Weszli nasi ciekawi na dzwonnice, i z wierzchołka jej ujrzeni u stóp swoich całe miasto i morze w oddali. Gdańsk wydał się wtedy Regnardowi wielkością swoją jak Orleans, tylko w Gdańsku domy były więcej ściśnięte, i większa rola się po ulicach ludność. Kobiety w tej ludności grały znakomitą rolę. Nasz podróżny wyznaje, że nigdy nie widział kraju, w którymby kobiety były tak powszechnie piękne; białe są i mają wiele przyjemności i wdzięku. Poznał gdzieś Regnard dwie panie Mathis, i przyznał, że są najpiękniejsze, szczególnie młodszą, która uchodzić może za areydzioło skończone. Rzecz szczególna, takie pochwały kobietom Gdańska na lat pięćdziesiąt przed Regnardem, oddawał Wacław Klemens, wygnaniec czeski. (1)

Katolicy mieli wtedy w Gdańsku 3 czy 4 kościoły, w których odprawiali nabożeństwo Jezuitów, Karmelici bosci i trzewickowscy i Dominikanie. Zdziwiony był Regnard, gdy po raz pierwszy znajdował się na mszy w kościele. Kiedy nadechodził czas podniesienia, poznał tę chwilę wielką i tajemniczą po westchnieniach nabożnych. Mówi, że dzwonka słysząc nie mógł przed westchnieniami. „Rzadko na świecie ludzi tak pobożnych jak w Polsce, powiada Regnard, święcie zachowują posty nakazane przez kościół, i nie z masłem, ale z olejem wtedy jedzą. W piątek wcale nie dostanie mięsa, a na Mazowszu byłoby niebezpiecznym nawet jeść mięso w piątek. Polak poczytałby sobie za zasługę zabić człowieka, któryby zgwałcił przepisy postu.” Wyobrazić-że sobie, czemu wierzył ten biedny Regnard!

Dziwił się w Gdańsku nasz autor podolskim i ukraińskim wołom, i z tego powodu powiada, że na Podolu i Ukrainie dosyć raz posiać, a zasięw wystarczy na trzy, cztery lata, bo te kłosa co same opadną, zaronia się w grunt i wydadzą owoc.

Dziwił się dalej tańcom polskim, i zapewne myśleliśmy się sami dziwili, gdybyśmy zobaczyli coś podobnego. Służba w tańcu miała poprzedzać panów, którzy postępowali mierzonym krokiem za służbą.

Otóż i wszystkie osobliwości stolicy naszego dawnego Pomorza, które na siebie zwróciły uwagę francuskiego podróżnika. Ostatnią, najważniejszą osobliwość zostawiliśmy umyślnie na końcu.

Widział Regnard w Gdańsku wielkiego astronoma Heweliusza, jednego z uczonych wieku, profesora, który odbierał pensje od wielu książąt i monarchów, a pomiędzy innemi od króla francuskiego, otoczonego szacunkiem całej Europy. Miejsce to, gdzie mówi nasz podróżnik o Heweliuszu, podajemy w wiernym tłumaczeniu:

„Mąż ten pokazywał nam dzieła, które mu ogień oszczędził. Opowiadał nam że łzami w oczach, o stratach jakie poniósł przed dwoma laty przez pożar straszliwy, który zniszczył przeszło 40 domów, a zaczął się szerzyć od jego własnej siedziby. Lat już blisko pięćdziesiąt, jak ten wielki człowiek pracuje we dnie i w nocy. W nocy obserwuje gwiazdy z poddasza swojego domu za pośrednictwem lunety, która ma przeszło 180 stóp długości, a we dnie opisuje, to co widział w nocy.

(1) Przegląd naukowy 1847, artykuł stary poemat o Gdańsku.

Miedzy wielą uczonych rzeczy, o których mówił z nami, dowiedzieliśmy się, że on się trzyma systematu Kopernika, bo, mówił Heweliusz: jestto dziwactwo sądzić, że niebo obraca się naokoło ziemi, i, żeby nas przekonać lepiej, wielu użył dowodów. Pokazał nam np. kulę ziemską i niebieską, które do podziwiania przekonywały nas, że uczony mówił prawdę. Mówił nam i przytoczył to, jako dowód niezaprzeczony swojego twierdzenia, że w pewnym czasie uważał on zawsze jednakową odległość ziemi od gwiazd stałych, które tak jak słońce nieporuszone, tkwią na firmamencie, a znowu w innym czasie odległość tę uważał za większą: to jawnie dowodziło, że ziemia porusza się w przestrzeni, nie słońce. Dotąd mniemanie to, mówił Heweliusz, było uważane za heretyckie, ale odebrałem od ojca *** spowiednika jego Świętobliwości list, w którym mi oświadczał, że kościół potępia to mniemanie aż do chwili, póki dowiedzionem nie będzie; — ale jeżeli kto rozleje światło na ten przedmiot, kościół wcale nie będzie robił trudności, i sam pójdzie za prawdą dowiedzioną. — Co się zaś tyczy tego ruchu ziemi, i to kolejnego jej zbliżania się, to oddalania od gwiazd stałych, powiadał Heweliusz, że wziął to z początku za swoje pomyłkę, za błąd w rachunku; ale lat pięćdziesiąt szukał po niebie, i zawsze do tegoż samego przyszedł rezultatu; wnosił więc nareszcie, że odkrył prawdę, że się nie omylił. Powiedział nam także, że spostrzegł wahanie się (librację) księżycą, i że tego nikt przed nim jeszcze nie uważał. Zapewnił nas, że to odkrycie bardzo mu posłużyło do wielu jego dzieł i obrachowań, których ilość uderza imaginacyą. Wszystkie prace swoje dedykował monarchom, i dorabiał do nich rysunki własnoręcznie; — pokazał nam wszystkie, — pokazał też 15 wielkich woluminów, jakby żywoty świętych, a w nich pełno listów najuczestniejszych ludzi współczesnych, którzy do niego pisali i spierali się w materyach naukowych.

Podług jego systematu, księżyc, jestto ciało okrągłe, pełne wypukłości i wklęsłości. Odrysowywał na księżyc po kilka razy, i ponadawał na nim nazwiska gór i okolicom różnym, które odkrył, albo opisał. Spostrzegł nawet morza na księżycu, albo nie znaczy to, żeby woda tam być miała, a jakas materya, gęstość, która bardzo się wydawała podobną do wody. Pracuje teraz Heweliusz nad no-

wym globem sferycznym, w którym chce zmysłowo przedstawić całą naukę, jakiej nabył w ciągu lat 50 ciągłych spostrzeżeń. Wspiera go król w tém przedsięwzięciu, a wdzięczny uczony, królowi chce pracę swoją poświęcić. Pokazywał nam także najpiękniejsze narzędzia geometryczne, jakie mi się tylko kiedy widzieć w życiu zdarzyło, — i kawałek bursztynu, na którym wyrzył on pieczęć, kiedy bursztyn wyciągnięty z morza, zdolny był jeszcze przyjąć wycisk, — bo od chwili, kiedy się zetknął z powietrzem, stwardniał w takiej postaci, na jaką patrzyliśmy.”

Kilka wspomnień poświęca potem Regnard markizowi brandenburgskiemu. Darował ten margrabia cesarzowi krzesło z bursztynu, a delfinowi francuzkiemu zwierciadło, arcydzieło w swoim rodzaju. Ztąd, właśnie mówię o bursztynie Heweliusza, Regnard naturalnie przeszedł w opowieści swojej do księcia bursztynowego nadbrzeża. Markiz brandenburgski, był wtedy bez wątpienia, najpotężniejszym władcą niemieckim. Kraj jego zawierał przeszło 200 mil niemieckich rozległości. Dochody jego ogromne. Jedna prowincya pruska przynosiła mu 26,000 talarów miesięcznie. Połów bursztynu dochodził rocznie od 60—80,000 talarów. Ostatniego lata dawał margrabia, podczas swojego pobytu w Pyrmontcie, świetną ucztę, która kosztowała 50,000 talarów. Było na tej uczcie 40 osób z rodzin panujących; obiedwie królowe duńskie tam znajdowały się. Dom margrabiego jest tak świetny, jak żaden niemiecki, i jeżeli mu niebrak dostojności królewskiej, nie brak wcale serca, dworu i dochodów królewskich (str. 207). Syn Elektora zasłużył książęnieckę Radziwiłłównę przed ręką, — wychowano ją na dworze brandenburgskim i wydano za mąż, bo elektor nie chciał wypuścić z ręki przeszło 800,000 liwrów rocznego dochodu. Sarkali Polacy na to małżeństwo, bo podług zobowiązania się, miała książeczka iść za mąż za Polaka.

Podróżni nasi wyjechali z Gdańska we środę, 29 października, do Warszawy w małym krytym powozie za 24 talary krajowej monety, co czyniło około 20 liwrów. Przejeżdżali przez wielkie przedmieście, długie na milę niemiecką, nazwane Schotland. Droga była piękna i kraj piękny, ale gospody nędzne: w Polsce było zwyczajem, że każdy podróżny wiozł za sobą całe bagaże, nawet łóżko

Żąd w samą rzecz gospody nędzne były, bez żadnych sprzętów do wygody, bez żadnych narzędzi do spoczynku. Miał ten zwyczaj polski swoje złą i dobrą stronę, przynajmniej to Regnard, — ale jak dla niego, wcale był niepotrzebny.

Przez Grudzią, gdzie był magazyn zboża i gdzie w bardzo pięknym kościele, w dzień WW. ŚŚ. Regnard wysłuchał mszy, przyjechali nasi podróżni do Torunia. Wolne to miasto, jak Gdańsk, było stolicą Prus królewskich. Rząd miasta podobny jak w Gdańsku, z tą przecież różnicą, że burmistrz odmieniają się co rok na 15 dni przed Wielkanocą, w niedzielę *Judica*. Wybiera miasto burmistrzów, ale na czele magistratu stoi burgrabia mianowany przez króla polskiego. W ratuszu dosyć wspinał się, oglądał Regnard portrety królów, od Kazimierza Jagiellończyka do Jana Sobieskiego.

Stolica Polski i Mazowsza, Warszawa, niepodobala się Regnardowi. Przyznał, że to miasto jest zbyt brudne i bardzo małe, że składa się z jednego tylko wielkiego placu, na którym stoi ratusz, a naokoło ze czterech stron otaczają go sklepy kupców ormiańskich. W sklepach pełno materij bogatych i towarów tureckich, np. luków, strzał, szabli, dywanów, noży rozmaitego rodzaju, i t. d. Zresztą zdołał miasto jedynie posąg Zygmunta III przy bramie zaraz, na kolumnie jaspisowej. Szwedzi strzelali do tego posągu z dział, jakby go chcieli obalić. To doprawdy, bardzo dziwne: cóż Szwedom zawinił król Zygmun트 Trzeci na słupie? Zresztą, opowiada Regnard, sama postać Zygmunta u góry, wyrobiona misternie, świeci bogactwem, bo pozłacana cała i grubo, na dukat szerokości.

W Warszawie oglądał też poeta francuzki ogromnie wiele kościołów i klasztorów, ale widać mało go zajęły, kiedy się wcale nie wdawał w opisy.

Zwiedzał, pomiędzy innymi osobliwościami i pałac Kazimirowski, zbudowany podług niego, przez M. Ludwikę. Za jego właśnie czasów, stał pałac pustkami, w osamotnieniu. Widział w komnatach Kazimirowskich wiele krzeseł, za pomocą których łatwo można było dostać się na górę i spuścić na dół albo przenieść się z jednego do drugiego pokoju. Z murów tego pałacu, widziała niegdyś M. Ludwika Szwedów jak przebywali Wisłę, która tutaj

bardzo blisko płynie. Pani de Bethune mieszkała także czas jakiś w tym pałacu.

Podróżni nasi oddali wizytę W. Marszałkowi Lubomirskiemu (Stanisławowi). Był to jeden z najbogatszych panów polskich. Ojciec jego (Jerzy) był hetmanem, i żył w nienawiści z drugim hetmanem Potockim (Stanisławem Rewerą). Kłótnię pomiędzy sobą zakończyli małżeństwem swoich dzieci. — Syn Lubomirskiego ożenił się z Potocką, a kiedy umarła ta żona, zawarł już wtedy powtórne śluby z córką podkomorzego nadwornego (szambelana, powiada Regnard). Troszkę się tutaj pomylił uczony podróżnik. Nie ten marszałek Lubomirski, którego odwiedził, ożenił się z Potocką, ale rodzona siostra jego Krystyna, była za synem Rewery, Felixem. Stanisław Lubomirski miał jednak wtedy już drugą żonę, a była to córka Teodora Denhoffa podkomorzego koronnego, Elżbieta. Zresztą wiedział coś Regnard o stosunkach tej możnej rodziny w Rzeczypospolitej, kiedy napomyka w kilku niejasnych słowach o tym, że ojciec marszałka popierał sprawę Austrii w Polsce, i w obronie nawet rakuskiej elekcji podniósł broń przeciw własnemu królowi. Tu dosyć baśni w tym rozpowiadaniu.

Marszałek Lubomirski pokazywał podróżnym cały swój pałac, a robił to ze szczególną grzecznością. Kupił go dopiero przed pięć, sześć laty, za wielką cenę. Pałac ten nazywał się Ujazdów (Jezdouna), a leżał o strzał działowy od stolicy. (!) Pełno w nim pięknych rzeczy, malowideł, osobliwości, na co wszystko Lubomirski ogromne wydał summy. Galeria, którą w te cudy ustroił, niejednym przedmiotem uderzała oczy ciekawego. Pomiedzy innemi, pokazywał podróżnym marszałek zegar wielki, który niedawno sprowadził prosto z Augsburga; oprócz właściwego zegara, jest tam jeszcze narzędzie grające, tudzież perpetuum mobile i wiele jeszcze innych rzeczy; całość przedstawiała niby wielki gabinet srebrny. W ogrodzie ujazdowskim ciągle pracowano nad zbudowaniem łaźni, i altanek samotnych, które miały być bardzo piękne. Zresztą opowiadał Francuzom Lubomirski o zwycięstwie pierwszym swojego dziada nad Turkami pod Chocinem, gdzie znajdował się sam sultan Osman. Ale Regnard tej opowieści

(!) Konstytucja sejmu 1688 oddała Lubomirskiemu na dziedzictwo Ujazdów.

nie rozumiał, bo w swoich notatkach popłatał i osoby i rzeczy.

Potem nasz poeta zwiedził zamek z towarzyszami swojemi. I tutaj nie osobliwego nie znalazł. Podobaly się mu jednako komnaty izby senatorskiej i pokój marmurowy, gdzie widział malowidło przedstawiające zdobycie Smoleńska przez Zygmunta III. Nie znając szczegółów tego wypadku, a radząc się tylko swojej pamięci, biedny Regnard opowiada, że w Smoleńsku wzięci byli dwaj synowie księcia wielkiego, i że dla nich potem zbudowano kaplicę. Nie wspominalibyśmy o tém, ale Regnard powiada, że ta kaplica stała właśnie przed domem gdzie mieszkał ze swojemi towarzyszami. Stał zatem poeta w okolicy Ś. Krzyża, — tutaj może, gdzie dzisiaj dawny Karasiowski pałac, albo naprzeciw, w gmachach później Branickiego hetmana.

Nie zamiechał też Regnard i o pałacu Morsztyna wielkiego podskarbiego. (1) Ze wszystkich gmachów Warszawy, ten gmach właśnie wydał się mu najwspanialszym. I zewnątrz i wewnątrz uderzał swoją postacią. Wewnątrz zdobyły go piękne malowidła na ścianach (par la belle entente du dessin) i bogate sprzęty w komnatach. Morsztyn przyjął podróżnych z najwyszukaną szczerznością, pokazywał im wszystkie pokoje swego pałacu, wszystkie bogactwa i wreszcie piękną galerią obrazów. Zajrzeli podróżni i do komnat pani podskarbin, która była Szkotką z rodu, a właśnie w chwili ich przybycia rozmawiała z generałem de Béarn, który służył w Węgrzech, sprawie francuskiej. Morsztyn kupił niedawno przedtem we Francji, dobra Montrouge od markiza de Vitry. Pan podskarbi zupełnie myślał rodzinę swoją i nazwisko wywieźć z Polski. Dobra po markizie de Vitry kupione, oddawał synowi, z warunkiem, żeby tam mieszkał. Dobra w ojczyźnie oddawał własnością wnuczce, która już była właśnie w wieku zamężcia. Syna, Morsztyn nazwał panem de Chateau-Vilain, ale królowa zwała go przez posmiewisko Petit-Vilain. Podskarbi był tak rad nowym ziomkom swoim, że ich zaprosił na obiad, ale gadatliwy Francuz nie opisuje wystawności stołu polskiego.

Z kolei nasi podróżni oglądali pałac wojewody lubelskiego.

(1) Dzisiaj były pałac Saski.

Dom księży misjonarzy, w którym zwykłe mieszkałi posłowie francuscy, jest dosyć obszerny, powiada Regnard. Odwiedzili ziomków swoich podróżni. I misjonarzy i panny miłosierdzia sprowadziła do Polski zmarła królowa (M. Ludwika). Księża zbudowali sobie kościół Ś. Krzyża, zaraz przy klasztorze, ale nie mogli go skończyć własnym nakładem, bo wielkich pieniędzy potrzebowało dokładne wykończenie świątyni, podług nakreślonego planu. Czekali właśnie wtenczas na dobroczyńców w nadziei, że im podadzą pomocną rękę i dokończą dzieła zaczętego. Liczba misjonarzy znacznie się powiększyła od czasu pierwszego ich osadzenia w Warszawie. Świeżo biskup krakowski jeden klasztor tego zakonu założył w swojej diecezyi. Żałowali podróżni jednak, że nie zastali superyora, — widzieli się tylko z panem Mumasan.

Z Warszawy kiedy wyjechał, i gdzie, nie pisze Regnard. Opowiada tylko, że puścił się w drogę dalej z Jarosławia do Jaworowa (de Javarow à Javarouf). Jechał sześć dni ciągle — mil prawie 40. Jaworów jest miejscem najniżej położonym (le plus vilain) nie tylko w Polsce, ale i w całym świecie. Dwór królewski mieszkał tam przez zimę z powodu słabości M. Kazimiry, która tutaj chciała odbyć swój połóg. Dwór, powiada Regnard, rzadko kiedy gdzie dłużej na jakimś miejscu zostaje, a owszem zostaje w ciągłych podróżach. Podróże te umie sobie najmilej uprzyjemniać, bo cała Polska jest najpiękniejszym krajem dla myśliwych, a podróż wpośród takich lasów, puszczy i borów, jest tylko jedną bezustanną zabawą, bo ciągle z łowów jedzie się na łowy.

Mielśmy cześć, opowiada Regnard, osobiście złożyć uznanowanie nasze królowi i ucałować rękę M. Kazimiry. Sobieski przyjął podróżnych z całą dobrocią, z jaką jest dla wszystkich, a mianowicie dla cudzoziemców. Opowiadali mu Francuzi o swoich przygodach, podróżach, a król raz wraz zadawał im pytania. Widać, rozmowa ta bawiła go; najwięcej dopytywał się o Laponię. Królowa również była ciekawą, i ciągle wtracała swoje słówko do ogólnej rozmowy. Była to jedna z najpiękniejszych (des plus accomplies) kobiet w Europie. Miała wtedy około 38 lat, a natura ubogaciła ją szczerze we wszystkie swoje dary, jakby usadziła się na to. Na dworze polskim nie było pię-

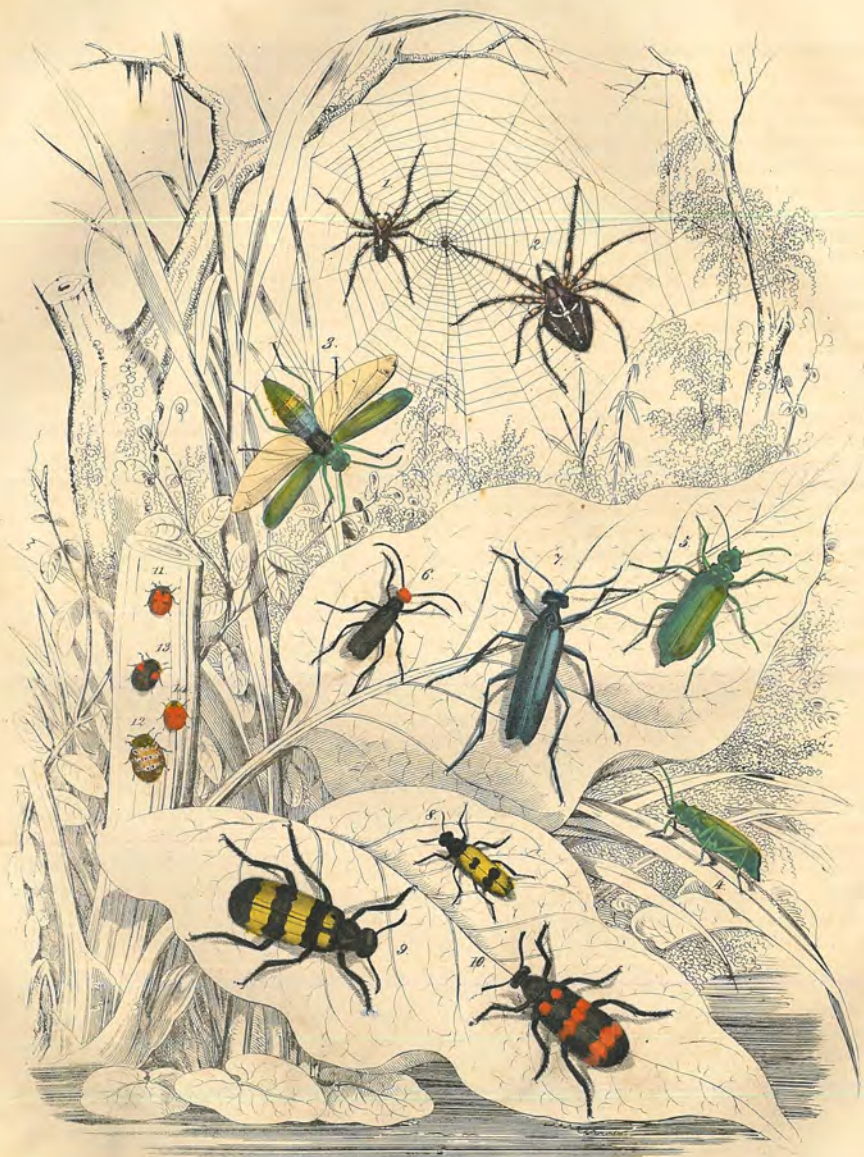
kniejszej niewiasty, a rozumniejszej i więcej dowcipnej na świecie. Dosyć ją widzieć było, aby się o tem przekonać, a kto z nią raz mówił, to już nigdy wdzięków tej chwili nie stracił z pamięci. Ona to włożyła koronę na skronie męża, bo chęć znaczenia, *szlachetną wadę dusz wielkich* (słowa Regnard), w najwyższym stopniu posiadała M. Kazimira. Ona myśl o koronie wrzuciła do serca, nie oszczędzała dlatego ani pieniędzy, ani obietnic, i mimo intryg księcia Lotaryngii, celu swojego dopięła. Przybycie biskupa Beauvais nie pomogło jej w niczem; posel ten przyjechał w wilią elekcyi i kończącego się sejmu, w wilią dnia kiedy Lotaryńczyk miał być ogłoszony królem. Mało zostało czasu do stanowczej chwili. Sobieska przedłużyła sejm o dni kilka przez swoje wpływy, a działała przez ten czas tak szczęśliwie, że wkrótce zasiadła na tronie.

I rodzina królewska przedstawiała szereg doskonałości, jakie trudno zobaczyć. Najstarszego królewicza Ludwika Henryka Jakóba do chrztu trzymali: król francuzki, królowa angielska i jego dziadek markiz. Miał lat 14; i dawał o sobie najpiękniejsze na przyszłość nadzieje. Regnard widział w nim wzór dobrego monarchy. Piękny, ładnie tańczył i rozmawiał po niemiecku, łacinie, francuzku i polsku, jakby rodowity Rzymianin, Niemiec albo Francuz. Mówił gościom królewicz Jakób, że chce się wyuczyć wszystkich języków europejskich, żeby przez to przypodobać się ojcu, który także wiele języków gruntownie posiadał. Księżniczka, siostra królewicza miała 7—8 lat, było to ładniutkie dziecko. Regnard zdobywa się na koncept, że jeszcze w łonie macierzyńskim, Tereasa była ukoronowana. Alexander młodszy brat tych dwojga dzieci, był także najmilszym stworzeniem na świecie. Trzeci syn, królewicz, prawdziwy amerek, miał lat około 3—4. Królowa, która była właśnie wtenczas przy nadziei, miała już czternaścioro dzieci, a wyglądała mimo te częste pokiły tak świeżo, tak przesiennie, jakby dopiero liczyła lat 20 życia. Używała też ciegłe doskonałego zdrowia.

Regnard miał szczęście grać z królem Janem w lombra, a jako dowód najwyższej łaski, jadł z nim nawet u jednego stołu. Posel francuzki siedział wtedy przy królu po prawej ręce, a nasz poeta po lewej. W komnacie znajdowali się je-

sze: wielki koniuszy i starosta jakiś, którego barbarzyńskiego zapewne nazwiska zapomniał Regnard. Po stole, wyjechali goście tegoż samego dnia z królem na łowy. Tutaj wdaje się poeta w etymologiczne wywody, i twierdzi, że Polska, podług niego *Polni*, znaczy *campagne*, a że *campagne* jest *pole, wioska*, ztąd i łowy najwyborniejsze w krainie Sobieskiego. Jednakże w Polsce inaczej polowano, jak we Francyi. Regnard przypatrywał się naocznie myśliwym, i w swojej ojczyźnie i w państwie Sobieskiego. W Polsce, opowiada, stawiają rząd strażnic, na których czekają myśliwi, i pilnują, dlatego, żeby zwierzyzna przez otwarte dla niej miejsce weszła w samobówkę. Wpuszczają wtedy w tę zagrodę smycze psów i poganiają. Psy lecą, ujadają głosem swoim, cały las napętniają sobą, wietrzą w gniazdach zwierzyne, i poruszają wszystkie kryjówki. Natenczas każdy z myśliwych staje na miejscu sobie przeznaczonem, jeden od drugiego oddalony na dwa strzały z muszkietu, i kiedy się cokolwiek pojawi na jego stanowisku, wilk, rys, jeleni,—strzelą, a taki zewsząd grom pocisków leci na zwierza, że biedny w żaden sposób ujęć nie może strzałów. Zdarza się to wprawdzie niekiedy, że zwierzę ujdzie, ale to nadzwyczaj rzadki wypadek. Odbyliśmy wielkie polowanie tego dnia, powiada Regnard. W mnię jak we cztery godziny ubiliśmy przeszło 10 jeleni, 3 wilków, 5 albo 6 rysów, trochę sarn i zajęcy. Ale co właśnie polowanie nasze zrobiło pięknem i krwawem, to walka mordercza, jaką dzik wielkości konia, stoczył z chmarą psów,—ale po długim oporze został przecie zabity. Wielu psów pozbawił życia, wielu pokaleczył, porozbijał, poranił i ludzi i konie, ale rzucił go na ziemię piorun z arkebuz. Skonał w męczarniach. Na wozie przywieziono go przed króla, który powiedział, a za nim mówili wszyscy, że nie widzieli jeszcze w życiu tak wściekłego odynca. Potrzeba było drugiego wozu dla psów pokaleczonych. Odwieziono ich, jak rannych wojowników po bitwie.

Dziwiw się, że tak lekkim opisem zbył Regnard królewskie łowy. Nad puszczeniami polskimi sam tyle razy się unosił. Mówił, jakęśmy to widzieli, że Polska jest krajem przedewszystkiem stworzonym dla myśliwych. Nie mamy wcale do niego pretensyi za to, co źle opisał, nie rozumiejąc ustaw i charakteru narodowego, ależ polował z Sobie-



skim, i to mógł przynajmniej opisać, co widział, do czego nie potrzebował ani nauki, ani specjalnych wiadomości.

Jednakże w tych dawnych łowach królów polskich, było doprawdy wiele poezyi, i malowniczo, piękny był język myśliwych. Odyńciec odzywał się *gwizdaniem*, *gruchaniem*, *grzechotaniem*, *kwikaniem* i *szumem* albo *krzykaniem*. Znali Polacy miejsce przechodu dzika, bo to była jego *droga*, spotykali po lasach poryte przez niego miejsca czyli *buchty*. Kiedy *szablę* (kły) wyszczerzył, którą *obcinał*, to jest kaleczył, było już blizkie niebezpieczeństwo. Ryjak jego *gwizdem* przewany, szukał żeru, a *pióra*, to jest szczecina wznosiła się na skórze. Musiał myśliwy być ostrożny, kiedy dzik *siedł na dym*, to jest po wystrzale, leciał pędem na strzelca, który celował na niego, albo miał tę nieczepność, że go trafił, ale nie zabił. Dzik zakręcał ogon do góry, a samica jego (*locha*, *samura*), spuszczała go zawsze na dół. Czujniejsza jednak od samca, ona pierwsza porywała się, posłyszawszy granie psów z oddali. Biegła śmiało naprzeciw myśliwych w obronie swoich młodych *warchlaków* i płała psy, albo przebiegłszy część znaczną kniei, opierała się o grube drzewo, albo wprost, i wyszczerzała zęby. Rana wtedy przez nią zadana, była śmiertelna.

Regnard trafił na miesiące zimowe z podróżą swoją po krainach polskich: było czas najstosowniejszy do myślistwa na dziki. Zwykle po nowiu, w listopadzie i grudniu, szli dawni Polacy z obławą do lasów. Po śniegu, łatwo było ślad odyńca wytropić, a potem w tej porze dziki były tłuste, i do użytku najlepsze. Ochocze grono biegło wtedy do lasów z pieśnią na ustach, jak na wyprawę wojenną, uzbrojone w strzelby i rohatyny. Gajowy albo stanowniczy, gospodarz łowów, prowadził myśliwych na upatrzony ustęp, gdzie znalazł gniazdo *blociarza* albo *smolaka*, jak jeszcze nazywano dzi-

ków, według miejsca pobytu, lub sposobu jego zatrudnienia. Po przesmykach i ścieżkach, na około kniei stawiali strzeleny. Stanowiska te wprzód już także wyznaczał gajowy. Rozstawianie tych straży odbywało się zwykle w największej cichości, bo dzik miał nietylko bystry wzrok, ale i słuch doskonały; najmniejszy szelest, albo nieostrożność, ostrzegały go o niebezpieczeństwie, i odyńciec wtedy opuszczał swoje łóżysko, uchodząc przed strzałami. Zajawszy wyznaczone stanowiska, myśliwi udanym głosem sowy, od którego zwierzę się nie płoszy, przywoływali dejeżdżących z psami, którzy zaczajeni, konno, z kordelasmem u boku i sztucem nabitym przybywali natychmiast. Polowanie wtedy zaczynało się, psy straszły dziką, który wypadał z legowiska i miotał się straszliwie. Byłto obraz prawdziwie małej, systematycznej wojny podług wszelkich przepisów sztuki. Strzelcy musieli bronić, każdy swojego stanowiska, aż do końca łowów. Wymagano od nich doświadczenia i mężstwa. Strzał nietrafny mógł śmierć przynieść. Bywały przypadki, że kula zeslizgnęła się po *piórach* dzika, i rozdrażniła go tylko lekkim draśnięciem. Odyńciec rozjuszony rzucał się wtedy prosto na strzelca. Jedynym środkiem ocalenia, było wtedy zemknąć przed postrzelonym dzikiem w którąkolwiek stronę, albo przypaść brzuchem i twarzą do ziemi. Odyńciec albowiem biegł zwykle prosto przed siebie, a kiedy stary i kły miał jeszcze zakrzywione skutkiem wieku, przytomność umysłu mogła ocalić myśliwca.

Wszystkie te szczegóły polowania na odyńca, Polsce tylko właściwe, bardzo zajmują. Opisywali łowy polskie i nasi dawni myśliwi i cudzoziemcy. Mybysmy jednak wdzięczni byli Regnardowi, żeby nad tym przedmiotem szerzej się rozpisak: ile z niego samego zwiastować możemy, nasz poeta lubił także zabawkę w polu i w lasach ze strzelbą.

ROŻNE OWADY W SZTUCE LEKARSKIEJ UŻYWANE.

Zpomiedzy owadów w sztuce lekarskiej używanych zasługują na uwagę szczególnież różne ga-

tunki *Kantarydy*, *Lidzika*, *Oparzyka*, *Biedrzanki* i *Krzyżaki*, które właściwie do oddzielnej klasy

Pająków należą, a które dotąd leżono do owadów. Powiemy tu obszerniej o ważniejszych pod względem lekarskim gatunkach wymienionych rodzajów, których wiernie wyobrażenia widzieć można na załączonej kolorowanej tablicy.

W klasie pająków odznacza się obyczajami i umiejętnością *Krzyżak właściwy*, *epeira diadema*, od którego cały rząd dostał nazwisko *prządek*, a którego już zapowiada jego biegłość w swej sztuce. Figura I przedstawia samca, a fig. 2 samicę. Pająk ten różni się od swych współbraci szczególniejszemi, że na wierzchu grubego tułowia ma wyraźny, jasniejszy od koloru ciała krzyż, składający się z białych lub żółtych plamek. Powszechnie on jest znany w Europie, zaczawszy od Hiszpanii i Włoch, aż daleko na północ w Norwegii, Szwecji i Rosyji; wszędzie, choć niesłusznie, lud obwinia go o truciznę, lubo pod tym względem zarzucić mu chyba można jadowitość, ale nierównie mniejszą niż pszczołom lub osie, a nawet podobno słabszą niż komarowi. Samiec, jak widać na rycinie, jest daleko szczuplejszy od samicy.

W sposobie życia i w zatrudnieniach tych zwierząt spostrzec można dużo osobliwości, które wielu już badaczy uważa na siebie zwrócić. Przypatrywać się im tylko trzeba tam, gdzie najwygodniejsze dla swego pobytu i swego przemysłu znajdują miejsce, gdzie obyczajem przeczornych myśliwców, najpewniejszego spodziewają się obłowy, gdzie najwięcej przeciągają owady, mianowicie muchy: na ścianach, szczególniejsi obróconych ku słońcu, w budynkach, mianowicie opuszczonych lub rzadko przez ludzi zwiedzanych, w oknach, otworach, któremi muchy przelatują, między suchemi gałęziami drzew, w lasach i zarostach; wszędzie gdzie sięć pionowo można rozciągnąć, gdzie znajdują się komary i inne drobniejsze owady, a szczególniejsi najulubieńsza ich zdobycz muchy, lubo częstokroć i większym od siebie chrząszczom nie gardzą, i chętnie go w swęj matni wikkają. Sieć jest u tego pająka narzędziem do zwykłych zatrudnień, i do utrzymania życia.

Ciekawy jest sposób, jakim krzyżak tka i rozwiesza swe sieci w obranem miejscu, gdy je dogodne znajdzie: przyciska tylną część tułowia, na której jest trzy pary brodawek czyli kądzielników, do punktu, w którym chce mieć uwiązany początek swęj przedży; spostrzedz wtedy można, jak

kądzielniki wydzielają z siebie dwie różne cieczce: z jednéj z nich tworzy się właściwa przędza, nitka pajęcza, a druga służy do przylepiania tęg nitki gdzie potrzeba. Dosyć jest u niego chcieć tylko, a snuć się za nim będzie, gdzie się ruszy, nic, której początek do stałego punktu przyklei, i która dla niego jest nie nicią, ale linką, tak mocną, iż ciężar jego zawsze z pewnością utrzyma. Lubo każde zadanie nie będzie trudném dla tkackiej biegłości krzyżaka, zdaje się przecieć, że nie lekomyślnie ale z pewną rozważą postępuje w wyborze miejsca na rozstawienie swęj sieci; zwiedza ją w różnych kierunkach wpród nim się weźmie do roboty, a wtedy już robi na pewno, że się mu uda dzieło, którego plan obmyślił.

Z różnych przypadków, w jakich krzyżak lubi rozpiąć swe sieci, przytaczam jeden, którego byłem świadkiem. Chodziło o rozciągnięcie nici, i następnie utkanie siatki w pośrodku, między dwiema przeciwnemi ścianami, a pulapem i podłogą pustęj, suchej stajenki, w której leżało trochę rozestanej, grubéj, potarganej słomy. Zdawało się, że przechodzący się tu i owdzie po pulapie nasz przemysłny tkacz, rozważył najprzód miejsce i kierunek rozwinięcia sieci, i pewno szukał punktu, z którego spuścić wypadało prostopadłą, jako główny zwykle zakład budowy; upatrzywszy go na środk pulapu, i pończatek linki przyczepiwszy, szybko, już dalej pracował. Spuścił się prędko, pionowo na dół, linkę za sobą snując, i właśnie trafił na koniec grubego i najwyżég do góry sterczącego żdzbla słomy, do którego ją, dobrze wyciągnąwszy, przymocował. Nie można było inaczej mniemać jak tylko, że wpród wynalazł na pulapie punkt, z którego spuszczone prostopadła nie minie upatrzonego na podłodze żdzbla słomy. Krótko się zabawiwszy na dole, windował się spieszenie po swęj linie, jak po drabinie do góry, sądziłem, że pójdzie z powrotem na pulap, on zaś, wyłazszy, może do trzech łokci w górę, to jest do połowy wysokości stajenki, zatrzymał się, obrócił naokoło linki, i dalej ruszył do pulapu, ale teraz już pokazała się od swęj stacy druga za nim linka. Wybiegłszy na pulap, nie zatrzymując się, pobiegł po nim do ściany, po tęg spuścił się znnowo do połowy wysokości stajenki, tu się zatrzymał, obrócił kilka razy w miejscu, manewrując przytém nogami. Ciekawy byłem celu tęg przechadzki.

Przypatrzywszy się bliżej, ujrzałem linkę poziomą, od środka linki pionowej wyciągniętą do ściany, na której znajdował się pajak. Łatwo już było odgadnąć co dalej nastąpi. Teraz, najkrótszą drogą, przesunął się po linie poziomej do linki pionowej, chwilkę na jej środku zabawiwszy, znowu pobiegł do pułapu, nową linkę za sobą snując, dalej na przeciwną ścianę, po której spuszczywszy się do punktu odpowiedniego przedłużeniu pierwszej linki poziomej, zastanowił się, zakreślił w miejscu, pomanewrował jak na ścianie przeciwniej, i ot pokazała się trzecia linka czyli druga pozioma, wyciągnięta zupełnie w prostym kierunku przedłużenia pierwszej poziomej; utworzył krzyż, którego, rzecz dziwna, wszystkie cztery ramiona znajdowały się ściśle na tej samej płaszczyźnie. Był to rzucona osnowa przyszłego koła, którego środkiem miało być przecięcie się dwóch głównych linek. Ileżto jeszcze pozostawało wyciągnąć promieni przyszłego koła, ile rozciągnąć osnowy między głównymi czterema promieniami w znacznej od ich wspólnego środka odległości, dla przytwierdzenia końców reszty promieni, których potem naliczyłem dwadzieścia i jeden, ile to było jeszcze biegania na wszystkie strony! A przecież utkanie i zapierzenie, podobnie jak widać na rycinie, obszernego do dziesięciu cali w średnicy koła, ukończyło się w czasie niespełna jednej godziny. Zaplatanie szczególniej koła szło nader zręcznie i prędko. Po wyciągnięciu wszystkich, regularnie się rozchodzących promieni, przybył krzyżak do punktu ich zejścia się, przyczepił w nim początek nitki, i dopiero, jakby koziołkując, w dziwnie regularnych manewrach, obochodził go po linii spiralnej snując za sobą nitkę, i przytwierdzając ją wpoprzek do każdego promienia.

Tak skończywszy swoje koło, czasem jeszcze przegląda jego części i poprawia robotę, gdzie niedosć jest wykończona; zdarzy się niekiedy widzieć nie widelkowato między promieniami wyciągniętą, pewno dla umocowania za słabiej osnowy lub chybionego rozmiaru odległości.

Nie mniej ciekawy jest sposób jak używa tej sieci do łowów, i jak czycha na zdobycz; zawsze bowiem obiera do jej rozpnięcia takie miejsce i kierunek, w którym najpewniej przeciągać będą muchy. Usiadłszy w samym środku koła, lub gdzie na ustroniu ukryty w kącie, w szparze albo w umyś-

nie zbudowanej kryjówce, czeka cierpliwie aż się co uwikła, co albo spostrzeżga bystrzym okiem, albo dowiuduje się natychmiast ze drgania siatki, której choć jedną nitkę ciągle ląpką trzyma. Gdy mucha, komar i t. p. wpadnie, i chcąc się wyratować, sić poruszy, wypada na nią, osnuwa pajęczyną żeby się nie wydobyła, lub drażni ją i straszy, żeby miotając się, jeszcze bardziej uwikłała się; i potem ją zwykle ssie. Przez dzień, za pogody, siedzi zwyczajnie w środku sieci, przez noc i gdy deszcz pada lub burzliwe jest powietrze, kryje się na ustroniu.

Lubo krzyżak lubi ciepło, nie jest jednak zbyt czuły na zimno, widzieć go jeszcze można w październiku pracującego. Zresztą jest bardzo delikatny, najmniejsze ugniecenie zabija go.

Między samcami a samicami, tak co do liczby jako i wielkości, znaczna zachodzi różnica, między 10 samicami, gdzie wiele jest tych pajaków, ledwo widać jednego samca, którego tułów jest daleko szczuplejszy od tułowa samicy, i zdaje się nawet, że samiec nie ma przyrzędu do przedzenia, dla tego zawsze tu i owdzie biega. Samce zwykle zbliżają się do samicy od maja aż do września, wybierając się muszą na te odwiedziny bardzo ostrożnie, a po odbyciu ich w nader dziwny sposób, uciekają bardzo zwinnie, żeby swęj grzeźności u srogięj samicy życiem nie przypłacił. Samica znosi w jesieni żółte, okrągłe jajka w jajowaty, żółtawy worceczek utkany umyślnie na ten cel z mocnych nici, i przywiązuje go do ściany lub składa gdzie w szparze, żąda na wiosnę wylega się mnóstwo małych pajęczków. Z początku są one jasno-żółte, bardzo miękkie, wątłe, i dopiero po kilkakrotnem wylegnięciu stają się podobne do swęj matki, fig. 2. — Lecząc młoda rodzina bardzo krótki czas po wylegnięciu razem żyje; albowiem pierwsza potrzeba pożywienia daje im powód do wzajemnej bratobójczej napaści, przez którą zwykle część ich ginie, i bywa hasłem dla pozostałych do rozpierzchnięcia się na wszystkie strony; odtąd każdy na swoje rękę prażyć i robić sieci zaczyna. Z początku robota idzie bardzo nieporządnie, potem coraz lepiej, koła coraz większe i regularniejsze.—

Krzyżak łowi i niszczy mnóstwo much i tym podobnych owadów, i przeto jest bardzo użyteczny; wymiatający ze stajen i obór pajęczyny i pajaki, samocheący ułatwiają w nich pobyt dokuczliwym

muchom, które zwykle już sam widok mnóstwa pajęczyny odstrasza. — Chciano także pomnożyć korzyści z tych pajaków użyciem ich przedży podobnie jak jedwabiu; kiedy atoli przekonano się, że potrzeba było 663,522 krzyżaków do uzyskania funta przedży, i gdy poznano jak trudno byłoby wyhodować taką ilość tak drapieżnych zwierząt, porzucono tę pajęczą spekulację.

Co do użytków pajęczyny w medycynie nadmieniamy dawniejsi lekarze, Baricellus, Lachner, i inni o jej skuteczności na febrę przerywane; niektórzy także z nowszych, jak np. Hiller i Horn, uważali ją nawet za dzielniejszą od chinu; pomyślnie też skutkować miała na kureze, i zalecają aby oczyszczyć i otrzepawszy z kurzu, dawać ją na febrę i kurez, ze świeżem masłem na chlebie lub z sokiem lukrecyi pomieszaną. Wiadome jest wreszcie użycie pajęczyny do zatamowania krwi z ran.

W rodzajach *Kantaryd*, czyli tak zwanych *Much hiszpańskich*, wiele jest gatunków używanych w sztuce lekarskiej. Najpospolitszym z nich jest *Kantaryda pospolita*, zwana także *Muchą hiszpańską*, fig. 3, 4, 5, która nie tylko właściwa jest krajom południowej Europy, jak dawniej sądzono, ale zaczawszy od Hiszpanii i Włoch, rozciąga się, lubo w mniejszej ilości, na Francją, Niemcy, aż do Szwecyi, jak również drugą stroną na Węgry, Rossyą aż do Syberyi. Patrząc nań z wierzchu, widzimy tułów, pokrywy skrzydeł i kosmatą głowę, zielone, złocisto polyskowne; środek głowy zakłęsły, różki nitkowate, z jedenaśtu członków składające się. Jak wszystkie tegoż rzędu owady, mucha hiszpańska żywi się sokami roślin, przebywa szczególniej na jesionie, na różnych gatunkach wiciokrzewu, ligustru, bzu włoskiego a nawet na bzie pospolitym, na klonie, czasami na topoli i na róży. Lubi szczególniej młode listki, ale i do starych przywyka, a w większej znajdującej się liczbie, objada wszystkie, tak iż pozostawia tylko nagie gałęzie; w niedostatku pokarmu, zjada nawet ogonki, żeberka liści i ogryza młodziociane pędy. Lubi ciepło i blask słoneczny; dlatego najżywszą okazuje się w godzinach południowych, a nie oddala się z miejsca swego pobytu.

U nas zjawia się na początku czerwca, i pokazuje jeszcze w lipcu. Gdzie ich wiele jest, czuć dają już zdaleka woń odrażliwą, im właściwą. Samec rozeznają się między samicami większą

żywością i zakrzywionemi różkami. Samica, znieś mając jaja, szuka, macając różkami i mackami, dogodnego na ziemi miejsca, grzebie dołek, składa w nim kupkami jaja i przykrywa je ziemią. Z tych siarzysto-żółtych, podługowatych jaj, we 3 lub 4 tygodnie wylęgają się jasno-cytrynowe poczwarki, których dalszych przeobrażeń jeszcze nie uważano.

Już od dawnych czasów, mianowicie w Hiszpanii, zład poszło tego owadu nazwisko, używano ich na wizykatorye. W tym celu zbierają się, i zasuszają w zamkniętych naczyniach, strzegąc aby się nie pokruszyły. Głównym ich pierwiastkiem jest istota zwana *kantarydyną*, pecherz na ciele wzdymająca, którą jednak raczej na miękkie niż na twarde miejsca na ciele przykładają się. Kantarydy najprzód skórę na ciele czerwienią, potem ją wzdymają; wewnątrz, w małych ilościach zażyte, obudzają działalność błon szluzowych. Wewnętrzne zresztą użycie na tyfoidalne gorączki, na wściekliznę, na wodną puchlinę, na choroby urnowe, chroniczną podagrę i dolegliwości nerwowe, bywało częstokroć zbawienne, ale zawsze wymaga wielkiej ostrożności. Zewnętrznie służą kantarydy do miejscowego zaczerwienienia, podrażnienia skóry, jako środek odcinający w gorączkach, zapaleniach, reumatyzmie i t. p., przykładane w plasterze lub nacierając ich tynkturą.

Kantaryda czerwono-głowa. *Lytta ruficeps* fig. 6 czarna, ze rdzawo-czerwoną głową, znajduje się tylko na wyspie Jawie, Sumatrze, i tam, dla swęj nadzwyczajnej dzielności, bywa używana podobnie jak u nas mucha hiszpańska.

Kantaryda olbrzymia. *L. gigas*, fig. 7, której oczyną są: Gwinea i Wschodnie Indyje, a sposób życia niewiadomy, jest ciemno-fioletowego koloru, z czerwoną na spodzie gorsetu plamą. W ostatnich czasach sprowadzają ją w handlu jako wschodnio-indyjską kantarydę, która sprzedawana pod nazwą muchy hiszpańskiej błękitnej, skutkować ma prędzej i silniej od kantarydy pospolitej.

Lidek trypłamiasty, *Lydus trimaculatus*, fig. 8 mieszkawiec Węgier, Włoch, południowej Rossyi i Wschodu, jest cały czarny z brunatno-żółtawymi pokrywami, na których ku przodowi widać mniejszą, podługowatą, ku tyłowi zaś większą, przepaskowatą, czarną plamę. Sposób życia niewiadomy; używa się w południowej Europie podobnie jak mucha hiszpańska, na wizykatorye.

Oparzyk cykoryowy, *Mylabris cichorii*, fig. 9, bywa $1\frac{1}{2}$ cala długi, z czarnemi skrzydeł pokrywami, na których przodzie po dwie brunatno-żółte plamy, w tyle zaś po dwie brunatno-żółte, ząbkowane przepaski. Ojczyzną Indyj Wschodniej i Chin; sposób życia niewiadomy. W Chinach używają go tak samo jak u nas kantarydy.

Oparzyk kapski *M. Sidae*, fig. 10, podobny do poprzedzającego, tylko wysmuklejszy. Przepaski na pokrywach ma głębiej ząbkowane, czerwone. Znajdowano go na przylądku Dobrzej-Nadziei; nadmieniam się tu o nim dlatego tylko, że w wielu pismach mylnie uważają go za kantarydę chińską.

Rodzaj *Biedronka* czyli *Slonka*, *Coccinella*, składa się z gatunków po największej części używanych w sztuce lekarskiej. Owad ten właściwszy jest krajom umiarkowanym niż ciepłym, i u nas wiele jest gatunków z tego rodzaju. Napotkać je można na wszelkiego rodzaju roślinach, tak drzewach jako i krzewach; w ogrodach najczęściej znajdując się na marchwi i kartoflach, w polu zaś na wyce, grochu, owsie i życie, i z powodu, że niszczą mszyce, uważają się za najpożyteczniejszy owad dla ogrodów i lasów. Chrząszczek ten lubią zwykle siadywać spokojnie po kilku razem na końcach łatorośli; zaś liszki ich są bardzo żywe, ruchawe, i ciągle łazą po liściach. Od napasici nieprzyjaciół zabezpieczyła je natura bardzo wypukłemi i gładkiemi skrzydeł pokrywami, tak iż chwytane będąc, łatwo się wymykają, ile że wtedy i nogi i różki kryją pod też pokrywy, udając jakoby były martwe, a przystęp z każdego stawu nóg sączą kroplę ciemno-żółtą, podobnie jak opium woniejącą wilgoci, po której wyschnięciu pozostaje lśniąca, gorzka masa. Biedronki widzieć się dają prawie we wszystkich porach roku; trwają nawet przez zimą, a niekiedy pokazują się i w tej porze w miejscach słońcem ogrzanych. Dlatego mnóstwo się ich pokazuje zaraz w początkach wiosny. Samice znoszą swe ciemno-żółtego koloru jajka (według różnych gatunków od czerwca aż do sierpnia) w kupki na korze i na gałązkach drzew, tudzież na liściach i łodygach ziół, wyległe z nich sześcionożne, lancetowatego kształtu liszki odznaczają się właściwym sobie sposo-

bem życia, gdyż ich pożywieniem nie są istoty roślinne, jak wiele podobieństwa mających z nimi liszek złotnika (*Chrysomela*), ale same mszyce. Chwytają je bardzo zręcznie przednimi łapkami, przytrzymując sobie przed pyszczkiem i gryzą; czasem większe liszki zjadają mniejsze. Gdy nadejdzie czas przemiany, liszka przykleja się do liścia, a w 6—10 dni wychodzi z poczwarki chrząszczyk. Poczwarki widzieć się dają najwięcej przy końcu lipca i w sierpniu. — Swemi drażniąciami lekarskimi własnościami, nieco do kantaryd podobnymi, wszystkie się zalecają, najwięcej jednak cenione bywają czerwone z czarnemi kropkami, bo zwykle ich bywa najwięcej, i są większe od innych gatunków. — Najpospolitsze u nas bywają:

Biedronka siedmiokropkowa, *Coccinella septempunctata*, fig. 11, której skrzydełka z tyłu tępo się kończą i upstrzone są siedmiu kropkami.

Biedronka Argus, *Coccinella ocellata*, fig. 12, na której pokrywach czarne kropki otacza jaśniejszego koloru obwódka.

Biedronka dwukropkowa, *Coccinella dispar*, fig. 13 i 14, ma kształt ciała raczej jajowaty jak kulisty, boki gorsetu białe. Pokrywy skrzydłowe tej biedronki bywają pospolicie czerwone, z dwiema czarnemi kropkami, niekiedy czarne z czterema lub sześcioma czerwonomi kropkami.

Użytki z biedronek w ogólności, i z wymienionych wyżej gatunków, dawniej miały większą niż dziś wartość. Przykładają je tylko zewnątrz i to świeże, dlatego przechowują je żywe w podziurawionych, z trochę kończyn pudełkach, gdyż ostrą ich wilgoć z utratą życia ulatnia się. Zgniecione w palcach posmarowawszy dziąsła, uczuwa się palenie, ślina mocno płynie, a niekiedy trzymują, że się potem czuje przyjemny chłód. Najpierwszy zalecał je doktor *Hirsch*, i używał na reumatyczny ból zębów. Według *Sauter'a* służą także mają na inne dokuczliwe przypadłości nerwowe. Robi się z nich tynkturę, mocząc 60—80 świeżo rozartych biedronek, przez tydzień, w jednej uncyi alkoholu, który się potem filtruje; tej tynktury używają do pocierania dziąseł w razie bólu zębów, a skutek ma następować takż po użyciu żywych chrząszczyków.

— OCZEKIWANY KOMETA.

Od niejakiego czasu świat uczony wygląda niecierpliwie zjawienia się wielkiego komety. Zachodzi wszakże niezmienna różność zdań co do oznaczenia chwili pewnej, kiedy on się ma na niebie ukazać. Przyczyne tej niezgodności stanowi trudność obrachowania ścisłego opóźnienia, na jakie wpływ planet większych naraża komety, zmuszając je do zboczeń z drogi zwyczajnej i oznaczonej. Ciało przyciąga ciało; kometa zatem sunąc się około planety, doznaje tego przyciągania i opóźnienia, w miarę względnej odległości i wielkości obojga ich. Że kiedyś wszystkie te wpływy przeszkodowe dadzą się dokładnie obrachować i ściśle oznaczyć, o tém wątpić nie może nikt, kto jakiegobądź powziął pojęcie o potęgach nauk matematycznych. Człowiek siedzi sobie przy stoliku, z oczyma w dół wlepionemi, i przy pomocy jedynie pióra, papieru i cyrkla, wyrachowywa i ogłasza drugim, gdzie, w którym miejscu, znajdował się przed stu laty jakiś błędny kometa, i gdzie, w którym punkcie, znajdzie się znów za sto lat, kiedy nań wnuki nasze patrzeć będą. Praca tego rodzaju wymaga takiej dokładności wykonania, tak drobniagowej uwagi na najmniejsze szczegóły, że dziwić się nie można, iż niekiedy muszą się do niej wkładać błędy, a skutkiem tych, przepowiednie nieco z prawdą się mijają. W dochodzeniu jednakże samych tych błędów, lub przyczyn niezgodności wyrachowań z rzeczywistością zjawiskami, leży droga do odkryć nowych, do prawd nieznanych.

Kometa, którego dziś wyglądamy uczeni, jest to ten sam, który się w roku 1264, a później znów w 1556 ukazywał oczom mieszkańców ziemi. Przedział czasu między dwoma temi peryodami zjawienia się, łatwo można obrachować; ale toby nas do niczego nie doprowadziło, i bynajmniej nie nauczyło nas, kiedy nastąpi nowe zjawienie się jego; przyczyna bowiem i miara opóźnienia, wcale są różne w dwóch tych wędrówkach jego po przestrzeni. Wszyscy astronomowie w Europie, zajęli się od niejakiego czasu badawczą pracą nad tą ciekawą gałęzią poszukiwań naukowych; miłośność własna nawet odgrywa w tym przedmiocie niemałą rolę, bo ileż chlubny dla tych, których wyrachowania

okażą się najbliższe prawdy, czyli innemi mówiąc słowy, ileż chlubny dla kraju, którego uczeni najwięcej dowiodą biegłości i głębokości w matematyce.

Anglia, Niemcy, Niderlandy i Francya z zapętem wstępują w szranki spółzawodnictwa. Dotąd nie wiedzieć nie można, komu przypadnie chlubny wieniec zwycięstwa. Mamy tylko tymczasowo podawane nam wiadomości o zajęciach i pracach astronomów niektórych puszczających się na te kometowe gonitwy. Nader ważne i ciekawe w tym względzie szczegóły, zawiera list pana Hind, ogłoszony w londyńskim *Times*, w którym on opisuje rezultata, do jakich doszedł astronom Romme w Niderlandach. Załączamy tu w skróceniu treść tego listu, ważniejszą i ciekawszą dla ogółu pragnącego oznajmić się nieco z tyle zajmującym przedmiotem.

Cały traktat pana Romme drukowany był w pamiętnikach królewskiego instytutu nauk w Niderlandach. Jest on wypadkiem długiego i pracowitego ciągu wyrachowań czynionych za pomocą najnowszych metod przez tegoczesnych matematyków zalecanych.

Chcąc przepowiedzieć chwilę ukazania się komety obiegającego po eliptycznej drodze krzywionej wpływem planet, potrzeba koniecznie znać ściśle chwilę jakiegos wypadku odpowiednio do epoki dawniejszego ukazania się tego komety; (jak np. chwilę poprzedniego jego perihelium), a tym sposobem wiedzieć będziemy jakiego peryodu (czyli przeciągu czasu) kometa potrzebuje na odbycie wędrówki swęj około słońca, przypuszczając, że wszelkie wpływy planet ustały nań działać od owęj chwili. Kometa, o którym tu mówimy, obserwowany był w 1264 i 1566 roku, i interwał między przejściem jego przez perihelium w owych latach wynosi 106,567 dni, czyli 291 $\frac{1}{4}$ lat; ale to nas nie zgola nie naucza o długości peryodu potrzebnego na opisanie elipsy odpowiadającej perihelium w r. 1264 i 1566, gdyż siły i wpływy ciał planetowych, sprawują zboczenia, i wliczone być muszą w ów znany nam przeciąg czasu. Chcąc zatem oznaczyć chwilę przyszłego powrotu do nas



komety, musimy wprzód obrachować o ile obce wpływy mogły przyspieszyć lub opóźnić bieg jego w latach między 1264 a 1556 r., i zastosowawszy to do powyższego peryodu, wypadnie nam czas zwrotu komety w chwili przejścia jego przez perihelium. Doszedłszy do tego, będziemy mogli wyrachować o ile peryod obrotu komety zwiększy się lub zmniejszy, skutkiem wpływów planetarnych, aż do obecnego czasu, i tym sposobem oznaczyć przybliżenie chwili pojawienia się nam jego na nowo. Taką metodę przyjął p. Bomme, który dokonał tych obrachowań podwójnie: raz na danych Halleya, które znajdują się we wszystkich katalogach astronomicznych, — a powtórnie na zasadzie danych, ogłoszonych w „*Astronomische Nachrichten*” profesora Schumachera, w „*Comptes Rendus*” francuzkiego Instytutu, w „*Notices*” angielskiego królewskiego towarzystwa astronomicznego, i w innych tego rodzaju dziełach. Drugie te dane doszły do rąk p. Bomme dopiero, kiedy już ukończył trudne i mozolne wyrachowania swoje, na zasadzie poprzednich, ale uważając ostatnie za dokładniejsze, wziął się do nowej roboty, i w znacznej części jej dokonał. Na tych danych się opierając i uwzględniając przyciąganie Jowisza, Saturna, Uranusa i Neptuna, między 1264 rokiem a obecnym czasem, a Wenerę i ziemię do r. 1556 — wyrachowaniem zostało, że czas potrzebny komecie do odbycia swego obrotu, do chwili przejścia przez perihelium w r. 1264 składał się z 110,644 dni, czyli 302 lat; a w r. 1556 z 112,561 dni, czyli 308 lat; że wpływy obce zmniejszają ten czas

o 2,166 dni, że zatem terazniejsza ewolucya potrzebować będzie 110,395 dni, czyli 302 $\frac{3}{4}$ lat, to jest, że kometa wróci do swego perihelium 2 sierpnia 1858 r., i bieżąc będzie po elipsie, której obieżenie zajmie mu peryod 112,781 dni wynoszący. Na zasadzie zaś danych Halleya, obrachowując te stosunki, przejście przyszłej komety przez perihelium wypada na 22 sierpnia 1860 r.

Tak więc waięś możemy na pewno, że jeżeli prawdziwe żywy drogi komety w 1556 r. znajdują się w granicach obrachowań dawnych Halleya i nowszych astronomów, kometa pokaże nam się niezawodnie między rokiem 1858 a 1860. Główną przyczyną różnicy w wypadkach i tej niezgodności wyrachowań, a zatem i niepewności, jest różność zdań co do oznaczenia położenia osi większej w roku 1556. Halley oznacza perihelium na 278° 50' długości, kiedy p. Hind mieści ją na 274° 15' długości, dając jej zboczenie o 4° 35'. Spędziwszy lat wiele na mozolnej pracy, nad oznaczeniem prawdziwej orbity, p. Hind sądzi, że nie może się mylić o więcej jak o 4°, to jest o lat 2 w czasie: jeśli więc nie za 6 lat od obecnej chwili, to za 10 bez żadnej wątpliwości powitamy starego komętę odwiedzającego nas po długiej podróży. Dobrze i o tym wiedzieć: nie lękajmy go się więc, jak przyjdzie, i nie wyprowadzajmy z niewiary jego odwiedzin strasznych jakichś prognozyków i przepowiedni, dla losów biednej naszej ziemi, regularnym spacerem krążącej około swego słońca, i niepytającej o nic więcej.

POŁUDNIOWA AMERYKA.

Cały obszar ogromnego lądu, wysp gromadami obkoczonych, od trzech dopiero wieków odkryty, i oddany na pożytkowanie człowieka *par excellence*, pana świata, za jakiego się ma Europejczyk; cały ten obszar lądu, przy którym Europa drobna się wydaje okruszyną, znany dziś pod nazwą Ameryki, stanowi ciekawy i ważny ze wszech miar przedmiot badań i nauki dla umysłu każdego, ko-

mu nieobca choć jota czułości na losy świata i rodu naszego. Kto choć kiedy niekiedy zdołał wnieść żdźbło swęj myśli do wysokości przeznaczenia i dziejów tego padołu, zdołał uchwycić choć jeden dźwięk z tajemniczój wszechświata harmonii, ten w tętnach serca swego poczuć musi wyrwyające się echo za każdym wielkim, epokowym dla ludzkości wypadkiem.—Nieświadomy, mistyczny popęd wyż-

szych, dzielných umysłóv, na czele których króluję nieśmiertelny Kolumb, wykrył nam nieznana długo siostrę naszej połowy ziemi, zapoznał z nieznaną bracią, jęj plemionami. Niezbadańa ręka Opatrzności, jakby sama położyła węgielny kamień do wielkiego dzieła; celów jęj dokonywają drobne człowieka środki, a które on w swęj niemocy za ogromne dla siebie cele uważa. Chciwość materyjalnej potęgi, żądza bogactw nieposkromiona łączy dumną, starą Europę z młodocianym krajem antypodów; węzłami brudnego zysku, drapieżnego łupu zawiązuje i kojarzy stosunki, które wywołać mają nową epokę, nową postać życia w świecie całym, nowemi promiony z bogactw ognisko cywilizacji ludzkiej, szersze mi kręgi rozwieść jęj światło migoczące.

Mało jest w dziejach ludzkości wypadków, któreby tak ogromny, wszechwładny wpływ wywarły, jak odkrycie Ameryki; rozmiary tego wpływu niezmierzone, trwałe i stanowcze. Ile ciekawości i zagęścia wzbudzają niezwyčajne przygody dzielných żeglarzy, mężnych awanturników, co pierwsi przestronne tamtęj półkuli zwiedzili kraje i władzę mocarstw europejskich w nich ustalili; ile dziwić się przychodzi, to wytrwałości, to zaciętości tych ludzi, to okropnościom przerażającym pierwszych zetknięć obcych sobie plemion; ile gardzić jednymi, litować się nad drugimi, przerażać wściekłością żądz, i bezbożnych namiętności serca ludzkiego; tyle zaiste zdumiewać się trzeba nad ogromem zmian i przeobrażeń, jakie wynikły, skutkiem tych odkryć z końcem XV wieku, we wszystkich kształtach dawnego życia, w pojęciach, naukach, politycznej i moralnej postaci narodów. Wielkie bez zawodu napisalby dzieło, ktoby w najwydatniejszych szczegółach pilnie chciał zbadać te skutki i wpływy; przed kolosalnym tém zadaniem zbladłyby może pióra najświetniejszych koryfeuszów historyi.

Bujne w owoce dzieło systematu kolonialnego, wiedzione śród strasznych mordów i pożogi, skalane rozlewem tyłu krwi niewinnej, pod sztandarem szatańskiej żądzzy chciwości kroczące, w niedługim przeciągu czasu, gęstemi spłoty zwikłalo wzajemnie nici życia dwóch półkul. Po wielu bojach Hiszpanów, Portugalczyków, Anglików, Holendrów, Francuzów, toczonych między sobą naprzemian z niehumaną zawziętością; po nienitościwych, barbarzyńskich znęcaniach się znów

tych wszystkich nad nędznými, biednymi plemionami Ameryki, o których siedziły spokojne im chodziło; po tych świętnych, a chwilowych blaskach potęgi, jakimi lśniły naprzemian zdobywcze rządy, złupionemi skarby nowęj ziemi i na towar zmienioném życiem jęj nieszczęśliwych mieszkanców, zbagacane,—Ameryka powoli własném oddychać zaczyna życiem, i w pstręj gmatwaniu żywiólów napływowych sztucznej cywilizacji, z rodzimą pierwiastkowością życia, pod każdym względem dziś godny uwagi, szeroki zewsząd przedstawia widok.

Ludy rodzinne, przed najściem Europejczyków, w mnogich pokoleniach, w rozmaitych kształtach urzędzeń społeczńskich, i w różnem stopniowaniu cywilizacji zasiedlające rozległą przestrzeń Ameryki, ręką natury jakby na dwoje rozciętej, mało dotąd są znane. Pochodzenie ich i powikłanie szczepów, jako i dzieje nierozjaśnione jeszcze dla nauki; jakkolwiek w nowszych mianowicie czasach, pilnie zajmować się tym przedmiotem zaczynają uczeni. Ludy te w potomkach swych przechowują się po dziś dzień obok również rozmaitych charakterem i kształtami towarzyskimi osad europejskich, to już samoistnych, to zależńnych, w rozmaitych zostających stosunkach, i niejednokowej styczności. Nic ciekawszego zapewne, jak życie, zwyczaj i obyczaje tych niewyrodných dziedziców, starych, pierwotnych podan. Życie europejskiej gleby przesadzone na iskrzącą wszystkimi skarbami przyrody ziemię, krzyżuje się tam, z życiem zupełnie odmienném, swobodnie wyrosłóm śród tych niw goręćce niebom osłoniętych, olbrzymimi wodami, górami, roślinnością i wszelkimi tworamii bogatych, na które się tam siła natury wyteżyła. Spulchnionemu, zawiędnemu śród ciepłej wygody swego porządku, Europejczukowi, wszystko się wydaje w tém życiu dziwném, rażącym, prawie niepodobnóm,—tak wybitne wyskoki równie w fizycznej, jak i duchowej sferze objawów, oko jego co krok napotyka. Jeśli na północnej połowie tej pięknej ziemi, poczuć się godności swęj ukrzepiony duch ludzki, w wzniosłe wybujał kształty; to na południu, szczodra w swych darach natura tak potężnie i hojnie uposażyła siedzibę dla człowieka, że w rajskiej tej dziedzinie małej tylko uśnisiłości, i jakiej takiej z jego strony potrzeba stateczności, aby na najwyższym skali ludzkiej stanął szczeblu.

Zbliżmy się nieco do tej cudnej krainy, do której, od czasu jak Pedro-Alvarez-Kabral Portugalczyk, w r. 1500, przypadkiem wyrzucony został na brzegi, bezustannie zdążają roje śmiałych orężników, i żądnych złota zagorzałców, podniecanych uludną nadzieją, że dostaną się do owego błogosławionego Eldorado, gdzie, jak słychać, dzicy jej władcowie zamiast odzienia, złotym piaskiem ciało pokrywają, a dopełniając przepisów swej religii, pokilkakroć dziennie w świętych wodach je obmywają, by znów złocistą pokryć się powłoką. Obejrzyjmy się szybko w nią wokoło.

Jak północna Ameryki połowa wyniosła tworzy równinę wśród rozkonarzonych gór łańcuchów zaciśniętą; tak południowa jej część występuje na oceanie rozległym trójkątem, w łonie którego piętrzą się rozrzucone w nieładzie, gęsto, olbrzymie pasma. Od niezbyt dawnego czasu, ogromna ta połać ziemi stała się celem naukowych badań, i porządną, na moralnych, wyższych zasadach opartą kolonizacyi. Natura tak wspaniale odcehowała tę połowicę nowego świata, niezlazonomi dary w roślinnym i zwierzęcym jej państwie, tak wzniosłym i wielkim udarowała ją charakterem, że starsza jej, północna siostra, duchową tylko wyższością i ciągłemi na tej drodze postępy, równoważyła się z nią może. Przestrzeń Ameryki południowej zajmuje 350,000 mil kwadratowych, i ciągnie się od przesmyka Panama, aż do daleko na południe wysuniętego Cap-Horn. Potężny łańcuch gór Andów, przerzynający się aż na północ ciasnym językiem ziemi, i w Meksyku przyjmujący miano Kordylierów, wyniosłemi gęsto pokrywa ją wierzchołkami, z których najznajmniejsze: Nevado di Sorato 25,400 stóp wysoki, Illimani, Qualatieri, Chimborasso, Cayambe, Antisana, Copotaxi, Tolima, Pinchinea i t. d. Trzy główne rzeki strumienie, jak morza szerokie: Orynoko, Maranhon (r. Amazonka) i Llapata, królują ogromem nad mnóstwem innych mniejszych, które w naszej Europie za pierwszeństwo wielkości by uchodzili, równie jak i nad obfitym zapasem jezior - olbrzymów, żyzności ziemi udzielających.

Pod względem politycznego podziału, przestrzeń południowej Ameryki, rozpada się obecnie w następujący sposób: na zachodzie państwo Kolumbia, do którego należą Rzeczpospolita Vene-

zuela, Nowa-Grenada i Eskuador; państwo Peru, które się dzieli na Rzeczpospolitą południową i północną; rzeczpospolita Bolivia i Chili. Na wschodzie Guyana, którą się dzieli Anglie, Francuzi, Holendrzy, Brazylia i Kolumbia; cesarstwo Brazylijskie, dyktatorat Paragway, Rzeczpospolita Llapata z krajami związkowemi; Rzeczpospolita Oriental de P'uruguay zwana także Cisplatina, a dawniej Banda Oriental; — południowy zaś cypel zajmuje kraj wolny Patagonów i Ziemia ognista.

Ile w tych krajach bogatych dla historyi naturalnej nowości, ile dziwów to zachwycających, to zastraszających, tego wypowiedzieć niepodobna. Poodróżni na każdym kroku niebezpiecznych wycieczek w głąb tajemniczej tej dziedziny, napotykają widoki straszne, fantastyczne, majestatyczne, na których opisanie słów im nie starczy. Te dziewicze, stopą ludzką, a raczej szkodną ręką niektknięte lasy ogromne, z olbrzymich drzew złożone, wokoło których miliony pnących się roślin w fantastyczne owija się sploty, tysiącem kolarów i kształtów najcudniejsze przedstawiające oku dziwy — czyż same już, nie mówią dostatecznie o wrażeniach potężnych, jakie czekają tam zamorskiego przybyleca? Ziola, których liście 6 stóp długie i szerokie, zdobne po brzegach jaskrawym rąbkim, plawią się nadobnie na cichych wód zwierciadłach, wysterczając wspaniałym kwiatem śnieżnej białości z miliona listków złożonym, czyż mimowolnie nie naprowadzają ci na myśl owej cudnej, zaczarowanej w bajce krainy? Cała Guyana i Brazylia, a przedewszystkiem ta pierwsza, ściela się jednym, szerokim, we wszystkie, najwymyślniejsze wdzięki i tajnie strojnym ogrodem, gdzie żyć tylko i umierać człowiekowi, gdzie na świeżej, jakby błogosławionej ziemi owoc wszelki wyrasta bujnie, swobodnie, jak gdyby ta ziemia młoda, nowo nadana człowiekowi, wyjętą przez Twórcę została zpod owego przekleństwa, na jakie Adam sobie zasłużył, i przypominając raj dawny, posiadacza swego bez trudu, bez potu czoła z jego strony, obsypuje najwspanialszemi płody. — Opis szczegółów wybitniejszych i na główniejszą zasługujących uwagę, w każdym z wymienionych wyżej krajów, na które rozpadła się południowa Ameryka, chociażby jak najpobieżniej kręślony, szerokich zawsze wymagałby rozmiarów; ograni-

czyć się zatem musimy na kolejne obejrzenie tych wszystkich ciekawości, a obecnie oko nasze szczególniej na Brazylię zwracamy.

W ciemnych dziejach żeglarskich podróży i odkryć, na wszystkie strony rojami krzyżujących się po morzach, w końcu XV i w XVI wiekach, trudno dojrzeć kto pierwszy oglądał brzegi kraju dziś Brazylią zwanego od drzewa, którem od samego początku znaczny ztąd handel z Europą prowadzono, a które znaleźni tu dżicy mieszkańcy *brazil* mianowali. Bo któż doszedł w owych czasach mało piśmiennych, wśród tego zastępu zapalonych szpércarzy nowych krajów i bogactw, prawdziwiego odkrywcę tak mało znaczącego zrazu wybrzeża. Tylu tych dzieci losu, burz i walk, zaginęło w otchłaniach czasu i morza bez śladu i wieści, że nawet najpiérwszemu z nich wszystkich, co najstraszniejsze przeszedłszy koleje, przygody i cierpienia, największą ludzkości wyrządził przysługę, — kiedy mówię posagowej postaci Kolumba, tyle nawet sprawiedliwości się niedostało, aby ta cała część ziemi jego geniuszem nam podarowana, jego niezaprzeczoną własnością ze wszelch miar będąca, jego własnem, a nie obcém, czyjśm, niezasłużonem mianowana była nazwiskiem. O Brazylii tyle tylko nam wiadomo, że kiedyś w ekspedycyi do krajów już przez Hiszpanów dzierzonych, Hiszpan Janecz Pinzon, burzą zagnany dostał się tu, ale nie znalazłszy złota, opuścił te kraje i ruszył dalej. Później nieco Pedro Alvarez Cabral Portugalczyk, w wyprawie do Indyj Wschodnich, do których wskazał już drogę Vasco de Gama, a Portugalia całą duszą, że tak rzekę, się przełazi, również niepomysłnym wiatrem zagnany, wyładował na wybrzeża Brazylijskie, i zajął je na własność swego monarchy. Z dwóch stron słuszne roszczenia długo trwały, i krwawe wywołały boje między Hiszpanią i Portugalią, które nie ustały nawet po nakreśleniu linii granicznej, posiadłości ich od siebie rozdzielającej, przez Papieża Alexandra VI. Miłość tylko własna pobudzała Portugalczyków do zachowania pod władzą swą Brazylii, z której nie sobie nie robiła, bo złota w niej nie było, a oni nie więcéj żądać nie mogli, bo z Indyj Wschodnich tak piękne plony ściągali. Francuzi i Holendrzy także próbowali ustalić tam swoje osady, i wszyscy się między sobą bili, krwią cały kraj broczyli, a cały ciężar tych wzajemnych na-

paści i prześladowań spadał zawsze na tuziemców, których w niewolników obracali.

Kolonizacya zatem Brazylii pod wszelkim względem odróżnia się od wszystkich innych osad europejskich w Ameryce. Obszerny kraj ten nowego ładu, nie został ani prędko zdobyty, zawładnięty, ani zaludniony, jak to się stało z hiszpańskimi tamże posiadłościami; nie osiadła go ludność dzielna, jedyna, i nie wyniosła go do politycznej godności, jak to uczynili Anglicy, kładąc zasady owéj potężnej dziś Rzeczypospolitej Zjednoczonych Stanów. Brazylija wreszcie i tyle nawet nie miała szczęścia, co francuzkie w Ameryce posady, żeby jéj jaki taki od razu nadano ład, porządek towarzyski, i w stałą łączność z opiekuńcztwem i władztwem mocarstwem wprowadzono. Odkryta przypadkiem, kraina ta najzupełniej zaniedbaną, jakby porzuconą została, a kolonizacya jéj także przypadkiem jakoś tylko się przyjęła. Portugalczycy nie znaleźli tu, jak Hiszpanie w Peru i Meksyku, państw uorganizowanych, rolnictwa wykształconego, cywilizacyi dość posuniętej, gdzie istniejący już porządek towarzyski, łatwo dawałby sposobność wyciągania pożytków z całości i bogacenia się ze źródeł już otwartych. Nie znaleźli owych skarbów złota, które same jedynie do kolonizacyi Europejczyków pobudzały: duch téż przedsiębiorstwa, zawsze chciwy, samolubny, a mało na przyszłość oględny, inny zupełnie w owéj epoce odkryć wzięć musiał kierunek, i zwrócił się całkowicie na Indyje Wschodnie, które przez pół wieku przeszło zalewały bajeczniemi bogactwami male, nieznaczne dotąd państwo europejskie, i do wysokości pierwszorzędnéj potęgi go podniosły. Do Brazylii przybywała tylko ludność z wyrzutków społeczeństwa złożona, którą rząd opiekuńczy oddawał na nieograniczoną własność oficerom i awanturnikom, szukającym szczęścia na końcach świata. Ztąd téż Brazylija zawsze uważała się jakby za niezawisłą od nikogo, i w końcu XVII wieku kreolowie brazylijscy jak najuporniej przeciw Portugalii stawili czoło, kiedy w posiadłościach hiszpańskich dawny duch dzielnych zdobywców piérwiastkowych wygasł już zupełnie. Potomkowie po największej części skazanych zbrodniarzów, nieustannemi walki z krajowcami i pogranicznymi Hiszpanami do boju zaprawni, na plagi klimatu zahartowani; kreolowie ci zwarli się w gro-

małą dzielną, bitną, o prawo mało dbającą, która bez niczyjej pomocy, na własną rękę, przemożniejszych znacznie wrogów z granic kraju swego wyganiała, podróżami, i niezmordowaną czynnością źródła bogactw w metalach i w ziemi, coraz więcej dla siebie odkrywała, i dopiero potrzebą łączności z Europą i porządku towarzyskiego przynaglona, władzę rodzica swego, Portugalii, przynależała.

A siła niegdyś potężna tego mocarstwa, po niedługim trwaniu, całkowicie z czasem przelewać się zdawa, na to zrazu tak mało znaczenia mające jej dziecię. Dopóki Portugalia czuła się potężną, nie od Brazylii nie żądała, uwagi na nią nawet zwracać nie raczyła; wtedy dopiero, kiedy już ku upadkowi gwałtownie chylić się poczyniała, wyciągnęła ręce ku tej kolonii, której bogactwa, jak się okazało, wyrównywały bogactwom posiadłości zamorskich Hiszpanii, a nawet kto wie czy ich znacznie nie przewyższały. Skarby te jednakże przez kreolów zdobyte i pożytkowane, nie tak długo na uciechę i korzyść Portugalii posłużyły, jak owe Hiszpanii. Myny złota odkryto w Brazylii w pierwszej połowie przeszłego stulecia; od tej chwili dopiero władza rządu zwierzchniczego w całym kraju prawie uznana została, a w r. 1771 zajęto się objęciem pod jednolitą administrację całego obszaru. W pięćdziesiąt lat później ogłosiła się już Brazylija niezawisłą, i z zwierzchnictwem nad sobą mocarstwem, w daleko mniej ścisłych zostawała stosunkach, jak z innymi handlowymi narodami, a mianowicie Anglią, która niemal zupełnie źródła dochodów jej ku swęj korzyści zagarnęła. Odkrycie w r. 1728 pokładów diamentowych w rzecze Janeiro spowodowało przeniesienie w te strony stolicy z San-Salwador, które poprzednio uważane było za główny punkt osad tutejszych, i ztąd powstało dzisiejsze Rio-Janeiro.

Rio-Janeiro należy niezawodnie do najpiękniejszych, najpoważniejszych miejsc na świecie. Znać tam w około, że to nowy, świeżo do życia wywołany świat: roślinność tak wszędzie potężna, bujna, a zielona cudownie nad wszelkie pojęcie. Wjazd do miasta zatoką, nieco ciasny; po obu stronach jej uśmiechają się nadobnie rozkoszne wysepki, na wyskakujących ładach piętrzą się skał konczące łomy, których tło główne stanowi piękny, fantasty-

czny *Corovado*. Miasto samo, zwane zwykle krótko Rio, choć właściwie mówić się powinno: San-Sabastiano de Rio-Janeiro, rozgniezdziło się na lewym brzegu zatoki ujściem rzeki Janeiro utworzonej. Wstępu do tej stolicy wielkiego cesarstwa bronią dwa porty: San-Jose i San-Theodozio, na prost tych zaś w samym ich środku, ku przodowi, leży mała wysepka Lazen, również silnie warowna.

Od strony morza nadzwyczaj malowniczo wygląda miasto: tu go zdobią okazałe, gęste bukiety cienistych drzew, tam znów w szerokie, widne, rozplywa się place, ówdzie kryje się potulnieśród stromych skał rozpadlin, posłuszne planowi głównego architekta tych okolic — natury. Na wielu wysepkach porozrzucanych tuż w okolo właściwego miasta, mieszczą się klasztory i rozmaite gmachy w tak cudownych położeniach, jak gdyby poezya i smak nosobione, same wybierały je umyślnie. Jakkolwiek jądro niby stolicy stoi na stałym łądzie, większa jednakże część wielkich gmachów publicznych, jako: doki, arsenał i t. d. znajdując się na wyspach Gobernador i Calva.

Rio dzieli się na dwie części; na San-Sebastiano i Ciudad-Nuevo; do głównych w nim kościołów należą: katedra, San-Candetaria i San-Francesco di Paulo. Znajduje się tu również kolegium Jezuitów, stanowiące jeden z najokazalszych gmachów w całej południowej Ameryce. Teatrów dwa, nowy bardzo obszerny i wspaniały. Regularna komunikacja pakebotami z Anglią odbywa się dwa razy na miesiąc, i potrzebuje 40 do 45 dni czasu na przebycie przestrzeni od Rio do Falmouth; i napowrót tyleż. Głównym źródłem handlu są: cukier, skóry, szlifowane i oczyszczone drogie kamienie, olej i kawa. Herbatę uprawiano w Brazylii czas jakiś, ale niendawała się bardzo, zapewne więcej z powodu nieumiejętności obchodzenia się z nią, jak dla jakiegobądź innej przyczyny, i zaniechano jej. Stolica ta posiada obszerną bibliotekę, akademię sztuk pięknych, uniwersytet, kolegium morskie i wojskowe, muzeum, obserwatorium i ogród botaniczny, najpiękniejszy, najbogatszy i najokazalszy, jaki widzieć można na całym świecie, bo natura sama wszystko mu daje.

Całe cesarstwo Brazylijskie zajmuje trzynastacie razy przeszło tyle przestrzeni co Francja; wnetrzna granica jego dotąd zupełnie nieoznaczona i niewiadoma; i długo jeszcze zapewne nikt się

o wyznaczenie jej troszczyć nie będzie, gdyż przy nader rzadkiem ku tamtej stronie zaludnieniu, nikomu na tym nie zależy. Całe wybrzeże państwa składa się z jak najpiękniejszego kraju, wszędzie w żelazo bardzo obfite; góry Serra di Mar ciągną się przez środek ku północy wyniosłym pasmem, którego wierzchołki dochodzą 4000 stóp wysokości.

Za dowód niesłychanej żyzności gruntu w Brazylii, posłużyć może kawa, którą zaczęto tam uprawiać przed czterdziestu dopiero laty, a dziś już stanowi ona jeden z najgłówniejszych artykułów handlu wywozowego. W r. 1838 wyprowadzono jej za granicę 120 milionów funtów. Śmiało rzec można, że niema prawie ani jednego w całej przyrodzie, tak roślinnej, jako i zwierzęcej, tworu, któryby się nie znalazł na obszernej przestrzeni tego państwa, i pod najrozmaitszym jego klimatem. Dotąd jednakże na 150 wlok, jedna zaledwie dotknęta ręką człowieka. W okolicach Bahía, winogrona dwa razy do roku dojrzewają, jedno w czerwcu, drugie w grudniu. Podług ostatniego obliczenia, które odbywano w sposób bardzo dziki, ludność całego państwa ma wynosić 6 milionów, w której to summie mieści się półtora miliona przeszło niewolników; spisem tym nieobjęto wcale Indian koczujących dziko, lub osiadłych w wnętrzu kraju, którzy się dzielą na wiele przyjaznych i nieprzyjaznych pokoleń, i zliczyłoby ich było nie podobna.

Przyznać należy między wielu przymiotami pięknej stolicy amerykańskiego cesarstwa, i ten wcale nieposledni, że celuje doskonała w ogóle kuchnia, i jeszcze wyborniejszemu piwnie uprowadzaniu. Gastronomia poszczycić się tu może prawdziwymi kapłanami swoimi; wiele napojów pije się zmrożonych lodem, sprowadzanym z bardzo daleka, bo aż z północnej Ameryki. Główny plac miasta, zwany po prostu *Plaza*, leży tuż prawie nad brzegiem rzeki, z której wylądowanie niegodziwe, i dwa jego boki zajmują pałac cesarski i katedra. Pierwszy wygląda z pozoru zupełnie jakby na więzienie, pomalowany czerwono i złotem; druga gódnie mu bardzo odpowiada. Z drugiej strony wiją się brudne, zaśmiecone uliczki, po których gromady psów włóczą się samopas. Na środku owego placu wznosi się coś zakrawającego jakby na gołębnik, z którego dziur z każdej strony wycieka woda, jakby przypadkiem; — ale nie,

to umyślnie i dla ozdoby miasta! bo to ma być sztuczny wodotrysk; trzeba koniecznie o tym wiedzieć, żeby się domyslić. Po bokach mieszczą się sklepy, magazyny i t. d., a w samym rózku, gdzieś daleko schowany, niby wtłaczony się wyjrzyć śmiało naprzód, targ się odbywa. Wysoki dość mur ciemno pomalowany, z niebieską obwódką u góry, oznajmia światu, że po za nim coś tajemniczego się dzieje; ale proszę wejść wewnątrz, — coś to za bogactwo! Żeby to nasze gospodie widziały! Jezus Maryja! Co tam za moc przenajcudniejszych, przenajdziwniejszych ptaków, ptasząt i ptaszyn! Jakież mnóstwo zielonych, czerwonych, pstrych, i dużych i małych, i gadających i milczących, i wrzeszczących i śpiewających, Bóg wie nie jakich, papug! A co małp! i z białemi nosami, i z niebieskimi nosami, i ogromnych i drobniutkich, to przyswojonych i uczonych, to dzikich i jak lwy strasznych; owe do dzieciątka podobne, owe do diabła, a wszystkie obrzydliwe! A innych zwierząt i zwierzątek ani zliczyć. Sam Buffon żeby się tam znalazł w własnej osobie, ręczę, żeby musiał sobie dać pokój z wyliczeniem gatunków, i w rozpacz zawałoby tylko: *genus omne!*

Położenie stolicy względem całego kraju szczególnie bardzo wybrane; dawniej była tu tylko prosta wioszcyna indyjska, i dziwić się należy, że tak prędko to miasto wzrosło. Brazylija przeszła na monarchię ograniczoną w r. 1822. Władza wykonawcza oddana w ręce monarchy, prawodawcza zaś składa się z senatu i zgromadzeń deputowanych; pierwszą mianuje cesarz, drugą wybiera lud. Religia rzymsko-katolicka jest religią narodową, inne wyznania tolerują się, ale publicznie obrzędów swych odbywać nie mogą. Od r. 1822 zawięszli wzajemną zakradła się między Brazylią a Portugalią; obie dwie bowiem lękały się przejścia pod zawisłość jedną drugiej. Niespokojność z tego względu doszła do takiego stopnia, że cesarz ujrzał się zmuszonym do abdykacyi na rzecz syna swego; córce zaś dostała się Portugalia jako przyszłe uposażenie.

Był to niezawodnie jedyny środek zachowania w ręku swym obzernego tego kraju, i gdyby Hiszpania była tak samo postąpiła, to cała południowa Ameryka zostawałaby dotąd pod władzą monarchów wiodących ród od dawnych władców, a Hiszpania oszczędziłaby sobie i krwi i skarbów wiele, i nie stałaby się przedmiotem tak

zawziętych nienawisci i wzdardy, jak w tój chwili, na całym obszarze dawnych swych kolonij. Na czas małoletności króla ustanowiono w Brazylii rejencya. Pedro II objąwszy rząd, pojął za żonę córkę króla neapolitańskiego.

W kraju tak drobno zaludnionym, i gdzie komunikacya tak trudna, Rio-Janeiro przedstawia w sobie całą Brazylię, chociaż każda prowincya ma osobne prawodawstwo. Wprowadzono tu sądy przysięgłych do spraw kryminalnych, a niekiedy nawet i do cywilnych. Ośmset złotych polskich podatku od dochodu z własności, handlu lub pracy, daje kwalifikacyę do głosowania na wyborach. Mni- si, księża i członkowie wszelkich bractw lub stowarzyszeń religijnych, wyjęci są z pod prawa głosowania; murzynom zaś wolnym, służy ono na równi z innymi. Oskarżenia przed sądem, mają prawo do obrony publicznej. Wojsk w Brazylii bardzo mało, i te strzegą ciągle granic; mimo to jednak, stale utrzymuje się liczny sztab oficerów, którzy w razie potrzeby obejmują dowództwo nad pewnym rodzajem gwardyi narodowej, złożonej ze wszystkich mieszkańców od 18 do 45 roku życia. Obywatele sami mundurować się muszą do tój służby, rząd daje tylko broń i amunicyę. Policya jest bardzo liczna, a to mianowicie ze względu na niewolników, na których ciągle powinna mieć oko, ścigać zbiegłych, i właścicielom ich powracać.

Przed rokiem 1830, kiedy handel niewolnikami zniesiono, przybywało ich rocznie 40,000; teraz mimo zakazu, sprowadza się ich 11,000. Ponieważ zaś dowiedzioną i niezawodną jest rzeczą, że trzy czwarte przynajmniej nieszczęśliwych tych istot śmierć ponosi w drodze, to dotąd jeszcze 33,000 najwięcej wyprawia się ich na rok z Afryki. Najlepszy to dowód jak mało dobrego sprawili Anglicy blokując wybrzeża afrykańskie. Z całej ludności Brazylii Rio samo zabiera 250,000. W zamiennych czynnościach kursują głównie papiery; złoto i srebro stanowią towar, i stąd ciągle ulegają fluktuacyi. Dług publiczny jest nader mały w stosunku do dochodu, który obecnie wynosi 170 milionów złp. Siła morska niegdyś wcale znaczna, upadła najzupełniej.

Zatoke Rio de Janeiro odkrył w r. 1531 Marcin Alfons de Souza, ale nie założył tu osady, a wybrał na nią San-Vincente w daleko gorszym położeniu. W r. 1555 osiedli tu dopiero protestanci

francuzy, uciekający z ojczyzny przed przesładowaniem religijnem, pod dowództwem Villegaynon. Kolonia ta zakwitła dość szczęśliwie, trzymając się zrećnie w przyjaźnych stosunkach z tuziemcami. Pomysłny jej stan, obudził uwagę i zawiści Portugalczyków. Zebrawszy znaczne siły, uczynili wyprawę przeciw Francuzom i zabrali im wyspę Villegaynon od pierwszego założyciela osady nazwaną, zupełnie jednakże wypędzić ich nie zdołali, gdyż schronili się na wybrzeżu, i od krajowców przyjaźnie zasłonięci zostali. W r. 1564 dopiero udało się Euzebiuszowi de Sa wygnać stąd zupełnie Francuzów, i założyć miasto San-Sebastian, które później stolicą się stało, i od owego to czasu Portugalczycy silniejszą stopą stanęli w Brazylii, i władzę swą ustalać zaczęli.

W dawniejszych wiekach cywilizacya tego kraju nader zółtim postępowała krokiem, bo złoto i handel niewolnikami budziły tylko w ludziach namietności brzydkie, okrutne, i w żaden sposób wpływać nie mogły na uszlachetnienie i złagodzenie życia towarzyskiego. W ostatnich dopiero czasach, częścią lepszych kierunków niezawisłego rządu, częścią też skutkiem zetknięcia się bliższego z europejskimi narodami, oświata znaczne uczyniła postępy w Rio de Janeiro.

Za szczególną osobliwość tego miasta uważać się da to, że na ulicach jego, podróżny napotyka ludzi wszelkiego koloru i odcienia, jakie tylko pomysłić sobie można, i pstra ta mieszanina krzyżujących się i wijących w około twarzy, dziwnym wrażeniem zrazu przejmując. Mimo tak bogatę jednak różności, odcienia te barw ciała dadzą się rozdzielić, stosownie do charakteru ich, właściwie na cztery klasy: na tuziemców, Europejczyków, czarnych i mieszaneów.

Pierwotni krain tutejszych mieszkańcy, od wieków w niczem się nie odmienili, i z wyjątkiem pojedynczych indywiduów, w stanie zupełnej dzikości pozostali. Zbrojni w łuki i strzały, nadzy, waleśają się po lasach, na rozmaite polujące zwierzyne. Chaty, budują sobie z gałęzi i trzciny w ziemię wbitych, które liściami pokrywają. Każdego, co do jego plemienia nie należy, Indianin uważa za swego wroga, bez różnicy, czy on Europejczyk, czy murzyn, czy też pobratymiec jego z dalszych okolic przybyły. Rolnictwo i hodowanie bydła nie zajmują wcale Indianina; nie zna on żadnego porząd-

ku towarzyskiego, uznaje tylko za głowę swęj gromady tego, kto w boju najdzielniejszy. Naczelnicy tacy, ujęci przez Portugalczyków podarunkami, sprawują swym wpływem, że osady europejskie spokojnie być mogą od częstych napadów dzikich tych plemion. Ludożerców, w właściwym znaczeniu tego wyrazu, nie ma między nimi, chociaż nie jednokrotnie pożerają oni ciała swych jeńców; ale czynią to raczej z nienawiści i zemsty do nich, jak z wrodzonego popędu.

Związki rodzinne mało mają znaczenia dla dzikiego Indianina; sam leniwy do pracy, cały ciężar zajęć i robót gospodarczych zruca on na kobiety, bez względu na ich wiek i słabość. Dziecię skoro tylko dojdzie wieku, w którym samo sobie wystarczyć może, przestaje być dla rodziców przedmiotem troski, i na własną rękę musi się biedzić o siebie. Mała bardzo ilość tych plemion żyje w miastach lub po wsiach, a ci nawet co przywykli przebywać wśród ucywilizowanego nieco narodu, chociaż najemne wykonywają roboty, zawsze im to przychodzi z wstrętem i przeciwnością. Główną ich zabawą i rozrywką są tańce dzikie i dziwaczne, lub też strzelanie do celu w głowę ubitego wroga. Rząd łuku i strzały, nie używają innej broni, i rzadko kiedy widzieć można Indianina uzbrojonego w nóż za pasem lub inne ostrze. Wszystko to, cośmy dotąd powiedzieli, dotyczy wyłącznie plemion, koczujących lub zamieszkujących w okolicach Rio-Janeiro, między którymi nie widać ani śladu owej cywilizacji, jaką Hiszpanie u Meksykan i Peruvian zastali.

Weale inaczej rzecz się ma z murzynami. Leży tu już niejako w naturze pokoleń afrykańskich, że zdążają zawsze do jakiegoś porządku, i lubią tworzyć uorganizowane państwa, chociaż te państwa do szczególnych plemion się tylko ograniczają. Dla téjto przyczyny murzyn nigdy nie jest tak dziki, niepohamowany, jak Amerykanin; ale posiada nader żywe uczucie rodzinnego szczęścia, i jakkolwiek ciemne i niewykształcone, ma wszelako pojęcie o społecznym ładzie. Dlatego to również murzyn przywiązuje się łatwo do europejczyka, zna wartość pracy, i oddaje się jęj z poświęceniem w widoku polepszenia jeśli nie własnego, to rodziny swęj bytu; gdy zaś omyłą go wszelkie nadzieje, posiada dość samodzielnęj siły, aby się ja-

kimbądź sposobem z pod jarzma wydobyć, i o zapewnieniu własnego losu pomyśleć.

Biali osadnicy obchodzą się w ogóle dość ludzko z czarnymi niewolnikami, gdyż własny ich interes nakazuje im dbać o to, aby oni nieginęli, i na siłach nie upadali, i nie zbiegali. Dawniejszymi czasy tyrania nad temi nieszczęśliwymi istotami nie była niczem rzadkiem; ztąd też bardzo często niewolnicy buntowali się przeciw panom, i nie raz srodoze mścili dawne zniewagi. I buntury podobne tak dalece się rozpowszechniły, że tłumy murzynów wydaliwszy się w głąb Brazylii, założyli tam jakby własne państwo, i długo trapiłi osady pobliskie straszennymi napadami. Po krwawych bojach i twardym oporze, zaledwie zdolano ich poskromić, i w poddaństwo powrócić.

Zadziwiającą jest rzecz, że murzyni sami przyznają jakąś wyższość białym: i tak, mulat (dziecię białego i murzynki, lub przeciwnie) uważa się za coś daleko wyższego od czarnego, a tercero (syn białego i mulatki, lub na odwrót) z góry spogląda na mulata. W potoczném jednak życiu mało się zważa na te różnice barwy ciała, i chociaż murzyni wylączeni jeszcze są dotąd od urzędów, to mulaci wszakże sprawują już je na równi z białymi. Stosunki ojca chrzestnego względem dziecka do chrztu utrzymanego, uważają się tu za bardzo ściśle i obowiązkowe; powinnością jest ojca takiego, szczerze i czynnie zajmować się losem swego dziecka, i kierować go w świecie; toby śniał lekce sobie ważyć ten obowiązek, naraża się najniezawodnięj na surowe potępienie w opinii publicznej. Chwalebny ten obyczaj wynikający z głębokiej czci religijnej i poszanowania wszelkich przepisów duchownej nauki, wielce przyczynia się do coraz dokładniejszego zlania i uównania kolorowych (że się tak wyrażę) stanów. Murzyn, ożeniony z białą, skoro tylko narodzi mu się syn, szuka dlań natychmiast jakiego białego na ojca chrzestnego, a w najgorszym razie bierze mulata wysoko już postawionego w znaczeniu, i od téj chwili spokojny być może o dziecię swoje, choć sam mu nie pomógł nie może, bo pewien jest, że i z niewoli go ojciec przybrany usamowolni, i na człowieku w przyszłości wykieruje. Skutkiem takiej protekcyi i niejako przyjęcia już do rodziny swojęj mulatów, bieli heczą się łatwiej z nimi związkami małżeńskimi, i niejednokrotnie z sa-



mego' spodu społecznej drabiny wydobywają ich na sam jej wierzch. Piękne zastosowanie świętych praw naszej boskiej religii! Czemuż w więcej ucywilizowanych krajach nie znajdujem tak pięknych przykładów chrześcijańskiego uczucia w warstwach uprzywilejowanych szczęściem.

Życie białych w Rio de Janeiro nie różni się niczem, od zwykłego ich życia w innych miastach nadmorskich. Klasę wyższą, niby to oświecenią, pokrywa ów polor cywilizacji, jak się to mówi, który wszędzie mniej więcej jednakowym blich-trem świeci. Portugalczyk w ogóle do pracy jest strasznie leniwy, w uciechach i zabawach nienasycony, życie pędzi więcej za domem, jak w domu, w rozmowie posiada ową porywającą żywość i doskonale trafny dowcip, którym się odznaczają zwykle południowe ludy. Więcej zatem dla badacza przedstawiają interesu osadnicy, nieco oddaleni od stolicy. Znakomitsi i bogatsi osadnicy, mają swe posiadłości po największej części w pobliżu ważniejszych dróg komunikacyjnych, i nie nader pochlebne dają wyobrażenie o życiu, charakterze i całej istocie południowo-amerykańskich kolonistów. Jeżeli się kiedy podróżnemu zdarzy zawrócić swego muła do takiej plantacji, (co musi uczynić w dalekiej wędrówce, bo zajęznych dołnów nigdzie niemasz), to przyjmują go z sztywną i jakby dworską *grandezzą*, chcą mu przez to okazać znaczenie swoje i bogactwo. Najmniejsze usługi i potrzeby opłacać on musi ogromnemi pieniędzmi, i mimo to, nie znajdzie ani joty serdeczności, lub jakiejś uwagi na siebie u nikogo: bo cała służba sili się na to, żeby jak najdoskonalej pana swego w postępowaniu naśladować. A pan wszystkie sprawy domowe poruczywszy wyręczycielom i najemnikom, sam szczęśliwie w najzupełniejszej żyje gnuśności, którą przerywają mu czasem rachunki i nowe spekulacje.

Drugi rodzaj osadników, czyli plantatorów, zamieszkuje dalej znacznie od stolicy, w okolicy la-

sów dziewiczych; ci nie należą bynajmniej do rządu owych głupich a dumnych próżniaków, lecz są prawdziwie dzielnymi i pracowitymi gospodarzami. Praca ich zasadza się na karczowaniu zarosli, uprawie karczunków i pilnowaniu robót niewolników. Rzadko kiedy w tamte strony zabłądzi podróżny, ale jeśli się to zdarzy, może być pewien serdecznej, czulej gościnności, nieudanego współczucia i pieczołowitego starania około swjej osoby. Trzeci nareszcie rodzaj kolonistów, mieszka jeszcze dalej od siedliska cywilizacji, i głównem ich zajęciem jest hodowla bydła. Sąto dzielni i silni w ogóle ludzie, całe prawie życie spędzający na koniu. Trzymają ogromne trzody bydła, które pędzają na sawanny, gdzie ciągle muszą się mieć na pilną baczność, żeby im drapieżne zwierzęta chudoby nie uszkodziły, lub dzikie trzody bydła do zbiegostwa nie skłoniły. Koloniści ci również posiadają stada koni nawpół dzikich, które w razie potrzeby łapią, ujeżdżają i sprzedają.

Jednym z najciekawszych punktów tego kraju, jest bez wątpienia okolica, gdzie się znajdująminy złota i płukalnie dyamentów. Złota dobywa się tu ilość znaczna w stanie połączenia, z którego się oczyszcza je sposobami rozmaitemi, ale w ogóle nadzwyczaj mało wydoskonalonemi. Dyamenty, których monopol do korony należy, znajdują się w piasku, w najdawniejszych formacjach górnych; piasek taki czerpie się na drewniane płyty, i na tych za pomocą wody, przez ciągle poruszanie oddziela się od ciężkich kamieni. Aby zapobiedz kradzieży, niewolnicy przeznaczeni do tej pracy, robią dzień cały nago i gromadkami po pięciu, a nad każdą taką gromadką czuwa pilnie osobny nadzorca. Praca tak około złota, jak i około dyamentów, czy z powodu szkodliwego klimatu okolicy, czy też dlatego, że robotnicy muszą ciągle w wodzie zostawać, nadzwyczaj prędko rujnuje ich zdrowie, i wielką bardzo ilość o śmierć przyprowadza.

SKALIKUREK.

Prawdziwie, jednym z najpiękniejszych ptaków jest *Skalikurek pomarańczowy* (*Rupicola aurantia*),

KSIĘGA ŚWIATA.

zamieszkały w północnej stronie południowej Ameryki. Rzadko też gdzie braknie go w zbiorach na-

turalnych, jakkolwiek wysoka bywa jego cena. *Oken* liczy go do siódmego pokrewieństwa trzeciego rzędu ptaków *roślinożernych grubodziobych* czyli *skaczących*, a mianowicie ziarnami się żywiących; *Temminck* uważa go jako żyjącego owadami i mieści w trzecim rzędzie, jako właściwy z *manikinami* spokrewniony rodzaj, do których jest nieco podobny ukształceniem krótkiego, trójkątnego, spłaszczonego, trochę wygiętego, na końcu zakrzywionego i lekko karbowanego dzioba. U nóg palce skrajne aż do połowy długości zrosłe są z palcem środkowym, a głowa ubrana czubkiem z pierzy. Dotąd znane są w tym rodzaju trzy gatunki, z których *Skalikurek pospolity* i *pomarańczowy* widzieć się dają wszędzie po skalistych górach Guyany, w Surynam i Kajennie, tudzież na urwistych, pełnych jaskiń brzegach rzeki Orenoko, zaś peruwiański w Brazylii, w górnym Peru i w górach Nowej Grenady. Obyczajem nocnych ptaków, przemieszkiva w ciemnych jaskiniach i rozpadlinach między skałami, tam robi sobie po prostu z gałązek gniazdo, w którym znosi parę białych, okrągławych jaj; we dnie wylatuje tylko na żer, który się składa z nasion, jagód, a rzadko kiedy z owadów; szukając go, grzebie ziemię, podobnie jak kura, i tak samo trzepie skrzydłami. W stanie dzikim jest bardzo płochliwy, trudno go podejść i zastrzelić. Lot jego, jak kuropatwy, jest

szybki, ale krótki; a czysty, przeciągły głos słyszeć się daje jakby w długich pauzach powtarzane *ke*. Dla pięknego upierzenia dzieci Indyanie szacują go wysoko, pilnie nań dybią, i piórami jego stroją się; zaś Indyanie w miejscach nad rzeką Orenoko, łapią go za młodu, kiedy łatwo jeszcze może być oswojony i wolno puszczają go z kurami.

Skalikurek pospolity (*Rupicola brasiliensis*), jest maści czerwono-żółtej, ma brunatne i białe lotki, jakby ucięty na końcu brunatny ogon, żółte nogi i dziób, zaokrąglony czubek na głowie, i bywa 10 do 12 cali długi. Samicy upierzenie jest więcej brunatne, dłuższy, spodem częstokroć całkiem brunatny ogon, i niekiedy wcale braknie jęj czubka.

Skalikurek pomarańczowy (*Rupicola aurantia*), wystawiony na załączonęj tu rycinie, najpiękniejszy z pomiędzy znanych gatunków, dochodzi wielkości gołębia; jest cały koloru pomarańczowego, tylko lotki czerwono-czarne, żółto obwiedzione, a skrzydła środkiem białe. Na głowie ma kolisty, nakształt helmu czubek, składający się z dwóch rzędów piór, aż dziobek mu okrywających. Ogon jego jest krótszy niż u poprzedzającego gatunku, takieżże jak na całym ciele maści.

Skalikurek peruwiański (*Rupicola peruviana*), kształtem mało się różni od pospolitego czyli brazylijskiego, tak samo jest czerwono-żółty, tylko skrzydła i ogon ma całe czarne.

WIOSKA MILIONERÓW.

(z notat podróżnika).

Nie ma zapewne na kuli ziemskiej kraju, któryby jawniejszy i świetniejszy dawał przykład, czego dokazać mogą trwałe zabiegi człowieka rzucającego się w zapasy z twardą i niewdzięczną przyrodą, jak mała, niska, zapadła kraina Holandyi, z natury rozległą stanowiąca trzęsawę, wskróś wodą i nieużytym mulem przesiąklą. — Jeśli gdzie, to tu najsilniej uderza każdego zwyczajka potęgą twórczej siły ludzkiej, nad sprzyświeżonemi przeciwi niej żywiołami. Śród odrażających niegdys

bagien, wśród nieurodzajnych dawniej, błotnistych przestrzeni, co chwila zupełnym wód zalewem zagroźonych, mieści się dziś trzechmilionowa ludność, wygodnie rozsiedla w pięknych, zasobnych domach, opływająca we wszelkie dostatki, do jakich wyższa cywilizacja otwiera drogę człowiekowi, używająca najwytworniejszych przyjemności i powabów natury, które ona wyłącznie dla uprzywilejowanych łaską swą krajów zachowywać się zdawała.

Co tylko upośledzeń w rękę posiada przyroda, wszystkie je zalała na ten przymorski zaułek, skazując go niejako na wieczne potępienie; wszystko zdaje się, co w mocy jej było wysiliła, żeby zamieszkałego tam człowieka pogrążyć w ponurą i nieprzepartą nędzę; wszystkiego mu odmówiła. A człowiek jakby umyślnie, chcąc jej dać poznać, że panem jej być mu przeznaczono, że nieczem jej wysiłki wobec jego duchowej potęgi, zamienił ją sobie w siedzibę nieomal uroczą, wykwinął, wszystkim wymaganiom wytwornego smaku odpowiedniacą, i do tego stopnia rozpanoszył się w niej, że do dziwactwa nieraz posuwa nadmiar i przesadę w upodobaniach swoich urągających jej niejako. Wiadomo do jak wysokiego udoskonalenia żelazna wytrwałość Holendrów i przeczorny przemysł doprowadziły zakłady przemysłowe. Dopóki Anglicy, w późniejszym czasie ambicją podniecenia, nie dognali ich na drodze kupieckich prześcigów, dość było przy jakimś wyrobie wspomnieć, że z holenderskiej pochodzi fabryki, aby mu nadać cechę niezawodnego nad inne pierwszeństwa.

Z nędznej rybaków osady, kraj zamienił się w jeden bogaty i piękny ogród, regularnością swych linii, czystością i wytworem panującą w nim wokół, do podziwu, a nawet znużenia tak zbyt częstą skrętnością, przywodzący każdego, kto mu się przyjrzeć miał sposobność. Zamiast przeczczonoj im nędzy, bogactwo i obfitość wszystkiego, w co szczęśliwemu opływać wolno śmiertelnikowi, stały się udziałem Holendrów. Pokonawszy naturę, w walkach z nią nabrali sił do przewodzenia zręcznymi zabiegami ludzimi, mniej od nich przywykłym do materialnych zapasów, mniej zaprawnym na przemysłne zabiegi złotodawczej działalności. Wyparli od siebie nieprzyjazną im wodę, siecią żył niezliczonych i ukrytych kraj ich obciążającą, a natomiast zbudowanymi upustami i młynami słuzami źródła złota do siebie sprowadzili. Idzisiaj Holandya, to prawdziwa Chiny europejskie! I gdyby azyatyckim Chińczykom przyszło kiedy na tę dolę, iżby się z siedzib swych starożytnych wynosić musieli, i w inne przesiedlać okolice, to mandarynowie niechaj prosto ich wiodą do Holandyi, a niezawodnie zadowolą podwładne im gromady, bo znajdują się tam, i uczują jakby na własnych zagrodach. Ta sama wytrwała

cierpliwość, ta sama zimna i czoza fantazyja, to samo zamilowanie cłiwego przepychu na dziecinie opartego wyrachowaniu, ta sama miłość symetrii i czystości,—charakteryzuje nadbrzeżnych mieszkańców Żółtej rzeki, co i ludność nad wodami Maasy osiadła.

Kiedyś, w XVII wieku, takie zamilowanie do kwiatów, a mianowicie do tulipanów, opanowało całą Holandya, że jedną cebulę ładnego tulipana płacili po 13,000 złotych holenderskich (43,000 złp.) a niektóre miasta po 10 milionów sztuk ich zbywały. W późniejszym czasie, miłość ta szczególnie zwróciła się na hyacenty, które niemniej hojnie przepłacano. Do dziś dnia zamilowanie do kwiatów i szukanie z przepychu ich chluby, dochowały się u Holendrów. Po takich dziwactwach, które wyrodzić się mogły ze skrzywionych tylko pojęć, ludzi czujących w sobie kieszenie przepelnione złotem, czegoż się nie można spodziewać? Nie bez słuszności zatem zbliżam tych kochanych, porządnych, pulchniutkich Niderlandczyków, z pobratymczy mi w gustach i upodobaniach Chińczykami. Spostrzeżenie to ukrepila jeszcze we mnie ostatnia moja podróż po Holandyi i Belgii odbyta, która mi dała poznać jedną z ciekawszych ich kraju osobliwości; zdziwilem się nad nią niemalo, uśmiełem jeszcze więcej, a po zdziwieniu i śmiechu, i dla myśli nowa kara przybyła; sądzę, że i czytelnicy moi tych samych co i ja doznają wrażeń, przeczytawszy następnych słów kilka wierzytelnego opisu.

Od kilku już miesięcy bawiłem w Niderlandach, i miałem zamiar pożegnać Amsterdam, nasyciwszy się po uszy tym mnóstwem mostów, szluz, kanałów i magazynów przepelnionych płodami Jawy, a stanowiących najbardziej charakterystyczną cechę tego miasta, które mi plebejuszowską Wenecyą nazwał, — kiedy, któregoś dnia, już na odjeździe, gospodarz mój zagadnął mnie: „Jako, pan chcesz opuścić Niderlandy, nie zwiedziwszy Broku?”

— Broku? co to znaczy?

— No, panes jeszcze Broku nie widział, — odparł mi z zimną krwią, popalając fajkę.

— A cóż to jest ten Brok? — zapytałem, ale nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. — Cóż to za osobliwość, że mam ją widzieć koniecznie? — Znow żadnej odpowiedzi, tylko kłęb dymu wpadł mi pod

sam nos. — No cóż to jest, powiedźże mi, mój miły gospodarzu, czy to człowiek, zwierzę, czy pomnik jaki?

— Wioska, — odparł mi nareszcie Holender, jakby z litości.

— Co, wioska? — zawolałem, — a cóż mię jakaś tam wioska może obchodzić, kiedyś zwiedził Maestricht, Rotterdam, Amsterdam, Leyde, Utrecht i Haage? Co też wasze gadasz?

— O Brok! Brok! mruczał sobie tęskno i tajemniczo pod nosem. — Takiej drugiej wioski nie znajdzie nigdzie na kuli ziemskiej!

— A to coś osobliwego być musi — pomyślałem sobie, i zapytałem znowu: A cóż ja tam znajde ciekawego w tym Broku?

— Co? Brok! — było całą odpowiedzią.

I więcej niepodobna mi było wyciągnąć z opalego Holendra, bo wyćmiwszy ulubioną luleczkę, spieszył się teraz na poobiednią drzemkę, i powiedziawszy mi, że nie ma czasu dla tak ważnego powodu, pożegnał mię natychmiast. Do własnej tedy głowy musiałem pójść po radę, i pomyślałem sobie: jeśli nie obejrzę tego jakiegoś Broku, to może coś bardzo ważnego i znamienitego opuszczę w podróży; tyle się już nawalałszy, szkoda była. Nie ma co robić, trzeba ruszać. I niewiele myśląc, zawolałem poczciwego mego Grzegorza, który wyjechawszy z szerokich równin Mazowsza, nieodstępnie włóczył się ze mną przez lat sześć po głębiach min Harzu, po szczytach Teneryfy, a zawsze i nieodmiennie czystą, pocziwą zachował duszę i rozum mazurski.

— Grzegorzu! jedziemy do Brok! — rzekłem doń.

— A gdzie panie?

— Ja sam nie wiem gdzie, ale się przecież dopytamy! — odrzekłem mu; i żeby nie tracić czasu, wysłaliśmy natychmiast z domu, a ja zaczęłem pierwszego, który mi się nawinął na ulicy, porządne go człowieka, i pytałem go o drogę do Brok. „Naprawdę na prawo, potem na lewo, potem znów na prawo, mówił mi; ale zakończył tém, że muszę przedewszystkiemi wodą dostać się do Bensklo.

— To znów będziemy po morzu jeździć, proszę pana? — zapytał mię zakłopotany Grzegorz, który rozumiał już trochę po niemiecku — a jak szatana nienawidził morza, i wszelki z niem styeczności. Nimem mu zdążył odpowiedzieć, Holender, którego zaczępiłem, zadał mi pytanie:

Czy pan myślisz i służącego wziąć z sobą do Brok?

— Nie inaczej, albo co? — rzekłem, — dla czego mi się pan pytasz o to?

— O, nie, nie; tak tylko, — odparł, i poszedł sobie dalej, mierząc nas od stóp do głów wzrokiem, i uśmiechając się tym sarkastycznym uśmiechem, który na tępych twarzach Holendrów tak często napotkać można.

Strasznie się Grzegorzowi niepodobał i ten jego sposób i zapytanie jego; nie miał widocznie ochoty jechać ze mną, i kiedyś go przekonywał, że przecież mu się nie stanie, i śniałem się z niego, że taki techórz:

„Ja nie techórz, odpowiedział, i niczego się nie boję, proszę pana, ale te Holendry to dziwny naród. Tyle już ludu widziałem, i Tatarów i Turków, i wie go Bóg nie jakich tam, a takich zakutych gębą w życiu nie napotkałem, jak te tuste Holendrzyśka.

Przyszedłszy na brzeg, wsiedliśmy w łódź; wymówiłem tylko „Bensklo” — wiosłarz skinął głową, i odbił od lądu. No, to już dobrze, pomyślałem sobie; jest przynajmniej jakieś Bensklo na świecie, to się i Brok znajdzie.

Po dwudziestu minutach jazdy, przybił wiosłarz do brzegu; zapłaciłem go, i wychodząc z czółna zapytałem:

— Którędy droga do Brok?

— Pójdziesz pan ponad kanałem łączącym Tak-sel z Zuydersee, i za pół godziny będziesz pan w Brok, — odpowiedział mi, a ja mu podziękowałem. Kiedyśmy już odchodzili, zapytał tylko:

— Czy panowie zostaną w Brok?

Nie myśląc o niczem, tak sobie ni ztąd, ni zowąd, odpowiedziałem mu: zostaniemy. — Odpowiedź ta jak iskra elektryczna uderzyła mego Holendra. Jak nie zaczęnie się kłaniać unienię, do samej ziemi; myślałem, że oszalał, a on głosem pokornitkiem odzywa się:

— Przebaczenia, przebaczenia! Jaśnie Wielmożny panie!.... ja nie wiedziałem.... czemu Jaśnie Wielmożny pan zaraz mi nie powiedział!....

— A, dla czego miałem ci to mówić?

— A bo proszę Jaśnie Wielmożnego pana, nie wiele ludzi może w Brok przebywać!....

— A cóż im przeszkadza?

— Albo to JW. pan nie wie dobrze co?....

— No, oczywiście wiem — odparłem wstydząc się wydać z tém, że nie wiem o rzeczy, którą prosty wioślarz holenderski dobrze zna. Ale chcąc wpaść na jakibądź trop tajemnicy pokrywającej mi dotąd owo miejsce, do którego dążyłem, powiadam do brodusznika do mego przewoźnika:

— No, mój przyjacielu, ja tylko żartowałem, — nie zostanę w Brok, idę tylko zwiedzić go, i wieczorem powrócę do Amsterdamu.

— Zwiedzić tylko? zawołał wioślarz z pogardą, i rzucając na wodę wiosła wraz z czolobitnością, z jaką do mnie przed chwilą przemawiał. — Szczyćś wam Bóże, mój panie! — i odbił od brzegu, a uchwycawszy kilka łokci, zawołał: Czy pan i służącego bierziesz z sobą do Brok, mój panie?

— Nieinaczéj; chyba żebyś miał co przeciw temu.

— O! dla mnie wszystko jedno, weź go pan sobie, kiedy mu się tak podoba; idźcie tylko ciągle brzegiem, a niedaleka droga. — I rozstaliśmy się.

— Proszę pana, to coś się w tém musi święcić — zagadnął mnie strwożony Grzegorz, że ci ludzie tak się o mnie dopytują, czy do tego jakiegos Brok z panem się wybieram? coś w tém musi być konieczne.

— Napędzili ci piotrka — a Bóg że cię wie, może ty Holendrom co i przeszkrobał. Tak gawędząc i bawiąc się kosztem spokoju Grzegorza, niezadługo ujrzałem się wraz z nim na skrócie kanału; ztąd tak dziwny i niespodziewany odkrył nam się widok, że Grzegorz o przestrachu zapomniał, a głośno podziw swój wynurzał. Teraz już naprawdę myślałem, że nie w Holandyi, a w Pekinie się znajduję, w Pekinie, tém mieście najdoskonalej chińskiem z całych Chin. Woda zielonawa i lśniąca jak kryształ szerszym jakby jeziorem tu się rozlewała, a po brzegu ciągnęły się długim rzędem wspaniałe tarasy. Na tych tarasach wznosiły się domy tak cudacznie fantastyczne, jak mi się nigdy jeszcze w życiu widzieć nie zdarzyło. Dachy miały kształt pokryć pagodowych, i jaśnieły wszystkimi barwami tęczy, przepychem ich się jedne nad drugie przesadzając. Mury tych domów, w jednych wyłożone porcelanowymi taflami, w innych kosztownym marmurem, u niektórych nawet przystrojone w kryształ i złocenia na rzeźbionym drzewie. W rzeczy samej, cały ten kramik bogatych cacek, podobniejszym mi się zdał do malowidła na

pudelu do herbaty, jak do czegoś istotnie znaczenia i przeznaczenia dla człowieka mającego. Wokoło tych mieszkań, przepyszne drzewa kwiatem i wonią dziwnie sprzeczną stanowiły ozdobę; najradsze krzewy i rośliny, choć bez liści, bez woni, ale nieznanie i drogie, szerokiemi kłęby pokrywały murawę. Całe obszary róż w najrozmaitszych, tysiącznych kolorach, postaciach i wielkościach, długim ciągnęły się pasem przez wszystkie ogrody, przetykając ogromny kobierzec najcenniejszych, najdroższych i najradszych kwiatów, których woń upajająca wokoło przesyciała powietrze.

— Ach panie! cóż to za cud! jakie to piękne! — zawołał w uniesieniu pocziwy mój Grzegorz — teraz już wiem dla czego im tak dziwnie było, że ja tu z panem idę. To musi być raj holenderski! i jakżeby tu mieli puszczać biednego chłopca z po-nadwiśla.

— No, no, nie turbuj się, obaczysz, dostaniemy się do tego zaczarowanego i cudownego grodu — odparłem mu nieco zamysłony. I szliśmy dalej po miękkiej murawie, której brzegi obmywała woda. Niedaleko jednakże zająś mogliśmy, gdyż mała, lekka, ale silna złocena krata żelazna, nader misternej roboty zatałowała nam pochód, i dostępu do świetnego grodu wzbronila; bo jakeśmy się przekonali, otaczala go naokoluteńko. Tęsknie przypatrywaliśmy się ponad tą barykadą pięknościom tej osobliwej wsi czy miasteczka, i wspaniałości wznoszącego się w samym jego środku kościoła, okolonęgo szeroką promenadą wysadzoną akacyami i kwitnącemi krzewy. Im bardziej zbliżaliśmy się, tém więcej zdziwić się musieliśmy przepychom wschodniego budownictwa. Widać było tu i owdzie wieżyczki zdobne w sztykretowe wykładania, w złociste arabeski, których tysiączne sploty i gzygaki rozchodziły się ku dołowi szeroko, i tworzyły przestronne klatki; a w tych klatkach mnóstwo ptaszek trzepocących, i jaskrawą pstrociną oko rąjących, gwarnie szczebiotało. Olsniwającą okazałość tych cacek podnosiło jeszcze ciemno-zielone tło myrtowych gajów, wśród których się wznosiły, ożywionych biegiem strumieni, i rzeźwianym pluskiem fontann i kaskad na porfyrze spadających wanny.

Idąc ciągle przy owój kracie, doszliśmy do wspaniałej bramy, szczerlnie zamkniętej i zaryglowanej,

przy której z boku wisiał gruby, ciężki, jedwabny sznur od dzwonka. Pociągnąłem zań śmiało, i w kilka sekund ujrzelismy wychodzącego ku nam z pięknego obok pawilonu człowieka bardzo poważnej i przyzwolitej powierzchowności. Człowiek ten przybrany był cały w aksamit szkarłatnego koloru, pończochy miał białe jedwabne, bieliznę najwykwintniejszej cienkości, trzewiki zaś z ciemnoczerwonego aksamitu.

— Co panowie rozkażą? — zapytał nas zbliżwszy się.

— Chcemy Brok obejrzeć.

— A kto panowie jesteście?

Ot tu był sęk. Idąc za chwilowem jakimś natchnieniem, śmiało odpowiadam mu:

— Ja jestem podróżujący Anglik, a to mój służący.

— Nigdy jeszcze żadnego służącego noga w Brok nie postąpiła!

— Jakto? więc choćbym kilka dni tu bawił, nie mogę mieć z sobą mego służącego?

— Nikt tu kilka dni bawić nie może.

— A to dla czego?

— Bo tu nie masz ani zajazdu, ani żadnego dla obcych schronienia.

— A co mój Grzegorz, to ty już musisz tu zostać jak widzę, i pocieszyć się jak możesz, że w raju holenderskim nie będziesz.

Kiedym rozmawiał chwilę z moim towarzyszem, jegomość pan odzwierny tymczasem, mierzyl mnie od stóp do głów badawczym okiem, nader pogardliwie na ubiór mój spozierał, i nie mogąc widać przenieść na sobie, żeby się nie odezwać:

— Ale pański surdut? — rzekł.

— No cóż? czarny — odpowiedziałem.

— A pańska chustka z szyi?

— A biała — odparłem śmiało, bo mię ten egzamin bawić zaczynał.

— Ale i to i to nieszczególnie — sucho mrknął jasnie wielmożny odzwierny od bramy Broku, i niedosć na tém; po kolei tak mi się dopominał o kamizelkę, o buty, i t. d., wytrząsając mi, że zużyte, i dopóty mię wpuścić nie chciał, dopókim naprzód w jego oczach nie otrzepał chustką z kurzu butów. Kiedym się z początku opierał temu żądaniu, które mię, przyznam się, mimo śmieszności, cokolwiek niecierpliwie i gniewać zaczynało:

— To pan wejść do Brok nie możesz, — krótko, zimno i flegmatycznie uciął nieublagany.

— Ale jakżeż można dla takiego głupstwa, nie dać komu zwiedzić ciekawości tutejszych?

— Nie pierwszys pan, niejednemu już tu wzbrowniono wstępu z powodu zaniedbanego ubioru. Dla tój samój przyczyny nie wpuszcilem tu księcia holenderskiego, królewicza szwedzkiego i księcia Toskanii. Ba! sam Napoleon nawet, wielki cesarz, musiał się zgodzić na to, że na zwyciężkie buty swoje ozuje pantofle, i wtedy dopiero otworzyłem mu bramę!

Na takie argumenta, nie było po co ust otwierać. Kiedy Napoleon musiał się poddać wymaganiom, to czemużbym ja, mizerna istota, miał się im opierać? — Dając więc Grzegorzowi chustkę, kazałem mu buty z kurzu otrzepać.

— Teraz proszę pana z sobą, odezwał się odzwierny. Ruszyłem naprzód, a Grzegorz zaklinał mię na wszystkie bogi, żebym nie chodził, bo mię tam coś złego niezawodnie spotka. Z prawdziwym żalem pozostał się ze mną. Na pocieszenie i rozzerwanie nudów, zostawiłem mu dwa cygara, i poszedłem dalej.

Zbliżyliśmy się z przewodnikiem do pierwszych domów. Ulice brukowane były gładkimi płytami kamieni rozmaitego koloru, na których nigdy jeszcze kopyto końskie nie postąpiło, pyłek nigdy długo się nie zatrzymał: świecili tóż jakby polerowane. Lada puszek przelatującego ptaszka, lada listek róży lub innego kwiatka padł na nie wiatrem naniesiony, natychmiast umyślnie czatujący i przeznaczeni na to stróże, rzucali się z szczotkami i zmiatali je.

— Proszę mi powiedzieć, zapytałem przypatrując się temu wszystkiemu, któż to właściwie mieszka w Brok? aniołowie, czy czarty?

— Ani jedni, ani drudzy — obojętnie odparł mój przewodnik; w Brok mieszkają ludzie mający najmniej trzy miliony majątku. Chcąc uzyskać prawo zamieszkania w Brok, trzeba dowieść, że się ma 180 tysięcy złotych holenderskich rocznego dochodu; a tacy są tu jeszcze najubożsi. Niemają tutejszych mieszkańców ma więcej jak milion dochodu. Ale pozwól pan, że się go zapytam, czy znasz pan tu kogo?

Odpowiedziałem, że nie.

— W takim razie muszę pana prosić, żeby się zawrócił, bo nikt tu pana nie przyjmie i domu awego zwiedzić nie pozwoli.

— Powiniennem był, jak widzę— skromnie wtrąciłem, zaopatrzyć się w listy rekomendacyjne?

— Ej, to mała rzecz; nikt tu na nie nie zważa. Żebyś pan miał ich kopami od samego Wielkiego Mogola i Dalaj-Lamy, to jeszczeby panu ani jednych drzwi nie otworzyli. Zapewne musiało pan słyszeć, że cesarz Józef II wrócił z Brok nie obejrzawszy ani jednego domu.

— Czemże więc tedy można sobie ująć tych strasznych mieszkańców Broku?

— O! oni nie są wcale straszni; owszem sąto najmiłsi, najuprzejmiejsi ludzie w świecie; lagodni i słodcy jak ich koty angora. Ale sami porobiwszy na kupiectwie albo bankierstwie majątki, oóż dziwnego, że chcą tylko przestawać z równie bogatymi jak oni.

Ciekawość moja wzmagała się za każdym krokiem, i za każdym słowem mego towarzysza. Teraz już bądź co bądź powiedziałem sobie, że muszę dobrze obejrzeć ten dziwotleny Brok; i w tém postanowieniu sześciu myśli przyszła mi natychmiast do głowy.

— No, no, chodźmy dalej mój łaskawco — rzekłem obracając się do odzwierne go, — powiem ci szczerze, że czuję się tu jak w domu.

— Jak to pan rozumiesz? — zapytał.

— Mój majątek stawia mię na równi z twoimi nababami; mam 150,000 fun. szterl. rocznego dochodu, — powolnie i obojętnie mu wytłumaczyłem.

Słowa te magiczny wywarły nań wpływ.

— Po milion razy przepraszam Jaśnie Wielmożnego pana, — mówił kłaniając się do ziemi, — pan także jesteś bankierem?

— Nie inaczej — odpowiedziałem — a prócz tego jestem synem, synowcem i wnukiem bankierem! Czerwony mój towarzysz widocznie wpadł w zachwycenie; a ja już nie czułem się parą, ani obcy w tém złocistém mieście. — Jestem synowcem mówiłem dalej, — sławnego bankiera Coutsa z Londynu, teścia znanego Sir Francis Burdets!

— I ja także jestem bankierem, — mówił odzwierne go. — Złakłem się, czy i on się nie przyzna do kuzynostwa z Coutsem, — ale pocziwie czeczysko w rozradowaniu serca, ani się domyślało kłamstwa z mój strony. Ja też okazując jakby ura-

dowanie, — a, to i pan bankier? — rzekłem. Tak jest panie — odpowiedział, ale nieszczęśliwy. Kole-dy moi przyjęli mnie tu tylko przez wzgląd na dawną znajomość. Wyobraź sobie pan dobrodziej, mam tylko 30,000 złotych holenderskich dochodu i dlatego wzięłem tu miejsce odzwierne go. To jest dom, — mówił wskazując na budynek do któregośmy się zbliżali, człowieka mającego najmnij 4 miliony funtów szterlingów majątku, który zrobił na pieprzu i szylkrecie. Przed pięciu coś laty wrócił z Jawy z wątrobianą chorobą, i jak się zdaje niedługo pociągnie. Dziwna to rzecz, że mimo tak pięknego i czystego powietrza w Brok, mieszkańcy tutejsi nigdy prawie do późnego wieku nie dochodzą.

Przeszliśmy kilka tarasów i ogrodów; przewodnik pytał mię w którym domu żyćze sobie być przedstawionym. Zostawiłem to jego wyborowi, mówiąc mu, aby zaprowadził mię gdzie uważa, że najlepiej mię przyjmą, i gdzie najlepszą będę miał sposobność poznać obyczaje i zwyczaje tutejsze.

— Zwyczaje i obyczaje wszędzie tu jednakowe — odpowiedział mi na to. — Wszędzie spokojność, cisza, milczenie, modlitwa z rana, a rachunki przez dzień cały.

— A śpiewy, gra na instrumentach?

— Muzyka, gra wszelka i tańce, zupełnie tu wrugowane.

— Musicie przecież dawać sobie jakieś zabawy wzajemne?

— Nigdy; — mieszkańcy Broku rzadko bardzo do obcych zachodzą domów; każdy o siebie się tylko troszczy, drudzy go mało obchodzi.

— Jakież więc macie upodobania?

— Upodobania nasze skierowane są do rzeczy prawdziwie *solide*: do pieniędzy, złota, kwiatów, kotów angora i pięknych zagranicznych ptaków.

W samęj rzeczy, w każdym domu widać było, jak koty tuście jak barany, długowłose i lśniące wyglądały przez okna, przypatrując mi się ciekawie, i dającą się, że im przerywam dumanie, zapewne o kursie papierów na giełdzie.

Architektonicznym dziwactwom Broku przez pół godziny przypatrzyłem się aż do znużenia. Każdy dom otaczają złociste sztachety odgradzające go od ulicy; na dziedzińcu widać zamiast bruku najprzepyszniejszą mozaikę, układaną w kwiaty, gwiazdy, ptaki, arabski i t. d., z lawy różnokolorowej

z zielonego bazalta, różowego granitu i najrozmaitszego marmuru. Pod ścianami stoja marmurowe ławy bogato i pysznie rzeźbione.

— Czy mieszkańcy często wychodzą tu na spacer? — zapytałem.

— O nie, bardzo rzadko, prawie nigdy. Tylko ci co długo mieszkali w Borneo, co rano wychodzą i na dworze piją kawę i cygaro pałą. Mówiąc to, pokazał mi umyślnie ku temu celowi sporządzone obok ławek spluwalniczki ze srebra filigranowo wyrabiane, i różowym piaskiem napełnione.

— Jeśli pan życzy sobie wejść do którego domu, mówić mój przewodnik, racz pan zatrzymać się chwilę, to zamelduję pana. — Poszedł, a ja przez ten czas przypatrywałem się. Każdy dom ma dwie drzwi, jedne paradne, a drugie do codziennego służącego użytku. Później dowiedziałem się, że wielkie drzwi otwierają się tylko w trzech ważnych okolicznościach; w razie chrztu, wesela lub pogrzebu.

W oknach domu, przed którym stałem, podniosły się żaluzje, — a przez koronkową tkaninę firanek, dojrzałem kilka dziewcząt, godnych nieśmiertelnego pędzla Rubensa, ciekawie przyglądających się mojej figurze. Między córami tych nababów, między temi królowiemi piękności i bogactw, monarchowie mogliby godnie siebie oblubienice, poetci muzy, malarze modele wybierać: bo istotnie takich piękności i bogactw, w romansach, operach i dramatach tylko szukać należy. Ale te piękne dziewczęta, te córki i wnuczki bankierów, dla bankierów tylko za żony przeznaczone. Bo w tym plemieniu mnożenie odbywa się za pomocą dodawania.

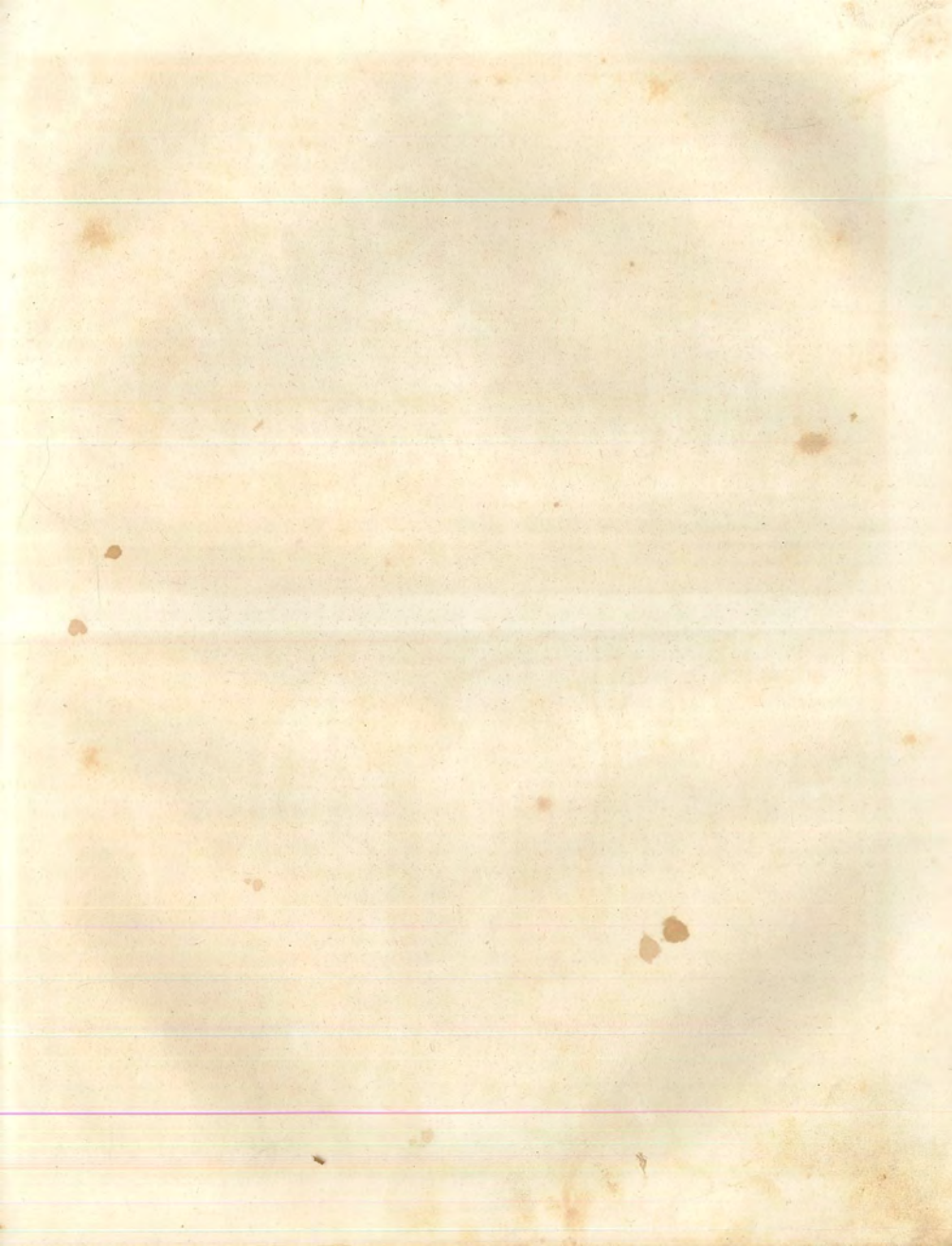
Wrócił odzwierni i oświadczył mi, że gospodarz domu przyjmuje synowca pana Coutsa. W przedśionku wspaniałym, szwajcar włożył mi na buty białe kaszmirowe pantofle. Gospodarz przyjął nas w przepysznym salonie, gdzie wśród otaczających go świetności wyglądał jak wielki mogół w swoim ubraniu, składającym się z szerokiego, bogatego szlafroka jedwabnego, w złociste smoki wyszywanego, i z ogromnej jak pagoda szlafmycy. Niepodobnaby mi było opisać wszystkich przepychów, bogactw i niepojętej czystości w każdym sprzęcie, w najdrobniejszym grzaku przebijających. Koty nawet i pieski miały rodzaj miękkich trzewików na nogach, żeby nie ścierały pu-

szystkiej barwy aksamitnych kobierców na posadzkach rozesłanych, i nie rysowały polityury hebanowych progów w pokojach. A jakie malowidła! Co tylko najpiękniejszego wyszło z pod pędzla Wouwermans'ów, Teniers'ów, Berghem'ów i innych mistrzów, wisiało na ścianach, obok najnowszych płodów pierwszych malarzy, wszystko tak świeże, tak jaśniejące, jak gdyby dopiero co zeszło ze sztalug Maestra. Przepyszne płaskorzeźby, statuy, grupy, architrawy, bogate sprzęty i naczynia z kryształu, porcelany, srebra i t. d., wszystko co zbytek i sztuka wydać tylko mogą, łączyło się tu, przerażający nawalem i skarbami przedstawiając labirynt.

— Może pan obejrzyz moje kwiaty, panie Coutsa? — zapytał mnie gospodarz.

— Bardzo chętnie, — odpowiedziałem; i poszedłszy do ogrodu, gdzie dopiero najdziwniejsze fantazje bogatego właściciela rozwinęły potęgę swą z całą swobodą. Były tam drzewa ze złoceniem gałęzi; kwiaty najpotworniejsze kształtem, najradsze barwą. — Wiele z nich, jak sam powiadał, kosztowały go po 400 i 500 funt. szterl. Bajeczny ogród Tassa niczem się zdawał w porównaniu. Na wszystkich drożynach i ścieżkach porozstawiane były zwierzęta z drzewa rżnięte, i w najdziwniejsze kolory przystrojone: tu się stroszyła ognista jakas pantera, tam znów złote i zielone lwy, owdzie tygrys modrooki, srebrownogwiazdzisty i t. d. i t. d. Śród tysiąca tych figur, uderzyły mię najbardziej: lis wymodelowany doskonale z czerwonego koralu i dzik wycięty z olbrzymiej gąbki, obadwa naturalnej wielkości. Mimowolnie przychodziło mi do głowy, jak trzeba być głupim, ażeby się w podobnych rzeczach kochać. Ale nie, oni nie głupi, ci panowie bankierowie, tylko za bogaci, a próżniacy. Brak tylko zajęcia i ukształcenia doprowadzić może do tak potwornych upodobań. I nasi tytkarze, żeby byli tak bogaci jak ci holendersey nababowie, to niezaręczylbym, czyby sobie nie kazali na ozdoby wyrabiać krów z cytryn, słoni z pieńników i t. d.

Śród wszystkich tych świetności i przepychów, gospodarza widocznie dręczyły nudy, i choroba jego miała coś zaraźliwego, bo i mnie już zaczęła jakas ekliwosc napadać, i tęskno mi było za ruchem, za gwarem; — ta głucha, złocista pustynia w gardle mi już stała.





Tiberia.



Al-Nad' Bazar.

Zwiedziliśmy mleczarnię i oborę, gdzie widziałem tłuste, piękne krowy ze złoceniemi rogami i zjedwabnemi wstążkami u ogonów. Rozmowa z gospodarzem, choć od samego początku nader szła kulawo, bo nie lubił męczyć sobie ust częstym otwieraniem, teraz zupełnie zdrętwiała. Domysliłem się, że zatrzymuję go dłużej, jak holenderska ętykieta pozwala.

Nieśmę się rozstali, zapytałem go jeszcze: ilu mieszkańców Brok liczy?

— Około 500, odpowiedział mi — i mają oni zapewne razem więcej pieniędzy, jak wszyscy morcarze ziemi.

— A czy szczęśliwi są wszyscy? — zapytałem.

— Hm! hm! tak sobie — odparł.

— Rozumiem, zapewne i tu zmartwienia się przedzierają?

— Hm, nie; tak znów nie. Ale często nie wszystko idzie pług życzenia. Ja na przykład, byłbym najzupełniej szczęśliwy, gdybym się doczekał kwiatu jednego z Sumatry, za którym tęsknię już od lat czternastu i napróżno wszystkiemi się siłami staram.

— A cóż to za kwiat taki?

— Krubul.... gatunek róży, której kwiat ma dziewięć stóp obwodu, w kielich jego zmieści się dwanaście wiader wody, a waży z piętnaście funtów.

— Róża, co waży piętnaście funtów?!... — zawołałem zdziwiony; — a woń jej czy odpowiada stokunkowó tym rozmiarom?

— O co to, to nie; przeciwnie, krubul ma woń tak nieprzyjemną i do zgnięgo mięsa podobną, że wszelkie robactwo i zwierzęta omijają ją zdaleka.

— Czy podobna!... a pan?... — grzeczność i rozważa nie dały mi dokończyć, i ugryzłem się w język tylko.

Pożegnałem go dziękując za przyjęcie; skłonił głowę posepnie, jakby zadumany, może marzył o swoim krubulu. Takież to szczęście człowieka sześć czy siedm milionów mającego! pomyślałem sobie. Czternaście lat wyczekuje kwiatu cuchnącego, co mu zarazi wokół powietrze, i na nadziei posiadania go, szczęście swe gruntuje.

Co sił mi starczyło zdązałem do Grzegorza, który czekał na mnie niecierpliwy i niespokojny.

— A co panie? — spostrzegłszy mnie zapytał żywo.

— Co? ach! cóż to za szczęście, żeś się nie urodził milionerem!

MECZET BAJAZETA I ISTENIA.

Czy może być co w życiu dla człowieka przyjemniejszego, rozkoszniejszego, jak podróżować! Podróżować, nie w tém znaczeniu, aby za granicę wyjechać, byle mil kilkanaście; przesiedzieć tam czas jakiś i z tego tytułu mieć się za coś lepszego od innych, nie w tém znaczeniu, aby przelecieć żelazną koleją przez Niemcy, dostać się na dni kilkanaście do Paryża, i za powrotem na wszystko usta wykrzywiać, bo to nie paryżkie; ani w wielu podobnych znaczeniach, głupią tylko próżność pieniężnej gawiedzi zaspokajających. Ale podróżować prawdziwie, szczerze, z czującą duszą w łonie, a widzącym rozumem w głowie. Cóżto za cudna rzecz przebiegać kolejno, jedne po drugich, rozmaite posady rozmaitych narodów, plemion; wpatrywać się w ich obyczaje, dzieła, istotę; oglądać jakby uronione cząstki historycznych przeszłości, i ba-

dać tym sposobem tajniki życia rodu naszego, chwytając je nieomal na żywo! O cudna to rzecz! i rozkosz i nauka najpoetyczniejsza! ale trzeba już zarobić sobie na to, żeby używać i zbierać je umieć. Z żywych, a wielorakich bogatę natury obrazów, ze wspaniałych, drobnych a zawsze mówiących dzieł i sporządzeń człowieka, zmysłami i duszą wysysać karm ożywczą dla umysłu, to nie wszystkim dano.

Mało, zaiste, znajdzie się śmiertelników, coby naocznie dać mogli świadectwa o całym obszarze, znanęj w ich epoce siedziby człowieczeń. I dziś choć tyle ułatwień w komunikacjach zdobył już kunszt ludzki, niewiele naliczym takich, coby z własnego doświadczenia, powiedzieć nam, nauczyć nas co mogli o tój różnolitej mieszaninie życia, migotną tkanką po całej kuli naszej rozpo-

startej. Wyjąkowe to tylko są jednostki, co pochwalili się mogą tą uciechą, że oczy ich oglądały różnych mórz wody, i że nasyciwszy się przepychami grodów Europy, ze szczytów Kordylierów nowe euda przyrody i żywota podziwiali, żeby je później porównać z nowymi dziwami afrykańskiego, azyatyckiego lub australskiego świata. Całe wieki zdobywają się i oczekują na Humboldtów.

Wszakże i życie nasze, to tylko wędrówka, i umiejętność, mądrość nasza, że także wędrówka, i uczuć przeskokne sploty, to wędrowne szlaki. A kiedy znużony pątnik świata tego, tyle przegnałszy rozdroża, rzucając kij pielgrzymi, zsiadła głowę na grobowym przyjdzie złożyć kamieniu, to tylko strząsa z ciężkich sandałów tutejszą kurżawę, żeby na nową sposobić się drogę, bo i tam go czeka ciemna, tajemnicza jeszcze wędrówka. Ścigaj więc pędem, myśli nieuzdana, na bujnych skrzydłach przejrzystej wyobraźni; zwiędz wszystkie zakątki dzisiejszej twojej dziedziny, by ci na potem, na kiedyś, jakieś choć o niej zostało wspomnienie!

Czy widzicie tam, na krańcu naszej świata dziejnicę, gdzie Europa Azji w oczy zagląda, na tym cyplu w przeczrocu dwóch mórz się przegładającym, coż to za gród wielki, wspaniały, biedny i pyszny zarazem jasnieje? Ulice wąskie, brudne, zawile, drewnianymi budynkami zaciśnione. Kręcą się wśród świeżych, ciemną zielenością czarowanych i smętnych ogrodów, gdzie zmarli spoczywają, i wśród olbrzymich cudów nadobnej budownictwa sztuki. Ubóstwo, sprośna nędza i nieład pod ręce się tu wiodą z ambitnym przepychem, z skarbami, z dziwami wschodniej fantazyi. Gród to pyszny, ale biedny: w bezliku smukłych, zalotnych wieżyc ku niebu na chwałę jego sunących, oko zaledwie dojrzy gdzieś tam święte znamie zbawienia ludzkości, pod którego godłem zastępy jej, jako przodownicy cywilizacyi, do wyższych zdążają przeznaczeń. Ciężkie pognebnienie ciała i ducha widne tu w parze z samowolną siłą dumy i potęgi. W znamionach istniejących tam przepychów znać, że rozdrażniona próżność i ambicja zdążyła na przebój za sprośnieniem i przesadzeniem w okazałości pysznych swych objawów, dawać obcych wykwićności, zostawiając zresztą wszystko, co tej próżności nie dotyczyło, w ciemnym zaniedbaniu i brudnej pleśni. Życie też tu jakieś chmurne, smutne, zaduszone, bo fatalizm

materyalizmem przesiąkłej religii Islamu, przyniósł je na zawsze do ziemi. Jakby pstrę tylko plamki, to jego centkują po wierzchu drobne ślady pożytecznego postępu, w arlekińską szatę spowijając znumiowane cielsko. Gród to wszakże jeden z najznamienitszych i w rzędzie pysznych stolic dzisiejszego świata i w kartach dziejów ludzkich: to Carogród pyszny, co w niesfornej losów kolei ze swobodnego Bizancjum wyrósł na siedmiu swych pagórkach w stolicę świata, w drugi Rzym, ale już chrześcijański, w Konstantynopol — i znów upadł w gruzy, na których straszni Padyszachowie mahometanscy, nieublagani pogromcy chrześcijańskiej braci, pyszny swój tron usadowili, i urągając przeszłości Stambulem, Islambulem go przewzali.

Wiele tu do widzenia, wiele do zastanowienia i podziwiania w tej świetnej stolicy, która przez wszystkie epoki dziejów starożytnych i wieków średnich i nowoczesnych znakomitą zawsze a odmienią odgrywała rolę, i dziś, wybiwszy na tle szczytków dawnej Greków cywilizacyi piętno wschodniego odrodzenia, coraz bardziej zaciera w sobie kontrast, od innych miast chrześcijańskich ją odróżniający. W każdej z tych epok postać się jej przemieniała zupełnie, i z ruin w nową przyoblekała okazałość. Od chwili kiedy zwycięzki cesarz Konstantyn, wieszczym wiedziony duchem, dał jej pierwszeństwo nad Troją w wyborze na stolicę państwa chrześcijańskiego, i kiedy ją Nowym Rzymem nazywać rozkazał a w murach jej senat usadowił, przepych jej i wspaniałość olbrzymiemi wzrastały kroki. I w niedługim przeciągu czasu obronne mury, na 20 stóp szerokie, otoczyły do samego morza rozległy trójkąt, formę tego miasta stanowiący, a ciągnąc się aż do morza Czarnego i Propontidy, zabezpieczały je od napadów barbarzyńskich. Oprócz właściwej cytadeli (akropolis) od wschodu wznosiło się pięć innych, mniejszych warowni. Czerdzieści trzy bram wielkich i wspaniałych dawało wejście do tego grodu, w którego wnętrzu rozścielało się 17 placów obszernych, snuły się 3 ogromne wodociągi, a dalej znajdowało się 4 wielkie rezerwoary wody czyli *Nymphaea*, 25 olbrzymich łaźni publicznych, 21 cytern, hippodrom, gdzie Konstantyn nagromadził wszystkie arcydzieła rzeźby innym miastom wydarte, dwa teatru i amfiteatr, 2 gimnazya i stadium. Wspa-

niały pałac cesarski z przyległościami sam tworzył spore miasto; a oprócz niego mieściło się tu 19 innych pałaców, czyli zamków okazałych, i mnóstwo rozmaitych gmachów publicznych. Nad wszystko jednakże jaśniała przepychem i okazałością wspaniała świątynia Śtój Zofii, którą Konstantyn chciał wynieść nad znane dotąd pomniki, gdzieby istniejące. Kościołów ogółem miasto liczyło 361 i 47 klasztorów na przedmieściach porozrzucanych.

Krótką tą wskazówką wystarcza na dowód jakim ogromem wspaniałości i świetności jaśniał Konstantynopol, kiedy był stolicą całego starożytnego świata, i kiedy w nim odbywały się straszne dramata pierwszych czasów kościoła. Po zdobyciu go przez Turków cała ta świetność poszła w gruzy, gdzie indziej tylko po sobie ślady zostawiając. Dzisiejszy Stambul, czyli jak go Polacy, w częstych z Portą zostający stosunkach, przewalają, Carogród, nie ma prawie nic wspólnego z owym starodawnym: życie ludzi w nim i powierzchowność cała ze wszystkiemi inny przedstawia widok.

Samo położenie tego miasta zapewniać mu musiało i na zawsze zapewnia wielką ważność i znaczenie. Z północy morze Czarne, dawniejszy Pontus Euxinus, podaje mu łatwość komunikacji z krajami ku tej stronie położonemi; od południa zaś morze Śródziemne, Białe od Turków zwane, zbliża go z całym Zachodem i południową okolicą. Dwa te morza łączą trzecie mniejsze, Marmora, tworzące między niemi kotłinę głęboką niejako, na której floty całe nader swobodnie ruszać się mogą. Ciąsnina, czyli kanał konstantynopoliński łączy kotłinę ową z Pontus-Euxinus, z przeciwniej zaś strony Darganelle jednoczą z morzem Białem. Gród zaś nasz wznosi się właśnie przy samem wnijsciu na kanał konstantynopoliński od strony morza Marmora. Prąd wody nader silny, biorący początek od morza Czarnego, przerzyna kanał, morze Marmora, przeciska się przez Dardanelle, aż do morza Białego, gdzie jeszcze wartkim pędem fale jego porusza. Jeżeli wiatr wieje od północy, okręty chyżym biegiem dostają się do Konstantynopola z morza Czarnego, ale z przeciwniej strony ani jednemu żaglowi ukazać się niepodobna; tak jak znów w odwrotnym razie, od tej strony najdzielniejszy statek nie nie wskóra. Przy wnijsciu od Białego morza stoją, jako strażnice obronne, zębate mury zamków,

o których już gdzie indziej wspomnieć mieliśmy sposobność, (patrz str. 4).

Jakieśmy to już widzieli, stolica państwa Otomańskiego na trójkątnej rozściela się przestrzeni: dwa boki tego trójkąta oblewają fale morskie, trzeci zamyka mur podwójny sporządzony za greckich jeszcze cesarzów. W tym zakresie amfiteatrem wznoszą się na siedmiu pagórkach tysiące gmachów i domostw, których szczyt niejako stanowią budowle publiczne. Nie wspanialszego nad widok jaki to miasto przedstawia: wokół wszystkich prawie mieszkań wiją się rozkoszne ogrody, rozweselające ponurą monotoność konstrukcji domów prywatnych, ponad któremi piętrzą się uroczyste meczety z poważnemi kopułami i lekkimi minaretami.

Na samym cyplu, wysterczającym w morze przy początku kanału, wznosi się seraj czyli pałac wielkiego cesarza, który zajmuje całą prawie przestrzeń dawnego Byzancum. Gmach ten oddziela ją od reszty miasta długie mury. Tu znajdują się rozległe ogrody i sady dostarczające wszystkiego co tylko na stół sultana i jego dworu może być potrzebnem. Sześć szpitali oddzielnych daje schronienie osobom najmniej dotkniętym chorobą; ztąd też w czasie zarazy morowej, tej strasznej plagi tak często nawiedzającej Stambul, bardzo mało pada tu ofiar. Z gmachów tu położonych rozwija się najuładniejszy widok na kanał, który jasną, szeroką, zwierciadlaną wód wstęgą, jak potężną rzeką, przesuwają się środkami tysiąca najpiękniejszych ogrodów i budowli, z których każdy zaczarowanym ci się pałacem wydaje; na lewo widać wnijscie do portu, któremu Byzantyni miano złotego rogu, Chryso-Keras nadali, bo był dla nich prawdziwem źródłem skarbów.

Wiele trudu i czasu potrzebaby na opisanie wszystkich przepychów i osobliwości tego uprzywilejowanego gmachu, gdzie przebywa wielki władca Moslemuinów z całym swym dworem i służbą, której do strzeżenia ogrodów samych przeszło dwa tysiące ludzi przeznaczono. Tu znajdują się wszystkie klejnoty, skarby i pamiątki zastępców proroka: sztandar, miecz, płaszcz i łuk jego, zbroje i rynsztunki trzech pierwszych kalifów i wielu towarzyszyw broni wielkiego Mahometu. Tu miesi się ów wielki harem, w którego wnętrza nie wchodziło się jeszcze ani jedno spojrzenie ciekawego Europej.

czyka. Tu rozrzucone piętrzą się mieszkanka pierwszych dostojników wielkiej Porty, śród rozkoszy, woni i zbytków, a wkoło nich wiją się tłumy białych i czarnych rzezańców, wiernych sług niewoli.

Do liczby najznakomitszych pomników sztuki wiele bardzo meczetów i innych gmachów dałoby się zaliczyć w Konstantynopolu, jakoto: meczet sofijski wielki i mały, meczety Solejmana w, Mahomeda II, Ahmeda Solima, stary seraj, zamek siedmiowieżowy i innych niemało. Ale niepodobna nam zatrzymywać się szczegółowo nad ich opisaniem; aby zaś powziąć wyobrażenie niejako o nich, przypatrzmy się nieco bliżej meczetowi Bajazeta, który jakkolwiek nie stoi na czele najcenniejszych gmachów Carogrodu, dokładne przeciwieństwo przedstawia może pojęcie o rodzaju budownictwa odznaczającego to miasto.

W każdym wszakże razie meczet Bajazeta, którego wizerunek przedstawia dołączona rycina, wchodzi w rząd najpiękniejszych budowli tureckiej stolicy. Wzniósł go następca pamiętnego w dziejach Mohameda II, sultan Bajazet, w końcu XV wieku. Gmach ten wznosi się w rogu wielkiego placu Seraskira, obok bazaru Czaarszy, w którym bezustannie wiją się tłumy kupców, kramarzy, cudzoziemców, tragarzy, mleczarzy, handlarzy wody i sorbetników, dzbany swe pod cieniem wyniosłych murów rozstawiających, i przynęcających do siebie gości czarownym dźwiękiem metalowych dzwońców, za każdym przechyleniem naczyńia odzywających się. Kapłani tej świątyni słyną z fabrykacyi kompasów modlitewnych, zwanych *Kiblaname*, które wiernym jak najdokładniej wskazują, w którą stronę twarzą obrócić się mają w czasie modlitwy, by wedle przepisów spojrzenia swe ku Mekce kierować mogli.

Wielki, wysoki portal meczetu odznacza szczególnie piękną robotą w guście czysto wschodnim, w bogate i wykwintne złoceńia ubarwiona. Wierzchem świątynia zwija się w wspaniałą kopułę, na której szczycie wznosi się potężny, złocisty półksiężyc. Z pięknego podwórza widać wieżę ognio-wą, *yanguenkiosk*, stojącą na placu zamkowym, znakomicie wysoką i w górze opatrzoną mnóstwem okien na wszystkie strony miasta dających widok. Ztamtądto, dniem i nocą, straż z sześciu ludzi złożona i co pół godziny zmieniająca się, pilnuje

ściśle gdzie się pożar ukaże i kierunek jego natychmiast wskazuje.

W tak olbrzymim mieście jakie jest Carogród, gdzie oprócz gmachów publicznych i rządowych wszystkie budowle są drewniane, nie dziwne-go, że pożary muszą być częste i że niemasz prawie dnia jednego, aby znacznego zniszczenia nie przyniosły. Straż więc ta nader jest potrzebna i użyteczna: rozbiega się ona bowiem po ulicach natychmiast, jak tylko ogień gdzie wybuchnie i bijąc żelaznymi pałkami o bruk, rozkrzykuje na całe gardło, że gore w tej lub owej części miasta i tym sposobem ostrzega wszystkich mieszkańców, aby się mieli na baczności i wiedzieli z kąd im niebezpieczeństwo zagraża.

Podwórze meczetu założone kramami przekupników, sadowichych się pod sklepieniami giętkich arkad lub w cieniu drzew palmowych, i w milczeniu wycekujących amatorów na towar sw. Jeśli kłótemu przyjdzie ochota wypocząć sobie z godzinką w kawiarni, jedynym miejscu zabawy publicznej dla Turka, to zarzucając tylko na przenośny sklep swój kobierzec lub jaką płachtę, najzupełniej spokojny o bezpieczeństwo swej własności, zostawia ją bez żadnego dozoru. I chociaż nierzadko wydarzają się w Carogrodzie kradzieże, to nie zdarzyło się jednakże, aby tego rodzaju zaufanie w szlachetności publicznej kogo kiedykolwiek zawiodło.

Z czterdziestu trzech bram, prowadzących dależej do Konstantynopola, pozostało dziś dwadzieścia ośm tylko. Mniejszych i większych meczetów liczba razem wynosi 5,500. Kościołów wschodnio-katolickich znajduje się tu dwadzieścia pięć, armeńskich trzy, katolickich dziewięć. Łazien publicznych posiada miasto sto trzydzieści, akademij jedenastie, a w tych tysiąc sześćset młodych Turków, kosztem sultana, ćwiczy się w prawie i teologii; szkoła lekarska jest jedna na trzysta uczniów; szkół wyższych czyli *Medresse*, gdzie nauki pobierają się bezpłatnie 518; szkół elementarnych 1,300; bibliotek publicznych 13, a prócz tego wiele barok prywatnych; ale w żadnej z nich nie znajduje się nad 2,000 rękopismów, książek zaś drukowanych nader mało. Nadto, Konstantynopol mieści w sobie kilka karawanserajów, szkołę matematyki i szkołę marynarki, drukarnie tureckie, armeńskie i żydowskie i mnóstwo kawiarni w gu-

ście chińskim urządzonych, do których schodzą się ludzie wszelkich klas i odcieni. Damy tureckie nigdy tam nie uczęszczają, cudzoziemiec zaś bywa dosyć w kawiarni. Muzułmanin nigdy tam nie znieważy niewiernego; jestto jakby uprzywilejowane w jego oczach miejsce dla wszystkich, równie jak łaźnie i balwiernie.

Fabryki miejscowe dostarczają safianu, wyrobów jedwabnych i bawełnianych, kobierce, broń, robotę złotniczą, filigranową i hafty wszelkiego rodzaju. Handel cały odbywa się głównie w bazarach, z których najznakomitszy jest Cjarszu, czyli targ egipski, gdzie znajdują się jedynie towary sprowadzane z Kairu, a mianowicie kruszce i leki. Kuśnierze, szewcy, fabrykanci fajek zajmują osobne dzielnice. Grecy, Armeńczycy i żydzi skupiają w swym ręku cały handel, Europejczycy zostający w stosunkach handlowych z muzułmanami noszą miano *Franków*, a chrześcijanie poddani Porcie *Raizów*. Ludność ogólna wynosi, według obliczeń Hammera 650,000 mieszkańców, a w liczbie tej 200,000 Greków, 40,000 Armeńczyków i 60,000 żydów.

Znieskończonęj liczby ulic olbrzymiego grodu, jedna tylko, od bramy adrianopolskiej idąca, jest dość szeroka, czysta i porządnymi drewnianymi domami zabudowana; zresztą wszystkie inne są niesłychanie wąskie, do jazdy powozów nieprzydatne, brudne, kręte, bardzo rzadko brukowane, i to jak najokropniej. Zewnętrzny widok, miasta, tak piękny i wspaniały, niesłychanie zawodzi oczekiwanie podróżnego kiedy się ten do środka dostanie. Wszędzie obok wspaniałych świątyń i pałaców widzi on biedne domki do chaty podobniejsze, jak do miejskich mieszkań; wszędzie uderza go nieczystość i brzydota, a nigdzie nie napotka ruchu, jakiegoś ożywienia, rozbudzenia duchowego. Zaledwie noc zarzuci czarny całun na ten potężny gród, zasiany niezliczonym mnóstwem chat drobnych i gruzami pogorzeliisk z każdego kąta wyzierających, cisza straszna, grobowa, zalegała te wszystkie kręte, wążuchne, niżemnie oświecone uliczki, a tysiące psów wałęsa się po nich ponuro, pożerając chciwie wyrzucone z domów resztki pożywienia.

Ale nieczem ten obraz zwyczajny w porównaniu z postacią miasta w owe skwarne dni lata, kiedy straszna zaraza morowa mury jego nawiedzi.

Wszystkie domy się wtedy wyludniają, każdy się zamyka w sobie, od drugiego strony; przesuwają się po ulicach grobowe tylko mary jakieś, ustępujące sobie wzajemnie i omijające się zdaleka przy spotkaniu. Straszna, okropna chwila! Wszelka czujność władzy ustąpić musi przed przerażającym widmem śmierci na każdym się kroku snującej; dawne zawiści, hamowane długo namiętności występują na jaw rozuzdane, i jakby na domiar zgrozy, łączą okropności swoje do dawnych morderczej plagi. Co tylko możniejszego znajduje się w mieście, wszystko wyjeżdża w okolicę na wille czyli letnie mieszkania, których tysiące, jakby nadobne gniazdeczka wśród zieleni i kwiecica usłane, kupi się wokoło stolicy. Tam zamykają się szczelnie oszczędliwi posiadacze, okadzają się co chwila, zabezpieczają wszelkimi sposobami, i wszelką styczność z ludźmi innymi zrywają. Nędzniejsza ludność z wiarą swą w nieubłaganą fatalność bez strachu, a nawet baczności, stawia czoło groźnemu napastnikowi, i gorzko uraga nikczemnej tohórliwości tamtych, a mianowicie też zamieszkujących tu stale chrześcijan, którzy szczególnie odznaczają się niewypowiedzianym upadkiem ducha w podobnych chwilach.

Wspomnieliśmy o willach, i bez tej wzmianki nie byłby dokładny wizerunek stolicy, która nas tu zajmuje. Letnie bowiem mieszkania w okolicy, wraz z przedmieściami ozdobnemi, których jest 16, nie licząc na azyatyckiem wybrzeżu położonych, stanowią jakby dopełnienie samego miasta, ale dopełnienie nader ważne i bez którego obejść by się było niepodobna. Wyliczać tych przedmieść nie będziemy. Galata znane ze swego malowniczego położenia na przykładu. Pera tąd że wyłącznie przez Europejczyków zamieszkane i stanowi jak gdyby najucywilizowaną dzielnicę stolicy Wschodu Europy. Skuturi i Kazikri leżą na drugiej stronie cieśniny w Azji, i cudnie piękny przedstawiają widok z wybrzeża, ożywionego zawsze znacznym ruchem, gdzie 200 przeszło statków dziennie krąży z jedną na drugą stronę kanalu.

Publicznych przechadek ani ogrodów Turcy wcale nie znają, i niepotrzebne im to; bo bez płci pięknej, tej głównej ozdoby wszystkich zabaw towarzyskich, cóżby im z nich przyszło? Cementarze zacienione palmami i cyprysami, zasiane białymi głazami grobowymi, ale nie tak jak nasze poziomo

kładzionemi, a przeciwnie pionowo i wysmukle sterczącemi, stanowią jedyne miejsca, gdzie Turcy zachodzą czasami rozmyślać na świeżem powietrzu; i kobiety odwiedzają je często, ale zawsze otulone szczelnie po same czoło, że nikt i spojrzaniem właściciela ich ukrzywdzić nie może. Największą uciechą, jako *partie de plaisir*, jest dla Turka wsiąść w czółno i kołysać się powolnie po falach czystego morza przezrocza; przyjemności tej latem używają często, i uważają ją za najwyższą i najlepszego tonu.

Zpomiedzy wielu miejsc i wiosek, wybieranych na letnie mieszkania, wspomnim tylko wioseczkę *Istinię*, której precudny widok rycina nam przedstawia. Uroczę to ustronie leży nad brzegiem Bosforu i jasnije wszystkimi wdziękami na jakie bogata natura zdobyć się może. Cieniste pysznych drzew konary osłaniają opieką swą czyste, przezroczyste, rozpryskujące się wody fontann, ręką człowieka w przepyszne marmurowe wanny i ozdoby przystrojonych. Morze jasne jak kryształ, dalekie i gładkie, zachwycia oko widza, w oddali sprostregającego na drugim brzegu dziką jakąś, skalistą i nieprzychylną okolicę. Przy samym kanale, gdzie się główna ulica wioski kończy, śród olbrzymich drzew i czarownego widoku, stoją dwie na osobnych tarasach, zalotnie usadowione kawiarnie. Czółenka pływają po małej zatoce wlamującej tu brzegi, białe ich żagle migocą, osłonięte od stóp do głów kobiety przesuwają się jak cienie, luby wietrzyk szemrze po zielonych drzew liściach, złożonych po przepysznych sklepach owoców woń upajająca się rozchodzi: słowem, wszystko zachwyca tu podróżnego, który z ciasnych ulic Konstantynopola w torzokosne ustronie się dostanie, i wszystko, drażniąc lubo nerwy, pociąga go do rozkoszowania się owem *dolee far niente*, do którego klimat miejscowy tak przeważnie usposabia.

Wielu bardzo bogatych kupców greckich zamieszkuje tę słiczną wioseczkę, mieszcząc się wladnych, pstro malowanych domeczkach, otoczonych zielenią i kwieciami, a ciągnących się długą ulicą po pochyłości pagórka, na którego wierzchu szumi piękny i okazały ogród Achmeta Paszy,

Obok tego ogrodu, i w połączeniu z nim, leży spory laszek, poprzerzynany sięcią dróżyn krętych, gdzie piękne Greczynki lubią używać przechadzki wśród dzikiej natury i w malownicze gromadząc się grupy pod cieniem drzew dzikie wypiewują piosenki, gwarzą i śmieją się swawolnie

Dopóki uczony Hammer nie zbadał dokładnie tajemnic życia wielkiego państwa i stolicy jego, której opisaniu dwa obszernie tomy wyłączenie poświęcił, mało był znany w Europie Carogród. Lepiej zapewne i więcej od innych znali go Polacy, których posłowie gród ten często odwiedzali i ciekawych tam przygód niejednokrotnie doznawali. Za panowania Stanisława Augusta szlachcic Józef Mikosza, z polecenia królewskiego i od departamentu spraw zagranicznych odebrawszy stosowne instrukcje, zwiedzał kraj turecki i stolicę jego. Za powrotem, napisał obszernie dość dzieło dwutomowe pod tytułem: „*Obserwacye polityczne państwa Turckiego, rządu, religii, sił jego, obyczajów i narodów pod témże żyjących panowaniem, z przydatkiem myśli partykularnych o człowieku moralnym i o edukacyi krajowej, przez Jmość pana Mikoszę w czasie mieszkania jego w Stambule.*” Ciekawe jest bardzo to dzieło, piórem prawego obywatela kreslone, który przestrzegając zawsze dobra kraju, wytyka wady swych ziomków, niedbałość ich na wspólną korzyść, i wykazuje jakby wiele zysków ciągnąć można z dobrze urządzonych stosunków handlowych i przemysłowych z Turcyą. Pilnie śledzi okiem pocziwy i rozsądnym szlachcicem wszystko, co mu się ważniejszym wydaje w życiu Turków, dziwi się nieraz ich instytucyom i porządkowi, i za przykład je swoim stawia. Prostota, prawosć i żywe serce autora ujmują dla niego czytelnika, który ze słów jego widzieć może smutny stan kraju, za który surowo strofuje i przestrzega. Dziełko to wyszło u Gröla w roku 1787. Mamy prócz tego w pięknej podróży księdza Hołowińskiego do ziemi świętej, cały tom pierwszy tego szacownego dzieła poświęcony szczegółowemu i dokładnemu opisowi Konstantynopola, do którego, chcących bliżej obznajmić się z jego osobliwościami, odsłamy.

DOŚWIADCZENIA ROBIONE W PARYŻU I PETERSBURGU

Z OŚWIETLANIEM GALWANICZNEM ULIC.

Z doniesień czasopisowowych wiadomo, że roku 1845 PP. *Déleuil* i *Argéraud* w Paryżu robili doświadczenia z oświetlaniem galwanicznem ulic tego miasta. Cała rzecz polega na tém, co już więcej jak trzydziści lat jest znanie, żeby za pomocą galwanicznego stosu rozżarzyć węgiel, i w rozpaleniu tém, ciągle go utrzymywać. W tym celu, kawałek węgla, nakształt ołówka zastrugany, ażeby się nie spalił, trzyma się w bani szklanéj, z którój wypompowano powietrze, a druty stosu, w pobliżu stojącego, idą do niego, umyślnie na to zrobionemi sztykami bani.

Tym sposobem oświetlono dawniejszy *Place de la République*, teraz *placem republikańskim* zwany. Plac ten oświeca pospolicie sto lamp gazowych, których 50 zgaszono, gdy doświadczenia z światłem galwanicznem robić miano: połowa więc placu w grubéj była pogrążona ciemności. Banią z pomienionym węglem postawiono na jednym z gmachów plac otaczających: stos był na dole z 200 ogni włożony, a druty od niego do bani szły w górę. Gdy się rozżarzył węgiel tak mocne powstało światło, że o 260 łokci można było doskonale czytać. Światło to jest 30 razy mocniejsze od *Drumontowego*, czyli od owego światła, przy którym doktor wędrowny, niemiec, okazywał wieczorem r. 1838 w hotelu Wileńskim w Warszawie dziwne dla publiczności przedmioty za pomocą dziwniejsze, bo Hydro-oxygengaz-mikroskop przezwany *drobnowid*, czyli mikroskopu. Światło to pochodziło od płomienia gazu wodorodnego, tego samego, co się zjawia przy krzysiwku platynowém; tylko u *Drumonta* wodoród palący się, jest skierowany na kawałek wapna, i czystym kwasorodem, zamiast powietrza poddymany. Wiadomo jest, że bez powietrza, czyli kwasorodu w niem zawartego, ani ogień, ani życie zwierząt utrzymać się nie może. Wapno tak się w płomieniu wodorodu rozognia, że światła jego oczy znieść nie mogą, a płomień świecy rzuca w niem cień na

ścianę, lub téj podobny przedmiot. Moc światła galwanicznego zwyczajnego, to jest, takiego, jakie w czasie doświadczeń otrzymano w Paryżu, jest tylko cztery razy od słonecznego słabszą, ale zdołano tak wszystkie dobrać okoliczności, że siła oświecająca promieni słońca, okazała się tylko 2 razy od niego większa.

Porównyując znowu moc tego światła z lampami gazowemi, używanemi po ulicach, i ze świecami stearynowemi, okazało się, że siła jego świecąca, wyrównywa 250 lampom, a 2 tysiącom przeszło stearynek; i wtenczas wydatek na utrzymanie stosu 17½ tylko złp. na godzinę wynosi.

Późniejsze doświadczenia okazały, że i platyna wyciągnięta na blaszkę, tak cieniuchną, jak gaza, tę samą posiada własność, co węgiel, to jest, tak się jak on, rozpala od stosu, i na téj zasadzie wzięto już w Anglii kilka patentów, na oświetlanie galwaniczne miast.

Ten sam *Argéraud*, który w Paryżu pomienione doświadczenia robił, podług doniesień jednego podróźnego, wykonał je także r. 1849, łącznie z p. Jacobi na wieży admiralicji w Petersburgu. Stos do tych prób, składał się ze 185 ogni, którego pewne części, pomieniony *Argéraud* ze stolicy Francji sprowadził. Światło tu otrzymane tak było mocne, że choć noc była pogodna, i niebo gwiazdami zasiane, stojąc jednak bokiem do ognia galwanicznego, można było w powietrzu promienie jego rozeznąć, tak jak promienie słońca, szczupłym otworem do ciemnicy wypadające. Domy stojące od niego w odległości o 300 do 400 kroków, tak jasno oświecone były, że na nich siedzącą muchę widzieć można było. Światło lamp gazowych wydawało się przy niem czerwone i zaćmione. O 500 kroków światło gazowe cień jeszcze wyraźny rzucało, dalej dopiero żadnego już dostrzedz nie było można.

— BAWELNA.

Bawelna od początku bieżącego stulecia tak ważnym stała się przedmiotem handlowego i fabrycznego przemysłu, iż mało się znajdzie roślin, więk-
sze obecnie pod tymi względami mających od niej znaczenie.

Najpięrszą piśmienną o tej roślinie wzmiankę znajdujemy w Herodocie. (450 lat prz. n. Chr.) Mówiąc on, że w Indjach rośnie dzikie drzewo, wydające pewny rodzaj wełny przedniejszej od wełny owczej, że z niej mieszkańcy tameczni robią sobie odzież, zdaje się właśnie rozumieć przez to bawełnę.

Do krajów południowej Europy dopiero skutkiem wypraw krzyżowych uprawa bawełny rozszerzyła się powoli, a obecnie widzieć ją już można także w Hiszpanii, Sardynii, Sycylii, Neapolu i na wyspie Malcie.

Roślina *Gossypium*, z której mamy włókno, bawełnę, należy do familii *Sztazu*, i bardzo wiele liczy gatunków i odmian, które jużto są niskimi drzewkami, już krzewami, ziołami trwałymi, a nawet rocznymi. Właściwą ojczyzną tej rośliny są kraje międzyzwrotnikowe; z tém wszystki-
m, jej uprawa rozciąga się już daleko za zwrotniki, na południu aż do przylądka Dobrej Nadziei i Nowo-południowej Walii.

Zpomiedzy różnych gatunków najwięcej znane są:

Bawełna zielna (*G. herbaceum album*) ziele roczne, w północnej Ameryce zwane *Upland cotton*, z zielonemi nasionami, uprawia się w północnej Ameryce, a szczególniej na Wschodzie, w Indjach Wschodnich, w Egipcie, Syrii, Maléj Azji, Grecyi, południowych Włoszech, na wyspie Sycylii, i w południowej Hiszpanii; zdarza się także widzieć ją tu i owdzie w Niemczech i u nas, ale tylko w cieplarniach, w których kwitnie i nasiona wydaje. Bawełna czarna (*G. nigrum*, Sea-Island-Cotton) z czarnem nasieniem; szczególniej dobra i dla długiego, delikatnego włókna bardzo poszukiwana.

Bawełna religijna (*G. religiosum croceum*), nankin; czerwono żółta: rośnie dziko w Indjach Wschodnich i Chinach, gdzie wyrabiają z niej

żółto-czerwoną tkaninę, znaną u nas pod nazwiskiem nankinu.

Bawełna drzewna (*G. arboreum*), która znajduje się wprawdzie w Indjach Wschodnich, szczególniej jednak z bawełną barbaadeńską (*G. barbadense*) i szerokoliscią (*G. vitifolium*) upowszechniona jest w Ameryce południowej i w Zachodnich Indjach; — tu, a nadewszystko na wyspach francuzkich, najwięcej jest bawełny kosmatéj (*G. hirsutum*), a na Portorico bawełny gronkowej (*G. racemosum*).

Bawełna roślina wymaga żyznego, starannie uprawionego gruntu; doszedłszy trzech stóp wysokości, kwitnie i wydaje pełne włókna główki, poczem zbiór bawełny następuje, grunt podobuje się, uprawia i znowu zasiewa. Na dobrze ugnojonym i uprawionym gruncie, daje na rok kilka zbiorów.

Liście rośliny bawełny podobne są do liści winokrzewu, 3 — 5 klapkowe, połyskownie zielone, z jasno-szaremi żeberkami, spodem czarno-kropkowane, gruczołkowate; kwiaty wielkie, pięknej barwy, po największej części żółtawe, bardzo krótkotrwałe. Owoc trzy do pięciu przegródkowy, wielkości niemal kurzego jaja, z drzewiastą do pomarańczowej skórki podobną pokrywą, która za dojrzaniem nasienia otwiera się i wywija delikatną, jak śnieg białą lub żółtą bawełnę. Ziarna nasienia leżą w owocu obwinione najdelikatniejszym puchem, i po jego otworzeniu się, bardzo daleko z tymże puchem przez wiatry zanesione być mogą. Jedna osoba zbierać może dziennie przeszło sto funtów bawełny; zbiera się tylko za pogody, gdyż produkt ten powinien być, ile możliwości, czysty. Odlęcza się bawełna od nasion dopiero wtedy, gdy są zupełnie suche.

Tysiąc funtów (blisko 1120 funtów pol.) z jednego akra (216 prz. pols.) uważa się w północnej Ameryce za najlepszy zbiór; za średni uważają 500 funtów.

W produkcji bawełnianego włókna, największą przedstawiało trudność, oddzielenie go od nasienia, którego ziarna zawsze są zawinięte w bawełnie, która się ich mocno trzyma, i dlatego bardzo ważnym jest wynalazek maszyny, zwanéj



Cotton-gin, za pomocą której oswobodzi się włókno od nasienia. Wynalazcą jej był *Elias Whitney* z prowincji Massachusetts. Roku 1792 osiadłszy w Georgii, początkowo był on nauczycielem szkoły elementarnej. Za pomocą tej maszyny obracanej wodnym kołem o sile dwóch koni, jeden człowiek może oczyścić na dzień 5,000 funtów nasienia bawełny.

W handlu oceniają bawełnę według koloru, długości włókna, jego cienkości i mocy; uważa się przytém na sposób jego upakowania. Kolor biały jest pewną cechą drugiego stopnia dobroci, zaś żółty lub żółtawy oznacza zwykle delikatniejsze włókno.

Niewiadomo kiedy zaczęto używać bawełny na tkaniny. Wszystkie dotąd munie egipskie znajdowano zawsze zawinięte we lniane płótna. Chińczycy znają ją dopiero od tysiąca lat, a fabrykacja jej niedawniej jak od r. 1280 wprowadzona tam została z Indji Wschodnich. Rzecz pewna, że najdawniejszym, a i teraz jeszcze najużyteczniejszym rodzajem bawełnianej tkaniny jest ten, który jest znany pod arabskim nazwiskiem *Katun*, a którego robota wynaleziona została w Indjach, gdzie po dziś dzień wyrabiają tę tkaninę różnej cienkości, już białą, już drukowaną lub malowaną. Tam dotąd jeszcze wszystkie roboty około bawełnianych tkanin odbywają się ręcznie; w Europie zaś oddawna już weszły w użycie maszyny i od czasu wynalezienia przędzalni (1770—80), nie tylko nadzwyczajnie wzmaczać się zaczęły bawełniane rękodzielnie i fabryki, ale i wyroby bawełniane coraz bardziej usuwać z użycia inne materje.

Wynaleziony 1530 r. w Norymbergu przez *Jürgena* kołowrotek długo był jedynym narzędziem, którego, obok przęśnicy, korzystnie do przędzenia używano. W r. 1767 *Ryszard Hargreaves* udoskonalił przędzalnię, która jeszcze była bardzo niedokładna. Podstawą jednak wszystkich przędzalni jest właśnie dopiero podana przez *Arkwright'a* w r. 1769, która działała na zupełnie tak, jak palce prądków. Rozmaicie ulepszona, dotąd jeszcze powszechnie jest używana.

We Francyi zaprowadził przędzalnię minister Calonne 1787 r.; najwięcej jest ich teraz w Rouen, Paryżu, w Mühlhausen, St. Quentin, w Lille i t. d. Szwajcarya dobrą daje prądze; najcieńsze

jednak gatunki sprowadzają z Anglii. Niemcy co do dobroci przędzy prawie nie ustępują Anglii.

Ilość wrzecion poruszanych siłą wody, ludzi, zwierząt lub pary, ledwo do uwierzenia wielka. Według statystycznych podań, sama Anglia ma ich 14 milionów; we Francyi liczą ich 3,500,000, w północnej Ameryce 2,300,000, w Austrii 1,500,000, w krajach związku niemieckiego 8,150,000, w Rossyi i Polsce 700,000, w Szwajcaryi 650,000, w Belgii 420,000.

Z wielkiem pomnożeniem się przędzalni powiększyć się musiały koniecznie produkcja bawełny, której głównem polem stały się Zjednoczone Stany północnej Ameryki. Rozpoczęto tam roku 1776 uprawę bawełny, a już, według urzędowych podań w roku 1847 zbiór jej wynosił 1,041,500.000 funtów.

Wartość wywozu bawełny ze Stanów Zjednoczonych w ostatnim roku, na pieniądze obliczona, wyniesie 585 milionów zł. polskich. Ma się rozumieć że surowy ten produkt po największej części idzie na potrzebę fabrykacji Anglii, która w r. 1790 spotrzebowała bawełny 30,600,000 funtów, a w r. 1840 do 575,400,000 funtów.

Wartość sprowadzonej w r. 1838 bawełny surowej wynosiła 12,450,000 funtów szterlin; wywieziono przędzy za 6,220,000 funtów szterlin; innych bawełnianych wyrobów za 11,750,000; w samej Anglii zużyto za 12,000,000 f. szterlin. Zatem ogólna wartość wyrobów wynosiła około 30,000,000 f. szterlin; zysk więc 18 milionów f. szterlin. czyli przeszło 750 milionów złp. pol. stał się własnością Anglii. Obecnie już szacować można ogólną wartość bawełnianej produkcji w Anglii na 40 milionów funtów szterlin. Przynajmniej dziesiąta część tamecznej ludności winna swoje utrzymanie tej gałęzi przemysłu, a z jej upadkiem los najmnij pół miliona mieszkańców byłby zagrożony.

Braknie nam wprawdzie pewnych podań, iżbyśmy mogli oszacować, choć w przybliżeniu, ogólną produkcję uprawionej roli rocznie pod bawełnę, gdy się jednak zważy, że pewno większa liczba ludzi odziewa się raczej bawełnianie, niż innego rodzaju sukniemi; że uprawa bawełnianej rośliny ma miejsce w Indjach Wschodnich, w Chinach i Japonii, w owych tak ludnych krajach, wtedy się pewno nie przesadzi licząc ogół

rocznie zbieraną bawełny na 2,000 milionów funtów, wartości 3,000 milionów zł. polskich.

Co do rycin na załączonej tu tablicy, te wyobrażają. Fig. a) Roślina bawełniana w Mississipi. b) Dopiero rozwijający się kwiat. c) Kwiat zupełnie rozwinięty. d) Główna owocowa. e) Główna owocowa otwierająca się. f) Główna owocowa otwar-

ta, którą już obierać można. g) Poziome przecięcie zielonej główki owocowej. h) Przecięcie pionowe takiej główki; w obydwóch widać nasiona w bawełnę obwinięte. i k) Ziarna nasienne naturalnej wielkości. l) Kielich z dopiero rozwijającą się główką nasienną, z której: m) zdjęte zostały części upładniające. n) Listek kielichowy.

LAMA WIGONIA.

Wigonia (*Auchenia Vicunna*) nie dorasta wielkości ani gwanaho, ani przyswojonych jego odmian, i w ogólności delikatniejsza jest zbudowana. Jej nogi są cieńsze, szyja długa, łabędziowo wy-

gięta, szerokie mniej wypukłe czoło, głowa krótka szczupły pysk, duże oczy i uszy. Ciało $4\frac{1}{2}$ stóp długie, ogon nie przechodzi 10 cali, a uszy mają 4 cale długości; wysokość w łopatkach wynosi $2\frac{1}{2}$ stopy.



Ciało Wigonia w większej części, okryte jest bardzo delikatną, miękką, jedwabnego połysku, czerwono-brunatną czyli płową, a na wyższych członkach przednich nóg i na udach jasno brunatną,

1-3 cali długą wełną; nie ma wcale dłuższych włosów; dolne części dosyć zgrabnych z nóg są gładkie, krótką siercią pokryte, brzuch zaś i wewnętrzna strona uda zupełnie są gołe.

Wigonie żyją małemi stadkami w najwyższych, najdzikszych, ze śnieżnemi liniami graniczącymi okolicach go Kordylierów w północnem Chili i Boliwii, a swemi obyczajami przypominają europejczykom ich antylopy skalnice. Również są płochliwe, również zdolne umykać po najniebezpieczniejszych skalach, gdzie ich żaden myśliwiec ścigać nie zdoła, i tam ucieklszy, jakkolwiek są bezpieczne, jednakże jeszcze są lękliwe i czujne. Ztémwszystkiem jednak, wprawni Indianie to-wietwem się trudniący, tyle ich rok rocznie wybijają, iż obawiać się zaczęto zupełnego ich zagładzenia. W tamtejszych krajach, gdzie polowanie żadnemi prawami nie jest ścieśnione, nie-

szkanie woli raczej szukać wigoni w górach, wo-li narażać się na niebezpieczeństwa, znosić wieloraki niedostatek i podejmować trudy, niż próbować przyswojenia, które, jak się zdaje, udało-by się równie dobrze, jak niegdyś przyswojenie gwanaho. Welnę wigoni szacują w Peru dosyć wysoko, i robią tam z niej już to kapelusze, już też odzież zimową. Małemi tylko częściami pokazują się ona w handlu europejskim. Rzadko także sprowadzają do Europy żywe wigonie; w Peru nawet przyswojone liczą się do osobliwości, chociaż przywiązaniem do ludzi, nadobnością postaci i żywymi, pojętności dowodzącami oczyma zalecają się na domowe zwierzęta.

OBRAZY Z OKOLIC PRZYBIEGUNOWYCH.

Cztery lata już upłynęło jak wyruszywszy z portów angielskich pod dowództwem kapitana *Franklina*, druga wyprawa morska w celu zwiedzenia okolic przybiegunowych, żadnej o sobie nie daje wiadomości. Los tego żeglارza i jego towarzyszków wzbudza współczucie nie tylko narodu angielskiego, ale i całego ucywilizowanego, a szczególnież też naukowego świata. Oce-niając je rząd Wielkiej Brytanii, i dla uspokojenia troskliwości osieroconej żony Franklina, wysłała nowe wyprawy dla wyszukania zaginionej. W tymże celu gotują się do podróży różnemi drogami i prywatne wyprawy z Anglii, a jeszcze ich więcej ogłasza się ze Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki. Wnosząc nadzwyczajnych przygotowań, mianowicie przeszłorocznej rządowej wyprawy angielskiej, spodziewać się należy pomyślnego skutku, to jest: wynalezienia wyprawy *Franklina*, albo, w razie jej zagłady, ważnych odkryć i wiadomości geograficznych, naukowych o północnych okolicach kuli ziemskiej.

Nim to nastąpi, zamieszczamy tu godne uwagi czytającej publiczności, wyjątki z pisma: „Dziennik najnowszych podróży.” — Przedstawiają one charakterystyczne obrazy natury okolic przy-

biegunowych, usposabiają do pojęcia odwagi, trudów, poświęcenia ludzi puszczających się na tego rodzaju wyprawy; przenosząc tam naszą wyobraźnię, uczą jak wielka i chlubna odywieja ich musi żąda rozszerzenia wiadomości ludzkich!

Następstwu zimy w krajach przybiegunowych towarzyszy wiele zmian i zajmujących zjawisk. Już w pierwszych dniach sierpnia śnieg tam padać zaczyna, i przed nadejściem października już na dwie lub trzy stopy grubo ziemię okrywa. Płynące do morza i zatok wody w rzekach, strumieniach, lub ściekające ze stopniałych mass śniegu, głęboko zamarzają. Gdy się mróz wzmacza, unosząca się w powietrzu wilgoć opada w postaci mgły, która zaraz marznie, tworząc siatkę nici lub delikatnych, ostrych ości lodowych, które wszędzie powietrze zapelniając, tak są cienne, ostre, iż zdaje się, że przez skórcie ciało wskrós przenikają. Niczem jest u nas sadz w porównaniu do owej, która tam wtedy fantastycznie i suto okrywa wszystkie wystające i wyższe na ziemi miejsca. Z całej powierzchni morza kurzy się para jak z wapiennego pieca. Zjawiska tego, zwanego tu mroźnym dymem, przyczyną jest, jak wszędzie indziej, różnica tempe-

ratury między powietrzem a wodą, która w morzu zawsze jest od powietrza cieplejsza.

Po takiej jednak mgie wypogadza się, wyjaśnia i oczyszcza powietrze, co zapowiada, że już woda morza oziębiła się do tegoż co i unoszące się nad nią powietrze stopnia; wkrótce też wody okrywają się lodem, w ciągu jednej nocy częstokroć na kilka cali grubym. Noce coraz dłuższe, a narazie gruba, kiedy niekiedy tylko słabym blaskiem księżyca przerywana ciemność zalega skrzepie mrozem kraje; sęto pomigi, przy których okropniejszemi jeszcze wydają się północne pustynie i dzikie ich sceny. Biedni tamtejsi mieszkańcy, okryci w skóry niedźwiedzie, tuląc się w chatach, około pieca lub lampy, zatykając trokskliwe najniższe szparki, któreby wiskać się mogło zimno, przepędzają w nich noc kilkuniesięcną. Szczupły zapas ich żywności, choć obok nich w tém samym mieszkaniu zachowany, tak częstokroć marznie, iż siekierą rąbając w kawałki musza. Całe mieszkanie wewnątrz pokrywa zamróz, gruba warstwa szronu, a gdy otworzą na chwilę okno, zaraz wilgoć z zamkniętego powietrza opada w postaci śnieżnej rosy.

Gdy nastaną cięższe mrozy, słychać tu i owdzie w dali z loskotliwym trzaskiem pękające skały. Całą naturę zdaje się krepować sen śmiertelny, wszystko odrętwiałe, ponure; głos, w zimnej porze roku dalej i mocniej niż w cieplej słyszc się dający, tu i owdzie przerywa grobową ciszę, ciszę zupełne różną od spokoju uprawnej, zamieszkałej życiem okolicy. Na wyspie Melville, w zimie, na milę rozmowę słyszc można. Zależy to wprawdzie, po większej części od zimnego powietrza, główną jednak przyczyną jest zupełny brak dźwięku, głosu, ruchu, życia, któreby mieszać mogły głęboki, powszechny pokój martwej pustyni.

Wyspę Melville odkrył kapitan angielski Parry d. 4 września 1819 r. On i jego towarzysze usiłowali przedrzeć się dalej, ale ich wstrzymały lodowe zapory. Czekali dwa tygodnie w nadziei, że się uda przełamać zawady, ale już 20 września wprawdzie okropnem znajdowali się położeniu. Woda gwałtownie marznąć zaczęła, mocniejszy tylko wicher, wnoszące fale, gdzieniegdzie jeszcze łamał ścinające się lody. Widział już dowódzca wypawy, że zamarznąć na otwartem morzu na dłu-

go wypadnie. Nie pozostawało więc, jak wracać spieszenie na zimę do przystani wyspy Melville. Po niesłychanych dopiero trudach i pracach zdolano zawinąć dnia 24 września do zachodniej, dosyć bezpiecznej zatoki rzeczonoj wyspy; w tymto powrocie dwie mile drogi wciąż wpośród lodów morskich torować sobie musiano. Ledwo wystawić sobie można, jakie cała osada podejmowała trudy i pracę. Ustawwszy się we dwa równoległe szeregi na lodzie, majtkowie jedni pilowali go w mniej więcej wielkie bryły, drudzy zaś, uzbrojeni w długie bosaki, spychali opilowane i potluczone szlaki; a tak okręty, w miarę otwieranej drogi, postępowały. Wiedziąc bowiem trzeba, że wybierający się w podróż ku północnemu biegunowi, opatrzyć się zabierają z sobą wszelkiego rodzaju narzędzia, maszyny i obmyślane jużto fizyczne, już mechaniczne środki do łamania i kruszenia lodów.

Najlepiej do podróży na otwartych morzach opatrzony okręt nie byłby jeszcze dostatecznem schronieniem dla ludzi podczas zimy w krajach przybiegunowych; potrzebuje on tam nadzwyczajnej troskliwości, żeby w nim osada tę porę wytrzymać mogła. Dla tego zewsząd lodem aż do pokładu okryć go należy. Czasami budują sobie majtkowie na lodzie baraki z zestawionych porządnie, jak ciosowy kamień, wypilowanych brył lodowych, które, zamiast tynku używanego do spajania cegieł, ład kamieni, polane wodą, przedko spajają się w tęgę, wytrwale ścianę, a z temi będąc przewodnikami ciepła, chronią od dokuczliwych mrozów, i, jako przezryste, światło przepuszczają.

Dowódca wypawy biegunowej w r. 1819, kapitan okrętowy Parry, przymuszony będąc do zimowania na wyspie Melville, dołożył wszelkich starań, aby uniknąć niebezpieczeństw, którym częstokroć, nawet pod mniejszą szerokością, podlegają zimujący w krajach przybiegunowych. Wypadało najprzód oszczędzać, ile można, opału, albowiem w małej ilości znaleziony na wyspie mech i torf, były za mokre izby używać ich było można. Ustawwszy więc na środku kajuty aparat do gotowania i pieczenia, kazał go ciągle opalać i utrzymywać w nim umiarkowany stopień ciepła; pomimo to jednak, w całym tém mieszkaniu, na ścianach, sprzętach, jako też na łóż-

kach osiadała i zamarzała para z gotujących się naczyń, a nawet z oddychania ludzi pochodząca; wszystko się pokrywało szronem i lodem, tak, iż służba okrętowa zatrudniona być musiała po całych dniach czyszczeniem mieszkania i wszystkich w nim ruchomości.

Niedosyć było opatrzyć osadę w potrzeby ciała, wypadło także zajmować ich umysł, i utrzymać dobry humor, bo jeżeli to głównym bywa warunkiem zdrowia na stałym lądzie, w wygodniejszym bycie, a témci bardziej na morzu, w pośród polarnej strefy. Obmyślał kapitan jedne po drugich gry, zabawy, aby ludzie weselęj i znośniej przykry czas przepędzić mogli.

Dnia 4 listopada, według wyrachowania wyprawy, przypadał na ową szerokość zachód słońca; wszyscy chcieli się mu po raz ostatni przypatrzeć i pożegnać je na długo; ale gęsta mgła przeszkadzała. Przy rozmaitych zatrudnieniach, przy zabawach i rozmowach, schodził najprzykrzejszy czas nieustannej nocy; znowu, uważając podług zegaru, spozstrzegali żeglarze, że około południa świtać zaczynało.

Atoli do 28 stycznia nie można jeszcze było gołym okiem dojrzeć żadnej stałej gwiazdy; dnia 1 i 2 lutego pokazało się znowu słońce na horyzoncie, ale tak było wokoło nad ziemią powietrze mgliste, iż tylko z wierzchołka najwyższego masztu zobaczyć je było można. Przez całą zimę, za świtania, oficerowie mieli zwyczaj odbywać codzienną (co 24 godzin) dwu lub trzygodzinną przechadzkę; nie chodzili daleko z obawy, aby ich w drodze nie zaskoczyła i nie zasypała śnieżna zawierucha. Byłoby najjednostanniejszą, najnudniejszą przechadzką, jaką może kto w owym czasie odprawiać mógł na całej kuli ziemskiej. Razącej białości śnieżna ścieżka przez ląd i część morza, to był plac zimowego spaceru; nie tam nie było widać, nie było słychać, prócz sterzących na okręcie masztów, kurzącego się dymu z kominu parowej maszyny i kiedy niekiedy głosu ludzkiego, który, jak powiedzieliśmy, rozlegał się bardzo daleko.

Nareszcie zmieniać się zaczęła skrzepła zimowa scena, lody topnieć zaczynały. Od owego też czasu, to jest od 16 marca, obmyślano już środki wydostania się z przykrych lodowej uwię-

zi, a prace w tym celu podejmowano tak gorliwie, iż 17 maja okręt zupełnie wolny i gotowy do drogi stał na wodzie; wokoło jednak sterczyło niewzruszone morze jak mur. W połowie czerwca pootwieraly się już wprawdzie tu i owdzie kanały, po których małe łodzie przesuwać się mogły, ale przez ten i następny miesiąc wielkie masy lodu okrywały jeszcze okolice morza, tak iż okręt wyruszyć nie mógł z zatoki. Dopiero 2 sierpnia rozpoczęło się powszechne, przy właściwym owej okolicy ruchu, topnienie lodów i rozpływanie się ich po morzu na wszystkie strony.

Osobliże to zjawisko opisują podróżni w następujący sposób: Gdy po wiosennem porównaniu dnia z nocą wznosi się słońce nad horyzont, słabe jego promienie ani ogrzewają, ani oświecają zmarzniętą pustyni. Coraz jednak łagodną ostre mrozy, a w maju, wygodniali w ciągu długiej zimy mieszkańcy, zaczynają opuszczać swe chaty i wychodzić na połów ryb na brzegi morskie. Im wyżej krążyć zaczyna nad ziemią słońce, tém mocniej dogrzewa. Coraz to prędzej niknie śnieg, topnieją lody, i odtajawszy od skał wielkie ich masy, z niesłychanym łoskotem spadają w morze i łamią się. Wtedy ocean, jakby rwąc swe zimowe okowy, łamie się wszędzie ze straszonym trzaskiem. Pogruchothane sztuki lodu poruszając i miotając z falami gwałtowne wiatry, jeszcze bardziej kruszą i rozpraszają. Masy lodu, gdy wprzód rozpedzone wiatrami w różne strony, potem zostaną popchnięte ku sobie z przeciwnych stron, przedstawiają zdziwionemu oku jakby walkę olbrzymów; wzburzone żywioły napotkawszy na drodze choćby najogromniejszy pomnik sił ludzkich, we mgnieniu oka, na drobny go proch kruszą.

Nie okropniejszego wystawić sobie nie można nad położenie nieszczęśliwego okrętu w pośród tak ku sobie miotanych wiatrami lodów; nieawodna czeka go wtedy zguba, od której żadna siła ludzka ocalić go nie może.

Kapitan *Back*, usiłując roku 1837 dostać się na okręcie *Tessor* do zatoki *Repulsa*, przebył kilka takich napadów i opisał okropne uderzenia o jego okręt lodów, które już mocno tajaly; a nade wszystko, wspomina o niebezpieczeństwie jakim mu ostatecznie groziła do pięćdziesiąt stóp wżno-

szęca się nad powierzchnią morską, pływająca ku niemu wyspa lodowa.

Najstraszliwszą atoli walkę wytrzymał tenże okręt ze zgubnym żywiołem dnia 10 kwietnia. „O siódmej godzinie w wieczór— mówi ten sam kapitan —uslyszyliśmy straszny łoskot lodów, od okrętu blisko na milę odległych; wkrótce potem wściekły wichur pędził ku nam bryły, całą zachodnią przestrzeń morza okrywających, piętrzących się lodów; wszystko druzgotało, kruszyły co napotykały. Jak daleko tylko zasięgnąć było wokół okiem, same, jak domy wysokie, masy lodu fale na grzbietach swych dźwigające i o nasz okręt tłukące. Jedną szczególniej bryły, ledwo na 30 kroków od naszego okrętu, napiętrzywszy się, okropną zagrażała nam zgubą. Byliśmy zewsząd otoczeni nieforemnymi, ostrokończystymi bryłami, a sposób był wydobyć się i uciekać. Wyrazić nie zdołam boleść, z jaką przewidywać musiałem nieszczęście tyłu, mojej opiece powierzonych ludzi. Jakkolwiek mocno był zbudowany nasz okręt, to przecież tyle już wytrzymał walk, tak już był skolatany, iż, według wszelkiej rachuby ludzkiej, nie można było mieć nadziei, żeby jeszcze wytrzymał cios, jaki mu teraz groził, i niezawodnie owa noca byłaby dla nas ostatnią, gdyby sama tylko dobroćliwa Opatrzność, w tej już ostatniej chwili, nie odwróciła była od nas nieszczęścia. W tak krótkim czasie, jakiby nie wystarczył mi nawet do opisanja tego zdarzenia, po gwałtownej burzy, nastąpiła cisza, cisza zupełna po całej wokół przestrzeni morza— masy lodu płynęły spokojnie z prądem wody i zostaliśmy tym cudem ocaleni. Warty zostały zwolane, majtkowie mogli być rozpuszczeni na spoczynek, i pewny jestem, że nikt owęj nocy nie położył głowy na poduszce pierwój, aż po gorącym podziękowaniu Bogu, że go ocalił, i noc swobodnie przespać mu łaskawie dozwala. Szczęściem, byłoby ostatnie niebezpieczeństwo, jakieśmy wytrzymać mieli w tej podróży.”

Godnemi, w rzeczy samej, wspomnieniami w okolicach przybiegunowych zjawiskami są: opisane już wyżej góry lodowe i światło czyli zorza północna. Nie jest żadną osobliwością napotkać tam pływające, dwadzieścia do trzydziestu mil w średnicy obszerne wyspy lodowe; czasami nawet rozciągają się na sto mil wokół. Ich grubość wynosi dziesięć do czterestu stóp, z czego jednak

dwie trzecie nurza się zawsze w wodzie. Czasem te masy lodu, wiele milionów centnarów wążące, kręcą się wokół z nadzwyczajną szybkością i potem się jedne o drugie rozbijają. Choćby największa wokół na morzu panowała cisza, zawsze szeptzące się daje w tych lodowych wypach dążność do płynienia ku południowi, a wicher, burze zapędzają je czasami do dwóch tysięcy mil od ich miejsc pierwotnych. Różnej zresztą bywają objętości; jednych obwód ma kilka, nacie sążni, drugich aż kilkuset mil dochodzi, szczyt ich zaś wznosi się częstokroć sto i więcej stóp nad powierzchnią morza. Rozrzucone fale morskie, rozbijając się o te wyspy, obrzucają je pianą morską aż do wierzecholka, porywają je w zamęt swego wiru, i kruszą jak słome; powstające ztąd wstrząśnienie rozchodzi się szeroko, a huk i łoskot, temu zniszczeniu towarzyszący, na kilka mil w około słyszeć się daje.

Pokazanie się zorzy północnej jest jednym z najbardziej zajmujących zjawisk natury; nadaje ono biegunowym stronom jakieś życie, jestto górny uroczy widok, którego w dziele: „Odkrycia i przygody w okolicach przybiegunowych” czytamy następujący opis:

„Niemasz w przybiegunowym świecie, po zachodzie słońca owęj jednostajnej, ciemnej pomroki, jakiejby domyslać się kazał długi brak słonecznego światła. Gdy promienie słoneczne zupełnie znikną z nad horyzontu, gdy nastanie długą zimą, rozwija się zato w przeciwnęj stronie na niebie zajmujący widok ze świetniami, towarzyszącemi mu zwrykle meteorami. Owa osobliwa, świetna luna, spoliczcie zorzę północną (aurora borealis) zwaną, ciągle tamtejszym okolicom przyswieca: o jęj to wspaniałym blasku często kapitan Parry w opisie swęj podróży wspomina. Bywa to niezupełnie regularna, świetna tęcza, którą, gdy spokojne jest powietrze, bardzo wyraźnie widzieć można, lubo ostatnie jęj granice nigdy się dostatecznie oznaczyć nie dadzą; przy najmniejszym zaś ruchu powietrza, długie smugi jęj światła migają się z niezmierną szybkością na wszystkie strony, zawsze jednak rozchodzą się z jednego punktu i ku temuż się poruszają, tak iż całe zjawisko przedstawia podobienstwo trzymanej w ręce i falowato porwanej wstędy. Tak wybiegające w wszystkich kierun-

kach świetne smugi, które krajowcy wesolemi tancerzami nazywają, a które w czasie burzliwym migocą się z szybkością błyskawicy, nie poruszają się, jak dotąd uważano, podług żadnego stałego prawa, a przynajmniej upatrzyć go dotąd nie zdołano. Światło to nadaje całej scenie trudny do opisanja urok; trzeba się mu przypatrzeć zblizka, aby się nie dziwić dlaczego ciemni tamtejsi mieszkańcy uważają te światła za duchy swych przodków, w krainie dusz błagających się."

O naturze zorzy północnej rozmaite już przypuszczano hipotezy. Utrzymywano, że jej zjawieniu się towarzyszy świs i loskot, i kapitan *Parry* właśnie mówi, że nie można wystawić sobie nagłego wytryskania tych świetnych ruchomych snopów bez usłyszenia razem huk; nikt jednak nie słyszał jeszcze najmniejszego szelestu. Uważa się

wprawdzie *Parry*, że nie mógł zbyt długo odsłaniać swych uszu na dojmujące zimno tamtejszych podañ; ale towarzysz jego podróży kapitan *Lyon* zapewnia, że po godzinach stał na lodzie i słuchał, a przecież nic nie usłyszał. Rzucano także pytanie, ażali zorza północna czyni gwiazdy wcale niewidzialnemi, a na to stanowczo odpowiedziano, że tylko blask gwiazd lekko przyciemnia, jakby cienką zakrywając je świetną zasłoną. W czasie pogodnym, zorza rozwija światło, którego skutkiem zdaje się, jakoby toż światło było bliżej ziemi niż chmury; lecz gdy chmury niebo okryją, wtedy już nie widać zorzy, a zatem wyżej niż chmur zdaje się być jej źródło. Kolory zorzy północnej są nader świetne i rozmaite, najżywszy czerwony i czerwono-błękitny wpada w mocno żółty, lub w żółto-biały.

IWOŃICZ I JEGO OKOLICE.

Zagraniczne miejsca słynne ze źródeł uzdrowiających, jeśli nie same, to nazwy ich przynajmniej i własność wód każdego, powszechnie prawie są u nas znane: o swoich zaś, których dzieki Bogu, ogół widać nie tak znów koniecznie potrzebuje, mało co, albo i nie nie wiemy. I nie raz pewnoby się zdarzyło, że Polak szeroko i z uniesieniem rozprawiający o Karlsbadach, Maryenbadach, Gastejnach i t. d. o ich położeniu zawsze cudownym i uroczym i wodach niemniej cudownych i zadziwiających — zapytany o Iwonicz, nie wiedziałby nawet w jakim kraju on leży, a cóż dopiero, jakie posiada skarby i rzadkości. A przecież nie godziłoby się w takim rozbracie ze znajomością własnych rzeczy zostawać. Niemieccy doktorowie powtarzają często, że gdyby u siebie mieli naszą Wisłę, to pewnieby ani jeden Niemiec nie ruszył się ze swego kraju, szukać gdzieś zdrowia po cudzych kątach. Szczodra zawsze względem nas natura nie przestała jednak na udarowaniu nas takim skarbem, za jaki medycynie dadzą się uważać wody Wisły, mamy

i mineralnych źródeł wiele, w skuteczności i sile bynajmniej zagranicznym nieustępujących, ale cóż z tego, kiedy to u siebie; a to co u siebie, to w żaden sposób nie może być tak dobre jak zagraniczne. Busk, Ciechocinek, Druskieniki, Iwonicz, rozrzucone po rozmaitych częściach naszej ziemi, stanowią prawdziwe jej bogactwo i dobrodziejstwo dla chorobami dotkniętych mieszkańców. Ale świetność obcych kąpiel nie dla nich; bo zkadże powstanie? kto się do niej przyłoży, jeżeli sami ziomkowie omijają je będą, przekładając, z trzykroć większym kosztem i niepewnością, szukać dalej pomocy dla zdrowia, a raczej zadowolenia dumy i miłości własnej, dla których moda najpierwszym bożyszczem.

Iwonicz, majątność dziedziczna Karola Hr. Zaluskiego leży w obwodzie sanockim pod 49° 41' szerokości, a 39° 21' długości jeograficznej. Od Lwowa, zkad 25 mil do Iwonicza, jedzie się tu naprzód traktem pocztowym wiedeńskim na Przemyśl, zkad traktem pocztowym węgierskim na Dubiecko, Barycz, Jasiennicę do wsi Miejsce.

Boczna droga od tej wioski wiedzie, wśród najrozkoszniejszych i malowniczych okolic, do naszych źródeł zbawiennych. Minawszy cudnie położony zamek w Krasieczynie, oko nie może się dość nasycić uroczym widokiem Sanu, który w krętych wijąc się załomach, wszędzie w czystych swych wodach pogodny niebies błękit odbija. Powietrze gór wonne świeżością, fantastyczne kształty zalegających w okolo wyżyn, doliny nadobną pokryte zielonością, gęste tu i owdzie lasy; wszystko to przejmując duszę do żywa, zdziwną nasyca ją swobodą i serce przejmując rozkoszą i weselością.

Krasieczyn niegdyś należał do rodziny Krasiech, którą Cesarz Ferdynand godnością hrabiów rzeszy niemieckiej zaszczylił, za wybawienie córki swęj Cecylii Renaty, małżonki Władysława IV króla polskiego z rąk Tatarów; obecnie należy on do księcia Lwa Sapiehy, i pod jego staranną opieką utrzymuje się po dziś dzień piękny i obszerny zamek nad samym brzegiem Sanu położony, któremu dał początek w r. 1592. Stanisław z Sycina Krasicki kasztelan przemyski. Ogromny ten zamek w duży czworobok wzniesiony, kilku basztami i mostem zwodowym opatrzone, należy bez wątpienia do najpiękniejszych i najpoważniejszych pomników przeszłości, jakie nam zawisnę losy i troskliwie zamilowanie dawnych zabytków po dziś dzień przechowały. W VII jeszcze wieku za jeografa Cellaryusza, sławnym już był zamek Krasieczynski. Królowie polscy niejednokrotnie go odwiedzali; Zygmunt III, Władysław IV i Jan Kazimierz lubiący w obfitęj w zwierzynę okolicy łowami się zabawiać, często w nim odpoczywali.

Prócz wielu starożytnych pamiątek i rzadkości znajduje się w zamku piękny zbiór obrazów, z których kilkanaście, wielkiego rozmiaru, zdobi salę jadalną, bogatym sufitem i tak szczególną uwagę zwracają. Zosmnastu tych obrazów wokoło ścian zawieszonych, wyjąwszy sześciu alegorycznych, wszystkie przedstawiają zdarzenia z czasów panowania Zygmunta III i Władysława IV, jako to: piękne oddanie sejmku elekcyjnego pod Warszawą; wjazd Zygmunta do Krasieczyna, potyczkę z Tatarami, w której Krasicki Cecylię Renatę z rąk pogańców wybawia i t. p.

Pod samym już Iwoniczem wznosi się wzgórze nader malowniczo iglastym lasem pokryte, z ką-

oko podróznego sięga daleko w okolicę, porozerzucanemi tu i owdzie wioskami urozmaiconą, żyznemi łąny i bujnemi łąki zdobną. U stóp tego wzgórza biorą początek trzy źródła, których wody uzdrawiające w sobie noszą pierwiastki. Dwa odznaczają się połączeniem jodu i bromu w składzie wód swoich, ostatnie zaś silną przewagą żelaza. Jedno z nich bije wysoko i wydaje z siłą gaz, który za zbliżeniem ognia zapala się gwałtownie; jest to gaz wodorodno-węglisty, świadczący, że znajdują się tu pokłady węgla kamiennego. Powietrze wokoło przejęte mocno tym gazem i naftą, okazało się w licznych doświadczeniach nader zbawienne dla cierpiących choroby płucne.

Z wyniosłości tegoż wzgórza widać miasta Rymanów, Krosno o półtory mili odległe i ponure zwaliski okazałego niegdyś zamku Odrzykońskiego. Był to kiedyś jedna z najobronniejszych twierdz. Wzniesiona warownia na skalistej, stromej posadzie, dawnymi czasy miano *Kamienica* nosiła, kiedy jeszcze do Moskorzewskich, Firlejów i Kamienieckich należała, których herby po dziś dzień na odrzwiach się okazują. Później przezwana Odrzykoniem, była siedzibą wślawionej w szesnastym stuleciu z tkliwego przywiązania i nieszczęść Oświęcimskich rodziny. Niejednokrotnie zamek Odrzykoński zacięte wrogów wytrzymał szturm; ostatni raz sławnie i dzielnie opierał się on rozrzątem Jerzemu Rakocemu księciu Siedmiogrodu (1656). Znekana głodem osada, oddać musiała zamek najezdnikowi, sama tajemną odchodząc kryjówką; Rakocy gniewny że puste tylko zdobył mury, zburzyć je rozkazał. Jak wielki i obszerny musiał być zamek świadczy to, że z ciosowych kamieni wziętych z jego zwalisk, kościół Kapucynów w Krośnie został wystawiony.

Do najbliższych również okolic Iwonicza, należą: Dukla i Sanok, stolica obwodu, gniazdo rodzinne wielkiego Grzegorza z Sanoka, naszego Bakona Werulamskiego, którego dotąd jednakże należytego ocenienia nie mamy, ani zasług jego nie znamy.

Wśród tak pięknych, miłych i świetnych pamiątek leży Iwoniec, którego źródła uzdrawiające nie dopiero odkryte zostały, jak to świadczą autentyczne dowody w aktach kościelnych



Florenza



Fuente

znajdujące się, gdzie w opisie stanu kościołów dycezyi przemyskiej r. 1639 po łacinie sporządzonym, pieczęcią i podpisem Fryderyka Zembek officjała przemyskiego opatrzonem, czytamy co następuje:

„Do tego parafia ta obdarzona jest jeszcze szczególną łaską Wszechmocnego, albowiem w obwodzie jej znajdują się źródła ciągle bijące i słynne z mocy uzdrawiającej; woda tych źródeł, podobna do deszczowej, ma kolor żółtawy, jest zimna, wydaje woń spalonego bursztynu i nafty, chwyta płomień zapalonego nad nią prochu lub papieru, a płomień ten nie da się ugasić, tylko przez bicie w wodę gałęziami sosnowemi i kłócenie jej. Według doświadczenia medyków, woda tych źródeł ułatwia wielce trawienie, skuteczna jest bardzo w cierpieniach artrytycznych, wzmacnia żołądek i sprawia dobry apetyt. Źródła te odwiedza mnóstwo ludzi corocznie, prawie z całego Królestwa Polskiego, z zagranicy, a mianowicie też z Węgier: ciągną do nich wszyscy jak do wody Silwenskiej (a), lub do stawu uzdrawiającego. A gdy doświadczenia przekonywają o jej sile uzdrawiającej, nie przedstawimy nigdy wielbić ojcowskiej łaskawości Wszechmocnego.”

Upłynęło więc już dwa wieki przeszło, jak wody Iwonickie rozgłosnie słynęły, i później dopiero, dla niezrozumianych przyczyn albo też dla gnuśnej obojętności ludzkiej, zaniedbane zostały.

Terazniejszy właściciel, troskliwy o dobro ludzkości, nie szczędzi trudów ani kosztów na zaopatrzenie Iwonicza we wszystko, co ku wygo-

dzie i upięknienu, i tak bogato od natury uposażonego miejsca, posłużyć może. Porządna droga od wsi do źródeł ułatwia już komunikację; las poprzerynany chodnikami, gdzie rzucone mosty dodają i ozdoby i wygody, przyjemną stanowi wśród dziczy przechadzkę; dworki dla przybywających pobudowane, a w nich dwanaście łazienek urządzonych: wszystko każe się spodziewać coraz pomysłniejszego stanu tego przybytku zdrowia, który tak sprawiedliwie na sławę zasługuje. Dobro ludzkości wiele na tém zyskać tylko może; bo prócz niezaprzeczonej i zadziwiającej skuteczności źródeł na wiele chorób, powietrze zachwycające, czyste, górzyste, wolne od wyziewów wód stojących i bagien, okolica uroczą i tyłu pamiątkami miłą, leśnemi strumykami ożywiona, najpomysłniej na stan zdrowia i zniekany chorobą umysł działać muszą.

Rozbiór fizyczno-chemiczny mineralnych wód iwonickich skutecznio wielu lekarzy, najdokładniej jednak i najpracowiciwiej dokonał go Teodor Torosiewicz i tabelarnie składowe części każdego źródła oznaczył. Uważa on wodę Iwonicką za najwięcej zbliżoną do słynnej wody Adeleidskiej z Heilbrunn w Bawaryi, i liczy ją do wód alkaliczno-solnych. Co do źródła zaś wody żelaznej, obok dwóch tamtych bijącego, uważa za osobliwość to, że woda jego mając w sobie bardzo wiele żelaza, wcale nieznaczną ilość innych soli zawiera; że w dobrze zakorkowanych butelkach można ją bardzo długo trzymać, a zawarta w niej sól żelazna nie ulegnie rozkładowi; i wreszcie że w skład jej wchodzi kwas źródłowy, złożony nie tylko według praw natury organicznej, ale jeszcze azot w sobie mający.

(a) Silve lub Silwam, krynica i staw w pobliżu Jerozolimy. Te goż nazwiska była w Jerozolimie sadzawka, do której Chrystus kazał ślepemu, aby się obmył. (Jan 9—7).

FLORENCYA.

Toskania należy do liczby najpiękniejszych i najzysniejszych krajów, i w składzie swym obejmuje trzy wcale różne od siebie okolice. Rzeka Arno przeryzująca cały ciąg doliny, na którą się kraina rozpociera, tworzy wpośrodku gór kotlinę,

której ognisko stanowi Florencyja i która się na południe aż do Kortowy, a na zachód do Pizy rozciąga. Wyżłobiony ten rozdół zacieśnia się wazko tu i owdzie; w pobliżu zaś morza rozlewa się w gładziutką, zwierciadlaną równinę, daleko sięgającą.

Na prawym brzegu Arno odwieczna straż trzyma wysokie pasmo gór apenińskich. Lewy zaś brzeg rzeki ciągnie się od państwa kościelnego, aż po fale morskie. Na jego obszarach ziemia mało wydaje plonów i krwawej pracy w uprawie pagórkowatych niw wymaga; powietrze po większej części mało sprzyja tu zdrowiu ludzkiemu, a na wszystkich punktach wynioślejszych sterczą rumowiska, świadki przechodu wszystkich dawnych wieków.

Okolica podapenińska obejmuje dwie szóste części całego obszaru Toskanii. Żyzna, wesola dolina Arneńska zabiera nie więcej nad jedną szóstą tej przestrzeni, a reszta przypada na tak zwane *Maremmy*, gdzie panuje niezdrowe powietrze. Siennie uważać można za główne miasto, stolicę tej części Toskanii. Okolica Florencji jaśnieje, jak pyszny ogród, ciągną zielonością, wonią, kwieciami i owocem wszelkim; przyległe góry obfitują w żelazo, alun, alabaster, porfir i najrozmaitsze marmury; wśród kasztanowych gajów wyzierają płazliwie cyprysy obok wysokopiennych, wspaniałych sosien, a na całej dolinie i na wyniosłościach, wdzięcznie obradzają się zboża, wino, oliwne drzewo, ziola i jarzyny wielorakie.

Florencja, po włosku Firenze, stolica wielkiego księstwa Toskańskiego, z powodu świetności kultury swój prawie trzydziesto wiekowy, cudnego powietrza i okolicznej piękności oddawna *la Bella* przezwana, przecięta biegiem rzeki Arno, na którym wznoszą się cztery wspaniałe mosty kamienne, rozpada się na dwie nierówne części. Ośmdziesięcioletnia przeszła jej ludność mieści się w 10,000 domów; siedem bram prowadzi do miasta, a z tych najznamienitsza Porta di S. Gallo; warowna cytadella di S. Giovanni Battista strzeże bezpieczeństwa słynnego w dziejach sztuki grodu. Florencja, jedno z najpiękniejszych miast w Europie, nie bez słusności włoskimi Atenami zwana z powodu wielu zakładów publicznych i skarbów sztuki, nieza długo po upadku państwa rzymskiego ustanowiła u siebie rzeczpospolitą, która przez długi czas w kwitnącym stanie się utrzymywała, dopóki nagromadzeniem bogactw zniewieścili mieszkańcy pod władzę Medyceuszów nie przeszli. Wielu najslawniejszych mężów włoskiego narodu, jako Dante, Petrarca, Boccaccio, Machiavelli, Michel Angelo i wielu innych, albo ujrzeni

światło dzienne w tym grodzie, albo pędzili w nim życie poświęcone naukom i sztukom, które im nieśmiertelną sławą trudy odpłacili, i mało bardzo znajdzie się wielkich imion włoskich, których losy niespletyłby się z dziejami Florencji i sławy jej nie podnosił.

Kościół katedralny, zwany *Maria del Fiore* zaraz na wstępie zwraca oko i ciekawość podróżnego. W czternastym wieku przez Arnolfo, ucznia Cimabue'go rozpoczęty, ma on 490 stóp długości, a sklepienia jego zamyka wspaniała, 380 stóp wyniosła kopuła, dzieło genialnego Brunelleschi, które Michał Anioł za szczyt sztuki i arcydzieło niczém nie zrównane uznał. Ściany zewnętrzne wyłożone są całe marmurem w najrozmaitszych barwach; wewnątrz znawcy podziwiają cudny układ posadzek i wiele innych przedmiotów sztuki: w niżej stojącą statwę filozofa Andrzeja di Fiesole, wskrzesiciela platońskiej filozofii, portret Dantego na drzewie malowany, pędzla Orgagna, i obraz architekta Brunelleschi przedstawiający. Za wielkim ołtarzem, na którym wznosi się przesliczna grupa marmurowa wyobrażająca Chrystusa na łonie anioła złożonego, widzieli można ostatnią, niedokończoną pracę boskiego Michała Anioła, s. Józefa z Arymatu, kiedy zdjętego z krzyża Zbawiciela na kolanach swych trzyma. Z dzwonnicy, wspaniałą rzeźbą od dołu przystrojonej i marmurem wyłożonej, 250 stóp przeszło wysokości, zachwycający szerzy się widok na całe miasto i rajskie jego okolice. Tuż obok, stoi słynna kaplica z trzema lanami z bronzu drzwiami, a opodal ławka marmurowa, zwana „kamieniem Dantego,” na której poeta zwykł był często wypoczywać.

Zpomniętych resztujących 168 kościołów florenckich odznaczają się szczególnie następujące: kościół *Sa Maria novella* z ślicznymi malowaniami szyb i obrazami pędzla Ghirlandajo, Orgogna, Cimabue i Allori, a za ołtarzem z życiem Najśw. Maryi Panny w 30 częściach roboty Michała Anioła. Niezupełnie jeszcze skończony kościół *Sa Croce*, w którym się znajdują groby i pomniki Galileusza, Machiavella, Michała Anioła i Alfieriego; *S. Annuncjata*, a w niej dziesięć kaplic, głowa Chrystusa i sławna madonna *del Sacco* Andrzeja del Sarto, grobowiec Bandinelli'ego własną ręką jego wykonany i krucyfiks Cimabue'go; *Del Carmine* z nieporównanymi freskami Giordano i Massacio; *S. Lo-*

renzo z ołtarzem z rzadkiego marmuru i innych drogocennych kamieni, dwiema zakrystami Michała Anioła i Bronellego i z kaplicą grobową Medyceuszów, całą wyłożoną wewnątrz drogiemi kamieniami; *S. Spirito*, w którym znajduje się przepyszny ołtarz i nagrobek sławnej Capponi; bogaty klasztor *Radzia*, z wielu znakomitemi rzeźbami; i na koniec kościół protestancki, jako rzadkość w włoskiem mieście, gdzie z trudnością otrząsają się z dawnych przesądów i uprzedzeń dotyczących wyznań innych.

Florenca posiada mnóstwo wielkich, wspaniałych pałacy i siedmnaście placów publicznych. Ulice miasta są po większej części wąskie i kręte, ale za to nadzwyczaj czyste, doskonale brukowane i częstokroć w posagi i statuy zdobne; znajdują się przecież proste, szerokie i okazałe, jak *Corso i Via-Larga*. Niezmierna wielkość i moc tutejszych pałaców przejmie zadziwieniem; po większej części budowane one są z ogromnych kamieni od 15 do 20 stóp długich, a od 4 do 6 grubych; na dachach ich częstokroć wysterczają baszty i obwarowania, i podobnemi je bardziej do małych twierdz czynią, jak do spokojnych siedzib obywatelskich. Patrząc na nie, widzimy przed sobą, jakby żywe świadki owych zażartych starć, w jakich przez średnie wieki najpotężniejsze rodziny florenckie ciągle między sobą żyły, owych wściekłych szturmów i długoletnich oblegów, jakie w nich wytrzymywały, i krwawych bojów, które w nich staczały. Najznamięnitszy z nich wszystkich jest bez wątpienia *Palazzo vecchio* czyli *Gran ducale*, dawna rezydencya rządu rzeszypospolitej. Sama powierzchność jego, ponura i zgrzybiała, przejmie patrzącego uczuciem poszanowania dla tego poważnego starca, co tylu spraw i losów ludzkich był świadkiem, tylu ważnych wypadków widownią, i dziś zimno, obojętnie, bez ruchu, przygląda się wnuczym pokoleniom tych, których głosy dumne i oręże dzielne po sklepieniach jego brzmiały. Cały składa się z ogromnych brył kamieni surowo ciosanych, a na płaskim jego dachu wznosi się także wysoka wieża. Na stronie stoją z marmuru rzeźbione: *Herkules* zabijający *Kakusa*, roboty *Bandinelliego*, i obok niego *Dawid*, dłuta *Michała Anioła*. Na ścianach wielkiej sali, w której niegdyś zgromadzenie narodowe rzeszypospolitej posiedzenia swe odbywało, a później księżęta uroczystości i zabawy wy-

dawali, jasnieją szczegółowo we freskach przedstawione wypadki z dziejów rodziny *Medyceuszów*. Na obszernym placu przed zamkiem, ku wielkiej jego ozdobie, wznosi się wspaniały wodotrysk marmurowy i statua konna *Kosmusa Igo*. Z placem tym łączy się tak nazwana *Loggia*, z pomysłu *Orgagna* wzniesiona pyszna kolumnada, pod którą za rzeszypospolitej miewano mowy i urzędowe zgromadzenia. Niezrównanie piękny portyk tego cacka architektury zdobią statuy *Judyty Danadellego*, sławny *Persensz* z broczącą głową *Meduzy* w rękę, z bronzu, *Benvenuto Cellini*'ego i jedna z najznakomitszych na całym świecie grupp rzeźbiarskich, przedstawiająca porwanie *Sabinek*, *Jana z Bolonii*.

Pałac *Pitti*, na którego wzniesienie jeden z członków tej rodziny stracił cały swój kolosalny majątek, jest dziś rezydencyą *W. księcia*: jest to budowa wzniosłego stylu, z ciemno-szarego kamienia, z dwóch pięter po 20 stóp wysokich złożona, 100 kroków długości mająca i wewnątrz podwójnemi arkadami ozdobiona. Mieści ona w sobie co tylko znajduje się najszczytniejszego, najpiękniejszego we wszystkich szkołach malarstwa. Nigdzie na świecie nie ujrzyysz pysniejszych, znakomitszych obrazów, jak w osmiu salach tego wspaniałego zamku: tu tylko oglądać możesz jedno po drugich takie dzieła, jak: *Madonna della Sedia* *Rafaela*, jego widzenie z *Ezechiela*, zdjęcie z krzyża *Fra Bartolomeo*, *Chrystus* *Pan* zmarły *Perrugina*, wniebowzięcie *Maryi Panny* *Andrzeja del Sarto* i niezliczone mnóstwo innych w podobnym rodzaju, rzadkich arcydzieł. Na zewnętrznej ścianie pałacu widać w płaskorzeźbie wizerunek młuda historycznego, który przy jego budowie nader znakomite usługi położył.

Na placu *Santa Trinita* podróżny zdumiewa się na widok tych potężnych gmachów, jak warownie rozległych i strasznych, otaczających go wokół. Tutaj także pominąć jego uwagi nie może, śród tysiąca innych rzadkości, dom w którym przemieszkiwał *Michał Anioł* na ulicy *S. Giovanni* i *Bianca Capella* w ulicy *Maggio*.

Środek zaś placu, z którego przez most *S. Trójcy* wychodzi się na najpiękniejszą dzielnicę, zdobi granitowy posąg z wizerunkiem sprawiedliwości, rznietym z porfiru, wystawiony przez *Kosmusa ojca Toskanii*, na pamiątkę zwycięstwa odniesio-

nego pod Montenuelo. Między temi dwoma placami leży Mercade Nuovo, gmach wielki, ku wygodzie kupców za Kosmusa wystawiony, na zachodniej stronie którego wznosi się słynny ów dzik bronzowy. Dziś jeszcze jest to najważniejsze ognisko całego handlu Florenyji, głównie na jedwabnych wyrobach zasadzające się.

Wszystkie prawie palace i świątynie pięknej stolicy Toskanii pełne są znakomitych dzieł sztuki; najważniejszy jednakże zbiór podobnych arcydzieł, po pałacu Pitti, zawiera zamek *degli Uffizi*, stojący między Arno a Palazzo Vecchio, gmach ogromny, trzech-piętrowy, złożony z głównego korpusu i dwóch skrzydeł po 400 stóp długich. Pod dolnemi arkadami, dziedziniec okalającymi, jasnieją całym przepychem kupieckim strojne sklepy, tworzące tu prawdziwy bazar, bezprzerwanie tłumami przechadzających się napełniony. Na drugim piętrze znajduje się biblioteka, archiwum i kolegia rozmaite; a trzecie poświęcono całkowicie zbiorom dzieł sztuki, i z tego powodu staje się ono najważniejszym dla zwiedzającego tę stolicę podróżnika. Długie korytarze po obu stronach przepelnione są plastycznymi antykami, a w dwóch dziesiąt dwóch salach gromadzą się najprędzej arcydzieła sztuki malarskiej, porządkiem szkół uszykowane; za niemi zaś rzeźby, starożytne i nowe bronz, drogie kamienie, gemmy, numizmata, napisy, naczynia, miedzioryty i mistrzowskie ręczne roboty. W trybunie wzrok widza zachwyca Wenus Medycejska i Ticioanowa i wiele dzieł Rafaela. W sali hermafrodytów podziwiasz cudowne statuy i kolosalną głowę Alexandra; w sali malarzy z zachwyceniem przypatrzyć się możesz rysom 300 malarzy, po największej części własnymi ich rękoma oddanych i pięknej urnie medycejskiej; dalej następuje wielka sala jasniejąca grupą Nioby i t. d., a na ostatku idzie zbiór pomników sztuki egipskiej kanonika Nizzoli. Muzeum historyi naturalnej zostaje w połączeniu z pałacem Pitti i obejmuje zbiór w czterdziestu salach rozłożony, do którego należą także piękne roboty Fontana.

Zpomiedzy zakładów dobroczynnych, szpital Santa Maria należy do najznakomitszych w Europie. Znajduje się przy nim zarazem szkoła chirurgiczno-medyczna, z której corocznie wychodzi wielu słynnych później lekarzy. Szpital daje przytułek i opatrzenie czterem tysiącom przeszło cho-

rych na rok. Zaslugują również na wzmiankę szpital S. Bonifacego, dom podrzutków i dom wyrobny.

Niemal zakładów naukowych i postęp sztuki mających na celu posiada Florenca: uniwersytet w r. 1436, przez Kosmusa de Medici założony; akademią *delle bell Arti* na 300 uczniów z obrazami, biblioteką i t. d.; akademią *florentina* albo *Crusca*, założoną za księcia Franciszka I w r. 1582 przez Franciszka Grazini, zwykle Lasca zwanego, której staraniem jest, jak to i nazwa jej i symbol w sali posiedzeń wskazuje: język od obcej zarazy strzedz i oczyszczać, a mianowicie téż z francuzkich wyrazów i zwrotów go wyzuwać, i ciąglą uprawą kształcić. Akademią dei Georgofili na na celu postęp rolnictwa i posiada dla doświadczeń swych piękny ogród zwany Giardino de Semplici. Prócz tego istnieją tu: konserwatorium sztuk i kunsztów, liceum muzyczne, collegio nobile, trzy biblioteki publiczne: *lorencejska* z sławnymi pamiątkami i 400 rękopisami, *marrucellińska* w pałacu Ricardi z 40,000 tomów złożona, posiadająca rękopis Pliniusza z 9 wieku i manuskrypta Salviniego, Boccaccia, Benvenuto Celliniego i t. d., z pięknymi rycinami; i *magliabecchińska* w pałacu Degli Studi z 90,000 tomów i bardzo wielu starymi drukami; brazylijskie muzeum historyi naturalnej Ruddfego i ogród botaniczny. Ogród Boboli pełen zawsze w pogodne wieczory mnóstwa ludu wszelkiego rodzaju, na przechadzki tam spieszącego, z gęstwy cieniistych swych alei, zpośródka wodotrysków i tysiąca wykwitności, na jakie rozpieszczony smak włoski zdobyć się tylko może, z wyniosłego położenia swego uroczy daje widok na całe miasto i wszystkie jego okolice, które nieśmiertelny Aryost tak cudnie opisał.

Z sześciu teatrów florenckich największy i najokazalszy jest la Pergola z pięcioma rzędami łóż, poświęcony wyłącznie na operę Seria, i w międzyaktach tylko przedstawiający pantomimy i balety. Najtłumniej zaś odwiedzane są: Del Cocomero i Santa Maria Novella gdzie grywają mniejsze opery, za któremi, rzec można, lud florencki, szaleje. Miłośnicy muzyki mają prócz tego akademią filharmonijną, w Stabilimento Goldoni, gdzie najpiękniejsze dzieła z nieporównaną sumiennością i dokładnością uroczystie się wykonywają.

Widząc dzisiejszych Florentczyków i porównując ich z owymi, których obraz nam zostawił

w pismach swych Villani, jakże ogromną, jak szaloną znajdujemy różnicę! Cała przepaść między nimi! „Florenca, powiada ten autor w ciekawym opisie swym, żyła sobie w połowie XIII w. bardzo umiarkowanie i skromnie. Mężczyźni i kobiety używali na ubiór wyrobów jak najprostszych, a wiele nawet osób w skóry się odziewało, głowy czapką nakrywając, a na nogi drewnianych chodaków używając. Najznakomitsze damy na wystąpienie wielkie przywdziewały jedynie suknię sukienną szkarłatnego koloru i płaszcz futrzany na ramiona zarzucały, którego kapica na głowę się zakładała, i ten strój uważały sobie za najwykwintniejszy. Zwykle uposażenie zamożnych, bogatych panien składało się ze stu, a najwyżej dwustu złotych dzisiejszych. Przy tych obyczajach prostych i surowych odznaczał się też florentczykowie umysłem dzielny i wysoce szlachetnym i pocciwym.” Taki stan rzeczy trwał jeszcze w chwili, kiedy się Dante rodził. Ale kiedy on wyrosł na człowieka, inaczej widać już się dzieć zaczynało, bo w piętnastej księdze *Raju*, płacze wieczór i narzeka na upadek i zagładę dawnych obyczajów, których miejsce zajmuje teraz zbytek i rozpusta.

Dzisiejsi mieszkańcy Floreny, choć tyle odmienni od swych przodków, i serdecznie, z natchnienia rozmiłowani we wszystkiem co piękne, nie bacząc z jakiego względu, są prawie wcale pracownicy wzięci w ogóle, naukom i sztukom z miłością oddani, dla cudzoziemców grzeczni, gościnni, całą duszą wylani. Ztądto może pochodzi, że wielu obcych, chcąc szczęśliwe, rozkoszne życie spędzić, osiada tu nieraz na długie lata i rozfaca skarby niewypowiedzianych powabów, dla tych, którzy niczego więcej w wycieczkach swych za kraj rodzinny nie szukają, jak tylko zabawy, wesela i najłżejszego zepchnięcia zawsze zbyt długiego i nudnego dla nich czasu. Pod tém jasnym niebem, wśród tego wonnego, podniecającego całą istotę powietrza, tych świętości sztuki, na każdym kroku bijących ci w oczy, i téj uprzejmości krajowców, od najwyższego aż do najniższego niezawodnej, oć lepszego, co właściwszego, jeśli nie szalęć, nie bawić się, bawić bez końca, aż do końca życia, jeśli serce nie więcej w pustkowiach swych nie mieści, prócz téj żądzny ruchu, wrzawy, szalu i pstrocin.

Zbytek mieszkańców Floreny nosi na sobie cechę, że się tak wyrażę, tego co Niemcy nazywają *Solidität*, jakiśś pewności ustalonej, uprawnionego istnienia: umysł i oko przyjemnie napotyka na każdym kroku, w każdym domu, ulicy, w okolicach, wszędzie ślady dostatniej zamożności i swobody, sprzyjającej rozkwitowi estetycznych uspołobień i uczuć. W przemyśle i kunsztach Florenca prześciga wszystkie a wszystkie miasta Włoch całych, i zdumiewać się przychodzi nad temi massami wyrobów najrozmaitszych z jej wnętrza się rozchodzących: wyroby jedwabne, słomiane, mazajkowe, tak zwane Scagliuola, marmurowe, alabastrowe, porcelanowe, lakowe, koralowe, włoskowe, wreszcie kwiaty sztuczne, wonności wszelkie, powozy wytworne, roboty damascenskie i t. d. szczególniejszą jej sławę w przemysłowym świecie jednają.

Po pracy też z zapalem oddają się zabawom wesolym i pełnym życia, do których wdzięcznie im służą latem: piękne miasta ustępy, ogród Boboli za pałacem Pitti, Szwajcarska promenada W. księcia, wybrzeże całe nad Arno, i tarasy klasztoru Oliwetanów; w karnawał zaś: huczne, gwarne i tłumne processy; pochody niezmiernych tłumów masek snujących się wesoło, skośnie, radośnie, po przestrzyniach placu Santa Croce, hasają na balach przy Porta al Prato, lub gromadzą się z osobna w grona właściwe: szlachta na Casini, obywatela na Stanza, a reszta wreszcie na Conversazioni, jak gdyby nasze wieczorki, gdzie po pogadance idą plasy i wszelaka ochota.

Okolice Floreny nadzwyczaj powabne, ściągają do siebie bezustannie tłumy odwiedzających. Najwięcej robią się z miasta wycieczki do bliższego pałacyku letniego W. księcia *Poggio i Imperiale* i do dalszej jego rezydencji letniej *Pratolino*, znaniejszy pysznym ogrodem, sztukami wodnymi, a przede wszystkim olbrzymią statua, roboty Jana z Bolonii, wyobrażającą boga Apeninów w postawie siedzącej na polance leśnej, obok ogromnej marmurowej sadzawki. W wnętrzu wydrążonej głowy olbrzyma znajduje się izba obszerna, której dwa oczy tego boga za okna służą; przyniata on swoim ciężarem jakiegos potwora, z obrzydłej paszczki żyjącego grubego strumień wody w sadzawkę. W stojącej postawie figura ta miałaby prze-

szo 100 stóp wysokości; wyrobiona zaś jest z muru otynkowanego.

Oprócz tych dwóch, sąsiadują ze stolicą inne przesliczne ustronia i miejsca: Caegi, Castello, Villa d'Ambrosi, Villa Machiavella przed Porta Romana, klasztor Benedyktynski w Castellino i kościół S. Francesco All Monte z precudnemi okolicami i widokami.

Najciekawszą jednakże i najmilszą ze wszystkich tych wycieczek do wzmiankowanych miejsc, jest wycieczka do wioski *Fiesole*, godzinę tylko odległej od Florencyi, a słynnej tém, że w XI jeszcze wieku zburzonem zostało istniejące tu miasto. Po dziś dzień widzieć tu można wspaniały wodociąg, groby etruskie i mnóstwo innych nader zajmujących osobliwości. Tutaj wśród czarownej okolicy, życia sielskiego, w miłutkich dworach (poderi) zacienionych winem, figowemi i oliwnemi drzewami, mogą skołatani na zdrowiu odżywić istotę swą, boskiem, cudowném powietrzem, przepelnioném lubą wonią i jakimś magicznem człowieka działającym pierwiastkiem rozkoszy, zadowolenia i ożywienia. Na twarzach téż okolicznych wieśniaków nie dopatrzysz ani śladu troski lub kłopotu; wszystkie usta się śmieją, wszystkie oczy życiem promieniają; noszą się czysto i pięknie nawet, kapelusze mają szerokie, zwierzechnie suknie suto i faldzisto zawsze zarzucone, a przytém odznaczają się porządkiem i pracowitością, skutkiem czego nie cierpią między sobą żebraków, których tłumy w okolo Rzymu, Neapolu i wszystkich innych bez wyjątku miast włoskich, z udaną pokorą i obłudą wyciągają natrętnie ręce do podróżnych na każdym kroku, a w duszy zbrodnicze myśli snują. Tu nie zoczysz nigdzie żebraka; jestto wielka osobliwość we Włoszech.

Jarmark w Fiesole, który zawsze bywa połączony z odpustem, szczególnież téż przypadający na ś. Franciszek, stanowi prawdziwe święto, uroczystość narodową dla wszystkich mieszkańców Florencyi. Drogę prowadzącą do Fiesole zapychają tysiące powozów, wozów, wózków, bryczek, jezdnych, pieszych, tak jak u nas drogie do Bielau wiodącą w Zielone Świątki: bo co tylko żyje, musi być tego dnia w Fiesole. Na pół drogi powozy muszą stawać, dalej już iść nie mogą, tak strome się zaczyna położenie; wszyscy wsiadają, zsiadają, i w wesółych gromadach, w strojnych szatach, wszelkiej klasy tłumy cisną się ku górze, za każ-

dym krokiem coraz swobodnież roztoczonym, szerszym, wspanialszym lubując się widokiem. Ścieżka, wędz się wije w górę i pokryta pstrą mieszaniną tysiącznych ubiorów, migoce z oddali, jak olbrzymi potwór barwnie lśniącej ruchomemi przegubami straszliwego, ku górze pnącego się cielska. Zdała już słyszać muzykę, śpiewy i wesole okrzyki. Pod cieniem drzew rozłożystych, wokoło murów, na zielonych murawach, na skał urwiskach, wszędzie rozsiadają się i zalegają grupy wesółych biesiadników, nigdzie, ale co się nazywa nigdzie, kawałeczka wolnego miejsca nie zostawując. Krzyk, wrzawa, śmiechy, nawoływania kramarzy, roznosicielei chłodników, uciechy młodych wieśniaków napelniają powietrze odurzającym gwarem. Każdy z przybywających tu, czy on wielki rodem, czy maluczek, skoro tylko robi się uczestnikiem zabawy, przynosi z sobą długą łyżkę drewnianą, którą ma prawo każdemu na plecach zabębnić. Jestto zwyczaj nader dawny.

Wszyscy więc gonią się, podchodzą, skradają, fechtują, odgrażają, przeklinają, wysmiewają. Szal niewypowiedziany panuje wokoło, i mimowolnie najobojętniejszego przejmując. Dorodne, młodziuchne wiejskie dziewczęta, jak sarneczki smagłe, a pieszczołliwe, śliczne, ogniste jak Włoski tylko, przesadzają się szczególniejż zwinnością i zwinnością w téj łyżkowej zabawie ze swymi gachami, których radość do waryacyi przychodzi, jeśli któremu uda się swojej bogdance wykraść, wyrwać łyżkę i tym sposobem pozbawić jęj broni. Biedna ofiara! wtedy znajomi, nieznajomi, wszyscy co tylko patrzą na nią — śmieją się, najgrawują, a zwyciężąc okrzykami tryumfu witają, winszują, czeżą. Harfy wtórują płasom skocznym, ognistym; dopiero późno wieczór, kiedy już i dzieci i cały ten odmet ludzi, mieszan i wieśniaków, bogatych i ubogich, zabawą się zużył; odzwają się tęsznym tonem *susurri*, małe trąbki z trzciny ozdobnie oplecionej, jako znak odwrotu do domu na spoczynek. I znów wszystko co żyje: starzy, młodzi, matki, dzieci, mężowie, miejska elegancja, słowem wszyscy, bo każdy musi mieć z sobą *susurri*, dną w nie neliłościwie przez całą drogę, i w progu domu jeszcze placzliwie wyciągają na nich, wykrzykując w przerwach: *Fiesole! Fiesole!* I długo po północy na ulicach florenckich rozlegają się jeszcze fiesolskie *susurri*, i cichną, żeby się nieodezwąć aż na rok następny.

TIVOLI.

Z mnóstwa miejsc zachwycających i niezrównanych to cudami natury, to pamiątkami nieoszczawanymi, na każdym prawie kroku po błogosławionej ziemi Włoch rozrzuconych, Tivoli bez wątpienia należy do najwięcej godnych uwagi. Znane jeszcze w starożytności pod nazwą Tiburna, i niejednokrotnie z kaskad swych sławione, leży to miasto w kraju górskim rzymskiej Kampanii. Wyszedszy z Rzymu przez Porta Tiburtina, idzie się przeszło mil dwanaście, ale tych małych mil włoskich, aż za II Forno, śród okolicy pustej, bezludnej, dopóki się nie zbliży do pagów wzgórz. Na lewo od drogi, leży Lago dei Tartari, którego wody tworzą osad wapienny, na roślinach śliczne, dziwaczne zostawiające inkrustacje. Postępując dalej, dochodzi się do źródeł siarczanych w Aqua albula, czyli trzech jezior Solfatari powstałych z zapadłości kraterów zmartwiałego wulkanu, w pobliżu których widać szczytki jak się zdaje Term Agryppy i świątyni Herkulesa, Cybeli i Hygiei. Na prawo zaś drogi leżą ogromne łomy skal, z których wydobywano owe olbrzymie, sławne kamienie Trawertyńskie, z których powstały: collegium, świątynia w Pestum, kościół Ś. Piotra i Pawła w Rzymie i wiele tamtejszych pałaców. Ztamtd przeszedszy Teverone po moście Ponto lucano, spostrzega się pięknie po dziś dzień zachowany grób rodziny Plautia, wespół zielenością umiających, nadobnych niw położony.

Droga via Tiburtina po obu stronach łąkami gajami oskrzydłona, wiedzie ku górze i wprowadza przez porta S. Croce w ciasne, brudne ulice miasta Tivoli, gdzie wedle przyjętej powszechnie reguły podróźny staje w gospodzie pod świątynią Sybilli (czyli też podobno Westy) i przypatrzyć się jeszcze może, przed pójściem na spoczynek, dziesięciu pozostałym kolumnom z trawertynu, korynckiego porządku, z ozdobnemi fryzami, korniszami i architrawami, przypominającemi piękne czasy rzymskiej sztuki.

Ścieżką po urwiskach skal wężując dojsz można do miejsca, gdzie śród gajów cytrynowych, bije tak słynna niegdyś potrójna katarakta. By-

stre fale Teweronu od góry Sabińskiej do samego miasta żartkiem pryskające nurtem, tuż pod niemi zaciesniają łożyska skal; i tu dopiero, wstrzymane w pedzie strumień, z wściekłością wyrzuca hucząc całą kolumnę spienionych wód w dzikie, zięjące skal czeluście. Drugie zaś ramię rzeki przedzierając się podziemnym korytem, z piorunującym hukiem wytryskuje z grotty Neptuna u stóp tej katarakty, i spada w tę samą jamę; kiedy tymczasem trzecie ramie cięszym zdążając promieniem, na lewo głównej odnogi, prostopadle ciska się z wyniosłego urwiska, i roztrzaskuje w miliony kroplistych brylantów.

Zstępując stromą drożyną z wierzchu skal, dochodzi się na dół do owych czeluści, służących za stok rozczepierzonym ramionom rzeki, śród wodnistego pyłu zlewającego nawskróś deszczem całe odzienie; i tu podróźny napotyka wody Teweronu zbratane znów w jeden uścisk, szeroką wstęgą nurzającą się opodal w ciemne podziemia grotty Syren i ginące w ich głębi, jakby na zawsze: szum tylko głuchy zostaje, a nad zniknięciem potoki piętrzy się wspaniałe pomostowe skal sklepienie. Jeżeli komu sił jeszcze starczy, niech się wdrze po spadzistej steczce na stropy urwisk, a ztamtąd na prawo się wzięwszy, ujrzy rozwaliny willi Manliusza Wopiska i z drogi do S. Angelo czekają go wspaniałe, cudowne widoki wokół.

Patrząc z prawego brzegu Teweronu, zdaje się, jakoby kaskadelle wytryskiwały zpod spodu miasta. Prowadzi do nich droga mimo willi Katullusa i gaju Tiburna pośród kwitnących aloesów do kościoła S. Antonio wiodąca, gdzie niegdyś leżać miały willa Horacyusza i di Quintillio, pałac Quintiliusa Warusa, nad którym germański Herman sławne odniósł zwycięstwo. Ztąd najlepiej widać spadające kaskadelle, powstałe z odnogi, której wody miasto dla użytku młynów, tartaków i t. d. w tym kierunku sprowadza, a która za grotą Syren z głównym strumieniem znów się łączy. Ze szczytu góry zarosłej winem, widać na stronie rzeki, nieco powyżej, willę pamiętnego Mecenasa, w której z okien pałacu wodospady szumiały. Tu niegdyś przy wesolych, zbytowych biesiadach,

całym przepychem starożytnego wyfilozofowanego gustu zaprawnych, grono ludzi gienialnych, okraszy świetnego wieku Augusta, zbierało się w okół swego orędownika, do okazałości zewnętrznych łącząc promieniące po dziś dzień plody wieszczych, wyższych duchów. Gwałtowny wylew wody w r. 1826 i nowoskierowane łoże Taweronu w r. 1826 zniszczyły te wszystkie cuda sztuki i natury, i pozostawiły tylko kaskadellę bijące zawsze z odwieczną wspaniałością i monotonnym echem. Willę uczonego Mecenasa skwapliwy przemysł zamienił dziś na fabrykę żelaza, z pięknego pałacu na dwie części rozdzielonego w doryckim i jońskim porządku słabe tylko zachowując ślady. Gdzie niegdyś przez wspaniałą arkadę Porta Tiburtina wiodła do pięknego pawilonu, teraz skierowany na koła fabryki strumień Taweronu nurty swe toczy i spada opodal w rzęsiстых kaskadellach. Z tarasu pierwszego piętra rozwija się przesłizniony widok na Kampanię, Rzym, na morze, górę Sabińską i na Soracte. Zwiedzając czarowną tę okolicę od tyłu wieków z piękności swęj słynną i wielbioną, niepodobna pominąć także willi d'Este zbudowanej niedawno, bo w r. 1549 z szalonym przepychem i monarszą wspaniałością, a dziś już w zupełnej pogrążona ruinie.

Na każdym kroku uroczą krainę tę napotyka podróżny ciekawe pamiątki starożytności, drobne antyki, grobowce, łaźnie, teatru, wodociągi, pisciny. Zadzawieniem przejmując przed innemi willa Hadryana, który na małym obszarze chciał tu zgromadzić wszystko, co tylko widział i znał wspaniałego w rozległych prowincjach potężnego cesarstwa swego. Zadowolając więc dumę i przywidzenie wszechwładze, w okół wspaniałego pałacu swego, w obrębie trzygodzinnej przestrzeni, zbudował liceum, akademię, prytaneum, pojkile na wzór ateńskich, egipskie kanopus, tesalską Tem-

pe z trzema teatrami, piscinę, stadym, pięć świątyń i koszary dla gwardyi swęj cesarskiej, ciesząc się butnie, że w miniafurze ma pod ręką wszystkie wspaniałości swego imperyum. Dziś wszakże nie prawie, prócz smutnych i nędznych szczątków nie pozostało z tych wielkości ludzkiego dzieła, a piękności odwiecznej natury w niezmiennych powabach przetrwały niezatarte, zawsze pyszne, spokojne a czarujące.

Powietrze w Tivoli tak jest czyste, zdrowe i odżywiające, iż u starożytnych jeszcze powszechném było mniemanie, jakoby cudowne jego własności do tego dochodziły stopnia, że pożółkła i zciemniała od starości kość słońcowa skutkiem jego działania miała się odczyszczać i bielić zupełnie. Propertiusz i Martialis napomykając tę okoliczność, ironicznie radzą zawięzłym pięknościom, aby w Tivoli szukały ocalenia i odnowienia swych wdzięków.

Samo miasto Tivoli, choć niebardzo czyste i powabne, zapewnia mieszkańcom pobyt i życie przyjemne i dostatnie. Mnóstwo zwierzyny i pastwa daje obfite polowanie, po czeluściach skał pod miastem piętrzących się chronią się niezliczone stada gołębi najpiękniejszych, rzeka w krętym i strómem łożysku bogate chowa ryb zasoby; wszystkie wzgórza pokryte są drzewami oliwnemi, figowemi i owocowemi. Na treliach wiją się najpiękniejsze latorosle winne, których jagody, a mianowicie też z gatunku pergoleze, zachować się dają świeżo aż do stycznia. Na szczytach gór rosną woniące drzewa storaksowe, z których wycieka tłusty sok, za zbawienny w wielu chorobach uważany. Wszędzie jasnieją bujną roślinnością drzewa terpentynowe, ogromne krzewy myrtów, niezliczone mnóstwa woniących ziół i kwiatów, z których pszczoły wybory miod zbierają, a zwierzyna tak się nimi przesycę, że mięso jej silny, właściwy sobie jedynie smak przyjmuje.

ORZEL.

Ptaki drapieżne dzienne dzielą się na dwie różne od siebie grupy: na *Sokoły i Sępy*; pierwszych liczą teraz naturalisci 6 familij, pod nazwiskami: *orły*,

rarogi, jastrzębie, kanie, myszolowy i błotniaki. Różnica między temi dwiema grupami zależy na kształcie dzioba, pazurów czyli szponów, skrzydeł,



na upierzeniu szyi i głowy, na ogólniej postawie ciała, na rodzaju pożywienia i obyczajach ptaków.

Pierwsza familia *sokołów*, to jest *orły*, składająca się z dwunastu rodzajów, jest w całej grupie najliczniejsza. Główne cechy orłów są: wierzch głowy przypłaszczony, szeroko nad oczy wystający, pióra na głowie po największej części wązkie, języczkowate, dziób mocno łukowaty, ostro-długokończaty, ledwo co zaokrąglony, bezzębny, nozdrza ukośne, nogi pospolicie krótkie, ale silne, pazury ostre, bardzo zakrzywione, skrzydła długie, wielkie, a w nich czwarte i piąte lotki najdłuższe.

Pierwszy rodzaj w familii orłów stanowią ptaki które nadają jej nazwisko, to jest *orły* (Aquila), których dziób przy nasadzie jest prosty, wierzchnia szczeka bezzębna, a czwarta lotka w skrzydłach najdłuższa. Pióra na szyi wązkie, kończate, golenia pierzem pokryte aż do palców, z których przednie przy nasadzie błoną są spięte.

Orzeł pospolity (Aquila pulva lub Falco pulvus), na załączonęj na rycinie wystawiony, zwany także czarnym orłem, najpowszechniej zdarza się w Europie, i jest największy ze wszystkich europejskich gatunków. Długi bywa 35, a przy rozciągniętych skrzydłach 82 cale. Główna maść jego pierzy jest czarnobrunatna, na wierzchu nieco jaśniejsza jak na spodzie; wszakże podobnie jak u wszystkich ptaków drapieżnych, tak i u tego gatunku maść znacznie zmienia się według wieku i płci ptaków.

Napotkać go można w Szwajcaryi, Francyi, Szkocyi, Rossyi, szczególniej w Uralu, po całych Niemczech i t. d. u nas i w krajach skandynewskich, choć w niewielkiej liczbie. Zimą ciągnie na równiny, latem zaś żyje na wysokich, lasami porośniętych górach.

Silny jak mało który inny ptak, orzeł ten, siedząc na ostrym szczycie skały lub na suchęj gałęzi wyrosłego zponiedzy jej rozpadlin drzewa, okazuje w całej postawie i wzroku pewną, wspianąłą powagę i spokojność, jakby ufny w swą wielką siłę, bystre zmysły i lot zręczny. Lecz ognisty błysk jego wielkich, złocistych oczu aż nadto pokazuje jak ciągle jest baczny na wszystkie strony i jak pod obrętwiałą spokojnością ukrywa wielką dzikość. W jednej chwili, w mgnieniu oka, swą

spokojność zmienia w ruchy błyskawicy; z nieporównaną szybkością napada upatrzoną, swobodną zdobycz, chwytą gwałtownie i unosi w powietrze, lub obalwszy na ziemię, szarpie na sztuki jużto dziobem, już potężnymi szponami. Przewornie unika najprzebiegalszych zasadzek i zręcznie uchronić się umie walki, gdy pozna, że z przeważnym miałby do czynienia przeciwnikiem. Jego lot jest górny, poważny, nad równinami buja, jakby pływał po powietrzu; lecz na zdobycz uderza gwałtownie, jak piorun z obłoków spadający. Jego donośny, jakby z naigraniem się, wyzywający krzyk, owo czysto-dźwięczne *hij*, podobne ale mocniejsze jak myszołowa, wszelkie ptastwo przeraża, trwogi nabawia i do ucieczki zmusza; żaden bowiem ptak nie zdołałby opierać się nieprzyjacielowi, który zaraz w sztuki poszarpać może, a kuropatwę w dwóch kaskach połyka, aby i kropli ciepłej krwi tego przysmaku nie uronić. Od jego napasli żadne zwierzę nie jest zupełnie bezpieczne: od sarny, jagnięcia aż do myszy polnej i od drobia aż do przepiórki wszystko staje się jego pastwą.

Znaczne zrządza szkody w zwierzyniu, dlatego pilnie nań czatują, ale z ukrycia tylko, z zasadzki poradzić mu można; zasadzają się nań strzelcy w lisich budach, mianowicie zimą, gdy głodem przymuszony, spuszcza się na padlę; czasem łowią go w zastawione żelaza.

Nie widać ich nigdy towarzysko żyjących, ale każda para żyje i krąży w pewnym obwodzie, jakby w swęj dziedzinie, i w potrzebie stacza walki za wyłączne jej posiadanie. Związki par są ściśle jednożenne i zdają się trwać przez całe życie. Budowanie gniazda zaczyna się wcześniej na wiosnę między niedostępnymi skalami, w rozpadlinie albo też w głębokich lasach, na wierzchołku najwyższego dębu lub sosny. W marcu bywa już w niem 3 lub 4 brudno-białych, kasztanowato-rudemi plamami upstrzonych, kończących jaj, wielkości jak indyca. Pisklęta okryte są żółtawym puchem. Stare bardzo troskliwie pielęgnują swoje potomstwo, mnóstwo przynoszą mu zwierzyny, ile że pisklęta są nader obżarte. Długo też pozostają w gnieździe, a gdy już zdolne są do latania, wtenczas rodzice wyraźnie zaprawiają je do łowów i polowań uczą. Gdyby kto zabrał chęć z gniazda pisklęta, wtedy stare dziobem i skrzydłami bijąc, zapaczewie ich bronią; a przecież udaje się myśliwym zra-

bować częstokroć wysledzone gniazdo i wychowanych młodych, które do ułożenia bardzo są pojętne, używać przez dwadzieścia lat do polowania, podobnie jak sokółów.

Orzeł amerykański czubaty (Harpuja). *Cechy rodzajowe*: Dziób silny, gruby, przy nasadzie prosty, od połowy łukowato-zgięty, górna szczeka bez zęba, z długim, mocno zakrzywionym hakiem; otwory nozdrzy owalne ukośnie rozstawione. Skrzydła zaokrąglone, długością ledwo za osadę ogona sięgające; nogi miernie długie, bardzo grube, mocne, do połowy pierzem, zresztą siatkowatymi tarczami pokryte; palce i pazury nadzwyczaj grube, silne, zewnętrzny palec zwrotny. Ogon miernie długi, zaokrąglony.



Orzeł ten przewyższa wszystkie inne gatunki wielkością, siłą i uzbrojeniem; odznacza się dumną postawą ciała i surową powagą wzroku. Od-

wiedzący menażery zoologicznego towarzystwa w Londynie, na widok sprowadzonego z Brazylii dorosłego orla czubatego, czuli pewną niespokojność i zapomnieli o zabawie, jakiej, zasłonieni żelazną kratą, pozwalali sobie, drażniąc tygrysy i inne dzikie zwierzęta. Siedzący prosto i jak posąg nieruchomy orzeł, swym bystrym i groźnym, śmiałością i srogością znamiennym wzrokiem przerażał nawet najśmielszych. Zdawało się, że nie ustraszyc go nie zdoła, że pogardza wszystkim co go otacza; straszne zaś przedstawił widowisko, gdy pobudzony puszczonem mu zwierzęciem, nagle z głębokiej spokojności poruszył się. Z wściekłością rzucił się na podaną sobie ofiarę i w takich razach nigdy walka nie trwała dłużej nad kilka sekund, pierwszy bowiem zadany w tył głowy cios długimi szponami, zamroczyl najsilniejszego kota, a drugi którym bok rozpruł i serce wydarł, był śmiertelny. Przy takiej oprawie nigdy nie używał dzioba, i właśnie jego szybkość i pewność, tudzież przeświadczenie że takiej natarczowości sam nawet człowiek uleddyby musiał, przerażyły wszystkich obecnych widzów.

Mieszkańcy Brazylii walki z nim unikają, gdyż na pojedynczego człowieka jest on za mocny, i podobno nie waha się zaczepić człowieka. Może to bajka, jakoby uderzeniem nogami i dziobem potrzaskać miał czaszkę człowieka; to przecież pewna, że zbliżenie się bezbronnego człowieka do jego gniazda zawsze jest niebezpieczne. Wielkością przechodzi orla królewskiego, którego szpony w porównaniu do jego szpon małych nazwać się mogą. Na głowie i szyi jest jasno-siwo-popielaty, na karku i na bokach piersi czarno-brunatny, na brzuchu białawy, pierze na udach są brunatno-pręgowe. Na tyle głowy wznosi się mu czub z długich, ciemno-brunatnych piór, które on równie jak pierze, po bokach głowy według upodobania najeżyć lub gładko ułożyć może. Przez piersi ciągnie się ciemno-popielata przepaska, ogon uzbrojony jest szerokimi, naprzemian czarnymi i siwo-popielatymi pręgami. Dziób i szpony czarne, nogi żółte.

MOJA ZIMA W NORWEGII.

Z WSPOMNIEN PODRÓŻY DRA. T. TRIPPLINA.

Norwegia to nie kraj hesperyjskich ogrodów, złotych pomarańcz, czarnookich dziewcz, ani też siedziba tęsknej miłości, dźwięcznej muzyki i wesolego dowcipu. Wielkich pomników sztuki tam nie znajdziesz; ani cywilizacya, ani przyroda kwiatów swych hojną nie rozrzuciła tam ręką. Norwegia to kraina mroźna, smutna, nieurodzajna.

A jednak kocham cię, Norwegio! I kiedy myśl znękana nudami życia, wyrwie się z obrębów teraźniejszości i przebiega długoletnią tęsknotą skłopotaną, lecz pełną uroczej poezji przeszłość, wówczas dusza już nie chce wrócić do ciebie, dowcipna Francjo! ani do ciebie miętna Hiszpanio! lecz chętnie bieży do zimnej, nieurodzajnej, skalistej Norwegii.

Tak, kocham was samotne nadbrzeża, kędy westchnienia wiatrów, szum fali, widok pośneego i okiem nieprześcignęło horyzontu, zachęcają do cichych i uroczystych dumań! Kocham was, obszerne płaszczyzny, lazurowe jeziora, góry niebotyczne, które wierzchołkami, odwiecznym śniegiem pokrytymi, chwytacie przelotne chmury, a spadzistemi ścianami rozsyłacie łoskot piorunu w obszar świata! I was także lubię, nadobne chatki, rozproszone, jak uśmiewające się myśli, po piaszczystym wybrzeżu, lub po urwiskach niedostępnych skał.

Was zaś mieszkańcy, których dusza tak prosta, a spojrzanie tak uczciwe, którzyście burzą skołatanego cudzoziemca z szczerą serdecznością witali, i smutne chwile tęsknoty najszczerzą gościnnością umieli mu osłodzić, i was także kocham! bo u was znalazłem cnoty mego własnego narodu: uprzejmość i gościnność; bo u was znalazłem przymioty, które najwięcej poważam: pracowitość, rzetelność i szczerotę, a co więcej, zaufanie i własne siły. U was nauczyłem się, do jakiej potęgi moralnej, do jakiego szczęścia dojść może człowiek, kiedy pozna swe położenie i umie władać wolą od Stwórcy mu nadaną.

W kilku słowach opowiem, jakiemu przypadkowi winien byłem poznanie narodu, mało przez po-

drożnych odwiedzanego. Wypłynąłem z Kopenhagi w połowie miesiąca listopada, na mocnym brygu duńskim, zwanym „Twende Brödere” dążąc do Edynburga. Przebyliśmy, pomyślnym wiatrem pędzeni, Seylle i Harybdy Sundu i Kattegatu, i otehanie oceanu Północnego. Stajemy na kotwicy niedaleko przystani Leith, poprzedzającej Edynburg.

Do samej przystani wpłynąć nie można było dla ciemności wieczoru i mnóstwa statków zalegających wnijsie do portu. Wtém po północy, zrywa się nagle tak gwałtowna burza, jakby niebo zagniewane chciało pokazać ziemi, że ją w gnieniu oka skruszyć może. Straszliwy grzmot i trzask piorunów, powtarzany przez echa gór szkockich, przebudza nas ze snu: huczy z zachodu i południa orkan przeraźliwy, zmiała szczyty domów i wyrwa stuletnie dęby; wpada na morze, i pierzecha przed nim ocean stwożony. Okropny widok z pokładu! Cały firmament w jaskrawym ogniu przyswiecał zniszczeniu, którego przystań była świadkiem. Olbrzymie balwany jednym zamachem pokrywały statki z ich ludnością; inne oderwane od kotwicy rozbiły się jedne o drugie i pograżały na dnie morskiem; inne znowu, strzaskane na skałach lub zaniezione na piaski, nikły z oczów jak widma. Rozległy się jęki tonących i strzały z dział alarmowych. Piorun uderzył w statek kupiecki i zapalił go odrazu; wiatr podsycał pożar; gorejący okręt kręcił się jak wściekła furja po przystani, i trwożył wszystkie statki do których się zbliżał. Błedi najmniejsi żeglarze.

Noc ta okropna pamiętną będzie w dziejach marynarki. Ze stu trzydziestu okrętów zaledwie osmdziesiąt ciężko uszkodzonych zdołało się ocalić.

Okręt nasz oderwany od dwóch kotwic, straciwszy maszt jeden, włókł za sobą trzecią kotwicę; ta gdzieniegdzie osiadła i pociągała za sobą w głąb morza statek, kiedy go fala słabsza na swym nie mogła unieść grzbiecie. Ucięto nareszcie kotwicę i uciekaliśmy na wysokie morze; lecz ster pęka w rękę sternika, okręt podaje bok fali, a je-

dnocześnie wściekły balwan wspina się na pokład: wszystko gruchoce, porywa z sobą galerią, kajutę pokładową, prawie wszystkie beczki z wodą i piwem, porywa i kuchnię, wraz z murzynem kucharzem, co się z rozpaczą upił, i łódzie przeczepione u pokładu i tyłu okrętowego. Dzięki poświęceniu i czynności kapitana, udało się nareszcie rozpiąć żagiel trójkątny, tak nazwany *laciński*, na przodzie okrętu; nim nadano jaki taki kierunek statkowi i umknęto zpod nieszczęsnych brzegów Szkocji na otwarte morze północne.

Wiatr pędził nas ku Norwegii. Wzburzone żywioły spoczęły wprawdzie na chwilę, lecz naza jutrz znowu nami miotaly z wściekłością i okręt pozabawiony masztu, niedokładnym, naprędce zrobionym sterem opatrzony, ku brzegom skalistym dąży. Oprzeć się pędowi nie było można; ładunek okrętowy schylił się na bok i poziome, nadzwyczaj niebezpieczne dał statkowi położenie. Tuż pod spienionymi brzegami Norwegii, kiedy każdy z nas z życiem się żegnał i duszę Bogu polecał, huk dział naszych rozsyłał jeszcze prośby o pomoc. Odgłos ich został usłyszany. Norwegscy piloci przybiegli, na swe nas łódzie porwali, i w krótko potem „Twende Brödere” leżał na dnie odmętów, strzaskany w drobne szczątki.

Cudny jest widok brzegów Norwegii! Jużto pokryte bielutką pianą wspinających się na skały balwanów, już wznoszące groźne swe szczyty wysoko w obłoki, zdumiewają oko majestatycznym ogromem. Niebotyczne góry i wyspy skaliste pilnują stalego łądu; woda oblewając je tworzy niezmierny labirynt dróg długich i krętych. Tu huczą kaskady, tam jęczą pieczary falą wyłożone, dalej zewsząd wysokimi ścianami otoczone, ciągną się ciche przystanie, gdzie statek po burzy wygodnie spocząć może.

Łódź, co mnie niosła, zawinęła do portu. Stańlismy u brzegu: wstępuję na skalę, i padam na nią. Za nagle było przejście: przyzwyczajony od tylu dni do ciągłego kołysania okrętu, nie zdołałem utrzymać równowagi ciała własnego na stałym gruncie.

Tak tedy widzę cię raz jeszcze, matko ziemio! Kochać cię ten tylko umi, co długo cię nie widzi! Mieszkańcy portu wyszli ku nam i przywitali radośnie; pozabierano nas biednych, przemokłych, przebiegniętych rozbitków do mieszkań. Ja z ka-

pitaniem dostałem się do aldermana. Byłto pierwszy w osadzie obywatel, piastował różne dostojenstwa: był wójtem, naczelnikiem pilotów, oberzystą, kupcem korzennym, właścicielem okrętu i dostawcą raków morskich do Anglii. Przyjął nas serdecznie: jak człowiek z religijnym uczuciem przyjmuje bliźniego cudem od śmierci uratowanego. Zaprowadził po skalistej, w głazie wykutęj ścieżce do swego domu, w szeregach opoki wybudowanego, a jedynego o piętrze w całym porcie. Tu czekały na nas: pani aldermanowa i trzy dorosłe aldermanówny. „Witajcie nam! krzyknęły; my życie wasze na kłęczkach wyblagały.” I nie czekając odpowiedzi, rzuciły się nam na szyję ze łzami w niebieskich oczach. Niebardzo się opierałem seraficznymi uściskom.

O jakże niewypowiedzianie miło jest uczuć się znów żywym, kiedy się przed chwilą było pewnym nieochybniej, przedwczesnej śmierci; kiedy miłości do życia nie nadwężają ni wyrzuty sumienia, ni strata złudzeń. Każde wrażenie, przejmujące wtenczas jakimś niezwykłym urokiem, wzbudzającym wdzięczność za ów piękny dar boski: życie.

Udałismy się na spoczynek; ale całe brzemie znękanego i zbolęłego ciała nie zdołało spętać skrzydeł wyobraźni, rozbijała obrazami blizkięj przeszłości; nie zdołało uspić serca, przepelnionego wezbranym uczuciem wdzięczności dla Opatrzności czuwającej nad nami.

Przystań nasza, leżąca na zachodnio-południowym brzegu Norwegii (pod 58° szer. a 24°), nazywała się Sölö. Trzy ogromne skały broniły ją od nawałnicy. Dwie z tych skał, od zachodu i północy schodziły się prawie, zostawiając pomiędzy sobą wązki i kręty przesmyk. Trzeci głaz zamykał port od południa, zostawiając dość wązkie, lecz głębokie przejście. Wysoki szczyt tego głazu wieńczyły gruzy jakiejś stariej wieży; widok z nich na morze przerażający; opoka bowiem od strony morza tak spadziasta, stroma i gładka, że i ptak morski uścisnąć na niej dla wypoczynku nie śmie; niepodobna spojrzeć w pięćset stóp głęboką przepaść, gdzie wrą bezustannie zapienione fale, bo dostaniesz zawrotu głowy i przejmie cię jakaś dzika ochota rzucić się w nią na oslep. Od strony portu, podnóże skał nurzało się różnokształtnymi klinami w wodę; szczeliny zaś ich i stopy ręką ludzką urownane, pokrywały domki sterników i ry-

baków, jedynych miejsca tego mieszkańców. Małe te, drewniane, różowo malowane, nadzwyczaj kształtne i czyste chatki, wyglądały jak kwitnące róże, wszczone w pień odwiecznego dębu.

Dom aldermana dosyć kształtny, wynosił się wyżej nad inne; nad wodą położony, miał oprócz dołu jedno piętro, z którego drzwi tylne prosto wychodziły na skalisty taras, szeroki i długi do trzydziestu kroków. Tam znajdował się ogródek zasłonięty od wiatru i wody morskiej głazami. Ziemia tego ogródka sprowadzona była, jako balast okrętowy, z krajów szczęśliwszych; rosły zaś w nim: włoszczyzna, salata, agrest, porzeczki, kilka karłowatych drzew owocowych, nieco bżów, róż i krzaków jałowcu i bukszpanu. Tak praca i wytrwałość człowieka zmusić umie i naturę do służenia sobie. Innej ziemi jak sprowadzanej statkami nie było tu na dwie mile w okół; prócz kilku kóz, bardzo skromnych w swych gustach gastronomicznych, nie było w całym porcie żadnego reprezentanta bydlęcego; konia, żadna z kobiet tu zamieszkałych w życiu nie widziała; nie wychodzą one bowiem nigdy z portu, spędzają cały żywot w schludnych domkach, pilnują gospodarstwa, naprawiają sieci i czytają. Tak, czytają, gdyż w chatce najuboższego rybaka znajdziesz tu więcej książek i pism peryodycznych, jak w obszernych domach niejednego z naszych obywateli większych, dla których kalendarz jest często jedynym źródłem literackim.

Z czegoż tedy żyją mieszkańcy tych skał nieurodzajnych, i czém się żywią, zapyta może nasz rolnik? Żyją z wprowadzania okrętów do portu w czasie burzy, z ratowania tonących; w lecie z handlu przewozowego; w zimie z polowu olbrzymich raków i sztokkiszu; na wiosnę z polowu śledzi. Żyją wygodnie, uczciwie i szczęśliwie, choć w ustawicznej walce z żywiołami, choć w ciągłym, śmiercią grożącym poświęceniu dla bliźnich. Skromne potrzeby życia zaspakajają chlebem owsianym, wyborem rybami i rakami, mięsem marynowanym, sucharami i kawą, rozweselać się wódką duńską i winem bordeaux, które taniej się płaci w Norwegii niż na miejscu fabrykacji; gdyż celnicy drobnej kontrabandy upilnować nie są w stanie.

Wkrótce po przybyciu, odebrałem liczne dowody serdeczności mieszkańców. Dowiedziałwszy

się o kolejach dziwnego mego losu od majtków, poczciwych współtowarzyszów ostatniej niedoli, wszystkie prawie rodziny Söls chciały mnie mieć u siebie i pragnęły tego, jakoby największego szczęścia. Wszędzie przyjmowany z rozczułającą uprzejmością, żalowałem że bez tłumacza rozmawiać z większą częścią tego dobrego ludu nie byłem w stanie. Dalecy od przyjęcia nagrody za dany mi ratunek i gościnność, chcieli własnym ubiorem zastąpić stratę mej garderoby, gdyż prócz pieniędzy, najpotrzebniejszych papierów, i narzędzi chirurgicznych, nie uratować nie zdołałem. Musiałem na czas niejaki przyjąć pożyczone suknie; krawców bowiem w przystani nie było, i alderman dał mi doskonałą szubę niedźwiedzią prosząc, abym mu się wypłacił wyleceniem żony, chorującej na kurecze, i nauczeniem córek francuskiego języka, na co przystać zniewolony byłem.

W porcie naszym leżało kilka statków burza zapędzonych i uszkodzonych, w liczbie których znajdowała się stara fregata gdańska, drzewem naladowana, przeznaczona do Bordeaux. Kapitan jej, podłyż Prusak, wielki gaduła, zachorował na coś bardzo podobnego do cholery. Dostał tej choroby w skutek *wzruszenia* doświadczonego podczas burzy. Tłumacząc niemieckie wzruszenie, słowem *strach*, leczyłem chorego według mojego dykcyonarzy, i wkrótce na własną szkodę tak dobrze Niemca postawiłem na nogi, że mnie nielitościwie w bostona zgrywał.

Innym statkiem, z którym zawarłem i z którym warto było zawrzeć przymierze, był przesliczny bryg norwęski, powracający z Lizbony z ładunkiem towarów kolonialnych, win portugalskich, pomarańcz, fig i daktyliów, rumu z Jamaiki, araku z Goa, i wódki z Curaçao.

Kapitan tego brygu, prawdziwy dandy pomiędzy żeglarzami, młody, piękny, zalotny, często bywał w Lizbonie, i zawarł tam jakieś uczuciowe stosunki z nadobną córką Luzytanii. O niej wiecznie marzył i prawił, o niej ciągle śpiewał, o niej byłby i grał na gitarze, gdyby nie rana, którą mu zazdrośny rywal w ramię zadał sztyletem. Rana niezagojona w chwili odjazdu z Lizbony, rozogniła się w podróży, sprowadziła nawet pacyentowi, w skutek wysiłen w czasie burzy podejmowanych, bardzo bolesne zapalenie. I tego zalotnego syna Neptuna wziąć musiałem w kurację,

największą część czasu z nim spędzałem; umysł jego awanturniczy, poetyczny, przypadał mi do gustu.

Kapitan nasz puścił się łodzią do Fahrundu, miasteczka portowego, o trzy mile polskie od naszej przystani odległego. Ztamtąd chciał dać znać swoim rodzicom i właścicielowi okrętu rozbitego, o losie jaki go spotkał.

Muszę tu dać poznać czytelnikowi choć w lek- kich zarysach kapitana Jens Jensen, prawie nieod- stępnego towarzysza bardzo burzliwego nstępu życia mojego. Był on mi w ciągu sześciu miesięcy wszystkiem, czém tylko dobry przyjaciel, czuły brat być może.

Kapitan Jens Jensen był Duńczykiem z Swens- borge, miał lat 23. Twarz jego okrągła, jowialna i otwarta, kontrastująca nieco z wyrazem oczów siwych i bystrych, i z włosami ciemnymi, umjo- wała zaraz za pierwszém wejrzeniem; niewielkie- liśmy wzrostu, ale silnie zbudowany, wigęć miał w ruchach żywości i giętkości niż mają zwykle Skandynawowie. Po angielsku mówił płynnie, lecz z pewną, śmieszłą naiwnością; mówił także niezłe po niemiecku, zresztą dość starannie odebrał wy- chowanie i nie zbywało mu na wyobraźni. Bezin- teresowność jego względem mnie graniczyła z wy- rzeczeniem się samego siebie. Czémże zdołałem ująć tego surowego syna morza, aż do tego sto- pnia? Oto narzuceniem mu się na professora. W dłu- gich chwilach które na nieboszczyku okręcie spędza- liśmy razem, wznieciwszy w nim chęć kształcenia się systematycznego, wskazałem mu drogę, którą dostąpić może tego celu, wprowadziłem go nawet na nią usilną i cierpliwą pracą.

Każdemu nauczycielowi chcącemu zawód swój trudny, lecz szanowny, *szczerze* pokochać, życze- ucznia tak pojętnego, tak chętnego i wdzięcznego, jak był Jens Jensen, kapitan marynarki kupiec- kięj. Zapal jego do nauk wzrastał codziennie, po- step tak był szybki, że m się osmielił wkrótce naruszyć trudną dziedzinę filozofii. Nie jest tu miejsce zastanawiania się nad zjawiskiem peda- gogicznem, którego tak dziwnym sposobem sta- łem się twórcą; dość, że danem mi było, obudzić z letargu umysł, który bez mej pomocy byłby nie- zawodnie zardzewiał, i wzniecić tyle ambicji w pro- stym marynarzu, że został naprzód kapitanem dłu- gich kursów, a podezsał najnowszej wojny Duńczy-

ków z Holsztynem wyniósł się na dzielnego kor- sarza, o którym gazety często wspominały.

II.

Piloci norwegscy są niewątpliwie najsmiel- si i najzuchwalsi żeglarze, jakich tylko nosiły fale morskie. Niemasz niebezpieczeństwa, którego by się ulekli, niemasz nieszczęść, któreby odstraszyć się dali. Wyborni to ludzie, zawsze gotowi do po- święcenia dla bliźnich, strzegą nieszczęść około brzegów, śledzą ciągle biegi okrętów, unoszą się śmiało na grzbietach fal wlekkich, czerwonym za- glem strojnych łodziach, dopadają statków i prze- prowadzają je umiejętnie śród labiryntu skał, śród wzburzonych balwanów i wściekłego wiru od- mętów. Pilot norweskimi tak namiętnie kocha się w swym zawodzie, jak Anglik w wyscigach, jak na- si bohaterowie w preferansie.

Od malenkiego dziecka przywykli do widoku scen morskich, piloci wszystkie siły fizyczne i moralne wyętzają na to, by się zaprawić do zwy- cieżstw nad zuchwałym żywiołem; współubieganie się ich w tym przedsięwzięciu dochodzi do tego stopnia, że zapominają wszystkich węzłów które ich z życiem łączy. Kilka tygodni przed mojem przybyciem dał tego dowód jeden z młodych pilotów.

Okręt kołatany burzą ukazał się na ostatnim krańcu widnokregu; czujny pilot wypadł na je- go spotkanie. Cała ludność portu chciała być świadkiem gotującej się katastrofy; burza była okropna. Rybak dążył prosto naprzeciw wyjące- go wichru, raz znika, znow ukazuje się na grzbie- cie zapionionego balwanu, już dopada okrętu— wtém lódz się przewraca i rybak tonie w otchła- ni. „Byłem tego pewny, zawołał syn nieszczęsnego wskakując do łodzi, ojciec mój zawielał wazył, krając wiatr o jedną linię za ostro.” Dąży ku okre- towi śmiały młodzieniec, dopada go i wprowadza szczęśliwie do portu. Tu dopiero syn dał folę swęj boleści, ojciec jego znikł na zawsze! Taki los spotyka wszystkich prawie pilotów, lecz od tego zawodu nie odstrasza. Znałem kobiety odwodniałe po szósty, po ósmy raz nawet. Zapewnić los wdowie, jest powinnością religijną dla rybaków; bractwo ich trzyma się ściśle za ręce w każdej oko- licznosci; mąż jeszcze żyjący wybiera sobie następ- cę pomiędzy najlepszymi przyjaciół.

Piloci podlegają doskonałej kontroli; pewna ich liczba musi się znajdować w każdej przystani. Alderman ma nad nimi zwierzchnictwo, nad Aldermanami kapitan sterników, wszyscy zaś stoją pod najwyższym zarządem kommandora sterników w Christianii.

Dziwić się nie można, że tak wiele ludności ku wybrzeżom się garnie, i że życie, zajęcia i domowy porządek tych licznych gromad rybaków, pilotów i wioslarzy podlegają osobnemu urządzeniu i ścisłej kontroli; pamiętać bowiem należy, że 48^{ma} zaledwie część całej przestrzeni kraju Norwegii okazuje się przydatną do uprawy rolniej; reszta zaś albo zupełnie nieurodzajna, albo błotna, albo też wiecznym śniegiem pokryta. Rybołówstwo stanowi największe bogactwo kraju i najważniejszy artykuł handlu wywozowego, który prócz drzewa i kruszców, żadnych innych nie obejmuje przedmiotów. Ogólna ludność Norwegii wynosi 1,340,000 mieszkańców rozsiadłych na 5571 milach kwadratowych. Stosunek ten przestrzeni do mieszkańców, wydawać się może napozór bardzo niekorzystnym; zważyć wszakże należy, że dzika przyroda kraju, nie wszędzie osiedlać się osadom dozwala, stąd też południowe prowincje wcale gęsto są ludem zapelnione, w północnych zaś zaledwie 32 głów na milę kwadratową wypadnie.

Mimo zrzęcości jaką posiada lud skandynawski do robót ręcznych, nie lubi on wcale poświęcać się zajęciom przemysłu rękodzielniczego; wzrost zatem fabryk, i w ogóle przemysłu nader powolnym krokiem daje się tu zaprowadzić; bogactwa nawet mineralne, w które kraj obfituje, pierwszą tylko obróbkę na miejscu otrzymują, a jedyną gałęzią fabrycznego przemysłu, który coraz więcej się rozszerza, jest wypalanie wódki, bardzo korzystnie na rolnictwo, ale nader szkodliwie na obyczaje ludu wpływające. Wszyscy dążą do ukochaniej im natury, wszyscy ją najbliżej z nią pragną przestać; dlatego też, jeśli nie na rybaków, to w największej części na rolników, lub pasterzy się kierują. Bydło hodują latem po górach, gdzie dziewczęta, idylliczne pędząc życie, pilnują go i paszą na bujnych i aromatycznych pastwiskach średniej wysokości, z kądem jesienią dopiero na doliny schodzą.

Domki Norwegowcy budują sobie z drzewa zapychając szczeliny mchem, i malują je czerwono; prócz Christianii i kilku miast, które zabudowane

są murowanemi kamienicami, nigdzie prawie muru nie znajdziesz. W prowincjach północnych hodują wiele bardzo renów; używają ich do jazdy, nabiałem się żywią, a z sierści i skóry na odzież przydatne wyroby przygotowują. Dziwną jest rzeczą, jak bydło rogate renów nienawidzi; na paszy gdzie je pędzono, przez trzy miesiące przynajmniej krowa ani wół, choćby z głodu miały zdychać, ani trawki nie uszczkną, i z odrazą od takich pastwisk uciekają. Ren zastępuje w pociągu konia, nie ma jednakże tyle co on wytrwałości, trudno daje sobą powodować i ciężarów na sobie nie nosi, a w zaprzęgu jedynie da się przydatnie używać.

Wróćmy do mojego kapitana. Burze i zawieruchy trwające od dni kilku zatrzymały Jensena w Fahrundzie, mnie zaś w domu aldermana, gdzie udzielał lekcji języków i rad lekarskich, gdzie przysposabiam lekarstwa i grywam w bostona z aldermanem, Gdańszczaninem i rozkochanym kapitanem norweskim. Szklanice poncu i wina grzanego z korzeniami i cukrem ścigają jedna druga wieczorem, a wieczory długie, gdyż najkrótsze dni nastąpiły, trwające zaledwie godzin pięć niespełna. Rozmowa toczy się w kilku językach, zawsze żywa, zawsze interesująca. Już się zbliżają święta Bożego Narodzenia w krajach protestanckich tak uroczyscie obchodzone. Aldermanówny kryją się z jakimś robotkami; przewiduję, że wkrótce będę bogatszym o kilka sakiewek na te pieniądze, które i w jednej nader wygodnie by się pomieściły.

Nie zmienniejszego jak klimat norweskimi w tej porze roku. Najpyszniejszą pogodę przerywały nagle zawieruchy, tak burzliwe, że skały pokrywały się w oka mgnieniu grubym śniegiem, z którego tworzyły się wysokie góry, zakopując całe mieszkania. Postać otaczającej nas natury tak się zmieniała, że trudno było w niej się rozpoznać. Mroz nie dochodził nigdy tak wysokiego stopnia jak u nas; śniegi często z szybkością topniały, jak gdyby pod wpływem jakiegoś, w wnętrzu skał zawartego ciepła.

Wrócił nareszcie kapitan i przywiózł z sobą wiele nowin. Do sześćdziesiąciu statków różnych narodów i wielkości zawiąła burza z brzegów Anglii i Szkocji i z kanału Manszy do portu Fahrund i tuż przyległego Lushafu; największa ich część bardzo uszkodzona, a pomiędzy temi wielka fregata o dwóch pokładach zwrócona z drogi od Ham-

burga do Nowego Yorku, mająca pomiędzy passażerami doktora jakiegoś pruskiego.

Ciekawy byłem poznać tego kolegę ściganego podobnym memu losom.

— A sam coś postanowił zrobić z sobą kapitanie?—zapytałem.

— Com postanowił z sobą zrobić?—odpowiódł, przedewszystkiem dotrzymać panu słowa i zawieźć go do Edymburga lub gdziekolwiek sobie życzysz na brzegi wschodnie Szkocyi czy Anglii. Do tego się zobowiązał, i to zostało w mym logbuchu (księżyce okrętowej) zapisanem. W Bergen leży statek mojego pryncypała, który razem jest moim wujem. Kapitan tego statku, złożony ciężką chorobą, podobno już skończył swój zawód marynarzki i ziemski. Napisałem do właściciela z zapytaniem czy mi powierzy dowództwo tego okrętu. Nie spodziewam się odmownej odpowiedzi, gdyż wuj zna mnie i wie, że nie winie mojej, lecz woli losu przypisać należy stratę naszego brygu. Zresztą statek był assekurowany wraz z ładunkiem, oprócz części należącej do sternika, który zdaje się życiem przypłaci swą klęskę.

— I mnie się tak zdaje; ale co ja mam zrobić z sobą?

— Zostać z nami, panie doktorze. Wszystkim nam jesteś potrzebnym; czekajmy aż się morze uspokoi, a tymczasem żyjmy jak można najweselej.

Zostałem tedy, polecając Bogu i dalszym wypadkom kierunek mych kroków. Zostałem w kraju, którego prawa nie wzbraniały spocząć rozbitkowi własnej strzechy nieposiadającemu, i którego mieszkańcy dali mu przytułek i zatrudnienie.

Nadeszły święta, z niemi gwiazdka, nabożeństwo pod gołym niebem odprawione przez najstarszego z osady; po niem katary, biesiady i bóle głowy.

Niebo się wypogodziło nareszcie, burze się uciły, okręta naprawione na morze wypłynęły, sternik nasz umarł, i został pochowanym nie w ziemi, bo téj tu niema, lecz w odmętach morza; większa połowa ekipażu weszła w służbę innych kapitanów, chorzy wyzdrowieli, aldermanówny już umiały powiedzieć: *bon jour, bon soir i je vous aime*; więciej im nie było potrzeba.

Missya tedy moja w Sölö zakończyła się. Podziękowałem całej osadzie za tysiączne dowody przyjaźni, pożegnałem jak najczulej uprzejmym al-

dermanów obiecując wrócić, i puściłem się z kapitanem i pozostałymi nam siedmiu majtkami do Fahrsumdu, gdzie większy był ruch, więcej życia, i gdzie mnie kolega pruski niecierpliwie oczekiwał.

Czarująca jest ta podróż przy spokojnem morzu i przyswiecającym księżycu. Szybko przesuwała się lódź przez długie, kręte wąwozy, jużto pod wysokiem sklepieniem skał, rzucanych jak gdyby umyślnie jedne na drugie, już przez szerokich zatok zwierciadła, w których pełny, złocisty księżyc przyglądał się ciekawie własnej swej piękności. Tu znów groźna skała stała przed świecącym planetą, rzuca na nas cień swój jak olbrzymi całun i pogrąża wszystko w czarnej ciemności. Nie nie przerywało uroczystej ciszy natury, tylko daleki, poważny głos oceanu i plusk wioseł w regularnym rytmie uderzających o wodę, z której przyskały strumienie światła fosforycznego.

Naturo! tyś wszystko zrobiła, by tym nagim skałom wynagrodzić brak odradzającej ziemi; zdaje się że przez piękność chciałaś mieszkańców tych opok z swym losom pogodzić. I dokażałaś tego wiecznie wielka, okazałaś twórczynio! Norwęgezyk kocha te nagie skały, jak matka swe dziecko, kocha nawet tego, który na nie z zdumieniem spogląda, który się ich piękności dziwuje. Heżto razy biedny tego kraju mieszkanie czerpał w niem wzruszeniu bratnią dla mnie przyjaźń, dla siebie rozkosz, dla rodzinnych skał swych ubóstwienie! Droga potrzeba kochania rodzinnego kraju, ty wszystkich cnót jesteś kolebką!

Widok lasu masztów przeszywających błękit nieba i daleki gwar ludzi, oznajmił nam, żeśmy się zbliżyli do portu.

Miasto Fahrsumd leży na brzegu stałego lądu Norwegii, częścią na skałach, częścią w płaszczynie. Ulice jego są spadziste, domy niskie, drewniane lecz porządne, magazyny dość obszerne. Na niewielkiem wzgórzu w północnym końcu miasta zbudowano kościół pół z pruskiego muru, pół z drzewa, bez żadnej pretensyi do jakiegokolwiek bładz architektury. Wszystkie sklepy napełnione do późnej nocy kupującymi, na ulicy zgłęb i wrzawa. Uciekały wstydlive Norwegii dziewczęta w drewnianych trzewikach; i zatykając sobie uszy, przed ścigającymi je komplementami majtków francuzkich, których tu burza zawiąza z Manszy.

Weszliśmy do wielkiej sali kassynowej, miejsca zgromadzenia kapitanów morskich; tenże sam zgłęb i wrzawa. Rozprawiano o rozbiciach i zatonięciu statków i ludzi: najstarsi żeglarze nie przypominali sobie tak obfitej w burze zimy. Ale wszyscy kontenci byli, że przynajmniej z życiem uszli, a jeszcze bardziej ci, których poszkodowane statki assekrowane były; boć to doskonała gratka dla kapitana umiającego przy takiej sposobności korzystać z nieobecności obu stron interesowanych.

Nazajutrz rano, równo ze świtem, tojest o godzinie wpół do dziesiątej, udałem się do blizkiego Lushafu, gdzie się znajdował okręt kolegi zagnanego do Norwegii. Śniegi spadły podczas nocy i nie pozwoliły mi uciec się zwyczajną drogą przez spadziste grzbiety skał. Musiałem wybrać nierównie dłuższą, okrażającą zębate brzegi rozciągniętego klinu skał, przegradzających Fahrund od Lushafu. Nic względniejszego jak przestrzeń w Norwegii, zwiększa się lub zmniejsza w stosunku sześcianu pogody lub niepogody. Ztąd wielkie niedogodności w komunikacyach; poczęty muszą walczyć z niebezpieczeństwami wszelkiego rodzaju. Często pomiędzy punktami dość ważnemi niema drogi pociągowej ani nawet konnej: jest tylko drożyśko snujące się wężem przez szczyty skał, przegradzane częstokroć ścianą głazu, na którą tylko za pomocą haków i drabin dostać się można. Ztém-wszystkiem, synowie Norwegii tak są oswojeni z naturą kraju, że dzienniki dochodzą dość regularnie.

Stając w Lushafie, pytam się o fregatę Arethuza, znajdując ją tuż przy bulwarze wzniesioną wysoko w powietrzu. Naprawiano ją właśnie, i wskazano mi dom, do którego doktor był się wprowadził. Spieszę do niego, i poznaję w przesładowanym burzą podróżniku, dawnego kolegę z królewskiego uniwersytetu Dra W....

Po wzajemnym opowiedzeniu sobie dziwnych przygód naszego życia, postanowiliśmy uciec się razem do miejscowego doktora. Trudne jest w Norwegii położenie lekarzów. Rozsiani rzadko pomiędzy rozrzuconemi mieszkańcami brzegów, muszą w spełnianiu obowiązków walczyć nie tylko z chorobą pacjentów, ale jeszcze z ostryością klimatu i niewygodami podróży morskich. Biędny rybak lub sternik nie jest w stanie wynagrodzić hojnie lekarza. Lekarz fahrundzki już niemłody i jedyny

na przestrzeni sześciomilowej wybrzeża, zanadto pilnował swego zdrowia, by mógł być dobrym, poświęcającym się lekarzem w tej krainie. Nie słynął też ani z ludzkości, ani z wiadomości lekarskich.

Ztém-wszystkiem winieniem był oddać mu wizytę, choćby też tylko za to, że mi dotychczas nie kazał wzbronić urzędownie praktyki, i w niesieniu ulgi cierpiącym nie przeszkadzał.

Przyjął nas uprzejmie, ale na nieszczeście trudna była z nim rozmowa. Nie mówił ani po niemiecku, ani po angielsku; łącznie nawet, ten powszechny organ uczonych, zarzucał od dwudziestu lat, tojest od swej doktoryzacji. Mówił tylko po duńsku i, jak utrzymywał, po norweskku; dzika pretensya! jak gdyby języki te różniły się od siebie więcej jak np. język angielski od owego, którym mówią w Stanach zjednoczonych Ameryki północnej.

Mowa pisana Norwegów jest dosłownie ta sama co Duńczyków, język zaś ich potoczny zbliża się do szwedzkiego akcentuacyą twardą i kilkudziesięciu od niego przyjętymi słowami. W głębi Norwegii, a szczególnie w północnych jej częściach, używają narzeczy jeszcze więcej zbliżonych do szwedzkiego. Matką tych wszystkich języków jest starożytna mowa Skandynawii.

W ostatni dzień roku, konsulowie zaprosili wszystkie władze miejskie i wszystkich znacniejszych kapitanów na ucztę do sali reductowej. I nas także ten zaszczyt spotkał.

Wieczorem udaliśmy się do sali reductowej, ubranj w chorągwie wszystkich narodów handlujących. Towarzystwo składało się z kilku urzędników cywilnych i wojskowych, z pastora, doktora, adwokata, notaryusza, kapitana pilotów i kilkunastu kupców, z których prawie każdy był konsulem jakiegoś potentata, i z całego hufcu kapitanów okrętowych.

Przyjęto nas bardzo grzecznie i przedstawiono wszystkim osobom mówiącym obcemi językami, by nam nie brakło konwersacyi.

Nastąpiła wkrótce wieczerza. Kuchnia norweska zbliża się więcej do angielskiej, jak do którejkolwiek inszej. Roastbeef figurował w pierwszym rzędzie za sztukę mięsa; zupy nie było, zresztą ryby, morskie raki, ptastwo morskie rozmaitego rodzaju, zwierzyzna, mianowicie sarnina, szynka niedźwiedzia i łapy tegoż zwierzęcia razem z sku-

ra w popiele gorącym pieczone. Obrane ze skóry i paznogi, łapy te tak są podobne kształtem i kolorem do rąk ludzkich, że trudno przezwyciężyć do nich wstrętu. Ale raz skosztowawszy, pojąłem dlaczego niezdawia tak lubi łapy swe liżać. Szkoda że ich ma tylko cztery! Win doskonałych nie brakło tutaj; niemasz w świecie miejsca gdzieby tańszymi były. Bordeaux, Porto i Szampan łąły się strumieniami i rozgrzawszy głowy rozwiązały nareszcie usta całemu towarzystwu.

Toasty następowały jedne za drugimi. Pito tak jak u nas za dawnych czasów, z wielkich kielichów, kilka ich wałęsało się ciągle od toaśnika do ucetownika. Około godziny 10 pastor, urzędnicy, konsulowie zaczęli się wynosić cichaczem. I my tak zrobiliśmy zostawując adwokatów z kapitanami przy kieliskach.

Tylko kapitan Jensen nam towarzyszył.

Na czystym błękie nieba błyszczały wesoło gwiazdy, mróz był silny, ale tak sucho, tak cicho w powietrzu, że wyszedłszy z gorącej atmosfery, nie można było żądać dobroczynniejszego balsamu dla rozgrzanych głów, jak owo powietrze.

Chęć dłużej używać przyjemności pogody, wsiedliśmy z kapitanem do łodzi odwożącej Dra W. do Lushafu. Droga prowadzi, jak już wiemy, około języka skalistego, wdzierającego się do zatoki i dzielącego się na dwie przystanie.

Nie żalowaliśmy naszej wycieczki. Natura dała nam reprezentacyą, jaką żaden teatr świata, Wzruszawsz nawet nie przedstawił nigdy.

Któż jest zdolny wystawić sobie czem jest zorza północna, jeśli jej w Norwegii nie widział?

Jakie pióro dość śmiałe, jakież wysłowienie dość silne do odmalowania tej boskiej dekoracyi nieba?

A jednak przejęty do żywego majestatycznym obrazem, rozrzucającym dziś jeszcze duszę mą religijną zachwyceniem, skręśli tu choć słaby szkic jego.

Ukazał się nagle na niebie obłoczek świecący, białawy, zawieszony w północnej stronie firmamentu. Nie widziałem jeszcze meteoru podobnego, i z zadziwieniem wpatrywałem się w ową gazę srebrną, pływającą wysoko w powietrzu. Ale nie zostawałem długo w zawieszeniu; ognisko świa-

tleń rażące ukazało się w środku obłoczka, rzuciło niezmierne promienie na przestrzeń nieba, i odrazu całe jego sklepienie pokryło się olbrzymiami, najrozmaitsze kształty przybierającymi widmami. Ogniste snopy piorunów, długie palące miecze zabłysły; wulkany zalewające żarem i lawą świat cały, race szybsze jak myśl, przebiegały powietrze. W czystym eterze niebios grały najbogatsze kolory: tu walczy purpura z jaskrawym fioletem, tam szmaragdy igrają z czarnymi dyamentami; w jednej chwili wszystko przybiera postać szerokiej, opasującej niebieską hemisferę tęczy, z której pryska na kulę ziemską deszcz ognisty. Nikt nie zdoła opisać uroku, pod jakim pozostawaliśmy wszyscy, niemi i zaledwie oddychający. Boże odwieczny! czy Ty nam zstąpienie Twe na ziemię zwiastujesz? myślałem, lub czyś otworzył bramy wiecznego raju?

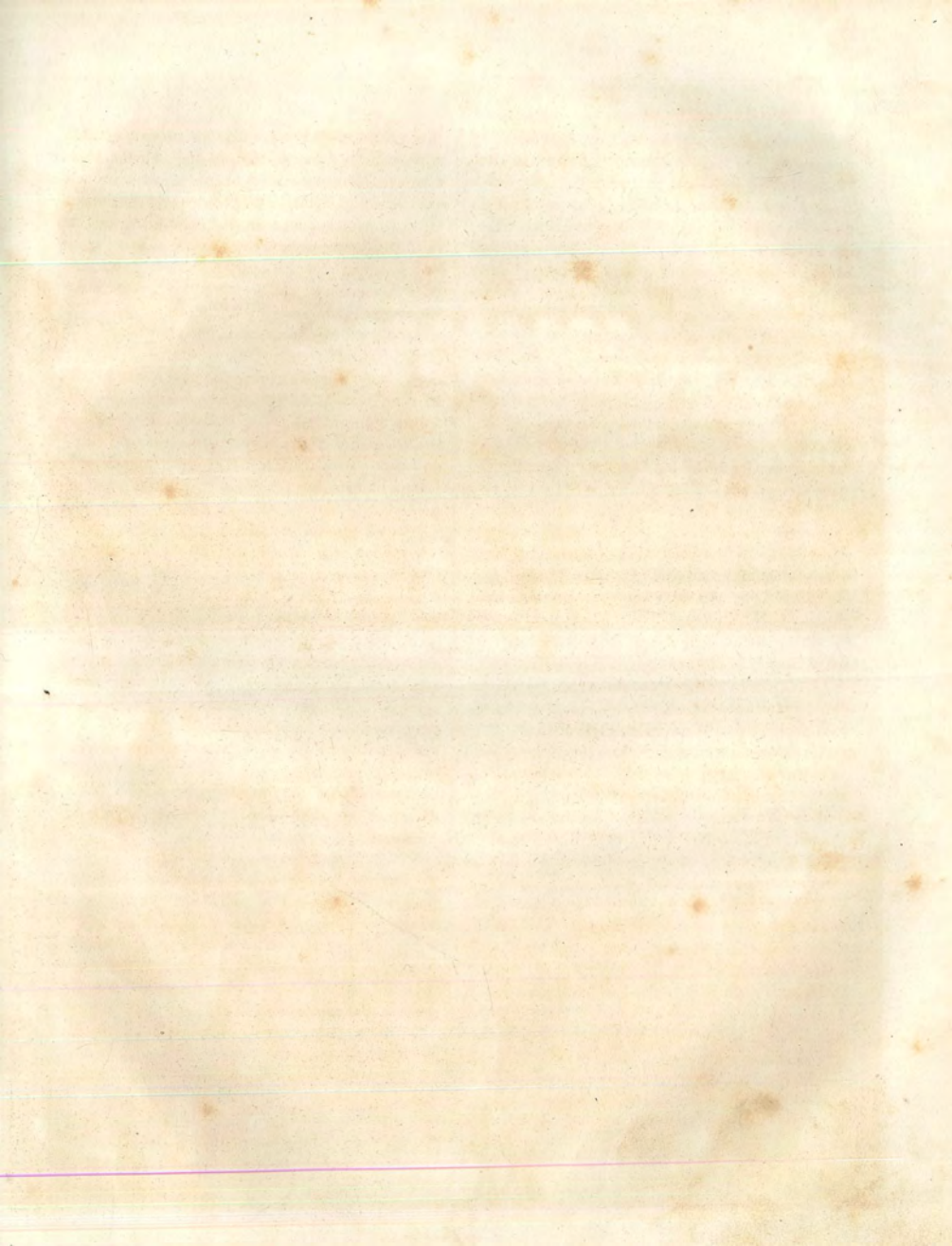
Nieustające zmiany kształtów i kolorów następowały jedne za drugimi; wszystko znikało czasem w mgnieniu oka, zostawując po sobie najczarniejszą ciemność, nieprzejrzałą dla gwiazd nawet. Wszystko się znów zapalało razem nieskończoną luną, jak gdyby gorzał świat cały, gorzało niebo, woda morska w purpurę zamieniona rubinami toczyła, a skały śniegiem pokryte zalał amarant i osypały brylanty. Wszystko żyło, wszystko się poruszało, ale w zupełnej cichości trwającej kontrastem. Zdaje się że natura własnem dziełem zdumiała—milczy.

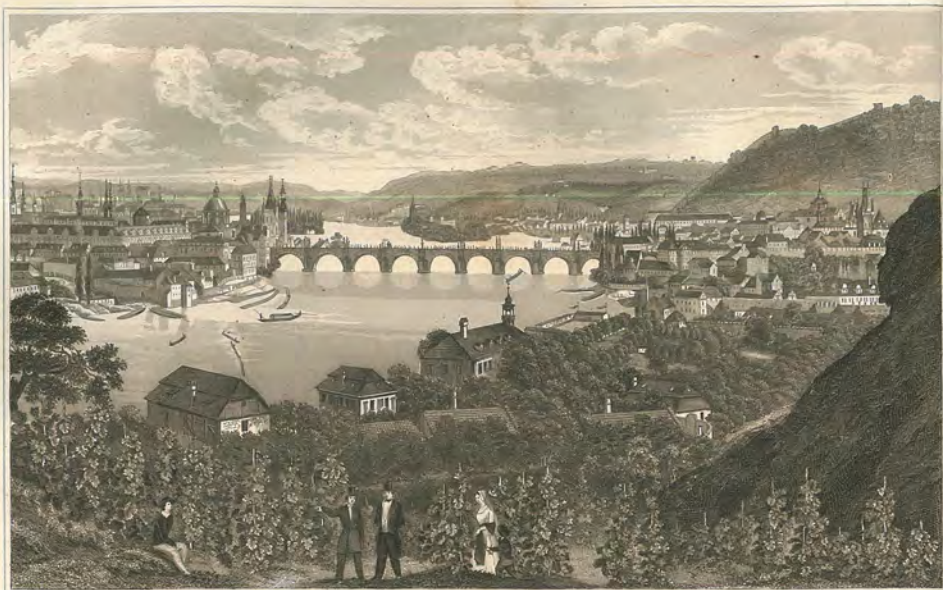
A może też milczy, bo nie wydała jeszcze żadnego głosu godnego wtórować majestatowi zorzy północnej.

Trwały te cuda więcej jak dwie godziny; przyciągani pomimo wolnie ku nim, wypłynęliśmy z przystani na otwarte morze. Majtkowie nawet, w zachwyceniu zapomnieli robić wiosłami. Dopiero kiedy zorza przestała oświetać widok, i zniknąwszy pogrążyła świat cały w grubą ciemność, poznaliśmy, że nie widać ani brzegów, ani masztów, i że odpływ zaniósł nas za daleko w głąb morza.

Błyskała tylko latarnia fahrsundzka i wskazywała kierunek.

Tak minęła ostatnia noc pamiętnego dla mnie roku.





Praga.



Krakov.

P R A G A.

W samym prawie środku obszernego, ze wszech stron pasmami wyniosłych gór obwarowanego kraju, po którego przestrzeniach dźwięcznie brzmi sławiańska mowa, wśród wzgórz romantycznych wznosi się szeroko po obu stronach czeskiej rzeki Motławy gród poważny, jakby siwizną czasu przypuszczony, a i w starości swej wspaniały, przemawiający. Wyniosłe wieże świątyn w chmury wyskakujące, ogromne, poczerńałe gmachy, dumnie a smutno rozsiadłe, zdaleka już przejmują wędrowca uczuciem pełnym czci i poszanowania dla starodawniej, historycznej stolicy potężnego niegdyś narodu. Ze skruszonym sercem, z mimowolną jakąś bojaźnią wjeżdża podróżny w posępne mury Pragi, tej wielkiej świątyni czeskich a zarazem sławiańskich pamiątek, żywo przemawiającej dziś jeszcze grobowym głosem, o całej piękności, sile i bujności tego życia co już zapadło, przebrzmiało, a tu się, jak w ognisku, niegdyś, przed wieki, kupiło i wrzało.

Bo jakże nie uchylić czoła, jak nie zatonać w głębokie zadumy, na widok tych ścian zgrzybiałych, w których przed czasy 20 przeszło tysięcy żarliwych uczniów słuchało mowy ust tak historycznego człowieka jakim był Huss? na widok tej rzeki, w której wodach tysiące męczeńską śmiercią zginęło, tych murów co się przypatrywały straszny twarzą Żyskowych towarzyszy; tych okien, z których bez sądu zrzucano sądzonych? Jak nie zamarzyć na widok tej całej, malowniczej, cudnej okolicy, w której, tysiąc lat już temu, rozłubowała się nadobna Libusa, jak Rusalka z wód głębi z zamroki podała do nas wyglądającą, i tego grodu rzuciła początki, aby się stał w przyszłości ogniskiem życia i uczyć jej dzielnych ziomków, a później z nimi i ich pamiątkami i ich śladami zatonać, zniknąć pod powłoką obcego pierwiastku. Wynudziwszy się podróżą po germańskich ziemiach, wjeżdżając tu, miło pomyśleć i wspomnieć Słowianinowi, że w tej stariej, swojej, rodowitej Pradze przez tysiąc lat przeszło przebywali, królowali Słowianscy władcy; że jej potęgą nęciła oczy obcych ku sobie, a piękny rozkwit ducha wzbudzał po-

dzi i zadróść postronnych. Zaciemniałe, tajemnicze myty, jak owe o Rzymu początkach, choć już dawno przebrzmiały, unoszą się dotąd fantastycznie nad wieżami i warowniami mury tej starodawniej sławiańskiej stolicy. Przypominają tęsknomglistą figurę owego Kroka, co na Wyszehradzie twierdząc zakładał, i cudowną postać, jakby boskiej jego córy, niby drugiej Dydony, która dwanaście wieków temu obok niego zamki budowała. Ta Praga była gniazdem władzy i jej rozwoju trzydziestu z górą książących i królewskich mocarzy ze szczepu Przemyślidów, po których bezpośrednio szli na tron trzej słynni, z luksemburskiego domu cesarze. Wszakżeż ona matką wszystkich znamienitych szkół w całych Niemczech, któremi się tak dumnie szczycą. Z niej też pierwsze poszło zarzewie, co wściekłym później pożarem, płomienie hussyckiej, trzydziesto i siedmioletniej wojny na dalekie kraje rozlało.

Dziejowa ważność i znaczenie tego grodu wyciera z każdego zaułka, z każdej ulicy, każdego placu i gmachu, i w oczy bije podróżnego. Migające obrazy najrozmaitszej barwy i treści, mieniące się z patryarchalnej obyczajów prostoty i powagi, w potęgę i sławę władców, to znów uroczyste kanonizacje, świetne turnieje, fanatyczne żydów ciemnienia, straszne Hussytów boje i szturm, szale zbuntowanego mieszczaństwa, sceny okropnych mordów, wyrzucan żywych ludzi z okien, krwawe, wrzaskliwe obrady i sejmy, obłężenia tylołiczne, pożogi, plagi wojen i morowego powietrza, przesuwały się chyżo, przelotnie i jakby mimowolnie przed wzrokiem wyobraźni zadumanego, przyciśniętego smutnemi wrażeniami pobratymca, a w tym grodzie świeżego przybyłca. Przed tysiącem już lat blisko podaje nam historia że istniały dwie rezydencje: Wyszehrad na prawym, a Praga na lewym brzegu Mołdawy, tamten na Libińskiej, a ten na Swinińskiej górze. Właściwie zaś miasto, złane dziś w jedną całość, powstawało z wolna z połączenia mnóstwa przedmieść, wsi i osad po okolicznych wzgórzach i dolinach rozrzuconych.

Nazwa Pragi pierwszy raz wspomniana od obcych historyków znajduje się, kiedy książę Wencel w r. 928 przedsięwziął bronić się wszelkimi sposobami przeciwko wojsku cesarza Henryka Ptasznika. Od roku zaś 968 nazwę tę widzimy rytą wyraźnie na pieniądzech czeskich, co stanowi niezbitą dowód, że musiały już wówczas istnieć stałe jaskie, oznaczone miejskie prawa i stosunki. Pierwotne czasy dziejów czeskich w ogóle jeszcze zbyt mało zbadane; niedawne dopiero usiłowania uczonych tamtejszych, każą się w przyszłości spodziewać bogatych plonów i skutecznej pomocy dla odgadnięcia tajemnic słowiańskiego życia. Nie wiemy dotąd zapewne co znaczyć mogła ta nazwa Pragi i u innych Sławian jako miano grodów napotykaną, tak jak i nieznane nam są jeszcze znaczenia wielu innych nazwisk miast u rozmaitych plemion tego wielkiego szczepu z właściwymi odmianami powtarzających się.

Podobnie innym dawnym, wielkim miastom, wczesny swój wzrost i okazałość zawdzięcza Praga naprzód hierarchii kościelnej. Przed ustanowieniem jeszcze biskupstwa praskiego, zbudował książę Spitygniew I w r. 892 kościół pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny; od tej chwili do r. 1100 wzniosło się mnóstwo innych kościołów, klasztorów i opactw w prędkim po sobie następstwie. Od roku 1156 cztery słynne duchowno-rycerskie zakony, w krótkich czasu odstępach, siedliło tu dla siebie obrały, a dwa na ostatku przybyły, t. j. rycerzy niemieckich i Templariuszów, ustanowiły po obu stronach königshoferskiej rezydencji straż honorową. W ciągu kilku stuleci ważnymi brzemieniami wypadkami, wznosiła się Praga do coraz wyższego znaczenia, aż do chwili, kiedy Ottokar IIgi przeistaczając z gruntu statuta miejskie, daje początek nowej zupełnie epoce piękniejszego zakwit. Karol IV Cesarz więcej jeszcze przysłużył się Pradze; była ona ulubioną, ukochaną dlań miejscem, i przemieszkując w niej często, do takiego blasku i bogactwa ją doprowadził, że przewyższyła niemi w owym czasie wszystkie najznamienitsze miasta niemieckie. Monarcha ten nie tylko założeniem *Nowego miasta* i wyprawieniem warownego muru wokoło dzielnicy zwaną Małą stroną (Kleine Seite) przestrzeń grodu o połowę przeszło rozszerzył, nie tylko upiękniał go i żywszy ruch w nim obudził wysta-

wieniem murowanego, wspaniałego mostu obok walącego się już dawnego, ale nadto fundacją uniwersytetu, umysłową i moralną działalność wzniecił, a dobroczynnymi instytucjami municypalnymi i sprowadzeniem tu malarzy bizantyjskich, do architektów niderlandzkich, winiarzy burgundzkich, garbarzy kalabryjskich, ba nawet i perskich tkaczy, i osadzeniem ich na prawie miejskiem, pierwszy i skuteczny dął pochoch do postępu i rozwoju sztuk i rzemiosł w przyszłości. Za istotnego dobroczyńcę swego pod względem materialnego bytu słusznie uważać powinna Praga tego cesarza. Nie zapomnieli o niej i następcy jego, a za ich sprawą sławiański gród ten doszedł do stopnia znamienitości, który i dziś dźwierz, mianowicie iż jest trzecim z porządku w całych Niemczech miastem.

Piękna, święta Czech stolica, leżąca dziś jakby w zakleciu, w ciszy, między grobem a życiem, graniczy z trzema powiatami, jakich szesnaście cały kraj jęj liczy, a sama nie należąc do żadnego, z wyjątkiem Wyszehradu i przedmieść, osobną zupełną sama w sobie tworzy całość. Obwód miasta wynosi blisko cztery godzin drogi, a najdłuższą w nim linia od bramy Szpitalnej do bramy Strahöfer czyli Reichsthor, przeszło godzinę. Ze wszystkich stron otaczają je obronne wały, przez które ośm bram do wnętrza prowadzi. Od południa ku północy przerywa je Moldawa opodal miasta wesołe tworząc wysepki, z których Schützen, Färber i Hetzinsel najznaczniejsze.

Praga rozpada się na cztery główne dzielnice. Po prawym brzegu Moldawy leży mgliste, smutne, ciasne Stare miasto wraz z obrzydłą żydowską częścią (Judenstadt) i pogodniejsze daleko, mile dla oka Nowe Miasto. Stare miasto usadowiło się w dolinie, nowe zaś rozrzucało się na pochyłościach, pagórkach w trójnasób tak szeroko jak tanto, i od południowego końca strzeże go warownia Wyszehradu. Starożytny, kamienny most łączy stare gniazdo z trzecią dzielnicą, zwaną Małą stroną, która po lewym brzegu Moldawy stopę gór Wawrzyńca i część zamkowej pokrywa. Na szczycie zaś zamkowej tej góry wznosi się korona starożytnego grodu, wspaniała Hradczyn, jako czwarta dzielnica miasta. W całej swej masie wydaje się zatem Praga, jak gdyby wtłoczona w zniżoną dolinę Moldawy, ale mimo to, rozrzucona symetrycznie po obu stronach rzeki, czepiając

się wzdłuż górzystych pochyłości, z pobliskiej okolicy i ze środka samego, nader urozmaicony i powabny przedstawia widok.

Starodawny most mурowany na Moldawie stanowi jeden z najznakomitszych pomników średniowiecznego budownictwa, po dziś dzień zachowanych. Długość jego wynosi 790 stóp, szerokość 35, wysokość 42 stóp; 18 potężnych filarów brzemie jego dźwiga; 29 posągów i grup świętych pańskich zdobi go okazale, a dwie niegdyś warowne, dziś nieco podstarzałe, poważne wieże, strzegą od obu końców jego wnijsia. Znajduje się w Pradze wiele bardzo ciasnych, krętych ulic i uliczek; w nowszych wszakże czasach upiększa się coraz bardziej i rozjaśnia miasto, tak dalece, że patrząc nań, smutno się robi na myśl, że niedługo wszystka ta staroświeczyna, tak tęskno wijąca w starą dzielnicę, ustąpić będzie musiała miejsca natrętnym nowinkom świeżych wymagań i gustu. Nowe, szerokie, okazałe ulice wrzynają się już głęboko w Stare Miasto, z poza bram którego wyzierają schludne, jaśniejące i nadobne przedmieścia. Owe ciężkie, a wysokie, jak fortece budowane domy nikną jedne za drugimi, a na najstarszych ulicach podnoszą się nowożytnie fronty, zwyczajnych dla nas, powszednich domów. Niedługo zapewne przyjdzie czas, że stare tylko wieżęce klasztorów, kościołów i zamków pozostaną jedyną oznaką i śladem przedwiekowego żywota Pragi, i wśród powodzi form nowego życia przypominać będą dawne dzieje, i wyróżnia ją od tych pięknych a ciekliwych miast, co to jak Wiedeń i Berlin, zdają się nie mieć ani jednego wspomnienia, ani dziejów, ani uroczej poezyi przeszłości.

Place, tak jak i w Wiedniu, po największej części są tylko rozszerzonymi ulicami, ale znacznie tu większe.

Domy, z małym bardzo wyjątkiem, prawie wszystkie mурowane, mocno zacieśnione, gdzie-niegdzie wszakże przedzielają je mile dla oka i wrażeń piękne ogrody. Wogóle liczą w Pradze 3327 domów, na 280 placach i oddzielnych ulicach rozrzuconych, 48 kościołów, 9 synagog a ludności do 120,000 głów. Wliczając zaś Wyszehrad i przyległe mu wioski Karolinthal i Smichów do całości miasta, jako z niem połączone, wypadnie razem do 130,000 mieszkańców.

Stare miasto z 978 swemi domami i 53000 mieszkańców, samo jedno tylko ze wszystkich dzielnic zbudowało się na płaskiej równinie; skutkiem tego położenia i wąskich i krętych ulic, mało przedstawia dla oka powabu, ale stosunkowo najludniej jest zamieszkane. Z jednej i drugiej strony mostów, mурowanego i łańcuchowego, założono nie zbyt dawno nadbrzeżne ulice (quais) co się nader do upiększenia miasta przyczynia. Stara ta dzielnica prawdziwie nazwać się może duszą i ogniskiem miasta: życia, ruchu w niej najwięcej. W niej obrały sobie siedzisko wszystkie główne władze kraju, komendantura jeneralna, dyrekcya policyi i uniwersytet. Wielka ilość warsztatów rękodzielniczych, sklepów i targowisko, na którym tłoczą się tłumy żydów i chrześcian, sprawiają, że największy napływ ludzi tu się ściąga. Ze zaś przestrzeni niezbyt znajduje się wiele, domy wynagradzając sobie niezbyt znaczną po większej części szerokość swoją, wznoszą się za to jak mogą najwyżej.

Wielki rynek Starego miasta jest jednym z najznacniejszych placów w stolicy Czech; z czterech stron zacieśniony wysokimi domami, tworzy on nieregularny czworokąt, wpośrodku którego wznosi się główny odwach; oprócz tego zaś zdobia go: wyniosła statua Najświętszej Maryi Panny, i marmurowy, ozdobny wodotrysk, stare bardzo pamiętający czasy. Zpomiedzy innych tej dzielnicy placów, na szczególną wzmiankę zasługują: mały rynek trójkątnego kształtu, do którego prowadzi z wielkiego krótką a szeroka ulica, plac mostowy przed basztą obronną i Kohlmarkt. Co do ulic najwięcej ruchu i znaczenia mają: Jezuicka, z pozoru pęsepną i wąską, ciemną, ale mimo to zapełniona najwykwintniejszymi i najstrojnijszymi sklepami; piękna i nader malownicza Ritterstrasse, Eisengasse i Zeltengasse.

Kościół na Starém mieście wspaniale i pięknie, najznakomitsze wszakże: Theinkirche, jeden z najwspanialszych i najważniejszych pomników czeskiej przeszłości, bogaty w bardzo szacowne malowidła i nagrobki j. t. Tycho-Brahya, Hammerschmidta i t. d.; wązki, ciemny kościół S. Jakóba, w którym znajduje się 30 stóp wysoki, marmurowy pomnik W. mistrza maltańskiego, Wratisława z Mistrzów; piękny kościół kawalerów Krzyżowych, z znakomitemi freskami, olejnymi robotami

mi i podziemną kaplicą; nareszcie kościoły Ś. Egidysza i Ś. Galla, w którym Huss pojąca swa i zdania rozwijał przed tłumami słuchaczy.

Tyle już obejrzawszy, przejszć nam teraz potrzeba do tych ciekawych, starych, nierozpolitych gmachów, na których staraj dzielnicy Pragskiej nie zbywa bynajmniej. Ratusz, okazała budowa w gotyckim stylu, zdobi jednę połac wielkiego rynku. Kollegium Klementyńskie, gmach bajecznie prawie olbrzymi, w którym oprócz mnóstwa obszernych mieszkań urzędników, mieszczą się jeszcze: audytoria teologii i filozofii, alumnat cały, dwa kościoły (Ś. Klemensa i Ś. Salvatora), dwie kaplice (Welsche i Spiegelkapelle), gimnazjum akademickie, biblioteka uniwersytecka, obserwatorium, gabinety: numizmatyczny, fizyczny i historyi naturalnej, akademika sztuk pięknych, drukarnia arcybiskupia, księgarnia szkół normalnych, ogród wielki i siedm mniejszych podwórz. W rozmiarach trudno już, żeby który gmach Starego Miasta mógł się z nim równać; miejscaby nie stało; pod innemi wszakże względami nie ustępują mu jako godne uwagi: Karolinum, czyli właściwy uniwersytet, gdzie się znajdują audytoria prawa, medycyny, teatr anatomiczny, laboratorium i zbiory historyi naturalnej; naprzeciwko stojący teatr narodowy, w którym od niedawna zaczęto przedstawiać sztuki w języku rodowitym pisane; instytut techniczny, konserwatorium muzyczne w dawniejszym klasztorze dominikańskim, mennica i pałace książąt: Colloredo, Kinskich, hrabiów: Clam-Gallas, Wratisławów i t. d. Kto kocha dawne pamiątki, zabytki starożytności, tego najwięcej zapewne zajmą: tak zwany Annahof, siedziba Templaryuszów, stary trybunał, i dawna bożnica żydowska.

Przechadzek nie masz w Starém Mieście prawie wcale, bo wszystkie ogrody, place, najmniejsza odrobina miejsca zajęły budynki. Dzielnice Starego Miasta prawie w okolutenko otacza Nowe Miasto; bram wcale ono nie ma; od półnoey w kącie przysiadło żydowskie miasto z 300 domami i 7000 mieszkańców, głuźące niemylm gwarem, odróżające ciasnotą, nieczystością i ściskiem ludności, częstokroć w jednej izbie po kilka' familij liczącej.

Wyszedszy ze Starego Miasta, wchodzi się na dawny Graben, który niegdys wieńcem tę część

okalał, i na który wpada prostopadłe przepyszny Rossmarkt, prawdziwe Corso pragskie. Teraz na nowym Grabenie urządzono piękne aleje i przechadki służące za kanał połączenia z Nowym miastem, osłaniającem cały zachodnio-południowy tok Starego Miasta i ciągnące się ku południowi ponad rzeką, aż do wysokich, warownych murów Wyszehradu.

Nowe Miasto stanowi najobszerniejszą dzielnicę Pragi i zawiera w sobie 1945 domów i 57,000 mieszkańców. Karol IV, założyciel jego, sam wymierzał i wytykał ulice, oznaczał place i wskazywał miejsca na każdą zosobną bramę miejską. Położenie Nowego Miasta, a szczególnież téż wyższej jego części, rozgnieźdzonej na wesołych pagórkach, bardzo korzystnie wpływa na zdrowie mieszkańców i wiele powabu powierzchowności jego dodaje. Ulice wszystkie szerokie, widne, wspaniałe, place ogromne, olbrzymie nawet, jak Viehmarkt naprzykład 80 sążni szeroki a 280 długi, domy piękne, na nowy sposób budowane, nierażące wysokością, niesymetryczną, jak na Starém Mieście. Kościół Karłowski Najświętszej Maryi Panny na szczególną zasługuje uwagę z powodu bogatych przyrządów złotych i cudownie pięknej, wspaniałej kopuły; po nim idą kościoły: Matki Boskiej Śnieżnej, Ś. Stefana, Hieronima i Ś. Henryka. Wszystkie zakłady dobroczynne i pożytek ludzkości mające na celu gromadzą się w téj części miasta, gdzie i garnizon przebywa; wiele téż gmachów publicznych od pierwszego wejrzenia mile rzuca się podrózennu w oko, jak np. poczta, komora celna, więzienie i t. d. Na Phlastergasse widać najwięcej pańskich pałaców, w których szlachta pierwszego rzędu cieszy się wygodą i okazałością; na Grabenie i Rossmarkt skupiły się w gromadę domy zamożnych mieszczan, a na Porycz, Zderas i Windbergu tuła się biedne nędżnej chudoby chałupki, tworzące jakby jaką kolonij żebraczy, najubożej i najsmutniej wyglądającą z całej stolicy Czech. Fortyfikacye otaczające Nowe Miasto, których wały wyniosłe, hardzo mile stanowią przechadki, czterema bramami dają wnijsię do miasta. Za bramami ciągną się jedne za drugimi najprzystępniejsze okolice, które w chwilach wolnych od pracy stoliczna ludność tłumnie nawiedza, używając świeżego powietrza i zabawy wiejskiej, to na Hetz-inzel, to w Karolinenthal, na górze Żyżki lub na

równinie Kussler. Wyszehrad już tylko jako cydatella uwagę zdolen zwrócić na siebie: ze strasznych skał szczytu ponuro spoziera zwałiskami dawnej swej potęgi. Tu pokazują grób Libussy.

Na lewym brzegu Moldawy, góry Ś. Wawrzyńca i zamkowa tworzą piękny półkisięcy, okalający wklęsłością swą dolinę zasianą domami jaśniejącymi świeżością smaku i wytwornością, która pod nazwą Maléj Strony (Kleinseite) trzecią tworzy dzielnicę Pragi. Część ta daleko mniejsza od Starego Miasta, liczy 534 domy i 19,000 mieszkańców. Mała strona posiada bardzo wiele pałaców, obszernych ogrodów, okazałych domów i wygląda nader wspaniale. Rynek targowy i jarmarczny, wraz z placem obok niego leżącym i ulicami Karmeličką, Mostową i Sporngasse tworzą serce całej tej dzielnicy, która i wspaniałymi świątyniami Ś. Mikołaja, Augustyanów z Rubensowemi obrazami, maltańskiego zakonu i Ś. Rafała poszczycić się może. Pałac hrabiów Waldstein, zbudowany w stylu starorzymskim, zawiera wiele szacownych skarbów w pamiątkach i ma ogród dla każdego otwarty. W pałacach książąt Lobkowitz i Fürstenberg znajdują się znakomite biblioteki, a w gmachu hrabiów Nostitz bogata galeria obrazów i bardzo piękne zbiory numizmatów i starożytności. Przechadzki, choć ich wprawdzie niezbyt wiele w tej części, ale za to przeszliczne, szczególnież téż wyniosły Hasenburg, z którego czarowny i rozległy rozwija się widok na całą grupę rozbitego na dzielnicę grodu, i spacer wiodący przez dawny ogród Jezuitów po spadziści góry do Belwederu. Okolice Maléj strony, z której jedna tylko wyprowadza brama, odznaczają się również nadzwyczajną pięknością i malowniczością położen, a zbudowana na pochyłości góry Ś. Wawrzyńca willa Kińskich, zdobna w najszlachetniejsze dzieła architektury, ogród hrabiów Clam i park Cybulka, ogród botaniczny i romantyczny Kuchelbad zasługują na uwagę i zwrócenie tych nawet, co najpiękniejsze ozdoby miast europejskich widzieli.

Na górze zamkowej panoszy się dumnie Hradczyn, dzielnica choć najmniej znaczna i rozległa z trzech poprzednich, położeniem wszakże i okazałością frontu swego przodująca pod względem świetności nad wszystkie tego grodu części. Zawiera ona 192 domy, w których liczbie wiele pałaców pięknych z 5000 mieszkańców. Wielkie place,

jakoto plac Hradczyński, czterema rzędami rozłożystych drzew ocieniony, plac Sonetto i Pogoreke, a mianowicie téż trzeci plac zamkowy i Grzegorza, wśród których wspaniała kopuła Ś. Wita pod obłoki się majestatycznie wznosi, nadają Hradczynowi wyraz niewypowiedzianej powagi i okazałości. Najznamienitszym gmachem tej dzielnicy, jako i całej stolicy jest zamek królewski, którego olbrzymia obszerność i imponujące położenie na wyniosłości góry, czyni go tak pysznie pięknym, że mało która budowa w Europie pójść z nim może w porównanie. W rzeczy samej, niepodobna słowy wyrazić wrażenie, jakie sprawia potężna ta królów rezydencya, dumnie piętrząca się na szczycie góry widnej zdala w okolicy, rozsiała jak monarcha na wyniosłym tronie, wspaniała rzetelną wielkością i szlachetną prostotą bogatych ozdób, oszczędnie, ale pysznie ją kraszących. Czterdzieści pokoi wypełnia jej wnętrze; a w liczbie ich znajduje się mnóstwo sal okazałych strojnych, jaśniejących najprzedniejszymi dziełami piérwzych mistrzów sztuki, prócz których na szczególniejszą zasługując uwagę, przepyszne freski i rzeźby kaplicy zamkowej, wodotryski i posągi na trzech dziedzińcach się wznoszące. Wspaniałe ogrody ciągną się za murami dworca połączonego krytym przejściem z piękną katedrą Ś. Wita, w której spoczywają zwłoki wielu cesarzów i królów, a między niemi szczątki Ś. Jana Nepomucena i S. Wencela, na uczczenie których zbiegają się zdaleka tłumy ludów na doroczne uroczystości religijne.

Zamożna w zakłady naukowe, klasztory i zakony, Praga jest zarazem ogniskiem wszystkich władz krajowych, rezydencyą arcybiskupa i W. mistrza kawalerów Krzyżowych. Co się tyczy handlu, Praga jest istotną perłą Czech całych; z pomiędzy rozmaitych gałęzi przemysłu najwięcej się odznaczają tu wyroby: bawelniane, kapelusznicze, rękawicznicze, konwisarskie i zegarmistrzowskie.

Nie zbywa Pradze wcale na pięknych okolicach: bujna i rozkoszna natura wszędzie lubo uśmiecha się do człowieka. Tu żyzne równiny przesunute wstęgą wspaniałego strumienia Moldawy, na którym czółna i parostalki, ciemnymi alejami pocięte, kolejami żelaznymi porysowane, jaśniejące bujnymi łakami, kłosistemi łanami; tam znów, piętrzące się w nieładzie wzgórze, góry i skał grupy, po

kryte lepiankami, dworkami i letniami pałacami a w rozdołach między nimi woniejące bogate lany.

Dołączona tu rycina w wierzchniej połowie przedstawia piękną stolicę starosławiańskiego pań-

stwa od strony mostu: po lewej stronie widać Stare miasto, po prawej Małą stronę i górę Wawrzyńca. Dolna zaś część daje nam widok Hradczynu na górze zamkowej.

DOŚWADCZENIA CZYNIONE W UJEŹDŹALNI (HIPPODROME) PARYŻKIEJ,

W CELU KIEROWANIA BALONAMI CZYLI DŹWIGNIAMI (*).

Balony wznoszą się na tej samej zasadzie w powietrze, na którą korek włożony do wody, naję wierzchnię wypływa, albowiem każde ciało zanurzone w cieczy, o tyle w niej staje się lżejsze, ile waży bryła tej cieczy, równa co do wielkości bryle zanurzonego ciała. Tak na przykład, gdy zanurzymy w wodzie ciało, dwarazy od niej cięższe, czyli takie ciało, które przy równiej z wodą objętości, dwa funty, a woda tylko funt waży; natenczas wpuszcimy go w ten rozciek tylko jeden funt ważyć będzie. Jeżeli więc weźmiemy bryły ciała i wody równe sobie, a waga ciała, która w tym razie zowie się *gatkunkową*, będzie od wody większa; ciało to w niej utonie. Gdy zaś ciało w tej samej objętości jest od wody lżejsze; ciało to po niej pływać będzie, a jeżeliby się w przyrodzeniu znajdowało znowu takie ciało, któreby z równą bryłą wody, tę samą miało wagę; ciało to ani by w niej tonęło, ani po jej powierzchni pływało, lecz utrzymywałoby się w tej głębokości, w którejby zostawione było.

To samo dzieje się z powietrzem, co z wodą: ciało od niego cięższe, a takimi są wszystkie zsiadłe i ciekłe w niem toną, wszelkie zaś prawie pary i nie które gatkunki powietrza, jak na przykład *lzeń* (*) czyli wodoród, dopóty ulatują w powietrze; póki ich waga, nie zrówna się z wagą powietrza, w tej samej objętości: powietrze bowiem, coraz wyżej jest

lżejsze, bo jest coraz wyżej radsze. Dlatego balony wznoszą się w powietrze, bo są od niego lżejsze, i tén się wyżej wznoszą, im są większe, im są zatem stosunkowo lżejsze. Lecz i najlżejszy balon, w pewnej wysokości zatrzymać się musi, to jest w tej, w której już, nie dając względu na ciężar łódki, powłoki i t. d., waga wodorodu równa się wadze powietrza w tej samej objętości.

Pierwszym wynalazcą balonów był *Pilastre Rostier* w r. 1783. Pałił on słomę i papier w otworze balonu, i tak w nim powietrze rozgrzał, że to rozszerzone, nie mogąc się w nim pomieścić, kipiało z niego, i do tego się rozrzedzało stopnia, iż go wraz z łódką w powietrzką uniosło. Gdy później dowiedziano się, że wodoród blisko 14 razy jest od powietrza lżejszy; *Montgolfier* użył go do napełniania balonów. Tym sposobem usunięto już kłopot utrzymywania ciągłego ognia, a nadewszystko, oddalono niebezpieczeństwo pożaru. Pozostaje już tylko wynalezienie sposobu kierowania balonami. Jak tę okoliczność pan *Jullien* starał się wykonać, w dalszym zobaczymy ciągn.

Faujas de Saint Fond, pierwszy pisarz dzieła o balonach czyli dźwigniach *Montgolfiera*, z tego powodu początkowo *montgolfieran* zwanych, w r. 1784 przytacza następujące słowa: „Słyszałem z ust samego *Montgolfiera*, że ma sposób kierowania balonów.” Świeże doświadczenia, po trzykroć w ujeźdźalni (hippodrome) paryżkiej powtarzane, stwierdzają w części tę myśl wynalazcy balonów, za pomocą wodorodu czyli *lżenia* dźwigających się w powietrze; lecz myśli tej sam wynalazca nie dokonał, a przynajmniej z wykonaniem jej nikomu się nie zwierzył. Tak więc tylko pozostała w słowach.

(*) *Dźwignia* z powodu zakończenia swego, oznaczającego miejsce zamknięcia, jak *skrzynia*, *wozownia*, *bania*, i t. d., w żaden sposób nie może być do mianowania draga użyta, lecz i znaczeniem i zakończeniem swém, jak najwyraźniej znaczy balon czyli *dźwigająca się bania*.

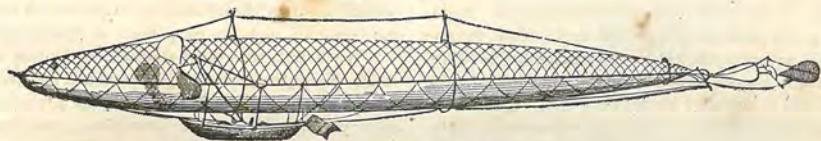
(*) Wodoród lekkością swoją, przechodzi wszystkie dotąd znane ciała, dlatego mianujemy go *lżeniem*.

Doczytać się jednak można skazówek w wyżej powołaném dziele, jakie panem Jullien w budowie nowój dźwigni kierować mogły, lecz pomińmy tę okoliczność, o której wynalazca kierunku balonów może i nie wiedział: nie odbierze ona bynajmniej jego odkryciu zasłużonej wartości, i cała część, cała wdzięczność jemu tylko od ludzkości należeć się będzie. Dodajemy wszakże, że lubo wszystkie 3 doświadczenia, a osobliwie téż ostatnie, nie zaspokoily nas zupełnie, spodziewamy się jednak że zadanie to wkrótce dostatecznie rozwiązane zostanie: za kilka pewno tygodni człowiek już się będzie mógł wznieść w powietrze, jak ptak latać i w nim się kierować.

Budowa balonu pana Jullien jest bardzo prosta, lecz opis jego jest nieco zawily; przytoczymy jednak wyjątek z pana *Turgan*, biegłego w tym przed-

miocie, który ten opis z rzadką wykonał jasnością. Oto są mniej więcej jego słowa:

„Balon pana Jullien, ma postać wielkogłowąj ryby, która w powietrzu długością swoją poziomo się, jakby na stole leżała, utrzymuje. Od pyska do ogona otacza ją na okół drewniana rama, także mająca położenie poziome czyli takie, jakie ma stół lub podłoga. Te ramy za pomocą obrączek utrzymuje sznurek, który pod grzbietem idzie, i łączy łeb z ogonem. W czwartej części długości od pyska, na każdym boku znajduje się rodzaj skrzydełka, które z dwóch deseczek, nakształt śrubnicy (helice) czyli śruby albo ślimaczęj skorupy jest złożone. Każda z tych deseczek ma postać *rakiety*, służącej do grania w *wolanta*, a długość ich małego od szerokości większa. Gdy balon poziomo, czyli jak postole ma postępować; skrzydełka te obraca-



ją się tém spiesznij, im ma bieżć prędzij, słowem, one mu służą do nadania biegu poziomego postępowego.

Lecz jakim sposobem sprawia się tych skrzydełek obrot? Nic nad to prostszego: oś, na której są osadzone, jest w związku za pomocą zębów z długim prętem, który znowu sam ząbej się z kołem w łódce będącém, podobnóm do koła służącego do obracania pieczeni: obrót tego koła sprawia kręcenie się skrzydeł. Zresztą, w ogonie znajdują się dwa, jeden za drugim *stery*, które są deskami drewnianymi téj postaci, jak skrzydełkowe. Ten, co jest bezpośrednio przy balonie, swą płaskością, drugi zaś, co za nim jest osadzony, utrzymuje się pionowo i może się na

prawo lub na lewo wykręcać. Ruchy tym sterom nadają się za pomocą sznurka górnego, o którym powiedzieliśmy wyżej, i za pośrednictwem sznurków dolnych do łódki idących.

Jedném słowem mówiąc, ale nie uprzedzając skutków tych doświadczeń, powiedzieć można, że we wszystkich trzech doświadczeniach balon pana Jullien był kierowany wiatrem, do czego dodajemy jeszcze zdanie pana *Bernard*, który na doświadczeniu ostatniém rzekł: zagadnienie kierunku balonów jest przynajmniej na małą stopę rozwiązane, i to cośmy widzieli, albo jest niczém, albo nowym zupełnie światem.

R...

PLATKONOGI.

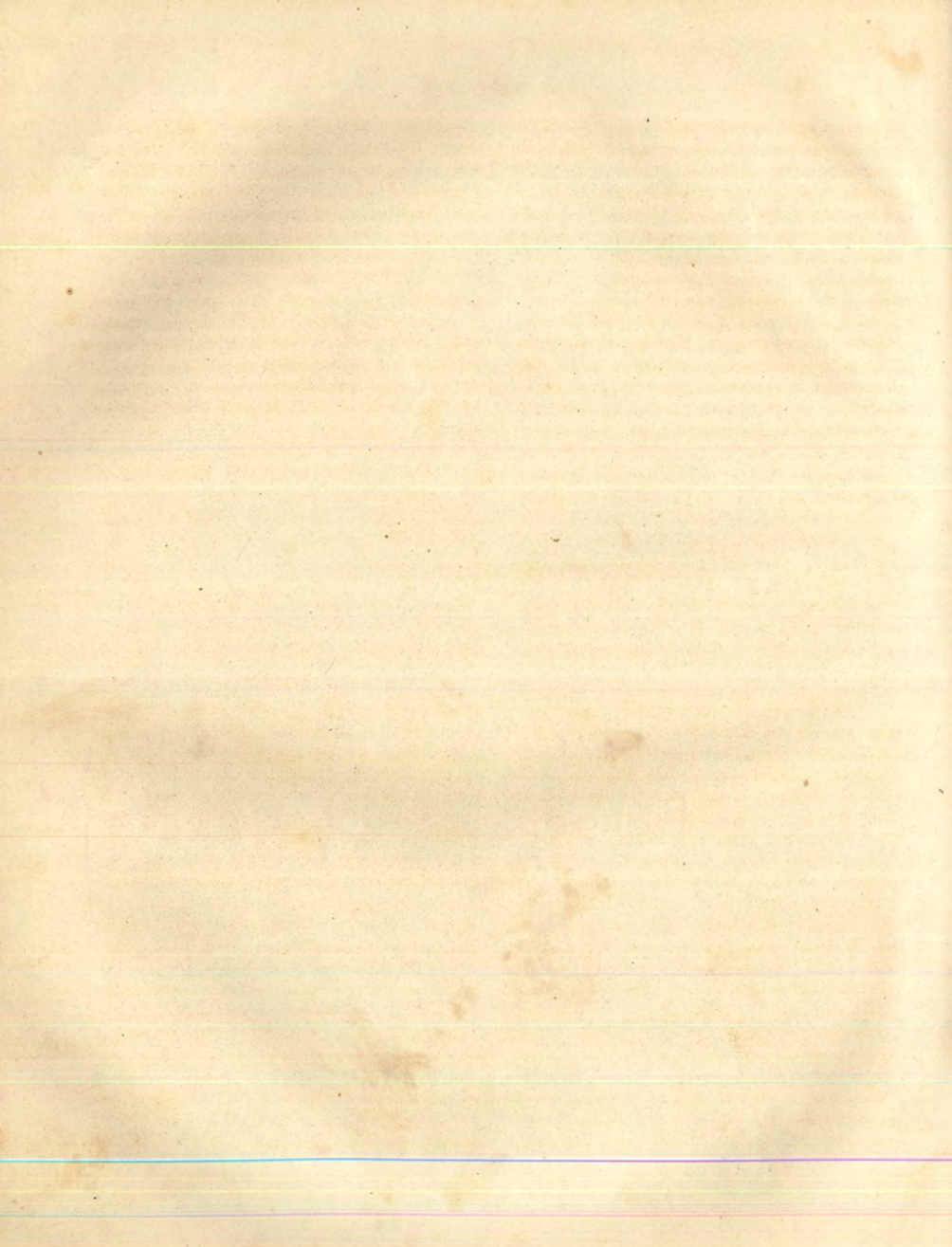
Ptaki te liczone są do *bekasowatych* (Scolopacides), a zatem do rzędu trzynastego w układzie Temming'a i Cuvier'a; ze kształtu jednak palców u nóg wypadaloby raczej pomieścić je w rzędzie czter-nastym, *Platwonogich* (Pinnatipedes). Dziób ich jest krótki, prosty, okrągławy, cienki, przy nasadzie płaski, trójkątny, a tępy, martwy koniec wierzchniej szczęki nieco wystaje i zakrzywiony jest za sztydłowaty koniec dolnej; otwory nozdrzy znajdują się w rówkach aż ku końcowi dzioba idących; nogi krótkie: trzy przednie palce aż do pierwszego stawu błoną są połączone, od tam aż do pazurów błonkowatymi kłapkami osadzone, a klapki te są ząbkowane; tylny palec bardzo wysoko osadzony, ku wewnętrżnej stronie pochylony, w chodzie końcem tylko pazurka ziemi dotyka. Budowa ciała płatkonogi podobne są zupełnie do ptaków nabrzeżnych, zaś błoną palce łączącą, wycinaną i kłapkami wcale podobne są do wodnych kurek; w ogólności bardzo dobrze pływają i czasami daleko od ładu na wody się zapuszczają. Należą do ptaków daleko na północy mieszkających, gdzie przebywają raczej na wodach słonych jak na słodkich i chyba tylko burzą zapędzone przybywają pojedynczo do północnych Niemiec. Dotąd znanych jest pięć gatunków, z których dwa tylko należą do Europy; napotykanne jednak bywają i w północnej Azji i Ameryce, gdzie gnieździ się w trawie, znoszą po cztery gruszkowate, zielone, ciemno uplamione jajka; dwa razy do roku pierzą się, żyją drobnymi owadami i robakami łapiące. Na zalazconej tablicy wystawione są obadwa pomienione gatunki, według maści upierzenia, która bywa znacznie różna, stosownie do pory roku i wieku ptaka.

Platkonóg czerwonoszyj popielaty lub *szczupłodziób*, (*Phalaropus hyperboreus* lub *angustirostris* i *cinereus*, fig. 1 i 2), jest mieszkańcem wyspy Islandyi, Grenlandyi i Skandynawii; uważany tam jest za ptaka przelotnego, który nigdy znacznie od morza się nie oddala, po brzegach jego pożywienia szuka, tamże się gnieździ i tylko podczas tegich zim ztamtąd na pobrzeża morskie niemieckie, i cza-

sem aż na jeziora szwajcarskie zabłądzi. Doskonale z niego biegus; chętnie udaje się na wodę, upodając się za owadami i robakami brodzi dopóki może, a dalej pływa. Na wyspie Islandyi i w Grenlandyi widzieć ich można znaczną ilość; przybywają tam zwykle przy końcu maja; pływają po morzu stadami, na kilka mil tylko od łądów oddalając się; w połowie zaś czerwca udają się na brzegi jezior i tam ścielą w trawie gniazda, w które znoszą po cztery ciemno-żółtawo-zielone, czarno-brunatno uplamione jaja, jakie tu widać na fig. 3; samiec je wysiaduje różniąc się w tém od innych ptaków; upierzenie téż jego mniej jak samicy jest powabne. W miesiącu lipcu już młode biegają ze starami po trawach, w sierpniu ciągną z niemi na morze, a potem ku południowi. Mnóstwo ich także lęgie się głębieko na północy w Skandynawii i w Azji, zkąd na wiosnę stadami przybywają na morze Kaspjskie, opuszczają je w końcu maja, ciągną znowu nad morze Lodowate i tam gromadzą się w jesieni; gdy się mrozy powiększą, przeciągają po stepach od jeziora do jeziora. Mniejszy gatunek płatkonoga nie większy jest od naszej dzierłatki, przeszedł 7 cali długi, latem z przodu ciemno-popielaty, na szyi żywo rdzawo-czerwony, podgarle ma białe, głowę popielatą; na wierzchu czarno-popielaty z żółto-brunatnymi obwódkami piór, spodem biały, a przez ciemne skrzydła idzie biała przepaska; nogi błękitnawe; okrągławy dziób od osady jest wyższy niż szeroki, dalej zaś zwęża się i ostro kończy. Zimą ptak ten jest popielato-plamisty, głowa, piersi i podbrzusze białe, i zamiast rdzawo-czerwonej przepaski na szyi, pokazuje się na piersiach biało-żółtawą mieniącą się smugą.

Platkonóg czerwony lub płaskodziób (*Phalaropus platyrhynchus* lub *fulicarius* albo *lobatus*, fig. 4, 5 i 6), zamieszkuje kraje przybiegunowe dawnego i nowego świata, i nietylko bawi tam przez czas krótkotrwałego lata, ale i daleko w zimą. Widzieć go tam można często stadami pływającego pomiędzy krami łądów, lub daleko od łądów biegającego po łodach; w miesiącach październiku i listopadzie ciągnie do krajów dalszych od bieguna na brzegi Norwegii, do Bajkału i Kaspjskiego morza, i tam zi-





mę przepędza. Jest o dwa cale dłuższy od poprzedzającego, wielkości szpaka, w letniem upierzeniu z wierzchu czarny, żółtawo-brunatno upstrzony, spodem rdzawo-czerwony lub czerwono-żółty; głowa samicy czarniawo-brunatna; po bokach wokoło oczu biała, u samca ciemno-siwa, około oczu jaśniejsza; skrzydła siwe, białą przepaską oznaczone. łotki i pióra sterowe w ogonie czarne, nogi żółtawo-zielone, a dziób w całej długości spłaszczony, żółty, ku końcowi bardziej szeroki niż wysoki. Zimą okrycie jego na wierzchu i tyle głowy, na karku i grzbiecie popielato-siwe, pióra na grzbiecie żółto-brunatno obwiedzione, brzuch i pierze białe, skrzydła i ogon czarniawe, a nogi błękitno-czerwone. Płatkonóg czerwony nie jest łkliwy, raczej

towarzyski, wesół, dowierzający, dobrze lata żywi się drobnymi, miękkimi zwierzątkami morskimi, żyje w jednożeństwie i w niskiej trawie; w bliskości słodkich wód lub nad morzem ściela sobie gniazdo, w które znosi cztery gruszkowatych, oliwkowo-zielonych, ciemno-czerwono-brunatno nakrapianych i plamionych jaj. Jest on więcej pływający niż pierwszy gatunek, co już spostrzegać się daje po sutem pierzu na piersiach, i bardzo rzadko zabłądzi do północnych Niemiec

Fig. 1. Płatkonóg czerwony, w letniem upierzeniu; fig. 2, tenże w upierzeniu zimowém; fig. 3, jaje; fig. 4, 5, Płatkonóg czerwony, samiec i samica w letniem okryciu; fig. 6, tenże w okryciu zimowém; fig. 7, jego jaje.

— PRZYGODY MYŚLIWSKIE.

POLOWANIE NA LWY

W INDYACH WSCHODNICH.

O dwadzieścia mil angielskich od Raderkoten, gdzie stali kwaterą kapitan Woodhouse, porucznicy Delamain i Lang, w lasku, wieczorem, ukazały się dwa lwy. Natychmiast po odebraniu doniesienia o ich zjawieniu się, tego samego dnia jeszcze, wysłano przodem słonia do lasku, a nazajutrz o świcie trzech oficerowie pospieszyli konno, uradowani i pełni nadziei że pomyślny skutek łowiecką wyprawę ich uwieńczy. Przybywszy pod lasek, kazali ludziom powłazić na drzewa, żeby ztamtąd mogli śledzić oczyma zwierza i dawać znać o kierunku jego drogi, na wypadek jeśliby wyszedł z lasu; myśliwców zaś wysłali w las żeby ploszyli zwierza.

Po krótkiej naganie z wrzaskiem i krzykiem ukazały się dwa lwy na skraju lasu. Oficerowie stojący opodal natychmiast dali ognia, i jeden lew padł trupem. Drugi zaś ruszył w bok polem. Oficerowie dosiadłszy koni, gnali za nim co siły, ale na próżno, gdyż niedługo znikł im zupełnie z oczu. Ludzie siedzący na drzewie dali im znać, że wpadł napowrót do lasu; zsiadli zatem trzech myśliwy

z koni i postanowili na słoniu puścić się w gęstwinę, żeby lwa ztamtąd wypłoszyć. Niezadługo jadąc dojrżeli go leżącego w gęstwinie. Nie uląkł się ich przybycia; dozwolił dostąpić do siebie na skok; wtedy dopiero rzucił się jak błyskawica na słonia i uchwyciwszy się trąby, zranił go zębami nad okiem. Dwaj porucznicy strzelili, ale jak się zdaje, obadwaj chybili. Słoń, pierwszy raz mając do czynienia z tak strasznym przeciwnikiem, przerażony nagłym napadem, zrzuciwszy go z siebie, nie miał wcale już ochoty rozpoczynać walki; i nie mało trzeba było kłopotów, mozołów i korowodów, nim się dał nakłonić do posunięcia się ku wrogowi. Namyslił się nareszcie i postąpił kilka kroków; lew tymczasem, skrywszy się w wysoką trawę, niepostrzeżony rzucił się z podwojoną wściekłością na biednego słonia z tyłu, i zajął go zażarcie zębami. Słoń się zwinął raz i drugi, wyrzucił silnie zadniemi nogami i pozbywszy się napastnika, ani dał już więcej kierować sobą. Kapitan Woodhouse, siedzący na grzbiecie potężnego wierzchowca, strze-

lił wprawdzie w czasie tej utarczki do lwa, ale na daremnie, gdyż rzucanie się słonia i nagłość wypadku nie dozwoliły mu wzięść dobrze na cel.

Nie mogąc dać sobie rady z przestraszonym słoniem, zleźli wszyscy z niego, i chciwi zwycięstwa nad królem czworonogów, postanowili go ścigać pieszo. Woodhouse najpierwszy podał tę śmiałą a nawet nierozważną myśl; pierwszy też puścił się w głąb lasu. Po niedługim szukaniu zoczył zwierz przycajonego za krzakami; wypalił doń; nie trafił widać, bo lew szybko poskoczył dalej. Długo potem myśliwcy szukali go, i znużeni do ostatka nieznośnym skwarem, urządzili, że nie pozostaje jak wrócić napowrót do słonia, bo lew pewno przedarł się nawskróś lasu; a chcąc go znaleźć, od czego nieodstępowali żadną miarą, należy objechać las naokoło, żeby mu zajęść z drugiej strony. Kapitan jeden tylko nie chciał w żaden sposób zgodzić się na ten plan i został w gęstwinie. Służący jego, Indianin, wprawny do takiego polowania, po usilnem wypatrywaniu, wpadł na trop zwierz a i doprowadził pana do samotnego miejsca, gdzie lew znówu sobie odpoczywał jak najspokojniej. I tym razem kapitan strzelił, ale czy źle trafił, czy spudłował, dość że musiał cofnąć się kilkadziesiąt kroków i nabić flintę.

Uszedłszy kawalek, kapitan spotkał przybiegającego doń na odgłos wystrzału porucznika Delamaina, co niemal do niego dodało mu serca do gnania dalej za zwierzem a wskazawszy miejsce gdzie sądził, że lew niezawodnie przysiadł, ruszyli obadwaj naprzód.

Idąc ciągle razem ścieżką, porucznik zboczył na chwilę od kapitana ośm albo dziesięć kroków może, i w tej chwili pokazał mu się lew z za krzaków. Nie tracąc drogiego czasu złożył się porucznik i dał ognia. Rozjrzawszy to widać zwierz niepomął, przyjrawszy się bowiem dobrze zkąd strzał padł, rzucił się jak szczupak przez krzaki ku napastnikowi swemu. Kapitan Woodhouse, spostrzegłszy to, uczuł w jak przykrém jest położeniu; cofnąć się bowiem było niepodobna, bo lew pędził w tym samym właśnie kierunku; zatrzymał się zatem na miejscu, myśląc, że przeleci około niego nie widząc go, i że wtedy będzie mógł zblizka wzięć go dobrze na cel. Ale niestety! omylił się w rachubie. Lew pędząc z boku dostrzegł go za krakiem, i w jednej sekun-

dzie, prysnąwszy jak błyskawica, rzucił się na niego, zdruzgotał flintę na kawalki i pochwytywszy szponami za jedno ramię, w drugie wpili mu wściekle zębatą paszczkę. Przez chwilę tej walki dzielnych i odważnych dwóch przeciwników, porucznik miał czas podbież bliżej i wpakować krwiożerczy cały nabój w grzbiet. Obadwaj zapaśnicy upadli, powalili się na ziemię, a porucznik tymczasem odskoczył wtył, żeby nabić strzelbę na nowo. Rozjuszony lew druzgotał kości swojej ofiary; mężny zaś i nie tracący przytomności myśliwiec, mimo najokropniejszego bólu nie ruszył się ani trochę, i tej wytrzymalności i zimnej krwi był winien, że dziki zwierz wypuścił mu z paszczy rękę, a położywszy sięjak długi na ziemi, przedniemi łapami trzymał go za udo. W tak rozpaczynm stanie rzeczy kapitan Woodhouse, chcąc ulżyć głowie, nieznośnie w tył zwieszonęj, podniósł rękę żeby ją podłożyć; ale zaledwie ruszył ją od ziemi, rozwścieczony lew śledząc najmniejszego tchnienia zaiskrzonymi ślepiami, pochwyił go natychmiast za kwią broczące ramię i wpiwszy w nie niesyte kły swoje, zdruzgotał je w drugiem miejscu. Tak wyraził *memento mori* dało poznać kapitanowi, że wielkim było nierozsądkiem z jego strony jakąś oznaką życia drażnić rozjuszonego pogromcę, i pamiętny otrzymanej nauki, pozostał nadal w zupełnej bezwładności.

Przyduszony silnemi łapami i brocząc we krwi własnej, długo leżał nieszczęśliwy Woodhouse z obrazem śmierci przed oczyma, mężkiem sercem żegnając się już z życiem; kiedy usłyszał dość wyraźne dwa wystrzały, daleko gdzieś bardzo dane. Nie umiał sobie wytłumaczyć, co by to miało znaczyć; później dopiero dowiedział się, że odgłos który brał za oddalone wystrzały pochodził ztąd, że przyjaciel jego, dla większej pewności, prochem umyślnie przestrzeliwał dubeltówkę.

Oto prawdziwie angielska zimna krew! W takiej chwili, tyle przezorności! Nadbiegł i drugi porucznik na pomoc przyjacielowi. Podsunęli się naprzód razem; nie widząc jednak dobrze w jakim on się znajduje położeniu, zaszli ze złej strony i stanęli tak, że lew ich przegradzał od nieszczęśliwej swojej ofiary. Widząc to, zawsze przytomny kapitan i przewidując, że kule wymierzone w zwierz mogą, przeszywszy go nawskróś, i w niego ugodzić, z zimną krwią odezwał się cichym, przytlu-

mionym głosem: „Na drugą stronę, na drugą stronę!” Dosłyszeli wyrazów porucznicy, i wnet idąc za kierunkiem głosu, z przerażeniem ujrzeli dopiero w jak okropnym stanie znajduje się kapitan. Nie tracąc ani chwili, ostrożnie obeszli na drugą stronę i porucznik Delamain, odznaczający się zawsze dzielnością i przytomnością umysłu strzelił, z odległości dwudziestu kroków do lwa. Strzał był mistrzowski: lew ani tchnął, powalił się całym ciałem na bok i wypuścił z zabójczych szponów szczęśliwie ocalałą ofiarę.

POLOWANIE NA LWY W AFRYCE.

W osadzie pewnego mulata znaleziono pożartą napół padlinę konia. Łatwo poznać, że to sprawka lwa. Zwołano więc najodważniejszych ludzi z osady i cała gromada ruszyła na polowanie. Pokazało się, że krwi chciwy rabuś skrył się w leżące opodal zarosła; myśliwi rozstawili się na sąsiednim pagórku i strzelali ciągle w gęstwinę, żeby go ztamtąd wypłoszyć. Ciągłe salwy nie pomagały; lew widąc nie miał wcale ochoty do boju, leżał sobie spokojnie, a wypuszczone brytany, gdy go dopadały, przyjmował dzikim rykiem, i kilkoro śmielszych od niechceenia trupem położył. Znacierpliwiony tak długim oczekiwaniem Grzegorz Rennie, przywódca polowania, zbiegł ze wzgórza i z szaloną istotnie odwagą zbliżył się do krzaków, rzucając w nie kamieniami. To znów znacierpliwio lwa; rozjuszony, skoczył zarośli jak kot i byłby niezawodnie surowo odplacił napastnikowi, bo pędził już wprost na niego, gdyby szczęściem, dzieląc pies, ulubieniec Renniego nie zwrócił jego gniewu na siebie, doskakując mu do pyska i ustawicznie szczekając. Wstrzymał się lew w pędzie, spojrzal na brytana, łapę go tylko przycisnął, i już było po nim: śmiercią zapłacił za szlachetne poświęcenie. Ta chwila zbawiła pana; odskoczył bowiem kilka kroków w tył, a kiedy lew odprawiwszy się z psem posuwał się znów naprzód, myśliwi razem dali ognia ze wzgórza, i piękny zwierz padł na miejscu, przeszyty ośmioma kulami.

Pod koniec kwietnia 1822 roku ostatni raz zdarzył nam się spotkać z królem zwierząt. Mieszkaliśmy wtedy w Ejldon, w własnym domu, podobniejszym do ula, aniżeli do mieszkania ludzkiego. Najbliższym moim sąsiadem był kapitan Cameron, który niedawno osiadł w domu nie-

co poniżej odemnie położonym. Pewnego wieczora wybraliśmy się do rodziny Cameron na herbatę, a że czas był przesienny, odległość niewielka, bo niecałe trzy mile angielskie, postanowiliśmy wracać do domu po księżycu, konno; od dziewięciu bowiem miesięcy o lwach ani słysząc nie było. Prócz mnie, do nocnej tej kalwakady należał jeden jeszcze mężczyzna i dwie kobiety, moje krewne; wszyscyśmy jadąc żartowali sobie ze lwów, straszili się nimi i opowiadali rozmaite wydarzenia, jakie się w okolicy z nimi przytrafiały. Część doliny, przez którą szła droga, jest bardzo dzika i w wielu miejscach zarosła krzakami i sosnami; nikt z nas ani nie przeczuwał wtedy, że od samego początku podróży do mojego domu lew nas ciągle zarosłem odprowadzał, jak się to później dowodnie okazało. Nie pokazał nam się wtedy, albo dlatego że nas tak dązo jechało, albo też może dlatego, że odstraszały go powiewające i jasno przy księżycu odbijające suknie kobiet.

Koło północy obudził mnie niezwykle hałas, pochodzący z opłotków, tuż przy domu moim będących i służących za stajnię dla bydła. Wyjrzawszy oknem, spostrzegłem że wszystko było z opłotków biegło w przerażeniu rozproszone po podwórzu; sądząc, że przyczyną tego przestachu była zapewne hyena, której ryk przed położeniem się w łóżko słyszałem, porwałem strzelbę i nieubranym wypadłem na dwór. Mimo jasnego jednak księżyca i całej usilności, nie mogłem znaleźć ani cienia sprawcy tego rozruchu, i poleciwszy hottentowi, żeby bydlę zagnał napowrót w opłotki, sam się udałem na spoczynek. Nazajutrz rano przybiegł do mnie konno kapitan Cameron, oświadczając, że przybywa dowiedzieć się jak się mamy; był bardzo o nas niespokojny, bo mu doniesiono że wczoraj wieczorem ogromny lew widocznie odprowadzał nas przez całą dolinę, jak o tym przekonałem po świeżych jeszcze śladach. Ja mu opowiedziałem, co się u mnie w nocy zdarzyło i po wyprowadzonem starannie śledztwie pokazało się, że lew był istotnie w opłotkach, zjadł owcę porwał i uniósł w góry. Nie było więc co myśleć w tej chwili o ściganiu go.

Lew jednak nie myślał wcale tak się z nami krótko i skromnie odbyć. Wrócił bowiem drugiż zaraz nocy i zadusił mi ulubionego wierzchowca, nie dalej jak o sto kroków od domu. Teraz nie by-

ło już można zwlekać przedsięwzięcia środków obrony: wysłałem zatem umyślnego, żeby dać znać całej osadzie o niebezpiecznym sąsiedztwie rabusia, i żeby zgromadzić myśliwych na wyprawę przeciw niemu bezzwłocznie, gdyż hottentot mój zaręczał że on musi gdzieś w bliskości czatować na sposobność do dokończenia rozpoczętej uczt. Zebrało się zaraz siedemnastu strzelców, nie licząc mulatów i hottentotów, i przyprowadzili z sobą kilkanaście ogromnych brytanów.

Trzeba nam było przedewszystkiem wytropić lwa w łożysku. Łatwo tego dokazali hottentoci, którzy z niewypowiedzianą lekkością i bystrością, sród wysokiej trawy zarosli, odkrywali ślady jego tam, gdzie żadne oko nieby niedojrzało, dopóki nas nie doprowadzili do miejsca gdzie lew leżał. Byłto zarosła małe sród rozległego pola, odległe niewiele jak milę angielską od mego mieszkania.

Teraz głównem zadaniem było wyparować zwierza z tego schronienia, żeby ogólną siłą nań natrzeć, ku większej pewności i bezpieczeństwu. Do tego używają się tu zwykłe psy, które niepokojąc go i drażniąc w łożysku, zmuszają do wyjścia w otwarte pole. Wtedy wszyscy myśliwi, uszykowani w ścisłą falangę, dają ognia pojedynczo lub razem. Jeżeli lew nie padnie od razu i ma zamiar odpłacić napastnikom za swoje, wtedy wszyscy jeszcze mocniej się skupiają w gromadę i stawiają konie tyłem do zwierza, trzymając je silnie przy pyskach; a inni skryci we środku tego taboru przyklekają, bacznie czekając stosownej chwili do strzału, który w takim razie bywa najczęściej doskonały, gdyż lew idąc do walki, przysiadła od chwili do chwili, jakby sledząc siły nieprzyjaciela i jego zamiary, i łatwo w leń dostać może. Często się zdarza, że ranny lew wpada w wściekłość, rykiem okropnym przestrasza konie, których wtedy utrzymać niepodobna, i sprawiwszy tym sposobem zamieszanie w obozie myśliwców, rzuca się na nich zażarty; wtedy, jeśli grono myśliwskie nie składa się z ludzi przytomnego umysłu, zimnej krwi i odwagi, niebezpieczeństwo może być bardzo wielkie. Ale mieszkańcy tych stron, po większej części tyle mają dzielności i tak doskonale strzelają, że rzadki bardzo wypadek, żeby lew nie padł trupem na miejscu, jeśli tylko na bliższy strzał dojdzie.

W opisywanym tu wypadku nie poszło tak szczególnie. Mulaci, którzy tak skorzy byli do dawania

nam rad i przepisów na początku wyprawy, potem pierwsi uciekli. Widząc, że psy szczekaniem i ujadaniem nie wskórać nie mogą, rozdzielili się na kilka części i z kilku stron zaczęli strzelać w zarosle; kiedy i to przez parę godzin nie pomagało, zabrakło cierpliwości kilku rodakom moim, Szkotom; krew się w nich odezwała, i trzech ich, Grzegorz Jan Rennie i James Ekron, służący mego ojca, oświadczyli gotowość wejścia w zarosle i uderzenia na zwierza w samym jego łożysku, byleby przydano im do pomocy, na wypadek niebezpieczeństwa, trzech mulatów, którzy uchodzili za najlepszych strzelców. Mimo przestróg czynionych przez doświadczonych i rozsądnych ludzi, puścili się Szkoci z przydaną pomocą i doszli na dwadzieścia kroków do krzaku, za którym widzieli leżącego lwa; stanęli, zalecili mulatom mieć się na baczności, i na wypadek gdyby strzały ich chybiły, poprawić je. Złożyli się wszyscy trzej, dali ognia—ale nie do lwa, bo wzięli za niego czerwony kamień za krakiem leżący, łhśmi do połowy osłonięty; i co okropniejsza, że za kamieniem leżał istotnie lew. Drasnięty może kulą, ryknął przeraźliwie i pędem strzały rzucił się na napastników. Jedyna nadzieja była w mulatach, ale ci zobaczywszy co się święci, zamiast dać ognia, drapnęli co siły nie czekając aż się lew zbliży, i niecinie zostawili towarzyszków z wyrzłoceniami flintami bez żadnej pomocy. W dwóch susach lew już był przy nich; pochwycił przedniemi łapami Jana Rennie i powalił go o ziemię. Straszna to chwila! Lew dumny swą siłą, potężną łapą gniółł zwyciężonego wroga, patrząc zuchwale na wszystkich, jakby dając nam poznać, że się nas nie boi. Gdyby nie los naszego przyjaciela, którego życie wisiało na włosku, zachwycający doprawdy byłby ten widok, od którego nie piękniejszego w życiu nie widziałem. Stałismy o 50 kroków z odwiedzionemi kurkami z palcami na cynglach, a strzelać nie mogliśmy, bo dwaj mulaci uchodzili ku nam co tchu, zasłaniając nam strzał sobą. Nie było co robić, trzeba było czekać, póki się z nami nie złączy. Wtém lew, popatrzywszy na nas kilka sekund dumnie i zuchwale, zdjął łapę z powalonego wroga; obrócił się zimno i poskoczył w krzaki, jakby nas przestrzegając, że tą razą jeszcze nam daruje.

Pobiegłszy do ocalonego przyjaciela, znaleźliśmy go na szczęście lepiej niżesmy się spodzie-

wali: miał bowiem zebra tylko mocno przynięcione i szramę na plecach. Nie tracąc czasu, puściliśmy się za zwierzem, z hałasem i krzykiem, i znaleźliśmy go niedługo leżącego pod ogromnym drzewem, nad brzegiem strumienia. Psy czekały ustawicznie koło niego, nie śmiejąc dostąpić, a on wyl strasznie, miotając żywo ogonem na znak, że źle myśli knowa. Hottentoci przeszli strumień i ustawili się na wyniosłej skale z drugiej strony, tuż prawie nad głową lwa; myśmy zaszli mu z boku, rozrywając mu tym sposobem uwagę na dwie strony. I nim się zdecydował co ma robić, nim się lew podniósł, długi krzyżowy ogień rozciągnął go trupem na ziemi przeszytego kilkunastu kulami. Byłto ogromny zwierz; hottentoci zaręczali, że nie miał więcej jak sześć lat. Przednie łapy nad kolanem obydwojma rękami objął mu nie mogłem, a cała szyja, piersi i wszystkie członki, po ściągnięciu z niego skóry, wyglądały jak gęsta siatka grubych ściągaczy. Łeb wielkości lwa zwyczajnego wołu i tyle prawie ważący, kazałem ugotować, żeby czystą czaszkę sobie zostawić; ciekawość mnie wzięła spróbować mięsa, znalazłem je zupełnie podobne do wołowego i dość w smaku przyjemne.

Inne polowanie w kraju Kafarów Amatembu, tak opisuje p. Philipps:

Lew wyszedł z lasu, a myśmy gnali za nim, z hukiem i wrzaskiem, przez równinę. Cudowny byłto widok! my na koniach, Kafry biegną piechotą razem z nami, psy czekają, wyją, my hukamy i wrzeszczymy, a lew samopas sunie na przodzie, płosząc na wszystkie strony pierzchliwe antylopy.

Lew wpadł znów do lasu. Krysztof Müller i Schepperd mieli najdzielniejsze konie i najpierwsi dopadli do lasu; za ich rozkazem zsiadaliśmy wszyscy z koni, zostawiając je hottentowi, a sa-

mi gromadą w las się puścić mieliśmy. W tej chwili uderzył nas nasz straszliwy ryk, któryśmy wzięli za znak nowej ucieczki za naszym zbliżaniem; ale omyliliśmy się bardzo. Lew jakby chcąc zatrzeć hańbę pierwszjej ucieczki, wypadł sam naprzeciw nam z iskrzącemi od złości ślepiami. Rzucił się z wielkością na jednego konia, a ruchy jego i skoki tak były szybkie, żeśmy nie mieli czasu ani go wzięć na cel, ani konia obrobić. Koń się spiął, wyrzucił, i lew puścił go; wszystkie konie przestraszone, tabunem się puściły w skokach i rzutach, a lew odskoczył z dziesięć kroków w tył i przyczaił się, bystro nam się przyglądając. Nastąpiła straszna chwila. Lew nasze skrzydło w widocznym było niebezpieczeństwie; ale na szczęście stali tam Krysztof, Müller i Grzegorz Rennie. Przez kilka sekund, krwiożerca czaił się wyciągnięty, jakby rozmyślając na kogo naprzód ma się rzucić. W życiu mojem nigdy jeszcze nie paliła mnie taka gorączka i żądza usłyszenia jak najrychlejszy wystrzałowego huku; spoglądaliśmy wszyscy to na lwa, to na celujących. Konieczność wymagała żeby strzał był śmiertelny, bo inaczej źle z nami. Każda sekunda godziną się zdawała... nareszcie Krysztof strzelił. Dolna szczeka rozwarła się szeroko i krew żygnęła z paszczy lwa; ryknął, powstał, obrócił się jakby do ucieczki. Wtém Rennie przeszedł mu grzbiet kulą—i padł król czworonogów na ziemię.

Nie jestem zdolny opisać jak wspaniała była jego postać w tej chwili. Obrócił się pyskiem ku nam; z paszczy krew pianą broczyła, ślepią gorzały ogniem zemsty. Chciał się zerwać i rzucić na nas, ale zadnie nogi służyć mu nie chciały. Powłókł się jeszcze kilkanaście kroków naprzód, kiedy jeden z myśliwych zakończył jego męki, wpakowawszy kulę w sam środek szlachetnego czoła.

ONUFRY KOPCZYŃSKI

I JEGO PISMA.

„Błogosławie Niebu, że mi pozwoliło żyć i pracować podówczas, gdy praca nad językiem stała się

lubą temu, co budowę jęj w całej zupełności rozpoznal umiejętnie, i wyjaśnił gruntownie”—powie-

dział Aloizy Osiński w liście do Kopczyńskiego pisanym, — i nie można jak tylko potwierdzić prawde słów jego.

W połowie XVIII wieku, język nasz zeszepeczony przybyszami, które coraz gęściej zajmowały miejsca czystych z czasów Zygmunтовskich wyrazów, pokaleczony łaciną, zastąpiony wreszcie nadsekwąską mową, wyglądał jak ów starodawny gmach, wznoszący wysoko obarczone szacowną pleśnią czoło, obsiadły gromadami kruków, sów, wron i niedoperzy, wyglądający człowieka któryby odpędził od niego tę zgraję drapieżnego ptactwa, silną ręką wsparł chwiejące się ściany i przywołał go do dawnego, może i świetniejszego życia.

Tym człowiekiem, który przypatrzywszy się pięknej a ruiną grożącej budowie, śmiało wystąpił do walki z przesądami i uporem, aby jej dawny blask przywrócić, tym Warronem polskim był Kopczyński. Powiedział on sobie: mowa polska musi być czystą — i niepokonyany trudami, niezwalczony przeciwnościami, podejmując ciężkie prace, ujrzał nakoniec uwieńczone swe dzieło, ujrzał ów stary gmach, oczyszczony z przybyszów, jaśniejący zarodem czystej, nieskażonej świętności.

Nie będzie więc zapewne rzeczą obojętną przedstawić pokrótce zarys życia tego, poświęconego powszechnemu dobru męża, podać wiadomość o dziełach, któremi uwiecznił swe imię.

Onufry Kopczyński urodził się dnia 30 listopada 1735 roku, w Czerniowie, województwie gnieźnieńskim ⁽¹⁾ z niezamożnych rodziców, ale jako szapowny autor elegii powiada:

„Czyś dzień ujrzał pod strzechą, czyś się w zamku rodził,
Kopczyński! ztąd twych zalet nie będę wywodził;

Pewniejszą, mężu, dolę wziąć umiałeś w podział,
Boś się nieśmiertelności szatami przyozdzał.

Oddany do szkół pijarskich w Warszawie, w początkach zaraz zwrócił na siebie oczy nadzwyczajną pilnością i pamięcią. Czoigodny mąż, gwiazda owego wieku, książd Konarski, słuchając pochwał oddawanych cichemu młodzieniaszkowi, odpowiedział: — On będzie znakomitym swego czasu człowiekiem. I nie zawiódł się uczony badacz serc i zdolności ludzkich. Urządzenie szkół pijarskich,

potwierdzone przez Benedykta XIV papieża, przyniosło zgromadzeniu temu zwycięstwo nad współzawodnikami, i ukształciło wielu zdolnych nauczycieli, pod których okiem wzrastały przyszłe talenta. Za ich staraniem rozwinęły się wrodzone zdolności Kopczyńskiego, i w 1752 roku a 17 swego życia, zapragnął należeć do tego zgromadzenia, które tak użytecznie służyło krajowi, i w Podoleńcu obłókł zakonną szatę; a po dwuletniem rozpatrzeniu się w ustawach zakonu Ś. Józefa Kalasantego, zbadawszy w sobie ducha, i poznawszy zgodność jego ze swą wolą, obowiązał się słubami pomnażać chwałę Bożą, i pracować dla oświecania bliźnich.

We dwa lata po ostatniem święceniu rozpoczął zawód nauczycielski, i sprawował go kolejno w Radomiu, Piotrkowie, Rzeszowie i Złoczowie. Dał on mu poznać jak rozległym jest to powołanie, i jak wiele potrzeba aby mu godnie odpowiedzieć. Wziął się więc z zapałem do rozszerzenia swoich wiadomości, czytaniem dzieł dawnych autorów rzymskich. Maron, Horacy, Cyceon, Liwusz, Tacyt, Kwintylian, a nadewszystko Warron, byli ulubieni przyjaciele Kopczyńskiego, którym cały swój czas, zbywający od obowiązków nauczycielskich, poświęcał.

Szczególniej ten ostatni zajmował uczonego badacza; jego rozbiory języka natchnęły Kopczyńskiemu myśl przysłużenia się krajowi tém, żeby mowę polską oczyścić z obczyzny, i wrócić do dawniej jedności. Przełożeni zgromadzenia, oceniając zdolności Kopczyńskiego, powołali go w r. 1768 jako profesora wywołonych nauk, do przysposabiania młodych Pijarów na nauczycieli. Zawód nader chlubny, oświecać tych którzy później innych oświecać będą: jestto rzucić ziarno swych zasad w teraźniejszość i przyszłość.

Trzy lata zajmował się Kopczyński udzielaniem swych wiadomości przyszłym nauczycielom, gdy rodzice Antoniego Wisłockiego prosili u zgromadzenia, o dozwolenie Kopczyńskiemu udania się z synem ich za granicę, aby przy tak zacnym i uczonym przewodniku, młodzieniec sposobiający się do usług krajowych, nie zboczył z prawej drogi, i wrócił zubożony pożytecznymi wiadomościami.

W ciągu kilkoletniej podróży, zwidzili środkową i zachodnią Europę; w Berlinie, w Wiedniu

(1) Vitao Piaristarum.

i Paryżu, w Padwie i innych głośnych z nauk miejscach, zabrał Kopczyński znajomość z najznakomitszymi wieku swego mężami, którzy mu pomogli wzbogacać umysł, tak pragnący tego usilnie. Szczególniej jednak przez wszystkie usiłowania przebiegała się chęć poszukiwania na drodze badań językowych.

Powróciwszy z podróży, przeznaczony został do wykładania w konwiktie nobilium, założonym od Konarskiego, prawideł wymowy; znalazł się więc w swoim żywiole, i oddał mu się z całym zapalem, czas od nauk zbywający poświęcając na uporządkowanie biblioteki pijarskiej.

Ignacy hrabia Potocki, przewodniczący w Radzie Oświecenia Narodowego, oceniając zdolności i dobre chęci, powołał Kopczyńskiego do towarzystwa ksiąg elementarnych i poruczył mu ułożenie i przyprowadzenie do porządku z kilku kroć sto tysięcy książek złożonej biblioteki.

Pracując nad tak pożytecznym dziełem, mając pod ręką najmniej znane a najwięcej interesujące księgi, powziął Kopczyński zamiar ułożenia grammatyki języka polskiego. Wziąwszy się więc do dawnych w tym przedmiocie autorów, przewertował Albina, Bebeliusza, Dyomedesa, Gwaltera, Lupulusa (?) Wojciecha ze Szczepreszyna (?), Mesgieuna, Wojny, idąc za powagą Arystotelesa Warona i Kwintyliana, a za radami Bakona i Kartezego, nie przywiązywał się do żadnego z poprzednich językowych badaczy, ale postanowił iść za własnym przekonaniem.

W wieku XVI Stanisław Zaborowski napisał dziełko po łacinie o wymawianiu polszczyzny (?), a Jan Seklucyan, kaznodzieja augsburskiego wyznania u Alberta księcia pruskiego, wydając w Królewcu r. 1578 część pierwszą nowego testamentu, przydał krótką naukę czytania i pisania języka polskiego. Był to dwaj najdawniejsi badacze języków, i obydwa widac pozostali nieznani Kop-

czyńskiemu, który w przedmowie do swej grammatyki powiedział, że pierwsze prawo wymawiania polskiego, na pisowni zasadzone, odkrył duch językowy Janowi Kochanowskiemu. Tak więc i w nieznanosti tych pierwszych przewodników na swój drodze, musiał Kopczyński postępować w wielkim przedsięwziętym zamiarze, bo jakże małą napotkał pomoc w szczupłej liczbie dzieł w wieku XVII w tym przedmiocie pisanych. Grammatyka Mesgieuna Francuza była dla cudzoziemców niezrozumiałą, a dla Polaków niedostateczną (?). Następni narodowi pisarze nie byli szczęśliwsi w zgłębianiu ducha mowy ojczystej. Wojna z Fasiennicy zebrał tylko niektóre prawidła. Słowniki Mączynskiego i Knapkiego mało bardzo przedstawiały grammatycznych materyałów. Kopczyński idąc za własnym przeświadczeniem z niezmierną pracą układa kilka tysięcy tablic, i po dziesięcioletnich mozolnych usiłowaniach wydaje pierwszą *Grammatykę polsko-łacińską*. Niektórzy stronnicy Alwara powstałi przeciwko nowatorowi, ale głosy ich umilkły przytłumione odzywającym się zewsząd uwielbieniem.

Praca ta, tak pożyteczna dla kraju, o mało srogim ciosem nie dotknęła Kopczyńskiego: wzrok jego osłabiony ustawicznem po nocach czytaniem zaczął gasnąć, i blizką już była okropna chwila postładania go zupełnego. Walenty Gagatkievicz, zawołany lekarz ówczesny, wysileniem prawie swej umiejętności wyrwał Kopczyńskiego z grożącego mu kalectwa, i powrócił na nowo uczonego męża usługom publicznym. Tkliwy był widok, kiedy ubogi Kopczyński to co miał najdroższego, medal złoty od króla Stanisława Augusta za grammatykę otrzymany, z wierszami pełnemi przenikających uczuć, niesie Gagatkieviczowi w ofierze; i kiedy tenże odsyłając medal upewnia go, że nad przekonanie, iż powrócił krajowi tak użytecznego męża, świat cały nie ma miłszej i wspanialszej nagrody!

Nieszczęścia gromadzące się zewsząd zmusiły Kopczyńskiego w r. 1794 szukać przytulku za granicą kraju, dla którego całe swe życie poświęcił. Osiadłszy w Nikolsburgu, w Morawii, znalazł i tam ludzi umiejących go ocenić, aż wreszcie po pięcio-

(1) Rudimenta grammatices Sigismundi Lupulli ab autore anteprevisa magna accessione aucta, Cracoviae per Mathiam Sharfbergium 1545 in 8vo pag. 76.

(2) Alberti Basaei Seebresinensis, observationum grammaticarum libri V, quorum I de orthographia, II de etymologia, III de syntaxi, IV de figuris, V de prosodia.

(3) Orthographia seu modus recte scribendi et legendi polonice idiomam quam utilissimus. Na końcu umieszczone są słowa: Imprimywnum w Krakowie, u pana Hallera mieszczanina krakowskiego, lata Narodzenia Bożego 1518, dni kwietniowych.

(4) Franciszek Mesgieun Lotaryńczyk zamieszkuje w Polsce w XVII wieku, dziwił się bardzo, że Polacy prawideł swego języka nie mieli; i nieznanym brakiem materyałów, przetrząsnawszy liczne zbiory ksiąg, napisał grammatykę polską w języku łacińskim.

letnim pobyć, za staraniem jednego z najznakomitszych obywateli, powrócił do Polski r. 1799 i poświęcił się znów zawodowi który już miał dla niego tyle powabów. W r. 1802 powołany do Towarzystwa Przyjaciół Nauk, gospodarz językowy dopełnia swego dzieła, wypienia chwasty i kłakole, aby czyste ziarno mowy krajowej przysposobić.

Zajęty ciągłą pracą nad celem, któremu się zupełnie oddał, odmówił Kopezyński wezwaniu rządu pruskiego, aby w Liceum warszawskiem naukę chrześciańską i obyczajową wykładał; lecz nie mógł się wymówić od przyjęcia urzędu instruktora szkół, który mu minister Voss w nader poehlebnych wyrazach ofiarował. Urząd ten nastręczał wiele sposobności do wykorzenienia zastarzanych w nauczaniu szkolnem przesądów, i to było najsilniejszą pobudką dla której Kopezyński, mino nadwątlnych sił swoich, o trudach powołania zapomniał.

Lecz uwielbienie powszechne, gruntujące się na ocenieniu wielkich jego zdolności i najlepszych chęci, gotowało mu więcej prac i trudów. W roku 1804, za zgodą powszechną powołany na przelożonego zgromadzenia księży Pijarów w całem królestwie, przyjął ten ciężar nie bez wahanja się, czy w tak trudnych ówczesnych okolicznościach odpowie godnie wysokiemu wielostronnie powołaniu. Ale Bóg dopomógł szczerym jego chęciom: mając przed sobą świetne wzory mężów zakonu jakoto: Zaborowskiego, Jakubowskiego, Przeczyńskiego i Konarskiego, kierując się przewodnictwem rozumu i serca, zgromadził rozproszonych członków zakonu, powołał młodzieńców pragnących wejść w jego ślady, otworzył przygotowane od wice-prowincyała, księdza Justyniana Tarcewskiego seminaryum, i śmiało powiedzieć można, że za jego rządów zgromadzenie pijarskie zajaśniało tą świećnością, która się później tak wzniosła.

Po trzechletnich trudach, złożył godność przelożonego w ręce członków zgromadzenia pragnących aby nadal zwierzchnikiem ich pozostał, i powrócił do spokojnego prywatnego życia, poświęcając wszystkie chwile pisanu dzieł pożytek ogólny mających na celu, poprawianiu i rozszerzaniu dawniej napisanych, i uczęszczaniu na sessye Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Ożywiony ruch spraw publicznych, nadzieje tak świetnie wschodzące dodają siedmziesięcioletnie-

mu starcowi sił widocznie niknących; napelnily serce jego chęcią do prac nowych, których owocem była grammatyka polska dla cudzoziemców; tak jak później zawód i straty naraziły go na ciężką boleść i zmartwienia.

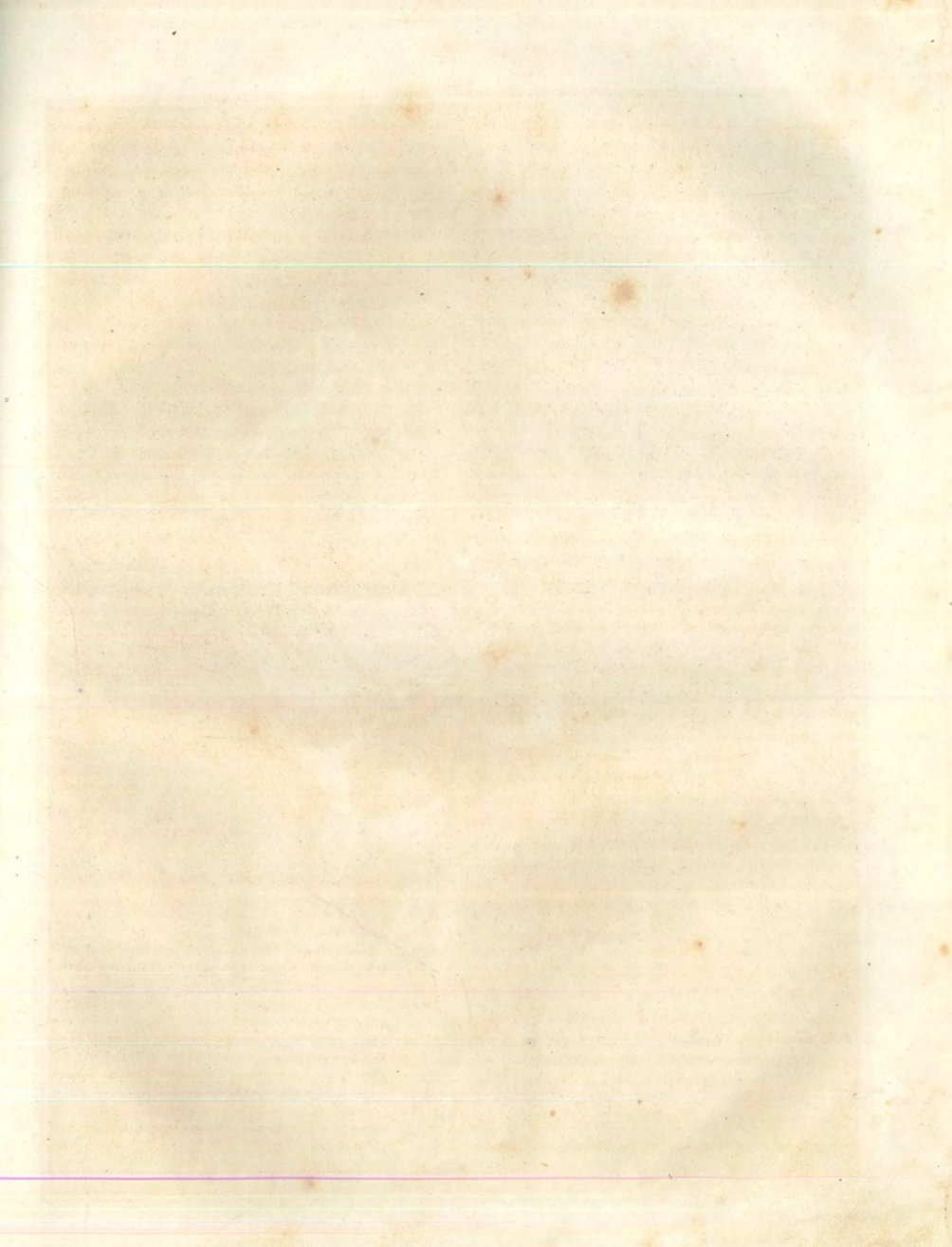
Bóg jednak pozwolił mu dożyć 1815 r. aby znów chwycił pióro w drżącą rękę na uwielbienie wielkiego czynu, aby doczekał się przyjemnej chwili, w której ziomkowie uczcili pracę jego ogólny pożytek przynosząc złotym medalem, noszącym z jednej strony popiersie Kopezyńskiego, a z drugiej napis: „za grammatykę polskiego języka ziomkowie r. 1816 (1).”

Lecz zaledwie miał czas pocieszyć się wdzięcznością tych, dla których cale swe życie poświęcił; ciężar bowiem wieku wyczerpnął resztki sił, i dnia 14 lutego 1817 roku, otoczony kołem najznakomitszych mężów ówczesnych, z powszechnym serdecznym żalem zakończył życie.

„Śmierć dopiero wytrąciła mu pióro z ręki — powiedział Alojzy Osieński w dniu 4 maja 1818 r. na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk — z niknącym duchem żywotnym ustały dopiero badania o języku, tłumaczu myśli i serca. Lecz na dzielach jego, jak na podstawie najmocniejszej, wspierać się będzie przybytek oświecenia narodowego. Uczyć się będą tych zasad Polacy, i w samém ich rozpoznaniu, uwieczni się pamięć trudów, wytrwałości dogonnej i zupełnego zgłębienia ducha mowy krajowej.”

Opowiedziawszy życie tyle zasłużonego męża, pozostaje nam jeszcze udzielić krótką wiadomość o jego dziełach, którą porządkiem dat zamieszczamy.

- 1780 r. Pierwsza wydanie grammatyki polsko-łacińskiej z przypisaniami, na klasz trzy; in 8vo w Warszawie.
- 1782 r. Elegia in stemma Stanisłai Augusti Poniatowski, regis Poloniae; in 4to, Varaviae.
- 1783 r. Valentino Gagatiewicz medico suo, die natali Ejus sacra Onuphrius Kopezyński pro valetudine oculorum salutem et regium munisma DD. Elegia; in 4to.
- 1784 r. Elementarz dla szkół parafialnych narodowych, zawierający naukę czytania i pisanja in 4to.
- 1785 r. Układ grammatyki dla szkół narodowych, z dzieła już ukończonego wyciągniony, w Warszawie u Grölla in 8vo.
- 1786 r. Zbiór nauki chrześciańskiej i obyczajowej (szóste wydanie było r. 1815); in 8vo, w Warszawie.
- 1792 r. Carmen heroicum ad quosdam dissidentes qui potentiam vicinorum metuentes in rebus patriae pertimescebant, Varaviae, in 4to.





- 1804 r. Rozprawa o duchu języka polskiego, w Warszawie, in 8vo.
 1806 r. Prawidła przystojności i obyczajności, (czwarte wydanie r. 1816) w Warszawie in 8vo.
 1807 r. Nauka o dobrem piśmie, w Warszawie, in 8vo.
 — Essai de grammaire polonoise pratique et raisonnée pour les François, Varsovie chez les Piaristes, in 8vo.
 1808 r. Poprawa błędów w ustnej i pisanej mowie polskiej, w Warszawie, in 8vo.
 — Allocutio Pontificum ascensorum suas cathedras facta nomine Scholarum Piarum ab Onuphrio Kopczyński in nova Borussia Provinciali, in 4to
 — De Varsaviensi Convictu Martem inter atque Minervam certamen a Galliarum Legato Varsaviae residente J. Serra armis et scriptis inclyto diremptum. Elegia in 4to.
 1809 r. Religiosus et sapiens Princeps Fredericus Augustus Rex Saxoniae et dux Varsaviae religiosus et literarum in Scholis pius stator. Epigramma in folio.

- 1814 r. Kalendae Octobres MDCCCXIV ad Congressum Vindobonensem, in folio.
 1816 r. Ad Alexandrum Rossiarum Imperatorem Poloniaeque Regem terras suas invisitem Scholae piae. Varsaviae in folio.
 — Version libre et en même temps fidèle de vers latins faits par le père Kopczyński et traduits par Baudouin de Courtenay, adressés à Sa Majesté l'Empereur de toutes les Russies, Roi de Pologne, lorsqu'il visitait ses vastes Provinces.— in folio.
 — Mowa przy odebraniu medalu złotego 30 listopada 1816 r. w Warszawie, in 4to.

Rekopolis.

Grammatyka języka polskiego na szczeł klaszki szkoły wojewódzkich (wydana w r. 1817). Druga grammatyka w kilkunastu arkuszach.

Antoni Wieniarski.

MONTONEROS, GAUCHOS I INDIANIE Z PAMPAS.

Montoneros nazywają w Buenos-Ayres tych mieszkańców, którzy mają swoje posiadłości w bezpośrednim sąsiedztwie stolicy. Trudnią się hodowaniem bydła, handlem koni, rolnictwem, uprawą ogrodów, z których we wszelkie warzywa miasto zaopatrują. Szczególniej zaś oddają się plantacyi brzoskwiń, przynoszących im korzyść podwójną; raz że drzewa brzoskwińowe szybko rosną i po pięciu latach na opał służyć mogą, na którym w Buenos-Ayres zbywa zupełnie, i powtórze, że w tym przeciągu czasu dostarczają znaczną ilość ulubionego owocu. Montoneros tworzą klasę pośrednią, pomiędzy mieszkańcami miast a *Portenos* i *Gauchos*, mieszkańcami bezdrożnej doliny Pampas. Obdarzeni nadzwyczajną siłą fizyczną i nieustraszoną meztwem, przytęm okrutni i dla swych nieprzyjaciół nieublagani, byli w czasie ostatniej wojny domowej postrachem całego kraju. Montoneros nazywano także każdą tuzuszę oblegającą miasto, krwi i rabunku chciwą. Podczas pokoju ci sami Montoneros są, jak powiedzieliśmy, żywicielami miasta.

Malowniczy to i prawdziwie piękny widok kiedy o wschodzie słońca młodzi Montoneros razem

z Gauchami, w czerwonych czapkach, w obwisłych kapeluszach, w fantazyjnym ubiorze, lub też w płaszczach, *poncho* zwanych, do miasta z nabiałem i z owocami rzeżko cwałują, albo gdy sami gospodarze pędzą na rzeź świeżo ujęte trzody dzikich wołów. Miejsce publiczne na rzeź zwierząt przeznaczone, ma cztery do pięciu mórg obwodu i jest z trawy ogolone; na jednym końcu jest miejsce odgrodzone potężnym ostrokołem, które znów rozgranicza się na kilka osobnych jak gdyby komor, z których każda oddzielne ma wrota. Tutajto pada pod obuchem codziennie bydło przeznaczone na żywność mieszkańców miasta. Nad ranem widać tu zawsze wokoło rozstawione rzędy koni, stojących spokojnie, nieruchomo, ze zwieszonymi łbami, jak gdyby nieżywych lub zakamieniałych. Przy każdym siodło wisi długie *lasso* skrecone w zwoje: jest to ów sznur morderecy z pętlą na końcu, którym zręczny Montoneros włada jakby najstrasliwszym, niepokonanym orężem. Matadero wie siedzą sobie lub leżą kupkami pod ostrokołem i bawią się wypuszczaniem kłębowych figlów dymu z cygar. Wie sko-ro tylko dzwonek oznajmi *Recolete*, zrywają się

w mgnieniu oka wszyscy, wskazują na siodła i walą co żywo otwartemi wrotami w owe szranki obwarowane ostrokołem. Za chwilę rozpoczyna się scena straszna, chaotyczna, burzliwa, w tysiącu odmianach okropnością zawsze jednolita, a tęp przeraźliwsza i dzwinięjsza, że niewypowiedzianie kontrastuje z tym spokojem i łagodnością, jakie napozór cechowały te kupki cicho gwarzących i kurzących cygara poczciwów. Co się tu dzieje opisać prawie niepodobna; a jak się dzieje, o tęp ani myśleć. Każdy zarzuca dobrze wymierzonym śmigiem długie swoje *lasso* na dzikiego bawoła: z tych jedne uciekają przerażone nagle wpadnięciem jeźdźców, inne znów rozjuszony rzucają się obces na konie, z wściekłością w oku, z ogłuszającym rykiem, nastrzępionym włosiem i godzą ogromnemi rogami prosto na nie. Zwinn nie do pojęcia jeźdźcy gonią z tyłu za niemi z króciuchnemi nożykami (*manchetto*), podcinają im nogi pod kolanami,—i te olbrzymy siły, której potęgę chwila rozświecenia nieporównanie jeszcze wzmagą, padać muszą niewładne, okaleczone i darennie w konwulsyjnych, bezużytecznych ruchach i rzutach wyczerpują i trawia zaciekle złość swoją. Inne, jakby doświadczone i przewidujące podstęp, widząc towarzyszy swych tarzających się marnie po ziemi, z odsądzonemi straszliwie ogonami wspinają się ponad niemi, stają dęba, nozdrzami zdaje się ogień wytryskują, a spadając na przednie nogi, same jeszcze brnąć swoją trutują. Nieraz się zdarzy, że bawół wyrwie się, albo wysłiznie z *lasso*: oto strach dopiero na biedaka Montonera, co mu śmiać w drogę wleźć; wtedy dusza na ramieniu. Hiszpańska walka byków, to dziecinna igraszka w porównaniu z tym tańcem, jaki się tu wyprawia. Krew się leje nie żartem strumieniami, a odwaga, zwinność, siła i zażartość dzielnych Montonerów przechodzi wszelkie pojcie.

Widzów na te tragiczne przedstawienia nigdy nie brakuje; zawsze znajduje się ich mnóstwo; ale nie mieszczą się wygodnie i bezpiecznie po galeriach i osobnych a umyślnie na ten cel zbudowanych trybunach, lecz stoją poprostu w środku placu boju i zawsze muszą się mieć dzielnie na baczności, żeby przydrogo spektatorskiej ciekawości nie przypłacić, i wyjść cało z tego piekielnego festynu, którego by się i sam bies ustraszyl, i przy całej swej zwinności pewnoby wywi-

nać się nie potrafił, żeby się rozwiązanie dramatu na jego skórze nie skrupiło. Zaledwie rzeź dojdzie końca, zaledwie padłe ofiary zdążono ze skór obnażyć, počwiertować, na wozy sztukami władować i do miasta wyprowadzić, zlatują się jakby za czarodziejskiem skiniemieniem niezliczone chmary białych ptaków, które tu *glus* zowią, podobne nieco do sępów, i rzucają się krzając i trzepocząc się przeraźliwie na resztki opadłe, na kałuże krwi, i w uniesieniu radości nad tak pyszną biesiadą, skaczą, płasają po tej czerwonej posadzce, a skrzydłami biją i chleboczą, że strach przejmują. Każda plama posoki świadczy, że tu padł trupem jeden z bawołów; plam takich na każdym kroku co niemiara stosunkowo do obszaru ogrodzonej przestrzeni: dzięki owemu ptastwu z białym, miluchnem pierzem, do południa nie widać już ani śladu, że tu krew miała co bądź do czynienia, i nieswiadomemu przechodniowi ani widok, ani woń, nie zgłża na myśl nie nasunie, aby to miało być miejsce, na którym codziennie tak dramatyczne i straszne odbywają się rzezie.

Zapadłość okoliczną strumieniowi rzeki La Plata, tworzącą jedną z najznaczniejszych dolin na całym znanym dotąd lądzie, zamieszkują w pobliżu stolicy, jakiesmy to już powiedzieli, Montonerowie; dalej nieco w głębi kraju *Gauchowie*, a najgłębiej ku południowi i zachodowi Indyanie. Dolina ta ze względu swego obszaru, natury gruntu, plodów swych i klimatycznych fenomenów zewszec miar zasługuje na uwagę i należy do najciekawszych osobliwości na ziemi. Zwą ją doliną *Pampas*; rozciąga się w kształcie trapezu wynoszącego 100,000 mil angielskich powierzchni. Na tym nieprzejrzanym obszarze oko nigdzie nie dojrzy ani jednej drzewiny, ani krzaczka, ani poszlaki jakiegś kwitnącej rośliny; a mimo to jednak Baldwin i Bonpland, towarzysze podróży Humboldta, utrzymują, że nigdyś musiały tu istnieć lasy, bo skład warstw ziemnych to wykazuje. Cały ten ogromny szlak ziemi stanowi dziś jeden, równiusenki kobierce zielonosi, puszto pokryty bujną trawą, gdzie miliony ludzi z chudobą i dobytkiem wygodnie pomieścićby się mogli, i myśleć o niczem więcej nie potrzebowały, jak żeby co ranka bydlę wygnać na paszę, lub lada kawalek pierwszy lepszy ziemi zorać, zasiewem obrzucić, a życie ich łatwe i szczęśliwe, rzecz można, mł-

kiem i miodem by tu płynęło. Kiedyś może doczekają się te okolice, że zamieszkają je ludy, którym gdzieś indziej zbraknie już miejsca w ciasnocie; doczekają się i tego może, że przynętą błogosławionego żywota zwabiony nadmiar ludzkich plemion i na nie sprowadzi plagi dziś tu nieprzezwyciężane, a indziej trapiące schorzone lona społeczeństw. Obecnie wszakże o nic tu zapewne nie trudniej, jak o człowieka: zaludnienie tak jeszcze rzadkie. Ale też za to miliony dzikiego bydła rogatego, w niezliczonych trzodach, cztery najmniej miliony dzielnych rumaków buja tu sobie na woli Bożej, po tych słicznych, zielonych sawannach Pampa, i przebywa tu rozkosznie, jakby w raju swoim, w towarzystwie olbrzymich chmar owiec, mułów, że już nie wspomnę gromad bez liku jeleni, strusiów, kaguarów, jaguarów, psów dzikich i t. d., które swobodnego używają wczasu w tej jasnej, bezlesnej kniei, jakby w uprzywilejowanym zwierzyńcu. Klimat przepyszny, powietrze czyste i zdrowe, a jedyną rzeczą niezbyt przyjemną są tu orkany, zwane *Pemperos*, które między Andami a morzem zrywają się czasem, i wszystko niszczą, w pył obracają.

Jedynymi mieszkańcami Pampas są Gauchowie. Prostym następstwem potomstwa idą oni od hiszpańskich osadników, którzy tu w pierwszych czasach po odkryciu Ameryki przybyli, i widząc źródło lepsze bogactw dla siebie w tych przepysznych łąkach, jak w minach i kopalniach złota, hodowaniu bydła i koni się poświęcili.

Rozproszeni na tej niezmierniej pustyni, siedzą tam zosobna, niesłychanemi odległościami w sąsiedztwie od siebie rozdzieleni. Każdy Gaucho — a pochodzą częstokroć z bardzo znakomitych hiszpańskich rodów — stanowi rodzaj zwierzętnego pana z władzą nieograniczoną, patryarchalną nad obszarem kraju, który w posiadanie zagarnął; i niema niezawodnie na świecie całym istoty swobodniejszej, mniej się o siebie troszczącej jak Gaucho. Główną zasadą ubioru ich stanowi obszerny, zawieszisty płaszcz, zwany *Poncho*, rękoma żon i córek sporządzony. Użycie poncho przynosi Gauchowie od Indian; właściwie nie jest to płaszcz, jak my go sobie zwykle wyobrażamy, ale jest to ogromny kawał lniany lub wełniany tkaniny, we środku z otworem tak szczupłym, że głowa tylko przecisnąć się może; ręce zupełnie zostają swobodne.

Poncho nosi się albo na ramionach, albo w kształcie pasa, stosownie do wygody i upodobania; nieodmiennie i zawsze jednak służy właścicielowi za posłanie w nocy. Zwykle bywa wełniany i na tle gładkiem różnobarwnie przerabiany. Dalej noszą kaftany z grubego sukna, białe lub wełwetyny i także spodnie otwarte od kolan. Piersi i kolana przystrajają srebrnymi guzikami; na nogach noszą pończochy ze skóry końskiej, tak urządzone, że palce nago wystają. Ostrogi żelazne albo srebrne, zawsze dochodzą rozmiarów niesłychanych i gdzie indziej dziś już niewidzianych; kapelusze słomiany duży, albo czapka czerwoną wełniana i na szyi binda barwna bawełniana, oto i cały skład ich ubioru.

Siodło Gaucha (*recado*) choć kształtne, podobne do naszego, całe jednak wyciosane z drzewa, obciągniętego skórą i nakrytego cienką poduszką w kształcie materaca; a na to wszystko kładzie się jeszcze koźuch barani farbowany. Przypasują je nie poprzęgiem na sprzączki zapinanym, ale pasem z cieniučných sznureczków, który za pomocą kółka żelaznego lub drewnianego do drugiego takiego kółka kawalkiem rzemienia przywiązują. Strzemię służące do wsiadania jedynie, bywa drewniane lub srebrne; w pierwszym razie, jest ono tak małe, że zaledwie wielki palec od nogi w nie się zmieści; w drugim zaś razie, bywa nieco większe i wygodniejsze. Czapki zpod siodeł zastępują im łóżka częstokroć, o które się Gauchowie nigdy a nigdy nie kłopotają.

Gaucho nie ruszy się na krok bez *lasso*, to jest powrozu splecionego z giętkich rzemieni, 35 stóp przynajmniej długiego i nadzwyczaj lekkiego; na końcu *lasso* robi on dużą pętelkę, na którą bez zawodu chwytą w pędzie za łeb każdego zwierza, kiedy tylko zechce. Nim je zarzuci, zwija je i trzyma w rękę w kłębie takim, w jaki skręcając liny okrętowe; mierzy nim dość długo i nigdy celu nie chybia. Drugim rodzajem broni, który nigdy Gaucha nie opuszcza są tak zwane *bolas*, to jest trzy kule żelazne lub drewniane na trzech rzemieniach po 6 stóp długich i związanych razem, które on na daleko większą odległość od siebie jak *lasso* wyrzuca. Zakręca niemi po kilkakroć nad głową, wypuszcza w powietrze, gdzie jak z procy leca, tworząc trójkąt swym kształtem, i z zadziwiającą dokładnością do celu trafiają. Częstokroć rozbija

temi kulami leb zwierza na miazgę, lub nogi druzgocze, lub też wreszcie ciosem ogłuszonego o ziemię powala. Dalej do uzbrojenia Gaucha wchodzi jeszcze jako nieodzowna część składowa tak zwany *manchetto*, mały nożyk czyli puginal, zatknięty za pasem w skórzaną pochwie i stanowiący ostatni szczebel rynsztunku dzielnego syna łąk Pampas.

Kaguar, jaguar, dziki bawół, koń, jelen, struś, wszystko co żyje dziko i w dzikim ustroniu Gauchowi towarzyszy, drży przed nim jako przed najstraszniejszym wrogiem i panem; on zaś nad sobą nie zna żadnej władzy: ziemi nie obrabia, nie wie co to rząd, i jeśli nie mieszka w pobliżu Buenos-Ayres, lub jeśli wojenne wyprawy po świecie go nie gnaty, to niezawodnie oczy jego nigdy w życiu nie oglądały zacieśnionych murów żadnego miasta. Jak Beduin afrykański, Gaucho tak kocha swobodę i niezawisłość; gotów dla niej zawsze poświęcić życie, na najstraszniejsze narażenie się cierpienia i próby. W zwinności ciała równa się Arabowi. Ujeżdżać i przyswajać konie, po równinach gonić wiatr na nich, z niepohamowaną wściekłością bić się z nieprzyjacielem, dzikie woły polować i zabijać: oto są nauki i sztuki, w których Gaucho wywiczonym być musi, aby nabyć jakiego takiego znaczenia między swoimi, u których to za jedyne uważa się ukształcenie. Z tego względu zbliża się bardzo Gaucho do wędrownego afrykańskich puszcz mieszkańca, ale to tylko ze strony ciała; dusza jego nie nie ma bratniego z szlachetną duszą Beduina. Próznobyś szukał u Gaucha tej wzniosłości i swobody umysłu, miłego a szlachetnego uzdolnienia, próżno też łagodności obyczajów, które niezmiennie w namiocie Beduina zawsze znajdziesz; tu ani tej świętej gościnności, ani zgola całego tego poetycznego, pięknego charakteru nie napotkasz, który w Arabie żywią cudne jego baśni i język uludny a bogaty. Gaucho jest ostry, przykry, nieufny i leniwy aż do niedołążności; tylko kiedy o ruch ciała idzie, kiedy się gonić konie dzikie lub łowić byki nadarza, wtedy jedynie oko jego goręje zapalem, muskuly się wyteżają, czynność i życie w całej istocie się budzi. Od czasu upadku rządu hiszpańskiego przywiązali się szczerze do swojej swobody, ale brak wszelkiego ukształcenia i najniższych cech cywilizacji niedostępny dla ich odosobnionego życia, do takiego doprowadzają ich zdziczenia, że mimo

przymiotów szlachetnych, które od czasu do czasu znać o sobie dają, są oni tylko ślepym narzędziem w rękę zręcznych intrygantów, którzy posługują się ich siłą i walecznością na własną korzyść. Dążąc do egoistycznych widoków swoich, narażają oni cywilizowane miasta na napady straszne tych nieublaganych wojowników i przyprowadzają je o bezprzykładne utrapienia i zniszczenie, jak tego dostatecznie historya Quinogi i wielu innych dowodzi.

W każdym wszakże razie zaprzeczyć nie można, aby dziki umysł Gaucha nie miał być zdolnym do uszlachetnienia, z czegoby najpiękniejsze dla kraju wykwitły owoce, i że kiedyś zakwitną, wątpić nie należy. Gaucho jest z natury uprzejmy, pełen dobrych chęci i ożywienia, hiszpańskim kreolom właściwego. Iskra życia leży w jego łonie, ale niejednokrotnie rozżarzano ją na zgubę kraju, na który wiele dobrodziejstw zlałoby się, gdyby tę iskrę w błogi, spokojny a ciepły ogień rozlit się dało kierunkiem mądrym i sumiennym pamiętnej zwierzechności, na której tu wszelka przyszłość spoczywa. Zaniedbanie wychowania publicznego, którego wina spada naprzód na rządy Hiszpanii, a później, odkąd Ameryka poprzestała im hołdować, na partye ciągle o władzę się dobijające kosztem cierpienia narodu,—jest główną przyczyną tych okropności, w jakie historya Buenos-Ayres obfituje. I wtedy dopiero zmieni się ta dzikość straszna obyczajów, po dziś dzień znamionująca się tępieniem całych plemion, rabunkiem i mordem, kiedy zwierzechność bacniejszą na ten przedmiot życia narodowego zwróci uwagę.

Czy podobna sobie wyobrazić poetyczniejszy obraz dzikiej swobody, jak dziańskiego Gaucha na wyciągniętym koniu, kiedy w lecie przerywa się przez fale bujnych traw kołysanych powiewnym wiatrem w brunatne i żółte bałwany, gdzie ani śladu, ani słyhu żywej ludzkiej duszy. Fantastycznie, dziko i malowniczo wyskakuje na jasnym horyzoncie nagle ta postać jeźdźca szkarłatowem, faldziestem poncho obrzuconego, któremu nad głową wiją się i świszczą, jak wściekłe jaszczurki, trzy mordercze bolas, kiedy przychylony godzi na łup, a koń pod nim pryska jak błyskawica i wyteżone muskuly zdaje się rozzerwie; lub kiedy z dziw w rękę ruca się na rozjuszonego byka, albo goni z lasso za szybkonogim strusiem, co jak wiatr czyni przez

łaki z wyciągniętą naprzód szyją. Polowanie na strusie więcęć przedstawia niebezpieczeństw, jakby się to komu zrazu zdawać mogło: a największem niebezpieczeństwem grozą dziury, które rozmaite zwierzątka wydrążają pod ziemią, zostawiając cienką warstwę na wierzchu; strus przebiega lekko i bezpiecznie po tej powierzchni wiotkiej, ale jeździec z koniem zapasć się musi, i jeśli karku nie skręci, to nogę pewno złamie; a nieraz i koń i pan na miejscu zostają. Jeśli Gaucho wpadłszy w taką norę, złamie rękę lub nogę, a koń wyjdzie cało i ujdzie od niego, co zawsze się trafia, bo dziki, to biedaka los smutny: doczekać się musi dopóki go swoi nie odszukają, domyślając się, że go nieszczęście spotkało. Jeśli go nie znajdą dość wcześnie, żeby mu życie zbawić, nie pozostaje mu jak tylko wszelkimi sposobami krwiożercze sępy i orły odganiać od siebie dopóki mu sił starczy, a one zawsze gotowe zlatują się natychmiast jak tylko gdzieśbądź nadarzy się ofiara.

Pożywienie Gauchów składa się jedynie z mięsa wołowego i wody; w wojnie wybicia się, dopiero zapoznali się z gorącemi trunkami; dlatego też siła muszkułarna dochodzi u nich do wysokiego stopnia, a najtwardsze trudy znosić mogą z niewypowiedzianą łatwością. Kilkanaście dni podróżować na koniu bez odpoczynku i zawsze w pędzie, to rzecz zwyczajna, nie wielkiego dla nich.

Chaty budują sobie czworograniaste, tak jak wigwamy indyjskie; w wygodzie i udoskonaleniu wcale od nich nie lepsze: ściany tych chat spletają z trawy, powlekają je mulem i gliną, a dachy wiążą ze słomy. Nieociosane kłocki drewniane lub też szkielety łbów końskich, zastępują w mieszkaniach miejsce naszych krzesel; ozdoba zaś całą pokoiu bywa stół do kart, półtoręj stopy od ziemi wysoki—bo bez kart potomek Hiszpanów nie mógłby żyć—i Ś. Antoni lub też krucyfiks malowany, albo rzeźbiony na ścianie. Baranie koźnacy za pościel kobietom służące, po kątach rozesełane, i małeńki ogień na kominie torfem lub też suchem zielskiem podsycany stanowią jedyny zbytek apartamentów gauchowskich. Gaucho jeśli siedzi w domu, to śpi albo gra w karty niezawodnie. W czasie pory jesiennej cała rodzina z gośćmi, psami, nierogacizną, ptastwem i wszystkim dobytkiem zbiera się do chaty i ogrzewa się przy mdłym ogniu wilgotnych łodyg lub torfu,

z których dym zapelnia całe mieszkanie i na fantastycznych swych kłębach unosić się zdaje mgliste postacie Ossianowskie. Kilka drzew brzoskwiniowych otacza zwykłą chatę. Kobiety uprawiają małe kawałki gruntu pod zboże, potrzebne im do wyżywienia rodziny, które miała w żarnach grubo, i pieką z nich płaskie placki; sadzą nadto melony i cebule, i tkają wełniane materye na puchy. Niewiasty noszą koszułe bawelniane i jupki z biał lub też niebieskiego sukna; ręce i szyję zostawiają obnażone, a kiedy wyjeżdżają, opasują się jaskrawemi szarfami, i kapelusze słomiane biorą na głowę. Tytuniu używają tak jak i mężczyźni, palą go nie inaczej jak w formie cygar, związując go w papier lub też słomę kukurydzową.

Za Gauchami mieszkają Indyjanie, ród swobodny, nieustraszony i dziki, toczący ciągłe, tępiące wojny z Gauchami, nigdy niedający ani przyjmujący przebaczenia. Na przekór klimatowi, który w lecie pali, a w zimie mrozi, synowie ci natury chodzą zawsze nago. Żyją hordami pod zwierchnictwem kacyków, ale nigdy w jednym miejscu długo nie zagrzeją. Niejedną nigdy chleba, owoców ani jarzyn, a żywią się jedynie mięsem kobyłem; do jazdy klaczy nigdy nie używają. Za najwyższy zaszczyt dla człowieka uważają wyprawy wojenne i zwycięstwa; dlatego też nigdy napadami swemi trapić Gauchów nie przestają. Główne ich uzbrojenie stanowi ogromna, na 18 stóp długa dzida, którą nadzwyczaj zrzecznie robią i nieraz z rąk europejsko ukształconych swych przeciwników miecze wytrącają. Jeżdżą zawsze na koniach, i w przeciwieństwie do Indyan północnej Ameryki chodzą pieszo niena widzą, i z wielką przychodzi im trudnością ruszyć się bez konia. Kiedy się zbiorą gromady, żeby napaść na nieprzyjaciela, lub otoczyć Gauchów i Montonerów, wtedy najpierw spędzają niezmierne stada ogierów i klaczy, i wrzeszcząc w niebogłose, razem w pędzie szalonym rzucają się na wroga. Jeśli wierzchowce zmęczą się pod nimi, nie zatrzymując się ani chwili, w gminieniu oka, przeskakują na inne, oszczędzając zawsze najlepszych na porę, kiedy już oko w oko staną z przeciwnikiem.

Cały kraj ich składa się z łąk jedynie; do najdalszych załaz wypraw nie potrzebują czynić żadnych przygotowań: dość im byle gdzie się zatrzymać, zabić kilka klaczy, resztę koni na paszy

zostawić i ruszać dalej. Od dziecka przywykli obywać się bez odzienia i pościeli, nie obladowują się więc niczem, i w każdej chwili stają do boju gotowi i żądni. Gauchowie chociaż sami uchodzić mogą za najwyborniejszych i niezrównanych prawie jeźdźców, przyznają jednakże, że z Indianami niepodobna im chodzić w zawody: bo ci posiadają jakiś dziwny sposób podsyceania pędu i sił konia i głosem i pewnemi ruchami ciała, co sprawia, że chociażby nawet zmienić w pędzie wierzchowce i na świeże się przesiadać, nigdy im jednakże w długim wyścigu podoląć niepodobna. Na nieprzyjaciół napadają częstokroć strasznym pędem, ukryci przed strzałami pod brzuchami końskimi, i zbliżywszy się do nich, tak przeraźliwi, okropny

krzyk nagle podnoszą, że przeciwników konie przestraszone i spłoszone, zwracają się, pierzchają, i jak szalone umykają, tak, że nie wstrzymać ich nie jest w stanie. Powołaniem Indianina z doliny Pampas jest wojna: do niej tak jest wprawny i tak zahartowany, że choć zawsze nagi, nie go to jednak nie obchodzi, kiedy obudziwszy się ze snu, przygląda się trawie, na której śród szronu leżąca jego postać głęboko się wyróżnia.

Indianie wierzą w życie po śmierci; wyglądają w nim dla siebie biesiad, polowań i zwycięstw ciągłych. Pędząc nocą konno po łąkach, dzidami zawsze wskazują na gwiazdy, mówiąc, że to są ich pradiadawie gnający po stepach firmamentu przedźć od wiatrów, i strusie polujące.

— MAMIDŁA WŁOSKIE.

(FATA MORGANA).

Na brzegach ciąsinny Messyńskiej, która oddziela Sycylią od Italii czyli Włoch, postrzegać się czasami daje bardzo ciekawe widowisko, które krajowcy fata morgana zowią, my zaś mamidłem włoskiem mianować go możemy. Oto są opisy tego zjawiska.

Dnia 15 sierpnia 1643 roku, pisze ojciec Angeluci, stojąc w oknie, uderzył mnie niespodziany i zachwycający widok. Morze oblewające Sycylią od strony wyspy, wzduło się w rozległości, jak na oko sądzić mogę, dwóch przeszło mil, pasmo gór utworzyło, gdy tymczasem w okolicach Kalabrii (w Neapolitańskiem) gdzie się znajdowałem, zupełnie było spokojne, i miało jak najdoskonalsze zwierciadło. W tém zwierciadle postrzegłem niezliczone mnóstwo słupów czyli kolumn ciemnawych, co do wysokości i odległości równych, i jednak oświetlonych. W oka mgnieniu potem wszystkie zniżają się do połowy, pozginały się w sklepienia i podsklepienia czyli w arkady, a następnie utworzył się ponad niemi gzyms, i utworzyło się tysiące zamków, doskonale do siebie podobnych. Wszyst-

ko to porozpadało się wkrótce, a natomiast powstały wieże, i te znowu znikły. Utworzyła się powtórnie kolumnada, potem okna, nakoniec wyrosły cyprysy i sosny doskonale podobne sobie.

Około roku 1779, Henrych Swinburn w swojej podróży, następujący przytacza opis mamidła włoskiego które widział. Chcąc użyć tego rozkosznego złudzenia, mówi on, potrzeba zbiegu szczególnych okoliczności, które się na żadnej, prócz włoskiej, nie znajdują ziemi. Powinien widzieć wyjść za miasto Regio, i stanąć na wzgórzu, tak wysoko, a żeby całą mógł widzieć ciąsinę (messyńską). Regio bowiem leży nad samym brzegiem morskim Kalabrii, na wschód jest górami otoczone. Natenczas góry wznosić się za nim będą jakoby mur, i ściemniać całe tło przyszłego obrazu. Prócz tego potrzeba ciszy jak najzupełniejszej, żeby żaden nie powiewał wietrzyk, żeby powierzchnia wody była w doskonałym spoczynku, odpływ morza niech będzie w najwyższym swoim stopniu, a żeby woda tylko jego prądem pchna ku środkowi ciąsinny jak najwyżej była.

Gdy wszystkie te okoliczności razem utracone będą, skoro tylko słońce wejdzie ponad góry znajdujące się na wschodzie miasta; po pewnym przeciągu czasu, wszystko co jest w Reggio, po tysiąc razy odbije się w zwierciadle morskiem, które z powodu prądów odpływowych, będzie porożniane na niezmierną liczbę zwierciadeł drobnych. Obrazy te zmieniają się, w miarę jak się słońce wznosi, czyli jak dzień wzrasta, i jak prądy pchają wodę.

Widowisko to w oka mgnienia znika zwykle, lecz gdy powietrze jest zupełnie nasycone wilgocią, a wiatru niema żadnego, obrazy te odbijają się o trzydzieści stóp w powietrzu: a jeżeli powietrze jest ciężkie i na niebie przelatują chmurki, zniżają się na samą powierzchnię morza, i są barwami tęczowymi obwiedzione.

Podróżnik *Brydone*, który najdokładniej zwiędził Sycylią, nieco odmiennie opisuje mamidło włoskie, widziane w roku 1770. Mówi on, że „dawni równie jak i terażniejsi uważają, że gdy podczas upałów lata, po wzburzeniu morza i wiatrach, następuje cisza, wtedy przed wschodem słońca, w tej okolicy nieba, który się nad ciasiną wznosi, zjawia się mnóstwo szczególniejszych i najrozmaitszych postaci, z których jedne są w spoczynku, a drugie poruszają się z niewymowną szybkością. W miarę jak się rozwidnia, postaci te stają się coraz niewyraźniejsze, a nakoniec, cokolwiek przed wschodem słońca, znikają zupełnie.”

Nowsze opisy tego osobliwego zjawiska, sprzeciwiają się tym podaniom, nie tak co do przyrodzenia jego, jak pod względem świetności i blasku. Jakoż *Szmit*, angielski wodopisarz czyli hydrograf, który zwiędził Sycylią w latach 1814, 1815 i 1816, w następujący sposób kreśli obraz mamidła włoskiego. Powiada on:

„Złudzenia światła, mamidłami włoskiemi zwane, zjawiają się podczas silnego odpływu morskigo, gdy powietrzkokrąg jest bardzo rozgrzany i spokojny. Łamanie się promieni światła w powietrzu, ma być przyczyną tworzenia się obrazów wszystkich tych przedmiotów, które się nad brzegami morskimi znajdują. To szczególniejsze się przytrafia we Włoszech, w okolicy miasta Reggio, gdzie widowisko jest najwyraźniejsze, najrzetelniejsze i wspaniałej okazałości. Wątpię jednak o rzetelności opowiadań i opisów, którem słyszał

lub czytał, gdyż Sycyljezykowie uważają te zjawiska za proste złudzenia światła, które w tych okolicach czasem tylko przybiera postać nadzwyczaj wyrażną, co miałem sposobność nieraz uważać.”

Pan *Sayve* w podrózach swoich z r. 1820 i 1821 wyraża się w następujący w tej mierze sposób: „Gdy się chciał osobiście przekonać, są jego słowa, o nadzwyczajności tych cudów; zobaczyłem jedno przesadę w ich opisach. Ostrzegam tylko, iż to pochodzić mogło z nieprzyjajnej ku temu pory dnia, czyli dla nieutraconych wszystkich tych okoliczności, które do objawienia się tego zajmującego zdarzenia są potrzebne. Te napowietrzne objawy zdają się pochodzić od pary, która podczas upałów, w obfitości wznosząc się z morza, tworzy w powietrzu rodzaj zwierciadła, w którym odbijają się nadbrzeżne przedmioty, bardzo niewyraźnie.

Lubo mamidła Włoskie od niepamiętnych już są znane czasów, i choć w dawniejszych, równie jak w nowoczesnych pisarzach często znajdują się ich opisy, ztém wszystkiem zjawisko to jeszcze nie jest w szczegółach wytłumaczone. Tyle tylko z pewnością w ogólności powiedzieć można, że jest skutkiem łamania się i odbijania promieni światła w zwierciadle morskiem i w powietrzkokręgu. Wiedząc bowiem, iż zwierciadło płaskie, w kawałki popryskane, które części są wzruszone z miejsc, przedstawiają tyle obrazów jednego przedmiotu, ile jest części; że zwierciadła krzywe, zmniejszają lub powiększają przedmioty; zważając na ostatek, że w czasie powstania mamidła włoskich, koniecznie ma być odpływ morski i spokoynosc w powietrzu; łatwo w ogólności pojąć, jakim sposobem to zjawisko powstaje. Spokoynosc powietrza dlatego tu jest potrzebną, ażeby powierzchnia wody przybrać mogła zwierciadłową płaszczyznę; odpływ znowu morza z tego powodu jest nieodzownym warunkiem, ażeby ku środkowi ciśnieiny, woda była wyżej niż przy brzegu, czyli żeby zwierciadło morskie brzegiem najodleglejszym było podniesione, i żeby promienie światła, od nadbrzeżnych przedmiotów na niego padające, napowrót do brzegów, czyli ku nam kierowało. W czasie przyplitu morskigo, mamidła włoskie nie mogą się objawiać, albowiem zwierciadło wody jest wtenczas od nas odwrócone, czyli brzegiem najodleglejszym schylone, tak iż światła na niego

z brzegów kalabryjskich padające, na Sycylią się odbija. Jak spokojność powietrza jest tu nieodbić potrzebna, tak spokojne płynienie wody morskiej, które prądowanie odpływu sprawia, jest nieodzownym warunkiem: tym albowiem sposobem zwierciadło płaskie wody w drobne się kawałki łamie, rozmaicie się wykrzywia i sprawia wszelkie skutki zwierciadeł płaskich popękanych,

w których części z miejsca powzruszane, tudzież rozmaitych zwierciadeł krzywych, jakimi są: kuliste wklęsłe, które są do golenia używane; kuliste wypukłe czyli zmniejszające; walcowe, w których tłusty wydaje się chudy; stożkowe czyli ostrokątowe, przedstawiające walce w postaci głowy cukru; ostrosłupowe, przed którym położony przedmiot, poroziowany na części, jest w całości widziany i t. d.

R.

— R Y B Y .

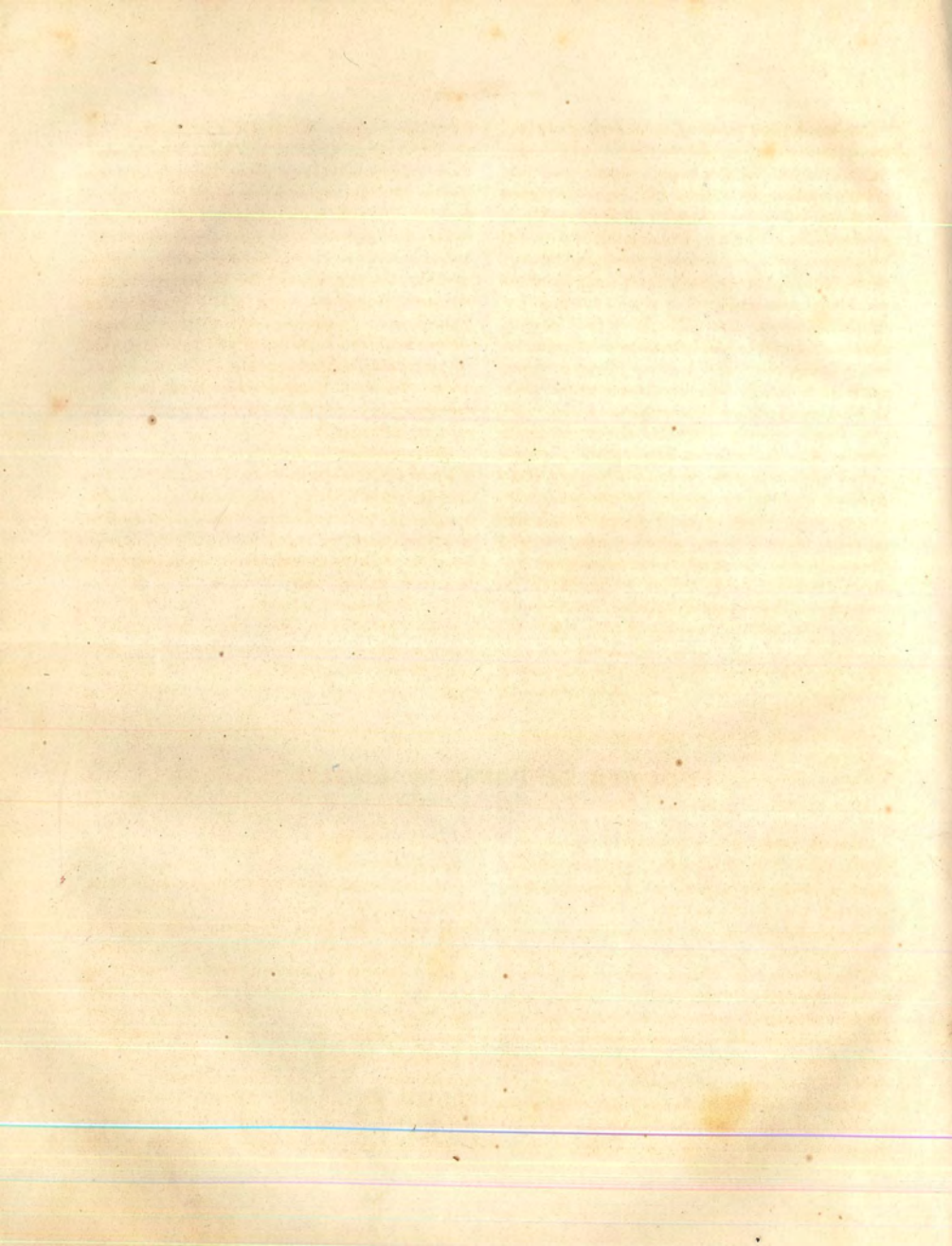
Wystawione na załączonéj tablicy ryby, mieszkanki wód morskich, nie tylko na pierwszy rzut oka, ale i bliżej zbadane, różnią się od naszych ryb rzecznych i jeziornych wielu uderzającami osobliwościami w zewnętrznym składzie ciała. U niemieckich systematyków, prawie wszystkie składają jedno pokrewieństwo, kiedy tymczasem według przyjętego przez P. Jarockiego, na ścisłych spostrzeżeniach i zasadach opartego, w dzieło jego układu, nie tylko do różnych należą familij, ale nawet rzędów i działów, jak się ze szczegółowych opisów ich rodzajów pokaże.

1) *Kolcoróg krętak* (*Gobiesox gyrinus*) fig. 1, u Niemców i Francuzów zwany *szczupakokielb*, należy do ryb kościstych, mających skrzela opatrzone błoną przyskrzelową, pokrewieństwa wrzecionowatego, którego ryby mają ciało okrągłe lub lekko ściśnięte. Głowa tego gatunku kolcoroga jest grubsza i szersza niż reszta ciała, które tylko 6—8 cali bywa długie; płetwy piersiowe nie są z sobą połączone, a jedna z nich daleko mniejsza, zaś płetwa grzbietowa tuż przy ogonie jest umieszczona. Do tego rodzaju liczą trzy gatunki; tu wymieniony żyje we wszystkich morzach europejskich.

2) *Trzymonaw mały* (*Echeneis remora*) fig. 3a, należy do tegoż co poprzedzający rodzaj rzędu, do pokrewieństwa ryb *kielebnowatych* mających ciało długie, szczupło-walcowato okrągławe. Trzymonawów także liczą trzy gatunki, które lubo w ogólności liczą się pomiędzy ryby morską południowego półkula, zdarzają się jednak i w morzach

z tej strony równika, a mianowicie gatunek ryciną przedstawiony, najdawniej znany, nawet w morzu Środkowem napotykan. Wszystkie mają tyle charakterystyki w ukształceniu głowy, iż nie podobnego w całej gromadzie ryb napotkać nie zdarzy się. Głowa *trzymonawa* jest przyplaszczona, a na niej dziwnie ukształcona, płaska, eliptyczna tarcza, która się składa z dwóch rzędów listew ruchomych fig. 3b. Te listwy są cienkie, kościane, na spodzie zewnętrznego brzegu trzema rzędami w tył podanych haczyków najeżone, tylnym brzegiem za pomocą osobnych muszkułów do głowy przytwierdzone, a przednim podobnie na siebie zastające jak listwy żaluzji u okien, lub jak noże w szatkownicy. Liczba tych listew na głowie bywa różna w różnych gatunkach. Tymto osobliwym przyrządem na głowie przyczepiając się *Trzymonawy* do różnych ciał w morzu, jakoto do skal, do okrętów, a nawet, jak utrzymuje wielu pisarzy, pod brzuchem *wielorybów*, *ludojadów* i t. p. wielkich zwierząt morskich, dały powód do bajki, iż największe okręty w biegu zatrzymać mogą; że nawet powstało we wszystkich językach nazwisko całego rodzaju tej ryby, a pierwszy dał mu powód najdawniej znany gatunek w mowie będący ledwo do 2 stóp długi. Musiałyby okręty starożytnych, którzy tę bajkę wymyślili, być nader małe, kiedy dzisiejszych w dośrodku biegu będących najogromniejszy *wieloryb* wstrzymać nie zdołał. Drugi gatunek *trzymonawa* (*Echeneis naucrates*) jakkolwiek okazalszy, to przecież nie bywa nad 4 stopy dłuższy.





3) *Muszlopletwo guani* (*Lepidogaster gouani*), fig. 4. Rodzaj ten składające ryby należą do oddziału chrząstkowatych, rzędu zupełnoskrzelnych, pokrewieństwa piersiopletowych. Szerokie pletwy piersiowe, nieco ku przodowi pochylone i pod pyskiem błoną spięte, zwracają się ku tyłowi i brzegiem pletwy brzuchowej dotykają. Gatunek przytoczony ledwo bywa 4—5 cali długi, zielonawy, brunatno uplamiony; nad oczami dwie półksiężycowate, ciemno-siwe plamy; oczy duże, paszcza obszerna, a pojedyncza miękka pletwa grzbietowa aż na ogon zachodzi. Żyje w północnym i Śródziemnym morzu; fig. 3c., przedstawia kształt czaraki w jakim się pletwy tych ryb ukazują.

4) *Potwór przeraza* (*Chimaera monstrosa*) fig. 2, również do ryb chrząstkowatych należy, położeniem i kształtem pletw, tudzież kośćciami przysadkami u pletw brzuchowych do ludojada podobny, ale tylko jedną ma szparę chrząstkową, a mała błona przyskrzelowa pod skórą jest ukryta. Głowa duża, na wierzchu płaska, na przodzie pyłkiem klinowatym w kształcie nosa ludzkiego zakończona. Otwór paszczy mierny, pod nasadą

wystającego pyska. Wargę górną jak u zająca rozcięta. Oczy duże. Ciało długie, ściśnione, długim, cienkim włóknem zakończone. Pletwy piersiowe wielkie, klinowate, brzuchowe mierne. Na grzbiecie trzy pletwy do siebie zbliżone: pierwsza największa ale najwyższa, od potężnego kolca zaczynająca się. Skóra na ciele srebrno biała połyskowa, brunatno plamista. Na głowie jego widać mnóstwo drobnych dziurek, z których się sączy lepka flegma. U samca *potwora* widzimy na czole wyrost mięsisty w kształcie grubego sznurka, który się kończy kutasem drobnymi cierniami najczystszy. Gatunek ten polawia się w morzach północnych, a mianowicie w bliskości pobrzeż Norwegii, i w Śródziemnym.

Dorasta czterech stóp długości. Należy do ryb wędrownych i stale śledziom towarzyszy. Żywi się drobnymi rybami, mięczakami, robakami, a szczególnie skorupiakami. Polawiać się na drugiego gatunek w morzu Południowym nierównie większy, bo 8 aż do 12 stóp długi. Mięso jego jest twarde, łykowate, niesmaczne. Jaja 2—3 cali długie, skórkowate, są jadalne.

L.

POCZTA LISTOWA W ANGLII.

Dnia 14 lutego r. b. w święty Walenty, w którym kochankowie, od niepamiętnych czasów istniejącym w Anglii zwyczajem, przesyłają sobie czule pozdrowienia i powinszowania, po południu, człowiek jakiś, niewyglądający z pozoru ani na szczególniego ani na nieszczęśliwego, ani na jakiegobądź kochanka, rzucił do skrzynki listowej przy Fleet-Street dwa listy, w jasno-kolorowych kopertach, żółtej i czerwonej. Z trzecim zaś listem, w zielonej kopercie, wszedł do biura i zapłacił za porto jeden penny (5 groszy). Zrobiwszy to, poszedł do dyrekcji poczt na Ludgate-Hill.

Niebawem przybył do Saint-Martin the Great, bo siedział spiesźnie. Tam czekał nań towarzysz i zaraz go spytał:

— Cóż, oddales?

— Oddałem.

— Dobrze; zobaczymy teraz co się z niemi dzieć będzie.

Wiadomo wszystkim, że główne biuro poczt, na Saint-Martin, dzieli się na dwie części korytarzem, w którego ścianach są okienka. Tamtędy listy i dzienniki toną codziennie; przez te okienka urzędnicy odpowiadają na zapytania i przyjmują opłaty od listów. Brama południowa przeznaczona jest dla okręgu Londynu, a północna, którą dotąd nazywają „Wydziałem Wewnętrznym”, dziś obejmuje zagranicę, kolonie oraz wszelkie zamorskie korespondencye. Nasi dwaj dzentelmanowie poszli naprzód do wydziału Londynu.

Przeprowadzeni długim labiryntem biur i korytarzy ciemnych, stańeli, jak błądzący w bajce o wróżkach, w ogromnej sali, tysiącami światła jaśniejącej. Mieszkańcy tej sali nie byli wcale w posadgi przeobrażeni, ani snem letargicznym przytłoczeni, lecz widocznie używali najmilszego *far niente*. Pośród gromady różnorodnych stolików, biur, pulek, szafek, długich stołów czarnymi przykrytych kobiercami, czytali, chodzili na lewo i prawo, rozmawiali, pili kawę, palili cygara, jak prawdziwe lazarony.

Nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, straszliwy zgiełk wybucha w końcu sali, i gromada szeregówych urzędników, z największym pędem, wpada w środek sali. Każdy dźwiga torbę na plecach, ugina się pod ciężarem, a jakby czarodziejską sztuką, na widok tych worków, wszystko co czytało, gadało, paliło, chodziło, w oka mgnieniu zmienia się w czynnych urzędników.

Worki te, czy torby z baranięj skóry, napechane były listami ze wszystkich biur cyrkulowych; rozwiązano je natychmiast, wypróżniono, przewrócono, tak, że ani jeden nie został na spodzie.

Tajemni nasi goście pilnie uważali listy wytrąsane z worków. Listy te były ze wszystkich stron Londynu do wszystkich jego części, jako też na prowincye i najodleglejsze strony świata. Pojętny urzędnik za pierwszym rzutem oka treść ich odgadnąć może. Listy w interesach bywają zwykle w krótkich kwadratowych kopertach; listy urzędowe w podłużnych; listy od prawników nie mają kopert; kolorowe albo z opaskami koperty zawierają listy z powinszowaniem lub miłosne; czarna opaska oznacza żalobę, wesoła srebrna, małżeństwo. Kiedy przyszła kolej na depesze z Fleet-Street, dwaj nasi przyjaciele nie spuścili z oka urzędnika, który rozbiierał zawarte w niej trzy paczki. Jeden z nich zbliżył się do biurka, i przepisał kartkę przypięzoną do listów; wypisano na niej tylko: „Tyle opłaconych stęplami (*); tyle frankowanych; tyle niefrankowanych”.

Z szybkością błyskawicy, urzędnik zliczył listy stęplowane, a przy szparkim przelocie światła, nasi ciekawcy postrzegli, że jeden ich list został pomi-

niętym. Nagle ruch się zatrzymuje; kontroler jakby instynktowo odkrył, że jeden list nie jest ostęplowany jak należy: w oka mgnieniu ważył go i otaksował podwójnie. Przekonawszy się o dokładności liczby listów stęplowanych, wziął się do opłaconych gotowizną; a między niemi przesunął się i znany nam list w zielonej kopercie. Następnie zliczył listy niefrankowane, między którymi nasi dwaj przyjaciele poznali swój list. zółty. Kolumna cyfer została dodaną i spisana w moment, a potem szybki pociąg pióra, znaczący „*zgodno*” przesłał rachunek z Fleet-Street do paczki, mającej iść pod baczniejsze rozpoznanie generalnego poborcy. Wszystkie inne listy i rachunki z biur cyrkulowych przeszły taką samą kontrolę na innych stolikach, a działanie to powtarza się dziesięć razy na dzień przez rok cały, świat nie wyłączając.

— Czyś uważał—rzekł jeden z naszych przyjaciół, że przy szybkim sprawdzaniu liczby listów, list nasz stęplowany przesunął się jak meteor, kiedy list frankowany i drugi niefrankowany, uległy długiemu rozpoznawaniu, żeby adresy starannie mogły być przeczytane.

— Zwłoka ztąd pochodzi—odrzekł na to uprzejmy urzędnik—że nie są ostęplowane. Takie listy powodują wielkie zawikłanie, którego się unika całkowicie przy stęplach pocztowych. Każdy urzędnik przez którego ręce przechodzą, od dozorczy skrzynki do przyjmowania listów, do roznośzącego je bryftregera, musi napisać sobie adres i opłatę każdego. Gdyby publiczność oddawała tylko stęplowane listy, wieleby nam pracy oszczędziła.

— Jakż jest stosunek listów stęplowanych, do frankowanych i do niefrankowanych, które w ciągu roku przechodzą przez wszystkie biura pocztowe?

— W przybliżeniu powiedzieć można, iż zeszłego roku przeszło przez biura połączonego królestwa blisko 337 milionów listów; z tych połowa stęplowanych; 46 na sto frankowanych, a 4 tylko na sto wrzucano do skrzynki bez frankowania.

Kiedy jeden z naszych panów zbierał te wiadomości, drugi pilnował kolorowych listów swoich przy drugiej operacyi, to jest wybijaniu czerwonym tuszem daty i godziny wysyłki. Listy ułożone są długim szeregiem na stole jak talia kart, a pieczętarsz tak jest winny, że trzy tysiące listów mo-

(*) W Anglii jest takie urządzenie pocztowe, że można sobie kupować stęplowane na pocztę koperty, i wtedy bez żadnego za- chodu list na każdej pocztce jest przyjmowany i odesłany na miejsce przeznaczenia.

że opieczetować na godzinę. Przekreśliwszy z drugiej strony listu stępel królewski, liczy do pięćdziesięciu pieczętki; wtedy na boku robi stępem czarną kreskę. Następnie naczelnik dodaje te wszystkie znaki, żeby mieć przybliżoną liczbę listów przeszłych przez biuro.

Tym sposobem nasi przyjaciele dowiedzieli się, że przez biuro okręgu londyńskiego, w dniu 14 r. b., przeszło razem 192,321 listów. Dodać do tego trzeba 6,000 listów „przez Londyn”, albo idących z jednej wioski do drugiej w wewnętrznym obrębie miasta, albo z biura cyrkulowego, nie przechodzących przez centralną administrację. Prócz tego, sto tysięcy adresowanych na prowincję i w kraje zamorskie, które przenoszone są do wydziału wewnętrznego. Ogólny więc ruch listów dziennie wynosi blisko 300,000. Ofiary preto składane w dzień świętego Walentego, jak serca, strzały, kupidyńki wyskakujące z róż papierowych, hymeny wybijane, pasterki, nimfy na muszlinie, karykatury, wiersze czule i t. p. pomnażają w tę rocznicę dochód pocztowy równy 70,000 listom; w miesiącu lutym bowiem zwyczajny stosunek jest 123,000 dziennie listów okręgowych i przesyłek „przez Londyn”. Przewyżka ta głównie ma miejsce w biurach okręgu i przechodu, a nietylko cięży wydział wewnętrzny, gdyż kochankowie zwykle w blizkim sąsiedztwie kochanek swoich mieszkają. W każdy dzień świętego Walentego ogólna korespondencya trzech-królestw powiększa się prawie o 400,000 listów.

— Czyż to być może, żeby te wszystkie listy przygotowane, zapisane i wyprawione zostały w porę, nim przyjdzie druga przesyłka, co niespełna za godzinę nastąpi? — zapytał jeden z naszych znajomych, spoglądając na stosy listów zawałające wszystkie stoly.

— Ma się rozumieć, nieinaczej — odrzekł uprzejmy urzędnik. — Zaraz panom powiem, jak sobie radzimy. Podzieliliśmy Londyn na siedmnaście okręgów. Widzicie je, i wskazał na stoly, z ponumerowanymi pulkami od 1 do 17, prócz tego jest stół z napisem: *nieczytelne* i drugi z napisem: *ogólne*. Na tych stołach odbywa się piérwsza klasyfikacya listów. Następnie rozbiierają się one na poddziały, dalej na okręgi i wreszcie idą do bryftręgorów, którzy, w osobnej sali, układają je sobie jak im dogodniej.

Podczas tych uwag, dwaj nasi przyjaciele postrzegli kolorowe swoje koperty, wszystkie trzy adresowane do Szkocyi, dobyto je z ogromnej kupy i rzucono w przedział pod nazwą *ogólne*, z taką szybkością jak kuglarz dobywa z talii kart, tę którą sobie obrał i wymienił. Listy te — dodał urzędnik — jako na prowincyje adresowane, przejdą teraz do wydziału wewnętrznego tunelem pod podłogą tej sali będącym. Listy na których rozbierracze nie mogą przeczytać adresu, posyłają się do biura „nieczytelnych”, pod kierunkiem urzędnika, który posiada talent wyczytywania najgorszej bazygraniny. Zobaczycie zaraz próbkę optycznej jego potęgi.

Tymczasem huk stępli i szmer mieszkających listy uspokoił się na wszystkich strony, i dawna cisza zaległa salę. Niktby nie uwierzył że 30 czy 40 tysięcy listów odebrano, ostępowano, zliczono, rozklasyfikowano i wyprawiono w tak krótkim czasie.

— Jest nas tu tysiąc dwustu do tysiąca siedmiuset, przy samój poczcie okręgowej, rzekł jeden z pisarzy; a i czwartęj części tego nie było, nim pocztę główną przeniesiono tu z Gerard-Street. Wtedy naprzykład trzech bryftręgorów wystarczało na cały okręg Paddington, a w pace którąś panowie widzieli, do tego jednego okręgu poszło 2000 listów, przez ręce 25 bryftręgorów.

— Powiększenie to nastąpiło zapewne skutkiem zniżenia opłaty listów do jednego penny?

— Bez najmniejszej wątpliwości — odrzekł urzędnik pocztowy.

I pokazał w urzędowym sprawozdaniu, historyę ogólnego wzrostu pocztowych korespondencyj, od czasu zniesienia opłat za odległość i zaprowadzenia tak zwanego penny-porto. W 1839 r., za starego systemu, pocztą przewiozła 76 milionów listów. W 1840 r. nastąpiła jednakowa opłata, a ilość listów wynosiła już 162 miliony, czyli wzrosła o 93 miliony, co równa się 123 na 100. To był skok największy; następnie liczba wzrostu zniżyła się do 36 na 100 w 1841 r., do 16 na 100 w 1842 i 1843 r. W 1845 i trzech latach następnych, wzrost wynosił w każdym 37, 39 i 40 na 100. Potém objawilo się nagłe spadnięcie; może już osiągnięto najwyższego punktu. Pocztą jest wszakże termometrem handlu; w czasie przesilenia 1848 r. liczba listów wzrosła tylko o 9 na 100. Ale zeszele-

go roku 37,500,000 przeszło przez pocztę, co nad rok poprzedni daje przyrostu o 11 na 100. Inny dokument urzędowy wskazuje, że lubo teraz jest cztery razy tyle roboty co w 1839 r., wydatki na administrację podwoiły się tylko. Pewnego roku wydatek zakładu nie przechodził 690.000 f. szter. (27,600,000 złp.); w 1849 r. czynił około 1,400.000 fr. szter. (56 milionów złp.).

Kiedy jeden z naszych znajomych przeglądał ten dokumenta, drugi nie spuszczał z oka kolorowych listów swoich. Włożono je z 2000 innych listów poczty ogólnej w skrzynki; te wsunięto w tunel, po równi pochylonej idący. Przyjaciele nasi wyszli więc z wydziału okręgów Londynu i poszli za listami robić dalsze spostrzeżenia.

Było trzy kwadransy na szóstą, kiedy przechodzili salę; o godzinie szóstej dostawione być muszą wszystkie dzienniki; spóźniające się ciąży dodatkowa opłata.

Jakaż tu powódz dzienników! jaka wrzawa, zgłęb roznosicieli! Nagle bije szósta.—„Zamykać!” Wszystko od razu znika. Sala pusta i ani śladu z całej burzy. Nikt się nie spóźnił.

Ale wewnątrz, jakież chaos! jakie zamieszanie! Na wielkich platformach stali ludzie po kolana zasypiani dziennikami; olbrzymie wrota, podnoszące się w górę i na dół, cała izba wznosząca się i spuszczaćca za pomocą maszyny parowej, zabierała i wracała ludzi, obładowanych samemi tylko dziennikami! Wszystka historia bieżąca, kronika urodzeń, zgonów i małżeństw, wszelkie zbrodnie, przypadków, zdarzeń, różnych kolei życia, wszelkich rzeczywistości cywilizowanego świata; to wszystko zebrane, nagromadzone, rozdzielone, przeniesione, rozpowszechnione, zmieszane, ułożone, rozproszone, potem znów zebrane, przechodzi z ręk do ręk, w nieskończonym i rozpaczliwym na pozór zawichrzeniu, ale rzeczywiście we dług cudownego porządku, i to sześć nocy na tydzień przez rok cały.

Nasi przyjaciele dowiedzieli się że 70,000,000 dzienników przechodzi corocznie przez biura poczty angielskiej. Biuro stępla wydaje corocznie przeszło 80 milionów stempli na dzienniki, ale większa część dzienników londyńskich odchodzi na prowincję rannemi pociągami. Z drugiej strony, często jeden dziennik kilka razy przechodzi przez pocztę, a to objaśnia małą przewyżkę o 10

milionów stempli nad liczbę dzienników oddawanych na pocztę. Sto dziewięćdziesiąt siedm tonów (3,940 centnarów) papieru i druku, na tydzień, przechodzi w górę i nadół przez ową ruchomą izbę, a ztamtąd rozbiega się po całej ziemi: z Blackfriars do Botany Bay, z Strauda do Czusannu i Hong-Kong.

Jakże opisać salę, które widać przez studnią, którą chodzą w górę i na dół ruchoma izba; jak wystawić wam te niezmierne sale z kilkuset ludźmi, uwijającymi się około gór listów? te warsztaty nigdy nieustającej, wiecznie odradzającej się pracy? Pracownik wyszedłszy z tej oteklani na spoczynek marzy we śnie o listach. Kiedy go napadnie gorączka (a napada wielu), często mu się w głowie mieszać musi, i listy z Wali rzuca do skrzynki Szkocy, a listy do okręgów Londynu wyprawia może do Jerycho? Kiedy wypije kieliszek za wiele, może dwoją mu się w oczach listy w dziwotwornym pomieszczeniu? Kiedy istotnie chory, mary listów stoją przed nim i trwożą biedaka. A kiedy go zmora dusi, czyż nie przyjdzie mu na pamięć ów tajemniczy ganek osknlony, co tam w ciemności, wysoko na murze unosi się, jak organy bez fustul, z którego niewidome oko pilnuje sortujących listy, i czuwa aby ich bronić od pokusy?

System stęplowania, klasyfikacji i rozkładu jest tu taki sam zupełnie jak w oddziale okręgów Londynu, a autor listów kolorowych widział jak przechodziły różne koleje, dopóki nie zostały wyprowadzone. Tymczasem towarzysz jego następne robił postrzeżenie:

W osobnej izbie, kilku urzędników zajmuje się poprawianiem zaniedbań publiczności, tak licznych jak wystawie sobie niepodobna. Przecięciowo, 300 listów na dzień przechodzi do ogólnej administracji poczt bez żadnej pieczętki. Wielka liczba nie ma ani adresu ani znaku żadnego, chociaż i pieniądze w nich się znajdują.

Za czasów Sir Francis Freelinga, znaleziono 5,000 funt. szter. (200,000 złp.) banknotami w białej kopercie, i z wielkim trudem zdołano wyszukać właściciela tej sumy. Niedawno, kobieta utrzymująca bardzo skromny kantor pocztowy w jakiejś małej wiosce walijskiej, nie mogąc przeczytać adresu na jednym liście, przypatrywała mu się pilnie i postrzegła przez rozdartą w rogu kopertę, że zawiera banknoty. Obłożyła go starannie i przy-

ślała do sekretarza centralnej administracji. Wliczenie było 1,500 funt. szterl. (60,000 złp.), adresu zaś przeczytać nie mógł najbiegłęjszy w czytaniu pisma urzędnik. Przypadkiem dopiero trafiono na właściciela tej summy.

Liczą, że w biurze listów „zalegających” jest przeciętnie zawsze do jedenastu tysięcy funtów szterlingów (440,000 złp.). W 1847 r. naprzykład w ciągu dwóch miesięcy zaległo 4,758 listów, wszystkie z pieniędzmi, skutkiem złe napisanych adresów.

Oddawane są one najprzód pod rozpoznanie najbiegłęjszego w czytaniu adresów urzędnika, a gdy ten nie poradzi, odkładają je do zalegających. Dnia 17 lipca 1848 r. w biurze listów zaległych znajdowała się, w monecie, wezlach i banknotach ogromna summa 40,410 funtów szterlingów (1,616,400 złp.).

— Ręczę panu— rzekł wyższy urzędnik tego wydziału— że w każdej ręce wziętych kupce listów znajdzie przynajmniej jeden z pieniędzmi, pomimo ułatwień jakie przedstawia system przekazów na pocztę. To nam nastęrcza tysiączne kłopoty. Bryfregery i sortownicy na taką wystawieni są przez to pokusę, że czasami listy takie giną. W ostatnich dwóch latach naprzykład, siedmdziesięciu urzędników oddalono ztąd za przeniewierzenie się.

Jednakże publiczność rozlegle korzysta z przekazów na pocztę. Wykaz urzędowy przekonywa, że w ciągu roku, kończącego się z dniem 5 stycznia 1849, wydano tylko dla Anglii i Walii i zapłacono przekazów 6,852, 911, których wartość wynosiła ogromną sumę 13,678,377 funtów szterlingów 3 szylingi (złp. 547,135,086).

— Patrzcie panowie— rzekł pomocnik naczelnika, biorąc pudełko tekturowe ze sztucznymi kwiatami, które pod kupą listów i dzienników, przybrało kształt sferyczno-owalny— jak nadzwyczajnym zaufaniem zaszczyca nas publiczność. To naprzykład ma dojść całe i zdrowe do Dublina, chociaż wysyłający nie pamiętał o zabezpieczeniu na drogę. Ta oto para białych trzewików atlasowych niebawem innego będzie koloru za zetknięciem z mokrim jeszcze dziennikami i brzegami książek. Niedawno, w podobnej paczce, trzewik wystawał z cienkiej okładki, a stępujący, nie mogąc w porę zatrzymać ręki, wycisnął na atlasie

niebieską farbą: „York, 1 lutego 1850”. W sprawozdaniu o zaległych listach, zobaczysz pan jak ciekawe powierzają nam przedmioty. I pokazał długi spis artykułów nieskończonej różnorodności, przechodzącej wszystko co najdziwaczniejszego wyobrazić sobie można.

Oprócz niedbałości, walczyć jeszcze musimy z niewiedomością, mówił dalej cicerone, prowadząc dwóch naszych przyjaciół do biura „biegłego w czytaniu nadpisów” (*dechiffrierer*). Urzędnik ten z oczami Argusa, siedział otoczony biblioteką almanachów, kalendarzy, adresów, przewodników, roczników armii, marynarki, duchowieństwa, i t. p. atych wszystkich pomocy wielce potrzeba mu było, wnosząc z fantastycznej pisowni i dziwacznych nadpisów, których próbki im pokazywał. Niektóre jednak dadzą się jako tako wytłumaczyć „bo, jak powiada jeden podróżnik: w Anglii, co się pisze *Greenwich* czytają *Griniez*, *Woolwich* czytają *Ulicz*, i nie jestem pewny czy napisawszy *Salomon* nie przeczytają *Nabuchodonozor*.”

Tymczasem, w sąsiedniej izbie powstawała coraz większa wrzawa. Zbliżała się ósma godzina, a urzędnicy którzy przyniesli torby i worki z listami, wydobyli je teraz z tego mlyna wiecznie się kręcącego. Każdy worek, prawie całkiem dziennikami napełniony, rzucony został na osobny stół do przyjęcia listów.

Przyjaciele nasi poskoczyli w miejsce, gdzie nas ścianie zobaczyli napis „Edyburg” i tam postrzegli swoje trzy listy: żółty, zielony i czerwony, w osobnych paczkach, lubo w jedno miejsce przeznaczonych, tak zupełnie jak przyszły z Fleet-Street. Toż samo powtórzyło się ze wszystkimi workami i paczkami.

Uderzyła ósma, zgłębł ustał, urzędnicy i światła znikły.

To jest uderzającym rysem w tym zakładzie, że wszystko odbywa się tam wojskowo, na tempa i minutę. Na pięć minut przed ósmą, rozległe sale i biura iskrzyły się światłem, przepełnione były ludźmi; w dziesięć minut po ósmej, wszystko już zamario, ledwie gdzie widać było światło albo żyjącą istotę.

Takie są w treści postrzeżenia dwóch naszych przyjaciół z centralnej administracji, o pocztę listową angielską.

HOHNSZTEJN W SAKSONII.

W królestwie Saskiem leży o 5 mil od Dreżna miasteczko i zamek obronny Hohnsztejn. Miasteczko stoi na pochyłości gór, a zamek na wysokich skałach. Miasteczko, które powstało zapewne z domów pod zamkiem stawianych, liczy około 900 mieszkańców. Samo nie przedstawia nic godnego widzenia, więc na uwagę zasługuje zamek nawpół jeszcze zamieszkały, a nawpół już zniszczony. Podział jego na stary, nowy i środkowy, pozostał w mowie ludu. Z miasteczka do zamku prowadził sklepiony most, dawniej zapewne był zwodzony, i musiał być wtedy jedyny i dobrze strzeżony przystęp do zamku, kiedy podczas 30letniej wojny ani cesarskie ani szwedzkie wojsko dostać się do zamku nie mogło, chociaż mała bronila go załoga. Ponad bramą widzieć można jeszcze dotąd herb elektorów saskich. W pierwszym dziedzińcu, którego bruk jest z kamienia łamanego w skałę, leży po lewej stronie przednia część zamku; mieszka tam dzisiaj poborca kassowy. W tyle znajduje się ogródek z wielką pracą na skałę założony; z niego jest ciekawy, a razem straszny widok, na głębokie otchłanie. Po prawej stronie znajduje się środkowy zamek, gdzie to, co od pożaru piorunem w r. 1620 zrządzonego ocalało, dotąd jeszcze jest zamieszkałe. Tam niewysoka wieża służyła długo za więzienie polityczne. Długi, w skałę wykuty przechód prowadzi wyżej na mały dziedzińiec, który otaczają zabudowania gospodarskie środkowego, i szczytą tylnego zamku. Tu mieści się sąd którego archiwum kiedyś było kaplica. Na przeciwko było teraz już nieużywane więzienie, miejsce ciemne i bardzo niezdrowe. W niem siedział przed stoma laty więzień, któremu tęsknota za wolnością podała myśl zrobić ze słomy w łożku powróśło, i spuścić się po nim przez okno na dół. Co też uczynił. Po powrośle długim na 24 łokcie spuścił się szczęśliwie aż do końca, ale nie na ziemię. Zle zmierzyl okiem odległość i zrobił powróśło za krótkie. Wrócić się napowrót było niepodobna, bo mu ręce odmawiały posługi. Niepozostawało więc tylko opuścić powróśło i zeskokczyć na dół. Zrobił to nieszczęśliwy, ale padając połamał nogi. Musiał teraz sam walczyć, żeby go do więzienia

powrócono. Powróśło to dotąd jest zachowane i odwiedzającym zamek pokazywane. Drugie więzienie niedaleko od tego, a którego tylko ruiny pozostały, nazywa się Klettenberg. Starzy mieszkańcy miasteczka powiadają, że to więzienie było okropne, powietrze w niem miało być zaraźliwem, więźniowie mieli zapadać na szkorbut i żyć wśród obrzydliwego robactwa. Teraz na tém miejscu, które niejednen nieszczęśliwy łzami odwilżał, albo też złoczyńca jaki stopami swojemi kałal, świeci piękne słońce i rosną świeże kwiaty. Ten, od którego to więzienie nazwisko otrzymało, był niejaki Jan Hektor Baron Klettenberg, rodem z Frankurtu nad Menem, oszust przebiegły. Z rodzinnego miastka uciekł, unikając kary za zabicie w pojedynku swojego przeciwnika. Pod imieniem Barona Wildeck włożył się tu i owdzie, i nadużywał upowszechnionej w końcu 17 i na początku 18 wieku między panami i bogaczami słabości do robienia złota. Mily z powierzchności i w obejściu, przytém wymowny i chytry umiał sobie wszędzie zrobić przystęp, wydłubać pieniądze, wszystkim imponować blaskiem i okazałością. W Wejmarze oszukał księcia Ernsta. Obiecując mu góry złote, wymógł na księciu wielkie summy pieniędzy na założenie laboratorium i na zakupienie drogich ingrediencyj. Gdy wszakże obcywanego złota nie mógł zrobić, książę rozgniewany odpędził go jako oszukańca. Policya była wówczas w kolebce, albo raczej wcale nie istniała. Dlatego udało się zwodzicielowi znaleźć jeszcze wiarę na dworze dreźnieńskim. Panował wtenczas w Saksonii elektor August, zwany mocnym, który był zarazem królem polskim. Książę ten zajmował się oddawna wynalezieniem kamienia mądrości, chętnie więc przyjął fabrykanta złota, tem bardziej, że potrzebował pieniędzy żyjąc rozrzutnie i okazale.

Baron Klettenberg, który tu przybrał tytuł majora, umiał się Augustowi podobać, otrzymał od niego zaraz 1000 talarów pensyi miesięcznej i 3000 takich na urządzenie laboratorium; niedługo zaś potem wysoki urząd i szambelaństwo. Ale dzbanał dopóty wodę nosi, dopóki ucha nie urwie.



Hochstern



Brennberg

Gdy mniemany major ciągle nowych summ do operacyi żądał, a złota nie dostarczał, August poznał że ma do czynienia z oszustem; kazał go więc osadzić naprzód w więzieniu Hohnsztejn, w końcu zaś, gdy złamtał chciał uciekać, kazał go w roku 1720 publicznie stracić. Nazwisko, które więzieniu Hohnsztejn przez żart od nazwiska Kletenberga nadano, utrzymuje się do dnia dzisiejszego.

Kilka kroków opodal od tego więzienia wchodzi się do starego zamku, albo raczej między zwaliska, które stary zamek stanowiły. W jednym z tych zwalisk ciemnym i okropnym a dawniej na więzienie przeznaczonem, odbywano tortury. Ostatnim, który na te okrutne męki był wystawionym, miał być niejaki Hatyn rzeźnik. Wedle podania zniósł on wszystkie stopnie męczarni, na jakie się dziś wzdrzamy i do winy się nie przyznał. Dopiero później, kiedy przypadkiem złamał sobie obie nogi, wyjawil bez żadnego przymusu zbrodnię, o którą był oskarżony. Tu i owdzie, między ruinami, ręka staranna mieszkańców pousuwała gruzy i pozakładala ogródki, z których wspaniale wokoło przedstawiają się widoki.

Złamtał dokładnie widzieć można położenie zamku, jego prostopadłe skaliste ściany, przepaści, któremi ze trzech stron był otoczony i miasteczko nieco niżej leżące; i z tój to strony potrzebował nieco obrony sztucznej. O ile widok ztąd okropny jest na otechlanie w skalach, tyle znowu miły na doliny i góry przyległe. Złamtał poza środkowym zamkiem ogród niedźwiedzi. Tak nazywa się jedna na przepaść z dwóch stron murem skał zamknięta, którą elektor Christian II, wielki lubownik polowania, przeznaczył i urządził na przechowywanie łowionych niedźwiedzi.

Było zaś tego zwierza wówczas mnóstwo w okolicznych lasach. Jeżeli na widowiska, które się odbywały albo w samem Dreźnie, albo przy zamku Zedlic o 3 mile od Dreznia, było potrzeba niedźwiedzia, wtenczas spuszczano do tój przepaści skrzynię, zwabiano do niej w rozwarły potrzask zwierzę, potem zamknięte w niej sprowadzano na miejsce. Upodobanie w czwaniu zwierząt i wyprawianiu z nich krwawych igrzysk, utrzymywało się długo i po elektorze Christianie. Po sto lat żyły tam niedźwiedzie, a nawet się tam rozmnażały. Elektor Fryderyk August I lubił szczególniej niedźwiedzie, i ich to mleku może, którego

używał w dzieciństwie, winien swoje siłę. Miał on zawsze przy sobie złapanego za młodu, a tén samém dobrze oswojonego niedźwiedzia, który za nim jak pies chodził i w jego pokojach przebywał. Chowając się między ludźmi, zdawało się, że pozbył się wszelkiej zwierzęcej natury, znosił bowiem wszystko co z nim pan jego robił; był posłuszny i potulny. Pewnego razu, kiedy król jadł śniadanie, niedźwiedź siedział przy nim na tylnych łapach i czekał na swój kasek. Król dawał mu bułkę, a kiedy niedźwiedź po nią sięgał, cofał rękę. Tym sposobem drażnił się z nim niejaka chwile. Wtém odzywa się niedźwiedzia natura. Ze straszonym mručeniem powstaje zwierzę, i chce schwycić króla pazurami. Silny August odrzuca je wprawdzie od siebie, ale ono chce się rzucić znowu na niego. Król stawia się stołem, broni się za nim tak długo, dopóki nie dostał się do pałaza, którym w głowę ugodził niedźwiedzia.

Niedźwiedź tym ciosem odurzony, upada. Nadbiegli dworzanie, zakładają mu knebel i związują nogi. W takim stanie odwieziony został zwierzę do niedźwiedziego ogrodu, gdzie żył między swoimi dzikimi braćmi, i ztąd nieraz na igrzyska był sprowadzany, aż nakoniec raz w walce z żubrem poległ. Kiedy go król w ogrodzie niedźwiedzim odwiedzał, zdawało się, że za każdym razem przypominał sobie przeszłość, kładł się bowiem zawsze przed królem, żeby okazać swoją uległość.

W miarę jak się łagodziły obyczaje, ustawało upodobanie w okrutnych walkach zwierząt, i gdy pomimo wszelkiej ostrożności, niedźwiedzie z owego więzienia na wolność się dostawały i całe miasto strachem przerażały, został ten zakład niedźwiedzi, po półtorawiekowém istnieniu, w roku 1750 zniesiony, i wszystkie w nim niedźwiedzie pozabijano. Widok z góry na ten zwierzynek, którego był pozostałe nazwisko niedźwiedziego ogrodu ciągle przypomina, jest straszny. Podobnie przykre jest wejście z niedźwiedziego ogrodu na zamek. Patrzącemu złamtał zdaje się, że ten ogród zwalić się może, tak wysoko wznosi się na urwiskach skał, na których jest budowany.

Kto zamek Hohnsztejn budował, to pokryte jest pomroką czasu. Jeżeli wszakże w historii czytamy, że te zamki, leżące w dzikich i skalistych okolicach, na stromych i nieprzystępnych wysokościach przepaściami otoczonych, sięgają bardzo odle-

głych wieków, to do nich zapewne należeć będzie i zamek Hohensztein; pierwsza wzmianka o nim jest pod r. 1289. Pierwszym właścicielem jego była familia czeska Brzozów z DUBY, która w Czechach i Szlązku wielkie posiadała dobra. Panowie Brzozy z DUBY nadużywali często mocy tego zamku; robili z niego wycieczki i czynili, kiedy się do tego okazała sposobność, różne napady. Tę swawolę okrutną tak daleko posuwali, że książę sąsiedzki elektor Fryderyk saski, łagodnym zwany, łagodności swojej zaniechać musiał, i w roku 1444 na Hohensztein uderzył, zajął go i jako zdobytą własność zatrzymał, dopóki mu w r. 1459, przez ugodę w Eger tytułu prawego posiadacza zamku nie przyznano.

W roku 1494 posiadaczem zamku Hohensztein był książę Albert saski. Jak do tego przyszedł, nie wiadomo. Że to była jego własność prawna, pokazuje się stąd, że ją Henrykowizie Sztejnitz darował. Ten będąc marszałkiem księcia, otrzymał polecenie starania się o polską księżniczkę Barbarę dla młodego księcia Jerzego. Polecenie to musiało być z wielkimi trudnościami połączone, kiedy za szczęśliwe jego wykonanie, marszałek dostał

od księcia na własność zamek Hohensztein. Panowie ze Stejnitz byli w owych czasach nie mniej bogatymi jak panowie z DUBY i Dohna. W Czechach, w górnym Szlązku i w Saksonii posiadali tak wielkie z sobą połączone majątki, że je krainą Sztejniców nazywano. W r. 1523 sprzedali panowie ze Stejnitz zamek Hohensztein swoim sąsiadom panom Szonburg, dziś książętom i hrabiom, którzy go we 20 lat później elektorowi saskiemu Morycowi za inne posiadłości odstąpili. Tym sposobem po upływie 100 lat wrócił znowu zamek Hohensztein w bezpośrednie posiadanie domu saskiego.

Ponieważ skała Hohensztein zostaje w związku z zamkiem Hohensztein, musimy więc i o niej wzmiankę uczynić. Naprzeciwko zamku leży wązka dolina, Polentz zwana, ze strumieniem tegoż imienia; z niej wyskakuje stroma na 200 stóp wysoka skała i nazywa się Hohensztein. Zamku obronnego na niej niema i nigdy nie było. Że jednak służyła do jakiegoś użytku, dowodem tego są do dzisiejszego dnia widoczne gradusy, głębokie jamy; być może że stanowiły zewnętrzny szaniec zamku. Podanie niesie, że zamek połączony był z tą skalą skórzanym mostem.

WĄWÓZ ZWANY TIEFEGRUND.

Nim dojdziem do tego ciekawego miejsca, którego opisem zająć nam się tu wypada, zatrzymajmy się nieco na drodze. Przez pół godziny przeszło wędrując miłym lasem sosnowym, podróżny nagle, ani się spodziewając, ujrzy się na kraju wyniosłej skały *Brand* zwaną. Ani kroku stąpić dalej nie można; bo pod nogami przepaść, a wokoło jeden z najpoważniejszych widoków w całej Szwajcarii saskiej. Wędrownik przerażony staje, dziwi się, zdumiewa, rozczuła i sam nie wie skąd tu zacząć, gdzie naprzód czy zastanowić, żeby się dokładnie napoić temi rozkoszami przed wzrokiem jego rozwartemi. Doliny i lasy, skały i góry, łąki i bujne łąny, dalekie i bliższe ciekawości, prze-

zynane gdzieniegdzie wyglądającą z zaciśnienia wstęgą pięknej Elby, migocą mu na przemiany przed oczyma. Ponad szeregami skał w pobliżu wystercza barczysta twierdza Königstein, dalej Lilienstein, Jungferenstein, Rauenstein, Bärenstein i wielki rząd majestatycznych ścian Ratenów. Poza Königsteinem niezliczone osady i wioski malowniczo barwią się na błękitnym tle widnokręgu, a nad niemi zmykają się w wzajemnym uścisku olbrzymie grzbiety Erzgebirgu z pasmem gór czeskich, tworząc wspaniałą i dumną grupę wyniosłych szczytów, choć tak jeszcze odległych. Nad wszystkimi najdumniej wznosi się straszny Rosenberg. Widać i pamiętną ową kaplicę *holendorfską*, która

w 1813 r. była świadkiem smutnej porażki nie-
szczęsnego marszałka Vandamme przez Kleista
pod Kulmem.

Zbyt wiele podróży zwiedza *Brand*, aby prze-
mysł skrzętny zawsze o swoje dobro, miał o ni-
m zapomnieć. Nie brak też schłodzonych domków
stojących zawsze otworem na gościinne i mile
przyjęcie znużonych wędrowców, powracających
z *Tiefegrund*, lub też w spoczynku i posiłku no-
wych sił szukających do odbycia dalszej podróży.

Tuż poza temi domkami wązka drożyna wie-
dzie do *Tiefegrund*. Śród czarnych i niezmiernych
skał to z jednego kawała, to z całych mass złożo-
nych, wije się ścieżka wyrównana, którą władze
zawsze w porządku utrzymują. W wielu miejscach
poukładane laweczki dają spoczynek znużonym
uciążliwą podróżą wędrowcom. Dziwna, i praw-
dziwie cudna struktura tych kolosalnych skał,
na których bez podziwu oko człowieka spocząć
nie może: tu się piętrzą prostopadłe, równo,
lśniste jak szyba, tam zawijają się w sklepienie
ochraniające podróży przed deszczem, jak gdy-
by sztuką architektury wymyślone i pracowicie do
tych kształtów doprowadzone. Smağła sosna
wszędzie się wlsiznie, wszędzie dość znajdzie miej-
sen, żeby te czarne obszary zielenią swą ubarwić.

Kto tylko czule na wspaniałości natury posiada
serce, nieprędko oderwać się będzie w stanie od
widoku tych imponujących dekoracyj różnolitych
i różnokształtnych skał i łomów. Gdzie tylko zda-
rzy się laweczka, wszędzie wypocznie, żeby nowe-
mi dziwy oczy nakarmić. Lecz kto nie zna i znać
nie chce innych podróży jak tylko w wygodnym
powozie lub na koniu, dla tego wspaniałości scen
tych nazawsze zamknięte. Kto zaś tam był, kto
je zwiedził i oglądał, zawoła niezawodnie z wiel-
kim wieszczeniem: „O! w tych okolicach gdzie wynio-
słe góry i skały piętrzą się jedno ponad drugimi,
i w ciasnych między sobą dolinach więżą samo-
tność, tam zawsze serce moje przenika, jak bly-
skawica, głębokie i czule westchnienie!”

Przy końcu w górę wiodącej ścieżki, wijącej się
tu równolegle z spadającym z gór strumieniem,
skały w głąb się cofają, dolina się rozszerza, staje
się mniej dzika, weselsza.

Niedaleko ztąd kończy się nasz wąż (Tiefe-
Grund), ale musimy zapoznać się od samego po-
czątku z piękną doliną otwierającą się przed nami

i cofnąć się do wioski Waisdorf, gdzie się zaczyna.
Tutaj zlewa się w jedno, pod młynem zwanym
Grundmühle, kilka obszerneń tak i tworzy zagłę-
bienie, jakby kotłinę (den tiefen Grund). Śliczna
to, prawdziwie sielska równina, po której mruży
bystry Grundbach, a lasy po obu jej bokach
wieszczą szumią. Chodźmy za biegiem tego stru-
mienia.

Z początku płynie on powolnie i cicho, ale im
dalej, tém więcej staje się bystrym, ile że nabiera
spadzistego kierunku. Dolina, w przechodzie do
formacji piaskowcowych, piętrzy się kupami skał;
całe ściany piaskowca występują już i tu; ma ona
charakter, jaki przyłączona tu rycina wykazuje.
Dalej nieco, przy kopalniach kamienia, dolina się
zweża i zupełnie odmienny przyjmuje charakter.
W najdziwaczniejszych zakrętach ciągnie się aż
do mlyna Porschendorfskiego. Grundbach tu na-
biera coraz więcej powabów; gniewnie toczy po
skałach rozdane wody, zrzuca je w nadobnych
kaskadellach, kryje się częstokroć pod skały, wy-
myka się znów na jaw i huczy spieniony. Pionowo
wyniosłe ciągną się obok warstwy ogromne piasko-
wca, podobne do umyślnie wznieśionych murów.
Kolosalne figury spoczywają na ich wierzchu,
i żywa fantazyja widzieć w nich najcudowniejsze
rzeczy może: to postacie rozmaite, to szczałki
zamek, twierdz i t. d. Im dalej się idzie, im doli-
na bardziej się zweża, tém wyżę sięgają te mury,
tém straszniejsze na ich szczytach występują
kształty i postacie.

Mimo głębokich uczuć i zadumy, jakeimi prze-
mija mimowolnie widok tych dziwnych i strasz-
nych scen, podróżny nie omini jednak bez uwagi
na prawo wykutego w skale wizerunku dwóch
kos na krzyż złożonych, pod któremi wyziera gru-
bemi cyframi cięty rok 1699. Kogoż nie zadziwi
ten emblemat niezwykle, ten rok tak odległy;
zblizenie obojga do siebie? Niedługo umęczy go
ciekawość, bo i zapytania rzucić jeszcze nie zdąży,
kiedy uprzejmy przewodnik opowie mu wymo-
wnie, że w roku tym odległym dwaj więcej chło-
pacy z pobliza kochali się w sliężni, ale jednę
i tę samę dziewczynę. Jeden drugiego pozbyć
się musiał; wyznali to sobie i wzajemnie się zgo-
dzili. Pojedynkę zatem nieodzowny; ale na cóż
pocziwym chłopkom bić się właściwie! Jeśli nie na
kossy, tę jedyną ich broni? Bili się też, a zęć po-

jedynkowali na kosy i jeden leży trupem i pochowany został w tém samym miejscu, gdzie krzyż ów z rokiem wyrzuty.

Smutno i gorzko człowiekowi przejętemu wspaniałością olbrzymiej natury od głębokich swych zadum oderwanym zostać tak prozaicznie ludzką historią, co się tak głupio kończy, weale nie mądrze zaczawszy. Przykro, doprawdy: szczęście téż, że nowy, piękny i okazały widok pochwyca znów uwagę wędrowca i o owych ludzkich marnościach natychmiast zapomnieć mu każe.

Dwa strumienie spływają tu w jeden, i nim wody swe na wieki poenią, jak gdyby gniewnie i nienawistnie sobie, w zagłębionj kotleń chwy-

tają się za bary, szamocą, odpychają, pryskają, huczą i wśród tego samotni, wśród tego odosobnienia od wszystkiego co żyjące, przypominają żywioł niezgody i waśni, którego i w tych stronach uniknąć niepodobna.

Kilka kroków dalej, staje się w tém samym miejscu gdzie się znajdowało zszedłszy z *Brand*, i gdzie *Tiefe Grund* najwęższą ciągnie się ciąsiną. Widok wspaniały, rozmaitość scen, które się przed oczyma i umysłem przesunęły, cisza wokół głęboka, jednotonnym wód szmerem tylko przerywana, wrzucając człowieka w jedno z tych usposobień krótkotrwałych, jak szczęście przemijających, których jednakże nigdy zapomnieć niepodobna.

WYCIECZKA NA ETNĘ.

(z DZIENNIKA PODRÓŻY).

Tego samego dnia, kiedyśmy do Katanii przybyli, wzięła nas zaraz ochota dostać się na Etnę, a raczej spróbować, czyby się na nią dostać nie dało. Powiadam *spróbować*, bo w żadnym razie zapewne nie da się prawdziwiej zastosować mądre przysłowie: *człowiek proponuje, Pan Bóg dysponuje*, jak w tym przypadku. Nic zwyczajniejszego, jak, że ciekawi przybyśże zagraniczni dojechawszy do Katanii, wyprowadzą się ztąd, z zamiarem spoczęcia dopiero na wierzchołku Ghibello, jak nazywają Etnę w Sycylii. Ani jeden z różnoplemiennych podróżników, zawitujących tu dość tłumnie, nie obejdzie się bez silnego powzięcia tak pięknego zamiaru;—ale nie rzadszego, nie nadzwyczajniejszego, jak żeby któremu z nich się chciało, udało, lub sił wystarczyło dotrzeć do samego krateru ogniem ziejącej góry. Bo téż przez dziewięć do dziesięciu miesięcy w roku góra ta prawdziwie jest niedostępna: przed 15 czerwca nie ma się co na podróż ku jej wierzchołkowi wybierać,—jeszcze wtedy zawczasie; po 1 października—już za późno.

Naszemu zamiarowi wyprawy wszystko jak najpiękniej i najpomysłniej sprzyjało; przybyliśmy bowiem do Katanii 4 września; cały dzień był śliczny; najmniejsza chmurka, najłżejsza mgła nie zaciemniała wyniosłej przed nami Etny. W całym majestatycznym ogromie rysowała się przed oczyma naszymi, jakby imponując zuchwałym zamysłem naszym samą wspaniałością swoją. Powiewny, bładowy dym, wydobywający się z krateru, sunął powolnie za kierunkiem wiatru, rozwijając się w sute festony i migocąc jak flaga olbrzymiego okrętu; słońce nareszcie, którego zachodowi z uniesieniem przyglądaliśmy się z wieży benedyktyńskiej, zapadło za wsią Auderno w jasny, niepokalany błękit cudownego nieba i zapowiadało nazajutrz dzień równie piękny, jak ten z którym się żegnało.

Wsiadliśmy na muly i ruszyliśmy w drogę nocą, która nam się zrazu piekielnie ciemną wydała, mianowicie téż po jasnym świetle pokoju, gdzieśmy wczeczali; stopniowo jednakże oczy zaczęły przywykać do téj strasznej ciemności i niezadługo z latwością mogliśmy się rozpatrywać w cudownym

krajobrazie, roztaczającym się wokół nas przy blasku milionów gwiazd iskrzących na niebie. Z początku zdawało nam się, że przebywamy drogę piaszczystą, tak muly nasze zapadały jakoś nogami. Wkrótce dojechalismy do drugiego pasa góry, czyli do tak zwanej krainy leśnej, chociaż karłowate pniaki drzew pokrywające bardzo przezroczyście ziemię, niekoniecznie zasługują na nazwę lasu. Tutaj zeszło nam więcej jak dwie godziny; jechalismy ciągle drogą wskazowaną nam przez przewodnika, a raczej przez muly nasze, którymeśmy się w nieograniczonem zaufaniu powierzyli z duszą i ciałem; wnosząc po nieustannych zmianach jęj kierunku, to ku górze, to znów na dół, słusznymy sobie wyobrażali, że musiała być okrutnie niebezpieczną, i u każdego z nas dusza była na ramieniu, choć się z tém przed drugim niebardzo wydawał. Od godziny już zaczęło nas przejmować zimno i mimo watowanych paltotów w którzyśmy się odziali, dokuczalo nam dość dotkliwie. Nagle ujrzelismy się przed murami jakiegoś starego budynku bez dachu; a przed tym budynkiem muly nasze ani proszone, ani nagłone, same z siebie się zatrzymały. Przybylismy do *casa del Bosco*, albo *della Neve*, to jest do domu drzewa, albo śniegu, bo budynek obiedwie te nazwy nosi, zmieniając je stosownie do pory roku: latem zasługuje na pierwszą, zimą na ostatnią. Tu miał być nasz popas, jak nam to przewodnik oświadczył. Na jego wezwanie weszliśmy do tęg oryginalnej gospody. Znajdowalismy się już na pół drogi od *casa Inglese*, ale tu nam należało wythnąć, a tam dopiero mieliśmy się na piękne rozpopasować.

Ta *casa della Neve* była jakby zapowiednią i wstępem strasznej pustyni, jaka nas dalej czekała. Bez dachu, bez drzwi i okien, za całe schronienie dawała nam tylko cztery sterzące mury. Na szczęście przezorny nasz przewodnik, nie omieszkiał zapatrzyć się wychodząc w toporek. W jednej chwili naciosał galezi i całe naręcze ich nam pod nogi dostawił; myśnyc co żywo rzucili się do zapalek i w mgnieniu oka roznieciło się pyszne ognisko. Z jaką radością przyjmowalismy tego nowego środ nas gościa, rozweselającego nam swoim gwarem, światłem i ciepłem, posępną, ciłą i mrozną noc, łatwo pojmie każdy, gdy mu wspomnę, że mały termometrzyk który miałem w kieszeni, spadł o 18 stopni od czasu, jakeśmy wyruszyli z Katanii.

Kiedy się ogień w potężny słup rozchował, przewodnik radził nam, żebyśmy się przespalili, sam poszedł zająć się mulami. Mimo wszelkiego usiłowania, żeby rady jego posłuchać, nie mogliśmy oczu na chwilę zmrzążyć, i owszem czuliśmy się jak myszy czujnymi i rzekimi. Wypiliśmy po kilka szklanek rumu i żartowalismy sobie wesoło z naszych przyjaciół, którzy o tęg godzinie zapewne zapijali sobie najspokojniej herbatę, ani się troszcząc o nas, ani przypuszczając, żebyśmy w tęg chwilkoczwolali jak bandyci w lasach etneńskich. Popas nasz trwał do wpół do piérwszég po północy; przewodnik o tęg godzinie przyszedł do nas i zawołał żebyśmy na muly wsiaдали.

Przez ten czas księżyc wszedł na niebo, i słabe światło rzucał wokół. Kwadrans jeszcze przynajmniej jechalismy wśród drzew, ale coraz bardziej rzedniały ich rzędy i ku końcowi zaledwie o 20 kroków odległości jedno od drugiego stało. Przybylismy do trzeciego pasa Etny i po stąpieniu mulów naszych czućemy mogli, że kroczą one po czémś takim, jak lawa, popiół, lub mech obfity, który jedyną tu jest rośliną. Oczywiście nieśmy dojrzeć nie mogli, zdawało nam się tylko, że ziemia ma jakąś osobliwą barwę; dalej już ciemność nie zgola widzieć nam nie dozwoliła.

W miarę, jakeśmy wyżej dochodzili, zimno coraz silniej nas przejmowało i mimo płaszczy nawet, skostnieliśmy porządnie. Zmiana ta temperatury wpłynęła na naszą rozmowę. Każdy bowiem, skurczywszy się i zwinąwszy płaszczy po uszy, ani słowa do drugiego nie pisał, i jak mary nocno snęliśmy się naprzód. Ja znajdowałem się na czele, i chociaż na ziemi wokół siebie nie dojrzeć nie mogłem, rozeznowałem przeciwko wyraźnie, ogromne i straszne urwiska skał, wznoszących się na prawo i wysterczających jak olbrzymy ku górze, czarnymi smugami cienia zalegających posępnie błękitny widok nieba. Im dalszym się posuwali, tém fantastyczniejszy i dziwaczniejszy stawał się ten widok; znać było wyraźnie, że natura nie zwyczajnym porządkiem te góry utworzyła, a że długą i straszną walką tak je ze wszystkiego obnażyła. Stąpaliśmy po historycznej dziedzinie bitwy Tytanów, piełismy się po ossie na Pelion zarzuconęj.

Wszystko wokół mnie było straszne, przerażające, majestatyczne; widziałem i czulem dosko-

nale wysoką poezję tej nocnej podróży, ale przemarłem tak na dobre, że nie miałem odwagi ust do mego towarzysza otworzyć; nie miałem siły zapytać go, czy te widziadła, snujące się tu przed oczyma, nie są wynikiem zdrętwienia, które całą istotę moje przejęło, i czy to wszystko nie mary jakiego gorączkowego. Kiedyniekiedy zpod ziemi dawał się słyszeć jakby jakiś głos, czy szmer, ale niepodobny do żadnego ziemskiego głosu; zdawał się jęczeć i łkać jakby żyjąca istota. Te podziemne jęki miały w sobie coś strasznego, uroczystego, do żywa przejmującego czcią i strachem. Często, przy tych jękach, mury nasze zatrzymywały się nagle, spuszczały łby ku dołowi, zbliżały rozwarłe i dymiące nozdrza do ziemi, a podniósłszy je ku górze, ponurym chrapem dawały, rzekłbyś, poznać, że rozumieją ten potężny głos samotni, i że nie z własnego pochopu przychodzą tajemnie jęć zakłócać.

Tymczasem, mi tracąc ani jednej chwili, posuwałem się coraz wyżej i wyżej, a zimno tak już było nieznosne, że zaledwie miałem dość siły fłaszka z rumem do ust sobie donieść. Ale po tej operacji następowała daleko trudniejsza, a mianowicie operacja zakorkowania butelki, a tu ani ręce i palce tak mi skostniały, że wcale nie czułem przedmiotów, których się dotykałem, a nogi miałem tak ciężkie i sztywne, że zdawało mi się, jakoby mi kto do obudwu stóp kawały ołowiu przypieczniał. Kiedym już uczuł, że zaczynam coraz bardziej drętwieć, wyteżyłem wszystkie siły, wstrzymałem nagle mule i zeskokczyłem z niego na ziemię. W czasie tej ewolucji widziałem, jak towarzyszy mój przejechał koło mnie i wyprzedał mię. Zapytałem go, czy nie myśli zrobić tam, jak ja; ale on potrząsł tylko głową na znak przeczącej odpowiedzi i ruszał dalej. Z początku nie mogłem ani jednego kroku postawić, wyraźnie zdawało mi się, jak gdybym bosemi nogami stapał po milionach igieł sztorcem stojących. Wpadłem na szczęśliwą myśl, żeby w tak przykrém położeniu u mule szukać pomocy i uchwyciłem mu się z całej siły rękoma za ogon; ale szlachetne zwierzę, poczuwszy raz jak to wygodnie pozbyć się z grzbietu jeźdźca, chciało widać bądź co bądź niezawisłość swą nienaruszenie już zachować. Zaledwie więc poczuło, że je pochwycił rękoma, w tak nieprzyzwyczajonem zwłaszcza miejscu, — jakci nie

wytynie obydwoma nogami do góry! jak zacznie wybrykiwać! — próżno się z rozpaczą trzymał, jak kleszczami ściskając oburącz ogon, którym sobie za zbawienie uważał; dostałem tak potężny wierzg w biodro, że mi się powalił na ziemię i stoczył przynajmniej 10 stóp ku dołowi. Przewodnik widząc co się dzieje, przyskoczył i pomógł mi się dźwignąć.

Obmacałem się zaraz — kości jakoś dzięki Bogu były całe; i na dobre mi wyszła nawet ta katastrofa. Cyrkulacya krwi ożywoiła upadkiem, wróciła do dawnego stanu, uczułem się rzeświejszy i mimo tak silnego uderzenia nie mię jakoś bardzo nie bolało. Ruszyłem więc zwawo ku górze i uszedłszy z tysiąc kroków, spotkałem mego towarzysza czekającego na mnie. Mule uwolniony się od moich uścisków, dogonił go bezemnie i bez przewodnika, poczem domyślił się, że musiało mi się coś wydarzyć; zatrzymał się więc i czekał. Uspokoiłem go opowiadając całą przygodę i ruszyliśmy dalej, ja pieszko, a on i przewodnik na mulach. Była już wtedy godzina 2 po północy.

Przez trzy kwadranse jeszcze, mniej więcej, pieśliśmy się po stromej i spadzistej drożynie, później zaś kroczyliśmy po urwisku jakby pochyłym ku dołowi, gdzie często brnąć musieliśmy łachami śniegu do kolan mi dochodzącego; jeszcze dalej nieco śnieg już ciągle leżał głęboki. Widnokrąg zaczynał się już nakoniec rozjaśniać; mgławki blask oświecił ziemię po którejśmi ciężko stąpali i sprowadził z sobą powietrze przenikliwiej jeszcze mroźne, jak to któreśmy dotąd oddychali. Przy tém mdlém i wątpliwém świetle ujrzeliśmy przed sobą coś podobnego do domu; przyspieszywszy kroku zdążyliśmy chciwie ku niemu, mogli przyjaćiel klusując na mule, a ja wyciągając nogi co siły. Przewodnik otworzył nam drzwi tego domu i weszliśmy do *casa Inglese*, postawionę tu umyslnie ku wygodzie i uldze podróżnych, którzy potrafiliby się dostać do tych szczytów.

Ledwie próg przestąpił, zawolałem: ognia! ognia! ale było instynktowy wykrzyk życzenia, które łatwiej było powiać jak wykonać; ostatnie bowiem ślady lasu i drzew zostawiliśmy już pół mili przeszło za sobą, a tu w tej okolicy, całej pokrytej lawą, popiołem i śniegiem, nie znajdziesz ani żdzbla krzewiny lub ziela. Przewodnik zapalił lampę, którą znalazł gdzieś w kącie, zamknął szczel-

nie drzwi, i zalecił nam żebyśmy się ile możności ruchem i płaszczami ogrzeli, a jadłem siły pokrzepili; sam zaś wyszedł do mułów, żeby im w stajni dać także wygodę.

Ponieważ nie było nic lepszego do roboty, a trzeba się było z tój oświełości jakoś wyrwać, zaczęliśmy więc potężnymi krokami wokoło izby maszerować. Termometr stał na 6 stopniach niżżej zera, co stanowiło różnicę 41 stopni od temperatury, którąśmy pożegnali w Katanii.

Przewodnik wrócił i przyniósł pek słomy i suchych gałęzi; bytło dar wspaniały, który zawdzięczyć powinniśmy zapewne dobroczynności jakiegos Anglika, naszego poprzednika. W rzeczy samej, przezorni ci wyspiarze we względzie wszystkiego, co dotyczy *confortu* i wygody, zwykle zajmują jednego muła więcej, i przejeżdżając przez las ładują nań drzewo i suche gałęzie. Chociaż nie jestem ani trochę anglomanem, muszę jednakże ze szczerego sumienia, każdemu kto na tę podróż się wybiera, poradzić, aby nie gardził ich przykładem. Najęcie jednego muła kosztuje piastra; a ja wiem, że z pocałowaniem ręki byłbym zapłacił 10 ludjorów, gdybym w tój chwili był miał jeszcze wiązkę drzewa.

Na widok błyszczącego i trzeszczącego ognia, choć wiedzieliśmy jak krótko tą rozkoszą cieszyć się będziemy, serca nam przybyło. Takaśmy się do niego cisnęli, jakbyśmy go zdeptać, pochłonąć chcieli; nogi powtykaliśmy prawie w sam środek płomieni, a odtajawszy i orzeźwiawszy nieco, wzięliśmy się do śniadania.

Wszystko nam pomarzło: chleb, kurczęta pieczone, wino i owoce, jeden tylko pocziwy arak nie dał się ścisnąć zimnu. Dwakuraki, choć zmarzłe, w mgnieniu oka nie zjedliśmy, a połknęliśmy, jakby jednym tykiem; trzeciego ofiarowaliśmy przewodnikowi, jednego jeszcze, który nam został, chowając na wypadek przyszłego głodu. Owoców ani podobna było ugryźć, jak lód skamieniały; na deser więc tyknęliśmy z flaszki rumu i pokrzepiliśmy się jako tako.

Godzina była już wpół do czwartej; przewodnik przypominał nam że mamy jeszcze trzy kwadransy drogi i że jeśli chcemy się dostać na wierzchołek dość wcześnie, żeby przyjrzeć się wschodowi słońca, to nie pozostaje ani chwili do stracenia.

Opuściliśmy więc *casa Inglese*. Stopniowo przedmioty coraz wyraźniej się już oczom naszym przedstawiały: wokoło nas ciągnęła się szeroka dolina śniegiem pokryta, a zpośrodką wysterczał pod kątem prostym prawie szczyt Etny. Nad nami wszystko pograżone było w głęboką ciemność; od wschodu lekka czerwoność barwiła niebo, na którym góry kalabryjskie ostro się rysowały.

Sto kroków za *casa Inglese* ujrzelśmy pierwsze fale lawy, czarnym kolorem odbijającej rażąco od śniegu i tworzącej śród niego ciemne wysepki. Musieliśmy się z trudem wdzierać na te twarde jak kamień wysepki, wyglądające jakby skrytaliżowane balwany lekko wzburzonego morza, i wskazując na nie, na tak ostre często natrafialiśmy odłamy, że skórę u butów nam przedzierali i nogi kaleczyły. Przez kwadrans przeszło przebiegaliśmy ciężką tę drogę; było to jedna z najmózolniejszych chwil naszej podróży.

Dotarliśmy nakoniec do podnóża szczytu, który chociaż 1300 stóp jeszcze wznosi się nad górą płaszczyznę, na którejśmy stali, zupełnie wolny jest od śniegu, czyto dlatego że strome, pionowe prawie jego położenie nie pozwala się śniegiem na nim utrzymać, czy też dla tego, że wewnętrzny ogień, nieustannie w łonie się jego żarzący, roztopia je i cały strop osusza. Ruchomy szczyt ten za każdym wybuchem wulkanu zmienia formę, zapada się w dawny krater i z nowym kraterem w świeżej postaci znów odrasta.

Zaczęliśmy teraz wdrapywać się z trudem na tę nową górę, złożoną z ziemi sypkiej, pomieszanej i ciągle nam spod nóg się osuwającej. W miarę, jakęśmy się wyżej wznosili, powietrze coraz bardziej rzadniało, i coraz niém trudniej było oddychać. Jakkolwiek znajdowaliśmy się już na 1000 stóp powyżej linii śniegów i jeszcze 800 stóp mieliśmy przed sobą ku górze, musiałem jednakże płaszczyć z ramion zrzucić, bo ciężał mi tak nieznosnie, jak gdyby był z żelaza, i czulem, że niepodobna mi będzie dalej z nim dać sobie radę. Zrzuciłem go na ziemię, przewodnikowi zostawując do woli, czy go weźmie pod swą opiekę, czy nie; niezadługo ten sam los spotkał kij, na którym się podpierałem, później kapeluszy, który na głowie miałem; obydwą puściłem na ziemię na wolę bożą i stoczyły się aż do samego brzegu płaszczyzny, na której napotkaliliśmy pierwsze fale lawy, tak

spadziasto wznosił się szczyt na któryśmy się pięli. I mój towarzysz, widziałem, że tak samo, jak ja, pozbyszał się z siebie wszystkiego co mu zbytecznym się wydawało i co sto kroków stawał, i odpoczywał, żeby tchu nieco złapać. Trzecią część drogi jużśmy przebyli, i na te 400 stóp potrzebowaliśmy przeszło pół godziny. Na wschodzie coraz więcej się rozjaśniało; obawa, żeby na czas jeszcze stanąć na wierzchołku i nie stracić cudnego widoku wschodu słońca, dodawała nam sił nowych i drapałiśmy się z całą usilnością, nie tracąc ani chwili na przyjrzenie się czarującej panoramie, która co krok okazała, wspaniałej przed oczyma nam się rozwijała; ale co krok trudności stawały się przykrzejsze, pochyłość coraz więcej do pionu się zbliżała, ziemia coraz bardziej się osuwała, a powietrze z każdym krokiem rzędniało.

Po chwili usłyszeliśmy głuchy huk podziemny, który całą uwagę naszą na siebie zwrócił; przewodnik idący przodem, zaprowadził nas do rozwartej szczeliny, z której wydobywały się grube kłęby siarczanego dymu, gnane z hukiem ku górze pędem podziemnego wiatru. Zbliżywszy się do brzegu tej ziejącej jamy, ujrzelśmy w nieznierzonej gdzieś głębi dno jęj kipiące i płynne, a za każdym uderzeniem nogi, ziemia na którejśmy stali huczała, jak trąba. Szczęściem dla nas, powietrze było zupełnie spokojne, w przeciwnym bowiem razie, gdyby wiatr na nas nagnał te siarczane dymy, padlibyśmy niezawodnie uduszeni.

Zatrzymawszy się kilka minut na kraju tej czeluści, ruszyliśmy znów ku górze; w głowie zaczęło mi tak dzwonić i szumić, jak gdyby krew uszami chciała się wydobyć, a powietrze tak się stawało trudnym do oddychania, że kilka razy dostałem dychawicy tak strasznej, jak gdybym duszę miał wyzioną. Chciałem się trochę położyć, żeby nieco sił nabrać, ale z ziemi dobywała się tak dusząca woń siarki, że musiałem odstąpić od tego zamiaru. Instynktem wiedziony wpadłem na myśl zdjęcia chustki z szyi i przewiązania jęj przez usta; tym sposobem wdechając powietrze przez jedwabną tkaninę, użylem sobie wiele.

Teraz doszliśmy już do trzech czwartych wysokości szczytu i widzieliśmy wierzchołek jego o parę set tylko stóp nad naszymi głowami sterczący. Wyteżyliśmy ostatek sił naszych i na czworakach czołgaliśmy się coraz wyżej, oczy ciągle do góry

mając zwrócone, z obawy aby nam się w głowach nie zawróciło na widok pionowo pod nogami wstępującej przepaści. Towarzysz mój, który mię nieco wyprzedził, ozwał się nagle tryumfalnym wykrzykiem, że już dobił do mety. Istotnie stał też naprzeciwko czeluści krateru; w kilka sekund stanąłem i ja przy nim. Literalnie wisieliśmy między dwiema przepaściami.

Stojąc na górze, i nie potrzebując się więcej wysilać na ruch wyteżony, zaczęliśmy swobodnie oddychać; wreszcie widok przedstawiający się oczom naszym był tak wspaniały, tak zachwycający, że musieliśmy zapomnieć o sobie i o osłabieniu niesłychanem, pod jakim się cała istota nasza uginała.

Staliśmy tuż przy kraterze, tojest przy ogromnej studni, której obwód obejmuje 8 mil francuzkich, a głębokość 900 stóp wynosi; ściany tej strasznej jamy pokrywała od góry do dołu siarka i alun; w głębi, o ile dojrzeć było można z odległości w jakiej znajdowaliśmy się, snuła się jakaś płynna masa, a z otechlani wydobywał się przejrzysty, lekki dymek, jakby wąż olbrzymi pionowo na ognie stawający. Brzegi krateru nieregularnie poszarpane to się wznosiły w jednym miejscu, to zapadały w drugim. My staliśmy na jednym z najwyższych punktów.

Przewodnik nasz pozwolił nam przez chwilę nasycić się tym majestatycznym widokiem, przytrzymując nas od czasu do czasu za polę surdutów, gdyż grunt tak tu jest sypki, i kamienie tak nagle się osuwają, że bardzo łatwo popaść można w nie arey miłą przgrodę Empedoklesa; później zmusił nas, żebyśmy odstąpili na dwadzieścia kroków od krateru dla uniknięcia wszelkiego wypadku i dla przyjrzenia się wokoło rozlegającemu się widokowi.

Na wschodzie niebo z barwy opalowej, która go powlekła kiedyśmy Casa Inglese opuszczali, przeszło z razu w bladą-różową, uroczą dla oka, a teraz oblały go jaskrawe, purpurowe płomienie słońca, wychylającego swą tarczę zponad gór kalabrijskich. Po bokach tych gór, na ciemnym jedwabnym błękiecie, wyzierały, jak małe białe punkceiki miasta i wsie okoliczne. Ciąsnina Mesyńska wydawała się jak zwyczajna rzeka, a na prawo i na lewo morze nieprzejrzanem zwierciadłem w około zalegało. Na lewo równy polysk tego zwierciadła



przerzywały jakieś czarne plamy: było to wyspy archipelagu Lipariote. Od chwili do chwili jedna z tych wysp błyskała jasnym płomieniem jakby wieża ognista: to była Stromboli. Na zachodzie wszystko leżało jeszcze w głębokiej pograżone ciemności. Etna zarzucała cieniem swym całą Sycylię.

W ciągu trzech kwadransów czarujący przepych tego widoku zwiększył się jeszcze. Z najwyższych wierzchołków Szwajcaryi przypatrywałem się niejednokrotnie wschodowi słońca; ale nie może być w porównanie z widokiem, jaki się ze szczytu Etny przedstawiał! Kalabria od Pizzo aż do przyłądka delle Armi, ciasnina od Sycylii aż do Reggio, tyrenejskie i jońskie morze; na lewo wyspy eolskie, które zdaje ci się, że ręką pochwyć; na prawo Malta jak lekkie obłoczki pływające się na widnokręgu; naokoło ciebie cała Sycylia ze swemi brzegami poszarpanemi niesforne przylądkami, portami, przystaniami, ze swemi piętnastu miastami, trzystu wioskami, ze swemi górami, co jak drobne pagórki się wydają, ze swemi rzekami, co jak srebrne nici przetykają tło całe, a przy tobie straszny, huczący głucho krater, pełen płomieni i dymu; nad głową niebo, pod nogami piekło. Ach! przy takim widoku, jakże nie zapomnieć o znużeniu, niebezpieczeństwie i głodzie! Oczami ciała i oczami duszy cały zatonałem w podziwieniu! Nigdy Boga nie widziałem z tak bliska i w takiej wielkości jak wtedy!

Przez godzinę staliśmy jak w osłupieniu, przeglądając się w całym tym świetle Homera, Wiryliosa, Owidysza i Teokryta, i nie przyszło nam nawet na myśl pochwycić za olówek, tak silnie czuliśmy, że obraz ten głęboko się wyrzeźbił w sercach naszych, i że bez pomocy pisma, ani rysunku na wieki tam pozostanie. Rzuciwszy ostatnie wokół spojrzenie na ten widnokrąg trzystamiłowy, który raz w życiu tylko zdarza się człowiekowi oglądać, zaczęliśmy spuszczać się ku dołowi.

Ze względu na niebezpieczeństwo, schodzenie daleko więcej przedstawia przykrości, jak wchodzenie. W 10 minut byliśmy na wyspie lawy, a w kwadrans później w *Casa Inglesa*.

Opodczaswszy tam kwadrans i spalaszczywszy w mgnieniu oka kuraka, który nam pozostał i resztkę chleba, pożegnaliśmy na zawsze dom angielski i zesłaliśmy na górną płaszczyznę, którą przez sztych zapewne, nazwano: „*Laena pszeniczna*.” Calutenką tę równinę pokrywał śnieg, choć pora roku była bardzo gorąca. Znać było ślady drożyny, przez dawniejszych podróżników utworowanej. Zesłaliśmy ztamtąd na lewo ku dolinie, żeby widzieć dolinę *del Bue*. Stąpając po tym dziewiczym śniegu, za każdym krokiem zapadaliśmy na pół stopy głęboko.

Dolina *del Bue* dalaby przecudną dekorację piekła na scenie opery jakiej. Nigdy w życiu nie widziałem nic posępniejszego, bardziej ponurego, jak ten kąt zapadły, poprzerywany kaskadami czarnych lawy, skamieniałami w chwili spadku. Wokół ani śladu jednego źdźbła drzewa, trawy, mchu, lub jakiegobądź zryjaka. Wszystko pogrążone w głębokiej ciszy, w bezwładności, w śmierci!

Z doliny *del Bue* widać o 3 lub 4,000 stóp poniżej dwa wygasłe wulkany z zięjącemi czeluściami. Nie wiedząc że to były kiedyś wulkany, można by ztąd wziąć za krecie nasypki; a każdy z nich jednak ma przeszło 1500 stóp wysokości.

Po długim dopiero nastawianiu, wymógł na nas przewodnik, żeśmy się od tego widoku oderwali. Katania leżała nam tuż pod nogami, zdawało nam się, że dość rękę wyciągnąć, żeby jej dotknąć. Jakżeśmy mieli wierzyć przewodnikowi, który nas ciągle upominał, że cztery mile jeszcze mamy do niej drogi?

Wsiadliśmy znów na nasze muły i podążyliśmy ile można było najspieszniej ku dołowi. We cztery godziny później leżeliśmy na wygodnych łóżkach oberży.

NASTURCYA.

Nasturcyja, z powodu kształtu kwiatu. u Francuzów Kapucynkiem, u Niemców, ze względu na

KSIĘGA ŚWIATA.

użytek, kapucynską *rzeżuszką* zwana, w systematycznym łacińskim języku nosi imię rodzajowe *Tro-*

paschum, pochodzące aż od greckiego wyrazu *tropaeion*, znaczącego toż samo co trofeja; tę nazwę jej nadano z zapatrzienia się na jej tarczowate liście i helmowate kwiaty. Jestto roślina przybyła do nas z południowej Ameryki, pęca się, gdy ma na co, lub ściągca, gdy sama rośnie. Ogólny jej pozór przypomina Malphigie: w ogrodach powszechnie bywa hodowana, jużto jako zdobna, już między kuchennymi, jako do ozdób i przyjemnych zapraw stołowych użyteczna jarzyna. W układzie Linneusza liczy się do rzędu pierwszego, klasy ósmej. Dawniej należała do rodziny geranii, teraz stanowi oddzielną naturalną od jej imienia nazwaną familią.

Nastureya ma kwiaty nieregularne, kielich nadęty, którego listków pięć kolorowych, tyleż nieregularnych, nierównych w koronie, ośm przecioków i trzy mieszki czyli nasiennikowe komórki przyrosłe do środkowej osi, a w każdej nosi jedno ziarno. Rodzaj ten dzieli się dwójako: na nastureye roczne i główkowe czyli trwale, ostatnie niektórzy uważają za oddzielny rodzaj nazywany *Rizea*.

Nastureya roczne, a mianowicie gatunek *nastureya mniejsza*, Tr. minus, najbardziej upowszechniony, najdawniej, bo od 1580 r. są znane; sprowadził je do Europy *Dodonäus*; niedługo potem, w r. 1684 przybył gatunek *Nastureya większa*, Tr. majus. Gatunki drugiego oddziału, *główkowe*, winniśmy staraniom nowoczesnych podróżnych, którzy je z Chili i Peru do Europy sprowadzili. W obydwóch oddziałach liczą teraz ogółem jedni dziesięć, drudzy dwanaście gatunków, które, szczególnież roczne, w wiele się już odmian rozrodziły. Nie masz wielkiego, pańskiego ogrodu i kilkostopowego przedłoknem chaty wiesznaczej ogródka, w którychby nie pielęgnowano dziś nastureyi, która dopóki rośnie w gruncie jest zieleni, jak inne znikomem za nadejściem zimy; skoro zaś dla ochrony od mrozów do wazonu zostanie przesadzona i w zabudowaniu przechowana, wtedy korzonki jej, podobnie jak w rodzinnym kraju, przez wiele lat trwają. — Łacińskie nazwiska dziesięciu lepij dotąd poznanych i opisanych gatunków, z autorami którzy je sprowadzili lub opisali, są: *Tropaeolum majus*, Lin.; minus, Lin.; peregrinum, Lin.; crenatiflorum, Hook.; deckerianum, Moritz et Karst.; dipetalum, R. et Pav.; lobbianum, Hook.; moritzianum, Klsh.; umbellatum, Hook. — i violaeiflorum.

Trzy pierwsze z wymienionych gatunków najpowszechniej po całej Europie są hodowane.

Nastureya większa, Tr. majus, we Francyi i Anglii jużto pod imieniem *Kapucynki* już *Rzeziuskiej peruwiańskiej*, indyjskiej znana, sprowadzona została z Peru r. 1684, przez *Beverning'a* i dziś już prawie krajową stała się rośliną. Wypuszcza wiele soczystych, gąsziastych, gładkich łodyg, które się wiją około innych roślin lub podpór, i wyrastają do 6 lub 8 stóp wysoko. Liście nastureyi trzy cale szerokie, z wielu żeberkami, okrągławe, tarczowate, na obwodzie w tęgę kłapkę podzielone, licznie naprzemian na długich, cienkich, gładkich ogonkach, są środkiem osadzone. Kwiaty, niemal przez cale lato i jesień rozwijające się, znacznej wielkości i piękne, są koloru mniej więcej pomarańczowo-żółtego, czerwono cieniowane, na pięć płatków podzielone, a ostrogowaty w wyższej części kielich jest przeszło cal długi; dwa wierzchnie płatki korony są odwrótnie jajowate, od siebie oddalone, zaś trzy dolne dłuższe, na ogonkach, przy nasadzie frezlowate, a pręgiłki znacznie od nich krótsze. Mieszki są brudno-żółte, a w nich po trzy duże, okrągławe, suchawe, rowkowane ziarna nasienne. Już córka sławnego *Linneusza* spostrzegając że kwiaty tej nastureyi, kiedykolwiek, mianowicie pod wieczór, przed zmierzchem, wydają szybko znikające światelko, jakby błyskały, co już w rocznikach szwedzkich opisano. Co do woni, smaku i ich mocy nastureya jest zupełnie podobna do rzeczuchy ogrodowej; dlatego młodych jej liści używają jak sałaty, nierozwinione pączki kwiatowe i niedojrzałe nasiona octem zaprawiają, i jak kapary z mięsem jedzą, a zaś listki kwiatowe, jużto dla ozdoby, jużto jako jadło, między zieloną sałatę mieszają, lub ją niemi okładają. W Peru i w Chili używają świeżych liści i kwiatu jako wyborowego lekarstwa na złośliwe rany, na skorbut lub dla ochrony od niego, i na skórny wyrzut. Nastureya potrzebuje ziemi pulchnej, żyznej, troskliwego polewania w czasie suszy, a rozmnażać ją można, jużto z nasion już z uciętych i posadzonych gałązek.

Nastureya mniejsza, Tr. minus, jest do poprzedzającej bardzo podobna, tylko we wszystkich częściach mniejsza, odznacza się szczególnież wykręcaniem liściami, tudzież długimi, szczecinowatymi końcami bladeo-żółtych płatków korony. Tr. peregrinum, jest tylko roczna, i różni się od dwóch

poprzedzających łapkowatemi liśćmi jak również płatkami korony, których brzeg jest frenalowaty. Resztę siedm wyżej wymienionych gatunków niegłówkowych nasturcyj, znaleźć można opisane w szacowném dziele: „Deutsches Magazin für Garten-und Blumenkunde, von W. Neubert” w którego poszycie za pierwszy kwartał 1850 r. opisany jest także pyszny gatunek *Tr. deckerianum*.

Gatunki *nasturcyj główkowych*, zwanéj także *Rixea*, prawdziwie zdobnej rośliny, są teraz w modzie, ale jeszcze chów ich niedość jest upowszechniony, a przeto cena ich jeszcze bywa wysoka. Jak w oddziale niegłówkowych, tak i w tym liczą już dziesięć gatunków: *tropaeolum azureum*, *Miero* (*Rixea azurea*, *Morr.*); *brachyceras*, *Hook*; *edule* *ja-rattii*, *Past.*; *pentaphyllum*, *L.*; *polyphyllum*, *Cav.*; *popelarii*, *Dpz.*; *speciosum*, *Poepp. et Endl.*; *tricolorum*, *Sweet.*; i *tuberosum*, *R. i Pav.*; z pomiędzy których *speciosum* i *tuberosum* są bez zaprzeczenia najpiękniejsze. Korzonki ich główkowe są jadalne, również liście i nasienie wszystkich gatunków mogą być do przypraw i na pokarm używane; dotąd jednak w pierwotnej tylko ojezynie, to jest w Chili, jedzą główkowe korzonki gatunku *Tr. tuberosum*, chociaż według wszelkiego prawdopodobieństwa, również z gatunków *Tr. azureum*, *edule* i *tricolorum* muszą być także smaczne.

Wyobrażona tu na tablicach *Nastureja główkowa*, *Tr. tuberosum*, jest jedną z najpiękniejszych roślin pnących się do przyozdobienia oranżeryj, cieplarni i pokojów, czyto puszczając ją na murywane ściany, czy na żelazne kratki, czy też

hodując w zawieszonych wazonach. Jój uprawa jest nader prosta i korzystnie się wynagradza, i każdy kto ma umiarkowaną cieplarnię lub inny podobny budynek, może ją bardzo łatwo i z najprzyjemniejszym skutkiem wyhodować do zakwitnienia i największej doskonałości. Przy końcu sierpnia lub na początku września, sadzą się korzonki w wazonikach 5 do 6 cali szerokich; w tym celu pokrywa się dno wazonu tłuczonymi skorupkami na cal grubo, potem napelnia się go mieszaniną w połowie z ziemi ogrodowej, w drugiej wzosów, i sadzą się w niej główki nasturcyowe ½ do 1 cala głęboko, ociska się koło nich ziemia i stawia się wazonik w półocienionem miejscu, gdzie pozostanie aż do pierwszych dni października; wtedy stawia się w oranżeryi lub umiarkowanej cieplarni przy oknie. Temperatury być może 2—6 stopni, gdyż ta roślina nie jest bardzo czuła. Skoro główki puszczą, trzeba zaraz zwrócić młode pędy na obraną kratę, a tak będą przez całą zimę rosły, i od końca lutego aż do maja odkryte ciągle będą najpyszniejszymi kwiatami. Od połowy lutego lekkie ocienianie rośliny od słońca, gdyby mocno przyswiecało, kwitnienie jój znacznie przedłuży. Skoro roślina żółknąć zaczyna, zaprzestać należy polewania, i pozostawić ziemię zupełnie suchą, aż znowu nadejdzie czas sadzenia. — Zwracamy tu uwagę miłośników kwiatów na inny nowy gatunek główkowej nasturcyi *Tr. speciosum*, wyobrażoną w przytoczonym wyżej dziele *Neuberta*, gdzie także dokładnie jest opisany.

TYDZIEŃ SPĘDZONY NA WYSPACH HEBRYDZKICH.

ZE WSPOMNIENI PODRÓŻY DRA T. TRIPPLINA.

Nie tam cię wiodę czytelniku, gdzie ci wskaże drogę drukowany oddawna oprowadziciel podróźniczy, gdzie świetne i wygodne hotele, gdzie wydeptane ścieżki nogą turysty.

Nie! nie tam. Wiodę cię do krainy która w modzie nie była nigdy, i nigdy w modzie nie będzie.

Tam wyją bezsenne uragany, tam huczy rozkielznane morze i bije wściekłemi wałami o skałisty przylądek.

Niebo tam posępne, ponure, w tajnikach swych kryje okiem meteorologa nieprzewidziane zmiany; tam nikt ci nie oznajmi, czy burza nastąpi, lub też czy promyk słońca zabłyśnie.

Ale nie licz na łaskę słońca, ono darów swych często nie rozsyła na te krainy.

Nós twe słońce z sobą, w twém sercu, gdy zechcesz zwiedzić te tajemnicze, mgłą osłonięte krainy. Piękność ich kryje się od stu wieków za tym dżdżystym pomrokiem, za którym lubi się chować piękność, poezja i bóstwo.

Do Hebryd cię wzywam czytelniku!— do tych wysp drżących pod nawałnicą oceanu, do Hebryd, gdzie jęczą orkany, skrzeczą orły, i gdzie w grubych, czarnych obłokach nurzają się ostrokrawędzie, brylantowe skały.

INVERARY.

Jesteśmy w Inverary małym miasteczku Szkocy zachodniej, położonem na brzegu długiej zatoki morskiej. Słynie ta zatoka od niepamiętnych czasów z polowu sledzi. Napływa ich częstokroć tyle, że mieszkańcy tutejsi chcąc tego dać obraz dobitny, mówią, iż w zatoce jest dwie części sledzi, a jedna tylko wody.

Do 700 statków wypływa na polów sledzi, i rybacy bawią czasem cały tydzień na zatoce. Zdobyc polowu mogłaby łatwo wyżywić ludność trzy razy większą, ale każdy sledź należy do księcia Argylu: jemu dwie trzecie polowu oddawać każdy rybak winien; czuwa tu nad prawami panapoliceya, złożona z kilkudziesięciu gwardzystów sledziowych.

Zamek książąt Argylu, jeden z najkolosalniejszych w całej Wielkiej Brytanii, wznosi się na pagórku panującym nad okolicą, i zajmuje murami swemi, wieżami i kopułą niezmierny obszar ziemi. Niegdyś otaczała ten zamek głęboka fossa, dziś niema jej śladu. Walter-Scott zaręcza, że niegdyś stało przed bramą zamku, na znak dostojności i potęgi książąt Argylu, pięć szubienic, a na nich najczęściej pięciu wisiało ludzi. Dzisiejsi książęta nie dbają już o te ozdoby feodalne, i zadowalniają się sledziem na tarczy ich herbu wiszącym. Godłem bowiem księstwa i miasta jest sieć z wieszonym sledziem i z naiwnym napisem: „Semper tibi pendent talex!” to jest: „niechże ci zawsze sledź wisi.”

Przystając na wasze wисяce sledzie, bylebyście już nie wieszali ludzi, o książęta Argylu!

Piękna murawa, poprzeczana ścieżkami, otacza pałac; wśród niej rzeka Array toczy bystre swe nurty.

Po moście kamiennym wchodzi się do pałacu. W nim panuje smak wykształcony i przepych; w nim galerie obrazów, biblioteki, meble i kobierce, freski i obicia, zbroje i sprzęty, słowem wszystko co do szczęścia magnatów należy, znajduje się bez liku.

Szkoda, że sługi magnatów prawie zawsze niezmienne są chciwi na pieniądze. O tém przekonałem się i tutaj ze szkoda mej kieszeni.

„Half a sovereign is the least, you dare offer me!” (Pół suwerena jest najmniejszą kwotą, jaką mi pan ośmielić się możesz ofiarować za moje usługi), powiedział przewodnik pałacowy, podając mi jak najuprzejmiej książkę złoconą dla wpisania mej godności. Wpisałem w księgę:

„Antiquitatum Caledoniae custodes! antiquum Caledoniae hospitalitatem servare ignovisti. (1)

Ale dlatego zapłaciłem pół suwerena, to jest zł. pol. 21 za zwiedzenie książęcego pałacu.

Kazać sobie płacić za daną w domu gościnność! oh Boże! jakże Cię chwale za to, żeś mnie nie postawił w konieczności wyrzeczenia się szlachetnych tradycy mojego narodu.

Białe mury zamku malowały się w jasnych a kolosalnych zarysach na ciemno-zielonem tle parku, który się za niemi rozciągał. Park ten uchodzi za najobszerniejszy w całej Wielkiej Brytanii, ma bowiem 30 mil angielskich obwodów.

Nad ciemnym lasem wznosi się w niebo bystro, jak owa wieża strasburska, lecz prawie dwa razy wyżej, na 760 stóp, stroma, krągłowa skała, a na niej strażnica, która w wiekach zaburzeń domowych, była bardzo potrzebną i użyteczną. Z niej, o kilkanaście mil angielskich, można było dostrzedz nieprzyjaciela zbliżającego się morzem lub lądem. Skała ta, stercząca jak pik Teneriffy, zwęza się w pewnej wysokości, potem się od razu rozszerza, wyżej znów się zwęza, i wierzchołkiem swym rozdziera czarne, natarczywe szkołkie obłoki.

Łatwo sobie wyobrazić jakie trudności przedstawia wdrapanie się na szczyt tego kaprysu przyrody. Nikt tam nie wejdzie, kto nie ma silnych piersi, tęgiej głowy, dzielnych rąk i nóg, a prztem porządnego zasobu lin, haków i drabin.

W środku samego miasta wznosi się pomnik z ciosowego kamienia. Z napisu wyczytałem, że

(1) Starożytności szkołkie stróż! staręj szkołkiej gościnności zachować nie umieliście.

wzniesiono go na uwiecznienie pamięci siedemnastu Campbellów, którzy w obronie wyznania prezbiteriańskiego gorliwość swą życiem przypłacili. Między nimi był sam książę Argyll, Campbell rodem. Zdarzenie to odnosi się do roku 1685.

Inverary było jednym z wielkich ognisk kalwinizmu, siedliskiem zaciętych purytanów, zjadłych covenantów, surowych propagatorów protestantyzmu. Lecz zdrowsze zdania wytepiły z czasem ducha nietolerancji; namiętności ukolysały się powoli pod błogim wpływem pokoju i oświaty, i już w roku 1754 wyryto na pomniku Campbellom postawionym te pełne mądrości wyrazy:

„Prospera lux oritur! linguis amicisque favete!” (1)

Tak zaiste dobrodziejstwa oświaty spłynęły narzecze na Szkocję; uspokoiły się umysły i wszystkie usta chwala Stwórcę wedle własnej woli. Już tu nie władza umysłami trwoga, sercami już nie kieruje przymus, i dlatego też wielu dziś szuka pociechy w tym wyzwaniu, które tu niegdyś ogniem i mieczem tępił. Już się w Inverary zawiązał zarodek przyszłego kościoła katolickiego. Podczas mego pobytu myślano już o wybudowaniu świątyni dawniej, przesładowanej wierze, i może teraz, w tym gniaździe purytanów, wznosi się obok pomnika Campbellów kościół katolicki, i nie raz i on oczu dzisiejszych ludzi, umiających szanować szczerze przekonania w bliźnim.

Dni kilka odpocząłem w tym małym miasteczku zaledwie 2,000 ludności liczącym, a jednak tak bogatym w pomniki starożytności, w cuda przyrody i w wielkie nauki.

Lecz niebo zaczęło naglić. Już od czasu do czasu ciepłe zachodnie powiewy ustępowały zimnym wiatrom wschodnim, a ja miałem jeszcze zwiedzić wiele kraju, i przedewszystkiem złożyć hołdy Ossyanowi w grocie jego ojca Fingala, na wysepce Staffa, jedną z Hebryd Archipelagu.

Zegnam się tedy z dawnym kolegą szkolnym, którego tutaj znalazłem, od lat kilku jako nauczyciela języków osiadłego. Zegnam się ze łzą w oku, bo przewidywałem że śmierć wkrótce przerwie jego życie tęsknotą nekane. Nie myliłem się niestety!

(1) Błogie światło się rodzi! Językom i przyjaciółom sprzyjać!

DROGA DO HEBRYD JEZIORAMI I ZATOKAMI.

Puszczam się tedy z wiernym towarzyszem po drożę przez góry, przegradzające zatokę Finu od jeziora Awe.

Ale kto jest ten wierny towarzysz? warto ci go przedstawić czytelniku; on tak poezjiwy, cierpliwy, pojętny. Nazywał się Merry. Siwy, kudłaty, na krótkich, mocnych nogach osadzony, miał wielkie, roztropne oczy i głowę także wielką, niearystokratyczną, zresztą mały był bardzo i kształtnie zbudowany. To kuc z gór szkockich, któremu kupił przed kilku tygodniami za 15 funtów. Dźwigał on mój toczek, płaszcz i puszkę do przechowywania roślin, czasami nosił i mnie samego, znużonego długim pochodem po skalistych drogach; przytem służył mi za powiernika mych żałów, za przedmiot mej troskliwości i rzewności.

Bo mi się też i znudziło być zawsze samotnym na tym obszernym świecie, na którym każdy miał przyjaciela, tylko my nie mieli biędni pielgrzymi.

Tak tedy na wyspie puszczam się konno. Dziwna to myśl każdy powie, ale mój kuc nie ważył więcej, jak niejednen biped dobrej tuszy, przytem w tym kraju, poprzeczanym odnogami morskimi i jeziorami, kanałami i strumieniami, przewodnicy przywykli przepływać przez słodką i słoną wodę stworzenia tak drobne i pojętne jak kuce góralskie.

Puszczam się więc z towarzyszem Merry, przez góry przegradzające zatokę Finu od jeziora Awe, przebywam to jezioro na łodzi, i dążę znów górami na północ, ku zatoce morskiej Awe. W tej podróży jedna z najwyższych gór Szkocji pozostaje na prawo, nazywa się Kruachan i jest do 4500 stóp wysoka. Czarne chmury wisiały na jej skalistych obnażonych bokach, a szczyt śniegiem pokryty błyskał w czystym eterze nieba.

Ossyan zaręcza, że wewnątrz tej góry zamieszkiwały dawnymi czasy gnomy. A lud w pamięci przechowuje wiernie następujące podanie:

Stara Bera, ostatnim była długiego szeregu przodków potomkiem i pozostawała tu samotną panią. Obszerną i urodzajną posiadała krainę. Do niej należały bogate doliny, i liczne stada i trzody paszące się na przyległych wzgórzach. Sama strzegła pilnie źródła jednego, które, jak wyrok przeznaczenia głosił, miało wpłynąć na dziedzinę jej

ojców. Nim promienie słońca zgasły w morzu, już ona czujnie przywalała źródło kamieniem, na którym znajdowały się wyrte jakieś tajemnicze, czarodziejskie wyrazy. Kiedyś wieczorem znużona skwarem słońca i połowaniem, zasnęła przed zwyczajną porą, i nie nakryła źródła. Wody niezakłute wybuchły gwałtownie, i zalały całą przestrzeń dziś jezioro Awe stanowiącą. Na trzeci dzień dopiero przebudziła się nieszczęśliwa Bera ze snu, pobięła natychmiast aby zaważyć kamieniem źródło, lecz kamienia już nie było, zniknął. Spojrzała na zalaną dziedzinę swego rodu, i z rozpaczy tak mocno krzyknęła, że się góra wstrząsła w swych osadach, i częścią w zatokę zwała, tworząc wysepkę, której tu przedtém nie było.

Ani słowa. Góra, jezioro, odnoga morska, wysepka, wszystko tu jest. Powierzchnia wysepki nawet tak jest podobną do powierzchni szczytu góry, jak jeden trójkąt do drugiego; przystałyby do siebie! Wszystko tedy w porządku; bo podania nigdy nie kłamia.

Płyniemy jeziorem Awe pomiędzy mnóstwem pięknych lub w dziejach pamiętnych miejsc; na lewo zostawiliśmy skalisty półwysep Dunstanafage, na którym wznoszą się jedne z najstarszych zwałisk Europy, ruiny zamku królów Piktów.—Dunstanafage było najdawniejszą stolicą Szkocyi. Ztąd wyszedł ten kamień, którego oglądaliśmy w jednej z kaplic Westminsteru, kamień, do którego przywiązane są rządy Wielkiej Brytanii. Do dziś dnia na nim koronują monarchów Anglii.

W Oban, małym miasteczku leżącym nad brzegiem morza, najalem na dni kilka sporą łódź i pięciu dzielnych wiosłarzy, i pusiłem się, wzięwszy konika mego z sobą, na poprzek zatoki Linlie ku Mull-Sund, tojest ku przesmykowi morskemu oddzielającemu wyspę Mull od przylądka Morvenu. Mogłem być wprawdzie udeś się tam statkiem parowym, dwa razy na tydzień wprost z Oban na Mull do wysepki Staffa żeglującym, ale podróż taka, wygodnemi bifszytkami i porterem przeplatana, drukowanym programem świata oznajmiona, i z prozaicznymi turystami odbyta, nie miała żadnego dla mnie powabu. Wolalem drogi zapłacić, nacierpieć się cokolwiek niewygod i zimna, a być zdaleka od zgiełku świata, i rozporządzać memi krokami jak mi się podoba.

KRÓLESTWO MORWENU.

Zamki, przylądki, skały, półwyspy i wyspy miały przed memi oczyma. Nazwiska ich znane oddawna wzbudzały wśm brzmieniem wspomnienia lat młodości, spędzonych w podziwianiu Muzy i ojczyzny Walter-Skota.

Mijamy zamek Dunellu, mijamy wyspę Lismore, dawną stolicę biskupstwa katolickiego dycezyi archipelagu hebrydzkiego. Tu, jak pomiędzy Seyllą i Charybdą, sterczą groźne skały i zimne wieją wiatry. Ale moi żeglarze nieustraszeni. To przedstawiają wielki łańciski żagiel powiewom wiatru i chwytają go wprost albo ukosem, ale zawsze tak zręcznie, że celu dopną i niebezpieczeństwo ominą; tak znowu zwijają żagiel i potężnie robią wiosłami, aż drży łódź na zbalwanionym morzu powierzchni; pryska piana, a mój biedny Merry trzęsie się ze strachu, leżąc na tyle statku umieszczony pod pokładem, aby przypadkiem łodzi nie przewalił nagłym jakim skokiem.

Lecz czy pędzeni wiatrem, czy też popychani własnych rąk siłą, wiosłarze moi śpiewają ciągle. I cóż śpiewają? O! nie o krowie lub koniku, o wódecie lub o dziewczce, lecz śpiewają chórem, w uroczystej harmonii, i wolnych spadkach, nieśmiertelne Ossyana utwory. Tysiące wierszy wysuwa się z pamięci tych rybaków bez suflera i bez zająknięcia. O Ossyanie! ty się na oziębłość, na nieczułość twego narodu żalić nie możesz; kto ciebie nie zna i nie śpiewa, ten nie jest górnej Kaledonii synem.

Tak jest, góral szkocki, choć u dolina za nieoświeconego uchodzi, zna Ossyana, i powtarza jego cudne pieśni z uniesieniem. Góral więc ma polotu poetycznego od dolina, który o istnieniu nawet Ossyana powątpiewa, i całą poezję Ossyańską uważa za spekulacyę pana Mac'Pherson'a. Góral jest z przyrody poetą i entuzystą, chętnie, dla śpiewu i opowiadań dziejów dawniej Szkocyi, zaniedbuje się w pracy i znosi głód i zimno; dołłcem on długo pogardzał jako ludem niemędnym i nazwał go Sassenachem, tojest Niemcem. Przydomek to wzgardliwy, potępiający u wszystkich poetycznych ludów.

Oświata pomiędzy góralami, *oświata praktyczna*, mniejsza jest jak pomiędzy mieszkańcami pla-

szczęzn, w niektórych nawet stronach i na wyspach Szetlandzkich, Orknejskich, powiedzié można, że oświata na nader niskim stoi stopniu. A jednakże górale nie są nieokrzesanymi i nigdy nie rąż gestami lub przywyknieniami wstręt wzbudzającymi, nigdy się nie upijają jak bydlęta, i nigdy nie padają do nóg jak niewolnicy.

Jest w boskiej, ogromnej naturze, otaczającej ich, coś, co im nie pozwala być nizeziemnymi. Gdzie nam zewnętrzny świat nastęga tyle przedmiotów dla uwagi i tyle pobudek do rozpamiętywania, tam nie można być wiecznie barbarzyńcem.

Wielki to zasób dla ducha i serca, widok gór dźwigających niebo, łoskot piorunów spadających zpod nóg naszych w doliny, huk grzmotu rozbijający się o skaliste ściany i krawędzie, i łomot lawin unoszących w wściekłym swym biegu całe opoki.

Tak, widok pięknego przyrodzenia rozwija nawet władze umysłowe, świadków tak pysznych, tak wstrząsających zjawisk.

Jesteśmy tedy w dawnym kraju Morvenu, i już nas witają w wieczornym pomroku przesuwaające się po sklepieniu nieba wielkie cienie Fingala, Ossyana, Oskara, Moiny i Malwiny.

Lecz tak często wspominały o Ossyanie, którym Szkocja żyje i oddycha, a jeszcze nie powiedzieliśmy kto to był ten Ossyan.

Dawniej, kiedy jeszcze czystą, czyn do ideału pojęć ludzkich wznoszącą poezję cenić umiano; dawniej wszyscy znali Ossyana, wszyscy się do niego udawali, jako do najpiękniejszej krynicy wieszczęć.

Lecz w teraźniejszym wieku, którego uczucia w formy modne ujęte, przedwczesnie zgnębane, zwiedniałe, lub też fałszywą *filozofią* porażone, nie posiadają ani dawniej jedności, ani siły, ani też nawet zaufania w siły; w naszej przechodniej, władcą tyłu różnorodnych interesów pomarszczonęj epoce, poezya podnosząca wszystkie władze ludzkie *jednocześnie* do wyższych sfer szlachetności, jest rzeczą zupełnie niepojętą.

Tak jak zaprzestaliśmy żądać żeby poeta był bohaterem, lub nawet prostym człowiekiem charakteru; tak też zaprzestaliśmy domagać się wyższego uszlachetnienia od poezyi. Mało dbając o to, czy poeta działa w duchu swego natchnienia, lub też czy pokłada wiarę w uczucia, które wznie-

ca, darujemy mu wszystko, byleby nas na chwilę zgalwanizował swym duchem, byleby nam pomagał kochać na *chwilę* swą miłością, nienawidzić swą nienawiścią, wierzyć swą własną wiarą, albo też nawet cierpieć swemi cierpieniami.

W poezyi już nikt nie upatruje rzeczy ważniejszej, godniejszej, silniejszej.

I poeci też aż zanadto usłużnie pojmują smutne swe posłannictwo, i korzystając z możliwości nieodpowiadania żadnym czynem za swe utwory, spiewają pięknie, a inaczej robią.

Ale taka poezya efemeryczną też tylko cieszy się życiem, nie wkorzeni się ona w pamięć żadnego ludu, bo lud się pyta: „*kto to jest ten człowiek który tak szczerznie chce wlaść uczuciami?*” nim się na pamięć nauczy jego wierszy.

Oh! tego nie wiecie wy biedne istoty, których cała poezya na papier się wylewa. Wasze pienia i żale potrafią wprawdzie na chwilę przejać i tchórz jakiś przechodniem uczuciem meztwa, przejać samolubną litością i uszczęśliwić jednego i drugiego błogiem zaufaniem w własną cnotę. Tego im też właśnie potrzeba tym biednym pigmejczykom, zdolnym znieść brak rzeczywistości, lecz nieumiejącym obejść się bez fałszywego jej blichtru; i dlatego też poezye tegoczesne, strojne w wyszukane słowa, napuszone niezrozumiałością dla autora samego myśłami, umiające wpływać na zniewieściale natury ludzi z niewielkim sercem i z małym rozumem, znajdują jeszcze jakie takie wzięcie. W nich to niejednen czytelnik wyczytuje z rozczuleniem i nie wstając z łóżka, że jest zdolnym na bohatera; dewotka upewnia się szyjąc ornaty a nienawidząc bliźnich, że zostanie świętą; a inny zaleje się rzewnymi łzami i przekonany jest, że do wszystkich ofiar gotów, choć grosza nigdy nie dał ubogiemu, nie widząc około siebie świadków.

Ztąd tyłu ludzi świadczących się uczuciami, które *mnie* już dawno nie śmieję.

Nie! nie taka poezya w Ossyanie. Ossyan byłby szesnaście wieków nie przeżył i swém tohniem wszystkich pieczar, jaskiń i szczelin Szkocyi nie ożywił, gdyby był tylko do usposobień przechodnich społeczeństwa przemawiał. On nie spekulował na efemeryczne uczucia swych słuchaczy; on porwał ich dusze i wznosił je z sobą w te szcżytne sfery, z kąd nikt nie wraca tak prędko, jak nasi nowożytni uczuciowcy z nieba do kruchty,

z pól Maratonu do łózka, z szpitala do karcianego stołu.

Ossyan żył w trzecim wieku po narodzeniu Chrystusa i był synem i wieszczem Fingala, króla Morwenu, pana wysp Hebrydzkich, bohatera słynnego z mężstwa i ludzkości. Ossyan, sam rycerz znakomity, złamany bólem po stracie Oskara syna jedyne go i po utracie wzroku, słodził sobie lutnią samotność i kalektwo. Śpiewał w języku celtyckim, a lud wiernie przechował każde jego słówko, nie w martwej spisanej literze, lecz w wiecznie żyjącej pamięci.

Ossyan był chrześcianinem; jeszcze światło Chrystusa do Szkocyi nie było zawitało, a on już oddał charakter swego bohatera Fingala tak pięknym i szlachetnym, że żaden chrześciański poeta nie skreślił nigdy nie piękniejszego. Niezwyciężony w walce, Fingal był prawdziwym ojcem swego ludu, wspaniałomyślny dla zwyciężonego wroga; nie szczęśliwy nigdy nie odszedł bez ulgi z przed oblicza Fingala. Swemu wnukowi mówił: „Oskarżel walczyć z silnym gdy uzbrojony, ale oszczędzaj słabego nawet w nieprzyjacielu”, a o sobie mawiał: „ramię me było podporą dla skrzywdzonego, słaby mógł być spokojnym pod cieniem mego tronu.”

Takimi uczuciami przejęty był ów król pogański! dla serca jego żadna cnota chrześciańska nie była tajemnicą.

Mac'Pherson właśnie przed stuleciem, to jest roku 1751, pierwszy wpadł na myśl zebrania nigdy jeszcze niepisanych pieśni Ossyana, a żyjących w pamięci górali, wyspiarzy i rybaków tych krain. Podróżując dwanaście lat pomiędzy nimi, zdołał spisać wszystko co tylko w pamięci ludu pozostało, i wydał ten ciekawy zbiór w angielskiem tłumaczeniu w roku 1762 w dwóch tomach.

Poezye te sprawiły niesłychane wrażenie we wszystkich oświeconych krajach Europy; ludzie celujący smakiem i gienuszem zachwycali się szczepnością tych cudnych utworów, woniejących kwiatami pól Elizejskich. Napoleon prócz Ossyana nie chwalił żadnej poezyi, i przekładał go nad Homera.

Mistrzowskie wystawienie namiętności, trafne, rozrzucające opisy, wysłowienie malownicze, śmiałe a nadobne obrazy i porównania, głębokie, zachwycające uczucia, miła jakaś pełna dziewczęcej odwagi smętność, udzielają pieśniom Ossyana szcze-

gółego uroku. W poezyi Homera postacie wstępują żywo, jaskrawo; w Ossyanie zaś, jakby oblokami otoczone, jawią się, zbliżają i nikną. Ossyan nie maluje swych bohaterów, ale każe ich kształty odgadywać; nikt ich nie widzi działających, a każdy przewiduje ich czyny z kroków, znaków i skutków. Jakaś pełna uroku tajemniczość towarzyszy poezjom Ossyana od początku aż do końca; tajemniczość, której przyczynę i przynętę odgadnie tylko serce urodzone i bijące pod tem dżdżystym niebem Szkocyi, pomiędzy temi olbrzymiami w obłoki zasutymi skałami, na tych jeziorach i zatokach, pod strzechą tych głębokich a marzących Szkotów.

Znaleźli się jednakże i tacy, którzy panu Mac'Pherson zarzucali podrobienie tych poezyi i wydanie ich pod nazwiskiem Ossyana dla zapewnienia sobie większego zysku. Bo ludzie którzy w nie piękne go nie wierzą, jeśli zniszczyć nie mogą wiary w innych, to przynajmniej zachwiał ją usiłują. Mac'Pherson jeszcze w chwili swego zgonu odpierał jak najuroczyściej czyniony mu zarzut.

Ja wierzę, że Ossyan był wieszczem i bohaterem, i że dlatego pieśni jego wrosły w pamięć całego narodu, bo lud się pisał: „*kto jest ten człowiek który tak wysokimi chce wydać uczuciami*” nim się słów jego nauczy na pamięć. Lud jeszcze nie pojmuje rozdzielenia poety od poezyi, i w autorze poezyi chce widzieć cnotę wyższego człowieka.

Ja wierzę, że Ossyan żył, i że zostawszy kaleką, a nie mogąc czynnego brać udziału w bojach i sprawach narodu, chwycił za lutnię i uwiecznił bohater-skie dzieje, których był świadkiem. Ossyan nie począł zawodu swego od kłecenia rymów; lecz od razu uwiecznił go świetnie nieśmiertelnym laurem najczystszej, najświętszej poezyi.

I dlatego też jego myśli przeszły w granit tych gór niebotycznych, przeszły w odmetę tego morza, w kwiaty i drzewa szkockiej ziemi, w krew jej wier-nych dzieci, i nie przebrzmia nigdy — i na harmonii lutni Ossyanowej wzniesie się niejedna dusza szlachetna do tych wiecznych siedzib, gdzie nieprzemijająca panuje błogość.

KARCZYMA SZKOCKA.

W dawnym Fingala królestwie, na skalistych brzegach Morwenu, w małej osadzie rybackiej, do-

kąd dosyć wcześniej przybyliśmy, zostałem na noc. Przysłań ta, osłonięta zewsząd zwaliskami skał, leżała niedaleko ruin starego zamczyska, i to właśnie skłoniło mnie do przepędzenia jednej jeszcze nocy na stałym lądzie Szkocyi, a nie na wyspie Mull, odległej zaledwie pół mili, do której mogłbym zawinąć jeszcze tego wieczora; pogoda bowiem jak najpiękniejsza sprzyjała nam ciagle.

Najbogatszy z rybaków był razem i oberżystą. W jego domu znalazłem niespodziewanie serdeczną gościnność; zaledwie bowiem próg przestąpiłem, góral jakiś, na ławie śpiący, zerwał się, spojrzał na mnie, porwał za leżące obok dudki, i zaczął na powitanie mnie najokropniejszą i najwzrząkliwszą muzykę, jakami się kiedy słyszeć zdarzyło. Przecho-dząc się dumnie jak kogut około mej osoby, dął z całej siły w swój nielitościwy instrument. Nareszcie się zatrzymał i krzyknął z radością, wywijając czapkę nad głową: „*Hail ye Drummatic brother, hail!*” Cześć tobie bracie z klanu Drummondów, cześć!

Teraz dopiero pojąłem przyczynę radości i uniesienia owego górala. Widząc mnie w czerwono-czarno-zielonym pledzie Drummondów, i w takie-
kiejże czapce piórem orłem ozdobionej, które to znamiona nosilem od czasu zaprzyjaźnienia się z Drummondami, wziął mnie tedy, w tę odległą od siedzib klanu krainie, za jakiego Drummonda z rodziny Chieftanów, i nie pytając się o nie więcej świadczył mi *stante pede* najwyższe honory klanu; sam bowiem także był Drummondem i nosił kolory klanu na czapce, pledzie i kilcie (tojest spó-
daicy.)

Podziękowałem jak najczulej za to przyjazne powitanie, i przyznałem że wstydem, że jestem tylko przysposobionym Drummondem, uznanym za takiego przez dwunastu tego nazwiska spółko-
koleńów, z którymi miałem szczęście pobratać się i których jeden obdarzył mnie pledem, a drugi czapką; pióro zaś zdobyłem wstepnym bojem na or w menażeryi książąt Atholu.

— o tak dobrze, jak gdybyś pan był pra-
dką Drummondem od czterech wieków. Ża-
żyćć Drummondów nie byłby śmiało upoważnić
pana do noszenia kolorów światu tak znanych,
gdybyś ich nie był godzien. I dlatego też powta-
rzam mój reel zwycięzki (taniec wokoło), i krzy-
cze: „*Drummatic brother for ever!*”

I znów się rozpoczyna repetycyja téjże saméj
owacyi muzyczno-choreograficznej, która skoń-
czyła się dopiero, kiędym wydobyl z torby myśli-
wskiej plectonkę dobrego *whisky*, i napil się z niej
do brata Drummonda.

Czulym bardzo był na to wezwanie brat Drum-
mond, i nie omieszkął z niego korzystać, kilka ra-
zy nawet i to dosć serdecznie, co przyspieszyło
wielką między nami zażyłość.

Odpowiedział mi w krótkości dzieje życia swego.
Że dzieckiem będąc terminował u krawca, później
wzrosłszy w siły i w cnoty obywatelskie został
pressed, tojest przymusowym szeregowym w gwar-
dyi szkockiej, gdzie się rozwinął w pocęcie du-
dziarzy pułkowych talent jego muzyczny, naresz-
cie na starość uzyskawszy dymisyją i dziesięć szyl-
lingów emerytury na miesiąc, wrócił do dawnego
swego rzemiosła. Z potrzeby był krawcem, a z po-
wołania dudziarzem. Szukał w całej Szkocyi ro-
boty i godów weselnych, nie brakło mu jednych
tam gdzie była druga, ale ani ta, ani tamte nie
zbogacily go wielce.

Brat Jonathas Drummond dowiedziawszy się
że jadę do Hebryd, prosił bym go wziął z sobą;
ofirował mi tysiączne usługi.

— Będę, o Chieftanie! twoim bardem, podcza-
szym, giermkim i gwardziścią, i to za nie, bylebyś
mi nie dał umrzeć z głodu.”

Jakżeż tu odmówić? Spytałem się jednakże
mych wiosłarzy czy im nie zrobi wielkiej różnicy
cierząc tak ważnej osoby.

„O, bynajmniej Chieftain!” odpowiedzieli jedno-
głośnie wiosłarze. Z Jonataszem jeszcze lepiej pój-
dą śpiwcy, on nam doda sił do pracy. Jonatas
zna całego Ossyana na pamięć od deski do deski,
prawie tak dobrze jak preceptor z Obanu, który
go wyspiwca całego jak historiją, po celtycku i po
anglosasku.

WYSPA MULL.

Nazajutrz przypatrzyliśmy się zwaliskom staro-
żytnego zamczyska Astornish, znanego nam do-
brze z poezyi Walter-Skotta, i zrobiwszy na ku-
cyku małą wycieczkę w głąb Morweny, wsiadłem
na mą arkę i puściłem się ku wioszczynie Aros, le-
żącój na lewym, wschodnim brzegu wyspy Mull,
na drugiej stronie przesmyku, nie dalej jak milę
polską od ruin zamku Astornish.

Wyspa Mull, po wyspie Sky największa z wysp hebrydzkich, ma z dziesięć mil polskich długości, a półsiódmą szerokości. Żyje na niej do 10,000 ludzi. Wios Tobermorg, leżąca na południowym brzegu, jest najważniejszym miejscem. Została przyłączoną do Szkocji jeszcze przez Jakóba III; resztę zaś Hebryd przyłączył do królestwa Jakób V dopiero w roku 1536.

Aros jest raczej osadą rybacką jak wioską, w ostatnich jednakże czasach podniosła się ona cokolwiek, dzięki żegludze parowej i turystom odwiedzającym grotę Fingala.

Hotel ma dość porządną, szyby jego świeciły się z daleka w błędnym słońcu.

Wpływamy do przystani, ale z wielkiem wysileniem wiosłarzy, gdyż przy odpływie morza. Łódź wielka i obciążona osiadła na piasku zdaleka od niskiego brzegu. Ja nie chcę czekać na przypływ; każę wysadzić kucyka w morze i poprzędzony dudziarzem brnącym piechotą, spieszę ku oberży.

Jonathas stanawszy na wyspie wydobywa dudę, i zaczyna w niebogłosy wyciągać hymn Drummondów. Na ten szumny odgłos wypadają z oberży gospodarz, gospodyni, synowie i córki, słudzy i goście obojga płci, i spieszą na nasze spotkanie.

Pomiędzy gośćmi znajduje się jedna z mych znajomych londyńskich, sławna w całej City z swych wygórowanych uczuć, z wysokiego wzrostu i wzrostu.

Poznajmy się z tą damą.

Miss Hethrington była sobie niezaprzeczenie jedną z najmłodniejszych panien całej City, lat temu kilka, może i więcej. Uczuciowa, czytana, śmiała, imponująca, jednym słowem *blue stocking* (1) najniebezpieczniejszego rodzaju, nie znałaż godnego siebie małżonka: Czekala na zstąpienie Apollina z niebios; ten się nie zjawił, poszła więc jako *kobieta niezrozumiana, niepojęta*, za swego stryja, człowieka już średniego wieku, który całe swe życie spędził na polowaniu, w klubach i wycieczkach gastronomicznych na kontynencie europejskim. Stryj ten nie był ani miłym, ani uczuciowym, ani pięknym, ale miał wyżęj czterech tysięcy funtów szterlingów rocznego docho-

du, to jest posiadał wszystkie cnoty w stanie uspienia zachowane.

Panna Hethrington odgadła, że daną jej była missa obudzenia z letargu cnót swego stryja mister Hethringtona, i nie zmieniając swego nazwiska, znanego już w literaturze emancypacji kobiecej, raczyła najlaskawiej zezwolić na odmianę panińskiego stanu. Poszła więc za swego stryja, i od tej chwili datuje przeobrażenie się pana Hethringtona w najniebezpieczniejsze stworzenie w świecie, w człowieka którego Anglię nazywają malowniczym przydomkiem: *a bedridden man*. (2)

Bądźcie zdrowe polowania, karty, bylsztyki i swobody kawalerskiego życia! teraz podlegać trzeba, podlegać kobiecie, w imieniu cywilizacji, postępu i godności człowieczeństwa.

Mistres Hethrington poznaje mnie z okien hotelu, i nie dbając o *decorum*, ani o *fashion*, ani o *qu'en dira-t-on?* wypada na me spotkanie, i z radości ledwo wymówić może:

— Ach, doktorze! oh jakie szczęście! oh tą razą uwierzyć muszę w przeczucia! Wystaw sobie pan, my tu wczoraj przybywamy parostatkiem dla zwiedzania Staffy, a mój mąż korzystając z mej choroby morskiej zakłada się podczas podróży, że zje dwanaście bifsztyków z kartoflami. Zakład wygrał niecnota, ale teraz leży prawie bez duszy, leży jak petryfikacja kornwalska, i passuje się jak gladiator rzymski z swemi bifsztykami. Proszę sobie wystawić moje położenie. Kapitan parostatku kazał go wysadzić z bojażni żeby mu na okręcie nie zamarał, a ja tu sama jedna, bez żadnej pomocy lekarskiej, bez sługi, bez przyjaciela pielęgnować muszę mego prozaicznego, obżartego małżonka. Ach! powiedz sam doktorze! co to za okropne położenie, mieć tak pełne uczucie, tak szczytne serce i być żoną takiego gminnego potwora jak pan Hethrington! Ach mój Boże!”

— W imieniu Apollina i dziewięciu muz, w imieniu panny Throllop i pani George Sand, wzywam cię, uspokój się. Oh poetyckie, czule serce nie pierwsza to niestrawność twojego męża. Wzrusz się, a ja cię pocieszę.

— Ale zapewne będzie ostatnia!” dodała ona zalamując ręce.

(1) *Bas-bleu*, kobieta mająca pretensję do uczoności.

(2) *Mąż w spódnicy*.

Pacyent istotnie był w smutnym położeniu. Leżał bez przytomności z obłąkanemi oczami, mającąc o połowianach na lisy, o bifszykach, o zakładach i o wście.

Musiałem wyrzucić całą potęgę lekarską na zwalczenie tak kolosalnej niestrawności; szczęściem że lekarstwa na to potrzebne miałem z sobą. Jestem pewnym, że bez silnego ratunku, pan Hethrington byłby padł ofiarą swego zakładu.

Ale pomimo polepszenia, przewidzieć można było że choroba potrwa jeszcze dni kilka. Zalecałem tedy cierpliwość i chciałem wyruszyć nazajutrz, przepisawszy choremu stosowną dietę, w dalszą podróż.

Ale zaledwie wyjawilem chęć moję, pani, a nawet i pan H... zaczęli mnie najusilniej błagać, żebym ich nie opuszczał, dopóki sami nie będą w stanie wyruszyć w podróż. Pan H. ofiarował mi za zwłokę w podróży 10 fun. sz. dziennego wynagrodzenia, na utrzymanie mego dworu, *for the entertainment of my court*, jak się wyrażał. Anglik choć materyalista, delikatnym jest przeciw i wspinałm, i tēm się różni od wielu magnatów, którzy znajdują rozkosz życia w pogardzaniu rodem ludzkim i w skąpstwie.

Dalem się nakłonić i pozostałem w Aros, w hotelu, który wcale był wygodnym; zatrzymałem w mej służbie łódź z wiosłarzami, dudziarza mego i kucyka, co mnie kosztowało do półtora funta dziennie.

Nie brakło w hotelu owsa dla konika mego, niezbyt nawet był drogi, garniec bowiem kosztował szylinga, tojest złp. dwa. Owies polski słynie z dobroci swęj i w tēj odległej krainie; starają go się mieć na zasiów; pełniejszym jest bowiem od wszystkich innych. Mieszkańcy Hebryd, mańejni i ubodzy, nie jedzą innego chleba jak owsiarę, któryby był nawet dość dobry, gdyby nie zawierał w sobie często jakichś plewów ostrych, język i gardło kaleczących.

Statki parowe, często tu zawijające, upowszechniły wprawdzie w Hebrydach bułki pezenne w kilku hotelach, ale nawet magnaci Hebryd nie chcą żywić się innym chlebem jak tym, który kraj wydaje. Tak pojmują patryotyzm ci godni ludzie; wiedzą, że dobrym przykładem winni przewoźniczyć reszcie ludności.

STAN OŚWIATY W HEERYDACH.

Korzystałem z mej łodzi i z mego konia, i codziennie robiłem wycieczki w głąb wyspy i po jej brzegach. Często nawet państwo H... mi towarzyszyli. Wyspa, którą pan Lach Szyrma w r. 1822 bardzo nędzną znalazł, nie należała wprawdzie, w chwili gdy ją zwiedzał, do kwitnących; ale nie przedstawiała tego smutnego obrazu, jaki nam nasz rodak skreślił. Ludność powiększyła się znacznie od tego czasu; postęp ten należy przypisać poprawie rolnictwa i hodowaniu bydła, a przede wszystkim zniesieniu reszty praw feudalnych, trwających tutaj aż do roku 1832, a które w biednej Irlandyi po dziś dzień jeszcze istnieją. Szkolcy umiała się fusamowolnić zpod wpływu owych „*tenants*,” tojest dzierżawców, którzy razem z gruntem nabywali także prawo korzystania na lat tyle a tyle z pracy i życia wieśniaków na nim osiadłych. Przedtēm mieszkańcy Hebryd uciekając przed głodem i zdzierstwem dzierżawców udawali się chmarami do Ameryki. Od lat ośmnastu stan ich stał się daleko znosińszym; pozostają tedy w kraju i starają się użyżniać ten kawałek gruntu, który teraz nie od *dzierżawców* hurtowych, ale wprost od pana mają prawo brać w częstkową dzierżawę. Przedtēm, szlachcie nie chcą uchodzić za oczywistego gnębiiciela włościan, wypuszczal dobra swoje pierwszemu lepszemu spekulantowi z prawem używania wszelkich przywilejów do osoby pana przywiązanych, a sam puszczał się za granicę i nie wiedział jakie się w jego dobrach dzieją nadużycia. Dziś pomiarkował się przeciw i szlachcie z swemi powinnościami względem kraju i ludzkości; przesiaduje częściej w domu, osobście wchodzi w układy z kmiotkami, i jest w stanie przekonać się, że strona zanadto natężona pęknięć musi koniecznie.

Zniesienie danin i tym podobnych ciężarów i nadużyć postawiło nareszcie mieszkańców Mull w takim położeniu, że wyżyc mogą z pracy rąk swoich, z rolnictwa, z rybołówstwa, z kopalni węgla, marmuru, żółtęj terpentyny, z wyrobu wybornej sody i tym podobnych zatrudnień. Chatki owe bez kominów, w których ludzie mieszkali razem z bydłem, już ustąpiły miejsca po większej części, schludniejszym mieszkaniom, otoczonym ogródkami warzywnemi.

Oświata tych poczciwych ludzi, która zawsze była daleko wyższą, niżby z smutnego ich stanu majątkowego wnosić można, dziś podniosła się jeszcze pod błogim wpływem lepszego bytu materialnego. Powaga, roztropność, uprzejmość, znakomitości są ich charakteru. W każdej chatce znajdziesz biblię, książki do modlitwy i śpiewy Ossyana, często kroniki narodowe, a czasem nawet jakie czasopismo ludowe, na przykład nieoszacowane: „Penny news” panów Chambers, którego arkusz drukowany, wielki jak obrus, mniej kosztuje jakby u nas kosztował tenże sam arkusz niedrukowany, choć naszemu krajowi nie braknie pierwszego materiału do wyrobu papieru potrzebnego.

Podczas zimy, kiedy śnieg i mrozy odosobniają tu ludzi od świata, pisma te prawie jedyną ich są zabawą i pociechą; one im zdziwić nie pozwalają.

Zresztą, nie zbywa tej krainie gór i przepaści, skał, dolin, parowów, jaskiń i pieczar, orłów i zwierzyn, burz i piorunów, tak jak i całej ziemi górzystej Szkocji. Góra Benmore, wznosząca się na 3,500 stóp ponad powierzchnią morza, panuje prawie nad całą wyspą i przejmując wiatry północne i wschodnie tak skutecznie, że stopy południowo-zachodnie góry cieszą się ciepłym powietrkiem wtenczas, kiedy wschodnio-północna część wyspy leży pogrążona pod głębokimi śniegami.

Góra ta dla swego kształtu zwana jest bochenkiem (*loaf*).

Pomiędzy zamkami wyspy Mull, godnymi widzenia, najwspanialszym był dawny Mac'Donaldów zamek. Zostały z niego okazałe rozwaliny, leżące na podnóżcu skalistej góry, staczające się po części w wąską przystań osady Aros.

Mac'Donaldowie byli dawnymi panami wyspy Mull. Oni ją Norwegczykom wydarli, i tutaj długi czas, nie uznając żadnego zwierzchnika, samowładnie panowali. Sam ogrom rozwalin ich siedziby świadczy że Mac'Donaldowie byli potężnymi panami. Groźne ruiny sterczą jak widma na krawędziach opoki, o której podnóża rozbijają się bezustannie morskie bałwany.

Dalej, na północ wyspy, leżą od dawnych, dawnych czasów zwaliska grubym mchem, sosnami i brzezina obrosłe. Mają to być ruiny Bakluty

czyli zamku Moyno, te same ruiny, o których mówi Fingal tak czule:

„Widziałem mury Bakluty, lecz one były spustoszone. Ogień wygaś w kominach i odgłos biesiadników już się nie odbijał o ściany komnat. Strumień Kluta wyparły z dawnego łoża rumowiska walącego się zamku. Nikogo już nie ujrzyś w tych niegdyś tak wesołych dziedzinach. Tylko oset trzęsie siwą głową, i wiatr świszczy przez szczeliny. Z okien wyzierają chytre lisy, a bluszczone się po ścianach. Zniszczenie i milczenie panują w zamku pięknej, lubej Moyno.”

„Tak śpiewał — kończy Ossyan — bohater, i tyś się bardzo powstało, by usłyszeć głos króla, a głos ten był podobnym do dźwięku harfy gdy w nią zaszepce wiosna. Kto zrówna tobie, o królu Morwenu!”

Ossyan tak serdecznie ubóstwiał swego ojca Fingala.

TURYSTA ANGLISKI.

Ale wszystko na świecie ma swój koniec, nawet i angielskie niestrawności. W pięć dni po mym przyjeździe do Mull, stan pana H. nie pozostawiał nic do życzenia. Umysliłem tedy puścić się w dalszą podróż.

— Doktorze! tak nas pan szybko opuszczasz? krzyknął zdumiały pacjent, wzięc mnie w podróżnym ubiorze, w płedzie Drummondów na barkach w czapce z orłem piórem na głowie i z strzelbą w rękę.

— Już czas, o mój pacyencie! Patrz jak tam góry Morwenu tuł się w obłoki, musi im być zimno okropnie. Ja muszę jeszcze zwiedzić i Staffę i Jonę, przejechać wskrós całą północną Szkocję kanałem kaledoniskim, zwiedzić plac boju pod Kul-loden, zwiedzić uniwersytet w Aberdeen, i zabiwać dni trzy jeszcze w Edyburgu, nim znów wrócę na zimowe leże do Londynu. Chwili nie mam do stracenia, a wiatr dobry wieje ku Staffie.

— Ach! to mi to piękna, romantyczna podróż! — rzecze pani H. — a nie taka prozaiczna jak nasza, w której i oka spuścić nie można było z nudnych twarzy kupców londyńskich. Ach! pani Hetherington, i ja też wolę tę zajmującą drogę wrócić do Londynu, a nie wprost przez ten kupiecki Belfast i Liverpool.”

— Ale zastanów się pani — kochana, odezwał się pan H. — wszakżeż to przynajmniej cztery razy dalej; kolować po całej Szkocji, by wrócić do Londynu! to dobrze dla uczonego, ale nie dla pani, której delikatne nerwy...

— Panie Hethrington! — zawoła londyńska Sapho — panie Hethrington! o hańbo! ja nerwy miałam mocne jak cięciwy, nim pańską zostalam żoną. Panu to winnam, pańskim gminnym zwyczajom winnam tę drażliwość moje nerwów!

— Tak jak ja pani winienem moje niestrawności; nie znałem ich przed słubem — dodał zimno pan H.

— Goś Almighty! Saviour! — wrzasnie obrażona Sapho, układając fałdy sukni do klasycznego zemdenia.

— Na Boga! pani Hethrington! odłóż pani ten napad nerwowy na czas inny. Do Staffy pojedziem, do Jony pojedziem, Kaledońskim kanałem pojedziem, do antypodów, do piekła pojedziem, bylebyś mię pani uwolniła od widoku gotującego się paroxyzmu. Na Boga!

Tak błagał nieborak, a rozumne nerwy miłej żony drgać przestały, tylko się piękne oczy łzami zalaly, i koralowe usta przemówiły:

— O! niewdzięczny! wskażesz ja dla twojego dobra podróżuję. Dla ludzi tak mających jak my, nie masz odległości, a potem w towarzystwie doktora będę spokojniejsza o twoje zdrowie.

— Ah! to z doktorem puszcza się w podróż — rzecze smutno-naïwnie pan Hethrington — ha! he! to co innego. A może mu to subiekcyj sprawi?

— Oh! nie! — odpowie sentencyjnie pani H. — ręczę, że nie. Doktor jest dobrym, domyslnym człowiekiem, przytem *quite a gentleman* i pojęć zdola ile jest delikatności w obawie mej o twoje zdrowie.

I tak, zupełnie niespodzianym sposobem, zyskałem nowych towarzyszyw podróży. Kupiłem kucyka, by nie być samotnym, a tu odrazu widzę się otoczonym licznym gromem sług i przyjaciół. Nie żle podróżować w Hebrydach!

Nie tracąc ani chwili, pusciliśmy się w podróż. Łódź z trzema wioslarzami wyprawiona na morze, miała z pakunkiem naszym okrążyć północną część wyspy, i czekać na nas w osadzie Dug, na brzegu zatoki Keal. My zaś ładem dążyliśmy do tej zatoki, odległej o półtrzecia mil geograficznych od Aros. Kucyk miał szczęście dźwigać samą panią Hethrington, ubraną w niebieską amazonkę i w ka-

pelusz pluszowy z białym strusiem piórem. Wismukła, wysoka i piękna, wyglądała jak kolumna czerwcową na słoniu Bastylii. Dwóch wioslarzy z siekierami służyło nam za saperów. Pan Hethrington uzbrojony był w strzelbę, w torbę myśliwską, w kordelas i w jakiś blaszany aparat, który, jak się później okazało, służył mu do robienia bifszyków *à la minute*, i nigdy go nie odstępował. Jonathas hucząc i skrzecząc na dudach poprzedzał mnie wszędzie, jak liktorowie konsulów.

WYCIECZKA DO KEAL.

Opuszczamy Aros właśnie w chwili gdy nowy parostatek wpływał do przystani, i przywoził nowe towarzystwo turystów. Nie dbaliśmy o nowiny z Londynu i pochodu naszego nie wstrzymał się.

Wszystko dobrze szło dzięki pogodzie, dzięki kucykowi, bardzo zadowoloniemu z swego ciężaru, i dzięki memu bratu Drummondowi, rozweselającemu nas opowiadaniem dziejów, podań i plotek kraju, który przebiegaliśmy. Biédny ten człowiek całkiem był poetą; nie troszczył się o przyszłość, choć mu szron głowę przypruszył i choć nigdzie nie miał własnej strzechy; żył tylko radością innych: obudzać ją, było dla niego najmiłszym zatrudnieniem. Wiele widział złych dni w swém życiu, ale mówił o nich bez goryczy; spędził dwadzieścia siedm lat zdaleka od swjej ojczyzny, ale swego Ossyana nie zapominał, i wróciwszy do kraju, pragnął koniecznie przebieść wszystkie kąty i pustynie, wślawione poezją ślepego Barda.

Wyspa Mull niewiele tu przedstawiała pięknych widoków. Góry i skały prawie całkiem z drzew i liści оголоcone, tu i owdzie tylko pokryte były skąpą trawką; pasły się po nich stada owiec nieliczne. Gdzieśniedzie kilka włók gruntu zasianego owsem, który właśnie zbierano. Cała wyspa 43 mil ☐ geogr. powierzchni zajmująca, nie wydawała nawet tyle ziarna, ile jedna mila gruntu naszego wydać jest w stanie.

Weszliśmy do dość pięknego gaiku, który nieznacznie gęstnąc ku północy, tworzył już bór dość cienisty. Pan Hethrington i Jonathas, któremu strzelby pożyczylem, poszli się uganianie za pastwem leśnym. My tymczasem zstępowałyśmy wolnym krokiem w głęboką dolinę, i wkrótce ujrzeli-

śmy zdaleka srebrne zwierciadło zatoki Keal. Niebawem spostrzegliśmy w dali łódź naszą, okrążającą z północy przylądek Pikatorne, na którym wznosi się latarnia morska. Nasze sapersy nie spuszczały z niej oka, jak gdyby jej od wieków nie widzieli.

— Kto stanie pierwój w Dug, my, czy oni? — zapytała pani Hethrington sapersów.

— Oni, choć trzy razy dalej mają, i choć wiatr im służyć przestał — odpowie jeden z wiosłarzy — bo sternik powiedział, wyjeżdżając z Aros, że i na czas stanie i prędkiej od nas, a on się nigdy nie myli, skoro co zaręczy.

— Jakto? on się nie myli nigdy, przyjacielu? — zapyta zdziwiona pani H.... — a któż nieomylny na tym świecie?

— Są tacy, których przeczcucia nigdy nie mylą; są i tacy nawet, co przyszłość przewidzieć umieją. Oto Dawid Paterborn jest właśnie takim człowiekiem — odrzekł znów wiosłarz, a na jego roztropnej uśmiech twarzy, malował się wyraz przekonania i pewności, jak gdyby mówił o rzeczach żadnej wątpliwości niepodpadających — i to mówiąc pobiegł z swym towarzyszem naprzód.

— To jakiś dziwak, ten wiosłarz! — rzecze znów do mnie pani H.... — wierzyć w nieomylną przeczcucia, w przewidzenie przyszłości. A torzec niepojęta!

— Pani musiałaś słyszeć o „second sight,” tym, że tak powiem, wewnętrznym wzroku Szkotów, i wiesz zapewne, że ani religia chrześcijańska, ani oświata nie zdołały wykorzenić z ich serca wiary w ów wzrok duszy sięgający w przyszłość. Ale dziwi mnie, że męża pani nie widać, musiał się gdzieś za daleko zaawanturować za zwierzyną.

— Albo też ją piecze w najlepsze na swój podręczny kuchni, bez której się nigdy nie puszcza w podróż, nawet kiedy z naszej włości jedziemy do pobliskiego kościoła. Ah! żebyś pan wiedział, co to za oryginał ten pan Hethrington! Przed kilku laty pojechał odwiedzić grób swego stryja w Tunbridge, stryja który mu zapisał cały majątek. Poszedł na cmentarz leżący nad romantycznym brzegiem rzeki Medwaj. Ja pozostałam w hotelu, byłam cierpiącą i nie mogłam się narażać na wzruszenia grobowe. Czekam pół godziny, czekam godzinę, pan Hethrington nie wraca. Nareszcie zniecierpliwiona zebrałam wszystkie siły, zwalczy-

łam wstręt, i idę na cmentarz z lokajem. Długo tu szukamy pana Hethrington, nareszcie znajdujemy go na kamieniu grobowym swego stryja.

— Klęczącego, płaczącego, modlącego się? — przerwałam.

— Ale gdzież tam doktorze! smarzącego wróble, które ubił z wiatróvky na samym cmentarzu! — Na ten widok okropny padłam jak nieżywa, prosiłam grabarza, żeby mnie zakopał w grób otwarty, czekający na swą ofiarę, i doktorze! czy uwierzysz? pan Hethrington z najzimniejszą krwią daje pięć szylingów grabarzowi, żeby mnie dobrze przygniół ziemią. Zgroza mnie przejęła, odstałam od mego zaniaru, i żyję jedynie na przekór mężowi. „Oh! God Almighty! Boże, ty wiesz, ile ja znoszę, ja niepojęta istota!”

Wtém, jeden z wiosłarzy przystąpił do nas robiąc uwagę, że nieobecność pana Hethrington dziwi go bardzo, i oświadczył się gotowym odszukać go.

W górach, mówił, są zdradliwe miejsca, można się zabłąkać łatwo, można wpaść w jaką przepaść. — Trzeba oddać sprawiedliwość, pani H... zbladła i zadrażała na te słowa. Nagle z góry, z wysoka, woła na nas jakiś chłopczyzna i oznajmia, że go dudziarz posłał po wiosłarzy, aby przybiegli z hakami i linami, bo ten jegomość z Londynu uganinając się za dzikim kozłem, zesłiznął się z spadziściej góry, i wyjść z przepaści nie może, choć sobie żadnego nie zadał szwanku. Wiosłarze pobiegli nie czekając naszego polecenia; ja chciałam pójść za nimi i powierzyć panią Hethrington chłopakowi; ale przystać nie chciałam żebym się na krok od niej oddalała; zeskoczyła z konia i pobiegła ze mną w góry. Konia tymczasem przytrzymał chłopak. Idąc za odgłosem wystrzałów dawniej słyszanych, zbłądziłszy w lesie, a odszukawszy drogę, spotkaliśmy Jonathasa obciążonego kozłem dzikim ubitym ręką pana H.

Tak tedy Jonathas obciążony kozłem nie wypuszczał zpod swego pachy kozy.

— A gdzie mój mąż? a gdzie mój kochany mąż? krzyczała pani Hethrington załamując ręce.

— Przyniosą go tu wiosłarze! niebawem. Wywindowaliśmy go z wielką biedą z głębi przepaści. Ale winszuję pani, sławne ma kości pan Hethrington, ani jednej nie złamał. Wié też pani co jój mąż robił w jamie czekając na pomoc?

— Ręczę że zgadnę: smażył sobie jadło na patelni?

— Ot nie! nie zgadła pani; rewidował tylko czy owa kuchnia, którą dźwiga na plecach, szwanku nie ucierpiała; zacerpnął wody w pobliskim strumyku i gotował ją na spirytusie.

— To na jedno wychodzi; smażył bifsztyk *in effigie*— odrzekła pani H... uśmiechając się gorzko.

Nadszedł przecież i pan H. kulejąc cokolwiek, ale spostrzegłszy swą żonę, nie śmiał biedak i kuléc, i zaręczał, że się umyślnie spouścił w przepaść dla dowiedzenia światu, że głowa męża uczonój kobiety rozbić się nie może o skały.

— A to dlaczego nie?—spytała ciekawie pani H.

— Dlatego, że do czegoś innego przeznaczona—odpowiédł pan H. śmiejąc się tak serdecznie, jak gdyby był wygrał zakład.

Ale pani H. zbliadła jak alabaster, a potem załala się krwawym rumieńcem.

Do dziś dnia nie wiem, co pan H. chciał powiedzieć; ale mi się zdaje, że miał na myśli głowę zabitego kozła... zleć to zawsze malować djabła na ścianie!

Stajemy nareszcie w Dug; łódź nasza już tu zawinęła przed dobrą godziną.

— A cóż? czy myli się Dawid Paterborn?—spyta wioślarz.

— Byłby się omylił, gdyby pan Hethrington nie był wpadł w przepaść,—odrzekła sucho pani H.

— Ale Dawid Paterborn przewidział, że mąż pani musi wpaść w przepaść,—powiédł głupio wioślarz.

— A niechże się piorun trzaśnie z twoją szatańską lołą!—pomyśliłem sobie.

Przyплыł morza. Ani sposób puszczać się do do Staffy. Trzeba nocować w Dug w chacie rybackiej, i grać w wista cały wieczór; a potem położyć się w ubraniu na wiązkie słomy.

GROTA FINGALA.

Nazajutrz, skoro tylko śnieżny szczyt Benmora srebrzczyć się począł w bładóm, wschodzącóm słońcu i światło poranne rozjaśniło dolinę, wypłynęliśmy, zostawiwszy rzeczy nasze i konia w gospodzie, ku wyspie Staffa. Z obu stron zatoki wznoszą się ku niebu ogromne skały i straszą olbrzymiemi kształty.

Wiatr gwałtownie rozprzezał żagiel i przejmował zimnem. Jonathas, natchniony bliskością świętego miejsca, dał nielitościwie w swe dudy. Za pomocą żagli, futer i pleców udało nam się zrobić na tyle łodzi coś nakształt namiotu, by się zastonić od wichru i nawałnicy. Tak, biegleśmy ku celowi, oddalonemu od nas o 10 mil morskich, a biegleśmy z nadzwyczajną szybkością.

O parę mil od Staffy wiatr zwolnił i nastąpiła cisza, co wielkiém było dla nas szczęściem, gdyż do podwojów Fingala zbliżyć się nie można przy nawałnicy. Pionowe skały odrzucają z taką siłą fale morza, że częstokroć i wielkie statki giną pod ich naporem.

Grota Fingala jest najcudowniejszym utworem wulkanicznym, jaki się na kuli ziemskiej znajduje. Z wnętrza ziemi i zpod powierzchni morza wznoszą się wysoko, ku niebu, miliony ręką natury wyciosanych słupów bazaltowych, i noszą na swych szczytach ów dach niezmierny, który nazywamy wyspą Staffa; a pomiędzy filarami znajduje się przerwa na 60 stóp szeroka, na 300 zaś długa, na 150 wysoka i tak piękna i regularna, jak tylko umyślnie stawiany kościół być może.

Nie nigdy natura nie wybudowała do sztuki podobniejszego jak ową grootę.

W te podwoje wstępują bałwany morza i rozbijają się często o ich ściany z łoskotem i wściekłością, aż drży wyspa cała i chwieje się w swych podstawach.

Tą razą mogliśmy spokojnie wpłynąć w głąb tej cudownej jaskini, i dostać się łodzią aż do samego jej końca. Tu przytwierdziwszy statek, wysiedliśmy na słupy, w różnych wysokościach z wody wystające. Po nich można było dojść jeszcze głębiej w jaskinię do miejsc, gdzie się już nie daje słyszeć ryk bałwanów, łoskot fali, jęk powietrza wypychanego nawałnicą, lecz gdzie nas czekała inna muzyka, do żadnej dotychczas słyszanej niepodobna.

Myriady kropeł staczały się po krawędziach słupów bazaltowych dźwięcznych jak metal, i krople te tarcie swém tworzyły szmer tak pełny i harmonijny, jak go wydają tafle szkła pociągane smykiem, lub też owe banie brzmiające, gdy słońce rozgrzeje w nich zawarte powietrze. Niewidzialna ta muzyka, wtórująca tak tajemniczo cudownemu budynkowi, melodyta z ręką wieczności do niego przywiązana, przejmując zdumiałego widza

jakiś czarującym, nerwy laskoczącym, nieznanym uczuciem; powiedziałbyś, że to ostatnie akordy bardów Fingala, którzy niegdyś tu zasiadali na tych słupach i sławili wielkie czyny króla Morwenu.

Zalobny kolor bazaltu, ponury mrok rozlany w głębi jaskini Fingala, mrok w którym ginęły jak w nieskończoności niepewne zarysy świątyni ręką natury wzniesionej; dźwięk tajemniczy muzyki, brzmiejącej tak jednostajnie a tak uroczym; niezmiernie morze szumiące zdaleka; jęk jaskiń pobocznych, dławionych balwanami, — i tu stóp naszych, w pośrodku świątyni ten niezgłębiony ocean, kryjący w swych odmetach poezję od dwudziestu wieków zgromadzoną! któż mógł się oprzeć wpływowi tak potężnych, przenikających wrażeń?

Istotnie, wioslarze nasi, proste dzieci natury, choć setny może raz w te podwoje wstępowali,

stali przecież i teraz w milczeniu uroczystym, z twarzą wzruszoną, w tej jaskini, gdzie tyle się skupia różnorodnego piękna, aby utworzyć cud nieporównany. Jonathas tak był rozczulony, że lzy ronił i o swych dudach zapomniał. Pani Hethrington z rozpuszczonemi od wilgoci, długimi lokami, siedziała nieporuszona, niby natchniona, na jednym z bazaltowych słupów. Jakby cień Moiny z odmetów morza wskrzeszony. Już o sobie nie mówię, gdyż niewypowiedzianemi są uczucia, które mną wówczas owładły. Zdaje się, że nikt nie zdołał oprzeć się wpływowi tego świętego miejsca.

Niestety! znalazła się pomiędzy nami istota nie dzieląca wcale naszego uniesienia.

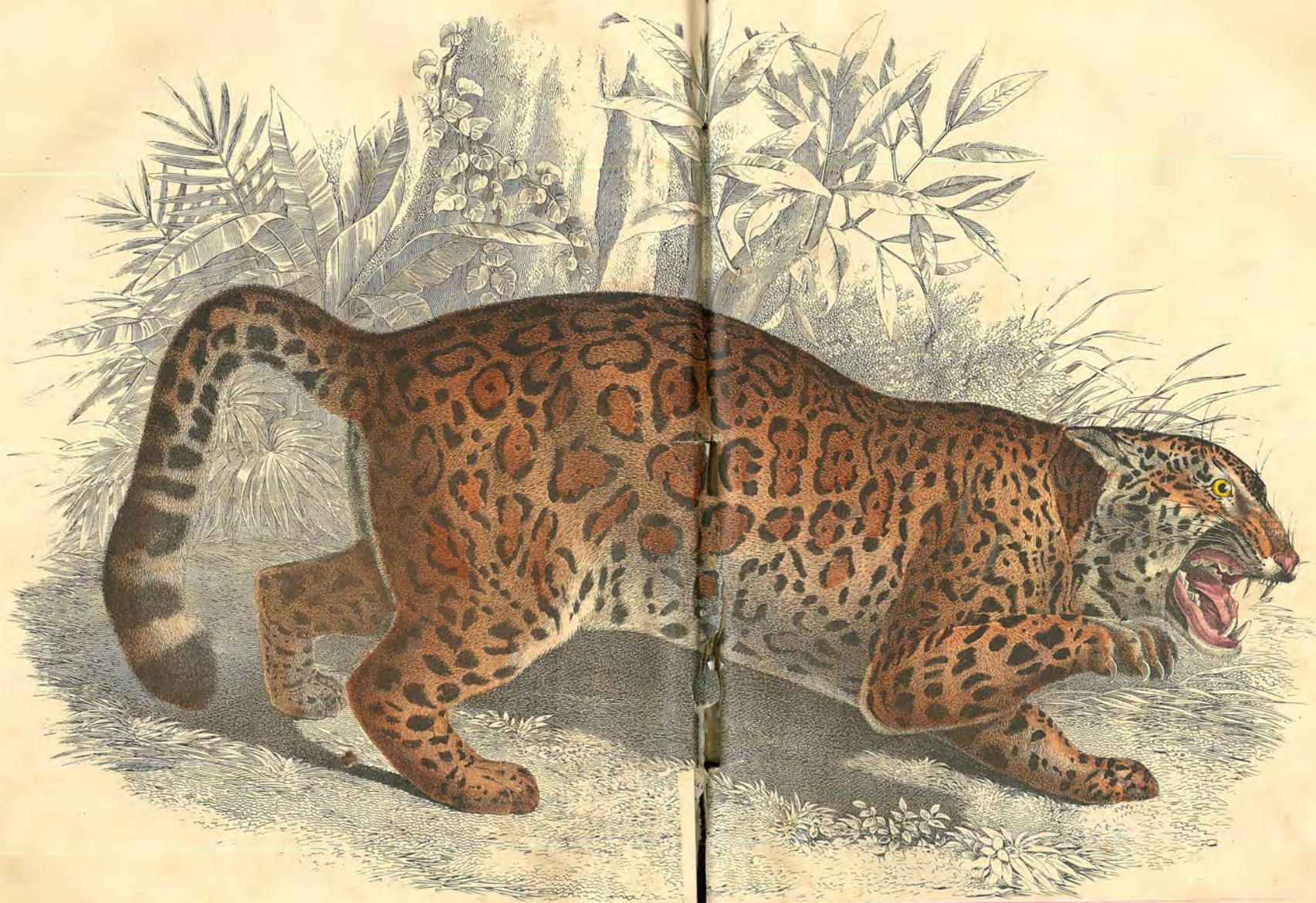
(Dokończenie nastąpi).

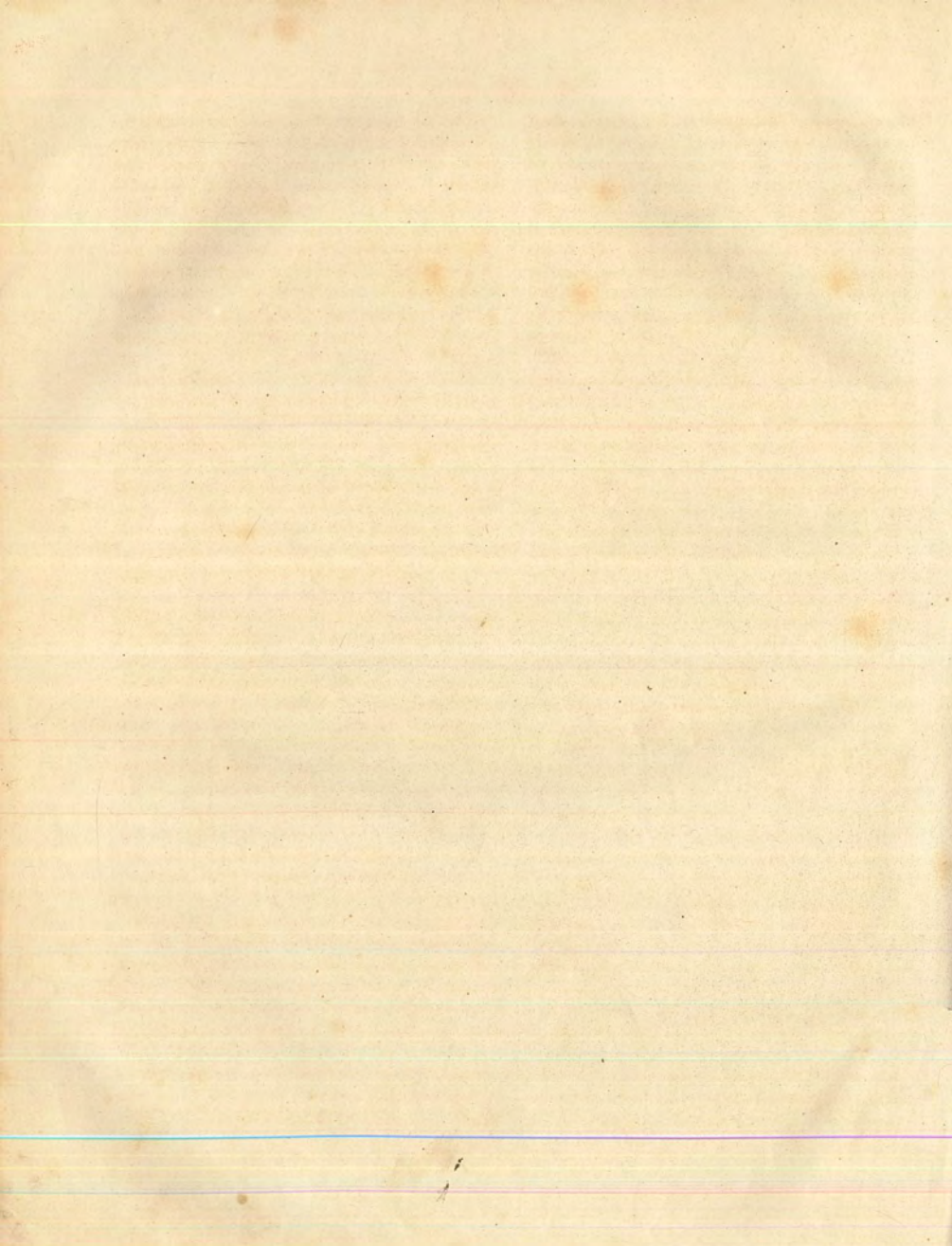
JAGUAR.

W gromadzie zwierząt ssących, a mianowicie w rzędzie zwierząt drapieżnych rodzaj *Żbika*, *Felis*, najliczniejszy, obejmuje zwierzęta których dokładne gatunkowe rozróżnienie jest dotąd najtrudniejsze, z przyczyny bardzo zmiennej ich maści. Szczególniej większe, pstrokate gatunki, jakoto lampart, pantera i jaguar, zwany także u wielu *uncya* (*Felis onca*) łatwo jeden za drugi bywają poczytywane, albowiem pomiędzy wszystkimi trzema, przynajmniej na ogólny rzut oka, wiele bywa podobieństwa. W menażeryach pod fałszywymi częstokroć pokazuje je nazwiskami, mianowicie lamparta i jaguara, biorąc jedno za drugie ich nazwania, lub uważając obadwa za panterę; a przecież ostatnia, lekkomyślnie z afrykańskim lampartem za jedno poczytywana, jest już obecnie tak rzadka, iż ledwo kiedykolwiek żywym widzieć ją można w Europie, i właściwie ze skóry tylko jest znana. Ze wszystkich trzech najtrudniejszy jest do dokładnego opisanja *jaguar*, którego tu rymie, z doskonałego wzoru pana *Andubon* załączam, gdyż oczkowate na jego skórze plamy nie tylko bywają odmienne na dwóch indywiduach, ale częstokroć na jednym; inne są na le-

wym, a inne na prawym boku. Przy innym artykule będziemy mieli sposobność podać ogólny podział rodzaju *Żbika* i wymienić przynajmniej główne cechy podrodzajów i znaczniejszych gatunków; tu zastanowimy się tylko nad gatunkiem zwanym najpowszechniej *jaguar*, którego ojczyzną jest południowa i północna Ameryka, a którego, pominiwszy szarego niedźwiedzia, mieszkańca okolic górzystych, uważają powszechnie za najdrapieżniejsze zwierze Nowego Świata.

Przed 50 laty jeszcze jaguar był we wszystkich lasach amerykańskich tak pospolity, w takim mnóstwie, iż z samą południową Ameryką, przywołano jego skór co rok około 2000 do Europy; z postępem kultury tamtej części świata zwierze ten stał się tam obecnie tak rzadki, iż tylko w najodleglejszych od zaludnionych okolic częściach, w najnieodostępniejszych puszcach błotnistych, w miejscach trzeiuną zarosłych niekiedy go napotykać. Główna maść krótko a miękkowłosistą jego sierci brunatno-żółta, pod brzuchem biała. Po bokach ciągną się wzdłuż 3-6 rzędami czarne oczkowate plamy, których pierścienie nigdy nie są całe czyli zamknięte; wzdłuż po grzbiecie widac





szereg wielkich nieregularnych, czarnych plam, a na odśrodkowej stronie nóg pokazują się czarne poprzeczne pręgi. *Jaguar* mniej jest wysmukły od lamparta, który ma nogi wyższe i cięśnie, a przeto różni się od jaguara stosunkowo większą głową i nieco krótszym ogonem. Budowę i kształtem pazurów obadwa są sobie podobne, obyczajami mało się różnią. W sile i strasznej drapieżności chyba tylko wschodnio-indyjski tygrys przewyższa jaguara, który, zwłaszcza zupełnie dorosły, grozą i wielkością przechodzi lamparta; żyje zwykle samotnie, pojedynczo, jak wszystkie wielkie drapieżne zwierzęta. Zwyczajnie obiera sobie stałe miejsce na siedlisko, z niego robi częstokroć rozległe wycieczki i regularnie znowu do niego, jako do środkowego punktu wraca; siedliskiem tęp bywa zwykle jaskinia lub rozpadlina między skałami; tam dnie przesypia, w nocy tylko, a bardzo rzadko we dnie na łowy wychodzi, i chyba tylko ważną przyczyną zmuszony, raz obrane siedlisko opuszcza i gdzieś indziej się przenosi. Unika okolic niedosyć w wodę obfitych, najlepiej podobnie sobie miejsca w bliskości większych rzek położone, mianowicie takie których brzegi zarosłe są krzewami lub trzciną. Równie dobrze pływa jak wchodzi na najwyższe drzewa, i zdobyć równie łatwo chwytą w wodzie, jak upolować umie na łądzie. Stawiaszy na piaszczystym dnie brzegu rzeki lub jeziora, czeka spokojnie, nie ruszając się, dopóki się mu nie nasunie swobodnie w wodzie pływająca ryba, którą, jak strzala, szybko łapa chwytą i zjada. O takim jego sposobie łowu powątpiewali naturaliści, kiedy tymczasem oddawna wiedzieli o nim Indianie, a potwierdzili tę wiadomość nowi europejscy osadnicy tak w południowej jak i północnej Ameryce.

Po piaszczystych wybrzeżach Oryoko, Amazonki i innych rzek skradą się pocichu, jak mówi Humboldt i inni badacze, i napada w nocy, ostrożne, bystry słuch mające żółwie, które wychodzą na piaszek dla składania tam jaj; umie zręcznie wyrwać mięswo z ich skorup, bez połamania ich, wygrzebuje z piasku ukryte jaja, lub czatuje na wylęgające się młode żółwiąt i pożera je razem z ich mięskiem jeszcze skorupkami. Kiedy indziej wylazi cichutko aż do wierzchołków na najwyższe drzewa gorącego pasa ziemi, i tam napada gromadami przesiadujące małpy, które mianowi-

cie w nocy bardzo lekkie, bezbronne, żadnego dla siebie nie widząc ratunku, przerażliwym krzykiem napełniają powietrze, uciekają gdzie i jak która może. Żadne zwierzę nie jest od jego napaści bezpieczne; za jednemi tylko ptakami nie upęda się, dopóki skutecznie na inne rodzaje zwierząt polować może. W okolicach mniej zaludnionych tak mało boi się ludzi, iż częstokroć w nocy podchodzi do odosobnionych osad, i upatrzyszy niedość opatrzone ogrodzenie bydlą i innych domowych zwierząt na podwórzach, wpada, dusi i unosi lub uwłoczy, szczególniejsz swinie, owce i cielęta. Gdy się osiedli w okolicy łatwy mu obłów nastrojącej, lub gdy sobie upodoba wioskę Indian amerykańskich, wtedy już bywa trudno wypędzić go z niej; tylko upodobaniu myśliwa północnych Amerykanów zawdzięczają południowe prowincje Unii wyrugowanie lub przynajmniej przeszedzenie tego strasznego sąsiada.

Dla samych nawet ludzi jaguar niekiedy bywa niebezpieczny, chociaż nityle co tygrys wschodnio-indyjski, gdyż na człowieka spokojnie w miejscu stojącego lub uzbrojonego, który oka z niego nie spuszcza, długo się patrzy, potem przeleknięty, nieznacznie, powoli ustępuje, a myśląc że już nie jest widziany, spieszenie ucieka. Niespodziane jednak spotkanie się z człowiekiem, przywodzi go także częstokroć do takiej wściekłości, w której pewno pochodzącej z przerażenia, iż zapominając chwilowo o swęj zwykłej przezoźności, rzuca się nań zapaleczywie; zginął wtedy człowiek, jeżeli mu zabraknie zimnej w takim razie krwi Indianina, lub gdy nie jest dostatecznie uzbrojony. O takich walkach, jakkolwiek zwyciężkich, nigdy jednak bez ciężkich ran niekończących się, pełno jest powieści między wszystkimi osadnikami w południowych prowincjach Stanów Zjednoczonych, mianowicie w okolicach, gdzie jest wiele miejsc trzciną zarosłych, bagnistych. Szczególniej nasłuchać się można między kolonistami osiadłymi pojedynczo w lesistych okolicach południowo-amerykańskich, awanturnicznych historyj myśliwskich, w których straszliwy jaguar zwykle znakomitą gra rolę.

Indianie w południowej Ameryce zabijają jaguara po większej części małmi, moeno trującą napuszczeniemi strzałkami, które na wystrzelają dmuchnięciem przez rurkę trzcinową. Taka strzałka, jak ciern, cokolwiek mu tylko w skórze ut-

kwi, na co on nie zważa; gdy tymczasem w kwardrachs trucizna skutecznie działać zaczyna i zwierzę pada łupem swego przebiegłego nieprzyjaciela.— W północnej zaś Ameryce Indianie krawcowcy, i europejscy koloniści polują na nie palną broń, ale przytém niemal zawsze zmuszeni bywają dobijać je kordelasem; albowiem czatujący spokojnie jaguar, nie będąc od razu śmiertelnie ugodzony, gdy zostanie hukiem strzału i zadaniem mu ranami rozdrażniony, rzuca się na strzelca, który ręczną walkę z nim stoczyć musi, a w tój, zwykle dopiero zranione już poprzednio zwierzę trupem położyć potrafi.

Powszechne jest w południowej Ameryce mniemanie, a które również mają wschodni azjatyccy Indianie o tygrysie, że skoro raz jaguar zakosztuje ciała ludzkiego, wtedy szczególnie staje się strasznie drapieżnym, nawet wszystkiemi innemi gatunkami pożywienia pogardza, a za samemi się tylko ludziom uganja. Między Indianami w południowej Ameryce, mianowicie w missyach, panuje zabobonny przesąd, który także dzielają z nim europejscy osadnicy, że niedającego się wypędzić z okolicy jakiegó wsi lub osady jaguara, a często swemi wycieczkami napastującego mieszkańców, uważają za jakiś rodzaj *wilkołaka*, w którego postaci pokazują się i dokuca im upiór występnego i potępionego człowieka. W Gujanie, Brazylii, Ko-

lumbii i w Peru, gdzie szczególnie jeszcze w bagnistych okolicach rzeki Amazońskiej, najęścięj te zwierzęta napotkać można, słyszeć się daje dość często podczas burzliwych tamtejszych noc, w porze ciągłych, międzyzwrotnikowych, ulewnych deszczów, okropne wycie jaguara, z którym gdy połączą swe przeraźliwe krzyki niezliczone stada małp w okolicy, i gdy się z niemi jeszcze pomiesza drżący, głęboko żalony głos kajmana, wszystko to razem sprawia prawdziwie przerażającą koncert.

Jaguar chowany od młodości, okazuje się dosyć łaskawy, cierpliwy; pieśczoły znanych mu osób przyjmuje z podobnem jak kot mruczeniem, swoje radość i upodobanie pokazuje wtedy tak samo jak kot, wijąc się ocieraniem o kraty klatki, albo też ociera się tam i sam bokiem o swego dozorcę, a zbytek ukontentowania wyraża skokami wykonywanymi z taką zwinnością i szybkością, iż ledwo oko zdążyć może za jego poruszeniami. Zresztą chodząc, pazury trzyma w skórce ukryte, a wysuwa je tylko w złości, gdy chce drapać lub zdobyć ulowić; myśkuje więcęj w nocy niż we dnie; samica, jak u wszystkich gatunków zwierząt tego rodzaju, sama zajmuje się strażeniem i wychowaniem dzieci, a nawet kryć je musi przed samcem i odpędzać go stacianiem krwawych walk, gdyby się chciał do nich zbliżyć, gdyż niezawodnieby je pożarł.

K A U K A Z.

Jak daleko zasięga historia, tak dawno spotykamy wspomnienia o górach Kaukazu. Z ich to niebotycznego wierzchołka Prometeusz sięgnął do słońca, porwał ożywczy promień, aby nim nadać życie ulepienemu przez siebie podobienstwu bogów. Jowisz na ukaranie zuchwalca przykuł go do tój samej skały, gdzie sęp wiecznie szarpać mając wewnątrzności. Tu także Jazon szukał złotego runa nad brzegami Phasis, której wody wśród odwiecznych lodów i śniegów na szczycie Kaukazu mają swe źródło.

Chcąc wysledzić pochodzenie nazwania Kaukazu, należy szukać go w językach, któremi w najda-

wniejszych czasach mówiono na międzymorzu Kaukazkiem. Takim właśnie jest język perski, który pod względem wykształcenia przewyższał wszystkie inne tych stron narzecza, a tём samem najzdolniejszym się okazał do tworzenia składanych wyrazów.

Dwa mamy główne wywody nazwiska *Kaukazu* z perskiego języka, i oba zdają się zarówno zbliżonemi do prawdy. *Koh*, *Kuh* i *Kof* znaczą: górę, wysokość, a *Kas* nazywał się łańcuch gór, który, wedle dawnych podań perskich, stanowił północny kraniec świata. Podług drugiego zdania uczonych, Kaukaz znaczy *góry Kaspijskie*, i w isto-

cie, tego imienia lud mieszkał na zachód morza, od niego Kaspijskiem nazwanego.

Kaukaz stanowi w stronie południowo-wschodniej Europy, naturalne już odgraniczenie od Azji. Jego szczyty w tak nieprzerwanym prawie wznoszą się szeregu, jakoby sam duch ziemi chciał tu wzniesić granicę między Europą i Azją, i jako straż tę olbrzymią, białą opokę postawił. To pasmo gór przecina wpoprzek wielkiego łańcucha, dzieląc Czarne od morza Kaspijskiego, zajmując w kierunku z północy-zachodu ku południu-wschodowi 13 stopni długości geograficznej (od 55 do 67 stopnia na wschód Ferro); zaczyna się od szeregu małych wzgórz półwyspu Taman i kończy małemi wzniosłościami na półwyspie Apszeron. Tak jeden jak i drugi kraniec wielkiego łańcucha, tworzą skały trzeciej formacji, a na obu półwyspach wypływają z nich obfite źródła skalnego oleju.

Szerokość łańcucha gór Kaukazkich nie jest jednokową, a najznaczniejsza w stronie wschodniej, bo tu rozdziela się na dwa ramiona. Główne pasmo zdaje się być złożone z trachytu, a przynajmniej takie są jego szczyty. Z nich się utworzyła olbrzymia rozpadlina, i potężny Kaukaz w niebo wyrzucił. Wzniesione brzegi tej rozpadliny mają cechy drugiej formacji; zewnętrzna ich strona widocznie jest zaokrąglona, jakby zgładzona; wewnętrzna poroździerana, najeżona ostrymi załamami. Północne ramie, zwane Kaukazem Andyjskim, jest krótsze niż południowe. Jeszcze jedno, drugiego rzędu, ale osobno ciągnące się pasmo, nazwane górami Kaitach, równoodległe od brzegów Kaspijskiego morza, łącząc się z dwoma głównemi ramionami, opasuje górzystą przestrzeń kredowego pokładu.

Wysokość Kaukazu jest rozmaita; średnio można ją przyjąć na 8—10,000 stóp, chociaż wiele szczytów znacznie jest wyższych. Olbrzym Kaukazu, Elbrus albo Elborus ma 17,350 stóp. Miat-sich-Par, na wschód poprzedniego, dochodzi do 15,500 stóp. Oprócz tych, godne są wzmianki na wschodzie: Szachdag, który liczą na 14,000 stóp, i Kasbek na 15,000 stóp. Andyjski Kaukaz zdaje się nie o wiele niższym od południowego ramienia; Rosyianie w pochodzie swoim na Dargo podawali wysokość jego na 6—7,000 stóp. W stronie północnej znajduje się jeszcze kilka oddzielnych grup czwartej formacji; jedna tylko, nazwa-

na Besztan, jest trachytowa i wznosi się na 4,500 stóp. W téjto okolicy znajduje się wiele źródeł mineralnych, mianowicie siarczanych i żelaznych, które pod nazwiskiem wód Petigorskich bardzo są zwiedzane. Wysokość w której poczynają się odwieczne śniegi a ustaje wszelka roślinność, można na południe liczyć na 8,500 stóp, a na północy o 500 st. niżej.

Mnóstwo rzek, obficie zasilanych śniegami i lodami wysokich szczytów Kaukazu, zbiega się tu z różnych stron; jedne giną w Kaspijskiem, inne w Azowskiem i Czarnem morzu. Znaczniejsze z nich są: na wschodzie Terek i Kuma, ku zachodowi Kuban; pierwsze dwie wpadają do morza Kaspijskiego, ostatnia wpływa razem do Czarnego i Azowskiego. Na południu Rion, rzeka Złotego ru-na, u starożytnych Phasis, zabiera w siebie po drodze Quirilla i Czeniss Zehal (to jest końska noga, u starożytnych Hippos); i wpływa do morza Czarnego. Kur, ma swój początek w wzgórzach armeńskich niedaleko Erzerum, a wpada do morza Kaspijskiego. Nad rzeką Terek, przez dolinę tegoż nazwiska, od niepamiętnych czasów prowadzi droga do zakaukazkich krajów; droga ta od czasu zajęcia Gruzji przez Rosyjan znacznie została ulepszoną i nazywa się drogą wojskową. Jest ona naturalną granicą między dwiema połowami Kaukazu, które zwykle nazywają lewym czyli wschodnim i prawym czyli zachodnim Kaukazem.

Główna część tych gór jest stromą, skalistą, niezdatną do uprawy; północne pochyłości nie są wprawdzie zupełnie nieurodzajne, ale wystawione na północne i wschodnie wiatry, nie mogą się poszczycić bogatą roślinnością. Od południa na stronie gruzyjskiej, wegetacya jest bujna i klimat zachwycający, ale zwrotnikowe upały, jakie tu panują, bardzo są szkodliwe dla cudzoziemców. Winno, kasztany, figi i wszelkie południowe owoce udają się tu niemal bez żadnej uprawy. Skalista część gór Kaukazkich zupełnie bezleśna; za to góry drugiej formacji, a szczególnie zewnętrzne ich pochyłości, jako i pasmo andyjskie, pokryte są najwspanialszemi lasami. Miejscami, olbrzymie te lasy przypominają zwrotnikowe niebotyczne puszcze; gdzieindziej gęstość zarośli niepodobnemi czyni przędzie nawet pojedynczemu podróżnemu. Bukszan i laur pokrywają brzegi lasów i ciągną się w dolinach i wąwozach. Nad brzegami Czarn-

nego morza w dolinie Rionu, jabłoń, grusza i morwa same niekiedy całe lasy stanowią; tam także przez hodowlę uszlachetniają różne tych owoców gatunki i z wielką korzyścią zajmują się uprawą winnic.

Ludność Kaukazu składa się z najrozmaitszych ludów. Arabowie też nazywają wschodnią część Kaukazu: Dszeb el Fath, co znaczy *góra języków*. Ta rozmaitość zdąd pochodzi, że wędrowne ludy w dawnych wiekach nie tylko chwilowo zatrzymywały się w górach Kaukazu, ale nawet u stóp jego osiedlały się. Nowo przybywające ludy wypędzały dawniejszych mieszkańców, a ci cofali się w wyższe, mniej dostępne miejsca, i tam z przeciągiem czasu traciły cechy swoich narodowości. Porównywywać ściśle starożytnych pisarzy, mianowicie Strabona wzorowe opisanie ziemi, z najświeższymi wiadomościami o Kaukazie, przekonywamy się, że około Narodzenia Jezusa Chrystusa te same już ludy mieszkaly w tych górach i pod temi samymi nazwami, jakie teraz tam napotyamy; niektóre tylko tatarskie pokolenia dopiero po Dżengis-Khanie w tych stronach osiadły.

Dzisiejsze pokolenia Kaukazkie można na siedm głównych ludów podzielić, a mianowicie: na Czerkiesów, Abassów, Ossów czyli Osetów, Georgianów czyli Gruzyanów, Czeczeńców, Lezginców i Tatarów. Ormianie i żydzi pojedynczo tylko tam mieszkają. Wszystkie te ludy, wyjąwszy Tatarów, należą do pokolenia indo-europejskiego, nazwanego przez geografów pokoleniem Kaukazkiem, bo nie można zaprzeczyć, że w górach tych znajdują się najpiękniejsi ludzie tego szczepu. Narzecza kaukazkie jak i sami mieszkańcy, bardzo się między sobą różnią; jednakże obyczaje i zwyczaje w całem pasmie gór, od wschodu do zachodu, zachowują się jednostajnie. Zamiłowanie osobistej niezawisłości, pierwszą jest cechą charakteru mieszkańca Kaukazu. Chociaż tu i owdzie dziedziczni książęta używali bardzo rozciągniętej władzy, żaden z nich jednak nie śmiał nigdy zbyt ograniczać swobody osobistej swoich poddanych. Siła fizyczna i osobista energia są jedynymi przymiotami, które mieszkańcy Kaukazu szanuje i którym dobrowolnie ulegają.

W takim stanie rzeczy bardzo rzadko zdarzało się, aby pojedynczy człowiek nad całym ludem taki wpływ wywierał, żeby mu wszyscy we wszyst-

kiem byli posłusznymi. Zwykle wpływ ten nie ciągał się za granicę jednej wioski (aulu); z sąsiedniami zaś wioskami najczęściej ciągle trwały harce. Już w najdawniejszych czasach napotyamy między mieszkańcami Kaukazu zaczepne i odporne przymierza i tak zwane braterskie stowarzyszenia czyli bractwa. Jak u Greków, bractwa te składały się z mieszkańców jakiej doliny lub naturalnie odgranicozonego okręgu; ciałem i duszą jedni dla drugich poświęcali się i miewali między sobą pewien rodzaj komunistycznych urządzeń. Związki te niezmierznie ważnymi okazywały się mianowicie u tych ludów (np. Czerkiesów), gdzie mieszkańcy podzieleni byli na klasy z pewnym rodzajem feodalnych stosunków. Bractwa rozmaite były w liczbie i siłach; niektóre zaledwie z stu głów się składały, w innych po kilka tysięcy liczyły. Członkowie bractwa uważani byli za pokrewnych i dlatego nie mogli wchodzić w małżeńskie związki między sobą. Ojcu narzeczonej płaciła się pewna, niekiedy bardzo znaczna summa; jeśli więc narzeczony nie był w stanie zapłacenia jej, zwykle całe bractwo składało się dla uzupełnienia potrzebnej kwoty. Przy napadach na równiny północne, lub żyzne okolice południa, najstarszy z bractwa, jeśli wiek i słabość ciała i umysłu nie były na przeszkodzie, przewodniczył w walkach, dzielił zdobycz i był sędzią w czasie pokoju. Praw pisanych nie było, jednakże własność osobista tak powszechnie była szanowaną, że zamki i rygle z nazwiska ledwie były tam znane.

Synowie żenią się bardzo wcześnie, ale długo jeszcze pozostają przy ojcu nim na własne wyją gospodarstwo. Hodowanie bydła i rolnictwo stanowią wyłączne zatrudnienie męczyzn; kobiety zajmują się domowym gospodarstwem, i w tkaniu, szyciu a nawet haftowaniu z wielką zręcznością słyną. Płeć żeńska nie jest tu tak poniżana jak na wschodzie; używa ona owszem wielkiej swobody i prawie nigdy nie zasłania twarzy. Uszanowanie dla starości, gościnność i zemsta familijna, odpowiadająca zupełnie korsykańskiej *vendetta*, od wieków zachowuje się między ludami Kaukazu. Nietylko młodzieńce, ale i dojrzały mąż wstaje przed starcem i nie siadzie bez wyraźnego zezwolenia; posłuszeństwo synów dla ojca jest ślepe i nieograniczone. Matka rodziny używa także szczególnego, niejako świętego przywileju: ob-

cy, nieprzyjacieli, morderca nawet, ścigany przez krewnych zabitego, jeżeli tylko schroniwszy się do jakiego domu, dotknąć zdołał piersi gospodyni, która zwykle uprzejmie wychodzi naprzeciw każdemu w dom jej przybywającemu, natychmiast staje się netykalnym pod dachem tej rodziny, bo przez dotknięcie piersi gospodyni stał się jej dzieciem.

Jak w obyczajach i zwyczajach, tak i w mieszkaniach i w ubiorze na całej rozciągłości Kaukazu objawia się niejaka jednostajność. Gdzie lasy bliskie, tam domy budowane są z drzewa, gdzie zaś brak tego materiału, zastępują go kamieniem. Zwykle dom mieszkalny ma jedno piętro, często jedną tylko izbę, w której, w biedniejszych, nawet i bydo się mieści. Cokolwiek nad ziemię wzniesione postanie dla ojca rodziny, jeden lub kilka niskich trójnożnych stołków, stanowią zwykle całe umeblowanie domu, a wielki żelazny kocioł; kilka drewnianych czarek, kilka glinianych naczyń do mleka i wody, i kilka drewnianych łyżek, cały sprzęt gospodarski. Zamiast szklanek i kielichów używają rogów wołowych; u bogatszych zastępują je rogi koziorożca. Piece do chleba są bardzo rzadkie, zwykle małe okrągłe bochenki pieką się w popiele. Najpospoliej robią chleb niekwaszony. Nad brzegami Czarnego morza zamiast chleba używają ciasta z jaglanej maki bez soli i tłustości. Proso i kukurydza, szczególnie na zachodzie, zastępują pszenicę w dolinach, a jęczmień powszechniejszy w górach. U bogatszych zabudowania gospodarskie bywają oddzielne od domu mieszkalnego, a w leśnych okolicach posiadłości otoczone są płotami.

Ubiór mieszkańców Kaukazu tém głównie różni się od innych wschodnich, że jest obcisłysz i przez to bardziej do naszego zbliżony. Koszule noszą tylko bogaci. Strój męski składa się z podwójnej sukni. Wierzchnia bardzo podobna dawnym czamarom, ale bez kołnierza; zamiast sznurów na wszystkich szwach znajdują się plecione taśmy lub galony. Suknia ta robi się zwykle z welnianej lub włosianej tkaniny, pod nią noszą drugą suknię bawełnianą, nieco krótszą, watowaną, z przodu na guziki i pętlicę zapinaną. Skórzany pas przytrzymuje zwierchnią suknię; za nią w tyle zatknięte są pistolety i krótka fajka; z przodu zaś długi, prosty kindżał, podobny do krótkich, obo-

siecznych rzymskich mieczy, obok niego wisi krzesiwko i puszka z tuszem smarowidłem. Szarawary, zamiast szelek, przymocowane są sznurem nad biodrami ściągionym. Buty mają wysokie podpiętki i zadarte nosy. Głowę pokrywa watowana, półkulista czapka szerokim pasem futrzanym otoczona; na Wschodzie najpospoliej używają na nią białe futro kozie, u zachodnich zaś ludów najczęściej czarny krótki baranek. Oprócz wspomnianego wyżej sztyletu, mieszkańcy Kaukazu noszą jeszcze skrzywioną nieco szablę i długą flintę z cienką kolbą.

Ubranie kobiet u pokoleń zamieszkujących górzyste okolice jest bardzo proste, często bowiem składa się z jednej błękitnej obszerniej sukni. Szerokie, ciemno-brunatne szarawary prawie wszędzie są używane. Głowa zwykle jest odkryta, a piękne włosy w warkocz splecione. U bogatych rodzin kobiety pozwalają sobie większego zbytku w ubraniu. Miejsce opisanego prostego stroju zastępuje wtedy jedwabna, z obcisłym stanikiem, za kolana sięgająca suknia, a na nią kładzie się aksamitna, futrem lub złotem i srebrnemi galonami obszywana kacakawka. Spodnie do tego ubrania najczęściej używane bywają z żółtej jedwabnej materii. Gdzie na takie ubranie wystarcza, tam i mieszkania są wygodniejsze, złożone z kilku izb i najczęściej mieszkania kobiece od męskich oddzielone.

Ludność w górach daleko liczniejszą jest jak na równinach. Liczbę jej z niejaką pewnością oznaczyć jest dotychczas niepodobniestwem. Podług zbliżonej rachuby ma być:

1. Czerkiesów	280,000 dusz.
2. Abassów	140,000
3. Ossów	60,000
4. Georgijskich górali	50,000
5. Czezeńców	110,000
6. Lezgińców	400,000
7. Pokoleń tatarskich	80,000

Razem więc 1,200,000 dusz.

Zaczynając od zachodu, to jest od brzegów Czarnego morza, naprzód napotyamy *Czerkiesów*. Nazwa ta podług niektórych pisarzy miała znaczyć zbójców, odrzynać głów, zdaje się jednak, że najpewniej powstała z nazwiska Kerketów, którzy za najdawniejszych greckich czasów nad brzegami Czarnego morza zamieszkiwali. Dziś nadbrzeżni mieszkańcy nazywani bywają Adygami, a nazwa Czerkiesów służy właściwie tym, którzy

zaludniaja Kabardę nad rzeką Terek. U Adygów do końca osmnastego wieku panował system feudalny; lud dzielił się na cztery klasy: książąt, szlachtę, wolnych i niewolników. Obecnie ten ma największą wpływ, kto się najbardziej walecznością i energią odznacza. W Kabardzie, która od roku 1774, tojest od zawarcia pokoju w Kutzuk-Kainardzi podlega władzy rosyjskiej, zachowano dotąd feudalizm. Cerkiesy powszechnie wyznają religię mahometańską, równie jak większa część Adygów; reszta są to właściwie poganie, chociaż trafiają się między niemi ślady chrześcijaństwa, a mianowicie wielkie uszanowanie dla krzyża.

Abasowie już także przez starożytnych pisarzy wspomniani są, jako zamieszkujący wschodni brzeg Czarnego morza. Obecnie mieszkają oni na wschód Adygów, od brzegów Czarnego morza aż do brzegów drugiej formacji gór; kilka ich wiosek znajduje się także w okolicy Betsau. Nowsi pisarze ludom tym nadają dwa oddzielne nazwiska. Tych którzy na południu i zachodzie rozciągają się od morza aż do gór i z Cerkiesami graniczą, nazywają Dzygetami; Abasami zaś mianują mieszkańców bardziej ku południowo-wschodniej stronie osiadłych, którzy od 1823 roku poddali się berłu cesarsko-rosyjskiemu. Jedno rozbójnicze góralskie pokolenie nazywane Zibeldami już w roku 1836 zostało upokorzone, drugie w wyższej dolinie Bsyb mieszkające, dotąd utrzymuje się w zupełności. Abasowie ciemniejszą mają cerę od Cerkiesów i między wszystkimi ludami kaukazkiemi najbardziej odznaczają się dzikością i brakiem cywilizacji. I tu równie jak u Cerkiesów napotyka my islamizm, chrześcijaństwo i poganizm.

Nieliczne *Ossów* plemię zajmuje góry na zachód od wielkiej wojskowej drogi, aż do źródeł Rionu, tudzież wielką równinę na zachód od twierdzy Władykaukaz, ciągnącą się aż do pasma trzeciej formacji gór, nazwanego Pszechsz, i które odgranicza ich od Kabardyńców. Bardziej ku południowi mieszkają Dwaletowie; ci kiedyś wyznawali religię chrześcijańską, ale z czasem zapomnieli wszystkich jej obrządków. Właściwi Ossowie, bardziej na północ rozciągający się, są mahometanami. Jedni i drudzy poddali się berłu cesarsko-rosyjskiemu.

Georgijskie pokolenia rozsypane są prawie po całym Kaukazie, w pomieszaniu z innemi; ale ci

których liczbę podaliśmy tylko na 50000, właściwi Georgianie czyli Gruzycanie, zamieszkują przestrzeń między właściwym i niższym Kaukazem, całą dolinę Rionu, całe górne nadbrzeże Kura, i część gór Onitsep i Tszoruk. Najwyżsiej, bez pomieszania z innemi ludami, utrzymali się dotąd zachodnie góralskie pokolenia. Tworzą one w części rodzaj rzeczypospolitej, w której wszyscy są równomi; ci nazywają się Swanami lub Swanetami, reszta zaś podlega obcym książętom. I tak, mieszkający nad rzeką Końską (Zheniss-Zchal) ulegają władzy Mingrelii, mieszkańcy doliny Ingur dwóch mają książąt nad sobą. Prawie wszystkie pokolenia Georgian, wyznają religię chrześcijańską, ale obrządku jój mało są tam zachowywane.

Nazwisko *Czeczeńców*, właściwie odnosiło się dawniej do mieszkańców jednej wielkiej, sławnej z rozbojów wioski; w ostatnich czasach nazwa ta rozciągnięta została do wszystkich ludów zamieszkujących kraje między główną drogą wojskową, głównym ciągiem właściwego, a następnie andyjskiego Kaukazu i rzeką Terek. Większą ich część składają pokolenia tatarskie, zachowujące nawet język tatarski. Zachodnie pokolenia odróżniają się nazwą Inguszów, których część, mianowicie w bliskości Władykaukazu, podlega berłu rosyjskiemu równie jak mieszkańcy Tatarzy nad rzeką Sunżą; reszta od kilkunastu lat w ciągłej zostaje wojnie. Większa część uważa się może za pogan, ci zaś którzy wyznają chrześcijańską religię, okazują dla niej największy fanatyzm.

Lezginy, prawie bez wyjątku mahometanie, zamieszkują przestrzeń między dwoma głównemi ramionami Kaukazu, aż do morza Kaspijskiego. Na południu przeszli oni za główny łańcuch gór i osiedli w dolinie Alasan. Wzdłuż morza Kaspijskiego, szczególnie na północ, mieszkają między niemi Tatarzy, a w Kaitah, na północ od Derbentu, znajduje się 12 wsi zamieszkałych przez Turkomanów. Jeszcze z czasów dawnego panowania perskiego pozostały w kraju Lezginców, mianowicie na Wschodzie, niektóre księstwa, i władza tych książąt do dzisiejszych czasów jest uznawaną. Księstwa te, przystępniejsze niż głębiej położone wsie, których mieszkańcy zachowali między sobą równość i swobody, zostają w stosunkach z Persami i w nowszych czasach więcej są znane. Część zawarta między górami Kaitah i morzem

Kaspijskiem nazywaną jest teraz Dagestanem, to jest krajem gór. Kraj ten liczy ośm księstw, zostających prawie zupełnie pod bezpośrednią władzą Rosyi.

Zpomiedzy tatarskich pokoleń, które jak się zdaje za Dżengis-Khana dostały się na równiny, a później w góry wypartemi zostały, najznaczniejsze nosi dotychczas nazwę Noghajów; jest ono rozsypane na północnej i wschodniej stronie Kaukazu. U stóp Elbrusu, na stronie północno-zachodniej, zamieszkuje pokolenie Karatszaj, albo Karaczerkiesów, a zaś część wschodnią, u stóp téjże góry, zajmują Mulkarowie. Pierwsi obierają sobie starszych, ostatni ulegają kabardyńskim książętom. O Tatarach i Turkomanach w kraju Czezeńców jużśmy wyżej wspomnieli; pozostaje więc tylko nadmienić jeszcze o Kumykach, na południe rzeki Terek, którzy niewątpliwie są tatarskiego, a może nawet nogajskiego pochodzenia. Dawniej słynęli oni z największych rozbojów, ale Rosyianie już dawno ich podbili i położyli zupełnie koniec rabunkom.

Wśród tego chaosu plemion, można jednak uchwycić kilka wspólnych rysów podobieństwa w zwyczajach i charakterze. U wszystkich prawie znajdujemy zamilowanie samotności, wyrodzone w rozpasanie osobiste, zkąd skłonność do rozbojów i grabieży. Ukraść człowieka z pokolenia nieprzyjawnego jest u nich czynnem bohaterskim; ukraść go z plemienia przyjaznego jestto, wedle nich, postępkiem zaszczytniejszej złośliwości. Zwyczaj ten w całej mocy zachowuje się głównie u Adygów, Kistów i Czezeńców, i zdaje się wyplywem ich wychowania nadzwyczajnie charakterystycznego. Nowo-narodzone dziecko przez dwadzieścia cztery godzin bywa wystawione na ostrość powietrza; po upływie roku przedstawiają mu jakąś lalkę i broń. Szczęśliwy ojciec, którego syn wybierze broń. Aby tklwsze uczucia nie stępiły okazywanego już hartu, bywa zaraz usunięty od rodzinnej strzechy. Ćwiczenia ciała, odwaga, zwinność i złośliwość do kradzieży, stanowią całe ich wychowanie. W siódmym roku to dziecko jest doskonałym jeźdźcem i celnie strzela z fuzji i łuku, a wten czas jest skończonym człowiekiem, jeśli okazał dowody spełnionych przez siebie rozbojów i kradzieży, które wysłedzonemi nie zostały.

Wypada nam jeszcze powiedzieć słów kilka o historycznej ważności Kaukazu.

Wielkie te góry były w odległej starożytności naturalną granicą ucywilizowanych narodów przedniej Azji; granica, poza którą ku północy, najzupełniejsza ciemność panowała. Dzikie, koczujące ludy mieszkaly tam w nieskończonych równinach, i zdawały się nieprzystępnymi wszelkiej oglądzie. Grecy nazywali ich ogólnem imieniem Scytów, Georgianie Chazarami. Te dzikie hordy wdierały się niekiedy przez wawozy gór swoich do ucywilizowanych południowych krain, i niezmiernie żrządzaly w nich spustoszenia. Już przed panowaniem Cyrusa wspominają o wielkim pochodzie Scytów, którzy się po całej Azji rozlali. Dlatego władcy perscy jako najbliżsi, w najdawniejszych już czasach starali się zbrojno zająć owe wawozy.

Dzisiaj znamy tylko dwie drogi, prowadzące z północy na południe; jedną jest wspomniana już droga wojskowa, druga ciągnie się wzdłuż brzegów Kaspijskiego morza. Ale dawniej istniały dwie inne jeszcze drogi, a z tych jedna szczególnie sławną była pod względem handlowym. Prowadziła ona w dolinie Selendzuk, przez góry, w dolinę Kador, do sławnej jeszcze przed Chrystusem Dioskoryady. Mieszkańcy Dioskoryady dla zasłonięcia się od rabunku okolicznej dziczy, przecięli tę drogę murem, którego ślady dziś jeszcze znajdujemy w Cibelda. Druga droga prowadziła przez wielką Kaborę, również po grzbiecie gór, na dolinę Riannu i wzdłuż téj rzeki do Immertyi i Mingrelii. Chazarowie często tą drogą wpadali na żyzne pola Gruzji, i dlatego władcy tego kraju, w najważniejszym miejscu téj drogi, wzniesli podobnież mur w wawozie, który nazwano Chasno-Kari, co w miejscowym narzeczu najpewniej znaczyło *brama Chazarów*.

Trzecia, dzisiejsza wojskowa droga, jest niewątpliwie najważniejszą. Ciągnie się ona w dolinie Terek, w górę przez stronne grzbiety na dolinę Aragua ku Tyflisowi. Dwa tu są wawozy: północny obok Derbentu, najslawniejszy w Kaukazie, znajduje się tam gdzie rzeka Terek na południe Kasbeku przerzyna góry, południowy zaś w dolinie Aragua, przy dzisiejszej Mtiult-Kari (*Brama góry*); oba te przejścia były także niegdyś zamknięte murami, których ślady dziś jeszcze istnieją.

Obecnie północnego przejścia strzeże warownia Władykaukaz.

Czwarta droga, która się ciągnie wzdłuż Kaspijskiego morza, w dawnych czasach może najważniejsza, prawie w połowie była podwójnym murem przeciętą. Tu była brama bram, (Bab-al Abwab) i brama żelazna (Bab-al Hadid) zwykle nazywana Derbent, który Mahomet nazwał ostatnią bramą islamizmu (Bab-ul Islam) i na który jeszcze Naszirwan, a po nim Harun al Raszyd słusznie swoje uwagę zwrócili. Później Derbent stracił swoje ważność, kiedy przednią część Azji nie miała już żadnego trwałego mocarstwa. Tym podwójnym murem, wewnątrz którego liczna ludność osiadła, zamknięto wprawdzie tę drogę, ale ponieważ żądzie ludy północy przez pobliskie wzgórza przedzierali się jeszcze na południe, wzniesiono więc i na tych wzgórzach pojedynczy mur na 12 godzin drogi rozciągający się, znany pod nazwą muru Kaukaskiego. Wspominają jeszcze bramę Alanów (Bab al Lan), która podług jednych jest tym samym co Derbent, podług innych znajdowała się głębiej, wokolicy dzisiejszej wsi Kuwet-szi. Drugi wąż na drodze o której mówimy znajduje się u skalistych, ostrych gór Beszparmak, pod dzisiejszą wsią Chydirsind. W tym miejscu aż do początku naszego stulecia pobierano opłaty celne.

Ludy kaukaskie, po największej części, aż do ostatnich czasów utrzymywały swoje niezawisłość. Persowie wprawdzie wielokrotnie usiłowali podbić przynajmniej wschodnią połowę Kaukazu, ale nigdy, ani na krótki czas nawet, nie osiągnęli zupełnie swego celu. Przysłowie, że królowie perscy kiedy im zanadto dobrze się powodzi, udają się na Kaukaz" kilkakrotnie sprawdziło się, mianowicie w nowszych czasach za Nadir Szacha. Dwa

razy tylko wpływ perski dał się tu przynajmniej cokolwiek uczuć, to jest w szóstym wieku za Naszirwana i w szesnastym za Abbasa Igo. Pomimo ogromnych wojsk jakie Arabowie na wschód Kaukazu wysyłali i znacznego osiedlania się tam arabskich pokoleń, władza ich nie rozciągała się dalej jak na brzegach i po Derbent, i bardzo krótko trwała. Mongołowie pod Dżengis-Khanem i jego następcami nie usiłowali nawet podbić Kaukazu, a Timur, pomimo nadętych opisów zwycięstw, jakie tu miał odnosić, nie mógł się ani na chwilę w Kaukazie utrzymać. Naczelnicy Złotej hordy nie próbowali tu wcale szczęścia, ale za to hanowie krymscy w nieustannej zostawali wojnie z Czerkiesami, a szczególnie Kabardyńcami, których nawet kilkakrotnie, choć na krótki czas, do uległości zmusić zdołali. Zachodnia część Kaukazu, bardziej jeszcze niż wschodnia, umiała utrzymywać swoje niepodległość, wiemy bowiem, że nawet waleczny Mitydat, nie mógł tu wyprawy swojej pośunąć. Grecy wprawdzie założyli kilka osad, ale wpływ ich nigdy do gór nie mógł się rozciągnąć; dopiero cesarze bizantyńscy wpływ ten przez wprowadzenie religii chrześcijańskiej na niejaki czas osiągnęli.

Środkowa część Kaukazu była, tak w dawniejszych jak i w nowszych czasach, niekiedy, mniej lub więcej, zależną od królów Gruzji, a mianowicie byli oni panami drogi wojskowej. Od 1800 r. jak wiadomo Gruzja przeszła pod berło rosyjskie, a obecnie prócz właściwej Gruzji, należą tu jeszcze prowincje ormiańskie z stolicą Erywan i drugiem znacznym miastem Nachiczewan, tudzież siedm prowincji muzułmańskich: Karabaj, Szyrwan, Szekin, Taliszyn, Kuba, Baku i Derbent.

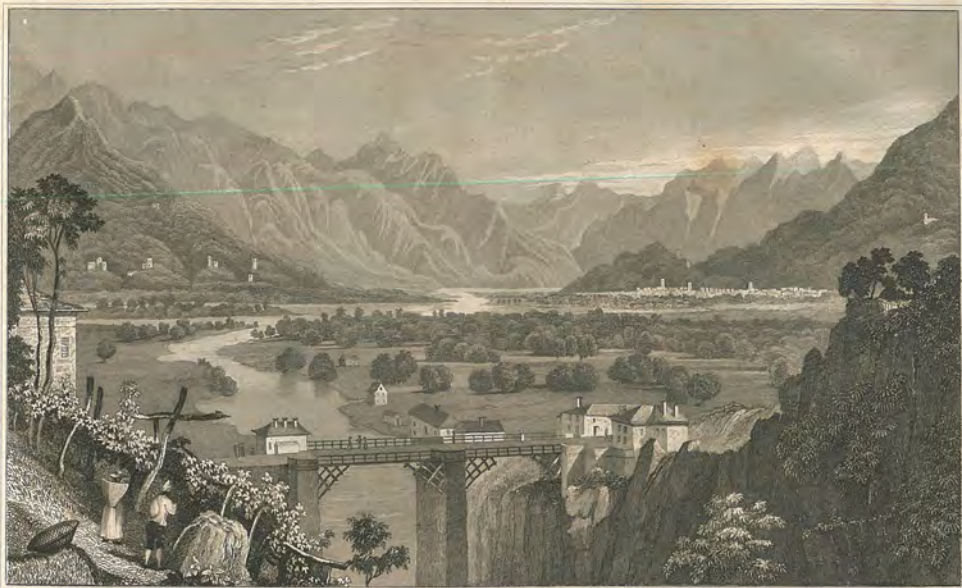
S.

— DOMO D'OSOLA.

Cudny i zadziwiający jest widok, jaki przedstawia Domo d' Osola, pierwsze od granicy Włoch miasto, oczom podróżnego, który tylko co się wy dostał z zimnych czeluści skał i długich, wilgotnych, jakby podziemnych galeryj, drogi przez Simplon wiodącej. Wędrownicy, co wszystkie prze-

ścia przez Alpy znają, temu nad inne przyznają pierwszeństwo, bo nigdzie uroczy kraj Italii tak nagle, tak odrazu i bezpośrednio w całej swej niezrównanej krasie przed oczy nie staje, jak tutaj.

Okolice Domo d'Osola uśmiecha się do nas niewypowiedzianem powabami: śród liści wyniosłych



Domo d'Ossola.



Thun.

drzew zwieszają się grona winnej latorośli, wijącej się w sploty, częstokroć przepyszne altany tworzące. Tam ciągnie poważnym pochodem uroczysta processya, do której łączą się tłumy kornego a wesołego ludu; domy tu większe i lepiej budowane jak w Szwajcaryi, kobiety ubierają się w barwy jaskrawsze; po ich ruchach, wyrazie twarzy, poznasz natchmiast, że inne to, dorodniejsze plemię od tego, coś je za niebotycznym murem Alp zostawił. O! i sztuka ludzka w nieprzejrzanym postępie łatwo kiedyś może dojść do zwałenia, do zatarcia, do całkowitego zniszczenia, tak jakby go wcale nie było, tego muru olbrzymiego, ręką natury za wal plemionom rzuconego.

Dzisiejsze miasto Domo d'Ossola niegdyś było tylko warownym zamkiem. Teraz znaczenie jego podniosło się, mianowicie skutkiem drogi przez Simplon wyprowadzonej i jarmarku corocznego, na który okoliczni mieszkańcy gromadnie się zbierają, celem zakupów wszelkiego potrzebnego im towaru. Od jednego do drugiego końca osady idzie szeroka ulica, przez którą, jak przez lunetę, na wskrós widać szeregi domów, choć niezbyt pięknych, ale starością swą zgrzybiałą przemawiających, a na ich przodzie wszędzie wznoszą się słupy tworzące rodzaj pokrytego, obszernego przedsienia, gdzie tak w pogodę jak i w niepogodę, zamilowany w świeżem powietrzu Włoch, lubi przebywać, pracować i godziny ukochanego czasu pędzić.

Niepodobna przy wspomnieniu lubej tej osady pominąć rzeczy najważniejszej, a tą jest mianowicie *droga bita przez Simplon*, stanowiącą najwyśleszjczy wierzchołek Alp Lepontyńskich. Wielkie to dzieło wielkiemu winno swój początek człowiekowi; a i wiedziećby o tém nie trzeba, kiedy sam nań spojrenie wbiłoby w umysł przekonanie, że tytańska to dłoń być musiała, co pierwsza takiego przedsięwzięcia się jęła. Napoleon tę drogę zbudował i w roku 1805 dokończyć kazał. Jestto jedna z najznakomitszych pod względem wykonania dróg na ziemi całej; znajduje się na niej 264 mostów po większej części nadzwyczaj śmiało rzuconych i kilkanaście galerij strasznych, kutych, i wysadzanych prochem w granicie, z których galerja Gondo blisko 700 stóp długo się ciągnie; droga sama wszędzie prawie 24 stóp jest szeroka, i dla wszelkiej jazdy wygodna.

KSIĘGA ŚWIATA

Z Domo d'Ossola prostą jadąc drogą, napotyka się niedaleko Crevola, gdzie prawdziwa, w pełni swęj natura włoska walczy jeszcze z surowym klimatem alpejskim. Łąki zielenią się tu jeszcze, ogrody wyskakują tu i owdzie. Zaledwie jednak ztąd się wyjedzie, wszystko już dalej obumiera i martwieje. Zaraz za Crevola olbrzymi most zachwale rzucony spoczywa na filarach 100 stóp wysokim, o którego słupy rąca Doveria spienione rozbija fale. Poza mostem, na kroków niewiele, wchodzi się w pierwszą galeryą podziemną, w skale 170 stóp szerokiej wykutą. Doveria żywa zrazu nadzwyczaj i hałaśna przeprowadza podróżnego, uspokoiwszy się tu nieco, aż do drugiej galeryi, nie tak już długiej jak pierwsza, ale cudny przedstawiający widok, przy wnjęciu do niej, straszną czarnością skal, zielenią drzew porozrzucanych, i nagłym huczącym spadkiem strumienia, w który tu tysiące kaskad spływa. Jak pierwsza galerya od Crevoli, tak druga od Iselli, wioski w pobliżu leżącej, miano swe bierze. Isella milszy już i weselszy widok przedstawia: łąki się ciągną wokół szczyplęj osady, na drzewach owocowych już nie zbywa. Dalej droga wiedzie śród grupy domów w Balmerei i S. Marco, i doprowadza do wioski Gondo, gdzie przy skromnej kaplicy i kilku nędznych domkach, jak olbrzym wznosi się austerya czy hotel ośmioletowy, wygodny wypoczynek podróżnym zapewniający. Odtąd droga ciągle idzie w górę między straszniemi massami granitów, obok Doverii, która nas nigdzie nie opuszcza i łączy się tu z Frapinone co z łomów lodowego morza cichutko się wysącza. Nad wrznięciemi ślami ożenionych wód ich wiedzie śmiały most, wprowadzający do słabo dziennem światłem udarowanej galeryi Gondo, której wybićm zajmowało się przez 18 miesięcy tysiące ludzi. Rozpoczęto ją razem w czterech miejscach, i dniem i nocą, bez ustanku pracowano. Na wchodzie doń napisano dużemi literami: *Aere italo* 1850.

Wyszedłszy z galeryi znów trzeba przebywać Doverię, która uściskiem swym objęła skalę wokół. Straszliwe, wspaniałe wprawdzie, ale ogromem swym pierś czleka przygniatające massy granitów, dziec, puszcza wszędzie, gdzie spojrzysz! Teraz już stoimy na wallijskim gruncie w włoskiej Szwajcaryi. Przepyszny most łączący dwa wielkie łomy skal, znów przeskakuje przez Doverię i daje z swęj

wyniosłości widok tej strasznej równiny, którąś-
my dopiero przebyli.

Od tych miejsc ściany skał tak się zacieśniają, że
niema już miejsca, jak tylko dla drogi i wazkiego
strumyka; chaty i pola okoliczne nikną już zupeł-
nie. Na 2,000 stóp wysoko nad sobą widać tylko
cieniutki, niebieskawy pasek, który nam blade
zsyła światelko w tę przepaść piekielną; wśród cie-
mności dochodzi się do czarniejszej jeszcze gale-
ryi Gabbio, na 115 stóp długiej, wiodącej do do-
mu przeznaczonego dla robotników drogowych
i dla podróżnych w czasie niepogody.

Wioska Simplon opodal na drodze leżąca wżno-
si się 5,000 stóp nad poziom morza Śródziemne-
go. Mimo najusilniejszej pracy niewdzięczna zie-
mia wydaje mieszkańcom nędzne zaledwie rośliny.
Zima tu panuje blisko przez dziewięć miesięcy. Ale
ruch znaczny na drodze sprowadza tu wiele życia.

Za wioską Simplon, widok już przyjemniejszy,
jaśniejszy; zieloność po trochu się pokazuje, po-
ciecha w serce wpływa. Ale niedługo je ożywia,
bo znowu za domkiem na przystulek zbudowanym,
idzie w górę droga i doprowadza do najwyższego
poziomu 6000 stóp wyniosłego. Ztąd już widać
Rodan, cały Wallis i te śliczne Alpy szwajcarskie.
Widok ten przyjemny towarzyszy nam aż do ga-
leryi lodowej (Gletschergallerie), gdzie okupująca
z szelestem woda, wśród blado dochodzącego świa-
tła, cudowne, mianowicie w porze ostrzejszej, gdy
się w lód ścina, przedstawia widoki; jest coś urocz-

przerazającego w tych scenach fantastycznych,
ale zimno przejmujące i jak świder wrętny prze-
ciąg wiatru nie pozwalają na długi tu pobyt.

Już też czas skończyć z temi ponuremi wido-
kami, z temi okropnościami; już ich dosyć!.. poże-
gnajmy się z nimi, bo teraz zstępując na dół, już
tylko czekają nas obrazy wesole, wspaniałe, uśmie-
chające się, rozkoszne. Katarakty, przepaści, sza-
lone strumienie, śniegiem pobielone skały, a wśród
tego wszystkiego uroczę równiny różami i rodo-
dendronami posiane, śmiejące się łąki na wybrze-
żach Rodanu, mglisto gdzieś wdali przebijające
miasta i osady, a wokoło wspaniały i śliczny amfi-
teatr gór walijskich, obrzuconych zielenią, kaszta-
nami, winem, a wieczne lody górą kryjących; wszy-
stko zachwyca najzimmiejszego widza, w uniesie-
nie, w zapomnienie że się żyje życiem zwyczaj-
nem, codziennem, wprowadza. Zdaje się nam, że
niebiańskim oddychamy powietrzem; niema pió-
ra coby zdolne opisać nawał i potęgę przejmują-
cych serce uczuć. Najprzepyszniejszy to punkt
z całej podróży, ale też i najniebezpieczniejszy, bo
najczęściej się tu lawiny zwalają.

Teraz już prędko pędzi się ku dolowi, jeszcze
kilka mostów, galerya jakaś, osady, jeszcze kilka
spojrzeń na ten cud dłoni ludzkiej wężykim zwi-
żający się ku dolowi, na tę drogę olbrzymia i już
jesteśmy w Ried; chwil kilka jeszcze, a tu i Brieg
i droga przebyta.

X. B.

— THUN.

(z DZIENNIKA PODRÓŻY.)

Jeżeli któremu z czytelników zdarzy się kiedy
w życiu, wyruszyć z pięknej stolicy berneń-
skiego kantonu w Szwajcaryi, na wycieczkę do
Thun, to przepowiadam mu i jestem tego pewny,
że w piersi jego mimowolnie zakolacze jakieś uczu-
cie twódlive, a zarazem radosne oczekiwania, nie-
pewności, na samą myśl, że cały ów widok, któ-
rym się nieraz napawał przy promieniach przepy-
śnie zachodzącego słońca z tarasu berneńskiego,

który z takim uniesieniem podziwiał, za chwilę
przedstawić się ma jego oczom zbizka, tuż, jak na
dłoni.

Coraz bliżej podsuwają się wtedy łagodne
kształty zielonego podgórza, a lśniące grunie
i szczyty wdętych gór choć się na chwilę umykać
zprzed oczu zdają, to tylko napozór, gdyż zaraz,
jakby mimo chęci, wyszczerzać się znów muszą,
aby nas przygotować do wspaniałego widoku, któ-

ry dla tych co nigdy jeszcze Alp nie zwiedzali, prze-
rażające istotnie gotuje wrażenie.

Ludziom dojrzałym, co w długim, ku schyłkowi
już skłaniającem się życiu, mieli czas i sposobność
wielokrotną przyjrzeć się różnolitym objawom na-
tury i którzy do jej wspaniałości nawykli już niejako,
niepodobna uchronić się tych uczuć podziwu i za-
chwyty; umysły zaś młodzieńcze, świeże, palające,
żądne wrażeń, upadają prawie i trzęsą się pod
ogromem tych cudnych scen i obrazów martwej
natury, i tak silnych wzruszeń od nich doznają, że
ślad ich niezatarty po grobową deskę towarzyszyć
im będzie. Jakiegobądź później czekają ich losy, ja-
kiegobądź dole zaskoczą, siła tych wrażeń nazawsze
pozostanie. Wspomnienie ich w chmurnych dniach
życiowej duszy im pocieszy, trosk ulży, nieszcze-
ściu całym ciężarem swego ogłuszającego jarzma
przywalić nie da. Ale o ileż skuteczniej, silniej
w chwilach swobodnych zadowolenia, szczęścia
ziemskiego, wspomnienia te podnoszą powab blo-
giego spokoju; jakąż rozkoszą, jak przejmującym
napawają uczuciem, kiedy dotknięciem ich oży-
wiona myśl wylewać się może potokami żywego
opowiadania, co samo nam przed oczyma niegdyś
widziane obrazy stawia, a przysłuchujących się
widocznym zachwytem przejmując, i wraz z nami
w dalekie krainy, w uroczę strony przenosi.

Jednym z tych cudnych, nieporównanych i ni-
gdy niezapomnianych dla każdego, kto je raz wi-
dział miejsce, jest Thun. O! każdemu, każdemu,
co choć drobnociębną w sercu nosi iskrękę uczu-
cia i wrażliwości na przepychy natury, życie, ale
to z duszy całej życie, aby doczekał, w życiu
swém takiego ranka, jaki ja miałem przypatrując
się Thunowi w jasny dzień letni, zaraz po wscho-
dzie słońca, w wyniosłego za miastem omentarza,
z kądem oko obejmuje całe, szeroko rozlane jezioro,
wtłoczone między malownicze skały szczyty i su-
nące się potulnie pod same stopy poważnej, śnie-
żnogłowej *Jungfrau*. Życzę mu takiej chwili raz
choć w życiu, i przekonany jestem, że policzy ją
do najmiłszych, do najwznioślejszych jakie mu
w pasmie dni swoich pochwyty się zdarzyło!

Samo miasto Thun nie jest wielkie ani znaczne;
domy tam i budowle nie dadzą się nazwać piękne-
mi; na ulicach nie ujrzyś ani licznych, ani świe-
tlnych tłumów ludu; cechą jego najpięrszą to, że
wygląda nawpół jak wioska, nawpół jak mia-

steczko i sam odrazu nie wiesz jakie mu nadać
miano.

Ale położenie jego przy wypływie rzeki Aar,
z jeziora Thun, nadaje mu pierwszeństwo, sród li-
cznego rodu innych miast dumnych i czyni
zeń niejako placówkę niezliczonego mnóstwa podró-
żników, z całej Europy tu napływających. Liczba
mieszkańców tej ustronnej, precudnej siedziby,
nie przekracza niezawodnie 3000 ludzi, których
najznaczniejszą część żyje z cudzoziemców podró-
żujących; zajmują się przytęm jakim przemysłem,
a mianowicie uprawą tytoni i wyrabianiem domo-
wym sposobem słynnego kirschwasseru.

Na ładniuchym, wygodniutkim choć małym
żelaznym parostatku przejeżdża się całe jezioro
od końca do końca. Dobiwszy do ujścia Aary, wi-
dać długie brzegi wokoło, i jednym rzutem oka
przebiegasz całą zwierciadlaną powierzchnię spo-
kojnego wód przezrocza. Długość jeziora obliczają
na 54,000 stóp, a szerokość na 17,000 stóp prze-
szło. Powierzchnia jego wznosi się o 1,780 stóp
nad poziom morza Śródziemnego, a głębokość
w przecięciu dochodzi stóp 700. Jeżeli zatem co
do wielkości i materyalnej niejako potęgi swój
ustąpić ono musi pierwszeństwa takim jeziorom,
jak Genewskie, Zurichskie lub Viervaldstaele,
to przecież w piękności, w potęgę swęj malowni-
czości, w uroku, wybrzeż i ogólnym powabie nie-
tylko im nie ustępuje, ale pod wielu względami
niezaprzeczenie górą nad niemi trzyma.

Naprzód oczarowany wzrok wiąże do siebie nie-
wymownym powabem smagła piramida Niesenu,
przeszło na 700 stóp wyniosłego, dalej przeciąga-
ją go ku sobie malownicze masy napiętrzonej
Blümlisalp i Abendbergu, zamykającego jezioro
od niższej strony.

We wszystkich krajach górzystych, gdzie lu-
dzie oddaleni od światowych rozterek i zamieszek
żyją sobie spokojnie, cicho, dzień za dniem jedna-
kowo spychając, w krajach takich, wszędzie zacho-
wują oni w światobliwej pokorze ducha wszystkó,
co tylko od ojców swoich, dziadów i pradiadów
zastyszą. I z tych podań, powieści, gawęd i klechd,
tworzą sobie skarb z pokolenia w pokolenie świę-
cie przechowywany, mądrości ich i nieznoszą st-
nowicy, a w łonie swym istotną nie czystą, pier-
wotną poezję smagają. Próżno głowę sobie łamać
by do źródeł tych poetyczno-fantastycznych utwo-

rów dojść; giną one w głębokiem zamroczu niedoścignionych czasów i to tylko w nich widoczne, że pod nieokrzasanemi kształty często dziwacznych obrazów, zawierają w treści swój zbawienne nauki, rady, moralne zachęty i upomnienia, któremi się żywi poczciwa cnota prostaczycy górali. Tak też i ta wspaniała Blümlisalp, dumnie przed oczy wyskakująca i przybyszów od strony jeziora pojętnie witająca, prócz owego przyrodzonego natury przyodziewku, sterczy strojna festonami powiewnemi podań fantastycznych, jakimi ją poezya mieszkańców przyrzuciła. Niedgdyś, owego czasu, którego nikt już nie zapamięta, na szczytach jęj rozścielały się krasnemi kobiercami całe łany najcudniejszych kwiatów (Blüml), robiąc z nięj jakby jakiś ogród czarowny, a nad całym siołem okoliczném, całą gromadką osady, przywodziła jako pani i władczyni, kobięta szczęśliwa i piękna, którą los błogosławiony tak pięknym udarował tronem. Ale, jak to zawsze na świecie bywa: w szczęściu człowiek głowę traci, bo mu się w nięj strasznie kreci. Tak się też i z naszą królową stało. Kazała ona sobie z najtłustszych sérów wybudować schody od samego wierzchu góry, aż na dół głęboko w dolinę, żeby pulchnych nówek sobie nie odgniatając i nie obrażając, mogła mięciuchno i wygodnie po tych oryginalnych gradusach z tronu awego zstępować. Pan Bóg nie ścierpiał tego szalu samolubstwa i pychy, i w gniewie zesał na owe przepyszne łany kwiatów taką zatrutę i zniszczenie, że z ich piękności ni szczętu nie pozostało, a cały grzbiet góry, jęj podnoże i ściany pokryty się martwym, obrzydłym popiołem. Łomy skał porożrywanych wewnętrzną jakąś straszną wadną, nakupiły się niesfornemi stosami; strumienie, jakby nieustanne potoki łez w tém utrapieniu, ze wszystkich szczelin wytrysnęły, krzując i płacząc się w nieładzie; wszystko w jednę chwilę w posępną dzicz się zmieniło, i tak po dziś dzień pozostało, jak to każdy widzi. I dlatego nazwa tęj góry wcale teraz jęj przymiotom i naturze nie odpowiada.

Blümlisalp ma 11,000 stóp wysokości; jestto wzniesienie, na jakim, w klimacie tamtejszym kwiaty już nie rosną. Zbliżając się do wysokości 7000 stóp, napotkac można z rzadka jeszcze tylko niektóre piękne rośliny alpejskie; dalej, zaczyna się śnieg, zwolna w coraz grubsze pokłady się ścięla-

cy. Na krańcu tych dwóch krain, pod miękkimi płatkami rzadkiego jeszcze śniegu, kryją się słiczne roślinki osłonięte białemi, kosmatemi liśćmi, jakby puszystym, miękkim futrem pokryte.

Jadąc brzegiem widać tu i owdzie piękne domki wiejskie i ogrody. Właścicielom ich doprawdy pozazdrościć można, bo to niezawodnie jedno z najczarowniejszych, najsliczniejszych miejsc na całym świecie. W Balligen dojeżdża się do połowy jeziora i łodem można ztąd zrobić wycieczkę do grotty Św. Beata, do której niegdys wody dosięgać miały.

Przy Neuhaus wysiada się na ląd. Tu podróźni zastają zawsze mnóstwo powozów gotowych do najęcia, żeby ich powieść do pięknych mieszkań letnich: Unterseen, Aarmühlen i Interlaken łączących się z sobą. Leżą one na przesmyku między jeziorami Thun i Brienzersee, i stanowią niejako świetny przedsiónek wzniosłych piękności górnej krainy Bernu.

Rzućmy choć pobieżne wejrzenie na tę krainę cudów. Właściwy *Oberland Bernu* zajmuje całą południową część kantonu tegoż imienia; zaczyna się przy Thun i ciągnie się aż do granic Wallis. Od wschodu zamykają go kantony: Luzern, Unterwalden i Uri; od zachodu Freiburg i Waadt. Cztery są główne doliny tego górnego kraju: na zachód, Simmenthal między Niesen i Stockhorn, z którą od wschodu łączy się Kanderthal, po której wije się bystry Kanderbach wypływający z Gemi, a wpadający do Simmenbach. Na południowo-wschodnim krańcu jeziora Thun roztwierają się dwie inne doliny: sławna i od wszystkich podróźujących po Szwajcaryi znana i uwielbiana dolina Hasli, po której huczy kręty strumień Aaru, i obszerna Lütschenthal, której dwa rozgałęzienia tworzą doliny Lauterbrunner i Gründelwald. Przy Bacideli Lütschena wpada do Aaru, który opodal tonie w głębach jeziora Thun. Z tego olbrzymiego labiryntu skał i lodów wychodzą wąwozy prowadzące z Grimmel do Oberwallis, Susten do Uri, Joch i Brünig do Unterwalden.

Wybrzeża jeziora Thun uderzają zarazem wspaniałością i lubością swych widoków. Co to za rozkosz nieporównana kołysać się na miękkich falach wód, przy świetle jasnego księżyca, którego promienie srebrzą u rzeki szemrzących zmarszczek, a brzegi mglisto, fantastycznie przebijają zdala

w zamroczu! Tam dalej w głębi po dolinach, wołało cichych, spokojnych siedzi ludzkich, ponura noc rozpina magiczne swe cienie; wszystko niknie w niepewnych zarysach, ale wysoko, wśród czystych sfer eteru, pomiędzy skrzącymi gwiazdami niebios, wybija w górę szczyt potężnych gór, jakby własnym rozwidniony światłem; świetność, bia-

łość srebra, przezrocze kryształu za porównanie służyć tu nawet nie mogą, bo nie nie wystarcza na oddanie choćby przybliżone tego wspaniałego widoku, przed którym najdumniejsze czoło korzy się mimowolnie i w pobożnym ucieszeniu nieznanych wrażeń zdroje czerpie.

TARGI NIEWOLNIKÓW W EGIPCIE.

(Z NOTATEK PODRÓŻNEGO.)

Już niema w Egipcie tak zwanych *Bazarów niewolników*; wnosić jednak złąd nie należy, aby handel niewolnikami tam ustał, lub się tylko zmniejszył. Każda rodzina, czyto mahometańska, czy chrześcijańska, musi koniecznie mieć kilka przynajmniej kupionych ludzi; obejść się bez nich żadną miarą nie umi. Z tego powodu towar ten jest poszukiwany, konkurencja jednak, szczęściem dla białych, zwróciła się najwięcej na murzynów, bo biali stanowią już artykuł wysokiego zbytku, na który nie każdemu starczy. Na obronę tych haniebnich instytucyj, przytaczają, że Turcy obchodzą się z niewolnikami bardzo łagodnie. Prawda, że u niektórych ubierają ich i żywią przyzwoicie, ale w ogólności położenie niewolników, tak mężczyzn jak i kobiet, jest najokropniejsze; uposledzenie ich i nędza dochodzą ostatnich granic. Nie będę opisywał odrażających szczegółów biednego ich życia, żeby nie sprawić czytającym wstrętu i przykrości, wspomnę tylko, że w czasie długiego pobytu mego w Egipcie, jeżeli zdarzyło mi się słyszeć o samobójstwach, to jedynie tylko między niewolnikami.

Ale dość o tém; zajmijmy się niewolnikami, jako artykułem handlu tylko. Czarnych najwięcej sprowadza się doliną Nilu z Abissynii, Semaaru, Kordofanu, Darfuru i t. d. Pośledniejszy ich rodzaj pochodzi z licznych pokoleń zamieszkujących na pograniczach wymienionych krajów; najwyborniejszy, z pokoleń Gallas, na południu Abissynii osiadłych.

Nie sądzmy, aby same wojny prowadzone między temi plemionami dostarczały tych ogrom-

nych mass niewolników; handel ciałem ludzkim zbyt jest zyskowny, żeby go miano li tylko przypadkowi zostawić. Władcy tutejsi wysyłają całe hufce myśliwców na to polowanie ludzi; sam Mahomed-Ali, mimo wielokrotnych zarzeknięć się, aż do późnej starości urządzał tego rodzaju ekspedycje, lub rozdzielał między oficerów i wojsko zamiast płacy pieniężnej, a skarb, wedle istniejących postanowień pobierał za każdego niewolnika, południową granicą Egiptu wprowadzonego, po 40 złp. podatku celnego.

Trudno sobie wyobrazić, jak okropną jest podróż tych nieszczęsnych, pędzonych całemi karawanami. Nawet interes własny nie zmiękczy zakamieniałych serc *dżellabisów* czyli handlarzy niewolników.

Pędzą oni nieszczęśliwe ofiary swoje pieszo, nago, i mniej sobie o nie dbają, jak o bydło zwyczajne. Połowa ich wymiera w drodze z głodu, pragnienia, znoju i barbarzyńskiego obchodzenia się; ale *dżellabisów* mało to obchodzi, bo co stracić na ilości towaru, to sobie odbija na wyższej cenie pozostałego. Część sprzedają w Syas i Girych, resztę pędzą aż do Kairu.

Handel ten oddawna prowadzi się prywatnie, chociaż, jakem to już wspomniał, publiczny obczerny gmach na ten cel był przeznaczony. Obecnie, mianowicie od daty *hati-szerifu* sultana Abdel-Medżida, znoszącego publiczny handel ludźmi, rozmaite pourządzano składy po małych przedmieściach wokół murów miasta. Nieraz zdarzyło mi się w takich składach widzieć 30 lub 40 mężczyzn i dziewcząt na sprzedaż wystawionych; wy-

borowe jednak kobiety pokazują zwykle po dwie tylko, a najwięcej po trzy.

Cudzoziemcy zwiędzający te obrzydłe magazyny opatrują się w drobną monetę, na podarki dla biednych istot na pokaz wystawianych. Zaledwie próg przestąpisz, zaskakuje ci drogę *dzellabis* rozumiejący po coś przyszedł, i możesz się już obejść bez przewodnika.

Wszyscy prawie *dzellabisowie* pochodzą z Nubii, i wszyscy których widziałem, tak mi się wydali podobni do siebie, jakby rodzeni bracia: w ułożeniu, i wyrazie twarzy mają coś dzikiego i straszego, a zuchwałość ich przeszła w przyszłość. Odnaczają się białym zawojem na głowie, dochodzącym do niesłychanej wysokości.

Wybrałem się z kilku Anglikami do składu wyborowych dziewcząt z Gallas. Ciasną uliczką, zamkniętą wysokimi murami, doszliśmy do jakiegoś brudnego domu, przed którym siedziało kilku *dzellabisów*, jak ropuchy przy ścianach przyczajonych. Po kilku słowach porozumienia wprowadzono nas na górę; na schodach co krok zatrzymywały nas tłumy niewolników znędzniących, wyciągając ku nam ręce i płaczącwie dopraszając się datku jakiego. Doszedłszy pierwszego piętra znaleźliśmy się w ciasnym korytarzu; po obu stronach ciągnęły się ciemne izdebki, a w nich widać było gromadki ludzi pokureczonych i skupionych w kątach jeden na drugim. Spostrzegłszy nas biedne te istoty podnosiły głowy i spoglądały na nas ciekawie wyszczerzając ogromne, przykro od czarnej skóry odbijające białka iskrzących oczu; niektórzy wstawali i wyciągali wychudłe ręce przez kraty okienek prosząc o *bukszisz* (datek.)

Przy końcu korytarza weszliśmy do obszernej izby czyli sali, przedzielonej na dwoje zasłoną z mat. Najstarszy *dzellabis* prosił nas żebyśmy tu zaczekali chwilkę, i oddalił się. Niezadługo wyszły do nas dwie nędzne murzynki w kawałek szmaty przywdziane i przedstawiające towar wcale niencyący. Jestto zwykły fortel, dla wydurzenia jeszcze od nas datku i podwyższenia w cenie towaru który chytrósć kupca na później zostawia. Po dość długich przecie przymówkach pocciwy *dzellabis* dał się nakłonić do pokazania nam czegoś lepszego; odsunął zasłonę i ujrzeliśmy troje dziewcząt bardzo gładkich i urodziwych choć czarnych jak smoła; znać było, że należały do doskonalszej rasy slyn-

nego plemienia Gallas. Rysy tych nieszczęśliwych były regularne i delikatne, wyraz smutku i przygnębienia wydatnie się na obliczach malował, włosy ich były pozwijane w gęste, grube loki naokoło, jak zwykle u niewolnic na sprzedaż wystawionych. Jedna miała naszyjnik z mosiężnej tkanki, dwie zaś przystrojone były w paciorki, na szyi. Ubiór tak skapo ją przyodziewał, że mogliśmy podziwiać piękny skład ich ciała. Biedne istoty pragnęły wyraźnie, żeby je już kto kupił i nie kryły bynajmniej zmartwienia swego widząc, że ciekawość tylko obejrzenia ich spowodowała nas tutaj. Mruczając coś między sobą swoim językiem i gniewały się na nas, że tak rychło wyprawiamy je za matę, dawszy im nieco monety, której chciwy właściciel nie omieszkiał zapewne wydrzeć im zaraz po naszym odejściu.

Dostać się do tych ciekawych magazynów łatwo, ale wydostać trudniej; *dzellabisy* tysiące używają sposobów, żeby jak najczęściej buksziszów od zwiędzającego wydrzeć. Nikt ich jeszcze nie zadowolnił.

Gdyśmy wyjść chcieli zamknęto nam drzwi przed nosem, i banda brudawców obseczczyła nas z hałasem i wrzaskiem, jedni dopominając się miłosiernie datku z wyciągniętymi rękami, drudzy zaś grożąc i machając nożami i grubemi nubijskimi pałkami.

Małośmy na to zważali, bo wiedzieliśmy że nie ma ich się co obawiać; gwałtem więc przedarliśmy się przez napastujących nas tłum i wydostaliśmy się na ulicę, gdzie długo jeszcze biegali za nami zaklinając się na wszystkie świętości, że ani złamanego szelaga nie dostali i wymyslając od oszustów, psów niewiernych i t. d. Najstarszy z nich dogonił nas i przypomniał się ze znajomością zapewne dlatego, że go potężnie poczęstował *korbaezem*, jak tu zowią pletnię ze skóry hippopotamiej. Oprowadzał mnie później z nowo przybyłym Francuzem, po drugim *wakalachu* (składzie niewolników), ale większym i porządniejszym, i widać nauka skutkowała, bo już nie był tak natrętny i chociażśmy daleko więcej widzieli, zapłaciliśmy znacznie mniej jak poprzednio.

W *wakalachach* obchodzą się z niewolnikami nieco lepiej, jak w czasie podróży, ale zawsze nie lepiej jak z kurami i prosiętami. *Wakalacha* zwykle są niewielkie, podwórze środkowe często nie

ma jak dwadzieścia stóp kwadratowych powierzchni; budynek bywa też bez piętra, malutkie celki bez drzwi widać na wszystkie strony, a w nich *šioro* lub *šioro* niewolników, mężczyzn i kobiet razem. W południe i przed zachodem słońca, drewniany, wielki szafel z grochem lub inną jarzyną stawia się zgłodniałemu biedactwu na środku podwórza, a oni się zbiegają do niego na wyscegi, jedni drugich odtrącając i na tył wyrzucając, tak, że szczęśliwsi tylko zostają przy szaflu, reszta skubnąwszy ile potrafi garścią, spożywa chciwie gdzie w kącie nędzny łup swój żręcznością. W mgnieniu oka szafel jest wypróżniony. Kobiety wyższej ceny dostają pożywienie u siebie w celach. mianowicie też młode i piękne niewolnice z kraju Gallas i z Abissynii.

Widziałem raz jedną z tych Abissynek cudownej prawdziwie urody; siedziała w izbie, której drzwi matą zawieszono były; zbliżenie się nasze bynajmniej jej nie przeszkodziło, jadła sobie dumnie i spokojnie ryż z ualęj miseczki. Spojrząc nawet na nas nie raczyła, a kiedyśmy jej ofiarowali nieco pieniędzy, nie chciała po nie ręki wyciągnąć. „Połóżcie przy niej pieniądze,” szepnął chytrze nam doradzając czarny, chciwy dżellabis. Posłuchaliśmy go, zmierzyla nas oczyma straszno, ognistemi i jak tygrysyca się tylko obruszyła; dżellabis skwapliwie zgarnął pieniądze i do kieszeni je wsunął mówiąc, że dla niej je schowa. Niezrządkiem zdarza się napotykać między niewolnicami tę dumę i opryskliwość, w którą się z umysłu zbroją, chcą zemścić się na dokuczających im tyranach swych, odstręceniem od siebie kupców.

Widziałem w kilka miesięcy później tę samą Abissynkę; jakąż zmiana! upadała widać pod nadmiarem udręczeń i okrucieństw zawziętego dżellabisa; z upornej i krnąbrnej, stała się uniżona, pokorna, ale nikt jej już wtedy kupić nie chciał, choć sama się, jak o łaskę, o to dopraszała!

Egiptycanie chcący kupić niewolników nie chodzą sami do wakałachu dla obejrzenia ich; posyłają służącego do składu dżellabisa i każą sobie towar do domu sprowadzać. Kupujący wolą zawsze nabywać niewolników dopiero co z wyższego Egiptu przypędzonych i nieobznajomionych jeszcze z wadami i wykrętami dawniej tu przebywających w służbie współbraci; dlatego też dżellabisy starannie ukrywają pochodzenie swego towaru,

a wszystkich podają za świeży i tylko co z zagranicy sprowadzony; fryzują im włosy w loki, rozbierają do naga i przepaskami tylko osłoniętych przez ulice do domu kupujących jak trzody gnają.

Odwiadczać pewnego razu znajomą panią w Aleksandrii, zastałem ją zatrudnioną targowaniem pięknej, smagłej, czarnej dziewczynki, której nagłość, szeroki tylko *melejaeh* czyli płaszcz biały, okrywał. Pani domu leżała sobie wygodnie rozciągnięta na niskiej sofie, pałac *szyszek*, a biedne stworzenie złożywszy na piersiach ręce na krzyż, z pokorną miną przy drzwiach stało. Po zwykłych powitaniach, dowiedziałem się, że to była niewolnica jakiegoś Turczynki, przybyłej tu z Algieru do męża, który niedawno wyjechał do Stambułu, zostawując jej zlecenie pospieszenia za nim czempredżej.

Dla zmniejszenia sobie kosztów podróży Turczynka postanowiła sprzedać jedną ze swych służebnic. Los wypadł na obecną tu Fatmę, która w chwili właśnie kiedyś wchodził, historią swoją opowiadając poprostu i bez najmniejszego uczucia, żeby takie obejście się z nią jej pani miało w sobie coś obrażającego lub niesprawiedliwego, wynurzyła jednak żal swój, że musi opuszczać rodzinę, wśród której tak długo przebywała, i przenosić się do ludzi nieznajomych, u których Bóg wie jakie czekają ją losy. Wyznała sama, że choć ją pani jej często biła za to, że we śnie gada, i że na statku w czasie podróży morskiej bała się tak samo jak i pani, to jednak bardzo jej u niej było dobrze. Tu miałem sposobność przekonać się o tej przechwalonej dobroci, z jaką Egipcycanie mają się niby ze swemi niewolnikami obchodzić.

Rzadko się zdarza, aby niewolnik całe swe życie u jednego pana przepędził. W razie bankructwa stanowi on część inwentarza, i na kogo cena jego przypadnie, temu się na własność oddaje; a kupcy egipscy bankrutują po cztery, pięć i więcej razy. Za najpięknszą potrzebą pieniędzy, najłatwiej ich dostać sprzedając zbytecznego niewolnika; nieczem on bowiem nie różni się w Egipcie od domowego zwierzęcia, i nieraz można słyszeć Egipcyanina, jak obliczając swój majątek, rachuje ilość posiadanych niewolników, którymi handluje jak kofmi lub osłami, szukając zawsze zysku w sprzedaży lub zamianie słabszego, starszego, na silniejszego, czerstwiejszego i młodszego.

Biedna Fatma wszelkich używała sposobów, żeby skłonić moję znajomą do nabycia jej; przechadzała się po pokoju wzdłuż i w szerz, chcąc pokazać silną i dorodną budowę ciała swego, poprawiała poduszki na sofie, rozdmuchiwała szyszek, wszystko to dla okazania jak znajomej jej są zwyczajne i obowiązki w domu przyzwoitym; śmiała się często z wymuszoną wesołością, na dowód, że ma przyjemny temperament. Biedna! napróżno się siłowała (pani) Mariam, moja znajoma, żadną miarą nie chciała się dać przekonać, żeby ona nie miała jakiegś ukrytej wady, i obstawała przy tém, że kupić jej nie może, jeśli przez kilka dni nie zatrzyma jej u siebie na próbie.

— Bo zkądże ja mogę wiedzieć, mówiła do Fatmy, jakie ty tam masz nalogi i zwyczaje. Samaś się już przyznała że przez sen gadasz. Tuby tam mniejsza jeszcze, bo w nocy będziesz osobno zamknięta. Ale może ty kłamiesz? może kradniesz? może...

I dopiero ciągnął się długi szereg najrozmaitszych wad i nalogów, jakie mogą odstępować od kupienia niewolnicy. Siedziałem jak na śpilkach, bo i żal mi było biednej istoty wystawionej na tak ubliżające przypuszczenia. Nie wiedziałem czy wypadnie jej się wstydzić i nie słyszeć ich niby, czy się gniewać i oburzać. Fatma widocznie była roztropna, i dobrze wychowana dziewczyna; bardzo mi się podobała, a nadto uderzyła mnie jej odpowiedzi:

— Chcesz pani koniecznie wziąć mnie na próbę—mówiła—gdybym była zła, na cóżby się to pani przydało? Alboż to człowiek kiedy chce, to niepotrafi przez parę dni zupełnie inakszymi się pokazać, niż jest w istocie?

Choć młoda jeszcze Fatma zdradzała wiele już znajomości ludzi i świata, i była kobietą wyższego ukształcenia i zdolności, wedle pojęć wschodnich; jakoż zrobiła tak pomyślnie wrażenie na umyśle sitt Mariam, jako i na mnie, że byłaby nareszcie zdecydowała się kupić ją, gdyby w téj chwili nie weszła stara duena, z wekalachu od właścicielki Fatmy przysłana, z poleceniem, żeby ją z sobą zabrala, jeżeli żądana cena natychmiast wyliczona nie będzie, gdyż inny kupiec się zgłosił i pragnie ją widzieć bezzwłocznie. Nie mogła się sitt Mariam odrazu zdobyć na wyliczenie niebawnie całej żądanej sumy; wnet jednakże po wyjściu Fatmy ze starej strażniczki, żal jej było dobrego kupna,

którego chybić mogła: posłała więc za nią niewolnika. W pół godziny wrócił posłaniec, ale z nie-miłą nowiną, że już było zapóźno: stary jakiś Turek zakupił Fatmę, do swego haremu, i żądaną cenę natychmiast wyliczył. Sitt Mariam pocieszyła się bardzo prędko, mówiąc: „Allah tak chciał.” Jutro poszlę do dzellabisa, to mi kilka tuzinów dziewcząt sprowadzą do wyboru; jeśliś pan ciekaw, zapraszam go do siebie: zobaczysz jak uniem kupować i jak się znam na tym towarze.

Jakkolwiek uczucie chrześcijańskie oburzało się we mnie na tak obrzydliwy i godności ludzkiej ubliżający obyczaj, ciekawość jednak przemogła, i nazajutrz stawilem się punktualnie na naznaczoną godzinę. Zastałem sitt Mariam samą, siedzącą na sofie. Korzystałem z chwili, żeby się wywieść o różnych szczegółach życia i obyczajów licznych niewolnic, które kiedykolwiek posiadała. Opowiadanie jej zgrozało mnie przejmowało; tyle obrzydliwości i bezceństw przed oczyma przedstawiło, że niepodobna mi nawet ich powtarzać.

Rozmowę przerwała wrzawa i gwar z podwórza; przybył dzellabis z całą gromadą czarnych niewolnic, które niebawem weszły do pokoju i uszykowały się w drzwiach szeregiem, oczekując w milczeniu przeglądu. Właściciel ich został na podwórzu i spokojnie siedział na kamieniu, paląc sobie fajkę. Bystry i wprawny wzrok sitt Mariam prędko odróżnił dwoje dziewcząt, z pomiędzy których jedną wybrać sobie miała; resztę odesłała napowrót. Pytałem ją o powód tego prędkiego wyboru, odpowiedziała mi: „wszystkie te, które odprawilam, były już dawniej w służbie. Znam ja się na tém dobrze, nie oszukają mnie, choć je przystroją jak dzikie zwierzęta, spojrzę tylko na postawę, to dość dla mnie, wiem już czego się trzymać.”

Rozkazującym tonem sitt Mariam kazała się zbliżyć dwóm lekliwie w kącie stojącym murzynkom, sypiąc w dodatku najstraszniejszymi przekleństwami na cały ich ród. Młodsza z nich oburzyła się widocznie tém postępowaniem, oko zaświeciło złowrogim zapalem, twarz cała się zmieniła; znać było, że tyrańskie obchodzenie się w czasie podróży nie zdołało jeszcze stłumić w niej do szczeru wrodzonej dzikiej dumy i pohamować uczuć namiętnych. We mnie samą złość zawrzała, a zarazem litość i szacunek przejęły serce dla téj pięknej, nieskazanej natury, po której wiele dobrego



wróżyć można, przy rozsądnem i łagodnem obejściu. Zaśmiała się szyderczo Sitt Mariam, w gruby wyrazach chętnie się, że jednem spojrzeniem umie poznać złą naturę niewolnicy, i miotając najzelszywe zniewagi, kazała jej pójść precz, do tamtych które już odpędziła.

„Chodźże ty tu bliżej,” zawołała moja znajoma na pozostałą i przerażoną, tém co słyszała dziewczynę. Biedaczka nawpół pochylona, czołgając się prawie podsunęła się do niej. Sitt Mariam wlepiła w nią oczy, a rozkazawszy jej nie spuszczać wzroku ze swoich żreń, ogładła ją; tyjącem podstępnych środków wybadywała jej usposobienie i charakter, i wreszcie oświadczyła, że ją weźmie. Poczém „daj mi rękę Zaro” (wszystkie prawie niewolnice tak tu nazywają) zawołała, i ujawniwszy dłoń jej napluła w nią. Wykrzyk oburzenia mimowolnie wydarł mi się z piersi.

— Bądź spokojny, Franku! — mówiła mi Sitt Mariam — to taki zwyczaj. Jak się to nazywa w twoim języku, Zaro? powiedz mi.

Dziewczę w najskrytszą głąb serca skryło uczucie miotające nią widocznie, i pokornie odparło zcichą:

— Ja wiem, jak się to po arabsku nazywa o pani!

Zaczerwienila się Sitt Mariam, zrozumiała bowiem, ile wyrzutu leżało w tej odpowiedzi.

— Podobasz mi się — rzekła do niewolnicy. — Jesteś skromna i pokorna, kupię cię; nie bój się niczego. — A odwróciwszy się do mnie mówiła: — widzisz Franku, ja jej nie chciałam bólu sprawić; inna byłaby jej pantoflem policzek wycięła. No choćmyż teraz do dżelabisa.

Znajoma moja istotnie była kobieta w gruncie bardzo łagodna i dobra, wiedziałem o tém oddawna; i, rzadki wypadek w tych stronach, nigdy niewolnic swych nie biła.

Z dżelabisem targ trwał przeszło pół godziny. Sitt Mariam dawała mu piątą część ceny, którą żądał; przekomarzali się z sobą i targowali mieląc językami tak szybko i krzykliwe, że śmiać i dziwić się musiałem. Uparty dżelabis długo ani słyszeć o ustąpieniu z ceny nie chciał, siedział jak kamień nieruchomy, powtarzając tylko na wszystko co mu kupująca mówiła, „*Allach dżeffach!*” (Bóg da innego kupca). W końcu przeszło połowę odstąpił i stanęła ugoda na 1350 piastrow czyli około 500 zł., z warunkiem wypłaty za trzy dni, jak się okaże, że kupiona niewolnica żadnych wad ukrytych nie ma.

Zwykli, czarni niewolnicy obojga płci sprzedają się w Alexandryi i Kairze od 380 do 760 zł.; piękne Abissynki i kobiety Sennaaru i Dongoli od 1200 do 2400 złp. bywają płacone.

Nabywający starają się zawsze przed kupnem charakter niewolnika dokładnie poznać, gdyż nie rzadko się zdarza, że niepohamowane namiętności doprowadzają ich do rzucania się na swych panów. Za bytności mojej w Kairze, widziałem, jak niewolnicę obwołano po ulicach na osłe twarzą do ogona obróconą, a idący przed nią i za nią oprawcy głośno do wiadomości wszystkich podawali, że panią swoje otruła. Po kilkogodzinnej przejażdce zawiązano zbrodniarkę w wór, złożono go w czołno i wypłynąwszy dość daleko na morze, w wodę rzucono.

SMOKI I GEKONY.

Mało znany dotąd zwierząt, o którychby tyle od najdawniejszych czasów istniało bajecznych wieści, co o smokach i gekonach, a przecież obadwa te rodzaje zawierają zwierzątka małe, niewinne, którym tylko niewiadomości i przesąd przypisywać mogły szkodliwe, groźne własności. Należą do gromady *gadów*, rzędu bardzo licznego *jaaszczurek*.

Rodzaj *smok* (*Draco*) składa się z sześciu dotąd poznanych gatunków, zponiedzy których *smok zielony* (*Dr. nigris*), na *fig. 1* wystawiony, razem z długim, cienkim ogonkiem dwunastu cali nie przechodzi. Z powodu osobliwego kształtu ciała już przez Herodota uważany był za węża skrzydlatego. Ten znany historyograf opowiada o nim że pod miastem Butus w Arabii jest miejsce, w któ-

rem się mnóstwo tych smoków znajduje, że pewnego razu, sam się tam udawszy, znalazł niezmierną ilość kości i zębów większymi i mniejszymi kupami; dalej, że też miejsce okolone górami, w jedną stronę tylko otwarte na obszerne równiny Egiptu; że jednego razu na wiosnę te skrzydlate węże wyleciawszy z Arabii do Egiptu, napotykały w wąwozie między górami *ibisa*, który je wszystkie podławił, i ztądto ten ptak nabył wielkiego poszanowania u Egipcyan.

Tyle nadmieniamy o smokach z Herodota; a któryby opisał dziwne, zgroźą przejmujące powieści o nich, z dawniejszych i średnich wieków? Tymczasem smok prawdziwy, dziś istniejący, nawet małego dziecięcia nie przeraża.

Gatunek o którym mówimy (i inne zresztą mało się od niego różnią), kształtem ciała, prócz nóg i skrzydeł błonkowatych, podobny do pospolitej jaszczurki lub do małego wodnego węża, pokryty jest skórą drobną łuskowatą. Na bokach ciała skrzydełka błonkowate, podobne jak u nietoperzów, ale tém różne, że od nóg są oddzielone, na kościanych żeberkach rozpięte. Nóg ma cztery pięciopalczystych; palce są wolne, błonę nie spięte; pysk lekko spłaszczony, półwysuwalny; ogonek długi, okrągły, cienki; kolor prawie po całym ciele zielony, na skrzydełkach brunatny.

Zwierzątko to bojaźliwe, żyje na drzewach w cienistych lasach, w południowej Azji i Afryce; nie tylko nikomu nie szkodzi, ale owszem jest użytecznym zwierzęciem, gdyż żywiąc się samami owadami, wytępią najszkodliwszych dla drzew i krzewów nieprzyjaciół. Swych błonkowatych skrzydeł nie może tak używać jak nietoperz, bo nawet bardzo mało nim włada; właściwie więc nie lata, tylko przeskakując z gałęzi na gałąź, jak również w razie upadania, dopomaga sobie nim i chroni się od upadku. Wymieniony gatunek przybywa stadami z Arabii do Egiptu. W wodzie nie przebywa, przypadkiem jednak lub z musu się w nią znajdując, dobrze pływa i częstokroć szerokie rzeki przebywa. Samica znosi 5—6 jaj w dziuplą drzewa, mianowicie w miejscu gdzieby je promienie słoneczne ogrzewały.

Gekon, *gecko* po łacinie i w innych językach tak samo nazywany rodzaj, zawiera małe, po większej części dość niezgrabne, z pozoru ociężałe, różnemi kolorami upstrzone zwierzątka, których nie-

miła oku postać, jak to zwykle bywa, daje wszędzie powód do uważania ich, choć niesłusznie za stworzenia złośliwe, jadowite. Ztąd pełno o nich wszędzie powieści, które im tylko odrażę i przesładowanie ściągają. Gekon y w stosunku do ciała mają głowę dużą, lekko spłaszczoną, pysk długi, gruby, niezgrabny. Oczy wielkie wypukłe, źrenice ściągane się mogące: dlatego w nocy lepiej niż we dnie widzą; powieki tak krótkie iż oczu nie pokrywają. Żęby, równie jak u smoków, jednym rzędem osadzone, gęste, ale nie mają tak zbudowanych jadowitych jak u żmii, a więc jadowicie nie kąsają. Język gruby, mięsisty, ale niewysuwalny. U nóg po pięć palców, prawie równych, opatrzonych pazurami łukowatymi, ostrokończastymi, które wysuwać się i kryć mogą, podobnie jak u kotów. Ciało wszystkich gekonów z wierzchu pokryte jest skórą ziarnisto-chropowatą, spodem zaś łuskowatą, wreszcie ciało jest lekko spłaszczone. Ogón tak długi jak ciało, ogrubny, obrączkowato pomarszczoną skórą pokryty. Liczba pazurów nie u wszystkich gatunków bywa jednaka, niektóre wcale ich nie mają.

Jakkolwiek gekon z pozoru jest ociężały, niezgrabny, zręczność jednak łązi po najgładszych drzewach, ścianach i skalach.

Gekon y żyją w suchych miejscach, w rozpadlinach murów, w szparach drewnianych ścian, w kupach kamieni, w rozpadlinach skał, pod mehem i na drzewach; lubią przebywać w mieszkaniach ludzkich, gdzie we dnie kryją się pod deskami, za belkami; tam także jaja znoszą, w nocy zaś na żér wychodzą, i w tém myszkowaniu ich duże, kocie oczy dobrze im służą. Wszystkie są z zwierzętami gorących i ciepłych krajów; dlatego znajdują się ich gatunki w południowej Ameryce, Afryce, w Indyach Wschodnich, w południowej Europie, mianowicie w Grecyi, we Włoszech, Hiszpanii i południowej Francyi, gdzie je powszechnie, lubo niesłusznie, za jadowite poczytują. Spodem ciała i z pomiędzy łusek palców sączą ostrą wilgoć, której ślady, mianowicie gdy w kuchni po potrawach przelażą, po sobie zostawiają; wilgoć ta nie jest wprawdzie jadowita, ale ślady jej na potrawach pewno apetytu do nich nie powiększają. Dlatego gekon y w kuchniach i w ogólności w mieszkaniach nie bywają cierpiane, pomimo że zkadł inąd są im bardzo użyłne, albowiem uprzątną

z nich wszystkie pająki, muchy, komary, pluskwy, i inne naprzykrzone owady. Zadawnione baśnie o tych zwierzątkach, najgruntowniej zbijał w ostatnich czasach Karol Bonaparte, który także najdokładniejszą zrobił rycinę *gekona gwiazdkowego*. Dziś, osobiwsze ubarwienie, niezgrabna postać, niespodziewane, w powolnych ruchach, jakby zniechęca skradające się, dybiące zjawienie się gekona, latwość z jaką się czołga po suficie w mieszkaniach, nad głowami ludzi, nigdy na nie nie spadając, nagle jego zniknięcie w szczelinie ściany: wszystko to wzbudzić może pewne niedowierzanie mu, które z czasem zamieniło się w rzeczywiście wstręt, odrzecz do niewinnego zwierzęcia. Kto dosyć ma odwagi, łatwo go złapać nożem; rzadko jednak zdarzy się dostać go całego, albowiem w niebezpieczeństwie usiłując się ratować, kręci ogonkiem, który kruchy jak szkło, zwykle mu się ułamuje; zdaje się jakoby wtedy gekon mało dbał o tę stratę, gdyż częściej uroniona przedko mu znów odrasta. Zimą przebywa w rozpadlinach murów, skał, w ścianach, ale nie drętwieje, a za nastaniem wiosny znów się pokazuje; grzeje się na słońcu, a za najmińszym zselestem, lub gdy się na deszcz zanosi, napowrót się kryje. Głos jego świszczący-rechący, jest słaby i rzadko słyszeć go daje. Jaja w stosunku do wielkości zwierzątka, niesie dosyć duże, twarde, owalne.

Takż panuje przesąd względem *gekona nakrapianego* (*gecko guttatus*, fig. 2), który od swego krzyku dostał nazwę *geko* i *tok-kaje*, a żyje pospolicie w Indyach Wschodnich i na wyspach morza Indyjskiego. *Bontius* opisał go pierwszy pod nazwiskiem indyjskiej salamandry i wystawił go jako najszkodliwsze i najniebezpieczniejsze stworzenie. „Jego ukąszenie, mówi on, tak jest jadowite, iż w kilka godzin po niem śmierć następuje, jeżeli ukąszona część ciała natychmiast odjęta lub wypalona nie zostanie. Ów gatunek nie jest większy od naszej pospolitej jaszczurki; około jedną stopę długi, koloru seledynowego, minijowo-czerwono nakrapiany; głowa duża, podobna jak u ropuchy, z dużemi wystającami oczami; jego zęby są tak ostre, iż żelazo i stal zajmują, a w paszczy czerwono jak w rozpalonym piecu. Jest w ogólności powolny, lecz skoro się czego nogami ucpi, trzyma się jak przyklejony, tak iż ledwo siłą oderwać go można. Podobnie jak kukulka wola

raz po razu powtarzanym głosem *geko*, a najprzód wykrzykuje jak dzieciół. Żyje zwykle w wypróchniałych drzewach, w wilgotnych miejscach, a nie raz, z przerażeniem tamtejszych mieszkańców, wkłada się do ich mieszkań, a mianowicie do sypialni, tak iż Jawańczycy częstokroć rozrzucają swe chaty, aby go ze swych siedzib odstrząść. Zpomiedzy wszystkich jadowitych zwierząt jest najstraszniejszy, gdyż nie pojedynczo, jak inne jadowite istoty, ludzi zabija, ale łażąc po drzewach i owoce ich zatruwając, całą ludność okolic o śmierć przyprawia; co gorsza jeszcze, niech tylko pożywa kto chleb, którym się takiego drzewa dotknęto, lub niech napije się wody w którą gałęź upadła, a już otrutym zostaje. Jawańczycy krwią i śliną tego gekona zatruwają swe strzały, a bezbożni tamtejsi truciele, których obojg pocięno jest, wieszają w tym celu gekona za ogon i zbierają żółtawą kleistą wilgoć, którą podrażniony obficie z siebie wydaje, w gliniane naczynie i potem na słońcu ją zasuśają; dlatego to oni zawsze w zapasie te zwierzątka chowają.”

Takito pierwszy opis *nakrapianego gekona*, podał doktor i uczonego naturalista. Ztémwszystkiem jednak o ile powyższy opis jest przesadzony, straszny, o tyle biedny gekon jest niewinny, żyje owadami, nikogo nigdy nie ukąsił, nikogo nie zatruł, dla własnej tylko obrony sączy kleją, podobnie jak nasze ropuchy i salamandry wilgoć, która skórę lekko czerwieni i wzbudza na niej świerzbień podobne jak od pokrzywy. Długość w mowie będącego gatunku gekona, wraz z ogonem wynosi 10 do 12 cali, obwód grubości 2½ do 3 cali; skóra na nim jest ziarnista, błękitno i czerwono upstrzona, a na grzbiecie kilka rzędów stożkowatych, błękitnawych cierni, zpod ciała perłowato-popielaty, czerwono nakrapiany.

Gekon phlaeaz (*Gecko sputator* fig. 3), najpospolitszy jest na zachodnio-indyjskich wyspach, mianowicie na wyspie s. Dominika, Portorico i s. Eustachiusza, najczęściej po domach, i tam go mieszkańcy nazywają *drenianym niewolnikiem* (wood slave) i *phaeazem*. Tylko 2 do 3 cali długi, ziarnistą skórą pokryty, pazury u nóg jak u innych gatunków gekonów wysuwalne, ogólny kolor ciała czerwony z brunatnemi poprzecznymi pręgami. Bezustannie uwija się po ścianach ścigając różnego rodzaju naprzykrzone tam owady, i z tego

względem uważany jest jako użyteczny; jego także pstrokato przegowane ubarwienie mogłoby podobać się oku i nagrodzić brak przyjemnej postaci, ale jego obyczaje odrażają mu każdego, albowiem gdy mu się kto przypatrzyć zbliża lub uchwycić go chce, pluje on czarną drażliwą woni wilgocią, która sprawia lekkie nabrzmienie na ciele.

Ze wszystkich gekonów najbardziej odraża swą powierzchownością a nawet obyczajami gatunek zwany *plaskogłowy*, (*Gecko fimbriatus fig. 4*), żyjący na wyspie Madagaskar, gdzie go tamtejsi europejscy koloniści znają pod imieniem *famo cantrata*. Długością ledwo 9 cali dochodzi, z czego na sam ogon przeszło 3 cale przypada; ogólne ubarwienie ciała jest żółte, mieni się jednak kolorami czerwonym, zielonym i błękitnym. Skóra pokryta ziarnistymi łuskami, a brzegi dolnej szczęki, szyja, boki ciała i nogi obwiedzione są szwem zwisłym, łuskowatym, jakby wycinanym, który na bokach ogona jest jeszcze szerszy, ale gładko, okrągło się kończy. Głowa płaska, oczy duże, zęby drobne liczne, język płaski wycinany. Gatunek ten znajdując się na drzewie, jest bardzo żywy, ruchawy, na ziemi zaś okazuje się niezgrabny, leniwy. Lubo jest wcale bezbronny i samymi tylko żywi się owadami, jednak boją się go i uciekają przed nim

tamtejsi mieszkańcy. Gdy się do niego kto zbliża, zaraz ten gekon rzuca się na napastnika i swoją frezlowatą skórą i pazurami czepia się, i trzyma się tak mocno iż siłą tylko oderwać go można. Kiedy wszystkie inne gekony są płochliwe i za najmniejszym szelestem uciekają, ten przeciwnie z otwartym pyskiem obraca się do nadchodzącego człowieka, niczem się nie da ustraszyć i chcąc go uchwycić go usiłuje ugryźć w palec. Wszakże ukąszenie jego najmniejszej szkody nie zrządzi, ani nawet sprawi zaognienia.

Przemieszkwa w dziuplach drzew wypróchniałych, gdzie także samica jaja znosi, ztamtąd w nocy tylko lub gdy się na deszcz zanosz, wychodzi, skacze żywo z gałęzi na gałęz za owadami, w czym rozszerzenie skóry na boki około całego ciała, a mianowicie ogona, wiele mu dopomaga; gdy w tych przeszkodach przypadkiem spadnie na ziemię, czołga się powoli, jakby sparaliżowany, na najbliższy pień drzewa, a skoro ku wierzchołkowi między gałęziami dostanie się, odzyskuje znowu poprzednią rzeźkość, skacze lekko i zwinnie po gałęziach za swoją zdobyczą. Dobrym jest także pływakiem; żeby zaś przebywać miał po kilka miesięcy w wodzie, jak niektórzy utrzymywali, o tém wątpić należy. L...

CHINCZYKOWIE.

Ogólny rzut oka na Chiny, pod względem rozległości, geograficznego położenia, składu rządu, i innych stosunków, podaliśmy już w pierwszych części niniejszej *Księgi Świata* na karcie 33 i następnych, teraz więc mówić będziemy pokrótce o plemionach Chiny zamieszkujących, ich sposobie życia, o kulturze przemysłu, rolnictwie, ubiorach i zwyczajach, za podstawę biorąc pisma Gutzlaffa.

Chinczykowie, zamieszkujący niezmiernie państwo Niebieskie, należą do mongolskiego szczepu, są trochę wyżsi, miłszego wejrzenia i kształtniejsi od właściwych Mongołów; członki ich drobne, zwłaszcza ręce i nogi. Kolor skóry brunatno-żółty, w północnych prowincjach ku białemu się zbliża, twarz Chinczyka szeroka, płaska, wystające kości

licowe; nos spłaszczony, nozdrza rozdęte; oczy małe, eliptycznie podniesione od kąta nosowego; włosy ciemno-czarne, na brodzie zarost rzadki; czoło otwarte, uszy szerokie, zwykle przekłowane. Cała budowa ciała zwięzła, siły wielkiej przecież nie zapowiada, skłonność do otyłości wielka. Kobiecy niewielkiego wzrostu, kształtne są i zgrabne; bielszej od mężczyzn cery, ale malowaniem zeszpeconej; oczy ich małe, daleko rozstrzelone, czarne, dziwnie błyszczą; usta w młodości bardzo różowe, z wiekiem sinieją; nogi z natury małe, skracają sobie do 4—5 cali, gwałtownie w żelazach podłamywaniem palcy.

Oprócz właściwych Chinczyków, główną część ludności stanowiących, mieszkają w tém państwie inne jeszcze plemiona, jak Mandszu, Mongoły,

Miaotie's, Lola's, Mienting, Hainan, Taiwan i żydzi. Mało bardzo Europejczyków dostało się wśrodek tego państwa, gdyż wolno im tylko czasowo przebywać w niektórych miejscach nad morzem, i w pięciu wielkich portach, co traktatem pokoju z Anglią zawarowane zostało.

Mandszu, władający rzeczywiście krajem, pochodzą z Mandszu; gdy khanowie ich wdarli się na tron chiński, porzucili oni ojczyznę i rozleli się po całym państwie; składają główną siłę zbrojną, dzierżą wszystkie znaczniejsze urzędy i godności, lecz przejęli całkiem prawie zwyczaje, obyczaje, religię i mowę zawojowanych pierwotnych Chin mieszkańców.

Mongolowie, pod Dżengis-Khanem kraj ten owładnęli, później jednak wyparci z niego, zamieszkali wschodnią stronę państwa, porzucili życie koczujące i przedzierzgnęli się w Chińczyków.

Miaotie's, najdawniejsze plemię, zamieszkuje górzyszte prowincye, dotąd żyje w pewnej niezależności, rządzi się własnymi prawami i własnych ma książąt. Chinom przeciwieństwo holduje.

Lola's, rozsiedli się na południe Junnan; lud to rośly, silny, birmańskiego jak się zdaje pochodzenia. Rządzi się on także własnymi prawami, ma udzielonych władców, którzy poddali się niedawno Chińczykom i rządzą tam jako dziedziczni mandarynowie.

Plemię *Mienting*, w północnej Junnong, tegoż jest pochodzenia co Lola's.

Żydzi przybyć mieli podobno do Chin jeszcze na 200 lat przed naszą erą. Zamieszkują najwięcej w prowincyi Honan, zachowali rysy i zwyczaje swego narodu dość jeszcze wyraźnie, żenia się tylko między swoimi, a z właściami Chińczykami nie wchodzą w żadne rodowe związki. Główną ich siedzibą jest miasto Kaifongsu, gdzie i bożnice mają.

Cechy indywidualne stopiły się w Chinach w ogólnym charakterze; w tym ogromnym państwie wyrobił się lud od całego świata odrębny, z tak silną egoistyczno-zbiorową, samoistną potęgą, że stłumiona została zupełnie moralna indywidualność pojedynczych ludzi. Walką z przyrodoznem i nawpół dzikimi narodami, siły pierwotnego ludu wczesnie wykształciły się, ale tylko ogółowo, powierzchownie, ku zadowoleniu materyalnych potrzeb ziemskich, bez wyższego

pojęcia i dążenia. Wpływ tej walki oddziaływał tylko na ciało, nie na ducha ludności, rozwinął podrzędne umysłu i ciała zdolności, zaostrzył bystrość pojęcia, dał pochop do przemysłu i handlu. Do tej pory Chińczyk zajmuje swoje odrębne od reszty świata stanowisko, a państwo jego, od kilku tysięcy lat istniejące, chyba z Japonią tylko stanąć może do porównania. Potulny, uprzejmy i względny, Chińczyk jest nadzwyczaj religijnym; w wielkiem mu poszanowaniu dawców życia, ziemie przywiązanie do ojczystych zwyczajów i obyczajów. Odnacza się wielką zdolnością do sztuk mechanicznych i technicznych, zmysł zarobkowania bardzo w nim wykształcony, dlatego z zamiłowaniem oddaje się przemysłowi i handlowi; pojmują doskonale znaczenie stowarzyszeń i moc ich wielką do wielkich przedsięwzięć, i z niezłomną wytrwałością zwykł pracować nad dokonaniem raz powziętego zamiaru lub założonego dzieła.

Chińczykowie w dawnych już czasach podnieśli się na wysoki stopień oświaty, ale naprzód w niej nie postąpili, tak że dzisiejszy Chińczyk niemal taki sam jest, jak w pierwszych dwóch cyklach jego historii narodowej. Praktycznie zna tylko nauki, wiadomości i kunszt; drobiazgowy w zastosowaniach nie układa sobie ogólnej teorii. Należy on do najstarszych synów ziemi, i to tylko umić, czego nauczyła go potrzeba i długie doświadczenie; nie postąpi nigdy, tak skrytylizowały się pojęcia jego, tak zamara twórcza w nim siła. Dumą i samolubstwem odrzącił od siebie wszystkie narody. W charakterze jego tkwią wszystkie wady nawpół oświeconych ludów a łączy się do tego zbytek, zniewieśiałość i zamilowanie w przepychu. Niedowierzający on, tchórzliwy, niewolniczo służebny, zdradziecki, nieczuły na boleści ciała, ale podobnie na wstyd, hańbę, ujmę honorowi i krwi własnej. Największy z niego kłamca, najzuchwalszy złodziej, a w handlu najchytrzejszy oszust. Lud, gmin grzeczny w plugawej ciemności, wielce jednak zarozumiały o sobie i wielkości swojego narodu, przytępiony niesłychanie ciekaw, lecz w ogóle nienatrętny ani gwałtowny. Robotę wykonywa porządnie i regularnie, bo od młodości przyczynano go do tego bambusem, ale zgiekliwe i hałasliwe, co już jest szczególną tego ludu cechą.

Chińczykowie żyją w miastach i wioskach. Pierwsze stosunkowo bardziej są zaludnione niż wieś, gdyż niema na prowincyi dostatecznego bezpieczeństwa; ale duch jednoformności, we wszystkim co Chin dotyczy przebijający, odzwierciadla się w miastach i we wsiach: jedno miasto, z małemi wyjątkami, zupełnie do drugiego podobne, wioska do wioski; tylko miasta, stosownie do stopnia i klasy, są większe lub mniejsze. Miasta pierwszjej klasy, zwykle stolice okręgów, zowią się *Fu*, drugiego rzędu *Tschou*, a trzeciego *Hien*. Główne ulice w miastach są szerokie, ale nie zawsze brukowane i zaopatrzone w chodniki; poboczne uliczki nadzwyczaj wąskie, tak, że wygodnie można dostać ręką z jednego domu do drugiego, przez ulicę. Mało jest w Chinach gmachów takich jak pałace europejskie, ledwie cesarskie rezydencje zaliczyć się do tego dają. Domy zamożniejszych odznaczają się nietylko ogromem, co wielką liczbą małych budynków, nagromadzonych i złączonych w jedną całość.

Głównemi budowlami w kraju są świątynie, wieże na siedm piąter i wyższe, znajdujące się w każdym większem mieście, stanowią osobną właściwość chińskiego budownictwa; nadto pomniki, nakształt portyków, stawiane zwykle po miastach gdzie się ulice krzyżują. Wszystkie miasta wysokie mur opasuje, na bramę w tym murze wysadza się sztuka chińskich budowniczych. Co nie jest murem okolone, nazywa się w Chinach wsią *Tsune*, albo *Y*; większe, trudniące się handlem, mające oberże w których obcy stawać mogą, nazywane są *Tschine*; *Kium*, *Wei* i *Pao* znaczą twierdze, obsadzone załogą; *koan* baszta na spadku góry, a *Tschai* warowny zamek na wierzchołku gór. Często przy takich twierdzach znajdują się przedmieścia, kwitnące przemysłem i handlem.

Wiesniak czyli rolnik chiński niezmiernie jest ubogi, drewnianą lub glinianą chatę pokrywa tylko ryżową słomą; słupy w niej z prostej nieobrobionej trzciny bambusowej; nad izbą nie ma pułapu, tylko dach jedyną osłoną; podłoga z ubijanej ziemi, a ściany boczne z mat. Sprzęty domowe bardzo proste. Przy chacie, mieści się zwykle mała szopka na bydło, na schowanie zapasów, kupki gnoju i niewielki ogródek. Domy miejskich obywateli są jak wieśniacze, o jednym pięttrze, bez okien od ulicy. Dach opiera się na słupach w zie-

nię wkopanych, na tych spoczywają belki i żłaby; dach ten ma sobie właściwą formę; a gzymsy i dach to jedyny przedmiot baczenia i starania Chińczyków; zwykle on ku środkowi wgięty, dziwnymi figurami i straszidłami ozdobiony, po większej części gontami kryty. Wnętrze domu drewniane, albo z kamienia, czasami z czerwonego piaskowca.

Domy dzielą się na kilka części; jedne za drugimi idą, przerywane podwórkami, albo łączone otwartymi galeriami. Zazwyczaj w pierwszym od przodu domu mieści się sala ku południowi odwrócona, do której ze wschodu i od zachodu przytka cztery do pięciu pokoi; pośrednie ściany robią z rogoży, gliną i wapnem obrzucanych. Drzwi, stosownie do starego przesądu, nie mogą być na przestrzał jedne za drugimi, okna z przezroczystego papieru z żaluzjami, rzadko szklanne. Przedziały takiego domu zamieszkuje rodzina, tak, że kobiety mieszczą się osobno, zwykle od tylnego dziedzińca. Pieców nie używają nawet na północy, kominki i panwie z węglami miejsce ich zastępują.

Domy znakomitych mieszkańców podobnym sposobem budują, tylko przedziałów w nich więcej, dachy ozdobniejsze, ściany gładko polerowane, podłogi i sufity lakiem i wernixami pociągane, a drzwi wchodowe pięknie przystrojone. Kilka domów i dziedzińców ciągnie się rzędem; w przodowym zwykle galeriami otoczonym, do którego prowadzi troje wielkich drzwi drewnianych, i tylko znakomitsze osoby wchodzić mogą, mieszkają stróże i odźwierni; środkowy otoczony dziedzińcem zajmuje pan, a w budynkach na trzecim podwórku mieszkają kobiety. Pokoje, wyjąwszy wielką salę jadalną, są pospolicie szczupłe, ale czyste i miłe, wykładane pięknymi obiciami; stoły, stolki, szafy z pięknego drzewa, kunsztownie werniksowane; na ścianach pełno figur złotych, srebrnych, atlasowych; kredense i pulki zastawione pyszną porcelaną, a za szczególną ozdobę służą duże, jedwabne, różnego kształtu i pomysłu latarnie. Łóżka podobne prawie do europejskich, z jedwabnemi frankami i obłonami gazowemi, od komarów i much; materace nie pierzem ale bawelną wypijają.

Šampany, mieszkania pływające na rzekach, należą do właściwych tylko Chinom pomysłów;

mieszczą się powszechnie na wodach południowych, które w zimie nie zamarzają. Znaczna część mieszkańców całe życie pędzi w takich szampanach, żyje na wodzie i z wody, a rachują, że dziesiąta część całego narodu powierzyła się temu żywiołowi.

Cały prawie naród, bogaty i ubogi, cesarz i wieśniak żyje ryżem, który uważa tu należy jako chleb powszedni; za główny napój służy herbata, i woda. Po ryżu, pierwsze miejsce trzymają różne owoce, rośliny wodne i ryby, a Chińczyk z gminu niczem nie wzgardzi co tylko zjeść się da; nagnile nawet ryby, szczury, myszy, psy i wszelka padlina są mu przysmakiem; zanadto bowiem ubogi, żeby mógł kupić świeżego mięsa. Stoly bogaczy i zamożnych są zato bardzo wyszukane; nie ma potrawy którejby sobie nie sprowadzili, to z Indyi, to z dalekich stron Niebieskiego państwa, a na stole ich często zobaczysz gniazdo jaskółcze, udziec jeleni, haje, gwiazdy morskie, mięczaki, lody, łapy niedźwiedzie i najdroższą zwierzynę. Kuchnią chińska i kuchnioznawstwo zupełnie się różni od europejskiego; co, w nas budzi wstręt, to oni za przysmak używają, a wszystkie niemal potrawy przyprawiają olejem z kleszczowiny. Wina wcale nie uprawiają, chociaż winogrodu, dość w kraju rośnie, za to robią rodzaj araku z ryżu i prosa, który w powszechnym jest użyciu a pije się gorąco. Przy jedzeniu nie używają ani noży, ani grabek, ani łyżek, tylko dwa małe preciki, którymi bardzo precznie się posługują. Żują orzechy asekowe i betelowe jak mieszkańcy Indyi; wszyscy palą tytuń albo opium, lubo to ostatnie zakazane jest, i tylko takim dostępne co drogo zań płacić mogą. Wogóle Chińczyk jest umiarkowany i wstręmięzliwy, ale tylko z niemożności i ubóstwa; bogaty bowiem nadzwyczaj łakomy, smakoszy obżartus.

Ubiory Chińczyków są dotąd takie same jak były przed lat tysiącami, nie znają oni przemian mody, tylko raz po zaborze kraju przez Mandżu, zmuszeni byli przyjąć niektóre zmiany w stroju głowy i w ubiorze, obojętnym zwycięzcom; wielu jednak, aby uniknąć tych nowości, albo śmierć sobie zadalo, albo z kraju wyniosło. Chińczyk goli całą głowę, na wierzchu zostawiając promień włosów, który długim warkoczem zwiesza się na plecy i zowie się *penle*. Ucięcie tego warkocza poczytują za największą hanbę, i tylko złoczyn-

ców na tę karę skazują. Bogaci i zamożniejsi noszą kilkoro sukni: zwierzechnia spada aż do łydek, i ma dość szerokie rękawy, spodnia dłuższa, ściśle do ciała przystaje, rękawy u niej w górze szerokie zwięzają się około ręki i całą przykrywają, tak że tylko pachę widać. Oprócz tego pod tą suknią noszą dwie kamizele bez rękawów i jedwabną koszulę. Druga spodnia suknia przepasuje się jedwabnym pasem, którego końce kolan sięgają; są w niej na bokach kieszenie na nóż, precik do jedzenia, zegarek i worek od tabaki. Na nogi wdziewają latem welniane gatki, a na to spodnie z białej tafty; w zimie atlasowe futrem podbite szarawary. Koszula szeroka jest a krótka, zwykle jedwabna albo bawelniana; rzadko ją przeciw zmianą, zazwyczaj kiedy się już w kawalki rozłata. Szyja w lecie naga, w zimie okrywa się futrzanym kołnierzem. Na głowie noszą latem stożkowate, wieżowate kapelusze, zimą futrzane czapki, tak jednak że uszy zawsze obnażone. W domu kładą na głowę małą krymeczkę. Na golenie wdziewają pończochy nankinowe albo jedwabne, na nie buty atlasowe albo kartunowe w kwiatki, w podróż byty ze skóry wółowej lub końskiej, wewnątrz podbite kartunem albo jedwabiem. Trzewiki z noseń do góry zadartym, mają podeszwy nader grube z tektury, spodem skórą podłożone. Prócz tego, każdy Chińczyk chodzi zawsze z wachlarzem.

Średni stan skromny jest w ubiorze, poprzestaje na aksamitnej czapce, i krótkim spencerze bawelnianym lub jedwabnym obcisło pod szyją zapiętym; na to kładzie się szerokie okrywadło, jak kobiece szlafroczek wyglądające, a na nogi buty atlasowe czarne. Gmin i wieśniacy noszą duży słomiany kapelusz, niebieską albo szarą koszulę bawelnianą, szerokie szarawary i grube, ciężkie trzewiki, częścią ze słomy robione. Najuboższych cały ubiór stanowią szerokie szarawary bawelniane, i długi warkocz na głowie.

Strój kobiet mało się różni od męskiego: noszą także majtki, i tylko po ubiorze głowy i nógach poznać je można. Piękność chińska musi być delikatna i wysmukła, czarne mieć włosy, brwi różnym zatoczono łukiem, długie paznokcie u palców, a mianowicie ową ukróconą nóżkę, o której wspominaliśmy wyżej. Młode dziewczęta noszą rozpuszczone włosy, dorosłejsze w pęk zwinięte,

a zameżne splecione w warkocz. Pekiańskie kobiety noszą we włosach sztuczne kwiaty i brylantowe spłiki; piękności Santszufu, uchodzące za najurodzenniejsze z całych Chin, futrzane stroiki, a w południowych stronach kraju, przywdziewają kapelusze. Oprócz żółtego, to jest barwy cesarskiej, wolno im wszelkie nosić kolory. Szyje i piersi starannie osłaniają; brwi malują sobie czarno w łuki, twarz i szyję białą, brodę i wargi karminem różowo, a czasami zielono; niektóre zaś całą twarz różowym pociągają kolorem. Pończochy kobiet tylko do kostki dochodzą, reszta nogi i stopy obwiązuje się w opaski. Trzewiki stanowią najpyszniejszą część ich stroju, ale tylko do wyjścia noszą trzewiki ze skórzanymi obcasami, a chodzą na palcach.

Kobiety w Chinach nie są w takim poniżeniu jak u Mahometanów. Prawo dopuszcza wielożeństwa tylko cesarzowi i mandarynom, zwyczajny z ludu człowiek może mieć tylko jedną żonę. Zwyczaj żona nie wnosi mężowi żadnego posagu, lecz owszem musi on ją kupować od rodziców, dlatego żona ma u nich pewną wartość pieniężną. Zamożniejsi trzymają żony swoje zamknięte we wewnętrznych pokojach domu; nie jedzą razem z mężem, niewolno im przy nim siedzieć w jednym pokoju, nieprzyzwoitością jest nawet odzywać się w jego przytomności. Skazane są przeto na nudy najokropniejsze, a że mało się trudnią domowymi interesami i zarządem, oprócz wychowania córek, strój i palenie fajki jedyną jest im rozrywką; niektóre zajmują się przedzeniem jedwabiu i haftowaniem kwiatów. Kobiety niższych klas trudnią się całym gospodarstwem domowym, i dokonywają często prac bardzo trudnych, dla mężczyzn tylko właściwych, jak na przykład sterowanie łodziami, robienie wiosłem i t. p.

Chińczyce żenią się bardzo młodo, zwykle ojciec wyszukuje małżonkę dla syna i kupuje od rodziców. Obrzęd weselny łączy się z mnóstwem ceremonij. Za nieszczęście poczytuja, gdy się syn nie narodzi, dlatego prawo pozwala przybieranie i kupowanie dzieci. Dziewczęta za nie się uważają, w niższych klasach często je mordują zaraz po urodzeniu, albo wyrzucają na pole, co na jedno wychodzi.

Domowe życie Chińczyków nadzwyczaj jest proste i nudne; oddalenie kobiety od mężczyzny two-

rzy próżnię, która dla niego tęp jest przykrejszą, że tu nie ma żadnych publicznych zabaw, żadnych towarzystw i zgromadzeń, uroczystości religijne nieliczne, a tylko jedna nowego roku obchodzona i święcona przez pracującą klasę. Prawda, że uczy i zabawy u magnatów i zamożnych pyszne są, ale ceremonialne i zimne; Chińczyk nie pojmuje wcale duchownych uciech i rozkoszy. Jedyną dlań rozkoszą stół obfity i wykwinny. Obiad trwa u nich kilka godzin, a upijanie się w zwyczaju, byle się nie pokazywać jawnie i publicznie. Za pochlebstwo uważa się powiedzieć o kim że ma dobrą niarę, to jest że może dużo wypić nie upiwszy się. Chińczyki nie tylko się przepijają na wyscigi, ale się przejadają o zakład, a im większe okaze się przepelnienie żołądków gości po obiedzie, tęp większa radość gospodarza. Między rozrywki Chińczyków liczy się gra hazardowna, a gdy nie mają kart i kości, grają w palce, co się *tsioim* nazywa. Namiętność gry tak się upowszechniła, że w Chinach wszyscy grają, od chłopczyka małego do starca, i niejedną przez to wychodzi o żebrackim kiju. Zakłady także w wielkiem są użyciu, mianowicie w walkach kogutów.

Obrzędy pogrzebowe z większą jeszcze odbywają się ceremonią niżeli weselne, a wszystko według przepisanej etykiety. Żałoba zwykle ciągnie się trzy lata, a najmniej 27 miesięcy; w czasie tym niewolno sprawować żadnego publicznego urzędu, tylko w cichości płakać i boleć trzeba nad poniesioną stratą. Kolor żałobny jest biały. Oznaki honorowe składane zmarłemu, trwają zwyczajnie 7 dni, w czasie których krewni i przyjaciele zbierają się około trumny i żałobę odbywają. Chińczycy często zmarłych dopiero po upływie miesiąca grzebią, a nieraz w szczelnie zamkniętych trumnach trzymają trupy w mieszkaniu przez lat kilka. Ku pamięci zmarłych poświęcają dwa dni do roku uroczystości żałobnych.

W Chinach ceremoniału wszystko najściślej pilnuje, i to zamienilo się już w system porządku. Lewa strona jest honorową. Przed obliczem cesarza wszystko padać na twarz musi; co do niego należy, jest święte, a mówi się do niego wyrazami umyślnie ku temu ułożonemi. Część tych holdów spływa i na mandarynów. Ceremoniał między równymi, więcę jednak składanie holdów przez niższych wyższym, nadzwyczaj surowo i dro-

biażowo jest przepisane. Sztuka zachowywania dokładnie ceremoniału, jest we wszystkich najważniejszą nauką dla młodych Chińczyków, i bez dokładnej znajomości jej nie może pokazać się w towarzystwie.

Rolnictwo rzeczywiście na wysokim stopniu w Chinach stoi i poważaniem jest tak, jak w każdym innym cywilizowanym kraju. Dla publicznego uszanowania stanu rolniczego, cesarz corocznie orze kawalek gruntu, po nim książęta dworu cesarskiego i znakomiści dygnitarze, każdy jak i cesarz, w zwyczajnym rolniczym ubiorze. Tymkowski, który znajdował się na takiej uroczystości w Pekinie, kiedy cesarz pług prowadził, pisze o tém następująco: „Pole które cesarz (Chuandi) orze, leży blisko świątyni, poświęconej wynalazcy rolnictwa, i na tę uroczystość okrywane bywa szczególnego ustroju dachem. Cesarz poorawszy z pół godziny pługiem, oddala się do wiejskiej rezydencji w pobliżu, z kąd patrzy na pracę książąt i ministrów, którzy pod przewodem najlepszego i rzeczywistego rolnika, rolę pod gołm niebem orzą bez żadnej ochrony od deszczu. Podczas tej uroczystości, śpiewacy dworcy śpiewają hymny pochwalne, za dawnych jeszcze czasów ułożone, na cześć rolnictwa. Do pluga zaprzęgają woły jedynie ku temu celowi chowane. W obrębie murów pola cesarskiego, znajduje się mała stodołka, w której później składają żnięte żniwo, i jak głosi pocziwa prasa chińska, plon z niego nieskończenie bywa obfitszy, niżeli z pola uprawionego przez książąt i dygnitarzy. Gazeta dworska corocznie z wielką napuszystością opisuje tę uroczystość rolniczą, do której cesarz sposobi się postami, modlitwą i odośnieniem, co w tenże sam sposób jednocześnie po prowincjach dokonywają zarządcy.”

Takimi publicznymi zachętami, i przeszło dwutysięcy lat doświadczeniem rolnictwo chińskie podniosło się niezmiernie wysoko.

Dużych włości i dóbr rozległych niema w Chinach; a cały grunt uprawny dzieli się na drobne części, zaledwie wystarczające na wyżywienie jednej rodziny, to jest na potrzeby domowe, zasiów, daniny cesarskie, i sprzedaż dla pokrycia innych wymagań i potrzeb. Z tej części sprzedawanej wyżywić się muszą wszyscy rzemieślnicy, przemysłowcy, mieszkańcy statków wodnych nietrudnią-

cy się rolę, zaopatrują się gorzelnie; gdy więc rok nieurodzajny przypadnie, głód często bywa straszną i w krocie tysięcy ludu pada jego ofiarą.

Chińczykowie rolę uprawiają jak ogród, korzystając z najmniejszej piędzi ziemi; małe ścieżki zostawiają między polami, żeby nie umniejszać rozdzajnego pola. Uprawiają nadbrzeżne morskie piaszki, niosząc ziemię na skały, skopując góry, zamieniając wszystko w plonodajną glebę; w irygacjach zaś i nawodnieniach są mistrzami; wszelkie źródło, każdą krynice potrafią urządzić, tak zebrać zapasy wody, że coraz staje się pożyteczniejszą i tysiączne daje korzyści. Role bez ustanku co rok obsiewają, żadnych nie znają ugorów, a ziemia tak jest przerobiona i spulchniona, że pług drewniany, najprostszej budowy z drewnianym krajem, wystarcza na jej obrobienie.

Do plugów zaprzęgają woły, osły i bawoły; nie rzadko zobaczyć pług ciągnięty przez kobiety. Nie sieją tam ziarna suchego, ale go rzadkami sadzą z całą pieczołowitością, na przysposobionym poprzodnio nawozie.

Ryż pierwsze trzyma miejsce między zbożami w Chinach uprawianemi, a żaden lud na świecie tyle zależnym nie jest od uprawy i urodzaju ryżu jak chiński. Ryż u nich wszystkiemu, a gotowany ryż od chleba niezbędniejszy. Śniadanie Chińczyk nazywa *taifan*, czyli ryż ranny, *tschefan* czyli ryż południowy, każde jedzenie w ciągu dnia, a *guanfan*, ryż wieczorny, wieczorę.

Stosownie do położenia pól zmienia się ryżu uprawa. Ryż górny uprawiają na wysoko położonych polach i tarasach górnych, zwyczajny ryż po nizinach; ten bywa lepszy, ale nie plonuje nigdy tak jak w Hindostanie, a trzydziestci ziarn plonu uważa się w Chinach za urodzaj bardzo dobry.

Przed posianiem pól, palą na nich starannie ścierniska, zielska wszelkie, a gdzie miejscowość pozwala na to, morską wodą polewają. Pole orzą tylko raz 4 do 5 cali głęboko, a każde pole dzieli się na kwadraty, otoczone rowkami i tamkami do nawodnienia. Ziarno do siewu moczy się w silnym rozczywie solnym, i potem rozsiewa po polu, na kilka cali wysoko wodą zalanem; w piętnaście do dwudziestu dni po zasianiu ryż się przeflancuje, gdyż bez tego nie urodziłby w Chinach, a podczas rośnięcia trzeba go kilkakrotnie nawadniać,

i płóc. Ryż wodny dojrzewa wedła do trzech, górny w trzy do czterech miesięcy. Rzną go sierpami.

Do wyluszczenia go używają młynów do stęp naszych bardzo podobnych; ubodzy Chińczycy używają także do tego wielkich naczyń z palonej gliny, i drewnianęj stempy, która się obraca nogą. Po wytłuczeniu ziarno zsypuje się do dolów ziemnych, albo do wielkich naczyń glinianych. Dołączona tu rycina wyobraża pracę około pola ryżowego w Chinach.

W północnych prowincjach państwa uprawiają pszenicę, która już i w środkowych ukazywać się zaczyna, dalej żyto, jęczmień i ogromne ilości prośa, które tam wielką ma cenę a rośnie na dwadzieścia stóp wysoko. Uprawiają tam także rośliny strączkowe, a z innych roślin pokarmowych orzechy ziemne, kukurydzę i t. p.

Z roślin handlowych najwięcej hodują herbatę i morwy; hodowla jedwabników rozpowszechnio-

na jest w całym kraju, a konopie, len i inne rośliny włókniste do przędzenia, jak również tabaka, przez obie płcie bardzo używana, we wszystkich stronach uprawiane bywają.

Na mocy zawartego w 1842 r. traktatu z Anglią miasta portowe Amoi, Futscheufu, Kanton, Ningpo i Schangai, otwarte zostały dla wszystkich Europejczyków, a wyspę Hong-Kong, całkiem Anglii odstąpiono. Miasto Amoy, na obocznęj rycinie wyobrażone, leży na wysepce tegoż nazwiska, blisko trzy mile obwodu mającęj, a wraz z miastem Futscheufu jest głównem targowiskiem czarnej herbaty, uprawianęj najwięcej w prowincyi Fukian. Pyszne jest położenie tego miasta, mocno obwarowanego; mieszka w niem wielu kupców, którzy 300 przeszło łodziami prowadzą rozległy handel ze wszystkimi Chin portami, do Indyj Wschodnich i Japonii.

P..

K O N I E C .

SPIS RZECZY.

Stronnica.

Stronnica

Dardanelle	3	Jaskinia Wyera	191
Kilka słów o dziejach Polski	4	New-York	193
Wyniosłik	7	Latarnia morska na Dessert Rock	195
Jaskinia wiatrów pod wodospadem Niagary	9	Kazimierz Karas i jego dzieci	196
Gufa-perka	10	Owca, jej gatunki i rasy	202
Kalifornia	12	Morze i okręt	207
Polowanie na tygrysy w Indjach Wschodnich	17	O ludziach ogonastych	209
Wyobrażenie Turków o cywilizacji	21	Nadzwyczajne poświęcenie się dla nauki	211
Obrączkowiec koralowy	25	Koń i pantera	215
Karlsbad	26	Brytania	218
Sobótki	32	Pietrasznik płamisty	221
Chiny	33	Gawęda o astronomii	222
Jan Długosz	37	Ateny i Mistra	226
O tworzeniu kolorowych obrazów	39	Winokrzew	236
Szarańcza	41	Ducornet malarz bez rąk	240
Cesarstwo Marokańskie	43	Podróż Regnarda po Polsce	243
London	53	Różne owady w sztuce lekarskiej używane	251
Cesarstwo Haiti	57	Oczekiwany kometa	256
Kukulka	60	Południowa Ameryka	257
Książdz Baka	63	Skalikurek	265
Rybołówstwo w Norwegii	65	Wioska milionerów	266
Klasztor ś. Pawła około góry Synal	71	Meczet Bajazetta i Istenia	273
Papugi	73	Doświadczenia robione w Paryżu i Petersburgu z oświetlaniem galwanicznem ulic	279
La Mayrena de Chiclana	76	Bawelna	280
Szwajcarya	85	Lama Wigonia	282
Pozłomki i truskawki	95	Obrazy z okolic przybłęgunowych	283
Pożar okrętu	101	Iwonicz i jego okolice	287
Kanał Augustowski	103	Florencya	289
O skutkach bardzo silnego ognia galwanicznego	105	Orzeł	296
Kadnia nadobna	108	Moja zima w Norwegii	299
Cieplice	109	Praga	307
Ren	114	Doświadczenia czynione w ujeżdżalni paryżkiej w celu kierowania balonami	312
O ludziach jedzących ziemię	121	Płatkonogi	314
Foru	122	Przypadki myśliwskie w Indjach	315
Wilk	125	Onufry Kopeczyński	319
Drezno	129	Montoneros, Gauchos i Indyjanie z Pampas	323
Hajdelberg	133	Mamidla włoskie	328
Rozbicie fregaty angielskiej	134	Ryby	330
O ptakach drapieżnych dziennych w ogólności	139	Pocztą listowa w Anglii	331
Falenty	144	Holnsztejn w Saksonii	336
Indye Wschodnie	151	Wąwóz zwany Tiefengrund	338
Gruszka	158	Wycieczka na Etnę	340
Wyprawa kapitana Ross do bieguna północnego	159	Nastureya	345
Wędrówki chłopów rosyjskich	163	Tydzień spędzony na wyspach Hebrydzkich	347
Algier	165	Jaguar	360
Wycieczka do skamieniałego lasu w Egipcie	171	Targ niewolnikami w Egipcie	373
Zwierzęta czworonożne czyli małpy	174	Smoki i gekony	377
Mierzenie prędkości światła na powierzchni ziemi	179	Chńczykowie	380
Powódz	182		
Indye Wschodnie część II	184		
Ścierwojad kondor	189		

